PAMIĘTNIK LITERACKI

CZASOPISMO KWARTALNE
POŚWIĘCONE HISTORYI I KRYTYCE
LITERATURY POLSKIEJ WYDAWANE
PRZEZ TOWARZYSTWO LITERACKIE
IM. ADAMA MICKIEWICZA
POD REDAKCYĄ LUDWIKA BERNACKIEGO

ROCZNIK DZIEWIĄTY (1910)

WE LWOWIE MDCDX
NAKŁADEM TOWARZYSTWA LITERACKIEGO
IM. A. MICKIEWICZA Z DRUKARNI POLSKIEJ

Komitet redakcyjny stanowili:

Dr Wilhelm Bruchnalski, Dr Józef Kallenbach,
Dr Wiktor Hahn, Dr Konstanty Wojciechowski.

SPIS RZECZY.

str.

I. Rozprawy.

II. Notatki.

III. Materyały.

IV. Recenzye i sprawozdania (Spis alfabetyczny ocenionych książek, rozpraw i artykułów poniżej).

V. Bibliografia.

Bibliografia historyi literatury i krytyki literackiej polskiej za r. 1906 zestawił Stanisław Łempicki (w dodatku z osobną paginacyą 49—155).

VI. Polemika.

Spis ocenionych książek, rozpraw i artykułów.

Pamiętnik literacki zeszyt I za r. 1911 wyjdzie w drugiej połowie kwietnia b. r. i zawierać będzie między innemi nieznane

Listy

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

do

Stanisława Koźmiana.

Pokwitowania.

W czasie od 30 kwietnia do 31 grudnia 1910 r. zapłacili wkładki następujący członkowie: [cyfry rzymskie, przy latach (4=1904, 5=1905, 6=1906, 7=1907, 8=1908, 9=1909, 10=1910, 11=1911) umieszczone, oznaczają kwartały, na poczet których dana wkładka z kolei zapisaną została].

Altenberg A. 10 II—IV; Andruszewski J. 10 III—IV; **B**abiński Br. 10 I—IV; Badecki K. 9 II—IV, 10 I; Balasits A. 10 I—IV; Bałaban T. 7 I—II; Baranowski B. 10 II—IV, 11 I—II; Barewicz W. 10 II—IV; Bednarowski A. 10 I—IV; Bełza St. 10 I—IV; Bełza Wit. 9 II—IV, 10 I; Bernacki L. 10 I—III; Białobrzeski M. 10 I—IV; Breitmeier K. 10 III—IV; Bromberg Z. 9 I—III; Bruchnalski W. 10 I—IV; Bryda W. 10 II—IV; **Ć**wik Wł. 9. III—IV, 10 I—IV, 11 I—II; Czarnik Br. 10 II—IV; Czaykowski R. 10 II—IV; Czołowski A. 10 II—IV; Czuruk B. 9 II—III; Czytelnia U. V. Gimn. 10 I—II; **D**ąbrowski P. 10 I—IV; Dembowski I. 10 I—IV; Dobrowolski T. 10 I—IV; Dropiowski Wł. 9 I—II; Dworski E. 10 II—IV; Dziama L. 10 I—IV; **F**ijałek J. 10 I—IV; Finkel L. 10 III—IV; Friedberg J. 8 III—IV, 9 I—III; Fryling Z. 9 I—IV; **G**ajczak St. 10 I—IV; Gawalewicz M. 10 I—IV; German L. 10 I—IV; Gimnazyum Chyrów 10 I—IV; Gimn. Sokal 10 I—IV; Glixelli St. 10 I—IV; Gluziński L. 10 I—IV; Grzegorzewicz W. 10 II; **H**omme St. 9 III—IV, 10 I—IV; **J**ampolski Wł. 10 III—IV; Janelli M. 9 III—IV, 10 I—III; Janik M. 9 IV 10 I—II; Jarecki K. 8 III—IV, 9 I—III; Jarosiński B. 10 III—IV; Jaszowski J. 8 IV, 9 I—III; Jędrzejowski J. 10 I—IV; Juffy K. 10 II—IV; **K**alityński M. 10 I; Kallenbach J. 10 III—IV; Kąsinowski Br. 10 I—IV; Kaniowski T. 8 I—II; Kobzdaj K. 9 IV, 10 I—IV; Koło Polonistów U. Lw. 10 I—II; Koncewski St. 9 IV, 10 I—III; Kossowski St. 10 III—IV; Kostrzewski E. 9 I; Kotiers Fr. 10 III—IV; Kotowicz St. 9 I—II; Kozicki Wł. 10 II—IV; Krček Fr. 10 I; Krukiewicz M. 10 I—III; Kubik Wł. 10 I—IV; Kucharski E. 10 I—IV; **L**am St. 10 II; Lettner G. 10 III—IV; Lewicki J. 9 I—II; Lewicki T. 10 I—IV; Liebhardt H. 5 I—II; Lisiewicz A. 9 IV 10 I—III; **Ł**ańcucki L. 9 IV, 10 I—III; Łoziński A. 9 IV, 10 I—IV; Łucki A. 10 I—IV; **M**acheta Wł. 9 II—III; Mączewski P. 10 I—II; Majchrowicz Fr. 10 II—IV; Makowski A. 10 I—IV; Makuszyński K. 8 IV 9 I—II; Matusiak Sz. 10 III—IV; Maurer J. 9 III—IV, 10 I—II; Mazurek J. 10 II—IV; Merwin B. 9 III—IV; Miaskowski K.

8 I—IV 9 I—II; Miziewicz St. 10 II—IV; Morstin H. 10 I—IV; Nowicka L. 10 III—IV; Nowosławski Fr. 9 II—IV, 10 I; ks. Olejniczak T. 10 I—IV; Ortwin O. 10 I—IV; Paczosa Fr. 9 I—IV, 10 I—II; Paluchowski St. 10 III—IV; Pawlik St. 10 I—IV; Pawlikowski M. 10 II—IV; Pawłowski Br. 10 I; Petzold E. 10 I—IV; Piekarski M. 10 III—IV; Pilatowa M. 10 III—IV; Pini T. 10 II—IV; Pliszewski J. 10 I—IV; Płażek E. 10 II—IV; Połoniecki B. 10 I—IV; Popiel Br. 10 III—IV; Poradowski L. 10 I—IV; Poznański Z. 10 I—II; Próchnicki Fr. 10 II—IV; Prochaska A. 10 III—IV; Przysiecki L. 9 III—IV, 10 I—IV; Puszczyński E. 10 I—II; Reiter M. 10 II—IV; Rettinger M. 9 IV, 10 I—II; Sawczyński H. 10 III—IV; Schneider St. 10 III—IV; Skupniewicz E. 10 I—IV; Sołtys T. 9 IV, 10 I—II; Stasch R. 8 I—IV; Starklówna J. 10 II—IV; Steczkowski J. 10 III—IV; Stroński St. 9 I—IV; Świątkiewicz M. 10 I—IV; Swierzowicz J. 10 II; Szafran J. 6—9 I—IV; Szediwy St. 10 II—III; Szpotański St. 10 I—II; Szymusik Fr. 10 II—IV; Teslar A. 10 II—IV; Uczeń J. 9 IV. 10 I; Ujejski A. 8 III—IV, 9 I—II; Ujejski J. 9 III—IV, 10 I—IV; Vrtel St, 10 I—IV; Wasilewski Z. 10 III—IV; West F. 10 I—IV; Wierzejski J. 10 II—IV; Windakiewicz St. 10 I—IV; Winiarz A. 9 III—IV 10 I—IV; Wojciechowski K. 10 II—IV; Woleński B. 9 II; Wróbel W. 10 I—IV; Wysocki W. 8 III—IV, 9 I—II; Zaborowski W. 10 II—III; Zagajewski K. 10 III—IV; Zaleski L. 10 I—IV; Zipper A. 10 I—III; Zuber R. 10 II—IV; Żmudziński Fr. 10 III; Żurawski Z. 9 IV, 10 I—III.

Ogółem 147 członków zapłaciło wkładki w kwocie 1291 K.

W czasie od 1 stycznia do 10 lutego 1911 r. zapłacili wkładki następujący członkowie:

Andruszewski J. 11 I; Balasits A. 11 I; Barewicz W. 11 I—II; Bełza Wit. 10 II—III; Bernacki L. 10 IV; Białobrzeski M. 11 I; Biblioteka Poturzycka 11 I—IV; Bibl. Uniw. Ludowego 8—11 I—IV; Bogdanowiczowa J. 11 I—IV; Bostel F. 11 I—IV; Czernecki J. 11 I—II; Czołowski A. 11 I; Czytelnia U. Nowy Targ 11 I—IV; Dropiowski Wł. 9 III—IV, 10 I—IV; Dworski E. 11 I; Fijałek J. 11 I—IV; Gajczak St. 11 I; Gimnazyum Nowy Targ 11 I—IV; Gimn. Sanok 11 I—IV; Gluziński L. 11 I—IV; Gubrynowicz Br. 11 I—IV; Gubrynowicz Wł. 11 I—IV; Ihnatowicz J. 11 I—IV; Jahner A. 11 I; Janelli M. 10 IV; Juffy K. 11 I; Kallenbach J. 11 I—II; Koestlich R. 9 III—IV, 10 I; Komornicki St. 11 I—IV; Koncewski St. 10 IV; Kossowski St. 11 I; Krukiewicz M. 10 IV; Kryński A. A. 11 I—IV; Kucharski P. 11 I—IV; Kurpiel A. 10 I—IV; Lenkiewicz Z. ks. 11 I—IV; Lewicki J. 10 II; Lewicki T. 11 I; Loewenstein N. 11 I—IV; Łoziński A. 11 I; Mączewski P. 10 III—IV; Majchrowicz Fr. 11 I; Makuszyński K. 9 III; Mann M. 10 I—II; Niedziałkowska M. 11 I—II; Ks. Olejniczak T. 11 I; Olszewicz W. 11 I—IV; Pawlik St. 11 I—IV; Pawlikowski J. Gw. 11 I—IV; Pa-

wlikowski M. 11 I—II; Pilatowa M. 11 I—II; Pliszewski J. 11 I; Płażek E. 11 I—II; Połoniecki B. 11 I—II; Popiel Br. 11 I; Poradowski L. 11 I; Prochaska A. 11 I—II; **R**eiter M. 11 I; ks. Rejowicz Wł. 11 I—IV; Rolny W. 11 I—IV; Romer E. 11 I—IV; Rutkowski A. 10 II; **S**chneider St. 11 I—II; Słotwiński J. 10 I—IV; Służewski M. 11 I—IV Sołtys T. 10 III; Starklówna J. 11 I; Strzałkowska Z. 11 I—IV; Świątkiewicz M. 11 I—II; Szawłowski J. 10 II; Szkoła realna Jarosław 11 I—II; **T**ow. naukowe w Płocku 11 I—IV; **U**łaszyn H. 8 i 9 I—IV; **W**asilewski Z. 11 I; Wierzejski J. 11 I—II; **Z**akład nar. im. Ossolińskich 11 I—IV; **Ż**mudziński Fr. 10 IV.

Ogółem 77 członków zapłaciło wkładki w kwocie 474 koron.

Do Towarzystwa przystąpili: Babiński Bronisław, Gimnazyum w Nowym Targu, Glixelli Stefan, Jampolski Włodzimierz, Łucki Aleksander, Olszewicz Wacław, Szkoła realna w Jarosławiu, Szkoła realna w Tarnopolu, Szpotański Stanisław, Wrzask Jakób (10).

Józef Zaleski
skarbnik.

A d m i n i s t r a c y a „Pamiętnika literackiego“ uprasza z a m i e j s c o w y c h członków Towarzystwa o nadsyłanie wkładek za pośrednictwem c z e k ó w lub p r z e k a z ó w. Członkowie m i e j s c o w i raczą uiszczać wkładki do rąk zgłaszającego się k u r s o r a Towarzystwa.

Administracya „Pamiętnika literackiego“
Lwów, Zimorowicza 11—15, II p.

MICHAŁ JANIK

Z DZIEJÓW WYMOWY

W WIEKU XVII i XVIII.

(DOKOŃCZENIE [1]).

ROZDZIAŁ III.

Walka około Konarskiego.

Przełomowe dzieło Konarskiego pojawiło się w Warszawie w r. 1741 p. n. De emendandis eloquentiae vitiis (liber I). W rękopisie obiegało nieco dawniej, bo aprobata prowincyała Pijarów pochodzi już z r. 1740, a nadto w dodatku do swego dzieła już się rozprawia Konarski z dwoma pierwszymi krytykami. Wydał Konarski księgę pierwszą; następne nie pojawiły się, bo w słusznem jego przekonaniu nie zachodziła tego potrzeba; gdy nadeszła pora stosowna, zastąpił je Konarski innem dziełem wielkiej wartości, o czem będzie mowa poniżej.

Nie wchodzimy w rozważanie, o ile wielki reformator stylu samoistnym był myślicielem, co zaczerpnął od drugich, a co podał od siebie. Wystarczy powiedzieć, że reforma stylu już się była dokonała na Zachodzie, a naprzód we Francyi, że zatem Konarski musiał być zależnym od wzorów zagranicznych, z którymi zaznajomił się w swoich podróżach. Nie uwłacza ta zależność w niczem wielkości jego reformy, jak nie zmniejsza zasługi Konarskiego ten także fakt, że w sprawie stylu już przed nim i na niwie polskiej pojawiały się rozsądne spostrzeżenia i sądy. On bowiem pierwszy przystąpił do wiekopomnego dla nas dzieła reformy z całą świadomością celu i środków i odniósł zwycięstwo na całej linii dzięki jasnemu wykładowi nowych zasad i nieprzepartej sile rozumowania. Cała też zasługa odrodzenia stylu w Pol-

[1]) Por. Pamiętnik literacki, VII, s. 265 i 431.

sce jego wyłącznie jest udziałem. Wypada zatem rozpatrzyć w ogólnych zarysach wskazania, które w swojem dziele podał współczesnym wielki odrodziciel, a które i dzisiaj nie straciły na znaczeniu.

Nie zwalcza jeszcze Konarski nauki wymowy jako takiej, naprzód dlatego, że ceni sam jej pożyteczność pod pewnymi warunkami, a powtóre stanowisko takie było dla ludzi tamtoczesnych zbyt „heretyckie“ i stanowczo nie do pojęcia. Konsekwencye poglądów, wypowiedzianych przez Konarskiego, ujawnili dopiero z końcem wieku XVIII jego następcy duchowi, gdy sprawa należycie dojrzała. Mówi tedy Konarski, że sztuka wymowy jest bardzo pożyteczna, zwłaszcza w tej wolnej naszej Rzeczypospolitej, gdzie i prawa chcą tego i zwyczaj się domaga, aby nie rozkazami, lecz siłą wymowy umysłami kierować i wszystko przeprowadzać; gdzie za najlepszego obywatela ten bywa uważany, kto mądrość z wymową złączywszy umie innych przekonać o dobru pospolitem. Jednak, jak każda rzecz, tak i wymowa przez brak ciągłej i należytej krytyki uległa skażeniu. Stało się to naprzód na Zachodzie, skąd przyszło złe i do nas przed około ośmdziesięciu laty. Naprawa skażenia jest niezmiernie ważnym obowiązkiem narodowym, bo chodzi o to, ażeby młodzież nie uczyła się takiej wymowy, która nie tylko pomóc nie może, jak mówi Cycero, ale nawet szkodzi dotkliwie Rzeczypospolitej. Wszakże Grecy na wygnanie skazywali mowców, którzy brzękiem słów uszy oszałamiali, albo wykrętami i sofizmatami przekręcali prawdę. Podobnie w Rzymie cenzor Kato kazał powypędzać nauczycieli, którzy gadatliwości (*dicacitas*), a nie wymowy nauczali. Przeciw skażonej wymowie wystąpiła obecnie cała Europa i pracują nad tem osobne towarzystwa naukowe: w Wenecyi, Belgii, Francyi, Niemczech, a od niedawna i w Rosyi. Ten sam cel zamierza sobie Konarski, a choć pisze o wymowie łacińskiej, uwagi jego odnoszą się zarówno do wymowy ojczystej; przyczem zastrzega się, że walczy nie z osobami, lecz z błędami wymowy.

Wymowa powinna być jasna, dosadna, w miarę ozdobna, z naturą i rozsądkiem zgodna, o znajomość rzeczy oparta, silna, czysta i prawdziwie łacińska, nie zaś błaha, nadęta, niezrozumiała, przesadna, wyrazami obcymi naszpikowana. Ta jest natura każdego błędu, że, gdy się podstarzeje, rości sobie prawo do słuszności. Podobnie stało się z wymową skażoną, która umysły Polaków całkowicie ujarzmiła i zaraziła całe piśmiennictwo. Mamy wprawdzie i dzisiaj niektórych mowców wybitnych, lecz większość najlepiejby zrobiła, gdyby się od mówienia i pisania zupełnie powstrzymała. Oni to, niby szaleństwem owładnięci, jak dawni Giganci nadętymi i sześciołokciowymi wyrazami wdzierają się na gwiazdy; inni czołgają się po ziemi; inni w puste zapuszczają się dowcipy lub tak rzecz zaciemniają, że ani nikt ich zagadek, ani

oni samych siebie podobno nie rozumieją. Najgorsi są panegiryści, którzy popisują się czczą igraszką wyrazów, zaczynając od herbów lub innych błahostek, albo też, nic nie znajdując pochwały godnego, niedostatek treści bezmiernem zapełniają gadulstwem i prawdziwie cudzołożnikami są wymowy. Gdy mowę taką rozpatrzysz, nie znajdziesz ani odrobiny jakiejkolwiek treści rozsądniejszej. Pusta jak bańka mydlana. Nawet tacy, którzy nakłaniają do cnoty, lub odwodzą od występku, którzy prawią o najważniejszych sprawach Rzeczypospolitej, zamiast mówić do rzeczy i rozsądnie, zapuszczają się w niedorzeczne koncepty i subtelności. Tacy niestety uchodzą u nas za Hortenzyuszów, wskutek czego krzywda się tylko dzieje tak wielkiemu imieniu. Nie inaczej dzieje się w tytułach, inskrypcyach, dedykacyach, listach, a nawet w pracach historycznych, gdzie styl ciemny i nadęty za szczególną uchodzi zaletę.

Następnie podaje Konarski szereg przykładów skażonej wymowy, zaczynając od siebie, gdy sam hołdował nierozumnemu zwyczajowi wieku zepsutego. Od siebie przechodzi do drugich, a przywodząc wyjątki z panegiryków na cześć świętych wyraża się, że szczęśliwi mieszkańcy niebios, gdyby nie usprawiedliwiali dobrych chęci mowców, pochwały ich mogliby uważać raczej za szyderstwa i naigrawania. Słowa, słowa, zresztą nic, nadużycie gadek i dykteryjek, sztuczne wyrażenia — oto ogólna charakterystyka przykładów, które Konarski podaje. Opowiada sprawiedliwy sędzia, że zdarzyło mu się po klęskach wojennych z r. 1736 słyszeć kazanie, w którem kaznodzieja upominał panów, ażeby przychodzili z pomocą ginącym z głodu poddanym. Ale kazanie tak było napuszone, tak równocześnie zimne i czcze, że prawdziwie wszyscy wieśniacy musieliby poginąć z głodu, gdyby tego rodzaju mowy miały wpłynąć na obudzenie litości w sercach ich panów. W szczególności rozprawia się Konarski z głośnym „F u l m e n O r i e n t i s“, panegirykiem B a r t o c h o w s k i e g o Jezuity na cześć Jana III. Panegiryk ten uchodził za arcydzieło w epoce skażenia, a przez to najgorszym dla współczesnych był wzorem. Konarski osądza panegiryk bardzo surowo.

Są i tacy, którzy unikając napuszystości wpadają w pospolitość (*delabuntur in ima*) i przez to nowy grzech, choć mniejszy, popełniają. Dobry mowca powinien trzymać się złotego środka. Przy tej sposobności zapisuje Konarski zdanie niezmiernie słuszne w odniesieniu do praktyki szkolnej. M ł o d z i e ż p o w i n n a b e z w z g l ę d n i e u n i k a ć n a p u s z y s t o ś c i ; l e p i e j, a b y p i s a ł a s t y l e m p r o s t y m, a nawet najprostszym. C z y t a n i e, ć w i c z e n i e, n a ś l a d o w n i c t w o i w i e k d o j r z a ł y n a u c z ą j ą p o t r z e b n e j o z d o b n o ś c i. W młodym wieku należy przyzwyczajać do jasności i należytego rozkładu podanego jako temat przedmiotu [1]).

[1]) str. 101: Tolerabilius autem futurum mihi crede in pueris,

*

Nie zbywa Konarskiemu na odwadze cywilnej i ona to podobno w wielkiej mierze sprawiła, że pożądana reforma znalazła posłuch w lepszej części społeczeństwa. Prawiąc o listach, za zły przykład podaje między innymi list prymasa do cesarza, donoszący o śmierci królewskiej, przyczem tak się wyraża: „młodociane, błahe, niedorzeczne i śmieszne zdania tego listu byłyby nieprzystojne nawet dla ucznia retoryki; cóż dopiero, gdy są pisane imieniem prymasa i Rzeczypospolitej“. Wzorem mogą być listy Cycerona. Nie należy być w listach ani za obszernym ani za zwięzłym, ale starać się przedewszystkiem o rozumne myśli i dobór słów, przedmiotowi odpowiadający. Niejasność myśli i błahość wyrazów pozostaną zawsze wadą potępienia godną, bez względu na rozwlekłość czy zwięzłość stylu listowego.

Najpotworniejsze pod względem stylu są mowy uroczyste i oficyalne. Zawiłość walczy w nich o lepsze z czczością i niedorzecznością. W wysokim stopniu winne są temu szkoły. Jest bowiem zwyczajem, że zadaje się młodzieży ułożenie mów powitalnych i podobnych (*gratulationes*) do dostojników państwa; skutkiem tego dowcip młodzieży sadzi się na połączenia najosobliwszych okoliczności (*circumstantiarum combinationes*) dla wywołania wrażenia. Co staje się nałogiem za młodu, trwa dalej w stopniu jeszcze wyższym, bo umysł starszy, przyzwyczajony do głupstwa, uważanego za mądrość, zdobywa się na większe jeszcze niedorzeczności i subtelności. Tak zło ze szkoły weszło w życie publiczne i zachwaściło wszelakiego rodzaju wymowę.

Z kolei znęca się Konarski nad dedykacyami i, co podnieść należy, nie szuka pola do popisu w przytaczaniu osławionych elukubracyi jezuickich. Powołuje się nawet na włoskiego Jezuitę, Dominika Decolonia, autora dość dobrej retoryki [1]), zalecając z całą bezstronnością podane tam uwagi. Był to — co prawda — zręczny zarazem manewr szermierczy, bo godził słusznie przewidywanych przeciwników w stronę najdotkliwszą, gdy posługiwał się orężem z ich własnego obozu.

Osobny ustęp poświęca wymowie publicznej: sejmowej i poselskiej. Słusznie bowiem powiada: „Jeżeli błędy wymowy w jakimkolwiek przedmiocie obrażają uszy rozumnego słuchacza, dzieje się to w najwyższym stopniu przy przemówieniach publicznych,

---

si principio ne dum humilem, verum etiam humillimam dicendi rationem sequantur, dum oratio clara sit et bene ordinata. Ornamenta eos lectio, usus, imitatio aetasque docebit.

[1]) Dominicus Decolonia S. I: De arte rhetorica libri V, lectissimis veterum auctorum aetatis aureae perpetuisque exemplis illustrati (aprobata z r. 1731) Lugdun 1704. W Polsce wyszło 12 wydań (według Estreichera): Lublin 1754, 1756 i 1763, Poznań 1758, 1765 i 1796, Lwów 1763, Wilno 1770 i 1796, Sandomierz 1780, Połock 1788 i 1799.

gdzie żadną miarą nie wolno być pobłażliwym i musi się żądać mowy czystej, jasnej, w miarę zdobnej i poważnej“. Słynęła niegdyś Polska z tego rodzaju wymowy, a przykłady jej czytamy u Orzechowskiego i u innych. Była zaś dobra zarówno w polskim jak i łacińskim języku. Psuć się zaczęła na dobre za panowania Władysława IV, jak o tem świadczy ciemna już i napuszona, choć przez wszystkich przechwalana, mowa posła polskiego (Ossolińskiego), wypowiedziana imieniem króla do Urbana VIII. Podobne wady ma inna mowa tegoż mowcy, wygłoszona w obliczu elektorów niemieckich. Zło było wtedy dopiero w początkach, ale niestety zbyt szybko się rozkorzeniło. Zapanowała tedy wszechwładnie napuszystość, a u innych, jakby coś lepszego, przesadzona i sztuczna zwięzłość. Słowem mowcom dzisiejszym wydaje się, że znamieniem dobrej wymowy jest jak najdalsze odstępstwo od mowy naturalnej i zgodnej ze zdrowym rozsądkiem.

Zwięzłość zasadnicza może być dobra tylko w stylu historycznym, ale i tutaj nie może dochodzić do przesady, bo wszelka sztuczność przeradza się w głupstwo. Ustęp ten Konarskiego zwraca się głównie przeciw Andrzejowi Maksymilianowi Fredrze i jego zwolennikom, którzy unikając zbytniej ozdobności popadali w drugą ostateczność. Co jednak wyrozumieć można u historyków, staje się błędem dla mowców publicznych, którzy mogą mówić obszernie, byleby mówili rozsądnie i do rzeczy.

Niema rodzaju pisania, do któregoby nie zakradła się skażona wymowa. Nawet napisy (*inscriptiones*), które powinny się zalecać najwyższą jasnością i prostotą, zwyrodniały stylowo do granic najdalszych. Rzecz, jak zawsze, popiera przykładami i kończy dosadnie, że przeważna część tych napisów nie tylko na marmurze, ale nawet na wosku ryta być nie powinna. Nie inaczej ma się rzecz z tytułami książek, mów i innych dzieł podobnych. Napuszystość, sztuczność, skażona łacina i błahość — oto znamiona ich zasadnicze, które niekorzystnie świadczą o dalszej treści. Inaczej robili pisarze starożytni, którzy najświetniejsze pomysły skromnym oblekali napisem, wiedząc o tem dobrze, że nie tytuł nadzwyczajny, ale treść mądra jedna książce czytelników i wielbicieli.

Rozprawa Konarskiego napisana jest w formie dyalogu między Caesiusem, Navianem i Laurenem. Głównym rzecznikiem dobrej wymowy jest Navianus. Rzecz kończy się listem Laurena do Naviana, który brzmi, jak następuje: „Odpowiedź odkładałem do chwili, dopóki (jeszcze raz) nie odczytałem najuważniej uwag twoich o wymowie skażonej w listach, mowach publicznych i prywatnych, w napisach i dziełach historycznych. Nie ulega wątpliwości, że dzieło to niezmiernie będzie pożyteczne dla rozwoju piśmiennictwa, chociaż — być może — nie każdemu przypadnie do smaku. Lecz nie szkodzi, że lekarstwo gorzkie, byleby wyszło na zdrowie... Działaczom pożytecznym zawsze zawiść

staje na przeszkodzie. Trwożyć się tem świadczyłoby o małoduszności. Pozwólmy wygadać się zawistnym, a my dobrze czyńmy. Czyńmy zaś tak, aby wszyscy rozumni przekonali się, że po naszej stronie słuszność, a po stronie przeciwników zawiść i niechęć".

Zaraz do pierwszego wydania dołączył Konarski w formie listu do Wielopolskich (Karola i Jana), którym dzieło swoje poświęcił, odpowiedź na dwie krytyki, do tego dzieła skierowane. Dowód, że rzecz musiała krążyć w rękopisie. Jedna, napisana w Rzymie, pochodziła od życzliwego przyjaciela i uwzględniała głównie usterki stylistyczne, godząc się w zupełności na treść i zamiar autora. Druga była polemiczna i nosiła tytuł: Literae Amici ad Auctorem libelli, cui titulus: de emendandis Eloquentiae vitiis. Polemista podpisał się pseudonimem Josephi a S. Georgio Scholarum Piarum, a był nim w rzeczywistości Jezuita Kazimierz Wieruszewski, wspomniany już autor potwornych stylowo i cudackich ze względu na subtelności dowcipu elogiów łacińskich. Napaść była zjadliwa i nieprzyzwoita. Toteż zastrzega się Konarski, że tą samą drogą nie pójdzie, bo idzie mu o rzecz, nie o osoby, a nadto zakonnikowi nie przystoi używać takich obelg, jakiemi zasypał go przeciwnik, zarzucając mu złośliwość, zazdrość, zuchwalstwo, głupotę, bezczelność, umysł heretycki, podłość sądu i t. p. Nie można się przecież gniewać o to, że między złymi przykładami wymowy podawał pisarzy różnego rodzaju. Nie wymienił jednak ich nazwiska, a zaczął od siebie, własne swoje płody dawniejsze nazywając chłopięcemi niedorzecznościami, błahemi, mowcy niegodnemi i t. d. Jeżeli podobnie wyrażał się i o innych mowcach, nie ubliżał osobom, ich zacności i dostojeństwu, lecz tylko charakteryzował ich mowy. Można przecież powiedzieć, że fałszywe i śmieszne było zdanie, które przeczyło istnieniu antypodów, z czego wszakże nie wynika, że uczeni dawniejsi, zdania takie wygłaszający, fałszerzami byli i śmiesznymi. Jeżeli się dalej mówiło, że złych mowców wypędzano z Rzymu i z rzeczypospolitej platońskiej, nie obraża to bynajmniej mowców dobrych. Kto mnie nazywa — pisze Konarski — oszczercą i napastnikiem, gdy złą wymowę piętnuję, zarzuca to samo wielu zacnym mężom we Włoszech, Niemczech, Francyi i nawet w Polsce, którzy nad reformą wymowy pracowali. Nie pochodzi to z umysłu heretyckiego i nie byłoby herezyą, gdyby ktoś uzasadnił, że nawet w pismach Ojców kościoła napotyka się wymowę napuszoną, zawiłą i pełną wyrażeń barbarzyńskich, bo ta nie przesądza treści, która może być święta i przez Ducha św. natchniona, bo Ojcowie święci mogli być mężami świętymi, a złymi mowcami. Nie należy uważać za walkę z religią tego, co jest skierowane tylko przeciw złej wymowie. Przyczem powołuje się Konarski na wysokich dostojników kościelnych i świeckich, którzy do dzieła go zachęcali, a już wykonane chwalili.

Polemista podpisał się imieniem zakonnika pijarskiego, jakiego wcale niema w spisie całego zgromadzenia. A więc nie jest to płód pijarski; co więcej — wszyscy uczeni i poważni Pijarowie są zwolennikami reformy stylu, który i w swoim czasie nie przez nich został zepsuty. Nikt z Pijarów nie jest tak nieumiarkowany, aby spółzakonnika tak obelżywie napadał. Krytyka pochodzi od Jezuity. A jednak i w tym zakonie znalazł Konarski aprobatę, bo gdy jednemu z poważnych Jezuitów, którego imienia dla pewnych względów wymienić nie może, rzecz swoją w rękopisie odczytał, ów tak się wyraził: „Nikt roztropny książką się nie obrazi, w której czyni się słuszne uwagi i o Jezuitach i o innych, bez podawania nazwisk autorów; u wielu uczonych Jezuitów znajdzie ona nawet należne uznanie". — Odpowiedź swoją podpisał Konarski w Warszawie, z końcem lipca r. 1741.

Napaść Wieruszewskiego, namiętna i osobista, była pierwszym wystrzałem z obozu zagrożonych rycerzy Lojoli; wnet miały zagrzmieć działa cięższego kalibru. Polemistom szło nie tylko o styl, lecz bardziej jeszcze o kierunek filozoficzny, krzewiony przez Konarskiego i Pijarów, o podkreślenia przez nowatorów zasady zdrowego rozsądku i wartości nauki doświadczalnej. Jezuici tkwili niezłomnie w scholastyce średniowiecznej Tomasza z Akwinu, w sprawach naukowych opierali się wyłącznie o powagę pisma św. i prawomyślnych autorów; Konarski pod wpływem umysłowości francuskiej wprowadzał filozofię nowszą, która zaczęła się z Kartezyuszem i Bakonem. Potoczyła się walka o dobra najistotniejsze, bo o pogląd na świat i władztwo nad duszami. Jezuici polscy uważali Kartezyusza za ucznia Demokryta i nazywali go ateuszem. Stąd poszło owo oskarżenie Konarskiego o herezyę, co było niezmiernie silnym argumentem wobec ówczesnej ciemnoty. Sposób wojowania nie był nowy, boć już Rej napisał w „Spólnem narzekaniu wszej Korony": „Nikt (u nas) nic nie robi; a jeśli spróbuje, duchowni krzyczą zaraz, że heretyk"... Konarski ostatecznie zwyciężył, bo wpływ francuski stawał się na szczęście coraz bardziej wszechmożny. Zniesienie zakonu Lojoli ubezwładniło słabnące wysiłki polemiczne, ale wtedy już i Konarski spoczął w mogile. W tem oświetleniu zasługi Konarskiego jeszcze bardziej wzrastają. Mimo sukni zakonnej jest to jeden z najjaśniejszych umysłów i jeden z najpotężniejszych budzicieli ducha narodowego, jacy się kiedykolwiek na ziemi naszej urodzili.

Z kolei wystąpił w zapasy Jezuita Faustyn Grodzicki, nauczyciel wymowy w kolegium lwowskiem, z książką p. n. Theatrum eloquentiae illustrium personarum apparatu ex antiquissimis et probatissimis rhetoribus, oratoribus et archirhetoribus instructum seu Dissertatio de magna arte rhetoricae per dialogum

proposita [1]). Zaczyna od dwudziestostronicowego, niesmacznego panegiryku na wojewodę Stanisława Wincentego Jabłonowskiego (Missionum S. I. Fundatori et Benefactori, Domino Domino et Mecaenati colendissimo), poczem wylicza szereg autorów, na których powagę się powołuje, jak: Ferrariusa, Stradę, Gallutiusa, Vossiusa, Mureta, Perpiniana, Puteana, Patrum Moguntinensium S. I Palatium reginae eloquentiae, Barklaja, Iuglarisa, Susenbrota, Lipsiusa i innych. Z polskich pisarzy przywodzi: A. M. Fredrę, St H. Lubomirskiego i An. Ponińskiego. Po takiem stwierdzeniu swojej uczoności zabiera się gorąco do czytelnika w obronie retoryki sztuki wielkiej „ob universam scientiarum congeriem fructuumque magnitudinem". Skoro wyszła na światło dzienne książka: O naprawie błędów wymowy — pisze Grodzicki — przeraziła zarówno czytelników, jak i tych, co o niej słyszeli, bo chciała uzasadnić, że wszystko, co słyszano na mownicach w ostatnim wieku, jest płodem wymowy skażonej. Autor nikogo nie uszanował i ośmielił się zaczepić wielkiego nawet Ossolińskiego. Skutkiem tego młodzież, gdy książkę poznała, poczęła lekceważyć nauczycieli i naukę wymowy. Dosadny styl wydał się jej prostackim i nieokrzesanym, dowcipny zaś i wspaniały skażonym; ani miodu nie chciała, bo słodki, ani chleba, bo powszedni. Wydaje tedy swoją książkę, aby zarazie zapobiedz, a zarazem obronić od niesprawiedliwego wyroku te właśnie czasy (od Władysława IV do dzisiaj), w których Polska najwspanialszych wydała mowców, a tak wypełni także rozkaz papieża Benedykta XIV z r. 1745, który zabronił drukowania bezwstydnie tego wszystkiego, co jakiemuś pisarzowi przyjdzie do głowy. Nie wstępuje na trybunał sam; sędziami będą poglądy i zdania „ludzi najmędrszych i najświętszych".

Autor książki: De emendandis eloquentiae vitiis zarzuca Polakom zepsucie wymowy łacińskiej. Być to nie może, bo Polacy najlepszymi są łacinnikami, skoro łacina od polszczyzny pochodzi, jak to z wielką umiejętnością wykazał niegdyś O. Dębołęcki, Franciszkanin [2]). Nadto wyszła w Rzymie w r. 1728: Tabula chro-

---

[1]) We Lwowie (druk Jezuitów) r. 1745. Mylnie podają (pisze Estreicher), jakoby wydał nadto: De perversa styli conformatione, Leopoli 1746. Jest to bowiem powyższe Theatrum, jak to z Jabłonowskiego widno.

[2]) Dla osobliwości przypominamy pokrótce dziwactwo, na które powołuje się uczony Grodzicki. Nosi ono napis: „Wywód jedynowłasnego państwa świata, w którym pokazuje X. Wojciech Dębołęcki z Konojad, Franciszkan, doktor teologiej a generał Społeczności wykupowania więźniów, że nastarodawniejsze w Europie Królestwo Polskie lubo Scytyckie: samo tylko na świecie ma prawdziwe successory Jadama, Seta i Jafeta, w panowaniu światu od Boga w raju postanowionym, i że dlatego Polaki Sarmatami zo-

nologica rhetorum, oratorum et poetarum za wiadomością papieża Benedykta XIII, która podaje autorów wzorowych. Oni tedy mają być także sprawdzianem, czy wymowa łacińska w Polsce pobłądziła.

Książka Grodzickiego obejmuje sześć części: 1) pomysł czyli inwencyę 2) układ czyli dyspozycyę 3) wygłoszenie czyli elokucyę 4) rodzaj pochwalny (*demonstrativum*) 5) pomniki wymowy i 6) ćwiczenia szkolne i naukę młodzieży. Mowca doskonały —

---

wią. A gwoli temu i to się pokazuje, że język słowieński pierwotny jest na świecie. Nie gań, aż przeczytasz, bo wydany jest za pozwoleniem i przywilejem I. Kr. Mci po przejrzeniu na to wysadzonych teologów i historyków. W Warszawie w druk. Jana Rossowskiego typografa I. Kr. Mci. R. P. 1633.“ Nie zawadzi dodać, że książka znalazła w Rzymie aprobatę i pochwałę. Oto niektóre wywody poczciwego Franciszkanina: Słowianie to Szczyciowie (Scythae), najstarszy naród, który Grecy ugrzecznili, Latini ułacnili; Pelasgowie — Polaczkowie; Hellenowie — Olani (bo nad morzem); Mojżesz mówił po słowiańsku, ale potem żydzi wzięli język z Babilonii; Abraham — Obrezan, Absalon — Obżalon, Osanna — Bożenna, Alleluja — chwałę lują, Ceres — czczęreż, papirus — pod pióro, autor — dał tor, Enos — Panosz, Abel — Ubył, Gog (goj) — szlachcic, Magog — mużyk, Sarmacya — Carmać, nobilis — nebo licz, Palestyna — Polaszczyzna, Babilon — babie łono, Niniwe — nie niewinna i t. d. i t. d. Pisał to wszystko Dębołęcki z całą powagą i pewny był swego, czego dowodem pomieszczony na końcu książki wiersz: Do Gryzosława:

„Gryś (!), przegryś (!), podchwytuj, Gryzosławie miły,
A jeśli co znajdziesz, bij ze wszystkiej siły.
Jeno o to proszę: piórkiem, a pókim żyw,
Bo z grobuć odpisać niesłychany to dziw.
Jednak ufam: będą i po mojej śmierci
Prawdybrońscy, których pióro łepci (łeb ci) zwierci“.

Na innych miejscach bawi się Dębołęcki w proroka, jak oto: „Co się zaś tknie czasu, rychłoli się wypełnią Koronie Polskiej te obietnice Boże, nie ludzka rzecz jest wiedzieć rozporządzenie czasów, które Bóg ma w swojej mocy. Atoli jednak mimo to, żeśmy już na schełku (!) świata, i z samych pomienionych słów Danielowych łacno się domyślić, iż to już niedługo, dali Bóg, będzie. Bo już na oko widziemy, że król południowy lubo (według dzisiejszych rzeczy) hiszpański ustawicznie przeciwko Turkowi od południa zewsząd postępuje lubo (według orzecznych za Daniela) egiptski jemu rebelizuje. Już król akwilońki ś. p. Zygmunt III bez wszelkiej cudzej pomocy ludzkiej (a z wielkiem podziwieniem się wszystkiego świata) znacznie począł R. P. 1621 turecką siłę kruszyć, gdy obecnego z niezliczoną wielością

mówi G. w pierwszej części — powinien umieć wszystko, z wyjątkiem filozofii kartezyańskiej i epikurejskiej, bo obowiązuje go tylko Arystoteles. Kartezyanie i dla wymowy i dla religii są szkodliwi, bo — według Grodzickiego — nauczają: 1) że wszystko składa się z atomów, 2) że człowiek stworzony jest dla rozkoszy, 3) że mędrzec nie powinien zajmować się sprawami rzeczypospolitej. Dalej powinien mowca wiedzieć, jakimi środkami opanuje uczucia słuchaczy. Ambitnym niech przedstawia rzeczy wspaniałe, uczonym ciężkie i poważne, młodzieży wesołe, kobietom przykłady i powiastki (*historiolas*). Powinien także uważać na właściwości i obyczaje narodowe. Przy tej sposobności dla zjednania sobie czytelników taką podaje (za Hautevillem i innymi) charakterystykę Polaków: „Polacy wielkimi są miłośnikami wolności i miłość tę wpajają od kołyski w potomstwo; głęboko przywiązani do katolicyzmu szczególniejszymi są obrońcami rzeczy świętych; odznaczają się gościnnością nawet wobec cudzoziemców bez żadnej nadziei zysku. Nie podróżują jak tylko dla honoru, a chociaż sami rządzą państwem, więcej szanują króla niż poddani w krajach despotycznych. Wojen zdobywczych nie lubią i nawet zwycięzcy o rozszerzanie granic się nie starają. Miast warownych w obrębie królestwa nie cierpią, ażeby przypadkiem król nie pokusił się o zamach na wolność. Młódź szlachecką twardo wychowują, ażeby nawykała od dzieciństwa do trudów wojennych. Cudzoziemcom niosą pomoc nie dla korzyści, lecz dla wyświadczenia dobrodziejstwa“. Na te właściwości narodowe pilnie należy baczyć dobremu mowcy, jeżeli chce być słuchany i rozumiany. Tymczasem nowi krytycy radzą inaczej, narażając przez to mowców i upodabniając się do sofistów, którzy radzi mówili nie po myśli swoich słuchaczy.

W rozdziale o układzie słusznie powiada, że mowca tak przedmiot rozłożyć powinien, aby rozum słuchaczy oświecił i wolę ich poruszył. Wyjątek stanowią panegiryki, gdzie idzie przedewszystkiem o wygłoszenie (!). W rozdziale o wygłoszeniu przypomina roztropne uwagi Cycerona i innych, co nie przeszkadza, że w dalszym ciągu zaleca wszystkie sposobiki wymowy skażonej, a zatem mieszaninę stylów i najsztuczniejsze figury i tropy. Unosi się dalej w pochwałach nad mowami Ossolińskiego, Fredry i Bartochowskiego, przyczem na rachunek Konarskiego w ten sposób

---

z pod Chocima sromotnie odpłoszył. Już tenże niedawno przedtem skrzydła Białego Orła przez Moskwę rozciągnął. Już go wieści gniewać poczęły wschodnie najazdów tatarskich i północne wpadnienia Szwedów do Prus. Zaczem już tego jeno wyglądać, aby który jego następca ruszył się wszystką mocą dopinać pomienionych obietnic Bożych. Przeto wszelki człowiek, Boga się bojący, a wypełnienia słowa Jego pragnący, powinien mu tego winszować, mówiąc: Daj to, Boże, Amen!...“

się oburza: „Co tedy najdostojniejszemu wojewodzie siły było wyrazem, to dla ciebie jest napuszystością? Komuż zatem wierzyć? Czy mężowi doświadczonemu? Sławnemu doradcy ojczyzny, czy zwykłemu śmiertelnikowi? Mowcy publicznemu, czy w cieniu będącemu (*umbratico*)?“ Wspaniały zaiste argument dla gawiedzi. Prawiąc o Bartochowskim, tak go znowu chwali i objaśnia: „Gdyby był Bartochowski mowy swojej nie uczynił nadzwyczajną przez nowe tropy, przenośnie i niezwykłe figury, nie byłby zbudował pomnika wymowy, uszu królewskich godnego. Powinien był tedy przez przenośnie nadać swojej mowie wdzięk niezwyczajności, przez nowe tropy wzbudzić podziwienie, zwłaszcza, że w używaniu częstych i gwałtownych figur szedł za przykładem genialnego Isokratesa“.

Długie uwagi poświęca stylowi dowcipnemu (*stylo arguto*), który daje mowcy przewagę nad poetą, bo ów skrępowany jest miarą stopy, gdy mowca w mowie niewiązanej z całkowitej w tym względzie korzysta swobody. Najpiękniejszym zaś rodzajem tego stylu jest styl elogiarny, przez arcyretora Ferrariusa S. I. „stylem boskim“ nazwany, bo bystry dowcip i zwięzłość są darami przyrodzonymi języka hebrajskiego. Inni nazywają ten styl „jezuickim“, nie dlatego, iżby wyłącznie przez Jezuitów był używany, lecz że przez nich na nowo był stworzony albo raczej ogładzony i udoskonalony. Ale zaszczyt ten odstępują Jezuici Ojcom świętym i Doktorom kościoła (Hieronimowi, Augustynowi i innym), bo przez nich był już należycie wyrobiony. — Nie zaszkodzi dodać na tem miejscu, że Ojcowie i Doktorowie kościoła działali w czasach, gdy wymowa grecka i rzymska zupełnemu uległa zepsuciu. — Nowi krytycy, styl taki zwalczając, występują przeciw świętościom i powagom. O zuchwalcze Konarski!

Nic tedy dziwnego — pisze Grodzicki — że styl ten szczególnie zalecany jest młodzieży, a zwłaszcza w Polsce... Nadto do tej wymowy nie trzeba zbytniej nauki, stąd dobra ona dla młodzieży i dla kaznodziejów (!). Lecz nie tylko dla nich; i w senacie dobra jest i potrzebna, bo pozwala popisać się, a nie przeszkadza innym używać argumentów prostych i bezpośrednio przekonywujących. Dlatego chce Fredro, że „argutandi peritia legatis necessaria ac viris magnis, non modo iuvenibus“. Za przykład podaje nawet Grodzicki mowę Massalskiego, wojewody mścisławskiego, na sejmie konwokacyjnym r. 1733, której taki oto początek:

„Na tym placu wolności, gdzie *omnis nobilitas et omnes Latii soboles convenit in unum, quidquid in orbe fuit,* zebrane liczne *patriae decora,* obrona chrześcijaństwa, najmocniejszy mur swobód ojczystych, postrach i pogrom nieprzyjaciół i t. d.“

W rozdziale piątym nie może pojąć Grodzicki, jak można młodzieży jedynie poważną zalecać wymowę. Cóż tedy zrobić z świętymi doktorami, z wykładaczami pisma, z objaśniaczami

hieroglifików, herbów i innych znaków? Przecież tutaj rzecz cała zawisła od dowcipu. Podaje następnie przerażające skażeniem dedykacye, inskrypcye, tytuły książek i wszystkie te cudactwa nazywa pięknościami. Ale i Grodzickiemu znane są błędy wymowy. Podaję za nim same tylko nazwy, nie wdając się w objaśnienia, aby nie nadużyć cierpliwości. Oto one: *picologia, brachilogia, bomphiologia, miosis, macrologia, asiatismus, homologia, arythmon, onicomiton* i *periergia*. W rozdziale szóstym rozprawia o ćwiczeniach szkolnych i podaje przykład, jak można ułożyć mowę bystrodowcipną na cześć obrazu św. Kazimierza, trzymającego w ręku krucyfiks. Są nawet dwa sposoby rozwiązania: jeden według Soariusa w siedmnastu punktach, drugi według samego autora w punktach dziewięćdziesięciu dwuch (!). Przy tej sposobności poucza szczegółowo, jak przyuczać młodzież do ułożenia mowy alegorycznej.

W zakończeniu swego dzieła powiada Grodzicki, że podane przezeń poglądy i wyjątki z wzorowych autorów powinny nauczyć każdego, że należy być ostrożnym w osądzaniu pomników wymowy. Sztuka to bowiem wielka i pilnie baczyć się musi, aby zwalczając cokolwiek nie obalić całości. Jest niewątpliwie zasadą wymowy, że powinna opierać się na rozsądku przyrodzonym i na wiedzy nabytej, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o sprawy etyczne i prawnopolityczne. Od samego zaś mowcy przedewszystkiem zależy, jak rzecz ostatecznie ułożyć i wypowiedzieć. Dla zapobieżenia nadużyciom w tym kierunku istnieją ogólnie przyjęte prawidła, które zwłaszcza w umysły uczniów pilnie wszczepiać potrzeba, ażeby przez przewrotną naukę nie nauczyli się przewrotnie mówić. Czy to nie przytyk do Konarskiego? Rzecz w każdym razie osobliwa, że tyle zużywszy papieru na polemikę z Konarskim i na obronę skażonej wymowy przyłącza się Grodzicki bezwiednie do jego żądania i przy końcu swojej książki kładzie nacisk na rozsądek przyrodzony. Nie chcę wszakże rozstrzygać, czy to było naprawdę przekonanie Grodzickiego, czy dobrze obliczony argument na zjednanie niekrytycznego czytelnika. Najprawdopodobniej jednak wyrażenie „zdrowy rozsądek“ było dla samego autora nie dość należycie zrozumiałe.

W ślad za Grodzickim pospieszył do boju Jezuita Adam Malczewski, profesor kolegium poznańskiego, wielka u swoich powaga, sam siebie w przesadnej skromności Teofrastem nazywający. Ten zwalcza Konarskiego i jego zwolenników z całą namiętnością w imię dawnej wymowy i dawnej filozofii. Pierwsze jego dzieło w tej sprawie nosi napis: Umbra ligatae Praecursio solutae eloquentiae proiecta in lucem auctore P. Adamo Malczewski S. J. Theologo, Anno Salutis 1747 (Poznań, druk Jezuitów). Poświęca je uczniowi swojemu, Teodorowi Koźmińskiemu, wojewodzicowi kaliskiemu, bo jak powiada: „Certissimum enim immortalitatem polliceris libris, quos Capitis Tui dignaris hospitio.“

Rzecz składa się z dwu części: w pierwszej podaje przykłady poezyi elegijnej, bohaterskiej i mieszanej, rozwodzi się nad poezyą niewiązaną; w drugiej pomieszcza przepisy wymowy, które wydał później dwukrotnie pod zmienionymi tytułami. Przykłady są potworne pod względem treści i stylu. Tak n. p. jako wzór poezyi bohaterskiej podaje panegiryk Jezuitów toruńskich z r. 1711 na cześć carewicza Aleksego i jego małżonki. Wywody o poezyi niewiązanej, a w szczególności o elogiach są jednem wielkiem cudactwem, z czego autor wcale sobie sprawy nie zdaje i dla poparcia swoich bredni przerabia początek mowy Cycerona „Pro lege Manilia“ na elogium w guście jezuickim. Prawdziwie trudno wyobrazić sobie książkę, któraby mogła pomieścić więcej złych przykładów i niedorzeczności. Mimo niejednokrotnego powoływania się na autorów starożytnych niełatwo przedstawić sobie płód stylistyczny, który odbiegałby dalej od pisarzy starożytnych i humanistycznych. Pewny wszakże siebie Malczewski sądzi, że czytelnika przekonał, i tak się go zapytuje: „Powiedz mi tedy, mężu dostojny, co sądzisz o tych, którzy zaprawiają mowę bystrodowcipnymi pomysłami, częstemi przenośniami, figurami i dosadnemi sentencyami i w ten sposób przynoszą rozkosz i bawią? Czyż nie czynią tego uczenie, z doświadczeniem i ozdobnie? Tej chwały jeden krytyk (Konarski) im nie wydrze, jak długo cieszą się przeważnem uznaniem“. Nie jest tedy wymowa taka — pisze gdzieindziej — ani błędna, ani fałszywa, ani od dobrych mowców odstępująca, ani dla młodzieży i rzeczypospolitej szkodliwa; nie wolno jej tedy potępiać i zwalczać, ale raczej przez wyznaczenie nowych nagród powinno się ją krzewić i do dalszego rozwoju pobudzać.

Druga część obejmuje pogadankę o przepisach wymowy p. n. Oratoria praecertatio. Gdy zabierał się do pracy — pisze — wpadła mu w ręce książka p. n. Theatrum eloquentiae, wytłoczona we Lwowie. Dzieło to doskonałe, pisane stylem cycerońskim. Pełne wszelakiej erudycyi, jasne, należycie ułożone, zaleca się sądem poważnym i wielkiem doświadczeniem. Zwraca się wprawdzie przeciwko pewnemu przeczulonemu nosowi sędziowskiemu, ale w sposób tak umiarkowany i delikatny, że nawet sam ów sędzia musi się uczuć zadowolonym. Wdzięczność prawdziwa należy się autorowi od rzeczypospolitej literatów, zarówno od tych, którzy kochają się w stylu ozdobnym, wzniosłym, miłym i dowcipnym, jak i od jego przeciwników. Ponieważ jednak przystąpił już do pracy, przypomni rozprawę, jaką podczas biesiady prowadził na ten temat w pewnym domu wielkopańskim. Wiadomo bowiem, że Polacy kochają się w wystawnych ucztach i zebraniach towarzyskich. Stoły zastawia się z wielkim nakładem wybornem jadłem i napojem, ale uczt tych przyprawą najmilszą są świetne dyskusye, zagajane częstokroć przez obecnych magnatów, a prowadzone z wielkim dowcipem przez mężów uczonych.

Z szczególnem zamiłowaniem rozprowadza się wtedy najzawilsze i najosobliwsze kwestye, dobyte z najgłębszych tajników umiejętności [1]). Rzadko zaś tylko dopuszcza się na takie biesiady pieczeniarzy i rubasznych dowcipnisiów. Był pewnego razu obecny na takiej biesiadzie, gdy rozprawiano o dawnej i nowej wymowie, sam dyskusyę prowadził, a wielką było mu do tego pomocą, że na niedługo przedtem czytał Cycerona De oratore, Institutiones Kwintyliana i kardynała Pallaviciniego Sforcy Jezuity Vindicationes. Ważna to była dyskusya, bo w obecnym czasie podnoszą się zarzuty przeciw samemu niemal imieniu wymowy, na szczęście nie nowe, bo wymyślała je już i dawniej ludzka gadatliwość, a spotykała się zawsze z należytą odprawą.

Biesiadę zagaił pewien znakomity dygnitarz, przyczem wychwalał wymowę przodków, a skarżył się na jej poniżenie w czasach obecnych. Malczewski podjął się obrony dawnej wymowy, obiecując sobie, że słuszność jednozgodnie zostanie mu przyznaną. Na to zauważył jeden z biesiadników, pewny zawsze siebie, choć mały dygnitarz, iż rzecz będzie niełatwa, bo wymowa nasza jest istotnie nowem cudactwem: zawiła, ciemna, przesadna, nadęta, błaha, czcza igraszka wyrazów i dowcipów. Malczewski odpowiada, podnosząc zarzuty książki Konarskiego i kolejno na nie odpowiadając.

Zarzucają wymowie naszej nowość (*novitas*) i twierdzą, że w pomysłach, układzie i wygłoszeniu należy trzymać się wzoru dobrych mowców starożytności. Kto od tych wzorów odstępuje, zuchwałe popełnia szaleństwo. Powiada na to Malczewski, że zasada to małpia, bo tylko one zawsze są naśladowczyniami. Dalej zarzucają, że wymowa nasza jest zawiła, ciemna, przesadna i nadęta. Odpowiada Malczewski, że ktoś inny nadętość może nazwać wspaniałością, przesadę wzniosłością, a ciemność wytwornością. Oto komnata, w której biesiadują, obita kobiercami flandryjskimi i przez to przyćmiona; czyż dlatego właśnie nie bardziej wytworna i wspaniała. Tak i wymowa, jeżeli nie do uszu plebejuszów zwrócona, ale do mężów uczonych, im bardziej ciemna i zagadkowa, tem większe robi wrażenie.

Krytycy podnoszą także zarzut, że wymowa nasza zatraciła różnicę między stylem krasomowczym a poetyckim. Jezuita w lot przerabia na wiersz początek pierwszej Katylinarki i powołuje się na zdanie Cycerona (czyni to wogóle bardzo często), że mowca

---

[1]) Były to niezawodnie takie tajniki, jak: pomieszczenie raju ziemskiego, feniks, gryf, remora i inne podobne, znane choćby z Kwiatkiewicza i Ben. Chmielowskiego. Jak zaś mogły wyglądać dyskusye polityczne, o tem możemy sądzić z niedorzecznej książki Poklateckiego p. n. Kwestye polityczne obojętne z r. 1743.

blizkim jest poecie: *multis ornandi generibus socius ac pene par.* Wymową poetycką posługiwali się Plato i Demostenes; słuszna więc, aby i nasi mowcy skrzętnie poznawali właściwości stylu poetyckiego.

Polemizującemu kasztelanowi drążkowemu nie podobały się tytuły listów, jak: Augustissima Maiestas, Christianissimus rex, Illustrissima Dominatio vestra i t. p. Na to poradził mu Jezuita, aby pisał do magnatów dawnym stylem n. p. Reverentiae Vestrae,„ na co wszyscy zebrani wybuchnęli śmiechem.

Wtedy podniósł się najznakomitszy z dostojników, przyznał słuszność dotychczasowym wywodom Jezuity, sądził jednak, że nie potrafi obronić się od zarzutu, iż wymowa nasza w przesadnych pochlebstwach jednoczy się z kłamstwem i sprzeciwia się zdrowemu rozumowi. Na to zaczął Jezuita od komplimentu: „Czem Sokrates i Plato dla Grecyi, Krassus i Kato dla Rzymu, tem ty jesteś dla senatu polskiego". Przecież pomylić się można. Tak jest w tej chwili, gdy zapominamy, że najlepsi mowcy starożytni pochlebstw przesadnych używali. Plinius nazwał Trajana „lepszym od najlepszych", Cycero powiedział o Cezarze, iż „ujarzmił narody niepoliczone na miejscach niezliczonych". Tutaj mówimy niewłaściwie, ale właściwie myślimy; i dozwolonem jest mowcy — według Cycerona — aby przesady takiej używał dla wzmocnienia efektu.

Naraz zaczęto wnosić zdrowia na cześć króla, Rzeczypospolitej, senatu, hetmanów, dostojników i przyjaciół, przyczem różni mowcy posługiwali się najdowcipniejszą grą wyrazów, paronomazyami, alegoryami i t. p. Gdy zastanawiano się potem, czy dobrze jest tak mówić, Jezuita przytoczył Cycerona, iż „wedle przyjętego zwyczaju wolno jest mowcy zgrzeszyć dla wywołania miłego wrażenia". Pewien staruszek, dotychczas milczący, zauważył, że żadną miarą nie powinien mowca używać sztucznodowcipnych facecyjek, bo te wręcz są szkodliwe wymowie, rozumowi i Rzeczypospolitej. Jezuita oświadczył, że w takim razie trzebaby potępić Phoenicem rhetorum, Suadam civilem, Rarioris Atticismi admirabilem eloquentiam, Iuglarisa, Inesa, Masseniusa i innych, a przecież podziwiane to przez wszystkich dzieła i uznani za wybornych autorowie. Wówczas już tylko jeden z pijanych biesiadników począł zachwalać wymowę, zgodną z naturą i zdrowym rozsądkiem, ale język odmówił mu posłuszeństwa.

Wtem na tarczy Minerwy przyniesiono najwyborniejsze przysmaki do jadła z dziczyzny, a potem iście czarodziejską zastawę z legumin, cukrów i owoców. Rozmowa skierowała się na tytuły alegoryczne, które nie wszystkim podobały się, co więcej zarzucono im niedorzeczność. Niektórzy mniemali, że mowców takich powinno się wywołać z państwa. Jezuita tylko między wierszami daje do zrozumienia, że nie są to niedorzeczności, ale raczej przy-

smaki wymowy, dla tłumu niezrozumiałe, ale wyborne dla znawców, podobnie jak owe przysmaki na stole, obliczone na podniebienie smakoszy; głośno zaś mówi, że przecież Grecy wywołali Demostenesa, a Rzymianie Cycerona. Czyż dlatego obaj oni za złych mowców uchodzą. Raczej należałoby wyrzucić z państwa tych, którzy wymowy na złe używają, lub starają się wprowadzić jakieś nowe przepisy wymowy, tradycyi przodków przeciwne. Według tradycyi starożytnych i naszych mowa powinna być to wspaniała i poważna, to zwięzła i subtelna, raz łagodna, innym razem wezbrana jak Nil w czasie powodzi, to obfita w słowa jak śniegi zimowe, to krótka i prosta jak mowa wieśniacza; zmieniać się powinna jak Proteus, ażeby utrzymywać na wodzy falę sejmową czy sejmikową, ażeby zdobyć uczucie ogółu: jednych zachętą, innych bodźcem, innych nareszcie pochwałą; podobać musi się wszystkim, choć dla różnych powodów, bo tylko wtedy sprowadza skutek zamierzony. Jest więc wymowa wielką sztuką; z małych rzeczy wielkie, z wielkich umie robić małe. Wymaga też długiej i osobnej nauki, bo wprawdzie pięknie jest poprawnie mówić po łacinie — powiedział Cycero — ale jest to obowiązkiem nie tak dobrego mowcy, ile raczej obywatela rzymskiego; wymowa żąda czegoś więcej.

W dalszym ciągu jakiś niby Polak, bo w cudzoziemskim stroju, zaleca założenie u nas Towarzystwa uczonych na wzór tego, co istnieje we Francyi, Belgii, Niemczech, Rosyi i gdzieindziej. Towarzystwa takie powołane są do krzewienia nauk i umiejętności i czuwania nad czystością stylu. Jezuicie projekt nie przypada do gustu, boć istnieją w tym względzie dzieła uczone i przepisy starożytnych, zatem zbyteczni są nowi apostołowie. Spodobał się on jednak pewnemu obecnemu doktorowi medycyny, który ponadto radzi, ażeby w szkołach oduczano koniecznie napuszystej wymowy. Jezuita nie godzi się na to, bo „młodość brodata byłoby to dziwowisko przyrody“, a zresztą wyraźnie sprzeciwiają się takiej metodzie przepisy Kwintyliana. Gdy z kolei ktoś z gości znakomitych wyraził się, że przecież jakaś reforma jest konieczna, Jezuita sądzi, że nie, bo jakże można poprawiać przepisy starożytnych. Przytem wymowa, oparta o naturę a nie o sztukę, jest pospolita, jałowa i nizka, nikomu nie podoba się, podziwienia nie budzi; niema zatem żadnej wartości (*igitur nulla est*).

Na chwilę rozmowę na ten temat przerwano, a wtedy niektórzy z obecnych zaczęli zuchwale rzucać się na dostatki duchownych, na bogactwa świątyń, na złoto, perły i drogie kamienie po kościołach. Chcąc przerwać tak „bluźnierczą“ rozmowę, Jezuita zwraca się do doktora, który był nieprzekonany, że zasady jego zabijają naukę wymowy. Czem bowiem różni się retoryka od innych nauk? Oto jedynie ozdobnością stylu. Gdy tego się zaniecha, trzeba będzie poprzestać na nauce gramatyki, otworzyć Alwara, a zamknąć szkoły wymowy. — Wtem zagrała mu-

zyka; goście powstali od stołu dla zabawienia się nową rozrywką lub zażycia wypoczynku; dyskusya o wymowie została zamknięta. Tylko jakiś poważny człowiek wziął Jezuitę pod rękę i w cichości wywodził, że jego argumenty trafiły mu zupełnie do przekonania.

Na zakończenie książki podaje Malczewski: Parergon libelli Sfortii Pallavicini S. J., usiłującej już w r. 1649 zwalczyć zarzuty, podnoszone przeciw wymowie jezuickiej i ich Ratio studiorum. Materyału nowego streszczenie to nie przynosi, a jest tylko osłonięciem się powagą imienia głośnego u swoich Jezuity kardynała.

Wpływ Konarskiego szerzył się bardzo szybko, skoro już w roku następnym powtórzył Malczewski swoje wywody o krasomowstwie pod zmienionym tytułem: De vera eloquentia disceptatio eiusdemque Analysis Cicerone illustrata (Poznań 1748). Rzecz dedykował tym razem Janowi Fryderykowi Sapiezie, kanclerzowi litewskiemu, gorliwemu orędownikowi wymowy skażonej, protektorowi omawianej już Swady lubelskiej, którego też dlatego nazywa Malczewski „królem wymowy, nie przez pochlebstwo, ale na podstawie przeświadczenia ogółu“. Dedykacya jest krótka, lecz mocno panegiryczna. O domu Sapiehów pisze, że obejmuje on wszystkie prawie zaszczyty Europy: przodkami domu cesarscy Paleologowie, latoroślami Jagiellonowie, oraz najznakomitsi w Polsce hetmanowie i najświętsi biskupi; dom ten tylu wydał mężów nieśmiertelnych, ile gwiazd na niebie. Nowością dzieła jest: Rerum tractatarum analysis Cicerone illustrata, streszczenie w dziewiętnastu punktach owej polemicznej rozprawy biesiadnej.

Wawrzyny Grodzickiego i Malczewskiego nie dawały spokoju innym członkom potężnego w Polsce zakonu. Ale w państwie duńskiem już się coś popsuło. Brakło jednomyślności w potępieniu Konarskiego. Potrzeba zmiany była widoczna, więc rozbieżono się po drogach odmiennych. Takim nowatorem był Jezuita Stanisław Jaworski, który w r. 1748 wydał w Sandomierzu rozprawę p. n. Pro Marco Tullio Cicerone atque styli oratorii adiumento oratio in studiorum innovatione habita Petricoviae (1746). Zbliżył się on tutaj do uwag Konarskiego, choć bez zrozumienia istoty reformy, a w następnych rozprawach stanął coprawda solidarnie obok towarzyszy własnego zakonu, ale tylko w sprawie nowej filozofii. Twierdzi tedy Jaworski, że porzucić należy neoteryków, którzy oprócz Cycerona na inne powołują się wzory, a powrócić do Cycerona i oprzeć się na Alwarze, który najlepiej wyłożył właściwości języka łacińskiego. Cycero wydaje się Jaworskiemu mówcą nad mówców, geniuszem, godnym imperyum rzymskiego. Połączyły się w nim najdoskonalej zdolność i dary wszystkich wieków poprzednich, tak, że trudno osądzić, czy sam jest wielk

dzięki wymowie, czy też wymowa dzięki niemu wielką się stała i doskonałą. Plato ustępuje mu w majestacie, Solon w powadze, Pizystrat w ozdobności, Izokrates w słodyczy, w potędze Demostenes, Lizyas w subtelności, Hiperydes w dowcipie, w elegancyi Teofrast. Nawet Grecy sami przyznają, że nie jest niższy, ale raczej wyższy nad Demostenesa. Najdzielniejszą pomocą do zdobycia stylu cycerońskiego jest znajomość dokładna gramatyki Alwara. Ten bowiem zgłębił najzupełniej pisarzy łacińskich i stał się żywem niejako źródłem łaciny. Żaden inny gramatyk zastąpić go nie może, bo na własnej tylko opiera się powadze. Kto chciałby za innym iść gramatykiem, czyniłby jak Kopernik, który biegi czasu nie ruchem gwiazd, lecz obrotami ziemi mierzyć usiłował. Bez znajomości Alwara niepożytecznem nawet byłoby wprost do czytania Cycerona przystępować, bo nie możnaby ogarnąć jego piękności, podobnie jak laik bez znajomości techniki nie ogarnie piękności malowidła. Styl Cycerona nie polega na samej tylko czystości języka, ale cztery są główne własności jego wymowy: nieskażoność łaciny, miara i porządek wyrazów, połączenia zdań przez stosowne partykuły i potęga uczuć. Dlatego słusznie we wszystkich szkołach Cycero za wzór bywa podawany, a niedawno Marcin du Cygne S. I. przygotował wydanie[1]) jego mów na użytek dzieci króla francuskiego. Źle więc czynią ci, którzy wzorów gdzieindziej raczej i u wielu innych mowców szukają.

Wobec takiego stanu rzeczy, wobec niezgody we własnym obozie, Malczewski nie stracił przecież otuchy do dalszej walki. Szedł nieugięty, choć dokoła rozbrzmiewały hasła nowatorów, którzy występowali nie tylko przeciw skażonej wymowie, ale także przeciw całej pedagogice jezuickiej, która za wiele czasu zabierała na naukę gramatyki i na średniowieczne objaśnienia filozofii Arystotelesa. Oprócz książki Konarskiego krążyły inne broszury, nieporównanie dosadniejsze, jak n. p. Isidori Oliverii Oratio de utili studiorum brevitate (cytuje go Malczewski), gdzie o szkołach jezuickich takie wypisano komplimenty: „... vestri classium magistri latrinarum curatores sunt et instituendae iuventutis classes grammaticorum cloacae“. Malczewski czuł się tem bardziej zobowiązany bronić — jak sądził — interesów katolicyzmu i Polski, gdy w gruncie rzeczy bronił tylko interesów zakonu Lojoli. Rozszerzył tedy odprawę, daną Konarskiemu, uzupełnił nowymi dodatkami (De studiorum noxia brevitate, De curta philosophia, żywot i pochwała Emanuela Alwara) i ogłosił w r. 1751 w Poznaniu pod nowym napisem: Eloquentia propugnata et brevitas studiorum impugnata. Pozostawił formę biesiadnego dyalogu, a tylko stosownie do nowych

[1]) Znane mi jest inne wydanie Cycerona tegoż autora „ad usum gymnasiorum S. I. provinciae Gallo-Belgicae“ (Duaci, 1761). Konarski znał du Cygne'a i chwalił jego roboty.

ustępów znacznie go rozszerzył. Za Jaworskim wystąpił w obronie Alwara, ponieważ powaga tej wielkości jezuickiej znacznie przez Konarskiego i innych została naruszona. Książka Malczewskiego, pisana z niemałą namiętnością, zyskała na rozmiarach, ale duch jej pozostał niezmieniony. Wszystko dokoła rwało się do światła, Malczewski trwał przy ciemnocie, jak nieugięta opoka.

W ustępach dodatkowych jeszcze raz porusza Malczewski sprawę zagranicznych Towarzystw naukowych i nie godzi się na nie, bo wszystkie są heretyckie. Dla katolików są one zgoła niepotrzebne, skoro kwitną w dalszym ciągu akademie i kolegia katolickie we wszystkich krajach i narodach. Zajmują się one od dawna wymową i wszelakiemi innemi sztukami i umiejętnościami, więc pocóż stwarzać rzeczy zbyteczne. Towarzystwa nowe i pod innym względem przynoszą szkodę, głoszą bowiem nowy i krótszy sposób nauczania *(sine exigendo quotidiano memoriae penso)*. Błąd to zasadniczy, bo ażeby rzecz dobrze zrozumieć, trzeba ją ogarnąć pamięcią. Samo słuchanie i czytanie stanowczo nie wystarczy. Już stary Kwintylian powiedział, że „wszelka nauka polega na pamięci, bo rzeczy tylko słyszane szybko ulatują“ i nie stają się naszą własnością. Każdy zaś jasno widzi, że aby objąć pamięciowo gramatykę łacińską, prawidła retoryki i filozofię Arystotelesa, trzeba na to sporo czasu. Powiadają wprawdzie, że i bez prawideł retoryki można być wymownym, że zamiast przebiegać „nieprzebyte bory przepisów“ lepiej zapoznać młodzież z geografią, chronologią, starożytnościami i innemi naukami pożytecznemi, że nakoniec w wymowę wprawić się można przez czytanie dobrych autorów, ale są to wywody niesłuszne. Jeżeli nie uczymy geografii i innych nauk na podstawie lektury autorów, tem bardziej nie można uczyć w ten sposób retoryki, która to sztuka „jak najpożyteczniejsza jest rodzajowi ludzkiemu, tak zarazem do nauczenia najtrudniejsza“. Zarzucenie metody pamięciowej zabije rzetelną uczoność, a sprowadzi niedouctwo.

Podobnie zuchwale postępują nowi filozofowie, gdy starszą filozofię czczą, suchą i beztreściwą nazywają, gdy powiadają, że wydobyto ją z czeluści piekielnych na zabijanie w szkołach umysłów młodzieży przez długie lata nauki szkolnej. Jest to oburzające świętokradztwo, bo zwraca się przeciw Tomaszowi z Akwinu i jego uczniom, a prowadzi ludzkość do otchłani luterskiej. Takie też są pragnienia owych Towarzystw naukowych. Nie błądzi Tomasz i jego uczniowie, nie błądzi „uczony kardynał“ Pallavicini, bo filozofia ich służy wierze prawdziwej i jej broni. Boć każdy wyznaje z Tomaszem, że „w sakramencie ołtarza znika sama tylko substancya chleba, pozostaje zaś ilość wymierna chleba i to w sposób sobie właściwy według wymiarów i innych przypadłości, które też rzeczywiście zostają, a nie mają tylko podmiotu i t. d.“. Jakżeż zdanie takie zrozumieć bez nauki dawnej filozofii. Jej odrzucenie zwraca się przeciw wierze. Jakoż nowi

filozofowie są zwolennikami Epikura, którego już Cycero nie uznawał, ponieważ Epikur lekceważył dyalektykę i powoływał się jedynie na świadectwo zmysłów. Nowi filozofowie to szaleńcy, którzy twierdzą, że aby dojść do prawdy, trzeba wprzód wszystko odrzucić, a nawet istnienie Boga, wierzyć zaś tylko we własne istnienie na podstawie własnej myśli (aluzya do Kartezyusza).

Gdy w ciągu dyskusyi powiedziano Jezuicie, że nowe kierunki wyznają tacy ludzie, jak: Newton, Wolff, Leibniz, Varignonius, Euler, Keil, Alembertus, Pope i inni, zapytuje Jezuita, kto jest ów Pope. Odpowiedziano, że jego „Szkice krytyczne“ wyszły w r. 1744. Na to rzekł Jezuita, że jeszcze nie miały czasu światu się przypatrzyć, ani dostać się do liceów. Jeżeli zaś Pope i inni wymienieni sprzeciwiają się Tomaszowi, są zarazą i zgubą dla szkół prawowiernych i z pewnością nigdy się do nich nie dostaną, a nawet samo ich imię będzie stamtąd wyświecone. Uciekać bowiem trzeba od tak zgubnych pisarzy, aby się nie zarazić, pamiętając na to, że „niema brzydoty bez jakiegoś miłośnika i niema głupstwa bez jakiegoś obrońcy“.

Na szczęście i teraz jeszcze nie znalazł Malczewski uznania u ludzi rozumnych. Przyjmowały się coraz szerzej zasady Konarskiego, zarzucano pedagogię jezuicką, nowa filozofia przenikała umysły, coraz głośniejszemi stawały się imiona Bakona i Kartezyusza. Przy bibliotece Załuskich założono nawet Towarzystwo naukowe, które niestety nie doszło nigdy do prawdziwego rozwoju. Tegoż samego roku, w którym Malczewski ogłosił pierwsze i drugie wydanie swojej Eloquentia propugnata, wydrukował Jaworski w Lublinie nową rozprawę o wymowie. Stoi tutaj na stanowisku dawnej rozprawy, a tylko dodaje do Cycerona i Alwara jako trzeciego mistrza, Arystotelesa, co do którego zbliża się w zupełności do poglądów Malczewskiego. Rozprawa nosi tytuł: *Pro vera eloquentia oratio in solenni studiorum innovatione Lublini habita ab eloquentiae professore publico presbytero e S. I.* (Lublin 1751). Jeszcze raz prawił Jaworski o wymowie przy objęciu obowiązków nauczyciela wymowy we Lwowie w oracyi p. n. *Vera eloquentia in verborum ornatu rerumque copia consistit*. Nie wiem, z którego roku ta mowa pochodzi, bo ogłosił ją Jaworski dopiero w r. 1767 w ogólnym zbiorze najważniejszych swoich płodów literackich. Zdaje się, że należy do lat późniejszych, bo wspomina o reformie wymowy jako rzeczy dokonanej. Gdy w wieku tym oświeconym — pisze tam Jaworski — niezmiernie wzrosła liczba ludzi, należycie sądzących o wymowie, gdy tyle błędów wymowy zostało usuniętych, zdumiewać się trzeba, że w mieście Lwowie, które z dawna uchodziło za siedzibę umiejętności (Viros literarios permultos habuit libenterque promovit et amabat eo concurrentes — pisze Starowolski), w tych jeszcze latach pozwala się młodzieży opracowywać mowy czcze, błahe, w złej łacinie, niedo-

rzeczne nawet wtedy, gdy mają za temat pochwały świętych. Jakżeż musiał cierpieć duch Grodzickiego, sprawcy tego stanu, gdy tak surowo pracę jego oceniał konfrater z własnego obozu. Treść tej mowy Jaworskiego zamyka się w tytule, a myśl swoją zasadniczą określił w toku wywodów jeszcze zwięźlej, nazywając wymowę: „copiose loquentem sapientiam" (zdanie Cycerona).

Jaworski pozostał w zgodzie z Malczewskim tylko w odniesieniu do Arystotelesa i oświadczył się w tym kierunku już w r. 1748, więc nawet przed Malczewskim, w rozprawie p. n. Praefatio oratorio-philosophica (pomieszczonej w zbiorze z r. 1767). Zarzucają wprawdzie Arystotelesowi zawiłość zdań, trudność argumentacyi i inne okoliczności, niemniej jest on niezbędnym dla katolicyzmu. Kartezyusz poszedł za Epikurem, więc jest nieprawdziwy i prowadzi do ateizmu, do którego też doszedł „uczeń Kartezyusza, Spinoza". Arystotelesa zaleca powaga 12,000 komentarzy, zebranych w osobne dzieło przez mistrzów Sorbony; na nim „anielskie swoje pióro" wyćwiczył Tomasz z Akwinu; jego najpożyteczniejszym dla mowcy ogłasza Cycero. Słusznie zatem powiedział arcyretor Riccoboni, że przez studyum Arystotelesa „filozofia staje się mądrą wymową, a wymowa mądrą filozofią". Wytrwał tedy Jaworski przy obronie powagi średniowiecznej i dlatego nie zrozumiał reformy Konarskiego. Sądził, że reformatorowi chodziło tylko o formę wymowy, gdy tymczasem Konarski zmieniał także jej treść, jej ducha, wskutek czego reforma stylu łączyła się u niego najściślej z reformą myślenia filozoficznego. Słowem Konarski budował nowy gmach dla ducha narodowego i na nowych opierał go podwalinach, gdy Jaworski i podobni mu półzwolennicy chcieli tylko nowem wapnem obrzucić nachyloną do upadku i zmurszałą budowę.

W umysłach ludzi uświadomionych walka dochodziła do punktu kulminacyjnego. W takiej chwili usiłowaniom wskazanym przez Konarskiego, przyszedł z dzielną odsieczą Pijar włoski, Ubaldus Mignonius, doradca duchowny króla Augusta III. Wydał on w r. 1751 dzieło wielkiego znaczenia p. n. Noctium Sarmaticarum vigiliae (Typis Brunsbergensibus S. I. et Varsaviensibus Sch. P.). Jest to zbiór rozpraw i innych utworów, omawiających najważniejsze zagadnienia z zakresu etyki, prawa kościelnego, nauk przyrodniczych, literatury, krasomowstwa, krytyki, — zatem niemal encyklopedya, za co autor swoje dzieło istotnie uważa. Dedykowane Adamowi Grabowskiemu, biskupow warmińskiemu, zwraca się z swojemi uwagami „ad Exetesticum Varmium", a popiera w wielu względach usiłowania Konarskiego, którego nazywa autor „mężem bystrego umysłu i wytrawnego sądu". Książka Mignoniego znalazła silny odgłos w owczesnym świecie literackim całej Polski, wiele nawet narobiła niezadowolenia, ale koniec końców nie w małym stopniu przechyliła szalę

zwycięstwa w kierunku reformy, zaczętej z całą świadomością przez Konarskiego.

W wigilii p. n. De poëseos et poetarum studio ac Latinitatem comparandam necessario, dedykowanej tym samym Wielopolskim, którym książkę swoją poświęcił Konarski, zamieścił Mignonius uwagi, ze wszech miar zasługujące na uznanie. Pisze tam, że najcięższą klęską dla rodzaju ludzkiego są niektórzy bezczelni pisarze z opacznym sądem, ponieważ „in crasso aëre et vervecum patria nati", którzy przywłaszczają sobie kierownictwo w sztukach i naukach, chociaż nie mają dla nich żadnego zrozumienia. Pisarze ci cytują co krok Kwintyliana i Cycerona lub ciągle na nich się powołują, iż myślałbyś, że to są z nieba przybyli arcykapłani literatury, gdy są to tylko zarozumiali zuchwalcy. Oni to wymową swoją albo raczej najohydniejszem zbiegowiskiem wyrazów ośmieszają szkoły pijarskie, jakoby tam niepożytecznie uczono poetyki; mówią, że lepiej poznawać mowców i historyków. Pochodzi to podobno stąd, iż nie wiedzą, gdzie szukać źródeł do znajomości łaciny, co łatwo poznać po ich wymowie, przypominającej Syrofenicyan albo Arabów. Inni znowu mówią, że poezya sprowadza zniewieściałość młodzieży, co jest zarzutem śmiesznym, gdyż poezya rozwija szlachetne uczucia, a zresztą i rzeczy najlepsze mogą być na złe nadużyte. Wprawdzie ubolewać należy, iż Polakom znajomość dobrej łaciny trudniej przychodzi aniżeli Włochom i Francuzom, ale przykład Sarbiewskiego, który dorównał Horacemu, może być zachętą, a zarazem dowodem, że tylko na dobrych poetach łacińskich można się nauczyć dobrej łaciny.

Wigilia: De moralibus disciplinis podaje sporo ciekawych uwag o wymowie, zwłaszcza kaznodziejskiej. Autor zastrzega się wprawdzie, że wytyka błędy w ogólności, nie odnosząc ich w szczególności do Polski, ale zrozumiano rzecz inaczej i uczyniono dobrze. Cieszyć się należy, — mówi Mignonius, — że w naszym wieku odradza się wreszcie literatura i moralność, a znika szkodliwe barbarzyństwo. Biblioteki przestaną się napełniać płodami złego smaku sykofantów; zamilkną zabójcze dla umysłu dysputy o niczem *(de lana et colu)*; nauka oprze się o zdrowy rozsądek; ozdrowieje moralność; nauka ewangelii nie będzie przekręcana dowcipami złej wymowy, a imię Boga nie będzie nadużywane do nizkich namiętności i słabostek ludzkich. Skróci się czas nauki na poznawanie rzeczy drobnych i nieistotnych, a zyska na czasie rzetelna nauka i krytyczne poznawanie. Do niedawna długie nauki żadnego nie dawały rezultatu. Dość spojrzeć na wielką liczbę duchownych, których umysłowość nie przedstawia najmniejszej wartości (cleri feces et recrementa diceres, adeo sunt bardi et elingues, adeo subsidiis omnibus destituti politioris litteraturae, sine tinctura dialecticae, sine methodo disserendi, nullius coloris et saporis homines). Nieszczęśliwy prawdziwie jest lud chrześcijań-

ski, któremu tacy pasterze przewodniczą. Czegóż bowiem nauczyć mogły bajki historyczne i liche anegdoty, na co przydać się mogły umysłowi owe zbiory kwestyjek i formułek. Nie tylko niczego nie uczyły, ale czyniły ludzi głupimi i prawie obłąkanymi. Budowały bowiem w powietrzu, nie oparłszy się o podwaliny zdrowego rozsądku. Nie na to zakładali przodkowie przybytki nauki, aby nauczano w nich fraszek, nie na dziecinnych konceptach i drobiazgach usiłowali oprzeć naukę moralności.

Wyłącznie o wymowie rozprawia w wigilii p. n. Ecclesiastes sive de Verbo Dei pro concione dicendo, dedykowanej Fryd. Alojz. Brühlowi. Dobry mowca musi się takim urodzić, ale i nauka może do pewnych wyników doprowadzić. Mowcę kościelnego obowiązują w zasadzie te same prawidła, co mowcę świeckiego, a znaleźć je można u Cycerona, Longina i Kwintyliana. Wobec heretyków przemawiać powinien jasno i spokojnie, bez niechęci i bez jadowitych przytyków. Każdy naród ma w sposobie mówienia pewne własne skłonności i obyczaje, które jednak nie powinny nigdy wykraczać przeciw ogólnie przyjętym zasadom ani przeciw naturze. I natura i sztuka potrzebne są dobremu mowcy. Bez pierwszej wszelkie usiłowania chybiają celu, bez drugiej łatwo zgubić się w słowach i stracić wątek myśli. Dla darów naturalnych podziwiamy przejrzystość Atanazego, łagodną słodycz Bazylego, potok wymowy Chryzostoma, Cypryana wielkoduszność, wzniosłość i powagę Hilarego, czcigodność Ambrożego, bogactwo wiedzy Hieronima, Augustyna subtelność i zdolność przekonywania. Podobnie dla darów naturalnych Demostenes jest mistrzem w poruszaniu uczuć, Lizyas attycką ma subtelność, Isokrates słynie ze stylu miarowego, a z łagodnej słodyczy Falereus. Dopiero z darami naturalnymi niechaj połączy się sztuka. Początek czyli wstęp mowy ma być krótki, jasny, prosty, nieozdobny. Metafory, wyrażenia niezwykłe, niezgodny z przyjętym sposobem wykład ewangelii — są na tem miejscu szkodliwe. Kaznodzieja musi mówić ciepło i zrozumiale, a nie sztucznie i z oschłością. Szczególnie unikać powinien parodoksów. Któż bowiem pochwali owego głośnego mowcę, który mając mówić o mękach piekielnych zaczął od tego, że w piekle radość panuje, a w niebie cierpienie. Gdy w kościele głuche z tego powodu nastąpiło milczenie, kaznodzieja wykręcił się sztucznym dowcipem. Dobrze jest wzorem Włoch podać rozkład treści przed wstępem, lub zaraz po nim, jak to czynią Francuzi. Wszystkie następne części mowy równie powinny być jasne, a więc zgodne z naturą i w prostych słowach wypowiedziane. W dowodzeniu *(confirmatio)* należy czerpać argumenty i przykłady z pisma św., rzadziej z historyi świeckiej. Najwyższej zaś godni są nagany tacy mowcy, którzy wybierają dziwy i cudactwa z rozmaitych najśmieszniejszych zbiorów, gdyż ubliżają tem prawdzie i wywołują zgorszenie. Nawet z życia świętych rzadko należy wybierać przykłady,

a zwłaszcza nie powoływać się na cuda, ponieważ są to często sprawy, niedokładnie sprawdzone, przez kościół dopuszczone, ale nie zalecone. Obok pisma św. korzystać można z Ojców kościoła, z należytą wszelako roztropnością, bo i oni czasem się mylili. Do pisma i Ojców dodać można poważnych historyków i filozofów. Ogół duchownych niechaj trzyma się prostego wykładu ewangelii i uczy prostej moralności, tajemnice zaś i dogmaty mają być zostawione najuczeńszym. Zamknięcie *(conclusio)* niechaj przypomni pokrótce argumenty i wynikającą z nich naukę, a ma być podane w okresach krótkich i jak najzrozumialszych.

Figury powinny być brane z mowy potocznej. Trudniejsze, jak: apostrofe, prosopopeja i etopeja wywołują wprawdzie wielkie nieraz wrażenie, ale tylko przez wielkich mowców użyte. Inne figury, nie zawsze dobre nawet w izbie szkolnej, tem więcej powinny być unikane przez kaznodziejów.

Ważnym jest nareszcie sposób wygłoszenia mowy: głos i ruchy. Niektórzy kaznodzieje wykrzykują dytyrambicznie, wyją i szczekają jak pijane Menady (ululant, debacchantur, latrant Moenadum more temulentarum incondite et inconcinne). Inni znowu w ruchach przesadni są i nieprzystojni. Wielkie to wady, bo pamiętać należy, że zawsze źle i brzydko robi kaznodzieja, gdy odstępuje od natury. Słowem niechaj mowca pamięta, aby język jego zgadzał się z większością słuchaczy, umysł z najmędrszymi (lingua cum pluribus consentiat, animus cum sapientibus necesse est).

Ciekawą jest także wigilia p. n. De arte critica, gdzie wykazuje ważność, konieczność i dawność krytyki. Mimo tylu gimnazyów inna jest łacina we Włoszech, inna we Francyi, a inna w Niemczech. Pochodzi to z wpływu mowy rodzinnej. Dlatego potrzebna jest krytyka, która ocenia wpływy języka rodzinnego. Ponadto błędy przynosi czas, co szczególnie jest widoczne w ostatnich dwóch stuleciach, gdy pisarze na pół barbarzyńscy wydawali książki prawdziwie potworne. Skażenie spotykało już łacinę w wiekach dawniejszych, a przyczyniła się do tego filozofia i inne nauki, oraz uprzedzenie nieuków, którzy poprzestawali na mądrości jednego kraju. W pomoc przychodziła wtedy krytyka, nauka dawna, bo znana już od czasów Arystotelesa. Ona i w dobie obecnej przyniesie niezawodnie poprawę. Reforma musi się zacząć od nauki szkolnej, gdzie powinien zapanować na nowo styl cyceroński. Ten bowiem jest źródłem, gdy inni pisarze pobocznymi są tylko strumykami. Uczniowie poznać naprzód powinni najważniejsze prawidła gramatyki, poczem zacząć lekturę od bajek Fedra, a w następstwie innych pisarzy. Przekłady na język ojczysty i naodwrót wielką oddadzą przysługę nauce szkolnej, bo nauczą rozpoznawać właściwości składni i frazeologii łacińskiej w odróżnieniu od języka ojczystego. Naukę języka oprzeć na znajomości wzorowych poetów w wyborze i na Cyceronie, a wtedy mowcy nie będą wywodzić pochwał od herbów i innych błahych oko-

liczności. Dla kaznodziei potrzebna jest także znajomość filozofi i teologii. Musi się tutaj dokładnie poznać pisarzy nowszych, więc Locka, Malebrancha, Kartezyusza, Gassendiego, Newtona i innych Po mądrość zaś nową nie potrzeba jeździć za morze, ale sprowadzać dzieła znakomite do kraju i tutaj rozpowszechniać, tem więcej, że dotychczas w podróżach wydawano pieniądze na fraszki, a nie starano się o poznanie doskonalszej kultury.

Wielce zajmującą jest rozprawka De vitali principio quod est in brutis, a śmiałość jej i dzisiaj jeszcze w kołach teologów katolickich mogłaby wywołać zaniepokojenie. Mignonius przyznaje zwierzętom duszę, tego samego rodzaju, choć niższą, co ludzka, a dla wyjaśnienia różności dusz przypuszcza nieprawowiernie metempsychozę. Zwalcza zaś duszę materyalną zwierząt według Arystotelesa i pogląd zwierząt automatów Kartezyusza. Doświadczenie naukowe i objawienie oto dwa źródła poznania ludzkiego według nauki śmiałego Pijara.

Wszystkie rozprawki Mignoniego mają znamiona wieku oświeconego, pod którego wpływem powstały. Rozprowadzają obszerniej i dokładniej te zasady, które przyświecały Konarskiemu, a dla Polski były nowością i herezyą. Ideały, pielęgnowane przez pedagogię jezuicką, doznawały przez nie gwałtownego wstrząśnienia. To też, jak niedawno przeciw Konarskiemu, tak teraz przeciw Mignoniemu zwrócili się polemiści. Nie dotrzymali jednak kroku wobec prądu wieku, reforma zwyciężyła i objęła nawet filozofię katolicką. Dopiero wiek XIX, wiek odrodzenia katolicyzmu, cofnął się napowrót w koryto, żłobione od w. XVI przez Jezuitów, ale powrót dotknął już tylko ortodoksyjność, a stracił wszelki wpływ na naukę świecką, która poszła niezwalczona po drogach krytycyzmu i doświadczenia.

Zaraz w roku następnym po świeżym powrocie z Rzymu a po niedługim pobycie we Wilnie przeniesiony do Warszawy, wystąpił ze swoimi poglądami Jezuita Franciszek Bohomolec, który w początkach częściowo tylko zrozumiał usiłowania Konarskiego i Mignoniego. Przyjmował reformę stylu, nie doceniał reformy filozofii. Dopiero później pod wpływem środowiska warszawskiego, a może i dzięki zniesieniu zakonu Jezuitów, stanął w pożytecznym „Monitorze" bliżej stanowiska wieku oświeconego. Poglądy Bohomolca z r. 1752 mieszczą się w dwu broszurach, wydanych tegoż roku w Warszawie p. n. De lingua Polonica colloquium a selectis oratoriae facultatis alumnis institutum, oraz: Oratio pro ingeniis Polonorum habita Varsaviae in gymnasio S. I. w odpowiedzi na niektóre kwestye, poruszone przez Mignoniego [1]).

Pierwsza broszura staje na stanowisku zapatrywań Konarskiego i chłoszcze bardzo namiętnie i dowcipnie haniebny nałóg

[1]) przedrukowana w wydaniach z r. 1758 i 1763.

makaronizmu, przyczem pochwala stowarzyszenia uczonych zagranicą, nawet u Moskali, które reformę stylu obrały sobie za jedno z zadań najważniejszych. Druga broszura polemizuje z Mignonim. W przedmowie do czytelnika powiada, że przeczytał niedawno książkę Ubalda Mignoniego, o którym słyszał jako o dobrym pisarzu i wielkim pedagogu. Tam pisze Mignonius, że narody północne nie mają ani tak bystrego umysłu ani polotu wyobraźni jak narody południowe, że między innemi nie mogą posiąść zupełnej znajomości języka łacińskiego. Bohomolec odniósł wrażenie, że uwaga ta dotyczy w szczególności Polaków, na co żadną miarą zgodzić się nie można. Zarzut to bowiem niesłuszny, choć nie nowy; uwłacza zaś imieniu polskiemu i młodzież naszą odstrasza od nauki. Są wprawdzie różnice co do zdolności między ludźmi, ale zawisły one nie od klimatu i położenia geograficznego, o czem świadczą Acta Petropolitana narodu niedawno barbarzyńskiego. Przecież i Włochy nie zawsze kwitnęły naukami i nie zawsze Francya światu przyświecała. Zdanie: non omnis fert omnia tellus — odnosi się do roślin i zwierząt, ale nie do ludzi. Inaczej wszyscy Włosi byliby mądrymi, a tak przecież nie jest. Przyczem powietrze w Polsce nie jest tak surowe i dzikie, aby na pracę umysłową nie pozwalało. Wydała Polska Sarbiewskiego, co uznaje nawet Mignonius, choć co prawda zwie go równocześnie „totum Italum ac Latinum". Byli i inni u nas znakomici mężowie, a zdolności umysłowe Polaków uznają tacy humaniści, jak: Beroaldus, Erazm z Rotterdamu, Calcagnini, Łazarz Bonamicus, Paweł i Aldus Manutius, Sigonius, Robortelli, Turner, Lipsius, Scaliger, Dousa, Caselius, Puteanus, a zwłaszcza M. Antonius Muretus, który pięknym listem odpowiedział Pawłowi Sacratusowi, gdy ten odradzał mu wyjazdu do Polski za Batorego. List ten kończył słowami, że „niegdyś byli może Polacy dzicy i barbarzyńscy, ale w czasie obecnym, (t. j. w w. XVI) lękam się, czy raczej do nas nie przyszło barbarzyństwo, a do nich świetne życie, wykształcenie i humanizm". Powiada Bohomolec, że i teraz ma Polska mężów wiedzą znakomitych. Dość wspomnieć Załuskich. Polacy lepiej mogą nawet pracować niż południowcy, bo nie mieszkają po miastach, więc nie oddają się rozkoszom. Mrozy zaś zimowe nietrudno usunąć. Spostrzeżenie, że tylko Włosi i Francuzi mogą być dobrymi łacinnikami, bo język ich łacinie jest bliższym, nie jest słuszne, boć mówią Polacy po francusku i niemiecku tak dobrze, jak Niemcy i Francuzi, więc mogą to samo po łacinie. Jeżeli nauki nie kwitną w Polsce tak jak gdzieindziej, przyczyną tego nie brak zdolności u Polaków, lecz jedynie tylko silnie zakorzenione lenistwo.

Na obronę Bohomolca odpowiedział Mignonius listem: Nicolao Trzebieckio S. I. collegii academici Vilnensis ministro et ad omnem humanitatem natura facto Noctium Sarmaticarum amicus auctor, w którym tra-

ktował pismo i autora lekceważąco i nie bez uwłaczań osobistych (probris ac contumeliis gravissimis insectata — pisze o nim sam Bohomolec). Nie pozostał dłużnym Bohomolec i napisał odpowiedź p. n. Ubaldo Mignonio Sch. P. Noctium Sarmaticarum auctori praeceptori suo suavissimo Varmius Exetesticus S. D. Walka poszła na ostro. Pisze Bohomolec, że z niecierpliwością oczekiwał zapowiadanej odpowiedzi na swoją obronę zdolności Polaków „a Polonocarpis“, ale trzęsły się góry i porodziły mysz. Nie spodziewał się, że odpowiedź będzie tak słaba a tak napastliwa. „Iam enim impudentem, iam impudentissimum, invidum, delirum, obtrectatorem, proletarium minimaeque classis auctorem illum rhetorem (t. j. Bohomolca) appellas“. Niezrozumiała jest taka napastliwość u autora, który doradza, ażeby nawet do heretyków mówić spokojnie i łagodnie, a sam rzuca się na katolików, nazywając młodszych zwłaszcza księży „cleri feces et incrementa“, a obecnie zohydzając styl Bohomolca i szarpiąc jego obyczaje. Złego stylu nie może zarzucać innym ten, kto sam posługuje się nad potrzebę grecyzmami i sentencyami, o złych obyczajach nie wolno mówić temu, kto sam nieobyczajnie szarpie dobrą sławę Sarmatów, zabierając im nawet Sarbiewskiego. Gani nadto Bohomolec Mignoniego za nową filozofię, a w szczególności za rozprawę: De brutis. Kończąc radzi mu, aby zwrócił się z naukami do swoich kolegów, a dał spokój tym, którzy go o to nie proszą. Odpowiedź nosi datę 1. grudnia 1752.

Wcześniej jeszcze zmierzył się z Mignonim autor rodak w książce: R. P. Hieronymi Lagomarsini Litterarum ad Christophorum Varsaviensem exemplum[1]). Głównie występuje w obronie Alwara, którego Mignonius pozornie pochwalił, w rzeczywistości zaś uznał za szkodliwego. Przekręcając słowa Mignoniego, wypowiedziane w tym przedmiocie, każe mu się lękać, aby i jego książki nie przezwano: „Sarmaticarum culinarum crambes recoctiones“, bo odgrzewa w niej rzeczy, głoszone przed laty we Florencyi. Ośmiesza dalej autorów, których zaleca Mignonius, poczem ponownie mówi o zmianie tytułu, a ze względu na poglądy filozoficzne radzi podać jako autora „del rabbino David Kimki, per uso delle Scuole Pie e delle Sinagoghe“. Całość jest raczej złośliwa, niż dowcipna i przekonywująca.

Jednak nic nie mogło powstrzymać prądu reformatorskiego. Jako dzielny polemista w obronie nowej filozofii wystąpił Pijar Antoni Wiśniewski. Przypomnę tutaj jedną tylko jego mowę, z której poznać można dokładnie wysoki poziom umysłowy i szlachetne dążności autora. Nosi ona tytuł: Oratio de utilitate ex Varsaviensi Bonarum Artium et Scientiarum Academia in Poloniam redundatura ad Novos Academi-

[1]) I. wyd. w Brunsbergu 1751, II. wyd. w Trydencie (?) 1752, III. wyd. w Bononii 1753.

cos in ipsis Academiae auspiciis (Warszawa 1753). Powstawała nareszcie w Polsce owa upragniona akademia sztuk i nauk, a powstanie jej wita Wiśniewski z wielką radością. Spodziewa się po niej wielkiego pożytku dla oświaty narodowej podobnie, jak się to dzieje za granicą. Nie będziemy spotykać się z zarzutem, iż pod zimniejszem urodzeni niebem (przymówka do Mignoniego) nie posiadamy wyższych zdolności umysłowych. Polska i dzisiaj ma już wiele nauki i uczonych mężów. Dowodem tego ta oto biblioteka Załuskich, w której się zgromadzili, dowodem tego myśl założenia akademii nauk. Trzeba tylko piękną myśl w całości do końca doprowadzić. Czem bowiem rządzą się narody? Prawami. Czem się bogacą? Przemysłem. Czem się bronią? Pogotowiem wojskowem i męstwem wodzów. A na czem opierają się prawa, przemysł i cnota wojenna? Na sztukach i umiejętnościach. Gdzie zaś mieścić się może ognisko sztuk i nauk? W akademiach nauk, których celem zachęta do pracy ludzi wykształconych i udostępnianie ich pracy na pożytek publiczny. Już w starożytności były akademie siedzibą światła i dobra. Tak też w czasach nowszych. Odrodzenie nauk dokonało się we Włoszech dzięki akademii florentyńskiej Medyceuszów, za której przykładem w tym samym celu potworzyły się inne: paryska, londyńska, berlińska, petersburska i getyndzka. Dzięki akademii paryskiej odrodziła się Francya i słynie dziś taką chwałą nauk, że nikomu pierwszeństwa nie ustępuje. Przedtem panowała we Francyi ciemnota, o czem Wolter obszernie rozpowiada. Dalekowidze i machiny pneumatyczne uważano za sztuki czarnoksięskie. Jeżeli ktoś odkrył nowe prawo natury, uważano go za heretyka, a conajmniej za bardzo wielkiego grzesznika. Wierzono w czarownice, w ich jazdy powietrzne na łopacie, w opętanych przez dyabłów i w upiory — i to z równą siłą, jak w dogmaty wiary. Bajdy i niedorzeczności, drukiem rozpowszechniane, przyjmowano jako rzeczy uczone, prawdy zaś naukowe poczytywano za brednie. Nie było różnicy między zawiścią a współzawodnictwem, obrzucano się uszczypliwościami i obelgami. Kaznodzieje nie powoływali się na ewangelię i Ojców kościoła, lecz na legendy historyczne i bajki poetów. Prawnicy nie uwzględniali prawa narodów i ojczystego, lecz zasłaniali się upominaniami ascetów. Wymowa była skażona, poezya bez wdzięku, historya bez prawdy, filozofia bez pożytku. Ciemnota sprawiała rozkosz: największe nieuctwo uchodziło za uczoność. Państwo pozostawało w upadku: wstrząsane niezgodą domową, z ubogim skarbem, z niedostateczną siłą zbrojną; powaga prawa zmniejszona, godność królewska w poniewierce, — słowem wszystkie stosunki ludzkie i boskie były w zamieszaniu i rozbiciu. Zbyteczna przypominać, że ten obraz Francyi w przekonaniu autora odnosi się w pierwszym rzędzie do Polski.

Zło ustało od założenia akademii nauk. Język łaciński i ojczysty powrócił do dawnego blasku, historya szukała prawdy,

nauka nowych odkryć, teologia odzyskała powagę, a filozofia jasność i rozsądek. Oby zmiana taka nastąpiła i u nas; oby pod wpływem nowej akademii zakwitły na nowo nauki, a język narodowy, z mlekiem matki wyssany, do swojej powrócił czystości. Akademie zagraniczne różne mają nazwy. My, gdy otwieramy swoją w święto Maryi, możemy ją nazwać „Maryańską“, co tem będzie piękniejsze, im bardziej jest właściwem połączyć naukę z pobożnością.

Konarski trzymał się na boku, zdala od polemiki, zajęty wprowadzaniem w życie wielkiego dzieła reformy wychowania. Wyręczali go inni w pracy polemicznej, której pozostał wszakże widomą głową i moralnym przewódcą. Nie odwoływał tego, co raz powiedział, a dowodem tego, że stał niezłomnie na raz obranem stanowisku, była jego działalność praktyczna. Tak też pojmowano osobę jego w całej Polsce owoczesnej i pojmowano słusznie. Na napaści polemistów odpowiadał czynami, a gdy głos zabierał, daleki od zaszczycania napastników osobną odpowiedzią, rozpowszechniał wśród społeczeństwa nowe idee, tworzył nowe wartości myślowe. Takie właśnie znaczenie ma mowa jego przy otwarciu nowego budynku Collegium Nobilium w czasie obradującego w Warszawie sejmu. Mowa ma napis: De viro honesto et bono cive ab ineunte aetate formando Oratio (Warszawa 1754). Dzisiaj dobrze wiemy, — mówi tam Konarski, — że nie wieszczkowie i wróżbici potrafią nam przepowiedzieć przyszłość Rzeczypospolitej, ale bez proroctw każdemu jest wiadomem, iż przyszłość nasza zależy od wychowania naszych dzieci. Celem szkoły powinno być dlatego wychowanie męża uczciwego i dobrego obywatela. Zasady religijne mają być podstawą, bo one wychowają młodzież w poczuciu sprawiedliwości. One nauczą szukać prawdziwych przyjaciół, dadzą zrozumienie prawdziwego szlachectwa, które bez cnoty, mądrości i dobrych obyczajów jest głupstwem, one nauczą prawdomówstwa, a oduczą żarłoctwa, pijaństwa i rozpusty. Szkoła będzie wskazywać, jak unikać złych sług i pochlebców i jak obchodzić się z poddanymi, którzy przecież strzegą i bronią naszego dobra, pomnażają je, dlaczego też miłość im się należy, a nie postrach i batogi. Szkoła uczyć musi obowiązków względem ojczyzny, które wyżej powinny być cenione niż majątek prywatny, koligacye, zaszczyty, dostojeństwa i inne korzyści osobiste. Troska o dobre gospodarstwo, szacunek współobywateli, ohyda spisków, potrzeba rozmysłu w każdem przedsięwzięciu, niegodziwość karyerowiczostwa, złość pojedynków i czcze pojmowanie honoru, dbałość o własne zdrowie, zacność małżeństwa, posłuszeństwo prawom Rzeczypospolitej — oto ważne a nie wszystkie jeszcze przedmioty, którymi zajmuje się szkoła Konarskiego. Do zrozumienia tych wartości życiowych prowadzą nauczyciele powierzoną sobie młodzież przez żywe słowo i dobre książki. Każdego młodzieńca uczy się według jego zdolności, bez

przymusu, bo ten może być szkodliwy. Rodzice mają pracy szkolnej dopomagać przez popieranie jej dążności. Nie należy wysyłać dzieci za granicę, póki nie ukończą szkoły we własnej ojczyźnie, nie trzeba także przerywać wychowania zawcześnie. Dziwić się możecie, — mówi dalej Konarski, — że nie wspominam o wymowie i nauce języków. Stało się to nie dlatego, aby przedmiotom owym należnego miejsca szkoła nie poświęcała, ale nie są to rzeczy najważniejsze. Rzeczpospolita potrzebuje przedewszystkiem mężów uczciwych i dobrych obywateli, a nie mowców wytwornych, poetów i filozofów. Zadaniem tedy szkoły uczyć nie tego, co piękne i przyjemne, lecz co prowadzi do miłości Boga i ojczyzny.

Pod naporem niewstrzymanego prądu postępowego wszystko się cofało i robiło przynajmniej połowiczne ustępstwa. Jeden tylko Malczewski umarł nieugięty. Widać to w dziele, które towarzysze zakonu wydali po zgonie najśmielszego swojego polemisty i najzatwardzialszego przeciwnika reformy. Jest to: R. P. Adami Malczewski S. I. Theophrastus sive Novae philosophiae opinionum. De principiis corporum curiosa per dies Tusculanenses a scholis vacantes discussio. Opus posthumum (Poznań 1758). Rzecz przedstawiona jest w dyalogu między Minerwinem (obrońcą Arystotelesa) i Musoniusem (nowatorem). Ci obaj dyskutują, a Malczewski jako Teofrast jest rozjemcą, oczywiście na korzyść Arystotelesa. Jak dawniej, tak i teraz wyprowadza Malczewski nowszą filozofię od zasad Demokryta i dlatego zaraz na wstępie potępia ją cytatami z św. Augustyna, Laktancyusa, Ryszarda a S. Victore i Antoniego Pereza T. I.

Musonius sądzi, że można być zwolennikiem Arystotelesa, a przecież uznać zasadę, iż należy poznać innych także filozofów: Empedoklesa, Demokryta, Anaksagorasa, Zenona, jak to czynili Ojcowie kościoła, którzy wywody wszystkich szkół filozoficznych w dziełach swoich wspominają. Prócz starożytnych powinniśmy także poznać nowsze kierunki myślenia filozoficznego. Przeciwnicy zasady tej nie uznają. Arystoteles panuje chrześcijaństwu już od przekładu Boecyusza w VI wieku i zmiany w tym względzie nie potrzeba. Któż zresztą inny może zasługiwać na poznanie. Sokrates uznany wprawdzie został za najmędrszego człowieka przez wielkiego dyabła Apollina, twórcę największego kłamstwa w starożytności, ale żadnych pism nie zostawił. Mógłby tylko powstać spór o Platona i Arystotelesa, ale nie na długo, bo wyrok soboru lateraneńskiego i powaga długich wieków nie pozostawiają co do wyboru żadnej wątpliwości. Nadto doświadczenie nauczyło, że wszyscy popadli w błędy, którzy innego mistrza sobie obrali. Nie można zaś mówić poważnie ani o Newtonie ani o Leibnizu. Kartezyusz znany jest Teofrastowi tylko ze słuchu, a Minerwinus uważa go za bezbożnego szkodnika, który słusznie musiał opuścić własną ojczyznę. Arystoteles ujął w sposób najdoskonalszy

całkowitą naukę rozumowania, podał najlepsze prawidła retoryki i poetyki, był mistrzem w etyce, polityce i metafizyce. Jedna tylko jego fizyka da się zaczepić, ale i na tem polu należy do autorów najwyborniejszych. Nauka o duszy ludzkiej w wykładzie Arystotelesa jest najzrozumialsza; on zapłodnił umysł Tomasza z Akwinu i stał się pośrednio twórcą jedynie prawdziwej filozofii katolickiej. Dlatego nienawidził go Luter, a wychwalał wielki Pallavicini („non aliquis umbratilis philosophus, ale doktor teologii, kardynał, purpuratus princeps“).

Nic nie znaczy, że w Polsce wystąpił przeciw Arystotelesowi cudzoziemiec, który niepamiętny odebranych u nas dobrodziejstw rzucił się zarazem oszczerczo na szkoły nasze i naszą oświatę. Jadowity ten autor obraził cały naród polski i znieważył majestat Rzeczypospolitej. Teofrast sądzi, że gdzieindziej pisarza takiego przepędzonoby już dawno za morze, ale wielkoduszność polska za broń najwłaściwszą uważa pogardliwe milczenie. Łatwo się domyślić, że to przymówki do Mignoniego. A przecież mąż ten niebaczny mógł się nauczyć od własnego rodaka, Edwarda Corsiniego, męża niepospolitej nauki, jak należy być ostrożnym i wstrzemięźliwym w napastliwych oszczerstwach i zarozumiałości.

Musonius sądzi, że pożałowania godną byłaby nauka tajemnic Bożych, gdyby cała jej prawdziwość od jednego Arystotelesa zależała. Raczej należy uznać, że każda filozofia jest dobra, gdy opiera się o prawa zdrowego rozsądku, a więc religii sprzeciwiać się nie może. Co więcej! Zgubnem musi się uznać przekonanie, jakoby religia chrześcijańska bez filozofii Greków i Arabów obejść się mogła. Minerwinus oburza się na takie poglądy i twierdzi, że Arystoteles jedyną musi być powagą, gdy chodzi o udowodnienie prawdy objawionej w sposób naukowy i zgodnie z porządkiem przyrody. Bez nauki jego nie możnaby objaśnić najważniejszych tajemnic, jak: dziewicze poczęcie Słowa wcielonego, cudowne zmartwychwstanie Chrystusa bez poruszenia kamienia i pieczęci, a nareszcie tajemnica eucharystyi. Nauka nowych filozofów, oparta na bajkach i bredniach Lukrecyusza, powiada, że żadnej rzeczy poznać inaczej nie możemy, jak tylko w trzech wymiarach, ponieważ każde ciało ma trzy wymiary, a więc obalają zasadnicze dogmaty wiary. Zgodnie z filozofią Arystotelesa mówi Tomasz i prawowierni teologowie, że „ubi datur quantitas extensiva panis, ibi datur substantia panis“, co dzieje się właśnie w sakramencie ołtarza. Nowi filozofowie przeczą takiemu pojmowaniu, zaczem albo nie uznają prawdy objawionej albo czynią Boga fałszerzem zmysłów. Do ich szkoły należy także autor: Noctium Sarmaticarum vigiliae, który ma ponadto błędne wyobrażenia o duszy i metempsychozie. Dlatego nie w Polsce jest miejsce dla takiego filozofa, ale raczej w kraju Wielkiego Mogoła, gdzie utrzymują się jeszcze dogmaty pitagorejskie. O ileż lepiej zgodnie z filozofią Arystotelesa rozwiązuje sprawę duszy Tomasz z Akwinu, który

słusznie odmawia jej zwierzętom, a twierdzi, że zwierzęta z przejrzenia Bożego mają tylko właściwy sobie instynkt przyrodzony, który ruchy zwierząt czyni podobnymi do ruchów, opartych na myśleniu i rozumie.

Osią dalszej rozmowy jest znowu sprawa eucharystyi, prowadzona z wielkim nakładem słów, w których dzisiejszy czytelnik żadnej treści znaleźć nie zdoła. Musonius usiłuje coraz słabie bronić innego filoficznego pojmowania, ale dostaje mu się w nagrodę przydomek „półgłówka", a Newtonowi i Leibnizowi nazwa „pfuj". Ku końcowi żale zwracają się znowu przeciw Mignoniemu, który bez upoważnienia od pisarzy polskich chce się zrobić ich nauczycielem i powiada, że w szukaniu prawdy pragnie być „mężem uczciwym" (czy nie przymówka także do Konarskiego?), przez co samej takiej nazwie najgorszą czyni przysługę. Temat rozmowy nie został wyczerpany. Rozprawę o naturze ludzkiej Chrystusa, o pierwiastku życiowym zwierząt, o krytykach i pseudokrytykach, odkładają na przyszłe godziny wypoczynku.

Książka Malczewskiego jest ostatnim donośniejszym strzałem w walce na pióra, która się zaczęła z ogłoszeniem dzieła Konarskiego. Zwycięzcą został Konarski, a zwycięstwo przyniosła mu nie polemika, ale nowy duch czasu i odradzające się życie narodowe, które szukało nowej dla siebie formy, przekonawszy się z doświadczenia, że dawne formy wepchnęły naród w ciemnotę umysłową i bezdeń niedoli politycznej. Runął nareszcie gmach skażonej wymowy, runął panegiryzm pochlebczy, runęła filozoficzna igraszka wyrazami bez treści. Naród poszedł naprzód. Na pobojowisku pozostali nieliczni obrońcy starego porządku, którzy nic już sami zbudować nie mogli, a mogli tylko nie dopuścić do całkowitego odrodzenia ducha narodowego.

Broszury polemiczne, które pojawiły się jeszcze w tej sprawie, nie przynoszą nic nowego, powtarzają tylko rzeczy omówione. Takie znaczenie mają zarówno: Orationes Francisci Bohomolec e S. I. (Warszawa 1763), jak i Jaworskiego Stanisława: Specimina literaria laborum in reipublicae orthodoxae atque ecclesiae obsequia susceptorum (Warszawa, Anno Verbi Abbreviati 1767). Profesorowie retoryki nie mogli przeboleć upadku dawnej retoryki, chociaż byli nawet zwolennikami reformy. Samo zlekceważenie retoryki jako pierwszorzędnego przedmiotu nauki było dla nich nieszczęściem. Broniono się sztuczkami. Stanisław Jaworski wygłosił w tym celu oracyę: Desidem in eloquentiae studio adolescentem improbum fieri est necesse (w zbiorze z r. 1767). Dowodził tam, że rozpróżniaczony szkolarz poza szkołą szuka teraz rozrywki, włóczy się po mieście, zagląda w zaułki przedmieścia, ba zachodzi nawet w miejsca grubo podejrzane. Zapomniał stary profesor, że miejsce przydługiej nauki retoryki zastąpić mogą inne, pożyteczniejsze przedmioty, które ducha pobudzą, czas zajmą najszlachet-

niej i od zgubnego wałęsania się zapałem do rozumnej i narodowi zbawiennej pracy odwiodą.

Wielki reformator Konarski zwrócił się teraz z całą potęgą rozumu i przekonania na pole polityczne i zaczął wydawać tomami wielkie swoje dzieło: O skutecznym rad sposobie. A jak niedawno całą Polskę poruszył reformą wychowania, w czem mieściła się reforma stylu (ocalenie języka narodowego) i reforma myślenia filozoficznego (ocalenie rozumu narodowego), tak teraz uwagę ogółu skupił i podniecił ją do namiętności przez wypowiedzenie walki na śmierć i życie zabójczemu *liberum veto*, owemu jadowitemu źródłu nierządu i swawoli w nieszczęśliwej naszej od wieku XVII przeszłości narodowej.

Nie spuścił jednak z oka dzieła już prawie dokonanego, reformy wychowania. Gdy osądził, że nadeszła pora odpowiednia uzupełnił książkę z r. 1741 nowem dziełem, równie mądrem i dobrze napisanem, jak wszystko inne, co wyszło w latach dojrzałych z pod pióra wielkiego Pijara. Jest to dzieło: De arte bene cogitandi ad artem dicendi bene necessaria (Warszawa 1767). Pisze w przedmowie do czytelnika, że stoi zdala od polemiki, gdyż przeprowadził ją dawniej, a teraz pragnie dać pomoc młodzieży i nauczycielom. Dzisiaj każdy już chyba rozumie, że nauka wymowy tylko wtedy może być dobrą, jeżeli uczniowie przywykną do roztropnego i ścisłego myślenia i rozumowania. Doboru wyrażeń i innych ozdób nauczą się z wiekiem i doświadczeniem. Usprawiedliwia się zarazem Konarski, że pisze po łacinie, nie po polsku, gdyż chce, aby dla obu języków był pożytek. Dobry bowiem mowca w języku łacińskim będzie równie dobrym mowcą w języku ojczystym. Aby wartość nowego dzieła Konarskiego ocenić, musimy rozpatrzyć pokrótce sposób nauczania retoryki w latach zepsutego smaku, a wtedy zrozumiemy, o ile książka wielkiego reformatora rzetelny wprowadzała postęp i naukę wymowy na nowych opierała podstawach. Zastanowimy się nad tem w następującym rozdziale.

Rozprawiając o reformie stylu, zmuszeni byliśmy dotknąć z konieczności przemian, które odbywały się w dziedzinie filozofii, gdyż były z tą reformą najściślej związane. Zastrzegamy się jednakże, że w przedmiocie tym pisaliśmy tylko tyle, ile nakazywała nieuchronna potrzeba dla jaśniejszego przedstawienia całości obrazu. Pozatem temat pozostał niewyczerpany i stoi otwarty jako wdzięczne zadanie dla historyka filozofii. Dzieł i nazwisk jest wiele, że wymienię tylko niektóre: Duńczewskiego obrona astrologii i rozmyślania o komecie, Karmelity Gołembiowskiego filozofia naturalna według Tomasza z Akwinu, Jezuitów: Karola Jezierskiego i Jana Kowalskiego polemiki z Wiśniewskim, podobne rzeczy Dominikanina Mikołaja Żakiewicza, Teatyna Antoniego Portalupiego objaśnianie zasad filozofii Wolffa, Pijara Wiśniewskiego książki i broszury o nowych kierunkach filozoficznych i Szymona

Łabęckiego po polsku napisana satyra na wolnomularstwo. Zbyteczna dodawać, że według przekonania „prawowiernych“ wszyscy nowatorowie byli nie tylko heretykami i bezbożnikami, ale także wolnomularzami.

Na zakończenie wspominamy w krótkich słowach, że w czasie zasadniczego sporu o władztwo nad duszą narodową akademia krakowska zachowywała się dość obojętnie. Odgłos wielkiej walki odbijał się bez wyraźniejszego śladu o jej mury zapleśniałe, o jej uczelnie, pogrążone w średniowieczyźnie. Profesorowie i uczniowie bazgrali panegiryki i inne elukubracye; niepodobny do siebie Arystoteles otaczał ją mrokiem nieprzebitym. Sprawiedliwość każe wyznać, że znalazł się i pośród jej członków polemista, ale oczywiście w obronie średniowiecznie rozumianego Arystotelesa. Był nim Klemens Herka, doktor obojga praw, autor dzieła: Apologia pro arte disputandi peripatheticorum. Odpowiedział na nie Pijar Wiśniewski, na co dostał od Herki replikę w: Responsum Carpophoro Philalethae (Kraków 1755). Został tam nazwany Wiśniewski głupcem i bezbożnikiem. Podobnie zachowywała się akademia zamojska. Osławiony Duńczewski puszczał z niej w świat swoje kalendarze i przepowiednie astrologiczne. Na naukę nie było miejsca. Akademia wileńska należała do Jezuitów, co uwalnia piszącego od osądzania stanowiska, jakie mogła zajmować w chwili nowego odradzania się ducha narodowego[1]).

---

[1]) Stanowisko Jezuitów polskich w tej sprawie usiłuje bezskutecznie usprawiedliwić Stanisław Załęski T. J. w książce Czy Jezuici zgubili Polskę? (Kraków 1883, wyd. III, str 217—307). Głównym argumentem autora jest, że Jezuici wychodzili z narodu i nie mogli być lepsi niż ogół.

ROZDZIAŁ IV.

Podręcznik retoryki Konarskiego.

Twórcami retoryki starożytnej byli Grecy sycylijscy. W Syrakuzach określono wymowę jako *πειθοῦς δημιουργός*. Nieco później definicyę tę zmienili częściowo Stoicy, podając swoją: *ῥητορική ἐστιν ἐπιστήμη τοῦ εὖ* (t. j. *ἀληθῶς*) *λέγειν*. Grecy też sprzeczali się o to, czy retoryka jest sztuką (*τέχνη*) czy umiejętnością (*ἐπιστήμη*); oni nareszcie najszczegółowiej opisali wszelakie jej prawidła. Rzymianie byli tylko uczniami i naśladowcami Greków, nie wyłączając tak uznanych wielkości, jak Cycero i Kwintylian. Hermogenes z Tarsu, żyjący za cesarza Marka Aurelego, zamknął teoryę retoryki. Wszystko, co po nim napisano za czasów cesarstwa zachodnio-rzymskiego, obraca się w kole określonych do najdrobniejszych szczegółów prawideł. Podobnie Grecy bizantyńscy spisywali już tylko komentarze do retorów starożytnych [1]).

Z odrodzeniem języków starożytnych na zaraniu doby nowożytnej odżyła w zachodniej Europie nauka wymowy, oparta głównie o Cycerona i Kwintyliana. Zwolna poznano i innych teoretyków starożytności, a ich prawidła krasomowcze tak były dokładne i zupełne, że pisarze nowożytni z konieczności musieli zostać tylko naśladowcami. Co gorsza — narażeni zostali na pokusę naśladowania tego, co było sztucznem i osobliwem, a co pociągnęło za sobą rozrost sztuki krasomowczej, ale zarazem upadek prawdziwej wymowy. Jakoż we wszystkich krajach Europy wymowa uległa rychło niezmiernemu skażeniu, a florydacyzm (kwiecistość) włoski i gongoryzm (sztuczność) hiszpański są pierwszymi znamiennymi tego skażenia objawami. Wymowę włosko-hiszpańską rozpowszechniali po Europie głównie Jezuici. Oni bowiem rychło ocenili znaczenie wymowy, na niej też oparła się cała potęga szybko wzrastającego zakonu. Powaga autorów starożytnych i chrześcijańskich, wydobywane z nich zręcznie i celowo wywody i sentencye, świadome wyzyskiwanie środków sztucznej wymowy — były dla mowcy orężem niezwalczonym w czasach, kiedy przysięgano na słowa mistrzów, gdy myśl krytyczna napotykała na niesłychane przeszkody, a nauki doświadczalne w skromnym bardzo zakresie były pielęgnowane. W wieku XVII dokonał się w tym kierunku przełom na Zachodzie, skutkiem czego okazała

[1]) Porównaj między innemi: A. Ed. Chaignet: La rhétorique et son histoire, Paryż 1888, oraz Ryszard Volkmann: Rhetorik (Handbuch Iwana Müllera), 3 wydanie, Monachium 1901.

się potrzeba reformy krasomowstwa. Wynik ostateczny reformy stał się dla retoryki zabójczy. Przyczyniły się do tego nowe poglądy filozoficzne, zwycięstwo protestantyzmu, a głównie nowy kierunek naukowy, który, opierając się o doświadczenie, szuka we wszystkiem treści, a odrzuca pustą grę słów i czcze rozumowanie, oparte na niestwierdzonych doświadczeniem przesłankach. Toteż sztuka wymowy i jej nauka, uważana niegdyś za pierwszorzędną, w dawnej swojej formie dzisiaj prawie nie istnieje.

W Polsce sztuka wymowy święciła najdłużej swoje tryumfy. U nas też doszła do niesłychanego zepsucia i utrzymała najdłużej swoją przewagę nad wszystkimi innymi objawami życia umysłowego. Złożyły się na to różne przyczyny, a nadewszystko ustalona przewaga szkoły jezuickiej, która retoryce wyznaczyła miejsce naczelne, oraz zerwanie związku z oświatą Zachodu w wieku XVII, skutkiem czego odgłosy nowych odkryć naukowych do Polski nie dochodziły albo odbijały się od uczelni jezuickich, jak groch od ściany. Aż do Konarskiego była u nas wymowa panią jedynowładną.

Nauczano u nas retoryki głównie na podstawie podręczników jezuickich, jak to już poprzednio opowiedziałem. Najbardziej rozpowszechnionym w wieku XVII był podręcznik Cypryana Soariusa z tablicami Ludwika Carbona, w wieku XVIII wypierał go Dominik Decolonia. Poetyki uczono podług Institutiones poeticae Józefa Iuvenciusa. Nasi mistrzowie retoryki zastępywali ich czasem własnemi elukubracyami, a zwłaszcza miłośnicy wymowy nadzwyczajnej, ale i ci z uszanowaniem powoływali się na powagi uznane. Głębsze tajemnice dla najzdolniejszych otwierali: niemiecki Massenius i nasz Kwiatkiewicz, a wzory praktyczne podawały rozliczne Swady [1]).

Podręczniki szkolne miały układ katechizmowy. Na zadane pytanie następuje odpowiedź, poparta niekiedy krótkimi przykładami. Pytań i odpowiedzi uczono się na pamięć, a rozliczne ćwiczenia szkolne i domowe, ustne i pisemne, miały udzielić młodzieży należytej wprawy. Panującą była zasada, że wymowa jest sztuką (*ars*). Pisze wprawdzie Soarius, że do wymowności dochodzi się przez naturę, sztukę, ćwiczenie i naśladownictwo, ale natura w praktyce schodziła na plan ostatni. Podobnie nasz Temberski napisał słusznie, że zdolności wrodzone są niwą wszelakiego kwiecia retoryki, które na niej kiełkuje i wdzięcznie dorasta; nie zapomniał jednak dodać, że sztuka dopiero złote wydaje żniwa tak samo jak dobrze uprawiona rola. Zgodnie z obowiązującą zasadą nauczano wymowy wyłącznie jako sztuki i rozsłaniano przed młodzieżą gęsto zarosłe ogrody niezliczonych prawi-

---

[1]) Niektóre szczegóły podaje cenne dzieło Józefa Łukaszewicza: Historya szkół w Koronie i w Wiel. Księstwie Litewskiem od najdawniejszych czasów aż do r. 1794. Poznań 1849

deł, których poznanie miało otworzyć wychowankom bramy serc i rozumów i zjednać im poklaski i dostojeństwa.

Przepisy tak były szczegółowe, że określały nawet głos i ruchy krasomowcy. Według tego, jak mowca jest poruszony — pisze Soarius — i jak chce poruszyć słuchaczy, tak powinien głos swój dostosowywać. Gniew wymaga głosu ostrego, podnieconego, często urywanego; litość giętkiego, pełnego, czasem załamanego; bojaźń opuszczonego i wahającego się; skromność poważnego i jednodźwięcznego i t. d. Lecz nie tylko w różnych przedmiotach różnego trzeba głosu, ale nawet w tym samym, gdyż rozmaitość jest wdzięczna, bawi ucho słuchacza i odświeża mowcę. Głosowi towarzyszyć powinien należyty ruch, odpowiadający doskonale treści. Postawa ma być prosta i wzniosła, rzadki krok i krótki, kark nieprzeginany, palce w spokoju. Zwroty mają się odbywać całym tułowiem, a ruchy męskiem poruszeniem ramion. Lecz główna rzecz polega na wyrazie twarzy, a ten zależy przedewszystkiem od oczu. Twarz jest jedyną częścią ciała, która może odbijać każde poruszenie umysłu, ale i tutaj nie może być nadużycia, aby mowca nie zamienił się w błazna. Głównie zatem oczyma poruszać należy, które wyrażają całą niejako mowę ciała.

Szczegółowe, choć nie w tym stopniu, bywały podręczniki poetyki. Oto niektóre, zgodne z mnisimi ślubami czystości, spostrzeżenia. Cnotliwi ojcowie nie radzi byli dopuszczać kobiety do poezyi. Dusza bowiem nie ma żadnej płci — pisze Iuvencius — a ciało kobiece (jeżeli idzie o bohaterkę) jest słabsze, przez jego dotknięcie duch słabnie. Nareszcie kobiety nie nadają się do spraw wojennych i słusznie zalecił im Arystoteles pieczę ogniska domowego. Toteż najwięksi poeci nie dawali kobietom pola do popisu; wprowadzali je wprawdzie do epopei Wergili i Tasso, ale dawali im role tylko epizodyczne. Podobnie zaś jak w retoryce, i mistrzowie poetyki lubowali się w nadzwyczajnościach i rozpisywali się szeroko nad osobliwymi rodzajami wiersza. Podawali tedy definicye s y m b o l ó w h e r o i c z n y c h, l e m m a t ó w, e m b l e m a t ó w, a k r o s t y c h ó w, a n a g r a m m a t ó w, g r y f ó w, l o g o g r y f ó w i t. d. Symbol heroiczny oznacza namalowany jakiś obraz, oznaczający rzecz inną, nie namalowaną, a posługuje się nadto wyrazem albo zdaniem, które związek obrazu i zdania zawierają. N. p. obraz słońca z dopiskiem „wystarczy światu“ oznacza jakiegoś cesarza rzymskiego. Dopisek taki nazywa się lemma lub epigraf. Emblemat przez to głównie różni się od symbolu heroicznego, że odnosi się przedewszystkiem do cnót i obyczajów i dlatego nadaje się do figur hieroglificznych, przedstawianych na ścianach, naczyniach i innych przedmiotach. Anagramma polega na zręcznem zużytkowaniu liter, zawartych w jakiemś imieniu, przez ich przestawienie n. p. logica — caligo, corpus — porcus, Ignatius de Lojola — O ignis a Deo illatus. Pewien mąż zdolny i pobożny złożył w ten sposób sto anagramatów ze słów: Ave

Maria gratia plena. Gryfy i logogryfy są to zagadki: pierwszy utaja rzecz, drugi słowa. N. p. z wyrazu *ovis* weźmij *o*, zostanie *vis*, skąd wierszyk: Imbellis tota est, caput exime, vis erit illi. Albo od *navem* opuść *n* i *m*, skąd wierszyk: Mitto tibi *navem* prora puppique carentem (t. j. *ave*). Tak tedy i poetyka stała się zabawką i podobnie jak retoryka obracała się w nadzwyczajnościach i osobliwościach, trudnych może nieraz do rozwikłania niemniej jednak godnych dziecięcego chyba umysłu.

Niektóre podręczniki pozwalają przekroczyć progi izby szkolnej i przyglądnąć się bliżej, jak spełniał swoje zadanie pierwszy skrzypek w zakładzie, mistrz retoryki i poetyki. Tak Temberski dodał do swojego podręcznika: Appendix pro rhetorica instituenda, w którym wyłuszcza szczegółowo, czego i w jaki sposób nauczał. W pierwszem półroczu zaczynał od rzeczy najprostszych. Naprzód przekładano dobrany tekst polski na gładką łacinę, przyczem ćwiczono się w budowaniu okresów bądź to przez łączenie urywków z różnych autorów bądź też przez rozszerzanie podanego zdania. Następnie przekładano fragmenty uznanego klasyka na wyborowy język ojczysty. Z kolei tłómaczono listy łacińskie bez krępowania się słowami. Sposoby amplifikacyi i opracowanie jakiegoś tematu w pięknej formie (n. p. elogium) zamykały naukę pierwszego półrocza. W tymże czasie niemało pracy miała młodzież w domu (exercitia domestica longiora seu pro nocte). Raz na dwa miesiące należało przełożyć na łacinę jakąś uczoną polską rozprawę polityczną. Przynajmniej dwa razy w tygodniu miała młodzież oddać nauczycielowi „chryję“ polską, w pięknym stylu opracowaną. Nadto zalecone były i musiały być od czasu do czasu przedkładane: powiastki i bajki z morałem w zakończeniu, mowa polska okolicznościowa (n. p. weselna), rozprawa polityczna w stylu historycznym, mowy powitalne, pochwała cnoty, poważniejsze listy, przerobienie utworu poetyckiego na mowę niewiązaną i t. d. Co tydzień każdy uczeń miał przeczytać trzy książki (historyka, mowcę i poetę) i oddać na czas powypisywane stamtąd notatki. Dla pracy piśmiennej miał każdy uczeń dziewięć zeszytów: trzy na notatki, trzy na spisywanie materyału i trzy na kompozycye (zadania). Do tych mozołów dodać jeszcze trzeba ćwiczenia pamięciowe. Co sobota musiał każdy uczeń oddeklamować wyjątek z jakiegoś mowcy lub utwór poetycki. Wszystkim tym obowiązkom musiała młodzież wydołać, bo leniwych, jak wiadomo, wcale niedelikatnie chłostano. W drugiem półroczu w szkole poznawano szczegółowo prawidła retoryki, przyczem dla ćwiczenia przeprowadzano potrójny rozbiór czytanych mowców i poetów: gramatyczny, retoryczny i etyczny. W domu układała młodzież oracye powitalne, weselne, pogrzebowe i tym podobne, oraz opracowywała dłuższe tematy w sposób krasomowczy.

Aby objaśnić, jak sztucznie posługiwano się w szkole pra-

widłami retoryki, przypominamy pokrótce dwie mowy, podane przez Grodzickiego, na cześć obrazu królewica Kazimierza, trzymającego w ręku krucyfiks. Jedna, na podstawie Soariusa, obejmuje siedmnaście punktów: 1) *a definitione* 2) *a partium distributione* 3) *a notatione nominis* 4) *a coniugatis* 5) *a genere* 6) *a specie* 7) *a simili* 8) *a dissimili* 9) *a contrariis* 10) *ab adiunctis* 11) *ab antecedentibus* 12) *a consequentibus* 13) *a repugnantibus* 14) *a causis* 15) *a causa formali* 16) *ab effectis* 17) *a comparatione*[1]). Podajemy w wolnym przekładzie punkt *ab effectis:*

„Dziękczynienie należy się, o słuchacze, geniuszowi malarza, który przedstawił nam nie bezczynny obraz Kazimierza. Mówi on bez słów, zaklina bez wołania, bez pomocy wymowy przekonywa, abyśmy podobne prowadzili życie, jakiem się odznaczał syn królewski. Niedojrzałość lat, wyrażona tutaj barwami, przygania opieszałości starców, którzy, choć długo żyli, niedługo stąpali po drodze świętości. Młodość najświętsza, oczom naszym codziennie widoma, karci również lenistwo młodzieży, która wierzga nieprzystojnie przeciw nawoływaniu do cnoty, jak nieroztropne bydełko. Co więcej! Jedni wycieńczają oblicze postami, inni biczują ciała, inni pogrążają się w rozmyślaniu nad męką Boga. Komu przypisać te wielkie cnoty życia? Obrazowi młodzieńczego Jagiellończyka, który niedbałość ludzi wyzywa w zawody o zwycięstwo w podobnych mu cnotach.“

Druga mowa, według recepty samego Grodzickiego, dzieli się na cztery główne punkty: 1) *quid sit* 2) *quot duplex res sit* 3) *qualis sit* 4) *quanta sit;* te zaś główne punkty obejmują 92 podpodziałów. Oto niektóre. Podpodział *sanctus:* „Pocóż apoteozę jego z rzymskiego wywodzić Olimpu? Któremu Święty Świętych wiecznej świętości powierzył przywilej, gdy Sam się pomieścił w rękach świętego“. Podpodział 7-my i 8-my *a notatione nominis:* „Fraszka kolosy rodyjskie, fraszka cuda świata, które przez długie wieki przetrwały cało w swojej budowie. Nieupadek cnoty w Kazimierzu (non *casus* virtutis in *Casimiro*) większe stworzył cuda, gdy Chrystus bardziej niż na krzyżu zawisnął na obliczu świętego, zatopionego w rany przenajświętsze“. Podpodział *nova miraculorum contentio:* „Franciszek z Assyżu dwie rany w dwu rękach, Kazimierz w jednej prawicy pięć ran Chrystusa unosi.“

Nie o wiele inaczej odbywało się studyum retoryki w szkołach niejezuickich. Ks. Jakób Michał Marciszowski, doktor obojga praw, przekazał potomności program nauki w poznańskiem kolegium Lubrańskiego[2]). Wyjmujemy stamtąd ustęp o nauce retoryki:

---

[1]) Terminologię podano przeważnie w języku łacińskim, ponieważ przepolszczanie byłoby poniekąd niepotrzebne i bezcelowe.

[2]) Ordinatio studiorum in Collegio Lubransciano Academiae Posnaniensis tractandorum circa innovationem eorundem sub die

1) Codziennie na rano i popołudniu wyznaczy się alumnom do wyuczenia się na pamięć pewną część z drukowanego podręcznika retoryki, której poszczególne nakazy będą w szkole objaśniane i popierane przykładami.

2) Codziennie przedpołudniem odbywać się będzie rozbiór mów Cycerona z objaśnianiem imion własnych, tropów, figur i miary okresowej; popołudniu objaśniać się będzie w podobny sposób poematy Klaudyana albo Lukana.

3) Dwa razy na tydzień w stosownej porze wykładaną będzie dyalektyka Jana Caesariusa z objaśnianiem podanej tam terminologii.

4) Czwartego i szóstego dnia popołudniu wyznaczy się jakiś temat do opracowania krasomowczego (per argumenta et iuxta argumentationum species alternatim recensendas). W sobotę poda się ponadto jakąś część mowy *(in genere)*, jeden jej albo dwa argumenty, którą w ciągu najbliższego tygodnia wychowankowie w należytej formie i wysłowieniu retorycznem opracują i przedłożą profesorowi.

5) Urywki poetyckie, sentencye z Seneki i innych klasyków, symbole z inskrypcyami, różne koncepty, wyjątki z mów gratulacyjnych, sejmowych, kaznodziejskich i innych będą wychowankom dyktowane, aby mogli je naśladować lub użyć ich, gdy zajdzie potrzeba.

6) W czasie odpowiednim urządzać się będzie peroracye ze zwracaniem uwagi na ruchy i wygłoszenie, przyczem doraźnie będzie się wskazywać zalety i błędy stylu krasomowczego; niemniej odbywane będą utarczki *(concertationes)* dyalektyczne celem stawiania i rozwiązywania wątpliwości w pewnych łatwiejszych przedmiotach.

7) W soboty odbywać się będą egzaminy z obyczajności i postępu w naukach wszystkich wychowanków: jakie mianowicie przeczytali dzieła historyczne, panegiryczne, geograficzne, świeckie i kościelne, jakie porobili zapiski, czego wyuczyli się na pamięć, a następnie, czy panowie alumni regularnie uczęszczali na wykłady. Tegoż dnia odbywać się będzie wykład i przepytywanie z katechizmu.

Nadto na studyum retoryki, jak i na innych kursach, władza szkolna nakazywała bardzo liczne praktyki religijne oraz ciągłe posługiwanie się łaciną, a nadto zakazywała panom akademikom włóczenia się bez potrzeby po ulicach.

Wiemy, przeciwko jakim błędom wystąpił Konarski w epokowej swojej rozprawie o naprawie błędów wymowy. Jeszcze więcej nauczymy się cenić zasłużonego męża, jeżeli poznamy jego własny podręcznik wymowy z r. 1767 p. n. De arte bene co-

---

15 mensis Julii A. D. 1756, w Poznaniu (Pro usu et utilitate publica).

gitandi ad artem bene dicendi necessaria. Wspominałem już, że Konarski nie zarzucał nauki wymowy jako takiej. Chciał on ją tylko zreformować i do nowych wymogów dostosować. Mniemał on podobnie słusznie, jak pierwsi teoretycy starożytności, że wymowa ma pewne naturalne warunki, które można określić jako jej prawidła. Wiedział on, że wymowy nie zniepRawił sam fakt istnienia czy postawienia prawideł, bo żadna nauka i sztuka nie może się pozbawić rozsądnej schematyzacyi. Zło sprowadziła sztuczność prawideł, wykroczenie przeciw zdrowemu rozsądkowi. Dlatego nie uwłacza to Arystotelesowi, że jasnym rozumem określał prawidła wymowy, łącząc wymowę z filozofią, ale jasności Stagiryty brakło następcom. Cycero, choć niemało mówił o naturze, posługiwał się wymową już tylko jako sztuką, a retorowie za cesarstwa byli częstokroć zwykłymi szarlatanami. Szczególiki i sztuczki prawideł zabiły w wymowie zdrowy rozsądek i uczyniły z niej pustą igraszkę wyrazów. Dobre i złe strony teoryi starożytnej dostały się w spadku nowożytnym. Zwyciężyły złe strony, skutkiem czego okazała się potrzeba zwrócenia wymowy do warunków przyrodzonych. Zadanie to spełnił u nas Konarski. Potomność poszła dalej, bo duch badawczości i krytycyzmu zepchnął całą retorykę na stanowisko podrzędne. W swoim czasie położył Konarski zasługi olbrzymie, a dążność jego, aby w podręczniku retoryki objąć zarazem naukę logiki, etyki i elementarne zasady prawodawstwa krajowego, wskazuje na to, że sama nauka retoryki już mu nie wystarczała, że uważał ją za niepożyteczną zabawkę. Przez naukę retoryki chciał dochodzić do rzeczy istotnych i pożytecznych. Z drugiej strony podręcznik jako taki jest wzorem jasnego rozumu i najlepszym zbiorem prawideł retoryki, jaki powstał w Polsce. Przejdźmy w streszczeniu jego najważniejsze zasady.

Konarski nazywa także wymowę czyli retorykę „sztuką“, a sztuką dobrego i pięknego mówienia. Aby mówić dobrze, trzeba mieć naprzód dobrą i jasną myśl o tem, co chcemy powiedzieć. Przeznaczeniem retoryki jest przekonać słuchaczy wymownem słowem o potrzebie podjęcia się lub też zaniechania jakiegoś czynu. Mowca powinien tak mówić, aby umiał przekonać, a dzieje się to przez pouczenie, zabawienie i poruszenie. Pouczamy dowodami, bawimy ozdobnem słowem, poruszamy figurami i pobudzeniem uczucia. Przedmiot retoryki jest nieograniczony, ale w szkole ćwiczyć się głównie należy w wymowie sejmowej, sejmikowej, trybunalskiej i w pisaniu listów — z pominięciem panegiryków, składania wierszy i t. p. Mowca powinien wynaleźć naprzód przedmiot mówienia *quaestio, causa, crinomenon).* Ze względu na przedmiot dzieli się wymowa na: pochwalną albo naganną *(genus demonstrativum)*, radną *(deliberativum)* i sądową *(iudiciale).* Mając temat, musi mowca rozważyć: 1) co powiedzieć na

jego uzasadnienie, 2) jak rzecz rozłożyć, 3) jak ją wypowiedzieć. Stąd trzy części mowy: pomysł *(inventio)*, układ *(dispositio)*, wysłowienie *(elocutio)*.

Dowody na przeprowadzenie tematu czerpać powinni uczniowie starsi i zdolniejsi z własnej głowy, początkujący posługiwać się będą wskazówkami nauczyciela. Właściwem jest człowiekowi rozumowanie, dlatego z daru tego korzystać należy już w najwcześniejszym wieku młodzieży. Od kwestyi łatwiejszych przechodzić trzeba do trudniejszych, a w ten sposób wćwiczyć się można w należyte myślenie i rozumowanie. Przykłady tematów dla początkujących: 1) Dzierżawę dóbr publicznych należy dawać więcej ofiarującym, 2) Najsurowiej zakazać obywatelom brać pieniądze, ordery i t. p. od obcych monarchów bez zezwolenia Rzeczypospolitej, 3) Wybory posłów, sędziów i inne trzeba dokonywać większością.

Źródła dowodów są podwójne: wewnętrzne i zewnętrzne. Do wewnętrznych należy: 1) definicya, 2) wyliczenie części *(enumeratio partium)*, 3) rodzaj *(genus)*, 4) szczegóły *(species)*, 5) przyczyna, 6) skutki, 7) okoliczności, 8) poprzedniki, 9) następniki, 10) sprzeczności, 11) przeciwieństwa, 12) porównanie, 13) podobieństwo, 14) niepodobieństwo, 15) wskazówka *(notatio)*, 16) związek *(coniugata)*. Definicya jest podwójna: właściwa i krasomowcza. Przykład krasomowczej na temat: Należy się starać o zachowanie wolności praojców. „Nie to jest zaprawdę wolność, zerwawszy węzeł prawa i powagi, sprzeciwiać się władzy prawowitej, rozkazów i postanowień urzędów królewskich nie słuchać, w wyuzdanem zuchwalstwie posuwać się do wszelakiej niegodziwości, państwo niepokoić, sejmiki, sejmy i inne narady bezczelnie zrywać, własną prywatę i namiętności stawiać wyżej nad obowiązek publiczny — bo to jest raczej szpetna i nieznośna swawola, prawdziwej wolności zguba i zagłada, właściwsza dzikim zwierzętom niż społeczeństwu ludzkiemu". Wyliczenie części jest to sposób, który poucza, jak całość na części rozdzielić. Rodzaj obejmuje szczegóły. Przykład: „Wszelki zbytek jest szkodliwy Rzeczypospolitej" łatwo przerobić na zasadę: „Zbytni przepych w odzieży jest szkodliwy Rzeczypospolitej". Szczegóły zamykają się w rodzaju. Przykład: „Skarb jest konieczny dla Rzeczypospolitej" można uzasadnić przez szczegóły. Przyczyna *(causa)* jest: sprawiająca *(a qua)*, materyalna *(ex qua)*, formalna *(qua)*, celowa *(propter quam)*. Przykłady: Służba wierna Rzeczypospolitej nie żąda pochwały; Porozumiewania się z obcymi panującymi powinny być surowo karane; Sędzia nie powinien przyjmować darów; Dla dobra ojczyzny własnego mienia szczędzić nie należy. Skutki *(effecta)* wypływają z przyczyn i podają sposób uzasadnienia tematu przez skutki. Przykłady: Mężowie znakomici w państwie potrzebują wymowy i mądrości;

Nad rozkosz niemasz nic bardziej zabójczego; W wojnie domowej i zwycięstwo bardzo jest szkodliwe. Okoliczności dadzą się ująć w następujące pytania: *quis, quid, ubi, quibus auxiliis, cur quomodo, quando*. Przykłady: Należy zbudować most pod Warszawą; Ubogim należy przyjść z pomocą publiczną, aby nie byli smuzeni żebrać. Poprzedniki uzasadniają temat wskazaniem tego, czego poprzednie doświadczenie nauczyło. Przykłady: Nie tracić czasu na zbyteczne dysputy; Czas trwania władzy hetmańskiej należy ograniczyć na pewną liczbę lat. Następniki przewidują, co może nastąpić. Sposób ten podobny jest do skutków z tą różnicą, że tam konieczność, a w następnikach przewidywanie. Przykłady: Prawa polskie należy wydać nakładem publicznym w osobnym podręczniku; Zboża nie należy wywozić do Gdańska; Należy raz koniecznie pomyśleć, co począć z tak wielkiem mnóstwem żydów w granicach królestwa. Przykład ostatni znajduje zajmujące uzasadnienie. „Cóż bowiem nastąpi? Skoro już dzisiaj liczy się z górą dwa miliony żydów, liczba ta w niecałej połowie wieku jeszcze niepomierniej wzrośnie. Chrześcijan z miast wyrzucą, odebrawszy im wszelki sposób zarobkowania. Rolnictwo i rzemiosła ustaną; wzrost bowiem żydowstwa sprowadza zmniejszenie się innej ludności. Jeżeliby znaleźli wodza, mogłoby wybuchnąć coś gorszego nad wojnę niewolników, która mogłaby spowodować nieprzewidziane skutki." Sprzeczności wykluczają coś wzajemnie w tym samym przedmiocie. Przeciwieństwa mogą istnieć obok siebie, ale wzajemnie sobie szkodzą. Przykład: Dla wykonywania wyroków prawnych należy przepisać surowe kary na gwałcicieli prawa. Porównanie zestawia obok siebie dwa lub więcej przedmiotów. Przykład: Poddani powinni płacić tylko czynsz, a mają być uwolnieni od przymusowej robocizny i innej pańszczyzny. Tylko bowiem najgorsi obywatele mogą być napiętnowani wieczną hańbą niesławy. Wskazówka podaje sposób wyprowadzenia dowodu od nazwy jakiejś osoby lub rzeczy. Przykład: Młodzieńcy niech nie będą senatorami. Tu ma znaczenie słoworód. Tak n. p. nazwy miast: Brema, Lubeka, Wismar i inne słowiańskiem brzmieniem wskazują, że okolice te należały niegdyś do narodów słowiańskich. Nie można jednak etymologii nadużywać, co dzieje się u nas w wymowie, napisach i poezyi, jak: Nomini Ioannis sint io et anni; Non Philippicis te Philippum aggredimur; Taceat Tacitus, deflorescant Hortensii itp. Związek dopatruje się związku między właściwością osoby lub rzeczy a jej działaniem lub zachowaniem się. Przykład: Jesteś sam pobożny, przeto nie naprożno nawołujesz do pobożności.

Innem źródłem argumentów mogą być okoliczności, mieszczące się niejako naturalnie w samym przedmiocie czy temacie. Tu można rozważyć, czy rzecz jakaś jest: godziwa czy niegodziwa, słuszna czy niesłuszna, potrzebna i pożyteczna czy szkodliwa, pewna i oczy-

wista czy niepewna, łatwa czy trudna. Przykłady: Mężczyźnie nie przystoi zbytnia troska o piękność oblicza i postawy, gdyż zalety męskie mogą się obejść bez piękności zewnętrznej i wdzięków niewieścich; Gościńce powinny być wyłożone kamieniem, czyszczone i naprawiane; Koryto Wisły należy uregulować; Wobec obcych panujących nie godzi się zdradzać interesów ojczyzny; Kupców niesprawiedliwa jest obciążać nadmiernymi podatkami; Nie przystoi uskarżać się na przeciwności; Młodzieńcy niepotrzebnie są wysyłani przed czasem zagranicę.

Przy pochwałach osobistości można uwzględnić dostojność urodzenia i przymioty ciała, ale głównie podnosić należy zalety ducha: cnoty, zasługi, rozum, miłosierdzie i t. d. Przykład: Powierników i sługi uważał za skromnych przyjaciół, rzemieślników i artystów za dostawców niezbędnych potrzeb i twórców trwałych przyjemności, rolników poddanych jako karmicieli swoich i żywicieli.

Uczniowie mają być przedewszystkiem przyzwyczajani do ścisłego i rozumnego myślenia. Myśli mogą być trojakiego rodzaju: proste i naturalne czyli historyczne, podnioślejsze i bystre, wzniosłe i rzadkie. Źródłem myśli owocniejszych są: zdolności wrodzone, wiek dojrzały, doświadczenie osobiste i znajomość przeszłości Rzeczypospolitej, obcowanie z ludźmi znakomitymi. Dla młodzieży najważniejszem źródłem jest czytanie i naśladownictwo. Nie należy starać się o ciągłą wzniosłość stylu, chcieć być zawsze Seneką, Tacytem i Salustyusem, bo to prowadzi do śmieszności. Na temat, że mężowie uczeni godni są dostojeństw i dostatków, można mówić mądrze i niedorzecznie. Oto próbka mowy niedorzecznej: „Płaszcze filozofów powinny być zamienione na purpurowe. Berła im się należą za laskę Merkurego. Słuszniej jest szukać złotego piasku na Helikonie niż na brzegach Tagu albo Hidaspu...“ Wzorem dobrego stylu jest Cycero.

Źródła zewnętrzne mieszczą się nie w samej rzeczy, lecz szukać ich należy poza nią celem uzasadnienia tematu. Dwa są główne: powaga i przykład.

Zanim mowca rzecz do mówienia przygotuje, o trzech szczególnie wskazówkach powinien pamiętać. 1) Mowca powinien odznaczać się głęboką nauką i rozległemi wiadomościami, a wielkiemu wykształceniu musi towarzyszyć roztropność. 2) Zamierzony temat należy wszechstronnie poznać i dokładnie zrozumieć. Cóż bowiem mówić może nieświadomy o sprawach tak trudnych, jak: podatki, monopole, naprawa skarbowości, reforma sądownictwa, równość obywatelska, kataster gruntowy i t. p. 3) Baczyć należy na miejsce i osoby, gdzie i do których się mówi, aby zachować zawsze potrzebną przystojność *(urbanitas)*.

Gdy mowca przedmiot należycie obmyślił, powinien go następnie w sposób prawidłowy rozłożyć i uporządkować. Zwyczaj-

nemi częściami mowy są: 1) wstęp, 2) przedłożenie przedmiotu *(propositio)*, 3) uzasadnienie, 4) zbicie zarzutów, gdy tego zachodzi potrzeba, 5) zakończenie.

Sposoby zaczęcia mowy czyli wstępu są niezliczone. Zasadą powinna być: łatwość, naturalność, krótkość i związek z przedmiotem. Można tedy zaczynać: 1) od własnej osoby, 2) od osób, wobec których się przemawia, 3) od osób, przez które jest się wysłanym, 4) od okoliczności czasu, 5) od jakiegoś zdania ogólnego, 6) od spostrzeżenia jakiegoś obyczaju, 7) od osoby albo wyrażenia się przeciwnika, 8) od argumentu, pozostającego w związku z przedmiotem, 9) doraźnie czyli od rzeczy samej *(ex abrupto)* i t. d.

Przedłożenie przedmiotu powinno być krótkie, a w treści swojej: proste albo złożone. Przykłady: Rzeczpospolita powinna się opierać na własnych siłach, a nie na oczekiwaniu pomocy i obronie narodów i panujących sąsiednich; Pogłówne powinno być zniesione, jednak dopiero wtedy, gdy ustanowi się natomiast inny rodzaj podatku. Mowcy nasi popełniają w tym względzie różne niedorzeczności i dziecińśtwa. Tak n. p. gdy chcą uzasadnić, że ludzie, nie uwzględniający warunków możliwości działania, narażają się na niebezpieczeństwa, mówią: „Wywiodę przygodę Faetona.“ Zwłaszcza w mowach pochwalnych unikać należy owych dziecinnych alegoryi i antonomazyi, porównywując chwalonych z rzekami, piorunami, słońcami, orłami, skarbami, okrętami i t. d. Mowca dobry nie posunie się nigdy do bredni i głupstwa.

Uzasadnienie jest tą częścią mowy, która przedmiot objaśnia i przez rozumowanie dowodzi jego słuszności. Przepisy są tutaj zbyteczne, gdzie potrzebny jest jedynie umysł twórczy mówiącego. Główne formy rozumowania są następujące: 1) sylogizm, 2) entymema, 3) indukcya, 4) sorites. Sylogizm nie musi być oparty na drobiazgowych określeniach logiki. Dość, jeżeli uczeń retoryki będzie wiedział, że przesłanka pierwsza jest ogólniejsza, druga szczegółowsza, a wynik wypływa z obydwu. Entymema obejmuje dwie tylko propozycye: poprzednik i następnik, który z poprzednika wypływa. Indukcya jest sposobem podobnym z tą tylko różnicą, że obejmuje kilka poprzedników. Sorites nareszcie wiąże kilka całkowitych rozumowań i dochodzi do wniosku. Należy baczyć, aby nie był sofizmatem.

Zbicie zarzutów zwalcza argumenty przeciwne. Nareszcie ważną częścią mowy jest zakończenie, gdzie rzecz uzasadnioną mowca jeszcze raz słuchaczom pokrótce przypomina, powołując się równie krótko na wypowiedziane już argumenty. Ważną jest ta część mowy dlatego, że wywiera ostateczne wrażenie na słuchacza i albo go zjednywa albo odstręcza.

Części mowy mają to znaczenie, że wskazują one naturalny tok ludzkiego myślenia. Za młodu trzeba się do nich przyzwy-

czaić, a mowcy wprawnemu rzecz już sama będzie się układała. I dla wprawnego mowcy pozostanie jednak nakazem, aby rzecz dobrze znał i przemyślił. Unikać się musi gmatwaniny myśli, a dozwolone dygresye czyli uskoki powinny zawsze pozostawać w związku z rzeczą, o której się mówi. Dlatego dobrze jest zachowywać przejścia *(transitiones)* między jedną częścią mowy a drugą, bo wtedy rzecz staje się wyrazistsza. Porządek dobry w mówieniu jest pierwszym warunkiem powodzenia, bo łatwiej jest znaleźć myśli niż je uporządkować, a powtóre najlepsze myśli, podane w porządku nienależytym, nie sprawiają potrzebnego wrażenia. Wzorem należycie uporządkowanej mowy może być mowa Cycerona: Pro lege Manilia, którą też dla przykładu Konarski szczegółowo rozbiera, aby zdanie swoje uzasadnić.

Nie wystarczy dobrze mowę obmyślić i uporządkować. Należy ją jeszcze należycie, z największą jasnością wysłowić. Cztery są główne warunki dobrego wysłowienia: 1) ozdoby krasomowcze, polegające na peryodach, amplifikacyi, tropach i figurach, 2) właściwość i dobór słów, zgodne z duchem języka, w którym się przemawia, 3) jak największa jasność i łatwość stylu, 4) znajomość błędów wymowy.

Okresy czyli peryody wtedy są dobre, gdy poszczególne ich członki wiążą się z sobą należycie, gdy dalej poszczególne wyrazy w sposób właściwy są rozmieszczone, a nareszcie gdy posiadają właściwą miarę wyrazów i zgłosek. Dobrze jest wiązać poszczególne członki partykułami, w czem zwłaszcza uczniowie pilnie się ćwiczyć powinni. Jak należy w sposób właściwy rozmieszczać poszczególne wyrazy, nie da się to ująć w ścisłe reguły, bo pod tym względem wielka panuje rozmaitość. Uwaga i rozsądek lepsze na to podadzą rady aniżeli jakiekolwiek reguły. Podobnie ma się rzecz z miarą okresu. Jako przykład dobrze rozmierzonego okresu podaje Konarski własne zdanie, które dla pięknej myśli przypominamy w brzmieniu oryginału: „Certissimum praesagium est talem fore rempublicam, quales liberi vestri ad eam tractandam accessuri olim sint. Liberos autem vestros eos mores eamque cogitandi et vivendi rationem retenturos, quibus iam inde a teneris imbuti fuerint. Summam itaque rei e solerti et provida educatione pendere sapienter censete.“ Jakie mają być okresy: długie czy krótkie. Powiada Konarski, że zależy to od potrzeby, a młodzież lepiej aby składała krótkie.

Amplifikacya jest to sposób wypełnienia poszczególnych członków okresu wyrazami koniecznymi, pożytecznymi i roztropnie ozdobnymi. Prowadzą do tego różne środki: epitety, przysłówki czasu i sposobu, przemiana słowa na imię, przymiotnika na rzeczownik, używanie synonimów, wyliczanie szczegółów, krótkie porównania i t. d.

Tropy są to w ogólności przenośnie czyli sposoby nadania wyrazom innego znaczenia niż powszechnie przyjęte. Do tropów należą: metafora, alegorya, metonymia, synegdoche, antonomazya. Inne jak: metalepsis, katachrezis i t. d. rzadziej są używane. Wystarcza, jeżeli uczniowie poznają najogólniej naturę tropów, która polega na przeniesieniu znaczenia jakiegoś wyrazu na inne. Tropy powinny być naturalne, nie nadzwyczajne, częściej w poezyi niż w prozie używane.

Figury są to niezwykłe sposoby mówienia, odmienne od zwyczaju powszedniego. Można je podzielić na figury wyrazów i zdań. Figur wyrazów podaje Konarski siedmnaście: *repetitio* (rozpoczynanie mowy kilkakrotnie od tego samego wyrazu), *conversio* (kończenie członków okresu na to samo słowo), *complexio* (gdy w kilku członkach albo okresach powtarza się pierwszy wyraz i ostatni), *conduplicatio* (gdy powtarza się jakiś wyraz w tem samem zdaniu), *traductio* (gdy powtarza się jakiś wyraz w tem samem zdaniu, ale w innej liczbie lub przypadku), *incrementum* lub *gradatio* (gdy następują po sobie wyrazy podobnego znaczenia, ale coraz dosadniejsze), *synonymia* (nagromadzenie wyrazów o podobnem znaczeniu), *multiplicatio* (gdy mowa zawiera częste spójniki), *reticentia* (gdy się jakiś wyraz przemilcza), *dissolutio* (gdy się opuszcza spójniki), *adiunctio* (gdy do jednego czasownika odnosi się kilka członków okresu), *disiunctio* (gdy do każdego członka dodaje się czasownik, chociaż jeden mógłby wystarczyć), *anominatio* lub *paronomasia* (gra podobnych wyrazów o treści niepodobnej n. p. consul ipse parvo animo et pravo, ex oratore arator factus). Paronomasia — pisze Konarski — jest często nadużywana przez naszych krasomowców. Dalsze figury wyrazów są: *similiter cadens* (gdy na te same przypadki lub czasy kończy się kilka członków okresu), *similiter desinens* (gdy dwa lub więcej członków ma podobne zakończenie), *correctio* (gdy wyraz wypowiedziany poprawiamy na inny), *commutatio* (gdy tych samych wyrazów używamy w znaczeniu odmiennem n. p. magistratus lex loquens, lex autem mutuus magistratus). Figur zdaniowych podaje Konarski aż dwadzieścia cztery. Do nich należy *antyteza*, gdy wyraz przeciwstawia się wyrazowi albo zdanie zdaniu. Piękna to figura, ale nie należy jej nadużywać. Nadaje się do poezyi, jak w owym wierszu, deklamowanym przed Karolem V, którego Konarski radzi nauczyć się na pamięć:

„Qui veterem in veteri quaeris novus advena Romam
  Et Romae in Roma nil reperis media,
Aspice murorum moles disiectaque saxa
  Obrutaque ingenti vasta theatra situ
Haec sunt Roma. Viden? velut ipsa cadavera tantae
  Molis adhuc spirent imperiosa minas?
Vicit ut haec mundum, voluit se vincere: vicit,

A se non victum ne quid in orbe foret.
Albula Romani permansit Nominis index
Quique etiam rapidis fertur in aequor aquis.
Disce hinc, quid possit Fortuna, immota labascunt,
Et quae perpetuo sunt agitata, manent."

Inne figury są: *interrogatio* (gdy mowca pyta się o to, co mógł wprost powiedzieć), *subiectio* lub *responsio* (gdy mowca sam sobie zadaje pytanie i na nie odpowiada), *commoratio* lub *expolitio* (gdy ten sam sens różnymi sposobami wyrażamy). Przy ostatniej figurze unikać należy gadulstwa *(multiloquentia)*. Dalsze figury są: *prolepsis* lub *occupatio* (gdy mowca sam sobie stawia możliwe zarzuty), *retractatio* (gdy mowca cofa, co powiedział), *dubitatio* (gdy mowca udaje, jakoby nie wiedział, co powinien powiedzieć), *apostrophe* (gdy mowca przemawia do Boga, ludzi nieobecnych, a nawet do rzeczy nieożywionych), *prosopopaeia* (gdy wprowadza jako mówiących nieboszczyków, nieobecnych żywych, nawet rzeczy nieożywione), *hypotyposis* (gdy rzecz tak przedstawia, jakby się ją widziało, a nie o niej słuchało), *ethopaeia* (gdy kreśli czyjeś obyczaje i przymioty umysłu), *sustentatio* (gdy słuchaczów trzyma w zawieszeniu, nim coś niespodziewanego nie wypowie), *reticentia* (gdy mowę przerywa dla wywołania silniejszego wrażenia), *praeteritio* (gdy udaje, że nie wie lub nie chce powiedzieć tego, o co mu przedewszystkiem chodzi), *concessio* (gdy zdaje się coś przyznawać przeciwnikowi), *parenthesis* (gdy zbacza na krótko od przedmiotu), *deprecatio* (gdy błaga czyjejś pomocy), *exclamatio* lub *epiphonema* (podniesienie głosu, jednak bez nadużycia), *communicatio* (gdy zwraca się poufnie do słuchaczy), *exsecratio* (gdy piętnuje jakieś zło), *ironia* (wywołując inne znaczenie niż je zawierają słowa wypowiedziane). Ironia różni się od alegoryi tem, że ostatnia wypowiadana bywa poważnie i na seryo. Nareszcie zalicza się do figur: *hyperbole* (gdy mowca przesadza w jednym lub drugim kierunku, jednak z rozwagą i rozsądkiem, gdy mowcy nasi popełniają tu często nadużycia), *congeries* (nagromadzenie wielu szczegółów), *sententia* (jakieś zdanie ogólne). Uczniowie mają się uczyć figur powoli i zwłaszcza w początkach nie wolno im na wiele w tym kierunku pozwalać.

Niezmiernie dalej ważną rzeczą dla krasomowcy jest styl t. j. sposób mówienia dobrze i ozdobnie tak, jak to jest właściwem wrodzonym warunkom mowcy lub też opiera się na naśladowaniu innych. Styl jest dwojaki: obszerny i zwięzły. Jeżeli mowca używa stylu obszernego, nie znaczy to, że wolno mu używać słów zbytecznych, lecz przeciwnie wszystkie słowa powinny być konieczne i niejako niezbędne na swoich miejscach. W stylu zwięzłym wzorami mogą być: Pliniusz, Salustyusz, Tacyt i Seneka. Lecz nasi niektórzy Lipsiuse, Puteanowie i Fredrowie popełniają niedorzeczności, a naśladowanie ich bywa źródłem

najgorszej wymowy. Sobie samym wydają się nadzwyczajnym i takimi chcą się innym przedstawić, gdy w rzeczywistości bredzą i nudzą, a dowcipy ich i pomysły błahe są i dziecinne. Można także podzielić styl na: prosty *(infimus)*, dobry w mowach sejmowych, listach, księgach politycznych i t. p., średni czyl ozdobny *(mediocris vel floridus)*, którego wzorem Cycero, a nareszcie wzniosły *(sublimis summusque)*, używany niekiedy przez Cycerona, częściej przez Pliniusza i tragików. Pamiętać wszakże należy, że nasi zwolennicy stylu wzniosłego popadają bardzo często w nadętość i niezrozumiałość, jak historyk Kochowsk i wielu innych. Dla młodzieży styl taki jest bardzo niebezpieczny i dlatego pilnie ją przed nim przestrzegać potrzeba, podobnie jak z drugiej strony przed stylem zbyt prostym, którym się posługują urzędy i edykty publiczne, a to zarówno w łacińskim i polskim języku

Aby nauczyć się używania należytego doboru wyrazów trzeba znać wybornie język, w którym się mówi, a powtóre czytać wzorowych autorów. Młodzież powinna szczególnie przestrzegać jasności stylowej. Baczyć ma, aby wyrazy od siebie zależne były pomieszczone w sąsiedztwie, aby przydawki stały przy swoich rzeczownikach, aby zbytnio się nie rozwlekać, unikać okresów przydługich i wiązać wszystko należytymi spójnikami. Błędy przeciw jasności stylu pochodzą przeważnie z nieznajomości przedmiotu albo z jego wzniosłości, którą niekażdy pojmuje. Błąd ten zwykł wzrastać z latami, skutkiem czego w senacie, sejmie, na kazalnicy i gdzieindziej słyszy się częstokroć mowy, nie tylko dla słuchaczy ale podobno i dla samych mowców niezrozumiałe. Dlatego nauczyciel niech pracuje najpilniej, aby uczniowie naprzód nauczyli się dobrze myśleć i rozumieć, a potem aby rzeczy obmyślone dobrze umieli i porządnie ułożyć i wygłosić. Lepiej jest bowiem, jeżeli uczniowie najprostszego będą używali stylu, niż gdy będą wypowiadali wzniosłe niedorzeczności i szaleństwa (...infimo potius sese plane explicent quam sublimi ineptiant insaniantque stylo).

Ostatni rozdział dzieła poświęca Konarski w szczególności błędom stylu. Niektóre błędy godne są przypomnienia. Każe unikać myśli błahych i czczych, nieładu w rozumowaniu, wyrazów niewłaściwych, barbarzyńskich, źle z obcego języka przykrojonych, przestarzałych i nieużywanych. Złem jest rozmieszczenie nieporządne wyrazów, powtarzanie się, niewłaściwem jest posługiwanie się językiem i zwrotami poetyckimi, gadulstwo chłopięce, a błędem najszpetniejszym jest przesada i nadętość. Między dalszymi błędami wymienia: nadużywanie figur i tropów, hiperbole, sprzeciwiające się zdrowemu rozsądkowi, brak przejść między zdaniami luźność okresów, częste i rozwlekłe parentezy, ciemny styl, używanie obelżywych wyrazów, kuszenie się przesadne o ciągłą zwięzłość, a nareszcie czcze popisywanie się uczonością. Głupota i niedorzeczność widoczna jest szczególnie

wtedy, gdy, mogąc rzecz prostymi środkami jasno przedstawić, popisuje się mowca aż do znudzenia i obrzydzenia niezliczonemi przytoczeniami z poetów, historyków i filozofów.

Nakoniec obiecuje Konarski przygotować niezadługo rozprawę o stylu ojczystym, a zarazem dodaje, że uwagi niniejsze, odnoszące się głównie do języka łacińskiego, dadzą się z równą słusznością zastosować do mowy ojczystej. Obietnicy wielki reformator nie spełnił. Nieszczęśliwe wypadki polityczne, pierwszy rozbiór kraju, a w rok po nim śmierć — stanęły na przeszkodzie.

Różnica między Konarskim a poprzednikami w pojmowaniu zadań retoryki nasuwa się na pierwszy rzut oka. Tamci uważali retorykę przedewszystkiem jako sztukę, Konarski raczej jako środek do pożytecznej służby w ojczyźnie. Nadzwyczajność i osobliwość, mające olśnić słuchaczy i zadziwić, były jedynym prawie celem mistrzów dawniejszych; jasność, prostota i naturalność — oto główne nakazy Konarskiego. Z pomiędzy różnych działów wymowy uprawiali poprzednicy przedewszystkiem rodzaj pochwalny, nadający się do rozwielmożnionego u nas panegiryzmu; Konarski rodzaj ten zaledwie wspomina i nie radzi uprawiać go w szkole, pragnie natomiast przy ćwiczeniach retorycznych nauczyć młodzież jasnego i ścisłego myślenia, a tematy, które podaje jako przykłady, mają za zadanie zaprawić młodzież do należytego pojmowania obowiązków względem siebie i ojczyzny. Jednem słowem pojmowanie retoryki przez Konarskiego nie ma prawie nigdzie punktów stycznych z poprzednikami. Są to dwa światy odmienne, a niezwykła zasługa Konarskiego, że odważył się świat dawny podeptać, a równocześnie umiał nowy świat zbudować, nie uląkłszy się gróźb i oszczerczych zarzutów.

Pozornie wydawaćby się mogło, że i Konarski podobnie jak poprzednicy zanadto drobiazgowo wchodził w prawidła i prawidełka retoryki, że zbyt szczegółowo rozprawia o źródłach, tropach i figurach. Podobieństwo jest czysto zewnętrzne, bo sposób ujęcia przedmiotu jest zasadniczo odmienny. Gdy poprzednicy wyławiali prawidła i lubowali się w nich tem więcej, im bardziej były niezwykłe, nie troszcząc się o to, czy zachodził między niemi związek logiczny i czy odpowiadały przyrodzonym warunkom mówienia, Konarski korzystał niewątpliwie z teoryi starożytnej i komentarzów humanistycznych, ale brał stamtąd to tylko, co odpowiadało zasadom logicznego myślenia i warunkom przyrodzonym mówienia. Podawał wprawdzie za wzór Cycerona, olśniony sławą jego krasomowstwa i wzorowym językiem, ale jako reformator zajął raczej stanowisko Arystotelesa, łącząc wymowę z filozofią i tworząc z przyrodzonych warunków wymowy jej naturalne niejako prawidła. W Polsce uczynił to pierwszy i w ten sposób stworzył nowe podstawy do odrodzenia języka ojczystego i do jego szybkiego rozwoju literackiego zaraz w naj-

bliższej przyszłości. Na stanowisku krytyka uczył patrzeć zdrowemi oczyma na rzeczywistość, uczył być mądrym i w ten sposób położył najwyższe zasługi w dziele odrodzenia ducha narodowego, które sam na wielką skalę rozpoczął i na potężnych oparł podstawach. Toteż miejsce Konarskiego w literaturze polskiej i w dziejach duszy polskiej jest prawdziwie niezwykłe i wyjątkowe.

Wspominaliśmy o poglądach na retorykę następców Konarskiego i odczuwamy sami nasze wobec dawniejszej retoryki stanowisko. Jeżeli nie uprawiamy retoryki w dzisiejszej szkole na sposób dawniejszy, czyż wypadnie nam rzucić kamieniem potępienia na całą dawniejszą naukę krasomowstwa. Sądzę, że należy nieubłagany wydać wyrok na sztuczność, nadętość i interesowność nieprawej retoryki, ale równocześnie podnieść z uznaniem to, czego dokonała retoryka prawa około rozwoju stylu i uszeregowania w zgodzie z logiką pewnych oczywistych prawideł dobrego mówienia. Bezwzględnym przeciwnikom można przypomnieć roztropne słowa R. Volkmanna, że i oni broń swoją świadomie czy nieświadomie biorą ze zbrojowni retoryki i obejść się bez niej nie mogą. Do słów tych można dołożyć uwagę, że znajomość retoryki podaje nam środki do rozpoznawania sztuczności i sofizmatów w mówieniu, co i w dzisiejszej epoce, choć tak głośno mówi o nagości duszy i szczerości, jest podobno potrzebne. Wolno nareszcie powiedzieć, że tylko w zepsutej epoce może mieć powodzenie sztuczna i skażona wymowa, ale w każdej epoce rozumnemi pozostaną prawidła, które dla Greków postawił Arystoteles, a u nas przypomniał nieśmiertelny Konarski.

WŁADYSŁAW JANKOWSKI.

Geneza i dzieje „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza.

Powstanie Śpiewów wiąże się z pięknym a niedoszłym do skutku zamiarem Towarzystwa Warsz. Przyj. Nauk „obmyślenia przystoyney i pożyteczney rozrywki“ dla społeczeństwa. Miano się wziąć „do zebrania z różnych dawnych i późnieyszych pisarzów, przyiemnych i dowcipnych pieśni, któreby mile łudzącemi muzyki, przez dobrze znaiomego z talentu P. Józefa Elsnera i innych przezacnych a biegłością w muzyce wsławionych rodaków, wdziękami obdarzone, zastępowały one płoche lub podłe wyrazy urokiem kunsztownych wdzięków, albo serce każące albo rozumy odrażaiące“ [1]). Tę samą myśl porusza Albertrandy na posiedzeniu publ. 5. grudnia 1803. Plan wszedł już na realniejsze tory, bo obmyślano nawet układ tych „pieśni... częścią z dawnych pisarzów zebranych, częścią nanowo złożonych“. Układ ten zaprzątał pióro męża, „który przedsięwzięcia ważność tak mądrze, tak oraz przenikaiącą serca wymową potrafił okazać“ [2]). Mężem tym był ks. Woronicz, który na publ. posiedzeniu 5. maja 1803 czytał „Rozprawę o pieśniach narodowych“ [3]).

Staraniem Towarzystwa — mówi czcigodny poeta — jest praca nad ocaleniem „naydroższego ułomku roztrąconej istności naszej, w języku narodowym pozostałey“. Dlatego Towarzystwo postanowiło „ułożyć stopniami obszerny, dokładny i zamożny Pieśnioxiąg języka naszego, w którym, zgromadziwszy to wszystko w pieśniach i śpiewach, co tylko chrześciianina, czło-

---

[1]) Mowa Albertrandego na 5 posiedzeniu publ. 5 maja 1803, Roczniki W. T. P. N., T. II, s. 271.

[2]) Roczniki III, 1804, s. 5—6.

[3]) Roczniki II, 1803, s. 369—402

wieka i Polaka obchodzić może, uczynić ten zbiór języka naszego dziedzictwem wszystkich ludzi i pokoleń". Aby zaś to „odpowiadało wszystkich ludzi pożytkowi, poiętności i smakowi, porządek wskazał podzielić ie na trzy główniejsze szeregi: Pieśni religiynych, moralnych i historycznych". W I części po Bogurodzicy mają się znaleźć utwory religijne Kochanowskiego, Rybińskich, Artoniusza, Rzewuskiego, Karpińskiego; wśród moralnych: pienia o gospodarności Rzepichy, o przyjaźni Leszka i Goworka etc., III zaś dział ma objąć „pieśni historyczne narodowe". Jak Franc. Smuglewicz uwiecznia ważniejsze czyny narodu rysunkami i sztychami, tak poeta, czy poeci, powinni je uwiecznić rymem. Nadawałyby się tu n. p. czyny obu Zawiszów, Kowalskiego, Kąckiego etc. „Ogromne to zapewne przedsięwzięcie ale godne całego naszego serca, czucia i dzielnego przyłożenia się, które, aby miało pewny szyk i porządek, podzielić go można na dwa głównieysze rozkłady; w pierwszym, umieszczaiąc ogólne czyny całego narodu, w drugim szczególnych osób znakomitsze charaktery, cechą wielkości oznaczone".

Po dwóch łatach, na posiedzeniu 15 maja 1805 przedstawił Woronicz szczegółowy plan I części pieśnioksięgu i odczytał słuchaczom swój „Hymn do Boga", aby „ducha Pieśnioxięgu zamierzonego bliżej wyrozumieli" [1]). Okazał się jednak brak materyału do części II i III, t. j. pieśni moralnych i historycznych. Wprawdzie Adam Cieciszewski z Galicyi postanowił napisać poemat o Wandzie, a Ludwik Kropiński o wojnie inflanckiej za Batorego [2]), ale skończyło się na obietnicach.

I tak plan ks. Woronicza, choć piękny i pożyteczny, za wielki na siły jednego człowieka, upadł, bo i autor jego za Księstwa warszawskiego powołany został do innej pracy. Drugi prezes Towarzystwa ks. Staszic nie zaniedbał jednak tej sprawy. Już na posiedzeniu kwietniowem 1806 r. [3]) porusza najbardziej piekące potrzeby społeczeństwa i najważniejsze obowiązki Towarzystwa, t. j. ułożenie gramatyki polskiej, historyi narodowej i trzeciego dzieła, „o którem już lat kilka myśl moją zgromadzeniu przedkładam i coraz więcej pragnę, aby mogła być uiszczoną". A mianowicie: „aby, przebiegłszy całą historyę narodową, zebrać główniejsze czyny obywatelskie, bohaterskie, lub nadzwyczajne cnoty, bądź publiczne, bądź nawet partykularne. Te, w liczbie, jaka z ich zbioru wypadnie, ułożyć po-

---

[1]) Roczniki VI, 1810. „Rozprawa II o Pieśniach narodowych" s. 308—330.

[2]) Ibid.

[3]) A. Kraushar, Tow. Warsz. Przyj. Nauk 1800—1832. T. VIII, s. 222 i n. Wyciąg z protokołów T. P. N. zredagowany przez radcę Alex. Iwanowicza Krassowskiego i jego pomocnika, Witanowskiego. — Na dzieło Kraushara powołuję się często i znaczę je: Kr.

rządkiem, a każdego czynu treść opisawszy, podać publiczności z wezwaniem narodowych wierszopisów, aby każdy wybrał jeden lub więcej z tych czynów i opisał go wierszem, na wzór zacnego kolegi Woronicza, lub na kształt dumy Żółkiewskiego"[1]. „Gdy tak już całe główniejsze dzieje będziemy mieli w śpiewach, należy do nich przy każdej pieśni dołączyć muzykę i kopersztychy. Tym sposobem przedstawilibyśmy narodowi dzieje z całym uchwyceniem zmysłów, nawet ojcom i matkom obojętnym samojescom (!). Ułożenie w tym sposobie krótkie, bo może w pięćdziesięciu albo w stu śpiewach dzieł narodowych, tembardziej radzę, tem silniej wzywam wydział do zajęcia się tą myślą, jakiby wynalazł sposób do jej uiszczenia, im więcej uważając nasz nieszczęśliwy naród, widzę w jego upadku, że ta płeć, która w wszystkich innych narodach najwięcej czuje, zapala do cnót obywatelskich, która we wszystkich upadłych narodach najdłużej zachowała umysł narodowy, że te matki, które najpierw karmić i kształcić będą ciało i duszę młodych dzieci, tych ostatnich szczątków nadziei rodu naszego, te u nas najmniej narodowego umysłu mają: obojętne, myślеć nieumiejące, idą gminno za własnem samolubstwem, zawisłe zupełnie, nie od rozwagi, ale całkiem od zmysłów. Trzeba nam więc szukać sposobów, jakby je ująć przez własną ich słabość, jakby własnych ich zmysłów uchwyceniem naprowadzić je do tego, aby gadając, czytając, śpiewając, okazywały nieustannie swoim dzieciom ich przodków dzieje, aby w swych zabawach nawet były zawsze polskich dzieci matkami, nie macochy".

Plan Staszica był konkretniejszy, szczuplejszy i łatwiejszy do urzeczywistnienia, toteż ta przemowa musi być zasadniczym momentem w genezie Śpiewów historycznych i kto wie, czy Staszic nie zachęcił Niemcewicza, by pisał dalsze pieśni „na kształt dumy Żółkiewskiego". Z drugiej strony nie porzucono zupełnie myśli pisania poematów historycznych. Woronicz nieustannie nad tem pracuje. W Rocznikach Towarzystwa (VIII. Cz. I, 1812) w sprawozdaniu Staszica z czteroletnich prac (pos. publ. 19 stycznia 1809) czytamy, że Woronicz „już wygotował w swoim o Sauromacie rytmie wzór do tych narodowych pieśni, przez które pragnie Towarzystwo upowszechnić i uwiecznić głównieysze czyny przodków naszych. Tenże kollega zbogaca literaturę kraiową prawie dokończonym poematem o Lechu" (s. 5). W ślad za tem, na posiedzeniu 2 grudnia 1809 daje się słyszeć „wezwanie do napisania poematu epicznego z dzieiów narodowych; z wyznaczeniem w nagrodę medalu złotego", a z zagajenia posiedzenia publ. 7 stycznia 1813 (Roczniki X, s. 79) dowiadujemy się, że „Nad sworodnemi w literaturze Polskiey dziełу pracuią z tegoż wydziału

[1]) Znana już z II wyd. „Powrotu posła" 1791 i z I zbior. wydania pism Niemcewicza 1803, T. I.

koledzy: Woronicz nad poematem Lechiady; już dwie pierwsze pieśni na publicznem posiedzeniu czytanemi były".

Niemcewicz dopiero na schyłku r. 1807 wrócił do kraju. Gdy się więc zabrał do „Śpiewów" miał już wielce ułatwioną pracę, dzięki planom Woronicza i Staszica. Nie przepomniał, że do śpiewów należy wcielić Bogurodzicę i opowieść o Piaście i gospodarnej Rzepisze, o przyjaźni Leszka i Goworka, pieśń o dzielnym Zawiszy, że trzeba „przebiegłszy całą historyę narodową, zebrać główniejsze czyny, bądź publiczne, bądź nawet partykularne", a gdy już będą zebrane „należy do nich przy każdej pieśni dołączyć muzykę i kopersztychy".

Trzeba tedy uznać „Śpiewy" za III część trylogii Woroniczowej, trzeba je uważać za dzieło pomysłu Woronicza i Staszica, a tylko wykonania Niemcewicza. Ale to wykonanie jeszcze dużo twórczej pracy wymagało.

II.

Dwa wiersze są najwcześniejsze: duma o Żółkiewskim i duma o Stefanie Potockim (w Śpiewach Nr. 25 i 29). Napisał je Niemcewicz jeszcze przed r. 1791 (nie przeczuwając, że je kiedyś w Śpiewach umieści), po przyjeździe z Anglii, pod wpływem „romansów" angielskich, a zwłaszcza pieśni Osyana, które „bardziej, niż wyryte w twardych głazach napisy, zachowują nam pamięć języka ludów już zatraconych. Język Ersów... brzmi dotąd w uściech Ossyana następców". (Przemowa.) W szczególności duma o Żółkiewskim powstała w 1786 r. Wiersz ten „dla słodyczy i przyjemności nuty imć. pani Konstancyi Dembowskiej [1]), przez usta płci pięknej powtarzanym był dotąd i stał się powodem tow. królewskiemu, że znakomite czyny królów i bohatyrów naszych podobnym sposobem podanemi mieć chciało". (Przydatki do śpiewu o Stan. Żółkiewskim s. 309.) Z niej to, jak z nasienia, urosły „Śpiewy historyczne". Obie najwcześniejsze dumy wydał potem Niemcewicz w r. 1791 przy II wydaniu „Powrotu posła". Pierwiastek „kochania obok odwagi" uczynił z nich romance, w których poeta „nie przymuszony trzymać się ściśle prawdy historycznej, bierze treść z dziejów, upięknia je wszystkiemi omamieniami uczucia i imaginacyi, miasto tego, co było prawdziwem, pisze to, co rozrzewnia, unosi, zachwyca". (Przemowa, s. 15—16.) Znalazły się potem te dwie dumy-ballady, czy romance w pierwszem zbiorowem wydaniu (Mostowskiego, T. I, r. 1803, s. 179 i 482) [2]).

---

[1]) Wówczas jeszcze Narbuttównej.

[2]) Oto ważniejsze odmiany: Duma o Żółkiewskim zw. 5: zaczął rymy śpiewać...; zwr. 7: Szwedów (za: Niemców); zwr. 17: Tyś mu na czele krył szlachetnym blizny... I wielkiemi literami pi-

Trzecią z rzędu była duma o Michale Glińskim, napisana zdaje się w r. 1803, bo tegoż roku na sesyi publ. T. P. N. 5 maja odczytana, z zapałem przez obecnych została przyjęta. Pojawiła się naprzód w Rocznikach T. P. N. (Rok II, 1803, s. 455—459), drugi raz w wydaniu zbiorowem Mostowskiego T. I, s. 486[1]). Do wcześniejszych należy też: duma o Bol. Chrobrym, drukowana w r. 1809 w Osińskiego „Pamiętniku warszawskim" T. I, 2, duma o Kazimierzu Mnichu, drukowana tamże s. 152, śpiew historyczny o Bol. Śmiałym, drukowany tamże s. 295, Bol. Krzywousty, druk. tamże T. II, s. 14, Leszek Biały, druk. tamże s. 139 i Władysław Łokietek, śpiew histor. druk. tamże T. III, s. 340[2]).

Trudno stwierdzić, czy wiersze te uważał Niemcewicz za ogniwa przyszłych śpiewów, czy otrzymał już polecenie od Towarzystwa P. N. a jeśli tak, to dlaczego popularyzował te utwory przed zbiorowem ich wydaniem?

Do śpiewów wziął się Niemcewicz na wyraźne polecenie Towarzystwa, które pragnęło dać narodowi „wystawienie w Śpiewach historycznych naysławnieyszych przygód, nayświetnieyszych czynów i zwycięztw Królów i woiowników Polskich" (Przemowa s. 6). Niemcewicz zdawał sobie sprawę z ważności polecenia i ze sposobu, w jaki to dzieło należało obrobić. Wiedział, że ma ono w młodzieży zaszczepiać „silne przywiązanie do kraiu", pamiętał jednak, że „czyny, opowiadane poważnym i surowym historyi stylem, nieraz wymykać się zwykły z pod uwagi młodzieży", że chodzi o to „by zwięzłością rymów a nadewszystko wdziękiem pienia, wiadomość dzieiów Oyczystych stała się młodzieży powabną, wszystkim powszechną". Więc porzucił „potoczny tok",

---

sane wyrazy, jak: Cecorski, Hełm, Rycerz, Rymy, Hetman, Państwo, Carów, Tron, Orły Polskie, Ojczyzna. Duma o S. Potockim zwr. 8: Stawa Rycerz; zwr. 9: Bodaybyś za: bogdajbyś; zwr. 11: żółte wody za: Żółte Wody. I znów wielkie litery: Rycerze, Ojczyzny, Hordy, Hetman etc. (tekst dawniejszy i tekst z 1816 r.).

[1]) Zmiany: zwr. 1: Wzdychał a skargi i jęki wywierał; zwr. 4: Przez te łzy rzewne...; zwr. 6: Czem człek wśród ludzi może mieć przewagę...; zwr. 7: Wpadłszy od Litwy aż ku...; zwr. 8: zdjęty zniewagą...; zwr. 13: Wyłupił oczy... I w tych okowach do więzienia skazał...; zwr. 13: ostatki mej nędzy...; zwr. 16: widok ojczyzny nagrodzić sowicie... Ujrzysz twe szczyty...; zwr. 17: nigdy się z zwodnym nie łączył sąsiadem...; zwr. 18: godzien lepszej chwały... O tyle tekst z Roczników i wyd. z r. 1803 — różny od tekstu z 1816.

[2]) Bruchnalski, Mickiewicz-Niemcewicz, Pam. literacki, 1903, s. 549. Nie porównywałem tekstu tych wierszy z „Pamiętnika" z tekstem w wyd. z 1816 r., gdyż pisząc to w małej mieścinie pokuckiej, nie miałem książek pod ręką.

sposób „którym prostych rycerzy dokazywania i miłości opisywane są w obcych pieśniach, romansami zwanych", a uznał śpiewy za „wierszopistwo" wyższe, które wkładając na „piszącego obowiązek trzymania się prawdy, odeimuie mu naycelnieyszą w poezyi sprężynę, odeimuie mu imaginacyą" (Przemowa).

Słowa te są bardzo ważne i bardzo znamienne, tak dla twórczości dotychczasowej Niemcewicza, jak dla śpiewów w szczególności. Jest to bowiem odpowiedź na zagadnienie: co ma być górą w śpiewach: czy cel praktyczny, czy cel artystyczny? Pisać dalej dumy-ballady, czy śpiewy historyczne? Wiadomo bowiem, że poeta uważał dumę za równoznaczną z angielską balladą[1]). W dumach-to używał owego „potocznego toku", w śpiewach musiał „trzymać się prawdy", a odrzucić „imaginacyą". — Przeważył wzgląd praktyczny i słusznie, jeżeli śpiewy miały być elementarną historyą polską. Trudno było jednak przy układaniu śpiewów wyrzucić istniejące już, a piękne i uznane dumy-ballady: 1) Bolesław Chrobry, 2) Kazimierz Mnich, 3) Michał Gliński, 4) Stanisław Żółkiewski i 5) Stefan Potocki, więc Niemcewicz, chcąc konsekwetnie przeprowadzić swój pogląd, że śpiew historyczny jest tylko obrazem czynu jakiegoś lub zdarzenia historycznego, a duma jest śpiewem, który ma w sobie pierwiastek smutku, żałoby, eligijności, dwom dumom (Bol. Chrobry i Kazimierz Mnich) odjął tytuł: duma, trzem innym pozostawił tę nazwę w wydaniu 1816 r. Resztę śpiewów tworzył już w duchu istotnych (swojem zdaniem) śpiewów, pozbawiając ich cech romancy, barwy rycersko-romantycznej, pierwiastku miłosnego i fikcyjnego.

Wziął się Niemcewicz na dobre do pracy nad śpiewami w r. 1809 („to dzieło przed siedmią latami zaczęte..." Przemowa, s. 12) i z końcem r. 1810 ukończył 32 pieśni[2]). Ostatnia bowiem (Nr. 33) pieśń „Pogrzeb Józefa Poniatowskiego", umieszczona po obszernem finale „Krótki rzut oka na czasy od Jana III aż do dzisieyszych" — jest tylko luźnym dodatkiem i powstała w istocie najpóźniej. Najpóźniej też sporządzono do niej rycinę. Jeszcze 8 października 1815 r. na posiedzeniu ogólnem T. P. N. Niemcewicz składa w Towarzystwie 32 blachy sztychowane, a więc do 32 pieśni. Sprowadzenie zwłok bohatera i powrót wojsk polskich z Francyi do Warszawy 10 września 1814 pobudziły tak Niemcewicza, jak Brodzińskiego i Molskiego do napisania wierszy żałobnych.

„Wielu wierszopisów napisało ody na wnijście wojska naszego i ja też napisałem pienie pogrzebowe zaczynające się od słów: Z pomiędzy bojów i gradów ognistych etc." —

---

[1]) O tem obszerniej Bruchnalski, op. cit., s. 245—251.

[2]) W. Czermak w przedmowie do wydania Śpiewów, Lwów 1895, s. LIX twierdzi, że napisał je między 1809—13.

pisze Niemcewicz w Pamiętniku [1]). To „pienie“, to właśnie wiersz XXXIII: „Pogrzeb Józefa Poniatowskiego, ur. 1761 † 1813, pienie pogrzebowe“ (s. 430—33).

Wiersz ten powstał pod wrażeniem pogrzebu, który także opisał Niemcewicz w Pamiętniku (II, 177): „toż same wojsko wprowadziło z Woli ciało księcia Józefa Poniatowskiego, przy odgłosie żałobnej muzyki, z okrytemi krepą orłami i bronią. ...Na ogromnym wozie stała ta trumna, przykryta czarnym kirem, z herbami zmarłego. Żołnierze polscy wyprzęgli konie i zwłoki zmarłego wodza ciągnęli piersi własnemi... Gdy wóz zaszedł przed kościół św. Krzyża, podnieśli trumnę oficerowie i na katafalk wprowadzili. Na ten czas wojsko z ręcznej strzelby i artylerya z dział wszystkich razem wydała *vale* ostatnie“. — A we wierszu (s. 430—1):

„Z pomiędzy bojów i gradów ognistych
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.
.....Okryte orły, zbroje wojowników
Czarną żałobą...
Ciągną go wierni towarzysze broni Piersi własnemi.
Żałosne trąby... flety płaczliwe...
Patrz: przed świątynią, przy światłach gasnących,
Porywa młodzież z wozu ciężar drogi
I wnosi w pośród grzmotu dział bijących
W wieczności progi.
.....Ach! przyjm ostatnie te ich pożegnania,
Wodzu waleczny!“

Rycinę, ilustrującą ten śpiew sztychowano w Dreźnie (Stoelzel) dopiero w 1816 r. Jest to rycina z datą najpóźniejszą, więc i ją sporządzono dodatkowo.

III.

Śpiewy z początkiem r. 1810 były już na ukończeniu. Staszic (posiedzenie central. 4 marca 1810) [2]) z radością zawiadamia o tem Towarzystwo. Pozostaje tylko zaopatrzyć je w „kopersztychy i nuty muzyczne“, a ponieważ to pociągnie wiele kosztów, więc trzeba subskrypcyi, w czem udział Towarzystwa jest konieczny. Wnet jednak przyszła pożądana pomoc: pani Franciszka Krajewska, Instygatorowa koronna, ofiarowuje prezesowi Towarzystwa na ten cel oblig skarbowy „na sumę 2500 złotych

[1]) Pamiętniki J. Urs. Niemc. 1809—1820, Poznań, 1871, T. II, 179.
[2]) Kr. t. II, s. 218.

w bilonach". Kopersztychy autor wziął na siebie a nut ma dostarczyć Alex. Chodkiewicz, za pośrednictwem artysty, u niego mieszkającego [1]). Koniec roku 1810 był też końcem pracy nad śpiewami. Na dorocznem posiedzeniu 21 stycznia 1811 czyta już Niemcewicz przedmowę do śpiewów historycznych, a Staszic, zagajając to posiedzenie, zawiadamia członków o pracy nad muzyką i rycinami [2]): „Ułożeniem do nich not muzycznych i rysunku wizerunków zatrudniaią się znane z swoich talentów osoby z tey płci cnotliwey, którey Oyczyzna iest winna zachowanie nieskażoney Narodowości w synach [3]), w tey iedyney nadziei, w owym nieszczęsnym czasie, gdzie tyle zawistnych nam usiłowań pracowało nad niszczeniem wszystkiego, co tylko Polskiem było... Szanowne osoby! Waszych imion uwielbienia za takowe z nami pracy podzielenie, zostaną się w dzieiach Towarzystwa, a nieskończoną wdzięczność czuć dla was będą oyce i matki, czyli nucąc swoim dzieciom pieśń oyczystą na grobach ich naddziadów, czyli przedstawiaiąc im obrazy cnoty i męstwa ich przodków".

W grudniu 1811 r. czytano uwagi ks. Czarneckiego nad „Przypisami" do śpiewów. Tymczasem, jak zwykle, powierzono ocenę dzieła osobnej komisyi, czyli „deputacyi", złożonej z 25 osób, która miała Towarzystwu przedstawić swój „raport" i uwagi.

Na posiedzeniu 2 lutego 1812 Niemcewicz zawiadamia, że wnet ukończy swe układy ze sztycharzami drezdeńskimi. Na posiedzeniu 1 marca 1812 r. usłyszało Towarzystwo raport deputacyi.

Mimo wszystko nie można było jeszcze przystąpić do druku. „Pieśni historyczne (ogłasza Staszic 7 stycznia 1813), iuż dawniey ukończone i na zapis publiczności podane, dotąd z druku wyiśdź nie mogły, gdyż ryciny blach do obrazków ieszcze nie są wszystkie ukończone, chociaż ciągle tą pracą przez rok cały zaymuią się naydoskonalsi artyści w Dreźnie" [4]). Tymczasem Niemcewicz 1 lutego 1813 wyjeżdża do Drezna, wysłany tam przez Radę ministrów. Wytrzymuje oblężenie miasta przez Austryaków, Prusaków i Moskali, przechodzi ciężką „febrę szpitalną", czy nerwową (Pamiętniki 1809—20, II, 119), a wyzdrowiawszy trochę, krząta się koło śpiewów. „Starałem się — powiada w „Pamiętnikach czasów moich" [5]) — naglić rysowników, by ryciny moje do śpie-

---

[1]) Pos. centr. 7 października 1810. Kr. II, 236.

[2]) Rocz. T. P. N. T. IX. s. 99.

[3]) Rażąca niekonsekwencya. Por. mowę Staszica 2 kwietnia 1800, gdzie o kobietach mówi: „najmniej narodowego umysłu mają, obojętne, myśleć nieumiejące, idą gminno za własnem samolubstwem, zawisłe zupełnie nie od rozwagi, ale całkiem od zmysłów".

[4]) Roczniki X, 4.

[5]) Lipsk 1868, s. 308.

wów historycznych pokończyli...". Słusznie więc Staszic na posiedzeniu 7 listopada 1813 r. zawiadamia obecnych, że Niemcewicz nawet za granicą „nie przestaie zaymować się ukończeniem śpiewów historycznych, do których wizerunki i muzyka znacznie już postąpiły"[1]).

Minęły znowu dwa miesiące i znowu Staszic porusza sprawę śpiewów[2]): „Naprzód staraliśmy się, aby głównieysze narodowe sprawy tak urządzone i przedstawione zostały, by przy pierwszem rozwiianiu się zmysłów młodego Polaka, mogły stać się iego pierwszem uczuciem, iego pierwszym przedmiotem, iego dziecińśtwa zabawą. W tym celu wszystkie ważnieysze dzieie ułożone zostały w śpiewy. Czyn główny wystawiony rysunkiem, i przyłączona muzyka. Tak każda Polka, stawszy się matką, będzie łatwo mogła dopełniać pierwszego względem swoich dzieci obowiązku wpaiania przez ich zmysły w ich młode serca, w ich wszczynaiący się rozum, przykłady ich przodków męstwa, cnoty i miłości oyczyzny. Ryciny blach do obrazów, ciągle od dwóch lat w Dreźnie robione, nie mogły bydź ieszcze wszystkie ukończone. To wstrzymuie wydanie dzieła".

Ale i pieniędzy nie było. Praca około zebrania funduszów była już w pełnym toku: rozpisano prenumeratę, odniesiono się do rozmaitych osób w sprawie sprzedaży biletów. (Posiedzenie 12 stycznia 1812). Wogóle wszyscy prefekci departamentów Księstwa warszawskiego (jak świadczą urzędowe wyciągi z protokołów, Kr. XIII, s. 188) zajmowali się zbieraniem prenumeraty. Sprzedaż zaś biletów w Warszawie polecono hr. Zamoyskiej, Kickiej, ks. Lubomirskiej, Węgorzewskiej, Biernackiej, Rembielińskiej, Jaraczewskiej, ks. Sierakowskiemu, Ponińskiemu, hr. Sołtykowi.

Wreszcie na posiedzeniu central. 10 stycznia 1814 Niemcewicz przedstawia stan funduszów: Z prenumeraty po koniec 1813 r. uzbierano złp. 5134. Już jest 24 kopersztychów gotowych, Elsner zaś podjął się przejrzeć część muzyczną[3]). Prenumerata idzie powoli, nie każdy bowiem bierze sobie tę sprawę do serca. Prefekt departamentu Radomskiego odesłał bilety, nie sprzedawszy w swym departamencie ani jednego (pos. central. 24 kwietnia 1814)[4]). Kiedy na posiedzeniu 5 lutego 1815 Niemcewicz[5]) zawiadomił, że wszystkie ryciny do dzieła (t. j. 32) są już gotowe, można było na posiedzeniu ogólnem 8 października 1815[6]) przystąpić do generalnego sprawozdania kasowego. Z 1000 biletów

[1]) Kr. III, 24.

[2]) Sprawozdanie z czteroletniej pracy Tow. na pos. publ. 10 stycznia 1814. Roczn. X, s. 63.

[3]) Kr. III, 28.

[4]) Kr. III, 64.

[5]) Wspomniany już szczegół. Kr. III, 99

[6]) Kr. III, 136.

sprzedano przez kilka lat tylko 190, pozostało do użytku jeszcze 347; wydano różnym osobom, które pieniędzy nie przysłały jeszcze dotąd biletów: 477 (chyba 463). Na temże posiedzeniu Niemcewicz składa dzięki „osobom znakomitym, które się, czy w nótach, czy w rysunkach w tej materyi pomocnemi i troskliwemi okazały“. Raport podano do gazet, a prenumeratę na dzieło, w cenie zł. 30 za egzemplarz, przedłużono do 1 stycznia 1816 r. Postanowiono je drukować kosztem (?) [1]) Towarzystwa. Na tem posiedzeniu Niemcewicz składa 32 blachy z rycinami; kosztowały one 4538 zł. Pozostało ogółem 6352 zł. na opędzenie kosztów wydawnictwa. Resztę tę złożył Niemcewicz na ręce Prezesa. Papier do dzieła tego postanowiono sprowadzić z Berlina. Dodatkowo do tego sprawozdania, zawiadamia Niemcewicz na posiedzeniu central. 3 grudnia r. 1815 [2]), że prof. Szulc z Bydgoszczy zebrał 600 zł. prenumeraty; do tego przyczynił się też trybunał cywilny w Bydgoszczy [3]).

Nie pozostawało tedy nic innego, jak przystąpić do druku. Niemcewicz „korzystając z liberalnego paroksyzmu cara Aleksandra i tymczasowej łagodności rządu, który w niczem jeszcze zawziętości swej przeciw imieniowi polskiemu nie okazał“ (Pamiętniki czasów moich, 310), zajął się drukiem. W istocie czas był po temu: drugi rok istnienia Królestwa kongres., po podpisaniu przez Aleksandra liberalnej konstytucyi, jego pobyt w Warszawie, podczas którego ujął wszystkich łaskawością i uprzejmością. Fantasta ten był nieobliczalny, więc zanim marzenia i porywy młodości mógł złożyć na ołtarzu reakcyi, póki był łaskaw i liberalny, trzeba było Śpiewy drukować. Tuż przed rozpoczęciem druku, wyznaczono (posiedzenie 8 października 1815) nową deputacyę do powtórnego przejrzenia śpiewów: ks. Adama Czartoryskiego, biskupa Prażmowskiego, Lipińskiego, Szaniawskiego i Kossakowskiego.

W 8 dni po posiedzeniu ogóln. 7 stycznia 1816 w pismach warszawskich pojawiła się odezwa Tow. P. N., zapowiadająca wydawnictwo: „Gdy przy ustalonym losie królestwa Polskiego przez mądrość Aleksandra I, Cesarza i króla, bez przeszkody na-

---

[1]) Chyba pod egidą Towarzystwa.

[2]) Kr. III, 151.

[3]) W wydaniu I na końcu jest „lista alfabetyczna prenumeratorów na Śp. hist. Podług podania osób trudniących się zbieraniem prenumeraty“. Podano: „Biletów sprzedanych 450“ (raczej powinno być 454). Między prenumeratorami jest sam autor. Osób 15 wzięło po 2 egzemplarze, ponad 2 wzięli: księgarz Wecki 10, Czacka Barbara 4, Karpiński Gabryel, prof. szk. wojew. kaliskiej 10, Koźmian Kajetan 6, Lessel Fr. 3, Lewicki Maksymilian 3, Narbutt Wojciech 4, Szulc Jan, prof. szk. Bydgoskiej 5, Zamoyski Stanisław ordynat „dla swego domu“ 9.

ukom poświęcać się można, Towarzystwo królewskie Przyjaciół nauk, korzystając z momentów, przyjaznych Muzom, przyspiesza wydanie na widok publiczny „Śpiewów historycznych“, przez J. U. Niemcewicza ułożonych. Wydanie to w roku bieżącym bezwątpienia nastąpi i byłoby przyspieszonem, gdyby nie przyczyniała się do zwłoki trudność niemała w sprowadzeniu dobrego papieru z zagranicy, który na to dzieło jest zakupiony. Tymczasem pracują artyści około nót muzycznych i rycin, a druk samych śpiewów z objaśnieniami długo zabawić nie może“ [1]).

I wreszcie na posiedzeniu ogólnem, z początkiem grudnia 1816 r. zawiadomiono Tow., że śpiewy wyszły już z druku. Polecono sekretarzowi, by jeden egzemplarz, oprawiony w safian, wręczył jako dar Instygatorowej koronnej „w dowód wdzięczności za przyłożenie się do funduszów za druk“ [2]). Nie omieszkano wręczyć i carowi egzemplarza. Aktu wręczenia Śpiewów wraz z Rocznikami Towarzystwa dokonał hr. Sobolewski, były minister, sekr. stanu Królestwa Polskiego [3]). Egzemplarz śpiewów posłano nawet do Ks. Poznańskiego, za pośrednictwem sekretarza regencyi tamtejszej, Szlegla (Kr. VIII, 188).

Mógł tedy Staszic z ulgą wypowiedzieć kilka uwag, o tem wydawnictwie, o którem tak często myślał i mówił: „Śpiewy historyczne już ukończone [4]) i rozdane oycom i matkom, tym pierwszym nauczycielkom młodych Polaków i Polek. Znaydą one tam środki, iakiemi przez wszystkie zmysły duszom młodym nadawać cnót obywatelskich uczucia i iakie im na grobach dzielnych ich przodków nucić pieśni. Pisarz tych śpiewów, który, co o innych cnotliwych Polakach nucił, to własnemi czyny swego życia okazał, Julian Niemcewicz zbogacił nadto literaturę Polską wzorowem pisaniem baiek...“ [5]).

Pierwsze wydanie Śpiewów rozchwytano w lot. Był to na owe czasy wypadek niezwykły, toteż redakcya „Pamiętnika warszawskiego“ w zeszycie styczniowym 1818 r. (s. 127) porusza to „Nadzwyczayne zjawienie w księgarstwie polskiem...“. „Zarzucaią nam i podobno nie bez przyczyny, iż

---

[1]) Kr. IV, 16.

[2]) Kr. IV, 84.

[3]) Kr. VIII, 246.

[4]) Roczniki XII, s. 54—5, zdanie sprawy z czteroletnich prac Tow. pos. publ. 30 kwietnia 1817.

[5]) Myli się autor urzędowego memoryału, pisząc o tej mowie uwagę u Kr. VIII, 263 — że nie była ona drukowana w Rocznikach — i że to „można wytłumaczyć niejaką ostrożnością Towarzystwa, albowiem wydrukowana w Rocznikach mowa Prezesa, wygłoszona publicznie, stanowiłaby niepokonaną poszlakę, że Tow. usiłuje budzić nie tylko marzycielski i nielojalny patryotyzm, ale nawet pyszni się takiemi usiłowaniami“.

w ogóle mało iest osób czytaiących, a mniey ieszcze takich, któreby w stosunku do swoich dochodów, pomiędzy rozmaitemi wydatkami kładły także rubrykę na zakupywanie książek, a tem samem utworzenie w k a ż d y m domu biblioteczki (iak to we Francyi i w Niemczech widzieć można), która w chwilach wolnych, zastępuiąc towarzystwo osób żyiących i rozrywkę i ukształcenie serca i ustalenie charakteru i zbogacenie w pożyteczne wiadomości przynieść może. Tento iedynie brak czytelników, nietylko między szlachtą drobną ale nawet wyższą i pewna oboiętność domów zamożnieyszych na płody literatury zwłaszcza k r a i o w e y, wytłumaczyć poniekąd może trudność w wydawaniu dzieł większych i zaleganie po księgarniach dzieł nawet lepszych. Za nadzwyczayne zatem poczytuię w dzieiach literatury oyczystey zjawienie, na śpiewach historycznych Juliana Urs. Niemcewicza wydarzone i wiadomości publiczney godne. Dzieło to w 1500 exemplarzach wydrukowane, rozprzedanem zostało w siedmiu miesiącach; dochód zaś czysty, t. j. po odtrąceniu wszystkich wydatków, ze sprzedaży tey wynikły, a przez szanownego autora Królewskiemu Towarzys. Warszaw. Przyiaciół Nauk podarowany, przyniósł: 28.864 zł., wyraźnie: dwadzieścia i ośm tysięcy ośmset sześćdziesiąt i cztery złote. Drugie wydanie ukończone zostanie w niedługim czasie, doprowadzone iuż bowiem prawie do połowy".

Wracając do dalszych dziejów tego dzieła, zanotować należy, że pierwsze sprawozdanie ze sprzedaży przedstawiono Towarzystwu na posiedzeniu 5 października 1817 r. Czysty zysk wyniósł 20.000 złp. Zaprojektowano II wydanie w 1000 egzemplarzach. W styczniu 1818 r. — jak widzieliśmy — doprowadzono je prawie do połowy. Czysty zysk — jak zaznaczono — ofiarował Niemcewicz Towarzystwu [1]). Urzędowo zawiadamia o tem członków Staszic na posiedzeniu 23 listopada 1818 (Roczniki XIII, 37): „Zwiększyły się fundusze Towarzystwa przez darowiznę Szanownego członka Juliana Niemcewicza, którego Śpiewy historyczne znaczną korzyść z sprzedaży Towarzystwu przyniosły".

Na posiedzeniu ogólnem 1 marca 1818 r. czytano znowu sprawozdanie z funduszów:

Za Śpiewy historyczne . . .	47.473	zł.
na druk	18.611	„
czysty zysk	28.861 (?)	„

Z tego dano ks. Sapieżynie na procent 20.000 (Kr. IV, 195).

Na posiedzeniu 4 kwietnia 1819 r. znowu sprawozdanie finansowe:

ze sprzedaży śpiewów .	29.066 zł.	18 gr.
na ich druk ponownie .	10.509 „	17 „

[1]) Doniósł Czytelnikom w p r z e d m o w i e — że dzieło to nie jest już osobistą jego własnością (s. 21).

Drugie wydanie także szybko się rozeszło, za drugiem poszło trzecie w 1819 r.

Wkrótce spotkał Niemcewicza zaszczyt, który mu w Towarzystwie jednogłośnie przyznano. Na posiedzeniu ogólnem 6 lutego 1820 Prezes wnosi, by zawiesić w sali obrad portret Niemcewicza „pełnego zasług publicznych i prywatnych... jako przykładającego się z gorliwością wzorową, bez przerwy do sławy i dobra Towarzystwa, nie tylko we względzie nauk, lecz i spraw ekonomicznych... Roczniki nasze zawierają jego prace, kasa Towarzystwa odbiera corocznie prowizyę od 20 tysięcy, zebranych na Śpiewy historyczne, które Niemcewicz w roku 1816 Towarzystwu darował“. Wniosek uchwalono jednogłośnie. Właśnie nadszedł Niemcewicz, a dowiedziawszy się, o czem mówiono „ledwie dał się nakłonić, aby przyjąć od Towarzystwa ten mały dowód szacunku i wdzięczności dla siebie“ [1]).

IV.

Wydanie z 1816 r. było bardzo piękne: „wypielęgnowane w wyższem towarzystwie dam polskich i przyozdobione wykonanemi przez nie rysunkami i utworami muzycznemi“. (Pamiętniki Fr. hr. Skarbka, Poznań, 1878, 65). Sam Niemcewicz przykładał wiele wagi do rycin i muzyki. „Całą zaletę i okrasę dzieła tego — pisze on — muzykę i ryciny, winna będzie publiczność w znaczney części tey płci żeńskiey, która, iak dawniey wiodła młodzież rycerską do odwagi i sławy, tak i dziś, ubiegaiąc się z nami w obywatelskiey gorliwości, udzieliła swych talentów, by tkliwym pienia wdziękiem upowszechnić pamięć sławnych Polski woiowników“. (Przemowa, 20—21). Co prawda, nie tylko kobiety rysowały ilustracye i układały muzykę, byli i mężczyźni współpracownikami. Oto kompozytorowie: Lessel, panna Cecylia Beydale, Kochanowska, Kurpiński, Laura Potocka, panna Paris, W. hr. Rzewuska, Marya Szymanowska, Fr. Skibicki, Z. Zamoyska, Deszczyński, Konstancya Narbuttówna, H. Chodkiewiczowa, X. Marya Wirtemberska. Śpiewy poprzedza pieśń Bogurodzica, autentyk z Gniezna. Gdy w sierpniu 1812 r. Niemcewicz, zastępując ks. Kopczyńskiego, wizytatora szkół prowincyonalnych, wysłany został przez Dyrekcyę edukacyjną do ziem polskich, odzyskanych traktatem tylżyckim, był w Gnieźnie i słyszał tam śpiewaną Bogurodzicę. „Jest to (pisze w Pamiętn. czasów moich, 298 i w Pamiętniku 1809—20, I, 363) najdawniejszy zabytek języka naszego; dano mi jej nutę oryginalną“. Lessel, kompozytor przerobił ten gregoryański śpiew na dzisiejszą muzykę, a „uszanowanie, które starożytności winniśmy“ (Przemowa) pobudziło Niemcewicza do umieszczenia na czele dzieła tej prastarej pieśni.

[1]) Kr. V, 20.

Nie wdając się w ocenę tych kompozycyi, trzeba zwrócić uwagę na dobór współpracowników i na pewien pietyzm i troskliwość w rozdzielaniu agend: oto Zofia z Czartoryskich Zamojska ilustruje muzycznie śpiew o Janie Zamojskim, hr. Chodkiewiczowa śpiew o Chodkiewiczu; prawnuczki — pradziadom.

Są to śpiewy poważne i smętne nieraz, o tempie powolnem: largo, larghetto, adagio, andante, andantino, co najwyżej moderato lub allegro; w wykonaniu: maestoso, lagrimoso lub lamentoso.

Rycin jest także 33, same miedzioryty i staloryty, wykonane w Dreźnie. Autorami pomysłów są znowu kobiety i mężczyźni: X. E. Sułkowska, I. Frey, L. Potocka, C. Dembowska; dwa nazwiska, trudne do odczytania z podpisu na obrazku. Przy kilku rycinach niema podpisu autora, tylko podpis sztycharza. Obrazy te wykonano w latach 1812, 13, 16. Wprawdzie obraz X (Jagiełło pod Grunwaldem) ma datę 1821, ale to pomyłka, zamiast 1812. Najpóźniej wykonano obrazek ostatni (pogrzeb X. Józefa), bo dopiero w r. 1816. Najwięcej zasłużyła się Eug. X. Sułkowska, która jest autorką aż 8 rycin, 3 wykonała Laura Potocka. Na ogół słabe to rzeczy, mające wady w samym rysunku. Ludzie, konie, twarze, ruchy — nieraz śmieszne. Dużo czasem nienaturalności, jakaś teatralna sentymentalność, np. w 2 obrazkach Laury Potockiej (XXIX, XXXI); nieraz szczegóły dobre a całość gorsza, nieraz bywa na odwrót. Niektóre znowu wyróżniają się lepszymi szczegółami (4, 5, 8, 10, 12, 16, 29, 32). Znalazłoby się wiele szczegółów, które są anachronizmami, historycznie biorąc; na jeden zwrócił już uwagę Lelewel (Śpiewy historyczne Juliana U. N. pod względem historyi uważane), że: „Na rysunku Numero 2 podobno za nadto wcześnie woysku za Bolesława Wielkiego skrzydła przypięto, a do tego tak ogromne, jak gdyby mu się w spadku po owych aniołach, do Piasta przybywających, dostały" (s. 37). Trudno jednak oceniać ryciny pod względem wartości artystycznej, bo niewiadomo, co policzyć na karb autora, co zaś zepsuł sztycharz. Rysunki, prócz czterech (niewiadomo, które to) sztychowano w Dreźnie. Staranności w wydaniu dowodzą też bardzo obfite i obszerne „Przydatki", jak również umieszczone na końcu „Wyrazy mniey dzisiay znane".

V.

Najwcześniejszą oceną są uwagi Kajetana Koźmiana, czytane na jednem z posiedzeń Towarzystwa (może 1 marca 1812): „Raport o śpiewach historycznych Niemcewicza" [1].

Ciekawy to raport, oparty na obszernym pseudoklasycznym aparacie reguł, drobiazgowy, surowy, bo recenzent wychodzi z założenia, że autor „pobłażania nie potrzebuje".

[1] K. Koźmian, Pisma prozą. Kraków, 1888, s. 323 i n.

A więc pyta Koźmian: 1) jaki jest cel śpiewów, 2) jakie im „przystoją prawidła“? Dwojaki cel być może: 1) „aby wystawieniem walniejszych spraw, celniejszych czynów, znakomitszych wypadków, sławniejszych mężów, dać uczuć sercom ziomków cenę własnej narodowości; unieść szlachetną we wnętrznej wartości rodu swojego dumę, zapalać do naśladowania dzieł podobnych, zająć zemstą, nienawiścią, wdzięcznością, rozkwilić żalem, zgoła wzbudzić wszystkie szlachetne pasye, które, jak w ludziach znamionują pewny i wyraźny charakter duszy, tak w narodach są cechą ducha męskiego, jedynego dla wielkich przeznaczeń przewodnika“; 2) „aby upowszechnić wiadomość dziejów narodowych między ludem i zaszczepioną ciekawością zachęcić do uczenia się historyi własnego kraju“.

Tylko utwory, odpowiadające pierwszemu celowi mogą się opierać na prawidłach, bo są po prostu „dramatami“. Reguła każe: uczynić wybór, obmyślić układ, zachować jedność miejsca, osób i czynów, „osobom, wprowadzonym na scenę, nadawać charakter przyzwoity“ — „obierać w swoich obrazach jeden celniejszy przedmiot“ i ten „wysadzać“ (jak w dramacie lub obrazie malarskim). Czasem trzeba umieścić „w cieniach lub opowiadaniach uboczne ozdoby“. Do wzorów, jak Iliada Homera lub pieśni bardów szkockich, zbliża się śpiew o Żółkiewskim.

Następuje szczegółowy rozbiór tej dumy. Odpowiada on wymaganiom prawideł: jedność miejsca: Cecora, osób: Sieniawski, czynu: żale nad stratą wielkiego męża. „Wszystko w niej jest powiedziane z godnością, równością umysłu, w szczęściu bez chełpliwości, owszem z przystojną wielkiemu mężowi skromnością“. Autor n. p. przygotowuje nas do okrutnej straty słowami: „Przyjm go nie, jako chwały widowisko, Lecz jak odmiennej fortuny igrzysko“ — słowem „musem przeznaczenia, z którego starożytni do swoich dramatów tyle pathetyzmu czerpali“.

Są to wogóle „sposoby“, zaczerpnięte z klasyków. Autor umiał nawet uniknąć niemiłych rzeczy n. p. bitwy pod Cecorą, ohydnej ucieczki Polaków etc.

Co się tyczy drugiego rodzaju śpiewów, to wzorów on nie ma, więc prawideł nie można stawiać, „jakoż raczej one w sądzie i umyśle autora znajdują się, jak w naturze rzeczy“. Czytając śpiewy, dochodzimy do wniosku, że „autor drugi cel a zatem i drugi rodzaj za przedmiot pracy swej założył“ i chcąc być raczej pożytecznym, porzucił drogę, świetną dla siebie, „obrał zniżyć się, aby podniósł większą część rodaków, którą... pospolitym ludem nazywamy“. Przysporzył więc sobie trudów niemało, ale pokonał je znakomicie; tworzył śpiewy niższego rodzaju, ale „wieleż jest w nich strof, wieleż szczególnych zwrotów, które skutku drugiemu tylko rodzajowi śpiewów właściwego dosięgnąć mogą, a które żałować każą, że autor pierwszej sobie nie obrał drogi...“ Są śpiewy, które śmiało można zaliczyć do pierwszej

grupy: Gliński, Jan Tarnowski, Ostrogski, Rewera Potocki, naturalnie „z małemi poprawami szyku rzeczy i wiersza".

Recenzent oświadcza, że w oddzielnym elaboracie przedkłada się uwagi o „stylu i wierszu" tej drugiej grupy śpiewów. Jeśli są one sprawiedliwe, wystarczy ostrzedz autora, a znikną; może przedłużą mu pracę? Ale lepiej dzieło opóźnić, aby „dokładniej odpowiedzieć mogło chęciom i zamiarom szlachetnym autora, przyjętym obowiązkom Towarzystwa i oczekiwaniom publiczności". Nie wiadomo, jakie to były uwagi i czy rzeczywiście uwzględnił je Niemcewicz.

Dziś, czytając tę ocenę, możemy chyba stwierdzić, że zacięty klasyk dał się... złapać. Nie dostrzegłszy, jakie to rewolucyjne pierwiastki tkwiły w dumach-balladach o Żółkiewskim, Glińskim, Potockim, zachwyca się niemi, stawia je wyżej nad inne, istotnie pseudoklasyczne, radby cały szereg śpiewów wznieść do wartości i piękności dum. I to jeden z licznych dowodów, że walka klasyków z romantykami była raczej walką o słowa, o kodeks, definicye i reguły, niż o istotę poezyi.

Już po wyjściu Śpiewów pojawiła się recenzya Lelewela: „Śpiewy historyczne J. U. Niemcewicza pod względem historyi uważane" [1]). Uczony krytyk wytknął sporo błędów historycznych i tylko na nie zwraca uwagę, spodziewając się, „że talenta poezji, muzyki, rysownicze znaydą znawców, którzy ich zalety wymierzą" (s. 4). Nie ustrzegł się jednak uwagi „o stylu i o polszczyźnie", a oprócz tego stwierdza, „że w początkowey części, aż ku Stefanowi biorąc, mniej jest ciągłości, nieraz ostra dorywczość, większe zaniedbanie, gdy dalej w większej liczbie opisów panuje żywość i zapał, które Autor, pomimo utyskiwania na swóy wiek i siły wątlejące, rozsiał i prostotę zamierzoną nieraz podniósł, przyjemnie każdego dotykając czytelnika" (s. 37—8).

Były i ujemne sądy o Śpiewach. A. Edw. Koźmian (Wspomnienia I, 258—277) twierdzi, że Śpiewy wykonał Niemcewicz licho. Nie umiał on być wogóle historykiem *sine ira et studio*, „w wieki nawet ubiegłe przenosił swoje namiętności, swoje upodobania a stąd i krytykę historyczną do ich wymagań naciągał". — Przeciwnik polityczny Niemcewicza, jeszcze z czasów sejmu czteroletniego, hr. Albert Mier, zazdroszczący Niemcewiczowi wziętości i dowcipu, twierdził, że śpiewy historyczne „powinny się nazywać rykami historycznymi" (A. E. Koźmian, Wspomnienia I, 57).

Bodaj, czy nie najlepszą ocenę dzieła podał oskarżyciel działalności Tow. P. N., autor memoryału historycznego, przezna-

---

[1]) Naprzód w „Dzienniku wileńskim" z 1817, nr. 27, potem osobno odbite — potem w IV wydaniu Śpiewów, Kraków, 1835. Cytuję z osobnej odbitki z 1817.

czonego dla namiestnika, feldmarszałka Paskiewicza Erywańskiego (z r. 1836, Kr. VIII, 377 i n.). Słusznie nazywa on Śpiewy „elementarzem powszechnym narodu polskiego“. „Niewymuszona i dlatego dla każdego umysłu dostępna proza, żywy i harmonijny język poetyczny, zachwycająca słuch muzyka, kunsztownie dobrane według treści ryciny, szybko i łatwo utrwalały w pamięci Polaków i Polek opisane przez Niemcewicza wspomnienia z ich historyi ojczystej“. W nich to „tkwiły ukryte tendencye autora, które jednocześnie, z wdrażaniem w umysły młodzieży uczuć miłości do dawnej Ojczyzny, podniecały w niej marzycielski i jaskrawy patryotyzm, rozogniały rycerskiego ducha i namiętność do naśladowania walecznych przodków. W przesadnych pochwałach, oddawanych Polakom, tkwiło poniżenie Rosyan i innych narodów (!?); krzewiły się nasiona wzgardy ku nim i nienawiści za rozbiór Polski. Owe tajemne i zgubne pobudki wynikają z całego układu książki a po części i z przedmowy do niej, z pieśni o Bolesławie Chrobrym, o Konstantym Ostrogskim, o Stefanie Batorym, o Zygmuncie Auguście, o Władysławie IV, z dum o kniaziu Glińskim, a głównie o Żółkiewskim, nakoniec najjaskrawiej z uwag nad upadkiem i charakterem Narodu Polskiego“.

Bardzo trafną jest ocena śpiewów, ks. Adama Czartoryskiego[1]). Biograf Niemcewicza doskonale rozumie trudności, jakich nastręczał ten świetny i przepiękny pomysł: trzeba było przejąć się duchem każdej epoki, wniknąć w obyczaje i pojęcia każdego czasu, oddać nie swoje, ale ówczesnych dni tony i słowa, stworzyć śpiewy dawnego wieku, nadać ciąg i związek pieśniom, aby ogólna myśl i jedność życia narodu wybiła się na nich od początku do końca. Z drugiej strony rozważa czas, w którym Niemcewicz pisał, czas, pełen przeszkód i katastrof, zajęcia autora, ciężkie losy jego życia, pośpiech etc. Oceniając ich wartość, trzeba im zarzucić monotonię i czasem zaniedbanie wiersza, nieraz błąd historyczny; ale jest układ piękny i śpiewy są piękne, zwłaszcza duma o Żółkiewskim, o Stefanie Potockim, śpiew o Bolesławie Krzywoustym, Leszku Białym, Glińskim i t. d.

Nie dziwne są polskie głosy zachwytu nad Śpiewami Niemcewicza, stokroć bardziej zdumiewa entuzyazm grona współczesnych poetów rosyjskich dla tego zbioru wierszy. Bo one to natchnęły młodego Konrada Rylejewa do „podania uwadze ziomków... wielkie bohaterów rosyjskich czyny“ (tak). Rylejew nauczył się po polsku, by módz wzorować się na Niemcewiczu. List, pełen szacunku i uznania, który młody Rosyanin napisał do Niemcewicza, dnia 11/IX 1822,[2]) istotnie dowodzi, „że i na brzegach Newy młodociane w królestwie nauk pokolenie z rozkoszą się

[1]) W „Żywocie J. U. N.“ Berlin-Poznań, 1860.

[2]) M. Kraushar, Obrazy i wizerunki. Warszawa, 1906. „Rylejew i Niemcewicz“.

napawa słodkim sarmackiej lutni dźwiękiem...“ Rylejew przełożył „dumę o Glińskim“ (drukowaną w „Sorewnowatielu“ z r. 1822) i poświęcił ją Niemcewiczowi, lecz w szczerej skromności przyznaje, „że praca ta stanowi właściwie nieudolne naśladowanie, aniżeli przekład dosłowny prześlicznej dumy Juljana Niemcewicza“.

Doczekał się Niemcewicz tego, czego pragnął, by pieśni jego „nucone przez młodzież, powtarzane dzieciom przez dobre matki i Polki“ przeniosły „w dalsze pokolenia tę miłość kraiu, to męztwo, przez które Polak słynął niegdyś i dobił się dzisiay utraconey Oyczyzny i sławy“ (Przemowa, 12—13).

Śpiewy stały się niesłychanie popularnymi. Umiał Niemcewicz uderzyć w ton pożądany i trafił w ówczesny nastrój umysłów. „W salonach, w budoarach, u pięknych pań leżały Śpiewy roztwarte na ozdobnych stolikach, między zbytkowemi gracikami. Czytano, śpiewano je... panienki uczyły się ich na pamięć i tym sposobem pokochały, poznały historyę krajową. Wkrótce Śpiewy z wyższych salonów zstąpiły do domów szlacheckich; z Warszawy i Krakowa zaszły nie tylko do miast prowincyonalnych, ale na wieś do państwa, ale od dworu na folwark i tam przez córkę oficyalisty, co z pensyi na wakacye wróciła, śpiewane były. Elegantki parafii, jak elegantki warszawskie, unosiły się nad Śpiewami; nikt nie śmiał nie znać książki Niemcewicza... Zdarzyło się, że z salonów Śpiewy zachodziły nawet do przedpokojów...“ (Czartoryski, Żywot, 168—9).

Oto dowód: Zacna Emilia siadła do „klawikordu przy otwartem oknie stojącego, na pulpicie którego, leżały Śpiewy historyczne Niemcewicza, te czułe pienia narodowe, w których szasowny nasz bard unieśmiertelnia sławę i pomyślność lubej ojczyzny... Zaczęła Emilia grać melancholiczne preludya, a potem śpiewać na pamięć ulubioną od ojca dumę Żółkiewskiego pod Cecorą“. To autentyczny szczegół z „Powieści narodowych“ Jaraczewskiej (T. I, Zofia i Emilia s. 130—40).

„Ze wszystkich dzieł Niemcewicza żadne nie miało tyle wziętości i pokupu, tyle skutku bezpośredniego nie sprawiło, tyle chwały mu nie zjednało, jak jego Śpiewy historyczne“ (Czart., Żywot 164). Przed r. 1830 ze Śpiewów i z Pielgrzyma w Dobromilu młodzież czerpała patryotyzm i ukochanie dziejów ojczystych, zapał i nienawiść do rządu rosyjskiego. (por. Mościcki, Tło histor. III cz. Dziadów. Bibl. warszawska, 1907, II, 515, o młodzieży w Kiejdanach). Mógłby śmiało o sobie powiedzieć Niemcewicz:

„Mnie w Nowogródku, mnie w Mińsku czytuje młodź
I nie leniwa jest przepisać wielekroć;
W folwarkach łaskę mam u ochmistrzyni cór,
(A w braku lepszych pism, czyta mnie nawet dwór)...“

Doczekał się Niemcewicz i tego, że jego Śpiewy „ściągnęły na siebie zaszczytne zakazanie od rządów zaborczych" (Żywot, 169). Zaliczono je do ksiąg niedozwolonych. Stało się to już w r. 1823, kiedy „Imperator, nie chcąc brać na siebie nienawiści poddanych wyroków, zdał wszystko na dobrą wolę brata, brat na zyzowatego [1]). Szpiegowie i inkwizytorzy, nagrodzeni pieniądzmi i gwiazdami" [2]). Jeszcze w kilka lat później utyskuje na to poeta w liście do X. Adama Czartoryskiego (s. 351 Żywot. List z Puław, 20 sierpnia 1826): „Zyzowaty już żadnej miary nie zachowuje w deptaniu, niszczeniu tego wszystkiego, co tylko przeszłość przypomina i poczciwego ducha utrzymać może. Monseigneur Staś [3]), infamis [4]) Szaniawski, posłuszni mu we wszystkiem, zakazali po szkołach Pielgrzyma [5]), Śpiewów i wszystkich pism moich".

Polecono z bibliotek szkolnych usunąć Śpiewy historyczne. Nowosilcow ścigał nienawiścią zwłaszcza Niemcewicza, bo należał on do tych, „którzy zawsze wrogie uczucia i nienawiść ku Rosyi żywili i budzili ją w dziatwie, młodzieży i rodzicach za pośrednictwem szkodliwych utworów" (Kr. VIII, 303—4).

W 1828 lub 1829 r. powstał zamiar czwartego wydania Śpiewów. Poruszył tę sprawę F. Bentkowski, ale na propozycyę swoją otrzymał od Niemcewicza taką odpowiedź: „W obecnym czasie rzadkie bywa o nie dopytywanie. Długobym na zwrot kapitału a dłużej jeszcze na korzyści czekać musiał, tak dalece, iż przy słabem mojem zdrowiu, wcalebym się może ani jednego, ani drugiego nie doczekał" (posiedzenie marcowe 1829, Kr. VII, 175).

A przecież kto wie, czy w r. 1832 i później w r. 1836 sam Niemcewicz nie myślał o ponownem wydaniu śpiewów. Z Londynu a potem z Paryża domaga się przysłania swych dzieł, jak świadczą trzy poniższe wyjątki z listów: „Chciałbym bardzo śpiewów historycznych, żeby ich dostać można" (list do X. A. Czartor. z Londynu 10 października 1832), — później: „Przypominam W. X. Mości Śpiewy historyczne" (list z 15 października 1832, Żywot, 389, 390) i do hr. Edw. Raczyńskiego (z Paryża 8 grudnia 1836, Żywot, 412): „Spodziewam się, że ostatni list mój doszedł JWP. List Jego w listopadzie odebrałem:

---

[1]) Zyzowatym stale u Niemc. Nowosilców zwany.

[2]) Żywot. List do X. A. Czartoryskiego z 30 grudnia 1823, s. 336—7.

[3]) Stanisław Grabowski, minister oświaty publicznej.

[4]) Infamisem zawsze N. nazywa Szaniawskiego, dyrektora wychowania publ. w komisyi rządowej wyznań i oświecenia, oraz prezesa wydziału cenzury.

[5]) W Dobromilu, księżnej Izabelli z Flemingów Czartoryskiej G. ziem Podolskich.

zrozumiałem, że mi już donosi o wysłaniu egzemplarzy dzieł moich a tu wcale co innego... tymczasem proszę choć o Bajki, Lejbe i Siorę i Śpiewy dawnej edycyi, Zygmunta III już mam, tamtych już lat sześć czekam...".

Może starzec myślał już o wydaniu zbiorowem swych dzieł, które ostatecznie sporządzono w r. 1838—40: zresztą w wydaniu tem, w tomie XII, znalazło się i to dzieło, które najszerzej rozniosło jego sławę pisarską.

Łańcut - Śniatyn.

NOTATKI.

Z teki bibliograficznej[1]).

X.

Somnia Danielis.

Pod tem Rudolfus Agricola Wasserburgensis. Ad lectorem. i wiersz (10 w.); niżej drzeworyt przedstawiający Daniela zapatrzonego w niebo w postawie stojącej, przed nim Nabuchodonozora klęczącego. Rękopiśmiennie dopisano u góry Anno 1514 et 1515 Cracoviae.

Format 4⁰, kart 7. Drukarz i rok wydania nie podany, ale druk pochodzi niewątpliwie z oficyny Floryana Unglera, co wynika z porównania z innemi publikacyami Unglera z tego czasu zawartemi w tym zbiorku, zwłaszcza z porównania ozdóbek majuskułów.

Karta *a* verso zawiera wstęp: Exordium na $1^1/_2$ strony, lecz właściwego wydawcy stąd dojść nie można. Mówi tu na podstawie zdań Arystotelesa i Averroesa o rozmaitych rodzajach snów, wreszcie o takich, które pochodzą z objawienia Bożego. Do takich należą sny Daniela, któremu Pan Bóg dał łaskę tłómaczenia ich; on też spisał sobie wykład snów.

Następuje potem wykład w alfabetycznym porządku, bardzo ogólnikowy, schematyczny i naiwny. Tak n. p. z samego początku czytamy:

Ab imperatore osculari vel cum eo loqui lucrum cum gaudio significat.

Aurea vestimenta se induere videre invidiam vel tristiciam significat.

Ostatnie zdania są:

Zizania seminare significat scandalum.

Zipollas comedere vel videre significat dolorem oculorum.

---

[1]) Por. Pamiętnik literacki, VII, 316.

Broszurka ta znajduje się w woluminie miscellaneów biblioteki parafialnej w Nisie na Ślązku, zawierającym przeważnie druki astronomiczne, arytmetyczne itp. z lat 1499—1513 (Joannes de Sacro Busto, Peurbach, Schot, Kalendarium Joannis de Monte Regio, Petrus de Eliaco, Albertus Magnus i t. d.), z krakowskich wydań są:

1) Algorismus Joannis de Sacro Busto. Ungler 1511 (brak karty tytułowej).

2) Computus chirometralis ab a 1482—1558 Joannis Glogoviensis. Joannes Haller 1507.

3) Introductorium Astronomiae Cracoviense elucidans Almanach. Crac. 1506 (b. w. drukarza). Nad tytułem dopisano współcześnie:

Cracoviae Anno Dei 1514 quo anno hiems erat frigida, ita ut molendinae omnes deficiente aqua molare non valuerunt.

Właściciel książki, który częste w niej robił glosy do tekstu dzieł, zapisał imię swoje kilka razy, n. p. przy Nrze 2 (Computus chirom.): *Sum Bartholomaei Jonae a Schweydnitz,* gdzieindziej dodał rok: 1516. Zapisał on się był 5 listopada 1513 w uniwersytecie krakowskim (Chmiel, Album studiosorum Univers. Cracov. II, 149); dopisany przez niego czas wydania tego wykładu snów (1514—15) ulegać więc nie może żadnej wątpliwości.

Na oprawie przedniej w części zniszczonej widać u dołu dwa berła skrzyżowane, jak w Wisłockiego Incunabula Typographica na str. 149. Estreicher (Bibliografia polska XV, 33) prócz wydań tego wykładu snów z odmiennym tytułem z r. 1527 i 1533 wymienia jeszcze trzecią edycyę, w której nie jest wyrażony rok i miejsce wydania, a którą miał kiedyś w ręku i opisał dokładniej w „Weteranie Poznańskim" z roku 1825, s. 422—3 J. Ł. t. j. J(ózef) Ł(ukaszewicz). Ale z opisu tego widać, że chociaż wydanie to, dotąd także nieodszukane w bibliotekach, najwięcej zbliżone jest do egzemplarza niseńskiego, to jednak zupełnie jest od niego odmienne, gdyż miało format dwunastki i obejmowało cały arkusz. Jako wydawcę przypuszczał Łukaszewicz Hallera. Wydanie więc powyżej opisane jest zupełnie nieznane.

Ostrowo, W. Ks. Poznańskie. *Ks. Kazimierz Miaskowski.*

Wiersze niemiecko - polskie.

Do notatki o pieśni Kochanowskiego w tłómaczeniu niemieckiem XVII wieku (Pamiętnik literacki, VII, s. 139) pragnęłabym dodać, iż u Krzysztofa Kaldenbacha (z Schwiebus pod Głogowem, 1613—1698; por. Estreicher XIX, 15) „Deutsche Lieder und Getichte/ in gewisse Bücher eingetheilet. Editore Filio

Cognomine Tübingen. Gedruckt bey Martin Romney 1683 (niewymienione u Estreichera) w części II-giej „Das ander Buch der Hochzeit-Getichte" i III-ciej „Das dritte Buch der Klag-Lieder" pomieszczone są między innymi wiersze polskie.

Są to t. zw. „Gelegenheitsgedichte" na cześć zasłużonych obywateli kraju, krewnych lub przyjaciół. Muzyka niemiecka zawdzięcza tego rodzaju kompozycyom szereg najpiękniejszych pieśni ówczesnych i nie jest wykluczone, że i do części utworów tego zbioru poetyckiego muzyka w swoim czasie istniała.

Wiersz w drugiej części (s. 128) poświęcony Janowi Göbel i Zofii Fehrmann poprzedza sonet niemiecki:

„Jch war ein Deutsches Lied zu spielen euch bedacht" i t. d.

Ponieważ zaś Amor o Sarmacyi wspomina, więc prawi poeta:

Wol / sprach ich; musz also auch meine Leyer klingen:
Steht bey den Polen auch zu sehn / was sie erreicht.

In quantum litterae suppetebant.

„Jako więc roza z Pestu dwurodnego
Przenászáia[1]) do ogrodu Rzymskiego.
Aby tám w nowa krásę rozkwitnęłá,
I Erycyná slubny wieniec zęiá:
Wydrze cię ziemiá teráz nam osobna,
Pánno nadobna.

Nie Thezeus tylko Aryádnę cudna,
Ani Medea Jázon nie obludna
ludziey lubili: y dzis Amor dziki
Wyprawia z domu swoie holdowniki;
A nie raz Litwę z Prusy, gdzie co czuie
Slodko buntuie.

Ten y Plutoná w nie wlásna kráinę
Po Siciliyska porwal Proserpinę;
Y Orpheá wiodl przez podziemne gmáchy
Cieni czcze zięly, á w krolestwie nocy
szukal pomocy.

Temu pásl owce Phebus u Admetá;
Y przed Megára choc przeciwna Kretá
Scylly niezbozney się upodobalá.
Stad zaletnikow tysiac ogladalá
Cna Penelope; y, gdzie nawet zginie
Leander plynie: itd. (jeszcze 8 strof).

---

[1]) Podaję dokładnie ortografię i akcenty autora; drukarnia niektórych czcionek polskich nie posiadała wcale.

Pieśni żałosne w III części [1]) zbioru Kaldenbacha są w niemieckim, polskim, francuskim, hiszpańskim, włoskim, greckim i hebrajskim języku ułożone.

XI pieśń.

Bede y Polskim slowem cie / Bracie / zalowal /
Snadzbym y tak imie twe slodkie slawney chowal.
Wszak dobrze ty rozumiesz / jesli pierwszey mowy
Nie wszystka pamiec wyszla z twey ucieszney glowy.
Y ja cokolwiek brzakac w te to wdzieczne strony
Bylem od Kalliopy cney niegdy zdarzony.
Biada mnie mizernemu ! ja teskne ku tobie
Narzekaiac na szczescie zle w gorskiej zalobie
etc. etc.

Styczności z dworem polskim Władysława IV Kaldenbach zawdzięczał znajomość języka polskiego. W tym samym zbiorze znajduje się w „Das erste Buch Heroischer Getichte" dłuższy utwór poetycki:

„Sarmatischer Hymen / oder Auff Königliches Beylager / Vladislai, des Vierdten / der Polen und Schweden Unüberwindlichsten Königes u. s. f. wie auch Der Durchleuchtigsten Prinzessin / Pr. Loysen Marien / von Gonzage / von Cleeff / Hertzogin von Mantua / und Nevers u. s. f.

In Warschaw hochfeyerlichst begangen".

Jest to panegiryk na cześć króla i narodu polskiego, z domieszką dat historycznych (od czasów Piastowskich do Władysława IV) na tle mitologicznem w stylu przesadzonym pisarzy niemieckich XVII w.. Estreicher cytuje jeszcze jeden polski wiersz Kaldenbacha, „Hołdowną Klio" na przysięgę lenną Wielkiego Kurfirszta z. r. 1641.

Berlin. *Alicya Simonówna.*

Polskie tłómaczenia i przeróbki Anakreonta.

W uzupełnieniu naszego studyum o pierwszem polskiem tłómaczeniu Anakreonta [2]) podajemy zwięzły przegląd dalszej pracy która rozwinęła się na tem polu i trwa aż do dzisiejszych czasów

---

[1]) Threnen / oder Klage-Lieder / Seinem hertzgeliebten Bruder Mattheao Kaldenbach / welcher 1652.19 Christmonats zu Dantzig selig in Gott verschieden / und den 27 darauff in der Pfarr-Kirchen daselbst Christlich zur Erden bestattet worden / aus inniglicher Liebe vergossen etc. Dem Ehrenvesten und wol-Vornemen Kauff- und Handelsmann in Lublin / meinem insonders geehrten Herren und Freunde. Mein Vielgeehrter Herr Pfoertner / etc. etc., str. 233.

[2]) Por. Pamiętnik literacki, VII, s. 57, 251.

Następcy Kochanowskiego zadowalali się naśladowaniem jego tłómaczenia; nie prędko pokusili się o to, aby sięgnąć do oryginału greckiego. U największego sielankopisarza polskiego tego czasu Szymona Szymonowicza znajdujemy tylko jeden wiersz przypominający pieśń *Ἔρως ποτ' ἐν ῥόδοισιν* (B. 33) [1]), ale jest to raczej tłómaczenie epigramu Teokryta *Τὸν κλέπταν ποτ' Ἔρωτα* [2]). Pewne jednak ślady bezpośredniego wpływu Anakreonta na literaturę polską można i w tym czasie odnaleźć. W rękopisie Bibl. Zamojskich w Warszawie (l. 1,331) znalazłem dwa wiersze anakreontyczne, które z wszelkiem prawdopodobieństwem pochodzą z pierwszej połowy XVII wieku. Pierwszy z nich jest przeróbką pieśni *Ἡ γῆ μέλαινα πίνει* (B. 21), drugi pieśni *Φύσις κέρατα ταύροις* (B. 24). W „Historyi ucieszn ej o zacnej królewnej Banialuce", wydanej w Krakowie w r. 1650, znajdujemy swobodne tłómaczenie trzech pieśni Anakreonta. Pieśni te wplecione są w akcyę romansu w ten sposób, że są śpiewane (razem z innemi pieśniami) przez muzyków z wieży, podczas uroczystości, wydanej na znak odniesionego zwycięstwa. Pierwsza z tych pieśni jest tłómaczeniem wiersza Anakreonta *Θέλω λέγειν Ἀτρείδας* (B. 23), druga pieszczotliwem przerobieniem *Φύσις κέρατα ταύροις* (B. 24), trzecia swobodną parafrazą pieśni *Ἡ Ταντάλου ποτ' ἔστη* (B. 22). Zwłaszcza w tej ostatniej, w której poeta zastanawia się w co chciałby się przemienić, ażeby być jak najbliżej ciała swojej kochanki, przebija się nowy gust włoski, który rozpanoszył się wtedy w literaturze polskiej i którym przeniknione jest całe dzieło; kierunek — daleki od surowości i prostoty Jana Kochanowskiego.

W drugiej połowie XVII w. zjawia się wreszcie całkowite niemal tłómaczenie Anakreonta, pełne wdzięku i wytworności, delikatności i subtelnego uczucia. Tłómaczem jest utalentowany liryk Jan Gawiński, który w epoce upadku literatury reprezentował tradycye dawnych, lepszych czasów. Pierwszy ślad zajmowania się Anakreontem znajdujemy u Gawińskiego w r. 1650 w sielance p. t. „Mopsus", w którą wpleciona jest przeróbka pieśni Anakreonta *Θέλω θέλω φιλῆσαι* (B. 12); przeróbka jeszcze niezgrabna, przesadnie realistyczna [3]).

W 14 lat później w r. 1664 wydaje Gawiński wielki zbiór fraszek i epigramatów p. t. Dworzanki [4]). Wśród innych wierszy

[1]) Cytuję pieśni Anakreonta według edycyi Bergk'a (P. l. gr. III), oznaczając to wydanie literą B.

[2]) Zwrócił na to uwagę p. Hahn.

[3]) Na to pierwsze w twórczości Gawińskiego tłómaczenie Anakreonta zwrócił uwagę p. L. M. Dziama (J. Gawiński, s. 34).

[4]) Nowsze wydanie Bobrowicza (Biblioteka klasyków polskich t. XXVIII). Cytuję według tego wydania, oznaczając ten utwór literą D.

znajduje się tu szereg wzorowych i w całem tego słowa znaczeniu znakomitych tłómaczeń Anakreonta. Kilka tłómaczeń znajdujemy ponadto w wydanym dopiero w w. XIX zbiorze Gawińskiego p. t. „Liryka polska“ [1]) oraz w wydobytych z rękopisu pozostałych utworach poety [2]).

Ogółem przetłómaczył Gawiński następujące pieśni Anakreonta: *Καλλιτέχνα τόρευσον* (B. 4 — P. s. 144); *Λέγουσιν αἱ γυναῖκες* (B. 6 — D. s. 201); *Οὔ μοι μέλει τὰ Γύγεω* (B. 7 — D. s. 239); *Τί σοι θέλεις ποιήσω* (B. 9 — D. s. 244); *Ἔρωτα κήρινόν τις* (B. 10 — D. s. 210); *Οἱ μὲν καλὴν Κυβήβην* (B. 11 — D. s. 263); *Εἰ φύλλα πάντα δένδρων* (B. 13 — S. s. 146); *Ἐρασμίη πέλεια* (B. 14 — D. s. 264); *Ἡ γῆ μέλαινα πίνει* (B. 21 — S. s. 248); *Ἡ Ταντάλου ποτ' ἔστη* (B. 22 — D. s. 216); *Φύσις κέρατα ταύροις* (B. 24 — S. s. 132); *Σὺ μὲν φίλη χελιδών* (B. 25 — D. s. 231); *Σὺ μὲν λέγεις τὰ Θήβης* (B. 26 a — D. s. 228); *Μεσονυκτίοις ποθ' ὥραις* (B. 31 — D. s. 257); *Μακαρίζομέν σε τέττιξ* (B. 32 — D. s. 252); *Ἔρως ποτ' ἐν ῥόδοισιν* (B. 33 — D. s. 234); *Ὁ πλοῦτος εἴ γε χρυσοῦ* (B. 34 — D. s. 260); *Ἐπειδὴ βροτὸς ἐτύχθην* (B. 38 — D. s. 225); *Ἐγὼ γέρων μέν εἰμι* (B. 45 — S. s. 153); *Ὅτ' ἐγὼ πίω τὸν οἶνον* (B. 48 — S. s. 247); *Τί με τοὺς νόμους διδάσκεις* (B. 50 — D. s. 266).

Już w samym doborze wierszy, które Gawiński wybrał do tłómaczenia widać pewną charakterystyczną zmianę w porównaniu z Kochanowskim. Gdy tamten przenosi wiersze, w których jest jakaś głębsza myśl filozoficzna, ten wybiera przedewszystkiem wiersze miłosne. Zmiana ta uwydatnia się jeszcze lepiej w języku Gawińskiego, miękkim, łagodnym, pełnym wytworności, słodyczy, ale pozbawionym prostoty i siły.

Z tłómaczeniem Gawińskiego niknie na czas długi wpływ Anakreonta na poezyę polską. Mrok i upadek kultury, które zapanowały z końcem XVII i pocz. XVIII wieku w Polsce odebrały nie tylko zdolność artystycznego tworzenia, ale nawet zdolność zrozumienia tworów prawdziwie artystycznych. Urok poezyi anakreontycznej niedostępny był dla prostych i nieokrzesanych umysłów współczesnych.

Dopiero z chwilą „przewrotu umysłowego“, z chwilą odrodzenia nauk i sztuk w Polsce w połowie w. XVIII, zjawia się na nowo Anakreon, pojawiają się dalsze tłómaczenia i naśladownictwa jego poezyi.

W r. 1756 wydaje Józef Epifaniusz Minasowicz, pisarz pozbawiony zresztą wszelkiego talentu, 7 pieśni Anakreonta w prze-

---

[1]) Poezye Jana Gawińskiego wyd. Żegota Pauli. Lwów, 1843. Wydanie to oznaczamy literą P.

[2]) Jana Gawińskiego pisma pozostałe wydał Wł. Seredyński. (Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce t. II. Kraków, 1882). Zbiór ten cytujemy, oznaczając go literą S.

kładzie polskim [1]), równie niezgrabnym jak rozwlekłym; nazywa je zgodnie z duchem czasu „odami".

Wkrótce później znakomity historyk i równie sumienny, choć mniej utalentowany, poeta Adam Naruszewicz ogłasza w r. 1772 w piśmie „Zabawy przyjemne i pożyteczne" tłómaczenie kilku wierszy Anakreonta, a w r. 1774 wydaje w Warszawie pierwszy całkowity przekład pieśni greckich p. t. „Anakreon poeta grecki". W zbiorze tym umieszcza również pierwsze tłómaczenie Kochanowskiego, nawiązując w ten sposób do tradycyi największego z dawnych poetów polskich. Naruszewicz korzystał z różnych wydań, a także tłómaczeń łacińskich Anakreonta. Zbadaliśmy, że na 58 przetłómaczonych wierszy 30 zaczerpnął Naruszewicz z wydania Estienne'a i wzorował się na jego tłómaczeniach łacińskich, resztę przejął z innych wydań. Charakter jego tłómaczenia poważny, cel na pół naukowy. Idzie mu o to, żeby pieśniami Anakreonta zachęcić ogół polski do poznania literatury greckiej. „Jeżeli w tych fraszkach dowcipnych — pisze w przedmowie — rozsądny czytelnik smak jaki uczuje, niech sobie pomyśli, jakie to piękne muszą być Homera, Hezyoda, Pindara, Eschila, Eurypida, Sofokla dzieła, kiedy w tym płochym, a pijanym zawsze starcu tyle ozdób Muzy atyckie zawarły."

Wydanie Naruszewicza oznacza początek rozwoju poezyi anakreotycznej w Polsce. Rozwój ten, równie nagły jak bujny, pozostaje w związku z wpływem poezyi francuskiej, która wtedy oddziaływała na Polskę. Zbiorowe wydania francuskie, zawierające przekłady takich poetów, jak Anakreon, Bion, Moschus, Sapho, z dodatkiem wierszy, których autorami są Marot, Rousseau, Desportes, Voltaire, Chaulieu, Sanazarro, Marini i i. zalewały wówczas Polskę, czytane po wszystkich dworach pańskich i szlacheckich [2]). Nic dziwnego, że budziły podziw dla delikatności i wdzięku w poezyi, budziły chęć przekładów i naśladownictwa.

Możemy tu wymienić nazwiska szeregu poetów, takich jak Krasicki, Bohomolec, Zabłocki, Trembecki, których utwory anakreontyczne posiadają dużą artystyczną wartość. Chcemy się jednak ograniczyć do tych, którzy wyraźnie i bezpośrednio pozostawali pod wpływem Anakreonta.

Takim był przedewszystkiem Franciszek Dyonizy Kniaźnin. Zasmakowawszy w tym rodzaju poezyi na dworze książąt Czartoryskich, gdzie stale przebywał, wydaje w r. 1779 w Warszawie

---

[1]) Zebranie rytmów, t. V, 55—62.

[2]) Tłómaczenie Moutonnet de Clairfoust wydane 1773, 1775, 1778, 1780, Poinsinet de Sivry wyd. 1758, 1764 i 1771; wydanie Gail 1795 i 1799 (Por. Th. Graesse, Trésor). Różne egzemplarze tych wydań, pochodzące z tych czasów, znajdują się do dziś w znacznej liczbie w bibliotekach polskich.

zbiór wierszy p. t. „Erotyki.“ W pierwszej części tego zbioru znajdujemy tłómaczenie 26 pieśni Anakreonta, w drugiej części 33 pieśni. Niektóre pieśni przerabiał poeta dwukrotnie n. p. w tłómaczeniu wiersza "Ἄγε, ζωγράφων ἄριστε (B. 15) każe malarzowi malować raz brunetkę z oczami modremi, drugi raz blondynkę z oczami czarnemi. Nie są to właściwie tłómaczenia, ale znakomite przeróbki, w których, lepiej niż charakter poezyi Anakreonta przebija się duch współczesnej epoki, pełnej wytworności, elegancyi, dowcipu salonowego, subtelnego gustu i delikatnego uczucia.

Kniaźnin nie był zadowolony ze swego pierwszego tłómaczenia. Znudziła go wnet poezya salonowa; zapragnął czegoś głębszego, opartego na poważniejszej podstawie. Wszak to wiek nie tylko kultury francuskiej, ale i epoka oświecenia, obudzonego zamiłowania do nauk. Skorzystał Kniaźnin z tego, że na dwór książąt Czartoryskich przybył nauczyciel filologii i znakomity uczony Ernest Groddeck i przy jego pomocy fachowej zabrał się około r. 1788 do studyowania w oryginale greckim poezyi Anakreonta (poprzednio korzystał zapewne z tłómaczeń francuskich). Owocem tej pracy był powtórny wzorowy przekład wszystkich pieśni Anakreonta, a także sztuka teatralna p. t. „Anakreon“, oparta na motywach anakreontycznych, z wplecionemi w akcyę pieśniami Anakreonta, przedstawiona na dworze Czartoryskich siłami młodych książąt. Niestety jedna i druga praca współcześnie nie zostały wydane i okazały się dopiero znacznie później w pośmiertnem wydaniu zbiorowem w r. 1828 (w Warszawie).

Prąd romantyzmu, który zaczął działać na literaturę polską w początku XIX wieku, zrazu nie tylko nie usunął Anakreonta, ale wzmocnił jego wpływ na literaturę polską. Tylko, że jest to Anakreon nieco inny, niejako uszlachetniony, pojęty jako poeta serca, poeta uczuć delikatnych, subtelnych marzeń i westchnień miłosnych, szczerej wesołości i prostoty. W r. 1816 wychodzi w Warszawie tłómaczenie Anakreonta, dokonane przez hr. S k a r b k a. Autor w przedmowie doskonale zaznacza różnicę, jaka istnieje między jego (już romantycznem) pojęciem Anakreonta, a tem, które rozpanoszyło się w poprzedniej epoce.

„Nie na tem — mówi — zawisł Anakreontyk, ażeby szydząc z wszystkiego, z flaszką w ręku, pijanicy lub rozpustnika odezwać się głosem i trącąc grubem prostactwem, w nieokrzesanych wyrazach umyślne niby zaniedbanie, a w nieprzystojnej mowie źle zrozumiany Epikureizm okazywać. Nie takie są pieśni naszego poety. Czyli sam cel swoich rytmów opowiada, czyli wdzięki maluje niewieście, czy przyjemną powieścią bawi, lub w trafnym opisie, piękności natury i sztuki maluje, zawsze jednakowa m i ł a p r o s t o t a i p r z y s t o j n o ś ć w wyrażeniu, zawsze równa łatwość rymów i pocieszająca, wiekowi nieulegającego starca, w e s o ł o ś ć, nieporównanego poetę wydają“.

Tłómaczenie hr. Skarbka przewyższa wszystkie poprzednie tak wiernością przekładu, jak i delikatnością i miękkością języka; jest jednem z małych arcydzieł poezyi polskiej.

Późniejszy jednak rozwój poezyi romantycznej w Polsce odciągnął ją od wzoru Anakreonta. — Dopiero w drugiej połowie XIX w. zaczynają się pojawiać znowu tłómaczenia Anakreonta, o charakterze raczej naukowym, które jednak w ścisłym związku z współczesnymi prądami literackimi nie pozostają i większego wpływu na literaturę nie wywarły. Szereg ich otwiera kompletne tłómaczenie Anakreonta pióra Brunona hr. Kicińskiego, dokonane jeszcze w poprzedniej epoce, ale wydane w r. 1841 w Warszawie. Dalej idą: tłómaczenie Szujskiego (1867), Alfa (1882), Jana Czubka (1882), Ludwika Mizerskiego (1895)[1]) i i. W najnowszych czasach Anakreon zdaje się znów wchodzić zdobywczo do literatury polskiej i zyskiwać nowych zwolenników (tłómaczenia L. Rydla i J. Pietrzyckiego).

W rozwoju wpływu poezyi Anakreonta na literaturę polską możemy zatem rozróżnić cztery okresy. Pierwszy, humanistyczny, w którym powstaje tłómaczenie Kochanowskiego (dokonane 1560— 1568; wydane 1584) i Gawińskiego (dokonane 1648 —1664; wydane 1664, 1843 i 1882). Drugi francusko-klasyczny, w którym powstaje tłómaczenie Naruszewicza (1774) i dwa tłómaczenia Kniaźnina (pierwsze 1779, drugie dokonane 1788—9, wydane 1828). Trzeci romantyczny, w którym wychodzi przekład Skarbka (1816). Czwarty naukowy, który wydaje nowsze przekłady Anakreonta. Dowodzi to, jak znaczny był wpływ tych pieśni na literaturę polską, skoro każdy z prądów umysłowych, który po kolei panował w literaturze polskiej, nie tylko nie usuwał wpływu Anakreonta, ale jeszcze go wzmacniał, wprowadzając Anakreonta przerobionego w nowy i oryginalny sposób.

W całości wzięty wpływ Anakreonta na poezyę polską należy uważać pod względem artystycznym jako w wysokim stopniu dodatni. Anakreon budził zamiłowanie formy, zmysł do tego co drobne, ale harmonijne i we wszystkich szczegółach wykończone, — przeciwdziałał tej stałej i silnej w Polsce dążności do wielkości, do rozmachu, która mieści w sobie w zarodku zgubę wszelkiego artyzmu, a w szczególności poezyi lirycznej.

Pod względem etycznym oddziaływal Anakreon rozmaicie. W wieku XVI, gdy było zdrowie moralne w literaturze i w kra-

[1]) P. Mizerski przy swojem tłómaczeniu poezyi Anakreonta (Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, t. XXI) wspomniał o kilku swoich poprzednikach na tem polu. Jest to pierwsze w naszej krytyce naukowej poruszenie tego tematu, który w obecnej notatce zostaje po raz drugi i szczegółowiej opracowany.

ju — dodatnio, w epokach upadku, zniewieściałości i zepsucia — ujemnie. Dowodzi to, że nie dobre lub złe wpływy decydują o poziomie etycznym literatury, ale sama dusza narodu.

W każdym razie był Anakreon jednym z ważnych czynników w rozwoju naszej kultury i dlatego osobne uwydatnienie tego czynnika, szczegółowe zbadanie jego wpływu było pod względem naukowym potrzebne a może być i pod względem praktycznym pożyteczne.

Lwów. *Kazimierz Jarecki.*

Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku.

W książce pod powyższym tytułem ogłosił prof. I. Chrzanowski wiele cennego materyału z rękopisów i rzadkich druków. Podaję kilka uzupełnień.

Wiersz p. t. „N. P. Kr. M. w roku 1771 przez prostaków opisana transakcya“ powtarza się w dwu rękopisach suskich, nr. 282 i 300, jako „Rozmowa Bartka z Grochowa z Maćkiem Hawrzynieckim (Hawryszewiczem w nr. 282) i kumem do tego wiernym“; nie Trembeckiego to pióro, lecz dawna maniera, od uniwersałów mazowieckich itp. się wywodząca; w rękopisie nr. 300 jest i podobny list mazowiecki szlachcica z Nurca 1767 r. do p. Grabowskiego, marszałka konfederacyi dysydenckiej. Porównanie tekstów suskich usunęłoby parę wątpliwości. W satyrze „Od poety do narodu“ czytaj w w. 19 (str. 10) wytknie zamiast wytchnie; K (boć K napisał str. 11), oznacza Kiep.

Autor korzysta nieraz z niewydanej dotąd satyry p. t. „Małpa-człowiek“, stawia ją słusznie wysoko jako „jednę z bardzo cennych pozycyi literatury saskiej“ i wylicza jej rękopisy warszawskie. Jeżeli się nie mylę, jest jej odpis bardzo staranny i w rękopisie petersburskim, niegdyś nieświeskim, sygn. Różnojęzykowe IV folio, nr. 76, zatytułowany: „Słodkie przypomnienie złotej staropolskiej wolności“[1]). Rękopis ten, pisany po r. 1726, liczy kart 130 a zawiera w dalszej, większej części mowy polityczne i inne, spółczesne i dawniejsze; w pierwszej ową satyrę, dalej traktat alegoryczny, Komplanacyę między człowiekiem grzesznikiem a Chrystusem; nie brak naturalnie i Rokoszu Gliniańskiego. Może ktoś z petersburskich badaczy naszych przypuszczenie moje potwierdzi albo usunie. Satyrę tę, mimo jej rozwlekłości, wydaćby koniecznie należało, jak i inne pomniki satyry, już nie obyczajowej, lecz politycznej tego wieku, obfitej nad miary a mało znanej; niektóre ciekawe jej okazy przedrukował właśnie prof. Chrzanowski. Celują między nimi wiersz Naruszewicza w obro-

---

[1]) Jest i w rękopisach dzikowskich nr. 2, 19 p. t. Małpa człowiek w cnotach 1724 r.

nie króla r. 1772 napisany, i Niemcewicza dwie pieśni na Rzewuskiego i Potockiego (Szczęsnego); czy jednak i wiersz „Na sejm grodzieński“ (str. 221 i 222) z pod jego pióra wyszedł? Krótkością i dosadnością swoją, groźbami sanskiulockiemi wreszcie raczej oddala się od maniery rozwlekłej i spokojnej Niemcewicza.

Nadmieniam, że rękopis suski nr. 300 (znam go tylko z opisu prof. Czubka), uzupełnia znakomicie ów petersburski „Magazyn wierszów polskich... aż do r. 1777“, mieszczący tylko na pierwszych kartach (1—28) i na k. 50—69 wiersze polityczne (zaplątał się tu i wiersz W. Potockiego na Żydkiewicza), zresztą są tam wiersze obyczajowe, fraszki, Tabaka Minasowicza i i.

Berlin. *A. Brückner.*

Z młodych lat Kazimierza Brodzińskiego.[1])

(Pobyt w Sulikowie w r. 1814).

Było to w r. 1813; krwawa epopeja Napoleońska dobiegała końca. Przygasły już pożarne łuny Moskwy, wielka armia w rozsypce, a niezwyciężony bóg wojny zgnębiony. Brodziński, uczestnik tych zapasów gigantycznych, bierze jeszcze udział w wyprawie pod Lipsk, gdzie ranny dostaje się do niewoli pruskiej; wkrótce wypuszczony na słowo honoru spieszy do Poznania, poczem przybywa do Krakowa.[2]) Tutaj wchodzi napowrót w grono swych dawnych znajomych i przyjaciół; domy państwa Lukańskich, Mate-

---

[1]) Zbierając od lat kilkunastu materyały do monografii o K. Brodzińskim, zgromadziłem szereg odpisów z autografów poety, wśród których, obok nieznanych poezyi, jest również nader ciekawa korespondencya z lat 1803—1830; drobną jej cząstkę wydrukował p. Aleksander Łucki w „Przewodniku naukowym i literackim“ (Lwów, 1906). Zanim ukończę obszerną pracę o śpiewaku „Wiesława“, podać pragnę teraz kilka drobniejszych przyczynków, opartych przeważnie na nieznanych dotychczas listach, mieszczących się w zbiorach publicznych i prywatnych w Krakowie, Lwowie, Warszawie i Mińsku. Listy przytoczone w tym artykule są w Akademii Umiejętności w Krakowie (rkp. nr. 1,353).

[2]) Jeszcze 3 grudnia 1813 r. wysyła Brodziński z Poznania list do braterstwa, do Krakowa więc mógł przybyć najprędzej z końcem tegoż miesiąca. Z listu tego warto przytoczyć ustęp, w którym pisze do siostry, ażeby synka „na poetę nie formowała — jest to stworzenie nieszczęśliwe same, nieznośne sobie i towarzystwu, rozkosze, które maluje, są tylko w piórze, ale nigdy w sercu jego nie postały, praca to najniewdzięczniejsza, doświadczyłem tego po sobie i takbym się chciał starać o rozwód z Muzą, jak jaki nieszczęśliwy mąż z babą sekutnicą“. (Rkp Bibl. Jag. nr. 5,628).

ckich, Habowskich stoją dlań otwarte; jeszcze ściślejsze węzły przyjaźni zadzierżga on z Ambrożym Grabowskim, podówczas współpracownikiem w księgarni Gröblowskiej, prócz tego nawiązuje bliższe stosunki w kołach uniwersyteckich, a mianowicie z Feliksem Słotwińskim, profesorem prawa natury i ekonomii politycznej w Akademii Jagiellońskiej.[1])

Brodzińskiego pobyt w Krakowie nie trwa jednak długo; brak funduszów zmusił go z początkiem r. 1814 — prawdopodobnie w marcu — przenieść się na wieś do Sulikowa około Pilicy, do ciotki; stosunków przyjacielskich przecież nie zrywa, koresponduje często z Grabowskim i Słotwińskim, a listy te przynoszą nader ciekawy materyał do charakterystyki młodego poety-żołnierza. Widzimy w nich, jak żywo interesuje się ówczesnym ruchem literackim; ciągle prosi o nowe książki, o przeczytanych wydaje sądy, pragnie zająć się tłómaczeniem jakichś dzieł, sam pisze również, nie przywiązując jednak większej wagi do swych robót; obok dzieł belletrystycznych studyuje poważne dzieła z zakresu filozofii — lektura to dorywcza, bez planu, znać w niej jedynie gorące pragnienie Brodzińskiego, ażeby uzupełnić i pogłębić swoje wykształcenie. Zmęczony tułaczką żołnierską nie łaknie nowin — „bo — jak pisze do Grabowskiego w liście z dnia 3 kwietnia — ja teraz chcę być zupełnie ową Chryzalidą i jak przyjdzie czas, zupełnie nowo i nieznajomo, na świat się pokazać“. W tymże, pełnym humoru, liście donosi swemu przyjacielowi, że pierwszą jego myślą jest wypaść się, bo wszyscy ludzie zgadzają się, iż na nic człowiek chudy. „Jeżeli — pisze dalej Brodziński — Mars źle tuczy dzieci swoje, które się nie umią dopomnieć, toć i sama pani matka Minerwa nie najlepiej stołuje... zatem gdy się i ta tak chwalebnemu memu zamiarowi sprzeciwia, podobno trzeba jej będzie podziękować na czas niejaki: dla tego kiedyś ty tak dobry, że mi posyłasz książki, już mi nie daj takich, przy którychby to wiele myśleć trzeba i jeżeli chcesz, żebym się wypasł — tę radę dała mi nawet moja dobra, pięćdziesięcioletnia ciotka.“ I w rzeczywistości książki, któremi go obdarzał Grabowski, lub o które on jego prosił, nie zbyt wiele dawały materyału do rozmyślań; były to przeważnie nakłady księgarni Gröblowskiej. I tak żądał teraz Brodziński przysłania Georgików Wirgiliusza w przekładzie Jacka Przybylskiego i H. Legouvé'go poematu p. t. „Zaloty kobiet“ w tłómaczeniu Józefa Kossakowskiego; przekład Przybylskiego był nowością wydawniczą, Legouvé ukazywał się już po raz trzeci w druku, pierwsza edycya wyszła w Warszawie w r. 1803. Oprócz tych dwóch książek prosił Brodziński o „wiersze Kochowskiego“ — prawdopodobnie Liryki lub Epigrammata z r. 1674 — i o jakieś

[1]) Szereg szczegółów dokładniejszych o ówczesnych stosunkach towarzyskich w Krakowie przynoszą „Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego“, wydał Stan. Estreicher. (Kraków 1909, T. I.—II).

dzieło francuskie do tłómaczenia. Równocześnie z tym listem odsyłał nieznane mi bliżej wydawnictwo p. t. „Euthanasia“.

Kilkanaście dni później — 20. kwietnia 1814 r. — śle znów Brodziński drugi list do Grabowskiego, przeplatany żartobliwymi wierszami, odźwierciadlający doskonale ówczesne usposobienie młodego tułacza. Z lektury swej wymienia w nim dzieło: „O naukach wyzwolonych w powszechności i w szczególności, księgi dwie od X. Ignacego Włodka napisane i do druku podane“ (W Rzymie, 1780); największą jednak wagę przywiązywał do dodanego przy temże dziele „Słownika polskiego dawnego, czyli zebrania słów dawnych zaniedbanych polskich z ich tłómaczeniem“. Była to praca rzeczywiście nader pożyteczna dla przyszłego historyka literatury polskiej. Ks. Włodek zestawił wcale sumiennie słowniczek w tym celu, „aby rozumieć książki i pisma dawne... i aby tychże słów, które są szczerze polskie, zażywać czasem, ale wedle przestróg danych w księdze o języku polskim“. Materyał zebrał autor z pism: „Wuyka, Skargi, Wysockiego, Szczerbińskiego, Sarnickiego, Stoińskiego, Ursina, Sereniusza, Klonowskiego, Knapskiego, Kochanowskich, Twardowskiego etc., z dawnych słowników i bezimiennych pisarzów, tudzież z tłómaczów różnych ksiąg łacińskich, hiszpańskich, francuskich, włoskich na polskie...“ Zresztą list cały — przytoczony poniżej — pełen humoru i pewnej rubaszności żołnierskiej, jest poniekąd utworem literackim.

„Jeżeli nieustraszność — pisze Brodziński — owa cecha narodowości, jest w Twojem sercu, przystąp do czytania, a przy cierpliwości chrześcijańskiej kończ, a zarobisz na tem przynajmniej tyle, że masz rozległe pole do popisania się z temi dwiema pierwszemi cnotami, a na dopełnienie wszelkich okropności zaczynam wierszami:

Nie tak prędko dyabeł rogiem,
Kozak wymownym batogiem,
Umizgami baba stara
I teremtete huzara
Strwożonych ludzi odstrasza,
Jak Poeci, władza wasza.
Znajdzie się człowiek, co wszędzie
Na odwagę się zdobędzie!
Lecz przeczytać wiersze nudne,
To prawdziwie rzeczy trudne.

Zdaje mi się, że to kanclerz Bakon powiedział, iż największa część wizyt nic innego nie jest, jak tylko zładowanie ciężaru swego na kogoś innego, którego to ciężaru sami unieść nie możemy. Niechże się to mój panie Ambroży i do mojego listu ściąga, zładuję na Ciebie cokolwiek ciężkich nudów moich, a Muza moja do tego bardzo zręczna:

Ale na te dziwne czasy
I ona już ma grymasy;
Jak gdzieś pójdzie, jak się schowa
Przez tydzień nie być gotowa.

Ale to podobno dużo mając teraz dzieci do odwiedzania (nawet nieprawego łoża) nie ma czasu bywać tak często.

Wiele dziatek samemi zwykła zbywać fraszki,
Nie czarą kastalskiej wody,
Już nosi teraz jak wprzody,
Lecz często z prostą wodą zwykła nosić flaszki.

Ten wiersz coś niebożę bardzo koślawy:

Dlatego też [czytelnik sprawiedliwy rzecze]
Aż na ostatku za trzema się wlecze.

A jaki Zoil niesprawiedliwy gotówby się obruszyć i dowodzić z Homera i wszystkich pogańskich teologów, że Muzy nigdy z flaszkami nie chodzą:

Ale ród poetycki, możny w przywileje
Z tego się śmieje —

i powiada:

Że gdy się zechce poecie,
Muza przyjść musi choćby i w kornecie.
Bo poeta z kastalskiej gdy przypije czary,
W taniec rymy zaprasza i rozdaje pary.
Że to czyni bardzo skoro,
Dziwnie się czasem pary z prędkością dobiorą.
I tak Wenus musi z wołem
a Kupidynek z Aniołem,
Terpsychore z Niedźwiedziem
a Ganimedes ze śledziem,
Achilles z księdzem Hilarym
a Helena z Żydkiem starym,[1])
Organista z którą Muzą,
Adonis z Meduzą.
Nawet panie Ambroży, gdy w nagłej potrzebie,
Z łysych gór czarownicę stawi obok Ciebie.

Zgoła nie ma nic na tym świecie, czegoby moc kadencyi połączyć nie zdołała.

---

[1]) Trzy *a* się przeto kasują,
Że nie do taktu tańcują.
Nie pozadrość tego wiersza proszę Cię.

Ażeby mógł z Kaźmierzem stać razem Ambroży,
Musianoby przydomek dodać Kaźmierz Boży.

Więcby mi dla tej przyczyny wypadało świętym zostać, ale mnie to nie takby przyszło, jak memu szczęśliwemu Patronowi,

Że do dwudziestego roku
Nie dał się podbić pięknemu oku.
Papież grzeczny, przyznać trzeba,
Przesłał mu bilet do nieba.
I jam też także tej sztuki dokazał;
Lecz po dwudziestu latach niema na to mocy,
I on, gdyby żył dłużej, pewno jednej nocy
Wszystkieby dobre kreski pomazał. —
Już to widzę wyrok Boży,
Padł na Cię, biedny Ambroży:
Tak, gdy piszę do Ciebie, Pegaz mnie unasza,
Na wzór Pegaza świętego Łukasza,
Że nie dość na jednej ćwiartce,
Trzeba jeszcze myśleć i o drugiej kartce.

Niech Cię mazaniny nie obrażają. Pelisson powiadał, że makuły są muszkami Muzy; jabym mówił, że są plastrami pokaleczonej — lepiej jednak nie podobać się oczom, niż gustowi. Zaostrzyć ostrzegam uwagę, bo ważne rzeczy i nowe zamyślam Ci odkryć:

Pewno, że już żona męża,
I mąż ściskał żonę swoją,
Zwykli się chronić oręża
Ci, którzy się miotły boją.
Ten, kto raz utracił życie,
Nie głupi stracić go więcej.
Para, gdy ma własne dziécię,
Zna się nad dziewięć miesięcy.
Jeżeli ojciec ma syna,
Syn też bez ojca nie będzie:
Twierdzą, że dąb ma żołędzie,
A owocu nie ma trzcina.
Kto małpie podobien z pyska,
Mówią, że nie jest urodny.
Kto z próżnego jé półmiska,
Sądzę, iże wstanie głodny.
Nie goły, kto jest bogaty;
A nie bogaty, kto goły.
Smutny, kto ponosi straty,
Kto zyska, bywa wesoły.

Wnoszę, iże dzień być myśli,
Kiedy ranna zorza świta.
Głupi ten, kto głupstwa kryśli,
Nieszczęśliwy, kto je czyta.[1])

Są i niestałe kobiety
Tak, jak niestałe poety:
Dzisiaj jaka szumna oda,
A jutro się bajka poda.

Dopiero na satyrę ostry ząb wyszczerzy,
Już rozkwilonym głosem smutne treny szerzy.
Czasem też Arkadyjski spodoba się wianek,
I chęć bierze do sielanek.
Ale pomimo wiosny, strumienie i gaje,
Jakże biedny wzór dzisiaj wieś poetom daje!
Oto świeża w nieszczęście Amarylla wpadła,
Że wczoraj Kozakowi z krzyżem płaszcz ukradła,
Filis Baszkierom dała już wierności dłonie;
Opuszcza czysty strumyk i kwieciste błonie.
Mirtyl w karczmie przy pieniach kijem się ozdobił;
Odważnie pił na kréski, jeszcze Żydka pobił.
Dafnis dostał kołtuna, a piękna Glicera
Usmolona, z skopconych łachmanów wyziera.
Śpi Tyrsys, na korytku wsparta nieco główka,
Gdzie z zgniłej rury ciekąc, szmer daje gnojówka.
Nos ojczystą tabaką hojnie napełniony,
Harmonijne z sapaniem wyprowadza tony.
Tkliwe wiejskie swobody — w tém świnia przychodzi,
I węchem koło twarzy miły sen przeszkodzi.
Pójdźmyż do tego, który rozbrat zrobił z światem:
Ekonom, co jedynie sprzyjaźnił się z batem —
Jak od Arkadyjskiego różni się on Pana,
Nie jemu fletnia z wieńcem bywa poświęcana.
Gardzi sypanym kwiatem i ogniem ofiary:
Gąska, jajko i pieniądz, to u niego dary.
Pan tamten z tkliwém sercem za Nimfami goni,
Tamten z śpiewem — ów z krzykiem i batogiem w dłoni.

Tak to mój przyjacielu, wszystko na wsi przeciwne do sielanek: więc i tym podobno trzeba tutaj dać pokój. Czytałem tutaj teraz „O naukach wyzwolonych w powszechności i szczególności“ Księgi dwie przez Xdza Ignacego Włodka w Rzymie 1780. Edycya in quarto bardzo piękna. Nudny rozwlekłością, ale polszczyzna bardzo dobra z przypiskami włoskiemi, greckiemi itd. Najbardziej

[1]) Mój dobry Przyjacielu, jeszcze Ci nic nie posyłam z mojej pracy, bo jeszcze nic nie mam godnego.

szacuję przy końcu: Słownik polski dawny, czyli zebranie słów dawnych, zaniedbanych polskich, z ich tłómaczeniem, z 140 stronnic się składający, po dwie kolumny na każdej. Jeżeli Ci to dzieło nieznane, będę Ci się starał przysłużyć niem, bo Ty lepszy użytek z niego zrobisz.

Atalę[1]) chciałem Ci posłać po niemiecku, ale właściciel jej, sąsiad mój, nie może sobie dotychczas przypomnieć, za którą mu szafę wpadła. Leguwego i Georgiki odsyłam Ci z podziękowaniem (jeżeli Ci to podziękowanie potrzebne). Powiadam Ci szczerze, że tłómaczenie Georgików bardzo mi się podoba. Chciej oddać Wn. Przybylskiemu przyłączony list. Posyłam Ci jednę zwyczajną racyę wierszów; wybrałem, co mogłem, godnego Twojego gustu — i jeżeli mi przyślesz *bon*, to Ci za każdą okazyą jednę taką racyą posłać obowiązuję się. Nie chcę ja, żebyś się rozwodził nad krytyką, ale krótko i szczerze napisał, co uchodzi przed Twoim gustem, a co nie.

Jeżeli chcesz, to Ci będę łapał motyle, albo tak nazwane ćmy; śmialiby się zapewnie myśliwi moi sąsiedzi z takiego polowania; może też i Ty wolałbyś, bym Ci posłał ubitą przezemnie sarnę lub zająca, ale nie spodziewaj się tego. Co Ci najłatwiej, to mi poślej; co Ci wpadnie do głowy, to wypędź do listu do mnie. Prosiłbym Cię bardzo o jakie poezye. Zresztą na Twojej chęci i możności polegam, a poleżawszy, wstaję do zrobienia Ci zgrabnego ukłonu luby mój Przyjacielu.

Do listu przyłączył Brodziński „pierwszą racyę wierszów“, a mianowicie trzy bajki: „Jeż i czapla“, „Sowa“ i „Koguty“ — z tych dwie ostatnie drukowane były z pewnemi zmianami w „Pamiętniku warszawskim“ (1815, tom I i III) — i wiersze: „Do mędrka“, „Praczka“, „Całunek“, „Do wieśniaków“ i „Wieczór“. Forma literacka tychże utworów wykazuje bezsprzecznie pewien postęp w rozwoju twórczości, większą swobodę literacką i powolne oswobadzanie się z pętów pseudoklasycyzmu. Dla przykładu przytaczam tutaj najcharakterystyczniejsze.

PIERWSZA RACYA WIERSZÓW.

Do Mędrka.

Oj wymknę ja się powoli
Kochany mędrku od ciebie;
Bo już też mnie szyja boli
Patrzeć z tobą po tém niebie.
Pójdę sobie do Klarysy,
Prędzej ja pojmę jej wdzięki,
I w jej oczach dojrzę rysy
Dzieła doskonałej ręki.

---

[1]) Chateaubrianda.

Prawda, że jej wdzięki miną,
A gwiazdy nad naszym grobem
Nie zaraz jeszcze zaginą,
Świecić będą nad jej globem.
Ale i ja tu nie trwały;
A choćbym przed gwiazd obliczem
Przedumał i wiek mój cały,
Mało pojmę — pójdę z niczem.
Lepiej ja drogę odprawię,
Gdy najbliższą zerwę różę,
I z nią się dobrze ubawię,
Nim się w ciemny grób położę.

Całunek.

Choćbym tu miał wołać wiecznie:
Całunka trza mi koniecznie;
Nie ustąpię ani kroku
Od danego raz wyroku.

Całus serca ściślej klei,
Mocy dodaje nadziei,
Ożywia dawne płomienie
I nagradza utęschnienie.

On zawięzuje kochanie,
Przezeń do serca dostanie;
On gasi płomień tlejący,
I on odnawia gasnący.

On miejscem dwóch serc rozmowy,
On pieczątką skrytej mowy,
On miłości radca tajny,
On jest jej dochód zwyczajny.

On jest słodki, on przyjemny,
Zadany zawsze wzajemny,
On z tkliwej duszy pochodzi,
On wzajemności dowodzi.

On miłości pierwszą stratą,
Pierwszą próbą, pierwszą płatą,
On jej nagrodą, jej wróżbą,
Jej dziękczynieniem, jej prośbą.

On jej hubką, jej krzesiwem,
Jej zakładem, jej ogniwem;
On jej ojciec, on jej dziécię,
On jej żywioł, on jej życie.

Jej obrządkiem, jej zwyczajem,
Celem, wiarą, cnotą, rajem.
Choćbym tu miał wołać wiecznie:
Całunka trza mi koniecznie.

Wieczór.

Z czarnych gór
Zamków mur
Zakrył słońce przy zachodzie,
Sam się otoczył w promienie,
Zorza się dwoją we wodzie
I co długie rozwlókł cienie
W złoty pas
Stroją las.

Umarł dzień —
Jego cień
Od czarnych borów wychodzi
I smutne pola zalega,
Do domów pasterzy młodzi
Uciekają przed nim z brzega,
Goniąc wprzód
Wołki w bród.

Liści tłum —
Smutny szum
Dają za wiatrem przebiegłym,
Co się przez krzewy oddala,
A flecik w polu rozległym
Ledwo jeszcze słychać zdala,
Jak wśród skał
Wdzięcznie grał.

W pętach koń
Wraca z błoń
Do wsi szlącej dym dokoła,
Co poprzytykała chaty
Do wyniosłego kościoła,
Nad nim od zorzów oświaty
Pysznie z blach
Błyszczy dach.

W następnym liście do Grabowskiego — z dnia 10 maja — pisze Brodziński z radością, iż niedługo pokój zostanie zawarty i dodaje; „ogłaszam to tutaj wszystkim majowym kwiatom, gajom i strumykom, tylko

Nie chce mi się zmieścić we łbie,
Że nasz wódz skończył na Elbie“.

Prosi dalej o przysłanie „kochanego Reklewskiego Pień wiejskich“ i o jakieś nowości do czytania — choćby i księdza Trzcińskiego. Wspomniany ksiądz Trzciński, był to kanonik krakowski, który wydawał rozmaite nieudolne i nudne utwory literackie, jak n. p.: „Dekada wierszów rzetelnych na honor godnej siostry bractwa miłosierdzia“... lub „Duch Księgi natury przez przyjaciela nauk odcieniony“ (1813), albo „Pieczęć na usta lekkomyślnych duchów wygotowana, a przezacnej archikonfrat. krak. na wskrzeszenie pierwiastkowego jej ducha ku dobru bliźnich i na rozkrzew religii boskiej przez przyjaciela prawdy i ludzkości z wylewem serca ofiarowana“ (1814). Dzieł Trzcińskiego nie posłał mu Grabowski, ale obdarzył go broszurami polemicznemi profesorów Akademii Krakowskiej i „Kościołem sławy“, poematem, ułożonym wierszem polskim przez Ignacego Bykowskiego, porucznika wojsk rosyjskich (w Wilnie, 1799); ten „Kościół sławy“ nie podobał się Brodzińskiemu, bo w liście z dnia 23 maja, ostatnim, który wysłał do przyjaciela z Sulikowa, tak się o nim wyraża: „Czy ja poganin niedobry, czy zaślepiony przez jaki cud, iż mi się wszystko zdaje, że to jest kościół nudów; dobrze czytać głupstwa, nawet kiedy się z nich można śmiać: ale tu ni śmiać, ni płakać, tylko gębę od ucha do ucha rozdzierać, ziewając. Już ja to był dawniej coś takiego napisał o tem:

> Autor ma rozum z cnotą, powiem bez obawy,
> Autor, co wierszem kościół opisał nam sławy,
> Chwalić, gdzie nie chcą pieścić, nie rzadkaż to cnota?
> Opisać, co nie znamy, nie trudnaż robota?

W tymże samym liście pisze, iż z sielankarza staje się satyrykiem — a lepiej nudzić sielankami, niż gniewać satyrami; dalej donosi, iż niedługo wyjedzie do Poznania i użyje wszelkiej taktyki wojennej, aby się nie spotkać z powracającem wojskiem z Paryża, bo chce zakonserwować nogi i ręce całe. Co z sobą później zrobi, tego nie wie. „Stoję, jak Herkules nad rozstajnemi drogi — to jest nie z pałką w żylastej dłoni, ale z mantelzakiem pod chudą pachą, gdzie się udać?“ Gdybym był Herkulesem, tobym wówczas greckim komisarzom drogowym proponował, aby do rozkoszy i cnoty nie było różnych dróg, ale jedna — i Bóg zapłać Epikurowi i naszego wieku Helwecyuszowi i t. d., że nad połączeniem tych dróg pracowali... Jest moją myślą (tylko się nie śmiej) wojażować, a najbardziej do Szwajcaryi, żeby można nad Genfem jaką sielankę zrobić, bo tu już mi się nie udadzą. Ale to wojażować, mój kochany, z wierną sumką w kieszeni i pieszo, a jakby nogi zbolały i kraj mniej był wart, żeby go pieszo zmierzyć, przysiąść się gdzie. Najbardziej chciałbym grób Roussa odwiedzić piechotą, który także radzi w swoim Emilu, że najlepiej pieszo wojażować“... Wraz z listem przesyła jeszcze Grabowskiemu, którego nazywa żartobliwie „księciem na Zgniłkach i hrabią na

Pleśni, co jako przodków ma Kromerów i Kochowskich“, w darze dzieło ks. Włodka; dopytuje się wreszcie o drugi tom literatury Bentkowskiego i kończy drobnym wierszykiem p. t. „Pory roku“.

Cztery pory roku
Są prawdziwe wzory
Twojego wieku,
Człowieku.
Na wiosnę wszystko się śmieje,
Że wrócą pogodne nieba,
Nucą po polu nadzieje,
Lecz zimą jeszcze żyć trzeba.
W lecie już bogata niwa,
Lecz przy pracy pot się leje,
Słońce niestety dogrzewa,
Że człek czasem i szaleje.
W jesieni wszystko bogato,
Mniej ozdób, lecz więcej zysku,
Ale zbierasz tylko na to,
By ujść na zimę ucisku.
W zimie po trudach i znoju
Ukończywszy swe kłopoty,
W lubej zaciszy pokoju,
Używa człek swej roboty.
Cztery roku pory itd.

Oprócz do Ambrożego Grabowskiego pisywał jeszcze Brodziński z Sulikowa do prof. J. Przybylskiego i Fel. Słotwińskiego. Według wskazówek tego ostatniego prowadził był pewne studya nad filozofią ścisłą; z zachowanych listów dowiadujemy się, że prof. Słotwiński posyłał mu książki naukowe, o których następnie Brodziński zdawał sprawę. Najciekawszym jest list Brodzińskiego z 27 kwietnia; donosi w nim, iż odsyła kilka książek a mianowicie 1) „Prawo natury“ — t. j. dzieło Franc. Al. Zeillera p. t. „Prawo natury prywatne w języku niemieckim napisane a przez Fel. Słotwińskiego na język polski przełożone, terminologią łacińską i niektóremi prawniczemi przysłowiami pomnożone“ (Kraków, 1813) — 2) „rozprawę Słotwińskiego“ — najprawdopodobniej była to „Rozprawa o historyi prawa natury i systematach różnych jego pisarzów“ (Kraków, 1813) — 3) Werke v. Salat“ — t. zn. rozprawy ks. Jakóba Salat'a, profesora filozofii w Landshut, wyznawcy teoryi poznania Jacobi'ego; w dziełach swoich ks. Salat, tak jak Jacobi, wszystko sprowadza do uczucia, na wrażenia zmysłowe kładzie bardzo wielki nacisk i twierdzi, wbrew Kantowi, że świat zewnętrzny możemy tylko zapomocą wrażeń zmysłowych poznawać. Prawdopodobnie miał Brodziński jego „Religionsphilosophie“ (1810), „Moralphilosophie“ (1810) lub „Erläuterung einig.

Hauptpunkte der Philosophie" (1813) — 4) „Zeitkunde der religiösen Gefühle" — i 5) „rozprawę ks. Jarońskiego" — zapewne dziełko p. t. „Jakiej filozofii Polacy potrzebują". (Kraków, 1810) Dalej w tymże liście dziękuje za chęć przysłania „Filozofii ks Jarońskiego", — t. j. właściwie przekładu dzieła G. E. Wenzla p. t. „Elementa philosophiae methodo critico adornata", wydanego przez ks. Jarońskiego w roku 1812, — bo ją posiada „darowaną od profesora Szumskiego w Poznaniu, wielkiego autora tego wielbiciela". Na zapytanie prof. Słotwińskiego, czy jego dzieła kto kupi, odpowiada Brodziński: „daremnie to i wspominać i wołać z Naruszewiczem

Kogoż to nie zadziwi, że jeszcze wiek głupi,
Rzadko kto książki czyta, rzadko kto je kupi.

Źródła spokojności duszy[1]) — pisze dalej Brodziński — gdy dokładniej przeczytam, dopiero będę mógł donieść, ile mi się podoba. Zbiór wyrazów spolszczonych bardzo jest w swojem miejscu i potrzebny. Jakżeby życzyć należało, gdyby się można doczekać słownika wszystkich słów do nauk i kunsztów, dotąd nieznanych nam, dawniejszych i nowych z objaśnieniami i tekstem łacińskim, niemieckim i francuskim obok! Ulżyłoby to wiele uczącym się, ustaliłoby już raz na zawsze, jedne tych słów używanie, stąd ubytek wielu zawiłości, sprzeczności i kłótni nawet literackich, często dla samych szczególnie źle użytych znaczeń słów się odbywających, a najwięcej ubogaciłoby nasz język, któremu tego tylko brakuje, co tak łatwo mieć może. Towarzystwo uczone nasze pracowało nad spolszczeniem trybuszona, lichtarza itd., a potrzebne do filozofii słowa leżały odłogiem; i niechby lichtarz został jeszcze lichtarzem, ale czołgać się i wikłać w naukach filozofii przez zaniedbanie tych potrzebnych wykładów, to jest z prawdziwą szkodą dla kraju. Sądzę ja, że Szkoła Główna największe ma prawo do wypracowania takiego słownika.

Za rozprawę X. Jarońskiego bardzo jestem wdzięczen, boję się chwalić jej za to, że ją zrozumiałem bardzo łatwo, ale można powiedzieć, że pisana jest z czuciem, co tak rzadko widzę u filozofów z gorliwością dla kraju, a bez jego przesądów. Polacy są wszyscy gorliwi dla kraju, ale jak mało gorliwych bez przesądów, jak wiele takich nam potrzeba, i jak wiele jeszcze walczyć by im wypadało z własnym narodem.

Nie śmiem dawać zdania o dziele Salata, a wyznam, że więcej szanuję autora jak dzieło, dlatego, że dzieło pięknemu tytułowi nie wiele odpowiada.

---

[1]) Jest to dzieło M. W. Voigta p. t. „Źródła spokojności duszy, które człowiek w swym ciasnym umyśle znajduje, dla wewnętrznego zaspokojenia myślących ludzi... tłómaczone przez Fel. Słotwińskiego". (Kraków, 1814).

Zbijać trafnie zdania de la Rochefoucaulta, który nie bardzo prawodawczy ma wpływ na kulturę obyczajową, nie godne tak obszernych uczonego roztrząsań.

W Zeitkunde der religiösen Gefühle piękne zdają mi się być myśli, ale porozrzucane i tak nazwać się mogącemi Epizodami tak zeszpecone, że go trudno do końca doczytać; zdarzenia czasowe i urzędowe bardzo są obojętne dla czytelnika. Chwalebny bardzo Autora zamiar, godny miłośnika mądrości i ludu, ale niezmiernie trudny — połączyć ściślej Religią z Filozofią, te dwa żywioły uszczęśliwienia duszy. — Na te dni piękne zabawiam się dosyć poezyą i jeżeli, Panie, śmie wstydliwa Muza wejść w progi Filozofa, tobym mu posłał jaki owoc próżniackich moich godzin".

W przypisku prosi Brodziński o przysłanie „Porządku fizyczno-moralnego Kołłątaja". W dniu 10 maja otrzymał Słotwiński jeszcze jeden list od niego, z którego najważniejszą jest wiadomość, iż wywczasy wiejskie kończą się i poeta ma nadzieję być w przyszłym miesiącu w Warszawie. W rzeczywistości — jak to oznaczyć można na podstawie przypisku w ostatnim liście do Grabowskiego, iż „jedzie w sobotę" — opuścił Brodziński Sulików dnia 28 maja 1814 roku; ta data zamyka okres jego tułaczki młodzieńczej. Z przybyciem do Warszawy rozpoczyna się nowa epoka w życiu śpiewaka „Wiesława".

Lwów. *Bronisław Gubrynowicz.*

»Mowa o duchu klassyczności i romantyczności we względzie filozoficznym« (1822).

Tytuł tej broszury nieraz musiał zaciekawiać historyka literatury, który, przypatrzywszy się choć zdaleka rozwojowi wyobrażeń o t. z. klasyczności i romantyczności w najwcześniejszym i najmniej znanym okresie ścierania się obu prądów, zrozumiał, że właśnie brak „względu filozoficznego" był powodem zamieszania i zamętu w zapatrywaniach. Może w tej „Mowie" zawarła się wreszcie myśl jasna, twórcza, rzucona w odmęt rozbieżnych dążności?... Dlatego szukano od dawna tej rzadkiej broszury; szukał jej P. Chmielowski i inni krytycy, ostatnio zaś zwrócił na nią uwagę prof. Kallenbach w swych wykładach.

Niestety, „Mowa we względzie filozoficznym" [1]), którą poznałem z odpisu jedynego egzemplarza, zachowanego w Bibliotece ord. Zamojskich w Warszawie (Nr. 337), zaciekawić może raczej „we względzie"... bibliograficznym.

[1]) Tytuł dokładny: Mowa o duchu klassyczności i romantyczności we względzie filozoficznym przez I. S. K. W Warszawie w drukarni Łątkiewicza przy ulicy Senatorskiej nr. 467. 1822. — 8-o str. 20.

Przypisywano ją dotąd znanemu filozofowi Józefowi Kalasantemu Szaniawskiemu (por. n. p. Estreicher, IV, 432; Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej, t. II, 312); tak bowiem rozwiązano inicyały autora: I. S. K. Autorstwo Szaniawskiego jest jednak wykluczone. Przemawia przeciw temu, jak zobaczymy, treść „Mowy", jej język i styl, dalekie od wyszkolenia filozoficznego właściwego Szaniawskiemu, następnie inicyały autora, z imionami i nazwiskiem filozofa niezgodne, a wreszcie przedmowa, w której krytyk się skarży, że musiał pracę wydać osobno, gdyż nie chciało jej wydrukować żadne z czasopism peryodycznych; trudno przypuścić by taka odmowa spotkała cenzora Szaniawskiego [1]).

Pod kryptonimem I. S. K. ukrył się kto inny: Ignacy Skarbek Kiełczewski, osobistość znana bibliografii z kilku tłómaczeń, wreszcie z anegdotycznej broszury o p. Staël [2]). Zasługą Kiełczewskiego, niepodniesioną dotąd, jest pierwszy i jedyny przekład polski dzieła p. Staël „O Niemczech", dokonany bardzo wcześnie, bo zdaje się jeszcze przed wyjściem rozprawy Brodzińskiego, w r. 1818 [3]). Praca nie znalazła jednak nakładcy i pozostała w rękopisie. Urywkiem tego przekładu jest prawdopodobnie ustęp „O wpływie entuzyazmu na szczęście ludzkie", pomieszczony w trzy lata później w „Astrei" (1821, I, 21—32) i podpisany tymiż samymi inicyałami co „Mowa".

Że Kiełczewski był autorem „Mowy", przypuszczał też Estreicher, gdyż, przypisawszy „Mowę" Szaniawskiemu, zanotował ją równocześnie przy Kiełczewskim, tak, że możnaby błędnie przypuścić istnienie dwu takich samych druków, identycznych pod względem tytułu, roku i miejsca wydania.

Strona literacka broszury jest mniej ciekawa. „Mowa o duchu klasyczności" niewiele wzbogaca naszą ubożuchną, poza Brodzińskim, krytykę literacką przed rokiem 1825, niemniej jednak jest dla niej zjawiskiem charakterystycznem, które, bez narażenia się na zarzut szperania w ciekawostkach bibliograficznych, pokrótce trzeba objaśnić.

Najrozsądniejszy z Iksów, Franciszek Morawski twierdził jeszcze w r. 1816, że Polska powinna zabrać głos w najważniejszej „kwestyi społecznej" literatury europejskiej XIX wieku, w sporze klasyków z romantykami i rzucić hasło rozejmu. I choć długo jeszcze potem głucho było o nowym prądzie w poezyi polskiej, w krytyce przemyśliwać już zaczęto nad kompromisem

---

[1]) Nie był to wypadek odosobniony. Około r. 1822 nie chciano wogóle poświęcać w czasopismach więcej miejsca debatom nad romantycznością. Taki sam los spotkał n. p. obszerną pracę jakiegoś E. M. p. t. „Myśli o romantyczności i klasyczności" której nie chciała drukować warszawska „Gazeta literacka" (Por. „Gaz. lit." 1822, I, str. 180).

[2]) Wiadomość charakterystyczna o życiu i pismach P. Baronowej Holstein-Staël. Warszawa, 1819.

[3]) „Wiadomość charakter." str. 37 (nota).

między oboma kierunkami, nad wynalezieniem drogi pośredniej dla poezyi.

Po długich dyskusyach i coraz nowszych nieporozumieniach, wzniecanych przez każde świeże zapatrywanie przyniesione z artykułów francuskich do polskich czasopism, po bezowocnem zrazu wystąpieniu Brodzińskiego, na które odpowiedziano w latach 1820—1 entuzyazmem dla byronizmu, utrwaliło się w r. 1821 i chwilowo najwięcej zwolenników znalazło przekonanie, że żądania młodego pokolenia, odurzonego byronistycznymi surogatami są „czczą formą", „marą zwodniczą" i stanowczo nie godzą się z duchem narodowej poezyi, poważne zaś i godne urzeczywistnienia postulaty romantyków, a więc: nowe pojęcie poezyi narodowej, z ducha i charakteru każdego narodu płynącej, nowe wątki wprowadzone przez romantyków, reforma trzech jedności w dramacie itd. nie wymagają wcale wyparcia się ideałów poezyi starożytnej, a co ważniejsza, mieszczą się zupełnie w pojęciu dobrze zrozumianego klasycyzmu, „nie zachowanie bowiem martwych prawideł, ale prawdziwa dzieła doskonałość stanowi klasyczności znamiona" [1]). Pozornie zdawaćby się mogło, że jest w tem stanowisku nieco abdykacyi ze strony klasyków-schyłkowców. Tymczasem nie myślą oni wcale o ustąpieniu, a widać to z argumentów, którymi się posługują. Opowiadają n. p., że „właściwemi duchowi nowoczesnemu i romantyczności są przedmioty tragedyi francuskiej" [1]), a już mistrzowskim wzorem dla zapalonych romantyków powinno być „romantyczne dzieło, zbudowane na klasycznych podstawach... Ludgarda Kropińskiego" [2]). O cóż się zatem spierać?

Kiełczewski, najwybitniejszy przedstawiciel tej grupy, nie długo się także w „Mowie" namyśla nad rozwiązaniem tej najtrudniejszej dla ówczesnych estetyków kwestyi, jaką stworzyła krytyka romantyczna Zachodu, podzieliwszy literaturę wszechświata na dwie połowy, klasyczną i romantyczną. Jego zdaniem, romantyzm nie jest wcale „wynalazkiem wieków średnich, ale jest dążnością, która się zawsze i wszędzie w dziele geniuszu pojawia". Romantycznym jest każdy wytwór poetyckiej wyobraźni. Wszystko co u poety nie jest oparte na rzeczywistości, co jest zmyśleniem, fikcyą jest tem samem — romantycznością. „Bo czemże są zmyślenia, jeżeli się nie zasadzają na duchu romantyczności, bez której, gdyby nie wiem jakie obrazy, nie miałyby podobno żadnych dla nas powabów". Zgodzimy się przeto z autorem, gdy tak „szeroko" pojętą romantyczność odnajdzie i u Homera i u Wergilego, którzy pełni są „klasycznej romantyczności", dalej u Woltera, twórcy „najwytworniejszych romantycznych fikcyi" a równocześnie u Schillera. Nie zdziwimy się także, gdy nazwie Fenelon'owskiego Telemaka „cudownym splotem klasyczności z romantycznością"...

---

[1]) „Astrea" I, str. 383.

[2]) „Pamiętnik galicyjski" 1821, I, str. 56.

Takisam zespół fikcyi romantycznej z prawdą rozsądku i przepisami sztuki spostrzegamy w muzyce i malarstwie. Mylą się więc ci, którzy jednemu albo drugiemu pierwiastkowi twórczości dają pierwszeństwo, bo tylko połączenie ich w jedną całość prowadzi poetę do doskonałości — konkluduje autor — i wydziwić się nie może, dlaczego nad tak jasną kwestyą wiodą krytycy hałaśliwe spory od szeregu lat...

Ułatwił sobie zatem ogromnie zadanie i bez trudności przeciął gordyjski węzeł p. Ignacy Skarbek Kiełczewski. Nie przypuszczał tylko zapewne, że jego występ będzie miał wartość, wyłącznie jako przykład jaskrawy poglądów całego stronnictwa ówczesnych krytyków: Królikowskich, Kalińskich, Przesmyckich, żeby choć kilka nazwisk wymienić, którzy, ignorując zagadnienia, roztrząsane przez poważniejszych pisarzy, prawili bez żadnej wiedzy estetycznej o romantyzmie i ferowali stanowcze wyroki, choć znali ten nowy prąd literacki jedynie ze słyszenia.

Jak dla wszystkich zapatrywań i prądów nurtujących w naszej krytyce w latach 1820—1825 tak i dla tego ostatniego nie trudno wskazać odpowiednik a nawet wzór w ówczesnej krytyce francuskiej, która była stale źródłem wiedzy dla obu walczących obozów. Jest nim owa grupa pisarzy, która, jak mówi Des Granges, zgadzała się na *fond nouveau*, ale obstawała przy *forme classique*. Szczegółowe rozpatrzenie tej łączności wykroczyłoby poza ramy bibliograficznej informacyi. Omówię je zresztą na innem miejscu, w związku z całością krytyki romantycznej tego okresu.

Lwów. *Stanisław Wasylewski.*

Pisma Maurycego Mochnackiego.

Jeden z największych prozaików polskich nie tylko że nie doczekał się ustalenia swoich pism, ale i te, które wyszły z jego podpisem, których autorstwo wątpliwości nie ulega, wydane są w sposób pozostawiający wiele do życzenia. Określenie powyższe jest zbyt grzeczne w stosunku do wydania Żupańskiego (Poznań 1863). To wydanie „jedynie prawne" nie tylko, że się roi od błędów drukarskich, ale także od poprawek i uzupełnień pierwotnego tekstu. Nawet biografia Mochnackiego przez Podczaszyńskiego pisana, przedrukowana z Pospolitego Ruszenia Ordyńca (Paryż, 1835), nie oparła się twórczej intelligencyi wydawcy, czy kogoś innego. Uzupełnień faktycznych w tej małej biografii około 12-stu, a wśród nich takie:

w tekście pierwotnym: „Maurycy Mochnacki zmarły w Auxerre dnia 20 grudnia 1834 r., urodził się w Galicyi, we wsi Bojaniec r. 1804".

U Żupańskiego opuszczono r. 1804 i dodano po „Bojaniec“: „cyrkule Żółkiewskim, wsi dziedzicznej swoich rodziców“. W tekście: „w więzieniu związku nie wydał“. U Żupańskiego dodano: „jakkolwiek krótko wzięty“. W tekście: „Mochnacki miał zamiar zostać adwokatem“. U Żupańskiego wtrącone „chcący dawniej ćwiczyć się na drodze dyplomatycznej“, całego zaś ustępu, który jest u Żupańskiego na stronie 300, opisującego męki w więzieniu, a obejmującego 9 wierszy petitem, zaczynającego się od „w więzieniu“, a kończącego na „tak właśnie“ — u Podczaszyńskiego zupełnie niema. Wyliczać wszystkie błędy i poprawki, tak faktyczne jak i stylistyczne, którymi przedruk jest napełniony, poprostu niepodobna, dość skonstatować, że żaden biograf Mochnackiego, opierający się na tym przedruku, na Podczaszyńskiego powoływać się niema prawa.

Bardzo być może, że matka Mochnackiego, pani Marya z Pągowskich Mochnacka poprawki owe była poczyniła, gdyż z nią się wydawcy bezpośrednio komunikowali, tembardziej, że uzupełnienia nie są fałszywe. To, że Mochnacki uderzył policyanta i za to po raz pierwszy był więziony, czego Podczaszyński bliżej nie określił,[1]) znalazło potwierdzenie w studyach Askenazego.[2]) Wtedy i rok 1804 jako data urodzenia Mochnackiego, jakkolwiek bardzo blizka prawdy, musiałaby uledz zakwestyonowaniu, skoro ją matka skreśliła. Szkoda, że wydawcy poprawek jako przypisków, ze wskazaniem autora, nie wydrukowali. Lekceważenie myśli autorskiej w wydaniu Żupańskiego spotykamy zresztą nie tylko w owej biografii, ale w samych Mochnackiego pismach.

Weźmy więc list M. Mochnackiego do Michała Hubego, ref. stanu, drukowany pierwotnie w Pamiętniku Emigracyi, w zeszycie zatytułowanym Mieczysław II. Najpierw błąd w dacie: nie „Paryż 18 sierpnia 1832 r.“, ale „Paryż 12 sierpnia 1832 r.“ Poprawek niema, ale na pierwszych dwóch stronicach błędów drukarskich około 24, w tem nie „Stankiewicz“, ale „Hankiewicz“. Zróbmy korektę pism auxerskich. Znajdziemy zmienioną punktuacyę i podział zdań — poza tem poprawki stylistyczne; pierwsza z brzegu (List do jen. Dwernickiego) w tekście pierwotnym: „Z prawdziwą boleścią w sercu przychodzi nam wynurzyć ci, generale, opinię naszą o Twojem oświadczeniu“. U Żupańskiego (tom I, str. 360): „Z prawdziwą boleścią w sercu przychodzi nam wynurzyć ci opinię naszą o twojem, jenerale, oświadczeniu“. Błędy faktyczne w tym rodzaju np. w tekście pierwotnym: „Znaczna część Emigracyi tak myślała“, u Żupańskiego: „Znaczna część Europy tak myślała“ (Pismo Okólne,

---

[1]) U Podczaszyńskiego „zelżony, gdy chciał napaść odeprzeć“. U Żupańskiego wtrącono: „uderzeniem go w twarz broniąc się tylko“ etc.

[2]) Łukasiński.

str. 371). Podpisy pod listem do Dwernickiego nie wszystkie, jest ich 18, nie zaś 13 itd. (str. 369). Józefa Bnierskiego (str. 369) na Emigracyi zupełnie nie było, był zaś i podpisał się kapitan Józef Bajerski. List do Dwernickiego datowany nie 14-go, ale 17-go października, nie w Auxerres wreszcie, lecz w Auxerre itd. itd. Prawdziwa szkoda, że w te, a nie w czyje inne ręce dostał się materyał tak cenny, jak listy Mochnackich do rodziców. Nie mając ich w ręku i nie wiedząc, gdzie się znajdują, nie możemy uczynić porównania, wiemy jednak ściśle, że list Kamila Mochnackiego, pisany w drodze z Avignonu do Paryża, nie może mieć daty 30 marca 1832 r. (str. 93), gdyż Kamil Mochnacki stanął już w Paryżu 25 marca 1832 r., i list był pisany pewnie 20 marca, gdyż 20 rzeczywiście był w Lyonie. Listy nie wszystkie, co zresztą nie jest winą wydawców. Listy znajdujące się w Rapperswilu nie uzupełniają zbioru istniejącej korespondencyi Mochnackich; my sami znamy pewną ilość korespondencyi, znajdujących się w archiwach prywatnych, z którymi niebawem czytająca publiczność zaznajomiona będzie.

Artykuł niniejszy nie ma na celu skatalogowania wątpliwych i niewątpliwych pism Mochnackiego w wydaniach książkowych nie uwzględnionych, lecz głównie podzielenie się z szerszemi kołami czytelników obserwacyami, jakie uczyniliśmy, sprawdzając starannie tekst pierwotny, a o ile się dało rękopis — z książką. W Akademii Umiejętności w Krakowie znajduje się rękopis Mochnackiego „O literaturze polskiej wieku XIX-go“. K. W. Wóycicki opatrzył go notatką, gdzie powiedziano, że „jest tu wiele ustępów, których niema w drukowanem dziele w Warszawie 1830 r. i przedruku I. K. Żupańskiego, jako wykreślone przez cenzurę. Kiedy wybuchnęło powstanie 29 listopada t. r. Mochnacki kartę tytułową kazał przedrukować i opuścił na niej upoważnienie cenzury: Sam tekst jednakże obcięty przez nią, pozostał w drukowanej już książce“. Intuicya zawiodła Wójcickiego. Rzecz się ma zgoła inaczej — tak dalece inaczej, że wydając dzieła Mochnackiego powinno się przedrukować książkę w 1830 r. wydaną, a nie rękopis. Mochnacki liczył się naturalnie z cenzurą, kiedy „o literaturze“ pisał, i to liczenie się widoczne jest, jak wykażemy, w rękopisie druk zaś przeciwnie jest w paru miejscach śmielszy od rękopisu. Zmiany te zaszły w korekcie, bądź w pierwszej chwili po wybuchu powstania, lub może je przedtem Mochnacki wytargował, gdyż jak widać z notatki dla zecera na 1 stronie rękopisu,[1]) sam każdy wydrukowany półarkusz do cenzury nosił.

[1]) „Autor tego pisma prosi PP. Zecerów, żeby pilnie obserwowali wszystkie znaki, pauzy, cudzesłowy, noty, kursiwa. Oraz żeby półarkuszki dla Cenzury przeznaczone mnie z korektą przynosili. Ja sam Cenzurę załatwiać będę i do Cenzury nosić albo posyłać. MM“.

Niema ani jednego ustępu w rękopisie więcej niż w druku jedno zdanie tylko więcej o Witwickim (kartka w rkp. 62), opuszczone w druku, nie z przyczyn cenzuralnych.

Z przekreślonych ustępów w rękopisie (zawierających zawsze tę samą myśl, tylko inną redakcyę tego, co zaraz poniżej autor pisze) jasnem jest, że rękopis równocześnie był brulionem, a z adnotacyi do zecerów na marginesie strony 1, że był w tym brulionie podawany do druku, półarkuszkami, przed wybuchem powstania. W korekcie — gdyż tę sobie przysyłać kazał — musiały być robione te liczne poprawki, które odróżniają rękopis od druku.

Poprawki mają jeden charakter. Wygładzają styl, wyrażeniem lub określeniem dobitniejszem zastępują słabsze, opuszczają zbyteczne lub wtrącają objaśniające — czasem przestawiają wyrazy, lub, rzadko, zdania, czasem czas przeszły lub tryb warunkowy zmieniają na czas teraźniejszy, nadając tok żwawszy okresowi. Np.: W rkp. (kartka 6): „Kruszec z otchłani dobyty, przebijany w pieniądz czyż nie jest *primum mobile* i zarazem hamulcem wszystkiego na świecie?" W książce (str. 22) pierwsze słowa w ten sposób zmienione: „Kruszec z otchłani, bity i cechowany z napisem". W rkp. (k. 2) „Ustała owa stara dzielność poznawań. Zdrobniało pojęcie"; w książce (str. 5) „Ustała owa dzielność poznawań. Zdrobniały pojęcia". W rkp. (k. 2) „Czas zaś iakież to ruchome zwierciadło!"; w ks. (str. 6) „Czas zaś, iakiż to ruchomy element".

W rękopisie brakuje dopisku, który jest w książce (str. 99): „Właśnie w tej chwili ogłoszono prospekt na Rozmaitości Kaliskie, w których redaktor oświadcza, że ani o sporach romantyków, ani (broń Boże) o Filozofii pisać nie będzie". W książce (str. 186) pisząc o Goszczyńskim dodaje: „obecnie pracuje on nad nawem poematem: „Polak w Jassyrze", a w rkp. (k. 55) tylko: „obecnie pracuje on nad nowemi poematami". Oczywiście brak tych ustępów w rękopisie wynika z wcześniejszej doby pisania go.

W rkp. (k. 62) „Powinienem był mówić także o pieśniach lirycznych Goszczyńskiego i o poezyach Stefana Witwickiego; ale pierwsze nie wyszły dotąd z druku, a drugich jeszcze nie zgłębiłem tak jak potrzeba, żebym ocenić mógł dążność artystowską autora". W książce (str. 204) Witwicki został zupełnie pominięty. — Rozdział III ma tytuł w rękopisie (k. 40): „Poeci. — Artyści. — Krytycy. — Porównanie dzisiejszej poetyckiej literatury polskiej z rzymską za Augusta Cezara". Zaś w książce (str. 141): „Poeci. — Architektonika idealna w systemie poetyckiej literatury polskiej. — Porównanie tej literatury z rzymską za Augusta Cezara".

A teraz dowód na stawiane przez nas twierdzenie, że druk jest śmielszy od rękopisu. Gdziekolwiek w książce jest jakakol-

wiek aluzya do położenia Polski, to niema jej w rękopisie. Tu albo wyrażenie słabsze, albo zdanie urwane, niedokończone. Takich wypadków zresztą jest niewiele — zapewne nie doliczyłoby się dziesięciu. W rkp. (k. 62): „Rzeczywistość i dumanie, realizm i idealizm sztukmistrzów polskich, — otóż wielkie massy, nierównie jednak w dzisiejszej literaturze naszej rozdzielone; z większą może o s c y l a c y ą poetyckiego geniuszu i wyraźniejszem zboczeniem na stronę idealizmu, melancholii. I to ma swoją przyczynę słuszną. Tak bydź musiało. Niechay tak będzie. W poezyi odbija się“ — tu punkt. Dwa słowa przemazane, z których drugie „społeczny“, pierwsze, zdaje się „stan“. Zaś w książce (str. 203) po słowie „rozdzielone“: „ponieważ w oscylacyi poetyckiego geniuszu postrzegam wyraźnieysze zboczenie na drogę idealizmu i melancholii. I to ma swoją słuszną przyczynę. Tak bydź musiało w narodzie zawoiowanym. Niechay tak będzie. W poezyi odbiła się publiczna niedola“. Pisząc o hymnie Woronicza (w książce str. 201 — w rkp. kartka 61) pisze w książce to, czego brak w rękopisie „Jest to modlitwa przed burzą“. — W rkp. (k. 68) pisze o Horacym, że nie wtedy jest prawdziwie rzymskim poetą kiedy ..... „ani wreszcie kiedy układnością dworaka i talentem przedpokoiowego wierszopisa kadzi wonnemi pochlepstwy (tu jakieś słowo rozpoczęte dwiema literami i zaniechane) bądź swoim poplecznikom. Z przykładu Horacego wiedzieć to mamy, że najszkodliwsza atmosfera dla genialnego talentu jest“ — tu słowo przekreślone i punkt. W książce (str. 219) po słowie „wierszopisa“: „kadzi wonnemi pochlebstwy uzurpatorowi i swoim poplecznikom. Z przykładu Horacego wiedzieć to mamy, że najszkodliwsza atmosfera dla genialnego talentu jest w pokoiach i względach władzy“.

Poza tem gdzieś w tekście jest coś w rodzaju „kraj“, a w książce „stara Polska“, nie notowałem jednak stronicy, gdyż zanim kilka przykładów tego rodzaju spotkałem, uważałem je za poprawkę stylistyczną.

Goszczyński opowiada,[1]) że gdy 29 listopada przybył do Mochnackiego oznajmić mu, że dziś o 6 wieczór wybuch — Mochnacki pisał ostatni rozdział „o muzyce“ i przemazawszy go szerokiemi pociągnięciami pióra poszedł z nim na miasto. Otóż na drugiej stronie kartki 68 u samej góry jest 7 wierszy na krzyż dwoma pociągnięciami pióra przemazanych. Brzmią one: „Rzecz moją prowadząc ku końcowi tego trzeciego rozdziału mówić będę o muzyce w Polszcze. „*La musique fait parler meme le* powiedział Russo. Toćby u nas rzeczywiście sprawdzić się powinno“. O doskonałej więc pamięci Goszczyńskiego świadczy to, że w tyle lat pamiętał co Mochnacki pisał w ostatnim rozdziale, przesadził tylko długość przemazanego ustępu. Jednak pierwszy tom pracy został wydrukowany prawdopodobnie w zakresie pier-

---

[1]) Noc Belwederska.

wolnie pomyślanym, gdyż po słowach „decantata praeterco“ (ostatnie słowa tekstu w książce), przed ustępem o muzyce, jest napisane: koniec pierwszego tomu — słowa te zostały przemazane i rozpoczęły ustęp o muzyce. Co do rękopisu drugiego tomu literatury, o którym Mochnacki kilka razy wspomina w listach swych z Emigracyi, że go zostawił w Warszawie u Feliksa Miaskowskiego, rękopis ten dotychczas nie został odnaleziony, być może, że zginął w zamieszce. W Akademii Umiejętności znajduje się jeszcze drugi rękopis (streszczenia, wypisy, notaty etc.), który ze względu na charakter pisma Mochnackiemu hipotetycznie jest przypisywany. Oczywiście hipotezę taką mógłby postawić tylko znawca pisma, jeśli zaś uczynił to kto inny, to niema ona żadnego znaczenia, gdyż rękopis innych cech, dla których mógłby być przypisywany Mochnackiemu — nie zawiera; według nas np. pismo jest inne. Przed wydaniem swego dzieła O Literaturze Mochnacki pisał artykuły literackie w paru czasopismach warszawskich. Znając szybkość jego pióra możemy sądzić, że artykułów tych od 1825—1830 r. musiało się nazbierać co niemiara. Że jednak podpisem opatrywane nie były, więc zaginęły. Pragnie je odnaleźć St. Dobrzycki i w Spisie literackich artykułów i rozpraw Mochnackiego, pomieszczonym w III roczniku Pamiętnika Literackiego, widzimy wyliczonych artykułów 106. Niewątpliwie dużo jest pomiędzy nimi takich, które Mochnacki napisał, są pewnie jednak i takie, których nie napisał, na co sam autor zresztą zwraca uwagę. Zdaję sobie doskonale sprawę z trudności, jakie miał Dobrzycki i sądzę, że praca jego jest bardzo ważna, posprzeczałbym się jednak z autorem o metodę. „Dalszą pomocą, pisze Dobrzycki, jest wewnętrzne podobieństwo, identyczność, poglądów i sądów. Wreszcie ogromnie indywidualny, osobisty, różny od innych autorów styl.“ Metodę taką nazwałby można teologiczną, t. j. ustalającą, tak jak to teologowie niemieccy z pisarzami kościoła czynili, autorstwo według doktryny. Mochnacki był człowiekiem bardzo zmiennego umysłu, sprzeczności w jego pismach politycznych co niemiara, a że charakterystyczne cechy umysłowości ważą na każdej pracy, więc tak jak ważyły na artykułach politycznych, ważyły pewnie i na literackich. A komuby szan. autor przypisał artykuł O Rewolucyi w Niemczech, pisany na Emigracyi, gdyby się był bez podpisu ukazał, opierając się na cechach wewnętrznych? Chyba nie niedawnemu przedstawicielowi i wielbicielowi filozofii niemieckiej w Polsce. Że czas 1825—1830 r. był okresem jednolitym pracy literackiej, którą 29 listopad przerwał i że tok życia i wysuwających się problemów od tej chwili tłómaczą wiele sprzeczności, które wprzód mogły nie istnieć — powiedzieć się nie da, gdyż i przed 29 listopada więzienie, cenzura i spiski, rozrywały myśl spokojną Mochnackiego, a wielka jego młodość, rozległa lektura i bogactwo umysłowe kazałyby raczej przypuszczać różnorodność wrażeń i sądów.

Trzeba zważyć, że Mochnacki wywierał silny wpływ na otoczenie, że jego poglądy literackie stawały się poglądami kupiących się koło niego przyjaciół, a ci, także literaci, w czasopismach je rozpowszechniali. Styl zaś, jakkolwiek indywidualny, nie jest dostateczną wskazówką dla odróżnienia jednych od drugich. Naśladować go łatwo i był naśladowany. Naśladował I. B. Ostrowski, Żukowski i inni, naśladowała go cała ówczesna Młoda Polska.

Dziełem O Literaturze Polskiej zamknął Mochnacki swój zawód krytyka literackiego. Na Emigracyi Towarzystwo Naukowe Tułaczów Polskich, którego był wice-prezesem, powierzyło mu napisanie czegoś w rodzaju Rysu ogólnego literatury polskiej dla cudzoziemców. Podjął się, ale z Metz 22 stycznia odesłał Lelewelowi niedokończony rękopis, zawierający jednak całość o poetach i historykach, z tem, że więcej nie napisze, gdyż zajęty jest pismem o rewolucyi.[1]) I ten rękopis zaginął, ostatecznie więc pracę Mochnackiego na polu krytyki literackiej zamykamy przed 29 listopada.

Z rewolucyą zaczynają się polityczne artykuły Mochnackiego drukowane w Kuryerze Polskim, w Nowej Polsce, w Dzienniku Powszechnym Krajowym i Gazecie Narodowej (Zakroczymskiej). Ponieważ znowu podpisywane nie są, parę zaledwie podpisanych inicyałami, zaginęłyby dla nas, gdyby ich nie był Jełowicki wydał w Paryżu 1836. Byli wówczas we Francyi koledzy Mochnackiego po piórze, którzy z nim razem przy stoliku redakcyjnym siedzieli, to co pisał pamiętali — zresztą można przeprowadzić ścisły dowód, że to, co Jełowicki wydrukował do Mochnackiego należy. Wydrukował jednak nie wszystko. Nie wydrukował broszury „Co rozumieć przez rewolucyę w Polszcze“ (Warszawa, 24 grudnia 1830), nie wydrukował charakterystycznego artykułu o Lubeckim — napewno pióra Mochnackiego — umieszczonego w Kuryerze Polskim Nr. 364. Nie mogę się zgodzić z St. Krzemińskim,[2]) aby artykuł Wypadki i ich kierunek (Kuryer Polski 370 z 23 grudnia 1830) należało Mochnackiemu przypisać. Prawda, że czytamy tam myśli, które wyłącznie Mochnackiemu są przypisywane, które jednak były dosyć powszechne, czytamy jednak, co ważniejsze, zdanie następujące: „Świadek epoki roku 1812 i obecnego powstania zastanowię się obszerniej nieco nad niemi“. Czyż Mochnacki, który się urodził w r. 1804, lub 1803 r., mógł się uważać za świadka epoki 1812 r. i jako taki zastanawiać się nad nią obszerniej? Odezwa do reprezentacyi narodowej Nr. 364 też pewnie nie pochodziła od Mochnackiego, oznaczona jest bowiem literami a. n. (artykuł nadesłany), nie pochodziła więc od redakcyi, do której należał Mochnacki. W Nowej Polsce spotykamy także parę artykułów Mo-

---

[1]) List M. Mochnackiego do Joach. Lelewela. Rapperswil.

[2]) Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej, tom IV.

chnackiego, których w wydaniu Jełowickiego niema. Nr. 22 niezatytułowany opis obchodu 25 stycznia ku czci Dekabrystów podpisany literami M. M. Nr. 58: „Jak rozumiećpowstanie Polskie“ napisany jeszcze 18 grudnia a wydrukowany w marcu 1831 r. Uwagę uczonych, zajmujących się ustalaniem pism Mochnackiego, zwracam na artykuł p. t. „Literatura“ (Nowa Polska, Nr. 40 z 13 lutego 1831 r.), dalej na króciutki artykulik, zaczynający się od słów „klasycyzm nietylko broił w literaturze, ale wiele złego czyni i w rewolucyi polskiej“ (Nowa Polska, Nr. 26 z 30 stycznia 1831) Sławny artykuł „Czemu massy nie powstają“ datowany z Pułtuska 12 lutego 1831 r. (Nowa Polska, Nr. 41 z 14 lutego 1831 r.), podpisany jest nie tylko przez Mochnackiego, ale i przez A. Gurowskiego. Podpisu Gurowskiego nie tylko, że wydawca nie uwzględnił, lecz obciął ustęp końcowy, który współautorstwo wydawał.

Szkoda, że nie znalazły się w wydaniu książkowem artykuły, które w obronie swej umieścił Mochnacki w Polaku Sumiennym w pierwszych dniach dyktatury i w Kuryerze Polskim, gdzie tłómaczył pobyt swój w cenzurze i przytaczał list Szaniawskiego oraz dwa pisma przeciwko Kaliszanom wraz z Gurowskim na Emigracyi pisane: 1) Do Rodaków bawiących w Paryżu (18 list. 1832 r.), 2) Rocznica 29 listopada (25 list. 1832). Nie wiem czemu przypisywana jest Mochnackiemu broszura, przez Jełowickiego napisana „O towarzystwie wzajemnej pomocy“ (Paryż, 1833). Z pism, które mogą być Mochnackiemu przypisywane wymienić należy broszurę z 1830 r. str. 8 p. t. „Czy może być kontrrewolucya w Warszawie“ zaciągnięta przez Estreichera pod Ludwikiem Mochnackim, w Bibliotece zaś Jagiellońskiej pod Maurycym, i tak tam przez kogoś podpisana. Niedługo przed śmiercią zwracałem się do Estreichera prosząc o informacyę, ktoby to był ów Ludwik Mochnacki. Estreicher jednak już nie pamiętał. „Kiedy pisałem — wiedziałem, odpowiedział mi, dziś po tylu latach dowód uleciał z pamięci“. Najważniejszą do rozstrzygnięcia byłaby kwestya, czy istnieją dalsze tomy powstania. Według mnie — nie. Było tyle ile drukowane. Dowód starałem się przeprowadzić w Bibliotece Warszawskiej (kwiecień, 1908). Z dwóch tomów, które jeszcze napisać zamierzał, trzeciego p. t. „Kampania“ nieopracowane początkowe ustępy niewiadomo gdzie się znajdują.

Rapperswil, 11 maj, 1909. *Stanisław Szpotański.*

P. S P. Marya Mochnacka w notatkach swoich o synu, pismo do członków Sądu Sejmowego, któremu on w annexach do Powstania Narodu Polskiego dał tytuł „Głosu obywatela z Poznańskiego do senatu Królestwa Polskiego“ nazywa „Głosem obywatela z ziemi zabranej“. Znamy dwa spółczesne odpisy (jak wiadomo pismo to w odpisach się rozchodziło): jeden znajdujący się w Rapperswilu, drugi we Lwowie w Ossolineum. Odpisy różnią się tytułem, zresztą różnic,

chyba bardzo drobnych — niema. I tak: rkp. Rap. „Głos obywatela z zabranego kraju do senatorów polskich z okazyi Sądu Sejmowego", rkp. Ossol. „Głos Obywatela z zabranego kraju z okazyi Sądu Sejmowego". Pomiędzy więc trzema tytułami, podanym przez matkę i dwóch odpisów, różnicy zasadniczej niema, gdyż Głos z ziemi zabranej, mógł znaczyć z zaboru rosyjskiego. Drukując to pismo w Powstaniu Mochnacki zmienił tytuł na Głos Obywatela z Poznańskiego — ztąd wyniknęły pewne zmiany jak: Druk str. 612 „jest nas wyżej dwudziestu milionów", rkp.: „jest nas bez mała szesnaście milionów"; druk str. 613 „król nasz jest razem carem Moskwy", rkp.: „król nasz jest razem cesarzem Moskwy." Jaką myślą Mochnacki się kierował, zmieniając w pewnym stopniu sens polityczny swego pisma, nie wiemy. Poza temi różnicami są inne formalne, wskazujące bardziej wytrawne niż w 1828 r., ale to samo pióro. I tak: rkp. „dla ludzi myślących nie exystuje Polska" druk str. 617: „dla ludzi myślących Polska nie exystuje." „Dzisiejsze Królestwo Polskie jest to z istoty wytrawionej, przewrotnej sąsiadów naszych polityki lichy dar, sadzącej się w początkach na wspaniałomyślność i próżność dla wyłudzenia u potomnych dobrej o sobie opinii, rzeczywiście blichtr farbowany na omamienie łatwowiernych". Druk „Dzisiejsze Królestwo Polskie ten z istoty wytrawiony lichy dar przewrotnej sąsiedniej polityki, sadzącej się w początkach na wspaniałomyślność dla wyłudzenia lepszej o sobie opinii, cóż to jest innego, jeżeli nie blichtr farbowany na omamienie łatwowiernych.

Niema np. w druku takich nieco niezgrabnych ustępów:

„Cóżby na to rzekła potomność, cóżby powiedzieli postronni, jakąż sprawę z takiego czynu zdalibyście przed nami? przed pokoleniem wnuków i prawnuków naszych? Azaliż wszyscy bezdzietni zejdziecie ze świata?"

W każdym razie obydwa teksty w wydaniu poprawnem uwzględnione być powinny.

Zakopane, 11 październik, 1909. *Stanisław Szpotański.*

MATERYAŁY.

Trzy listy Franciszka Karpińskiego.
(1792—1795).

Autografy *in quarto*, pisane do Franciszki z Koziebrodzkich Puzyniny w Gwoździcu. Z treści listów wynika, że była to osoba już wówczas zamężna, mająca kilkoro dzieci. Za jej panieńskich czasów kochał się w niej Karpiński beznadziejnie. Charakter pisma wyraźny, atrament pożółkły. Listy znajdują się obecnie w zbiorze autografów p. Kazimierza Przybysławskiego w Uniżu.

Ogłosić je należy, bo zawierają wiele nieznanych szczegółów z życia poety, np. powód opuszczenia Radziwiłłów, założenie Karpina, dalej są znakomitym dokumentem usposobienia Karpińskiego i jego charakteru, a wreszcie stanowią dalszy ciąg materyałów, ogłoszonych i opracowanych przez ś. p. Konstantego Górskiego na łamach „Pamiętnika literackiego". Pochodzą one wreszcie z tego samego źródła, z którego czerpał ś. p. Górski. Wiadomo, że zbiory pp. Cieńskich w Oknie, Przybysławskich w Uniżu, Puzynów w Gwoździcu uzupełniają się nawzajem w niejednem.

Lwów. *Franciszek Jaworski.*

I.

29 Aug. 1792 z Partynia

Madame

Ktoby się spodziewał! Ja jestem w kordonie waszym! Uciekłem przed przybliżającemi się Moskalami od Radziwiłłów z Litwy, bo więcej tych nieprzyjaciół narodu nienawidzę, niżeli lubię pieniądze. Bawię od kilku niedziel blizko kordonu u Starosty Sokolnickiego w Partyniu pod Tarnowem, jeżeli zechcesz mię uszczęśliwić odpisem, pisz na Lwów Tarnów, pewnie mię dojdzie. Ja tu czekam tylko zaspokojenia się jakiego w Polszcze, zaraz powrócił-

bym do domu, dla tego ku Wam się zapuszczać nie mogę, chociażbym z duszy żądał. Powiada mi Starosta jak zawsze Pani dobra jesteś. Jakże to mój dla Ciebie szacunek, gdzie się tylko obróce pomnaża się! Każdy go z kim się zdybię pochwałami twojemi przyczynia w sercu moim. A kiedy tak dobrą jesteś, pewnie jesteś i szczęśliwą. Ja kiedy tak ciągle jestem nieszczęśliwy, nie muszę być dobry. Co tylko kiedy zacząłem wszystko mi się nie wiedzie. Oto i teraz dla matki dziecięcia (nie wiem co mówię) porzuciłem Radziwiłła. Miałem w Litwie domek mój jakiś do śmierci, tylko com go opatrzył Moskale mi go ze wszystkiem zrabowali. Słudzy mię kradli, przyjaciele ze szkodą moją zdradzali, tak zdaje się to być prawdą, że urodziwszy się pod jakąś fatalną konstellacyą, trzeba całe życie jej srogiej influencyi ulegać. Ale ostatnia pociecha biednym, nie mieć już nadziei pociechy żadnej. Wszelako, kiedy na to wszystko została mi się religia i podobnych Tobie kilku jeszcze przyjaciół przy mnie, nie jestem ja zupełnie bez pociechy. Boga mam zawsze przy sobie, a pozostali przyjaciele albo mię bawią albo mi piszą, i tym czyniąc sobie folgę, idę w tej reszcie drogi po ciernių i spiewam z Joba: Nagi wyszedłem ze wnętrzności matki i nagi w ziemię powrócę. Ale nie zawsze ja tę tylko pieśń spiewam, mieszam i światowe faworyty, kiedy ja usiądę koło mej Dorydy... Alboż to myślicie, że naturę z Bogiem pogodzić trudno? Zawsze niezgoda robi się przez jakiś zbytek, ja we wszystkim chronię się zbytku i zdaje mi się, że mam jakiś pokój w duszy. Mówiła mi pewna jejmość: Naco WPan tak koniecznie chcesz upadać? — bom człowiek. Kiedy za napędem natury upadnę, czuję rozkosz, żem Pani mojej posłuchał, ale kiedy wstanę, znowu nowa rozkosz, że Pani moja służyć mi musi. Tak kiedy mi się zdaje gram rolę króla albo poddanego, wszelako nigdy ani monarcha absolutny, ani podły poddany.

Co teraz mam co mię nad wszystko cieszy? Oto wolność. Po tylu stratach zdrowia też i pieniędzy, dostałem wolności, która mi zdrowie przywróciła, łzy otarła i jak z nią obrachowałem moją resztę pieniędzy, znalazło się, że mogę wyżyć do śmierci, rachując na dzień bułkę chleba, którą mi ona podawać będzie. Może Ci się Pani już przykrzy czytać tak długie moralizacye, cóż macie robić zebrawszy do gumna zboża, zasiadłszy z poczciwym mężem i pięknemi dziatkami, nad waszą rzeką, pod waszym dębem i pod waszym niebem, które Wam błogosławi.

Odpisz do mnie dobra Pani, twój respons zastać mnie może w Partyniu, a gdybym przewiózł się przez Wisłę do Polski to tam zabawię przy brzegu, i list Twój na Tarnów napisany z Partynia mi odeszlą.

Mam honor zostawać z nieskończonym szacunkiem

Jaśnie Wielmożnej WM. Pani Dobr.

najniższym sługą

Fr. Karpiński.

Proszę mi donieść o moich i o niemoich, ale łaskawych a kłaniać się wszystkim, którzy lubią kiedy im się kłaniam.

II.

27 Jan. 1794 z Dubna.

Jaśnie Wielmożna Mościa Dobrodziejko.

Gdzie nigdy nie byłem, ani być spodziewałem się, zatłukłem się o mil 60 od domu na kontrakty Dubieńskie za interesem pieniędzy uwięzionych u bankiera, i przecie tu w Dubnie jak można odzyskanych. Powracam jutro nazad, i jeżeliby łaska twoja była odpisać mi, dojdzie mię respons przez Warszawę Grodno, Świsłocz w Karpinie.

Każ się Pani pytać o Kozierowskim, który był w Obertynie i za widzeniem się, mów z nim żeby mi oddał najstarszego syna swego Franciszka, i jeżeli zechce córkę swoją Lucyą. Niechby tych dwoje dzieci cokolwiek oporządziwszy, przywoził mi, albo przysłał do mnie jadąc na Lwów, Chełm, Brześć Litewski, Szereszów do Karpina. Jak sam siedzę teraz w domu, takbym się zatrudniał losem chłopca, i edukacyą dziewczyny a ociec niechby już o nich zapomniał, o reszcie tylko dzieci z mojej siostrzenicy pamiętając. Wszelako niech mi ich pierwej nie odwozi, aż się ze mną ułoży listownie, pisząc listy na ten trakt pocztowy, jakim Pani wyżej wyraził.

Donieś mi moja zacna Przyjaciółko o Sobie, Twym mężu i dzieciach, o Waszym i przyjaciół waszych powodzeniu a bądź na wieki pewna, że śmierć chyba moja skończy ten szacunek, który mam dla Ciebie i z którym mam honor zostawać

JWWM. Pani Dobrodziejki
najniższym sługą
Fr. Karpiński.

Możeś ciekawa, jak teraz mieszkam, i czym się bawię. Oto trzy lata blizko jak król podpisał mi przywilej na uroczysko, w lasach białowieskich, brzeskiej ekonomii na włók 20 zarośli i nieużytków. Ten grunt dziki wytrzebiam, już do 30 korcy na zimę żyta posiałem. Tam zabudowałem folwareczek, karczemkę i domek, czterech chłopów już osiadło na czynsz 30-letni, po siedmiu leciech (a przywilej jest na 50) mam płacić do skarbu królewskiego od włóki po zł. 10. Ludzie zaś już ten folwarczek nazwali Karpinem. W tym to miejscu oddalony od wielkiego świata myślę kończyć resztę dni moich tęsknych, jeżeliby Polska nasza szczęśliwszą nie była. Napatrzyłem się i nacierpiał obłudy ludzi, wszedłem teraz w lasy między zwierzęta i odgrodziwszy się płotem dobrym, jestem od nich spokojny, a od ludzi złych uchronić się sposobu nie było. Mało jest mało moja przyjaciółko takich, którym-

byśmy serca naszego powierzyć mogli. Od pierwszego poznania ja dałem ci moje i nigdym tego nie żałował. Pamiętaj stale o mnie, bom wart Twojej wdzięczności.

III.

15 Oct. 1795 z Karpina.

Madame.

Żyję ja jeszcze, żyję! i z życiem moim pomiędzy tysiące przypadków przechodzę. Urodziwszy się pod złą jakąś gwiazdą, moje widzę przeznaczenie być nieszczęśliwym do śmierci i nie wiem co ta dusza w tym ciele moim lubi, że się go dotychczas trzyma. Popychany, rabowany, językiem złym rażony, stoję na wstręcie wszystkich nieszczęść, a moja niewinność nigdy mnie nie obroniła!

Dowiedziałem się, żeś się już za mnie jak za umarłego modliła, dziękuję za czucie, któreś zapewne miała na wiadomość o śmierci mojej. Kiedy się przez śmierć ten mocny węzeł przyjaźni przerywa, niepodobna żeby się osoba przyjacielska nie wstrzęsła! ale może już dosyć tych moralizacyi. Cieszę się, że się dowiaduję od Kozierowskiego, żeś Pani z mężem i konsolacyą zdrowa. Gdybym był tak szczęśliwy w życiu widzieć Was jeszcze. Ale nieszczęściami i zgryzotami osłabiony, nie wiem czybym się do Gwoździca dowlókł. Bóg jest świadkiem jak wiele razy w mojej osobności zamki (jak mówią) na powietrzu budując, i tą też myślą bawiłem się. Że niby Puzynina z Gwoździca do domku mego przyjechała, żem zapłakał z radości, że do niej mówię i ją mówiącą słyszę. To niepodobna moja Pani, ty mnie tak nie lubisz jak ja ciebie. Ale dla tego ja Cię mniej szacować nie będę.

Donieście mi tam czy żyją dawni nasi łaskawce pułkownikowa Cieńska, skarbnikowa Bachmińska, Filkiewiczowa, Przybysławska, którym wszystkim serdecznie kłaniam. Poczciwego męża twojego, jak Jego dawny przyjaciel serdecznie ściskam, że go tu Litwina w Litwie ubyło, ja za niego Koroniarz miejsce tu zastępuję.

Polecając się nieskończenie łaskom i przyjaźni zostaję z największym szacunkiem

JWWPani Dobrodziejki
najniższym sługą

Fr. Karpiński.

Podobno mieszka z Panią W. Sędzina Gurska, przyłączam dla niej serdeczny ukłon.

Jeżeliby się Wam zachciało pisać do mnie, dojdzie mi list Wasz przez Warszawę Bielsk, Białowież, w Karpinie.

Na odjazd Juliana Niemcewicza do Ameryki.

(Rok 1803).

W zbiorze rękopisów Biblioteki Cesarskiej Publicznej w Petersburgu, pod sygn. Pols. Q. XIV. N. 118, znalazłem wiersz niepodpisanego autora na cześć Niemcewicza, który, otrzymawszy w roku 1802 wiadomość o śmierci ojca i wezwanie, by powrócił do kraju dla załatwienia spraw familijnych, przybył w drugiej połowie tego roku do Warszawy, a następnie do rodzinnej majętności Skok w Brzeskiem, skąd wyruszył do Puław, aby po upływie paru miesięcy pobytu wśród literackiego grona, zgrupowanego około Czartoryskich, powrócić ponownie do Ameryki.

Z owego to właśnie czasu pochodzi utwór nieznanego autora, noszący na sobie znamienne cechy wszystkich owej epoki rymotwórczych produkcyi Woroniczów, Krasickich, Naruszewiczów, Trembeckich, Karpińskich, Molskich — pogrobowców wielkiego dziejowego przewrotu, zakończonego upadkiem Rzplitej.

Nuta żalu i tęsknoty za utraconą Ojczyzną kojarzy się w utworach poetyckich ówczesnych z inwektywami skierowanemi pod adresem Targowiczan, z rozpaczliwem miotaniem się z warunkami nowego, podległego obcym rządom, bytu politycznego kraju, które zatamowawszy rozwój umysłowy narodu i jego narodowe, obudzone reformami wielkiego sejmu, aspiracye do samodzielności, odbiły się i w literaturze skażeniem smaku i szablonem naśladownictwa pseudoklasycyzmu francuskiego.

Odgłosem owego nastroju w wierszu nieznanego autora, którego tekst poniżej podaję, jest porównanie „świetnej nauk wiosny“, „kwitnących róż, Powrotu posła, Meropy i Cyda“ z chwastami wybujałemi na niwie poetyckiej, nazywającemi „słowika — skowronkiem“ i objaśniającemi w przekładach z Horacego, iż „łzy spływały po skroniach“. Uszczypliwe docinki trafiają redaktorów „Pamiętnika warszawskiego“, niewybrednych w doborze artykułów literackich i stawiają jako wzór czystości, stylu i obywatelskich uczuć utwory towarzysza broni i niedoli Kościuszki — Juliana Ursyna.

Jednostajność formy i poetyckich zwrotów wszystkich prawie pisarzy stanisławowskich, utrudnia możność odgadnięcia niepodpisanego autora, mniemam wszakże, że najprawdopodobniej będzie przypisać go Kajetanowi Koźmianowi, którego karyera poetycka w owej właśnie rozpoczęła się dobie, gdy osobę Niemcewicza po powrocie jego z Ameryki otaczała już tradycya czci i zasług obywatelskich i literackich, zanim jeszcze wydane Śpiewy jego historyczne, sławę tę ugruntowały.

W Pamiętnikach Koźmiana (Tom I, 260, Poznań, 1858) znajdujemy napomknienie o pierwszych utworach przyszłego rymotwórcy Ziemiaństwa polskiego, poświęconych wyłącznie odom i wierszom na cześć wybitniejszych osobistości.

„Przerzucałem się jak błędny — pisze Koźmian — to do sielanek, to do ód, to do wierszy na uroczystości przyjaciół, lub znakomitszych osób, wzorem Naruszewicza lub Krasickiego, bez ich nauki i talentu...“

Może odczytanie owego, nie bez zalet treści i formy, wiersza, domysł mój potwierdzi?...

Warszawa. *Aleksander Kraushar.*

Odjazd Twój, Julianie, w *inną* świata stronę
Wznawia w sercu rodaków rany niezgojone.
Los Twój z losem Ojczyzny wspólny będąc razem,
Rys Twych przygód, jest zdarzeń krajowych obrazem.
Straciwszy na usługach kraju piękne lata,
Idziesz szukać starości, wśród innego świata,
I raz jeszcze porzucasz drogie okolice,
Gdzie pierwszy raz ujrzały światło Twe źrenice,
Gdzie wśród pieszczot upłynął wiek Twój młodociany,
Gdzie Twe serce kochało, gdzie byłeś kochany.
Gdy Cię sobie wystawiam wśród morskiej płaszczyzny,
Lękam się w przyjacielu straty dla Ojczyzny,
Ona w mężów podobnych Tobie, nie bogata.
Lubo wszędzie jest przykrą cnotliwego strata,
Za dobrego — sto dałbym ladajakich wreszcie,
Za jednego Reytana — dałbym Szczęsnych dwieście,
A myśląc o dzisiejszej dla kraju potrzebie,
Tysiącbyśmy w zamianę znaleźli za Ciebie.
Lecz gdy Twoja powinność, lub los raczej srogi,
Jeszcze Cię raz rozłącza z ojczystemi Bogi,
Pozwól, by ten, co muzy pochlebstwy nie skaził,
Powiedział — co powinien, co czuje — wyraził.
Nie ten u mnie jest wielkim, który w dobrym bycie
Bardziej myślał o własnym, niż kraju zaszczycie,
A kryjąc popod maską dobro swoich braci,
Coraz w nowo przybranej zwodził ich postaci,
Lecz ten godzien jest naszej wdzięczności i chwały,
Którego sercem burze żadne nie zachwiały,
Który znosząc przygody umysłem statecznym,
Bardziej niż sławnym, chciał być — użytecznym.
Nikt zaiste fortuny upartej nie nagnie,
Ale ten wiele czyni, kto zaradzić pragnie.
Choć nie mógł Aten dźwignąć radą i orężem,
Zawsze jednak Demosten u mnie wielkim mężem.
Kto nie może już domu wśród płomieni bronić,
Winien przynajmniej reszty szacowne ochronić,
Te reszty, nam szacowne, pozostały w mowie,
Którą nasi waleczni gadali przodkowie.

Często po srogiej burzy słońce pięknicj świeci,
Chowajmy skarb ten może dla szczęśliwszych dzieci.
Nie uwłaczam ja obcych języków potrzebie,
Ale obcy — dla obcych, swój miejmy — dla siebie.
Nieszczęście nas dotknęło, lecz nie pokonało,
Imię znikło na karcie, lecz w sercu zostało,
Choć wszędzie rozprószeni w kraju i za krajem,
Pamiętajmy na związki łączące nas wzajem,
Czy kto osiadł nad Brawą, czyli wedle Donu,
Powinność dla Ojczyzny nie gaśnie do zgonu.
Pomnij więc Julijanie na Twe obowiązki,
I nagródź stratę drzewu odjętej gałązki,
Groźnym rymem dla zbrodni, przyjemnym dla cnoty,
Osłodź czasem rodakom smutek i zgryzoty,
Hołd niosąc dwom ojczyznom pieszczonej Twej muzy
Tej szczęsnej — głos kolebki, drugiej — smutne gruzy
A idąc od natury wskazanym Ci śladem,
Dla jednych bądź rozkoszą, dla drugich przykładem.
Przeminęłaś, niestety, piękna nauk wiosno,
Tam, gdzie wprzód róże kwitły, dzisiaj chwasty rosną,
Gdzie grano: Powrót posła, Meropę i Cyda
Dziś na polskim teatrze dyabli biorą żyda.
Ów, duchem napuszony anty-poetycznym
Co tylko nie jest ciemnym zowie — prozaicznym.
Ba, czego nie wolno tej chlubnej drużynie?
U niej — słowik skowronkiem,[1]) łza po skroniach płynie[2])
Pawia dla nas ulica[3]) stanie się Parnasem...
Lecz poco tym obrazem tracę czas Twój drogi?
Idź szczęśliwie cny mężu, gdzie Ci każą Bogi,
Pomimo mil tysiące, mimo morskich wałów,
Serca złączone cnotą, nie znają podziałów.
A choć nigdy nie zachwiał czas mym przedsięwzięciem,
Pozwól, że to, co czuję, potwierdzę zaklęciem:
Wprzód się puści na morze bez kompasu sternik,
Świat weźmie inszy obrót, niż wskazał Kopernik,
I choć o tem bynajmniej nigdy nie pomyślę,
Ażeby kiedy wody przebrało się w Wiśle,
Pierwej ona swe źródła obfite wysączy,
Niż pisarz prospektowy Eneidę skończy,
Pierwej nieszczęścia Pragi czas pamiątkę zatrze,
Wprzód sufler na warszawskim ochłonie teatrze,
Pierwej na świętych kościach przebierze się w Rzymie,

---

[1]) Pieśń wieśniaka Delilla w Pamiętniku z r. 1802.
[2]) Ob. tłóm. Horacyusza.
[3]) Mieszkanie wydawcy Pamiętnika Warszawskiego.

Wprzód czytelnik nad wierszem Trembeckiego zdrzymie,
A — co wiele wymaga zdatności i pracy —
Wprzód mieć będzie dobrego tłómacza Horacy,
Lubo się o tem Grekom rozpaczać nie godzi.
Pierwej się z swych popiołów Attyka odrodzi,
Pierwej, — o czem pomyśleć nie można bez żalu —
Polak w klęsce powszechnej straci chęć do balu,
I wprzód, — co jest nieszczęściem kraju oczywistem —
Przestanie to uwielbiać, co nie jest ojczystem,
Wprzód drzewa zamiast w wiośnie, zakwitną w jesieni,
A brudna blacha w złoto czyste się odmieni,
Wprzód ujrzysz w kraju naszym winiarza bankrutem,
Szczerość znajdziesz nad Wartą, a światło nad Prutem,
Sosen zbraknie nad Słuczą, cedrów na Libanie,
Niźli ten co to pisze, wielbić Cię przestanie...

Nieznany wiersz Aleksandra hr. Fredry.

Wiersz Fredry p. t. „Jeszcze Polska nie zginęła“ nie był dotychczas znany w całości. Wydanie warszawskie, najkompletniejsze ze wszystkich [1]), zamieściło zaledwie jego część (t. XIII, s. 16—21). Kreśli w niej Fredro wyprawę rolnika polskiego do Warszawy przeciw Moskalom, jego pożegnanie z żoną i synem, przyjazd do obozu, dalej dzielną i rozpaczliwą walkę rodaków za wolność na brukach „stolicy Zygmuntów“, wreszcie mówi krótko o klęsce narodu polskiego, który musiał uledz sile i naporowi „ćmy wrogów“.

W warszawskiem wydaniu wiersz kończy się przepowiednią lepszych czasów, zawartą w słowach:

Ale we krwi naszej, krwi co tak szeroko
Po świecie płynęła,
Anioł pocieszyciel białe zmaczał pióro
I w księdze nadziei zapisał purpurą:
Jeszcze Polska nie zginęła.

Drugą część omawianego wiersza odnalazłem w bibliotece Wiktora hr. Baworowskiego we Lwowie, w rękopisie p. I. 771. Rękopis (mała 8-ka, oprawna w czarną okładkę; na pierwszej karcie, czystej zresztą, napis: „Aleksander Fredro (autograf)“) składał się pierwotnie z 10 kart żółtego papieru, z których pierwsza nosi własną ręką poety skreślony napis: „Jeszcze Polska nie zginęła (przez) A(leksandra) F(redrę) r. 839“. Na karcie drugiej, pod powtó-

[1]) Aleksander hr. Fredro, Dzieła. Z portretem autora. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1880.

rzonym tytułem, zaczyna się wiersz. Autograf [1]) jego, bardzo czytelny i pięknie dochowany, ciągnie się bez przerwy przez cztery karty i urywa się na karcie 5-tej; dalsze karty są wycięte. Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że koniec tego wiersza straciliśmy na zawsze; tymczasem jakaś skrzętna i pracowita ręka, po czy przed wycięciem końca, dokonała kopii całości, którą później doklejono do autografu; skutkiem tego dziś mamy zupełną całość [2])

Karty kopii, odróżniają się od autografu wielkością (półarkusz), kolorem papieru (biały), oraz pismem, które stanowczo nie pochodzi z ręki Fredry. Kopię robiono pospiesznie, o czem świadczy dość nieczytelne pismo.

Mamy tedy całość, podzieloną w autografie na 3 części, t. j. na: wstęp (w. 1—25), część I. p. t.: „Wyjazd“ (w. 26—150) i część II. p. t.: „Powrót“ (w. 151 do końca).

Podziału tego wydanie warszawskie nie przeprowadziło.

Treść wstępu i części I. p. t. „Wyjazd“, drukowanych w edycyi warszawskiej, podałem w głównym zarysie.

„Powrót“, opowiada o dalszych losach rodziny rolnika. Przebywszy szczęśliwie walkę z Moskalami, wraca on do wsi rodzinnej; nie mogąc znaleźć swej zagrody (spalonej przez Moskali), wstępuje do domu sąsiada, który, nie poznawszy go, kreśli mu smutne losy jego syna i żony.

W oznaczeniu czasu powstania tego wiersza leży pewna trudność. W wydaniu warszawskiem, u spodu wiersza, czytamy datę 1830 r., w autografie Biblioteki Baworowskiego położył Fredro własnoręcznie rok 1839; która z tych dat jest prawdziwa? Zdaje mi się, że data, podana przez samego Fredrę, powinna być uznana za autentyczną datę napisania wiersza. Rok 1830, umieszczony w wydaniu warszawskiem, należałoby tedy uważać za datę pochodzącą od redakcyi „Dzieł Fredry“; temat, opracowany przez Fredrę, mógł łatwo redagującym nasunąć przypuszczenie, że wiersz omawiany powstał pod wpływem wypadków 1830 i 1831 roku. Pominąć nie wypada twierdzenia, że obie daty są prawdziwe; znalazłoby ono może poparcie w domyśle, że w r. 1830 Fredro napisał wstęp i część I, zaś w r. 1839 część II.

Chcąc uzupełnić wydanie z r. 1880, oraz dać nowy przyczynek do dziejów życia i działalności twórczej Fredry, wydaję obie części omawianego wiersza, który okazuje się obecnie po raz pierwszy w całości. Dość liczne waryanty tekstu drukowanego (= *W*) podaję w uwagach.

Lwów. *Karol Badecki.*

---

[1]) Autentyczność autografu potwierdza porównanie z niewątpliwie własnoręcznymi rękopisami Fredry.

[2]) Jest to istotnie kopia wyciętych kart; świadczą za tem skrawki pozostałe po wyciętych kartach. Dochowały się na nich początki niektórych wierszy, całkowicie zgodne z kopią.

Jeszcze Polska nie zginęła.

Jeszcze Polska nie zginęła!
Zagrzmiało z nad Wisły —
Okowy prysły,
Oręże błysły,
Polska niech żyje! [1])
Niech wolność żyje!

Do broni! bracia, do broni!
Do broni, do koni!
Carów stopą kraj zdeptany,
Krew moskiewska niech obmyje!
Polska niech żyje!
Niech giną tyrany!

Dzwon ludów gwałt bije,
Głos święty w świat goni:
Do broni!
Do koni!
Wolność niech żyje!
Powstańcie narody,
Wywalczym swobody.

Skruszymy kajdany,
Zwalimy tyrany,
Do broni!
Do koni!
Polska żyje, [2])
Wolność niech żyje!

Wyjazd [3])

Żegnam cię żono! żegnam was dziatki!
Hej!... dajcie rumaka!
Daremnie głos matki
Nie woła Polaka.

Nie płacz synu, ty krwi moja,
Jeszcze słaba twoja dłoń,
Ciężka jeszcze dla cię zbroja,

---

[1]) *W*: ma między wierszem 4 a 5 wiersz następujący: „Dalej do dzieła!"
[2]) *W*: Polska n i e c h żyje!
[3]) *W*: brak napisu tej części.

Ciężka przodków twoich broń.
Strzeż komory, pilnuj roli;
Może kiedy Bóg dozwoli,
Wstąpić braciom w domek nasz;
Wtedy wszystko, wszystko dasz.
Lecz jeżeli srogi cios
Na swych wiernych spuści Bóg,
Niech popiołów[1]) tylko stos
Znajdzie w Polsce Polski wróg!

Tu pochodnie[2])... tam łuczywo...
Teraz na koń dalej, żywo!
Puszczaj rękę..... nie mocz łzami —
Bóg z wami!

Wolno, wolno białonogi,
Już do lasu mało drogi;
Patrz przed siebie,
Ja za siebie,
Tam wzrok leci
Gdzie ta chatka;
Tam me dzieci,
Dzieci, Matka.

Jeszcze mi dzień nie zaświtał,
Już po strudze, już po lesie,
Słowa polskie echo niesie:
Stój! kto idzie? brat[3]) zapytał.
Dech ustaje w mojem łonie,
Wzrok w ciemnocie tonie;
Chcę zoczyć tego co woła,
Myślę, że ujrzę anioła.
Stój! kto idzie? po raz drugi
Powtórzyły lasy, strugi.
Polak — rzekłem... Bóg to przyzna.
Hasło? Ojczyzna!
Nie znam innego;
I jak swój swego
Jeden drugiego uścisnął,
I łez strumień z oczu trysnął;
A dusza, w ciszy pogody,
O świetle jutrzenki,

---

[1]) *W*: popiołu.
[2]) *W*: krzesiwo.
[3]) *W*: głos.

Przy wielkim świadku na niebie
Chrzest wolności wzięła w siebie.
A wtem luby, święty, śpiew:
Jeszcze Polska nie zginęła,
Leciał do nas z blizkich drzew,
I tam kosa nam błysnęła
Do pierwszego dnia promyka,
Błysnęła, jarko błysnęła
W ręku polskiego rolnika
Do pierwszego dnia promyka.[1])

O połysku drogi, święty!
Byłeś nadziei promykiem,
Tobą wskróś przejęty
Z radosnym okrzykiem:
Niech Polska żyje![2])
Wolność niech żyje!
Puściłem wodze,
Spiąłem ostrogą,
Już mnie na drodze
Widzieć nie mogą.

Witaj Zygmuntów stolico!
Naszej chwały wieczna księgo!
Nową błyszczysz dziś potęgą;
Z twych warowni działa świecą.
Opasana śmierci wstęgą
I broniona wolnych siłą,
Będziesz rajem — lub mogiłą.

O widoku godny Bogów!
Naród dzielny mocą woli,
Wydobyty z jarzma wrogów
Oddycha z ciężkiej niewoli.
O uroku wolności
W pierwotnym rozkwicie!

---

[1]) Wiersze 70—81 brzmią w *W*:
Uczuciem zwalczon padłem na kolana,
A dusza światłem jutrzenki oblana,
Przy wielkim świadku na niebie
Chrzest wolności wzięła w siebie.
Wtenczas z blizkich drzew
Wzniósł się święty śpiew:
Jeszcze Polska nie zginęła,
I kosa błysnęła
W ręku polskiego rolnika.
Do pierwszego dnia promyka.

[2]) *W*: Polska *niech* żyje!

O ty, serca nowe życie,
Życie męstwa, życie sławy
Ty dziecinna ufności [1])
W siły własne — w świetność sprawy,
W udział i świata i samego Nieba [2])
By cię pojąć, doznać trzeba!
Doznał Polak na swej ziemi,
Gdy w nią uderzył kajdany obcemi;
Na pierwsze brzęku po skałach odbicie
Całe pokolenia [3]) zmartwychwstać się zdały.
W odwieczne groby powróciło życie —
Z grobów praszczury [4]) na wnuków wołały:
Brońcie Ojczyzny piersią i żelazem!
Brońcie! lub gińcie z nią razem!

Próżno bagnetem granica zjeżona
Jak męczenników korona;
Próżno kajdany tulskie kują młoty
Zewsząd młodzieży dzielne spieszą roty.
Przyszłości nie mierzą,
Na straże uderzą,
Za sprawę kochaną,
W szeregach staną.
O widoku godny Bogów!
Garstka mężnych, a ćma wrogów!
Chciano jeszcze pokryć lodem
Wulkan zemsty, wulkan męstwa
Lecz chciał naród być narodem [5])
Wołał śmierci lub zwycięstwa;
Rozdarły się w końcu boki,
Wybuchnęły lawy zdroje [6])
Ku Litwie parły potoki,
Łuną gorzał [7]) bruk Warszawy.
Stami ramion, w setnym zwrocie,
Płyną, płyną zdroje [8]) wrzące,

---

[1]) *W*: O ty dziecinna ufności; w autografie poprzednio wiersz ten brzmiał:

„Ty święta ufności“;

później „święta“ skreślono, a u góry napisano: „dziecinna“.

[2]) *W*: W udział świata, w pomoc Nieba.

[3]) *W*: rodzaje.

[4]) *W*: pradziady.

[5]) *W*: Lecz naród chciał być narodem.

[6]) *W*: Wybuchnęły zdroje lawy.

[7]) *W*: pałał.

[8]) *W*: nurty.

Zatrzymują wrogów krocie,
Niszczą tysiące.
I nad Dnieprem i nad Dźwiną
Już z potoków rzeki płyną;
Jeśli Bóg nam dopomoże,
Wkrótce jedno będzie morze.

Bóg odwrócił swoje oko,
Padliśmy [1]) głęboko.
Lecz nowa gwiazda na niebie błysnęła,
Jak się zowie?
Przyszłość powie:
Jeszcze Polska nie zginęła. [2])

Powrót.

Noc tam czarna, wicher, słota,
Na kogoż bryś szczeka?
Któż stuka we wrota?
Żołnierz polski — niech nie czeka,
Otwórz prędko, wiatr, ulewa.
Daj tu chleba, dzbanek piwa...
Otwórz, otwórz, niech nie czeka.

Bóg, Bóg zapłać serce wasze;
Ale może was przestraszę,
Co doznałem, kiedy powiem,
Albo się też czego dowiem:
— „Noc bez gwiazdy, — wiatr, ulewa,
A na polu ktoś tam śpiewa,
— To ona! — krzyknęły dzieci.
Szedłem prędko, gdzie się świeci,
A śpiew zawsze, jakby ze mną,
To żałośnie, to wesoło,
Jakby mnie opływał w koło.
Zawsze przy mnie, zawsze ze mną,
Lecz tam ciemno, bardzo ciemno!
A dzieci na to: — to ona! —
Któż? kto? — Marysia szalona.“ —

---

[1]) *W*: Upadliśmy.

[2]) *W*: czterowiersz 147—150 przemieniony jest w następujący pięciowiersz:

„Ale we krwi naszej, krwi co tak szeroko
Po świecie spłynęła,
Anioł pocieszyciel białe zmaczał pióro
I w księdze nadziei zapisał purpurą:
Jeszcze Polska nie zginęła!

Na tem urywa się tekst *W*; u spodu w *W* data: 1830 r.

Ojciec w łuczywo uderza,
Nowy z niego blask dobywa,
Zbliża stołek do żołnierza,
I tak z cicha się odzywa:
— „Tak, to Marysia szalona,
Chcesz wiedzieć, powiem kto ona.

Mąż jej poszedł do Warszawy,
Bronić naszej świętej sprawy,
Co się stało, wy to wiecie,
Mało który uniósł życie...
Ci co bili, dobrze bili,
Co radzili, źle radzili.
Jak bywało, tak i było...
Ot i wspomnieć dziś niemiło.
Dość — mąż poszedł i nie wrócił,
A za Bugiem chatka mała
Jak pomniczek cicho stała.
Kto ją zoczył, myśl zasmucił...
Aż nareszcie jednej chwili
Moskale ją otworzyli,
I śpiewali i krzyczeli,
Nikt nie wiedział, czego chcieli.
Lecz nie weszli jeszcze do niej,
Gdy już wicher ogniem goni.
Chatka wkrótce w ogniu cała,
Nieba krwawe, ziemia pała.

Z uśmiechem wyszła rodzina,
Jakby witać nowych gości.
Ale goście biorą syna,
Ciągną, wiążą bez litości.
Twój to ukaz wielki carze,
Polskich synów chwytać każe,
Aby w Moskwie do niewoli,
Przyuczali się powoli.
Matka płacze i nie wierzy,
　　I wierzy i pyta,
　　I w dłonie uderzy,
　　I głośno zapłacze.
— Biednać ja, biedna kobieta!
　　I mężam straciła,
　　Tam córki mogiła,
　　I syna mi biorą!
　　On moją podporą,
　　Ostatnią nadzieją! —

Moskale się grzeją,
Moskale się śmieją.

I przed nich upada,
I ściska kolana,
I łzami zalana,
Twarz do stóp przykłada.
— Nie bierzcie mi syna,
To słaba dziecina!
Bez matki, bez ojca
Nie będzie żył z wami,
Zatęskni za nami.
On umrze w pół drogi,
Ach! któż z was tak srogi!
Kto dziecka zabójca? —

Moskale się grzeją,
Moskale się śmieją,
— Daremnie błagacie,
Ukaz spełnionym zostanie,
Chłopczynę uwiozą.
— Nie — nigdy! — o zgrozo!
Matkom biorą dzieci,
I piorun nie świeci!
I Bóg się nie jawi
Karać takiej zbrodni!
Król, królów, Pan Panów
Nie ciska pochodni,
W to gniazdo tyranów.
Języka nie zbawi
Tych, którzy wyrzekli:
Matce bierzcie dziecię.
Stójcie, stójcie wściekli!
— Co matko, nie wiecie...
Daremne gadanie,
Ukaz spełnionym zostanie.
— Niechże Bóg was ciężko skarze,
Za niewolę naszą.
Za niezlicznych cierpień chwile,
Za łez tyle, za krwi tyle!
Niech was karze, niech was ściga,
W piekle uczuć i nurza i dźwiga
Póki słońce świeci.
Was i dzieci waszych dzieci!
Niech zdrada, mord i trwoga
Zalegnie w każdego domu,
Niech tam zbrodnia, jak wy sroga,

Lęgnie się bez miary!
Niech wasze córki bez sromu,
Żony będą bez wiary!
Niech w śnie pokoju,
Ochłody niema w napoju
I wszędzie widzi noże i trucizny
Wydzierca cudzej ojczyzny!
Aż spodlony,
Udręczony,
Przeklnie łono, przeklnie siły,
Co poczęły, co spłodziły,
Przeklnie piersi, co karmiły.
Przeklęte, przeklęte wszędzie,
Plemię wasze niechaj będzie!
Matka was przeklina,
Matka nieszczęśliwa,
Za krew Polski, za krew syna. —

To wyrzekła, wpół szalona,
I syna porywa,
I ciśnie do łona,
I łzami go skrapia,
I... nóż w nim utapia.
A z nożem i ręka
Przy sercu została,
Zastygła, zdrętwiała.
Chłopczyna uklęka,
Spogląda na matkę,
Z uśmiechem anioła.
Spogląda na chatkę,
Co gore dokoła.
Powiedz ojcu, że... nie dokończył słowa,
Na sercu matki, upadła mu głowa!“ —
Tu głos starca zniknął w ciszy,
Już i serce go nie słyszy.
Cicho w kącie płaczą dzieci,
Światło dawno już nie świeci.

Lecz z knotu nowe łuczywo świeciło,
Starzec za dusze dokończył pacierza,
Chce mówić... ale żołnierza,
Już w chacie nie było.

RECENZYE i SPRAWOZDANIA.

Dr. Włodzimierz Bugiel, Un celèbre médecin polonais au XVI siecle J. Strussius. Contributions a l'histoire de la médecine a l'époque de la Renaissance. Paris, 1901. Toż po polsku p. t. Nasz najznakomitszy lekarz Odrodzenia, Józef Struś (1510—1568). Jego żywot i pisma napisał ... (Nowiny lekarskie R. XX. Poznań, 1908, s. 455—7, 566—74, 631—8, 686—94, 718—25).

„Ani jeden historyk literatury polskiej nie rozpatrzył wartości literackiej dzieł Strusia. Piotr Chmielowski (Historya literatury polskiej t. I, Warszawa, 1900) pominął go nawet zupełnie milczeniem, chociaż traktuje w swem dziele o utworach często bardzo nieznacznych. Kallenbach (Les humanistes polonais, Fryburg, 1891) nie wspomina o Strusiu...“ Słowa te czytamy w rozprawie dra Włodzimierza Bugiela p. t. „Nasz najznakomitszy lekarz Odrodzenia, Józef Struś“, drukowanej w r. 1908 w Nowinach lekarskich w Poznaniu. Rozprawa ta wyszła poprzednio w druku po francusku w Paryżu w r. 1901 p. t. „Un celèbre médecin polonais au XVI siecle J. Strussius“ i obecna jest tylko przekładem tamtej z nielicznemi dopełnieniami.

Józef Struś urodził się w Poznaniu w roku 1510, pochodzi z rodziny mieszczańskiej i był synem grzebieniarza. Pierwsze nauk pobierał w Poznaniu w liceum Jana Lubrańskiego, gdzie miał znakomitego profesora łaciny Tomasza Bedermana. Młodzieniaszkiem ukończył liceum poznańskie i udał się do Krakowa, gdzie w r. 1531 został magistrem nauk wyzwolonych. Już w tym czasie dał dowody zdolności poetyckich. W r. 1529 jako 19-toletni młodzieniec drukuje poemacik, opiewający chwałę sztuki lekarskiej, poświęcony znakomitemu profesorowi medycyny w Krakowie Cypryanowi z Łowicza. Tytuł dokładny brzmi: „Ad medicum hisce temporibus maximum atque celeberrimum D. Cyprianum de Lowicz De medicae artis excellentia carmen elegiacum. Auctore Josepho Struthio Posnaniensi. Cracoviae per Mathiam Scharfenbergium excu-

sum in vigilia Nativitatis Dominicae anno 1529". W następnym roku pisze Struś dwa poematy: „Ad reverendissimum in Christo patrem et dominum D. Joannem Latalscium episcopum Posnaniensem elegia Josephi Struthii Posnaniensis. Ad bonae mentis adolescentes elegiacum carmen Paraeneticum i. e. exhortativum ad studium eloquentiae". Obydwa te wiersze są dołączone do poematu przyjaciela Strusia, profesora języka greckiego i łacińskiego w Poznaniu, Krzysztofa Hegendorffinusa: „Declamatio gratulatoria in coronationem junioris Poloniae regis. Cracoviae, apud Hieronymum Vietorem 1530". W roku 1531 pisze Struś inny poemat: „Sanctissimi Patris et Domini D. Joannis a Lasko, archiepiscopi Primatis totius regni Poloniae Epicedium elegiacis versibus confectum. Auctore Josepho Struthio Posnaniensi. Apud regiam Cracoviam Mathias Scharfenbergius excudebat. IV Nonas Junias 1531". Na wiadomość o śmierci prymasa Łaskiego napisał Struś w r. 1531 „Epitaphium sanctissimi patris et domini, domini Johannis a Lasko, legati nati regni Poloniae, archiepiscopi et primatis".

Ów szereg utworów poetyckich — pisze Bugiel — ma pewną wartość. Nie wzbił się w nich młody dwudziestoletni poeta na niedostępne wyżyny, ale w każdym razie okazał się niepoślednim współzawodnikiem łacińskich poetów elegijnych. Poematy te, zwłaszcza „Pochwałę sztuki lekarskiej" godziłoby się wobec zbliżającej się w roku 1910 czterechsetnej rocznicy urodzin Strusia wydać oddzielnie lub co najmniej przedrukować.

Erudycyę, zapał i pilność Strusia stwierdzają wydane w r. 153 w Krakowie komentarze do astrologii Lucyana z Samosaty [1]). Nie mają one większego znaczenia dla postępów nauki, jednakże dla historyi polskiej literatury przedstawiają niezaprzeczoną wartość. Zasługuje na uwagę z tego dzieła ustęp, w którym autor rozbiera przyczyny lekceważenia i upadku nauk. Ustęp ten w przekładzie Bugiela brzmi: „Gdyby uczący się myśleli o ogarnięciu całokształtu wiedzy, ta rosłaby bujnie. Wówczas mowca nie waśniłby się z dyalektykiem, filozof z astronomem; nie ośmieszanoby przyrodników. Nie chcę rzec przez to, że chciałbym, aby wszyscy byli doskonałymi znawcami wszystkiego, niemożebną jest bowiem rzeczą, aby każdy umiał wszystko; ale o co trzeba ubiegać się, to abyśmy posiadali ogólne pojęcie o każdej wiedzy. A to może i powinno mieć miejsce, skoro chcemy rzeczywiście być wykształconymi, nie półmędrkami".

Nie ulega wątpliwości — pisze Bugiel — że część utworów literackich Strusia przepadła. W komentarzach do astrologii Lucyana z Samosaty jest list wstępny, wystosowany do Jana Łaskiego,

---

[1]) Pełny tytuł tego dzieła, jak i wykaz innych pism Strusia, podaje także Kośmiński w „Słowniku lekarzy polskich". O Strusiu przed Bugielem pisał Oettinger „Jos. Struthii vita" 1843 i Gąsiorowski w „Materyałach do dziejów sztuki lekarskiej w Polsce".

w którym czytamy: „Muszę ci powiedzieć, drogi przyjacielu, że dokonałem jeszcze kilku innych łacińskich przekładów dzieł greckich, bądź astronomicznych, bądź poetyckich. Zachowuję je na razie u siebie, aby dojrzały; później ogłoszę je, zwłaszcza, gdy ty uznasz je godnymi druku". Jeśli przekłady owe, a może i oryginalne wiersze i rozprawy nie ujrzały światła dziennego, to powodem nie był tu zapewne jakiś ujemny sąd Łaskiego, ale okoliczność, że Struś niebawem wyjechał do Padwy i poświęcił całe swe życie medycynie.

Do Padwy wyjechał Struś w roku 1531. Tu w roku 1535 otrzymał stopień doktora medycyny i filozofii. W czasie swoich studyów musiał złożyć widoczne dowody zdolności i wiedzy lekarskiej, bo prawie nazajutrz po promocyi doktorskiej został mianowany przez senat wenecki w 25 roku życia nadzwyczajnym profesorem uniwersytetu w Padwie (explicator extraordinarius medicinae theoricae). Zachował to miejsce aż do roku 1545. Wykłady jego były poświęcane przeważnie sfygmologii, t. j. nauce o pulsie, którą sam stworzył. W roku 1540 wydał Struś słynne swoje dzieło „Ars sphygmica". Powodzenie tego dzieła było olbrzymie. Lekarz polski Feliks Sierpski, który znajdował się podówczas w Padwie, opisuje przyjęcie dzieła w sposób następujący: „Gdy książkę Strusia o pulsie, wydaną za mej bytności w Padwie, dostawiono do owego miasta, najznakomitsi lekarze i profesorzy wszechnicy przyjęli ją z otwartemi ramionami". Podobno jednego dnia rozprzedano 800 egzemplarzy.

Po powrocie do ojczyzny został Struś lekarzem nadwornym króla Zygmunta Augusta i, choć był wzywany i do sułtana tureckiego Solimana II i do króla hiszpańskiego Filipa II, ojczyzny już nie opuścił. Padł ofiarą morowego powietrza w Poznaniu w r. 1568. Prócz wymienionych pism, zostawił Struś kilka pięknych przekładów Galena. Najważniejszem dziełem, wydawanem wielokrotnie, jest zawsze „Ars sphygmica". Styl tego dzieła jest godzien najlepszych pisarzy Odrodzenia. Łacina jego jest czysta, piękna i nader staranna, wykład posiada niezwykłą jasność. Struś okazuje się tu jednym z najcelniejszych pisarzy polsko-łacińskich, i doprawdy — pisze Bugiel — jest rzeczą zadziwiającą, że dotąd w Polsce nikt nie zajął się wyznaczeniem mu miejsca w Panteonie literackim.

Lwów. *Dr. Władysław Szumowski.*

Tadeusz Grabowski, Literatura Aryańska w Polsce 1560—1660. Napisał ... Kraków, MCMVIII. Nakładem Akademii Umiejętności. 8°, s. VIII i 498.

Dziwne czy dziwaczne losy protestantyzmu polskiego przykuwały od dawna uwagę — cudzoziemców. Niemcy, Anglicy, Francuzi badali, znali, poważali w XVIII wieku naszych n. p. Aryanów;

my o nich wiedzieli, że chwalili dyabła a umarłych po polach i ogrodach chowali! I w XIX w. nie bywało lepiej; staraliśmy się chyba zapomnieć o najciekawszym epizodzie naszej dawnej umysłowości. Gdzież u nas ślady takich wydawnictw czy monografii, jakie w Holandyi (sędziwy ale do dziś rzeźki prezydent ministrów a kalwin zagorzały, Kuyper) lub w Niemczech (Dalton, Kruske, Wotschke) naszemu Janowi Łaskiemu poświęcano? A jeżeli się kto u nas nad najciekawszemi, z wielu miar, postaciami naszej przeszłości zmiłował, toć bywał zawsze niemal niefachowiec, historyk czy literat. Dopiero w ostatnich latach zaszła i tu zmiana na lepsze, czego znakomite dzieło ks. Warmińskiego, poświęcone dwom wcale nieznakomitym herezyarchom naszym, najlepiej dowodzi. Rośnie i u nas zajęcie się tą najniesłuszniej zaniedbaną gałęzią życia dawnego i świadczą o tem zarówno publikacye tekstowe jak monografie literackie.

I tak zajął się energicznie „reformacyą“ młody stosunkowo badacz, Dr. Tadeusz Grabowski. Nie rozpraszał sił i czasu na badania szczegółów, lecz odrazu całość ogarniał; dać obraz literatury różnowierczej wszystkich odłamów, oto, co wykonać postanowił i z programu dwie najważniejsze pozycye, literaturę kalwińską przed paru laty, teraz aryańską, szczęśliwie odrobił.

Nowa książka przewyższa o wiele dawniejszą. Prawda, i sam temat o wiele ciekawszy i wdzięczniejszy; gdy nasza literatura kalwińska całkiem niesamoistna, tylko za obcymi podkowy zbiera, Aryanie nasi rozwinęli czynność zdumiewającą; myśl ich, tylko potrącona z zagranicy; sama pracowała nieustannie dalej. Oni to pogodzili suchość i racyonalizm włoskich prawników i lekarzy (gdyż włoskie „aryaństwo“ nie z serca, nie z głębokiej jakiej religijności, nie z ducha skruszenia i pokory, lecz z buntu rozumu przeciw objawieniu i dogmatom, z humanizmu i dyalektyki wyszło), z entuzyazmem religijnym, z mistyką i bojaźnią Bożą, cechującą ludzi północnych. A samoistności, oryginalności wyników odpowiada i bogactwo literatury. Z natury więc rzeczy jest pole naszego aryaństwa o wiele żyźniejsze, niż jałowe nasze luterstwo czy kalwiństwo. Nowa książka Dra Grabowskiego jest też wiele bogatsza w szczegóły, niż dawniejsza. Literaturę kalwińską zbywał autor zbyt ogólnikowo; aryańską wystawił dokładniej i głębiej Grzech jego pierworodny, że literat, nie teolog, zabrał się do rozbioru literatury przeważnie ściśle teologicznej, mści się wprawdzie nad nim i teraz; zanadto mało zajął go rozwój myśli teologicznej zanadto wiele wagi przykładał temu, o co ta literatura najmnie dbała, wysłowieniu, stylowi, sztuce. Mimo to poweźmie teraz czytelnik całkiem inne, trafniejsze pojęcia o „braciach polskich“ i ich wielkim czynie i pozostanie na zawsze zasługą autorską, że pierwszy w śmiałych zarysach odtworzył główne linie tego ruchu, co najlepsze głowy i serca polskie przez najbujniejszy wiek życia polskiego zaprzątał. W rażącem przeciwieństwie do książki kalwińskiej

jej szarego tła i rysów ogólnikowych, zstąpił tu autor do barwnych szczegółów, nie skąpił wypisów z rzadkich dzieł i broszur, wprowadzał nas do samych dysputacyi i ich argumentowania. Dalej ułożył rzecz lepiej: w książce kalwińskiej kręcił się w kółko, wracał w każdym rozdziale do początków; tu z góry rozbił wykład na dwie części, na wiek XVI i wiek XVII, i tem samem uszedł anarchii chronologicznej. Nawet styl jego jest tym razem żywszy, cieplejszy; przebija nuta sympatyi i podziwu, obca całkiem książce kalwińskiej.

Oddawszy zasłużony hołd całości, co wręcz zaimponowała nam ogarnieniem nieskończonej, zdawałoby się, ilości dzieł i autorów, i bystrem oryentowaniem się na polu tak odległem i zawiłem, przystąpmy do szczegółów, w jakich z autorem mniej się zgadzamy.

Najpierw, co to jest „literatura aryańska“? Chyba ta, co wypływa rzeczywiście z samego aryaństwa, z wyznania i jego potrzeb czy związków; więc nie zaliczalibyśmy do niej książek, absolutnie wyznaniu obcych, nie stojących z niem w najlżejszej spójni, chyba w tej luźnej, przypadkowej, że autor omawianego dzieła miał kiedyś w przyszłości zostać aryanem lub że nim niegdyś w swej młodości bywał; p. Grabowski zaś rozprawia przy „literaturze aryańskiej“ o książkach, co nigdy aryańskiemi w niczem nie były — teolog nie popełniłby chyba takiej dowolności.

Oto przykład. Rozprawia na str. 36—39 o gramatyce polskiej Statorego (tak odmieniano nazwisko dawniej) z r. 1568 i o słowniku Mączyńskiego z r. 1563. Ależ gramatykę napisał nie aryan, lecz bakałarz obcokrajowiec, co obcym, Włochom głównie (przecież Prowana o to nań nalegał), chciał ułatwić trudności w nabywaniu języka. Gramatyka jego stoi więc na równej linii z gramatykami Mesgniena, Dobrackiego itd., licznemi w XVII wieku, pisanemi dla obcych przez obcych i nie należy wcale do „literatury aryańskiej“ ani nawet do polskiej, gdyż bynajmniej nie było jej zadaniem, jak autor o niej prawi, „ten język ustalić, utrwalić, określić“; tego podejmywał się chyba Kopczyński w wieku XVIII; w w. XVI, jak i w XVII, nikomu się o tem ani śniło i nikt dla Polaków gramatyki polskiej wtedy ani pisywał ani o niej myślał.

Z słownikiem Mączyńskiego omyłka autorska jeszcze widoczniejsza. Statorego, gdy gramatykę wydawał, pomawianoż o aryaństwo (chociaż on go się dla partyki chleba wypierał!), ależ Mączyński! Znamyż dziś historyę wielkiego słownika jak najdokładniej. Pochodził Mączyński z ziemi sieradzkiej, gdzie ojciec sędziwy w dziedzicznym Zdziebędowie jeszcze 1565 r. a brat w innym majątku gospodarowali; udał się w r. 1542 na studya do Niemiec, do Witenbergi, Strasburga, Paryża, Zurychu i tu już w r. 1546, z łacińsko-niemieckich słowników (Dasypodius, Frisius Tigurinus), z łacińsko-francuskich i z Thesaurus linguae latinae, własny słownik ułożył i o protekcyę do Bonara, aby koszty na druk łożył, się sta-

rał; był potem w Padwie, znowu 1550 r. w Witenberdze. Z gotowem dziełem dostał się do Radziwiłła jako sekretarz jego a zarazem notaryusz ekspedycyi łacińskiej w kancelaryi królewskiej. Powziął był tymczasem Hieronim Malecki (syn) myśl podobną i wygotował nawet arkusz próbny własnego słownika niemiecko-polsko-łacińskiego. Ale widać w gwiazdach Maleckim przeznaczono, że ponad arkusze próbne nigdy nie wyjdą; i ich przekład ewangelii utkwił również na arkuszu próbnym. Wydał go w podobiźnie bibliotekarz królewiecki Klettke. [1]) Przesłał książe Albrecht ten arkusz słownika całego Radziwiłowi w r. 1561, ale już było za późno; już stanął kontrakt między Mączyńskim, Maleckim a Daubmanem (drukarzem); Malecki objął korektę, za 35 groszy tygodniowo a za 40 zł. miał sporządzić dodatkowy spis polsko-niemiecko łaciński, ale do tego nie przyszło; znamy i dalsze szczegóły kontraktowe; druku miano w 24 tygodniach dokończyć; papier miał kosztować 241 zł. 15 gr., druk 244 zł.; egzemplarzy bito 500 itd. Lecz cóż ma to wszystko z aryaństwem do czynienia, do którego Mączyński dopiero po r. 1563 przystąpił?

Albo na str. 378 czytamy: „pomijając Pastoriusa, który z powodu swego nawrócenia do katolicyzmu do poetów aryanów liczyć się nie może, wymienić można już tylko Potockiego (Wacława)“. I rzeczywiście najobszerniejszy ustęp całej książki poświęcony poezyi Potockiego, od str. 378 do 438!!, chociaż tak samo jak Pastoriusa należało pominąć i Potockiego, gdyż i ten się do katolicyzmu nawrócił i w głównych dziełach, w Argenidzie czy w Sylorecie, w Wojnie Chocimskiej czy w Zaciągu Chrystusowym, w Trenach czy w Moraliach, w Poczcie Herbów czy w Ogrodzie Fraszek śladów aryańskich już niema i tylko dla nielicznych początków poetę do „zborowych“ wliczać wolno. Nawrócił się przecież przed r. 1660 (gdyż w r. 1667 urzędownie mu poświadczono, że tempore lege definito, t. j. wedle konstytucyi z r. 1658, ochrzcił się po katolicku), więc cóż z całego jego dorobku poetyckiego na aryaństwo przypada? Dodam jednak, że autor na str. 465—467 i do Pastoriusa wrócił i wymieniał dzieła, jakie katolik pisał.

Ależ zakwestyonowałbym i inne rzeczy. Wciąga autor i Mikołaja Kochanowskiego, brata Janowego, dla „Rotuł“, do poetów „zborowych“, dlatego że go Sandius w Bibliotece antitrynitarskiej umieścił i że go protokół synodu bełżyckiego z r. 1569 wymienił. Może być, chociaż Mikołajów Kochanowskich było więcej (należałoż cytat synodowy, nam niedostępny, bo koloszwarski, dokładniej przytoczyć), ale patrzę do Rotuł samych i nic w nich aryańskiego

---

[1]) Estreicher pod Biblia st. 28 o tem nie wspomina, przyłączam więc tytuł: Nowy Testament z przełożenia Erasma Roterodamskiego w yęzik polski prawie a własnemi słowy s wielką pilnością przełożony. Joannes Maletius. Lyccae MDLII; warszawski egzemplarz ma kart 4, podobizna tylko 2.

nie znajduję, tę samą chyba filozofię życiową, jaką Jan głosił; o jakiemś stronieniu od świata i mowy; odwrotnie, nie radzi dzieciom na wsi się zasklepiać:

Który z was dom zamiłuje
Że prędko nędzę uczuje...
Nie potka go z wianem żona...
Do szczęścia drogę zagrodzi,
Które za pługiem nie chodzi.
Ale kto ma świat przestrony,
Ten dostanie z wianem żony itd.

Co o sobie samym p. Mikołaj prawi, bynajmniej aryaństwem nie trąci:

Mogłem być znaczny na świecie
I bogatszy w swym powiecie,
Dostałoby się też było...
Albo chleba kapłańskiego
Albo wioski od klasztora,

toż chyba Aryanem nie był. I podróży Erazma Otwinowskiego nie zaliczałbym do literatury aryańskiej; przy tylu Otwinowskich (różnych herbów!) wolno nawet bardzo wątpić, czylić aryan był ogółem, kto posłował, ale to wiemy na pewno, że kiedy ów Otwinowski podróż odbywał, nikomu się jeszcze w Polsce o aryaństwie i nie śniło.

Stankara, Lizmanina, Statorego nawet (dziada), nie wliczałbym do literatury aryańskiej. Przyznam chętnie, że chrystologia Stankarowa, nauka jego o Chrystusie jako pośredniku tylko wedle natury człowieczej (boć nie może Bóg do Boga pośredniczyć), była arcydrażliwa, wzniecała spory bardzo niebezpieczne; alеż Stankar sam był zawziętym wrogiem wszelkiego jak aryaństwa tak sabeliaństwa, przeciwników własnych tem ciągle w oczy kłół, Lombarda nad autorów protestanckich przekładał, z Kalwina nawet drwił; nic też dziwnego, że i uczniowie jego (siedmiu duchownych) r. 1570 do zgody sędomirskiej przystąpili i on sam się ze zborem kalwińskim krótko przed śmiercią (w Stobnicy 12 listopada 1574) przejednał, jako kalwin, nie aryan! Lizmanin znowu był wprawdzie gorącym przyjacielem Ochina, jego pisma w Polsce szerzył gorliwie (chyba od niego dostał Trepka tragedyę o papiestwie Ochinową), ale słusznie protestuje Wotschke przeciw wszelkiemu pomawianiu Lismanina o zakusy aryańskie — mamyż jego testament królewiecki z 29 października 1564 (a wykonawcą był między innymi i Jan Mączyński!), gdzie wyraźnie do „katolickiego" dogmatu się przyznaje, wedle formułki „Pater, Filius et Spiritus sunt unus“ (nie „est unus“, bo byłoby to sabellianizmem, nie rozróżniającym osób, gdyż mu jeden Bóg pod trzema imionami tylko występuje; „sunt unum“ to błąd „trójczacki“). Zresztą i Ochino sam aryanem

nigdy nie był i wiemy dobrze, jak go w Polsce nawet katolicy cenili, por. Odpowiedź biskupów itd. z 1568 r., gdzie czytamy onego zacnego męża Ochina, który w kościele naszym świętym uczonym kaznodzieją był, acz błędem potym zwiedziony do was (kacerzy) się udał, ale i sam baczył, że mało zwyższył, abowiem nie nalazł nic dobrego między wami i t. d. i tak ciągle z wielkiem uszanowaniem o nim. O Statorym już wspominałem; zwiódł go Blandrata, pism swoich własnych u niego Grzegorzowi Pawłowi szukać kazał; mimo to Statory aryaństwa się wypierał: za dziecio chrzczeństwem walczył przeciw Grzegorzowi Pawłowi a co sam niegdyś uczył o duchu św., przecząc jego osobie, tego później się znowu wypierał (wytknął mu to w oczy były uczeń jego pińczowski, Rodecki) — więc aryaństwo jego nie wysokiej próby. Na str. 32—35 przypisał mu Grabowski autorstwo „Proteusa" z r. 1564; nie będę powtarzał argumentów, jakiem już raz w Pamiętniku przeciw mniemaniu temu wystawił; nawet okoliczność, że aryan Budzyński Statorego Proteusem nazywał, przekonania mego o autorstwie Bazylikowem wzruszyć nie może. Wszystko inne, co Statory pisał (nie wieleć tego!), również do literatury aryańskiej nie należy, ani „Brevis Apologia", ani „Emmanuel" (oba przeciw Stankarowi zwrócone), ani uszczypliwe „Animadversiones brevissimae in duos Mart. Cromeri dialogos" etc.[1]), ani wiersze łacińskie przy dziele Heltaja itd.

Taksamo omawia autor literaturę Krowickiego, co z aryaństwem również nic nie ma wspólnego; gdy Krowicki aryanem został, pisać przestał zupełnie; prócz znanego listu z r. 1573, nic aryańskiego z jego pióra nie posiadamy; pisma jego wszystkie do kalwiństwa należą. Zbyt surowo zresztą je autor osądził; spółcześni cenili je wysoko, czego wznowione wydania i tłómaczenie niemieckie — kalwińskie wszystko, nie aryańskie, dowodzą. Czerpali z nich późniejsi Kalwini (nie Aryanie!) hojną ręką, nie przyznając się, chwalebnym zwyczajem, do plagiatu, np. taki Kraiński w Postylli żywcem go odpisywał; znał bowiem Krowicki wszelkie misterya średniowieczne katolickie, „Baraleta", psałterzyki Maryjne itp., z własnego jeszcze doświadczenia, o czem się Kraiński już tylko od niego dowiadywał. Charakterystycznem jest dla niego, jak dla Reja i i., że polemizując np. z biskupami, wyraźnie „cenią ich jako Rady W. Kr. Mości", zamiast coby tem ostrzej na nich nacierać

[1]) Co Estreicher przy Kromerze XX, 283 o kartce katalogowej biblioteki Jagiellońskiej wspomniał, odnosi się właśnie do tego dziełka, którego egzemplarz jest np. w Toruniu. Autor nie wymieniony; druk pińczowski Łęczyckiego z 8 lutego 1560 r., zaraz po śmierci Łaskiego, o którym z wielką czcią („nasz mistrz najlepszy") wspomina; mowa okropnie dosadna, porównywa Kromera z roztrucharzem, co starą szkapę jako nową sprzedaje; tak i on swoje „nugae polonicae" dawne (Miecha) po łacinie upstrzył i za nowe wydaje. Łaje mu od plebejuszowstwa, że jako historyk zelżył szlachtę polską przed światem i co go za to czekało na sejmie warszawskim i t. d., cytuje obszernie dyalogi i zbija je krótko.

mieli — ale taka już niekonsekwencya polska. Na uwagi o „Buffonie pińczowskim“ itp. wcale się nie godzę; jakżeż blednie styl jego np. wobec takiej tragedyi Ochinowej (o papieżu), albo wobec tylu innych szermierzy akatolickich!

Jakiem prawem zalicza autor Przechadzkę do Aryanów? Krzysztof Przechadzka jak i drugi bakałarz pińczowski, Grzegorz Orsatius, byli uczniami Stankarowymi i złożyli przed zborem spólne wyznanie wiary w r. 1560, osądzone jako heretyckie, nestoryańskie, nie aryańskie, któremby się brzydzili, jak ich mistrz sam; toż wydał Przechadzka po polsku, tegoż roku; po latach, 1586 r., napisał Przechadzka łaciński traktat obrazoburczy i tem samem dowiódł chyba, że był kalwinem — nigdyż Aryanie o takie szczegóły nie walczyli, mielić inne, ważniejsze rzeczy na myśli. Dla tej samej przyczyny nie mogę się zgodzić na domysł autorski, jakoby bezimienny traktat pińczowski z r. 1558 „De primatu papae“ był pióra Piotra z Goniędza; Goniędzczyk dogmaty powszechne zwalczał, wyklęty już o to ze zboru, więc chyba nie o prymat rzymski się troszczył! był do tego miejskim synkiem, gdy z końcowego ustępu owej broszury szlachectwo autora wynika [1]). I wierszów Gruszczyńskiego z r. 1586, nie aryana przecież, nie przytaczałbym wcale.

Pojął więc autor termin „literatury aryańskiej“ nadto szeroko; powciągał do niej, co do kalwińskiej i i. należy, Krowickiego, Przechadzkę, Mączyńskiego itd. Zamiast tego należało się właściwej literaturze aryańskiej szersze rozwinięcie. Zanadto pobieżnie uporał się np. z Grzegorzem Pawłem, filarem polskiego aryaństwa, indywidualnością bogatą, energiczną. Pomijam niedomówienia i omyłki o człowieku-ministrze [2]), ale skrzywdził autor pisarza, nadzwycza

[1]) Anonim, co wedle wskazówki drukarza (Daniela) wcale, zdaje się, teologiem nie był, opowiada, że często chłopcem będąc słyszał, jak ojciec w gronie równych oskarżał biskupów (lues papistica), jaką oni są pestis regnorum, z powodu kategorycznego oświadczenia Tomickiego wobec Zygmunta Starego, że niech raczej państwo zginie, zanimby on pozwolił naruszyć choćby grosza ze skarbcu krakowskiego (kościelnego), nad którym tylko papież, nie król władnie.

[2]) Dodaję kilka szczegółów o nim wedle najnowszych publikacyi Wotschkego. Gdy rada miejska poznańska w r. 1549 upadłą szkołę u św. Maryi Magdaleny podnieść chciała, wskazał na prośbę starosty Andrzeja Górki przejeżdżający Staphylus Grzegorza, ucznia swego, magistra (czy bakałarza) krakowskiego, co od r. 1547 w Królewcu studyował, jako odpowiednie subiectum. Wybrała też rada rektorem sławetnego „Gregorius Sagroblini (sic!) de Brzeziny“; był on wtedy luteranem, ale na wyjezdnem (z Królewca) wpadł mu do rąk traktat Kalwina przeciw Interim i uczynił zeń gorącego genewczyka. W Poznaniu nie popasał długo, gdyż gorliwy o wiarę proboszcz, znany nam dobrze z dzieła ks. Warmińskiego, Jakub Wedelicius oskarżył i jego o herezyę i zmusił już latem 1550 r. do opuszczenia miasta. Przeniósł się Grzegorz do Witenbergi, do Melanchtona; w styczniu 1553 bawił w rodzinnych Brzezinach, poczem objął ministrowstwo w Pełcznicy jako „pastor ecclesiae Pelsniczensis“ brał udział w synodzie secymińskim 1556 r., potępiającym Goniędzczyka i mylnie autor (str. 40) twierdzi, jakoby wtedy „pociągnął za sobą (Goniędzczyk) na razie Grzegorza Pawła“. Zażywał przecież najlepszej sławy; jego przeznaczono Lismaninowi na pomoc

*

płodnego i wpływowego, co przepowiednie Melanchtonowe, że wielkie zamieszanie w Polsce sprawi, aż nadto usprawiedliwił. Pisze jeszcze Wilkowski w Dziesięć Dowodów str. 23 o „Grzegorzu Mazurze z Brzezin", jak to on przeciw trójcy św., potem przeciw bóstwu Chrystusowemu i chrzcie dziecięcemu „polskimi pismy połownymi i łacińskimi w Niemczech i Węgrzech począł siać, teraz (1584) gdy się drużyna jego z Rakowa rozbieżała, sam tam został i za nowszych mistrzów przyjściem ztaniał ten, co niegdyś zbory polskimi władał, potem i potargał i swoim ministrom silny był". Poświęcił mu autor tylko parę stronic, nie wymienił wcale niezachowanych jego dzieł polskich, ani zaznaczył za Wilkowskim (Przyczyny nawrócenia 1583 r.), jak to zborowi niegdyś „Grzegorzowe krakowskie pieśni ulubili, potem odtrącili i Czechowicowe wileńskie upodobali" (nie znamy ani jednych ani drugich). A właśnie na Grzegorze Pawle (nazywano go i Paulim) najlepiej można gorączkowy rozwój aryaństwa polskiego wykazać. W „Krótkim Wypisaniu Sprawy" z r. 1564 nie oddziela jeszcze Paweł w niczem Syna od Ojca, „choć w stworzeniu, choć w odkupieniu"; jeszcze przyznaje, że i Stary Testament mówi o Synu „zakrycie"; że wszystko przez Syna Ojciec działał itd. Ależ nienadarmo ów synodzik pińczowski, co tego wszystkiego uczył, kończył jawnem wyznaniem, że „z Antychrystowych labiryntów, które od kilka set lat budował, po maluczku wychodzić nie wstydamy się ani żałujemy i nie może nam być w tej mierze odnawiania i niestateczności kryska przypisana". Tymczasem nieco później ten sam Grzegorz, już jako „patryarcha rakowski", przeczył wszystkiemu: już mu nie mogła być w Chrystusie pełność prawdy i łaski, aż po śmierci; już wedle niego „straszliwego bałwana Krystusa, wiecznego, wtórego boga, strzec się mamy; ten syn Boży, przed Jezusem zmyślony, nie człowiek, wszytkiego antychrystowego królestwa jest przyczyna; gorszy to są dziś pod antychrystem bałwochwalcy, niż oni, którzy w Babilonie chwalili bałwany te, które były, ali ci wymyślone bałwany chwalą, których nigdy nie było in rerum natura, którzy są ani stwórca ani stworzenie, tylko phantasmata ludzkie. Na to zmyślone zstąpienie z nieba nikt nie patrzył, aniołowie ani ludzie, ani go nie opisał żaden ewangelista, chociaż mniejsze rzeczy, jako żłoby, pieluchy opisali i tegoby nie opuścili, by to było prawda" [1]).

---

przy wydaniu konfesyi polskiej; jego wybrano konseniorem; jego wyznaczono 1557 r. na pierwszego ministra zboru krakowskiego, nie w 1552 r., jak Węgierski pisze; nie Stanisław Wiśniowski był pierwszym tym ministrem, dodano go tylko Grzegorzowi Pawłowi do pomocy; pomylił to autor na str. 118 przeciw wyraźnemu świadectwu protokołu, Lasciana str. 443.

[1]) Dzieło, skąd ten ustęp pochodzi, nie ocalało; przytaczam go wedle Jana Petrycyusa „Krótka przestroga" itd. 1600 r., cytującego „Grzegorza itd. na siedmdziesiąt miejsc k. 129 i 213"; nadzwyczajna ostrość mowy cechuje stale Grzegorza; może to najobszerniejsze z wszystkiego, co pisywał, boć zwykle tylko krótkie rzeczy w świat puszczał.

Przytoczę inne z dziełek jego, nie wymienionych wcale przez autora, „O Prawdziwej Śmierci itd. J. Chrystusa itd. przeciwko fałesznemu zmyśleniu Antykrystowemu o jego duszach, którym wszytek świat zwiódł i smrodliwe pożytki królestwa swego wynalawszy nieleda jako zmocnił“ (str. 66). Wiersze sam dorabiał:

Z jednej to kuźniej wyszło, pokazują kwity,
Trojaki Bóg, dwoj Krystus, człowiek też sowity

i te zmyślone dusze. Gdzież w piśmie o tem mowa, żeby śmierć dusze od ciał łączyła, „chyba nauką Platonową abo Arystotelesową tego dowieść może“ Antykryst. Jak można grzech na duszę przenosić, chyba że i ona tylko od człowieka pochodzi? Jak ujść trojakiemu Chrystusowi: ciało w grobie, bóstwo nie wiedzieć gdzie a dusza u ojców w otchłani! Pod duszą rozumie pismo tylko żywot wieczny ciała nierozdzielonego, nowego czyli duchowego Adama czy człowieka a np. takie „zemną będziesz w raju“, znaczy: weźmiesz żywot wieczny. Bóg bierze i w sobie zachowywa duchy i żywoty nasze. Zdanie o duszach Pawłowe podzielał i Budny.

Również i z nim zbyt krótko autor się uporał. Pisma tegoż, to niewyczerpane źródło rozmaitych ciekawych szczegółów o Bielińskim, Gliriusie, Czechowicu i i., np. co pisze o Piotrze Gieczku z Goniędza: „iżem był świadom popędliwych a szkolnych jego obyczajów, przeto mało mię to obrusza“ itd.; przyznaje, że Goniędzowie, Farneziowie, Wiśniewscy i inni takowi mają wielkie dary Boże i wiele dobrych rzeczy pisali, wiele też Antychrystowych klatek zborzyli itd., ów wielki spór ale głupi niedawno z Stankarem o pośrednika, o czem niemało z obu stron napisali, ale te ich spory nic inego są, jedno jakoby się też żebracy mantykami bili, ponieważ oboi prawdy nie mają — niżej nazwał go sporem nikczemnym a prawie jako mówią o kozią wełnę [1]). Nazywa Goniędza Serwecyaninem, „w którymem (błędzie) też i ja przez kilka lat był i długom się o nie zastawiał“ (że logos bez nasienia męskiego w syna Maryi się odmienił). Uczoności i wszechstronności Budnego należało się więcej nieco uznania, chociaż co do mniemania jego o duszach (że to „szczyre plotki“) niepotrzebnie autor Kochanowskiego i filozofię naturalną przytacza (str. 86), wystarczy wskazać Grzegorza Pawła. Dalej należało silniej podkreślić jego pansławisty-

---

[1]) T. j. de lana caprina, Budny bowiem, mimo wzorowej polszczyzny, tłómaczył dosłownie idyotyzmy łacińskie, np. cegłę myje (zamiast naszego wodę mierzy, co na innem miejscu położył), albo rychlejby maczugę Herkulesowi wybił, to będzie na kalendy greckie, rychlej się mulica oźrzebi, plotki Sykulskie itd. Tłómaczy też w podobny sposób terminologię łacińską, np. paraphrasis albo okołotoczny wykład, paraphrastice okołotocznie, sofistykę wykrętaczkę, sprzężajne słowo coniunctio, antithesis przekładka, antilogiae przeczne mowy, sprząganie constructio syntaxis itd.

czne dążności, posługiwanie się terminologią słowiańską, szperanie po rękopisach cerkiewnych (czy zawsze autentycznych?), używanie form słowiańskich nawet takich jak Bawelski, Bawelanie, zamias Babiloński, Babilonianie itd. Dla charakterystyki wykładu należałoż choć w uwadze przytoczyć, jak np. Budny fatalne dla aryaństwa miejsca w Janie św. tłómaczy: na początku t. j. przymierza nowego, była mowa (Krystus, od urzędu swego przepowiadania mówienia, nazwany) a mowa była u Boga (t. j. znana albo, wedle jakiegoś apokryficznego tekstu słowiańskiego: ku Bogu, t. j. ciągnęła, bie k Bohu); przez tę mowę wszystko (we zborze) urządzono itd.; Jan. 3, 13 rozumie się tylko o wywyższeniu i poniżeniu przez Boga; gdzie o wstąpieniu i zstąpieniu z nieba mowa: 6, 38 zstąpiłem z nieba t. j. Bóg mnie wysłał, nie sam od siebie tylko przychodzę; 6, 62 jeżeli wstąpi gdzie dawniej był, nie rozumiej tego o niebie, lecz o Jerozolimie dla śmierci krzyżowej itd. Wykłady te należało porównać z Grzegorzowymi, Czechowicowymi itd., nie mówiąc o późniejszych, Socynowych itd., coby znowu teologa, nie literata zająć mogło.

Pełne uznanie należy się autorowi za nieznużone zbieranie materyału, drukowanego a nawet rękopiśmiennego, rozprószonego po tylu zbiorach; on dotarł aż do Koloszwaru na Siedmiogrodzie i stamtąd głównie protokołami synodów i dysput aryańskich źródła nasze pomnożył: najbliższem zadaniem dla Akademii byłoby jak najrychlejsze ich wydanie. Utyskiwa autor nad licznymi zaginionymi okazami tej jedynej w swoim rodzaju literatury, np. na str. 92, ale właśnie co tam wymienia, „Gońca“ Dolińskiego czy „List“ Zakrzewskiego, nie uważałbym za zginione kompletnie, skoroż Wilkowski w Dziesięciu Dowodach (1584 r.) dał wystarczające próbki: z listu p. Zakrzewskiego do brata Jezuity przytoczył wprawdzie tylko wyzwiska, jakiemi chciano mu obrzydzić Jezuitów: suitowie, wyzuitowie, lohela pędzikrówka, pasirzytowie, furfantowie, szybałowie, łupież (papież), karpinali — nie zapominajmy, że tę „niewinną“ zabawkę uprawiali wszyscy w zawody, np. taki spokojny Trepka pisał o satanacissimus carnalium ordo itp. Ale zato z „Gońca“ Mikołaja Doliny (Dolińskiego)[1]) przytacza Wilkowski tyle, że nam całe dzieło dosadnie nacechował. Występywał w nim Dolina najpierw przeciw chrztu wodnemu i dowodził, że nawet sam Bóg wszechmogący w swoim jednorodzonym Synie usprawiedliwiał go i święcił ogniem i duchem świętym t. j. wodą niebieską i krwią najdroższą, „a nie wodą tą Jordanową ziemną, rzeczną albo stawową, czarowaną albo prostą“, jaką jedni niemowlęta, drudzy dorosłych chrzczą, czego Chrystus nad nikim nie czynił; nie Jego to nauka

---

[1]) Wszystko do szlachty się pchało a narobił jej i nasz autor, n. p. z niemca Radecke — Radeckiego, a z jezuity Cichowiusza, co się w Czchowie miejskim synkiem urodził i dlatego Cichowiuszem (Czchowczykiem) nazywał, jakiegoś Cichowskiego!

ani słowa ani Ojca, tylko to tysiąc sztukmistrzowa (mille arti fex = dyabeł) kuźnia, aby miała aqua maledicta choć po wszednie grzechy gubić; gdzież o tem słówko, żeby Chrystus miał kogo chrzcić albo ponurzać itd. Również ostro zwalczał Dolina wieczerzę Pańską: nie ustanowił tego ani Chrystus ani Bóg, żeby przeklęty był, kto nie pożywa tej wieczerzy z rąk ministrowych raz jej tylko pożywał Zbawiciel z swoimi dwunastu żydami a nie wiódł do tego żadnej niewiasty, żadnego męża — pokażcież mi to w piśmie albo u proroków; mówi Chrystus o chlebie niebieskim nie o tym, co go daje ksiądz lub minister, co go żak albo baba upiecze, co ginie albo do wychodu idzie itd. Nie dziw, że takiego „fantastyka“ ze zboru wyrzucono, choć sam był „ponurzonym“.

Wymieniałbym raczej inne pisma, co z większą szkodą dla nas zaginęły, np. te, o których Rotundus do Hozyusza w r. 1567 pisze, że czytał wydane w Grodnie książki polskie z niesłychanem bluźnierstwami przeciw Chrystusowi, odrzucające wszelką zwierzchność, żądające spólnoty dóbr doczesnych, zniesienia wszelkich różnic stanowych. Czy nie należały te książeczki do rajcy wileńskiego Mundiusa, co się trybowi braci morawskich przypatrzył i dosyć go się wychwalić nie mógł? książki, tłómaczone i na łacinę, polemizujące z Rotundem, z których szydził Rojzyusz w ostrych wierszach łacińskich? Albo np. owe książeczki, jak Sandius twierdzi, Szlichtynga (Cichowiusz niby Niemierzyca o autorstwo pomawiał), o Dyable Zaklętym i o Dyable Nieodklętym, przeciw zarzutom Cichowiusza, jakoby Aryanie dyabła chwalili. Wspomina o tym zarzucie autor, ale należało ten sofizmat jezuicki dokładniej określić. Aryanie w celach własnej chrystologii bili na to, że tytuł Bogów, jaki pismo aniołom, książętom, zwierzchności (sędziom) przyznaje, nie do istności, lecz do mocy się odnosi; że się więc tym mocarzom służba i chwała należy. Ależ i dyabeł jest aniołem — mocą a Nero i Pilat zwierzchnością — mocą, więc i im się służba i chwała należy: tak uformował Cichowiusz swój argument przeciw Aryanom i gorąco go bronił. Ileż to innych dzieł, przekładów, rękopisów aryańskich przepadło! Należy tylko zestawić spisy ich literatury, np. u Wilkowskiego, Petrycego, Clementinusa, Cichowiusza, aby się o tem przekonać. Z rękopisów wymieniam petersburski Balińskiego, z końca XVI wieku, występujący przeciw Aryanom.

Ten olbrzymi materyał — z iluż to ksiąg korzystał autor, których i ja, chociaż aryaństwem się zajmywałem, nie widziałem — ułożył autor dobrze, życzyłbym tylko nieraz większej chronologicznej i rzeczowej ścisłości.

Należałoż właśnie wykazać, jak to Polacy, przespawszy niby początki „reformy“, tem raźniej teraz się do niej zabrali i niebawem mistrzów celowali, z szybkością iście błyskawiczną. Przecież już 1568 kreśli „Giiowski“ (Iłowski?) w liście do Bullingera trojakie Pinczowian rozszczepienie: najliczniejsi między nimi są Samosateni i Anabaptyści, co wszystkich innych bałwochwalcami zowią,

ponieważ człowieka Chrystusa ubóstwiają; wedle nich Chrystus tylko przysposobiony syn boży, jak i my. Drudzy, na Litwie (t. j. Podlasiu, Goniądz!) liczniejsi, uznają przedwieczność Chrystusową, ale obniżają go wobec Boga Ojca a w Duchu Św. nie uznają osoby, tylko palec Boży, moc Bożą, dar Jego, siłę nieosobową i przekraczają stanowisko Gentilego, co osobie Ducha nie przeczył, nasi Bideitae — dwójbożanie (Goniądz, Farnowski, Wiśniowski); trójczacy wreszcie, co dogmat powszechny (tres unus sunt) jako sabeliański odrzucają, ale trzy równoczesne hypostazye, równe sobie wedle jakości i stopnia uznają[1]). Ale już w r. 1570 pisze Trecy do Simlera, że Aryanie zaczynają nieśmiertelności, ba samemu istnieniu dusz przeczyć, a z dogmatycznemi rosły i społeczne zapatrywania krańcowe, grożąc już w r. 1566. Cały zaś ruch zapoczątkowali Włosi: Stanisław Kokoszka, acz wcześnie zmarły (1566 r.), sługa Socynów, szerzył pisma Serwetowe, Socynowe i Kuryonowe (przeciw bóstwu Chrystusowemu) w Polsce a za nim inni.

Pragnąłbym dalej, żeby chronologiczny t. j. ewolucyjny zarazem moment autor silniej był uwydatniał. N. p. traktuje on o Wiśniowskim i Farnowskim dopiero na str. 117—129, chociaż obaj bezpośrednio po Gonię̜dzu, mistrzu swoim „dwojczackim", następywać winni, bo z nim razem całkiem osobną grupę tworzą. Mówi najpierw o Wiśniowskim i dziele tegoż późniejszem („Rozmowa o znajomości Boga Ojca" 1575), potem dopiero o wcześniejszem („Okazanie sfałszowania nauki P. J. Christa" 1572), potem o Farnowiuszu („O znajomości i wyznaniu Boga" itd. 1573 r.) i stosunku właściwego tych dzieł wcale nie określa. A miała się rzecz takim sposobem.

Równocześnie wydali lucławski minister Wiśniowski i sądecki Farnowiusz obszerne wyznania wiary, aby wyłożyć i uzasadnić wyznanie, którego mistrz ich wszechstronnie nie obwarował. Wiśniowskiego dzieło, istny olbrzym; jedyny jego egzemplarz (ossoliński) jest silnie zdefektowany (na początku i końcu); liczył niegdyś z górą 700 kart (brak mu całej części piątej o Duchu św.). Uznał sam Wiśniowski potrzebę skrócenia tego olbrzyma i wydał w tym celu „Rozmowę", niby streszczenie „Okazania", ale liczył się już z dziełem Farnowiusza, na nie się powoływał i je naśladował. Wszystkie trzy dzieła przedstawiają nieraz istny cento biblijny — niema co czytać, są same teksty; polemika ustąpiła miejscami zupełnie wykładowi dogmatycznemu. Ponieważ obaj wojnę wypowiedzieli wymysłom ludzkim, nic dziwnego, że wyjątkowo zaprzątał ich fałszywy

[1]) Do nich należał może i Statory, co przynajmniej na synodzie łańcuckim 1567 r. wypierał się własnej dawniejszej nauki o nieosobowości Ducha św. i od dyabła tego wywodził, co tej osoby nie uznaje i nie każe jej jako Boskiej chwalić. Notat Budzinius, ciągnie Lubieniecki str. 214 dalej, hanc eius fluxam fidem, ideo Proteum vocat, qui etiam scripto patrocinium errori praebuerit (nie znam tego pisma; do niego czyni aluzyę dyplom nobilitacyjny), et paulo post mortuum esse adnotat.

wykład Bezy, Kalwina, Erazma; najwięcej jeszcze polemizował Farnowiusz z ośmiu błędami trójczaków — usyan (od istności boskiej ich własnego wymysłu, nazwanych); kończył dzieło dwoma hymnami do Ojca i do Syna (Ducha wzywać się nie godziło), zbudowanymi w strofach początkowych wedle wymagań jakiej takiej rytmiczności. Cała wymowa Farnowiusza iście kaznodziejska; ciągłe anafory, trójdzielność zdań i zwrotów, retora wykazały. Gardzi nazwiskiem chrześcijanina (od zmyślonego wedle niego słowa pochodzącego) i zowie się Christianinem (jak mistrz jego, Goniądz); zwalcza symbol apostolski jako wymysł ojców niceńskich; wywodzi naukę o trójcy z naśladowania sabińskiego bożka trójgłowego, wzywanie świętych z bałwochwalstwa a chrzest dziecięcy z oczyszczania rzymskiego. Pismo objaśnia bardzo gruntownie; dba zawsze o całość sensu, o związek z słowami poprzedzającemi i następującemi, nie wyrywa luźnych słówek; hebrajszczyznę zna (jak i greczyznę) i nazwom boskim (Elohim, Jehowa, Adonaj), obszerny poświęca ekskurs.

I Wiśniowski nie wypierał się nigdzie kaznodziejstwa. Wykład dogmatyczny przeplatał modlitwami dla braci i sióstr; wedle utartych wzorów przeciwstawiał prawdziwemu słowu Bożemu i nauce na niem opartej wymysły ludzkie; nużył jednostajnością, nie urozmaiconą nawet w „Rozmowie“ formą dyalogową, gdyż Theophilus tylko krótko pyta a Nathanael obszernie odpowiada, jak w katechiźmie. Zato podkreślił autor należycie stanowisko obu, szczególniej zaś Wiśniowskiego, obce światu i sprawom jego, ascetyczne, niby mistyczne, chociaż Farnowiusz (uczeńszy) z narodu polskiego dosyć się nacieszyć nie może, że mu prawdę Bożą lepiej niż innym poznać dano a Wiśniowski „Okazanie“ przeciw Szwajcarom napisał, co Gentilego ścięli i okrutność swą w „Historyi“, wydanej w Genewie 1567 r. usprawiedliwiali. Farnowiusz wymienia jeszcze inne zamierzone dzieło, ale nie wiem, czy je wydał: przytaczam wzmiankę o niem zarazem jako próbkę dziwnej jego ortografii „o tim iż w książkach o siedmiorakiem sina Bożego obiawieniu pilnie i sseroko pissę, nie się tu nie będę tim bawił iaci iedno pismo wspomnię, którem się wssisci ssżiczą i swego mnimania za potporę ie maią“ itd. O wszelkich podobnych szczegółach milczy nasz autor, chociaż niejeden urozmaiciłby i ożywił jego wykład. Należałoż np. uwydatnić gorącą wiarę obu, Farnowiusza (i Farnezym zwanego, nawet u Budnego!) i Wiśniowskiego, co ich silnie różni np. od takiego Budnego, u którego, jak i u Włochów, ciepła religijnego ani śladu: spokojne dociekania chłodnego aż nadto rozumu, bez uczucia, rażą formalnie wobec przejęcia się tamtych rzeczami wiary, głębokiego, namiętnego, choć nie mającego nic spólnego z zacietrzewieniem sekciarskiem Grzegorza Pawła lub Czechowica. Jeżeli autor twierdzi, jakoby judaizm Budnego nawiany był przez Teodozyan (zwolenników wywłoki prawosławnego), to się myli; judaizm szerzył się, dokąd Teodozyanie nigdy nie zaglądnęli, np. w Siedmiogrodzie, gdzie do niedawna jeszcze sabatyanie istnieli;

szerzył go taki Niemiec Febe (Vegius, co się i Gliriusem nazywał tłómacząc na łacinę niemiecką nazwę), Daniel Bieleński (apostatą, Epikurem i u Budnego przezwany, zanim się do Trójczaków nawrócił); przyczyny tego judaizmu sięgają głębiej — ale to znowu rzecz teologa, nie literata. A było takich judaizantów jakiś czas więcej, należał np. do nich ów Crotovicius śmigielski, co już tylko na tematy starozakonne kazał, acz się z czasem upamiętał i na synodzie w 1580 r. ze łzami do błędu się przyznawał. Szczególniej gorszono się, gdy znaczne panie do szeregu „żydowstwujących" wstępywały. Ale były i jednostki temu wręcz przeciwne; dla nich nie istniał ani Zakon ani prorocy, uznawali wyłącznie Nowy Zakon, np. taki pan Bełdowski, wspomniany w „Rafaelahim" Neothebela.

Pomijam kilka błędów w datowaniu tekstów, np. znaną elegię napisał Przypkowski nie po traktacie oliwskim, 1660 r., lecz trzydzieści lat wcześniej, po sztumskim, kiedy w Gustawie Adolfie bożyszcze protestanckie witał i na przyszłość, wraz z innymi różnowiercami, świetniejsze roił losy: i u Przypkowskiego spuściznę literacką można było kilku bardziej wykończonymi rysami (o dyaryuszu wojennym, mowach i pismach politycznych), uzupełnić — widać też, że gniew W. Potockiego na wuja rychło ochłonął, kiedy od przeróbki tej elegii Ogród Fraszek rozpoczął; szczegóły biograficzne (o pobycie na Rusi), można i w znakomitej pracy Oresta Lewickiego (w Kijewskiej Starinie) odnaleźć. Farnowiusz nie był najpierw studentem heidelberskim, potem marburskim, lecz był zapisany w Marburgu 4 paźdz. 1563 a 3 maja 1564 w Heidelbergu i tu wyzwał w najostrzejszy sposób profesorów na dysputę o Trójcy św., wskutek czego musiał miasto opuścić.

Ogółem chronologia nieco szwankuje, podział materyi nie bywa najlepszy. O starym Przypkowskim np. mówi się dopiero po młodym Potockim; wymienia się polemistów z XVII wieku, Clementinusa np., a potem dopiero wraca do Skargi, i niema przy nim rozprawy o Moskorzewskim, jakiej właśnie na tem miejscu należało oczekiwać. Ścisłe wystawienie chronologiczne mniejby dopuszczało rozrywania osób; o takim Frycu np. mówi autor aż na trzech miejscach, chociaż właśnie w dziejach aryaństwa pominąćby go można, gdyż na nie nie wpłynął, jawnie i konsekwentnie do niego się nie przyznał. Należało zato więcej Dudycza uwzględnić cóż z tego, że obcy, skoroż właśnie obcy między Aryanami polskimi rej wiedli — jako Aryan czy półaryan należy ten eksbiskup całkiem do Polski. I takich opuszczeń czy niedomówień bywa więcej. Czasem zbyt pospiesznie uogólnia autor: nie zarzucał Potocki Jezuitom, że cudze żony uwodzą, gdy skandalik z panią Chynkową omawiał — toć tylko licentia poetica była; odwrotnie, gdy się skarżył na ciągłe płacenie, nie myślał o konkretnym wypadku, złupieniu własnem przez wojskowych, lecz utyskiwał nad stanem opłakanym ogólnym.

Wdaje się czasem dr. Grabowski i w kwestye autorskie, ale niema w tem ręki szczęśliwej. Domysły o autorstwie pisma De Primatu Papae i Proteusa wyżej usunęliśmy; również nie przekonał nas, przypisując słynną „Actio in Jesuitas“ Niemojewskiemu. Pisemko istotnie niezwykłe, gdyż Aryanie zostawiali kalwińskiej braci rozpieranie się z Rzymem o obrazy, mszę, czyściec, zakony itd.; widocznie dopiekli im silnie jezuici w Lublinie, że się do takiej walki z nimi porwali. W autorstwo Niemojewskiego nie wierzę; szlachcic nie miał się czego obawiać — tem więcej taki Wojciech Kaliszczyk i ci co za nim stali; byłby się więc Niemojewski do autorstwa bez obawy przyznał, ależ niedarmo Jezuici na maszkarę szlachcica bili, fałsz całej „akcyi“ tem z góry zadając. Robota to składana, ale nie „gregoryanek“ Niemojewski (jak zeń szydzi Żebrowski), rąk do niej przykładał, nie styl to (cyceroniański niemal!) ani treść dla spokojnego marzyciela — chiliasty (z czego sam zborowi, np. Czechowic, szydzili).

Ale to są drobnostki, ginące w wielkim obrazie. Utyskiwałbym raczej na inny brak. Już kilka razy podkreślaliśmy, że autor nie jest teologiem, że zasadnicza strona tych sporów nie znalazła w nim powołanego interprety. Nie czynię mu z tego zarzutu; literatura aryańska jest tak bogata i ciekawa, że zasłużyła na opracowanie i z literackiego stanowiska. Zaznaczam więc ten fakt, wskutek czego ustępy o głównych, późniejszych działaczach, Ostorodach, Szmalcach, Kreliuszach, Wiszowatych itd., tracą na wyrazistości; nie rozumiemy np. dobrze, jakim sposobem mógł Cichowiusz twierdzić: „nowego nic w nich (Statorym, Szmalcu, Ostorodzie, Volkelu, co niemal dosłownie Socyna odpisują), ba i w inszych, samego Crelliusa i P. Schlichtinka wyjąwszy, nicem spostrzec nie mógł“. Zamiast oceny ich nauki daje autor ocenę głównie ich stylu, gdzie o stylu właściwie i mowy nie było.

Sądy autorskie bywają wcale ostre, wspominaliśmy o takich przy Krowickim i Grzegorzu Pawle. I na sąd o W. Potockim nie zgodziłbym się; i człowieka i poety nie całkiem doceniono. Wątpię nawet, czy autor słusznie np. chronologię jego pieśni odtworzył, przecząc, żeby je dopiero katolik pisał. Za Trębeckim w Wirydarzu przyjmowaliśmy ogólnie, że zwrot w jednej z tych pieśni:

> Pasterzu święty, i jam z twej owczarnie
> Za inszym wodzem obłądził się marnie

odnosi się do byłego aryaństwa poety; dr. Grabowski twierdzi przeciwnie, że ten „wódz inszy“, to nie Socyn, lecz z następnej zwrotki „Świat — mię — zaprowadził na moczary lgnące“, więc szatan — kusiciel. Nawet, jeżeliby po stronie dra Grabowskiego była słuszność, nie wynikałoby jeszcze z tego, że te pieśni do czasów zborowych należą. Brak wzmianki o owem misteryum wielkanocnem, co z eksaryaństwem Potockiego tak samo nie licuje, jak i jego „Wieniec Maryi Panny“; albo o trenach na śmierć syna Jerzego,

o których niedawnośmy (1904) się dowiedzieli, albo o idyle jego i inne.

Po takiem szczegółowem wytykaniu rozmaitych braków, tem większe uznanie całości się należy! Dowodzi ona wielkiej rzutkości umysłowej zarówno jak i nadzwyczajnej pilności i wytrwałości. Pracując w ciężkich warunkach, gdyż obarczony zawodem nauczycielskim, umiał autor w krótkim czasie przetrawić bogatą a niestrawną literaturę, wykreślić jej linie wytyczne, w obrazie nie zbyt wielkim, wymalowanym żywo, choćby zewnętrzną podobiznę trafnie wykonać. Z zapylonych ksiąg, z nadbutwiałych rękopisów, wskrzesił autorów i dzieła, jakie dotąd chyba bibliograficznie u nas znano. Z owego kółka, w którym nasza literatura monograficzna stale się obraca, siejąca coraz nowe przyczynki do wiecznie tych samych autorów, wydobył się; wykazał, jak ciekawe i ważne zjawiska zostawały dotąd na uboczu; zerwał wiekowe pieczęci z aktów, oddanych do archiwum — niepamięci. Jeżeli tu i ówdzie bróżdz fejletonowe nieco traktowanie przedmiotu, całość, wynik sumienne pracy, bardzo treściwą, bardzo zajmująco wystawił. Walną lukę w dziejach naszego piśmiennictwa zapełnił szczęśliwie i nie będziemy się odtąd rumienili przed cudzoziemcami, że wszyscy, prócz nas samych, o naszych Aryanach pisali. Jeżeli dzieło jego nie może, bo i nie myślało o tem, zastąpić właściwej historyi „herezyi", zawsze jeszcze nie dopisanej, to umożliwiło przynajmniej i szerszej publiczności zoryentowanie się w tych walkach sumień i szermierkach literackich, co w rozwoju myśli religijnej, nie tylko europejskiej, niezatarte pozostawiły ślady. Dzięki i cześć autorowi za taką pracę, wykonaną do tego w naszym — Rzymie!

Berlin. *A. Brückner.*

Białe Kruki. Wydawca Karol Badecki. 1. Lament Chłopski na Pany. Wydał Józef Kallenbach. Lwów, nakładem Zienkowicza i Chęcińskiego. 1910, wielkie 8°, s. 25.

Gdy w Warszawie prof. Wierzbowski zaprzestał wydawnictwa przedruków, wystąpiła z nimi Biblioteka Krasińskich; gdy u nas Bibliotekę pisarzy polskich na całe lata zawieszono, zapowiada p. K. Badecki nową publikacyę, którą jak najgoręcej witamy. Sam tytuł ją charakteryzuje; do białych kruków nie należą dzieła większej objętości; białymi krukami bywają broszury kilkućwiartkowe, wydawane niby poza obrębem właściwej literatury, anonimowe, treści satyrycznej lub humorystycznej, drukowane „tego roku", sprzedawane po kramach i jarmarkach przechodniom, tępione nieraz przez cenzurę oficyalną, ciekawsze, dla jędrności mowy a drastyczności treści, niż literatura poważna. W podobne białe kruki obfituje głównie wiek XVII; zagrzebana w nich cała literatura sowi-

zdrzalska, liryka popularna, beletrystyka najniższego rzędu. Egzemplarze rozchwytano i zaczytano; ocalały wyjątkowe, skazane również na zagładę, na zapomnienie, z największą szkodą dla dziejów dawnych obyczajowości, mowy, humoru. Rzucają te broszury światło na życie, na pewne jego strony i stany, z literatury poważnej wyłączone; czem niepozorniejsze, tem wyżej je cenimy: bez frazeologii humanistycznej, bez retoryki i wzorów klasycznych, bez schlebiania, wyrażają one samą treść szarego życia warstw upośledzonych, chłopów, rzemieślników, mieszczan, klechów, ciurów, ich troski i radości, ich kłopoty i nędzę, rozrywki i przygody.

Do takich należy broszura, jaką nowe wydawnictwo znakomicie rozpoczęto, Lament Chłopski, wydany przez prof. Kallenbacha. O losie chłopskim, coraz okropniejszym, wspomina przygodnie tylko literatura poważna, od Skargi do Opalińskiego; są rękopiśmienne lamenty chłopskie w sylwach szlacheckich XVII wieku (nie wspomniał o nich wydawca); jest i broszura osobna, wystylizowana po literacku, więc wplatająca w skargi potoczne element beletrystyczny, opowiadanie o nierówności stanów, zadekretowanej w kilkanaście lat po wyjściu z raju, opowiadanie kursujące po całym świecie (literackim), tu włożone w usta matki — chłopki i całkiem po domowemu zabarwione tak, że się o obcem źródle zupełnie zapomina.

Autora „Lamentu" nie znamy, roku również nie wyrażono, ale najpóźniej w początkach XVII w. drukowano (może i częściej) te skargi chłopskie na niewesołe czasy, po których coraz gorsze następywały, tak że w końcu i głos chłopski zaniemiał zupełnie, chyba tylko z kazalnic podgórskich w ciągu XVIII w. się jeszcze skargi i wyrzuty odzywały.

Po uwagach wstępnych prof. Kallenbacha dano przedruk homograficzny Lamentu; przerysu, który wypadł bardzo dobrze, dokonał p. Badecki; następuje przedruk w pisowni dzisiejszej (mylnie wydrukowano kłusięta zamiast klusięta, źrebięta, czeskie klise itd; dalej ułożył p. Badecki słowniczek wyrazów przestarzałych (zbyt obfity i nie zawsze dokładny) i dodał uwagi bibliograficzne o broszurze samej. Wydano ją więc podwójnie, dla bibliofilów niby przerys a przedruk dla czytelników zwykłych, przez co publikacya bardzo urosła, ale, jak spodziewamy się i życzymy, może tem łatwiej do szerszych kół trafi i zajęcie wzbudzi. Przedstawia się bowiem bardzo okazale; tylko Czesi dotąd w podobny sposób dawną literaturę odświeżali (por. ich najnowsze wydawnictwa akademickie, Marchołta, Ezopa, Praw frantowych; wszelkie nasze dotychczasowe wobec tych czeskich są chyba tylko kopciuszkami); tem bardziej cenimy starania p. Badeckiego i nakładców, co nie szczędzili żadnych kosztów i iście zbytkownego wydania dokonali; również i litografia lwowska Andrejczyna świetnie z zadania się wywiązała. Na przyszłość radzilibyśmy, tylko z najcenniejszych broszur, np. z Nowych Sowizdrzałów itp., dawać przerys zupełny; z innych np.

ze wszystkich broszur z drugiej połowy wieku, wystarczy przerys karty tytułowej; co do treści wybieralibyśmy tylko satyryczne i humorystyczne, niby dokumenty życiowe, pomijalibyśmy zato wszelkie treny, sielanki i inne utwory „literackie“, co mogłyby również dla rzadkości egzemplarzów za białe kruki uchodzić, ale których od zapomnienia ratować nie warto.

Więc i pomysł p. Badeckiego i wykonanie jego bardzo trafne, rokują najświetniejsze nadzieje; ktokolwiek ma zmysł najmniejszy dla dawnych książek, kto ceni umysłowość dawną, z rozkoszą weźmie do rąk to wydanie, odtwarzające z największem znawstwem i pietyzmem dokument wcale ciekawy, świadczący, że w zaślepieniu ogólnem nie zamarł jeszcze całkowicie głos sumienia i obowiązku. Oby tylko żywszy udział publiczności przyczynił się i umożliwił wydawnictwo dalsze, coby całe skarby dawnej literatury z niezasłużonego zapomnienia wydobyć zdołało.

Berlin. *A. Brückner.*

Tadeusz Sinko, Polski głosiciel „stanu natury“ z początku XVIII wieku. Napisał ... (Rozprawy Akademii Umiejętności, wydział filologiczny, tom XLV, Kraków, 1909, s. 289—358 i odb. Kraków, 1908, 8⁰, s. 70).

Antoni Łodzia Poniński, partyzant Karola XII i Leszczyńskiego, później Sasów, zmarły r. 1744 wojewodą poznańskim, uchodził u spółczesnych za największe lumen poetyckie. Nawet St. Konarski obdarzał go i wawrzynem wieszczym i wieńcem obywatelskim; „koroną nowszych poetów polskich“ zwał go Janocki, Nachrichten etc. I, 51 (por. Neue kritische Briefe tegoż I, nr. 86); wizerunek jego zawiesił Załuski w bibliotece. Jego tłómaczył Minasowicz Józ. Ep. w „Opisaniu strasznej przygody familii polskiej za Augusta II“ (z Satyr Ponińskiego III, cap. 11) i w kilku krótszych opowiadaniach (Warszawa, 1779); znali go jeszcze Krasicki i Juszyński z „licznych rytmów polskich“, chociaż nam, ile wiem, tylko łacińskie się zachowały. Że Królikiewicz, wydawca jego łacińskich heroików i satyr, 1739 i 1741 r., pod niebiosa Ponińskiego wysławiał, rozumie się samo przez się.

Parę słów najpierw o, nieznanym Estreicherowi (Bibliografia XXII, 394—401), druku Minasowicza. W zbiorku broszur własnych, jaki Minasowicz dedykował publicznej bibliotece warszawskiej przypisem z 15 maja 1779, dziś w bibliotece Petersburskiej, są następne luźne druki: Apist Wiernek wiarołomny itd. (bajka z Satyryku Barklajowego, por. Estreicher pod Barklaj); Walgierz hrabia z Tyńca itd., por. Estreicher XXII, 399; Halybeg, Historya perska wybrana z opowieści moralnych Franciszka de la Motte Fenelon etc., jak poprzednie wydana w drukarni korpusu kadetów 1778, 24 str. 8⁰, nieznane Estreicherowi, jak i następne, „Opisanie“, (da-

towane „za panowania Augusta II“, u Ponińskiego daty niema), tamże r. 1779; Tabaka, wiersz albo supplika pokorna do matki ojczyzny pro coaequatione iurium nosa koronnego z litewskim (dopisano ręką Minasowicza: „X. Eysmunta sch. pp.“), nieznane Estreicherowi dziełko pisarza i „poety“, autora sielanek i tłómacza od Konarskiego, Marcina Eysymonta: prośbę komiczną kończy westchnienie: „Od krajowej tabaczki zachowaj nas Panie!“; kart cztery. Dalej: Pieśń o błogosł. Ładysławie z Gielnowa, patronie zwłaszcza warszawskim; i tego druku Estreicher nie zna, jak i następnego: G. A. K. P. A. V. E. L. A. do Józ. Ep. Minasowicza sekretarza królewskiego etc., anagramy, łacińskie i polskie, pochwały i życzenia, aby „ksiąg swych wdzięcznym świat polski napełniał odorem“, na co z równemi pochlebstwami Minasowicz z Warszawy 16 grudnia 1776 odpowiada: w G(abryela) ciało lwowskie przeszła bo wiem dusza paryska Santoliusa (Santeuil), hymnologa znakomitego, a że Gabryel równie znakomity, Ruś mu poświadcza. Jest to Ormianin, jak tylu innych spółczesnych Ormian, „poeta“ ascetyczny głównie, Gabryel Andrzej Kasparowicz (albo Kasperowicz), Protonotaryusz Apostolski (dalszych skróceń nie umiem rozwiązać; por. Estreicher XIX, 166 i 167). Minasowicz wydawał więc ponownie rzeczy, już w Zbiorze Rytmów 1755 i 1756 ogłoszone. Wracam jednak do Ponińskiego.

Kto znał tylko „heroiki“ jego, musiał o człowieku i autorze najgorsze powziąć mniemanie. Obrzydliwe łaszenie się Półbogu, Semideo, t. j. Augustowi II, budzi wstręt a szczegóły z olbrzymich panegiryków i himeneów, opis ogrodów i festynów, zapasów kogucich, loteryi itd. mogłyby chyba Drezdeńczyków zająć; polskiego oprócz wierszowanych legend herbowych, nic te wierszydła, o gładkiej formie a pustej treści, nie zawierały. Otóż pozostanie zasługą prof. Sinki, że wydobył postać literacką zapomnianą, na podstawie Satyr („Sarmatides“) jej ciekawą fizyognomię określił i jak świeżo chłopem-humanistą, Skopem podhoreckim (w Eosie lwowskim, XIII, 1908), tak i Ponińskim literaturę saską zbogacił.

Prawda, że niepokoił niepotrzebnie nieco poważne cienie, Pope'a i Rousseau, gdyż nie od nich Poniński się wywodził; tkwił on cały, latynista znakomity, w literaturze łacińskiej, od Lukrecyusza, przez Horacego i Owidego, aż do Palingeniusza a w polskiej znał Opalińskich i Lubomirskiego: cały jego pesymizm a sceptycyzm, paradoksy i antytezy, nawet sarkania na marne naśladownictwo starożytnych przejął od nich, szczególnie od Lubomirskiego. Rozmowy np. Artaksesa z Ewandrem przedstawiają najbliższe jego źródło. Zamiast o Pope'a, Essay on man (1733 r. dopiero wydany, gdy Sarmatides, choć częściowo, może rychlej znacznie napisane!) i Essay on criticism; zamiast o Discours J. J. Rousseau, o Woltera Candide itd., należało o tych Polakach wspominać, z nimi Ponińskiego łączyć, ale o nich to autor zupełnie zapomniał.

Przedstawia się więc Poniński niby „ciągiem dalszym“ „Salomona polskiego“, zeszpeconym chyba przez obniżenie kulturalne za Sasów. Więc potworny sposób, w jaki ten sceptyk z zasady, katolik z wyrachowania i pozoru, wyższości katolicyzmu nad sektami (kalwińską i luterską) dowodzi, w sam raz do epoki ks. Baki się nadaje; że i zbrodnia toruńska na jego oklaski zasłużyła, łatwo zrozumieć, a fizyologiczne jego pojęcia o zacności krwi szlacheckiej dostroiły się godnie do tej tolerancyi wyznaniowej.

Podjąłbym tu pytanie, o jakie autor mimochodem (str. 320, nota) zahaczył: „spółczesny Ponińskiemu anonim, autor satyry Małpa-człowiek itd., ma wiele styczności z autorem Sarmatides“. Zapytałbym wprost, czyż nie jest Poniński właśnie autorem tej bardzo ciekawej satyry? Mamyż o niej studyum Kaz. Bartoszewicza w Ateneum 1882, III i IV, ale dotąd nie wydano samego tekstu; wspominam, że oprócz rękopisów po bibliotekach krajowych i w Petersburgu, jest dobry jej odpis i w król. bibliotece drezdeńskiej. Autor tej satyry zna i podziwia Opalińskiego wyraźnie; porównywa pobożność króla — poprzednika (Jana) z dzisiejszą; jest dowcipny i złośliwy; nie skąpi duchowieństwu ostrych przytyków nieuctwa (por. Opalińskiego o temże!). Pisma Ponińskiego polskie, jeszcze Juszyński posiadał; nigdy się z niemi nie spotkałem, ani z „Rośliną powszechnej szczęśliwości“ (1727) ani z „Jubilerem wiary“ t. j. z ową pornografią teologiczno-polemiczną, o jakiej wyżej wspomniałem, o awanturach Radostora i trzech jego kochanek — nierządnic, przedstawiających trzy sekty (katolicką itd.). Czasy saskie nie bywały bowiem płodne w geniusze satyryczne: „Skrupuł“ Jabłonowskiego i parę innych utworów, oto, zdaje się, i wszystko. Możnaby i przy innych anonimowych utworach spółczesnych np. przy Szali sprawiedliwości, Ponińskiego o autorstwo posądzać.

Lecz mniejsza o to. Prof. Sinko, wywiódł z pomroków saskich postać myślącą a więc ciekawszą. Tylko jeszcze uwaga co do tych pomroków: zbyt je uogólniamy, zbyt łatwo zapominamy, że „przewrót umysłowości polskiej“ zaczął się nie za Stanisława Augusta dopiero, że już około 1740 r. pogardzano ogólnie wymową „jezuicką, szkolną“ i natrząsano się z „psalmików“, zalewających literaturę. Napis na medalu, wybitym dla Konarskiego, był mylny, powinien brzmieć nie „sapere auso“, lecz „dicere auso“, gdyż zasługa Konarskiego tylko ta, że wypowiedział jasno i otwarcie, co po mózgach oddawna krążyło. Smak francuski a z nim zerwanie z dawnym trybem obowiązywały już przed Stanisławem Augustem: nawet taka miernota, jak Minasowicz, tłómaczył przed r. 1755, wyłącznie tragedye francuskie; nawet w wierszach mieszczuchów, np. takiego Muratowicza, nowy styl, nowe (francuskie) wzory przebijały. Więc nic nadzwyczajnego, że i Poniński Francuzów znał a z ich oceną starożytności (u Perrault'a i Fontenelle'a) polemizował. Nie powtórzymy też za autorem, iż Poniński „mógł (w r. 1741)

uchodzić za najradykalniejszy umysł w Polsce, co o jakie trzydzieści lat wyprzedził rozwój umysłowości polskiej a dotrzymywał kroku europejskiej“ (str. 340). Jemu podobnych, ba oświeconych lepiej, było właśnie między Radziwiłłami, Sapiehami itd. więcej. Münnich (str. 342), to nie osobistość „z dworu Augusta II“, lecz znany feldmarszałek rosyjski.

Znawca literatury starożytnej, wykazał prof. Sinko wszelkie jej wpływy na Ponińskiego; zanalizował trafnie pomysły tegoż, nieraz bardzo dziwaczne, jak i jego opowiadania, dowolnie do Polski przyczepiane, np. historyę niby trybunalską, żywcem przejętą z Poncyana, t. j. z Siedmiu Mędrców: studyum możnaby uzupełnić wykazaniem wpływów i związków polskich, np. porównaniem „Punktu honoru“ ks. Dębowskiego z satyrą szóstą o tyranii honoru i manii pojedynkowej; legend zato herbowych nie wiązałbym z Śpiewami historycznymi ani z balladami; W. Potockiego Poczet herbów i J. E. Minasowicza parafrazy wystarczą zupełnie; Królikiewicz podaje wprawdzie (Sarmatides, str. 206) spis jego dzieł, polskich pism jego nie przytacza, chociaż Załuski i Juszyński nawet z druków je znali. Nie wiem też, czy domysł autorski o powstaniu i kompozycyi satyr trafny; wedle niego „satyry IV do VIII pochodzą z wcześniejszych lat poety i dopiero przy wydaniu poematu, składającego się z satyry I, II, III i IX, zostały przyjęte do nowszych ram“ (str. 350). Prawda, że satyry 4—8 nie znają owej, zresztą bardzo niemądrej, alegoryi, łączącej satyry 1—3 i 9 w całość, jako wędrówki z dzikimi mężami, należącymi, od Kochanowskiego jeszcze, do żelaznego inwentarza satyry polskiej, ale zresztą są zbudowane tak samo, z anegdotami i historyami tego samego kalibru; Poniński mógł i umyślnie zaniechać owej fikcyi z satyrami i wprost od siebie moralizować, jak i Opaliński w Satyrach. Możnaby i o niejeden inny szczegół się spierać, tylko nie zmniejszy to rzetelnej zasługi prof Sinki, co nas z ciekawem dziełem i pisarzem, pomijanym dotąd niesłusznie, w świetny sposób zapoznał.

Berlin. *A. Brückner.*

Ignacy Krasicki, Satyry i Listy. Wydanie krytyczne Ludwika Bernackiego. Z 11 podobiznami. We Lwowie. Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej, 1908, 8°, s. VI i 252. (Zabytki piśmiennictwa polskiego 3).

Nowe wydanie „Satyr i listów“ Krasickiego jest — jak to zaznacza we wstępie sam wydawca — nie tylko pierwszem krytycznem wydaniem utworów „księcia poetów“, ale zarazem pierwszem w ogóle krytycznem wydaniem dzieła z epoki stanisławowskiej. Na fakt ten należy zwrócić uwagę, by ocenić należycie zasługę dra Bernackiego. Z wielkim nakładem pracy i staranności, z wielkim pietyzmem wydając utwory, w których ze szczególną wyrazistością

skrystalizowała się kultura naszego „wieku oświecenia“ i szczególnie jasno uwydatniła się indywidualność znakomitego jej reprezentanta, starał się dr. Bernacki wydanie to postawić na poziomie prawdziwie naukowym i to mu się istotnie udało, mimo, że co do niektórych kwestyi można z nim polemizować.

Przedewszystkiem wątpliwości pewne nasuwa kwestya układu. Ponieważ nie tylko w poszczególnych dziełach, ale także i w ich ugrupowaniu wyrazić się może pewna myśl, pewna intencya artystyczna autora, przeto wydanie naukowe winno zachowywać takie ugrupowanie utworów, jakie dał im ostatecznie ich twórca, o ile się oczywiście sprawą tą zajmował. Krasicki — jak wiadomo — na propozycyę Dmochowskiego przystąpił pod koniec życia do zbiorowej edycyi dzieł i przygotował do niej rękopisy. Rozpoczęcia druku nie dożył; wydanie Dmochowskiego było już edycyą pośmiertną. Mimo to — jako oparte na rękopisach i wskazówkach poety — mogłoby i musiałoby nawet stanowić podstawę wszelkiego krytycznego wydania, gdyby Dmochowski był się kierował zasadami, obowiązującemi w wydaniach naukowych; on jednak pozwalał sobie na drobne zmiany i poprawki, i nawet w układzie nie stosował się bezwzględnie do życzeń Krasickiego. To też, jakkolwiek Krasicki w zasadzie zgodził się na układ Dmochowskiego, nie wszystkie jednak szczegóły tego układu mogą być uważane za zgodne z intencyami poety. Na szczęście można stwierdzić, jaki układ przeprowadził sam autor; zachowały się bowiem przygotowane przez niego rękopisy. Rękopis, zawierający „Satyry i listy“, a oznaczony przez dra Bernackiego jako R_3, zawiera utwory te w takiem ugrupowaniu, jakie nadał im ostatecznie sam Krasicki — i to ugrupowanie winno być zachowane w wydaniu krytycznem.

Wydawca istotnie opiera się na układzie R_3, ale wprowadza pewne zmiany. Przedewszystkiem do siedmiu listów, zawartych w rękopisie, dodaje list „Do pana Lucińskiego“. Dmochowski w wydaniu swem dodał i ten list, a nadto jeszcze trzy inne, przez poetę w R_3 wliczone do „Wierszów“. W wydaniu obecnem słusznie wydawca te ostatnie trzy listy wyłączył i wydrukował tylko w „Dodatkach“. Co do listu „Do pana Lucińskiego“, to ze względu na to, iż w R_3 niema go wcale, wydaje się rzeczą możliwą, że opuszczony został przez omyłkę; wobec tego miał wydawca poniekąd prawo dołączyć go do reszty listów, chociaż mógłby był i ten list umieścić w „Dodatkach“.

Ważniejsza jednak jest inna zmiana. Idąc za przykładem Dmochowskiego, odróżnia wydawca pierwszą i drugą część satyr; pierwszą stanowią satyry wydane w r. 1779, drugą satyry, drukowane w r. 1784 w „Wierszach X. B. W.“, wraz z niedrukowaną za życia poety „Podróżą“. Od Dmochowskiego odstępuje wydawca o tyle, że satyrę p. t. „Odwołanie“ („Palinodya“) umieszcza razem z satyrami, wydanemi w r. 1779, do których była też dołączona, nie zaś, jak D., po wszystkich satyrach; w ten sposób oddziela

zgodnie z chronologią powstania dwie grupy satyr. Ale takie ułożenie nie zgadza się z intencyą autora. W odpisie R_3, „dokonanym pod ręką i podług wskazówek Krasickiego“, satyry są zebrane w jedną całość, przedostatnią satyrą jest „Odwołanie“, ostatnią „Podróż“, ale specyalna notatka zaznacza, że ostatnią ma być „Odwołanie“. Chodziło więc poecie o powiązanie satyr w całość jednolitą której zakończenie stanowić ma „Odwołanie“ (tytuł ten należałoby również zachować, jako ostatecznie dany przez poetę w miejsce napisu „Palinodya“). Rozrywa tę jedność Dmochowski, a w jeszcze wyższym stopniu czyni to obecnie wydawca, umieszczając „Odwołanie“ po części pierwszej. Powód, którym się wydawca kierował, ma niewątpliwie pewną racyę, ale zachowanie artystycznej całości, zgodnej z intencyą autora, wydaje mi się rzeczą ważniejszą, niż zaznaczenie chronologicznego następstwa dwu grup satyr.

Zaznaczyłem, że przeznaczony do edycyi zbiorowej rękopis R_3 winien być podstawą układu w naukowem wydaniu. Czy ma się na nim oprzeć także tekst wydania? Ze stanowiska teoretycznego należałoby odpowiedzieć twierdząco. Utwory powinno się wydawać w takiej postaci, jaką im nadał ostatecznie ich autor. W epoce druków zwykle postać tę przedstawia ostatni tekst drukowany, opierający się na rękopisie autora lub też ostatni przedruk, z tekstem przez niego poprawionym. Jeżeli jednak istnieje autentyczny tekst rękopiśmienny, późniejszy od druków, za życia autora ogłoszonych, a przygotowany przez poetę do nowego wydania, to temu tekstowi należy się pierwszeństwo. Mimo to jednak słusznie postępuje wydawca, nie opierając się na tym rękopisie, lecz za tekst podstawowy uznając tekst ostatnich druków autentycznych, ogłoszonych za życia Krasickiego. Ma wydawca słuszność dlatego, że rękopis R_3 w części, zawierającej satyry i listy, nie daje tekstu, na nowo przygotowanego przez autora, lecz jest tylko dokonanym przez obcą rękę odpisem druków — i to nie zawsze najpoprawniejszego druku. Za tekst podstawowy przyjmuje wydawca trzecie wydanie „Satyr“ z r. 1779 (S_3), „Wiersze X. B. W.“ z r. 1784 (*W*) i „Listy i pisma różne. T. II“ (L_2), nadto uznane przez autora wydanie listu „Do pana Lucińskiego“. Niedrukowana satyra „Podróż“ ogłoszona jest na podstawie R_3.

Tekst wydania krytycznego winien być wierny i poprawny; w myśl tej ostatniej zasady musi on tedy usunąć wszelkie omyłki, psujące tekst podstawowy. Istotnie też wydawca przy pomocy rękopisów szereg omyłek usunął — niektóre jednak zachował. Chodzi tu przedewszystkiem o wiersz 34 satyry „Życie dworskie“:

„Wszystko zwie po imieniu: Piotr ukradł, więc Piotr złodziej“.

Wiersz 14-zgłoskowy, zawierający tedy o jedną zgłoskę za dużo; niewątpliwie winna temu omyłka druku; istotnie oba teksty rękopiśmienne — autograf (R_1) i odpis R_3 mają „kradł“ zamiast „ukradł“; sam Krasicki (jak zaznacza wydawca w „Dopełnieniach“ na str. 247) w egzemplarzu swym poprawił „ukradł“ na „kradł“. W obecnem wydaniu zachowane jest słowo „ukradł“.

*

Omyłki, zawarte w tekście podstawowym, pozostały również w następujących wierszach: w „Oszczędności“ w. 80: „kapłuny“ zamiast „kapłony“ (w autografie i w R_3 „kapłony“; że jest to tylko omyłka druku, dowodzi także w. 107 tej samej satyry, w którym znajduje się wyraz „kapłon“) — w „Przestrodze młodemu“ w. 102 „Tyrcysa“ zamiast „Tyrsysa“ (jakkolwiek i rękopisy i druk podstawowy mają „Tyrcysa“, można uważać to za powtarzającą się omyłkę, gdyż satyra „Żona modna“ w w. 24 ma formę poprawną „Tyrsis“) — w „Graczu“ w. 36 „Kończyć z pany z wśrzód luster“ zamiast „Kończyć z pany wśrzód luster“ (autograf ma „wśród“, R_3 „wśród“ — znajdujące się w tym wierszu „z“ (z pany) przez pomyłkę zostało w druku powtórzone przed wyrazem „wśrzód“) — w „Palinodii“ w. 66 „skępcy“ zamiast „skąpcy“ (nie można uważać słowa „skępcy“ za jakąś odmienną formę dyalektyczną, bo oba teksty rękopiśmienne i nawet pierwsze wydanie „Satyr“ mają „skąpcy“).

Co do poprawek, wprowadzonych przez wydawcę, jedna tylko budzi wątpliwości. W satyrze „Oszczędność“ w. 13—14 we wszystkich drukach i rękopisach brzmią:

A tymczasem w szkatule dębowej, okuty
Nowy więzień pośpiesza na pańskie reduty.

Wydawca zmienia „okuty“ na „okutej“ (w szkatule dębowej, okutej). Ponieważ w rękopisach i drukach „Satyr“ zakończenie „iéj“ (= 'éj) pisane bywa często przez „i“ (niewieści = niewieściéj), przeto możliwe byłoby, że i tutaj twarde é zostało wyrażone przez y i że „okuty“ = „okutéj“. Ale takie przypuszczenie jest zbyteczne, bo „okuty“ może być mianownikiem rodzaju męskiego, należącym do wyrazu „więzień“: poeta „więźnia“ (t. j. pieniądze), znajdującego się w okutej szkatule, nazywa „więźniem“, „w szkatule okutym“.

Pisownię wydawca zmienia na dzisiejszą, kierując się w tem zasadą, przyjętą na ogół w tego rodzaju wydawnictwach. Takie jednak modernizowanie pisowni nie powinno się nigdy posuwać do zmiany dźwiękowej postaci wyrazów. Język Krasickiego posiada dźwięk é (e pochylone), który przechodzi w wymowie w „i“ lub „y“ według tego, czy jest miękki czy twardy — i w rymie ma też odpowiednie zastosowanie. Poeta w rękopisach swych używa w takich wypadkach znaków „i“ i „y“ — pisze więc „oświca“, „lepi“, „bardzi“ i t. p.; druki są pod tym względem niekonsekwentne: to zachowują pisownię autora, to wprowadzają e otwarte; Dmochowski pisze é. W wydaniu krytycznem należy albo zachować pisownię poety albo — ażeby nie wprowadzać form, rażących oko dzisiejszego czytelnika — używać e pochylonego i pisać „oświéca“, „bardziéj“, „lepiéj“. Wydawca czasem zachowuje pisownię Krasickiego (rozumi, umi, salitra), na ogół jednak drukuje e otwarte, skutkiem czego otrzymujemy rymy: świecą — skarbnicą, zmieści —

niewieściej, uśmiechnie — kichnie, bardziej — gardzi, uśmiechać — wzdychać, chodzi — złodziej, oświeca — szubienica, kiwnął — ziewnął, lepiej — krzepi, dobrodziej — chodzi. Nadto w dwu wierszach wprowadzona jest odmienna forma wyrazu obcego, mimo, że rym wymaga zachowania formy, użytej przez poetę. W „Żonie modnej“ w w. 126 mamy słowo „Dyanny“ (rym: wanny) — wydawca zmienia je na „Dyany“; w w. 132 tejsamej satyry drukuje „Heloizy“ zamiast „Heloisy“ (rym: cyprysy).

Z modernizowaniem pisowni łączy się jej ujednostajnianie. Wydawca — zgodnie z zasadą, którą przyjmuje we wstępie — ujednostajnienie to rzeczywiście przeprowadza, ale nie zawsze W „Podróży“ n. p. zachowuje na podstawie R_3 formę „zawdy“ (w. 17), mimo, że jest to tylko omyłka pisarza, gdyż Krasicki pisze stale „zawzdy“. Obok formy „karyta“ znajdujemy „kareta“, obok „okryślić“ „określić“, obok „beśpieczny“ „bezpieczny“, „źrzódło“ obok „źródło“, „jeżdzieć“ obok „jeździć“, „hazard“ obok „hażard“

Interpunkcya, oparta na tekstach podstawowych, ale uzupełniona i ujednostajniona, jest na ogół dobra. W jednem tylko miejscu zachowana jest wadliwa interpunkcya, zmieniająca znaczenie zdania — mianowicie w wierszu 6 „Żony modnej“. Na zapytanie interlokutora „Czyliż się już sprzykrzyły małżeńskie ogniwa?“ odpowiada biedny małżonek:

„Nie ze wszystkim; luboć to zazwyczaj tak bywa,
Pierwsze czasy cukrowe“.

Tak czytamy w nowem wydaniu, zgodnie z tekstem podstawowym. W autografie po „wszystkim“ jest przecinek — i tylko ta interpunkcya odpowiada treści. Małżonek bowiem mówi: „Nie ze wszystkim pierwsze czasy cukrowe“, wtrącając zdanie, „luboć to zazwyczaj tak bywa“. Jeżeli zaś po „wszystkim“ znajduje się średnik, to w takim razie odpowiedź znaczyłaby: „Nie ze wszystkim sprzykrzyły się małżeńskie ogniwa“. Że zaś tylko pierwsza interpretacya jest możliwa („Nie ze wszystkim pierwsze czasy cukrowe“) dowodzi następująca po tych słowach uwaga interlokutora: „Toś pewnie w goryczy?“

Zresztą niekiedy tylko możnaby wprowadzić drobne poprawki interpunkcyi, nie mające jednak większego znaczenia. Tak n. p. w wierszach „Złości ukrytej i jawnej“ (w. 30—32): „Tak kunszt zdradnych podstępów dowcipnie utaił, | Iż ten, co oszukany, nie wie, jak wpadł w pęta, | Wpadł jednak“ — po słowie „pęta“ odpowiedniejszy byłby średnik, niż przecinek. W tej samej satyrze w zdaniu „Piotr, co zaczął być stratnym, jest teraz oszustem, | Gdy nie ma wsi na zastaw... Wiąże się z towarzyszmi“ (w. 106 nn.) po wyrazie „oszustem“ oczekiwalibyśmy również średnika — tak samo w „Szczęśliwości filutów“ po wierszu 61: „A tobie, panie Pawle, jest czego winszować, | (Przed rokiem musiałeś się o szeląg turbować)“. W wierszu 69 tej satyry skutkiem omyłki drukarskiej brak

pytajnika po „Mamże powiedzieć". Srednik byłby potrzebny między w. 13 a 14 „Przestrogi młodemu": „Strzeż się, nie żebyś grzeszy zbytniem nieufaniem, | Roztropna jest ostrożność". W satyrze „Pochwała głupstwa" w wierszu 41 jest jeden przecinek zbyteczny, mogący nawet powodować nieporozumienie: „Fraszka sława, na potym co teraz, to moje" — powinno być: „Fraszka sława na potym" Możnaby przytoczyć jeszcze kilka wypadków, w których należałoby przecinek zastąpić średnikiem.

Ze szczególną starannością zajął się wydawca waryantami. Uwzględniając w nich teksty rękopiśmienne, wszystkie druki, ogłoszone za życia autora i wydanie Dmochowskiego, przedewszystkiem uwagę zwrócił na waryanty autografów. Wprowadzając doskonały, przejrzysty system znaków, dał nie tylko tekst odmianek, ale zarazem dokładny obraz ich rozmieszczenia w autografie i ich genetycznego stosunku. Pod tym względem wydanie „Satyr i Listów" może za wzór służyć.

Wydanie, ozdobione jedenastu podobiznami, poprzedza wstęp bogaty w interesujące szczegóły. Zawiera on przedewszystkiem dokładny opis rękopisów i druków, użytych w niniejszem wydaniu, przyczem częścią uzupełnia, częścią prostuje dotychczasowe wiadomości bibliograficzne; podaje też kompletną bibliografię do „Satyr i Listów", obejmującą wydania, przekłady i rozprawy krytyczne. W opisie rękopisów i druków pożądane byłoby dodanie charakterystyki pisowni, która n. p. w autografie R_1 ma cechy bardzo ciekawe; taka charakterystyka wydania Dmochowskiego byłaby uwolniła wydawcę od podawania w waryantach wszystkich form gramatycznych, dostosowanych przez D. do reguł Kopczyńskiego.

Najciekawszą częścią wstępu jest rozdział o genezie satyr i listów, podający w tej kwestyi nowe wyniki.

W ten sposób wydawca, wzbogacając literaturę krytycznem wydaniem utworów Krasickiego, zajmującem wśród wydawnictw naszych stanowisko wprost wyjątkowe, dał również cenny przyczynek do ich literackiego zbadania.

Lwów. *Dr. Juliusz Kleiner.*

Ignacy Chrzanowski, Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku. Warszawa, 1909, 8°, s. 226.

Na książkę złożyło się pięć rozprawek, przynoszących wiele nowego. Prócz rzeczy nowoodkrytych, a to wierszy, odnoszących się do porwania Stanisława Augusta i dwu nieznanych paszkwilów Niemcewicza, inne części tej książki zawierają wyniki sumiennych i gruntownych studyów autora nad satyrą XVIII wieku.

Rozprawka: Dzień 3 listopada r. 1771 w poezyi współczesnej podaje nieznane wiersze, o których autor mówił już na posiedzeniu Wydziału języka i literatury Tow. Naukowego war-

szawskiego w 1908 r. Jest tu wiersz „kmiotków rozrzewnionych“ z rękopisu Biblioteki cesarskiej w Petersburgu p. t. „Najaśniejszego Pana, Króla naszego Miłościwego, w roku 1771 przez prostaków opisana transakcya“. Wiersz to długi, a jego autorem jest może Trembecki, autor niedawo odkrytej „Pieśni dla chłopów krakowskich“. To panegiryk. W ślad za nim idzie bezimienna satyra: „Od poety do narodu“, odpowiedź na wiersz Kossakowskiego: „Do narodu i potomności“. Teksty tej satyry znaleźć można w rękopisach Bibl. Zamoyskich w Warszawie i Bibl. Akademii Umiejętności w Krakowie. Wreszcie cięta replika na tę odpowiedź „Wieśniak do poety dziennego“, wprawdzie bezimienna (z autografu w Bibl. cesarskiej w Petersburgu), ale myśli, talent satyryczny i „słownik“ — zdradzają autorstwo Naruszewicza.

Dłuższa rozprawa: Gracyan Piotrowski i jego Satyr odgrzebuje zapomnianą postać tego satyryka. Studyum to, znane już z „Biblioteki warszawskiej“ (1902, t. III i IV), a część przypisków z „Pamiętnika literackiego“ (r. 1903), obecnie uzupełnione.

W pierwszym ustępie daje autor sympatyczną sylwetkę ks. Gracyana, w dalszych czytamy o jego satyrach (ostatni to satyryk pod znakiem Satyra piszący), o ich genezie, zawisłości od Horacego i ks. Guillemin'a (szczegóły w przypiskach). Treść tych satyr rozpatruje autor w bardzo barwnych obrazkach obyczajowych i bada je w zestawieniu ze stosunkami współczesnymi i ze współczesną satyrą. Ustęp ostatni zawiera trafną ocenę twórczości satyrycznej Piotrowskiego i konkluzyę, że twórczość ta jest wynikiem i odbiciem reformy Konarskiego.

Wspomniałem o bogactwie przypisów, bo istotnie dają one nie tylko gruntowne wyjaśnienia, odnoszące się do rzeczy, o których mowa, ale mimochodem przynoszą drobne przyczynki krytyczno-literackie. Tu przy sposobności (s. 93 i 94) dowiadujemy się, że „Portrety pięciu Elżbiet“ Węgierskiego pochodzą z r. 1774 lub 75 i że autorem „Żądań zabawnych“ (patrz: Księga pamiątkowa setnej rocznicy ustanowienia konstytucyi 3 maja, T. I, s. 226—8) jest K. Węgierski.

Tu zwróciłbym uwagę na dziwne podobieństwo, niemal tożsamość szczegółów między ustępem z Monitora (s. 75—6) a ustępem z Pieśni polityczno moralnych ks. Tyszyńskiego (s. 77). Podobieństwo to o wiele większe, aniżeli w *ad hoc* cytowanym ustępie z satyry „Na grubiaństwo“ Piotrowskiego (s. 76—7). Może to nie przeoczenie, ale sądzę, że szczegół ten warto było zaakcentować, jako objaw przepotężnego wpływu Monitora na satyryków XVIII wieku.

Studyum O satyrach Naruszewicza, znane z Pamiętnika literackiego (r. 1902), teraz poprawione i uzupełnione, jest istotnie już nie „próbą“ ale pierwszym szczegółowym rozbiorem satyr Naruszewicza. W przypisach zestawia autor bardzo skrzętnie dotychczasowe sądy o satyrach biskupa emauskiego, tam też wykazuje szcze-

gółowo zależność Naruszewicza od Boileau. Główna wartość spoczywa w ustępie szóstym, gdzie czytamy ocenę artystycznej wartości satyr Naruszewicza.

I tu są ciekawe uwagi w przypisach. Autor stwierdza (s. 152) że Naruszewicz jest autorem biografii Horacego w Monitorze z 1770 r. i przypuszcza, że satyry Wiadomości brukowych powstały pod wpływem angielskich czasopism moralnych (s. 167). Drukowaną w „Pamiętniku literackim" (Krasicki jako autor Monitora z r. 1772) a obecnie uzupełnioną jest rozprawa: Pierwsze utwory Krasickiego. Autor wykazuje, jak talent Krasickiego wyrabiał się na Monitorze, jak coraz bardziej się emancypował i nabierał oryginalności. Z przypisów widzimy, w jaki sposób Krasicki korzystał z „dyskursów" monitorowych, co więcej mamy tu wskazówki, że w Monitorze należy szukać zarodków późniejszych bajek, satyr, a może nawet „Pana Podstolego" (s. 181, 183)

Wytknąć można tylko mały błąd, wynikły bezwątpienia z przeoczenia, że autor na podstawie jednego i tego samego cytatu z Monitora zarzuca brak odróżnienia satyry od paszkwilu raz Minasowiczowi (s. 109), drugi raz Krasickiemu (s. 177).

Książkę kończą: Dwa nieznane paszkwile Niemcewicza, odkryte w Bibliotece polskiej w Paryżu i w Bibliotece Zamoyskich w Warszawie. Są to dwie pieśni z „poematu" o Rzewuskim i Szczęsnym Potockim. Autor przypuszcza, że była lub miała być jeszcze trzecia pieśń o Branickim. Paszkwil to bezwstydny, niesmaczny, rubaszny, nieraz plugawy, niemniej jednak ciekawy.

Drugi wiersz „Na sejm grodzieński". Autorstwo jego przyznaje Niemcewiczowi rękopis Biblioteki Zamoyskich. Wiersz silny, pełen oburzenia, całkiem inny, niż „List do posłów, powracających z Grodna" Trembeckiego.

Powyższe wiersze, to nowe dodatki do przebogatej spuścizny rękopiśmiennej po Niemcewiczu. Mnóstwo rzeczy jeszcze gdzieś się tai, sporo już odkryto, ale jeszcze nie wydano. Przy sposobności zwrócę uwagę na rękopisy w Bibliotece Branickich w Suchej nr. 268, 371, 383. (Por. „Przewodnik bibliograficzny" z r. 1909).

Oto wynik studyów doskonałego znawcy literatury XVIII wieku. Nie potrzeba chyba dodawać, że autor umie pisać zajmująco i barwnie.

Śniatyn. *Władysław Jankowski.*

Tadeusz Sinko, Hellenizm Juliusza Słowackiego. W Krakowie, 1909. (Osobne odbicie z t. XLVII Rozpr. Wydz. filol. Ak. Um. w Krakowie). 8°, s. 192.

Pierwsze wrażenie, jakie odnosi się po przeczytaniu obszernej (str. 192) oraz poważnej pracy dra Sinki, streszcza się w niekłamanym podziwie dla jego oczytania i niepospolitej erudycyi. Jego

trwałą i niepodzielną zasługą pozostanie, że pierwszy wykazał mnóstwo reminiscencyi ze starożytnych pisarzy w utworach Słowackiego Musimy poznać je w najogólniejszych zarysach, aby osądzić, ile słuszności ma w sobie wyrok, wydany przez autora we Wstępie że „w naszej literaturze jest Słowacki największym hellenistą aż do Wyspiańskiego“.

Zdaniem autora Homer zajmuje naczelne stanowisko w hellenizmie Słowackiego, lecz tylko jego Iliadę poznał poeta i to w tłómaczeniu Dmochowskiego z prywatnej lektury, mając lat 8. W szkole bowiem (w gimnazyum przy uniwersytecie wileńskim), do której Słowacki chodził w latach 1820—25, uczono wprawdzie greczyzny przez 4 lata od klasy III—VI, ale — jak widać z wyzyskanych dokładnie przez autora „Materyi“ co do nauczycieli, programu nauk i podręczników — czytano w klasie szóstej z całego Homera tylko jedną księgę Iliady, co „przypominało uczniom prawidła gramatyki greckiej“! Wiadomości o latach szkolnych poety możnaby uzupełnić ważną charakterystyką jego jako ucznia kl. V w „Liście nauczycieli i uczniów gimnazyum wileńskiego 1824 r.“ W rubryce, w jakich przedmiotach celuje, napisano: w e w s z y s t k i e m. Jakie obyczaje i sposób myślenia? — d o b r e, d o b r y (Por. L. Janowski: Lata uniwersyteckie Słowackiego w dodatku 4 do „Muzeum“ z r. 1909, str. 46).

Obok Homera, którego tylko jednego świadomie jako wzór uwzględniał (por. m. inn. Il. XVIII, 541 i nast., a „Król-Duch“ raps. IV, pieśń 1, strofa 42), z tłómaczeń Platona przejął Słowacki wyobrażenia o duszy ludzkiej. Ślady wpływu trzech tragików greckich są widoczne, a nadto oddziaływali na niego: Wergili, Horacyusz i Owidyusz, szczególnie ten ostatni przez swoje Metamorfozy. Lektura innych autorów, jak: Lukrecyusza, Tybulla i Propercyusza, którą przyjmuje dr. Sinko u Słowackiego, wydaje mi się niezmiernie problematyczną, ponieważ obrazowania o życiu jako uczcie, albo nauki o sennych marzeniach, lub genezyjskiej Afrodyty, nie potrzebował szukać specyalnie u Lukrecyusza. Były to oklepanki *(loci communes)*, znane wybornie skądinąd, że tu wymienię tylko: Hor. Sat. I, 18 i nast.; Herod. VII, 12; Empedokl. fr. 17, 24 i nast. (u Dielsa).

Nie utrzymuję przez to bynajmniej, jakoby Słowacki czytał fragmenty Empedoklesa, na co autor żąda odemnie dowodów (str. 142); lecz twierdzić nie przestanę, że twórca Króla-Ducha poruszał się w sferze poglądów, całkiem zbliżonych do pojęć orfickich, które wygłaszał poeta-myśliciel grecki, a które za nim rozprowadzali Wergili, Owidyusz i t. d. Zestawmy zdanie o śmierci, że jej niema, u Empedoklesa (fr. 8), Wergilego (Georg. IV, 221 i nast.), Owidyusza (Metam. XV, 158 i nast. — miejsce, zacytowane przez dra Sinkę na str. 142) i Słowackiego (Król-Duch. Odmiany tekstu. T. IV. wyd. lwow., str. 606: niema zagłady ...i zwyciężona jest śmierć — przez człowieka), a dojść się musi do przekonania, że o zdawkowej zapożyczce z rąk do rąk nie może tu być mowy. Należy sięgnąć do

głębszych wpływów i oddziaływań, aniżeli zewnętrzne zapożyczki i reminiscencye, które większego przejęcia się helleńskością u Słowackiego mem zdaniem nie dowodzą.

Jeżeli już o „hellenizm“ u niego idzie, to trzeba go upatrywać gdzieindziej i w czem innem, we wschodnio-hellenistycznych spekulacyach i hermetycznej literaturze. Dr. Sinko był blizkim tego problemu, ale go ledwie dotknął i nie rozwiązał następującym wnioskiem: W micie o Izydzie, Ozyrysie i Tyfonie leży klucz do zrozumienia „genezyjskiej“ mitologii Słowackiego (str. 115). Egipska Izys mogła była jaśniejsze rzucić światło na interpretacyę jego utworu p. t. „Córka Cerery“ (t. I, str. 192), w którym wegetacyjna bogini Prozerpina pojawia się w charakterze „królowej połosów“ (por. moją rozpr.: Kilka objaśnień do dzieł Słowackiego w „Księdze pamiątkowej“ t. II, roz. 5: Dlaczego Sofos?) Wywód autora o Prozerpinie (str. 33 i nast.) wtedy byłby się stał zrozumialszym, a uwzględniwszy teogoniczne poglądy, nie byłby mógł dr. Sinko utrzymywać tak pewnie, że żaden z mitów o symbolicznem jaju (zob. ostatni wiersz „Córki Cerery“: Abyś piekielne w domu jajo zniosła) tego nam nie tłómaczy, co się z tego jaja wykłóje. Wykłół się bowiem z niezmierzonego, wszechświatowego jaja syn pierworodny Fanes, którego m. inn. z Dyonizosem utożsamiono (zob. Orphica, rec. Abel, fr. 36 i 38).

Także i rola węża saturnowego, węża czasu, który tak ważne zajmuje miejsce w kosmogonicznej teoryi Słowackiego, wybitniej byłaby wystąpiła, aniżeli na str. 59 i nast., gdyby był autor zechciał rozważyć, jakie przemożne znaczenie posiada w grecko-egipskiej literarurze wąż, dobry duch, Ἀγαθὸς δαίμων. Co do jego stosunku do transformacyjnej bogini kosmicznej: Sofos-Atessy-Helois-Heliany-Dyany i t. d., powołać się mogę na własne studya, w których udowodniłem wpływ gnostyckiej Σοφία. Aby usunąć wszelką wątpliwość, przytaczam miejsce o tej Mądrości, chorób duchowych lekarce (Król-Duch, raps. I, pieśń I, zwrotka XXVII), w której poeta uosabia zupełnie po gnostycku przemianę wieczną i odradzanie się przyrody, jak o tem świadczy symbol jej uwieńczenia „perłową jemiołą“. Jemioła bowiem oznacza zdolność odżycia i zmartwychwstania. Mądrość, o której Słowacki mówi za gnostykami, to Persefona, królowa zmarłych w postaci wężów, bogini śmierci. Jej poświęcona była jemioła, ten symbol życia, przez co ona przedstawia się równocześnie jako darząca życiem wznowionem (βιοδῶτις).

Największy jednak widzę u Słowackiego wpływ apokalips. O Objawieniu św. Jana nie mówię, bo o niem sam poeta po wiele razy wspomina. Ale n. p. nastrój i antecedencye „Genezis z Ducha“ łudząco przypominają wstęp do wizyi i gnozis w „Poimandresie“, chociaż znowu nie kuszę się — przynajmniej na razie — o rozwiązanie zagadki, skąd się to podobieństwo duchowe, a nawet słowne, wzięło. Tu i tam wytężenie myślowe nad rozwiązaniem najwyższych zagadnień bytu poprzedza jakby senne widzenie z uśpie-

niem wszystkich zmysłów i władz umysłowych. Początkowe wyrazy w „Hermesa Trismegistosa Poimandresie“ tak opiewają: Ἐννοίας μοί ποτε γενομένης περὶ τῶν ὄντων καὶ μετεωρισθείσης μοι τῆς διανοίας σφόδρα, κατασχεθεισῶν μου τῶν σωματικῶν αἰσθήσεων, καθάπερ οἱ ὕπνῳ βεβαρημένοι... (Reitzenstein: Poimandres, Leipzig, 1904, str. 328). Proszę porównać z tym naczelnym ustępem wyznanie Słowackiego, złożone zaraz z początku Listu do J. N. Rembowskiego a wspólne źródło „wiary nowej, widzącej“ okaże się nam wybitnie posyłam Ci Genezis z Ducha, która mi była podyktowana nad morzem, bez przyzwolenia na to myśli moich, przy uspionych władzach rozumu. A to ci będzie świadectwem, że pracujemy i każdy z nas podług ducha natury przyczyni się do ostatecznego rozjaśnienia sprawy.

Zwrócę tylko uwagę na jedną ważną różnicę i nieobojętną okoliczność, że zwykle w apokalipsach Bóg się objawia i uczy. Tak n. p. we wspomnianej apokalipsie nieznany autor na swe życzenie Μαθεῖν θέλω τὰ ὄντα καὶ νοῆσαι τὴν τούτων φύσιν καὶ γνῶναι τὸν θεόν słyszy odpowiedź boga Poimandresa: Ἔχε νῷ σῷ ὅσα θέλεις μαθεῖν κἀγώ σε διδάξω. U Słowackiego zaś wizya w „Genezis z Ducha“ straciła postać rozmowy między wiernym a Bogiem, natomiast przybrała formę „Modlitwy“, zwróconej wprawdzie do Boga, ale nie wiedzieć dobrze, przez kogo „podyktowanej“. W każdym razie nie można się zgodzić żadną miarą z dr. Sinką, iżby Słowacki „w Platonie znalazł rozwiązanie zagadek o przeszłości i przyszłości duszy ludzkiej“ (str. 189). Być może Platon służył jedynie za pomost do stwierdzonej u niego lektury nowoplatonika Nemezyusza „O duszy“ i t. p.

Lepiej tedy nie mówić przy Słowackim o „greckiej pogodzie“ i „życiu greckiem“ w stylu Homera lub Teokryta (str. 101), bo chociaż twórca „Króla-Ducha“ uważał się prawdopodobnie za ostateczne wcielenie Homera (str. 141), to jednak odbiegł od niego znacznie, nie mając zrozumienia dla jego prostoty i naturalności, owszem dramatyzując go sztucznie w swojej przeróbce (por. dr. A. Bednarowski, Słowacki jako tłómacz Homera w Ks. pamiąt. t. II). „Grecki świat“, który Słowacki chce mieć podstawą przeciw „elementowi łacińskiemu“ (Dziennik 19 października 1848: Element łaciński zgubił nas, trzeba koniecznie grecki świat mieć podstawą), z Homerem chyba nic nie ma wspólnego i nie uprawnia go do tytułu Homerydy, lub „największego hellenisty“, o ile o świat helleński, klasyczny chodzi. Pod tym względem największym Homerydą i hellenistą zostanie nawet i po Wyspiańskim (nie tylko „aż do Wyspiańskiego“!) Mickiewicz z swem arcydziełem: „Pan Tadeusz“, chociaż go dr. Sinko (str. 1) nazywa „łatynistą“ i to „przedewszystkiem“!

To zastrzeżenie przed hellenizmem Słowackiego, rzekomo zaczerpniętym szczególnie z Homera i Platona, uważam za potrzebne, gdyż pojawiają się już przesadne głosy, jakoby Słowacki był „niepoślednim znawcą i najlepszym przedstawicielem hellenizmu po-

między naszymi romantykami“ i że „najlepiej ze wszystkich trzech wieszczów naszych odczuwał piękno starożytnej Hellady, którą obok Homera reprezentuje przedewszystkiem Plato“. Wobec nich był Słowacki, jak wogóle biorąc wobec klasycznej starożytności, „geniuszem reminiscencyi“. Tak go trafnie mianuje sam dr. Sinko (str 183). Co do mnie, mam przekonanie niezbite, że wobec hellenistycznej i wczesnochrześcijańskiej kultury był on czemś więcej, niż receptywnym i biernym, ale niestety nie mogę wskazać żadnego utworu, ani pisarza owej doby, którymiby się przejął Słowacki.

Mówiąc o hellenizmie jego, nie wolno zostawiać bez wytknięcia niemiłej usterki w słowach: Sokrates (!) musiał pisać Fedona (Wykł. nauki II, w t. X, w. 637). A jednak dr. Sinko nad tą pomyłką przeszedł do porządku dziennego (str. 141), jak nie sprostował (str. 35) przykrego przeoczenia wydawcy w „Teogonii“ (t. III str. 359): Rewolucya Indyan, zam. Rewelacya, pomimo, że potraf zbyt cierpko nawet i niestosownie wyrażać się o „bardzo elementarnych objaśnieniach“, „uczonym objaśniaczu“, „krytycznym wydawcy lwowskim“ i t. p. (str. 1, 160, 161, 164). Tak surowemu krytykowi niełatwo przebaczyć zgoła dowolną interpretacyę, że Słowacki Eschyla czytał w oryginale, nie w przekładzie, w. 1[illegible] ponieważ w znanem miejscu z „Poety i natchnienia“ (t. I i nast.: Wszak ty pamiętasz — bywało, czytamy, A ja Eschyla tobie *rym* kaleczę) „poeta skonfundował nazwy rytmu i rymu“ i popisywał się przed Atessą niezdarnem *skandowaniem* greckiego tragika! Może wydawcy w drugiej edycyi, której im szczerze życzę, zechcą przyjąć poprawkę autora i zemendować konfuzyę, popełnioną przez Słowackiego, drukując *rytm* (zam. rym)? *Littera docet!*

Kończę i tak przydługą recenzyę zwróceniem uwagi na dwie szczególnie partye, podług mnie najudatniejsze, w cennem i przednicm dziele dra Sinki: na wykazanie, że przerabiając Iliadę, Słowacki miał przed sobą nie przekład francuski, ale angielski Pope'a oraz na wywód o pieśni jaskółczej, zachowanej w odmianach tekstu do „Beniowskiego“ (t. III, str. 462), którą autor zestawia ze starożytną pieśnią żebraczą grecką (ejresione) i udowadnia, że pieśń ta najściślej łączy się z siedmiorakiem błogosławieństwem, wypowiedzianem przez Króla-Ducha nad Polską (t. IV, raps. II, str. 69 i nast.), Wiosenna pieśń jaskółcza i dzisiaj jeszcze znana jest Nowogrekom co zaznaczam i uzasadniam gdzieindziej (w Eos z r. 1909).

Lwów. *St. Schneider.*

Adam Krechowiecki, O Cyprya nie Norwidzie. Próba charakterystyki. Lwów, Gubrynowicz i Syn. 1909. 8°, T. I, s. 244; T. II, s. 324.

Nareszcie doczekaliśmy się książki, której dotychczas brakło w dziale krytycznym i monograficznym naszej literatury, książki, o poecie i talencie, którego ekshumacyę podjęto przed laty kilkomai

aby się przekonać, czy poszedł do grobu, jako geniusz zapoznany, niedoceniony przez współczesnych, zatruty jadem pokrzywdzenia i poniżenia, zabity oziębłością i uprzedzeniem nietylko tłumów, ale tych najcelniejszych w narodzie, którzy powinni byli się poznać na nim, zrozumieć go i uwieńczyć.

Brakowało nam dotąd bezstronnego, wyczerpującego studyum o Norwidzie, pomimo mniej lub więcej udatnych prób charakterystyki, rozbiorów, szkiców, syntezy i t. p. literackich usiłowań do odsłonięcia duchowej fizyognomii pisarza, który jak tajemniczy Sfinks, zamglony i chmurny darmo wyczekiwał swojego Edypa.

Długi czas utrzymywało się o nim to krytyczne mniemanie, które Piotr Chmielowski streścił za innymi w swoim sądzie o pierwszym naszym symboliście „za mało miał do powiedzenia ogółowi", dbał raczej o piękne, niezwykłe wyrażenia, choćby z pogwałceniem gramatyki, aniżeli o harmonijne rozwinięcie pomysłu; stąd utwory swoje słusznie porównywał do „dzikiej mogiły starych urn pobitych", bo w kawałkach można ujrzeć i piękny materyał, i cudne malunki, lecz skleić ich w całość niepodobna; — jednem słowem, i Chmielowski, i jego poprzednicy nie umieli i nie mogli ocenić wielkości talentu Norwida, bo: „myśli jego były mętne i rozpierzchliwe".

Współcześni, bliżsi samego poety, nawet bardzo mu życzliwi i przyjaźni, znajdowali się również w kłopotliwem położeniu, nie mogąc obdarzyć go tak wysokiem uznaniem, na jakie dopiero za naszych czasów pewna część entuzyastów, czy doktrynerów krytyki dzwonić zaczęła.

Bohdan Zaleski, który z Norwidem żył, cieszył się jego zaufaniem i szacunkiem, pisał do Jana Koźmiana: „Norwid po staremu bajronizuje; mętno mu i smętno w sercu. Opuścił ręce, a krnąbrny w duchu, że niczyich rad nie przyjmuje". „A szkoda tylu niepospolitych talentów! Taka potężna inteligencya i cóż po tem? Marnuje dary i łaski, manieruje w pismach, dziwaczy w życiu." Jan Koźmian, przyznając słuszność Zaleskiemu, ubolewał, że: „serce i inteligencya znakomite, tylko jakieś dziwactwo wszystko zaciemnia"; najsłuszniej wszelako i bodaj najtrafniej streścił sąd o Norwidzie Julian Klaczko, ten przyjaciel geniuszów, z którymi tak łatwo obcował i których tak dobrze rozumiał, oceniać i tłómaczyć umiał. „Norwid mnie bardzo niepokoi, — pisał w liście do J. Koźmiana, — i serce chore, i umysł chory, — rady nie przyjmuje, a kołysze się ciągle w jakiejś samobójczej genialności, a ze zdolnościami swemi robi tylko łamane sztuki, więcej obawy, niż podziwienia obudzając".

Długi czas poeta pozostawał jakby zagadką i mytem w literaturze naszej, dopóki nie wydobyto na jaw całej, a przynajmniej znacznej części jego twórczości, która butwiała w ukryciu i nie wydrukowano tej poetyckiej puścizny, wydobytej skrzętną a szczęśliwą ręką redaktora „Chimery", Zenona Przesmyckiego (Miriama)

W epoce szukania wszelakich osobliwości i tworzenia sztucznych geniuszów w braku istotnych, rzeczywistych i niezaprzeczalnych, — możnaby powiedzieć, iż „przyszła moda na Norwida“, że spełniły się owe przesadne przepowiednie, jakiemi młodego poetę w kółku gorących wielbicielek i oddanych przyjaciół żegnano na wyjezdnem z Warszawy: „Orle Norwidzie, twój wiek, co idzie!“..

Dobrze się stało, że zebrano akta na ten pośmiertny sąd i zgromadzono materyał dowodowy do procesu między poetą a krytyką i społeczeństwem, które nie jednego Norwida miało i jeszcze mieć będzie na sumieniu; dobrze się stało, że po peanie bezwzględnych chwalców, odezwał się spokojny, poważny i rozważny głos wytrawnego znawcy poezyi i piękna, pisarza pełnego talentu i nauki, badacza sumiennego i fachowego w dziedzinie dziejów i literatury.

Adam Krechowiecki, pragnąc uczynić zadość wymownemu wezwaniu Miriama, który z taką gorliwością podjął niełatwe zadanie rozprószenia mroków, otaczających postać i działalność twórczą Norwida, spożytkował rękopiśmienne materyały, jakie się znalazły w jego posiadaniu, dzięki uprzejmości p. Dyonizego Zaleskiego i prof. dr. Kallenbacha (listy, artykuły, wiersze poety, dokumenty z archiwum paryskiego i t. p.) i z niezwykłą umiejętnością a bardzo przenikliwym zmysłem krytycznym złożywszy ten bogaty materyał, wydobył z niego możliwie najwierniejszą charakterystykę osoby, żywota i twórczości Cypryana Norwida.

Dwa spore tomy zajęła ta zbyt skromnie „próbą charakterystyki“ nazwana monografia, jakiej niejeden większy talent mógłby Norwidowi w naszem piśmiennictwie pozazdrościć. W tomie pierwszym, posługując się, jak wszędzie zresztą, dokumentami i materyałem z pierwszej ręki, autor narzuca tło i uwypukla na niem najwydatniejsze rysy duchowych konturów poety, malując go jako młodzieńca, „psutego przesadnemi pochlebstwami przez damy, zwłaszcza starsze z warszawskiego świata i niektórych rówieśników“, na którego wielkie zarozumienie o sobie padały lodem słowa, zbyt niekiedy surowe, krytyki fachowej i wytwarzały gorycz, która w późniejszych latach spotęgowana bolesnymi zawodami życiowymi stężała w szyderstwo.

Nader zajmująco i barwnie, z odczuciem psychologicznych subtelności miłosnego stosunku Norwida do pani Muchanow-Kalergis, układa Krechowiecki istną mozaikę tej sercowej tragikomedyi poety, która tak ważny wpływ wywarła na jego życie i twórczość.

Pobyt w Berlinie, Brukseli, Rzymie i Paryżu, aż do ucieczki przed sobą samym, albo raczej przed kuszącem ciągle i drażniącem widmem nieszczęśliwej miłości za Ocean, stosunki Norwida z Mickiewiczem i Krasińskim, poglądy jego polityczne i społeczne, wysiłki tytaniczne tworzenia i Ikarowe upadki, zawody i rozczarowania, rozbiór niektórych dzieł z pierwszej epoki wypełniają tom pierwszy pięknego i pracowitego studyum, w którem na skalpelu krytyka

znać osadzone pióro powieściopisarza; czyta się tę literacką monografię od początku do końca z rosnącem zajęciem, jak romans albo jak dramat psychologiczny, nabierając dla głównego bohatera coraz więcej współczucia a coraz jaśniejszego o nim wyobrażenia.

Tom drugi, znacznie obszerniejszy, zawarł moc bardzo ciekawego materyału, materyału świeżego i nowego, który dla krytyka i biografa dostarcza mnóstwa cennych wskazówek i rysów, cieniujących duchową sylwetkę poety i artysty.

Pobyt za Oceanem, powrót do Europy i żywot w Paryżu aż po dzień śmierci 23 maja 1883 r., stosunki z emigracyą, z najznakomitszymi jej przedstawicielami, poglądy krytyczne, literackie, artystyczne, filozoficzne, społeczne, polityczne, życie i dzieła, ostatnie lata trosk, zamieszek wewnętrznych i nędzy materyalnej, wreszcie śmierć w przytułku św. Kazimierza i pogrzeb raz we własnym grobie na cmentarzu w Ivry, a po pięciu latach powtórnie we wspólnym grobie polskim w Montmorency, zapełniają, — powiedzmy lepiej, rozsadzają obfitością treści drugą połowę dzieła Krechowieckiego.

Niepodobna tu nawet w skróceniu przytaczać wszystkich ważniejszych szczegółów i wniosków, jakie się tak gładko i potoczyście wywijają autorowi z pod pióra; umie on je tak zręcznie i trafnie grupować, aby czytelnik sam niemal bezpośrednio z ust poety, z jego własnych zeznań i wyrażeń, czerpał materyał do sylogizmów — i bez wskazywania palcem, bez kładzenia kropek nad i, bez tego łatwego suggestyonowania ze strony krytyka umiał zaglądnąć w tajniki serca, duszy, natury i twórczości danego osobnika.

Jeden z dowcipnych krytyków niemieckich, pisząc o symbolistach i Ibsenie, zrobił uwagę, iż dla ludzi z dobrą wolą a bujną wyobraźnią nastręczają oni bardzo dobrą sposobność do gimnastycznych popisów myślowych: *weil man sich dabei immer etwas hineindenken kann.* Otóż Krechowiecki, jako człowiek i krytyk poważny, rozumiejący swoje trudne a odpowiedzialne zadanie, nie usiłuje łatać dziur i dosztukowywać braków w duchowej fizyognomii Norwida; nie chce być za domyślnym i koniecznie zrozumieć to, czego prawdopodobnie sam autor nie rozumiał i jasno oczyma swej duszy nie widział.

Dosnuwać, dorabiać, dotwarzać po swojemu, w dodatku dowolnie i na własne ryzyko uzupełniać tak porwaną, tak mętną i mglistą, nie tylko w duchowej i ideowej koncepcyi twórczość poety, ale i pod względem formy chaotycznej często a wadliwej pod względem języka, — jest rzeczą bardzo niebezpieczną, jest eksperymentem, niegodnym poważnego krytyka.

I Krechowiecki rozumie to niebezpieczeństwo, nie naraża się na nie, poprzestając tylko na spełnieniu sumiennego obowiązku monografisty, który dany materyał układa w organicznym związku, we właściwem oświetleniu, w zręcznem a artystycznem ugrupowaniu, zestawiając życie i dzieła, talent i charakter, dążenia, cele

i środki ze sobą tak, aby z nich prawda i jasny sąd same się wydobyły na wierzch.

On przypatruje się temu życiu i tej twórczości Norwida *sine ira et studio,* jak sprawiedliwy a rozważny historyk i badacz, bez uwielbień, ale i bez uprzedzenia, w przekonaniu, że na jakąś syntezę, na krytykę całej twórczości poety teraz jeszcze za wcześnie, że zdobyć się na nią będzie można dopiero wtedy, gdy zapowiadane wydawnictwo wszystkich dzieł jego ukaże się w całości.

„Myśmy mogli brać pod głębszą rozwagę tylko te z jego utworów, — powiada w zakończeniu swego kapitalnego studyum, — o których znajdowaliśmy czy to wzmianki, czy to komentarze we własnych jego listach. Szczerze też i bez ogródki wypowiadaliśmy nasze o tych utworach zdanie; jesteśmy bowiem przekonani, że taka szczerość jest pierwszym obowiązkiem prawego miłośnika literatury ojczystej, że zresztą i sam Norwid domagał się oceny, nie zaś bezkrytycznych uwielbień".

Krótkie, ale dokładne i głęboko krytyczne określenie charakteru Norwida, jako człowieka i poety daje autor w tych kilku ustępach:

„Na takiej ocenie Norwid nie straci. I choćby nawet, gdy przyjdzie czas na stanowcze orzeczenie, nie stanął w rzędzie naszych wielkich wieszczów, to w każdym razie w myślach przez niego rzuconych, pozostaną prawdziwe skarby, które przechować warto i należy.

„A jeśli te myśli nie zawsze i nie w pełnej mierze rozwinięte być mogły i nie wydały należytego plonu, tośmy także widzieli dlaczego? Tu tragedya człowieka, tragedya twórcy skrępowanego trudnościami życiowemi, łączy się z tragedyą społeczeństwa, z tragedyą narodu.

„Zawcześnie oderwany od pnia ojczystego, rzucony w świat szeroki z wyobraźnią podniecona pochlebstwami, które w młodzieńczą duszę wsiąkły łatwo, — już w pierwszej młodości zetknął się z obcem a wysoce kulturalnem społeczeństwem, które go dla własnego ostudziło. Wówczas to zjawiła się przed oczyma młodzieńca czarująca, rozumna, świetna kobieta (Marya Calergis) i obudziła w nim beznadziejną, nieodwzajemnioną miłość, która stała się odtąd widmem, ścigającem go do zgonu. I już w roku 1847 pisał Stanisław Koźmian z Rzymu do Bohdana Zaleskiego: „Norwida bardzo Wam polecam, jest to piękna a bolejąca dusza".

„Równocześnie na polu twórczem spotkał się Norwid z potęgą uznaną (Mickiewicz), której pokłonić się nie pozwalała mu duma, a której dorównać nie zdołał. Rozmarzenie i tęsknota z jednej strony, z drugiej rozpaczliwa walka o miejsce wśród ulaurowanych. walka, podsycana ciągle wewnętrznem poczuciem swej równorzędności, targały nieustannie duszą Norwida, który nieznany i nieuznawany w sobie nadto cierpiał.

„A w końcu przyszła homerowa walka o chleb powszedni, trudna wszędzie, najtrudniejsza na obczyźnie. I widzieliśmy, jak wśród tej walki padały z ust Norwida pełne goryczy słowa na cały naród, — słowa usprawiedliwione, chociaż niesprawiedliwe“.

Zamyka się książkę Krechowieckiego z jakiemś uczuciem smutku i żalu nad zmarnowanem życiem i spękanym talentem, może nawet genialnym, ale jak strącona gwiazda rozbitym w meteoryty; zamyka się ją jednak z zadowoleniem i pożytkiem dużym, z wdzięcznością i uznaniem dla autora, który tą świetną, pięknym i wzorowym stylem napisaną monografią dołożył świeży liść lauru do wieńca swych zasług literackich.

Lwów. *Maryan Gawalewicz.*

A. J. Jacimirskij, priwatdocent Spb. uniwersitieta. Nowiejszaja polskaja litieratura ot wozstanija 1863 goda do naszych dniej. Peterburg, (1908).8°. T. I, s. XIX i 420; T. II, s. XVI i 493.

Uczony świat słowiański zna od dawna p. Jacimirskiego (z polskiego Jaćmierza niegdyś!), jako ruchliwego i gorliwego zbieracza pomników staroruskich, szczególniej z bibliotek południowosłowiańskich i rumuńskich; specyalnością jego było i jest dotąd uprawianie stosunków słowiańsko-rumuńskich; wiadomo przecież, że aż do XVII wieku językiem urzędowym rumuńskim, w każdej dziedzinie (cerkwi, szkoły, literatury itd.), był słowiański, cerkiewny. Oprócz licznych przyczynków źródłowych ogłaszał p. J. i całe dzieła, np. monografię o Camblaku, metropolicie kijowskim, co do Konstancyi na sobór z obedyencyą rzymską się wybrał i w literaturze różnemi „słowami“ (pouczeniami) imię utrwalił: osobistość tajemnicza, skoro p. J. po jej śmierci oficyalnej każe jej jeszcze przez dziesiątki lat żyć i pisać, a raczej tylko odpisywać w co ani rusz uwierzyć nie myślę. Całkiem niespodzianie odsłonił się ten sam autor (przynajmniej zgodne inicyały, A. J., dowodzą mi lepiej tej identyczności, niż kombinacye autorskie przy Camblaku i mnichu Grzegorzu), z zupełnie nowej strony, jako badacz, znawca i miłośnik najnowszej literatury polskiej.

Nie jedyny to uczony ruski, co się rzeczami polskiemi zajął; moglibyśmy dziś wskazać i innych, np. lingwistę Kulbakina, slawistę Francewa itd. Gdy ci się jednak poza koła specyalne, fachowe, nie wychylają, zwraca się p. Jacimirskij do najszerszego ogółu ruskiego. Sam fakt, że autor ruski żywi niekłamaną sympatyę dla literatury polskiej; że omawia ją bardzo obszernie; że zaznajamia obcą, nieraz wrogą nam publiczność z naszymi pisarzami i dziełami, w analizach i próbach, wierszem i prozą, że przyczynia się do

przełamywania lodów, dzielących oba narody — sam ten fakt musi na sąd nasz w znacznej mierze wpływać.

Książkę cechuje właściwość, ogólna (do niedawna) w literaturze krytycznej ruskiej, jeszcze od Bielińskiego począwszy. Krytyka ta bywa z zasady, wiedzy i woli ściśle tendencyjną. Krytyk mniej pyta o wrażenie, czy wartość estetyczną, pyta najpierw, a nieraz wyłącznie, o wyznanie wiary, socyalne i polityczne. Nasz autor, jak przeważna część młodszej inteligencyi ruskiej, jest marksistą zaciętym, nie wdającym się z wzgardzonymi „burżujami" w kompromisy; przypomina Stanisława Brzozowskiego, ale brak mu niestety wykształcenia filozoficznego i świetnego pióra naszego marksisty. Jego marksyzm bardzo pospolitej próby, kłóci się z wybranym przedmiotem; literatura, jako sztuka, jest przecież rzeczą „arystokratyczną"; nawet kiedy „burżujom" walkę na śmierć i życie wypowiada, jest zawsze tylko „kawiarem dla ludu". Tendencya jednak, to właściwie jedyna miarka, jaką p. Jacimirskij przykłada; sądu estetycznego, smaku wytrawnego, analizy głębszej nie szukaj u niego; wymyślania na burżujów i ich literaturę (a innej niemasz), zastąpiły mu estetykę i filozofię. Nic więc dziwnego, że np. ustęp końcowy, o Wyspiańskim zupełnie zawodzi; że krytyk umie tylko opowiedzieć treść np. Wesela i przytoczyć zeń ustęp; że obcy czytelnik sztucznego podziwu jego nad Wyspiańskim zupełnie nie zrozumie. Estetyczną stronę książki ratują chyba liczniejsze wypisy ze Stena i Feldmana, niby kwiatki na kożuchu baranim.

Dawniejszą literaturę, Kraszewskiego, Jeża, Sowińskiego, Deotymę, Faleńskiego itd. autor zna mało, a ceni jeszcze mniej. Przytacza wprawdzie nawet artykuły Gostomskiego i ks. Rokosznego (w Kuryerze Warszawskim i w Gazecie Radomskiej z r. 1903), o „Brankach w Jasyrze" ale o samym romansie, coby właśnie Rosyan, dla treści swej, mógł więcej zająć, niż setki innych, mówi tylko tyle (tłómaczę dosłownie): „potem (po „Sobieskim pod Wiedniem"!) następuje dramat „Mieczysław"; p e ł n e p o e z y i o p o w i a d a n i a „Branki w jasyrze", co wywołały w drugiem wydaniu sprawiedliwą ocenę W. Gostomskiego itd. (patrz wyżej). Po powstaniu 1863 r. towarzyszyła ojcu na zesłanie i nie przestawała pisać". Czyż nie byłoby lepiej może, wcale nie pisać o Deotymie, niż tak, a podobnie głębokich ocen doczekali się Faleński, Bliziński i tylu, tylu innych. Lichy romans, „Księżna" Urbanowskiej, co niewart papieru, na którym go wydrukowano, omawia autor na czterech wielkich stronicach. Blizińskiemu zaś poświęcił pół stronicy; nawet Szanserowi-Ordonowi o kilka wierszów więcej się dostało; jak na autora „Pana Damazego", choćbyśmy mu praw jedynego godnego następcy po „Zemście" odmówili, stanowczo za mało. Ma przytem autor tę właściwość, że omawia obszerniej i przytacza wyjątki z najgorszych, najsłabszych dzieł, jakby umyślnie. I tak z Kraszewskiego wybrał np. „Kunigasa", „Masława", „Gniew Boży", „Braci Ramułtów" i podobne obskurne romanse; chociaż sam bardzo lubię Kraszewskiego i wiele

go czytałem, żadnego z wymienionych dzieł nie znam i bynajmniej tego ani żałuję, ani się wstydzę. Jak „trafny“ sąd p. Jacimirskiego o Kraszewskim, na to wystarczy przytoczyć jedno zdanie (I, 69): „Pisarz historyczny par excellence, napisał Kraszewski kilka romansów z spółczesnego życia. Te romanse są o wiele słabsze od historycznych“ itd. Z Jeżem nie obszedł się lepiej; wybrał znowu dwa najobskurniejsze dzieła, „Dersława z Rytwian“ i i.; przemilczał nawet o znaczeniu, jakie jego powieści wschodnie dla samych Bułgarów (przed Wazowem) i Serbów miały; wystawia Jeża jako mdławo-słodkawego pisarza, którego obszerne piśmidła myśl na długo usypiają, pogrążając ją w nieobjętem morzu błogosławionego oglądania dusz pięknych!! (I, 79). W dramacie Sowińskiego „Na Ukrainie“, „główna wada, nadprodukcya wszelkiego rodzaju okropności“ (I, 32)! Przy Faleńskim wspomniał — Trediakowskiego, t j. obok wonnego wina, wodę z cuchnącej kałuży. O Cypryanie Norwidzie ani trunął. Wymienia zato i omawia pisarzów, o których po raz pierwszy od niego się dowiedziałem (że istnieli), alboż których prócz nazwiska nic więcej nie znam. Lecz cóżby mógł np. o Norwidzie powiedzieć? Księga wierszy Norwidowych zamknięta przecież na siedm pieczęci dla prawowiernego marksisty.

Z Kaz. Glińskiego przytoczył między innemi jakąś małomieszczańską anegdotę o jakimś starym kawalerze, chyba żeby wyśmiać czy sparodyować autora „Pieśni królewskiej“.

Na szczęście, książka jest bardzo obszerna, gdyż druk jej tak zbity, szczególniej w próbach, że mogłoby jej i na trzy lub cztery tomy starczyć. W takich więc rozmiarach, wobec obfitości rzeczy ciekawych czy pięknych, gubią się te chybione sądy i źle dobrane ustępy czy analizy. Autor wie bowiem, że publiczność, na jaką liczy, mało albo i wcale nie zna literatury polskiej, więc zaznajamia czytelników z treścią dzieł, o jakich rozprawia, poświęcając nieraz po kilka stronic opowiadania. Urozmaica przez to nadzwyczaj cały wykład, daje miejscami niby jakąś chrestomatyę, czy wypisy. Pochwalając bez zastrzeżeń (prócz niezręczności, czy nietrafności wyboru), ten tryb, nie możemy się jednak z układem książki, szczególniej tomu I, pogodzić.

Rozbijanie literatury na działy: liryka, epika itd., takie jej „rozszkatułkowanie“, uważa autor i słusznie za nieumiejętne; systemu ściśle chronologicznego również nie przyjął. Sięgnął wyżej; daje niby ideową syntezę tej literatury; szereguje więc jej przedstawicieli wedle prądów, myśli przewodnich, tendencyi. Bardzo to w teoryi ładnie, w praktyce autorskiej wypadł groch z kapustą. Pomijam zupełną dowolność w nalepianiu etykiet: szlachecko-demokratyczny, mieszczańsko-demokratyczny itp.; co gorsza, autor rozbija każdą indywidualność, omawiając dzieła tego samego pisarza pod najróżnorodniejszemi rubrykami; zasada zaś, wedle której zestawia pisarzów, polega nieraz widocznie na całkiem przypadkowem kojarzeniu ich nazw, na zesypywaniu do kupy, czego rozmieścić nie umiał. O Jeżu

*

np. rozprawia I, str. 74—84 w rozdziale pod tytułem: „Demokratyzm szlachecki; idealizacya chłopstwa w przeszłości i teraźniejszości; wyrok nad byłą szlachtą“. Byłem przekonany, że już i koniec o tym „rewolucyonerze w życiu a marzycielu w literaturze“ tymczasem pojawia się on na nowo na str. 347 i 348, w rozdziale p. t. „Literatura burżuazyi; dramat; ideologia mieszczanki polskiej“ po Rittnerze, Konczyńskim, Przybyszewskim; samo doczepianie „rol kobiecej w literaturze“ a dopiero do tych modernistów, to już największa dowolność. I tak ciągle: O Sienkiewiczu rozprawia najpierw rozdział IV „Konserwatyzm szlachecki; idealizacya przeszłości królewskiej, arystokracyi i kościoła“ a składają się na ten rozdział: Teka Stańczyka; Józef Narzymski (!!!); Aureli Urbański (!!!); Józef Szujski; Sienkiewicz... Kazimierz Zalewski (!!!) — trudno chyba o pocieszniejsze potpourri. Takich potpourri humorystycznych bywa więcej. np. w rozdziale VIII („Demokratyzm burżuazyjny; beletryści-ludowcy galicyjscy; pisarze drugorzędni; kwestya żydowska“), znaleźli się nagle razem: Jan Zacharjasiewicz, Michał Bałucki, Jan Lam, Ignacy Maciejowski (Sewer — skąd Lam „ludowiec“, skąd Sewer do burżuazyi należy, tajemnica to autorska; dalej jeszcze lepiej:) Szanser (!!!); „drugi z typowych przedstawicieli postępu burżuazyjnego — Józef Bliziński (!!!); Stanisław Grudziński itd.: porządek chyba jak przy tasowaniu kart; całkiem mechanicznie doczepił znowu autor do tego rozdziału kwestyę żydowską i umieści tu, nie Junoszę, lecz „Srula z Lubartowa“.

Lecz wracamy do Sienkiewicza. Dalej mowa o nim w rozdziale VII „Demokratyzm burżuazyjny“ z powodu Litwosa (następuje bezpośrednio Orzeszkowa, co do „demokracyi burżuazyjnej“ weszła chyba jak Piłat w Credo). Potem w rozdziale IX Połanieccy, przed Płoszowskim, omówieni; w drugim tomie w rozdziale I „Reakcya przeciw burżuazyi“ figuruje nakoniec i Płoszowski ale czy dekadent-bezdogmatowiec właśnie tu należy, o tem wolno bardzo wątpić. W VIII rozdziale, „Początki realizmu artystycznego“ znowu Zagłoba. Czy takie rozrywanie (a powtarza się z każdym autorem, Prusem, Żeromskim itd.), zwiększa wypukłość i wyrazistość sylwetki literackiej? I to tylko „szkatułkowanie“ swego rodzaju, jeszcze do tego nie wykonane należycie!

Powtarzam jednak, sam przedmiot, ta literatura polska, tak wielki i piękny, że giną te skazy niemal bez śladu; rażą znawcę chyba, nie publiczność, co tę książkę czytać będzie, co z niej dopiero czegoś o tej literaturze się dowie. Tylko z obowiązku sprawozdawczego wytknęliśmy te usterki — samą książkę witamy z szczerem uznaniem, z żywą wdzięcznością: kiedyż nas nie stać na to, byśmy byli tłómaczami naszej literatury przed obcymi, kiedy powołani milczą, więc obcemu dzięki, co się tego podjął. Zrozumie jednak czytelnik, dlaczego nie myślę się wdawać w sądy autorskie o naszych pisarzach; nie zgadzam się z nim nigdy zasadniczo; przykładam inną miarę do dzieł sztuki, więc szczegółów, omyłek,

niedomówień itd. nie dotykam wcale. Co on wysoko ceni, szeroko omawia, co zbywa krótko i niechętnie (np. Zapolską albo Prusa), w tem wszystkiem jestem zdania wręcz przeciwnego. Życzyłbym jednak, żeby szczególnie w I tomie, było mniej balastu niepotrzebnego, żeby w powodzi nazwisk i tytułów (autor wylicza, niby Estreicher, z zasady wszystkie dzieła, a nawet ze zbioru nowel, Gawalewicza i i., daje wszystkie tytuły nowel!), nie tonął obcy czytelnik, żeby więcej miejsca udzielono za to tym i temu, co na uwagę istotnie zasłużyli.

Zamiast polemiki bezcelowej wolę układ dzieła przedstawić. W tomie pierwszym czytamy najpierw o „przełomie“ dwu „wieków“ nowej literatury; potem o romantyzmie schyłkowym, o epigonach wielkich pisarzy i epigonach epigonów, gdzie w wzorowym bezładzie natłoczono moc nazwisk od W. Pola, Lenartowicza i starego Brzozowskiego, aż do Wojciecha Dzieduszyckiego i Kaz. Glińskiego. Trzy następne rozdziały kreślą szlachecki demokratyzm i konserwatyzm i literaturę szlachecką; tę przedstawia głównie — Junosza. W szóstym rozdziale kroczy pozytywizm warszawski z Świętochowskim na czele t. j. z Świetochowskim-publicystą. Cztery następne rozdziały, to znowu w kontr szlacheckim, demokratyzm mieszczański: Litwos, Orzeszkowa, Prus, Gomulicki jako wybitni; szereg innych mniej wybitnych przedstawicieli; wreszcie „proza i poezya małych, średnich i wielkich pisarzy“: zmiótł tu autor na kupę, z czem sobie poradzić nie umiał, a więc obok Kosiakiewicza i Gawalewicza wymienił Sygietyńskiego, Zapolską i Gąsiorowskiego (!!!) a zakończył „syntezą ideologii mieszczańskiej“ w „Połanieckich“ i niektórych romansach Orzeszkowej; ostatni (X) rozdział „burżuaznej“ literatury to dramat i owa „ideologia mieszczanki polskiej“, gdzie po „Emancypantkach“, chyba dla parodyi, wywiódł autor „Księżną“ Urbanowskiej, obu powieściom w równej mierze po cztery stronice wyznaczając! Rozdział jedynasty kreśli przejście od „romantyzmu bezdogmatowego“ do neoromantyzmu, w twórczości Asnyka i kilku parnasistów, szczególniej Gomulickiego; z Asnyka liczne przytacza wiersze. Ostatni rozdział, XII, Od ludzkości do człowieka, objął powieści Świętochowskiego, Szymańskiego i Sieroszewskiego: znowu tu mowa o Srulu z Lubartowa; podobne powtarzania są u niego liczne.

Drugi tom wystawia reakcyę przeciw burżuazyi; najpierw w „indywidualizmie“, w pierwszych krokach po drodze wyzwolenia osobistości, w literaturze „samotnych“; tu należą dramaty Świętochowskiego, trylogia i „Duchy“; Nossig, Belmont i „Bez Dogmatu“; Tetmajer, Dąbrowski (Śmierć) i Żuławski. W drugim rozdziale występuje ta reakcya w satyrze społecznej (najpierw Lemański, potem M. Pawlikowski — autor lubuje się stale w anachronizmach; potem Weyssenhof), i w bankructwie sztuki burżuazyjnej — w „Próchnie“ Berentowem, chociaż, ile wiem, nie sztuka tam bankrutuje, lecz marni jej adepci-dekadenci. Załatwiwszy się

z sztuką burżuazyjną, podziwiamy teraz w rozdziale III „Wschód proletaryatu i jego piewców“: obrazy z życia proletaryatu wiejskiego dają Konopnicka, Orkan i Kasprowicz; z życia robotników w zakładach górniczych i fabrykach dają Niemojewski, Gruszecki (grubo przeceniony, jak i poprzednik jego) i Reymont w romansie, poświęconym raczej fabrykantom i spekulantom łódzkim, niż robotnikom. Rozdział V kreśli początki socyalistyczne na gruncie polskim, daje krótką historyę samego ruchu i przechodzi do twórczości Żeromskiego i Sieroszewskiego, uczącego, jak dzikie narody Jakuci i Czukcze, nie znając Marksa, zagadnienia społeczne rozwiązują. W szóstym rozdziale tryumfuje socyalizm; wyzywa do walki ustrój kapitalistyczny i to niebo, co go znosi, w twórczości Niemojewskiego i Daniłowskiego, w wierszach Konopnickiej, Kasprowicza, Niemojewskiego i Staffa. Ale już w siódmym rozdziale znowu po tryumfie; następuje reakcya przeciw „nadchodzącemu chamowi tłuszczy“ w nadindywidualizmie Przybyszewskiego, w pogardzie dla tłumu Kasprowicza (nawróconego, jak i Rossowski). Źle wiąże się z poprzedzającym rozdział VIII: początki realizmu artystycznego, t. j. Dygasiński, Sienkiewicz z powodu „epiczności“ Zagłoby, Sieroszewski dla plastyki nowych postaci, Reymont dla „Chłopów“ (czyż nie możnaby tu z równem prawem wliczyć i *x* innych autorów i dzieł?). Następuje reakcya nowa przeciw wszelkiemu pozytywizmowi wszelkich poprzednich kierunków czyli modernizm i pierwsze kroki jego i stworzenie Młodej Polski artystycznej (Rozdział IX), a więc Miriam, Lange, Staff i cały korowód mniejszych i najmniejszych modernistów. Dziesiąty i jedynasty rozdział kreślą nową reakcyę przeciw „anacyonalizmowi“ (kosmopolityzmowi niby), kierunków poprzednich w literaturze, a specyalnie w modernizmie; Młoda Polska szuka artystycznej syntezy duszy polskiej. Więc napotykamy znowu reporterstwo Gruszeckiego, „Bodenheim“ Rydla, Żeromskiego, Nowickiego, Tetmajera „Rewolucyę“; zakusy „etnograficzne“ Gawalewicza, Orkana, Opmana, Rydla, Nowickiego. Ostatni rozdział (XII) daje w Wyspiańskim upragnioną narodowo-artystyczną syntezę Młodej Polski.

Kanwa, jak czytelnik widzi, bardzo bogata i ciekawa; sam pomysł takiego właśnie ugrupowania przedmiotu był bardzo wdzięczny, szczególniej wobec publiczności ruskiej, interesującej się głównie „ideową“ stroną literatury. Mniej dopisało wykonanie, kierujące się często dowolnością czy trafem. Szczególniej ucierpieli niektórzy pisarze; nie mówiąc o dawniejszych, z nowszych np. Nowaczyński, Zapolska, Gomulicki: wyliczenie tytułów nie może zastąpić charakterystyki, jakiej się się tylko poeta, nie romansista doczekał; kobietom, oprócz Orzeszkowej (z dziwnemi omyłkami) i Konopnickiej (bez „Pana Balcera“!), powiodło się ogółem źle, zbywa się je nieraz samem niemal wyliczaniem. Momentu politycznego autor nie uwzględnia, chociaż społeczny, tak silnie podkreśla; a właśnie moment polityczny rozstrzygał nieraz; ileż to niedomówień, spaczonych po-

mysłów czy dziwacznych, ileż alegoryi i niejasności, wymuszonych spada np. na rachunek cenzury ruskiej i stworzonych przez nią stosunków. Autor, co się nieraz nawet w zupełnie zbędne plotki osobiste wdawał, winien był raczej o tem czytelników przestrzegać i pouczać.

Nie wdaję się w ocenę licznych tłómaczeń, wierszem i prozą; na ogół wydawały mi się trafne. One to okupiły głównie w moich oczach wady i luki książki; pragnąłbym ich więcej i chętnie poświęciłbym im niejedno rezonowanie autorskie. Co mnie do reszty z nim godzi, to widoczna sympatya jego ku tylu autorom i dziełom; z uwag o Sieroszewskim lub Żeromskim i i., przebija szczere, gorące uwielbienie. Witam więc w nim pierwszego pracownika ruskiego, co po dziele Spasowicza, zakończonem wielkimi romantykami, zaznajamia publiczność ruską z nowszą i najnowszą literaturą polską, co dla niej drogę toruje, zrozumienie ułatwia, interes obudza: nie przypadkowoż dodano na okładce drugiego tomu prospekty „Biblioteki" i „Zbiorów Młodej Polski" i dziesięciotomowego wydania Żeromskiego. Dla tej publiczności pragnąłbym liczniejszych i trafniejszych zestawień z literaturą ruską — są one, nawet albo szczególniej tam, gdzie nie są uzasadnione; brak ich nieraz, gdzieby je wypadało oczekiwać, np. nie zestawił autor naszych „ludowców" z ruskimi „narodnikami" albo nie przeprowadzał wcale ciekawych paralel między modernizmem polskim a ruskim.

Jak wiadomo, obce oczy patrzą inaczej; ocena obca bywa nieraz bardzo ciekawa, właśnie dla swej odrębności, dla odmiennego punktu widzenia, dla uczuć odmiennych; zyskuje na tem sam przedmiot. Książka p. Jacimirskiego zawodzi nieco i pod tym względem; za płytka jej analiza, za powierzchowne czy pobieżne i szematyczne jej sądy, aby czytelnik polski mógł z niej istotnie korzystać. Lecz nie dla polskiej publiczności przeznaczał ją autor; ruskiej zaś otworzył szerokie, nowe widoki, co szczególnie dziś, przy jawnem niedołęstwie modernizmu ruskiego, wyczerpanego, zanim żyć począł, większego nabiera znaczenia. Więc, mimo wszelkich zastrzeżeń, wdzięczniśmy za tę książkę, co może pomagać nawiązywać jakieś nici umysłowe, czy związki literackie, co dla tego samego w rubryce „neoslawizmu" poważną zapisała się kwotą.

Książka bardzo porządnie wydana; zdobi ją trzydzieści i dwa wizerunków wybitnych autorów i krytyków naszych.

Berlin. *A. Brückner.*

Jan Pietrzycki, Powstanie listopadowe w dramatach Stanisława Wyspiańskiego. Uwagi historyczne i literackie. Lwów, 1909. 8°, s. 69.

Krytyka historyczna, odnośnie do dzieł literackich, może wydawać swój sąd bądź to bezpośrednio, o utworach, które stały się objektywnymi czynnikami dziejowymi, bądź to pośrednio o zjawi-

skach literackich, których treść osnuta jest na jakiemś wydarzeniu historycznem. W tym drugim wypadku rola krytyki historycznej jest drugorzędną raczej, bo zadanie jej ogranicza się do analitycznego skontrolowania strony historycznej utworu, w tym jedynie celu, by oddzielając, co poeta miał już danego w źródłach historycznych, ułatwić krytyce literackiej syntetyczne określenie samej twórczości danego autora.

Ten też rodzaj krytyki historycznej da się zastosować i do trzech dzieł Wyspiańskiego, które przedstawiają kilka epizodów powstania listopadowego. Zajął się tem p. Pietrzycki, ale że nie zdawał sobie jasno sprawy z dystynkcyi, jaka zachodzi między zadaniem krytyki literackiej a historycznej w tego rodzaju utworach, przeważnie pomieszał je obie razem, co więcej, miejscami zupełnie ich poniechał na korzyść nie krytycznych ale komentatorskich tylko pojaśnień i do tego stopnia, że czasami wprost trudno odróżnić, czy autor podaje od siebie uwagi historyczne, czy też tylko streszcza utwór Wyspiańskiego. I to jest zasadniczy błąd konstrukcyjny całej pracy, który też odbija się w szczegółach, bo p. P. częstokroć idzie za daleko w doszukiwaniu się prawdy historycznej i robi korekturę takich drobiazgów. jak n. p. ilości podchorążych przydzielonych do wyprawy belwederskiej, nazwiska kamerdynera Wielkiego Księcia Konstantego, towarzysza ucieczki z Warszawy ks. Adama Czartoryskiego, które nie mają wielkiego znaczenia ani dla biegu akcyi, ani dla umysłowości Wyspiańskiego, a natomiast pomija rzeczy nie tak łatwo co prawda uchwytne, lecz ważniejsze, bo rzucające pewne bodaj światło na koncepcye artystyczne Wyspiańskiego, jak n. p. planowany rzekomo przez Konstantego zamach stanu, lub śmierć St. Potockiego.

Jesteśmy z całem uznaniem dla skrzętności, z jaką autor przeprowadził korrelacyę tekstu omawianych utworów do prawdy historycznej, lecz trud jego w pewnej przynajmniej mierze jest zgoła stracony, bo rozważa on przeważnie tylko to, co już poprzednio powiedział p. Kotarbiński [1]) (z wyjątkiem Nocy listopadowej); a że twierdzeniom p. Kotarbińskiego w tym względzie nikt nie oponował, więc też n i e p o t r z e b n y m zdaje się być cały ten szeroki operat. Według naszego zdania, raczej wypadało ograniczyć się do stwierdzenia tego, w czem poeta odstąpił od prawdy historycznej.

Ale prócz błędów wynikających z mylnie pojętej konstrukcyi pracy, nie brak też i w samych uwagach historycznych błędów faktycznych, jak n. p. (str. 15): „Wyspiański, malując postać carewicza, obdarzył ją jednak s u m i e n i e m, podnosząc przez to wartość jej etyczną ponad prawdę dziejową“. Otóż w tym wypadku nie Wyspiański, lecz p. P. stoi w sprzeczności do prawdy dziejowej, która wcale nie odmawia Wielkiemu Księciu „sumienia“. Podobnież

---

[1]) Józef Kotarbiński: „O twórczości Wyspiańskiego“. Biblioteka Warszawska, 1906, III i IV, 1907, I i II.

niezgodnem z prawdą jest, by „W. Krasiński zaprzedał się w usługi wroga przeciw własnej ojczyźnie" (str. 26). Niefortunne też jest powiedzenie (str. 30): „Wielkie wspomnienia przeciwstawione małej rzeczywistości", lub: „Dyktator Wyspiańskiego to jeden z tych, co potrafią tylko bić się i ginąć dla Polski" (str. 32). Za zasługę poczytać należy p. Pietrzyckiemu, że starał się kontrolować, lub uzupełniać opowiadanie Barzykowskiego, innymi autorami, lecz o ile w niektórych razach wybór jego był trafny, jak n. p. Gadona, z którego też i Wyspiański częściowo prawdopodobnie korzystał, o tyle znowu w pewnych wypadkach opiera się na pamiętnikach, które, jak Koźmiana a zwłaszcza Zaliwskiego, już od dawna spotkały się z surową oceną krytyki historycznej, stąd też czerpane niektóre obrazy n. p. zdobycie arsenału, są fałszywe.

Rażące też są niektóre objaśnienia, oczywiście całkiem zbyteczne, jak to, że Joanna Grudzińska była Polką. Wypowiadając tego rodzaju uwagi krytyczne nad pracą p. Pietrzyckiego, może za wiele czyniliśmy zarzutów i za wielkie stawialiśmy żądania, bo faktycznie i ta rozprawka, pomijając niektóre ważniejsze błędy, jest w pewnej mierze pożyteczną dla nieznających epoki czytelników dzieł Wyspiańskiego, lecz czyniliśmy je w tej intencyi, by zerwać z tym szablonem komentatorskich tylko objaśnień utworów Wyspiańskiego, a na ich miejsce wprowadzić gruntowną, bo na naukowych podstawach opartą analizę twórczości poety, tem więcej, że właśnie sam temat nastręczał wiele bardzo ciekawych kwestyi i że na podstawie już samych uwag historycznych, można wysnuć dość ciekawe wnioski o intencyi twórczej Wyspiańskiego. Pomijając już osobę W. Księcia odmiennie naszkicowaną niż u Słowackiego, charakterystycznym jest bardzo sam znany fakt śmierci St. Potockiego. Poeta krzywdzi go, bo przedstawia jenerała niezgodnie z historyą jako zdrajcę, pojmanego „w ognie pychy", ale co ciekawsza, odstępuje i w tem od historyi, że każe mu ginąć nie od kuli polskiej, ale patrola rosyjskiego. Natomiast o wiele pochlebniej przedstawia takie liche indywiduum, jak Gendre.

„Warszawianki" forma i treść pozostaje przeważnie pod wpływem francuskim: retoryczność teatru Corneille'a — tytuł sam i ustępy z pieśni francuskiego autora Delavigne'a — bonapartysta Chłopicki, palący długie tyrady o Napoleonie, cała akcya na tle stylu empire. Co więcej i sam nastrój, znajdujący się w pieśni obcej, przeniósł Wyspiański na ówczesne społeczeństwo, a więc między innemi wysunął na czoło: brak „wiary w powodzenie" i „myśl o zgonie", uczucia, które w pewnej mierze dałyby się raczej zastosować do obrazu z r. 1863; mówi poeta o „wojownikach romansów", niepomny, że w ich poematach dźwięczała wojowniczo pewna zwycięstwa nuta: „Uderzcie w bębny! Zagrajcie nam rogi!", że nie Delavigne, ale Słowacki, Pol, Goszczyński, Gosławski byli i są wyobrazicielami epoki, że nie Warszawianka, lecz „Grzmią pod Stoczkiem armaty", „Nie masz pana nad ułana" i t. p. rozlegały się wszędzie.

Lwów. *Dr. Bronisław Pawłowski.*

Karol Wróblewski, Stanisława Wyspiańskiego Achilleis. Sceny dramatyczne. Objaśnił ... Lwów, księgarnia H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Spółka. 1909, 8°, s. 99.

Stosunek Wyspiańskiego do helleńskiego świata — to jedno z najciekawszych zagadnień, jakie nastręcza twórczość jego, tak bogata w problemy zajmujące. Z dziwną potęgą narzucały się fantazy jego motywy i postacie klasyczne, doznawały dziwnych skojarzeń i przetworzeń, splatały się z innymi pierwiastkami w całości nowe, niezwykłe, czasem imponująco zharmonizowane, czasem skłócone w dysonansach niezwykłych. Dla twórcy tego, który mimo nowożytności całej tak wyodrębniał się z pośród epoki, że autor najlepszej monografii o nim nie wahał się uważać go za anachronizm wspaniały — dla twórcy tego żył świat grecki — ale żył nie życiem własnem, w kształty posągów i rytmy poezyi klasycznej zakutem, lecz życiem nowem, kierowanem przez prawa indywidualności poety. Stąd wynikła organiczność w rozwijaniu się i przejawianiu tego stosunku — i stąd pochodzi, że tylko jako całość może być ten stosunek należycie ujęty i tylko jako całość traci charakter dziwaczności pewnej, jaki posiadają niekiedy poszczególne jego rezultaty, rozpatrywane w odosobnieniu.

To też utwór, w którym ten stosunek objawił się nie najpełniej wprawdzie i może nawet nie w sposób najcharakterystyczniejszy, ale w każdym razie objawił się najbardziej wielostronnie, powinien być omawiany w ścisłym związku z całą twórczością Wyspiańskiego. A związku owego nie uwzględnił komentator jego, Karol Wróblewski, w swej książce o „Achilleidzie". Brak ten jest wynikiem intencyi świadomej. P. Wróblewski, który niedawno przedtem wydał rzecz o „Legendzie" i prawdopodobnie ma zamiar objaśniać kolejno i inne utwory Wyspiańskiego, chce widocznie czytelnikom ułatwiać zrozumienie poematu bez względu na to, czy znają oni inne dzieła poety. Łączy się to z charakterem jego pracy komentatorskiej; nie jest jej celem rozwiązywanie naukowych zagadnień, ale w pierwszym rzędzie uprzystępnianie poezyi Wyspiańskiego, torowanie drogi dla niej wśród ogółu — i to zwłaszcza wśród młodszego pokolenia. Ten zamiar trzeba ciągle uwzględniać, jeśli się chce należycie książkę ocenić; on też tłómaczy zarówno pewne uwagi, któreby się mogły wydać zbytecznemi, jak i pewne niedomówienia.

Przystępuje autor do omówienia dzieła z silnem odczuciem jego piękna, z bezwzględnem uwielbieniem dla poety, nie dozwalającem na śledzenie jakichkolwiek usterek. Zaczyna od wskazania źródła tej poezyi w „nieświadomem", od zestawienia jej z tą twórczością, jaka objawia się w widziadłach sennych. Wyzyskanie psychologii snu celem wyjaśnienia niektórych utworów Wyspiańskiego nie jest nowością zupełną, ale zostaje tu szczególnie silnie uwydatnione; ogranicza się jednak p. Wróblewski do ogólnikowego zaznaczenia bez wdawania się w analizę utworu; szkoda też, że nie

korzystał z „Psychologie der Lyrik“ du Prela, w której kwestya ta została najlepiej przedstawiona. W związku z tem wypowiada autor rozmaite trafne uwagi n. p. co do czasu akcyi u Wyspiańskiego.

Omówiwszy w ogólnych zarysach stosunek „Achilleidy“ do „Iliady“, przedstawia układ i treść, starając się uwydatnić rzeczy najważniejsze; ujęcie akcyi w trzy akty — chociaż nieuzasadnione intencyami twórcy — może dla czytelników stanowić ułatwienie w oryentacyi i unaocznia rozwój treści. Nieco zbyt pobieżnie omówiony jest stosunek Achillesa do Hektora, tak niezmiernie ciekawy: widząc w Achillesie typ wielkości, czuł poeta, że jako człowiek wielki musi on uznawać wielkość Hektora, musi czuć odstęp ogromny między wojownikami greckimi a tym bohaterem — i na tem zbudował głównie tragedyę Achillesa. Stosunek Achillesa do Hektora i stosunek jego do Tersytesa (uwydatniony też należycie w książce omawianej) — to dwa motywy, na których polega znaczenie wielkie „Achilleidy“ jako koncepcyi poetyckiej. Zachwycony pięknością rozmowy Achillesa z falami, poświęca autor tej scenie stosunkowo najwięcej uwag. Co do ogólnego poglądu na akcyę, to trudno zgodzić się na twierdzenie, jakoby tkwiło w niej „zmaganie się Wschodu z Greko-Italami o duchowe władztwo“.

Rozdział o źródłach „Achilleidy“ trafnie wykazuje wpływ cyklików, Eurypidesa i Kochanowskiego; tylko w ostataiej scenie nie należało szukać jakiegoś echa „Odprawy“. Pożądane byłoby przytem zajęcie się stosunkiem Wyspiańskiego do dzisiejszego neohellenizmu; i we francuskiej literaturze i w niemieckiej (Hofmannstal) niejedna dałaby się wykryć analogia. A przytem niebrak zdaje się u poety elementów klasycznych, czerpanych z drugiej ręki; same formy imion Odysa i Andromaki na myśl nasuwają źródła francuskie.

Z naciskiem podnosi p. Wróblewski oryginalność w traktowaniu tematu „Achilleidy“ i głębie tkwiących w niej symbolów. A chcąc zaznaczyć ów rzekomy pierwiastek „lechicki“, który już uwydatniał przy omawianiu „Legendy“, pociąg poety do Hellady tłómaczy podobieństwem Polski i Grecyi — i temu podobieństwu poświęca cały szereg uwag przy końcu książki — uwag pięknych, ale nie zawsze wytrzymujących krytykę ścisłą.

Wzgląd na szersze koła czytelników, dla których książkę przeznaczył, wstrzymał może autora od dokładniejszego rozwinięcia poglądu na oryginalność „Achilleidy“. A tu właśnie nasuwały się kwestye najważniejsze: tu zwrócić można było uwagę, że Wyspiański z mitami postępuje podobnie, jak z wątkami folklorystycznymi fantazya ludów różnych, przystosowując ich treść do własnych potrzeb duchowych, do własnego psychicznego życia; tu zastanowić się należało nad tem, jak sprzeczne czasami pierwiastki oddziaływują na modyfikacyę treści — jak z jednej strony panuje pogłębienie duchowe, skomplikowanie a z drugiej strony wyłania się dążność do wydobycia rysów barbarzyńskich, ludowych, chłopskich — dążność, tak oryginalnie władająca w niektórych ilustracyach do

„Iliady“, a w „Achilleidzie“ widoczna n. p. w zakresie stosunków erotycznych, w pieśni o sądzie Parysa.

Wogóle pytań nasuwa się niemało, których załatwienie wymagałoby analizy gruntownej dzieła na tle całej twórczości poety.

Ale jakkolwiek książka p. Wróblewskiego wyczerpującą nie jest, przyczynić się może do uprzystępnienia „Achilleidy“ i oddać ważne usługi w szerzeniu kultu poety.

Lwów. *Dr. Juliusz Kleiner.*

Druk ukończono dnia 26 lutego 1910 r.

Pokwitowania.

W czasie od 15 stycznia do 15 lutego 1910 r. zapłacili wkładki następujący członkowie: [cyfry rzymskie przy latach (4=1904, 5=1905, 6=1906, 7=1907, 8=1908, 9=1909, 10=1910, 11=1911) umieszczone, oznaczają kwartały, na poczet których dana wkładka z kolei zapisaną została.]

Abraham Wł. 10 I—IV; **B**arewicz W. 9 III—IV; Basiński St. 9 I—II; Bernacki L. 9 IV; Białobrzeski M. 9 IV; Biblioteka V G. (Lwów) 10 I—IV; Bibl. Poturzycka 10 I—IV; Bibliot. Ossolińskich 10 I—IV; Biesiadecki Fr. 9 I—IV; Bogdanowiczowa J. 10 I—IV; Bostel F. 10 I—IV; Breitmeier K. 10 I; Bryda Wł. 10 I; **C**elichowski Z. 9—10 I—IV; Czarnik Br. 10 I; Czołowski A. 10 I; Czytelnia Uczniów V Gimn. 9 I—IV; Czyt. U. G. Nowy Targ 10 I—IV; **D**ąbrowski T. 9 I—II; Dobija J. I—IV; Dworski E, 10 I; Dziama L. 9 I—IV; **F**edorowicz Wł. 10 I—IV i 11 I; Finkel L. 10 I—II; **G**imnazyum sanockie 10 I—IV; Gimnazyum przemyskie 8 II—IV i 9 I—IV; Głąbiński Stan. 10 I—IV; Grabowski T. 9 i 10 I—IV; Grabowski T. St. 9 I—IV; Grzegorzewicz W. 8 IV 9 I—III; Gubrynowicz Br. 10 I—IV; Gubrynowicz Wł. 10 I—IV; **H**ahn W. 9 i 10 I—IV; Heck K. 4 kor.; Heitzman H. 9 II—IV; **I**hnatowicz J. 10 I—IV; **J**ankowski Wł. 10 I—IV; Jaszowski St. 8 II; Jezienicki M. 9 I—IV; Juffy K. 9 III—IV; **K**alityński M. 9 III; Koestlich R. 9 II; Koło Sławistów U. J. 9 I—IV; Koller J. 9 II—III; Komornicki St. 10 I—IV; Koncewski St. 9 III; Kotiers Fr. 10 I—II; Kotowicz St; 8 IV; Kossowski A. 9 I—IV; Kozicki W. 10 I; Kridl M. 8 III—IV i 9 I—IV; Kryński A. 10 I—IV; Kucharski E. 9 I—IV; Kucharski P. 10 I—IV; Kuntze E. 9 I—IV; Kurpiel M. 9 III—IV; hr. **L**anckoroński K. 10 I—IV; Landau M. 8 I—IV i 9 I—II; Ks. Lenkiewicz Z. 10 I—IV; Lewicki T. 9 III—IV; Liceum PP. Urszulanek [Kołomyja] 1910 I—IV; i 11 I; Liebhardt H. 5 I—II; Loewenstein N. 10 I—IV; Łęgowski M. 9 III—IV; Łoś J. 9 I—IV; **M**ann M. 9 I—IV; Matkowski Z. 8 i 9 I—IV; ks. Macheta Wł. 8 IV i 9 I; Magiera J. 8 i 9 I—IV; Mączewski P. 9 IV; Mazurek J. 10 I; Merwin B. 9 I; Méyet L. 4 III—IV, 5 I—IV i 6 I—II; Miodoński A. 9 I—IV; Morgenroth M. 9 I—IV; Mościcki H. 9 I—IV; Mossoczy Wł. 9 I—IV; Münnich A. 9 I—IV; Muzeum Mickiewicza 9 I—IV; **N**acher T. 10 I—IV; Niedziałkowska W. 10 I—IV; Nogaj J. 10 I—IV; Nowicka L. 9 II—III; Nowosławski Fr. 9 I; ks. **O**lejniczak T. 9 IV; **P**aczosa Fr. 8 III—IV; Passendorfer A. 9 I—IV; ks. Pawlicki St. 9 I—IV; Pawlikowski J. G. 10 I—IV; Płażek E. 9 I—IV i 10 I; Pigoń St. 9 IV 10 I—II; Pochmarski B. 8 IV 9 I—IV; Popiel Br. 10 I; Prochaska A. 10 I—II; Próchnicki Fr. 9 III—IV i 10 I;

Ptaszycki St. 9 i 10 I—IV; Puszczyński E. 9 IV; Przyjemski F. 9 I—IV; Raciborski M. 9 I—IV; Raciborski T. 8 I—IV; Reinhold J. 6 IV 7 I—III; Reiter M. 10 I; ks. Rejowicz Wł. 10 I—IV; Rolny W. 10 I—IV; Rostafiński J. 10 I—IV; Saski St. 9 I—IV; Sawczyński H. 10 I—II; Schirmer E. 9 I—IV; Schneider St. 10 I—II; Schreiber M. 9 I—IV; Siwak M. 9 I—IV; Ks. Ślepicki M. 10 I—IV; Słotwiński J. 9 I—IV; Służewski M. 10 I—IV; Sołtys T. 9 III; Stein I. 10 I—IV; Stopa Fr. 10 I—IV; Stroński St. 7 IV, 8 I—IV; Strzembosz M. 9 I—IV; Szomek B. 10 I—IV; Szymusik Fr. 9 I—II i 10 I; Trzpis H. 9 I—IV; Tomkowicz St. 9 I—IV; Turowski St. 10 I—II; Wasilewski Z. 10 I; Wasylewski St. 8 I; West F. 9 I—IV; Winiarz A. 9 I; Wojciechowski K. 10 I; Wróblewski K. 7 IV; Wysocki W. 7 III—IV; Zagajewski K. 9 III—IV; Zaleski Z. 9 I—IV; ks. Zaleski T. 10 I—IV; Zdziechowski M. 8 i 9 I—IV; Zipper A. 9 III—IV; Zuber R. 10 I; Związek n. lit. 10 I—IV; Zwilling E. 8 III; Żurawski Z. 9 III.

Ogółem 143 członków zapłaciło wkładki w kwocie 1160 kor.

Do Towarzystwa przystąpili: Brodnicki Alfred, Finkel Ludwik, Fischer Adam, Grabowski Tadeusz Stanisław, Liceum żeńskie PP. Urszulanek w Kołomyi, Tow. Czytelni Uczniów Gimnaz. w Nowym Targu, Wierzejski Józef, Zaleski Zygmunt (8).

† Dr. Ignacy Szyszyłowicz.

Józef Zaleski
skarbnik.

Administracya „Pamiętnika literackiego" uprasza zamiejscowych członków Towarzystwa o nadsyłanie wkładek za pomocą czeków lub przekazów. Członkowie miejscowi raczą uiszczać wkładki do rąk zgłaszającego się kursora Towarzystwa.

Administracya »Pamiętnika literackiego«
Lwów, Zimorowicza 11—15, II p.

X. Dr JAN FIJAŁEK.

Moderniści katoliccy Kościoła Lwowskiego w wieku XVI.

(Ciąg dalszy [1]).

III

Kapituła.

Rządność i kultura kanoników lwowskich.

Stanisław ze Lwowa, autor Apologii wiary świętej z r. 1554.

W znaku wojny zapowiadały się rządy lwowskie Pawła Tarły, męża cichego i miłującego pokój. Echo konfliktu arcybiskupa z kapitułą metropolitalną, odbite na dworze królewskim, doleciało aż do Rzymu, stąd zaś, wracając do kraju, przynosiło z sobą groźbę cenzur kościelnych na sprzeciwiających się zwierzchnej władzy duchownej i świeckiej. Zwyciężyła, jak w każdej walce, strona mocniejsza; w tym wypadku interes familii Tarłów, znajdujący poparcie i obronę u najwyższego autorytetu Kościoła i Państwa, papieża i króla. Słuszność mieli przecież za sobą oporni; dopiero nakaz sfer rządzących zmusił ich do milczenia i uległości. Zatargi episkopatu z kapitułami, zwłaszcza w Polsce wieku XVI, na które nie można patrzeć okiem dzisiejszej ich niemocy, były natenczas strawą dość powszednią, zjawiskiem prawie pospolitem, powtarzającem się jeszcze nieraz w epoce potrydenckiej. Jak gdzieindziej tak i we Lwowie spór ten pomiędzy arcybiskupem Tarłą i jego kapitułą wybuchł na zwyczajnym podłożu sprawy majątkowej i lokalne miał znaczenie, lecz tem jest znamienny, iż nastąpił zaraz przy pierwszem zetknięciu się stron obojga, prawdzi-

[1]) Por. Pamiętnik literacki, VII, s. 8 i 395.

wie przed czasem, bo jeszcze przed przyjazdem arcybiskupa do stolicy i objęciem w niej rządów, jeszcze nawet przed prekonizacyą papieską, a przytem — i to drugi moment znaczący — za milczącem przyzwoleniem Rzymu. Było to już jawną sygnaturą zmienionego stosunku kuryi papieskiej wobec Polski w pierwszych latach pontyfikatu Piusa IV po śmierci Pawła IV.

Już sama wieść pierwsza o zamianowaniu dziekana przemyskiego arcybiskupem, jaka z Wilna do Lwowa nadeszła zaraz z początkiem wielkiego postu (1560), nie rozpaliła radością kapituły metropolitalnej, spotkała się w jej gronie z osadem niechęci głębokiej. Wszak przyszły arcypasterz był Tarłą, co się wadził ostro ze swymi i jej konfratrami w Przemyślu. Obok tego wspomnienia usposabiało kapitułę podejrzliwie względem niego jezioro malczyckie, w ziemi lwowskiej leżące niedaleko stolicy w stronie Gródka, które było własnością jej kościoła z nadania jeszcze króla Jagiełły, ale od stu lat przeszło zajęte przez starostów lwowskich znajdowało się oddawna w ręku dziedziców Malczyc. Siedział na nich obecnie rodzony brat jego, pan Jan Tarło, chorąży lwowski, ożeniony z Reginą, ostatnią swego tutaj rodu panią z pełnem prawem patronatu do kościoła malczyckiego, przyznanem jej niedawno po wieczne czasy, za ustępliwego arcybiskupa Piotra Starzechowskiego. „Oj nie zwrócą nam już Tarłowie, nie zwrócą zalewku naszego jeziora; dobra stołowe odzierżą i jeszcze naszym szkodzić będą“ — wzdychali kanonicy lwowscy, możnych obawiając się Tarłów, co im sąsiadami byli już od wieku a prawie zawsze uciążliwymi, nieomal wszędy w ziemi lwowskiej w ścianie jej zachodniej, z południa od Dniestru w stronę północną do Malczyc i Wrocowa. W tej połaci, przylegającej do tenuty drohowyskiej Tarłów i ich nabytków dziedzicznych, miała kapituła (katedra) główny zrąb dóbr swoich a i arcybiskupstwo część dóbr stołowych; wsi do nich należące, zarówno kościelne (kapitulne) jak i stołowe (arcybiskupie), z nadań królewskich i z własnej także zapobiegliwości powstałe, utrzymały się do dziś dnia prawie nienaruszone w ręku swych właścicieli duchownych, jedyne na całym obszarze ziem polskich, z częściowym wyjątkiem katedry i stolicy przemyskiej, co uniknęły losu konfiskat i sekularyzacyi w przewrotach państwowych epoki rewolucyjno-napoleońskiej. Zatargi graniczne kapituły i arcybiskupów, panów od Wierzbiąża (dzisiaj „Werbiż“) przy Szczyrzycu aż po Stawczany koło Gródka, toczyły się najczęściej z Tarłami. Arcybiskup tedy z ich rodu znaczył się teraz w oczach kapituły urodzonym jej wrogiem, najprzedniejszą bowiem jej troską było zachowanie i pomnożenie majątku Kościoła. Więc z lękiem i gniewem spoglądała na osobę nominata: okiem gospodarczem mierzyła przyszłe jego rządy i pasterstwo w pośrodku pańskiej owczarni. Nastrój kapituły niewesoły zwiększały liczne kłopoty, jakich nabawił ją arcybiskup Ligęza, zmarły bez testamentu; zape-

wnienie przyjaciół jego o zostawieniu przez niego testamentu, w co kapituła zrazu uwierzyła, okazało się wybiegiem, obliczonym na uśpienie jej czujności. Zarząd dyecezyi *sede vacante* do niej należał, nadewszystko majątku stołu (arcy)biskupiego, jak prawo obowiązujące Kościoła głosiło; myśl kanonistyczna wieków średnich wysłowiła je w zasadzie, iż czasu opróżnienia stolicy biskupiej kapituła ma strzedz pilnie i zachować następcy wszystkie owoce, t. j. dobra i prawa arcybiskupstwa. Chodzi tutaj głównie o zachowanie majątku, będącego uposażeniem, stołem biskupim, w odróżnieniu od majątku, mienia ściśle kościelnego danej katedry, jakiem są dobra kapitulne. Zarazem i zwierzchnik dyecezyi, sprawujący rządy czasu jej wakansu, wybierany przez kapitułę wyłącznie i wszędzie, tam nawet, gdzie sama nie wybiera i nie wybierała, jak np. wtedy w Polsce jeszcze we Lwowie, nazywał się powszechnie aż do czasu reformy trydenckiej administratorem, utrzymując się i później u nas stale przy tej nazwie za Rzeczypospolitej i po niej jeszcze częściowo aż do dnia dzisiejszego w Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem, chociaż tam jak i gdzieindziej biskupstwa nie mają już swego majątku: rząd rosyjski zachował przynajmniej nazwę dawną, Kościołowi Polskiemu właściwą. Administrator to był dyecezyi niewątpliwie w sprawach duchownych, ale zarazem i to przedewszystkiem *in temporalibus,* w zarządzie dóbr stołowych. Wybór jego, zakres działania i odpowiedzialność za całość majątku biskupiego określała szczegółowo osobna, a pilnie jak oka w głowie strzeżona przez kapituły konstytucya synodalna arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jana Sprowskiego z r. 1459, przyjęta w prowincyi Kościoła lwowskiego w r. 1481 i, jak się zdaje, uwzględniona nawet przez sam sobór trydencki przy redakcyi dekretu jego reformacyjnego z 11 listopada 1563. Stwarza on na czas wakansu stolicy biskupiej podwójny w łonie kapituły organ rządu dyecezyą: administracyę majątkową porucza osobie jednego lub też kilku ekonomów, jak ich starodawnem zowie mianem wschodnich kanonów kościelnych; rząd zaś w sprawach duchownych oddaje w ręce oficyała lub wikarego, który z czasem przybrał nazwę wikarego kapitulnego, jaką nosi dotychczas, w odróżnieniu od biskupiego, chociaż i ten mógł być na tym urzędzie zatwierdzony[1]).

---

[1]) C. 16 S. XXIV de Reform. Konstytucya synodu łęczyckiego arcybiskupa Sprowskiego w zbiorach naszych synodalnych L. I De electione administratoris sede vacante. Jest też i w dekrecie trydenckim mowa o administracyi i administratorach. Po raz ostatni powołano się w Kościele naszym na tę konstytucyę synodalną Sprowskiego jeszcze przed synodem watykańskim, przy wyborze administratora dyecezyi krakowskiej X. Dra Karola Teligi w r. 1862 po nagłej śmierci X. Dra Mateusza Gładyszewicza.

Skład i charakter kapituły lwowskiej poznajmy od jej głowy. Administratorem po zejściu arcybiskupa Feliksa Ligęzy z Bobrku († 25 I 1560 w Dunajowie) wybrała kapituła najstarszego z pośrodka siebie kanonika, Adama Mniszkowskiego, który był proboszczem (prepozytem) szpitala św. Ducha oraz kolegium XX. mansyonarzy u św. Katarzyny na zamku niższym w mieście Lwowie. Z wieku przypadł mu ten urząd, i to na samą starość, która mu zeszła zaszczytnie także za nowego arcybiskupa przy jego boku: mianowany przez Pawła Tarłę wikaryuszem i oficyałem generalnym, zmarł roku czwartego jego rządów (27 I 1564), po trzydziestu przeszło latach życia spokojnego na kanonii (instytuowany na niej przed końcem kwietnia 1530). U arcybiskupa Piotra Starzechowskiego zażywał wielkiej powagi: był stałym jego wikaryuszem *in spiritualibus* (od 1544) i nawet jeszcze w pierwszych dwu latach rządów Ligęzy, dopóki mu tej godności nie zabrał ukochany tegoż oficyał generalny mistrz Jan Filipiades ze Lwowa. Ze spraw jego ledwie jedna godna jest zaznaczenia: dwie legacye piotrkowskie. Pierwszą odprawił imieniem swego arcybiskupa Starzechowskiego na synod prymacyalny prowincyi gnieźnieńskiej w Piotrkowie 1542 r. Drugą, w dwadzieścia lat potem, na sejm piotrkowski od kapituły, zawożąc przywileje jej majątkowe do rewizyi wraz z swoim kolegą-przyjacielem, Klemensem Poniatowskim. Kapituła wybrała ich swymi delegatami nie tylko z racyi starszeństwa i zamożności: obaj, Mniszkowski i Poniatowski, byli jedynymi w niej natenczas szlachcicami, — najmłodszy, świeżo przyjęty Stanisław Żochowski dorabiał się jeszcze na pisarstwie w grodzie lwowskim. Księgi kapitulne, w których zapiskach przeważa treść gospodarczo-ekonomiczna, zanotowały skrzętnie wyprawę tych posłów (odjazd ze Lwowa na św. Elżbietę 19 XI 1562) i oprawę, jaką i sami mieli: konie zaprzęgowe do dwu wozów a dwa pod wierzch *(equestres)*, które były własnością X. proboszcza, i jaką kapituła dała im ze swego: „poponę“ na wóz X. proboszcza Mniszkowskiego z sukna czy też z innej materyi nowo sprawioną; opatrzyła ich zarazem w grzywny, pilnie wpisane w osobną księgę rejestru dochodów i wydatków, z których ani jedna, w przeciwieństwie do miejskich, nie doszła naszych czasów; ponadto kapituła nasza plebejska zaszczyciła obu seniorów uchwałą jednomyślnie powziętą, że i nadal, jeśli tego wypadnie potrzeba, ci sami kanonicy mają jeździć od niej w każdem poselstwie, czy to na sejm przyszły, czy też dokąd indziej. Już przedtem Mniszkowski wraz z kanonikiem Stanisławem Starzechowskim wybierał się imieniem swojej kapituły na synod prymacyalny gnieźnieński, naznaczony na 1 lipca 1555 do Piotrkowa, synod ten jednak nie przyszedł do skutku, bo się sejm na czas nie skończył, a w dodatku przyszła wieść z Rzymu o śmierci papieża Juliusza III. Historyk kapituły lwowskiej, zwiedziony tytułem bakalarskim nauk wyzwolonych, jaki przydają

Mniszkowskiemu akty kapitulne omylnie parę razy w tych latach jego ostatnich, raz nawet własną ręką mistrza Jana Trzciany, zamianował go bakałarzem sztuk[1]). Sam przecież Mniszkowski

[1]) X. Franc. Zachariasiewicz w *Cod. Ossol.* 2591 i Przyjacielu chrześciańskiéy prawdy (R. VI [w Przemyślu, w Drukarni Biskupiéy Obr. Gr. Katol. 1838], 134).

Adam Mniszkowski jest wspomniany kanonikiem po raz pierwszy d. 7 V i X 1530 w *Aktach konsystorskich* arcybiskupstwa lwowskiego (T. I f. 81 i 83 wedle dolnej paginacyi, którą stale cytuję). Też akty mieszczą zapiski spraw za jego administracyi i oficyalatu przy Tarle (T. II, f. 513v—525v, 26—7, 428—436v [tu u góry f. 428 ręką mistrza Trzciany: *Sede vacante A⁰ 1560*] i 437—439v [tu też ręką naszego Trzciany wpisany jest jeden akt kapitulny o dzierżawie dóbr dziekańskich z 9 IX 1563, zdziałany wobec oficyała i wikaryusza A. Mniszkowskiego i tych świadków: nobilibus et discretis Petro Rogowski, Martino Popławski, Severino Piaseczki, **Petro Skarga** et aliis quamplurimis fide dignis circa premissa testibus]). Wikaryat jego dawniejszy za Starzechowskiego i Ligęzy stwierdza się temiż aktami konsystorza lwowskiego, głównie za oficyalatu mistrza Jana Tucholczyka, jeden raz tylko nasz Mniszkowski wypisany jest wtedy, przez pomyłkę lub zastępczo, także oficyałem generalnym (T. I, f. 518, 724, 741, 265v i 267v, 760v, 629, 633 i vo, 299v i passim). Tamże prepozytura jego szpitalna tudzież zamkowa u św. Katarzyny, ta ostatnia już 21 IV 1528 i 1 X 1529, kiedy jeszcze nie był kanonikiem i potem (I, f. 127, 145v, 108), aż do ostatka 1563 (T. II, f. 31—32v). Jako notaryusz castri Leopoliensis 1527 w aktach jego (*Castr. Leop.* T. XI w Archiwum t. zw. Bernardyńskiem we Lwowie). Również, co jest oczywistem, w *Aktach kapitulnych* są liczne o nim wzmianki, o ile był obecny na posiedzeniach kapituły lub sprawował jej prokuratoryę (w T. I, 324 zapisek własnoręczny mistrza Jana Trzciany o kapitule jeneralnej w Wielkim Poście 1559; por. str. 334 kapituła wielkopostna 1560 i na św. Trójcę ow. r. str. 338—9, 345—6, także omówiony niżej *Dipl. Ossol.* Nr. 353 z 12 I 1562). Poselstwo jego od kapituły zamierzone na synod prowincyonalny gnieźnieński „Synodus primatica“ w Piotrkowie 1 VII 1555 w tychże aktach (T. I, 270).

Rok śmierci 1564 w zapisku inwentarzowym mistrza Jana Trzciany w aktach kapitulnych (T. I, 362): „Argentum ac alia donata pro Capitulo a. 1564. In primis cyphi duo post mortem olim V. dni Adami Mnyskovski per executores eius redditi... valoris uni[us] marcae minus ½ lothi [pół łuta], forma eadem... [z wyrysowanym obok jednym dzbankiem] quia tectura desuper ... unus in altero. Kubki te donati erant olim V. D. Nicolao Poniatovski [† 21 VIII 1548, tamże str. 223] et eidem testatori [Mniszkowskiemu] per olim R. dnum Petrum Starzechowski in susceptione eius,

nigdy nie używa stopnia akademickiego, ani nie można się go doszukać w księgach uniwersyteckich. Tylko plebeje szczycą się naonczas stopniem naukowym, bo jedynie studyum uniwersyteckie otwiera im drogę w Kościele do beneficyów kapitulnych. Nawet do urzędu notaryalnego w sądach ziemskich i grodzkich nie dopuszczała ich brać szlachecka, uczyniwszy go swoim wyłącznie rezerwatem. Urodzony Adam Mniszkowski daje tego przykład. Szlacheckiego rodu, podobno rzeczywiście herbu Drzewica z Mniszkowa w Opoczyńskiem województwa sandomirskiego, następnie w województwie bełzkiem — został kanonikiem z pisarza grodzkiego na zamku, obrawszy sobie już przedtem stan i chleb duchowny, albowiem proboszczem był zarazem XX. mansyonarzy u św. Katarzyny na zamku niższym i proboszczem szpitalnym w mieście u św. Ducha, po kanoniku Stanisławie Wilczku, bratanku Bernardyna, arcybiskupa lwowskiego. Już jako proboszcz (*praepositus*) szpitalny znajdował się na drodze do kapituły. Nie należał jeszcze do jej gremium, atoli zarówno jak i dziekan lwowski a rektor kościoła św. Jana na przedmieściu krakowskiem, w moc statutów jej z r. 1513 miał przyznane sobie pewne honory kanonickie w samej katedrze, oprócz miejsca w chórze

---

deo uterque post mortem capitulo donavit". Umarł zaś przed 27 III 1564, albowiem wtedy „generosus Stanislaus Zochowski, notarius castrensis Leopoliensis i kanonik lwowski jest już proboszczem szpitalnym św. Ducha, który „in locum notariatus officii sui generosum Stanislaum Czygalka locavit". Tenże Żochowski wraz z kanonikiem Klemensem Poniatowskim i burmistrzem lwowskim, Janem Zaleskim, był egzekutorem testamentu Mniszkowskiego (*Acta Castr. Leopol.* T. 37 str. 243—5 i 287—8). Dzień zejścia 27 stycznia podaje zapisek kapitulny o anniwersarzu za Mniszkowskiego, ufundowanym przez wdzięczną kapitułę na lat piętnaście (*Akt. kapit.* T. III, 81—82). Tutaj str. 54—55 rzecz o legacyi obu seniorów kapitulnych na sejm piotrkowski 1562—3. Wyraz „popona" w zdaniu: tectura vero ad currum alias *popona* capituli de novo panno parata. Miał też i mistrz Walenty z Pilzna, wspomniany poniżej kanonik lwowski († 1552) „*rydwan* cum *popona*" (*Akt. konsyst.* T. I f. 633).

Pochodzenie szlacheckie i klejnot na podstawie danych w Liber benef. Łaskiego (ed. X. Dra J. Łukowskiego T. I [Gniezno, 1880], 633) i Niesieckiego (T. VI ed. lipskiej [1841], 442). Przypuszczenie o pochodzeniu jego z Mniszkowa w Sandomirskiem okazało się uzasadnione: w sąsiednim Wolborzu w ziemi już sieradzkiej posiada swą dziedzinę 1550 r., będąc naonczas wikaryuszem in spir. arcybpa Starzechowskiego (*Akt. radz. m. Lwowa* T. IV, 1093 nr. 1554).

i przy procesyach, ten mianowicie, iż na równi z kanonikami mógł w niej celebrować przed wielkim ołtarzem [1]).

Obaj ci pierwsi przedstawiciele duchowieństwa lwowskiego poza kapitułą metropolitalną, dziekan świętojański i proboszcz szpitalny, weszli rychło do niej, inkorporowani do jej stołu ze swemi beneficyami. Rzecz przygotowywana statecznie przez kapitułę za życia Mniszkowskiego, dokonała się po jego śmierci, za następcy jego, który również z pisarstwa na zamku lwowskim, na jakie się dostał ze służby wojewody sandomirskiego a starosty przemyskiego, Spytka Jordana z Zakliczyna, doszedł do stall kanoniczych, zasiadając już w nich w pierwszych latach arcybiskupstwa Tarły (jesienią r. 1561), pewnie za jego i Mniszkowskiego sprawą. To Stanisław Żochowski, może herbu Brodzic ale pewnie z ziemi bełzkiej, probostwo szpitalne z prezenty rajców miasta biorący po Mniszkowskim, którego testamentu, wraz z Klemensem Poniatowskim, kolegą swoim w kapitule szlacheckim, był egzekutorem. Za rządów arcybiskupa Tarły chowa się ta figura jeszcze w cieniu. Stanisław Żochowski pozostaje stale kanonikiem najmłodszym, w życiu kościelnem i kapitulnem żadnego nie bierze udziału; bodaj czy przyjął od razu święcenia kapłańskie, do czego był święcie obowiązany, dzierżąc prepozyturę szpitala św. Ducha z pieczą dusz połączoną; z urzędem notaryuszowskim nie rozłączył się jeszcze za pobytu Commendonego we Lwowie (w jesieni 1564) [2]). Lecz rychło przerósł wszystkich, i wywrotową

---

[1]) De celebracione missarum ad maius altare w *Statuta Capituli Sancte Metropolitane Leopoliensis Ecclesie* z r. 1513 k. 4v (Oryg. perg. w 4ce w *Archiwum kapit. lwow.* Loc. 29).

[2]) *Aktów kapit. lwow.* T III, 94 (w składzie kapituły 31 X 1564 ostatni w niej: Stanisław Żochowski „castri notarius"), 14—15 (Opcio habitacionis per dominum Stanislaum Zochowski 30 X 1561. W tekście: „Vener. dnus St. Z. canonicus Leopoliensis, protunc nottarius arcis Leopol., nondum sacris iniciatus" ...ale kapituła miała „respectum idoneitatis illius, quum possit reipublice nostre prodesse").

Rzecz o **Żochowskim** na podstawie aktów grodzkich (j. w.), radzieckich, kapitulnych z dokumentami i konsystorskich (np. w T. II f. 59v i 60v, tudzież w *Acta actor.* arcybiskupa Solikowskiego str. 197—8; por. Z a c h a r i a s i e w i c z l. c. w Cod. Ossol. 2591 i w Przyjacielu chrześc. prawdy str. 138—9). Pochodził zapewne z tych samych Żochowskich ziemi bełzkiej, z których Mikołaj był wojskim buskim 1487—1499 (AGZ. XIX [1906], 367 nr. 2049—459, nr. DLXXIV). W służbie wojewody sandomirskiego i starosty przemyskiego, kamioneckiego etc. w lutym 1556 (*Akt. radz. m. Lwowa* T. V, 346—7 nr. 480). — Poprzednikami jego na pisarstwie zamku lwowskiego po Mniszkowskim, o ile dostrzegło się ich w *aktach konsyst. lwow.*, byli szlachetni Andrzej z Jeżowa i Stanisław Ma-

w dziejach kapituły lwowskiej odegrał rolę. Po pięciu latach zostaje w niej pierwszym dygnitarzem, jako pierwszy prałat-dziekan wybrany z jej grona (6 X 1569), krótko przedtem będąc za prezentą królewską instytuowany na parafią w Prusach pode Lwowem (20 maja); zamienił ją później na prepozyturę (probostwo) w Kulikowie nadawstwa wojewody ruskiego. W kapitule, nie tracąc dziekanii, która była pierwszą po arcybiskupstwie godnością kościoła lwowskiego, dopiero za czasów austryackich na drugie miejsce wypartą przez proboszcza, doczekał się jeszcze drugiej inkorporacyi, wcielenia do kapituły swego własnego probostwa św. Ducha. Dokonało się ono nie bez sprzeciwu ojców miasta, którzy za utracone prawo patronatu tego szpitala na rzecz kapituły, wytargowali na niej po długim procesie prezentę jednej kanonii dla siebie. Stanisław Żochowski, pierwszy dziekan i zarazem proboszcz kapitulny (od 1578) w jednej osobie, zmarł za arcybiskupstwa Solikowskiego (w połowie 1588). Kiedy przed laty wchodził do kapituły, chętnie został przez nią przyjęty i otrzymał jedno z lepszych mieszkań w jej domu, acz był najmłodszym, wiele bowiem kapituła spodziewała się „swojej rzeczypospolitej po jego zdolnościach“, po jego piórze; nie przeczuwała wtedy, w jakim kierunku obróci je za lat dziesięć. On to wraz z grupą młodszych kanoników przyłożył swą rękę do jej uszlachcenia. Póki żyli starzy, nie można jeszcze było tego dzieła przeprowadzić.

Do starych zaliczał się wspomniany już Klemens Poniatowski, idący w kapitule zaraz po X. proboszczu Mniszkowskim. W aktach kapitulnych pisany jest często Poniątowskim (tak wymawiano), z przydatkiem nieraz tytułu szlacheckiego, z którym po raz pierwszy ukazuje się jako *factor*-rządca („sprawca“) wsi kapitulnej Wi[e]rzbiąża. To były pierwsze początki chleba jego duchownego przy kościele lwowskim. Podał mu go stary, od lat blizko trzydziestu kanonik metropolitalny, Mikołaj Poniatowski, stryj niezawodnie, przybierając go sobie w niedługim potem czasie, gdyż sam był już w latach i pracą kapitulną sterany, na koadjutora swojej kanonii (przed 20 VII 1545). Młodszy Poniatowski wszedł na nią po śmierci Mikołaja (1548), i dopiero wtedy przez akt habilitacyi, t. j. pierwszą celebrę kapitulną, śpiewając osobiście mszę cały tydzień przed wielkim ołtarzem, jaka przypadła na niego koleją starszeństwa, nabył prawo do poborów

---

leczkowski 21 IX 1544 oraz stary kawaler Jakób Ścibor 1551 i 1553 (*Akt. radz. m. Lwowa* T. IV, 1360 nr. 1931 i *Akt. kons. lw.* T. I f. 603v i 643; Ścibor żyje jeszcze pod jesień 1556 ale już nie jest notaryuszem, za służbę i opiekę w ciężkiej chorobie zapisuje wtedy Dorocie Fuczkownie sumę 130 złotych z całą ruchomością na swej kamienicy przy ulicy Szewskiej we Lwowie, *Akt. radz.* T. V, 470—2 nr. 642).

kapitulnych. Kanonik bez habilitacyi liturgicznej w katedrze nie miał żadnej percepcyi z dochodów stołu kapituły, aczkolwiek był już instytuowany i posiadał w chórze swoje stallum a głos w kapitule, i mieszkał w jej domu; o tę habilitacyę trzeba było prosić osobno kapitułę, aby zezwoliła na nią swą uchwałą. Tak nakazywały jej statuty, przestrzegane z całym zawsze rygorem[1]). Obok kanonii posiadał w katedrze i altaryę, pewnie zrazu w spadku po starym X. Mikołaju, a więc w kaplicy Buczackich, do której wnet potem, z łaski arcybiskupa Solikowskiego, jezuici się dostali. Pod koniec życia nasz Klemens siedzi na innej altaryi szlacheckiej, Żórawińskich, co stała pod dzwonnicą katedry, a dzierży ją po mistrzu Tucholczyku, który przybrał go sobie na niej za koadjutora, wszystkie jej dochody puściwszy w arendę. Wszedł i w stanowisko gospodarcze swego stryja w kapitule jako dóbr jej tenutaryusz, wsi i dochodów wraz z folwarkami Wierzbiążem i Piekułowicami i pozostał nim do śmierci, także w tym charakterze pisany prokuratorem lub nawet faktorem, prokuratoryę nadto domu często sprawując. W kapitule reprezentował najtęższą siłę ekonomiczną, cały się jej oddał, plebanii zdaje się nie posiadał. Wyżniańską, jaką miał kanonik Mikołaj, zdał tenże innemu swemu krewniakowi, Marcinowi Poniatowskiemu, synowi Jana, który z Krakowa, po dwu latach studyów uniwersyteckich przywiózł sobie stopień bakalarski, i w kościele lwowskim, przy możnym opiekunie, znalazł trwałą lokacyę. Bakałarz Marcin odstąpioną sobie parafię szlachecką w Wyżnianach (29 IX 1540), jako to było zwyczajem, rządził przez komendarza, sam zaś przy katedrze pozostał na mansyonaryi, bo kanonii, o którą zabiegał, nie dostał, tylko w kolegium XX. mansyonarzy fundacyi Mikołaja Odnowskiego z Fulsztyna, kasztelana przemyskiego i starosty lwowsko-ruskiego, z księdza mensarza *honorabilis* został ich proboszczem *venerabilis*[2]).

---

[1]) Rubryka XXIV t. j. ostatni artykuł statutów kapitulnych z r. 1513 „De incepcione participacionis Canonici noviter assumpti" (por. T. Pirawskiego Relatio status, str. 59 na dole).

[2]) **Poniatowscy** z aktów kapitulnych i konsystorskich. W szczególności: Marcin Janów de Ponyacowo [sic] dyec. krak., zaimmatrykułowany w uniw. Jagiell., z całą odrazu opłatą, w lecie 1532 (AS. II [1892], 265), zostaje bakałarzem sztuk na św. Krzyż w terminie jesiennym 1534 (LPr. str. 190 z dobrym dopiskiem »plebanus"). Rezygnacya z parafii wyżniańskiej kanonika Mikołaja na rzecz bakałarza i mansyonarza Marcina i reszta o nim wiadomości (*Akt. konsyst. lwow.* T. I f. 471 i vo, 298 i nstpn.; por. T. I f. 671, 639; T. II f. 540v—543, 404v, 370 — 371 i passim, często bowiem w konsystorzu świadkuje, także w sądach świeckich *Act. Castr. Leop.* XXIX, 234). — Klemensa Poniatowskiego habilitacya w 20-tą niedzielę po św. Trójcy, 7 X 1548, w półtora miesiąca po śmierci Mikołaja (*Akt. kapit. lwow.* T. I, 223); koadjutorya 1545—1548

Klemens przeżył Marcina. Zmarł po krótkiej chorobie (w czerwcu 1571), dobrą pamięć swego imienia przekazując obu swoim rodzinom, duchownej: kapitule z kościołami, i ziemskiej: Poniatowskim. Obie daje nam poznać testament jego łacińsko-polski, w którym wyczytuje się rodzeństwo i pochodzenie jego, zasobną kieszeń i umysł pobożny; mając zaś na względzie sprawy jego żywota i otoczenie, trzeba się wyrazić: syn szlachecki w mieszczańską przyoblekł się skórę i duszę. W historyi domu Poniatowskich obaj kanonicy niepoślednią odegrali rolę: prócz zaopatrzenia jakie mu dali, związali go z ziemią i gospodarstwem kościoła lwowskiego, jego kapituły i arcybiskupstwa. Jeszcze po upływie wieku spotykamy w ich dobrach na dzierżawie Poniatowskich. Np. arcybiskup Mikołaj Krosnowski wraz z kapitułą „mając wzgląd i baczenie na pracowite usługi urodzonego Adama Poniatowskiego urzędnika na ten czas stawczańskiego, które nam wiernie i życzliwie w zawiadowaniu folwarku naszego oddawać nie przestawa“, daje mu i żonie jego, Dorocie z Kołkowa „w dożywocie we wsi swojej Stawczanach łąn pola i zagród sześć z wszytkiemi ogrodami, sianożęciami, pastwiskami, gruntami, pożytkami“. Obaj kanonicy lwowscy są pierwszymi przedstawicielami historycznymi rozrodzonego tego domu Ciołków al. Junosza drobno szlacheckiego, któremu ojczyznę za Paprockim daje się Mazowsze. Gniazdem naszych Poniatowskich była Poniatowa lubelska, wieś w starej Maciejowskich parafii kłodnickiej, zmienionej przez nich w tych właśnie czasach na farę miejską o nazwie Chodel, przez kardynała Bernata jezuitom oddaną. Na kościół w Chodlu krótko przedtem murowany, nasz kanonik Klemens legował trzydzieści złotych, gdyż ojczystą był mu świątynią,

---

(Tamże T. II, 66, 71, 75 i 82 oraz *Akt. kons.* T. I, f. 730) i faktorstwo (*Akt. kapit.* T. I, 166 na dole i passim jako prokurator dóbr kapitulnych, np. w latach ostatnich T. I, 269, 327—8, 334 i 335, 339; tudzież *Akt. kons.* T. I, f. 682 tu 1541 jak i T. I, f. 730 r. 1545: de Ponyatowa); altarya Buczackich i Żurawińskich w katedrze lwowskiej, przez Poniatowskich dzierżona 1540, 1559 i 1571 (*Akt. kons.* T. I, f. 472; T. II, f. 416v i nstpn. oraz w testamencie Klemensa); testament z 26 IV 1571 tamże T. II, f. 552—554 i szereg aktów jego egzekucyi f. 554v—5 i nstpn., szczególniej f. 558, 572 [tudzież f. 538]; umarł po kapitule jeneralnej na św. Trójcę 11 czerwca a przed 6 lipca 1571 (*Akt. kapit.* T. III, 151 i *kons.* T. II, f. 551v). — Inni Poniatowscy w testamencie Klemensowym i dalszych jego aktach oraz w *Akt. kapit.* T. III, 128 i *kons.* arcybpa M. Krosnowskiego fol. 13v—14 pod 1647 oblata przywileju polskiego od tegoż z 12 X 1646 Adama Poniatowskiego. — **Poniatowa** lubelska (Długosz, LBen. II, 547; Pawiński, ZD. XIV, Małopolska T. III, 358 i 370 i schematyzmy dyecezalne).

tyle i swej katedrze metropolitalnej, co go wychowała i ubogaciła, zostawił. Stąd wyszli Poniatowscy, mnogo rozrodzeni. Już za czasów Długosza ciasno im było w własnym ich domu, tem więcej, że nie oni sami w nim siedzieli. Rodzeństwo kanonika lwowskiego liczniejsze było i bardziej potrzebujące, aniżeli kościoły i szpitale lwowskie. Tym ostatnim po dziesięć złotych zapisał, *Mniskom*, t. j. Tercyankom bernardyńskim dał sześć, samym tylko Dominikanom nic nie ofiarował prócz tego jednego złotego, jaki im przypadł na równi z wszystkimi innymi mnichami, dawany zwyczajem dystrybucyi żałobnej zaraz po zgonie; za to biedaków w obu szpitalach miejskich, u św. Ducha i Stanisława, uraczyć kazał dobrym obiadem z pieprzem i piwem; upomniał przytem kanoników egzekutorów ostatniej swej woli, co po pięć złotych za swą fatygę dostali, by piwo było dobre. Pogrzeb zadysponował sobie skromny, za gotówkę stu złotych wraz z trycezymami na msze (dnia trzydziestego po śmierci) dla księży, miał ją w stole schowaną, bo wydzielił ją osobno, reszta w sakiewkach. Anniwersarz w katedrze z dwustu złotych ufundował, przyczem jako doświadczony prokurator a dobry gospodarz uchronił kler i służbę kościelną od kłótni i wodzenia się po konsystorzu: oznaczył co do grosza, ile złotych (6) kanonicy a ile groszy (20) wikaryusze mają pobrać za to roczne nabożeństwo żałobne, za wigilie i rekwiem, dzwonnicy zaś za podzwonne (18). Odprawiali je i „Barnadyni“ u siebie za tą samą co i wikaryusze katedralni opłatą, prócz tego kaznodzieja bernardyński [1]) otrzymywał dziesięć groszy *pro communi oracione*, t. j. na wypominki duszy zmarłego z modlitwą ludu, prawione po kazaniu w Kościele naszym polskim co najmniej od wieku XIII-go aż po dzień dzisiejszy. Po kościołach i potrzebach dusznych rodzina i majętność ziemska, wszakże nie wszyscy z rodzeństwa. Wawrzyńcowi — co był przy boku jego, z folwarku Wierzbiąża opłacany — Bartłomiejowi i braciom Bartłomieja, synowcom swoim, rozporządził „nie trzeba jem nic

---

[1]) Był nim podówczas, 1561 r., Floryan Lesiowski (*Akt. radzieckie m. Lwowa* T. VI, 397 nr. 694), czyżby h. Ogończyk? — Wspomniana przez Pirawskiego kamienica t. zw. „Pulka“ (!), z której kapituła pobierała czynsz 24 zł. na anniwersarz Mikołaja Poniatowskiego, odprawiany 10 sierpnia (Relatio status, str. 62), to ani wątpić kamienica urodzonego Andrzeja Pełki „Pelka“, sędziego ziemi halickiej, przyległa do Temriczowskiej w rynku (Akt. radz. m. Lwowa T. IV, 1298—9 nr. 1839 i str. 1341 nr. 1905). Pełka ten z Grabnowic pod Brzozowem dyec. przem. w onych właśnie latach był sędzią halickim 1543—1551.

Nie brak jest szlachciców, osiadłych natenczas w mieście Lwowie: Jakóba Ścibora z kamienicą przy ulicy Szewskiej w tych również latach wspomniało się wyżej w uwadze o Żochowskim; o Starzechowskich rzecz zaraz w tekście poniżej.

dawać *quia propinquiores sunt germani*". Pieniądz, jaki miał na długach u szlachty i mieszczan lwowskich, ludzież sprzęt domowy i swe suknie, poza sumą 90 złotych na okrycie uczciwych dziewcząt, przekazał obu swym braciom rodzonym, przyjaciołom najdroższym, ich i po siostrze Annie dzieciom, darowawszy wprzód swe „klaczy wszytki Jego Mości Panu Piotrowi Boreckiemu". Bratu Feliksowi wyznaczył 40 zł. z tem wszakże, by dał z tego po 10 zł. swoim córkom, żonie Mikołaja Sługockiego i drugiej. Drugi brat, Sebastyan, miał zapisanych sobie i swym dzieciom 70 zł., dzieci po Annie 50 zł., tyleż i siostrzenica, żona Bobrka. Po legaty, w połowie wydostając je na razie, zgłosili się: brat Sebastyan, imieniem zaś Feliksa syn jego Jan, Andrzej za swą żonę Elżbietę i siostrzenicę oraz Stanisław siostrzeniec, Poniatowskiego nazwisko noszący (wśród świadków występuje Kasper Poniatowski, może jeden z synowców). Tymże przypadł ubiór i sprzęt nieboszczyka:

> Felici, fratri germano... coclearia argentea quatuor. Subductam [1]) czamlethu dzikiego brzuski a gardly lisiemy pothbithą y brama w kolo ochedoznie podssitho. Eidem zupicza axamithna, gladium, arcabus. Sebastiano, fratri germano... subductam grzbiethi lissiemy pothbithą sukna łunskiego et quatuor coclearia argentea. Zupicza muchaierowa dzika s pethliczamy czarnemy do et lego... Item uxori Bobrek, sororinae meae... subductam czamlethu dzikiego pothssitha kunamy, pierzine wierzchnia poduskę ktorą ssobie obierze, przescziradlo s posewkamy do et lego... Pelliceam bobrowi uxori Czieluscina do et lego. Lethnik czamlethowi czarny kithaika czarna przodki potssithę filiae senioris Felicis fratris germani do et lego. Drugi lethnik czamlethowi czarny, kithaika zieliona na przodku oblozony Dorotheae Riczownie garbarcze do et lego; eidem fl. decem do et lego. Koldre in medio cziagatura tureczka varii coloris in circuitu kithaiką rubei coloris obłozona y bawełna dobrze nałozona y przessiwana pulchre uxori Nicolai Slugoczki do et lego. Cyphum argenteum et lodicem maiorem Capitulo do et lego. Alium lodicem minorem coloris rubei, viridi, glauci et albi Erasmo, sororino meo, do et lego. Tertium lodicem antiquum Sebastiano, fratri germano, y muchaierowa lnankę dzika s guziki czarnemy do et lego. Miczkę axamithna nową sobolem pothbitha y brama dobra wkolo pothssitha uxori Felicis fratris germani do et lego. Drugą miczkę axamithna kuna y bobrem dobrem pothbitha sororine Czielusczina do et lego. Domino Praedicatori komzą ktora sobie obierze, biereth axamithny sobolim pothssithy do et lego, ut deum omnipotentem pro anima oret. Drugą komzą sacerdoti indigenti do-

---

[1]) Subducta = szuba (to samo: subsuta).

mini exequutores dabunt. Pulvinaria tria fratribus germanis do et lego. Tunicam pluvialem sacerdoti etiam indigenti detur. Tunicam nigram uterfinowa[1]) sacerdoti indigenti ac honesto do et lego. (*Akt. kons. lwow.* T. II f. 552v — 553v).

A co kapitule? W zapiskach inwentarzowych jej aktów spotyka się tylko jedna wiadomość o darowiźnie jej przezeń uczynionej „Shalye una cum pondere unius talenti", t. j. szale, odpowiadające wspomnianej w testamencie oponce większej. Byłoby to niezmiernie mało. Dowodem obrotności jego finansowej i zarazem rąk uczciwych jest zaufanie, jakiem go darzyli wszyscy konfratrzy kapitulni: X. Klemens Poniatowski jest stałym egzekutorem testamentu wszystkich swoich kolegów a i arcybiskupów niektórych. Co o drugich zwykł mawiać przy tej sposobności, to i o nim trzeba powtórzyć: *ut sit (in) memoria*, tem więcej, że pieniądze się rozeszły ale została po nim książka, zachowana w oprawie spółczesnej do dziś dnia w bibliotece katedralnej. Nabyta przez niego w r. 1552 za groszy 44 oddaje świadectwo jej właścicielowi, że nie darmo kapituła lwowska, świadoma mocy i doniosłości ruchu synodalnego, przedstawicielstwo w nim swoje zwierza Klemensowi Poniatowskiemu. Jestto częściowy synodyk kościoła niemieckiego, wyszły wówczas drukiem w Paryżu (apud Jacobum Dupuys 1550, 8°) i zaraz, jak można powiedzieć, do Lwowa przywieziony.

Nabywca opatrzył go zapiskiem własnoręcznym u góry na karcie tytułowej: *Clementis Ponijathowskij Canonici Leopolien. emptus gr. 44. Anno dni 1552.* Obejmuje „Canones Concilii Provincialis Coloniensis a. celebrati M. D. XXXVI" [1536] wraz z „Enchiridion Christianae institutionis", podręcznikiem nauki chrześcijańskiej teologa kolońskiego Jana Groppera (genezą, układem i wydaniem jak i Hozyuszowa później konfessya piotrkowska) na tym synodzie kolońskim ogłoszonym i z zasłużonem wszędzie uznaniem, początkowo także w Rzymie przyjętym, lecz później, za opinią jezuitów Bellarmina i Possewina, na indeksie umieszczonym. Poprzedza go dodana do tego synodu znana i z naszych druków „Reformatio Cleri Germaniae ad correctionem vitae et morum ac ad removendos abusus" kardynała-legata Wawrzyńca [Campeggio] z datą w Ratysbonie 1524 nonas Julii; następują sta-

---

[1]) *Uterfinum na suknią* dostają strzelcy Gabryela Tarły, kasztelana radomskiego, testamentem jego po polsku pisanym 30 III 1565 (Kopiaryusz dóbr i zapisów wojewody Jerzego Mniszcha z r. 1600, dziś własność Dra Al. Czołowskiego we Lwowie, zob. Tarłów Zygmuntowskich w warszawskim *Przeglądzie historycznym* t. b. r.)

tuty synodalne Walentego, biskupa hildesheimskiego z 17 III 1539 oraz „Formula viuendi canonicorum, vicariorum et aliorum presbyterorum secularium. Sic psalmum dicam...“. Jest w tym skarbcu katedry lwowskiej i jej wikaryuszów własność podobna: wydanie spółczesne, kolońskie z r. 1538 fol., tychże statutów synodalnych i katechizmu protagonisty kościoła kolońskiego: Canones Concilii Provincialis sub Reverendiss. in Christo patre ac dno D. Hermanno S. Colon. Ecclesiae Archiepiscopo... celebrati A. 1536. Quibus adiectum est Enchiridion Christianae institutionis — doskonale zachowane (w oprawie w. XVIII), bo nic nie używane[1]).

Trzeci u czoła kapituły, po Mniszkowskim i Poniatowskim, stał Zygmunt Grotowski. Wiekiem i hierarchicznie najmłodszy między nimi, najwcześniej zszedł z tego świata, jeszcze przed prekonizacyą arcybiskupa Tarły (w lecie — jesieni 1560, po Nawiedzeniu MBoskiej a przed św. Elżbietą): ostatni kanonik lwowski jako pleban halicki na mocy prebendy św. Stanisława za miastem Haliczem. Tytularny to był kanonikat halicki w katedrze lwowskiej, sięgający początków jej kapituły a teraz już stanowczo przez nią zniesiony: następcy Grotowskiego, kuraci fary halickiej, Józef z Wąchocka i z plebana w Chodorostawie Tomasz Trzemeski, pleban zarazem w Buszczach tejże dyecezyi, już nie są kanonikami lwowskimi. Sam Grotowski znalazł łaskę w oczach kapituły, dzięki tylko poparciu ze strony wielce możnego jej członka, doktora dekretów Marcina z Kurowa, który jako rezydujący więcej w Przemyślu, gdzie był kustoszem (a przytem archidyakonem kolegiaty sandeckiej), przybrał sobie Grotowskiego na koadjutora kanonii lwowskiej (1547). Kapituła nasza liczyła się z doktorem Kurowem nie tylko dla powagi stopnia jego akademickiego, który mu przyniósł tutaj oficyalat z wikaryatem generalnym w pierwszych latach rządów Starzechowskiego, przybyłego jak wiadomo z Przemyśla, lecz jeszcze więcej dla jego pieniędzy, jakich jej chętnie pożyczał i na zbożne umiał użyć cele: z dochodów ko-

[1]) O tym synodzie prowincyi kolońskiej z marca 1536, oraz dekretach jego, które jak i Enchiridion są dziełem X. Dra Groppera, prawi teraz Dr. Wilhelm van Gulik, Johann Gropper (1503 bis 1559, zmarł mianowany kardynałem przez Pawła IV). Ein Beitrag zur Kirchengeschichte Deutschlands, besonders der Rheinlande im 16 Jahrh. [Erläuterungen und Ergänzungen zu Janssens Geschichte des deutschen Volkes. Hrsgb. von Ludwig Pastor. V Bd. 1 u. 2 H., Freiburg i. B., 1906], str. 50 i nastpn.; wydania paryskiego autor nie przytacza. Stosunek konfessyi Hozyuszowej do dzieła Groppera zaznaczony tutaj przezemnie, nie wyczerpuje oczywiście całej jej, genezy.

ścielnych pobrane, nie najmniej z arendy parafii królewskiej w Szczyrzycu ziemi lwowskiej, wdzięczną zapewniły mu pamięć na długie lata całego Lwowa. Wzięli z jego fundacyj i hojnych zapisów wszyscy: katedra, miasto, zakony, ubodzy, lecz najszczerzej modliły się za duszę jego biedne sieroty, które z jego legatu za mąż wychodziły (testamentem z r. 1553); zapis ostatni godny pamięci jako rzetelnie Skargowy a przed Skargą w duchu Frycza uczyniony, za przykładem włoskim przez sfery uniwersyteckie do nas idącym. I X. Zygmunt Grotowski dbały był na grosz nie mało, lecz mimo ciężkiej choroby nie rozporządził nim wcale, zabrała go też śmierć bez testamentu. Niewiele dostało się po nim w spadku kapitule: ledwie dziesięć łyżek srebrnych po pół grzywny każda, dwanaście talerzy cynowych z herbem jego i oponka czerwono-niebieska, za życia jeszcze jej przeznaczone. „Niech żyje w Chrystusie“ i za to, westchnęła kapituła, wciągając te dary w swe noty inwentarzowe. Prócz tego, kiedy był żyw jeszcze, iż własnym sumptem sień dużą w domu kapitulnym ozdobnie wysklepił, uchwaliła odprawiać po jego śmierci przez lat piętnaście anniwersarz z wiliami o trzech nokturnach i mszą. Kłopot wszakże miała z braterstwem jego o podział z sobą pozostałych ruchomości, z których część przywłaszczyła sobie za służbę niezapłaconą Barbara Łękawczanka, córka Pawła tkacza, jako też o gotówkę do tysiąca złotych, rozrzuconą na pożyczkach sławetnych obywateli miasta Lwowa, Jana Duchny złotnika, Tomasza Sołtysowicza i innych; trzeba było dopiero ściągać ją od nich a z rodziną się układać i sądem godzić polubownym. Ugodą przed sądem konsystorskim, zdziałaną jeszcze za administracyi X. proboszcza Mniszkowskiego (4 XII 1560) i zaraz potem ingrossowaną w aktach radzieckich, kapituła, po strąceniu długów nieboszczyka i kosztów jego pogrzebu, zadawalała się prawie trzecią częścią z sumy powyższej, z czego zaraz pięćdziesiąt złotych dano na restauracyę katedry, dach ceglany mającej zapadły. Resztę majętności, w pieniądzach i sprzętach, wśród których ceniono najwięcej sygnet złoty nieboszczyka i okrycie łóżka alias *koldra*, zabierał rodzony brat jego, szlachetny Marcin Grotowski ze wsi Grotowa ziemi czerskiej, wraz z swą siostrą Anną, żoną sławetnego Macieja złotnika i obywatela krakowskiego; oboje też z przypadłego sobie zboża w gumnie wsi Chrostów w Halickiem winni byli złożyć dziesięć grzywien na fabrykę kościoła w Haliczu i wypłacić tam duchowieństwu jego i ludziom kościelnym zaległość służbową. Z szlachty mazowieckiej Rawiczów z Grotowa pod Grojcem, ojczyzny Skargi, pochodził tedy nasz kanonik [1]).

---

[1]) **Zygmunt Grotowski,** pleban halicki po Stanisławie h. Ostoja Ulewskim z Lubelskiego, instytuowanym 19 XI 1532 ad canonicatum seu presbiterum Leopoliensem fundi Sancti Stanislai in

Nietylko zagrodowi Grotowscy, których część spotyka się osiadłą wtedy w ziemi bełzkiej, ale także inne rody rycerskie kojarzyły się przez małżeństwa z stanem mieszczańskim lub wprost w niego wsiąkały. By pozostać przy Lwowie w onych jeszcze czasach, Leliwici Starzechowscy dają tego przykład. Do spadku po sędziwym arcybiskupie Piotrze († 1 X 1554), którego testamentu egzekutorem, prócz kanoników, był „pan kościelny“ (vitricus katedralny) a rajca miejski Hieronim Zapała, obok ławnika a szewca z zawodu Stanisława Gąsianogi, najbliższy z kół mieszczańskich sferom duchownym, zgłaszają się krewniacy tegoż arcybiskupa. Nie wypierał się ich zacny pasterz, ani o nich zapomniał. Taki np. sławetny Jakób Starzechowski, pan kamieniczny w rynku, ożeniony z podletnią Anną Gruszjanową, t. j. wdową po rajcy Janie Gruszu, otrzymuje po nim skrzynkę opieczętowaną z jakiemś pismem nieboszczyka; nie łatwo przyszło mu ją wydostać, dopiero po latach odebrał ją od arcybiskupa Tarły za pośrednictwem jego tolumfackiego kanonika, mistrza Filipiadesa. Inny Starzechowski, szlachetny Krzysztof, przyżenił się do cnej Zofii

---

Halicz et ad parochialem ecclesiam in prefata Halicz, jest nim przed 24 V 1540, kiedy zaczyna procesy z ziemianami i mieszczanami halickimi o dziesięciny i prawa swego kościoła (*Akt. konsyst.* T. I f. 89v — 90, 654v i 470v); następcy jego przy kościele paraf. w Haliczu et ad praebendam ibidem tituli S. Stanislai extra oppidum (Tamże T. II f. 39 v i 40 pod r. 1566). Kanonikiem lwowskim i kuratem w Haliczu (Tamże T. I f. 507). Koadjutorem dra Marcina z Kurowa (tego samego „doktora Kurowa“ wspomina Orzechowski w liście do biskupa Orzechowskiego 1550; Orichov. I 343) na kapitule w WPoście 1547, po roku dopuszczony acz nie bez oporu kapituły do jej stołu (*Akt. kapit.* T. I 214 — 215, 220). Umiera po Nawiedzeniu MB. a przed św. Elżbietą 1560 (Tamże I 341; ob. 335 i 339. *Akt. radzieckie m. Lwowa* T. VI, 88 nr. 157; w T. V, 808 — 811 nr. 1049 dług chorążego halickiego M. Leszniowskiego z Zimnowody z r. 1557 na 600 złp., zwrócony po roku, tamże str. 993—4 nr. 1288; str. 1122—3 nr. 1487 pożyczka 200 zł. mieszczanom lwowskim 1559 r. na ich kamienicę). Rodzeństwo jego i sprawa spadkowa, wlokąca się do św. Marcina 1563 (Tamże T. VI 99 — 101 nr. 178, str. 120 nr. 212, str. 103 i 105 nr. 182 i 185, str. 257 nr. 451, str. 266 nr. 466, str. 280 — 1 nr. 485, str. 354 — 5 nr. 621 i passim, jeszcze str. 791 nr. 1418, str. 865 nr. 1547, str. 900 nr. 1621). Zapiski inwentarzowe w *akt. kapit.*, na k. ost. T. I, 365 ręką mistrza Trzciany i inną. Upomniony przez kapitułę na rok przed śmiercią za wybryki presertim occasione verborum quorundam (Tamże I 330); restauracya katedry 1561 jego pieniądzmi (Tamże T. III, 7). — **Grotów** dzisiaj ad Lewiczyn od czasów wizyty biskupa Goślickiego 1603, przedtem ad Jasiniec, 7 wiorst od Grojca.

Łukaszowej z kamienicą na Krakowskiem, i od chwili kiedy wszedł między mieszczany, zadowolić się nieraz musi wyłączną tytulaturą ich sławetną, acz nie przestał być szlachcicem [1]).

* * *

Śmierć beztestamentowa kanonika Grotowskiego i w kapitule i w rządach arcybiskupa Tarły wyryła swe ślady, albowiem troską ich obojga nieostatnią były sprawy majątkowe. Wśród dodatków, które uzupełniają lub zmieniają brzmienie pierwotne statutów kapitulnych z r. 1513, znajduje się dekret tegoż arcybiskupa, wydany kapitularnie w roku bliżej nieoznaczonym (1562—4): *De canonicis intestatis.* Postanawia on na wieczne czasy i obowiązuje wszystkich w przyszłości arcybiskupów, że wszelka pozostałość ruchoma kanonika, któryby zmarł bez testamentu, czy to pieniądz, złoto i srebro, czy długi, trzoda i bydło lub konie i zaprzęgi, albo wreszcie jakikolwiek sprzęt domowy, wszystko to odtąd należy do kapituły, a nie do kogo innego. Nie może ulegać wątpliwości, że doświadczenie, uczynione z Grotowskimi, wywołało tę uchwałę, warującą kapitule pełną i jedyną własność wszelkich ruchomości jej członka, któryby nie rozporządził swem mieniem wolą ostatnią.

Uchwała kapituły Tarłowa, zabezpieczająca ją na przyszłość, pozwala nam wejrzeć w wnętrze jej ustroju i życia wspólnego, odsłania jej ducha komuny, z którego wyrosła i którym się rządziła. Zasada wspólnoty życia kanonicznego, wedle jednego porządku i przy jednym stole, i zarazem wspólnoty majątkowej, jako

[1]) Urodzeni **Starzechowscy mieszczanami lwowskimi** w *aktach radzieckich m. Lwowa* passim z tych lat, n. p. T. V, 351 nr. 489 (1556) str. 694 — 5 nr. 898 i str. 703 nr. 912 (1557), str. 1217 — 18 nr. 1610 (1559); T. VI. 61 nr. 104 (1560), str. 298 nr. 519 (1561), str. 663 nr. 1182 (1562 odbiór szkatuły), 686 — 7 nr. 1220, str. 731 nr. 1313 (1562); T. VII, 37 — 8 nr. 73 (1564). Także w *aktach konsyst.* już w r. 1556 Jakób Starzechowski świadkuje w charakterze obywatela lwowskiego (T. II f. 395v), a w *kapitulnych* obaj, Jakób i Krzysztof Starzechowskie cives Leopol. 21 VI 1560 (T. I, 343).

Zięciem Anny Gruszjanowej, 2° voto Starzechowskiej (już przed 1551), mężem Anny córki jej z pierwszego małżeństwa, rychło zmarłej, był opatrzny Andrzej Dunajowski obywatel lwowski, mający swój dom przy ulicy Piekarskiej t. j. w części dzisiejszej ormiańskiej między krakowską a teatralną, w sąsiedztwie historycznych mieszczan lwowskich, stolarza Syksta i Nicza Kasprowicza (Tamże T. IV 1355 — 7 nr. 1927, 1371 nr. 1948, 1386 nr. 1972 (1551), str. 1446 nr. 2061, 1458 nr. 2080). Czyżby ci Dunajowscy byli protoplastami Sasów Dunajewskich?

nieodzownej podstawy życia wspólnego, nigdzieindziej w całym Kościele polskim a może i powszechnym nie utrzymywała się tak długo i wiernie, jak w kapitule metropolitalnej lwowskiej. Drobny przykład niechaj objaśni praktycznie komunę w niej przestrzeganą. Po śmierci Zygmunta Grotowskiego mieszkanie po nim koleją starszeństwa otrzymał idący po nim kanonik Stanisław Lwowczyk, atoli z tem zastrzeżeniem, że drzwi żelazne tegoż mieszkania, sprawione przez kanonika Stanisława Starzechowskiego († 31 XII 1558), pozostają do rozporządzenia kapituły, która może ich użyć gdzieindziej w swym domu, jeśli będzie tego potrzeba. Wspólne, kolegialne kapituła prowadziła życie. Kanonicy gremialni, za wyjątkiem ówczesnych ale nie dawniejszych oficyałów, wszyscy z reguły mieszkali pod jednym dachem — właśnie podtenczas budował się nowy dom kapitulny — przy jednym stole jadali, dochodami dzielili się wspólnie, z uwzględnieniem przytem, co było słusznem, racyi starszeństwa, jak i przy obiorze *(optio)* mieszkań, posuwając się z wiekiem na coraz lepsze „komory", jak się jeszcze po staremu izby mieszkalne zwały.[1]) Kolejno też się troszczyli o utrzymanie i potrzeby domu. Co roku kapituła wybierała ku temu koleją starszeństwa z pośrodka siebie rządcę, zawiadowcę swego domu i dóbr swoich czyli „prokuratora", który niekiedy i „dispensatorem" się zowie, jako iż był zbiorcą i rozdawcą wszystkich czynszów i jakichbądźkolwiek dochodów, będących własnością jej stołu, ścisły też przed nią składał rachunek z gospodarstwa swego. Do prokuratora, który po wspólnej modlitwie otwierał sessye jeneralne odczytywaniem statutów, należało też prowadzenie ksiąg kapitulnych, w których lwią część tworzą one rachunki; bez nich (można powiedzieć) nie mielibyśmy aktów kapitulnych, potrzeba gospodarczo-finansowa wywołała je pierwiastkowo, jak i inne, żeby wspomnieć księgi wizyt biskupich i opisy dyecezyj. Przy prokuratorach w tych czasach, o których mowa, zaczynają się pojawiać właśni ich notaryusze, z charakte-

---

[1]) Od *commoratio*, w tem i geneza wyrazu „komornik". Kiedy Zygmunt Grotowski, przyjęty przez kapitułę jako koadjutor kanonika Marcina z Kurowa na jej posiedzeniu wielkopostnem 1547 r. złożył pięć grzywien racione *habitacionis*, z którego doktor Kurów, kustosz przemyski, zrezygnował, domini admiserunt *mansionem* domino Grotoffski cum ex Halicz ad obeunda munia sui principalis advolaverit. Wszyscy się zgadzali. Tylko jeden między nimi, najmłodszy kanonik, mistrz Tuchola, lubo na nie przyzwalał na czas koadjutoryi, protestatus est de prioritate opcionis predicte *comorę*, si indiguerit, t. j. zastrzegał sobie pierwszeństwo tego mieszkania komory po śmierci Króla przeciw jego koadjutorowi i dlatego już teraz dawał Grotowskiemu pięć grzywien odstępnego (*Akt. kapit.* T. I, 214—215 Historya z drzwiami żelaznemi tamże T. III, 4—5 na kapitule wielkopostnej, 3 III 1561).

rem oczywiście publicznym, i przez nich do pisania aktów kapitulnych są wzywani; wprawną rękę skryby publicznego od ciężkiej prokuratorskiej łatwo w nich rozpoznać. Stałych, swych własnych notaryuszów kapituła lwowska za przykładem innych kapituł lub swoich arcybiskupów i ich konsystorza, jeszcze nie posiada, myśli przecież już o nich, ale tylko jednemu ze swoich w swem własnem gronie zamierza oddać pióro; tem się powoduje, przyjmując na kanonikat Króla i Żochowskiego; przy Skardze, jak się posłyszy, w inne kształty przyobleka się ten jej zamysł. Prawo komuny kapituła sobie zastrzega przy utworzeniu nowego urzędu w zarządzie dóbr swoich, który dotychczas należał do prokuratora. Ze względu, iż cierpiał na tem zarząd jego domem kapitulnym przez częste wyjazdy ze Lwowa na zwiedzanie dóbr, które wymagają koniecznie ciągłego nadzoru ze strony kapituły, na jej sessyi jeneralnej po Popielcu 1565 zapadła uchwała,[1]) nie naruszająca zresztą postanowień statutowych o zwiedzaniu dóbr kapitulnych co roku pod jesień przez jednego lub kilku kanoników, osobno do tego delegowanych, ta mianowicie, iżby każdy po swej prokuracyi był przez rok ekonomem, czyli jak powiedzielibyśmy dzisiaj, w czasach i tych stronach austryackich, inspektorem dóbr kapitulnych. Miał on czuwać i zapobiegać, by komuna kapitulna nie poniosła w nich żadnej szkody, które złość lub niedbalstwo zwykły wyrządzać. Zwiedzać je był winien co najmniej ośm razy co roku i zawsze, kiedyby tego zaszła potrzeba, ma jechać do dóbr kosztem i wozem, dostarczonym sobie przez prokuratora, bez utraty prawa prezencyi w kapitule i chórze; w sprawach bardzo ważnych doda mu kapituła jednego lub więcej konfratrów, sam zaś będzie miał na jej utrzymaniu woźnicę i osobnego służącego. Pod jego rozkazami zostają wszyscy poddani wiejscy ze służbą kapituły powozową i sprawcy-*factores* czyli zarządcy, ekonomowie. Tylko sprawy pilnowania gospodarstwa do niego należą: wszystkie inne, jak sądowe, poddanych, akty kupna i sprzedaży, najem służby, ordynacye i t. p. jako komunalne pozostają przy kapitule. Ustanowienie to ekonoma w dobrach kapitulnych, pisane ręką Skargi i łaciną uniwersytecką w jego redakcyi, bardzo krótki miało żywot; wnet je skasowano, już po dwu latach przywrócono dawną praktykę corocznej rewizyi dóbr. Acz po śmierci arcybiskupa Tarły powstałe, należy jeszcze do jego rządów. Zrodziła je troska o bezpieczeństwo i całość majętności kościelnej wśród zawieruchy zaborem dóbr arcy-

---

[1]) Aeconomi Institutio (*Akt. kapit.* T. III, 101—2). Ręka to jest Skargi i jego niewątpliwie także redakcya dekretu samego. Zniesienie zaś na kapitule w W. Poście 1567 sub absentia R. dni Petri Skarga (tamże str. 118). Ekonomami byli kanonicy: Jakób Kłobucki i Wacław Wygnanowski, ustanowiony w lecie 1564 stałym wizytatorem dóbr (tamże str. 75—6).

biskupich przez familię Tarłową wywołanej; z nastaniem stosunków normalnych ekonomat okazał się instytucyą zbyteczną. Wystarczała roczna wizytacya dóbr lub w miarę potrzeby jeszcze częstsza, ale przez jednego z upoważnionych do tego przez kapitułę kanoników, jak opiewała uchwała powzięta niedawno (właśnie za rządów arcybiskupa Tarły), który z swojej rewizyi ma zdawać przed nią sprawę i w swym zarządzie stosować się do jej poleceń, wspólnie, kapitulnie wydanych; faktorzy i wszyscy poddani mają go słuchać jako samej kapituły. Uchwałę tę o stałym wizytatorze dóbr stołowych kapituły z lata 1564 można uważać za zapowiedź i źródło ustanowionego rychło potem ekonomatu.

Rozdziału dóbr swoich na stałe prebendy kapituła lwowska nie znała. A chociaż wsi jej, na pięć tenut podzielonych, dzierżawili dożywotnie najstarsi z grona, jak w mieszkaniach tak i na nie posuwając się przez opcyę, przez przyznanie ich sobie zasadą hierarchiczną senioratu, to przecież dochody z nich szły do wspólnego podziału, wedle tej samej zasady odpowiednio między wszystkich rozkładane. Nie potrzeba przytem dodawać, że wsi i wogóle wszelką swą posiadłość majątkową, łany, młyny, sadzawki i t. d. kapituła puszczała w arendę świeckim, zazwyczaj roczną lub trzechletnią; działo się to w każdym majątku uposażenia kościelnego, w dobrach biskupich, plebańskich i innych. Brak prebend i zasada wspólnoty majątkowej pozostały do dziś dnia właściwe kapitule lwowskiej, przetrwały wszystkie burze i zmiany. Sama jedna w jej komunie strona gospodarcza, oparta o ziemię podstawowo ocalała; średniowieczny duch życia wspólnego dawno z niej uleciał. Kapituła lwowska w swym ustroju, rządzie i życiu kanonicznem nie wyróżnia się już dzisiaj od innych; obecna w pełnym swym składzie dziesięciu członków, tym samym na liczbę, w jakiej powołał ją do życia król fundator Jagiełło przed pół tysiąca wiekiem niespełna w swojej i państwa swego potrzebie prusko-litewskiej, *communem agit vitam* tylko... na posiedzeniach kapitulnych.

Kiedy naokół w wieku rewolucyi religijnej gasły i znikały już nawet resztki tego życia, nieledwie same kapituły w Kościele naszym stanęły ku straży i na obronę wiary, jedna zaś z nich, świadoma starochrześcijańskiego swego zakonu, którego się oburącz trzymała, w głos publiczny zawołała; „My tu apostołów przykładem wspólnie żyjemy i żyć dalej chcemy“. To kapituła lwowska przed wrotami schizmy wschodniej postawiona przy Kościele rzymskim Polski katolickiej, wśród mieszaniny wiar i ludów. Nie można zaprzeć, że i w tej kapitule, sposobem średniowiecznej komuny życia kościelnego urządzonej i rządzonej, nieapostolskie a czasami mało chrześcijańskie dają się słyszeć i widzieć słowa, postępki i sceny. Wyciągać je na sąd historyczny o ludziach i instytucyi, jak się to już stało, potrafi tylko złość fary-

zejska lub bezbrzeżna naiwność; nie wiem, które z dwojga to zrobiło. Bezsprzecznie są one dokumentami ludzkimi, ale nie całego człowieka; wszystkich spraw i dzieł jego same przez się nie ukazują. Zapiski tego rodzaju rzekomo gorszące w aktach kapitulnych, zwłaszcza lwowskich, pojawiają się od czasu do czasu jako zwierciadło, w którem się instytucya sama sobie przygląda tajemnie, zdala od widoku świata, lecz szczerze, aby swój wygląd i zachowanie swoje poprawić, sprostować i upiększyć. Kapituła przez ciągłe upominania, tudzież ostre karcenia przekroczeń i wybryków zaświadcza, iż sama czuwa nad sobą, dba o siebie, pragnie reformy czyli naprawy bez względu na osoby, bo przyświeca jej ideał doskonałości, do którego zmierza, a który nie jest dla niej pustem pojęciem, lecz chce go widzieć ucieleśnionym w pośrodku siebie, w wszystkich swych członkach. Ożywiał ją duch zdrowy, z wiary głębokiej płynący, acz ciało — jak zawsze — i w niej mdłe było. A więc n. p. na drugiej rocznej sessyi jeneralnej w lecie po św. Trójcy 1560, w chwil nominacyi królewskiej arcybiskupa Tarły, kapituła osobną uchwałą w myśl swoich statutów o stole wspólnym *(De mensa communi* art. 22) stanowi, żeby kanonicy, których skryba prokuratorsk zowie „wielebnymi prałatami", nie prowadzili rozmów nieobyczajnych i sobie uwłaczających, zwłaszcza przy stole; przy gościach i konfratrach winni się wstrzymywać od słów próżnych i gorszących pod karą już dawniej powziętą (upomnienie, a w razie niepoprawy groźba grzywny i usunięcia od stołu i dochodów) Z innych zabaw XX. kanoników w tych latach naganionych i zakazanych, kulturalnie i kazuistycznie daleko ciekawszą jest konkluzya o grze w karty (1558). Na wyrok o niej prosty i rozumny jeszcze i dzisiaj najbystrzejsi moraliści muszą się pisać. Grać w karty, zwłaszcza o pieniądze, nie wolno w izbie wspólnej lub na sessyi domu publicznej (pod karą kopy groszy); można wszakże się nią zabawić z myślą wesołą u siebie w mieszkaniu, należy jednak baczyć, by nie dać tem ludowi pospolitemu zgorszenia. Rzecz inna ze służbą: dzisiaj zakaz jej gry wszelakiej i na każdem miejscu, nie tylko publicznie, ale i prywatnie, byłby za surowy i chybiony, wówczas musiała się do niego stosować, nie chcąc uledz chłoście lub wypędzeniu z domu; sam także X. kanonik, pozwalający lekkomyślnie swemu służącemu na taką zabawę, zapłaci karę powyższą, a służący zostanie wydalony i nie może być napowtót przyjęty, chyba, że się poprawi.[1]) Przepisy to są walor prawa mające, ogólne ale z praktyki życia wzięte, bez wzmianki o osobach. Spotyka się je nie przy śmiechach i zabawach, ale przy częstszych od nich i w kolegium kanoników utarczkach słownych, wzajemnych pogróżkach i obrazach, czasami zniewagą czynną zapieczętowanych; natury wówczas były grubsze,

[1]) *Akt. kapit.* I, 339 (1560) i 306 (1558).

więcej i od razu wylewające się na zewnątrz, mniej jednak obłudzie i czynom podstępnym uległe. Kłótników i pochlebców nigdy i nigdzie nie braknie, jednego z nich i nasza kapituła miała natenczas w swem łonie. Przynajmniej takim ukazuje się w je aktach:

Mistrz Jan Filipiades ze Lwowa, mąż z wykształceniem uniwersyteckiem, w kraju i zagranicą nabytem: w Krakowie (zaimmatrykułowany z końcem 1533) i w Wittenberdze, gdzie po pięciu latach spotykamy go w towarzystwie Piotra Barzego z Błożwi późniejszego kasztelana przemyskiego i starosty jeneralnego lwowsko-ruskiego; jeśli był graduowany w szkole Jagiellońskiej, to dopiero po podróży niemieckiej, w latach, z których brak ksiąg promocyjnej fakultetu filozoficznego. Jak inni synowie mieszczańscy, zwłaszcza miejscowi, lwowscy, za przykładem mistrzów, że się przywiedzie tylko znamienitszych z pierwszej połowy w. XVI Bernardyna Kołaczka (od r. 1493/4, kanonikiem już 1496), Andrzeja Bergiera (1520) obu Leopolitów, oraz Pilźnianów: Olbrachta Czuja (1527), doktora potem dekretów i Walentego (1540—1542), wreszcie bezpośrednio przed nim Jana Jelonka z Tucholi (1536—1540/1), także nasz mistrz Jan Filipowy rozpoczął od rektorstwa szkoły lwowskiej (w latach conajmniej od 1547/8 do 1550). Wziął je po mistrzu Szymonie z Brzezin — ojcu poety Simonidesa — co porzucił stan bakalarski i z dalszej karyery duchownej zrezygnował, a przyżenił się do kamienicznej wdowy Gajslerowej, mającej już dwie córki, z którą spłodził pięcioro dzieci; nie kanonikiem, ale rajcą miejskim został. I następca jego, Filipiades, też nie dbał o szkołę, acz stanu duchownego nie myślał porzucać, beneficyami jego się parał. Plebanią królewską w Prusach pode Lwowem odzierżył, wielce prawdopodobnie za protekcyą rzeczonego Piotra Barzego, dworzanina podtenczas króla Jegomości. Już wtedy zamkniętą miał drogę do kapituły, acz mu stała otworem z rektorstwa jak wszystkim jego poprzednikom w myśl znanych nam kompaktatów miasta z kościołem z r. 1514. Na ich podstawie kapituła nacisnęła panów rajców, do których (jak wiemy) należała obsada rektora szkoły, aby innego, pilniejszego powołali zaraz do niej rektora, bo ten zupełnie młodzież i żaków zaniedbał. Co też się stało. Wyrok kapitulny zapadł na pierwszej sessyi rocznej, w W. Poście 1550; na Zielone Świątki lub nieco później wszedł u rajców w wykonanie. Filipiadesowi kapituła sprzątnęła kanonikat z przed nosa. Nie dla dobra szkoły, Boże uchowaj, usunęła go z rektorstwa, lecz że się jej dał już dobrze we znaki na plebanii pruskiej, gdzie miała jedną z lepszych tenut gospodarczych we wsi Piekułowicach; o meszne z niej mistrz-pleban wiódł wojnę zaciętą z kanonikami, wraz z swą służbą dokuczając ich ludziom. W sądzie konsystorskim był znaną osobistością. Znienawidzony przez kapitułę skarbił sobie łaski u arcybiskupów, i umiał je pozyskać coraz większe u wszystkich trzech z rzędu.

Przy katedrze miał dopiero altaryę, do plebanii więc tylko dojeżdżał, atoli nie na służbę bożą i administracyę sakramentów, albowiem sprawował je tutaj przez swego zastępcę, t. j. wikarego we właściwem prawniczo i faktycznie znaczeniu tego wyrazu; dochodów jej sam pilnował, w arendę nie puścił ich nikomu. Rychło, dzięki swej zapobiegliwości, posunął się o znaczny szczebel w hierarchii kościelnej: dostał kanonię, ale jeszcze nie lwowską. Jak i inni podtenczas synowie duchowni mieszczan i rzemieślników lwowskich, uzyskał ją w sąsiednim Kamieńcu na Podolu. Przy drugim swoim arcybiskupie, Ligęzie, w lot wyrósł ponad wszystkich: stał się prawą jego ręką we Lwowie, wikaryuszem *in spiritualibus* i oficyałem generalnym (1557—1559/60). Z łaski też jego wszedł równocześnie na kanonikat stołu arcybiskupiego. Jako taki jedzie zaraz w pierwszym roku na synod piotrkowski imieniem obu swych pasterzy: lwowskiego Feliksa i kamienieckiego Leonarda Słonczewskiego, usprawiedliwiając ich nieobecność najazdem nieprzyjacielskim. Mimo, że już był co się zowie *dominus ecclesiasticus*, niejako kasztelan duchowny, t. j. oficyał (sędzia) generalny i rządcą zastępczym dyecezyi, kapituła metropolitalna trzymała go ciągle zdaleka od siebie i co o nim myślała, z tem się wcale nie kryła. Ze starć obustronnych między nimi uwieczniło się w zapiskach oburzenie „panów kapitulnych“ na niego, iż z rozkazu swego pana, nie oglądając się na kapitułę, wprowadził na kanonikat krewniaka jego, Jakóba Ligęzę. Uchwała kapitulna, powzięta naonczas na sessyi głównej, jak rzadko kiedy przy takim komplecie, bo w obecności aż dziewięciu (na św. Trójcę 1559), zwięzła ale wymowna „o nieprzyjmowaniu podejrzanych do kapituły“, acz nazwisk nie wymienia, mierzy wprost w nich obu: Filipiadesa i Ligęzę.

Było to jeszcze przed instytucyą Ligęzy i w odpowiedzi na groźbę cenzur papieskich jak i samego arcybiskupa, który się zasłaniał mandatem królewskim. Kapituła szanowała kary kościelne i wolę Króla Jego Mości, więc zniewolona ich obawą przyjęła Ligęzę do swego grona i zaprzysięgła go wedle statutów, ale bronić się prawnie nie przestała: założyła przeciwko wprowadzeniu nowego kanonika protest uroczysty do wyższej ponad arcybiskupa lwowskiego instancyi, do najbliższego synodu w Królestwie, zwłaszcza prowincyonalnego, który był zarazem prymacyalnym (16 XII 1559). Narzuconego sobie Ligęzy do swego domu i stołu przecież nie dopuściła, o habilitacyi jego nie mogło być mowy, a i on sam także nie odważył się drażnić kapituły w chórze widokiem swojej osoby. Jakób Ligęza ledwie tytuł kanonika zdołał uratować w tym sporze; reszty, co kanonię stanowi i o co zabiegał, musiał się wyrzec ugodą zawartą dopiero po kilku latach z kapitułą przed Commendonem, legatem papieskim we Lwowie bawiącym (jesienią 1564). Nie koniec na tem jego losom. Usunięty od katedry, i w dyecezyi nawet to jeszcze beneficyum,

co wziął z łaski swego stryja, utracił, iż w niem nie rezydował: farę dunajowską (1570), w moc wyroku dekretów trydenckich; szlachecki X. pleban-kanonik tytularny poczytywał się pewnie za wyjątkową ich w Polsce ofiarę. Obydwa, Ligęza z Półkoziców, efemeryczny kanonik lwowski i Filipowicz ze Lwowa, są miarą i wykładnikiem stosunku kapituły do arcybiskupa. Filipiades jest jeszcze czemś więcej, nie tylko przez swą naukę i nabytą praktykę prawa, przez wysoki urząd kościelny, ale i przez swe przymioty osobiste, temperament i stanowisko w kapitule, do której wszedł ostatecznie przy najbliższym wakansie, habilitowany i zaprzysiężony nazajutrz po introdukcyi przez siebie Ligęzy (w trzecią niedzielę adwentu, 17 XII 1559). Pierwszą sprawą, jaką przedłożył kapitule na najbliższej, kwartalnej sessyi (8 I 1560) była prośba do konfratrów: „*Domini*, zapiszcie tam w swych aktach moją habilitacyę.“ Wiemy, co to znaczyło. Wobec nominacyi i pierwszych kroków nowego arcybiskupa, Pawła Tarły, zachował się z lisią przebiegłością. Nikt o tem nie wątpił, że będzie jego uszkiem i ekspozyturą w kapitule najmłodszy ten jej kanonik, wiekiem przecież — liczył przeszło czterdziestkę — i dostojnością urzędu mąż już dojrzały i znaczny; w tych zaś latach życia nie zapomina się łatwo uraz serdecznych, charakteru się nie zmienia. Cała jego przeszłość, usposobienie i stosunek do kapituły wskazywały kierunek, w jakim pójdzie. Zaraz przy pierwszem starciu się jej z nominatem stanął roztropnie na uboczu, w proteście kapitulnym przeciwko arcybiskupowi nie bierze udziału. Arcypasterz umiał to cenić: rozpoznawszy Filipiadesa duszę sobie życzliwą, powołał go do swego boku. Ufny w łaskę pańską występować teraz począł w kapitule coraz śmielej. W wspólnem pożyciu z konfratrami, przy wrodzonej popędliwości swego serca i niechęci a goryczy ku nim, stawał się z dniem każdym przykrzejszy. Zwłaszcza zaczepiony, słusznie czy niesłusznie, szedł na nich z gniewem, nie żałując ostrego swego języka, czy w cztery oczy, czy na sessyi kapitulnej. Kiedy kapituła przypominała statut ów wyżej podany o życiu przyzwoitem i zgodliwem, Filipiades był już od paru miesięcy kanonikiem gremialnym, on go wywołał.

Przestroga wszakże nie skutkowała, owszem zatargi i kłótnie wypełniły cały rok następny, był to rok bowiem prokuracyi Filipiadesa (1561/2), najburzliwszy, jaki zapisują akty kapitulne. Przecież i one nie powiadają wszystkiego, bo je nasz mistrz sam prowadził. Nie przyznaje się w nich, że za swych rządów domowych pożarł się ze wszystkimi: od seniora Mniszkowskiego, który wziął po nim koleją starszeństwa prokuracyę, aż do ostatniego przed sobą kanonika Jakóba Kłobuckiego, prokuratora przed nim w roku poprzednim. Najśmielej poczynał sobie z równymi pochodzeniem plebejskiem, których była jeszcze ciągle większość w kapitule. Tylko sam jeden kanonik bakałarz, Stanisław Knot Leopolita, może związkami krwi mu blizki, brał go przed konfratrami pocz-

ciwie w obronę. Dokuczano sobie wzajemnie, we wszystkiem. Do najostrzejszego starcia przyszło między obu natenczas kapituły mistrzami: Filipiadesem i X. kaznodzieją, Janem z Trzciany, który jako człek wymowny umiał oddać piękne za nadobne. Na tem samem posiedzeniu (w W. Poście 3 III 1561), na którem obaj nie żałowali sobie wyzwisk i pogróżek, żałobę na X. prokuratora wniósł rzeczony kanonik Kłobucki, iż mu niemało krzywdy swym językiem narobił. „Ależ konfratra nie chciałem wcale ukrzywdzić — odparł z miejsca oskarżony — uniosłem się tylko gniewem na X. Jakóba, bo mnie ciągle molestował, i to a to powiedział". „Pogódźcie się — orzekła kapituła — i braćmi sobie bądźcie". Przeprosili się tedy, rękę sobie podając. Mistrz Trzciana dopisał później do tekstu o tem zajściu *sub pena arbitraria*, te same słowa, które kończyły zapisek o własnej jego kłótni z Filipiadesem tem upomnieniem, by obaj nadal nie wywoływali zgorszenia pod groźbą kary ze strony kapituły. Jeżeli Filipiades pojednał się od razu z Kłobuckim na kapitule, jak własny jego akt (kapitulny) podaje, to grożenie karą było zaiste zbyteczne; dopis Jana z Trzciany wskazywałby, iż był celowy: X. kaznodzieja nie chciał uchodzić za gorszego od drugich, najmniej od Filipiadesa, z którego zapalczywością i gospodarstwem cała kapituła prawdziwe miała utrapienie. Aż wreszcie i jej samej przebrała się cierpliwości miara. Nadszedł dzień sądu i zapłaty. Przy zdaniu prokuracyi, po roku, pociągnięto go do odpowiedzialności. Z wszystkich prokuratorów samemu Filipiadesowi się to zdarzyło, iż kapituła wytknęła mu cały szereg czynów samowolnych w prowadzeniu aktów i zarządzie domowym na swą korzyść własną a z krzywdą współbraci z dołączeniem jeszcze innych przestępstw, prócz oczywiście gorszących grzechów języka, z których dwa szczególniej były bardzo ciężkie. Mianowicie, iż winował kapitułę o kradzież dziesięciny pieniężnej z łanów arcybiskupich pod miastem, które kapituła pobierała a należały się jemu za spłacone przez siebie długi zmarłego arcybiskupa Ligęzy u kupców, więc też rozpowiadał przed ludźmi, że kapitułę musi sam własnym kosztem utrzymywać i żywić; powtóre, co do tej obmowy było jeszcze gorszem, wynosił z kapituły jej tajemnice (a i kasę jej także trzymał u siebie poza domem, nie chcąc mieszkać w kapitule), zdradzał je przed obcymi. Wspólne to wystąpienie kapituły było tak silne, a zarzutów tak wiele, że zmienił taktykę, zresztą nie miał już w ręku rządów prokuratorskich. Obżałowany Filipiades, nie znoszący dawniej żadnych uwag i napomnień braterskich, bo zaraz w złość wpadał z największym impetem, musiał się teraz oczyszczać punkt po punkcie, a było ich wyżej tuzina: częścią im zaprzeczył, mówiąc że to nieprawda; w innych uznał się sam pokrzywdzonym, ale wszystkie te krzywdy darował kapitule, prosząc, by i ona zapomniała o wszystkiem. Kapituła, ujęła skruchą podsądnego, który przyrzekał poprawę, przebaczyła mu wszystko na sessyi nadzwy-

czajnej, umyślnie w tej sprawie odbytej. Zdawałoby się, że miła zgoda nastanie. Tymczasem już po miesiącu, na zwyczajnej kapitule jeneralnej (na św. Trójcę 25 V 1562) przyszło do katastrofy: kapituła wykluczyła Filipiadesa od stołu, wspólnego pożycia i wszystkich dochodów. Użyła zaś ostatecznego tego środka, bo się okazało, że mistrz Jan przecież ją zdradza dowodnie, dopuszcza się względem niej i swojej zarazem godności największej winy, wydając jej tajemnice *(secreta)*, t. j. uchwały i sprawy kapitulne obnosi między ludźmi. Nowy to był raczej grzech jego aniżeli dawny, dopiero teraz na jaw wyszły: po upokorzeniu swem i przeprosinach konfratrów strasznym zawrzał na nich gniewem, trzymał się wprawdzie od nich zdaleka, ale ich z języka nie spuszczał. Okazało się jednak przytem, czem był Filipiades dla swego pana. Tylko za instancyą osobistą a bardzo usilną tegoż arcybiskupa Pawła Tarły, kapituła cofnęła swój wyrok, upomnienie mu dając przy arcypasterzu. Od tego czasu głucho już o nim w aktach i we Lwowie. Czyżby się do Kamieńca usunął? Strawił się przedwcześnie. Umarł niezadługo, zdaje się już w roku następnym (1563, najpóźniej w pierwszej połowie 1564). Jedynem wspomnieniem o nim pośmiertnem w aktach kapitulnych jest suchy zapisek o oponce *(lodex)*, danej przez niego utartym zwyczajem kapitule. Mistrz ten Leopolita, humanistyczne imię Filipiadesa noszący, był synem szewca Filipa, pana kamienicznego przy ulicy Halickiej. [1])

---

[1]) Mistrz **Jan Filipiades** ze Lwowa, Filipowicz, syn Filipa. U Pirawskiego między kanonikami rozbity jest ten mistrz na dwie różne osobistości jako Filipiades i Jan ze Lwowa, oficyał 1558 (str. 64). Uczeń szkoły Jagiellońskiej zaimatr. pod sam koniec 1533: Johannes Philippi de Leopoli (AS. II, 270) i bakałarz w niej na św Ducha 1539 (L. Prom. str. 197). „Johannes Leopoliensis“ wśród „Poloni ex Russia“ wraz z Piotrem Barzym zapisany w uniwersytecie w Wittenberdze 1538 mniemam że to on. — Rektor szkoły lwowskiej po mistrzu Walentym z Pilzna 1548 (ob. Zubrzyckiego Kronikę m. Lwowa [Lwów, 1844], 170) do Zielonych Świątek 25 V 1550, o czem w Tractata (kapituły) cum dominis consulibus: Item admoniti sunt domini consules, ut providerent scholam alio rectore, quia adolescentes et pueri penitus negligantur. Et domini consules promiserunt a quartali proximo Penthecostes providere scholam alio diligenciori rectore (*Akt. kapit. lwow.* T. I, 234—5); nazwisko jego nie podane, lecz że onci to jest, świadczą *Akty konsyst.* 2 i 5 V 1550: Mgr Joannes rector schole Leopoliensis et plebanus in Prussy (T. I f. 567 i 568), po roku już rektorem nie jest tytułowany w swoich procesach piekołowickich 15 V 1551 (tamże f. 618). Też akty kapitulne zapisały rektorstwo Szymona z Brzezin przygodnie, po kilku latach, kiedy już był rajcą: dominus Simon consul, quondam rector scholae ac magister arcium (T. I, 281).

Synem również mieszczańskim był wspomniany kanonik Jakób Kłobucki czyli z Kłobucka, miasteczka ziemi krakowskiej, przyjęty do kapituły lwowskiej po śmierci mistrza Andrzeja Bergiera, lecz dopiero w lat ośm po swej instytucyi habilitowany i ponownie zaprzysiężony (10 XII 1557), po kustoszu Marcinie z Kurowa pleban szczyrzycki, zmarły w dwa tygodnie po mistrzu Janie z Trzciany (13 IV 1567). Zdaje się, iż wyrósł przez doktora

---

imiona i daty jego poprzedników z aktów konsystorskich. — Altarysta katedralny w lecie 1554 Mgr Joannes Philipi, rezyduje we Lwowie (w tychże aktach T. II f. 344v, 345 i v i T. I f. 324). Kanonik kamieniecki: venerabilis dominus Joannes Leopolitanus arcium magister, canonicus Camenecensis et altarista Leopolien. — (tamże T. II f. 363v), jako Philipiades 16 X 1555 przy testamencie arcybiskupa Starzechowskiego (f. 5 na dole). — Wikaryusz in spiritualibus i oficyał generalny arcybpa Ligęzy z Bobrku od pocz. r. 1557 aż do r. 1559/1560, t. j. do śmierci arcybpa, akt ostatni urzędowania jego datowany 1 XII 1559 (Tamże T. II f. 397—427) Jest już naonczas kanonikiem lwowskim, nb. stołu arcybiskupiego i oczywiście nadal kamienieckim. Na synodzie piotrkowskim 17 V 1557 delegatem obu swoich biskupów (Materyały do historyi ustawod. synod. w Polsce w w. XVI ed. B. Ulanowski w Arch. Kom. prawn. Akad. Umiej. w Krakowie T. I [1895 osob. odb.], 440). — Występy jego i sprawy w kapitule w jej aktach (T. I, 331: 8 I 1560 prosi o odpis swojej habilitacyi 17 XII 1559; str. 332, 333—4, 338—9 i 365 t. j. karta ostatnia z zapisami inwentarzowymi; nadto p. 294 r. 1557 gubi pierścień ze skarbca katedry lwowskiej. T. III od prokuratoryi jego się zaczyna 1561/2. Kłóci się z Trzcianą i Kłobuckim na kapitule 3 III 1561 str. 6—7 i 8. Przy arcybiskupie Tarle w Dunajowie 10 i 11 X 1561 [Akt. konsyst. T. II f. 29 v i 33 v]. Articuli qui propositi erant in capitulo dno procuratori capituli w liczbie 14, str. 28—9; odpowiedź jego na nie na kapitule 13 IV 1562, str. 37—39. Wykluczenie jego 25 V 1562 str. 50). — Śmierć przed 16 X 1564: Divisio domus olim Filipi sutoris inter heredes in platea Haliciensi; miał na tej kamienicy, Filipowską zwanej, swój dział ven. dnus olim Joannes canonicus Leopoliensis; brat jego Stanisław Filipowicz, ożeniony z Bergierówną, córką radziecką (*Akt. radz. m. Lwowa* T. VII, 173 nr. 319; o tym Stanisławie, zazwyczaj Filipowiczem a raz 1555 Filipiadesem, por. szczególniej T. V passim. np. 241—2 nr. 332; T. VI 781 nr. 1399; tudzież Akt. konsyst. T. I f. 638v.: 8 III 1553 świadczy po kanonikach mistrz Jan Filipiades, pleban w Prusach).

O kanonikacie lwowskim Jakóba Ligęzy też akty kapit. (T. I, 329, 333—4; T. III, 84—6 i 93—5: 31 X 1564 ręką Skargi V. D. Jacobi Ligezae cessio residentiae) i konsyst. (T. II f. 87—8: 30 VIII 1570 pozbawienie plebanii w Dunajowie).

Kurowa. Także gorączka, ale umiał się bronić: upomniany przez kapitułę, iż obraził konfratra Stanisława Starzechowskiego — który siedział u niego w kieszeni — usprawiedliwił się takim sposobem: „Nie mówiłem ja mu tego jako osobie prywatnej, ale ogólnikowo, nie wymieniając osób". Zapobiegliwy, nie umarł bez grosza. Jak i inni panowie kapitulni, zwłaszcza egzekutor jego testamentu, Klemens Poniatowski, miał pieniądz na pożyczkach, dobrze zabezpieczonych u obywateli lwowskich i dziedziców ziemskich, żeby wymienić medyka miasta z jurgieltem rocznym 50 złotych doktora Pawła Nowikampiana o rodowem a nieużywanem przez siebie nazwisku „Wosczina", winnego mu 150 zł. i panią przemyską kasztelanową Barzynę ze stu zł., od których pięć zł. rocznego procentu wyznaczył Poniatowski na szpitale lwowskie. Z 106 złp., zapisanych na kamienicy, wówczas Strycharskiej, szła ta suma procentowa na anniwersarz w kapitule i modły bernardyńskie, znane nam już z testamentu kanonika Poniatowskiego; OO. Bernardyni prawie przy każdym anniwersarzu kanoniczym w katedrze mieli swą cząstkę. Pokrzepiła się i rodzina: nie tyle może sławetny Jan Starnacki, obywatel z Krzepic niedaleko od Kłobucka, nieboszczyka X. Kłobuckiego bratanek po Macieju, jak siostra tegoż rodzona a X. kanonika Jakóba bratanica Anna Starnacka, pojęta za żonę przez urodzonego Wawrzyńca Ulewskiego h. Ostoja z Lubelskiego. Wzięła ona po swym X. stryju:

> florenos 53, grossos 15. „Item futra kuniego sthuka. Item czapka axamithna, plothno czarne, spaler [opona] mazoueczki, misky trzi czinowe i konew pulgarczowa. Item miedziana konew, trzi poduski s posewkami y s przescziradlem, liscze [łyżce = łyżki] dwie srebrne, skrzinia dzewiana czarna" (*Akt. konsyst. lwow.* T. II f. 549).

Był jeszcze jeden *ex fratre nepos* Starnacki, też Jakób i już uszlachcony; chował się przy swym stryju we Lwowie jakoby wikaryusz katedralny i wraz z drugim, Sebastyanem z Fulsztyna przy Klemensie Poniatowskim współegzekutor testamentu X. kanonika Jakóba Kłobuckiego, który jak słyszymy Starnackim był z Kłobucka i także szlachcicem, ale nie urodzonym; swym herbem *virga violata vel Demno* (Dembno) kazał ozdobić kubek srebrny, kapitule potem darowany. Zapisał jej bowiem co wybrańsze swe naczynie domowe: kandelabr mosiężny na trzy świece, dwie konwie cynowe, każda po garncu, dzban cynowy na pół garnca i dwanaście krążków *(orbes)* cynowych w nowej tece, obwiązanej rzemykiem; nadto nową ciemną oponkę (kobierzec, *lodicem*) koloru czerwono-zielonego, którą kapituła dała zrazu do kościoła, ale później panu Popławskiemu za prowadzenie jej spraw na rokach ziemskich; po Kłobuckim dostała też *moszdzierz*, w gotówce zaś legat czterdzieści złotych na ekspedycyę przywileju królewskiego

na sejmie piotrkowskim ow. r. — niewątpliwie w sprawie inkorporacyi dziekanatu. [1])

* * *

W pośrodku między seniorami a najmłodszymi — jużeśmy ich poznali — zasiadało w stallach przy objęciu rządów arcybiskupa Tarły dwu kanoników. Obaj teolodzy. Młodszemu z nich, przedstawicielowi urzędowemu wiedzy i nauki teologicznej w kapitule, poświęca się część osobna w studyum niniejszem: mistrz Jan Trzciana i katedra kaznodziejska w kościele metropolitalnym lwowskim zasługują na nią. Pozostaje starszy od niego w kapitule kolega i przyjaciel serdeczny, ale stopniem akademickim niższy, latami życia rówieśny, teolog z łaski Boga i swego zamiłowania, nie z urzędu: bakałarz sztuk Stanisław Knot ze Lwowa, humanistycznie także Albinus się zwiący. Najcichszy z kanoników, acz jak i mistrz Filipiades z szewskiej pochodził rodziny, co w swej dzielnicy przy ulicy Krakowskiej gniazdo swe miała i z dawna, już w wieku XV-tym była osiadła we Lwowie; kamienica jej mianem, jako to było we zwyczaju, zwana Knotowską, t. j. Knota lub Knuta, przy wspomnianej ulicy leżała. Do kapituły, w której po raz pierwszy zasiada na sessyi jej jeneralnej w Wielkopoście 27 II 1553, w ciągu tegoż roku habilitowany, wszedł po śmierci

[1]) **Jakób z Kłobucka**, tak bowiem początkowo się pisze, następnie Kłobuckim: instytucya wraz z pierwszem zaprzysiężeniem statutów kapitulnych przez zastępcę na kapitule jener. w W. Poście 1550, habilitacya i ponowna, osobista przysięga 10 XII 1557; usprawiedliwienie się z kłótni z kanonikiem St. Starzechowskim 13 I 1558: se...non in privatam personam domini St. Starz., sed in universum non nominando personas dixisse, winien mu był Starzechowski 20 złp., za które wziął sobie dalmucyę po jego śmierci (*Akt. kapit.* T. I, 233—4, 297, 299, 349). Plebania szczyrzecka (*Akt. konsyst.* T. II f. 424, 474v.). O drze Pawle Nowikampianie, dłużnym Kłobuckiemu 1563 i 1564 (*Akt. radz. m. Lwowa* T. VI, 780 nr. 1397 i T. VII, 50 nr. 92). Sprawa testamentowa i rodzeństwo (*Akt. kons* T. II f. 535, 538, 549, 553 v. oraz *Akt. radz. m. Lwowa* T. VII, 1191—2 nr. 2086 honesta Anna Sternaczka filia olim providi Mathie Sternaczki, civis Crzepicensis, sprzedaje swój dział ogrodu za 20 zł. w mieście Krzepicach provido Joanni Weiss et Elizabete coniugibus, sorori autem suae, civibus Crzepicen. 10 VI 1568; tutaj str. 1384—5 nr. 2373: 23 II 1568 nobilis Jacobus Sternaczki, raz w sprawie testamentowej wikaryuszem zwany). Anniwersarz jego na kamienicy, ale już innego właściciela, rajcy Golińskiego, wspomina Pirawski (l. c. str. 61). Data śmierci i legaty kapitule przez egzekutorów dane, w zapiskach jej inwentarzowych (*Akt. kapit.* T. I, 36 tą samą ręką co i o mistrzu Trzcianie).

i na miejsce mistrza Walentego z Pilzna, z rektora szkoły (po Tucholczyku), kanonika lwowskiego oraz plebana w Busku (†1552), co się pieczętował jakby ostrogą barkiem do góry na tarczy renesansowej, a siostrom swym Barbarze i Zofii z Pilzna legował po 25 dukatów i dwie łyżki srebrne wraz ze swym sprzętem domowym i gospodarskim, jak np. rewerendę (*reverendam*) z harasu podszytą lisami, dwa konie i wóz kryty (*rydwan* cum *popona*) w szkole zaś Jagiellońskiej wziął magisterium równocześnie z Janem Trzcianą, Szymonem Marycyuszem t. j. Kociołkiem z Pilzna i Olbrachtem Nowikampianem [1]. Stanisław nasz Lwowczyk Knot-Albin, przy swem przyjęciu do kapituły, złożył prokuratorowi na rzecz domu taksę należną, ale z wydaniem obiadu całej kapitule, jak tego zwyczaj wymagał stary a chwalebny, wcale się nie spieszył. Seniorzy poczęli szemrać, lecz się uzbroili w cierpliwość i czekali. Kiedy wszakże i następny kanonik, Stanisław Król z Przemyśla (po mistrzu Sebastyanie Tyczce ze Lwowa) poszedł w tem za przykładem bakałarza Stanisława Albina, starzy kanonicy wytoczyli sprawę na kapitułę po dwu długich latach (w lecie 1555), przypominając publicznie obydwom — Król był już nawet oficyałem arcybiskupa Ligęzy, przed Filipiadesem — by raz wreszcie sprawili wszystkim obiad z okazyi swego do kapituły wejścia, a to pod groźbą kary na nieposłusznych. Jedyna to jest nagana Stanisława Leopolity w aktach kapitulnych wypisana. Reszta o nim ich zapisków uderza swą szczupłością i byłaby zupełnie obojętną, gdyby nie znamioniowała wielkiej jego skromności i ustępliwości wobec konfratrów. Duchem pokoju i rzecznikiem zgody jest między nimi. Na posiedzenia uczęszcza pilnie i obowiązki na siebie przypadłe w domu, nie mówiąc o kościelnych, wypełnia sumiennie i chętnie za drugich je bierze, jak n. p. prokuratoryę dwa lata z rzędu, za siebie i za Zygmunta Grotowskiego (1557 i 1558), który zrzekając się tego ciężaru opłacił się kapitule dwudziestu złotymi. Kiedyindziej, przy opcyi

[1]) Mistrz Walenty z Pilzna, tutaj zarysowany kanonik lwowski z ksiąg uniwersyteckich, aktów konsystorskich i kapitulnych, różny jest od spółczesnego sobie Walentego z Pilzna, kanonika wileńskiego i łuckiego, plebana w Pobojsku dyec. wileńskiej. Mistrz ten (z pocz. r. 1539) zmarł przed 10 VI 1552 (*Akt. kons. lwow.* T. I f. 633, gdzie legaty jego testamentowe); w tym więc czasie, w drugiej połowie ow. r. Stanisław Leopolita wszedł do kapituły. Po mistrzu Walentym zostały dwie książki, zachowane w bibliotece katedralnej: 1) Theophylacti archieppi Bulgariae in 4 Evangelia enarrationes Joanne Oecolampadio interprete, ed. kolońska Arnolda Birckmana 1536, 8° w współ. opr. 2) Institutio catholica fidei orthodoxae... per Gerhardum Lorichium Hadamarium ed. Chr. Egen: 1536 b. w. m., 4°; za pierwszą zapłacił 24 groszy, drugą kupił za 20 groszy w r. 1547, kiedy już był kanonikiem.

mieszkań ustępuje ze swego młodszemu Jakóbowi Kłobuckiemu chociaż X. Poniatowski jako starszy protestował przeciwko temu sąsiadem został mu tam wtedy na piętrze mistrz Filipiades (1560), którego w opałach jak słyszeliśmy sam jeden w kapitule życzliwem słowem ratował; po śmierci X. Grotowskiego mocą senioratu wszedł w roku następnym na jego mieszkanie. Odtąd aż do śmieci nic o nim osobliwszego nie słychać. Po życiu spokojnem zaszła go śmierć cicha, umarł niemal spółcześnie z Janem Leopolitą młodszym w kolegium Jagiellońskiem, w r. 1572 pod koniec lub z samym początkiem następnego roku. „Życie święte, święta śmierć" — wypadałoby może zawołać o nim z kaznodzieją. Ale to nie wszystko, nie cała żywota jego zasługa.

Lektura książek człowieka urabia i odsłania. Posiadał je X. kanonik bakałarz Stanisław Leopolita. Skąpe są o jego osobie i sprawach dane historyczne, pełnego obrazu jego postaci nie dają; tem więc skwapliwiej można i trzeba powołać na świadectwo towarzyszy prac i życia jego nieodstępnych, przyjaciół mu najmilszych, jedynych. A nie skłamią w swem zeznaniu, bo mówić nie umieją. Składają je wymownie — te księgi jego własne. Niestety nie doszły nas wszystkie; zaledwie cząstka ich maleńka ocalała w bibliotece niegdyś kapitulnej, dzisiaj katedralnej w skarbcu nad zakrystyą, a to jeszcze w dodatku głównie z lat ostatnich ich właściciela. Lecz już ten szczupły ich zasób w liczbie siedmiu, o ile są zaznaczone podpisem własnoręcznym z datą i ceną nabycia, przewyższa dary podobne wszystkich innych kanoników za całe stulecie XVI, a równoważy pozostałość książkową z zapisu kanonika-kaznodziei (mistrza Jana z Trzciany), który z urzędu i swego powołania był mężem książkowym, jako teolog katedry i Kościoła lwowskiego Prawdopobnie może się ich przechowywać jeszcze więcej, ale iż nie mają podpisu, trudno brać je w rachubę, nie wiedzieć zaś, czy znaczył je wszystkie; mógł zresztą przekazać ich część osobnej natenczas bibliotece wikaryuszów katedralnych, jak n. p. pierwsze wydanie konfessyi Hozyuszowej (bez karty tytułowej), która nosi ich sygnaturę, lub trzeciej naonczas bibliotece istniejącej we Lwowie: szkoły miejskiej przy kościele metropolitalnym [1]). Taki kładł stale podpis swego imienia u góry karty tytułowej: *Stanislai Leopo:* lub *Leopol:* i *Leopolitani* raz *Leopoliensis artium bacca:* albo też i to zwyczajnie *A. L. B. Ca-*

---

[1]) Tak n. p. zmarły we Lwowie 4 V 1570 rektor tej szkoły **mistrz Stanisław** Pawłowy **Pennatius (Penacius) z Buku** (w Wielkopolsce), zaimmatrykułowany w uniwersytecie Jagiellońskim w lecie 1558 wraz ze swymi rodakami: Stanisławem Reszką z tegoż Buku, Erazmem Glicznerem ze Żnina i Jakóbem Wujkiem z Wągrowca (AS. III, 29), następnie bakałarz szkoły w Turobinie przed św. Markiem 1565, po uzyskaniu zaś stopnia mistrza w Krakowie z początkiem 1566 (LPr. str. 205, bakałarzem promowany z pewnością

nonici zrazu też *Canonicique Leopo:* raz *Leopolitani* albo w to miejsce *Canonici Eccl. Metrop. Leop(o)(l).* Przyczem zawsze: *Emptus gr(os)(sis)* tyle a tyle, cena wyrażona liczbą jak i rok nabycia, niekiedy przez niego samego zakreślony. Wszystkie w oprawie spółczesnej. A więc chronologicznie najstarsza, jedyna z czasów zdaje się jeszcze uniwersyteckich i bez oznaczonego roku, w którym ją kupił za 24 grosze: „F. P. Fulgentii Christiani Philosophi Mythologiarum libri tres“, edycya bazylejska Henr. Petrus z r. 1536, w 8-ce z innymi drukami bazylejskimi z tego czasu, oraz „De immensa dei misericordia D. Roterodami concio“ w ed. kolońskiej z r. 1530. Tą mitologią, którą się całe średniowiecze karmiło — w inkunabułach z dobitnym tytułem „Enarrationes fabularum allegoricae“ — bakałarz nasz nie skaził swego serca; w dziełku niniejszem z końca w. V-go, może naprawdę pracy młodzieńczej a bombastycznej wielkiego potem teologa-polemisty Fulgencyusza z Ruspe, świętego mnicha i biskupa, ucznia duchowego i obrońcy św. Augustyna w kościele

przed grudniem 1560)*) zaraz w tym samym roku, w lecie, przed 26 lipca rektor szkoły lwowskiej „moderator ludi literarum Leopolien.“, testamentem z 25 IV 1570 sporządzonym „in schola civitatis Leopolien. circa metropolitanam Ecclesiam consistente“, zapisuje — wszystkie inne szczegóły pomijam, notuję tutaj tylko ustęp doniosły o samych książkach — swemu słudze famulo suo Walentemu**) pro studio pelliceum ex castoreis pellibus, tunicas de panno pectorales omnes, indusia bona cum attritis coaequata sex, mappas duas. Ex libris vero nominatim *Calepinum, Epistolas familiares Ciceronis* cum commento, *Sententias Pithagorae, Isocratem, Thesaurum Ecclesiae, Alberti Magni philosophiam.* Alios denique libros, qui videbuntur studiis ipsius necessarii dari eidem comisit exequutoribus [oni Jakób Mieskowski ławnik i Stanisław Gąsianoska obywatele lwowscy]... Et per expressum ad eandem scholam Leopolien. [której darował vetus tapete, bo nowe katedrze, w której w kaplicy Kampiana został pochowany] legavit testamentaliter libros infrascriptos: Tria *opera Aristotelis* in albo pergameno [oprawne], *Nymphum commentarium in eundem, Homerum Grocolatinum* [sic], *Agrippam de occulta phi-*

*) Fałszywie jest położony zapisek w Lib. Prom. str. 199 przy promocyi bakałarskiej Albert. de Buk na Popielec 1541: „hic Leopoli, cum provinciae scholasticae praeesset, mortuus“. Do naszego mistrza Stanisława z Buku ściąga się ta wiadomość, a nie do Alberta Piotrowego z Buku, który zrazu uczył w szkole płockiej (1542), a następnie, po promocyi na mistrza krakowskiej (przed 1550), przeszedł do różnowierców: to Albertus Caprinus de Buk lub Bukovianus. Ten Albert-Kozioł, Stanisław zaś Piórko.

**) Tym sługą Walentym tak hojnie udarowanym, bo i w strój rektorski [futro bobrowe!] to Walenty Wargocki z Przemyśla syn Marcina, zaimmatrykułowany zaraz w jesieni 19 X 1570 w uniwersytecie krakowskim i bakałarz jego za Marenniusza 1573 (AS. III, 77 i LPr. 212). następnie kanonik 1589 i dziekan lwowski (1596 †1610 w sierpniu), już po polsku cały swój testament piszący, brat rodzony X. Jędrzeja, zasłużonego w piśmiennictwie polsko-religijnem przekładami dziełek pobożnych i jezuity z kanonika lwowskiego Bartłomieja, o którym niżej. Trzech braci księży.

afrykańskim królestwa Wandalów (†534), uczył się, jak odkrywać przez allegoryę sens dobry i moralny w mitach pogaństwa starorzymskiego. Kiedy został kanonikiem, 1553 r., nabył w lot świeży przekład łaciński wszystkich dzieł jednego z najgłębszych mistyków średniowiecza, Jana Ruysbroeka, przeora Kanoników regularnych św. Augustyna z Groenendael (pod Waterloo, †1381); doktorem ekstatycznym zowią go powszechnie i mówcą Ducha św. Za foliał edycyi kolońskiej z marca 1552: „D. Joannis Rusbrochii summi atque sanctissimi viri quem insignis quidam theologus alterum Dionysium Areopagitam appellat opera omnia (w przekładzie z flamandzkiego Wawrzyńca Suryusza) zapłacił 40 groszy. I samego także W. Suryusza, Kartuza kolońskiego, nabył w r. 1568 za 20 groszy kronikę swego wieku ku obronie wiary katolickiej i Kościoła rzymskiego w drugiej, kolońskiej edycyi z r. 1567: „Commentarius brevis rerum in orbe gestarum ab anno salutis M. D. usque in annum M. D. LXVII"; wydanie to w 8-ce jak i wszystkie inne, poczynając od pierwszego lowańskiego (1566) z kontyunacyami, nie bywa zaznaczane w biografiach głośnego

---

losophia Nizolium, Postillam Vicellii, Opus Bibliorum, quod cum sit usui ab eo datum venerabili domino plebano Sokolnicensi [koło Lwowa] voluitque idem datis 4 florenis apud se illud se habere, ea pecunia loco eius operis, alios probatos theologicos authores pro praefata schola Leopolien. comparare exequutoribus demandavit. Item *Jacobi Sadoleti tria historiarum opera* apud Adamum Gallum Vislicen. vicenotarium Leopol. in sex florenis oppignorata, si forte illa volumina ipse Adamus in praefato debito apud se haberet, comisit exequutoribus pro libera dispensacione eorundem redimere... Item *Matheo Scbeynechero*, librario et civi Cracoviensi, pro *libris puerilibus* *), quos fidei sui credere solebat, ostendit idem testator residuam solucionem debiti, post racionem ultimam cum eo factam, numero tres florenos in moneta polonicali in relictis apud se nonullis ex iisdem libris, quorum ipsae disposicionem successori suo, quicunque fuerit, iuxta receptam Leopoli consuetudinem facto prius cathalogo chartam manu sua scriptam deputavit (*Akt. konsyst. lwow.* T. II, f. 533—535 [f. 534 i vo], por. tamże f. 458—9). Świadkami przy zatwierdzeniu konsystorskiem tego testamentu, spisanego przez notaryusza publicznego Stanisława Stanisławowego ze Lwowa **), byli kanonicy: Klemens Poniatowski i bakałarz sztuk Stanisław Albinius.

---

*) Pietatis puerilis libri duo carmine conscripti, dedyk. Janowi Leopolicie z r. 1566 (po bakalarstwie turobińskiem); ob. Estreicher BP. pod Marennius i Penatius. „Shibenher" — jak mówiono także nad Pełtwą — był w stosunkach księgarnianych ze Lwowem już w r. 1561 (Akt. radz. m. Lwowa T. VI, 297 nr. 518).

**) I ten notaryusz nie marna miasta Lwowa figura: syn Gąsianogi — D. Stanislaus Anserinus, notaryusz miasta, następnie rajca († po r. 1608). Sam stary Gąsianoga był jednym z egzekutorów testamentu naszego mistrza.

tego Kartuza, który pozostawił lepsze imię w hagiografii i literaturze ascetycznej, głównie przez przekłady na język łaciński mistyków średniowiecznych i współczesnych sobie polemistów katolickich (Groppera i Wiceliusa), aniżeli w historyografii kościelnej. Obok historyi geografia. Równocześnie (1568) może na tym samym targu, zaopatrzył się w dzieło znacznie droższe, nie tylko ceną samą, 50 groszy, ale i treścią jego świętą w foliancie zdobnym w drzeworyty i karty geograficzne: „Jerusalem vetustissima illa et celeberrima... civitas... descripta“ w edycyi frankfurckiej z r. 1563; jest to produkt niemiecki Adama Reisnera w szacie łacińskiej przez Jana Heydenum Eyflandrum- Dunensem. Z herezyologii dopiero edycyę antwerpską z r. 1568 dostał w swe ręce pod sam koniec życia 1571 r. za 30 groszy: „Fr. Alphonsi a Castro Zamorensis Ord. Minorum Regul. Observ. Provinciae s. Jacobi De iusta Haereticorum punitione libri tres“ w 8-ce; po raz pierwszy ukazały się te księgi, przypisane Karolowi V, w Salamance 1547, gdzie ich autor, kaznodzieja bernardyński, zwan przez swoich herezyożercą, nauczał długie lata i z katedry profesorskiej: spowiednik tegoż cesarza i jego teolog trydencki, doradca Filipa II, Bellarmina rozpraw o kontrowersyach wiary z heretykami źródło najprzedniejsze[1]). A cóż polskiego z biblioteki jego zostało? Także mnich, on sam ocalał. Albowiem jedynie — o ile się dostrzegło — widnieje z niej Kromer teolog. Uwagi przytem jest może godnem, iż w swej bibliotece miał dyalog apologetyczny dworzanina z mnichem w rozszerzonym przekładzie łacińskim z jego kontynuacyą. Uważnie i nie raz jeden go odczytywał, co poznać z notat na marginesie przez niego kreślonych w miejscach sobie ciekawszych: edycyi dillingskiej część pierwszą z r. 1559 „De falsa nostri temporis et vera Christi religione libri duo“ zakupił w r. 1561, drugą zaś z tegoż r. (1561) „De vera et falsa religione colloquiorum liber tertius, qui est de ecclesia Christi“, zaraz w r. następnym, obie po 20 groszy.

Takich ksiąg właściciel, wyglądający z poza ich resztek dzisiejszych, winien być poczytany za teologa, i już jako taki za ozdobę swej kapituły, której konfratrom miłością nauki przyświecał, a nie wątpić, że i życia kapłańskiego przykładem. Z milczenia aktów kapitulnych i innych zda się wybijać niezwyczajna jego cichość, osobista pokora i miłość bratnia czyli jak wówczas mówiono społeczna *(charitas)*. Na ich to gruncie, jako trwałym fundamencie, osadza się prawdziwa pobożność chrześcijańska w duszach ogniem miłości Boga i Chrystusa palonych. Wolno przypuszczać, iż bakałarz Stanisław Albinus był jej w kapitule przedstawicielem wybitnym. Kwiatem mistycznym Kościoła lwow-

---

[1]) I to dzieło, którem się unieśmiertelnił Adversus haereses ll. 14 (1-a ed. w Paryżu 1534) w wyd. kolońskiem z r. 1549, znajduje się w tejże książnicy katedralnej.

skiego chciałoby się go nazwać. Zawsze nasz Kościół polski miał takich cichych wybrańców bożych w swych warstwach niższego i średniego duchowieństwa świeckiego wśród kolegiów wikaryuszy, mansyonarzy i kapitulnych: kolegiackich a nawet katedralnych. Oddani doskonałości życia duchowego i pełnieniu wzorowemu obowiązków swego urzędu, acz od świata murem klasztornym nie odcięci, strzegą się wszelakiego w nim rozgłosu, są mu chociażby w otoczeniu najbliższem żywą cnót swoich pochodnią: palcem nieba drugim nie pokazują, bo sami ziemi oburącz się nie trzymają. Bakałarz-kanonik lwowski do nich należy, ale wykształceniem naukowem, światłem wiedzy teologicznej przerasta ich wszystkich, o ile nie byli kaznodziejami, gdyż sam nim nie był. Takim wydaje się mi ten Stanisław Leopolita, godny rodak obu Janów największych wtedy w Polsce przed Sokołowskim i Skargą kaznodziejów, czy to starszego Jana Zofki Leopolity — Zofka jest nazwiskiem jego rodowem — za którego trumną szedł pewnie w Krakowie, czy też młodszego, szkolnego naonczas kolegi, Jana Kasprowego Nicza Leopolity, z którym w jednym roku jak się wspomniało zszedł z tego świata.[1]) W zestawieniu z oboma zostaje wprost przygnieciony talentem i sławą złotej ich wymowy, jak i erudycyą scholastyczną, ukoronowaną stopniem i zawodem doktorskim, ale bynajmniej, jak się przekonamy poniżej, nie znajomością Pisma św. i umiłowaniem w niem mowy swej ojczystej, co płynęło ze zrozumienia potrzeby jej i konieczności teologicznej. Z wiedzą biblijną w języku rodzimym łączył, jako i heterodoksi, studya patrystyczne u źródeł natenczas już sobie dostępnych, w wydawnictwach humanistycznego kierunku. Zacnością wreszcie swego życia i charakteru zaiste nie mniejszy od obu mistrzów Jagiellońskich, także dla cnót ich słusznie sławionych. Słowem: perła ukryta i ozdoba miasta i Kościoła lwowskiego, polskiej literatury religijnej wieczna, imiennie jeszcze nie odsłoniona chwała: **Stanisław ze Lwowa,** jeden z najpierwszych modernistów teologicznych Polski katolickiej w epoce trydenckiej.

A miłośnik ojczyzny, choć w duchownym stanie.

Skromny bakałarz — alеć prawie na samych bakałarzach wspierają się początki piśmiennictwa u nas narodowego w onym czasie rewolucyjno-religijnym. Bakałarz z promocyi uniwersyte-

[1]) **X. Dr. Jan Leopolita:** 1) Starszy († 16 II 1535) to „Zophka“, „Zoffka“ wedle aktów radzieckich m. Lwowa (np. w T. I 858 nr. 2510 r. 1502, str. 926 nr. 2698 r 1505 d. 9 sierpnia przebywa we Lwowie w sprawie spadkowej). 2) Młodszy († 5 IV 1572), jak wiadomo z badań Muczkowskiego i Wisłockiego, był Niczem Kasprowiczem, t. j. synem Kaspra Nicz; szczegóły tego rodu tkackiego, co już w wieku XV-tym siedział w Krakowie, nie należą tutaj. (Zgoła inni są Kasprowicze lwowsko-lubelscy, współcześni naszemu Leopolicie).

ckiej w sztukach wyzwolonych, w teologii zaś doktor-nauczyciel z profesyi swego stanu, nie z urzędu i bez stopnia akademickiego. Kształcił się w szkole krakowskiej. Lata w niej nauk jego trwały zdaje się dłużej, ściśle nie dadzą się oznaczyć, bo kilku Stanisławów ze Lwowa jest w niej zapisanych naonczas. Uczeni Janowie Leopolici wieku XVI-go, wychowankowie i mistrzowie szkoły Jagiellońskiej, mają swego odkrywcę (J. Muczkowskiego) i wielu znaleźli o sobie badaczy. Mniej głośni i nie tyle znamienici Stanisławowie ze Lwowa pozostali w cieniu. A kto wie, czy nie są jeszcze liczniejsi od Janów; poza Krakowem i Wilnem idzie zaraz Lwów w kulcie św. Stanisława, patrona Polski i Litwy: święto jego jesienne, translacyę (d. 27 września) obchodzi z wigilią. Godzi się więc i Leopolitom tegoż imienia należne oddać wspomnienie, bo nie przeszli bez śladu w dziejach Kościoła lwowskiego, jak również i w piśmiennictwie naszem łacińsko-polskiem. W samym uniwersytecie krakowskim, gdzie naukę brali, zaznaczyli się niewiele; tem może więcej nie doczekali się dotychczas rozeznania swych osób i prac naukowych.

Sami prawie bakałarze. Pierwszy z nich „*Stanislaus Leopolitanus*, sztuk i świętych kanonów bakałarz“, zaleca się łasce wschodzącej gwiazdy w kościele krakowskim, archidyakonowi krakowskiemu i kustoszowi sandomirskiemu: przypisuje mu w r. 1510 oryginalną, jak zapewnia swą kompilacyę o regułach życia apostolskiego duchownych w liczbie trzynastu, wydobytych z listu pasterskiego św. Pawła do Tymoteusza (I Tim. III). Dopiero w dwa lata później pojawiła się ona drukiem w Wiedniu u Hieronima Wietora i Jana Singreniusa, nie wątpić, iż kosztem humanistycznego protektora. Nasz kanonista, rzeczywiście praktyczny, umiał mu się przypochlebić, aby się dostać pod osłonę tarczy jego Pallady, powiadając, iż już od pieluch, miasto zabaw dziecinnych, studya miłował, a teraz oddanych nauce życzliwą otacza opieką. Malenka o ośmiu kartach broszura, rzeczowo i metodycznie nie wychodząca poza tory kazuistyki scholastyczno-jurydycznej, jest komentarzem znanych wymogów moralno-prawnych stanu duchownego. Autor pisze dla kapłanów, żarliwym owiany duchem szczerej a koniecznej reformy-naprawy ich życia w świetle wzorów świętych; o sobie to jedno powiada, iż już od dawna nosił się z zamiarem takiej pracy, ale przeszkodą mu stały zajęcia kościelne. Wypada z tego, że już naonczas nie bakałarzował w uniwersytecie; szukać go należy w warstwach niższego duchowieństwa, np. między altarystami lub kaznodziejami kościołów raczej krakowskich aniżeli innych; ten zastęp kleru miejskiego liczył zawsze mężów z prawdziwem powołaniem duchownem oświatłych i świętobliwych. Stanisław Lwowczyk jest jednym z nich, nie tylko życiem i urzędem, ale i swem pismem, na jakie go stać było, zaradza ciągłej od wieków potrzebie reformacyjnej, którą odczuwały wszystkie serca gorętsze, pełne zarazem ducha zbożno-

kościelnego. Przyznawane mu z tego zapewne powodu więcej instynktownie aniżeli świadomie rozmyślanie passyjne o męce Pańskiej według opowieści ewangelicznej i wykładu doktorów Kościoła, wydane zaś przez tegoż H. Wietora już w Krakowie z początkiem 1520, staraniem Marka Scharffenbergera, który ją przypisał aptekarzowi płockiemu, Janowi Alantsee z Wenecyi, wyszło bezimiennie. I rzeczywiście nie ma dowodu, by nasz bakałarz był autorem tego płodu obfitej naonczas literatury teologiczno-pobożnej, jaka pojawiała się także w mowie ojczystej. Raczej to jest przedruk obcego pomnika, jak i *Stella clericorum*, pochodząca z w. XIV, która iż się ukazała w edycyi wiedeńskiej Wietora w r. 1515 a dla swej treści i tendencyi razem oprawiana z *Regule tredecim* Stanisława Lwowczyka, bywa w naszej bibliografii temuż przyznawaną. Nie jest wreszcie prawdą zupełną, co Janozki na swe czasy mógł twierdzić z pewną słusznością, że ten Stanisław wśród uniwersyteckich Leopolitów był pierwszym, który od miasta urodzenia swego przybrał nazwisko. Wyprzedziło go wielu Stanisławów bakałarzy, a jeden nawet mistrz Stanisław ze Lwowa, syn Macieja Welischa, zdaje się kolegiat mniejszy (mistrz z pocz. 1456 i jeszcze w Krakowie 1469). Nasz Leopolita, młodszy nieco od teologa-kaznodziei Jana Leopolity starszego, został bakałarzem sztuk wyzwolonych wraz z drugim Stanisławem ze Lwowa w tym samym 1504 r., tylko w innym terminie, poczem przeniósł się na fakultet prawniczy. Jeśli mieszkał w bursie kanonistów czyli Długosza, to miał w niej seniorem „wielkiego doktora“ i zarazem „wzór kapłanów“ mistrza Jakóba z Erciszowa; w każdym razie nauczycielem w dekretach i życia kapłańskiego był mu ten *doctorum norma Christi et sacrificium:* mistrz w sztukach a doktor prawa kanonicznego, Jakób h. Rola Erciszowski z Podlasia, wnet kanclerz i oficyał biskupów krakowskich, kanonik katedralny i rektor uniwersytetu wielokrotny († 27 VII 1533).[1])

---

[1]) **Stanisław Leopolita I,** bakałarz sztuk 1504 i prawa przed 1510. Od Janocianów (I, 163) aż do Kopery (Spis druków Jagiellońskich w bibliotece Czapskich w Krakowie, MCM, str. 46 nr. 36) poprzez Wiszniewskiego (HP. IX, 325) stawia się go na czele szkoły jurystów i w Grzegorzu z Szamotuł ucznia mu się daje. Wszakże profesora dekretów Stanisława Leopolity nie było w fakultecie prawniczym. Ojcem autorstwa jego *Stella clericorum* jest u nas Jocher (III, 61 nr. 6158). Pisemka jego *Regule tredecim* egzemplarz w bibliotece Pawlikowskich we Lwowie nr. 18007 był własnością Jana z Krassowa, zakrystyana lwowskiego ok. poł. w. XVI-go; miał on po mistrzu Walentym z Pilzna nadmienione wyżej kazania Teofilakta w przekładzie Ekolampada. Mistrz Stanisław, syn Macieja Welisza ze Lwowa, zaimatr. w lecie 1445, mistrz

Drugim owym bakałarzem Stanisławem to Mienda, z rodziny oświęcimskiej Beberów, która we Lwowie przybrała nazwisko Mende, Menda, Mienda. Mistrz z początkiem r. 1508, wykładał po dwu latach jako extraneus fakultetu filozoficznego przez lat sześć zwykłym trybem przedmioty scholastyczne, więc został kolegiatem mniejszym i rozpoczął przecież, zaraz w pierwszym roku po osiągnięciu mistrzowstwa, od Eneidy Wergilego, kiedy jeszcze nie należał do fakultetu. Mistrzów-docentów filozoficznych ze Lwowa liczyła naonczas wielu szkoła Jagiellońska, w pierwszych dziesiątkach wieku XVI-go. Franciszek niewiadomego nazwiska, który porzucił humaniora przez trzy lata wykładane (1505—1508) i oddał się dekretom, idąc w służbę Pawła Algimunta księcia olszańskiego, z którym niewątpliwie poznał się już w Krakowie, gdzie przyszły biskup łucki i wileński był w onych latach uczniem uniwersyteckim doktora Stanisława Bieli, sam zaś mistrz Franciszek z kanonika i kanclerza biskupa łuckiego księcia Pawła (1527) postąpił przy możnej tegoż opiece na biskupstwo kijowskie (1534 † ok. 1544); niektóre zapiski prywatne mienią go bałamutnie kanonikiem a nawet kustoszem lwowskim. Tak wysokiej godności nie osiągnął kolega jego, wraz z nim promowany mistrzem (z pocz. 1505) syn radziecki Andrzej Bergier, wspomniany już wyżej jako rektor szkoły lwowskiej (1520), następnie kanonik ojczystego, farsko-metropolitalnego swego kościoła (1523 † 30 XI 1549); przez całe życie niedomagał, ale naukę od młodości miłował: uczył się w Krakowie, nauczał we Lwowie. Synem wójta lwowskiego był mistrz Sebastyan Tyczka, którego dziad siedział jeszcze w Ropczycach, ale brat tegoż zajmował już krzesło radzieckie we Lwowie; jak i Bergier, dopełniwszy wykładów obowiązkowych na wydziale sztuk, w którym wziął stopień magistra (z pocz. 1519), wrócił do Lwowa, powołany przez arcybiskupa Bernardyna Wilczka na kanclerza jego kuryi (1526) i mansyonarza u św. Katarzyny na niższym zamku; później, za życia jeszcze swego pana, wszedł do kapituły; kanonię wzmocnił plebanią w Kulikowie, kreowaną naonczas prepozyturą († z wiosną 1553). Obaj mistrzowie, Bergier i Tyczka, którego nazwisko podane raz w aktach konsystorskich „Myca“ jeżeli nie jest jak się zdaje przekręcone, mogłoby być jego przezwiskiem, należeli do ściślejszego koła zaufanych arcybiskupa Wilczka. Rad bowiem znamienity ten pasterz lwowski otaczał się światłem w kapitule i u boku swego duchowieństwem mieszczańskiem, ściągał je z Krakowa, aby nie dopuścić kreatur królowej Bony do swego kościoła. Okazało się to w roku 1526, przy wakansie kanonii metropolitalnej i mansyonaryi zamkowej, które posiadał od lat przeszło dwudziestu rezydu-

---

z pocz. 1456 i następnie w Krakowie 1469, zdaje się potem 1475/6 kanonik wileński (AS. I, 100; L.Prom. str. 40, 47; ARect. I, 1023 i 1198 [indeks]).

jący naprzemian we Lwowie i w Przemyślu Mikołaj Janów h. Ostoja z Koszyc, pleban w Komarnie, kanonik nadto włocławski a w Przemyślu z kanonika prałat-kustosz i oficyał generalny.[1])

[1]) Mikołaj Rokosz z Kosczyc nad Białą pod Tarnowem, kanonik lwowski już przed 30 IX 1503 (AGZ. IX [1883], 210—213 nr. CLIII: „de Cosczicze“ h. Ostoja), równocześnie przemyski 1504, następnie tutaj kustosz 1524, przedtem oficyał przemyski (X. Fr. Pawłowski w Premislia sacra str. 176—7, 177 i 184 w przyp. oraz w Schem. dyec. przem.) i kanonik włocławski przed 1511 (*Akt. kapit. lwow.* T. I, 5) i pleban w Komarnie naonczas dyec lwow., zmarły przed 20 X 1526 (*Akt. konsyst. lwow.* T. I, f. 13v: akt instytucyi na beneficya po nim mistrzów Stanisława Miendy i Sebastyana Tyczki; tu dobijanie się po nim o kanonię lwowską Jana Lewickiego f. 14, 15v, 18, 19v, 20 i Mikołaja Górskiego, kanonika przemyskiego i plebana św. Szczepana w Krakowie f. 22; sprawa testamentowa kanonika Mikołaja Rokosza i plebana w Komarnie, tamże f. 122v. i nstpn.) Małopolanin z pod Tarnowa w powiecie pilźnieńskim a województwie sandomirskiem, piszący się z dziedziny swej Kosczyc nad Białą w starej parafii Góra, która iż niedługo potem, w drugiej połowie wieku XVI-go, przeszła z tenuty Rokoszów na własność Zbylitowskich, Zbylitowską i Zbyłtowską zowie się do dziś dnia.

Wsi *Kosczyce* — pierwotnie, jeszcze za Długosza „Kostczyce“ — były natenczas dwie: wielkie i małe, następnie i dzisiaj *Koszyce* wielkie i *Koszyczki*. Inne były wtedy *Koszyczki*, naprzeciw po drugiej stronie Wisły nad ujściem Szreniawy w ziemi proszowskiej, *to* miasteczko *Koszyce*, także Koszyczkami podtenczas, długo w wiek XVI-ty mianowane (np. 1565 r. w Cod. Czartor. 1040 zob. St. Kutrzeby Catalog. codd. mss. tejże biblioteki Vol. II [Cracowiae 1909], 83: „Koszyczki“; w księgach poborowych z r. 1581 „fara Kossiczki“ to fara koszycka u Pawińskiego ZD. XIV Małopolska III [1886], 9). Nazwa to była potoczna, u mieszczaństwa przestrzegana, jako małych Koszyc w odróżnieniu ich od Koszyc miasta polskiego w Węgrzech. Z Koszyc-Koszyczek nadwiślańskich, miasteczka królewskiego, pochodził „Jakób kantor de Cossyczki“ przy katedrze lwowskiej 9 IV 1540, kantor szkolny za rektorstwa mistrza Jana Tucholczyka (*Akt. konsyst. lwow.* T. I f. 456), lecz co ważniejsza: pochodził z nich współczesny naszemu kanonikowi Rokoszowi jeden z pierwszych przedstawicieli piśmiennictwa narodowego w sferach mieszczańsko-bakalarskich **Jan bakałarz z Koszyczek**, jak sam siebie zwie w swoich pismach, w księgach zaś uniwersyteckich zapisany „z Koszyc“ zarówno imatrykulacyjnej w lecie 1503 jak i promocyjnej bakałarz sztuk po latach dopiero dziesięciu, pod jesień na św. Krzyż 1513 (AS. II, 83 i LProm. str. 157; ob. notatkę dra L. Bernackiego. Nieznana praca Jana z Koszyczek w Pamiętniku niniejszym T. VI [1907], 363 gdzie całe zdanie o zapisie rze-

Beneficya jego we Lwowie chcieli koniecznie posiąść synowie szlacheccy. Dobijał się więc o nie szczególniej Jan Lewicki kantor płocki, dawny ajent rzymski prymasa Łaskiego, teraz królowej Bony skryba, także pisarstwo łacińskie w kancelaryi litewskiej mający i nadal kurtyzan rzymski († 1538). Arcybiskup wszystkich natrętów odrzucił — Bonie nie po raz ostatni: w dziesięć lat później odpalił innego jej notaryusza ze szkoły Gamrata, Macieja z Mąkolina, szlachetkę mazowieckiego; miał swoich, godniejszych, zasłużonych a sobie niezbędnych. Ażeby zaś zapędy kandydatów ostudzić, oba urzędy lwowskie po ś. p. Mikołaju Rokoszu rozdzielił. Na mansyonaryę z altaryą dał prezentę swemu X. kanclerzowi mistrzowi Tyczce, na kanonię zaś katedralną innemu ze Lwowa mistrzowi: Stanisławowi Miendzie, który w ciągu lat dziesięciu, odkąd straciliśmy go z oczu w kolegium mniejszem (1516), dorobił się kustodyi w kolegiacie św. Marcina na Spiżu i profesury św. teologii. Pierwszą zaopatrzyły go pewnie stosunki rodowe lub może bliższe nauczycielskie z synem Michała starosty orawskiego Januszem Karwatem, uczniem szkoły Jagiellońskiej, kiedy Mienda w niej docentował. Jako kolega mniejszy zwrócił się do studyów teologicznych; stopnia w nich akademickiego wprawdzie nie osiągnął żadnego, bakałarzem byłby się przecież pisał, ale iż rozpoczął lekturę teologiczną, do bakalarstwa prowadzącą, nosił potem stale i przydawał sobie więcej ambitny aniżeli słuszny tytuł profesora-lektora św. teologii; mógł snadnie wykładać ją potem u św. Marcina, jeżeli oczywiście tam zabawiał, lub w innej jakiej szkole, nawet krakowskiej poza uniwersytetem. By nauczał teologii w szkole lwowskiej lub prowadził jej rektorstwo, rzecz jest możliwa, ale żadną a żadną dotychczas wskazówką pozytywną niepoparta. Na kanonii doczekał się rychło nowej łaski u swego pana. Po przedwczesnej śmierci młodszego swego w uniwersytecie krakowskim niegdyś a teraz w kapitule kolegi mistrza Jana z Gródka, co się zwał Drohobysz(em) i na studyach prawa wychowankiem był bursy jerozolimskiej, mistrz-teolog został następcą jego w pełnym urzędzie wikaryusza *in spiritualibus* i oficyała generalnego. Nie darmo — jak się przypuściło — ocierał

---

komego jego syna, Marcina, na wszechnicę krakowską w r. 1513, kiedy jakoby ojciec brał bakalarstwo, jest zupełnie zbędne). Szczegół ten biograficzny enigmatycznego bakałarza z Koszyczek, że to jest Koszyczanin, syn mieszczański z Koszyc, dotychczas niestwierdzony, jest pewnikiem, jak i ten dalszy, że w uniwersytecie, kiedy się przysposabiał na bakałarza, kolegował z Baltazarem Opeciem, również szczerem dzieckiem mieszczańskiem i polskiem, wreszcie że obaj razem lata jeszcze całe pozostają potem w Krakowie; wyjawienie ojczyzny mistrza Baltazara, godności i urzędów jego późniejszych, które go, jako kreaturę Dantyszka, ku Niemcom skłoniły, († ok. 1550) nie należą już tutaj.

się Mienda o hrabiów liptawskich (Karwatów); hrabstwu cesarskiemu odpowiadało w stanie duchownym kuryalno-papieskie: uszczknął je sobie teraz trochę na oficyalacie lwowskim, co zresztą nie było trudnem, a godziło się z potrzebą i godnością urzędu pana starosty kościelnego, żeby pieścił swe ucho tytulacyą *vicecomes apostolicus.* Kiedy przyszedł do Lwowa, uchodził za doktora teologii i takim podawali go historycy dawniejsi. Zmarł po latach dziesięciu swego urzędu (1530—1540), już po zejściu arcybiskupa Wilczka, którego wikaryuszem i oficyałem był aż do śmierci. Takim był Stanisław Leopolita II-gi, mistrz Mienda, profesor św. teologii [1]).

Lwów. (C. d. n.)

---

[1]) **Stanisław Leopolita II,** mistrz Mienda ze Lwowa. Nazwisko: Beber anders Mende 1462 *(Akt. radz. m. Lwowa* T. I, 35 nr. 94); znana jest rodzina mieszczan lwowskich Mendów z końcem owego, XV-go wieku (Tamże, passim, np. str. 388 nr. 1039 r. 1479, str. 416 nr. 1129 r. 1480, str. 629 i 636 nry 1759 i 1782 r. 1492), w *Akt. oficyalatu lwowskiego* z lat 1482—1498 pisani są już Myenda, zwłaszcza obywatel Stanisław 19 VI i 16 X 1497 (fol. 527 i 534). Ojciec: niewiedzieć, czy ten Stanisław, czy raczej Mikołaj lub Jan; stąd i w metryce uniwersyteckiej trudno oznaczyć naszego Miendę wśród wielu Stanisławów ze Lwowa. W szkole Jagiellońskiej: mistrzem z pocz. 1508 (LProm. str. 147 gdzie i kanonia spiska), wykłady na fakultecie filozof. 1509 i 1510—1516 (LDilig. str. 440 i Incunabula Bibl. Univ. Jagell. str. 286 i 133); bakałarzami w r. 1504 zostało dwu Stanisławów ze Lwowa: jeden na Popielec, drugi na Zielone Świątki (LProm. str. 138 i 139), jednym z nich Mienda, drugi Stanisław Leopolita I, ów późniejszy bakałarz prawa, który mistrzem nie był; wreszcie zapisani w metryce uniwersyteckiej: 1499/1500 Stanisław Mikołajowy, a w lecie 1501 Stanisław Janów z Janem Leopolitą (AS. II, 54 i 66). We Lwowie: prezentowany na kanonię po Mikołaju Rokoszu przez arcybiskupa 20 X 1526 *(Akt konsyst. lwow.* T. I f. 13v); wikaryuszem in spirit. i oficyałem generalnym tegoż arcybiskupa Wilczka aż do śmierci, w latach 1530—1540. Akty oficyalatu jego mieszczą się w *Archiwum konsystorskiem* (T. I f. 80—115v, 150v—209 i 432—455v od 29 IV 1530 do 17 III 1540), tudzież w *Archiwum kapitulnem* (cały tom drugi, sygn. I b, niepag., od 17 III 1531 do 22 III 1538). Sam poszedł rychło za swoim pasterzem; na posiedzeniach kapituły nieobecny już w ciągu 1538 i 1539 r.

STANISŁAW WASYLEWSKI.

U ŚWITU ROMANTYZMU.
I. EDWARD LUBOMIRSKI.

Karty historyi romantyzmu, rojące się od nazwisk i przechowujące skrupulatnie daty i tytuły nie znają Edwarda Lubomirskiego. I nic w tem dziwnego, że zapomnieli o nim rychło współcześni, a historya literatury nie wydobyła go z niepamięci. Badacz romantyzmu, spotkawszy się z tem nazwiskiem mógł sprawdzić choćby w Encyklopedyi Orgelbranda, że zmarły w r. 1823 Edward ks. Lubomirski wsławił się założeniem instytutu oftalmicznego w Warszawie, że mając zamiar poświęcić się dyplomacyi spędził kilka lat swego krótkiego życia poza granicami Polski, w Niemczech i w Anglii; w bibliografii zaś zanotowano pod tem nazwiskiem kilka utworów oryginalnych i tłómaczonych, bliżej nieznanych, świadczących jednak, że Lubomirski zajmował się widocznie także i literaturą.

Bliższe przypatrzenie się postaci zapomnianego przekonało mnie, że pominięto go niesłusznie. Nie dla samej jego twórczości poetyckiej, która nie jest z rodu nieśmiertelnych, ale dla całej, niedługiej zresztą działalności, kryjącej w sobie kilka znamiennych momentów dla historyi epoki, dla poznania zapowiedzi i początków romantyzmu.

* * *

Miał lat 28, gdy zginął tragicznie. Z rany, odniesionej w skroń, w pojedynku z oficerem gwardyi polskiej strzelców konnych, Grocholskim, umarł Edward Lubomirski w Warszawie 26 lutego 1823. Umarł w chwili, kiedy, porzuciwszy ambitne marzenia o zawodzie męża stanu, osiadł w swych dobrach w Radzyminie,

by się oddać pracy literackiej. Dat z jego życia przytoczyć można kilka: Urodził się w Dubnie, na Wołyniu w r. 1796. Był synem Michała, generała wojsk polskich. „Nauki pobierał w liceum warszawskiem, następnie w Wiedniu, i tam rozpoczął zawód dyplomatyczny przy poselstwie rosyjskiem, do którego potem przyłączony był także w Berlinie i Londynie“. W Wiedniu bawi z przerwami od r. 1815—1820, poczem wyjeżdża do Londynu z zamiarem dokładnego poznania kultury angielskiej. W r. 182¹ wraca do kraju. „Przed śmiercią zostawia hojne zapisy na rozmaite zakłady, pomiędzy którymi wyznaczył zł. 400.000 tudzież pałac i ogród własny na założenie instytutu dobroczynnego w Radzyminie. Wybór i urządzenie zakładu poruczył bratu swemu ciotecznemu, hr. Edwardowi Raczyńskiemu“, który założył do dziś istniejący instytut oftalmiczny w Warszawie [1]). W ciągu tych kilku lat życia nie ustawał w pracy literackiej. Wrażenia swe z pobytu nad Dunajem zawarł w szczegółowem i wyczerpującem dziele p. t.: Opis historyczno-statystyczny Wiednia (1815, druk. 1821). Z Londynu przywiózł poważną publikacyę: Rys statystyczny i polityczny Anglii „owoc dwuletniej pracy, starannych badań i przyjacielskich stosunków z wielu uczonymi Brytanii“ [2]). Tłómacz i poeta dał się poznać z dwu dzieł: z przekładu „Fausta“ Klingemanna (1819) i poematu lirycznego: Groby w dniu śmierci Tadeusza Kościuszki. Dumy rycerskie (1821). W każdem z tych dzieł jest coś, co zasługuje na podniesienie i prrzypomnienie. Ostatnia praca, na swój czas niepospolita, przynosi najwięcej. Otarcie jej z pyłu niepamięci jest nawet obowiązkiem historyi romantyzmu.

*
* *

Opis historyczno-statystyczny Wiednia [3]) jest, jak wspomniałem, pierwszą młodzieńczą pracą Lubomirskiego. Ten drobiazgowy przewodnik po Wiedniu, rozwlekłą i rażącą jeszcze chwilami

---

[1]) Encyklopedya powszechna Orgelbranda. Warszawa, 1864, t. XVII, s. 369; por. nadto: Żychliński, Złota księga szlachty polskiej, t. V, s. 129; Wurzbach, Biographisches Lexicon, t. XVI, s. 110; Kuryer Warszawski z 28 lutego i 2 marca 1823 (notatka o śmierci i egzekwiach); Raczyński E., Słowo wstępne do „Rysu Anglii“ (1829) Lubomirskiego; Sz. Askenazy, Łukasiński, t. I, s. 205. W zbiorze autografów Biblioteki Ossolińskich (nr. 814) znajduje się list E. Lubomirskiego do Henryka ks. Lubomirskiego.

[2]) Raczyński, l. c.

[3]) Opis historyczno-statystyczny Wiednia, oryginalnie 1815 r. wystawiony. Z planem tegoż miasta. W Warszawie 1821, 8⁰, s. 488. — Z przedmowy widać, że praca ukończona w r. 1815; data przedmowy: 4 marca 1820, cenzury: 16 czerwca 1820.

polszczyzną pisana „książka podróżna“, którą autor chciał słusznie pierwotnie zachować w rękopisie, nie miałby dziś żadnej zgoła wartości, gdyby nie kilka ustępów, nadających Opisowi pewne znaczenie w rozwoju nowych pojęć literackich. Są to trzy rozdziały poświęcone dawnej i nowej literaturze niemieckiej, pierwsza u nas, powiedzmy odrazu, obszerniejsza informacya o Niemczech w erze pseudoklasycyzmu, pomyślana i napisana z tych samych pobudek, z jakich, parę lat temu pisała swą książkę De l'Allemagne pani Staël-Holstein, z tym samym *en miniature* entuzyazmem i ukochaniem poezyi niemieckiej, tylko bez talentu autorki Corynny. Tą częścią swej pracy wyprzedza Lubomirski chronologicznie naszych najwcześniejszych teoretyków romantyzmu. Pragnie bowiem zwrócić uwagę na doniosłość, jaką może mieć dla rozwoju poezyi polskiej zaznajomienie się bliższe z literaturą niemiecką, której świetny rozkwit jest nam zupełnie obcy, a właśnie

> „może nam dać to, na czem dotąd zbywa naszym dziełom, to jest: na wypracowaniu, na gruntowności nauk, uporządkowaniu myśli..., gdyż w tym wieku niema kraju, jak mówią, gdzieby więcej było światła, jak w północnych Niemczech. Francuska literatura daje tylko francuskie oświecenie, niemiecka zaś obdarza ludzi powszechną oświatą, gdyż jest jakby ulem, w którym pszczoły zebrały z przykładnym mozołem miód z naukowych kwiatów, tak starożytnych, jak późniejszych narodów. Ktoby tylko francuską zgłębił literaturę, zostałby Polakiem sfrancuziałym, kto niemiecką dokładnie pozna, nie znając wzorów starożytnych pisarzy, zostanie oświeceńszym człowiekiem“ (s. 178).

Rozwój umysłowości polskiej i rozwój poezyi na inne skierowałby się tory, gdyby mu oddawna „wzorem powszechnym“ nie była kultura francuska. A przyczyny niedocenienia i „wstrętu“ do literatury niemieckiej tkwią w braku sympatyi dla narodu i dla jego języka, który przecież „właściwszy jest poezyi“ jak francuski.

> „Francuski jest językiem rozumowania, dowcipu, ale nie gorącej wyobraźni, wyszukanego społeczeństwa, nie zaś czystej prostoty, uczuciów ani siły; jest właściwszy śpiewom Cytery niż wierszom Homera. Nie tak jest zdatnym jak niemiecki do mocnego i śmiałego wyobrażenia; ubóstwo języka nie przypuszcza wiele poetycznej wolności“... (s. 178).

Ogół polski nie zna zupełnie poezyi niemieckiej; krążą przesadne mniemania o jej niejasności i sądy powierzchowne o niemieckim guście, a przecież

„każdy naród i każdy język muszą mieć właściwe sobie przepisy przyzwoitości. Pantheon o tyle różni się od kościoła św Stefana, o ile Sofoklesa tragedya od jakiejkolwiek Schakespeara“ (s. 180).

Po tem od Schlegla zapożyczonem porównaniu, wykazuje Lubomirski na przykładach, że w każdej dziedzinie literatury w każdym rodzaju twórczości poetyckiej Niemcy mają dzieła „niekiedy nierównie doskonalsze“. Zwolennikom Henryady radzi przeczytać Messyadę, ody J. B. Rousseau'a każe porównać z odami Klopstocka, Wielanda z Wolterem, Torquata Tassa Goethego z tragedyą Racine'a, aby zrozumieć wyższość poezyi niemieckiej nad francuską.

W dziele Lubomirskiego mieści się zatem prawie wszystko to, co w latach następnych wejdzie w skład elementarnego wyznania wiary każdego szanującego się zwolennika nowego kursu w literaturze polskiej, co prawie równocześnie ujmie w systematyczny wykład J. S. Kaulfuss, zanalizuje w rozprawie o klasyczności i romantyczności Brodziński, a powtarzać będą nieraz rozmaici zwolennicy „germanomanii“. Po tych uwagach ogólnych daje Lubomirski krótki przegląd historyi poezyi niemieckiej od średniowiecza do romantyzmu. Ustępy poświęcone poezyi „osobliwego wieku średniego“, objawiającej „skłonność do romantycznych dziwów“, apoteoza rycerskiego świata, „niewyczerpanego źródła pięknych czynów, bohaterskich dzieł“, pieśni minnesängerów świadczą, że nie był mu obcym kąt widzenia romantycznej estetyki niemieckiej, propagującej kult życia i poezyi średniowiecza. Z kolei idą króciutkie charakterystyki poetów niemieckich, od Hansa Sachsa począwszy; Klopstock, Lessing i Wieland ocenieni obszerniej, entuzyastycznie, Schiller, jako bardziej znany, wspomniany tylko w kilku słowach, Goethe — jak wogóle u naszych krytyków romantycznych — niedoceniony. Na wzmiance o Jean Paul'u „malującym przedmioty, jak Rembrandt, w ciemnym gruncie“ kończą się uwagi Lubomirskiego.

Cały ten traktacik zasługuje na podniesienie dlatego, że, jak wspomniałem, powstał w r. 1815. Stwierdza zatem po raz pierwszy w krytyce polskiej wyższość literatury niemieckiej nad pseudoklasyczną, przestrzega Polskę przed ignorancyą pierwiastków literatury niemieckiej, godnych naśladowania. Myśli Lubomirskiego zakiełkowały dopiero później w krytyce, rzucone przez innych, pogłębione i rozszerzone, i były przez długi czas potem podkładem dyskusyi i namiętnych sporów. To też gdy autor Obrazu Wiednia wydał swe dzieło w r. 1821, rozdziały o literaturze nie mówiły niczego nowego; każde niemal ich zdanie było już własnością ogółu.

Obraz Wiednia świadczy, że młody adept dyplomacyi interesował się żywo literaturą Zachodu i śledził ciekawie jej naj-

nowsze zjawiska, oddany w czasie pobytu we Wiedniu, Berlinie i Londynie studyom nad rozwojem dramatu i teatru. Teatr niemiecki rozbrzmiewał wtedy hasłem reformy dramatu i przystosowania go do potrzeb i wymagań sceny (Iffland, Schröder, Holbein, Klingemann). Jednem z najważniejszych wydarzeń w dziedzinie dramatu wydawał się współczesnym utwór znanego i płodnego romantyka A. Klingemanna p. t. Faust (1816), podziwiany przez całe Niemcy [1]).

Widziano w nim świt nowej sztuki dramatycznej a dla zręcznych efektów scenicznych stawiano wyżej nad Fausta Goethego, któremu Klingemann zamknął na długi czas wstęp na scenę niemiecką. Jeszcze w latach 1860—1870 był bardzo popularny; słynnym był afisz przedstawienia Fausta, na którym widniało: „Faust von Goethe, nach Klingemann". I dlatego się o Klingemannie wspomina, bo zresztą, ów Faust, ułaskawiony Faust Goethego, zawierający pakt z dyabłem i szukający ciągle sposobności do popełnienia czterech zbrodni, przewidzianych w kontrakcie z piekłem, nie wiele się różni od tuzinkowych bohaterów dram rycerskich z epoki „burzy i pędu". Pławiącego się we krwi, zabójcę ojca, żony i dziecka porywa wreszcie szatan do piekła „w pośród trzasku piorunów, przy nocnych błyskawicach". Sceniczna werwa i życie dramatu Klingemanna, napisanego w chwili, kiedy sprawa ożywienia i reformy teatru niemieckiego była przedmiotem powszechnych dyskusyi, usprawiedliwia częściowo zachwyty krytyki niemieckiej nad Faustem, tłómaczy także i Lubomirskiego.

Lubomirski uległ entuzyazmowi krytyków niemieckich. A że w studyach nad literaturą Zachodu świeciła mu zawsze myśl przysporzenia jak największej korzyści literaturze ojczystej, więc wkrótce potem rozpoczął pracę nad spolszczeniem Fausta w przekonaniu, że zaznajomi Polskę z dziełem wielkiem, niespożytem, które może przecież zwróci dramat polski z drogi naśladownictwa francuskiego a skieruje go ku nowym gwiazdom. Praca, ukończona zdaje się w r. 1818, ukazała się w roku następnym, bezimiennie [2]), z obszerną przedmową tłómacza.

Nie można powiedzieć, aby przekład polski dodał nowych blasków Faustowi. Rozwlekłe i pełne rażących błędów tłóma-

[1]) Klingemann Ernst August Friedrich (1771—1831), dyrektor teatru, dramaturg i romansopisarz. Z długiego szeregu dzieł najsłynniejsze były: Heinrich der Löwe, Martin Luther, Moses. Por. o nim: Goedeke Karl, Grundrisz zur Geschichte der deutschen Dichtung[2], t. VI, s. 440, Ersch und Gruber, Allgemeine Encyklopedie, II Section, B. 37, s. 110, Allgemeine Deutsche Biographie, t. XVI, s. 187—9.

[2]) Faust, tragedya w pięciu aktach przez A. Klingemanna. Z niemieckiego wolnym wierszem przetłómaczona. Warszawa, 1819, 8^{0}, s. LXIV + 202.

czenie obniżyło jego i tak bardzo względną wartość, chociaż Lubomirski z pietyzmem niemal dokonywał przekładu Fausta, uzupełniając i „umoralniając“ dramat w kilku miejscach.

Ciekawszą od samego dramatu, którym się tutaj zajmować nie będę, jest przedmowa Lubomirskiego, stanowiącą właściwie obszerną rozprawę o Fauście i dramacie niemieckim, a dowodząca dużego stosunkowo oczytania autora. Rozumiał on dobrze swe trudne stanowisko, jako tłómacz tak jaskrawego utworu, i bał się oburzenia klasyków, którzy mogli jego wystąpienie wziąć za prowokacyę. To też przedmowa jest właściwie obroną przed wszystkimi możliwymi zarzutami z ich strony: broni autora, że taki dramat napisał, tłómacza, że się ośmielił go pochwalić, przełożyć i uznać jego wyższość nad dramatem pseudoklasycznym.

Trudno poddawać tu pracę Lubomirskiego szczegółowej analizie, na jaką bezsprzecznie zasługuje. Zaznaczę tylko, że jest w tej przedmowie odważne wykazanie braków teatru francuskiego, pierwszy raz wyłożona teorya Lessinga o niezrozumieniu Arystotelesa przez Francuzów, wreszcie apel do literatury polskiej, aby przestała być „kopią kopii“, a zaznajomiła się raczej z dramatem Niemiec i Anglii.

Drugim ważnym momentem przedmowy jest obrona dramatu fantastycznego i uzasadnienie potrzeby jego istnienia. Ostrożnie i dyplomatycznie stara się Lubomirski wytłómaczyć, że autor, który, jak Klingemann, pisze dramat z czasów średniowiecza niekoniecznie godzien jest śmierci w oczach estetyki, gdy wprowadzi np. dyabła na scenę. Zapewnia, że ten autor sam z pewnością w dyabły nie wierzy i „oświeconemu“ czytelnikowi wierzyć nie każe, czyni zaś to, a nawet musi czynić dlatego, by zachować koloryt epoki, którą w dramacie odtwarza. Mimo wprowadzenia do akcyi i innych zjawisk nadprzyrodzonych, które w niwecz obrócą zasadę trzech jedności i przepisy poetyki, tendencya dramatu fantastycznego może być równie moralną, jak w najbardziej uroczystej, prawidłowo zbudowanej tragedyi.

Daremnie się jednak Lubomirski wysilał na obronę; pracę jego pominięto zupełnem milczeniem. Ani słowem nie odezwał się nikt o przekładzie Fausta, choć autor bardzo o krytykę, choćby najostrzejszą, prosił. Dopiero w trzy lata później, F. S. Dmochowski przyznał, że Faust, wraz z wystawioną na scenie warszawskiej w r. 1821 Dziewicą orleańską Schillera, przyjętą z entuzyazmem przez krytyków i publiczność, to były dwie pierwsze tragedye romantyczne w Polsce. „Przekład jest — dodał — próbą pisarza nie bez talentu; są w nim szczęśliwe wiersze i wyrażenia, lecz ciągła niepoprawność stylu razi ucho i nuży czytelnika“ [1]).

[1]) Rzut oka na obecny stan literatury polskiej (Gazeta literacka 1822, I, s. 3).

Sam zresztą Lubomirski nie zraził się niepowodzeniem pierwszego występu, bo czuł dobrze braki swego przekładu. W wydanym bezimiennie Obrazie Wiednia (1821) wystąpił nad wyraz ostro przeciw tłómaczowi Fausta, zarzucając mu „uchybienia przeciw polskiej składni“ i brak „smaku i zdatności“...

Bo w ciągu tego czasu postąpił już bardzo w pracy nad nieustannem udoskonalaniem stylu i języka, i z prozy, ciężkiej i nieskładnej, przeszedł do poezyi, dla której, zdaje się, porzucił zawód dyplomaty. W czasie pobytu w Anglii, a może już po powrocie do kraju, w Radzyminie wykończył Lubomirski obszerny poemat, w którym zarysowała się ciekawie jego indywidualność poetycka. Teraz wreszcie, u schyłku młodego życia, zwrócił, choć u nielicznych, na siebie uwagę. Owem dziełem były: Groby w dniu śmierci Tadeusza Kościuszki. Dumy rycerskie oryginalnym wierszem napisane przez tłómacza Tragedyi Faust. Część pierwsza. W Warszawie, 1821.

*
* *

„Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne“ powiedziałby był romantyk, „chwila dziwnie osobliwa“ powiedzielibyśmy dzisiaj, chcąc uchwycić nastrój tych ostatnich, przedmickiewiczowskich lat literatury polskiej 1820—1821, w których się uświadamiały idee romantyzmu. Pseudoklasycy strwożeni, że już nawet we Francyi „liczyć się poczynał w poezyi nowej ery początek“ widzieli się osaczonymi przez coraz liczniejsze koło wyznawców nowej, romantycznej wiary, wiary strącającej w proch odwieczne świętości z ołtarzy i klątwa im na oburzonych ustach zamierała. Bo szalonymi zdali im się „obskuranci“, co Francyę Północy, Polskę oświeconą w mrokach „nocy gotyckiej“ pogrążyć chcieli.

A wysilona dyskusyami krytyka romantyczna szukała daremnie w Schleglach i Sismondich, by przeciwnikom powiedzieć, jakim powinien być w teoryi, jakim będzie kiedyś w praktyce romantyzm polski, ten „z ducha i wewnętrznej, narodowej treści poczęty“...

W słuch przemienieni czekali, żali się zjawi utęskniona wizya — polskiej romantyczności.

Nie wiedziano skąd nadejdzie, czy zrodzi się z ducha pieśni ludowej, czy odszuka i do życia powoła polskie średniowiecze, wywiedzie na światło polskich trubadurów, czy się odnajdzie „w dziejach niezliczonych plemion słowiańskich“, zstąpi do „mogił rycerzów, które po niwach naszych wszędzie napotykamy“, a może, nie odszukawszy rodzimej tradycyi romantycznej, uderzy czołem przed Byronem i Walter Scottem?

Taki był nastrój w młodem pokoleniu w latach 1820—1, nastrój, który wyczuć można w każdym artykule polemicznym, w każdej nowej wiadomości o romantyzmie Zachodu.

A głos Brodzińskiego spory łagodził i ostrzegał:

„Te spory na tę drogę naprowadzić nas powinny, że porównanie literatury różnego smaku do naszego własnego nas wróci. Nie porzucimy Jowisza i Amorka, abyśmy się upiorów i czarownic chwycili, abyśmy nieszczęśliwy feudalizm opiewali ale daj Boże! abyśmy przez zgłębienie dziejów naszych i poznanie istoty poezyi do dawnym Grekom podobnej prostoty i smaku wrócili... Jest to moje marzenie i niejakie przeczucie o naszej literaturze, którego skutku nie tak rychło się spodziewam (Pam. warsz., 1822, I)".

W takiej chwili ukazują się Groby w dniu śmierci T. Kościuszki. I zdało się nielicznym, co je przeczytali, jak gdyby się tam polska romantyczność rozświtała, jakby się jedno z marzeń i przeczuć Brodzińskiego spełniło... On sam to przyznaje i oddaje Grobom słowa wielkiej, entuzyastycznej niemal pochwały, jakiej się nigdy nie doczekały Ballady i Romanse, raziła go bowiem ich „obcość":

„Dzieło to obiecuje narodowej literaturze znakomitego poetę. Zbyt rzadko oddychamy na Parnasie naszym tem świeżem powietrzem, które nam się czuć daje, kiedy nas poeta wprowadzi w kraje imaginacyi... Malowanie poetyczne szczegółów, miejscowości, nadają jego poezyi życie, cechę narodową i pewną nam właściwą oryginalność, o którą woła literatura nasza[1])".

Z ciekawością otwieramy więc rzadki dziś tomik Grobów, aby sprawdzić sąd Brodzińskiego. Może śpiewak Wiesława dał się unieść pierwszemu wrażeniu i pomylił się tak, jak wówczas, gdy Karpińskiego porównywał z Goethem a Bończę Tomaszewskiego, autora Rolnictwa, z Szekspirem?...[2])

Dlaczego i pod jakim wpływem E. Lubomirski, napisawszy „poemat liryczny" (jak sam nazywa swój utwór, składający się

[1]) Groby w dniu śmierci T. Kościuszki. (Pamiętnik Warszawski, 1822, t. I, s. 238—247). — Recenzya bezimienna, autorstwo Brodzińskiego nie ulega jednak wątpliwości; stwierdza je bowiem spis prac własnych, ułożony przez autora Wiesława na kilka miesięcy przed śmiercią, wydrukowany, jak wiadomo, w pracy F. S. Dmochowskiego: O życiu i pismach K. Brodzińskiego, Warszawa. 1871. (Odb. z Biblioteki warszawskiej). Por. s. 4. pod r. 1822: „O dumach rycerskich Lubomirskiego". Wskutek niedokładnego tytułu nie mógł Dmochowski recenzyi odszukać.

[2]) O klasyczności i romantyczności (wyd. Westa) s. 89 i 97.

ze 165 ośmiowierszowych zwrotek), podzielił go potem na cztery części i nazwał każdą mianem dumy rycerskiej — niewiadomo. Niema bowiem żadnego związku pomiędzy Grobami a tem, co uważała za „dumy“ poetyka romantyczna. Słowa przedmowy odsłaniają nam treść i układ utworu: „Poeta w osobie Barda, przeniósłszy się w dzień śmierci T. Kościuszki (17 listopada 1817) do katedry krakowskiej i spotkawszy tam czterech rycerzy dawnych, przysłuchuje się ich powieściom, z których najgłówniejsza, powieść o Kościuszcze“ (s. 4).

Ów Bard kaledoński rozpoczyna uroczystą pieśnią poemat. Spadkobierca wielkiej poezyi trubadurów i minstrelów, wspomina dawną wielkość swych przodków, sławi średniowiecze, które im dało nieśmiertelność, tęskni i boleje, że wieki wyzięblły żar czarownej *chanson de geste* prowansalskiej. Osamotnionym, obcym, niezrozumianym czuje się w wieku oschłego racyonalizmu, w erze podległej panowaniu zdrowego rozsądku. „Miej serce i patrzaj w serce“ ma już niemal na ustach...

Ten wiek ciemnoty nas piętnuje znakiem,
Zimno rozsądek czucia dziś rozbiera.
Miłość jest słowem, prostota niesmakiem,
Rozum się zdobi, lecz czułość umiera.

Bard obejmuje spojrzeniem Kraków i Wisłę, teraźniejszość mu cięży, więc idzie między grobowce, gdzie Polska królewska uśpiona, rozpamiętywać przeszłość. Przestąpił progi Zygmuntowskiej kaplicy:

...Mniemam, iż czytam w nich życia wyrazy.
Każda z tych trumien ciągnie mnie ku sobie,
Wierna mi pamięć wskrzesza zmarłych zwłoki...

Więc rozpamiętywa dzieje Piastów i Jagiellonów. Schodzi potem do podziemi, gdzie grób Sobieskiego i sarkofag dla księcia Józefa, bo tam zawsze zastanie czterech białych rycerzy — starców.

Nieraz tu nawet północ ich witała:
Gdzie Poniatowski przy Sobieskim leży,
Gdzie lampa w górze słabym brzaskiem pała,
W koło tam siedzą w rycerskiej odzieży.

Zawisza, Sieciech, Gedymin i Zbigniew. Krzepią się wzajem co wieczór zbolałe duchy zakutych w stal rycerzy i wiodą długie rozmowy o Polsce, o ofiarach krwi, które dla niej ponieśli; a ona w tych grobach żyje i szepce im codzień słowa wiary w zmartwychwstanie...

Słowa Barda kończą dumę pierwszą:

Kto za mną wstąpił do progów poświętnych
Znajdzie przytułek w królów grobach smętnych,
Aż się wysili mocna zawierucha
Niech siędzie, rozmów niech rycerzy słucha.

Burza, wicher i pioruny wtórzą rozmowie rycerzy, która jest przedmiotem dumy drugiej. Gedymin obwinia Polskę: brak karności i narodowej tężyzny, nieład społeczny i źle pojęta wolność wpędziły ją do grobu. Zbigniew go karci:

Śniegiem się nasze oprószyły włosy,
W zimie lat twoich mgła przed oczy staje;
Naród oskarżasz? raczej oskarż losy.
Niegdyś wawrzyny rodziły te kraje.

W Polsce kryły się skarby uczuć męstwa, miłości i cnót obywatelskich. Nawet ostatniego jej monarchy nie godzi się potępiać:

Gdzież króla będzie trumna stać głazowa,
Z którym i Polska w czarnym legła grobie?
Przeklinam go! Nie! — cofnę straszne słowa,
Cześć Poniatowskim, królu! cześć i tobie.
Sąd lekkomyślny jest sądem potwarzy.
Możeś niewinny, wspominam cię z bolem,
Nie chcę znieważać mniej sławnych mocarzy,
Wszakże z nich każdy moim zwał się królem.

Sieciech słucha rozmów w milczeniu; dokuczają mu myśli ponure i złe przeczucia. Może pierwszy raz w życiu ulega pancerny towarzysz uczuciu strachu. Rozpętane burzą żywioły, jęk żałosny wawelskich dzwonów, migotliwe światło kaganka napawa go jakąś nieokreśloną trwogą; po ścianach gonią się cienie, u wezgłowi trumien przyczaił się Strach:

Z dziesiątkiem zbrojnych wręcz się będę ścinał,
Dotrzymam pola, jak kiedym był młody
I w karacenę piersi nie zapinał.
Przysiądz na kędzior mogę srebrnej brody.

Na czole ostrze nakryśliło cudze,
Że wrogom tyłu w walce nie podałem,
Powiem-li? Może do śmiechu pobudzę?
Walczyć z duchami serce nie jest śmiałem.

I oto jak opisuje swe wizye:

Groźna pogromem nawała się zbliża,
Zdala grzmot warczy, chmury ogień niecą,
Jak o paiżę uderzy paiża,
Tak niebo huczy, tak płomienie lecą.

Przy drobnem świetle, które lampa sieje,
Widma okropne spostrzegam w około:
Tu pod obłąkiem zjawisko się chwieje,
Zawój z obłoków zdobi jego czoło,
Tułub chmurzysty mgliste wleką nogi;
Czyście słyszeli jak boleśnie ryknął?
Tam.. przy filarze potwór widzę srogi...
Idzie... zbliża się... stanął... gdzie jest?.. zniknął.

Giedymin uspokaja Sieciecha. Gdyby istoty z tamtego świata ukazywały się ludziom, niosłyby im z pewnością słowa pociechy i rady życiowej. Gdybyż ożyć mogli, choć na chwilę, ci, co pod czarnym marmurem śpią w dyademach narodowej chwały, Zamojscy, Żółkiewscy, Chodkiewicze... Mogliby tylko błogosławić! By do reszty podnieść na duchu rycerzy, Zawisza opowiadać im poczyna życie i chwałę Naczelnika Kościuszki.

Z słowem *Kościuszki* jedna z lamp się tlących
Nagle zagasła, wzruszywszy mówiących.
Czasem ciemności rozjaśnia w Świątnicy
Promień księżyca, czasem błyskawicy.

A burza wstrząsa posadami Katedry i kłonią się od grzmotów arkady wawelskich podziemi. Bowiem w tej samej chwili w Solurze ułożył się do snu wiecznego Tadeusz Kościuszko.

Z treści i przytoczonych wyjątków nabrać już można wyobrażenia o pewnej niepowszedniości utworu Lubomirskiego, o romantycznym charakterze wiązań tego poematu, wznoszącego się wysoko ponad „sielskość“ i... anemię wszystkich współczesnych t. zw. zwiastunów romantyzmu. Ów bard kaledoński to postać pomyślana głębiej, różniąca się bardzo od rozmaitych, konwencyonalnych bardów, zjawiających czasem nawet w poezyi Księstwa Warszawskiego. Wprowadził go Lubomirski jako przedstawiciela poezyi romantycznej, choć słowa tego nie użył. Wiadomo bowiem, że romantyzm francuski, zwracając się za wzorem niemieckim do średniowiecza, szukał tam tradycyi i oparcia do walki z klasykami. Znalazł je w całej poezyi średniowiecza i okrzyknąwszy jego patronat nad nową szkołą wypisał na swym sztandarze hasło entuzyazmu dla jego romantycznych wątków, czystych uczuć miłosnych, przeciwstawiwszy jego polot poetycki epoce zdrowego rozsądku.

Poetów prowansalskich nazwał już Sismondi „*les premiers-nés de l'Europe pour la poésie romantique*“, obszerną rozprawę poświęcił im A. W. Schlegel, a cała twórczość młodego Wiktora Hugo stała pod urokiem średniowiecza. Lubomirski, przeciwstawiając barda poezyi swej epoki, staje więc na stanowisku europejskiego romantyzmu. „Przybrałem ten lekki płód poezyi w postać dotąd nieznaną jeszcze w rodowitej poezyi“ pisał dlatego nieśmiało w przedmowie. Dekoracye i tło, na którem się pomysł Grobów rozwija, są istotnie, jak na r. 1821, zastanawiające, chwilami użyłby ich z ochotą nawet późniejszy „rozczochrany romantyk“. Owi czterej rycerze mają w sobie dużo jakiejś piastowskiej, husarskiej dostojności, jakiej im nigdy nie potrafił nadać koturn pseudoklasycznej tragedyi. W dumie drugiej romantyk odsłania się już w całej pełni. Strofy, opisujące wizye Sieciecha przepyszne są w swej naiwności. Bezradny, jak oddać w wierszu polskim rzeczy, których tyle spotykał u Niemców, próbuje Lubomirski nieśmiało ucieleśnić przywidzenia Sieciecha. Przy spowitem chmurami świetle księżyca, przy dreszcz budzącym krzyku puhacza każe chmurom niecić ogień, grzmotom warczeć, a chwiejącemu się zjawisku daje „tułub chmurzysty“ zawój z obłoków, mgliste nogi, a że ten cały eteryczny kostyum mało zwraca uwagę, więc każe mu przytem „boleśnie ryczeć“! Biedny, pierwszy polski romantyk!

Godzien jest także podkreślenia wpływ śmierci Kościuszki na akcyę Grobów, pierwszy podobno wybitny ślad romantycznego przeczucia w naszej poezyi. Nie dziw, że chcąc takie pomysły urzeczywistnić, musi Lubomirski w każdej niemal oktawie staczać walkę z językiem poetyckim swej epoki; z tej walki niezbyt często wychodzi zwycięzcą, nie zawsze zdoła się oprzeć pseudoklasycznemu frazesowi, który Groby przytłacza. Duma trzecia jest dlatego najsłabsza. W opowiadaniu, które sam Zawisza snuje dalej o życiu Kościuszki, jego walce o wolność w Ameryce i powrocie do Polski, prysł nastrój i zbladł romantyczny koloryt strof poprzednich.

Czwarta „duma rycerska“, przedromantyczna „Szwajcarya“ jest poematem miłosnym. Poeta zastrzegłszy się we wstępie, że to tylko „poetyczne udanie“, odtwarza scenę miłosną z życia Naczelnika. Zupełna zmiana dekoracyi: zapominamy, że to opowiada Zawisza, zapominamy o wawelskich grobach. Oktawa, którą w dumie pierwszej i drugiej wstrząsały romantyczne przeczucia, która w dumie trzeciej wysilała się, by odtworzyć szczęk amerykańskiej broni walczącej o wolność, teraz śpiewa czułą sielankową miłość, nie gardząc pseudoklasycznymi szablonami. Koń Naczelnika, tensam, któremu Kościuszkowska legenda każe przystawać przed każdym żebrakiem w Solurze, unosi go teraz przez wołyńskie niwy; idąc za głosem serca swego pana, zbacza z drogi i wiedzie

go w jakiś uroczy zakątek nad Ikwę, do poddubieńskich ogrodów Zniesienia, gdzie w Zamku mieszka ukochana Zofia. Zapada rozkoszny, upajający wieczór letni. Towarzysz Waszyngtona staje się na chwilę rozśpiewanym miłośnie trubadurem. Spieszy do ukochanej. A że jest świadom ducha czasu i wie, że sielankowa miłość rozpalić się może tylko w „cichej solitudzie“ ogrodowej altanki, przy dźwięku gitary, nie szuka Zofii na pokojach, lecz zdąża do ogrodu. „Obszedł chłoduiki, kręte przebiegł szlaki“, wreszcie w „kruchej łodzi“ płynie do wysepki na stawie, gdzie „miłość chytrych nie lęka się szpiegów“, gdzie się „zieleni kępa Natchnienia“

Chłodnik przybytkiem, ona bóstwem cnoty
W pierwszym się jemu wydały zapale,
Podobne ścianom kwitły żywe płoty,
Dęby, jak słupy stały tam wspaniale,
Podając sobie zielone ramiona,
Strzechą plecioną tworzyły sklepienie,
Lśniła się w koło przestrzeń oświecona
Przez nocnych świateł srebrzyste promienie...

Na darniowej ławeczce siedzi Zofia i trąca stęskniona o struny gitary. Kościuszko

Oczy w zjawieniu zatopił tej nocy.
Nagła na chwilę radość i zdumienie
Duszę od zmysłów uwalniając mocy,
Ruch mu odjęły, przytomność i tchnienie.

Bowiem Zofia była bardzo piękną, jak nam o tem poeta aż w trzech oktawach opowiada. Trzy następne (152—154) mają dużo uroku; uchwycony w nich dobrze błogi nastrój pierwszej chwili szczęścia po zobaczeniu się ukochanych, podsłuchana rozmowa bez słów, tysiące westchnień w niebiańskiej *tibi-solce*. Jeżeli się zważy, jak ryzykowną jest sytuacya, przedstawiająca Kościuszkę jako sentymentalnego kochanka, (bo każde słowo zadużo może tu być tym krokiem, który dzieli *sublime* od *ridicule*) to trzeba przyznać, że Lubomirski jest tu wcale subtelny. Przyklasnąłby mu każdy romantyk, gdy mówi

Szczęściem ich było spoglądać na siebie,
Pociechą — liczyć przeszłe męki łkania,
Przysięgą — ślubem złączyć duszę w niebie,
Żalem — znów myśleć o chwili rozstania.

Różanopalca Eos przerywa sielankę. Rozmarzony kochanek odjeżdża. Zofia, znająca dobrze obowiązki pseudoklasycznej Laury

obdarza klęczącego: daje mu „wyszyty srebrem przepas“ i złoty pierścień z godłem: „w cnocie szukaj chluby“.

Kościuszko dosiadł bezprzytomny *Strzałę*,
W tył raz ostatni czułym błysnął wzrokiem,
Westchnąwszy, jechał zasłużyć na chwałę.

I tu Zawisza opowiadanie przerwał, bo rozjęczały się na nowo dzwony, a ponury śpiew orszaku pogrzebowego ozwał się głośnem *memento* w podziemiu. Poeta, zupełnie świadom siły kontrastu, przywraca odrazu strofom następnym koloryt dumy pierwszej.

Burza, niezwykłą siłą szturmująca,
Gromem roznośne szczęki dzwonów głuszy,
Wicher gniewliwie podwoje roztrąca,
Ledwie Świątyni z posad nie wyruszy.
Silne dmą miechy w ołowiane flety
Ponure, drżące i przeciągłe tony,
Z niemi się łączy czuły głos kobiety,
Z kapłanów spiewem i chóru złączony.

Więc dreszcz przeszedł znowu rycerzy — w milczeniu słuchają pogrzebowego hymnu. A gdy ucichły ostatnie, zbłąkane wśród sarkofagów, słowa hymnu, — Zawisza snuje dalej swą opowieść. „Siedząc na wschodach, ukryty za ściany, Powieści jego słucham niewidziany“ dodaje bard — poeta i w tem miejscu kończy „Dum rycerskich część pierwszą“.

Ogólne wrażenie, jakie się z nich odnosi usprawiedliwia słowa Brodzińskiego. Istotnie w dziele Lubomirskiego, które jak każdy utwór chwili przełomu, łączy w jedno upodobania i gusty dwu epok, malując jasną, pasterską sielankę w romantycznym półcieniu, jest „świeżość, życie i pewna oryginalność“, która jego twórcę każe dziś przypomnieć i wliczyć między poprzedników wielkiej poezyi romantycznej. Podkreślić też trzeba widoczną w wielu miejscach pracę twórczą nad wyswobodzeniem polskiego stylu poetyckiego z oków maniery, nad stworzeniem własnego języka, władającego świadomie barwą i tonem. Ale jak w treści Grobów są obok scen w podziemiach wawelskich momenty nawskroś pseudoklasyczne, tak i w stylu autora kryje się ta dążność wpośród liczmanów i frazesów epoki. Tam gdzie wspólność motywu łączy Lubomirskiego z współczesną poezyą ulega on w zupełności jej wpływowi, niezdolny się z pod niego wyswobodzić. Gdy np. w dumie pierwszej (61) daje pogląd na dzieje Polski, Groby przybierają charakter ody historycznej *à la* Koźmian-Osiński:

Biegły Zamojski! mężny Poniatowski!
Sławny Żółkiewski! Czarniecki hetmanie!

Ty Chodkiewiczu! wielki Jabłonowski!
Nigdy was Polak wielbić nie przestanie.

Niemal cała duma trzecia, utrzymana w tonie zimnej patetycznej opisowości, jest jakby pieśnią wyjętą z jakiegoś eposu z wieku stanisławowskiego (zawiera nawet naśladowanie Krasickiego „świętej miłości kochanej Ojczyzny“). Przytłacza ją nadmiar klasycznej ornamentyki ze szczególną, podkreśloną w przedmowie, sympatyą do mitologii greckiej.

Nawet w ustach Sieciecha Febus „przebiega na niebieskim stropie“ (6), „zawiera dnia podwoje“ (50), potem „dżdżyste Hyady myją szaty“ (62), Helios chowa promień światła, „do drugiej ziem przechodząc półkuli“ (96) i „córka Chaosu świat obwodzi mrokiem“ (50), poczem „się Dafne w północy ośmiela W grobie zbladłego odwiedzać kochanka“ (60). — W Polsce „drzewo wolności wzmocnił wybór Piasta“ (32), na jej spustoszenie „kirem odzianą Tisyphone bladą... wydają Erebu pieczary“ (127), na Wawelu „kwitnie wieniec samych wspomnień kwiatów“ (30) „w powietrzu brzmi trąba sławy“ (125), Kościuszko zaś „łańcuch miłości nosić chce dozgonny“ (69) itd. itd. Wyrażeń nieszczęśliwych i błędnych cały szereg n. p. poeta „posila życia zwątlone sprężyny“ (8), a „duch ciekawości (!) ściele mu łoże zgonu“ (58).

Język Lubomirskiego kryje jednak w sobie pierwiastki nowe i twórcze, pęcze, które kiedyś możeby się bujnie rozkwitły. One nadają dużo uroku sielance Kościuszkowskiej. Choć jej tło i dekoracye zrobione są ściśle według przepisów poetyki francuskiej, zapomina się, że to motywy wytarte i melodye ograne, któremi śpiewał miłość każdy pseudoklasyczny poeta, jest bowiem coś, co je ożywia i wdziękiem ocienia: szczera, niewymuskana subtelność uczucia i oryginalna, miejscami niezwykła, plastyka w opisach przyrody; dzięki niej nawet pseudoklasyczne zdobnictwo nabiera wyrazu życia. Parę wyjątków sąd taki uzasadniających poznaliśmy wyżej. Ktoby się szczegółowiej zajął charakterystyką języka Grobów odkryłby w nich może nieśmiałe dążności kolorystyczne. Bo u Lubomirskiego: noc „z a c i e r a kwitnących kolory płodów“ (142), zorza rozpuszcza „z ł o t y warkocz“, a „ostatni jej r u m i e n i e c niknie nieznacznie na m o d r y m poziomie“ (141), dęby „podają sobie z i e l o n e ramiona“ (147), świetliki „cichym polotem bujając po łące, z ł o c ą listki, gałęzie i kłosy“ (143), „ś n i e ż n y szczyt Etny w ogniu się r u m i e n i (113), Zofia stąpając po rosie, strzeże się strącać „d r ż ą c e p e r ł y z świeżych kwiatów“ (162).

Obrazy nocy letniej, ciszy morskiej (102 — 104), bitwy (86 — 89), wschodzącego dnia (99), burzy (109 — 118) opis konia Kościuszki (136) zwracają uwagę bogactwem i oryginalnością, choć łamią się wszędzie z trudną formą oktawy, która tylko ze

Słowackim umiała się pieścić, a była czasem kapryśną nawet wobec X. Biskupa Warmińskiego.

Bliższe zbadanie Grobów odnajdzie w nich zapewne dalekie refleksy romantyków niemieckich i angielskich, może niemieckiej „poezyi bardów“ i może nie weźmie mi za przesadę, że nazwałem Lubomirskiego „zapomnianym niesłusznie“...

* * *

Nawet u późniejszych pisarzy pozostało wspomnienie „uniesienia“, z jakiem w pierwszej chwili Groby przyjęto.[1]) Wyrazem tego była recenzya Brodzińskiego, której wyjątek poznaliśmy powyżej. Brodziński nie szczędził pochwał młodemu poecie: podnosił „piękne i nowe“ obrazy dumy trzeciej, „łatwość, porządek i wykończenie“ czwartej, jej „uroczy pędzel, gust i czucie“. Barda kaledońskiego pragnął słusznie zastąpić słowiańskim a całość przypominała mu „oryginalność“ Walter Scotta. Podkreślił wreszcie żywe poczucie ducha języka, braki zaś i rażące czasem usterki tłómaczył dążnością do ujęcia każdej myśli w osobną oktawę. Zakończył życzeniem serdecznem:

„Winszując autorowi pracy szczęśliwie zaczętej z niecierpliwością oczekujemy jej końca. Niech się nie lęka surowego sądu publiczności. Przejęty prawdziwym duchem poezyi, dziejami i obyczajami narodu, śmiało przed jej sąd może się stawić, pozyska przychylny wyrok, jakkolwiekby się w nowej i nieznanej jeszcze szacie pokazał“ [2]).

Nie krył się także z uznaniem dla bezimiennego autora recenzent Gazety literackiej, prawdopodobnie A. T. Chłędowski. Nieodpowiedniem wydało mu się tylko opiewanie miłości Kościuszki, którą raczej milczeniem pokryć należało, a czytelnika olśnić przedstawieniem wielkich czynów z życia Naczelnika.

„Widać, że autor, przejęty duchem rycerskich poematów Włochów i Niemców, chciał podobne dzieło z życia Kościuszki utworzyć. Lecz co jest stosowne i przyjemne w historyi Rynalda, Rolanda lub Rogiera, to miejsca mieć nie może w historyi Kościuszki“ [3]).

Pamiętny losów przemilczanego Fausta, prosił Lubomirski w przedmowie do Grobów o sąd krytyki i zapewniał, że już samo

---

[1]) Por. Wójcicki K. W., Historya literatury polskiej, Warszawa 1845, t. III, s. 408; Zdanowicz-Sowiński, Rys dziejów literatury, t. II s. 287.

[2]) Pamiętnik warszawski, 1822, I, s. 247.

[3]) Gazeta literacka, 1822, I, s. 101.

zwrócenie uwagi na jego utwór zagrzeje autora „nowym ogniem“ i zachęci do napisania drugiej części. Recenzye Brodzińskiego i Chłędowskiego stały się dlań pewnie taką zachętą. Może więc zaczął pisać, ale na dokończenie dzieła życia nie stało. Umarł w chwili, gdy świtać poczynało, gdy wyszedł z druku pierwszy tom „Poezyi“ Mickiewicza. Szkoda wielka, że nie dożył rozbłysku słońc romantyzmu. Pod działaniem ich promieni byłby pewnie dojrzał, otrząsnął się z naleciałości epoki, rozwinął swą tak silnie rysującą się indywidualność poetycką, a głos jego usłyszelibyśmy pewnie w chórze wielkiej pieśni romantycznej.

Do historyi romantyzmu i dziś należy. Bo stanął w szeregu najpierwszych, którzy prostować poczynali ścieżki romantyzmowi, wkraczającemu tryumfalnie w dziedziny naszej literatury. Bo pierwszy zrozumiał i bronić usiłował fantastyczny dramat romantyczny, bo napisał G r o b y w d n i u ś m i e r c i K o ś c i u s z k i.

Przeto trzeba było wyprowadzić Edwarda Lubomirskiego z mroków niepamięci...

Lwów.

WILHELM BRUCHNALSKI.

Przyczynki do genezy „Dziadów“ wileńskich.

O „Dziadach“ napisano już wiele. Objaw to z pewnością dobrze świadczący jeżeli nie o znakomitości i doskonałości, to przynajmniej o znaczeniu niezwykłem, które zawsze przywiązyzywano do tego poematu w literaturze polskiej. Słusznie też zauważył autor jednej z rozpraw niemieckich, że „niema Polaka, któryby nie znał tej kreacyi o tytanicznym myśli polocie, — któryby nie zatapiał się w jej fantastyczną i mistyczną głębię, — któryby tytuł „Dziady“ wymawiał bez pietyzmu i wzruszenia“[1]).

Mogłoby się tedy zdawać, że sprawa „Dziadów“ jest pod każdym względem załatwiona i rozstrzygnięta zadowalająco, — że wszystko już wiemy o ich powstaniu, że znamy ich wartość, żeśmy zbadali ich wpływ na społeczeństwo i oddziaływanie na literaturą polską do gruntu, — że jednem słowem każda praca nad niemi byłaby spóźniona i niepotrzebna zgoła. A jednak rzecz ma się przeciwnie! Nie ubliżając bowiem żadnym zasługom, w tym względzie uznanym, wystarczy tylko zaznaczyć, że obok wyjątkowych usiłowań, które w badaniu uwieńczone zostały wynikami naprawdę pozytywnymi, reszta przeważająca — to trudy bezskuteczne, przedewszystkiem zaś elukubracyi dosyć, które tkaninę myśli przędły z argumentów błahych a całą analizę zasadzały na tem, że na tle poematu wielkiego snuły poematy — małe.

Jeżeli do literatury „Dziadów“, której bogactwo (naturalnie bez względu na dobroć wewnętrzną) musi stanąć za wszystkie dowody i dokumenty, świadczące o niezwykłości samego poematu jako też interesu przezeń obudzonego, dodaję rzecz nową, to nie czynię tego w tym celu, aby cały, wielki utwór poddać rozbio-

[1]) Blumenstok H., Adam Mickiewicz's „Dziady“ w książce „Die Dioskuren.“ Liter. Jahrbuch itd., Wien, 1878, T. VII, str. 172.

rowi możliwie wyczerpującemu i wszechstronnemu, — ile raczej, aby tylko niektóre jego strony czy też szczegóły, jak tytuł wskazuje, oświetlić z odmiennego, niż dotychczasowy punkt widzenia. Moim zamiarem tedy zwrócenie uwagi na kilka kwestyi i szczegółów, dotąd albo wcale nie podnoszonych, albo nie należycie zaznaczanych, abo nietrafnie rozwiązywanych, które dotyczą treści „Dziadów“, — związku między t. z. Fragmentami a „II i IV Częścią“, — ich formy, — stosunku do kultury społeczeństwa a wreszcie źródeł, motywów i reminiscencyi, tkwiących w literaturze swojskiej i obcej albo z jednej i drugiej zaczerpniętych.

A. Fragmenty „I Części Dziadów.“

I.

W maju 1823 roku ukazała się w Wilnie książeczka formatu małej ósemki a na pierwszej jej kartce widniał tytuł: „Poezye Adama Mickiewicza“, z dodatkiem „Tom drugi“ i z ryciną aniołka, ze skrzydełkami wzniesionemi do góry, i przebierającego palcami drobnymi po strunach lutni, — łatwo zrozumiałą allegoryą młodej, do lotu zrywającej się poezyi. Ten „tom drugi“, tomik raczej z postaci i wyglądu, spełnił jedną z najważniejszych ról w dramacie, który rozgrywał się u samego schyłku XVIII i na początku XIX stulecia w życiu polskiem duchowem i społecznem.

„Poezye“ Mickiewicza edycyi wileńskiej były odpowiedzią nie tylko na wezwanie romantyzmu, który wszystko, co młode i czułe, czyste i nieskażone, postępu i życia pełne, zapraszał na łąki rozkoszne, zasiane przezeń woniejącem, różnobarwnem kwieciem, — ale także echem żywem innych objawów bytu, które z natarczywością coraz gwałtowniejszą domagały się załatwienia. Dosyć bowiem spojrzeć tylko na osnowę tych pień i innych im podobnych, aby się przekonać, że wypełniają ją nie same dzieje kochanek, szalejących po stracie kochanków, — nie same wędrówki duchów zmarłych, co błądzą w cieniach nocy a znikają na głos koguta, — nie same baśnie i cuda, jak ów z liliami, wyrastającemi na mogile zabitego małżonka itp., lecz obok nich i takie np. życia historye, jak „pan ze dworu,“ który uwiódł „dziewczę z wioski“, zostaje przemieniony w kamień, lub jak taki sam pan, który nie miał litości ani nad głodem chłopskim ani nad wstydem i nędzą poddanek, znosić musi nieskończone katusze piekielne, „dręczyć się wiek wiekiem“ itp.

Że Mickiewicz, jak i towarzysze jego wileńscy, duchem filareckim owiani, nie poszli drogą, którą wskazywał im nowy kierunek poezyi, z popędów jedynie artystycznych, jedynie dla rozkoszy, dowodu na to dostarcza twórczość i jego samego i Zana i Czeczota i wszystkich innych przyszłych reformatorów, kupiących się około jednego sztandaru. Nie sam tedy popęd

artystyczny, ale inny też czynnik, który należałoby nazwać kulturalno-społecznym i narodowym przymusem[1]), trzeba mieć zawsze i koniecznie przed oczyma, ilekroć rozważa się romantyzm polski w pierwszych, większych, nie-teoretycznych jego przejawach, takich mianowicie jak „Dziady", które zarówno treścią swoją, jak nastrojem, tonem i formą, stawały w opozycyi zbyt jaskrawej i przewrotowej do tego, co było, a ze względu na przyszłość, albo nowe całkiem wskazywały jej drogi albo nową przynajmniej rozpoczynały w niej epokę.

II.

Całość poematu, ogłoszonego przez Mickiewicza w edycyi wileńskiej 1823 r. pod tytułem „Dziady. Poema", obejmowała 3 ustępy: „Upiora", „Część II" i „Część IV", powtórzone w takiem samem następstwie w poźniejszych wydaniach autentycznych. „Pierwsza Część", nie drukowana nigdy przez autora, dochowała się pod postacią fragmentów, napisanych w Kownie po styczniu 1821 r.

Przed kilku laty Jacek Kostka w rozprawie „Fragment lozański Dziadów"[2]) szczegółowo i szeroko a przytem autorytatywnie i apodyktycznie, choć nie bez zastrzeżeń, wypowiedział zdanie, że „kiedyś istniały kowieńskie „Dziady" — tylko, niestety,

---

[1]) Jasno stwierdzają to poezye towarzyszów i przyjaciół Mickiewicza, które z t. z. „Archiwum Filomatów" niebawem ma ogłosić drukiem prof. J. Tretiak. Jak wielkie pojęcie o powołaniu poety narodowego i o znaczeniu poezyi narodowej — pomimo wszystkich swoich ekstrawagancyi — miała między r. 1817 a 1823 młodzież wileńska, której jednem z pierwszych przykazań według Zana: „Nie gadaj, nie odkładaj, myśl, czyń dobrze, kwita", świadectwem np. poemat Czeczoła „Tyrtej" i wiersz do Zana z 21 grudnia 1822 r. Ostatnia część pierwszego zwraca się wprost do Mickiewicza, który, jako „pełen wieszczego ducha", ma budzić naród: „Tyrtej mężne Spartańczyki | Do boju pieniem zagrzewał, | Adamie, będziesz w nasze wojowniki | Wdziękiem twej lutni męstwo, stałość wlewał. | Na to Cię wielki dar Feba bogaci, | Byś ducha wzbudzał w narodzie, | Nie dawał sercom trwożyć się w przygodzie | I mężnych chwałą uwiecznił braci." — Drugi, zaczynający się od słów: „Gdyby nie twoje dziś, Tomaszu, święto", jest pieśnią, na ołtarzu zemsty składającą ofiarę: „Bodajby kiedyś nadbieżały czasy | Greckich Harmodych, Arystogitonów, — Bodaj Kościuszki odnowić zapasy | I ugiąć tłuste karki Filiponów, | By wżdy te dzikie roskoły poznały, | Że w synach cnoty ojców pozostały..." i t. d.

[2]) Biblioteka Warszawska, 1905. T. IV, str. 506—524.

zdaje się, ani kawałka z nich nie znamy. Zaginęły one, jak nieczytelna notatka z Sèvres [1]) i ułamek o „Dziecięciu wśród kwiatów cmentarnych“ [2]). Natomiast wbrew powszechnemu a uzasadnionemu przekonaniu, uważa on to wszystko, co się składa na t. z. „Część Pierwszą“, nie za szczegóły jednolitej, choć nie spojonej całości, ale za utwory, które pochodzą z różnych zupełnie i chronologicznie i nastrojowo epok. Krytyka Kostki niemal za pewnik uważa, że jak scena pomiędzy „Dziecięciem“ a „Starcem“, wraz z balladą „O zaklętym młodzieńcu przemienionym w głazy“, stoi w najściślejszym związku z czasami lozańskimi i jest oddźwiękiem wiersza: „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada“ [3]) —

[1]) Odnosi się to do opowiadania Zaleskiego o pobycie Mickiewicza w Sèvres, po wydrukowaniu „Pana Tadeusza“: „Raz mimochodem koło leżącego napomknąłem: „Nieprawdaż, Adamie, rozbierają Ciebie Dziady? Na to zapytanie uścisnał mi rękę, potakując skinieniem głowy... Istotnie, w tym czasie na luźnych kartkach pisał nocami nieczytelne notatki i urywki do dalszych części „Dziadów“. Te kartki widziałem i wtedy w Sèvres i po leciech jeszcze w Lozannie, kiedy mnie sam wtajemniczał w ich arkana.“ (Korespondencya J. B. Zaleskiego, T. V, str. 115—116).

[2]) Co do tego rzeczywistego, ale nie dochowanego fragmentu „Dziadów“, podjętych przez Poetę w Lozannie, zob. list Mickiewicza do Zaleskiego (Korespondencya A. Mickiewicza, T. I, str. 210): „Ale, ale twój wiersz senny, dziwna to, dziwna i arcydziwna rzecz. Bo uważ, że ja kiedyś w auguście czy septembrze (1839 r.) napisałem albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia pierwszej części „Dziadów.“ Owoż rzecz taż sama: chłopiec tuła się między mogiłami. Tylko u mnie fantastyczniej, bo spi, a chórem nad nim nucą i piołuny siwe i lebioda i ślimaki etc. etc. Inspiracya mnie opuściła i przestałem pisać. Twój ułamek aż mnie przestraszył, tak jest ładny. Kto wie, czy ty teraz nas nie okradasz przez sen ze wszelkiej poezyi.“

[3]) Pan Kostka tak dalece potrafił się wtajemniczyć w twórczość Mickiewicza, że żaden zgoła szczegół w „Fragmentach“ nie jest mu ciemny. W nadziei popełnienia „niewielkiej pomyłki balladę „o zaklętym młodzieńcu“ przypisuje wycieczce Poety w Oberland berneński“ (str. 520), a łącząc koniecznie powstanie jej ze stosunkiem do Zaleskiego, pisze: „Mickiewicz pragnął, żeby nowa poezya poszła w kierunku religijno-ludowym i w tym celu nauczył Zaleskiego ballady „o zaklętym młodzieńcu“ i kazał (!) mu ją obnosić po świecie, jak niegdyś Dudarzowi tryolety Zanowskie“ (str. 522). Również jasno zupełnie przedstawia mu się scena Starca z Dziecięciem: „dochodzimy do przekonanania, że to jest właściwie utwór allegoryczny i że, jeżeli Starzec miał być obrazem Mickie-

tak znowu dwa pozostałe urywki: monolog Dziewicy i przygoda Strzelca, „ściśle ze sobą spojone“ i — jak naturalna — genetycznie współczesne, łączą się z Moskwą (Dziewica to postać najbardziej zbliżona do Aldony, — Gustaw do Strzelca w IX sonecie miłosnym) i zostały tam ułożone po wydaniu „Sonetów“ a przed rozpoczęciem „Wallenroda.“

Z wiadomością o istnieniu kowieńskich „Dziadów“, umieszczoną przez Aleksandra Chodźkę naczele II tomu „siódmego z kolei wydania Pism Adama Mickiewicza“, Paryż, 1844: „Poemat Dziady stanowi jedną nieprzerwaną całość. Pierwsza część jego, napisana jeszcze w Kownie, znajduje się w rękopiśmie u Autora, ale zapewna dopiero później na świat wyjdzie, a wtenczas i porządek całego poematu zmieniony będzie. Dziś zaś ogłaszamy go tyle i takim porządkiem, jak dotąd był znajomy czytelnikom“ („Pisma Adama Mickiewicza“, Paryż, 1844, T. II, str. 3), — załatwia się Kostka krótko. Jako „notatce, nie pochodzącej nawet z pod pióra Mickiewicza“, odmawia on słowom przytoczonym wszelkiego znaczenia i ma je za „legendę“; ona to „zrodziła tylko fałszywe przypuszczenie, że fragmenty, które nam się dostały w ręce, są właśnie tymi zapowiedzianymi fragmentami. Jak się zdaje, — to Mickiewicz dopiero pod wrażeniem tej zapowiedzi (!) chciał po raz piąty zabrać się do pierwszej części „Dziadów“ i zebrawszy rozpierzchłe fragmenty z Kowna, Moskwy, Sèvres i Lozanny — próbował je w jakąś całość stopić. Tak prawdopodobnie powstał znany nam urywek, do którego jednak nie weszły wcale istniejące jeszcze naówczas fragmenty kowieńskie, a praca cała utknęła na połączeniu dwu scen moskiewskich z jedną lozańską“ (str. 524).

Podobne, jak Kostka, przekonanie o znanej od 1861 r. „I Części Dziadów“, nadto w punkcie zasadniczym oparte bez

wicza, to znów Dziecię, prowadzące go na mogiły przeszłości, było chyba figurą Zaleskiego. Allegorya ta jest przyznajmy, za forsowną, może nawet za chorobliwą — nie mnie tak ją zapewne rozwiązać wypadnie... W każdym razie w antytezie tej (Starzec i Dziecko) chciał Mickiewicz zaznaczyć swoje zestarzenie się i młodzieńczo rozkwitający talent Zaleskiego, który go radością przejmował; chciał zarazem pozostawić w niej pamiątkę czułych usiłowań lirnika ukraińskiego o rozbudzenie swej zdolności twórczej a przytem uczynić z tej sceny rodzaj testamentu poetyckiego (!)“ (str. 521)

Powyższa interpretacya Kostki jest — jak wykażę w rozprawie „Ossyan i ossyanizm w Polsce“, — zupełnie błędna: w scenie bowiem Starca z Dziecięciem nie można upatrywać żadnej allegoryi, a tem mniej wizerunków Mickiewicza czy Zaleskiego, ale trybut literacki złożony przez młodego poetę prądowi ossyanistycznemu; zresztą nie dopuszczają jej także inne względy rzeczowe.

jakichkolwiek zastrzeżeń na artykule Biblioteki Warszawskiej, wypowiedział także Bronisław Chlebowski w rozprawie „Idea, układ i artyzm „Dziadów“ kowieńskich i „fragmentów“ pośmiertnych“[1]) Według Chlebowskiego za pewnik uchodzić powinno naprzód, że „Mickiewicz z czterech części „Dziadów“, napisanych w Kownie r. 1822, w chwili oddania do druku, za godne ogłoszenia“ uznał „tylko drugą i czwartą; pierwszą i trzecią zostawił dla przerobienia późniejszego, czy też, co prawdopodobniejsza, zniszczył, jako nieudolne czy niestosowne“ (str. 10), — następnie, że t. z. „fragmenty Części pierwszej pochodzą z lat“ o wiele późniejszych „i nie mają zapewne nic wspólnego z pierwotną częścią pierwszą“ (str. 13).

Nie mogąc obecnie wdawać się w bliższą ocenę zapatrywań ani Kostki ani Chlebowskiego, — ostatni wspomniane urywki odnosi bądź do końca 1838 r. tj. do „chwili duchowego przygnębienia poety w Szwajcaryi“ (str. 25), bądź do roku 1833 (około tj. na czas tworzenia „Pana Tadeusza“, — stwierdzam tylko, że zapatrywania te, chociaż już znalazły wyraz w popularnych dziełach historyczno-literackich, nie mogą przecie ostać się wobec jednej okoliczności, z lekkiem sercem przez obu autorów pominiętej. Mam tu na myśli charakter grafiki i materyał pisarski (szczególnie papier) autentycznego rękopisu t. z. Fragmentów, dochowanego dotychczas w posiadaniu Władysława Mickiewicza a w podobiznie miejsc najbardziej charakterystycznych publikowanego przez Kallenbacha w tomie IV „Dzieł Adama Mickiewicza“ (Wyd. Tow. liter. im. Ad. Mick., we Lwowie, 1905). Dwa wymienione szczegóły paleograficzne: dukt pisma i materyał, stanowiły zawsze i zawsze stanowić będą najcenniejsze kryteryum dla każdego historyka i krytyka literatury, — kryteryum nadto, bezwzględnie go obowiązające, jeżli przy braku innych dat ma wydawać sąd o czasie powstania dzieła pismem przekazanego! Zamiast silić się na subtelne w kunsztowności konstrukcye myśli, należało raczej i — dodać trzeba — jedynie wglądnąć w manuskrypt, a wobec tego faktu przenoszenie urywków „I Części“ w postaci znanej od pierwszego ich ogłoszenia 1861 r. na czas jakiś po r. 1844, jak tego ostatecznie żąda Kostka, albo na rok 1838, czegoby znowu pragnął dokazać Chlebowski, okazałoby się rzeczą stanowczo zbędną!

III.

Dzieje serca, przeżyte przez Mickiewicza od chwili bliższego poznania się z Marylą do stycznia 1821 r., — dzieje, które jednakowoż ze stanowiska ich wpływu i odbicia się w produkcyi artystycznej należałoby zapewne rozpoczynać z r. 1815 lub 1816,

---

[1]) Myśl Polska. Warszawa, 1907, i odbitka, tamże, t. r., 8°, str. 27; cytuję według odbitki.

kiedyto uczucie miłosne poety ogniskowało się w „ślicznej, o śnieżnych ustach i białych zębach“ Johasi,[1]) zanim, po przelotnych, acz łzami oblewanych a niepewnością i zwątpieniem żywionych zapałach serca wobec nieznanej bliżej Anieli wileńskiej,[2] nie rozgorzało żywiołowo, by spopielеć na ołtarzu ofiarnym dla bogini Tuhanowickiej, — zostały przedmiotem jego poematu, — „Dziadów“. Kreacya ta jednak, z góry należy to zaznaczyć, nie jest owocem ani jednolitego nastroju ani zrównoważonej zupełnie i świadomej planu pracy twórczej, ale dwóch różnych jej stadyów, — z których czasowo wcześniejsze wyraziło się w t. z. Fragmentach, — drugie, późniejsze, w „Upiorze“, „Części Drugiej“ i „Czwartej.“

Przy rozważaniu ułamków „Części I“, przez poetę nie skończonych ani nie wykończonych, a co ważniejsza — nie uporządkowanych, nasuwają się mimowolnie pytania następujące: co stanowi ich treść, — jak treść owa da się związać z życiem Mickiewicza i jego otoczenia, — jaką była idea poety, gdy je tworzył, — jak się należy zapatrywać na ich formę, — a wreszcie, jaki związek zachodzi między „fragmentami“ a późniejszymi „Dziadami“ kowieńskimi, które wyszły w 1823 r. jako „Upior“, „Część Druga“ i „Czwarta“?

Chociaż porządek ustępów już w autografie „Fragmentów“ nie jest ściśle i wyraźnie zaznaczony, tak że następstwo ich w przedruku będzie zawsze w kilku kwestyach zawisłe od subjektywnego zapatrywania wydawcy, to jednak znajdują się tam dwie pierwszorzędnej wagi wskazówki tak dla zrozumienia przypuszczalnej całości utworu, jako też dla krytyki tekstu. W autografie Poety czytamy napis: „Dziady, Widowisko, Część I“ a przed tym tytułem słowa: „P r a w a s t r o n a t e a t r u“; po monologu zaś „Dziewicy w samotnym pokoju“ słowa: „n a l e w ą s t r o n ę t e a t r u w c h o d z i c h ó r w i e ś n i a k ó w, n i o s ą c y c h j e d z e n i a i n a p o j e; s t a r z e c p i e r w s z y z c h ó r u n a c z e l e.“

Te inscenizacyjne uwagi Autora każą nam: 1) wśród bohaterów jego „Widowiska“ wyróżnić dwie grupy, — 2) patrzyć na „Fragmenty“ jako na utwór dramatyczny o dwu scenach, na tymże samym poziomie, i względnie o równoczesnej akcyi, a 3) wysnuć z tego wnioski odpowiednie co do pewnych tendencyi Mickiewicza, o ile one mogły wyrazić się i uzewnętrznić samą fakturą.

---

[1]) Zob. Kallenbach J., O nieznanych utworach Adama Mickiewicza. 1817—1820. (Odb. z „Pamiętnika Literackiego“, R. VII. 1908) Lwów, str. 31, 32; tudzież: Nieznane Pisma Adama Mickiewicza 1817—1823. Z Archiwum filomatów wydał J. Kallenbach. Kraków, 1909, str. 169, 288, 343.

[2]) Tenże, O niezn. utworach itd., j. w., str. 22, 35, — a także Nieznane Pisma itd., j. w., str. 208, 209.

Bohaterów prawej strony stanowią niewątpliwie: Dziewica w samotnym pokoju, rozczytująca się w romansie „Valérie“ i prowadząca na podstawie jego monolog, — Gustaw, sobowtór Dziewicy, tak samo jak ona monologizujący, i Czarny Myśliwy. Do bohaterów strony lewej należy zaliczyć: Niewiastę młodą (nazwaną raz „Dziewczyną“, raz „Niewiastą młodą“ a raz „Wdową“), Starca, Dziecię, Guślarza, Chór Młodzieży, nakoniec Młodzieńca „zaklętego, przemienionego w głazy“, należącego tu pośrednio, bo wprowadzonego zapomocą osobnej, wstawionej ballady.

Z tego schematu osób, odpowiadającego prawej i lewej stronie teatru, wysnuwam wniosek, że „Dziady“ w pierwotnym pomyśle, częściowo zrealizowanym, miały być dramatem, może nawet nie przeznaczonym do przedstawienia na scenie, lubo noszącym tytuł „widowiska“, w którym równocześnie (do pewnego stopnia) miała się rozgrywać pewna sprawa, aby przez to podwójne jej przedstawienie, — przez paralelizm lub antytezę treści, — uwydatnić pewną myśl i pewną ideę.

Wzorów do podobnego przedstawienia rzeczy miał Mickiewicz w poezyi światowej dwa: w fakturze eposu starożytnego a szczególnie jego następców, przedewszystkiem za panowania baroku, aż do najnowszej niemal doby, kiedyto dawano obrazy wypadków, jak rozgrywają się i toczą tu na ziemi a równocześnie w obłokach, w niebie, np. na radzie Jowisza z bożkami lub Boga chrześcijańskiego z Aniołami, Świętymi itd.; — następnie w zaczątkach dramatu nowożytnego i nowożytnego teatru, tj. w misteryach i dyalogach religijnych wogóle, jak nie mniej w scenie, na której utwory te wystawiano a która tak nic wspólnego nie miała z urządzeniami miejsca dla widowisk starożytnych.

Warto zwrócić uwagę, że Mickiewicz, przed napisaniem „Fragmentów“, szeroko zastosował ten sposób przedstawienia sprawy w komicznym, nieskończonym i niepublikowanym nigdy poemacie opisowym: „Kartofla.“ Tam akcya toczy się aż w trzech regionach: na ziemi i morzu pod przewodem głównego bohatera, Kolumba, i jego kastylskiej młodzieży, — w królestwie wody pod naczelnictwem Neptuna a przy udziale bóstw podziemnych i nareszcie w okolicy świata najgórniejszej, gdzie Jehowa zwoływa radę, aby z Aniołami, Św. Michałem, Św. Dominikiem i innymi niebianami rozważyć zamiary dzielnego żeglarza i w danym razie życzliwie nimi kierować [1]). Naturalnie, że „Fragmentów“ nie można pod tym względem stawić na równi z przytoczoną techniką epicką, ale raczej i tylko z rodzajem im bliższym, bo także widowiskowym, — misteryami.

---

[1]) Kallenbach J., O nieznanych utworach Adama Mickiewicza, j. w., str. 16—18.

Wszechstronne a bardzo obfite wyniki, jakimi obce literatury mogą się poszczycić w zakresie studyów nad dramatem średniowiecznym, religijnym i kościelnym, nad różnego typu teatrami i nad początkami teatru nowożytnego wogóle (szczególnie zaś ludowego), który wzniósł się na tych podwalinach, dają nam następujące pouczenia w kwestyi poruszonej: 1) przedstawienia misteryalne odbywały się na scenie zasadniczo o dwóch lub trzech kondygnacyach „nadsobnych“ (niebo, ziemia, piekło, — niebo, ziemia, — ziemia, piekło) [1]; 2) wszyscy aktorowie występowali na scenie razem i, zajmując na niej odpowiednie stanowiska, według kolei odgrywali pojedynczo lub w partyach przydzielone sobie role, wracając potem na miejsca pierwotne; 3) w licznych wypadkach gra odbywała się równocześnie [2], a nawet nierzadko miały miejsce przedstawienia w przedstawie-

---

[1]) Misterya np. passyjne miały prawie zawsze typową, trójdzielną scenę z tego powodu, że męka Chrystusa odbywała się na ziemi, że potem Chrystus zstępywa do piekieł a wreszcie wstępywa do nieba. Polska „Historya o chwalebnem Zmartwychwstaniu Pańskiem“ Mikołaja z Wilkowiecka, miała „obszerną widownię, podzieloną na scenę ziemską i piekło“ (Windakiewicz, Teatr ludowy, str. 9).

[2]) W sławnej passyi niemieckiej, należącej do klasztoru św. Bartłomieja w Frankfurcie n. M., a pochodzącej z XV w., równocześnie z Modlitwą P. Jezusa na Górze Oliwnej Judasz umawia się z kapłanami o zdradę, równocześnie z przesłuchiwaniem Zbawiciela św. Piotr w przedsionku zapiera się Mistrza itd. (Devrient E., Geschichte der deutschen Schauspielkunst, Berlin, 1902, str. 27, 29). W czasach już niemal najnowszych napisał W. Henzen dla „Spiel- u. Festhaus'u“ w Wormacyi, który „należy do osobliwości Niemiec i na równi z misteryami w Oberamergau, oraz teatrem Wagnera w Bayreucie jest wart widzenia“, pięcioaktową sztukę, mającą za przedmiot koleje życia, dramatyczne przygody i czyny świątobliwe św. Elżbiety, żony turyngskiego landgrafa, Ludwika. Cz. Jankowski w książce swojej „Po Europie. Kartki z podróży“ (Warszawa, 1893) tak opisuje i sam teatr i przedstawienie wielkiego widowiska: „Scena rozdzielona na trzy kondygnacye (poziome): na scenę w głębi z kurtyną, na scenę przed kurtyną i na jeszcze jedno duże miejsce przed pierwszym rzędem krzeseł, na które w danej chwili schodzą aktorzy...“ „Sceny na zamku Wartburskim, sceny chórowe, ludowe na ulicach Eizenachu, sceny klasztorne, tłumne uroczystości i samotne monologi idą kolejno po sobie. Często dwa obrazy widzimy jednocześnie na scenie: oto np. na scenie w głębi św. Elżbieta modli się w kościele, a na scenie przedniej hulają dwaj nicponie, których modlitwa jej nawraca; oto na przodzie, przed nami, św. Elżbieta, wygnana z zamku, szuka daremnie, gdzieby z dwojgiem dziatek drobnych schronić głowę, a w głębi nad dźwignięciem jej

niu (Zwischenvorstellungen); 4) chór lub chóry miały wybitne znaczenie dla markowania poszczególnych stadyów reprezentacyi i dla przygotowania aparatów do dalszych jej części, nie potrzebując być całkiem ściśle złączone z osnową.

Mając przed oczyma szczegóły powyższe, omówione wielokrotnie i wyczerpująco przez szereg badaczy zagranicznych a z naszych najszerzej przez Windakiewicza w dziele: „Teatr ludowy w dawnej Polsce“ (Kraków, 1902), i kombinując je z tem, co wyżej powiedziano o inscenizacyi „Fragmentów“, możemy stwierdzić naprzód, że dochowana „I Część Dziadów“ jest pod względem formy czystej wody misteryum o scenie poziomej, dyptycznej (dwudziałowej), — następnie, że między dwiema grupami fragmentów, t. j. prawą i lewą stroną teatru, nie zachodzi wcale luźność zupełna, jak chcą niektórzy krytycy, ale owszem związek, utworzony przez formę [1]).

Związek atoli między wymienionemi grupami widnieje jeszcze z czego innego: z samej ich treści, a co więcej, z idei, której treść owa daje wyraz. Przypatrzmy się tylko z blizka wszystkim wyszczególnionym już bohaterom, a ujrzymy jak na dłoni uzasadnienie tego twierdzenia w ich naturze, istocie, dążeniu i charakterze.

---

z niedoli radzi właśnie w otoczeniu dworu swego cesarz Fryderyk. I jeden obraz drugiemu nie przeszkadza wcale, przeciwnie: działa istotnie kontrastem, by się tak wyrazić, namacalnym“.

[1]) W „Czasie“ za r. 1909, nr. 135—137, ogłosił p. Maryan Dienstl artykuł p. t. „Średniowieczna scena a szopka krakowska“, w którym usiłuje przeprowadzić analogię między budową szopki krakowskiej a trójdzielną, misteryalną sceną średniowieczną, na końcu zaś dodaje taką uwagę: „Do dziś dnia nie zmieniła (!) szopka swej liturgicznej przeważnie treści i średniowiecznej formy. Poeci nasi nie zajmowali się wprawdzie bezpośrednio szopką, lecz najwybitniejsi (!) ducha i formę jej znali. Trzebaby głębszych badań nad kwestyą inscenizacyi II Części Dziadów, czy akcya ta wedle myśli znającego obrzędy i zwyczaje poety nie była pomyślaną dla trójdzielnej sceny trzech światów?“ Poruszona kwestya formy misteryalnej w „I części Dziadów“ w rozprawie niniejszej nie jest w żadnej zawisłości od artykułu p. Dienstla, w skróceniu bowiem była już rzecz cała podana w „Sprawozdaniach Akademii Umiejętności“ w Krakowie za r. 1908, sprawa ma się odwrotnie: p. D. — nie przytaczając źródła — powtórzył szczegóły, podane mu przezemnie w rozmowie prywatnej, co do szopki i misteryów niedokładnie, co do „II (!) Części Dziadów“, pomieszawszy szczegóły, całkiem bez zrozumienia rzeczy i nieuważnie!

A naprzód bohaterowie strony prawej. Dziewica, rozczytująca się w romansie „Walerya" i na tle jego rozmyślająca, jako też jej odbicie płci drugiej, Gustaw, powiązani są: tożsamością nieszczęścia, mającego to samo źródło: miłość, i te same powody: poświęcenie rzeczywistości marzeniom, — tożsamością sfery społecznej i tożsamością kultury uczuciowej, myślowej i zwyczajowej. Wszystkie charakterystyczne, dopiero co wymienione rysy bohaterów prawej strony z najdokładniejszą analogią powtarzają się u tych, co wstępują na stronę lewą, różnica zaś między nimi polega tylko na tem, że Starzec, Dziecię i Niewiasta młoda należą do sfery ludu czyli, w duchu epoki mówiąc, gminu. Aż do tego punktu zgodność, według przeprowadzenia poety, zupełna między światem oświeconym a prostotą, niezgoda zaczyna się dopiero z chwilą wystąpienia Guślarza i Chóru młodzieży, dwóch czynników, których braknie całkowicie przedstawicielom kultury wyższej, — z tą chwilą paralelizm w przedstawieniu zmienia się na zamierzoną i świadomą antytezę.

Z tak zrozumianej osnowy „I Części Dziadów", jak również jej dyspozycyi, możemy wysnuć wniosek, jaki zamiar miał przed oczyma Mickiewicz, tworząc „Część pierwszą". Oto w pierwszym pomyśle swego poematu chciał on przedstawić uczucie miłości w człowieku swego narodu wogóle, czy on należy do klasy wyższej i wykształconej, czy do ludu, który o kulturze nic nie wiedząc, żywi przecież w duszy swojej i sercu takie same delikatne uczucia i tak samo marzy i cierpi, jak ci, co mu tych uczuć odmawiają. Oczywiście, że uczucie w myśl poety musimy pojmować w najszerszem słowa znaczeniu i bez względu na to, czy ono się objawia jako wymarzona, złotem ideału opromieniona skłonność płci do płci, — czy jako wierność w miłości, która znalazłszy swój przedmiot rzeczywisty, po utracie jego doprowadza kochającą istotę do obłąkania, — czy jako miłość przeszłości, żyjącej w lazurowch wspomnieniach, — czy jako żal i ból po ideałach, w których człowiek może przemienić się w głaz bez życia. Te wszystkie objawy uczucia przenikają według Poety świat cały i plenią się wśród kultury i wykształcenia z równą siłą i potęgą, jak wśród prostoty i ciemnoty ludu wiejskiego. Jest jednak między uczuciami temi tu i tam różnica wielka a raczej jest różnic dwie. Przedstawiciele wykształcenia, pojmowanego nierzadko przez romantyków jako przekształcenie, bezimienna Dziewica i Gustaw, cierpią dlatego, że odrywają się od rzeczywistości i nie liczą się wcale z jej prawami; przedstawiciele prostoty, pojmowanej od Rousseau'a jako ideał człowieczeństwa, Niewiasta młoda i Starzec, cierpią nie mniej i nie inaczej, lecz z powodów prawdziwych, realnych. Prostota nadto ma lekarstwa na cierpienia duszy i serca takie, na jakie dumna kultura nie potrafi się zdobyć. Prostota ma swoje zabobony, swoją uroczystość „Dzia-

dów", na których rozmawiając z duchami, przynosi pociechę nie tylko zmarłym a cierpiącym, ale także tym, którzy jak duchy „żyją na świecie, lecz nie dla świata", ma inne także środk a każe ich szukać w nieskażonym, zdrowym, chłopskim rozumie i rozsądku. To drugie świetnie zaznaczył i uwydatnił Mickiewicz wprowadzając „Chór młodzieży", którego odezwania się, rozumowania i nauki mają, jak słusznie zauważono, coś z namaszczenia i powagi chórów Sofoklesowej tragedyi, coś z głębokości Goethowskich refleksyi w „Fauście" i „Werterze". Przebija się to szczególnie w słowach Młodzieży do Niewiasty, występującej po lewej stronie teatru. Musimy sobie wyobrazić, że na uroczystość „Dziadów" przychodzi w liczbie tych, „co rozpaczają", także Karusia z „Romantyczności", oczywiście w tym celu, aby zobaczyć się z duchem kochanka, który od „dwóch lat już w zimnym grobie". Chór, zobaczywszy dziewczynę w kwiecie wieku, obłąkaną i rozpaczającą po tem, czego żadna siła wrócić nie zdoła, udziela jej pociechy „Nie łam twych rączek...", nie tylko pełnej zdrowego rozsądku i zastanowienia się, ale także prawdziwie stoicki pogląd na świat ludu wiejskiego oddającej doskonale i po mistrzowsku, gdyż w głównych zwrotach osnutej na rzeczywistych wątkach ludowej twórczości.

Wiedząc, jakie znaczenie ma równoczesność akcyi w „I Części Dziadów", akcyi, rozwijającej się jużto w paralelizmach, jużto w antytezie, a wyrażonej tak namacalnie zapomocą dwóch stron sceny, pozostaje jeszcze rozstrzygnąć, co przedewszystkiem, wśród wielu — jak naturalna — innych wpływów i okoliczności, mogło nakłonić lub naprowadzić Mickiewicza na to, by zastosować tak niezwykłą, oryginalną w utworze dramatycznym formę. Zdaje się, że pobudki do tego najpewniej poszukiwać trzeba w Goethem. W czasie tworzenia Fragmentów, tego pierwszego rzutu późniejszych „Dziadów II i IV Cz.", znał Mickiewicz nie tylko romans Krüdenerowej „Waleryę" i Rousseau'a „Nową Heloizę", ale także — oprócz wielu innych — „Cierpienia Młodego Wertera". „Werter" nie jest wprawdzie napisany w formie dramatycznej, niema w nim także zasadniczo przeprowadzonego paralelizmu między uczuciami kochanka Lotty a uczuciami reszty świata, ale raz użył go Goethe, i to z wielkim, bardzo wielkim przyciskiem. Przypomnieć tu wypada rzewne opowiadanie o nieszczęśliwej a głębokiej miłości młodzieńca wiejskiego do swej pani i chlebodawczyni. Spowiedź serdeczna, którą prostak złożył przed równie nieszczęśliwym Werterem, tak poruszyła tego ostatniego do głębi, że w liście do przyjaciela swego Wilhelma, kończąc opowiadanie pisał: „Co ci opowiadam, nie jest ani przesadzonem, ani przeczułostkowanem; mogę nawet powiedzieć: słabo, zbyt słabo powtórzyłem rzecz słyszaną i w rysach zbyt grubych, bo naszemi cywilizowanemi, obyczajnemi słowami. Ta miłość, ta wierność, namiętność szlachetna nie jest więc żadnym wymysłem

poetyckim, ona żyje, jest, istnieje w całej i największej czystości w tej klasie ludzi, których my uważamy za niewykształconych i dzikich. My wykształceni — na nic wykształceni! Czytaj to opowiadanie z nabożeństwem, proszę Cię o to! Gdy je piszę, jestem spokojny i cichy w duchu. Czytaj, mój Kochany, i myśl przytem, że ta historya jest zarazem historyą twego przyjaciela!“ Ta krótka uwaga Goethego, jakby streszczająca, szczególnie w słowach końcowych, ideę i myśl główną „Dziadów“, była według wszelkiego prawdopodobieństwa czynnikiem, który zapłodnił wyobraźnię Mickiewicza do tyla, że pod jej wpływem nadał myślom swoim, nurtującym w jego wnętrzu, taką formę paralelizmu, formę, rozsnutą zresztą i zastosowaną do Fragmentów, z całą oryginalnością i siłą właściwą Mickiewiczowi [1]).

IV.

Tak przedstawiają się Fragmenty, jeżeli na nie patrzymy jako na dzieło artyzmu i wyraz artystycznej twórczości Mickie-

[1]) Dróg innych, natury ogólniejszej, po których Mickiewicz doszedł do formy „I Części Dziadów“, obecnie nie rozważam szczegółowo, znajdzie to bowiem miejsce, by uniknąć powtórzeń w omówieniu zewnętrznej strony wszystkich pozostałych części tego utworu na końcu rozprawy. W tem miejscu przypominam tylko niezwykle ważną dla tej materyi Lekcyę XVI z 4 kwietnia 1843 „Literatury słowiańskiej“ (o dramacie pod względem ogólnym i o dramacie słowiańsko-polskim, o czem niżej mowa obszernie) i ustęp z rozprawy francuskiej Poety, pochodzącej prawdopodobnie z r. 1822 a wydanej przez prof. Kallenbacha w „Nieznanych Pismach A. M.“, j. w., str. 151 n., p. t. „L'art dramatique en Pologne“, w których czytamy o misteryach co następuje: „L'art dramatique en Pologne remontant à une époque où le manque de données historiques et littéraires rend les recherches très difficiles, il est presque impossible de fixer d'une manière précise le temps de sa naissance, et la nature des premières productions de ce genre. Cependant nous sommes portés à croire, vu quelques fragments conservés dans les bibliothèques et mentionnés dans le dictionnaire des Poëtes de Juszyński, que vers la fin du quinzième siècle, on représentait en Pologne selon la coutume générale de ces temps, des Mystères, espèce de drames dont le sujet était la plupart tiré de martyrologie et des vies de Saints. Malheureusement pour la littérature polonaise, ce genre vraiment national qui produisit en Angleterre l'école de Shakespeare et détermina en Espagne celle de Lopes de Véga et de Caldéron, a été frappé d'anathème par les poëtes polonais comme irrégulier et trivial en comparaison avec les classiques anciens, dont les ouvrages et les préceptes devinrent autant des règles pour les auteurs“

wicza w pewnej epoce. Ale na Fragmenty należy jeszcze patrzyć ze stanowiska dwojakiego: życia poety i prądów, zaczynających się przejawiać wówczas w literaturze polskiej. Pod pierwszym względem, na który już niejednokrotnie zwrócono uwagę, są one wizerunkiem i wiernem, choć poetycznem odbiciem tego, co się działo w myśli i w duszy Mickiewicza odtąd, kiedy poznał Wereszczakównę, aż do feryi 1820, po których znowu przyszedł czas refleksyi i konieczność zastanowienia się nad tem, co było, i uczynienia z tego wszystkiego syntezy i obrachunku; pod względem drugim, którego dotąd należycie nie wyświetlono, należy uważać „I Część Dziadów“ za utwór, przedstawiający motyw miłości, niezwyczajny literaturze polskiej do XIX w. i usiłujący zarazem problem tego uczucia rozwiązać na drodze literackiej, poetyckiej.

Uczucie miłości, pomijając podstawy jego fizyologiczne, mogło się uformować w Mickiewiczu pod wpływem dwojakich czynników: zapatrywań i przesądów społeczeństwa szerokiego, z którem łączyły go pochodzenie i przynależność kulturalno-cywilizacyjna, następnie zapatrywań i przekonań społeczności bliższej i najbliższej, której był członkiem jako student uniwersytetu, filareta itd., wreszcie prądów, oddziaływujących nań z zewnątrz i inaczej nieco, niż czynniki wymienione, bo zapomocą idei, zaczerpniętych nie z życia prawdziwego i rzeczywistego, ale ze świata abstrakcyi książkowych.

Jak kultura polska patrzała na stosunek dwóch różnych płci do siebie, wypowiadający się zapomocą miłości, nie miejsce tu na odpowiedź dokładną; jeżeli jednak ograniczy się do takich dwóch faktów, jak brak niemal zupełny romansu w Polsce, jak następnie charakter listów miłosnych od wieków średnich do początków wyraźniejszych romantyzmu, trzeba będzie stwierdzić, że ze stanowiska idealnego miłości nie kultywowano u nas zasadniczo, przeciwnie sposób wzajemnego postępowania mężczyzny i kobiety, tudzież zbliżania się ich do siebie, był u nas z reguły tem, co Niemiec w epoce powertcrowskiej nazywał „tüchtiges, bürgerliches Verhalten mit der Ehe als Endziel“. Podobnie miała się rzecz z kultem miłości na Litwie a dokumentem tego, z otoczenia Mickiewicza wziętym, ze stolicy nawet zwyczaju i obyczaju wschodniej Polski, Wilna, „Wiadomości Brukowe“, które często analizie poddają sprawy dobranych małżonków, cnotliwych panien i poprawnych kawalerów i kreślą ideał ich dodatni lub ujemny. Że Mickiewicz, jako student Uniwersytetu, jako młodzieniec w stosunku do płci drugiej przedstawiał typ według „Brukowców“ rozumowo uzasadniony i przeciętny, świadczy bohater jego największego poematu, Pan Tadeusz, w osobowości swojej odtwarzający bez wątpienia osobowość twórcy samego. Nie potrzeba tego nawet zaznaczać, że na miłość Tadeusza i Zosi, pomimo całej jego poczciwości i zacności, nie składały się wyłącznie i tylko pierwiastki eteryczne i niebiańskie.

Teorya miłości, krzewiona znowu w gronie, porywami serca i myśli najbliższem Poecie, wielu elementami swoimi związana niewątpliwie z miłością platoniczną, nie doprowadziła wprawdzie nigdy do tego, aby adepci jej poświęcili piękność i miłość zmysłową duchowej a potem bezwzględnej, co nie zna miary i granic, ale wymagając serca czystego, nakładała na zmysły wędzidło a na poczciwą, przyzwoitą miłość fizyologiczną znamię idealne. Po tej teoryi pozostały Mickiewiczowi na zawsze: samotność i rozmyślanie jako środek oczyszczenia serca, cnota i otaczanie z reguły niewieściej postaci (acz nie wcielonej nigdy w jakąś jedną fantastyczną abstrakcyę lub ideę) powłoką uczuciowej potęgi, wcielanej w pojęcie anielskiego dziewictwa lub poświęcenia, jak świadczy obraz Bogarodzicy w „Hymnie na dzień Zwiastowania“, w dziewiczość heroiczną Żywili, w bohaterstwo Grażyny, w uległość i poświęcenie Aldony, w życie krzyżowe w Matce Polce, w czystość myśli i serca w Ewie itd.

Do miłości platonicznej atoli, która rozkwitała i żyła pod znakiem cnót filareckich, dołączył się jeszcze trzeci czynnik jako zbiór pierwiastków, tkwiących w aspiracyach epoki a będących zasadniczo zdeprawowaniem uczucia prawdziwego: „romantyczne rozmarzenie“ umysłów, chorowity mistycyzm miłosny i sentymentalizm, — wszystko wytwór literatury. Powołane już „Wiadomości Brukowe“ po niezliczone razy zajmują się analizą tych „chorób, epidemicznie“ co roku się pojawiających, występują z ostrą ich chłostą albo usiłują podać na nie leki, a niekiedy starają się nawet wskazać źródło zarazy, jak np. pierwszorzędnej dla nas wagi artykuł Jaśmina Lizistopki p. t. „Do towarzystwa sentymentalnego doniesienie z Eldorado“ (r. 1820, str. 150), zawierający ciekawy epigraf: „*Ames sensibles! c'est pour vous que j'écris... Genlis, Stael, Riccoboni, Cottin, Porter, Monteaulieu, Krüdener, Lafontaine, Chateaubriand, Nakwaska, Malwina, Ostroróg* itd.“ [1]).

Nie ulega wątpliwości, że Mickiewicz przez cały czas swego zbliżenia do Maryli od r. 1818 do feryi 1820 był na powyższy potrójny ton miłosnego uczucia nastrojony i nastrój ten odzwierciedlił wiernie (jak zresztą czynił to zawsze jako artysta) we Fragmentach, w serdecznej bowiem historyi Dziewicy i Gustawa da się wykryć i ciemny pierwiastek zmysłowości i czułość, z „romantycznemi zachwyceniami“ sprzągnięta, i platoniczność z wszystkiemi najbardziej charakterystycznemi swojemi cechami: harmo-

[1]) Epigraf ten jest dokumentem pierwszorzędnego znaczenia dla historyi powieściowego rodzaju w literaturze polskiej i jego źródeł, nie wiem tylko, czy którykolwiek badacz, zajmujący się romansem naszym, zwrócił nań uwagę. Warto zaznaczyć, że wyliczeni w nim zagraniczni autorowie i autorki powieści cieszyli się rzeczywiście wziętością wielką u polskiej publiczności czytającej, jak tego dowodzi „Bibliografia Estreichera XVIII i XIX wieku“.

nią dusz, rozmyślaniem, samotnością i bardzo znamiennem a gorącem pożądaniem chwili, w której to, co aż do niej było tylko snem boskim, miało ukazać się im na jawie.

Wobec takich spraw serca stał Mickiewicz, kochanek Maryli i wobec takich samych Mickiewicz, ich piewca, we Fragmentach Poecie pozostało tej właśnie miłości motyw artystycznie przedstawić i problem jej również artystycznie rozwiązać. Sposób na oba zadania skuteczny znalazł on rzeczywiście, i to pod dwojaką postacią: w romantyzmie obcym i w twórczości własnej. Więc za pierwszym idąc, rozwiązałby rzecz na drodze czarów, przy pomocy złego ducha, jak „Freischütz“ przy pomocy Samiela, albo może jeszcze lepiej, jak rodzimy Twardowski, nie ten jednak, którego przechowały podania i tradycye, ale ten, którego stworzyła fantazya najbliższego otoczenia Poety, wcielona w balladę Zana. Tą drogą jednak Mickiewicz nie poszedł, na zjawieniu bowiem Czarnego Strzelca urywa się dyalog jego z Gustawem, ale „Twardowski“ Zana pozostawił za to ślady widoczne gdzieindziej, w „piosence o Młodzieńcu Zaklętym“. Twórczość własna znowu, przeciw pomysłowi o pomocy szatańskiej, wysunęła inne źródło rozwiązania poetycznego zagadki: lud i uroczystość jego „Dziady“. Pewnikiem jest dla mnie, że pomysł ten przybrał kształty rzeczywistości za pobudką Goethego, pewnikiem tem większym, że nawet wbrew autorowi „Wertera“ i jego przekonaniu rozprowadził go poetycznie Mickiewicz. Jakkolwiek bowiem u ludu zachodzą takie wypadki, jaki np. Werter opowiada Albertowi o dziewczynie wiejskiej, która dlatego, że ją kochanek opuścił, utopiła się, „ażeby w śmierci wszystko ogarniającej zanurzyć boleści“, to jednak lud takiego smutnego faktu nie wytłómaczy sobie nigdy formułą Albertową: „Natura nie znajduje drogi z labiryntu sił sprzecznych i pomieszanych, i człowiek musi umrzeć“, ani nie powie z Werterem: „Biada temu, ktoby się mógł na to patrzyć i mówić: Głupia, gdyby była cierpliwą, czas byłby wszystko naprawił, rozpaczby się uśmierzyła, byłby się zawsze znalazł, ktoby ją pocieszył...“, lecz owszem przemówi tak, jak Chór Młodzieży w „Dziadach“ do Karusi zrozpaczonej, jak uosobienie ludu Guślarz, mający leki na wszystkie najstraszniejsze cierpienia ludzkości, jakich mędrcy ani czarodzieje dać nie mogą.

Jak dalej i najprawdopodobniej miała się rozwijać treść, wcielona w „I Część Dziadów“, w jaki związek z uroczystością ludową mieli być wprowadzeni Gustaw i Dziewica, żyjący w nieszczęsnej rozterce miłosnej, bez wyjścia i bez końca, bez doradzcy i obrońcy, można się domyślić z tego, co o roli ludu powiedziałem. Oto — zdaje mi się — Poeta sprowadziłby swoich bohaterów na „dziady“, z prawej na lewą stronę teatru (zupełnie według metody misteryów), z świata wyższej, przerafinowanej a bezradnej kultury, w świat, rzekomo niższy, ale posiadający środki przeciw rozpaczom, bolom wspomnienia i zawodom pragnień

i życzeń niezawodnie skuteczne, bo złożone w tajemnicach, którym przewodniczy pieśń i wiara.

Taka interpretacya treści „Fragmentów“ wydaje mi się najbardziej logiczną, a gdyby tak było, to możnaby upatrywać w założeniu niedokończonego poematu Mickiewicza pewne pokrewieństwo z Chateaubriand'a „Atalą“, w której jest i epizod, poświęcony świętu umarłych czyli uroczystości dusz u Indyan, i los jednego z bohaterów, Szakty, związany jest do pewnego przynajmniej stopnia z uroczystością samą.

V.

Pozostaje jeszcze powiedzieć o dwóch nieznanych dotąd źródłach „Fragmentów“.

„Pieśń Strzelca“ u Mickiewicza zwraca uwagę na jedną z najciekawszych scen „I Części“, na dyalog Gustawa z Czarnym Myśliwym, występującym niespodzianie, i na źródło jej, które dotąd wszyscy widzą w librecie Fryderyka Kinda „Der Freischütz“. Jest to przekonanie mylne. Mickiewicz bowiem, jakkolwiek mógł znać „Chór Strzelców“ ze słowami Kinda, to przecie nie musiał znać koniecznie całej jego „Textdichtung“, natomiast nie obcą mu była romantyczna opowieść, także źródło Kinda „Der Freischütz. Eine Volkssage,“ zawarta w sławnej książce „Gespensterbuch“, wydanej w Lipsku 1810—11 r. przez Jana Augusta Apela i Franciszka Launa. Zależność Mickiewicza właśnie od „Gespensterbuchu“ stwierdza następujące zestawienie obu tekstów:

Gustaw (koniec monologu).

Gdzież jesteś samotności, córo tajemnicza?...
Ach, gdzie cię szukać? — od ludzi ucieknę,
Ach, bądź ty ze mną, świata się wyrzeknę!

Myśliwy Czarny.

Latasz, mój ptaszku, za wysoko latasz,
A czy znasz dzielność swoich skrzydełek?
Spojrzyj na ziemię, którą pomiatasz,
Co tam wabików, co tam sidełek!

Młodzieniec.

Hola, słychać spiewania, hej! wszelki duch żywy!
Ozwij się, bracie, kto jesteś?

Myśliwy.

Myśliwy,
Równej jak ty ochoty, większej trochę mocy.

Gustaw.

...nie chcę przeszkadzać, więc szczęśliwej drogi.

Myśliwy.

Hola, kolego! nie bądź taki raptusowy,
Jestże to grubijaństwo, albo skutek trwogi,
Pierwej mię sam zawołał a teraz ucieka.

Gustaw.

Ja miałbym ciebie wołać?

Myśliwy.

Słyszałem zdaleka,
Żeś wołał; kogo? na co? nie wiem doskonale,
Dosyć, że posłyszałem westchnienia i żale.
Jestem, jak ty, myśliwcem...
Znam więc twego rzemiosła i wieku przygody.
Musisz coś mieć na sercu, rozmówmy się szczerze.
Pewnie cię zabłąkało w kniei jakie zwierze...
A jeśli nic nie gonisz, pewno radbyś gonił.
Ej, czy cię widok pustej torby nie zapłonił?...
Przyznaj się, ja ci mogę w potrzebie udzielić.

Gustaw.

Dzięki...
I nie rozumiem, co twe słowa mają znaczyć.

Myśliwy.

Jeżeliś niepojętny, będę się tłumaczyć.
Jeżeli mi nie ufasz, będę szczery z tobą...

Gustaw.

Przebóg! co to ma znaczyć? nie zbliżaj się do mnie!

A oto tekst niemiecki w „*Gespensterbuchu*“:

„Unmuthig warf sich der unglückliche Jäger (Wilhelm) unter einen Baum und verwünschte sein Schicksal, da rauschte es im Gebüsch, und ein alter Soldat mit einen Stelzfusse hinkte heraus.

„Holla, lieber Weidmann — redete er Wilhelm an — warum so verdriesslich? Hast du Liebespein, fehlt's im Beutel, oder hat dir jemand dein Gewehr besprochen? Gieb mir eine Pfeife Tabak, wir wollen eins zusammen plaudern.

„Wilhelm reichte ihm verdriesslich das Gebetene, und der Stelzfuss warf sich zu ihm ins Gras. Nach einigem Hin- und Herreden kam das Gespräch auf die Jägerei und Wilhelm erzählte sein Unglück“.

Dalsza rozmowa między Wilhelmem a Inwalidą, który zjawia się przed nim pod postacią jeźdźca na czarnym koniu, toczy się w źródle niemieckiem tak:

„...was begehrst du von mir?

„Nichts von dir — antwortete Wilhelm — ..ich habe dich weder gedungen noch dir gerufen.

„Der Reiter lächelte höhnisch. Du bist kühner — sprach er — als deines gleichen zu sein pflegen. Nimm die Kugeln, die du bereitet hast. Sechzig für dich, drei für mich; jene treffen, diese äffen, auf Wiedersehen, dann wirst du's verstehen.

„Wilhelm wandte sich ab. Ich will dich nicht wiedersehen — rief er — verlass mich!... ich will dich nicht kennen, ich weiss nichts von dir! Wer du sein magst, verlass mich!“ [1]).

Drugie źródło dla „Fragmentów“, na które zwracam uwagę, to ballada Zana „Twardowski“. W pieśni, którą dziecię śpiewa Starcowi o „Zaklętym Młodzieńcu“, występuje — jak wiadomo — „wielkiej mocy, większej chwały — rycerz z Twardowa“, i to na tle pełnego „czarów i strachów“ zamku, niezdobytego aż do jego czasów przez nikogo; jest tam również sławne zwierciadło, którego „dzielność wie“ także rycerz, jako „znający czarodziejską naukę“. Co mogło nasunąć Mickiewiczowi na myśl tę figurę, że ją, chociaż pobocznie tylko, wprowadził do swego poematu, wyżej powiedziałem; teraz stwierdzić nadto należy, że rysy jej i sztafaż jej wystąpienia zawdzięcza on nie komu innemu, tylko Zanowi. Zan bowiem jedyny, wbrew wszystkim podaniom, robi w utworze swoim „Twardowski-Ballada“ [2]), czarodzieja rycerzem, sławionym po świecie z męstwa, („nie raz zwycięstwa odebrał wianek za turniej i bitwy krwawe“), który z tego jedynie powodu został czarodziejem i zaprzedał duszę „czarnym duchom“, że jako „ubogi, choć mężny rycerz“ został wzgardzony przez książęcych rodziców swej oblubienicy, „księżnej Malwiny“ [3]).

---

[1]) Zob. F. Reclams Universal-Bibliothek, nr. 1791—5, str. 11—13, 28—29.

[2]) „Twardowskiego“, jak świadczy zapiska w „Obwolucie 3 Fascykułu V“ niewydanego dotąd Archiwum Filomatów, napisał Zan w r. 1818: „Zana T. „Ballada Twardowski“ pisana w r. 1818, darowana Towarzystwu Filomatów Wydziałowi II, czytana na posiedzeniu Przyjaciół 13 grudnia 1819“. Po raz pierwszy ogłoszono „Twardowskiego“ drukiem w „Dziejach Dobroczynności Krajowej i Zagranicznej“, R. 1824, T. VI, str. 28—40.

[3]) Zob. „Dzieje Dobroczynności“ str. 29: „Tak... Twardowski zwał czarne duchy, Tam, gdzie poczwórne rozdroże Wiodło przez las ciemny, głuchy. Miłość to zdziałała płocha. Ubogi rycerz, choć mężny, Chce być godnym ślicznej księżny. Co go mimo ojca kocha...“ i tamże str. 30, na której Twardowski, nazwany „rycerzem“ („Żeś rycerz, znam cię po zbroi“), tak się zwraca o pomoc do duchów: „Niechże pomoc martwych osób Albo przedwieczna istota Da świetnego życia sposób, Udzieli

„Świetny“ a mocą „hurmy duchów“ wzniesiony jego zamek w Skrzypnie [1]), nieznany także ani historyi ani tradycyi, pozostawił po sobie ślad w zaklętym zamku Mickiewicza, w którym — jak naturalna — tylko czarodziej mógł być panem. (C. d. n.)

Lwów.

---

dostojeństw, złota. Nie proszę o moc i sławę; Nie raz Malwiny kochanek Zwycięstwa odebrał wianek; Zna turniej i bitwy krwawe, Lecz biednym gardzi bogaty, Próżno ślę do książąt swaty, Próżno — wsławiony orężem, Nie mogę być księżnej mężem, Pysznych zięciem rodzicieli“.

[1]) Tamże, str. 34: „Za Twardowskiego rozkazem Tłum się duchów hurmem sypnie; W chwili spaja głaz ze głazem, Świetny stanął zamek w Skrzypnie, Baszty, kanały i spusty“.

TADEUSZ SINKO.

Antyk w „Królu-Duchu“.

Luźne uwagi.

Korzystając z nowych materyałów, ogłoszonych przez dra B. Gubrynowicza w czwartym tomie jubileuszowego wydania dzieł Słowackiego, chciałbym swe uwagi o „Hellenizmie J. Słowackiego“ (Rozpr. Wydz. filol. Akad. Um. w Krakowie. t. 47, 1909, str. 1—192), przy których „Króla Ducha“ uwzględniłem tylko w wydaniu A. Małeckiego, uzupełnić omówieniem motywów klasycznych w nowych partyach i waryantach mistycznego poematu. Zaczynam od ustępu, który wydawca umieścił w tekscie jako pieśń pierwszą rapsodu piątego według wskazówki, znalezionej w notatce Szczęsnego Felińskiego.

Jakiegoś ducha, podobnego do Dawida, posyła wola Boża z góry „do cieni, które czekały na Pańskie przyjście“. Cienie te, to duchy bohaterów greckich, przebywających w Tartarze (w. 35), to Hektory, Agamemnony, Achillesy (w. 33 n.), słowem Homerejczycy (w. 74). Przybyły, „król ślepy i nagi“ (w. 24) rozkazuje im pamiętać o Słowie, w którem mają zmartwychwstać (w. 19), i wyprowadza te „duchy które ciał nie mają“ (w. 42) do nowej ojczyzny, ukazując im jej patronkę (w. 43 nn.). Na jej widok wszyscy „nową świata sprawę czują, — złamania praw cielesnych proszą“ (w. 65 n.), płoną jakimś ogniem (w. 74), wreszcie z rozdartej chmury wydobywają się na świat, gdzie oglądają dziwne boje. — Ze strofą trzynastą kończy się ten epizod polsko-grecki. Co on oznacza, do kogo się odnosi, jak się łączy z całością poematu, rozstrzygniemy, poznawszy inne jego opracowania.

Tak zaraz z pierwszego rzutu pierwszej strofy (strona 267 Gubryn.) dowiadujemy się, że czyjś duch opuścił ciało, przy którem stał inny duch, jak Wanda blady, i „znów nad Lethe kwieconym potokiem“ witał „dawne i śpiewne gromady“, z których był dawniej „anioł święty, jak jeden łabędź od girlandy wzięty“. Ten rzut wskazuje dowodnie, że poeta wraca do Pla-

tońskiego (Res publ. X p. 614 B—621 D) założenia z początku rapsodu pierwszego i znowu prowadzi Króla Ducha do greckiego podziemia, tym razem jednak (przynajmniej pozornie) nie po to, by obrał nowy żywot, jak w wypadku Armeńczyka Hera, lecz by wyprowadził stamtąd bohaterów greckich — do Polski.

Nie rozstrzygając na razie, kto jest owym otwieraczem wrót pogańskich (R. V 1, w. 8) przechodzimy do pokrewnego treścią ustępu (str. 361, w. 31—364, w. 108), który wyraźnie odnosi się do Popiela. Jego to bowiem trupa zostawiono na wieży, nie uczciwszy go łzami ni pogrzebem. Ten trup „z hukiem strzału — rozpękł się, a duch szedł grożący niebu". Ogarnął go jakiś ognisty zapał, kiedy się na dnie Erebu „obaczył żywy, krwią ludzką rumiany, — poganin dawny, znów między pogany". Tu następuje strofa identyczna z tą, którą czytamy R. V 1 str. 2. Schodzący się poganie, to ci sami Grecy, wśród których znalazł się Her na początku rapsodu pierwszego (R. I 1 str. 6 nn.). Ponieważ ten zapomniał już o „jutrzenek greckich różanej pogodzie" i poszedł za nową Panią, za córą Sławy, której odtąd służył, jako Popiel, Grecy „już nie znali tego języka, który *w nim* śpiewał". Mimo to, widząc, że strasznie jest zmęczony walką żywota, pytali go, „czy jako Jazon *chodził* po fali, czy jak Prometej, grom na się rozgniewał"? Zapytany apostrofuje mieszkańców podziemia: „Judy i Grekowie"! (R V 1 17 tylko: „Przeważni Grekowie"). Mamy więc do czynienia nie z wyłącznie klasycznym (Platońskim) Hadesem, ale z miejscem pobytu wszystkich cieni, które czekały na otwarcie wrót z rozkazu Boga.

Treść fragmentarycznych wierszy (str. 362, w. 49 nn. można poniekąd zrekonstruować na podstawie strofy 3 i 4 pieśn 1 rapsodu V. Opowiadają one o serdecznych mękach przybyłego w cierniowej koronie, a potem (od w. 59) wymieniają cel jego zstąpienia do piekieł. Celem tym jest „otworzenie wrót" tym wielkim, którzy, zmordowani dźwiganiem wielkich ludów, stracil z czasem („pod Saturna kosą") zdolność czynu i czucia („wyszliście bez rąk i bez serc"). On stworzył dla nich lud większy od wszystkich dawniejszych, a w tym ludzie zobaczył nową piękność (oczywiście tę, która zjawiła się była Herowi I 1 str. 10 nn.) Konkluzya, aby obrali teraz takie żywoty, w którychby mogli służyć owej piękności, nie wypowiedziana, ale urzeczywistniona. Bohaterzy, mącąc ciszę Elizyum, szli z gwiazdami na głowie, podobni do dawnych geniuszów i Jowiszów, Eneasz po drodze „opowiadał w pieśniach znakomitych" o swych przygodach Ostatecznie znaleźli się na powierzchni ziemi, „hełmy zrzucili z czół zatlili oczy", czyli wcielili się w nowe żywoty i powitali „piękną słowiańską naturę", przyszłe pole ich działań, oczywiście już nie klasycznych.

Jak poeta od pośmiertnych mąk Popiela przeszedł do jego misyi w Hadesie, dowiadujemy się z trzeciego opracowania tego

samego epizodu (str. 530 nn.): Duchy oznajmiają Popielowi, że czas jego męki minął: „Pasmo się twoje złote znów rozwija, ofiara w duchu będzie, lecz nie krwawa, — z miecza i sławy w ciele Mieczysława“. Popiel, czując w sobie rozkaz Boży, leci „na światło pańskie“ (a więc przebywał w ciemności) i idzie „piekło otworzyć pogańskie“, piekło, które jest właściwie pogańskiem niebem (str. 532 w. 51: „zaraz pogańskiego nieba — drzwi odemknąłem“). Poganie mają wejść na wyższy stopień rozwoju ducha: Dotąd ich „miesięczne duchy, niby uryańskie — perły świeciły na Heladnej zorzy, — i drugie stały na dżdżystych Plejadach, — trzecie śpiewały, jak łabędzie w stadach“. Nie wdając się w objaśnienie tej ewolucyi genezyjskiej, poprzestajemy na stwierdzeniu, że strofa trzecia zgadza się z oboma poprzedniemi opracowaniami, a pierwszy wiersz strofy czwartej jest powtórzeniem opracowania pierwszego. Z opowiadania Popiela najważniejszy jest szczegół, że widmo jego przyczyniło się do śmierci dwunastu wojewodów, którzy byli powtórzeniami swojego tyrana, i teraz potrzebny jest dla ludu nowy przewodnik. Co to Greków obchodzi, jaką oni mają odegrać rolę w Polsce, Popiel nie wyjaśnia. Otwiera tylko drzwi pogańskiego nieba, w bramie okazuje się „wielkie światło Feba“ a w to słońce rzucają się duchy, „jak ptaszki, kiedy lecą i świergocą“. O obraniu nowego żywota czy to przez Greków, czy przez Popiela, który według opracowania drugiego miał się odrodzić w ciele Mieczysława, tu nic nie słyszymy.

Mówi o tem poeta w innej redakcyi opowiadania o pośmiertnych losach Popiela (str. 355 n.). Czytamy tam znowu o ciele, leżącem na wieży i roztoczonem — tym razem nie przez węże, lecz „od podłej mszycy“, a potem o wpędzaniu ducha do nowego ciała. Słowa: „Bogi mię wpędzały — ogniami; w on dom, stojący otworem — wbiegłem i moce się pozamykały — w pięciu komorach“, są Platońską (por. Tim. 45 A nn.) parafrazą aktu wejścia duszy w ciało [1]). Inwokacya do królowej natchnienia, by oświecała „żywotów moich wtóre słowo“ i wymienienie nazwiska tego powtórnego wcielenia (w. 21: Miecz i Sława) nie pozwalają wątpić o tem, że trup porzucony na wieży był trupem Popiela. Owe krwawe Eumenidy, które nakryły fartuchem nowowcielonego, to częściej wymieniane w poemacie Platońskie (Res publ. X p. 616 C nn.) Mojry, odgrywające wielką rolę przy wyborze nowych żywotów [2]).

[1]) Podobnie złożenie duszy ze smoka, skrzydlatego orła i lwa, identyczne z cytatem listu do Krasińskiego (Listy J. S. II^2, str. 249), jest niedokładnem echem Platona Rp. IX 588 C, p. Hellenizm J. Słowackiego, str. 185.

[2]) Por. str. 333 i 542. Objaśnienie w „Hellenizmie“ str. 188.

Tajemnicę połączenia urodzin Mieczysława z powrotem bohaterów greckich na ziemię, objaśnia nam dalszy ciąg trzeciego opracowania (str. 533): „A już na globie nizkim świat był nowy — i nowe rzeczy wychodziły z cienia, — nadchodził wielki ów rok tysiącowy, — znany nam duchom, że ziemię odmienia“. Znaczenie tysiącolecia w teoryi palingenezy przejął Słowacki z Platońskiego Fajdrosa (p. 248 D sqq.), gdzie czytał, że co tysiąc lat wciela się dusza, która raz spadła do ciała, w nową postać i wybiera nowy zawód w życiu. Jeśli pomna na to co widziała w niebie, wybierze trzy razy życie filozofa, to już po trzech tysiącach lat na nowo się uskrzydla i wraca do nieba. Inne dusze przychodzą po każdem wcieleniu przed sąd i na mocy wyroku oczekują końca tysiąca lat w piekle lub w rodzaju nieba. Potem znowu się wcielają, aż dopełnią dziesięciu peryodów czyli 10.000 lat [1]). — Z tej nauki Platońskiej Słowacki przyjął przedewszystkiem wiarę w znaczenie okresu trzech tysięcy lat, wiarę, którą połączył z teoryą o powrocie wszechrzeczy [2]). Ale wielkie znaczenie przypisywał też okresowi tysiącletniemu, przyczem pewną rolę odgrywało też wspomnienie nauki orficko-pytagorejskiej, głoszonej przez Anchizesa w szóstej księdze Eneidy. Czytamy tam (w. 713 nn.), że „animae, quibus altera fato — corpora debentur, Lethaei ad fluminis undam — securos latices et longa oblivia potant“. Stąd i Her i Popiel (str. 267) znajdują się od razu po śmierci „nad Lethe kwieconym potokiem“. A dalej głosi Anchizes (w. 743 nn.): „exinde (t. j. po oczyszczeniu z win zapomocą różnych kaźni) per amplum — mittimur Elysium, et pauci laeta arva tenemus, — donec longa dies, perfecto temporis orbe, — concretam exemit labem, purumque reliquit — aetherium sensum atque aurai simplicis ignem. — Has omnes, ubi mille rotam volvere per annos, Lethaeum ad fluvium deus evocat agmine magno: — scilicet immemores supera ut convexa revisant — rursus et incipiant in corpora velle reverti“.

By tę naukę wypełnić treścią, Słowacki uzmysławia sobie najpierw, co się działo w tysiącznym roku przed Chrystusem (Wykład nauki II 502 nn.): Egipcyance Helois donieśli „dalecy pielgrzymi, że umarł jakiś stary król Dawid i położył się na mieczu i na harfie, brodą siwą jak srebrnym pancerzem okryty. (Słysząc to, postać króla-harfiarza zanotowała głęboko w pamięci).“ Inni, może kupcy feniccy, donieśli jej o bajecznej wyprawie Argonautów, o Jazonie i Medei, a dalej o Orfeuszu i jego śmierci. W dalszym ciągu jest wzmianka o pobudowaniu piramid przez Helois. Te zdarzenia tysiącznego roku przed Chrystusem trzeba mieć w pamięci, by zrozumieć znaczenie słów o tysiącznym roku po

[1]) Por. Hellenizm J. S., str. 113 i 183.

[2]) Por. S. Schneider, Kilka objaśnień do dzieł Słowackiego, Powrót wszechrzeczy, str. 3 n.

Chrystusie (str. 533): „O takim roku dźwięk Orfeuszowy — budził nas na dnie fali i kamienia, — pierwszy raz była w Oceanid łonie, — wieść o chodzącym po morzu Jazonie. — Pod niebo rosła pierwsza piramida, — na nią zlatywał rumak Perseusza...“

Mitologiczne opowiadania z roku tysiącznego przed Chrystusem miały być zapowiedzią zdarzeń polskich za panowania Mieczysława, którego Słowacki umieszczał wogóle koło roku 1000 po Chr., nie wdając się w precyzowanie chronologii. Szkic pierwszego planu „Króla Ducha“ (str. 296 Gub.): „Nadchodzącą świętość i roku tysiącowego przeczucia ludowe śpiewa poeta“ — próbował poeta rozprowadzić aż w jedenastu rozmaitych rzutach i konceptach, ale z żadnego nie był zadowolony, żadnego nie wykończył. W rymowanych parami trzynastozgłoskowcach (str. 345) wspomina, jak na str. 533, o Orfeuszu, budzącym duszę, ukrytą w głazach, i o Jazonie, chodzącym po morskiej głębi, i o spłoszonych przez jego okręt Oceanidach. Na początku dodaje szczegół, że „o takim roku — w Jowiszowym się niegdyś tworzył obłoku — świat Helladny“, przyczem myśli o hierogamii Jowisza i Junony na Idzie (Il. XIV 163—351).[1]) W innym rzucie (str. 351) „Ikara syn z Prometeanki“ (t. j. Rzepichy), nazywający się „Prometeuszowym synem“, wspomina „ów rok tysiącowy, — któremu dziwne ludów utęsknienia — towarzyszyły“. „Obłok drugi taki, — jak rajski, kiedy z róż — głosy różane, — ze źródeł szły skry itd.“ ma być powtórzeniem owego obłoku Jowiszowego. Dalszy paralelizm nie rozprowadzony.

Dalszy ciąg opowiadania ze str. 533 mamy na str. 400. Wiersz 9—18 odpowiada (z drobnemi zmianami) w. 57—67 na str. 533. Z nowych szczegółów dowiadujemy się, że „Atlantyda — Herkulesowi z rąk pierzchła jak dusza, — nad całym wiekiem brzmi harfa Dawida, — a pod nią każdy duch swym ludem rusza; — najwięksi globu zeszli się mocarze — i swe cielesne zobaczyli twarze“. Synchronizm Dawida z bohaterskim wiekiem Grecy ten sam, co w „Wykładzie nauki“, połączenie Atlantydy z Herkulesem (jak na str. 517) nie zrozumiałe, boć przecie poeta nie chce chyba powiedzieć, że Herkules nie dostał się na Platońską (Tim. p. 24 E nn.) Atlantydę, o której wzmiankę znajdujemy w „Podróży na Wschód“ (I, 150). Z innych symbolicznych zdarzeń roku tysiącowego czytamy o przygodzie Danae i Ledy, dziewicach „śmionych deszczami złotemi“ — zapowiadających parthenogenesis Chrystusa, i o wniebowzięciu Eneasza,[2]) wzorze „Pańskiego z ciałem zmartwychwstania“. — Orfeusza zastępuje tebański Amfion w septynie na str. 454, gdzie obok „kroku chodzącego

[1]) Por. str. 173, w. 220, str. 279 i objaśnienie w „Hellenizmie J. S.“, str. 143.
[2]) Por. str. 422.

po morzach Jazona“ wymieniony jest także „szelest Ikara skrzydeł po obłokach“ i wspomniane ogólnie dziewice, na które spłynął duch Boży. — We wzmiance o świętym roku tysiącowym na str. 456 n. spotykamy tylko „któregoś z duchów najstarszych Jehowy“ a przy nim „drugiego Prometeuszowego — anioła“, który „na łonie mu jak wąż spoczywa“. Ponieważ te postaci wymienione są w związku z chatą przy Kruszwicy, nie ulega wątpliwości, że „Prometeuszowy anioł“, to Rzepicha, a jej towarzysz, to Piast. — Wersya na str. 482 [1]) przytacza prócz Orfeusza i Perseusza „Psychy widziadło“ i „z ciałem porwane do nieba — Ganimedy“, które mają to samo figuralne znaczenie, co Eneasz na str. 401. Nie brak też Danae i Ledy. O Psysze opowiada też poeta w związku z rokiem tysiącowym na str. 554 — we formie śpiewki: „Lata piękne, złote, ciche, — o takich widziano Psychę, — porwaną na tęczach złotych — motyla. Miłosna dusza — wtenczas na głos Orfeusza...“

Nie przytaczamy tych wzmianek roku tysiącowego, w których brak imion, czy alluzyi mitologicznych (str. 554, 555 557 uw.). Przegląd wymienionych dziewięciu różnych prób przedstawienia tego samego motywu wystarcza, by stwierdzić, że pomysł paralelizowania symbolicznych niby zdarzeń mitologicznych z roku 1000 przed Chr. z wypadkami roku 1000 po Chr. nie dojrzał jeszcze w głowie poety, nie znalazł swej formy wewnętrznej i dlatego nie mógł się wyrazić w skończonej formie zewnętrznej. Z tym niedojrzałym jeszcze, a nawet niesformułowanym pomysłem powrotu rzeczy z r. 1000 przed Chr. łączy się omawiany na początku motyw wyprowadzenia greckich bohaterów z Hadesu do Polski. Prócz streszczonych powyżej trzech opracowań znajdujemy jeszcze następujące wzmianki o tym przedmiocie:

Na str. 460 czytamy, że gdy się zbliżały „święte, cudowne, tysiącowe lata“, „nagle ducha panowanie i prosty jego lot był nam przecięty“. Ma to znaczyć prawdopodobnie, że Polska przez przyjęcie chrześcijaństwa weszła na nowe tory rozwoju ducha. „Noc była pomnę — i Prometeanie — lecieli, każdy silny, lecz nie święty“. Księżyc słuchał tej „cicho rzucanej na świat siejby ducha“. Ci Prometeanie silni, lecz nie święci, to chyba bohaterzy greccy, wyprowadzeni z piekieł przez Mieczysława. — Wyraźniej opowiada o tem poeta w ściśniętych w pasie oktawach na str. 516 n.: Popiel cierpi w podziemiu straszne udręczenia. Wtem nagle otchłanie się uciszają, z miesiąca zstępuje do otchłani Pani miesięczna, oczywiście znana Królowa wody (zwana na str. 474 Tetydą)[2]). „Ku niej więc duchy globowe najlichsze, — jak duchy ziaren, które w ziemi trąca — anioł słoneczny, wsta-

[1]) Pomijamy bowiem ułamek na str. 464 i 535 uw.

[2]) Cały ustęp od str. 473—476 jest innem opracowaniem sceny ze str. 516 nn.

waliśmy wszyscy — w jej świetle bladym odkupienia blizcy“. Z objaśnienia, że „my“, to „wszyscy poganie, pod świata żywioły poddani,... jak duchy w ziarna wtrumnieni na poły“ można wnosić, że jak na str. 531 w. 13 nn. mamy tu do czynienia z ewolucyą genezyjską. Pani miesięczna prowadzi pogan „nad otwór, złoty — zewnętrznych świateł do ziemi wnikaniem“ i mówi: „Po drugi raz wychodzim z groty — z nowym zaraniem. — Ten, co chciał sławy, zapragnie prostoty, — ten kto chciał miecza, wsławi się śpiewaniem. — Pierwsze uczynki zbrzydziliśmy sobie — porozbudzani z fałszów ciała w grobie“. To przemówienie jest echem platońskich szczegółów z początku rapsodu pierwszego (strofa 6 n.), gdzie Atalanta szuka tylko pokory, Orfeusz staje się śpiewającym ptakiem, Ulisses idzie „w prostego oracza, aby odpoczął po swych wędrowaniach“. Całość dlatego zasługuje na szczególną uwagę, że nie oczyszczony Popiel, czy ktoś podobny do Dawida (Mieczysław) otwiera tu piekło czy niebo pogańskie, ale Pani miesięczna co jest ze stanowiska genezyjskiej ewolucyi odpowiedniejsze. Przy wyjściu na świat Mieczysław widzi dziwne przemiany „niby rok jakiś wielki, tysiącowy, rok przemienienia. Dawniej to...“ tu następuje jak na str. 400 znany katalog mitologiczny: Orfeusz, Piramida, Perseusz, Herkules i Dawid, a przed Dawidem, jak na str. 482 Psyche-dusza. Dodany tylko „od Kaukazu duch Prometeusza — z lampą idący na ziemię kradzioną,“ duch, którego wcieleniem była, jak wiadomo, Prometeanka-Rzepicha.

Odpowiednik omówionej dopiero co sceny znajdujemy na stronie 596 nn. Tu przed duchem Mieczysława staje duch Dobrawny, przeciwstawiający się Pani miesięcznej z poprzedzającej sceny, tej Amfitrycie, „która pod wodą miesiącami gore.“ Skarży się ona, że na próżno opiekowała się przez całe życie Mieczysławem, skoro „mocniejsze *jego* niż dotknięcie Pańskie — wiodło pod ziemię uczucie pogańskie.“ Mieczysław przebywa w świecie podziemnym — w „elementarne ubranym obłoki“, depce „białe i srebrne narcysy — nad smętną wodą Letejską stojące“, budzi „Nimfiarki cyprysy — na onej dawnej, pełnej śpiewu łące“, przegląda się w wodzie i czerpie do picia gorące, słone fale rzeki. A przecież powinien był za życia wskrzesić dawne judejskie proroki (Eljasza) [1]) i wznieść się żywcem na ognistym wozie do nieba. Teraz obowiązkiem jego jest posłać na świat kogo innego lub samemu wrócić w innym żywocie. Jakoż Mieczysław czuje, że przybiera nowe kształty: „Już mi pogański świat cieniów nie starczy, — już Chrystus w duchu zwyciężać zaczyna.“ Nowy żywot, to żywot Bolesława Śmiałego.

Duch Dobrawny wyrzuca Mieczysławowi powrót do pogańskiego podziemia. Ponieważ stamtąd już Popiel, wcielający się

[1]) O tym najważniejszy ustęp na str. 474: „O Eliaszu! o trzeci globowy Stworzycielu, pochodnio i form robotniku itd“.

dopiero w Mieczysława, wyprowadził pogańskie duchy, wracający Mieczysław, który się ma wcielić w Bolesława Śmiałego, nie potrzebuje, a nawet nie może po raz drugi otwierać pogańskiego piekła. Dlatego sprzeczny z dotychczasowemi przesłankami jest rzut początku rapsodu o Bolesławie Śmiałym na stronie 596 „Nie mnie powiadać, jak na dzieło Pańskie — idący święty duch: i anioł Śmiały, szedłem, bym piekło otworzył pogańskie, — i pozapalał wielkie, dawne chwały“. A przecież zamiast jednorazowej sprzeczności musimy uznać zasadniczą zmianę planu co do użycia motywu otwarcia pogańskiego piekła, skoro na str. 634 czytamy wyraźnie: „Mój duch, gdy pieczęć podwójną położył — na ziemi słowa, z świętości i mocy, — szedł, aby piekło pogańskie otworzył“. Świętość odnosi się do Mieczysława, moc do Popiela. Zatem przed trzeciem wcieleniem otwiera Król-Duch pogańskie piekło. — Przejęcie tego motywu do historyi Bolesława Śmiałego potwierdza także zarzucony wstęp do rapsodu piątego na str. 594: „Utratę mojej u Boga zasługi — śpiewam i wyjście mego ducha z tronu — i dzień żywota straszliwy i długi, — marnie przebyty bez żadnego plonu, — i powrót ducha nad letejskie strugi, — gdziem pierwszy światło zanosił Syonu — opowiem“. Wyrazy rozstrzelone nie mogą odnosić się do wyprowadzenia duchów pogańskich przez Popiela, bo ten nie znał jeszcze „światła Syonu“, lecz muszą zapowiadać zstąpienie do piekieł chrześcijanina Mieczysława. Leciał on „na jeden obłok... jak szmaragd cały przejasny, zielony.“ „Tam Achillesy i Agamemnony śnią.“ Jest to oczywiście ów „świat podziemny, — w elementarne ubrany obłoki,“ w którym pobyt wyrzucała Dobrawna Mieczysławowi na str. 597. Jeśli jednak przy powtórnem zstąpieniu Mieczysława do piekieł „Homerejczycy“ jeszcze tam przebywają, to Popiel nie wyprowadził ich jeszcze ze sobą do Mieczysławowej Polski. A więc poeta zarzucił pierwotny, logiczny pomysł wyprowadzenia pogan do nowego żywota w roku tysiącowym i postanowił bohaterów greckich wypuścić z piekła dopiero za sprawą chrześcijanina Mieczysława, by u boku Bolesława Chrobrego służyli córce Słowa.

Jakoż w początkowych trzynastu strofach nowej pieśni rapsodu o Bolesławie Śmiałym znajdujemy ów motyw zastosowany do historyi Bolesława Chrobrego. On to bowiem jest „duchem jakimś większym od Macedończyka,“ wymienionym w strofie jedenastej, jak to wynika z konceptu na stronie 311. Tu „powiadają, — jak popielni rycerze ciemni z grobu wstają... i znów do piekła szlakiem wracają czerwonym, — smętne duchy, lecące za królem szalonym. — Inny samego króla widzi, ślady końskie — na globie, jakieś serce dziwne, Macedońskie, — hełm dziwny, oświecony Helady płomykiem... Więc Kijowa skały, — bramy złote, na bramach stał powyszczerbiana. Ponieważ jednak Mieczysław nie przynosi Grekom „światła Syonu,“ tylko powtarza do-

słownie hasła Popiela z innych opracowań, musimy przyznać, że przepisany przez Felińskiego z zeszytu L. ustęp, mający stanowić początek pierwszej pieśni rapsodu o Bolesławie Śmiałym, przynajmniej w dziewięciu pierwszych strofach nie jest ostatecznie opracowany, ale wyrwany z innego związku, a tu zastępuje tylko chwilowo inne strofy, może nigdy nie napisane. Dlatego nie można przynajmniej tych dziewięciu strof umieszczać w tekscie. Przyszły wydawca zestawi je wśród niewykończonych pomysłów z opracowaniami tegoż motywu, połączonego z Popielem, i zaznaczy zmianę planu poety, dodając, że ten plan ostatecznie nie został wykonany. Oczywiście i rzuty innych motywów w rozmaitych opracowaniach muszą być obok siebie zestawione, bo w ten tylko sposób chaos pomysłów zacznie się krystalizować koło pewnych osi i w ten tylko sposób „warsztat“ poety stanie się łatwo dostępny dla badaczów.

Ale nas nie technika wydawcza obchodzi, tylko motywy klasyczne.

Dodajemy więc, że jak opowiadanie o zejściu Eneasza do Orku i wyjściu stamtąd kończy się u Wergiliusza (Aen. VI 894 nn.) wzmianką o dwóch bramach snu, z których jedną, rogową (*cornea*), wydobywają się na świat cienie prawdziwe, drugą, kościaną, fałszywe sny, tak i anabaza Popiela (str. 158 w. 99) zakończona jest bramami snu, choć inaczej umieszczonemi. Mianowicie wypuszczeni z piekieł bohaterzy widzą jakieś walki. Zbroje wojowników wydają im się snami, „jako sny, które przez białe podwoje — z kości wychodzą całe malowane“. Porta *cornea* przemienia Słowacki na *aurea*, każąc na str. 475, w. 46 prosić komuś o „sen prawdziwy, schodzący bramami złotemi“. I innych zastosowaniach tego samego motywu pisałem w „Hellenizmie J. S.“, str. 93.[1])

Nie odpowiedzieliśmy też jeszcze na pytanie, dlaczego otwierający (na str. 155) pogańskie wrota król w purpurze jest „Dawidowi tak podobny z lica, — że dwóch jakoby (scil. Dawidów) widziano na chmurze“. W rzucie na str. 559 ten, którego nazwali „mieczem i sławą“ przemawia wprost jako Dawid: „A wtenczas ja, lew z pokolenia Judy, — przysłany byłem, abym ziemię nową — z pod elementów tęczowej obłudy — wywiódł na jasne i słoneczne słowo“. Pod tęczową obłudą elementów spali, jak widzieliśmy, bohaterzy greccy. „Legendarzów cudy“, którymi olśniona jest ziemia, modląca się o „przyjście czasów“, to opowiadania o tem, co się działo 1000 lat przed Chrystusem. Mieczysław przychodzi na świat „nie sam, ale z ognistemi mary“, oczywiście z marami owych Homerocjczyków, którzy (str. 157) w ognistej tonęli purpurze. Więc mamy tu do czynienia jeszcze z jednem opracowaniem motywu otworzenia piekieł pogańskich, z opracowaniem,

---

[1]) Por. też Stan. Schneider, Kilka objaśnień do dzieł S., nr. 6.

w którem Mieczysław nietylko jest podobny do Dawida, ale z nim się identyfikuje. Na jakiej podstawie?

Zwracaliśmy już powyżej uwagę na synchronizm greckich bohaterów z roku 1000 przed Chr. z królem Dawidem i na ich kilkakrotne połączenie. W przytoczonym ustępie Wykładu nauki (I 505) Helois, dowiedziawszy się o śmierci Dawida „postać króla-harfiarza zanotowała głęboko w pamięci“. Jeszcze po trzech tysiącach lat między wizerunkami, zdobiącymi ściany egipskiego grobowca Helois, „siedzi... ów król-harfiarz w złotej koronie, brodą siwą dźwięczący po strunach, jedyny prawie obcy przychodzień, bo jest innego ducha wyobrażeniem“. O tym samym wizerunku króla-harfiarza opowiada także Eolion (Samuel Zborowski 141 nn.), powtarzający historyę syna Ramazesa i Atessy: „... W grobowca rytym malowidle — ten starzec z harfą złotą przy odwianym skrzydle — srebrnej brody, przez moich rzeźbiarzy wykuty, — trwa między pamiątkami“. Ale korony już nie ma na głowie, nie jest Dawidem, tylko — Homerem, jak to wynika z wierszy poprzednich: „Mówiłeś mi, starcze, o Grekach. — Ten ślepy harfiarz, który tu pod moim tronem — śpiewał nowym językiem, nowym ducha tonem — utkwił mi i zejść z oczu nie może. Ja w jego — głosie, Magu, słyszałem coś nieśmiertelnego“. I dlatego kazał go wykuć na ścianie grobowca. Siwobrody król harfiarz zlał się w jedną postać z siwobrodym harfiarzem, który był także królem, choć tylko „królem lir“ (Raptularz 1464 i 1597 n.). Ta synteza powtarza się przy Mieczysławie, o którym czytamy (str. 515): „Jam przyszedł, Król-Duch, zwany Mieczysławem, — na los Dawida i dolę Homera[1]) — przygotowany przez te duchy, które — na oczy ciemną rzucają purpurę“. Dola Homera — to ślepota. Ale czy los Dawida — to jakieś pokutowanie? W każdym razie to pewne, że na podstawie tej właśnie associacyi Mieczysław raz identyfikując się z Dawidem, drugi raz mieniąc się jego sobowtórem zstępuje do piekieł po pogan, czekających na Pańskie przybycie.

Prawdopodobnie do przebrania Mieczysława za Dawida przy tem właśnie przedsięwzięciu skłoniło poetę przypomnienie, że właśnie Dawid wyprowadził z otchłani starozakonnych patryarchów, jak o tem opowiadają ludowe pieśni religijne, oparte na starych apokryfach. Jeden z takich apokryfów, który niegdyś czytałem po polsku p. t.: „Ojcowie święci w otchłaniach“ ma następującą treść: Obarczeni grzechem pierworodnym patryarchowie, czekają w „piekłach“ na Mesyasza, który ich ma stamtąd wyprowadzić do nieba. Wolno im wyprawiać z pośród siebie po jednym pośle celem przyspieszenia tej sprawy w niebie. Ale ile razy Łaska Boża już się skłaniała do próśb posła i chciała zesłać Mesyasza, Spra-

[1]) Por. str. 486 i 496: z króla zarazem dolą i Homera; str. 164, 306: i żywot króla żebraka-harfiarza.

wiedliwość powstrzymywała ją od tego. Dopiero żarliwości Dawida udało się skłonić Sprawiedliwość do ustępstwa. Dzieło odkupienia dokonane. Chrystus zstępuje z grobu do piekieł w towarzystwie Dawida i w tryumfie wyprowadza patryarchów do nieba. Wolno przypuszczać, że zstąpienie Mieczysława do piekieł, dokąd przynosi „światło Syonu“ poganom, wśród których są także Judejczycy (str. 362), wzorowane jest na tym apokryfie[1]) i dzięki temu właśnie Mieczysław występuje w roli Dawida. Połączenie tego motywu apokryficznego z tysiącoletnią palingenezą pogańską nie zupełnie jeszcze dokonało się w głowie poety. Stąd ta chwiejność w rozmaitych koncepcyach, któreśmy poznali powyżej.

Trudniej określić rolę Homera, występującego osobiście w dwóch urywkach. W jednym (str. 480) rozmawia ktoś (prawdopodobnie duch Popiela, który przebywa w podziemiu między „Homerejczykami“) z Homerem, przerywa jakieś opowiadanie starego śpiewaka i pokazuje mu z zachwytem idylliczne rządy, kmiotka i jego żony (Piasta i Rzepichy). Homer objaśnia, że żona kmiotka, to Prometeanka, ożywiona złym duchem i sprzymierzona ze wszystkimi złodziejami ognia, Prometeuszami. By im pomóc, wezwie jednego z nich na świat, ubierze go w ciało pierwszego syna (Wodana) i ukradnie „złote światło Boże“ (cudowną moc ducha Ziemowita). Z ostatnich wierszy fragmentu, w których czytamy o szafirowym globie, rzuceniu się na pomoc duchowi i pędzie „jednej z Meduznic i z Prometeanek, — od kaukazkiego zerwanej łańcucha“, możemy na pewno wnioskować, że rzecz dzieje się w podziemiu, gdzie Homer „ciałem ubierając zjawienia“ (w. 8) objaśnia Popielowi, jakie żywoty obiorą przebywające nad Lethe duchy. — Pomysłu do takiej sceny dostarczył poecie Wergiliusz, u którego (Aen. VI 756 nn.) Anchises, objaśniwszy przebywającemu w podziemu Eneaszowi istotę życia, śmierci i odrodzenia (724—751), pokazuje mu ze wzgórka przyszłe wielkości rzymskie. Tę rewję duchów wprowadził Słowacki także do pomysłu „Dziadów“ (str. 318 n.). Duchy zlatują się w cerkwi na zaklęcia guślarskie, a jakiś „Jan uczeń“, jak powyżej Homer rozpoznaje Prometeankę i innych złodziejów ducha, a potem Piastów, Ziemowitów. — Tego samego pomysłu można się też dopatrywać w fragmencie (str. 384 nn.), w którym jakiś śpiewak, zapytany o wyjaśnienie tajemnic palingenezy (strofa 20) i metempsychozy (strofa 21), przypomina „żebraka i sługę, lir króla“, a więc Homera, któremu „w przedstworzonych cieniach“ dano żywot Eljasza, później żywcem wniebowziętego. Jego duch zmógł Popiela, „kiedy się z gwiazdą bił na

[1]) Użycie innego apokryfu sygnalizuje sam poeta do R. IV p. 3, 192, pisząc „św. Paweł z Chrystusem spotkawszy się w powietrzu“. Folklorysta znajdzie wogóle dużo do objaśnienia w mistycznych utworach Słowackiego.

zamku wieży", a potem „zasiadł przecudowną chatę — na szmaragdowych łąkach przy Kruszwicy".

Genezyjską historyę odrodzeń opowiada wreszcie ktoś (fragment str. 390—394) „Przedrzeźniaczowi", „Urągaczowi wiekowemu", „który od wieków tę myśl w ludzkość kładnie, — że jest jako liść lasów coraz nowy, — który gdy spadnie — to na wieki spadnie". Myśl ta pochodzi oczywiście z Iliady (VI 146 un.): οἵη περ φύλλων γενεή, τοίη δὲ καὶ ἀνδρῶν. — φύλλα τὰ μέν τ' ἄνεμος χαμάδις χέει, ἄλλα δέ θ' ὕλη — τηλεθόωσα φύει, ἔαρος δ' ἐπιγίγνεται ὥρη· — ὣς ἀνδρῶν γενεὴ ἡ μὲν φύει, ἡ δ' ἀπολήγει. Mimo to urągacz wiekowy nie może mieć nic wspólnego z Homerem, bo ten według Słowackiego (Wykład Nauki II 629 nn.) uczył o przechodzeniu ducha przez formy roślinne i zwierzęce i mówił o nieśmiertelności. Raczej jego interlokutor występuje w roli Homera, skoro ów urągacz mówi do niego: „każ, niech ci chłopiec grecką lutnię poda, — śpiewaj, te rzeczy są godne rapsoda". Dopisek poety (str. 394), że „...grecka idea z perską się biły na powietrzu, jak dwaj aniołowie, gdy na ziemi Maraton, Termopyle i Platea były widzialnymi tej walki znakami i dowiodły, że świat liczby częstokroć jest w odwrotnym stosunku do sił, które walczą o świat w krainach ducha" dowodzi, że rozmowcy w przytoczonym fragmencie reprezentują ideę grecką i perską, w ogóle oryentalną. W takim razie trzeba przyznać, że Słowacki akcentuje osobiste pochodzenie myśli o ludziach-liściach. W Iliadzie wypowiada ją nie Grek, lecz Lykijczyk Glaukos. — Ci sami interlokutorzy wracają we fragmencie na str. 320, który przedstawia p o c z ą t e k omówionej rozmowy. Wiekowy urągacz nazywa przedstawiciela idei greckiej (wiary w nieśmierfelność) „naśladowcą Greków" i zapytuje go o pomniki, a choćby ślady czynów i myśli Słowian w ogóle, a w szczególności Popiela. Bo do tego odnosi się „to, że twój trup na gadzin wieńcu — położył głowę, a twych czynów ślady — z wieżą zniknęły". Nie ulega więc wątpliwości, że duch Popiela, który na str. 480 rozmawiał w podziemiu z Homerem, według innego pomysłu (str. 320 i 390—394) przedstawiony był jako naśladowca Homera, rozmawiający z urągaczem wiekowym, przed którym bronił idei greckich. Sam urągacz zestawia go z Homerem, pytając: „*co* [1]), gdzie w zorzanym przeszłości rumieńcu — widzisz, jako [2]) wieszcz niebieskiej Hellady?" Według „Wykładu Nauki" (II 611 nn.) Homer zebrał w sobie doświadczenie epoki bohaterskiej (Jazona, Greków trojańskich, Orfeusza) i, pozbawiony przez duchy wzroku, by nie tracił czasu na oglądanie świata zewnętrznego, — patrzył tylko w siebie i na podstawie owego doświadczenia głosił nowe prawdy. Popiel we własnem wnętrzu nie wyczytywał żadnych prawd. To było dopiero udziałem Mieczysława, który jednak ten dar musiał, jak

[1]) Takiej lekcyi, zamiast „czy", wymaga następujące „chyba to".
[2]) To znaczy: „Tak, jak widział".

Homer, okupić wzrokiem. Wyraźnie mówi o tem poeta we fragmencie na str. 584, nawiązując do apologu o ślepym harfiarzu z wyspy Scio (we wstępie do Ballad.): „Na takie czasy duch przyszedłem nowy, — ale już smętny bardzo i skarany, — jako ów dawny anioł Homerowy — nad egiejskiemi gdy chodził bałwany, — ze słońcem różnych widzeń w urnie głowy, — a z wyciągniętą ręką przeciw ściany...“

Stwierdziwszy poprzednio, że Homer rozmawiał w podziemiu z duchem Popiela, któremu udzielał wyjaśnień genezyjskich i historycznych (co do przyszłości), możemy do podobnej sytuacyi odnieść fragment na str. 528—530. Tu Homer patrzy na wylatywanie jakichś słonecznych duchów. Duchy te stanowią, zdaje się, orszak nowej Piękności słowiańskiej, skoro Homer sądzi, że musi przed nią ustąpić piękność pogańska, reprezentowana przez Afrodytę, Amfitrytę i Tetydę. Otaczający ją blask porównuje z pawią tęczą, która niegdyś niosła do góry Junonę, gdy ta tworzyła powietrze [1]). Tu Homer znika, pobiegłszy oczywiście za nową Pięknością. „Za znikającym — rzucił się Memnon czarny w mgłę różaną: — Stój — krzyknął — duchu, nie bądź tak gorącym, — wszak nam winieneś pieśń niedośpiewaną“. Ale Homer przypatrywał się już polskiej naturze i ludowi, „na pieśń kolory brał i w sobie składał“. Straconego śpiewaka żałują ogromnie bohaterzy. Ajaksowie, Hektor, synowie Ledy (Kastor i Polluks), Achilles pędzą za nim, aby „wraz z tym łabędziem wiekuistej Pani, — choćby w pieśniarze być poprzemieniani“. Króla-Ducha, który chce pobiedz za nimi, wstrzymuje Antenor, przedkładając mu, że jeszcze nie prędko „kraj po trojańsku będzie nieszczęśliwy“, aby mu bohaterzy mieli już śpieszyć z pomocą. Zresztą „światłość złota, co z oliwy błyszczała“, czyli mądrość grecka, Minerwa [2]) teraz niewiele pomoże duchowi, odkąd „duch jeden jasny z nieba przyniósł drugą“ mądrość, prawdopodobnie słowiańską. Król-Duch rozpacza, że go odbiegli odwieczni towarzysze, aż go pocieszyli dwaj duchowie słoneczni. Ich słowa: „To z czego była Achillesa dzielność, — nieranność, zmieni się dziś w nieśmiertelność“, opierają się na notatce w Dzienniku z roku 1848 (w. 314 nn.), a wracają w epigramie 39: „Nieranność Achillesa, a stąd jego dzielność, — jest to uczuta w duchu wielkim nieśmiertelność“. W dalszym ciągu pouczają duchy króla o znaczeniu mąk i zgonów dla postępu ducha [3]) i zapowiadają mu rychłe odrodzenie w dawno ukochanych stronach.

[1]) Na podstawie etymologii Ἥρα z ἀήρ. Ten sam motyw na str. 466 i 563.

[2]) Por. str. 593, 57: Taki stał, Greckiej Minerwie, Bogini — podobien, gdy ta, Duch w duchu oliwy, — sakramentuje grecki lud i czyni — świecą narodów.

[3]) Por. Sam. Zborowski 644 nn.; 695 n.

Identyfikacya bohatera byłaby dość trudna, gdyby nie to, że przytoczony ustęp poprzedzają w tym samym zeszycie strofy (str. 527) o śmierci i porwaniu do otchłani króla, który nie może być Popielem, a więc jest Mieczysławem. Strofy te łączą się więc z jednej strony bezpośrednio z ostatnią pieśnią rapsodu czwartego, z drugiej strony z omówionym ustępem o Homerze. Bo przekreślona strofa (na str. 527) o duchach, z których „jeden zniknął w słonecznych promieniach, — a drudzy za nim w światło zlatywali“ objaśnia „piękne gwiazd wylatywanie“, na które patrzył Homer. Musimy więc skonstatować, że po zarzuceniu poznanego powyżej planu, by duchowi Popiela kazać otworzyć wrota pogańskiego piekła i po zarzuceniu jego rozmowy z Homerem, poeta przeniósł na Mieczysława nie tylko zstąpienie do pogańskich piekieł, ale i rozmowę z Homerem. Oparte jednak na Platońskiem założeniu początku rapsodu pierwszego połączenie świata Homerowego ze słowiańskim nie wyszło poza fazę niesformułowanych ostatecznie prób, nie zrosło się organicznie z dziejami Króla-Ducha w Polsce. W każdym razie już omówione waryanty dwóch motywów (katabasis Popiela, ew. Mieczysława i powrót rzeczy greckich z r. 1000 przed Chr.) dowodzą, jak bujnie kiełkował w umyśle twórcy „Króla Ducha“ posiew Homera, Platona i Wergiliusza [1]).

Nim pożegnamy się z Homerem, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na to, że przypisywana Homerowi pieśń jaskółcza (Εἰρεσιώνη), którą Słowacki na podstawie parafrazy Kniaźnina [2]) wziął za osnowę prześlicznych strof na str. 344 (O wy, którzy mnie jeszcze dziś słuchacie), odbiła się drugiem echem w strofach na str. 520 (w. 25 nn.): Piastunka śpiewa małemu ciemniaczkowi, Mieczysławowi, o Zoryanie, którego Popiel kazał spalić razem z lirą. „Nigdy już więcej ów, który po siołach, — jawił się z wiosny jaskółkami słowny — nie wróci.... A przyrzekł z wiosną, gdy ptaszki zanucą, wrócić — i lira i on już nie wrócą“. Ostatnia strofa Ejresione brzmi według Kniaźnina: „Z jaskółką równie coroczną — powrócę do was, powrócę; — nogi tu moje wypoczną — i piosnkę wdzięczną zanucę“.

Szczegółowy komentarz filologiczny do wszystkich miejsc nowo ogłoszonych materyałów, w których są wzmianki czy alluzye klasyczne, wymagałby zbyt częstego powoływania się na kollektanea w „Hellenizmie J. S.“, a miałby racyę bytu tylko jako część składowa ciągłego komentarza do całego poematu i jego waryantów. Taki ciągły komentarz musi być napisany, aby

---

[1]) Wymieniamy bowiem tylko autorów z pewnością znanych Słowackiemu, a nie przytaczamy pokrewieństw i podobieństw z pomysłami rozmaitych mistyków, których znajomości dowodnie u Słowackiego wykazać nie potrafimy.

[2]) Por. Hellenizm J. S., str. 133 n.

stworzyć podstawę do badań więcej syntetycznych, ale jego premissą jest nowe wydanie „Króla Ducha", któreby, porzuciwszy następstwo ustępów w zeszytach autografów i manuskryptów, zestawiło obok siebie różne redakcye tego samego motywu[1]). Dopóki to nie nastąpi, komentarz ciągły jest niemożliwy, a filologiczny byłby przedwczesny. Dlatego ograniczam się do zwrócenia uwagi jeszcze na jedną tylko koncepcyę antyczną.

Otchłań, do której anioły niosą Mieczysława na str. 527, nie jest owem Platońskiem podziemiem, do którego zstąpił Her, a potem Popiel. Niema tu nieodzownej Lethe, natomiast są inne rzeczy: „Na tej otchłani, jako mgły — duchy wielkie apostoły — szli, słońc kręgami za głowy porwani, — w chór jeden święty, niebieski wśpiewani, — a glob był niżej, jakoby pod chmurą, — zakryty ze mnie lecącą purpurą". Stamtąd dochodziły płacze nad zmarłym królem. Jesteśmy więc nie pod ziemią, ale nad ziemią, wśród gwiazd. Homer patrzy w „piękne gwiazd wylatywanie", więc lecące duchy przedstawiają mu się jako gwiazdy. Podobną koncepcyę znajdujemy na str. 156. Bohaterzy wylatują za Popielem z Tartaru: „Z niemi dna złote i komet ogony — przelatywałem, pełne malowideł — cieni, postaci ludzkich i zwierzęcych — i dusz, jak małych światełek jarzęcych".

Podobną koncepcyę miejsca pobytu dusz, wyzwolonych z ciała, znajdujemy u Plutarcha (De genio Socratis, c. 22), u którego obudzony z letargu Timarch z Cheronei opowiada, co widział na tamtym świecie: Znalazł się w nadziemnych przestworzach, niby na jakiemś barwnem morzu, po którem pływały wśród harmonijnych dźwięków jakieś świetlane wyspy. Z dołu dolatuje z ciemnej otchłani płacz i jęk. Niewidzialny głos objaśnia mu te zjawiska, a między innemi tłómaczy, że to, w czem Timarch widzi gwiazdy, to są demony ludzi, ich rozumy (νοῦς), które z duszą, mieszkającą w ciele, połączone są jakby jaką wstęgą i na tej właśnie wstędze pływają niby korki po powierzchni morza. W miarę wyzwalania się duszy z ciała gwiazda wznosi się coraz wyżej. — Uzupełnieniem tego mitu Timarchowego jest opowiadanie bezimiennego Kartagińczyka w Plutarchowem dziełku „O twarzy w księżycu" (De facie in orbe lunae c. 28 nn.): Człowiek składa się z ciała, duszy i ducha. Ciało dostaje od ziemi, duszę od księżyca, ducha od słońca. Po śmierci ciało wraca do ziemi, a dusza przez pewien czas jeszcze pozostaje w połączeniu z duchem. Ich rozłączenie jest drugą śmiercią człowieka. Gdy dusza opuści ciało, błądzi przez nieoznaczony przeciąg czasu między ziemią a księżycem i, jeśli była niesprawiedliwa, pokutuje

[1]) Pracę ułatwia powtarzanie się tych samych obrazów n. p.: Świerszczyki na dworze króla: str. 489, w. 89 n., por. 492, 56; 503, 149; 513, 89; 519, 40; 544, 38; lub mgły jesienne: str. 309 w. 219 nn.; 326, 21; 353, 31; 366, 56; 381, 101; 537, 5; 543, 17...

tu za swe winy, jeśli była pobożna czeka na wyparowanie z niej ostatnich śladów ciała. Wtedy idzie do najdelikatniejszego powietrza, na tak zwane „łąki Hadesu“. Stąd wznoszą się dusze coraz wyżej ku swej ojczyźnie, księżycowi, a dostawszy się tam, otrzymują wieńce z piór, potem kąpią się w księżycowym eterze i stają się demonami. W tym charakterze zstępują na ziemię, ale tu je pożera dalej tęsknota za słońcem. Na skrzydłach tej tęsknoty wraca duch do słońca, skąd wyszedł, i łączy się z bóstwem. Dusza zostaje na księżycu, póki się nie rozwieje i w niwecz nie obróci. Ale użyźniający wpływ słońca płodzi na księżycu nowe dusze, te dostają od ziemi ciało, od słońca ducha — i na nowo rozpoczyna się obieg życia i śmierci...

Jeśli sobie przypomnimy, że w genezyjskiej mitologii Słowackiego najważniejszą rolę odgrywa duch słoneczny (Helion), duch miesięczny (Helois) i duch globowy czyli ziemski (czasem Lucyfer, czasem Przedrzeźniacz, Urągacz wiekowy), będziemy się musieli zastanowić, czy w pomysłach Słowackiego nie pobrzmiewają echa lektury Plutarcha. Na pewne ślady lektury rozprawy Plutarcha „O Izydzie i Ozyrysie“ wskazałem w „Hellenizmie J. S.“ str. 114 n. Tu chciałbym zwrócić uwagę przedewszystkiem na analogię jakiegoś górnego piekła, w którem dusze jarzą się jak gwiazdy — u Słowackiego i u Plutarcha.

W zakończeniu przedmowy do „Króla Ducha“ (str. 294 fin.) pisze Słowacki o przekazaniu czytelnikom „nowych obrazów“ poety przez znalazcę manuskruptu, przyczem posługuje się wyrażeniem „a duchom podobni z rąk do rąk podajemy sobie lampę żywota“, pomny na wiersz Lukrecyusza (II 78): „et quasi cursores vitaï lampada tradunt“. Wyrażenie owo możemy zastosować do samego autora pod tym względem, że lampę, zapaloną u płomienia greckiej piękności, podał następnemu pokoleniu poetów: Słowacki jest ojcem nie tylko modernizmu polskiego, ale i tego zamiłowania do antyku, które widnieje u większości dzisiejszych poetów, zacząwszy od Konopnickiej (poprzez Asnyka) a skończywszy na — Wyspiańskim. U tego spotykamy się z tą samą syntezą (czy amalgamatem) antyku z rzeczami polskiemi, która tak charakteryzuje Słowackiego, choćby tylko w omówionych ustępach „Króla Ducha“.

Lwów.

NOTATKI.

Notatki do dziejów teatru w dawnej Polsce.

I.

Komedyanci włoscy w r. 1592.

Kosztowne było wesele Zygmunta III z Anną rakuską w r. 1592 (maj i czerwiec); aż król klejnoty koronne zastawić musiał[1]). Opisy tych wspaniałych zaślubin przechowały nam współczesne kroniki (Bielskiego, Piaseckiego) i relacye, poza niemi zaś szereg, niewyzyskanych dotąd, broszur niemieckich, drukowanych bądź w Krakowie bądź we Wiedniu[2]), a także dzieło naocznego świadka tego wesela, Michała Heberer'a (von Bretten † 1612 r.) p. t. Aegyptiaca Servitus (Heildelberg, 1610)[3]). Z obszernego opisu Heberer'a przytaczam ustęp (s. 555), w którym mamy wiadomość o trzech, występujących wtedy, komedyantach włoskich *(Zanni)*[4]).

Das neudte Capitel.

Folget ein Königlicher Tantz vnd andere Ritterspiel / so sich bey der Königlichen Hochzeit zugetragen.

Als nun jederman in seiner Ordnung stunde vnd sasse / auch der Saal frey vnd ledig / Sihe da thate sich herfür der Venus - berg / darauff ein Thurn mit Fünf Gestöcken / in welchem zum Eingang / ein herrliche Music / mit Trommeten vnd Posaunen gehört / ward aber niemands gesehen. In dem Thurn

---

[1]) Por. autograf Biblioteki Ossolińskich we Lwowie p. l. inw. 494.

[2]) Wylicza je Estreicher w Bibliografii, og. zb. t. XII, Kraków, 1891, s. 162—3 — Por. nadto Gołębiowski Łukasz, Teki V. Misc. 52. 14 (rękopis Biblioteki hr. Dzieduszyckich we Lwowie, urywek w dziele jego: Gry i zabawy. Warszawa, 1831, s. 179—183).

[3]) Estreicher, Bibliografia, og. zb. t. XVIII, Kraków, 1901, s. 70 mylnie pod Hebe*n*er. O Hebererze por. J. Franck (Allgemeine deutsche Biographie. Band XI, Leipzig, 1880, s. 197—8).

[4]) Zwrócił na to uwagę Johannes Bolte, Englische Komödianten in Dänemark und Schweden (Jahrbuch der deutschen Shakespeare-Gesellschaft. Band XXIII, Weimar, 1888, s. 104), por. nadto jego: Das Danziger Theater. Hamburg und Leipzig, 1895 s. 24.

brannen Lichter in allen Gemachen / so schön hell gemacht von Cristallin fenstern. Dieser Thurn gieng also fort / bis er mitten in den Saal kame. Da gieng er strack gegen der Braut zu / vnd da er nahe zum absatz des Saals kame / wich er wider ein wenig zu rück / thate der Braut die Reverentz / wendet sich gantz herumb / vnd spieleten die Spielleuth vber die massen stattlich.

Da sich nun der Berg mit dem Thurn gedrähet / wiche er ein zimlichen Platz zu rück / vnd wendet sich der Eingang in dem Thurn strack der Braut zu / vnd stund still. Baldt öffnet sich die Pforten des Thurns / vnd gieng erstlich herausser ein Sanno, in Mascaladen vermummet vnd gekleidet / so Italienisch redete / Zu welchem sich nachmals zween andere verfügten / vnd machten gross Gelächter / mit kurtzweiligen Italienischen reden.

2.

Komedyanci angielscy w XVII wieku. [1]

Arcyksiążę austryacki Karol, biskup wrocławski, brat żony Zygmuta III, Konstancyi [2]), wystosował z Nissy (Neisse), dnia 18

---

[1]) Por. Cohn Albert, Shakespeare in Germany in the sixteenth and seventeenth centuries: an account of english actors in Germany and the Netherlands and of the plays performed by them during the same period. London, 1865. Meissner Johannes, Die englischen Comoedianten zur Zeit Shakespeares in Oesterreich (Beiträge zur Geschichte der deutschen Literatur und des geistigen Lebens in Oesterreich. IV Heft) Wien, 1884. Tenże, Die englischen Komödianten in Oesterreich (Jahrbuch der deutschen Shakespeare-Gesellschaft. Band XIX, Weimar, 1884, s. 113—154). Creizenach Wilhelm, Die Schauspiele der englischen Komödianten (Deutsche National-Litteratur. 23 Band). Berlin und Stuttgart (1889). rec. Antoniewicz Jan Bołoz (Przegląd polski, og. zb. t. 101, Kraków, 1891, s. 490—501). Bolte Johannes, Die Singspiele der englischen Komödianten und ihrer Nachfolger in Deutschland, Holland und Skandinavien (Theatergeschichtliche Forschungen. VII) Hamburg und Leipzig, 1893. Tenże, Das Danziger Theater im 16 und 17 Jahrhundert (Theatergeschichtliche Forschungen. XII). Hamburg und Leipzig, 1895. rec. Brückner Aleksander (Kwartalnik historyczny. R. X, Lwów, 1896, s. 847—8), Bugiel W. (Prawda. Warszawa, 1898, s. 356, Przegląd literacki. R. III, Kraków, 1898, nr. 16—17, s. 16—18). Herz E., Englische Schauspieler und englisches Schauspiel zur Zeit Shakespeares in Deutschland (Theatergeschichtliche Forschungen. XVIII). Hamburg und Leipzig, 1903.

[2]) Córka Maryi bawarskiej i Ernesta († 1590 r.) z linii styryjskiej.

marca 1617 r., do kardynała Dietrichsteina, namiestnika morawskiego, w Ołomuńcu, następujący list: [1])

Dem Hochwürdigen Fürsten vnserem freundtlichen geliebten Herrn vnd gutten Freundt, Herrn Frantsen, der Heiligen Röm. Khirchen des Titüls Sti Siluestri Cardinaln von Dietrichstein, Bischoven zue Olmütz, Röm: Kay: May: geheimen Rath, auch deroselben Königreich vnnd Erbländern Protectori.

Vnsere freundtliche willige Dienst, was wir sonsten mehr liebes vnd guethes vermögen zuevorn, Hochwürdiger Fürst, freundtlicher geliebter herr vnnd guether Freundt, Vnnss haben an Euer Ldn. gegenwerthige Engelländische Comedianten verschrifftlichen zue recommandiren, vnd dahin zuebefödern gehorsambist angelanget, damit ihnen von E. L. verlaubet werden möchte, in dero Stäthenn Ihre geschickligkheit vndt Comicos actus zue exerciren;

Wan wir vns dan zueruckh wol eryndern können, dass noch bey weilandt vnserer geliebsten Frawen Muether, hochehr: vnd Lobwürdigisten angedenckhens, lebens Zeiten, eben dieselbe Personen Zue Gräcz, ihre Comedien, gancz Erbar vnd zichtig, mit der vnserigen allerseits genedigistenn gefallen vndt begnügen verrichtet / An Yezo aber aus Pohln / darin Sy dergleichen bei Ihrer König: Würd: vndt Ldn: · eczlich Monat Lang exhibiret, mit Königlichen recommendationen vndt guethen Zeügnus, zue vns ankhommen, vndt sich gehorsambist angegeben habenn. Diesemnach haben wir gedachten Comödianten, diese, Ihnen zue ersprüsslichen genaden, gemeinte recommendation, an Euer Ldn: nicht wol verwiedern mögen. Ever Ldn: hiemit freundtlichen ersu-

[1]) Oryginał znajduje się w archiwum krajowem w Bernie morawskiem (zbiór Boczka nr. 12,265); ogłosił go pierwszy Julius Feifalik w artykule p. t. Engländische Comödianten in Mähren (Notizen-Blatt der historisch-statistischen Section der kais. kön. mähr. schles. Gesellschaft zur Beförderung des Ackerbaues, der Natur- und Landeskunde. Redigirt von Christian d'Elvert. Nr. 3. Beilage der Mittheilungen, 1858 s. 23), za nim Albert Cohn, l. c., s. XCIII—XCIV, za nim Johannes Meissner, l. c., s. 62—63. — Najwierniejszy tekst podał E. Soffé, Eine Nachricht über englische Komödianten in Mähren (Anglia. Zeitschrift für englische Philologie herausgegeben von Richard Paul Wülker. X Band, Halle a. S., 1888, s. 289—290). Por. nadto D'Elvert Christian, Geschichte des Theaters in Mähren und oesterreichisch Schlesien. Brünn, 1852, s. 26, Goedeke Karl, Grundrisz zur Geschichte der deutschen Dichtung². II Band, Dresden, 1886, s. 537 (128).

chende, dieselbte Ihnen, mehrbemelte Perschonenn, zue allei gewogenheit, vnd genaigtem willen von vnsertwegen, wollter freundtlichen endfallen sein lassen, Damit Sy demüthigist verführen möchtenn, das vnsere bey Euer Ldn: freundtliche Interuencionen, angenehmbe vnnd kräfftighe würgligkheit gefunden, vndt Sy sich Euer Ldn: gnadt, als frembdlinge zuerühmen vndt zuerfreyen haben möchten, Welches vmb Euer Ldn: hinwiederumb freundtlichen Zuerwiedern wier yeder Zeit gancz willig sein vnd verbleiben wollenn. Geben in vnser Stadt Neiss denn achtczehenden tag Marty im Sechczehenhundert vndt Siebenczehenden Jahre/. Carl von Gottes gnaden Ertz Hertzog zu Össterreich, Hertzog zue Burgundi etc. Bischoffe zue Brixen vnnd Bresslaw, Graffe zue Tyrol./

Euer Lde.

Guthwilliger vndt getreuer Freundt

Carl m. p.

Z listu przytoczonego wynika:

1) że komedyanci angielscy, polecani przez Karola, byli tymi samymi, którzy, za życia matki Karola, Maryi († 29 IV 1608 r.), w Gradcu styryjskim przedstawiali komedye *(...dass noch bey weilandt vnserer geliebsten Frawen Mutter... lebens Zeiten, eben dieselbe Personen zue Grácz, ihre Comedien... verrichtet)* oraz,

2) że przybyli do Nissy z Polski z poleceniami, pełnemi pochwał, od króla (Zygmunta), na którego dworze spędzili kilka miesięcy *(...aus Pohln, darin Sy dergleichen bei Ihrer König: Würd: vndt Ldn: eczlich Monat Lang exihibiret, mit Königlichen recommendationen vndt quethen Zeügnus, zue vns ankhommen...)*.

Wykazano, ża komedyanci angielscy, którzy w r. 1607 (od początku listopada do 19 XI) i w r. 1608 (od 6 II do 19 II) występowali w Gradcu, należeli do trupy teatralnej, której przewodnikiem był John Green.

Z listów arcyksiężnej Maryi Anny, żony arcyksięcia Ferdynanda (przyszły cesarz Ferdynand II), oraz Maryi Magdaleny, siostry jego, dał się dokładnie zrekonstruować repertoar sztuk, jakie trupa Green'a na dworze arcyksiążąt styryjskich wystawiła.

Komedyanci angielscy odegrali:

1) von ein Khinig auss engelandt, der ist in eins goltschmitt weib verliebt gewest (19 XI 1607, z listu Maryi Anny do Ferdynanda, z Gradcu, dnia 19 XI 1607).

2) Comedi von den Verlornen sohn (wie zu Passau 8 II 1608; z listu Maryi Magdaleny do Ferdynanda, z Gradcu, dnia 22 II 1608).

3) von einer frommen frauen von Antorf (9 II 1608 z tegoż).

4) von dem dockhtor Faustus (10 II 1608; z tegoż).

5) von ein Herzog von Florenz, der sich in eines Edelmanns tochter verliebt hat (11 II 1608; z tegoż).

6) von Niemandts und iemandt (12 II 1608; z tegoż).

7) von des fortunatus peitl vnd Wünschhietel (13 II 1608; z tegoż).

8) von dem Juden (14 II 1608; z tegoż).

9) von den 2 priedern khüng ludwig vnd khünig friderich von ungarn (16 II 1608; z tegoż).

10) von ein khünig von Khipern vnd von ein herzog von venedig (18 II 1608; z tegoż).

11) von dem reichen mann vnd von dem lazarus (19 II 1608; z tegoż).

Dwadzieścia prawie lat później, w r. 1626, bawiła trupa Green'a (od 1 VI do 4 XII) w Dreznie; zapiski urzędnika dworskiego w kalendarzu przechowały repertoar sztuk, jakie w tym czasie Green wystawił.

Grano:

1) Comoedia von Hertzogk von Mantua vnd den Hertzogk von Verona (31 V i 4 IX).

2) Comedia von der Christabella (1 VI).

3) Tragoedia von *Romeo vnd Julietta* (2 VI i 29 IX).

4) Comoedia von Amphitrione (4 VI).

5) Tragicomoedia von Hertzogk von Florentz (5 VI i 15 IX).

6) Comoedia vom König in Spanien vnd den Vice Roy in Portugall (7 VI i 19 IX).

7) Tragoedia von *Julio Cesare* (8 VI).

8) Comoedia von der Crysella (9 VI).

9) Comoedia vom Hertzog von Ferrara (11 VI i 24 IX).

10) Tragicomoedia von Jemandt vnd Niemandt (20 VI).

11) Tragicomoedia von König in Dennemark vnd den König in Schweden (21 VI).

12) Tragoedia von *Hamlet* einen printzen in Dennemarck (24 VI).

13) Comoedia von Orlando Furioso (25 VI).

14) Comoedia von den Koenig in Engelandt vnd den Koenig in Schottlandt (27 VI i 22 X).

15) Tragoedia von Hieronymo Marschall in Spanien (28 VI).

16) Tragicomoedia von dem Hamann vndt der Koenigin Ester (3 VII).
17) Tragoedia von der Märtherin Dorothea (5 VII i 1 X).
18) Tragoedia von Dr Faust (7 VII).
19) Tragicomoedia von einem Königk in Arragona (9 VII)
20) Tragoedia von Fortunato (11 VII).
21) Comoedia von Josepho *Juden von Venedigk* (13 VII i 5 XI).
22) Tragicomoedia von den behendigen Dieb (22 VII, 17 IX i 22 IX).
23) Tragicomoedia von einem Hertzogk von Venedig (23 VII).
24) Tragoedia von Barrabas, Juden von Malta (31 VI i 29 VIII).
25) Tragicomoedia von dem alten proculo (2 VIII i 6 IX).
26) Tragoedia von *Lear*, König in Engelandt (26 IX).
27) Tragicomoedia von Gevatter (4 X).
28) Comoedia von verlohren Sohn (19 X).
29) Comoedia von den Graffen von Angiers (29 X).
30) Tragoedia vom reichen Mann (4 XII).

Zestawienie obu repertoarów prowadzi do następujących wniosków:

1) Repertoar Green'a w okresie lat 1607—1626 potroił się,
2) w obu repertoarach spotykamy szereg tych samych sztuk (1608: 2, 4, 5, 6, 7, 8, 10, 11=1626: 28, 18, 5, 10, 20, 21 [24?], 23, 30),
3) jeżeli w r. 1626 Green grał te same sztuki, które wystawił w r. 1608, to musiał je również przedstawiać w drugiej połowie 1616 r. (po 25 VIII 1616) lub w pierwszych tygodniach 1617 r. (na kilka tygodni przed 18 III 1617)[1], kiedy bawił z swą trupą w Warszawie na dworze Zygmunta III,
4) wobec tego repertoar warszawski Green'a składał się co najmniej z ośmiu sztuk z r. 1608 (2, 4, 5, 6, 7, 8, 10, 11) identycznych ze sztukami z r. 1626 (28, 18, 5, 10, 20, 21 [24?], 23, 30).

Fakt pobytu trupy Green'a w Warszawie, czas w którym na dworze królewskim wystawiał komedye nie ulegają

[1]) Termin *a quo* określa prośba Green'a do rady miasta Gdańska z dnia 25 VIII 1616: „Wir hatten nicht vermeint, E. Edle H. mehr mit suppliciren zu bemühen oder auch lenger vns hie aufzuhalten. Es ist uns aber wegen I. K. Matt. zu Polen und Schweden angemüttet, noch etwas abzuwarten auf gnedigste Resolutie, ob I. K. Matt. vnseres Dinstes möchte begerende sein". Termin *ad quem* ustala list arcyksięcia Karola.

najmniejszej wątpliwości. Podobnie ma się rzecz z znaczną częścią repertoaru sztuk, granych przez niego.

Rozpatrywanie, choćby jak najzwięźlejsze, repertoarów Green'a wykroczyłoby poza ramy niniejszych zapisków. Dzieła Cohn'a, Meissner'a, Bolte'go, Herz'a, wydawnictwa Tittmann'a, Creizenach'a poinformują każdego interesowanego jak najdokładniej i najszczegółowiej. Wystarczy, gdy nadmienię, że kilka sztuk z warszawskiego repertoaru Green'a wydrukowano prawie współcześnie w zbiorze p. t. Engelische Comedien und Tragedien... von den Engelländern... seynd agiret und gehalten worden, 1620 (drugie wydanie 1624; obie edycye, jak wykazał J. Bolte, drukowane w Lipsku, u Gottfrieda Grosse'go), który najprawdopodobniej ogłosił jeden z członków jego trupy. Spotykamy tu: nr. 2 Comedia. Von dem verlornen Sohn (1608:2=1626:28), nr. 3 Comedia. Von Fortunato und seinem Seckel und Wünschhütlein (1608:7=1626:20), nr. 4 Comedia von eines Königes Sohn auss Engellandt und des Königes Tochter auss Schottland [1]), nr. 6 Comedia von Jemand und Niemand (1608:6=1626:10); autorem oryginału angielskiego nr. 3 jest Thomas Dekker, autorów nr. 2 i 6 nie znamy.

Autorem Fausta The life and death of Dr. Faustus (1608:4=1626:18), jest Christopher Marlowe. Czyją jest sztuka von dem Juden 1608:8 (Comoedia von Josepho Juden von Venedigk 1626: 21=Shakespeare; Tragoedia von Barrabas, Juden von Malta 1626:24=Marlowe) stanowczo nie da się oznaczyć; może być nią komedya Szekspira Merchant of Venice 1600, albo Marlowe'a The famous tragedy of the rich jew of Malta 1589.

Sztukę: von einem König von Cypern und einem Herzog von Venedig (1608:10=1626:23) wydrukowano w r. 1677, p. t. Tugend- und Liebes-Streit (=Twelfth night:or,What you will Szekspira).

Nie znamy bliżej sztuki: von ein Herzog von Florenz, der sich in eines Edelmanns Tochter verliebt hat; wystawienie jej w r. 1608 (5=1626:5) nie pozwala przypuszczać, by był to utwór Filipa Massinger'a (The Great Duke of Florence, druk. 1635). Taksamo ma się sprawa z oryginałem sztuki o Łazarzu i bogaczu (1608:11=1626:30).

---

[1]) Nr. 4 wciągają niektórzy także do repertoaru Green'a z czasu około 1607 r., a to z tej przyczyny, że Green był razem (aż do marca 1607) z Robertem Brownem w jednej trupie, utrzymywanej przez landgrafa hesskiego Maurycego. Trupa ta wystawiła w Cassel 1 III 1607 wymienioną sztukę, którą spotykamy także w r. 1626:14; w Gradcu jednak Green jej nie wystawił, z tego powodu nie wliczono jej do przypuszczalnego repertoaru warszawskiego.

Nie ulega wątpliwości, że poza trupą Green'a bawił w Polsce cały szereg drużyn teatralnych. Dowodzą tego wiadomości przechowane w suplikach ich naczelników.

W lipcu 1636 r. Arend Ärschen[1]) w prośbie do burmistrza miasta Gdańska wyraźnie pisze:

> Nachdem Wir Englische Comoedianten nach absterben hochlöblichster gedechtnis des Königes Sigismundi Tertij (†30 IV 1632), dero wir viele Jahr gedienet haben, enturlaubet waren vnd . . . . nunmehr dieser iezigen Maiestet (t. j. od Władysława IV, 1632—1648) aus der Wilde (=Wilno) eines Königlichen schreibens vnd allergnedigsten resolution alhier erwarten, wo wir vns hinwenden sollen zu ihrer Königlichen Maiestet Dinsten, ob es etwan nach der Wilde oder nach Warschaw soll gemeinet sein...

W maju 1640 r. prosiło kilku komedyanów angielskich radę miasta Gdańska o pozwolenie grania; spotkała ich jednak odpowiedź odmowna, mimo pismo polecające Władysława IV, na którego dworze w Warszawie niedawno występowali.[2])

W r. 1670 od sierpnia do października występował w Gdańsku Joris (=Georg) Benteley z trupą złożoną z 16 osób. W suplice swojej chwali się że 29 IX 1669 grał w Krakowie w czasie koronacyi Michała Wiśniowieckiego.

Z przytoczonych, niewątpliwie pewnych, wiadomości widać, że komedyanci angielscy byli częstymi gośćmi w dawnej Polsce, że utrzymywał ich nie tylko Zygmunt III, lubujący się we wszystkiem, co było niemieckie, ale i syn jego, Władysław IV, miłośnik opery włoskiej. [3])

---

[1]) Być może, że identyczny z Robertem Arzschar'em (Artscher'em). Ärschen'a spotykamy w r. 1640 z Robertem Reynolds'em.

[2]) Była to najprawdopodobniej trupa komedyantów, powstała z dawnej drużyny Roberta Brown'a, do której należał niegdyś także Green. W skład jej wchodzili Robert Rennols (=Reinholdt), Eduard Pudey (=Pudsey), Aaron Asken (=Arend Ärschen), Joannes Weyd, Wilhelm Wedwer, Wilhelm Roe.

[3]) Pierwsze wzmianki o komedyantach angielskich w Polsce poczyniono z racyi pochodzenia motywu komedyi Piotra Baryki „Z chłopa król" (1637). Por. Shakespeare W., Dzieła (wyd. Kraszewskiego). T. III, Warszawa, 1877, s. 515 517—519 (uwagi Kraszewskiego, nota Paszkowskiego) oraz Dzieła, przekład L. Ulricha. T. II, Kraków, 1895, s. 188, 191, 192. Przedruk tych uwag, jak zwykle, bez podania źródła, w wydaniu dra H. Biegeleisena. T. VI, Lwów, 1895, s. 332—5. Por. także Windakiewicz

Źródła, które dostarczają nam tych ważnych a tak bardzo ciekawych danych o komedyantach angielskich są wyłącznie obce; czy niema źródeł polskich w tej sprawie? Nie znam ich dotąd.

Meklemburczyk, Joachim Posselius († 1624 r.), lekarz nadworny Zygmunta III w kronice swojej p. t. Historia rerum polonicarum ab a. 1388 ad a. 1623 (rękopis Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie p. I. inw. 1322, część w rękopisie Biblioteki Ossolińskich p. I. inw. 77, por. także nr. 495), wspomina, że na dworze Zygmunta III grane bywały widowiska teatralne, a to w niemieckim lub włoskim języku.[1]) Ks. Adam Czartoryski G. Z. P. w swoich dopełnieniach Carlancas'a powiada: Na teatrach polskich jako za przeszłego panowania tak za dawniejszych francuscy tylko albo niemieccy komicy ukazywali się.[2]) Głuche wzmianki, niczego nie mówiące.

Stanisław, Teatr ludowy w dawnej Polsce. Kraków, 1902, s. 203. Pozbawiony zupełnie wartości naukowej jest artykuł p. K. M. p. t. Znajomość Szekspira w Polsce do początku XIX wieku (Nowa Reforma, Kraków, 1885, nr. 54/5 i 56), w którym anonim twierdzi, że „t. zw. englische Komödianten do nas nie zapuszczali się wcale". Dalsze wzmianki u Wł. Nehringa, Beiträge zur Geschichte des Theaters in Polen (Zeitschrift für vergleichende Litteraturgeschichte. Neue Folge, XII Band. Weimar, 1898, s. 152), który mówi o John'ie Spencerze (!!) na podstawie d'Elvert'a; u K. Estreichera, Teatr krakowski (Rocznik krakowski. T. I, Kraków, 1898, s. 59); u A. Brücknera, Dawne powieści i romanse polskie (Biblioteka warszawska. T. II, Warszawa, 1901, s. 530, o Fortunacie), por. tegoż Dzieje literatury polskiej w zarysie.[2] T. I, Warszawa, 1908, s. 362 Por. nadto Wesselofsky Alexis, Deutsche Einflüsse auf das alte russische Theater von 1672—1756. Prag, 1876, s. 25 i n.; Menčik F., Příspěvky k dějinám českého divadla. Praga, 1895, s. 90

O teatrze włoskim por. Windakiewicz Stanisław, Teatr Władysława IV. Kraków, 1893 (odb. z Przeglądu polskiego) rec. Porębowicz Edward (Kwartalnik historyczny. R. VIII, Lwów, 1894, s. 295—7) por. Czermak Wiktor (Gazeta lwowska. Lwów, 1893, nr 260—263), Italoman (=Windakiewicz Stanisław; Czas. Kraków, 1895, nr. 285), Bolte Johannes, Das Danziger Theater, s. 72 i n.

[1]) Cytowany przez ks. Franciszka Siarczyńskiego, Obraz wieku panowania Zygmunta III. T. II, Poznań, 1858, s. 372, por. T. I, Poznań, 1843, s. 160. Siarczyńskiego przywodzi K. Wł. Wójcicki w kilkakrotnie drukowanym artykule o teatrze Zygmunta III. O Posseliuszu por. ks. Fr. Siarczyński, Obraz... Opis osób. T. II, Lwów, 1828, s. 92—94.

[2]) Carlancas Juvenel de, Historya nauk wyzwolonych. Warszawa, 1766, s. 214 (por. Smoleński Władysław, Pisma historyczne T. II, Kraków, 1901, s. 25).

Gdzie szukać wiadomości realnych o trupach komedyantów angielskich, czy też o innych kompaniach aktorów?

Sądzę, że przedewszystkiem w rachunkach dworu królewskiego (*Libri quitantiarum,* księgi skarbowe) [1]; w księgach tych powinny się znaleźć pozycye wypłaconych aktorom należytości; odnajdą się prawie pewnie ich nazwiska.

Wiemy, że komedyanci angielscy w r. 1617 i 1640 przybyli do Wrocławia i Gdańska z poleceniami królewskiemi, Zygmunta III i Władysława IV. Były to zapewne pisma wydane przez kancelaryę królewską; w aktach kancelaryi królewskiej byłoby drugie przypuszczalne źródło.

Należałoby nie pominąć korespondencyi i relacyi obcych poselstw przy ówczesnym dworze polskim, przedewszystkiem zaś relacyi nuncyuszów rzymskich.

Mamy daty i fakty; na podstawie tych można podjąć próby. Pobudzeniem do poszukiwań w tym kierunku osiągnęłaby niniejsza notatka całkowity swój cel.

3.

Dwa dyalogi ormiańskie z r. 1668 i 1669.

(Ś. Rypsyma i Ś. Pulcherya)

Z rękopisu ks. Alojzego Maryi Pidou p. t. *Breve relatione dello stato, principii et progressi della missione apostolica agli Armeni di Polonia e Valachia e provincie circonvicine e dell' erettione e fondatione del collegio pontificio di Leopoli per la medesima natione armena sotto la cura de pp. chierici regolari detti volgarmente Teatini, sin al 1 aprile 1669, pli il padre d. Luigi Maria Pidou C. R. superiore delle detta missione e collegio,* wydanego w polskim przekładzie przez Adolfa Pawińskiego,[2]) dowiadujemy się dokładniej o tragedyach, jakie za czasów prefektury ks. Pidou w kolegium teatyńskiem były grywane.

Oto jego słowa:[3])

> Nie zaniedbaliśmy także w kollegium przyjemnych i użytecznych ćwiczeń w deklamacyi i tragedyach, przez co i nasi alumni kształcili się na dobrych mówców, a nadto jednaliśmy sobie życzliwość wszelkich warstw ludu, który się z wielką

[1]) Pozycye, przytoczone u Niemcewicza, Czermaka i i., jako wydatki na muzykę, nie mówią niczego. Księgi skarbowe wydatków dworu Władysława IV z r. 1633, prowadzone przez Andrzeja Wołossowskiego, posiada Biblioteka Z. N. I. Ossolińskich (por. rękopis p. I. inw. 3,276.)

[2]) Źródła dziejowe. Tom II, Warszawa, 1876.

[3]) l. c., s. 113.

przyjemnością na to schodził i nieraz schyzmatycy zmuszeni byli słuchać słów prawdy bez obrazy. Znaczniejsze z tych tragedyi i deklamacyi były: *Śmierć Cezara, Zagadki Salomona Śmierć Heroda, Św. Rypsyma*, panna i męczenniczka, wierszem ormiańskim i inne. Teraz zaś myślę na przyszłe wakacye kazać przedstawić *Śmierć Teodozego młodszego* pod tytułem *św. Pulcheryi,* cesarzowej, żeby ją obronić od złorzeczeń i potwarzy heretyków ormiańskich, którzy ją znienawidzili, że za jej staraniem z rozkazu Leona św. odbył się św. sobór chalcedoński.

Tytuł rękopisu, z którego ten ustęp przywiodłem, mówi, że dzieje kolegium Teatynów doprowadzono w nim do 1 kwietnia 1669 r. Wynika z tego, że wszystkie tragedye wymienione w rękopisie — były grane przed 1 kwietnia 1669 r. oraz, że data ta nie odnosi się do dyalogu o św. Pulcheryi.

Ks. M. Pidou nie podaje siebie za autora żadnego z dyalogów, które w swoim rękopisie wyliczył.

Autorstwo dyalogu o ś. Rypsymie i drugiego o ś. Pulcheryi przypisuje mu jednak nieznany autor rękopisu p. t. *Compendiosa relatio unionis nationis Aremeno-Polonae cum s. ecclesia romana ad annum Christi 1676,* ogłoszonego również w przekładzie polskim przez Pawińskiego.[1])

Czytamy tu:[2])

Roku 1668 od Narodzenia Chrystusa dla zbicia potwarzy, jakie tu i owdzie Ormianie podczas niesnasek arcybiskupa z Caraciolem rzucali, jakoby w kolegium nikt się nie uczył i nikt z ojców nie wykładał, dla braku znajomości ormiańskiego języka, alumni przedstawili dnia 9 kwietnia i trzech dni następnych ułożoną przez Alojzego, z polecenia prefekta, ormiańskim wierszem tragedyę o męczeństwie *św. Rypsymy,* panny, Rzymianki, co śmierć w Armenii poniosła. Utwór to był wielce poważny, polskiemi przeplatany dla Polaków ustępami. Przyjęło tragedyę całe miasto z nieopisanym zapałem: Łacinnicy, Ormianie i Rusini, których wszyscy biskupi i prałaci byli na przedstawieniu obecni. Obyło się bez wydatków zupełnie, gdyż sami alumni odmalowali sobie dekoracye, a muzykę sprowadził na swój koszt archidyakon. Sufragan ormiański poczytał to ojcom za wielkie wykroczenie i tajemnie (lubo publicznie z uznaniem się odzywał), dał o tem przesadną i nieprawdziwą św. kongregacyi wiadomość, co mu następnie na złe wyszło, a Ojcowie nato-

---

[1]) l. c.

[2]) l. c., s. 168 i 172.

miast najpochlebniejsze od Ich Em. kardynałów otrzymał pochwały.

. . . .

Pod koniec tegoż 1669 r. ze zwykłą zręcznością Alojzy dla pogodzenia umysłów dał dla teatralnego przedstawienia drugą tragedyę świętą (drugą i ostatnią przez alumnów wystawioną) o św. *Pulcheryi,* cesarzowej, pannie, lżonej i potwarzanej w kacerskich księgach Ormian, z powodu zwołania soboru chalcedońskiego. Dramat był napisany po łacinie z polskiemi ustępami na żądanie Łacinników, aby okazać, jako oba języki ormiański i łaciński, w kolegium się wykładają; lecz żeby i w tym razie dobrych swych zamiarów na szwank nie wystawić, niczego O. Alojzy nie zaczynał w tej mierze, dopóki nie otrzymał wyraźnego, piśmiennego od św. kongregacyi pozwolenia.

Tyle bezimienny autor *Compendiosae relationis.* W r. 1823 M. J. Saint Martin ogłosił artykuł p. t. Analyse d' une tragédie arménienne. Représentée à Léopol, en Pologne, le 9 avril 1668.[1]) Powiedział tu słów kilka o Świętej Rypsymie na podstawie obu wyżej wymienionych rękopisów.[2]) Sztuki samej nie znał; autorstwo jej przypisał ks. A. M. Pidou. Podał jej źródło:

Le sujet est la conversion de l'Arménie au christianisme, sous le regne du roi Tiridate; elle est en grande partie tirée des historiens arméniens Agathangelus et Moise de Khoren, ainsi que de recits qui se trouvent dans le martyrologe arménien.

Wł. Chomętowski odnalazł w Bibliotece ord. Krasińskich w Warszawie drukowany scenaryusz omawianego dyalogu, podał tytuł jego i treść a jako czas wystawienia wskazał mylnie r. 1666.[3]) Błąd ten powtórzył K. Estreicher[4]) i St. Pepłowski.[5])

Scenaryusz dyalogu o św. Rypsymie nosi datę 1668 r. tak w egzemplarzu Biblioteki ord. Krasińskich jak w niedawno nabytym do zbiorów Biblioteki Ossolińskich we Lwowie (l. inw. 126,077).

---

[1]) Journal asiatique publié par la Société asiatique. T. II, Paris, 1823, s. 22—27. Por. także Grässe J. G. T., Lehrbuch der allgemeinen Literärgeschichte. III Band, II Abtheilung. Leipzig, 1853, s. 308.

[2]) Kiedy były w Paryżu w archiwum propagandy.

[3]) Dzieje teatru polskiego od najdawniejszych czasów do 1750 roku. Warszawa, 1870, s. 81—84.

[4]) Teatra w Polsce. T. III, Kraków, 1879, s. 107—108 oraz Bibliografia polska, og. zb. t. VIII, Kraków, 1882, s. 330.

[5]) Teatr polski we Lwowie. Lwów, 1889, s. 5—7.

[Tytuł]

SWIĘTA RYPSYMA
Panna y Męczenniczka.
Abo Tyrydat przemieniony.
TRAGEDIA NABOZNA.

Z rożnych Historykow Láćińskich y Ormiańskich wyięta. | *Wierszámi Ormiáńskiemi, á Intermedyami Polskiemi* | *złożona,* |

Druk gocki, 4-o; k. nlb. 8, sygn. ark. A — A_3 (mylnie, zamiast B_3)

Na końcu: Acta in Collegio Pontificio Armeno, sub dicretione *(sic!)* Clericorum Regularium, Vulgo Theatinorum, Apostolicorum Missionarium. Leopoli, Anno Dni 1668 Mense. Die.

Na odwrocie przedostatniej karty podano szczegółowy spis osób, występujących w dyalogu, z nazwiskami aktorów (Actores in Tragaedia Armena. Actores in Prologo, Epilogo, & Intermedijs). Tragedya składa się z antiprologu, prologu, aktów I—V (akt I sc. 1—4, II sc. 1—4, III sc. 1—4, IV sc. 1—4, V sc. 1—5), między aktami I/II jest intermedyum 1, II/III 2, III/IV 3, IV/V 4; po akcie V następuje antiepilog, po nim epilog (Powinne oddaje słuchaczom podziękowanie za nietęskliwe słuchanie). Cały scenaryusz po polsku, spis osób po łacinie.

Druk ten nabyła Biblioteka Ossolińskich z scenaryuszem dyalogu o św. Pulcheryi (l. inw. 126,076), którego autorem jest również ks. A. M. Pidou. Druk tego scenaryusza był dotąd w bibliografii naszej zupełnie nieznany.

[Tytuł]

S. PVLCHERYA
Panna y Cesarzowa.
Albo śmierć Theodozyusza
Młodszego.
Tragedia Nabozna.

Druk łaciński, 4-o; k. nlb. 2, sygn. ark. A.

Na końcu: Acta ab Alumnis Armenis Collegij Pontificij *(sic!)* Leopoliensis, sub Directione Clericorum Regularium vulgo Theatinorum Apostolicorum Missionarium. Leopoli. Anno Dni. 1669. Mense Augusti.

Dyalog składa się z prologu, pięciu aktów, antiepilogu oraz epilogu (Za cierpliwe słuchanie dziękują słuchaczowi). Między aktami I/II jest intermedyum 1, II/III 2, III/IV 3, IV/V 4. Cały scenaryusz po polsku.

Najwięcej interesu budzą prolog, intermedyum wtóre i trzecie oraz antiepilog. Przytaczam je;

Prolog:

Apollo z Muzami, jadąc do Ameryki, na gorącą Melpomeny tragedyi bogini instancyą, z drogi zjechawszy, do lwowskiego wstępuje miasta, w którym mu obiecuje na publicznej przed oczy wystawić scenie wielkie i dziwnie piękne Pulcheryej dzieła, którego z wielkiem Ormianie przyjmują weselem.

Intermedyum wtóre:

Dwaj oszustowie stucznie niejakiego z Aleksandryej Chryzofiusza sługę ze wszytkich obierają rzeczy, ich frantowski w tej mierze postępek z światowemi paragonują zdradami.

Intermedyum trzecie:

Orfeusz na skale nad żałosną kochanej swojej małżonki lamentuje śmiercią. Lutnia jego zwierzęta i drzewa do wesołych pobudza skoków, zdumiały Orfeusz ma nadzieję, że lubo nielitościwe Plutona serce wiecznobrzmiącą swoją do miłosierdzia skłoni melodyą i do Plutonowych przyszedłszy królestw, wolne żonie swojej wyjednał z piekła odejście, z taką przestrogą, aby się nie oglądał na nię, pókiby do światłości nie przyszedł, czemu gdy nie dosyć uczynił już już na Charonową mając wsiadać łódkę utracił. Euridices Momus wykłada bajkę.

Antiepilog:

Przepyszny na weselu Peleusza i Tetydy bogów bankiet Niezgoda rozrywa, złote między gości wrzuciwszy jabłko, o które w wielkie z sobą Iuno, Pallas, Wenus alterkacye zachodzą, ale, za najwyższego dekretem Jowisza, na mądry się Paridis zdały rozsądek, który złote bogini Wenerze przysądza jabłko.

Nadmieniam, że istnieje, prócz dyalogu o Ś. Pulcheryi, także: Historya Pulcheryi, cesarzowej greckiej i opiekunki cesarza Theodosii Junioris. Cnota, Mądrość w rządzeniu państwa, alias roztropność status (str. 25).[1])

Oba scenaryusze Biblioteki Ossolińskich były oprawne w jednym woluminie z datą 1672 i napisem: „Inscriptus catalogo R. D. Joannis Kiere-[mowic] Epi Bogd[aniae) Suffr. Leop. Nat. Arm.-[enicae] 1672“; wolumen ten mieścił, prócz wymienionych scenaryuszy, szereg rzadkich i cennych broszur XVII w., które nabyła Biblioteka uniwersytecka we Lwowie.[2])

Lwów. *Ludwik Bernacki.*

---

[1]) Estreicher, Bibliografia, og. zb. t. XVIII, Kraków, 1901, s. 219.

[2]) Por. Barwiński Eugeniusz (Kwartalnik historyczny. R. XXII Zeszyt II i III. Lwów, 1908, s. 541—2).

Komedya o Morilindzie 1671.

(Motyw Florencyi, Kresceucyi i t. d.)

Nie posiadamy dotąd dzieła, któreby dawało dokładny obraz rozwoju polskiego dramatu i teatru. Znamy pewne epoki naszego teatru, jak n. p. teatr Władysława IV,[1]) wiemy dużo o średniowiecznych misteryach,[2]) mamy opracowany interesujący, choć fikcyjny, wycinek naszej twórczości dramatycznej „teatr ludowy“ [3]) — poza tem jednak rozporządzamy tylko cennymi, luźno związanymi zapiskami do dziejów polskiej sztuki dramatycznej i teatralnej, jakie w swych dziełach zebrali K. Wł. Wójcicki,[4]) K. Estreicher,[5]) W. Chomętowski [6]). I stąd może pochodzi, że niektóre epoki wydają się nam dotąd, jako zupełnie bezpłodne i martwe, choć może na takie miano nie zasługują; oczywiście nie chcę twierdzić, żeby gruntowniejsze badania nad historyą teatru przewróciły w zupełności dotychczasowe poglądy, ale to pewne, że w wielu punktach je zmodyfikują. Powyższe refleksye były wynikiem stwierdzenia ciekawego, drobnego może zresztą faktu, który świadczy, że mimo wewnętrznych i zewnętrznych opresyi, mimo strasznych nieprzyjacielskich potopów, sztuka dramatyczna w Polsce nie zamierała i objawiała się przez wystawianie sztuk wcale poważnych, jakich nawet w teatrze Władysława IV nie udało się wykazać.

Oto mamy zachowany scenaryusz polski, na który dotąd, o ile mi wiadomo, zupełnie nie zwrócono uwagi, zanotowany u Estreichera w spisie alfabetycznym,[7]) mylnie natomiast w spisie chronologicznym[8]); jedyny egzemplarz tego rzadkiego druku posiada Biblioteka Z. N. I. Ossolińskich (L. inw. 7, 559); karta tytułowa opiewa:

„Komedia | o | Morilindzie | krolowey, | wzięta z Językà Hiszpańskiego | A repraesentowana | W Dźień Národzenia | naiasnieyszey | Krolowey J. M. Eleonory. | Z roskazánia K. J. M. | w Wárszáwie ult. Maij 1671“, w 4-ce, k. 8 nlb., (sygn. A_2—B_3). Druk łaciński.

---

[1]) Windakiewicz S., Teatr Władysława IV. Kraków, 1893.

[2]) Brückner A., Początki teatru i dramat średniowieczny (Biblioteka warszawska, 1894, II, s. 417, III, s. 78).

[3]) Windakiewicz S., Teatr ludowy w dawnej Polsce. Kraków, 1902.

[4]) Wójcicki K. Wł., Teatr starożytny w Polsce. T. I—II. Warszawa, 1841.

[5]) Estreicher K., Teatra w Polsce. T. I—III. Kraków, 1873—1879.

[6]) Chomętowski W., Dzieje teatru polskiego od najdawniejszych czasów do 1750 roku. Warszawa, 1870.

[7]) Bibliografia, og. zb. T. XIX, s. 436.

[8]) Bibliografia, og. zb. T. VIII, s. 345; zanotowana jako komedya o Mori*bu*ndzie.

Na wstępie podana krótka „Historya tej komedyej", zwięzłe argumentum. Następuje wyliczenie odmian scen, a więc „skały gorejące, pokoje królewskie, ogród z fontanami, ogród z kwaterami, więzienie, namioty z fortecą, namioty same, skały, morze, las z pałacem, las wszytek, theatrum królewskie". Działają następujące osoby: „Krol, Krolowa, Xiążę Almiren, Irena Dama, Lisaura stara, Iunius Philosoph, Tarsen Consiliarz, Fortunius Konfident X., Rames Pułkownik, Petrolin Błazen, Paziowie, Gwardya, Damy, Ogrodnicy, Myśliwcy, Kawalerowie, Nimfy, Jowisz, Kupido, Lucina, Żołnierze, Rybacy".

Sztukę samą poprzedza prolog, rodzaj hiszpańskiego *loa*, które jest tu użyte w swem właściwem znaczeniu, ma bowiem za zadanie pochwałę królowej Eleonory. Dowiadujemy się z niego, że gdy

„się odkryje wszytko theatrum, pokaże się na niem scena z Skałami ognistemi i z naczyniem kowalskiem a czterech Cyklopów strzałami ukowanemi nieba dobywać chcą... Obaczywszy to Jowisz, pokaże się na powietrzu z grzmotami, z błyskawicami, a spędziwszy ich precz, na świat cały się sroży i chce go zagubić jako zuchwały, i z niebem wojujący. W tym jego srogim gniewie pokaże mu się boginia Lucina z dzieciątkiem na ręku i prosi Jowisza, żeby światu przebaczył błąd, dla samej tylko Eleonory, która ma być królową wielką Sarmatów i szczęśliwości wszelkie za niej panować będą: wtedy Jowisz rzuca pioruny swoje i gniew w sobie uśmierza, słońce się też i jasność światu pokaże".

Następuje treść samej sztuki, którą podaję ze względu na rzadkość scenaryusza:

Część I. (Scen 11). Król Arimaspe wyrusza na wyprawę wojenną przeciw Ałabezowi, królowi syryjskiemu, a rządy królestwa i obronę krolowej zdaje swemu krewnemu, księciu Almirenowi. Arimaspe na wyprawie dzielnych dokonywa czynów, a tymczasem Almiren nie może opanować swej namiętności do królowej, mimo, że dał już słowo Irenie; wyznaje Morilindzie swą miłość, która udaje, że go nie rozumie, a wreszcie surowo go karci.

Kończy pierwszy akt balet ogrodników, a po nim śpiewane intermedyum.

Część II. (Scen 22). Król raduje się z pomyślnego wyniku walki. Almiren nie przestaje królowej prześladować swą miłością, tak że Morilinda grozi mu wreszcie skargą przed królem, a sama zamieszkuje w pałacu w lesie. Wtedy Almiren prosi ją o przebaczenie, ale w sercu knuje zemstę; dlatego próbuje królowę na morzu zatopić, a gdy ją rybacy ratują, podpala pałac, w którym zamieszkała. Tymczasem król wraca, a Almiren wita go na przygotowanem wspaniałem polowaniu.

Kończy część drugą taniec 4 myśliwców i 2 niedźwiedzi. Po balecie śpiewane intermedyum o treści: Kupido dał się dla

igraszki schwytać dwom chłopom, którzy sprzedali go Nimfom, a gdy te nie przestają się z nim pieścić, prosi je, by go na chwilę puściły; Nimfy dają się namówić, a on, uleciawszy, śpiewa im piosnkę o tem, że myli się ten, kto chce miłość trzymać w więzieniu.

Część III. (Scen 18). Almiren oczernia Morilindę przed królem, który każe Ramesowi wywieść ją do lasu i zgładzić. Królowa z poddaniem przyjmuje wyrok, prosi tylko o czas do modlitwy i oddanie listu królowi; Rames lituje się nad nią i życie jej darowuje — byle w świat hen poszła;królowi wręcza list; król dowiaduje się stąd o zemście Almirena, rozpacza, winowajcę wtrąca do więzienia, gdzie ten, skruszony, wyrzeka na swą złość. A gdy go już prowadzą na stracenie, przybywa królowa w pątniczych szatach, daje się poznać, prosi o przebaczenie dla zbrodniarza, który się żeni z Ireną.

Kończy sztukę „balet kawalerów albo bitwa z tarczami srebrnemi i z spadami w taniec. Licencyą potym Muzyk śpiewać będzie“.

* * *

Nie mogę na razie wskazać bezpośredniego wzoru naszego scenaryusza; określę jedynie bliżej temat, który stanowi treść dramatu, a korzystając ze sposobności, przedstawię wędrówkę tego wątku od czasów najdawniejszych aż do chwili wystawienia komedyi, osnutej na tym motywie, na królewskiem theatrum.

W komedyi o królowej Morilindzie mamy opracowanie jednego z najbardziej powszechnych tematów nowelistycznych, a mianowicie motywu żony niewinnie oskarżonej o niewiarę, tematu, zwanego od imion sławniejszych bohaterek, wątkiem Krescencyi, Florencyi itd. Poświęcono historyi tego motywu wiele rozpraw i przyczynków, ale dotąd brak jeszcze pracy, któraby wyniki dotychczasowych badań zebrała i wyświetliła wiele niejasnych punktów; szkic Mussafii[1]), wobec wielkiej liczby świeżo zebranych materyałów, jest dziś niewystarczający, choć długo jeszcze pozostanie podstawą badań nad tym tematem. Postaram się dać krótką, krytyczną rekapitulacyę wyników dotychczasowych studyów.

W określeniu samego tematu leży trudność, a to z tej przyczyny, że motyw niewinnie posądzonej o złamanie wiary małżeńskiej spotyka się też w podaniach o Sybilli, Oliwie, Helenie, Hirlandzie i t. d.; konieczne jest tu rozgraniczenie całego materyału, chociaż

[1]) Mussafia Adolf, Ueber eine italienische metrische Darstellung der Crescentiasage. Sitzungsber. d. phil. hist. Cl. d. kaiserl. Akad. d. Wiss. in Wien, 1865 (51 Band), s. 589—692. Opieram się głównie na tej rozprawie; ile razy podaję wersyę bez wymienienia źródła, z którego czerpię, korzystam z materyałów, zebranych przez Mussafię.

w wielu wypadkach niektóre wersye nie dadzą się podciągnąć pod żaden dział i stanowią pewne typy i formy przejściowe.

Zaznaczam na wstępie, że zajmę się głównie motywem Krescencyi, a o innych tylko ubocznie wspomnę. Treścią tego tematu jest zwykle opowieść następująca: Książę odjeżdża z domu, powierzając żonę swą bratu; ten chciałby ją zniewolić; usiłowania jego są daremne, więc mści się, oskarżając ją o niewiarę przed mężem; księżna skazana na śmierć; uratowana cudownie, błądzi po świecie; przyjęta w dom jakiegoś szlachcica, jest znowu narażona na pożądania jednego z domowników, który odtrącony mści się w ten sposób, że zabija syna tego szlachcica i zwala winę na nieszczęsną ofiarę; ta jednak znów uchodzi cało i w dalszej swej wędrówce, otrzymawszy cudowne lekarstwo, szuka schronienia w klasztorze, gdzie słynie, jako cudowna lekarka. Przychodzą do niej po leki wszyscy jej dawni prześladowcy, ukarani za grzechy chorobą; dopiero po wyznaniu win zostają wyleczeni; wtedy następuje między małżonkami pojednanie.

Kwestya pochodzenia tego motywu, jak tylu innych, może być jedynie hypotetycznie rozwiązana. Hypoteza, wyprowadzająca wszystkie motywy baśniowe ze Wschodu, uważana dziś bywa za przestarzałą; jednak w bardzo wielu wypadkach, w braku przypuszczeń prawdopodobniejszych, musi się ją przyjąć. Tak n. p. ma się rzecz z omawianym przez nas tematem, który Rohde [1]) wyprowadza z Indyi; zapatrywanie jest dość uzasadnione, gdyż nowela ta należy do starego zbioru bajek indyjskich Sukasaptati (Księga papugi). Przeszła następnie do najstarszej perskiej przeróbki Ziyauddina zw. Nakszebim, pt. Tutinameh [2]), a stąd pochodzą liczne przeróbki w literaturze Hindostanu i Bengalii. Istnieje też w redakcyi tureckiej [3]). Księga papugi była na Wschodzie niezwykle popularna; stąd i nowela omawiana znalazła niejeden oddźwięk. Tak mamy najpierw w bajkach z „Tysiąca i jednej nocy“ analogiczną opowieść o „Kadim i jego żonie [4])“. Nie można tu natomiast zaliczać opowieści o „Syryjskiej parze kochanków“, zawartej w nocy 490, jak chciałby M. Landau [5]). Ściśle do na-

[1]) Rohde Erwin, Der griechische Roman und seine Vorläufer. II Ausg., s. 568, uw. 2

[2]) Pertsch W., Ueber Nachschabî's Papageienbuch. Zeitschrift d. deutsch. morgenl. Gesellsch. T. XXI (1867), s. 505—551. Zawarta jest ta nowela w 33 nocy, jako opowieść o Chôrszydzie i Utarydzie (s. 536).

[3]) W przekładzie Rosena. Leipzig, 1858, T. I, s. 89—108.

[4]) Noc 497 według niem. przekł. Habichta, Hagena i Schalla. Breslau, 1825, T. XI, s. 287—299.

[5]) Landau Marcus, Die Verlobten. Ztschr. f. vgl. Litteraturgesch. N. F. T. V (1892), s. 260—262. Brak w bajce tej zasadniczego motywu: fałszywego oskarżenia.

szego zakresu należy natomiast bajka z „Tysiąca i jednego dnia“ znana pod nazwą „Historyi Repsimy“ [1]). Posiadamy wreszcie poetycką przeróbkę, przełożoną u Cardonne'a [2]). Wspominam również o zbliżonem nieco opowiadaniu chińskiem [3]). Omawiany motyw spotykamy też w ludowych opowieściach wschodnich [4]).

Rohde w przypiskach do II-go wydania swej książki o romansie greckim rzuca pytanie, czy motyw ten nie pochodzi z Grecyi; przytoczony przykład Partenopy nie odpowiada jednak istotnym rysom naszego motywu. Omawiane opowiadanie istnieje natomiast faktycznie w ludowych podaniach greckich [5]). Można przypuścić, że dostało się tu dwiema drogami; albo przejęła je literatura grecka z francuskiej, podobnie jak Magelone, Flores i Blancheflor i t. d., które później również przeszły do baśni ludowych [6]), albo też że przybyło z literatury wschodniej; ostatnie przypuszczenie ma cechy większego prawdopodobieństwa wobec analogii wskazanych przez Köhlera [7]). W romansach greckich nie udało się dotąd znaleźć tego wątku [8]).

* * *

[1]) Przekł. niem. F. H. Hagena. Breslau, 1836, T. IV, s. 193—232. Dzień 218—226.

[2]) Mélanges de la littérature orientale. Traduits de différens Manuscrits Turcs, Arabes & Persans de la Bibliothèque du Roi par M. Cardonne. Paris, 1770, T. II, s. 36—57. Poczyna się nieco odmiennie. Piękna Ghulnaz, skazana na śmierć z powodu zawiści córki królewskiej, dopiero w dalszej swej tułaczce doznaje przygód typu Krescencyowego.

[3]) Chinesische Erzählungen von Jean- Pierre- Abel Remusat 1827, T. I, s. 3—106.

[4]) Spitta-Bey, Contes arabes modernes. Leyde, 1883, N. 6 Radloff W., Proben der Volkslitteratur der türk. Stämme Südsibiriens. Petersburg, 1866—1886, T. IV, s. 141; Lerch, Forschungen über die Kurden. 1857, T. I, s. 33; Lidzbarski M., Geschichten und Lieder aus den neuaramäischen Handschriften zu Berlin. Weimar, 1896, s. 93.

[5]) Hahn J. G., Griechische und alban. Märchen. Leipzig, 1864 T. I, s. 140; Pio J., Contes populaires grecs. Copenhague, 1879 s. 143, N. 7, s. 66, N. 21; Meyer Gustav, Albanische Märchen Nr. 11. Das Mädchen im Kasten.

[6]) Rohde, j. w., s. 568.

[7]) Köhler R., Kleinere Schriften, I, s. 392, Anm. 1. (Historya Repsimy = Pio, s. 66, Hahn, Nr. 16).

[8]) Pewne dalekie pokrewieństwo posiada jedynie romans Charitona z Afrodisias o Chaireaszu i Kallirroe w motywie, który jest również treścią komedyi Shakespeare'a p. t. Much ado about nothing; niektóre źródła jego podane w The Works of Shakespeare ed. by C. H. Herford, London, 1899, Vol. III, s. 4 i n.

W zachodniej Europie spotykamy dość wcześnie motyw niewinnie posądzonej o wiarołomstwo. Istnienie jego po części tylko da się wyjaśnić. Wśród licznych wersyi najdawniejszą znaną jest poemat, zawarty w Kronice Cesarskiej [1]); przeprowadzone badania wykazały, że cały poemat o Krescencyi jest w tej kronice interpolacyą. Schröder przypuszcza, że źródłem poematu jest zapewne opowiadanie, pochodzące z zaginionego zbioru „Podań o rzymskich cesarzach", które prawdopodobnie powstały we Włoszech, a są nawiązane do różnych pomników starożytnych. W tym wypadku domyślać się należy, że rzadkie imiona Krescencyi i Dietricha weszły do podania przez związanie go z wspaniałą wieżą „Castellum Crescentii" (Domus Theodorici)[2]). Hypotezę tę popierałby szczegół, napotykany tylko w wersyach zachodnich, że królowa zamyka w wieży, prześladującego ją swą miłością, szwagra, aż do powrotu króla. — Zbiór podań o rzymskich cesarzach nagięty został wkrótce do celów kościelnych, podobnie jak Gesta Romanorum. Stąd dostaje się omawiany temat do kazań średniowiecznych; tak n. p. u Etienne'a de Bourbon,[3]) oraz do „Miracles de Nostre Dame". Spotykamy go najpierw w najsławniejszym zbiorze, którego autorem jest Gauthier de Coinsy. Podobne opracowanie znajdujemy w Vie des anciens peres, jako nr. 11, oraz w rękopisie od św. Wiktora.[4]) Od Gauthiera pochodzi też przypuszczalnie bardziej zwięzła odmianka z XIII w.,[5]) a nadto misteryum z końca w. XIV lub początku XV, należące do „Miracles de Nostre Dame par personnages". Taki też charakter posiada opowieść o cesarzowej rzymskiej Florencyi u Wincentego de Beauvais (Vincentius Bellovacensis); stąd przeszła ona do Maerlanta, J. Herolta (Promptuarium miraculorum B. M. V.) i Razziego. Pod wpływem Gauthiera napisał Alfons X swą cantigę;[6]) na Gauthierze opierała się również zaginiona wersya portugalska, która była źródłem

---

[1]) Monumenta Germaniae historica: Scriptores qui vernacula lingua usi sunt. T. I, pars I: Deutsche Chroniken, I t., I Abt. Die Kaiserchronik eines Regensburger Geistlichen hrsg. v. Eduard Schröder. Hannover, 1892. Ustęp o Krescencyi w. 11,352—12,808, s. 289—314. Uwagi odnośne s. 58, 66, 289.

[2]) Jordan H., Topographie der Stadt Rom im Alterthum. Berlin, 1878, T. II, s. 428 i n.

[3]) Anecdotes historiques, légendes et apologues, tirés du recueil inédit D'Etienne de Bourbon, dominicain du 13 siècle, publiées par A. Lecoy de la Marche. Paris, 1877, s. 115.

[4]) Gröber G., Grundriss, B. II, I Abt., s. 919.

[5]) Analizę jej podaje Le Grand w Fabliaux et Contes. 1829, s. 125.

[6]) Mussafia A., Eine altspanische Prosadarstellung der Crescentiasage. Sitzungsber. d. phil. hist. Cl. d. kaiserl. Akad. d. Wiss. in Wien. R. 1866, T. 53, s. 563—4.

odmianki hiszpańskiej.[1]) Temat ten spotykamy też później w Portugalii; dowodzi tego zachowany druk ulotny[2]); opowieść tę opracował w jednej ze swych romanc Baltazar Dias.[3]) Zbliżone są także romance hiszpańskie Juana Miguel del Fuego. W dramacie hiszpańskim nie da się wykazać zbyt wiele opracowań (np. w sztuce Lopeza de Vega „En los indicios la culpa“,[4]) choć pierwotna osnowa została zatarła zawikłaną intrygą).

We Włoszech temat ten musiał być wcześnie znany, skoro w Dekameronie mamy o nim ironiczne może wzmianki.[5]) Cały szereg wersyi włoskich powstał pod wpływem francuskich mirakulów, a przybrał na gruncie włoskim postać legendy o św. Wilhelminie, opracowanej też w Rappresentazione di S. Guglielma Antoniny di Bernardo Pulci. Omawiany motyw przeszedł też do nowelistyki włoskiej. U Gamby znajduje się p. t. La historia della serenissima regina di Polonia, la quale due volte iniquamente fu mandata nelle silve ad uccidere ecc. Zbliżony jest utwór Briccia o cesarzowej Flawii. Tigri [6]) znajduje temat ten wśród ludowych sztuk toskańskich. Pokrewna jest również opowieść D. Felice Passera o Uranii i nowela włoska nieznanego autora z XIV w. (Novelle d'incerti autori del sec. XIV. Bologna, 1861, s. 31—79). Od typu wyżej omawianego odbiega włoski poemat p. t. „Del ducha d'Angiò et de Constanza so mojer“; Constanza wzywa wprawdzie na pomoc Madonnę, lecz cudowne lekarstwo przynosi anioł i on ją pociesza. Może istnieje jakiś związek między tą wersyą włoską, a Annales Mikołaja Treveta, które autor poświęcił rodzinie królewskiej z domu Anjou.[7]) Zdaniem Wülkera bowiem[8]) Chaucer[9]) i Gower[10]) wzięli formę swej opowieści o niewinnie oskarżonej z Treveta; u Chaucera uderza identyczność

---

[1]) j. w., s. 499—564.

[2]) p. t. Historia da Imperatriz Porcina mulher do Imperador Lodonio de Roma, etc. Lisboa, 1660.

[3]) Floresta de varios romances colligidos por Theophilo Braga. Porto, 1869, s. 104 i n. Por. Romania, t. II, 1873, s. 132—134.

[4]) Lope de Vega, Las Comedias. Zaragoza, 1630, T. XXII, s. 217. Zbliżony pod pewnym względem jest też utwór Lopeza de Vega „La hermosura aborrecida“ Comedias, T. VII, s. 145, a analogiczny doń Shakespeare'a „All's well that ends well“.

[5]) Dekameron, II, 7.

[6]) Tigri Giuseppe, Canti popolari toscani raccolti e annotati, 2 edizione, Firenze, 1860, s. LVIII.

[7]) Gröber, j. w., s. 314.

[8]) Wülker R., Gesch. der engl. Lit. Leipzig und Wien, 1896, s. 161.

[9]) Poetical works of Geoffrey Chaucer edited by Robert Bell. London, 1854 — 55. The Canterbury Tales, vol. II. The man of lawes tale, s. 9 — 43.

[10]) Gower, Confessio Amantis, II, 32.

imienia, ale sama wersya jest bardzo zmieniona; przypuszczenia pewnego związku nie mogę udowodnić, nie mając pod ręką Roczników Treveta. W każdym razie nie można chyba wersyi Chaucera zaliczać do nowel z motywem Heleny, jak to czyni Hagen.[1])

Gdy omawiamy opracowania angielskie, warto wspomnieć o istnieniu przeróbki angielskiej, zbliżonej niezwykle do przeróbki hiszpańskiej, podanej w Historyi literatury hiszpańskiej przez Amadora de los Rios; stąd poszło przypuszczenie Mussafii o istnieniu zaginionego Roman de Florence, który dla obu tych opracowań był bezpośrednim wzorem. Należy też wymienić opracowanie tego motywu w Gesta Romanorum,[2]) z których przypuszczalnie wypłynął poemat Occleve'a.

Pierwiastek cudowności usunięty został zupełnie w noweli Giovanniego Fiorentino (Pecorone X, 1), na którym oparł się Juan de Timoneda (21 Patraña), jak wskazał na to M. Menéndez y Pelayo.[3])

Liczne są też opracowania tego tematu w Niemczech. Zbliżony do „Cesarskiej Kroniki" sposób ujęcia przedstawia utwór Teichnera. Na jakiejś zaginionej wersyi opiera się opowiadanie prozą z XV w. Podobne przedstawienie znajdujemy u Hansa Rosenbluta i H. Sachsa. Do typu Miracles zbliża się stary druk z XVI wieku (Ein schone und und wahrhaftige hystorj von einer Kaiserin zu Rom, genannt Crescentia). — Zwięźlejszą postać tematu przedstawia podanie o Hildegardzie i Talandzie,[4]) na tle którego opracował Nicodemus Frischlinus komedyę: Hildegardis magna. Wersyę szwedzką podaje Bäckström.

We Francyi przeszedł wątek Krescencyi nie tylko do kazań i miracles, ale i do chansons de geste. Mamy w tym rodzaju utwór p. t. Florence de Rome[5]), stosunkowo niedawno odkryty.

---

[1]) Hagen, Gesammtabenteuer, T. III, s. CLIV.

[2]) Gesta Romanorum. hrsg. v. H. Oesterley. Berlin, 1872. Nr. 249, app. 53, s. 348—354. Bibliograficzne materyały na s. 747.

[3]) D. M. Menéndez y Pelayo, Origines de la novela. Madrid, 1905, T. I, s. CLIX.

[4]) G. Paris, Histoire poétique de Charlemagne. Paris, 1905, s. 393 i n.

[5]) Gröber, Grundriss, s. 798; wyd. zapowiedziane A. Wallenskölda w Société des anciens textes. Gröber, omawiając motyw sam, myli się, mówiąc o „historyi Repsimy z 1001 nocy", gdyż historya Repsimy znajduje się wśród bajek z „1001 dnia". — Stosunek poematu o Florencyi do innych wersyi omawiają niedostępne mi niestety rozprawy: Wenzel R., Die Fassungen der Sage von Florence de Rome und ihr gegenseitiges Verhältnis. Marburg, Diss., 1890. Wallensköld A., Le conte de la femme chaste convoitée par son beau frère. Helsingfors, 1907. (Acta soc. scient. fennicae 34, 1).

Skróceniem tego poematu jest Dit de Flourence de Rome,[1]) prawdopodobnie Jehana de St. Quentin.

* * *

Tyle trzeba było wyliczyć opracowań, by dać jak najzwięźlejszy przegląd materyału, ściśle należącego do naszego zakresu. Trzeba jednak zaznaczyć, że motyw niewinnie oskarżonej o niewiarę, wszedł do całego szeregu innych nowel; dla zaokrąglenia tego szkicu, muszę o podaniach tych ogólnie nadmienić, odsyłając po szczegóły do rozpraw podanych w uwagach.

Najpierw wymienić należy podanie o Królowej Sybilli,[2]) którą marszałek chciał posiąść, a odtrącony zemścił się w ten sposób, że obok spiącej królowej ułożył brzydkiego karła; król, zobaczywszy to, karła zabił, królowa zaś uratowana od śmierci, rozpoczęła tułaczkę po świecie z synem; dopiero pies wykrył zdrajcę. Do streszczonej opowieści, zbliża się opowiadanie hiszpańskie o Oliwie.[3])

Drugi motyw bywa nazywany wątkiem cierpliwej Heleny,[4]) w której kocha się jej własny ojciec; ona ucieka z domu, zostaje żoną króla angielskiego, a oskarżona o niewiarę, tuła się z synami, aż wreszcie niewinność jej zostaje udowodniona.

Dalej zawiera ten rys motyw Imogeny,[5]) czyli zakładu o wierność żony. Zwykle mąż zakłada się, że żona zostanie mu wierną, interesowany usiłuje zakład wygrać, a gdy się to nie udaje, uzyskuje za pośrednictwem sługi jakieś przedmioty jej pani

[1]) Jubinal Achille. Nouveau recueil de contes, dits, fabliaux et autres pièces inédits des XIIIe, XIVe, et XVe siècles. Paris, 1839, T. I, s. 88 — 117; Gröber, Grundriss, s. 910, 929.

[2]) Voretsch, Altfranz. Litteratur, s. 256, 437; Hagen, Gesammtabenteuer, T. I, s. CIV — CXII, 165 — 188; Köhler R., Kleinere Schriften, T. II, s. 273 — 304; M. Menéndez y Pelayo, Origines de la novela. T. I, s. CXXXVI — VII, DXXII; Paris Gaston, Histoire poétique de Charlemagne, s. 73, 145, 210, 389, 395; Macaire, publiée par M. F. Guessard. Paris, 1866. Préface.

[3]) Menéndez y Pelayo, j. w., s. CXXXVII, DXXII.

[4]) Graesse, Lehrbuch einer Literärgeschichte. Dresden und Leipzig, 1842. III Abt., I. Hälfte, s. 284 i n.; Voretsch., Altfr. Litt., s. 451 — 2; Hagen, Gesammtabenteuer, T. III, s. CLIV — CLXII; Lo cunto de li cunti (Il Pentamerone) di Giambattista Basile. A cura di Benedetto Croce. (Bibliot. Napoletana di Storia e Letteratura, t. II). Napoli, 1891, vol. I, s. CLXXV i n.

[5]) Arfert P., Das Motiv von der unterschobenen Braut. Schwerin, 1897, s. 52 — 54; Voretsch, Altfr. Litt., s. 392 — 4, 451.; R. Köhler, Kl. Schr., T. I, s. 211, 374, 581, T. II, s. 461; Hagen, Gesammtabenteuer, T. III, s. LXXXIII — CXII, 361 — 382.

lub dowiaduje się o ukrytem znamieniu; opowiada o tem mężowi który jest przekonany o winie swej żony, aż do wyjaśnienia sprawy

Mamy następnie omawiany motyw w podaniach o Genowefie i Hirlandzie.[1]) Genowefę oskarża marszałek Golo o cudzołostwo; wskutek tego zostaje ona skazaną na śmierć; uratowana żyje w lasach, aż do chwili, w której król spotyka ją na polowaniu

Taki sam wątek zawiera opowieść o „Bercie z dużem stopami“,[2]) którą fałszywie oskarża córka piastunki i Berta przechodzi z tej przyczyny losy podobne jak Genowefa.

Istnieje wreszcie cała grupa utworów, osnutych na pewnym motywie, który dotąd, o ile mi wiadomo, nie ma oficyalnej nazwy. Treścią jego jest opowiadanie o królowej, oskarżonej niewinnie o wiarołomstwo, skazanej na śmierć i uratowanej przez jakiegoś rycerza (niekiedy dawnego jej kochanka), który przez Sąd Boży udowadnia jej niewinność. Różne waryanty tej opowieści zebrał Schüddekopf [3]).

Mam pewność, że wyliczenie to nie wyczerpuje zupełnie należącego tu materyału i że istnieje wiele jeszcze motywów, które należałoby tu wciągnąć, ale przejściowa forma tych tematów nastręcza trudności w należytem ich sklasyfikowaniu.

Polski scenaryusz zbliżony jest najbardziej do włoskiego poematu pt. „La duchessa d'Angiò“. Różni się zaś tem, że nie spotykamy w nim rysów takich, jak: oskarżenie królowej o morderstwo, dalej wykrycia jej niewinności (przez to, że krzywdziciele przychodzą do niej po cudowne leki i wtedy muszą się przyznać do winy). Omawiany scenaryusz jest więc formą skróconą podania, szczegóły uboczne jednak wykazują wiele analogii do wymienionego włoskiego poematu; tak Glifet jak Almiren

---

[1]) Seuffert, Die Legende v. d. Pfalzgräfin Genovefa. Würzburg' 1877; Köhler R., Kleinere Schriften, T. II, s. 657 — 668.

[2]) Reinhold J., Berte aus grans pies. Kraków, 1909; Porębowicz E., Berta z dużemi stopami i Rycerz z łabędziem. (Kwartalnik etnograficzny „Lud“. T. XV (1909), s. 169 — 187.)

[3]) Carl Schüddekopf, Eine unbekannte Erzählung Wimpfelings. Ztschr. f. vgl. Litteratgesch. N. F. B. IV (1891), s. 342 — 355. Do wersyi, podanych przez Schüddekopfa, dodam, że motyw ten bardzo często opracowywano w hiszpańskim dramacie. Tak: w komedyi Alonsa de la Vega „Duquesa de la Rosa“, (Schack, Geschichte d. dramatischen Kunst in Spanien. Berlin, 1845, T. I, s. 231), nadto w Luisa Velez de Guevara „Cumplir dos obligaciones y Duquesa de Saxonia“ (Schack, t. II, s. 483), (w naśladowanej z niej komedyi włoskiej Giambattisty Pasca „La falsa accusa data alla duchessa di Sassonia“, Schack, T. III, s. 441) i w komedyi Mira de Amescua „La Adultera virtuosa“ (A. L. Stiefel, Notizen z. Geschichte und Bibliographie d. spanischen Dramas. Ztschr. f. roman. Phil. T. XV (1891), s. 219).

starają się pohamować ogarniającą ich namiętność do królowej. Jak jeden jak i drugi starają się królowę zgubić przed powrotem króla, a oczerniają ją, nim się para królewska zobaczyła; analogiczne są niebezpieczne przygody na morzu i litość wykonawcy wyroku; przybyły do tego nowe szczegóły, a mianowicie list królowej, przedstawiający istotny stan rzeczy, dalej fakt, że królowa sama w pątniczych szatach przybywa do króla, oraz zakończenie, w którem Almiren ułaskawiony żeni się z Ireną; koniec typowy dla teatru hiszpańskiego, stosownie do wymagania, jak mówi Grillparzer — „*Auf jeden Topf ein Deckel*“.

Nie znając sztuki, która była bezpośrednim wzorem dla naszego scenaryusza, mogę tylko hypotetycznie zagadnienie rozwiązać. Scenaryusz wydaje się być włoskiego pochodzenia, jak na to wskazuje w sztuce choćby tylko nazwa błazna, Petrolin. Nie trzeba jednak koniecznie przypuszczać działania bezpośredniego trupy włoskiej; dopatrywać należy się może raczej wpływów repertoaru teatru wiedeńskiego.

Królowa Eleonora, małżonka Michała Wiśniowieckiego, była jak wiadomo siostrą cesarza Leopolda I, znaną zaś jest rzeczą, jak olbrzymi był wpływ Hiszpanii w czasie panowania tego monarchy, kiedy we Wiedniu nawet dawano przedstawienia w języku hiszpańskim[1]). Równie wielkiem powodzeniem musiały się cieszyć przeróbki utworów hiszpańskich; może więc i nasz scenaryusz komedyi, wziętej z języka hiszpańskiego, jest refleksem tych upodobań w hiszpańskim dramacie. Można przypuszczać, że dokumenty czy wzmianki jakiekolwiek w pamiętnikach wykryją i ten drobny szczegół, jak wiele innych niejasnych kwestyi, dotyczących pochodzenia różnych utworów dramatycznych.

Lwów. *Adam Fischer.*

Autor wiersza: Na odjazd Niemcewicza.

W pierwszym zeszycie „Pamiętnika literackiego“ b. r. (s. 110—113) ogłosił Al. Kraushar wiersz p. t. Na odjazd Juliana Niemcewicza do Ameryki (Rok 1805), domyślając się, że autorem jego jest Kajetan Koźmian. Po okazaniu się z. I Pamiętnika sprawdziłem, że wiersz był drukowany i że autorem jego jest Cypryan Godebski[2]), co niniejszem podaję do wiadomości, prostując przeoczenie Al. Kraushara i moje.

Lwów. *Ludwik Bernacki.*

[1]) Farinelli A., Spanien und die spanische Litteratur im Lichte der deutschen Kritik und Poesie. Ztschr. f. vgl. Litteratgesch N. F. B. V (1892), s. 192 i n.

[2]) Por. Godebski Cypryan, Dzieła wierszem i prozą, po śmierci autora zebrane po większej części drukiem nieogłoszone. Część II, w Warszawie, 1821, s. 383—387.

Polonica w szwedzkiej literaturze.

Rozprawa niniejsza jest pierwszą próbą systematycznego przeglądu literackich utworów szwedzkich, odnoszących się do Polski. Starałem się, by żadne ważniejsze dzieło nie uszło mej uwagi; wyzyskałem także o ile możności jak najdokładniej odnośną literaturę czasopiśmienniczą. Dzienników nie uwzględniłem byłaby to praca olbrzymia a owoc jej najprawdopodobniej bardzo mały; pozatem przedsięwzięcie takie nie mogłoby liczyć na zupełne wyczerpanie materyałów. Dlatego też wyjątkowo uwzględniłem w tej rozprawie kilka ważniejszych dzienników.

Pominąłem całkowicie historyczną literaturą fachową, ponieważ punkt widzenia mej pracy jest wyłącznie literacki. Zresztą materyał z tej ważnej dziedziny, zwłaszcza zaś historyczne rozprawy prof. Haralda Hjärne'go, powinien być znany polskiej bibliografii (Finkel i i.).

I.

Przy ogólnem zestawieniu stosunków literackich między Polską a Szwecyą łatwo można zauważyć, że literatura polska zajmuje się o wiele wcześniej Szwecyą, aniżeli szwedzka Polską; jest to wynikiem przyczyn zarówno historycznych jak językowo-literackich. Już od czasów Kromera (n. p. rzekomo przezeń napisana „Historya prawdziwa o przygodzie Jana i Katarzyny“) i Kochanowskiego zwracano uwagę na pierwotną ojczyznę Jana i Zygmunta Wazów; bitwę pod Kirkholmem opiewali współcześni poeci polscy; wreszcie epopeje o oblężeniu Częstochowy w XVII i XVIII w. spopularyzowały niejako Szwecyę w literaturze polskiej.

Czegoś podobnego nie spotyka się zupełnie w ówczesnem piśmiennictwie szwedzkiem. Literatura szwedzka była o wiele uboższą od polskiej; istocie jej brak owego charakteru epickiego, który z dziejowym duchem Polski w tak ścisłym pozostaje związku. Mimo licznych związków wojennych i dyplomatycznych, Polska pod względem kulturalnym pozostała dla Szwedów zupełnie obcą; język polski wydawał się Szwedom mało dźwięcznym a nawet trzy rozbiory nie pozostawiły — o ile mogłem sprawdzić — żadnych śladów w literaturze szwedzkiej. Świadczy o tem choćby następujący fakt.

Bellman, jeden z najbardziej narodowych poetów szwedzkich, stworzył około r. 1770 swoje przecudne „Fredmans epistlar“. W jednym z tych poematów (nr. 45) wprowadza on znakomitego skrzypka Mollberg'a, który gra w knajpie „Rostock“ „polkę Królowej polskiej G-dur“ i mówi o smutnej „konjunkturze“ Polski. Przerywają mu jednak współtowarzysze okrzykiem: „Do dyabła, co cię obchodzą sprawy Polski? Polska została ukaraną, los jej jest zapieczętowany“. Tak, cóż wtedy obchodził Szwecyę rozbiór Polski?! Znano wówczas w Szwecyi tylko grę w karty zwaną „polskim bankiem“, a „polski sejm“ utożsamiano z „rosyjskim jarmarkiem“.

Kiedy Tadeusz Kościuszko, w czasie swej podróży do Ameryki, bawił w towarzystwie Niemcewicza w Szwecyi od grudnia 1796 do maja 1797, przyjęto go wprawdzie z wielką uprzejmością i ciekawością zarówno w Stockholmie jak Gothenburgu, ale w ówczesnej belletrystyce i poezyi tych niezwykłych odwiedzin nie wspominano; tylko F. M. Franzén († 1847) napisał 1796 r. do miedziorytu szwedzkiego artysty Martina następujące dwuwiersze:

„Hvem är den lidande här? Kosciuszko, den siste polacken.
Ej af hans bojor och sår, ej af hans brutna gestalt
Trycktes de smärtans drag i hans uppsyn, utan af sorgen
Att med sitt fäderneslаnd himlen ej låt honom dö.“

[„Któż to jest ten cierpiący? Kościuszko, Polak ostatni! Nie z powodu kajdan i ran, nie z powodu złamanej postaci wyryły się ślady bolu na jego obliczu, lecz z żalu, że mu niebo nie dozwoliło umrzeć wraz z ojczyzną.“]

O pobycie Kościuszki w Szwecyi znajduje się krótki artykuł w „Ny Ill. Tidning“ 1897, nr. 7.

* * *

Dopiero w pierwszej połowie XIX wieku poczęto się w Szwecyi zajmować Polską i usiłowano się nad kwestyą polską zastanowić. Im chłodniej lub w każdym razie im bardziej neutralnie zachowywał się wobec powstania rząd szwedzki (polski emisaryusz został w r. 1831 z Gothenburgu wydalony, a Karol XIV Jan miał powiedzieć na wiadomość o zdobyciu Warszawy przez Rosyan: „Dieu soit loué pour la cause de l'humanité!“), tem przyjaźniej usposobiona była dla powstańców liberalna opozycya w kołach obywatelskich, a dziennik „Nya Argus“ pisał w lipcu 1831 r.: „Sprawa Polaków, ważna dla wszystkich ludów, jest dla nas Szwedów niezwykle drogą i świętą.“

Przez wstępne artykuły, w których korzystano z zagranicznych źródeł, rozszerzyły się nieco ogólne wiadomości o dziejach Polski. „Den svenske Medborgaren“ ogłosił w roczniku 1831 — według „Le Globe“ i „Morning Herald“ — małe rozprawki o rozbiorach Polski i pisał we wstępie bardzo sympatycznie o „polskiej wojnie narodowej“. „Skandinaviens Conversationsblad“ dał również swym czytelnikom w tym samym roku małe studya o rozbiorze Polski, o jej politycznem położeniu od Stanisława Poniatowskiego aż do ówczesnego powstania, o Janie Sobieskim i t. d.; w jednym z wstępnych artykułów pisał: „Jeżeli dawna Polska przewiniła w czem, to winy te dawno już zostały zmazane przez nieszczęścia tego kraju“. „Svenska Minerva“ donosiła również o wypadkach w kraju nadwiślańskim, a „Nya Argus“ dał dokładny przegląd polskiego powstania w r. 1794.

Za niemieckiem pośrednictwem zaznajomiła się wówczas Szwecya po raz pierwszy także z artykułami politycznymi polskich pisarzy, którzy pragnęli na wypadki warszawskie zwrócić uwagę całego świata.

W r. 1831 ukazał się w Sztokholmie przełożony z niemieckiego druk „Pålens befrielse-vecka eller Händelserna i Warschau från den 29 November till den 5 December 1830 jämte Pålska riksdagens manifest.“ („Tydzień wolności Polski czyli wypadki w Warszawie od 29 listopada do 5 grudnia 1830 wraz z manifestem polskiego sejmu“), ułożony przez polskiego historyka Karola Boromeusza Aleksandra Hoffmanna („Wielki tydzień Polaków“).

Druk, obejmujący 63 stronic, rozpoczyna się uchwałami wiedeńskiego kongresu, odnoszącemi się do swobody narodowej Polski, jej konstytucyi, reprezentacyi i samorządu, i udowadnia, że gwarancye te pozostały tylko czczemi słowami i że tryumfował w Królestwie polskiem absolutyzm i jego skutki: cenzura, więzienia, wojsko rosyjskie, szpiegostwo (osławiony Rotznitski), tortury (Blumer), przymus paszportowy i pogwałcenie osobistej wolności posłów. Jako przykład przytoczono uwięzienie i skazanie na pięcioletnie zesłanie posła Wincentego Niemojowskiego przez Ks. Konstantego w r. 1825, „ponieważ był dzielnym i zdolnym współobywatelem“.

Uwydatniono następnie przebieg tygodnia wolności, szczególnie epizod, jak lud zmusił Krasińskiego (ojca wielkiego poety), by zsiadł z konia. „Rozsiekanoby go z pewnością, gdyby go sobą nie zasłonił powszechnie lubiany Szembek i nie przyrzekł, że wszyscy winni zostaną przez władze ukarani. Krasiński ukląkł i przyrzekł poprawę“.

Pismo kończyło się odezwą do Europy: „Także Polska okazała swą siłę moralną w najświetniejszym blasku i zbiła najdosadniej zwykły zarzut tyranów, że rewolucye mają za cel jedynie mord, rabunek, pożogę i osobistą zemstę... Nadzieje nasze nie są złudne. Polska nigdy, nawet w swych najświetniejszych okresach, nie była silniejszą, niż teraz...“

Przekład jest dość poprawny. Nie zrozumiał tylko tłómacz wyrazu sądy grodzkie, bo przekłada to przez: grod—domstolar (=sądy dla — żab!).

Kilka lat później (1835) ukazało się w Sztokholmie tłómaczenie nowego opisu polskiej walki o wolność, mianowicie hrabiego Romana Sołtyka, członka polskiego sejmu i generała artyleryi p. t.: „Polen. Historisk, politisk och militärisk skildring af dess revolution och frihetskrig 1830 och 1831“. Część pierwsza (157 stron, z 4 podobiznami).

Pracę tę omawiał w „Sv. Litt. Fören. Tidn“. (1835, nr. 19) znakomity historyk E. G. Geijer, który wyrażał się wcale sympatycznie o kwestyi polskiej. Polska to kraj przeciwieństw, bez

socyalnego *milieu*, rządzony przez samowolne społeczeństwo szlacheckie. Mimo tych wielkich braków wydał ten kraj bohaterów i był pod niejednym względem przedmurzem Europy. „Z sąsiadów, którzy podzielili Polskę między siebie, Rosya pamiętała o tem, że Moskwa była zajęta przez jednego z polskich królów; Prusy wiedziały o tem, że były niegdyś polskiem lennem, Austrya zaś miała świadomość tego, że dzięki Janowi Sobieskiemu ocalał Wiedeń“.

Po krótkim przeglądzie politycznych wypadków kończy Geijer następującemi słowy:

„Ostrzegający głos doleciał nas. Wyjdzie to niewątpliwie kiedyś na jaw, że w nieszczęsnych czasach, jakie panowały bezpośrednio przed ustanowieniem naszej obecnej konstytucyi, wypowiedziane zostały też przez mocarzy świata słowa: rozbiór Szwecyi. Biada narodowi, który myśląc o samodzielności ufa komuś innemu, jak Bogu i sobie samemu!“

Jeszcze w r. 1847 została literatura szwedzka wzbogacona nową broszurą o kwestyi polskiej. Był to przekład wydrukowanej w r. 1846 w Lipsku rozprawki: „Polen, dess revolution och dess rätt“ („Polska, jej rewolucya i jej prawo“), 29 stron. Autor nazywa się „pruskim urzędnikiem“; w przedmowie zaś mamy nazwisko (Bazyli) Mochnacki.

„Pod łagodnymi rządami samowładnymi — pisze on — burzy się naród polski, bo może to czynić. Pod tyranem powstaje, bo musi. Nic nie może pogodzić go z upadkiem ojczyzny — ani łaskawość, ani okrucieństwo. Ta konieczność powstania z jednej strony a oporu z drugiej strony, ten ucisk tyrana i dążność do swobody, ten fatalizm, wynikający z podziału Polski, porywa z sobą tak uciśnionych jak uciskanych, nadaje wszystkim odruchom naszego narodu wysoce tragiczny charakter a dziejom naszym pewne szczególne znamię. I to właśnie czyni je tak ważnemi i pouczającemi“.

W rozprawce podniesiono, jak naród polski mimo rozbiorów z lat 1773 i 1794, pozostał nierozdzielną całością i po pierwszym podziale ze zdwojoną siłą dążył do wewnętrznego skonsolidowania. „Polska nie jest politycznym systemem, lecz organicznie rozwiniętym narodem, którego gałęzie można wprawdzie obciąć, lecz on mimoto nie zemrze“.

Tłómaczem szwedzkim, który zwie się Cimbrias'em, był niejaki Brummer; w krótkiej przedmowie mówi on: „Każdy, kto osądza dzieje świata z bezstronnym spokojem, musi uważać ujarzmienie Polski za wielką zbrodnię, która mogłaby być zmazana jedynie przez siłę niweczącą wielkiej sprawiedliwości.“

* * *

Najbardziej zajmującym i wartościowym owocem polskiego powstania z r. 1831, o ile chodzi o literaturę szwedzką, jest bez wątpienia opis podróży S. J. Stillego: „Anteckningar under en resa till och från Warschau vid slutet af polska frihetskriget 1831“ (220 stron), drukowany w Lundzie 1834. Autor, młody lekarz w Lundzie, podjął tę pełną przygód podróż w towarzystwie dwóch szkolnych kolegów, Bergha i Stenkuli, którzy chcieli się zgłosić do ochotniczej służby w polowych lazaretach nie tylko z powodu interesu praktyczno-naukowego, ale także z sympatyi do Polaków, którzy „okazali w tej wielkiej walce największą siłę najszczuplejszymi środkami pomocniczymi“.

Przy odjeździe z południowo-szwedzkiego miasta uniwersyteckiego zgromadzili się studenci na klasycznem Lundagård, miejscu akademickich przechadzek w Lund, śpiewali pieśń wolności i wołali: „Niech żyje naród polski!“ Droga trzech dzielnych studentów prowadziła przez Kopenhagę do Królewca, gdzie im zabroniono bezpośredniego wjazdu do Polski z powodu rzekomego niebezpieczeństwa cholery — istotną przyczyną atoli była niechęć władz pruskich do wszelkich objawów sympatyi zagranicy dla „buntowniczej“ Polski. Stille i jego obaj przyjaciele odbyli pełną niebezpieczeństw wędrówkę pieszo z Kwidzynia do Brzeźna (Briesen) i nauczyli się już na pruskim obszarze od polskiej ludności kilku słów polskich, n. p. klebb (chleb), voddy (woda), massla (masło) itd. Przy pomocy belki udało im się nago przepłynąć graniczną rzeczkę Drwęcę, i uniknąć pruskich straży granicznych. Pierwsze wrażenia w Polsce kreśli Stille następująco:

„I ujrzeliśmy teraz po raz pierwszy ziemię, której synowie poświęcili tak wiele duchowi mściwego wieku. Nieopłakani, wzgardzeni i przez głupców czasu wyśmiani synowie padli jako ofiara krótkowzrocznego wieku... Polska leży jakby ofiarny kamień na smutnym kurhanie Europy. Spłynęły nań krew i łzy, a ta krew i te łzy będą wiecznie wsiąkać w zmartwiałe bryły, które je otaczają, aż te masy przebudzą się ze swego zaklęcia aż skorupy, co żywego ducha kryją, zbutwieją, tak że zostaną wolne“.

Pierwszą polską miejscowością, do której przybyli, był Dobrzyń nad Drwęcą, naprzeciw Gołębia, gdzie przyjęli ich bardzo serdecznie polscy oficerowie. „Polacy i Szwedzi biją się i piją dobrze“, mówiono po niemiecku szwedzkim gościom. Geograficzne wiadomości polskich oficerów nie były zbyt wielkie, bo gdy Stille powiedział, że przybyli z Lund, pomieszano tę miejscowość z — Londynem.

Odbywali następnie drogę przez Wielgi, Dobrzyń nad Wisłą, Rokicie, Brwilno, Płock, Gombin, Sanniki, Sochaczew, Biniewo i Błonie. Wszędzie robili ciekawe spostrzeżenia co do sposobu życia, poży-

wienia, strojów wieśniaczych itd. O polskim charakterze narodowym robi Stille wiele trafnych, przeważnie sympatycznych uwag, z których niektóre wyjątki zasługują tu na przytoczenie:

„Polak ma w sobie coś, co go czyni pociągającym. Niezwykle żywo kocha swą ojczyznę a głęboko tęskni za najszerszą niepodległością. Pod tym względem podobny jest Polak do Szweda. Ten miły egoizm narodowy sprawia, że Polacy cenią Szwedów jako swych politycznych współwyznawców. Szwed znaczy w Polsce tyle co: człowiek dzielny, uczciwy i szczery... Charakter polski jest bardzo podatny do przyjmowania oświaty, a ciemnota, panująca w kraju, jest winą państwowych urządzeń, a nie samego ludu... I dzieje się z Polakami podobnie jak z innymi narodami, które cenią wysoko swoją cześć — znosili lekko swe więzy, nawet najcięższe, gdy były im nałożone przez rodaków. Ale obce więzy, choćby były lekkie jak piórko, gniotłyby zbyt boleśnie ich barki. Co się zaś tej ciężkości tyczy, to nie można twierdzić, że Moskale ją złagodzili, i dlatego Polacy mają podwójny powód do zrzucenia tego ucisku, zarówno z przyczyny swego położenia jak ze względu na swą narodową nienawiść... Kobiety polskie ciemnowłose, z ogniem w oku i sercu, dowcipne, żywe i wesołe, ale brak im tej pociągającej skromności i delikatności uczuć, jaką można spotkać tak często u naszych północnych niewiast...“

W Warszawie, gdzie chwali porządek i czystość, zapoznał się Stille z Skrzyneckim, a także z Antomarchim, ostatnim lekarzem Napoleona na wyspie św. Heleny, który był generalnym inspektorem wojskowych lazaretów w czasie wojny. Wcale dokładnie opisuje Stille uliczne rozruchy i burzliwe zajścia urządzone przeciw Skrzyneckiemu przez zwolenników Krukowieckiego.

Po zdobyciu polskiej stolicy wrócili szwedzcy ochotnicy do ojczyzny przez Poznań i Rugię. W Lundzie wyprawiono na ich cześć ucztę, na której wygłoszono poemat, kończący się następująco:

„Välkomna trefaldt i vänners famn?
Polonia räddar en dag sitt namn.
Härnäst, när frihet står upp och glöder,
då segrar himlen. Er skål, o bröder!“

[„Witajcie po trzykroć w ramionach przyjaciół! Polska ocali kiedyś swe imię, bo skoro tylko powstaje wolność i żarzy się, niebo zwycięży. Na zdrowie wasze, bracia!“]

Końcowe refleksye tej godnej czytania książki brzmią:

„Jeżeli naród polski znów kiedyś odżyje jako państwo i jeśli kiedyś znów zakwitnie jego wolność, to narodzi się ona w tymsamym roku co

ogólna wolność Europy a będzie to wolność, która odnosi zwycięstwo przez rzeczywiste oświecenie a nie fałszywa, niewłaściwie tak nazywana wolność, która tryumfuje przez chwilę na pobojowiskach, by następnie, z powodu braku wewnętrznej spójni, rozbić samą siebie.“

Zajmujące szczegóły o autorze tego dzieła i jego towarzyszach podaje stary, żyjący jeszcze znakomity badacz kultury Birger Schöldström (ur. 1840) prawdziwy przyjaciel narodu polskiego, a jeszcze bardziej węgierskiego, częścią w „Göteborgs Handels-och Sjöfartstidning“ 1863, częścią w swym szkicu „Gossar blå vid Hvite örnens ambulans“ („Błękitni chłopcy w ambulansie Białego orła“), ogłoszonym w „Svenska Familj-Journalen“ z roku 1879. Sven Jonas Stille był bardzo lubianym lekarzem wojskowym w Gothenburgu, gdzie umarł 1839. Corocznie 6 czerwca obchodził z swymi przyjaciółmi rocznicę przeprawy przez Drwęcę, a przy tej sposobności śpiewano zawsze „Jeszcze Polska nie zginęła“ (po niemiecku). Dr. Z. F. A. Stenkula umarł w Helsingborgu 1867, a Dr. G. F. Bergh 1868 jako lekarz wojskowy w Malmö; obaj musieli więc dożyć bezowocnego powstania z 1863 r.

Tenże Schöldström podaje też szczegóły biograficzne, odnoszące się do innych szwedzkich uczestników wojny r. 1830—31: o majorze Myrbergu, który jako biedny emigrant w Paryżu otrzymał potem od młodej Polki parę złotych kosztowności z patryotycznej wdzięczności, i o dzielnym poruczniku E. L. von Schantz († 1872), który za swe męstwo dostał od Skrzyneckiego złoty krzyż „Virtuti militari“ i zwany był „Lwem północy“. Z oddziałem Ramorina przeszedł przez granicę do Galicyi. Po powrocie do Szwecyi został „za branie udziału w powstańczej armii“ ukarany trzymiesięcznem więzieniem a ze względów politycznych zabroniono mu noszenia polskiego odznaczenia „Virtuti militari“! Portrety Myrberga, Stillego, Stenkuli, Bergha i v. Schantza można oglądać w Muzeum rapperswylskiem.

Także opiewanej przez Mickiewicza młodej bohaterce Emilii Plater, poświęcił Schöldström bardzo sympatyczne wspomnienie. „W nadziei ostatecznego wyswobodzenia Polski żyje jej szlachetny duch“. Schöldström wspomina przytem, że matki szwedzkie w r. 1831 — na jej cześć — nadawały córkom swym imię Emilii.

Kiedy mowa o szwedzkich ochotnikach w Polsce, to należy wymienić jeszcze dzielnego porucznika Juliusza Mankella († 1897, pierwsza żona jego była Polką), który pod nazwiskiem „Majora Malborga“ brał udział w powstaniu z r. 1863. „Malborg“ jest przekręconą formą z Marlborough, i na Mankell-Malborga została przeniesiona stara pieśń francuska „Quand Marlborough s'en va-t-en guerre“ („När Malmborg i krig skulle draga“).

* * *

We współczesnej literaturze poetyckiej pozostawiły wypadki lat 1830—31 liczne ślady, które można — naturalnie nie bez trudu — odszukać po bibliotekach. Poeci ówcześni, których zdolności poetyckie nie mogły dotrzymać kroku ich szlachetnemu, gorącemu współczuciu dla Polski, zajmują w literaturze szwedzkiej średnie miejsce lub też są bardziej znani pod innymi względami.

Znany później autor historycznych romansów Karl Fredrik Ridderstad († 1886) poświęcił w swych „Tids-runor“ 1831 („Runy czasu“) polskiej ziemi mały cykl poezyi p. t. „Edvard och Welika“; jest to romanca w czterech częściach. W pierwszej części żegna Edward swą Welikę, by iść na bój za ojczyznę; w drugiej skarży się w monologu na niemożliwość ziszczenia złotych snów: chciałby dać Polsce królewską koronę, a sam stać się pierwszym bohaterem w walce o wolność! Następnie skreślona jest bitwa pod Grochowem, gdzie „cześć Rosyi umiera, a rośnie jej hańba“. Wsparty na złamanej lancy, stoi blady Edward na pobojowisku, dziękuje Bogu za piękne zwycięstwo, ale sam wskutek ran kona. W ostatniej pieśni mamy wizyę jego zmarłej narzeczonej Weliki: siedzi ona bez życia, jak upiór, w łodzi bez steru na Wiśle.

„Stor var din kärlek. Mindre var din lycka.
Den stod som Rysslands bildning stödd på krycka.
Och kryckan svek dig, sprang itu.
Den hvilar nu“.

[„Wielka była twa miłość. Mniejsze twoje szczęście. Stało wsparte na kulach jak oświata Rosyi (!). Kule odmówiły posłuszeństwa, złamały się i leżą teraz na ziemi“].

Znacznie później wrócił Ridderstad[1]) do tego samego tematu, a mianowicie w znacznie udatniejszym szkicu prozą „En scen från polska revolutionskriget 1831“ (Scena z powstania 1831 roku), 26 stron, mała 8-a, 1848. W noweli tej poznaje się szwedzk ochotnik z hrabią Warwieckim, ponurym, zagadkowym człowiewiekiem, który wątpi o pomyślnym wyniku krwawego powstania „Naród nie umrze nigdy, ucisk uczyni go mądrzejszym“. Kocha on Lubinkę, której ojca zabito. Ponieważ Warwiecki nie idzie do walki, nie chce ona o nim nic słyszeć i odsyła mu zaręczynowy pierścionek wraz — z łapką zajęczą. Mimoto składa on w darze cały swój majątek kasie wojennej, a wtedy ona przybiera szaty żołnierskie, by być obok niego i ginie przy nim w czasie oblężenia Warszawy. „Europa rozpozna w szatach więziennych polskiego zesłańca, przednią straż armii przeciwtyrańskiej i odda mu wolność“.

---

[1]) W swych pamiętnikach „Regnbågen“ (1883) poświęcił R. także rozdział wspomnieniom o szwedzko-polskich stosunkach z r. 1863.

Znany w literaturze szwedzkiej przodownik szkoły „akademicznej“, bibliotekarz i krytyk P. A. Wallmark († 1858) dał się również porwać przyjaznemu dla Polski nastrojowi i ogłosił w r. 1831 utwór „Pohlen till Europa“ (Polska do Europy), „Heroida, poświęcona przyjaciołom Polski“, choć nazwisko autora na karcie tytułowej nie jest podane.

Druk składający się tylko z 7 stronic, zawiera na pół panegiryczny, na pół elegijny hołd, który zaczyna się od początkowych słów sławnego Hamletowego monologu („To be or not be that is the question“):

„Att vara eller icke, det är frågan,
Och den är afgjord; jag skall dö, min plats
I systrakretsen af Europas riken,
Liksom mitt namn, beröfvas mig. O; ja:
Så ville ödet, det allsmägtiga,
Så bjöd det oblidt och oblidkeligt“.

[„Być albo nie być, oto jest pytanie, i jest ono rozwiązane Umrę. Moje miejsce w rodzinnem kole państw europejskich jak i imię moje wydarto mi. O! Biada! Tak chciał los wszechmocny, tak wskazał w swem nieprzejednanem okrucieństwie“.

„Polska usłyszała głos: Powstań! I znów leciał oswobodzony mój biały sokół ponad pola Grochowa, Ostrołęki i Warszawy, by się skąpać w moskiewskiej krwi“.]

„Europas folk! Jag hade blod för eder.
För mig I haden endast ord och tårar“.

[„Ludy Europy! Miałam dla was krew. Ale wy dla mnie miałyście tylko słowa i łzy“.]

„Lecz cień Polski będzie ścigać mocarzy Europy, jak Makbeta duch zamordowanego Banka; rzuci on węże niezgody między nich i westchną wtedy przerażeni: „To Polska mści się i zadośćuczynienia żąda“.

Znacznie mniejszą estetyczną wartość posiada liryczno-epiczny cykl poezyi „Polonia minnessippor på polska frihetens ätthög“. („Kwiaty wspomnienia na grobie polskiej wolności“), Sztokholm, 1832. Zbieracz tych rzeczywiście wcześnie zwiędłych kwiatów zwie się Jacobi Filius — pseudonim osławionego zresztą w Lundzie autora studenckich pieśni żartobliwych Kristofera Fritza Jacobssona.[1]) Słusznie mówi wierszokleta w przedmowie, że „ogłasza te młodzieńcze próby ze skromnością, jaką musi wywołać zawsze poczucie małego talentu“. Cykl, poświęcony opiekunowi autora, N. P. Dambergowi, składa się z dwu poema-

[1]) Umarł, mając lat 68, w r. 1875 w Brazylii, po zwichniętem życiu

lów: „Den polska modern“ (Matka polska) i „Bardens svanesång“ („Łabędzi śpiew barda“).

W pierwszym utworze, składającym się z kilku części, siedzi opodal gruzów Warszawy wdowa na grobie poległego bohatera. „Róże warg jej odarły burze czasu“, na mogile męża swego składa cierniowe wieńce, wzdychając:

„O Majowsky! o Majowsky!
Du är säll uti din graf.
Du är icke våldets fånge,
icke despotismens slaf.
Du ej ser Polonias tårar,
du ej ser din makas nöd;
Ser ej, hur Floriska dignar
bland ruiner, utan stöd.
— — — — — — — — — —
Mensklighet! Har du ej känsla?
Hör du ej vårt nödrop, Gud?“

[„O Majowski! Szczęśliwy jesteś w swym grobie, bo nie jesteś ani więźniem przemocy, ani niewolnikiem despotyzmu. Nie widzisz łez Polonii, ni biedy swej małżonki, ani jak Floriska wśród ruin bez obrony upada. — Ludzkości! Czy nie masz czucia? Czy nie słyszysz naszych błagań, Boże?“]

Nie chce już znosić jarzma niewoli; pragnie sama podnieść miecz śmierci i przez dobrowolny skon zyskać wieniec wolności. Lecz gdy sztylet ku piersi zwraca, słyszy z za pagórka wołanie: „Matko!“. To jej syn, Stanisław. Postanawia więc dla swego syna żyć i modli się, by Bóg obdarzył go w przyszłości wolnością lub śmiercią bohaterską. Nadchodzą atoli kozacy i chcą go przemocą uczynić rosyjskim poddanym. Matka w rozpaczy woła:

„Himmel! Hvilket afgrundsbud
vill väl sonen från mig röfva?
Tror du ej på någon Gud?
Vill du Abelsmord föröfva?“

[„Nieba! Jakie piekielne prawo chce mi porwać syna? Czyż w Boga nie wierzysz? Czy chcesz popełnić Ablowy mord?“]

Gdy zaś kozak nie chce odstąpić od swego zamiaru, wbija ona sztylet w jego pierś tak, że „białe lilie śmierci zakwitły na brunatnych policzkach kozaka“. Nadchodzi nowa chciwa krwi gromada z polskiemi dziećmi w kajdanach. Wtedy matka zabija swego syna, by tak uzyskał wolność i spoczął obok ojca w mo-

gile... Wreszcie zabija się sama, a wędrowiec na jej grobie zasadził płaczącą brzozę.

Ten sentymentalny utwór, w stylu ówczesnego smaku, nie pozbawiony jest wprawdzie pewnego poetycznego nastroju, lecz bynajmniej nie jest oryginalny, a artystycznie bardzo słaby.

To samo dotyczy też drugiego poematu tegoż autora „Bardens svanesång“. Polski śpiewak śpiewał dawniej o minionych dniach polskiej chwały i o radosnej przyszłości kraju:

„Polens frihet, Polens ära
blef de sorgsnes hopp och tröst.

— — — — — — — — — —

Att oss lagerkransen räcka
re'n Europa färdig stod.
Ack, men lagerkransen fick ej
smycka dig, Polonia, nu“.

[„Wolność i cześć Polski stała się nadzieją i pociechą zasmuconych... Europa już się gotowała, by nam wręczyć wieniec laurowy; ale nie śmiał cię już zdobić, Polsko?“]

Bohaterskie zastępy musiały ustąpić przed przemocą despoty; westchnienia niewolników słychać w świątyniach, gdzie dawniej brzmiały hymny wolności, a orzeł dwugłowy ostrzy swe szpony na grobach polskich synów. Lecz przyjdzie dzień, „kiedy ujrzy młodsze pokolenie, jak zakwitnie palma wolności po upadku despotyzmu. Bo jak padł Rzym i wstrzymane zostały w swym locie orły gallickie, tak upadnie też tron absolutyzmu“.

Skarży się wreszcie polski śpiewak nad brzegami Sekwany:

„Moder, moder! Nu jag sviktar.
Ej den polske barden skall
mer Warzowska lutan stämma,
ej beklaga mer ditt fall“.

[„Matko, matko! Biedny ja teraz. Nie uderzy już więcej polski śpiewak w lutnię warszawską, nie będzie więcej opłakiwać twego upadku“.]

„Tak śpiewa bard polski na francuskiem wygnaniu. Troskę swą i imię swoje grzebie we wzdychającem łonie Sekwany“.

W czasopismach roku 1831 ukazały się także anonimowe rymy dla uświetnienia Polaków. „Skandinaviens Conversationsblad“ zamieścił w nr. 84 „Pożegnanie wojownika z Polską“, utwór w 24 czterowierszowych zwrotkach, podpisanych znakiem Rbg. „Den svenske Medborgaren“ przyniósł w nr. 31 wiersz „Polens frihet“ (Wolność Polski) sześciozwrotkowy, z których ostatnia brzmi:

„Hvad mer, om vi falle för sak, som är god!
Först när vi det offra, blir dyrbart vårt blod.

I fädernejorden
Skall bäddas vår graf,
Läs, efterverld, orden:
Han stupade hellre än lefde som slaf!"

[„Jeśli za dobrą padniemy sprawę, cóż więcej? krew nasza będzie droga, dopiero gdy ją poświęcimy. W ziemi ojców wykopią nam grób. Czytaj, potomności, słowa: Padł raczej, niżby miał w niewoli żyć!"]

18 października 1831 urządzili studenci w Upsali żałobną uroczystość, na której odczytano następujące wiersze:

„På lif och död, o Pohlen, var
Din ädla frihets strid.
Europa såg därpå, men bar
Dig blott sin tår dervid.

Väl såg den storheten däri;
Väl såg den farans vidd;
Men bättre var att dö som fri
Än gå i bojor smidd.

Du dör! och menskligheten står
I sorgdrägt vid ditt fall.
Du dör! men glad ditt frihetsår
Historien gömma skall.

Dock frihetsplantan dör ej så
I stoft af frie män.
Fast benen multna, skall ändå
Dess ande lefva än".

[„Na śmierć i życie był, Polsko, bój twej szlachetnej wolności. Europa widziała go, ale użyczyła ci tylko swoich łez. W każdym razie widziała jego wielkość i niebezpieczeństwo: ale lepiej było umrzeć w wolności, niż żyć zakutym w kajdany. Ty umierasz, a ludzkość stoi w żałobnej szacie przy twym upadku. Umierasz, ale z radością zachowa historya rok twej wolności. Wszak roślina wolności nie zamiera z popiołami wolnych ludzi. Choć spróchnieją kości, to jednak ożyje duch"].

W „Skandinaviens Conversationsblad" 1831, nr. 21 przełożono duński poemat „Rop till Påhlen" (odezwa do Polski):

*

„Pålen, du hvars örnar sväfva
Skyhögt, du hvars männer kräfva
Ut sin rätt och resa sig!
— — — — — — — — — —

Grafven ej skall sluta inne
Deras bragder — deras minne
Tiden ej skall plåna ut“.

[„Polska, której orły bujają pod chmury a której mężowie wołają o swe prawo, powstaje! Czynów ich nie zamknie w sobie grób, a wspomnienia o nich czas nie zatrze“].

A wreszcie zamieścił „Norrköpings Tidning“ 1831 nieraz przedrukowywany utwór w 7 zwrotkach „Den döende Pohlackens farväl“ (Pożegnanie umierającego Polaka), gdzie mamy wzmiankę o pięknych godzinach pod Grochowem i Ostrołęką. Śmierć atoli nie dozwala już na żadne walki, bo lampa życia wypaliła się....

* * *

Wspomnienia lat 1830 — 31 bladły zwolna w Szwecyi i pozostawiły w latach 1840-tych nieliczne tylko ślady w belletrystyce. Ówcześni poeci szwedzcy, którzy wychowali się w liberalizmie i radykalizmie i dla mglistych ideałów wolności byli zapaleni pod znakiem nowoodrodzonego skandynawizmu, nie mieli żadnych stosunków ani literacko-historycznych ani osobistych z językowo im całkiem nieznaną Polską, a o wielkich poetach polskich z lat 1840-tych i ich wzniosłym messyanizmie nic zupełnie wtedy w Szwecyi nie wiedziano. Jest to znamienne, że częścią sentymentalny, częścią lekko humorystyczny poeta Wilhelm von Braun, były porucznik († 1860), mimo swego zapału dla wolnościowych ruchów narodowych, nie poświęcił Polsce ani wiersza współczucia, a w jednym wypadku, w którym — o ile mogłem stwierdzić — opracował polski temat, wybrał motyw z osławionej Historyi powszechnej Helda i Corvina do banalnego poemaciku żartobliwego p. t. „Kobiety w Polsce“, w którym polskie niewiasty w czasie wyprawy Bolesława Śmiałego postanawiają na „sejmie kobiecym“ z powodu niewierności swych nieobecnych mężów pocieszyć się przez stosunki miłosne z wieśniakami. — Brauna współczesny kolega w zawodzie G. L. Sommelius („Beppo“), który padł w wyprawie duńskiej 1848 r., szwedzki Byron w silnie pomniejszonej kopii, czyni tylko w jednym utworze („Hej — Sasa!“) aluzyę do Polski w wierszu „tańczyć à la Ostrołęka“.

Wyjątkiem w tym okresie od r. 1831 — 1861 jest sławny później jako poeta i kompozytor Gunnar Wennerberg († 1901). W r. 1846, gdy straszne wypadki w Galicyi zwróciły znów uwagę

Europy na kwestyę polską, napisał sympatyczną pieśń „Do Polski“, w której jedna zwrotka opiewa:

„Du som folkens öden väger,
O låt Polens „Sensenträger“
Våldets säd slå ned!
Segren följe dem i spåren!
Dann ist Pohlen nicht verloren,
Glömmer, hvad det led“.

[„Ty, który ważysz losy narodów, dozwól kosynierom polskim skosić zboże przemocy! Niech zwycięstwo pójdzie ich śladem! Wtedy jeszcze Polska nie zginęła i zapomni, co wycierpiała“]. (C. d. n.)

Stockholm. *Dr. Alfred Jensen.*

Nieznane wydanie tomu pierwszego „Poezyi“ A. Mickiewicza (Wilno, 1823).

Listy Mickiewicza do przyjaciół, ogłoszone w nieznanych pismach z Archiwum Filomatów (Kraków, 1910) rzuciły nowe światło na różne kwestye biograficzno-literackie, związane z epoką wileńską i kowieńską. Wyłoniła się także niespodzianie kwestya bibliograficzna. W liście do Czeczota z listopada 1822 roku (l. c., str. 570) Mickiewicz w dopisku odpowiada na pytanie przyjaciela: „Co się tyczy pierwszego tomu, pisałem do Jeża. Niech Zawadzki, jeśli można łatwo i bezpiecznie uzyskać cenzurę, robi drugą edycyę; jeśli nie, przedrukuje jak jest z omyłkami.[1]) Pogadaj o tem z Malinowskim; on mnie przyrzekł wziąć korrektę drugiego tomiku; przypomnij obietnicę“. — Mowa tu o pierwszym tomie Poezyi Mickiewicza, który w ciągu niespełna półroku już był całkiem wyczerpany. Chodziło o drugie wydanie. W owych czasach niełatwo je było uskutecznić z powodu cenzury, która właśnie w niesłychanem powodzeniu Poezyi Mickiewicza mogła wietrzyć niebezpieczne tendencye. Żałować musimy zatraty listu do Jeżowskiego w tej sprawie. — Widocznie Zawadzki nie radził starać się o pozwolenie cenzury na drugie wydanie, skoro chwycono się pomysłu Mickiewicza i tajemnie przedrukowano tom pierwszy. Przedruk na oko był łudząco podobny do wydania pierwszego, co tem łatwiej dało się uskutecznić, ile że drukowano temi samemi czcionkami w takim samym formacie. Układ zdań, odstępów, ozdób drukarskich itd. był możliwie wiernie przejęty z wydania pierwszego. — Kto nad tem czuwał, czy Ma-

---

[1]) Podkreślone przezemnie.

linowski, czy Czeczot — nie wiemy. Poeta jeszcze w styczniu nie jest pewny, czy przedruk postępuje. „Ciekawy jestem, czyli tomik pierwszy drukuje się dalej; przypędzać trzeba bardzo Zawadzkiego“. Zależało na pospiechu o tyle, że już przystępował Mickiewicz do drukowania tomu drugiego. Zawadzki wiedział tym razem na pewno, w ilu egzemplarzach bić drugi tomik tak, aby go starczyło i dla tych, co rozkupili pierwszy i dla tych, co mieli teraz kupować i drugi, (nowy) i pierwszy, wznowiony. Druk dwunastu (niespełna) arkusików postępował wcale, jak na owe czasy, raźno, skoro 26 lutego 1823 r. poeta pisał do Czeczota: „Jeśli pierwszy tomik wydrukowany, przyszlijcie mnie egzemplarz, albo dwa“. — Ale autor — jak to zwykle bywa — narzekał na powolność druku, a przytem był niespokojny, czy też sztuczka się uda: „tomik pierwszy z drukowanego drukowany wlókł się haniebnie. Ostrzegam, aby w ciągu drukowania, arkuszy nikomu nie pokazywać, tem bardziej nie dawać, bo jeśli się rozgłosi, jeśli dojdzie do Bekiego, albo nawet dostanie się, uważ, co stąd wyniknie! Proszę więc i zaklinam o największą tajemnicę“. (Z Kowna, 19 lutego 1823 r.) — Już wtedy zatem nie ufał Mickiewicz ojczymowi J. Słowackiego, Drowi Bécu, zasiadającemu w komitecie Cenzury: bardzo nieprzychylnem okiem śledzącemu Filomatów w ogóle. Ale wydanie drugie pierwszego tomiku doszło szczęśliwie w końcu lutego, lub w marcu 1823 roku do skutku; sekret tak był po litewsku dochowany, że nie tylko Dr. Bécu, ale żaden z bibliografów polskich w XIX wieku nie podejrzywał istnienia dwu wydań wileńskich pierwszego tomiku.

Podobieństwo obu wydań istotnie jest wielkie, ale przecież nie tak absolutnie dokładne. Różnice występują już z samego początku tomiku w dedykacyi. Wydanie jedno ma: CZECZOTOWI — drugie: CZECZOTTOWI. — Przy dokładnem zestawieniu tekstów pokażą się różnice znaczniejsze, bo nie tylko zmiany znaków drobniejszych, ale wprost wyrazów. — Któreż wydanie starsze, istotnie pierwsze, a które drugie z *„drukowanego drukowane?“*

Otóż decydują w egzemplarzu Omyłki Druku, podane po Spisie Rzeczy w tomie I. Niekażdy egzemplarz ma dziś te omyłki druku. Niema ich n. p. egzemplarz Biblioteki im. Ossolińskich (l. inw. 10,089 — w nawiasie dodaję, że z dorobioną kartką tytułową); ma zaś egzemplarz Biblioteki Pawlikowskich. Te egzemplarze, które mają omyłki druku i ich wykaz, pochodzą istotnie z pierwszego wydania Poezyi Mickiewicza, tomu pierwszego. Te zaś egzemplarze, w których owe błędy pierwszego wydania są już poprawione i które mają tekst poprawiony według spisu omyłek druku z tomu I-go, pochodzą z owego przedruku, dokonanego w roku 1823 i są w istocie wydaniem drugiem tomu pierwszego. Przykłady to uwidocznią:

Wydanie pierwsze z 1822 r. (*egzemplarz Bibl. Pawlikowskich:*)	Wydanie drugie, tajne z 1823 r. (*egzempl. Bibl. Ossolińskich:*)
str. VI Subseliow	Subsel.
„ VII Niekraszewicz Józef Rejent Gr. Osz.	Niekraszewicz Józef
„ VIII Zamojski Winc. Saryusz	Zamojski Hrabia Konstanty
„ XXI Rodzaje	Rodzaie
„ XXII przypadających	przypadaiących
„ XXVI (*	(*)
„ XXVII Szkockich	szkockich
„ XXVIII zatym	zatém

itp. itp. itp.

Ponadto egzemplarze wydania drugiego mają papier gorszy, co przy porównaniu widoczne i w tem, że papier ten dziś jest więcej pożółkły.

Ale czas pod jednym względem na równi postawił dzisiaj oba wydania: pod względem ich niezwykłej rzadkości. Niekażda biblioteka, nawet bardzo zasobna w druki rzadkie wieku XVI-go może się pochlubić egzemplarzem Poezyi Mickiewicza z r. 1822. Wystarczy powiedzieć, że Biblioteka Czartoryskich w Krakowie nie ma tego wydania. A przecież w spisie prenumeratorów czytamy nazwisko Księcia Kuratora, Adama Czartoryskiego z liczbą pięciu egzemplarzy prenumerowanych! Z prywatnych osób, szczęśliwem przeczuciem wiedzionych, a potem już i admiracyą tomiku pierwszego zniewolonych, wymieńmy zasłużonego z czasem Konstantego Świdzińskiego z 4 egzemplarzami; Michała Wereszczakę (brata Maryli) z 5 egz., Jana Wiernikowskiego z 3 egz. Joachima Lelewela z 3-ma egz. — Najwięcej egzemplarzy powinno się było dochować na Wołyniu. Sam Glücksberg, księgarz w Krzemieńcu, prenumerował egzemplarzy dziesięć, a nadto roi się spis prenumeratorów od nazwisk z Wołynia, a głównie z Krzemieńca. Szczęśliwe są te rodziny, w których posiadaniu przechowały się po dziś dzień egzemplarze Poezyi Mickiewicza z r. 1822!

Za lat sto będą to niesłychane rzadkości bibliograficzne, o ile papier przetrzyma. I dlatego przychodzi mi myśl, może zanadto rozrzutna w tych czasach, gdy tyle na okół pieniędzy idzie na przeróżne rozrywki, filantropijne hołubce i długowłose kabarety...

Gdyby tak miłośnicy pamiątek ojczystych złożyli się razem — ile kogo stać — na koszta niewielkie druku,[1]) wartoby ocalić od pewnej zagłady pierwsze wydanie Poezyi Mickiewicza

[1]) Obliczam je na tysiąc pięćset koron (mniej więcej), tak, że egzemplarz dwu tomików kosztowałby na zwykłym papierze około 3 koron. Osobną odezwę w tej sprawie ogłaszam równocześnie.

i wydać wierną podobiznę obu tomików wiekopomnych, które nam dały Romantyczność, — Grażynę i dwie części Dziadów! Nie chodziłoby w tym razie tylko o zaspokojenie bibliograficznej żyłki, ale o hołd należny pamięci Wieszcza naszego, a zarazem o to, aby kiedyś po stu, czy dwustu latach nie obwiniali nas potomni, żeśmy pozwolili wyginąć — może doszczętnie — pierwszemu wydaniu nieśmiertelnej Poezyi Mickiewicza. Rzucam myśl i narzucam się na wydawcę tych dwu tomików: czekam teraz na prenumeratorów!

Lwów. *Józef Kallenbach.*

Jeszcze o „wężu saturnowym".

P. Tadeusz Dąbrowski zaczepił (w Pam. liter. r. VIII, 1909, str. 213 i nast.) jedno z moich objaśnień do dzieł Słowackiego, że mianowicie wyobrażenie o „wężu saturnowym" Słowacki zawdzięcza fenickiemu wierzeniu o „wężu, trzymającym ogon w pysku" i utrzymuje, że ta koncepcya „przedstawia się jako rezultat skontaminowania dwu mitów: o Saturnie i Lewiatanie". Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby wymieniony krytyk wskazał gdzie to widział Saturna szczerorzymskiego lub Lewiatana z ogonem w pysku, ponieważ o to pojęcie wieczności (Uraeus), powtarzające się częściej u Słowackiego (n. p. Król-Duch, raps. IV, pieśń II, 38: I węża czasu, który w złotych kłębach wił się — a ogon swój chciał ugryźć w zębach), chodzi nie o co innego. Zresztą na wytworzenie także pojęcia o Lewiatanie wpłynęła nie sama mitologia jednego ludu (n. p. babilońska), lecz nadto Egipcyan i Fenicyan, „bei denen ein Drachenmythus zu Joppe lokalisiert war" (Gunkel, Genesis. Göttingen, 1902, str. 108). Również koncepcya „Czasu ze skrzydłami" nie jest bynajmniej z pochodzenia swojego „średniowieczną", jak mniema p. Dąbrowski, lecz owszem fenicką (*Geflügelte Schlange,* der eine Flügel erhoben, der andere gesenkt... eine merkwürdige Vereinigung assyrischer und ägyptischer Formen, ganz im Geiste der syncretistischen Religion Phöniciens. Cesnola, Cypern, str. 342). Co się zaś tyczy twierdzenia p. T. Dąbrowskiego, jakoby „pierwszy jaszczur z Gen. z Ducha i Sam. Zbor. przedstawiał pewną fazę geologiczną i był tworem rzeczywistym" w przeciwstawieniu do mitu o Saturnie, czy Lewiatanie, to proszę tylko porównać dwa miejsca z Gen. z Ducha o „głowie olbrzymiego płazu, pierwszej głowie ze spokojnego morza wyzierającej, która się czuje panią całej natury, królową wszelkiej doskonałości... ośmiela się wyjść na powtórną walkę ze słońcem" (t. X, str. 131 i nast.) i o „pierwszym jaszczurze, w którym duch już o głowie ptasiej,już o skrzydłach Ikarowych przemyśla" (tamże str. 133).

Każdy nieuprzedzony przyzna, że „pierwszy jaszczur“ jest ewolucyą owego „olbrzymiego płazu“, w który się symbol wieczności i nieśmiertelny duch wcielił i że między koncepcyą smoka, czyli pierwszego jaszczura, a wężem saturnowym jest ścisły związek, którego p. T. Dąbrowski nie dostrzegł.

Wobec tego, czy moje wyjaśnienie, tyczące się węża saturnowego, jest „mniej udałe“ (sic! zam. udatne), czy p. T. Dąbrowskiego, zostawiam spokojnie do rozstrzygnięcia tym, co w koncepcyi Słowackiego o wężu saturnowym nie widzą abstrakcyi, ale *wcielenie* wieczności, z której się wyłaniają następujące formy drogą emanacyjną.

Lwów. *Stanisław Schneider.*

Daty z lat szkolnych Augusta Bielowskiego.

Przy sposobności innej pracy o Bielowskim zebrałem sobie daty, dotyczące jego lat szkolnych, daty pochodzące ze źródeł urzędowych, a więc pierwszorzędnej wartości. Sporządziłem z tych źródeł odpisy jak najdokładniejsze, nie uważałem jednak za stosowne podawać ich tutaj w brzmieniu dosłownem i bez skróceń. Sądzę, że dopiero w dodatkach do szczegółowej pracy monograficznej, poświęconej Bielowskiemu, znajdą odpowiednie dla siebie miejsce tablice, zawierające noty klasyfikacyjne, które otrzymał on we wszystkich klasach i ze wszystkich przedmiotów, zarówno w szkołach normalnych i gimnazyalnych, jakoteż w czasie studyów uniwersyteckich. Uznałem natomiast za potrzebne podać tutaj dokładne zestawienie wszystkich dat szkolnych Bielowskiego, dołączając do nich najniezbędniejsze tylko wyjaśnienia[1]). Takie ustalenie dat z czasów szkolnych należy się temu mężowi naprzód jako jednemu z kilku naczelnych kierowników ruchu literackiego w Galicyi w pierwszem pięćdziesięcioleciu wieku XIX, a następnie za te zasługi naukowe, które położył w późniejszej swej działalności, głównie zaś jako wydawca „Monumentów Poloniae“. Takie

[1]) Układając notatkę niniejszą jedynie na podstawie źródeł rękopiśmiennych, znajdujących się nie tylko w zbiorach lwowskich, lecz także w zbiorach pozalwowskich, musiałem uciec się do łaskawej pomocy innych osób, które przedewszystkiem dostarczyły mi rękopisów odpowiednich, a wyjątkowo wglądnęły także do tych rękopisów na miejscu, ażeby przesłać wiadomość, potrzebną dla mojej pracy. Spełniam też miły obowiązek, składając tutaj serdeczne podziękowanie: Profesorowi uniw. Drowi Ludwikowi Finklowi, Dyrektorowi Franciszkowi Zychowi w Buczaczu, Radcy Janowi Czubkowi w Krakowie, Prof. Drowi Stanisławowi Kossowskiemu, Prof. Józefowi Krajewskiemu w Stanisławowie i Prof. Antoniemu Łukasiewiczowi, Dyrektorowi Muzeum Szkolnego we Lwowie.

zestawienie dat jest jednak bardzo pożądane również z innych względów. Jak we wszystkich zaborach, tak i w Galicyi istniały przed r. 1830, mianowicie od czasu wznowienia uniwersytetu we Lwowie w r. 1817 (o ten czas właśnie chodzi mi tutaj), rozmaite koła i kółka literackie młodzieży, w których spotykamy wszystkie wybitniejsze nazwiska, znane z dziejów oświaty tej dzielnicy polskiej, w okresie czasu powyżej wskazanym. Otóż nie oznaczymy dokładnie składu tych kółek, a co łączy się z tem, zakresu ich działalności, dopóki nie będziemy posiadali ścisłych dat z życia ich uczestników, głównie zaś dat z czasów pobytu ich na uniwersytecie, polska bowiem młodzież uniwersytecka zawiązywała przedewszystkiem takie kółka literackie. Te daty będą również najlepszą zaporą przeciw rozmaitym niedokładnościom i błędom co do tych kółek, które spotykamy w nielicznych zresztą pamiętnikach galicyjskich, drukowanych czy też pisanych (autorowie układają je najczęściej pod koniec życia), będą zaporą przeciw niedokładnościom i błędom, przedostającym się od czasu do czasu z tych pamiętników do prac naukowych czasów dzisiejszych.

August Bielowski urodził się 27 marca 1806 r.[1]), z rodziny szlacheckiej, z ojca Grzegorza, rządcy w dobrach Ludwika hr. Kalinowskiego, i z matki, Maryanny z Żędzianowskich[2]). Urodził się w Krechowicach[3]), wiosce w dawnym obwodzie stryjskim, w dzisiejszym powiecie dolinianskim.

---

[1]) Dowody na to, że Bielowski urodził się w marcu 1806, znajdują się w rękop. Bibliot. Ossolińskich nr. 2421 k. 31—33, zobacz zresztą k. 48. Dowód na to, że urodził się 27 (chodzi właśnie o ten dzień) marca, można znaleźć, o ile wiem, jedynie w króciutkiej notatce biograficznej Bielowskiego, drukowanej w Roczniku Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie z r. 1873 str. 95. Notatki te, jak wiadomo, spisują dla Rocznika Akademii sami członkowie zaraz po zamianowaniu, w tym więc wypadku spisał ją niewątpliwie sam Bielowski. W aktach Akademii niema jednak tej notatki, jak mi łaskawie donosi Radca Jan Czubek, którego prosiłem o zbadanie tej sprawy. Dokładną datę, miejsce urodzenia, jakoteż rodziców Bielowskiego, podał już Dr. Kętrzyński w swoim szkicu biograficznym: August Bielowski, drukowanym w Sprawozdaniu Zakładu Ossolińskich za r. 1877 i w „Ateneum" warszawskiem 1877 t. IV. Ja zaś uzasadniam tylko tutaj daty te wskazaniem źródeł, na których one opierają się, ażeby na przyszłość nie istniały już pod tym względem żadne wątpliwości. 27 marca przytoczył Dr. Kętrzyński bezwątpienia z wymienionego powyżej Rocznika Akademii, czego już jednak dzisiaj nie pamięta, jak mi oświadczył w rozmowie.

[2]) Tenże rękopis k. 24.

[3]) Krechowice, odległe 13 kilometrów od miasta Doliny. Miejscowość tę przekręcają w żywotach Bielowskiego w najrozmaitszy

Z końcem roku 1813 oddali rodzice Bielowskiego do szkoły obwodowej w Stanisławowie, w której uczęszczał do tak zwanej klasy elementarnej (wstępnej) w roku szkolnym 1813/4 [1]). 3 września 1814 r. stracił ojca [2]). W r. 1814/5 był znowu w Stanisławowie w klasie pierwszej i ukończył ją z postępem dobrym [3]).

W r. 1815/6 spotykamy już Bielowskiego w Buczaczu w klasie drugiej głównej szkoły buczackiej. Przypuszczam, że przeniósł się do Buczacza z powodu wyjazdu matki do tego miasta W każdym razie 28 października 1816 r. kupiła sobie tutaj pani Bielowska dworek [4]). Nie powodziło się jednak naszemu Augustowi w tej klasie drugiej, w obu bowiem jej półroczach otrzymał złą klasę. O roku szkolnym 1816/7 nie mamy żadnej wiadomości, to przecież pewna, że z powodu niepomyślnego wyniku naukowego w roku zeszłym powtarzał klasę drugą. Wskazuje na to również uczęszczanie do klasy trzeciej dopiero w r. 1817/8. A tę klasę kończy już z dobrym postępem w obu półroczach [5]).

W Buczaczu uczęszczał Bielowski również do gimnazyum utrzymywanego, jak wiadomo, przez OO. Bazylianów. Tutaj rozpoczął nauki gimnazyalne i tutaj je ukończył. Było to w latach 1818—1823, w gimnazyum więc spędził lat pięć. A mianowicie:

w roku szkolnym	1818/9	prima grammaticae classis
	1819/20	secunda „ „
	1820/1	quarta „ „
	1821/2	prima humanitatis classis
	1822/3	secunda „ „

Dlaczego po drugiej klasie gramatykalnej następuje zaraz czwarta? W r. 1818 zaprowadzono w Austryi zamiast trzech

---

sposób. Sam Bielowski wymienia ją jako miejsce swego urodzenia w powyższym rękopisie nr. 2421 k. 33 i 48, jakoteż we wspomnianym już Roczniku Akademii Umiejętności.

[1]) Mam wiadomość tylko z pierwszego półrocza.

[2]) Rękop. Bibl. Ossol. nr. 2421 k. 24.

[3]) Mam wiadomość tylko z drugiego półrocza.

[4]) Tenże rękopis k. 20 (Porówn. Dr. Kętrzyński: Sprawozd. Zakł. Ossol. za r. 1877 str. 21).

[5]) Wszystkie daty, dotyczące szkół normalnych, wydobyłem z rękopisów Polskiego Muzeum Szkolnego we Lwowie. A więc naprzód z dwóch oprawnych kodeksów rękopiśmiennych, mieszczących w sobie akty szkół normalnych w dawnym obwodzie stanisławowskim, do którego należał również Buczacz. Kodeksy te nie posiadają jeszcze numerów inwentarzowych Muzeum. A następnie z luźnych fascykułów tegoż Muzeum, które wydobył dla mnie z wielkim trudem i pracowitością, zpośród stosu aktów jeszcze wcale nie uporządkowanych, prof. Dr. Stanisław Kossowski, doskonały znawca Muzeum Szkolnego. Bez tej pomocy nie mógłbym nawet zrobić użytku z tych aktów.

klas gramatykalnych, cztery gramatykalne klasy, tak że w połączeniu z dwiema najwyższemi klasami humanistycznemi było razem sześć klas [1]). Wprowadzono też nanowo profesorów klasowych, to jest takich, którzy w swej klasie uczyli wszystkich przedmiotów, prowadząc uczniów od pierwszej klasy gramatykalnej aż do najwyższej. Inni znowu profesorowie uczyli tak samo w klasach humanistycznych.

W Buczaczu nie dokonano tej zmiany zaraz, a więc w roku szkolnym 1818/9, jak nie dokonano jej w tym roku również w niektórych innych gimnazyach galicyjskich [2]). Z księgi, w którą wpisywano rozporządzenia wyższych władz szkolnych (głównie dyrektoryatu w Stanisławowie, który względem gimnazyum buczackiego sprawował tamtejszy starosta obwodowy lub jego zastępca), przesyłane do prefekta gimnazyum buczackiego, widzę, że władze te przynaglały do zaprowadzenia tutaj czwartej klasy gramatykalnej, nie można było jednak uskutecznić tego z powodu braku odpowiedniego pomieszczenia w zabudowaniach OO. Bazylianów. Jeszcze 9 lutego 1819 roku zezwala władza, ażeby tymczasowo pozostał podział na pięć klas, pod warunkiem, że zarząd zaprowadzi czwartą klasę gramatykalną bezwarunkowo w następnym roku szkolnym — 1819/20. Katalog gimnazyum buczackiego wskazuje, że nastąpiło to dopiero w roku 1820/1.

Jak przeprowadzono podział uczniów na klasy po powiększeniu liczby tych klas, trudno na razie określić zupełnie dokładnie i szczegółowo, nie mamy bowiem dotychczas ani historyi gimnazyum buczackiego, ani też żadnego urzędowego sprawozdania, wyjaśniającego ten podział. Katalog gimnazyum może nam w tym kierunku dać tylko ogólne wskazówki. Zbadać w nim wszystkie szczegóły tej sprawy byłoby ogromnie mozolne, a nie rozwiązujące wszelkich wątpliwości. Nie jest to zresztą potrzebne dla naszego celu. W każdym razie na podstawie tego katalogu da się powiedzieć, że uczniowie klasy pierwszej przeszli odrazu do klasy trzeciej, a uczniowie klasy drugiej do klasy czwartej. Drugą klasę utworzyli gorsi uczniowe klasy pierwszej, uczniowie zaś klasy trzeciej utworzyli pierwszą klasę humanistyczną [3]). To wszystko zaś wy-

---

[1]) Schmid, Encyclopaedie des gesammten Erziehungs - und Unterrichtswesens, wyd. pierwsze, t. V. str. 394—396. — Tomaszewski, Pogląd na rozwój gimnazyum brzeżańskiego. Część I. Sprawozd. gimnazyum w Brzeżanach za r. 1905, str. 32.

[2]) W gimnazyum tarnowskiem i stanisławowskiem n. p. wprowadzono zmianę tę dopiero w roku szkolnym 1819/20. Kronika gimnazyum tarnowskiego od r. 1811—1831. Sprawozd. gimnazyum w Tarnowie za r. 1906/7, str. 8—9. Ks. Dąbrowski, Historya gimnazyum w Stanisławowie. Sprawozdanie tegoż gimnazyum za r. 1878, str. 4.

[3]) Księga rozporządzeń gimnazyum poucza nas, że władza polecała 30 października 1818 r. nieco inaczej uskutecznić podział

jaśnia nam dostatecznie, jakim sposobem Bielowski przeszedł w r. 1820/1 odrazu z klasy drugiej do czwartej. A o to jedynie chodzi nam tutaj [1]).

Sądząc z not katalogowych, uczył się Bielowski raczej słabo, jak dobrze, tem więcej uderza nas znaczny postęp w naukach w ostatnim roku pobytu w gimnazyum, a więc w roku szkolnym 1822/3.

W drugiej połowie roku 1823 był już Bielowski we Lwowie — na wydziale filozoficznym. Zaznaczę przedewszystkiem rzecz ważną do zrozumienia jego ówczesnego położenia i postępu w nauce uniwersyteckiej, że utrzymywał się we Lwowie pracą i staraniem własnem [2]). Wydział filozoficzny miał wówczas, a więc w roku szkolnym 1823/4 trzy lata, od następnego zaś roku 1824/5 tylko dwa lata. W tym też ostatnim roku zaprowadzono język

---

uczniów na klasy: Nowowstępujący uczniowie tworzą klasę pierwszą, uczniowie zaś klasy pierwszej przechodzą do drugiej. Lepsi uczniowie z klasy drugiej przechodzą odrazu do klasy czwartej, gorsi zaś uczniowie tejże klasy drugiej tworzą klasę trzecią. Do klasy czwartej przechodzą także gorsi uczniowie z klasy trzeciej, gdy lepsi uczniowie klasy trzeciej przechodzą do pierwszej klasy humanistycznej.

[1]) Daty z lat gimnazyalnych Bielowskiego pochodzą ze wspomnianego już powyżej rękopiśmiennego katalogu gimnazyum buczackiego p. t. „Prothocollon classium 1806—1825. Tomus I (przemazano liczby IV i III)", który otrzymałem do przeglądnięcia w Bibliotece Zakładu Ossolińskich dzięki wielkiej uprzejmości Dyrektora tamtejszego gimnazyum, Franciszka Zycha. Dyrektor Zych doniósł mi również łaskawie, że przesłał jeden z rękopisów gimnazyalnych do Polskiego Muzeum Szkolnego we Lwowie. Jest to znowu owa księga rozporządzeń, o której mówiłem już powyżej, mająca napis na okładce: „Gymnasial-Verordnungen vom Jahre 1810—1821, II, B (nr. inwentarza Muzeum Szkolnego 6966). Otóż z tej to księgi zaczerpnąłem kilka wiadomości, dotyczących zmian w gimnazyum po zaprowadzeniu czwartej klasy gramatykalnej (stron. rękopisu 121, 123 i 129).

I jeszcze jedno. Ksiądz Tomasz Dąbrowski pisze w swojej „Historyi gimnazyum w Stanisławowie" (Sprawozd. gimnazyum w Stanisławowie za r. 1878, str. 29), że do „osób znaczniejszych", które pobierały naukę w tem gimnazyum, należał Bielowski. Z tego, co przedstawiłem powyżej, wynika niezbicie, że poeta nasz kończył całe gimnazyum w Buczaczu. Dla usunięcia jednak wszelkich wątpliwości pod tym względem przeglądnął na moją prośbę Profesor Józef Krajewski w Stanisławowie dokładnie katalogi tamtejszego gimnazyum (pierwszego) z lat 1818—1823 i doniósł mi, że niema w nich żadnej wzmianki o Bielowskim.

[2]) Ręk. Bibl. Ossol. nr. 2421 k. 24.

niemiecki jako wykładowy [1]). Rok szkolny pierwszy 1823/4 stracił Bielowski. Widać to z not klasyfikacyjnych, które otrzymał, a przedewszystkiem z tego, że rok ten filozofii musiał powtórzyć w roku szkolnym 1824/5. W katalogach nazywają go w tym drugim roku repetentem (rp.). To też dopiero w r. 1825/6 był na drugim roku wydziału filozoficznego. W tym też roku 1825/6 uczęszczał na wykłady przedmiotu nadobowiązkowego, na wykłady literatury i gramatyki polskiej profesora Michalewicza. Klasyfikacya ogólna wypadła słabo.

Opłatę szkolną składał Bielowski przez wszystkie te trzy lata filozofii.

Wiadomo, że ówczesny wydział filozoficzny w Austryi był tylko kursem przygotowawczym do innych wydziałów uniwersyteckich [2]). To też w roku 1826/7 spotykamy się znowu z Bielowskim na pierwszym roku wydziału prawa, na którym słucha wykładu profesora Napadiewicza: wykładu prawa natury i kryminalnego; profesora Rohrera w pierwszem półroczu: wykładu ogólnej statystyki (europaeische Staatenkunde) i profesora Stoegera w drugiem półroczu: wykładu statystyki cesarstwa austryackiego. Należytość szkolną opłaca.

Na drugim roku wydziału prawa — 1827/8 słucha w pierwszem półroczu wykładu profesora Antoniego Haimbergera: prawa rzymskiego; w drugiem półroczu wykładu tegoż profesora: prawa kościelnego. W pierwszem półroczu usunął się od egzaminu z prawa rzymskiego, w drugiem zaś półroczu nie zdał widocznie egzaminu z prawa kościelnego, z przedmiotu tego bowiem otrzymał klasę drugą. Wobec tego poddał się za pozwoleniem władzy wyższej nadzwyczajnemu egzaminowi z prawa rzymskiego (wykładanego w pierwszem półroczu) dopiero dnia 26 lutego 1828 r., powtórnie (wiederholte Pruefung) 13 marca, i wówczas otrzymał stopień pierwszy. Dodam, że w roku szkolnym 1827/8 słuchał znowu wykładu języka polskiego. W pierwszem półroczu płacił należytość uniwersytecką, w drugiem uwolnił się od niej.

Ten zły stopień z prawa kościelnego w roku ostatnim sprawił zapewne, że musiał powtarzać ten drugi rok prawa w roku szkolnym 1828/9 jako „repetent". Znowu więc słucha wykładów profesora Haimbergera: prawa rzymskiego w pierwszem półroczu, prawa zaś kościelnego w drugiem półroczu, tym razem z postępem dobrym.

---

[1]) Finkel, Historya Uniwersytetu lwowskiego, str. 215. Rok szkolny rozpoczyna się od roku 1823/4 od 1 września. Finkel, Tamże, str. 289.

[2]) Schmid, Encyclopaedie des gesammten Erziehungs- und Unterrichtswesens, tom V, Gotha, 1866, str. 396-398 (przytaczam tutaj z umysłu wydanie pierwsze, jako wyjaśniające obszerniej tę sprawę).

Tak więc Bielowski znalazł się na trzecim roku wydziału prawa dopiero w roku szkolnym 1829/30. Słuchał przez cały rok wykładów prawa cywilnego (oesterreichisches Privatrecht), które wykładał profesor Grassl. Prócz tego słuchał suplenta Szymonowicza, który wykładał w pierwszem półroczu prawo polskie, i Jana Dobrzańskiego, który wykładał w drugiem półroczu prawo handlowe i wekslowe. Od opłaty uniwersyteckiej był w tym roku uwolniony.

W roku 1830/1, na czwartym roku wydziału prawa, słuchał Bielowski wykładu profesora Dobrzańskiego o stylu urzędowym (Geschaefts-Styl), o normie juryzdykcyjnej (Jurisdiktionsnorm) i o procedurze sądowej (Verfahren in und ausser Streitsachen). Przy tych wykładach proferora Dobrzańskiego notatka: „bei der Pruefung nicht erschienen". A przytem: obyczaje: v(olkommen) g(emaess), pilność: m(inder) g(emaess) (gut?).

W tym też czwartym roku uczęszczał jeszcze w pierwszem półroczu na wykłady politycznych umiejętności (politische Wissenschaften) profesora Stoegera. I znowu przy tym wykładzie uwaga: „seit Jäner(!) abwesend". A do tego obyczaje: g(emaess), pilność: nachlaessig. W drugiem półroczu zapisał się na wykład tegoż profesora o politycznem ustawodawstwie (politische Gesetzkunde). Również uwaga: „Seit dem Monat Jäner(!) nicht erschienen". Należytość uniwersytecką opłaca.

Bielowski brał wówczas udział w walce o niepodległość Królestwa Polskiego.

W roku 1831/2 następuje powrót do studyów i powtarzanie roku czwartego wydziału prawa. Słucha więc znowu tych samych wykładów profesorów Dobrzańskiego i Stoegera. Przy wykładach Dobrzańskiego uwaga: „Wegen Uebertritt nach Polen im Grunde des Stud. Hof(d). (liczba opuszczona)[1]) v(om) 22 Jän. 1832 zur Pruefung nicht zugelassen". Są również uwagi przy wykładach Stoegera. W pierwszym kursie: „Repetent. Vermoege a(ller) H(oechsten) Entschliessung an eine andere Lehranstalt gewiesen, weil er im insurgirten Polen war". Taka sama uwaga znajduje się przy wykładzie Stoegera w drugiem półroczu[2]).

---

[1]) Ma być 299, jak widać z uwag następnych.

[2]) Wszystkie powyżej podane daty z lat uniwersyteckich Bielowskiego wyjąłem z katalogów, znajdujących się w Archiwum uniwersyteckiem we Lwowie. A więc z katalogów Wydziału filozoficznego, mających tytuł: Catalogus auditorum philosophiae, od r. 1827: Katalog der philosophischen Obligatstunden, jak również przedmiotów nadobowiązkowych; następnie zaś z osobnej teki zatytułowanej ołówkiem: „Matriculae et Catalogi fac. phil." (lata wyrywane od r. 1805—1827), w której mieszczą się przeważnie katalogi każdego profesora zosobna. Wreszcie z katalogów wydziału prawa: Katalog vom Schuljahre etc. Katalogi te z lat 1823/4—

Tak skończyły się lata nauki Bielowskiego. Podzielił on los tylu mężów znakomitych, którym stosunki ówczesne w Galicyi zamykały drogę do stworzenia sobie znośnego bytu, gdy nie rozporządzali majątkiem własnym. Jeszcze wiele lat później spotykamy się z usiłowaniami Bielowskiego, ażeby zdobyć sobie jakieś świadectwa złożonych egzaminów rządowych. 7 lipca 1841 r. poddaje się w obec komisyi uniwersyteckiej egzaminowi z rachunkowości (Verrechnungskunde), do którego przygotował się prywatnie, 25-go marca 1842 r. zaś egzaminowi z kupieckiej buchalteryi w Akademii realno-handlowej, macierzy dzisiejszej Politechniki [1]).

Lwów. *Bronisław Czarnik.*

1831/2 przeglądnąłem jak najdokładniej, podając tutaj, jak już zaznaczyłem na czele, tylko szczegóły najważniejsze, bez dokładnego zwłaszcza przytaczania wszystkich not klasyfikacyjnych. Prof. Dr. Finkel, wielce uprzejmy kierownik tego archiwum, udzielił mi przy poszukiwaniach wszelkich możliwych ułatwień.

[1]) Rękop. Bibl. Ossol. nr. 2421 k. 35 i 36 (Por. Dr. Kętrzyński w Sprawozd. Zakł. Ossol. za r. 1877, str. 22).

MATERYAŁY.

Najdawniejszy pomnik katechizmu polskiego.

Ogłaszam poniżej z rękopisu Biblioteki Z. N. I. Ossolińskich p. l. inw. 4,500 (karta papierowa, zapisana po obu stronach, wymiarów 15 × 10·2 cm., oprawna w skórzaną teczkę, na której wyciśnięto: „Pomnik języka polskiego z XV w.“) najdawniejszy katechizm polski. Są to modły katechizmowe (utwory, części składowe katechizmu = Katechismusstücke), odmawiane z ludem przez kapłana po kazaniu[1]), przechowane w rękopisie, niestety, tylko w części.

Katechizm tworzą: a) Oratio dominica; b) Salutatio angelica; c) Symbolum apostolicum; d) Decem praecepta Dei; e) Duo praecepta legis evangelicae; f) Lex naturae; g) Peccata mortalia.

Rękopis pochodzi niewątpliwie z czasów około połowy XV w.; w Oratio dominica, Salutatio angelica i Symbolum apostolicum umieściła ręka późniejsza, z samego końca XV w., lub z początku XVI w., nad niektórymi wyrazami glossy polskie. W Oratio dominica oddzielono prośby kreskami (= +) i oznaczono je cyframi 1—7; kreski i cyfry pisane są czerwoną minią, którą zakreślono także każde z dziesięciu przykazań w Decem praecepta. Niektóre litery, zwłaszcza wielkie, rubrykowano.

Lwów. *Ludwik Bernacki.*

[k. 1]

Oracio doīca.

ktori yesteſ

Oyczʒe naſʒ ÿenʒe ÿesÿ wnyebieſÿech. | + (1) Swiączʒ ſy ÿmÿą twe. + (2) przÿdʒ kroleſtwo | twe. + (3) Bądʒ volÿa twa. yako wnÿebÿe | tak ÿ naʒÿemÿ. + (4) Chlyeb naſh powſhedni | daÿ

[1]) Według określenia X. Dra Fijałka, który, na podstawie mojej informacyi, wspomniał o tym katechizmie w odczycie p. t. „Z dziejów katechezy w Polsce“, dnia 4 lutego 1907 r.

prȥe prȥe
nąm dȥÿſÿa. (5) ÿ odpvſcȥ nam naſhe | vÿnÿ. ÿako ÿ mÿ odpvſcȥamÿ naſhÿm | vÿnovaycȥom. + (6) ÿ nÿe vodȥÿ nas wpo- | kvſhenÿe. + (7) alÿe nas ſbaw od ſȥlego am̄ |

Salutacio angelica.

sdrovaſ laſki pan
Sdrowa maria. miloſci pelna. bog ſtoba. | Blogoſlawionas t myedȥi niewiaſtamÿ. | ÿ blogoſlawion owocȥ. ȥyvota twego. Ih̄us Cristus. |

Simbolū apostolicū.

Wierȥą wboga oycȥa wsȥechmogącȥego ſtwo | rȥÿcielya nieba ÿ ȥiemye. ÿ wieſuſa | Criſtvſa ſÿna iego iedinego pana naſhego |
ktori sȥdv.
ien ſÿą pocȥąl dvchem ſwyątem. Naro- | dȥyl ſyą sȥmarieÿ dȥyevÿcȥe. Vmącȥon pod | ponÿſkiem pilatem vkrȥÿȥovan vmarl ÿ | pogrȥebÿon. Stąpyl do pyeklow trȥeciego | dnÿa ſmartwich wſtal. Wstąpÿl na | nÿebÿoſſa. ſſyedȥy na pravicȥÿ boga oÿcȥa | wſhechmogącȥego. Stąd prȥÿydȥye ſądȥicȥ. | ȥÿve ÿ martwe. Wierȥą wdvcha ſwią | tego.
y koſcol poſpolitovanÿe prȥe
ſwiąta cerkyew khrȥeſcianſką. | Swiątich obcȥovanie. grȥechom od-
ch
pv- | ſcȥenie. ciala smartwiwſtanÿe. ÿ | zÿvoth wiecȥnÿ am̄ ||

[k. 1']

Decem p̄cepta dei.

Pÿrva kaȥn tworcȥa naſȥego. Nÿemaſȥ miec | boga inſhego. Na proſnoſcȥ nieſtatkv tvego | nyebierȥ ÿmÿąnia boȥego. Pamiątaÿ to ſſobÿe wielie bÿ ccȥÿl ſwiąto ÿ nÿedȥielÿe | Chcȥeſly miecȥ laską moią cȥcȥÿ oycȥa | ÿ matka ſwoią. Niecȥÿn mąȥoboÿſtwa | ſwadą. rąką kaſnią anÿ rada, nyecin | grȥechv nÿeciſtego procȥ vrȥądv mal- | ȥenſkiego. Nyekradnÿ ymÿenya cȥvdȥego | a nądȥnÿm vdȥielaÿ ſwego Nÿeſȥwiacȥ | na ſwego blyſȥnego. klamſtwa. ſwiadeſtwa falſȥÿvego. Nÿepoȥądaÿ ȥonÿ brata | twego. dȥiewkÿ. osla. anÿ rzecȥÿ yego.

Duo p̄cepta legis evāgelice.

Yeſlÿ cȥo wiącȥeÿ bylo. wcȥÿm ſią pra- | wie ſpelnilo. Mylvy boga wſhechmogą- | cȥego ȥe wſȥyſthkiego ſſercȥa twego | a iako ſſÿebye ſſamego Mylvÿ teȥ ſwego blyſnego.

Lex nature.

Cȥego ȥądaſȥ od blyſȥnego Bÿ mv ȥaſyą | ȥycȥyl tego A cȥego by ſſam nyerad | mÿal nykomv tego nÿedȥyalaÿ Tho ieſt | pravo prȥyrodȥone pospolv ſȥlyvdȥmÿ ſtwo- | rȥone. Ktorÿ cȥlowiek to gdy ſdȥierȥi | ȥyvot wiecȥni ten odȥierȥÿ alye prȥestąp- | cȥa kaȥanya. strada boȥego widȥenya

Pčta mortalia.

Vbacʒ grʒechow ſſiedm bẏcʒ teʒe ktore | wiodą do pyekla dvſhe. pycha lakomſtwo | snieczẏſtotą. gnẏew. ʒaʒdroſc. gnvſnoſcʒ. | ʒobʒarſtwem. Cʒlowiek ty grʒechẏ pel | nẏącʒẏ bogv ieſt barʒo ſmẏerdʒąci.

Tomasza Zana „Gryczane pierożki".

(Kartka z nieznanych rękopisów).

Szczęśliwy przypadek pozwolił mi przed laty trzynastu odszukać i poznać się z całą literacką puścizną Tomasza Zana, którego stanowisko, znaczenie, działalność i wpływy wśród najpiękniejszego pokolenia młodzieży polskiej w pierwszej ćwierci zeszłego wieku, w epoce budzącego się romantyzmu, zasłużyły na wysokie uznanie, cześć i szacunek najgodniejszych tej epoki przedstawicieli, z Mickiewiczem na czele. Druh, powiernik i doradca Adama z biegiem czasu stawał się jakimś mytem w literaturze, o którym po większej części gołosłowne krążyły wieści, echa głuchnących tradycyi, entuzyastyczne, ale bardzo krótkie wzmianki, a wreszcie garść bardziej szczegółowych relacyi takich wiarogodnych świadków owego czasu, jak Odyniec lub Domeyko.

Wszystko to mogło tylko rozbudzać jeszcze większą ciekawość, jeszcze większe zajęcie i chęć poznania bliżej tej wyjątkowej osobistości, pokrzywdzonej jakby umyślnie przez jakieś zawistne fatum, które otaczało ją w ciągu dziesiątków lat coraz gęstszemi mgłami i skazywało na zapomnienie. Nie wiedzieliśmy prawie nic, a przynajmniej bardzo mało i niedokładnie o życiu i losach Zana, o jego talencie poetyckim, o jego pracach piśmienniczych, o jego twórczości literackiej i naukowej, a zwłaszcza o jego wszechstronnem wykształceniu i rozmaitości rodzajów, które uprawiał, skromny, cichy, unikający rozgłosu, a zawsze czynny i zajęty, z podziwu godną pracowitością mrówki i pszczoły roboczej.

Znalazłszy sposobność przedostania się nareszcie do trzymanego pod siedmioma pieczęciami familijnego archiwum Zanów, które ś. p. pani Brygida z Świętorzeckich Zanowa, wdowa po „promienistym poecie" i wodzu Filaretów wileńskich, Argusowem okiem strzegła nawet przed własnymi synami przez lat z górą czterdzieści, skorzystałem z obfitych materyałów i chociaż w małej części opracowałem je swego czasu w byłym „Tygodniku polskim", wychodzącym pod moją redakcyą w Warszawie, oraz w petersburskim „Kraju".

Nie mogłem, niestety, podjętych studyów zużytkować do końca, z powodu braku pomocy i zachęty wydawców, którzyby

*

mieli odwagę zaryzykować naklad na obszerną monografię Tomasza Zana...

Setna rocznica urodzin Mickiewicza przyniosła zaklęcie do otwarcia Sezamu zbiorów rękopiśmiennych Adamowego druha, których z takim pietyzmem, ale i z taką kobiecą małostkowością strzegła pozostała po nim wdowa, nie dając do nich dostępu nikomu nawet z najbliższych.

W czterdzieści przeszło lat po śmierci nieboszczyka, te pożółkłe i butwiejące już foliały mogły nareszcie wyjrzeć na światło dzienne, można było wygrzebać z nich nareszcie duchową postać poety, uczonego, działacza i myśliciela, ale te drogie szczątki ukazały się wtedy współczesnym, jak mumia wydobyta z rozwalonego grobowca, jak zabytek dawno minionej epoki, z którą nas przedzieliło tyle warstw i pokładów przebytych ewolucyi, tyle nowych nabytków i zmian, tyle procesów duchowego postępu i rozwoju.

Stała się, przez jakąś ironię losu, wielka krzywda właśnie ze zbytku gorliwości, pietyzmu, dobrej woli, krzywda już nie do naprawienia, że pozwolono tej duchowej puściźnie Tomasza Zana stać się anachronizmem, spłowieć, zwiędnąć i zeschnąć, jak polnym kwiatom, których świeżość, barwy i woń mogły były we właściwym czasie ucieszyć oko i serce całego pokolenia; zmarnowały się one, jak owe ziarna nasion i zboża, znajdowane w grobowcach Faraonów, które stanowią może ciekawy przyczynek do studyów archeologicznych, ale których żywotność i plenność przez długi czas zniszczoną po większej części została.

Dzisiaj, kiedy nauka poszła tak szybkim krokiem naprzód, kiedy badania i doświadczenia wszelakich specyalistów odkryły tyle nowych tajemnic natury, kiedy mozoły umysłu ludzkiego w rozmaitych dziedzinach ducha tak śmiałe i zadziwiające wydobyły prawdy, kiedy geniusze poezyi i sztuki pozapalały całe konstellacye świetnych gwiazd na widnokręgu twórczości naszej i obcej, dzisiaj wszystkie owe gorliwe, pracowite rozprawy Zana, jako przyrodnika, badania stepów kirgizkich i gór uralskich, owe filozoficzne i społeczne pomysły i studya, owe próby stworzenia całych systemów socyologicznych i reform, owe piękne marzenia utopisty o „Rzeczypospolitej ludzkości", owe pełne prostoty i wdzięku uczucia pieśni, poezye, szkice dramatów, satyry, liryki i t. p. spiewaka niewielkiej skali, lecz niewątpliwie spiewaka z Bożej łaski, są tylko spóźnionym dowodem bogatej i wielostronnej organizacyi umysłowej człowieka, który wyprzedzał w wielu kierunkach swoich współczesnych i górował duchem nad całem pokoleniem rówieśników.

Co za nieodżałowana szkoda, że wszystkie te zasoby talentów, uzdolnienia i bujnej natury zmyślnego a oryginalnego działacza i organizatora zostały w samym zarodku stłumione; że jak ryba wyrzucona na piasek i pozbawiona właściwego żywiołu do istnienia i rozwoju, od czasu swego wygnania z kraju, musiał Tomasz Zan dziesiątki lat wegetować na obczyźnie i w niewoli, przymusowo

zahamować dalszy swój rozwój umysłowy, a jak drzewo naginane ku ziemi, kurczyć się i rozrastać nie dowolnie, lecz pod naciskiem ciężkiego terroryzmu na wygnaniu.

Nie tu miejsce w krótkim, szczegółowym szkicu o jednym tylko, często wspominanym, lecz nieznanym dotąd utworze Mickiewiczowskiego druha, podawać obszerniejszą charakterystykę jego indywidualności, talentu i prac pozostałych; starałem się to zresztą uczynić już gdzieindziej w osobnej rozprawie p. t. „Poeta promienisty“ (Kraj r. 1898), w której streściłem wszystkie utwory poetyckie Zana, zachowywane dotąd w rękopisach, wykazując ich zalety i oryginalność pomysłów, oddziałujących nawet nader dodatnio na rodzaj i kierunek twórczości genialnego jego kolegi i przyjaciela — Mickiewicza.

Da się bowiem stwierdzić dowodnie, z datami i dokumentami w ręku, że w wielu wypadkach Zan wyprzedza młodszego swego druha w wyszukiwaniach nowych form i tematów, jak np. w balladach lub pieśniach; że szczęśliwym jakimś instynktem wyzwalając się z pod wpływów panującego jeszcze klasycyzmu, wcześniej od Adama wchodzi na drogę reformy poetyckiej i wskazuje mu własnym przykładem, w jakim kierunku i do jakich celów powinnaby dążyć twórczość oryginalna polska, nie naśladując nikogo i wytwarzając sobie własne, swoiste wzory.

Pod tym względem bardzo ważne a bardzo pochlebne świadectwo wydał mu A. E. Odyniec w swoich „Wspomnieniach z przeszłości“, mówiąc:

„Zan także od dzieciństwa pisał wiersze w szkołach, a lubo za przybyciem do Wilna oddał się naukom ścisłym i gorliwie się niemi zajmował, nie zaniechał wszakże poezyi; tylko, że nie szukając z niej sławy autorskiej, nie dbał też o przepisy i wzory książkowe, a będąc sam jakby uosobieniem serafickiej miłości ludzi i świata, poezyę obrał za środek do wyrażenia tych uczuć i natchnień swojego serca. Pisał więc co niemiara wierszy; najprzód do rozmaitych panienek i panieneczek, którym na wszystkich pensyach w Wilnie rozmaite przedmioty wykładał, a w każdej z nich, zaczynając od Feli i Weli, (królowej jego myśli i jej przyjaciółki, Felicyi Micewiczównej i Eweliny Zborowskiej), w każdej jakiś szczególny „promionek“ doskonałości upatrywał i kochał; następnie zaś opisując dla zabawy bliższych przyjaciół-kolegów różne swoje dzienne przygody, albo serdeczne wrażenia, które im odczytywał zwykle na zebraniach wieczornych, obok poważnych rozpraw i dysput naukowych. Adam z początku niewiele do nich przywiązywał wagi, nie widząc w nich ani sztuki, ani wypracowania; aż nakoniec razu jednego pan Tomasz napisał elegię na odjazd jednej ze swoich pięknych przyjaciółek i uczennic, z którą przez cały rok w niedzielę i święta spotykał się na obiadach u wspólnych przyjaciół, gdzie już resztę dnia zwykle przepędzali razem. Treścią tej elegii było zwłaszcza wspomnienie różnych gier i zabaw towa-

rzyskich, w tonie raczej wesołym niż tkliwym, ale jednak tak delikatnie wydającym rzewne i głębsze uczucie, że Adam, który (według własnych słów jego) „nie sądził, aby w potocznych szczegółach rzeczywistego życia mogło być tyle skarbów poezyi“, — raz pierwszy zwrócił myśl i uwagę, nie tylko już na szukanie „prawdy w poezyi, ale i poezyi w prawdzie“, to jest w szczegółach rzeczywistego, codziennego życia. A że właśnie natenczas, chodząc już na wydział filologiczny, (bo rok pierwszy był na matematyczno-fizycznym), uczył się i zaczynał czytać po grecku i po niemiecku, więc i we wszystkich arcydziełach w obu tych językach zaczął szukać i dopatrywać tego pierwiastku; aż nakoniec doszedł do przekonania, że jemu to one właśnie i wielkość swą, i nieśmiertelność są winne. Homer i Goethe mianowicie stali się ulubionymi jego pod tym względem mistrzami; Elegię zaś pana Tomasza tak ciągle nosił przy sobie, że mu się aż zszargała w kieszeni. Następnie razem z Czeczotem, gorliwym zbieraczem i naśladowcą piosnek gminnych, zaczęli w nich szukać wskazówek uczuć, pojęć, zwyczajów i obyczajów rodzinnych, co wszystko owoczesna poezya książkowa całkiem w sobie była zatarła“.

„Takie były pierwsze początki kierunku romantycznego w Wilnie“, — dodaje Odyniec, zapewniając, że: „żadne cudze pisane teorye nie wpływały na ten pierwszy zwrot jego, chociaż go później rozjaśniły i wzmogły“.

Przykład i wpływ Zana zatem był jednym z tych pierwszych i najsilniejszych czynników, które z Mickiewicza, jako autora „Zimy miejskiej“, uczyniły autora „Romantyczności“, wyrywając go z pod wpływów sztywnego, napuszonego i nieszczerego klasycyzmu.

Owa wspomniana Elegia na odjazd ulubionej uczennicy, dzisiaj wydałaby się nam bardzo zwyczajnym, bezpretensyonalnym wierszem, którego główną zaletą jest właśnie owa prostota w wyrażaniu uczuć i w malowaniu pospolitych szczegółów potocznego życia, okraszonych jednak osobliwym wdziękiem, z jakim poeta umie mówić o nich.

Niema tu ani szumnych metafor, ani mitologii, ani patetycznych wykrzykników, ale to proste szczere: „A kiedy odjeżdżasz, bywajże zdrowa i o naszej przyjaźni dobrze mów!“ — tylko że to wszystko ładnie, bezpretensyonalnie i tak jakoś po prostu powiedziane, musiało swoją niezwykłością i świeżością wyrażenia odbijać od wszystkich elegii, jakie się dotąd pisało na wzór łacińskich, francuskich i niemieckich poetów i dlatego właśnie tak głębokie na Mickiewiczu wrażenie sprawić mogło.

Ten szczęśliwy instynkt Zana w umiłowaniu prostoty, swojskości i zużytkowywania drobnych tematów życia powszedniego w opromienieniu uczucia i poezyi, przy większym talencie byłby go niewątpliwie wysunął na czoło oryginalnych twórców w rozmaitych rodzajach i kierunkach.

Możemy mieć tego dowód np. w pozostałej krotofili jego zatytułowanej „Gryczane pierożki“, o której znowu świadczy Odyniec, że: „Mickiewicz cenił ją bardzo, jako wierny obraz z natury obyczajów i usposobień studenckich“.

Dla uczczenia jego, dawni koledzy wystawili ją własnemi siłami w Wilnie, gdy za urlopem przybył do nich z Kowna.

Kiedy się zważy, że ta „krotofila studencka“ w dwóch aktach, wierszem napisana, pochodzi jeszcze z r. 1817-go, że jest osnutą na motywach wprost z realnego życia młodzieży ówczesnej wziętych, że jest na wskróś swojską i oryginalną, że nawet do dzisiejszego dnia nie straciła pewnych znamiennych cech realizmu i prawdy w charakterystyce figur, że jest bardzo śmiałą a nadto szczęśliwą próbą stworzenia (jeszcze przed Fredrą) komedyi współczesnej bez naśladowania jakiegokolwiek wzoru lub posługiwania się cudzemi pomysłami, (czego niestety ani o Zabłockim, ani o innych dotychczasowych pisarzach dramatycznych nie dałoby się powiedzieć), to znowu temuż samemu Zanowi trzeba policzyć to, jako zasługę nie mało ważną, a godną tem większego uznania, że na nie blizko wiek cały zawistny los czekać mu kazał.

„Gryczane pierożki“, krotofila w dwóch odsłonach powstała jeszcze w roku 1817; napisał ją Zan na parę lat przed powstaniem „Geldhaba“, dla teatru amatorskiego, który tegoż roku na Wielkanoc urządzano w domu pp. Dąbrowskich w Wilnie. Aktorami byli studenci uniwersytetu a koledzy lub uczniowie autora. Powtórzono ją później na imieniny p. Dominikowej Tyszkiewiczowej, przy udziale młodych Śliźniów, Chodźków, Tyszkiewiczów, gorliwych filaretów późniejszych.

Osobliwością jej jest, że na wzór komedyi Bohomolca, grywanych przez uczniów po konwiktach jezuickich, obchodzi się bez kobiet; występuje w niej tylko ośm osób: Bartłomiej Cwibak, pierożnik przybyły z Mińska do Wilna, studenci Wiatran, Urwipięta, Chwatosz, Nowak (niedawno przybyły z Mińska prowincyonalista), Tępin, Lerman guwerner i Johan służący na stancyi studenckiej.

Główną figurą „krotofili“ jest pierożnik niemiec, którego podobno żywcem autor z natury przeniósł do swojej sztuki i przez to nadał jej niejako pewną aktualność.

Był taki Cwibak, przekupień uliczny, który wystawywał pod bramą szkolną w Mińsku i w Wilnie, mówił zabawnie łamaną polszczyzną, znajomił się ze wszystkimi studentami, karmiąc ich pierożkami po trzy i pięć groszy, a miał na jednym punkcie śmieszną ambicyę, iż samo przypuszczenie, jakoby wypiekał pierożki gryczane, doprowadzało go do passyi.

Zatruwano staremu oryginałowi życie, podrwiwając z niego w tym względzie i tę śmieszność dobrze podpatrzoną, zręcznie, z humorem, w sposób swobodny i lekki, zużytkował Zan w swojej komedyi.

Co w „Gryczanych pierożkach“ dziś jeszcze uderza, co sprawia, że pomimo swoich dziesięciu prawie krzyżyków nie czuć ich pleśnią i stęchlizną, to ta świeżość materyału, wziętego wprost z natury, to ta prawda i realizm w charakterystyce indywidualnej każdej z osób i w dyalogu, sprawiające wrażenie, że ten miły, bezpretensyonalny a pogodny obrazek malowany był w słońcu z żywych wzorów, które autor z nader szczęśliwym instynktem komedyopisarza podpatrzył w swojem najbliższem otoczeniu.

Rozumie się, iż krotofila studencka nie może być osnutą na bardzo zagmatwanym pomyśle, nie szukać w niej wielkiej intrygi ani naprężonych sytuacyi, ale odbija ona w niewinnym figlu studenckim charakter, temperament i usposobienie ówczesnej młodzieży szkolnej w Wilnie, która zdobyła tak poważną kartę w dziejach naszego rozwoju społecznego z pierwszej kwadry zeszłego stulecia.

Widzimy tę młodzież, choć w niewielu przedstawicielach jak się uczy, bawi, figluje, znajdujemy w lekkich ale zręcznie nakreślonych konturach wyraziste rysy przyszłych indywidualności i nie dziwimy się wcale temu, że Mickiewicz „Gryczane pierożki“ bardzo cenił, jako wierny obraz z natury obyczajów i usposobień studenckich, bo i dzisiaj jeszcze cenić je trzeba nie tylko dla tych względów, ale i dla wartości literackiego zabytku, jakim się stały, tem bardziej, że między Zabłockim a Fredrą stanowią one niejako malutkie, lecz cenne ogniwko, które się nam przez tak długi czas zapodziało w inwentarzu naszej komedyi.

Być może, że i na scenie dzisiejszej „Gryczane pierożki“ Zana mogłyby zająć i zabawić nie samych miłośników literatury i swojszczyzny; ale na taki eksperyment wartoby się odważyć tylko wobec publiczności, która nie żyje głównie bieżącą chwilą, rozumie i uznaje potrzebę retrospektywnego repertoaru, nie pomiata i nie gardzi „starzyzną“ dla tego jedynie, że z niej korzystać nie potrafi; możnaby na jakiejś scenie, osłonionej dla Zoilowych oczu dzisiejszej krytyki zaryzykować takie widowisko, któremu niegdyś z zajęciem przypatrywał się Mickiewicz przed niespełna stoma laty...

Na razie poprzestać trzeba na nadzieji zapowiedzianego wydania w druku chociaż wyjątków bogatej puścizny Tomasza Zana.

Lwów. *Maryan Gawalewicz.*

„Gryczane pierożki“

(W streszczeniu i wyjątkach[1]).

Autor podzielił swą sztukę na dwie odsłony; pierwsza jest jakby prologiem, ekspozycyą dla drugiej, w której rozwija się właściwy ruch komedyowy.

[1]) Przed laty kilku ś. p. Abdon Zan, poważany obywatel ziemski na Litwie, radca Towarzystwa kredytowego ziem. w Warszawie, zamierzał wydać

Na ulicy przed gmachem szkolnym stoi stary Cwibak z koszem pełnym smacznego pieczywa i monologuje tak łamanym językiem, że uszy bolą go słuchać, ale i tak zabawnym, że musiał ze sceny wywoływać wybuchy śmiechu.

Chwala Panu Bogowi, już ten Mińsk przeklęty,
Ten glupi miast porzucić i glupi studenty;
Glupi, dalibóg glupi!.. ja, werawtig[1]) glupi,
Ja mieć piękne pirożki, on u mnie nie kupi,
Ja mieć piękny sucharka, mit cukr, cynamony,
U mnie jest bil cwejbaczki!.. a krzyczą jak wrony,
Te studenty przeklęty, kolo moj zebrane:
„Nie bier tego pirożki, bo jest bil gryczane!“
Nie możny tego ścierpieć!.. moje serc zadyszan.
Kanali!.. Gryszan pirog, pirog gryszan, gryszan!..

Oto powód główny, dla którego porzucił Mińsk.

...Lecz teraz nach Wilna!
Student dobry, bogaty, uczony i pilna,
On poznaj mój pirożki!.. Na Mińsk niech Szuldiga[2])
Z swój szarny obarzanki i pierniki dyga,
Ja tu będzi przedaje i zaraz pod szkola
Mój pan Cwibak: „Paniczy, pirożki!“ — zawola.
(Z daleka widać uczni, wychodzących ze szkoły).
Aha!.. idzie studenty!.. jak zawsze, swywoli,
Nigdy nie chodzi prosto, nie chodzi powoli,
Zawsze skacze, głów kręci, biega, świszcze, bryka,
I bida się, i tuza mit halas, mit krzyka,
Jeden drugiemu kulak na brzucha położy.
Wiem, czemu tak swywoli: nie ma wielkiej grozy!
Żyda bije po pejsie z kamieniem, kulaka,
Albo śniegu nasypie, a mnie mój Cwibaka
Niemca kiedy obaczy, z swego śmiecha lichi
Krzyczy: „Gryszan pirożki!..“ i chichi, i chichi!..
Gdyby dal kij po lebie, ucieklby ze stracha.

Autor zadał tu sobie umyślnie trudność, którą zręcznie pokonywa; psuje swojemu Cwibakowi język i każe mu mówić wy-

---

przynajmniej część utworów swojego ojca w trzech tomach, ułożonych i opracowanych do druku przez M. Gawalewicza.

Nagła, bolesna i niespodziewana śmierć spadkobiercy imienia i tradycyi Mickiewiczowskiego druha, przerwała rozpoczęte w tej sprawie starania, lecz należy mieć nadzieję, że piękny zamysł nieboszczyka podejmie jeszcze pozostała rodzina, a wtedy w rzeczonym zbiorze znajdą się w całości na pierwszem miejscu „Gryczane pierożki“, które tutaj pozwalamy sobie podać tylko w streszczeniu i większych wyjątkach z rękopisu.

[1]) *Wahrhaftig* zaprawdę.

[2]) Konkurent Cwibaka na mińskim bruku.

krętasami polsko-niemieckimi, ale nie mniej pilnie dba o rytm i rymy starając się utrzymać swego bohatera nieustannie w komicznem zabarwieniu, bez jaskrawości karykaturalnej.

Ze szkoły wychodzą między innymi dwaj uczniowie, jeden nie darmo Urwipiętą nazwany, chytry szpaczek, naciągacz, krętacz i już na szkolnej ławie wyzyskiwacz kolegów, — drugi Nowak, prowincyonalista naiwny, zahukany, nieśmiały, dziwiący się wszystkiemu w wielkiem mieście i śmiejący się w najniestowniejszej chwili. Urwipięta, który podjął się przy nim roli mentora strofuje go za to i podrwiwa:

Bodajby cię Nowaku!.. cha—cha, cha—cha, cha—cha!
Ja nie wiem, co się roi w twojej pustej głowie?..
Z postaci niewiniątko, głupi jakiś w mowie,
Ni twe kroki, ani ruch na nas nie wygląda;
Wilno coś wspanialszego po studencie żąda,
Trzeba mieć bystrość w oczach, a śmiałość na czele,
Zwinność w całej postawie, a ty tak, jak cielę!
Każdy z nas stroić będzie po klasach chichoty
Z twej osłowskiej postaci, z wieśniaczej prostoty.
Przyszedłeś drżącym krokiem, wzrok w ziemię wlepiony,
Jak baran na ofiarę u Greków ciągniony;
Słowaś nie mógł przemówić, wyraz w gardle tonął,
Zbladłeś, jak trup, a potem razem się zapłonął,
I teraz mnie śmiech bierze!.. wcale nie przystoi,
Gdy kto przed profesorem, jak świętoszek stoi,
Bo prawdę mówiąc i to między nami,
My, co się ocieramy z Akademikami,
Od nich nam światło płynie, od nich mamy miny,
Od nich czuby i od nich kawalerskie czyny,
A ty wieśniak... ty prostak z gębą rozdziawioną!

Cwibak pilnie podsłuchuje ich rozmowę i natrętnie, choć niezauważony z początku wtrąca się do niej, zalecając swoje pierożki „piękne, smaczne, zdrowe, z cukrem, bardzo nie drogie“, aż wreszcie zwraca uwagę Urwipięty, któremu się rekomenduje i o poparcie u studentów prosi. Nowak śmieje się z zabawnego niemca, ale go kolega tłómaczy przed Cwibakiem:

On śmieje się od rana do rana,
Zwyczajnie z wioski, z lasu, z ciemnego powiatu,
Nie widział dobrych ludzi, nieznajomy światu,
Lada rzecz go rozśmieszy, lada rzecz zadziwi,
Wytrzeszcza oczy, gębę rozdziawia, nos krzywi.

I dodaje z mentorską miną: „pilnuj się ludzi miejskich, oświeconych szlaku, umiej szanować starszych!..“ a jednocześnie zciąga

z koszyka pierożki i smacznie zajada, nie kłopocząc się, kto za nie zapłaci, Cwibaka zaś pociesza protekcyonalnie słowami:

Nie lękaj się, powiadam, mój dobry człowiecze,
Każdego jak zwyczajnie los swym biczem siecze,
A bądź pewny, że u nas nie tak student srogi
Z większym jeść apetytem będzie twe pirogi.
(na boku) Ale płacić, oto sęk! (głośno) Ja cię zaprowadzę
Do naszego mieszkania, tam wszystkim naradzę
Twoje śliczne sucharki... a obaczysz panie,
Że na dziś twojej skrzynki zapewno nie stanie.

Cwibak: Wielki obligation!
Urwipięta: Chodźże!
Cwibak: Lecz panicze
Za te trzy pirożki...
Urwipięta: W stancyi mej wyliczę!
(do Nowaka) Czy nie masz dwudziestówki?
Nowak: Nie.
Urwipięta: Cóż tam u kata!
To tylko do przyjazdu ojca, matki, brata,
Lub ktokolwiek z mej strony do Wilna zawita,
Oddam ci to z naddatkiem.
Nowak: Nie.
Urwipięta: To z przyjaźni kwita!..
Nie umiesz z przyjaciółmi żyć tak, jak należy.
Spodziewam się, że kiedyś ten mi czas nadbieży,
Gdzie mojej łaski pewno będziesz potrzebował,
Ja *Dekurio,* ty mnie będziesz recytował;
Choćbyś najlepiej umiał z swem cielskiem ponurem,
Zawsze zapiszę N. B. lub N. S. z kapturem.
Próżne będą kubany... nie próżna ma groza,
Utną kozę po boku, gdy przyjdzie do woza!
Nowak: (przelękniony) Ja mam całą czterdziestkę; weź, kiedy chcesz bracie!
Cóż mam robić, kiedy się tak srogo gniewacie...

Urwipięta łaskawie bierze czterdziestówkę, ale jakoś nie spieszy się zapłacić niemcowi, tylko każe mu iść za sobą „na stancyę studencką“, przyrzekając, że „pustą swoją skrzynkę poniesie do domu“ i utarguje sporo grosza.

Zasłona spada, a gdy się podnosi po raz drugi, odsłania stancyę studencką, w której uczniowie zebrani grają w „zmurki“, czyli w zmrużki, albo w łatwiej zrozumiałą „ciuciubabkę“ uczą się i przygotowują do lekcyi z guwernerem Lermanem, swywolą i hałasują z młodzieńczą pustotą. Pozwalam sobie, zamiast streszczenia przedrukować całą tę scenę z rękopisu, aby dać pojęcie o fakturze i żywości dyalogu Zanowskiej krotofili.

Chwatosz, wstaje od stołu, gdzie pisał i mówi:

Patrzcie, jak długo niema ze szkół Urwipięta!..
Wałęsa się i psuje nowego studenta.
Wszyscy: Prawda, już z półgodziny prawie spełna mija!
Chwatosz: O, na niego guwerner wiele not nawija,
A teraz gdy powiemy, że późno przychodzi
Nowa zła nota pewno w *eracie* się zrodzi;
Ale słuchajcie bracia, troszkę pohulamy,
Czy w króla?.. w ślepą babkę?.. a wszakże czas mamy.
Daleko jeszcze szósta. Nuże w lewo, w prawo,
Kręćcie pytki!.. Ja tęgie zrobię króle żwawo.
Wiatran: Ej, dajcie pokój królom!.. jeszcze bolą dłonie
Od wczorajszych... w zmurki!.. ja oczy zasłonię.
Król jest niesprawiedliwy, marszałek zawzięty,
Szlachcic sobie spokojnie siedzi, jakby święty,
Chłopa tylko z cyganem cisną w tęgie pyty;
Wyższy ciągle w rozkoszy, niższy zawsze bity,
A w zmurkach wszyscy wolni, równi i weseli.
Wszak my wolność lubimy?.. cóż będziem siedzieli!..
Tępin: Nie słuchajcie panowie tego bałamuta!
W zmurki hałas, kto przyjdzie... tuputa, tuputa!
A przy stole nad książką każdy będzie śmiały,
Grać choć do samej szóstej w moje kardynały.[1])
Wiatran: Co ty ośle!
Tępin: Ty sam osioł!
Wiatran: Nigdy nic nie umie,
Plotka, łgarz, jeszcze wiele o sobie rozumie.
Jeszcze weźmiesz na pieńku, kiedy nie przestaniesz
Pochlebstw dla guwernera!.. On wszystko wyplecie.
Tępin: Ty sam łgarz!.. nie przeszkadzaj!
(uczy się z książki moralnie).
„Nikt nie jest na świecie
„Bez tych potrzeb; ma je twój ojciec, ma matka,
„Mają sąsiedzi, mają“...
Wiatran: Ot, licha dzierlatka!
Ucz się, — choćbyś pękł, nic się nie nauczysz zgoła.
Ze mną w zmurki, kto zechce — gromadko wesoła!
Tępin: (uczy się) Powiem ja wszystko, powiem, a będziecie [w biedzie!
„Nikt nie jest na świecie“...
Wiatran: Pies szczeka, pan jedzie.
Chwatosz: Onby może chciał chętnie grać w swe drapanosy.
Wiatran: Wszak wiesz: psi głos nie idzie nigdy pod niebiosy.
Dajcie kija!.. bierzcie się, kto sam wierzchołek przytłoczy,

[1]) Gra w drewienka jednostajnej długości, odmiennie wyrabiane i różną wartość mające.

Ten będzie łowił, temu zawiążemy oczy.
(biorą kij i jeden po drugim, ręka przy ręce obejmują go)
Raz, dwa, trzy!.. ciśnij mocno!.. aha!.. kto przykrywa?
Czy to twoja Chwatoszu ręka nieszczęśliwa?
Chwatosz: Moja; dawajcie chustki!.. lub w czapkę się skryję.
Wiatran: Oto masz bracie chustkę, masz ją z mojej szyji,
Ja ci ją sam zawiążę.
Chwatosz: Nosa nie zakrywaj!
Tępin: (ucząc się) „Doznasz nawet i innych“...
Wiatran: A teraz zdrów bywaj!
Chodź na środek, a stawaj tu na tej cegiełce!
(pytająco) Na czem stoisz?
Chwatosz: Na szpilce
Wiatran: Gdzie stoisz?
Chwatosz: Na igiełce.
Wiatran: A czego potrzebujesz?
Chwatosz: Kwasu.
Wiatran: Czego?
Chwatosz: Kwasu.
Tępin: (ciągle się ucząc) „Te zaś wszystkie, które się teraz“...
Wszyscy: Łapaj-że nas!
(Chwatosz łowi, inni uciekają)
Tępin: (ucząc się, spogląda jednak z zajęciem na rozbawionych kolegów)
„Co się już wyliczyły“... (przerywając sobie nagle, do Chwatosza)
Gdzie idziesz? na wschody?...
„Można nazwać potrzeby żywienia wygody“.
Chwatosz: Gdzieżeście się schowali?.. czemu nie klaskacie?
Tak cicho; jak tu łowić!.. i nie uciekacie!
Nie szczypcie się panowie w samej nogi schyłku!
Tępin: (ucząc się) „Potrzebne ci jedzenie, napój dla posiłku“...
Chwatosz: Tutaj złowię!
Wszyscy: Łów, łów, łów!..
Tępin: (j. w.) „Dla spoczynku i spanie,
„Naczynia, sprzęty, statki i inne domowe...
„Co służą do roboty“...
Chwatosz: Kto wam odjął mowę?
Ozwijcie się coś przecie!
Wszyscy: Żyjemy, żyjemy!
Łowić lepiej i zręczniej życzemy, życzemy!
Wiatran: Słuchaj bracie... panowie *nota bene* proszę,
Słuchajcie, jakie prawo do tych zmurek wnoszę:
Kogo z nas złowi Chwatosz, temu zwiążem oczy,
Ten z nim razem nas łowić niech będzie ochoczy;
Niechaj słaby słabemu wzajem rękę krzepi,
Bo niż jeden, coś więcej we dwóch zrobią ślepi.

Nuże dalej Chwatoszu, na prawo, na lewo!..
Wy chłystki się zwijajcie zręcznie, skrzętnie, żywo!
(Gdy ten łowi, wchodzą Cwibak, Urwipięta, Nowak i ten ostatni siada do pisania a tamci swawolą)
Chwatosz: (łowi Cwibaka) Jest!.. nie puszczę!.. Niech silnie, [jak kto chce się wierci,
I czy prędzej, czy później nie uniknie śmierci!
Cwibak: O fi!.. ja nie należeć!.. ja Cwibak z piroga
Przyszedł, bardzo smacznego, pięknego, nie droga;
Proszę kupić!..

Nie pomagają wszelkie protesty, prośby i perswazye; niemcowi oczy zawiązują, każą mu wraz z Chwatoszem kręcić się w kole rozbawionem i łowić. Tu właściwie dopiero rozpoczynają się rozmaite perypetye komiczne. Niemiec się kręci, jak mucha w ukropie, poci i sapie, wyrzeka: „Oj Got mój, ach Boże!“ — a Urwipięta i inni studenci wyjadują mu podczas tego pierożki ze skrzynki.

Nareszcie udaje mu się złowić ofiarę, która ma go wykupić z tej czyścowej próby, tryumfująco przytrzymuje go, wołając:

Aha! jesteś?.. postój mój kuklaku!

A właśnie w tej samej chwili Tępin, ucząc się bez przerwy przy słowach: „potrzebne ci jedzenie“, bierze pierog ze skrzynki Cwibaka i zajada go ze smakiem, jakby wygłoszone zdanie z lekcyi chciał czynem zillustrować. Zmachany pierożnik błaga:

Róbcie laskawości
Paniczy, miejcie na mój glów stary litości!
Już więcej nie chce lapać!.. ja bardzo zmordować.
Chodzi na wszystkie strony, nie może zlapować,
Ja, ja, weraftig prawda, — czego ze mnie śmieji?..
Chwatosz: Nic z tego mój niemczyku, ani miej nadzieji
Odkryć swe oczy pierwiej, nim kogo nie złowisz!
Nasze serca są twarde.
Cwibak: Aj, cóż Waćpański mówisz!
Ale prawda, ja kiedy bila jeszcze mloda
Gdy mial dwódziesta roki, choroszy uroda,
I mój serc bil jest twarda, ja weraftig twarda,
Nic nie miękki, ni troszki, jeszcze barzo harda,
Ja kiedy chcial nach Berlin und Wroclaw wyjakać
Moja Mutter und Vater, Bruder, Schwester plakać,
A ja fi!.. nie plakać; ja koniecznie jedzi;
I Johan stary plakać...
Chwatosz: Patrzcie, jak on bredzi!
Cwibak: I mlody Katarynka,[1]) i mali Johaszka!
Ja nie plakać, — i siedzial już na kalamaszka,

[1]) Późniejsza żona Cwibaka.

Chcial jechać z nieskrzywiona i gęba, i nosem,
Aż cielątko żalosnym bardzo krzyknie glosem;
„Bartlomejku!“... nie może już wiency wytrzymać,
Ja zaplakać, nie jakać i koń mój przytrzymać.
Wiatran: Prawdziwie mój kochany jako jesteś czuły,
Łapajże nas!..

Nie mogąc się po dobroci wyprosić, Cwibak bierze nareszcie na kieł, zdziera chustkę z oczu i oświadcza stanowczo, że bawić się dłużej nie będzie, bo to nie przystoi: „żeby stary swywoli, jako student mlodzi!.. to nigdy nikt nie slychać“. Ale tu spotyka go zaraz drugi pocisk wymierzony w jego najsłabszą stronę; jeden ze studentów, Chwatosz, przyjrzawszy mu się lepiej po zdjęciu z twarzy chustki woła:

Jak się masz Cwejbaku!
Cwibak: Was mnie znać?
Chwatosz: Czemuż nie, mój dobry niemczaku!
Nazywasz się Bartłomiej i w Mińsku pierogi
Przedawałeś, nieprawdaż?
Cwibak: Smaczny i niedrogi.
Chwatosz: Do szkół w Mińsku chodziłem, ciebie dobrze znałem,
Na kredyt i za pieniądz twe ciastka miewałem.
Jeszcześ mnie nie poznał?
Cwibak: Pana... pana... pana!..
Jechalgom ciebie jego pies!.. poznal!.. na Lonszana
Kamienic pański stojać?.. poznal, poznal, poznal!..
A czy dobry powodzi?.. poznal, poznal, poznal!..
Chwatosz: Bardzo dobrze; a tobie?
Cwibak: Z Mińsk musial uciekać
I ten student, i miasta glupia się wyrzekać.
A Waćpański stryjaszka, ten, co to bil stara....?
Chwatosz: Umarł.
Cwibak: Umarl?.. fi!.. umarl!.. trarara—ra—rara!
Umarl, umarl?!.. jechalgom ciebie jego piesa.
Gdzie pochować?
Chwatosz: W Kalwaryi.
Cwibak: W Kalwaryi?.. do biesa!
Tam do dyabła, — taki zdrów, czerwony i krepty,
Nie plakać!.. żeby Pan Bóg bil zdrów, a koncepty
Wszystkie na dobry bedzie pójść szedł maniery...
Chwatosz: Dziękuję za pociechę.
Cwibak: Ja grzeczny i szczery.
Chwatosz: Wdzięcznym ja być Waspanu nigdy nie przestanę.
Wszyscy: Kto to?
Chwatosz: On nosił w Mińsku pirożki gryczane.
Cwibak: (ogromnie rozgniewany)
Gryszan, twój glowa gryszan!... twoja gryszan ucha,

Twój pieniądz gryszan!.. gryszan język, brzucha,
Gryszan!.. i ty sam gryszan; a gdzie tylko śliszan
Wszystko: „gryszan pirożki i pirożki gryszan!"
Kanalie wszystko gryszan!.. żeby spuścić sztany[1])
A daj po gole z tysiąc potężne bizony...
Czy to gryszan pirożki?.. nagledzi, obaczy!..
Ja bil gryszan pirożki? co mi to majaczy?..
Chodzi, gledzi!.. obaczy!.. gryszan ócz wytrzeszczy!

Wiatran: (na boku)
Jak nie ujrzy pierożków, to gorzej zawrzeszczy.
(Cwibak spostrzega, że niema nic w skrzynce)

Cwibak: Aj, aj!.. gwałtu!.. gwałtu!.. złodzieji, kanali!
Fistki moji pirożki pokradli, pobrali.
Ani jest bil żadnego, ni taka, ni taka,
Ani gryszan, ni przenny, ni z miodu, ni z maka.
Biegaj!.. wolaj policya!

Urwipięta: Niech się twa myśl zmieni.
Co rozumiesz?.. że u nas nic niema w kieszeni?
Wiele ci za to wszystko?.. składkę uczynimy,
Co do grosza jednego za to zapłacimy.

Cwibak: (udobruchany) No, no, kiedy zaplaci, to dobry paniczy.
Ja powiem to niedroga, ja zaraz policzy.
Drei mal zwanzig ist sechzig... a mój Katarynka
Sami lepsza pirożka włożyla do skrzynka,
Pol kopa z cynamona, pięć cwejbak niewielka;
Z dziesięć i pięć sucharki... wszyscy trzy rubelka.

Urwipięta: A to drogo!

Cwibak: To tana.

Chwila staje się dla młodych łasowników krytyczna, bo niemiec drażniony przymówkami o gryczanych pierożkach, domaga się koniecznie zapłaty należytości, grozi, iż pójdzie poskarżyć się guwernerowi, wymyśla na szkoły bo:

Wszystko glupia, i taka przeklęta nauka,
Co tylko jeść nauczy a nie uczyć placić
I chce mieć brzucha pelna a kieszeń nie stracić!

Na chwilę uspakaja go obietnica zawsze pewnego siebie Urwipięty, że będzie zapłacony, byle tylko siedział cicho i nie przeszkadzał studentom w nauce, bo ma się wkrótce odbyć lekcya z profesorem Lermanem, który się spaźnia, ale polecił uczniom przygotować się z zadanych przedmiotów. Cwibak siada i przysłuchuje się recytowaniu lekcyi, którą Chwatosz powtarza z kolegami; przy tej okazyi wkłada mu autor w usta kilka wierszy ostrej satyry na rosyjskie

---

[1]) Z rosyjskiego: spodnie.

łapownictwo, co w owe czasy było już nader śmiałą wycieczką przeciw władzom administracyjnym.

Chwatosz jednemu z uczniów, Tępinowi, daje z arytmetyki takie zagadnienie do rozwiązania:

Słuchajże więc uważnie, ja ci liczbę zadam:
Szedłeś naprzykład koło jednej kamienicy,
Albo też przez zaułek, lub środkiem ulicy,
Aż leży trzos, czy worek, kieska czy kozica...
Zgubił ją ktoś, adwokat, ksiądz, czy też dziewica.
Znalazłeś tam pieniędzy trzydzieści dukatów;
Trzeba dzielić na sześciu one koligatów,
Wszystko równo; — każdemu wiele więc przypadnie?

Cwibak: (wzruszony)
Ach, Boże!.. czego uczy!.. to mi pieknie, ladnie;
Ja sam znajdzie, a trzeba na sześci rachować!..
Kiedy nam pan Bóg daje, to cicho zachować.
Meine Mutter mnie mówić, — (bili bardzo walny
Staruszka), że tylko do podzieli miej prawo kwartalny[1])
Policmajster, kapitan, oberchapkę robią
Na różny glupia sposób swój kieszeń sposobią.

Johan, lokaj: Aj, to prawda!.. i ja się ku temu przychęcę.
Ci ludzie z pazurami noszą swoje ręce.
Biednych drą, dobrze piją, rublom się kłaniają
I oberchapek robić nigdy nie przestają.

Dowcipny Wiatran wykoncepował zadanie rachunkowe, które jak czerwona płachta na byka, działa na drażliwego pierożnika; oto zapytuje kolegów, że jeśli stargował u niemca najśliczniejsze ciasta za trzy ruble i zdawało się, iż tanie, ale gdy po zjedzeniu przekonał się, że były gryczane, wieleż trzeba odtrącić? Cwibak już wpada w furyę, wymyśla wszystkim, obiecuje plagi od „pana Prefe“, przyczem sam będzie studentów przytrzymywał za nogi i w końcu wybiega zapieniony.

Studenci skonfundowani powracają do przerwanej nauki i debatują, co począć, aby rzecz się nie wydała, bo pieniędzy tyle nie mają, aby niemcowi za zjedzone pierożki zapłacić.

Lokaj Johan, powiernik młodzieży, sprytny dowcipniś, radzi, aby się do wszystkiego przyznać, bo:

Tak pono będzie lepiej, bez długiej repliki
Manifestu... rzecz cała: odszpilić guziki,
Położyć się na pieńku, bez huku, bez puku,
Bez pieniędzy po jednym skosztować kańczuku.

[1]) Z rosyjska: naczelnik dzielnicy miasta, komisarz.

Młodzież się oburza na taką propozycyę, łaje Johana, ale Urwipięta bierze go w obronę i wpada na pomysł, aby lokaja przebrać w płaszcz i kapelusz guwernera, kazać mu niemca zgromić, wykrzyczeć i przepędzić z jego wygórowanemi pretensyami. Tak też i robią. Johan przebrany z pompą udaje pana profesora i znowu z satyrycznem zacięciem mówi o ówczesnej pedagogii:

Mogę się guwernerską pochlubić urodą!..
Ni czytać, ani pisać, a na urząd wiodą.
Owóż wilczek, w baraniej figuruję skórze;
Państwo mnie pomagajcie, kiedy czasem stchórzę.
Fe, Johanie, — nie bój się!.. serce męstwo zbiera,
Haniebnie po tym dzwonią, kto z trwogi umiera;
Alboż to mnie uczone nie przystoją szaty,
Już dawno byłbym panem, gdybym był bogaty.
Nie z głowy człeka piszą, ale po ubiorze,
Sądzą, kto jakim bywa i co zdziałać może.
Nie sądźcie, bym nie umiał ani B, ani Me,
W Wilnie z mym panem całą zimowałem zimę,
Znów z ludźmi bywało się po rozlicznych traktach,
Byłem na Nowogrodzkich i Mińskich kontraktach,
Znam ja różne wykręty, intrygi i wspólność,
I pięć razy czytałem książkę „Złota wolność".
Cicho mi zaraz dzieci!.. dalibóg, że brawo!..
Umiem urząd prowadzić z powagą i sławą,
Rzucam zaraz lokajstwo, zwykłym manijerem
Wyśmienicie domowym będę guwernerem;
Nazwę się wprzód Demonem, po francusku cale,
Co kto pochwali zganię, co zgani pochwalę,
Zganię polskie zwyczaje, wąsy i kontusze,
Ich gościnność, ich mężkie i cnotliwe dusze,
Język ich macierzyński przywiodę w ohydę,
Tem sobie grosza zbiorę i do sławy przyjdę.
Cicho mi zaraz błazny!

Studenci: (rozgniewani) Patrzno dokąd bieży,
Pozwolić kurom grzędy, to one chcą wieży!
Precz nam zaraz pijaku!.. cielę ubrało się,
Chce nam jeździć po karku i igrać po nosie.

(rzucają na lokaja książkami)

Johan: Aj, gwałtu!.. już grad bije po gromach i chmurach!..
Dalibóg, tylko trochę grywam na bandurach,
Nigdym nie miał zdatności, ani szczerej chęci
Grywać na krzywym nosie, co się panom kręci.
Nos to mi nie instrument, grałże na nim który?..
Podobniejszy do trąby, niźli do bandury.

Studenci: Jeszcze ci mało ośle?.. oto masz za kpinki!

(biją go kułakami)

Obrażony służący wymawia studentom swoją pomoc, nie chce udawać guwernera i ratować z kłopotu takich niewdzięczników, u których dusza na ramieniu, bo Urwipięta już prowadzi Cwibaka na sąd przed najwyższą instancyą. Młodzież wystraszona przeprasza, błaga, aby jej nie opuszczał, wreszcie ujmuje go pochlebstwami i sadza na krześle sędziowskiem, które on zajmuje z powagą, mówiąc sobie:

Musi być, moja mina na ten urząd wiedzie;
Poznać osła po uszach, po ogonie lisa.
Kiedy wiozą, więc jedźmy!

I niemiec wytacza swoją sprawę o trzy ruble przed sędzią surowym lecz sprawiedliwym, kryjącym brodę i połowę twarzy starannie w kołnierzu profesorskiego płaszcza, aby nie być zdemaskowanym i nie zepsuć całej komedyi z przebraniem.

Scena jest nader zabawna i komiczna, gdy Cwibak, nie poznając przebranego Johana lokaja, doprasza się sprawiedliwości u niego i wymiaru kary na niesfornych studentów, którzy na oskarżenia odpowiadają również skargami. Pierożnik utyskuje, że: „wszystko glupski na ten świat; niema sprawiedliwość, na niebie rozum siedzi, na niebie szczęśliwość, nie tu", — wkrótce zaś ma go rzeczywistość jeszcze dotkliwiej o tem przekonać, bo kiedy po wytoczeniu swojej sprawy domaga się zapłaty, studenci przed mniemanym sędzią surowym lecz sprawiedliwym obwiniają go, że: „człowiek jest uparty, hultaj, pijak, co większa — niemiec i bez karty!" (t. j. bez konsensu na prowadzenie handlu ulicznego). A on, nie rozumiejąc dobrze języka polskiego, zahukany i zmieszany sam wszystkiemu przytwierdza i powtarza ciągle: „Ja, waraftig, prawda!".

Lokaj z udaną grozą i namarszczoną twarzą konkluduje: „Z kraju wywołaniec!".

Studenci: Waryat, bez rozumu, głupiec, oszukaniec!
Cwibak: (nie rozumiejąc) Ja, waraftig, ja, prawda!
Johan: Więc dać mu pary batów
I pół głowy ogolić, dać do Bonifratów!
Cwibak: (j. w.) Ja, waraftig, — ja prawda, ale pirog tanne,
I dobre; ten przyświadczy (wskazując na Urwipiętę).
Urwipięta: Dobre, lecz... gryczanne.
Studenci: Gryczane!... gryczane!... gryczane, dalipan!

To najsroższe, najboleśniejsze, najdrażliwsze oszczerstwo doprowadza go teraz do wściekłości; on już nie może zapanować dłużej nad sobą, zapomina się do tego stopnia, że nie tylko wymyśla, krzyczy, grozi, ale bić zaczyna, kogo dopadnie. Wtedy Johan chwyta go za kark i wśród okropnego hałasu, stukotu, śmiechów i wrzasków rozbrykanej młodzieży, każe ma za karę paść na kolana i klęczeć.

*

Dziatwa bezlitośnie znęca się nad niemczurą i figle swoje posuwa za daleko, przekroczywszy szranki przyzwoitości, ale autor umie w samą porę przywrócić równowagę i zakończyć swą krotochwilę bez niesmaku, ogólną harmonią i zadosyćuczynieniem ogólnem w ostatniej scenie.

W najkrytyczniejszej chwili dla Cwibaka, jak *deus ex machina* ukazuje się pan guwerner Lerman i woła: „Cóż to za swawoie?"

Johan: (na boku) Wielka chmura, na wielkie grzmoty się zabiera
Studenci: (rozbiegają się do książek i udają gorliwie się uczących)
Hoc, terra... huius, terra...
Johan: Bieda et caetera.
Cwibak: (wyrwawszy się, ze złością) Klęczeć, gryszan przeklęty
Lerman: No, cóż się tu dzieje?...
Maskarada?...
Cwibak: Gryszan kanalji, złodzieje!
Mój pirogi pojadlem, próżna skrzynka nosza,
Ten student... glupi bylam... a grosza, ni grosza!
Lerman: Co tu było?... powiedzcie!
Johan: Cały jestem w strachu;
Wyjdzie na wierzch śmietana, dym padnie na dachu.
(Niemiec i lokaj do nóg padają guwernerowi)
Cwibak: Proszę placi za pirog!
Johan: Nie daj się unosić
Łaskawy guwernerze!
Lerman: O cóż chcecie prosić?
(spostrzega swój płaszcz na Johanie)
Na cóżeś mój płaszcz włożył?
Studenci: (w przestrachu) Biada nam, o nieba!
Johan: Zwyczajnie lubim nosy wtykać, gdzie nie trzeba;
Wszedłem, jak oznajmiciel, chciałem być rozjemca,
Widziałem, jak panicze oszukali niemca, —
Pojedli mu pierożki.
Cwibak: (rad) Tak, prawdziwa mowa,
A grosza mi nie placi, nieprawdaż?
Johan: Ni słowa.
Cwibak: (niby poznając oszukanie)
Chcialem mnie oszukiwać, lecz nie umial rola,
Ja zaraz potem poznać!...
Lerman: Swawola, swawola!
Cwibak: Potem mnie kazal klęczeć... ale ja nie durna.
Mospanie Johan, czemu tak jesteś pochmurna?
Teraz Waspański w strachu... lecz ja bil mieć trwoga;
To prawdziwy dobroziej, to lokaj nieboga!
Johan: (pokornie) Tak to zwyczajnie bracie, gdy kto w górę lezie
Gdy go tam nie zasługa, lecz intryga wiezie,
Musi prędzej czy później, z szaty ogołocon,

Nizko spadać i kijem może być wymłocon.
Daruj panie, ach daruj!
Lerman: Za twoje morały
Daruję twą swawolę i zostaniesz cały,
Lecz za to, że staruszka przymusiłeś jęczeć,
Musisz całą godzinę przy stoliku klęczeć!
Johan: Dobrze panie, więc zgoda...
Cwibak: Dobra pan powiada!
Johan: Kto pod kim dołki kopie, prędzej sam w nie wpada.
Teraz klęcząc, do Boga wzdychać muszę szczerze.
I zmówić zapomniane od dawna pacierze.
Cwibak: A za moje pirożki?...
Lerman: Wieleż ci należy?
Cwibak: Nie wiele, — trzy rubelka; to darmo nie leży.
Lerman: Masz bracie, — tylko nie bądź bardzo urażliwy
Przynoś do mnie pierożki codziennej pieczywy *(!).*
Cwibak: Ich danke!... tylko zakaż głupi ten zwyczaje,
Żeby mój dobry piróg gryszannym nie laje.
Lerman: Nie pięknie tak swawolić, nie Mościpanowie,
Potrzeba wiek szanować.
Cwibak: Ja mówil i mówię!
Studenci: Zbłądziliśmy aż nadto, każdy z nas to czuje;
Przepraszamy staruszka, a on nam daruje.
Cwibak: A będzie: „gryszan" wolać?... sam teraz poznaje.
Że mój bil smaczny pirog.
Studenci: Każdy to przyznaje.
Cwibak: Czysty bil komedyja ze mnie Bartlomieja!
Niechaj już Johan wstaje Mości Dobrodzieja,
A studentom darować za mój złość, za żale,
Jestem kontent waraftig, jestem kontent wcale.
Lerman: Niech tak rad będzie każdy, co ciebie tu czyta.
Johan: I pochwali gryczane pierożki, i kwita!
Cwibak: O, ja będzie szczęśliwy!
Johan: Dobrzem zdał examen, —
Bądźcie wszyscy weseli i szczęśliwi, Amen!

Zasłona spada i na tem ogólnem zadowoleniu krotochwila studencka Zana się kończy.

List Tomasza Zana.

W zbiorach p. Stanisława Rusieckiego z Trojanki między innymi znajduje się rękopis obejmujący różne, przeważnie oryginalne korespondencye z lat 1548—1826. Str. 205—208 tego rękopisu zawierają własnoręczny list Zana, który jako ciekawy przyczynek od zwierciedlający obraz zbolałej duszy tego szlachetnego wygnańca orenburskiego, przytaczam poniżej.

Kraków. *Dr. Kazimierz Kaczmarczyk.*

Dnia 25 lipca 1826 r. z Orenburga.

Panu Ignacemu zdrowia i pomyślności życzy Tomasz. W tych słowach przyjmij potwierdzenie zawsze jednostajnego ku tobie przywiązania i najlepszych życzeń, niech one serce twoje napełnią rozkoszą, jaką słodkiemi były dni przeszłe, nigdy może nie powrócone.

Życie moje próżnujące i tak dalece, że czasu wyobrażenie znikło już we mnie. Jakaś ciemna, jednostajna i ciężka ogarnia nas wieczność: czasami ją przerwie rzadki list braterski, rzadszy daleko przyjaciela. Zimą chciałem odpocząć, wiosną przechadzać się, latem tu gorąco do 30 kilku stopni w cieniu dochodzi: zapewne, jeśli Bóg mię stąd nie wyniesie, jesienią znowu zajmę się robotą. Czytam dosyć, nie uczę się niczego.

Orenburg forteca nad Uralem okrążony nieprzejrzanemi stepy, w których jak na umarłem morzu gubi się oko, serce boli. Na brzegu jest mały gaik, schronienie od upału, świątynia tęsknoty i żalu mojego. Nie zawsze samotny tam bywam, często w towarzystwie wyborném dam i wojskowości tutejszéj. W każdym albowiem domu uprzejmie jestem przyjmowany, tak iż zewnętrzne moje położenie wcale nie jest przykre i lepsze daleko, niżelim sobie wyobrażał.

Lecz co się wewnątrz mnie dzieje, tego opisać nie umiem, serce ustawicznie boli. Próżno szukam rozrywek, na których nie zbywa, już chodzę po gaju, już na łódce po cichem jeziorze wożę upodobańsze mnie stworzenia, jeżdżę konno jako rycerz towarzyszący czarownicom, czasami spiewam, zdarza się tańcować, przedstawowować szarady, do różnych gier należeć, pić w stepach herbatę, łowić rybę, wieczerzać w lasku, serce jak boli tak boli. Czasami kocham jakiémś gorzkiem kochaniem, a serce boli. Nowe tu mam widoki narodów, karawan wchodzących do dworu, zamiany azyatyckiej, obyczajów, a serce zawsze boli. Nocy tu piękne, w niektórych porach roku słońca wschód i zachód osobliwie zajmujący, a serce boli a boli. Straciłem ducha poetyckiego, żadném piórem ulżyć pełności mojego bolu nie mogę. I gdzie są jego przyczyny, powiedzieć nie umiem. Wszelką już wyciągnąłem rozkosz, jaką mieć można w pamięci o naszej przeszłości, stała się ona zwyczajną. Wysiliłem się i osłabiałem, tak iż nie mam czém stalszém budować milszych nadziei. A serce moje przecież drży i gore bez przedmiotu, pobudek i celu. Tém samém jestem pożerany, co mnie ożywia. Więdniję (sic!) i gasnę. Żegnam Cię kochany Ignacy: słabość nie dozwala mi więcej pisać, a ból serca odejmuje wszelkie władze umysłu. Pociesz mię swoim listem, za co wdzięczność wieczną znajdziesz we mnie samém.

Bądź zdrów

Tomasz.

RECENZYE I SPRAWOZDANIA.

Dr. J. Reinhold, Ze studyów porównawczych nad średniowieczną epiką: *Berte aus grans pies w literaturach germańskich i romańskich.* W Krakowie, 1909. (Osobne odbicie z t. XLVI Rozpraw Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie). 8°, s. 194.

Podanie o małżonce Pepina Małego a matce Karola Wielkiego, Bercie (z dużemi stopami), opiewa pokrótce tak: Pepinowi podsuwają złoczyńcy za małżonkę, zamiast właściwej narzeczonej, królewny Berty, przybywającej z obcego kraju, krewnę swoją i wspólniczkę, podobną do Berty; Berta, oddana przez sprawców zamiany na śmierć, nie ginie dzięki litości pachołków, lecz uchodzi w las i znajduje przytułek u obcych ludzi prostego stanu; fałszywa królowa żyje z Pepinem kilka lat i ma z nim dzieci; Pepin spotyka Bertę na polowaniu i owocem tego spotkania będzie Karol Wielki; tajemnica się wydaje, Berta idzie na tron, winowajcy ponoszą karę, lecz dwaj synowie fałszywej królowej wyrosną na przeciwników młodzieńczego Karola. Podanie to zachowane jest, licząc zarówno utwory literackie jak streszczenia lub krótkie wzmianki kronikarskie, w dwudziestu odmianach dosyć zwięzłych, tak że materyał badań jest niewielki, a niestety dosyć późny, bo dopiero z XIII w. (we Francyi: dwa krótkie streszczenia zaginionego poematu w *Chronique Saintongeaise* z lat 1225—50 i w Philippe'a Mousquet'a *Chronique rimée* z r. 1245, poemat Adeneta z r. około 1275 i kilka przeróbek; w Hiszpanii: ustęp kompilacyi prozaicznej z pogranicza XIII i XIV wieku; we Włoszech: poemat frankowłoski z końca XIII w. w rkp. weneckim i dwa inne utwory; w Niemczech: kilkanaście wierszy na początku poematu Strickera *Karl der Grosse* z r. około 1230, obszerne streszczenie w Chronik von Weihenstefan z XIII lub XIV wieku i trzy inne wersye; drobne przeróbki niderlandzka i angielska). W nowszych czasach zajmowali się podaniem o Bercie osobno Feist (1886) i Arfert (1897), a w obszerniejszych dziełach Gaston Paris *(Hist. poét. de Charlemagne* 1865 i inne pisma), Pio Rajna *(Le origini dell' epopea francese* 1884), oraz autorowie zarysów

literatury starofrancuskiej (Groeber, Becker i in.). Naogół uważano że niema jeszcze zadowalającego rozwiązania zagadnień wiążących się z tem podaniem. Szkoda, że i praca dra Reinholda nie posuwa sprawy naprzód.

I. Źródła pracy. Praca ta nie opiera się na wykryciu szczegółów nowych, dotąd nieznanych lub niezauważonych: takiego faktu nowego (czyto wzmianki jakiejś nieznanej, czy zwrócenia uwagi na jakiś ważny ustęp, czy zestawienia z innemi podaniami lub z historyą) nie przynosi praca ani jednego. Gdy się ją czyta, myślałoby się raz po raz, że autor znalazł i podaje jakieś wiadomości nowe. Wynika to jednak tylko z niedobrego sposobu cytowania prac dawniejszych. Jest zwyczaj, że ilekroć się podaje spostrzeżenie, które zrobił już ktoś inny, zaznacza się to: w ten sposób czytelnik widzi odrazu co cudze a co własne. Tu zaś jest inaczej. — Na str. 11—13 znajduje się wyliczenie dwudziestu wersyj zachowanych; ponieważ zaś autor poprzedza je (na str. 11) ostrym atakiem na Feista za to, że nie znał wszystkich wersyj (podobnie na str. 18), a zupełnie nie wspomina o pracach późniejszych, wygląda to tak, jakby autor pierwszy dopiero znał je wszystkie; tymczasem wystarczy zajrzeć do Gautier'a *Bibliographie des chansons de geste* (1897) lub do podręczników, aby znaleźć spis pełny. — Na str. 47—50 polemizuje autor z Feistem o to, że wersya *B* t. j. romans prozą z XV wieku pochodzi wprost z wersyi *A* t. j. poematu Adeneta i na końcu rozdziału zaznacza, że „do tego samego wniosku doszedł inną drogą prof. Becker (w *Zeitschr. f. roman. Phil.* 1892)“ mianowicie wykazaniem śladów wiersza w prozie; otóż Becker przytacza tam wszystkie bez wyjątku argumenty, które autor podaje jako swoje (o niedźwiedzicy, herbie, wozie, Girardzie de Roussillon, cyklu lotaryńskim) tak, że cały ten rozdział (str. 44—50) jest niepotrzebnem przepisywaniem Feista i Beckera, bo już np. Groeber streścił (w *Grundr. d. roman. Phil.* II^1, 1194) ten sam stan sprawy, który autor na końcu ujmuje od siebie w cztery punkty, w tych oto kilku słowach: „nach Adenets Dichtung unter Benutzung einiger historischen Data und Reminiscenzen aus anderen Epen“. — Na str. 59 przeciwstawia autor poglądowi Gast. Paris'a, że Stricker znał jakiś utwór zaginiony, swój rzekomo pogląd, że czerpał on „z ustnego opowiadania“, podczas gdy w rzeczywistości jest to powtórzeniem zarzuconego poglądu dawniejszego G. Parisa, który pisał w *Hist. poét. de Charlem.*, podkreślając słowa o „ustnem opowiadaniu“: „un Allemand qui avait *entendu raconter* l'histoire et l'avait retenue assez confusément“ (2 wyd. str. 225 nota 6). — Na str. 71 przypomina autor rozstrzelonym drukiem pewien rys podania o Pilacie i cytuje Massmana *Kaiserkronik* III, 600 gdzie się znajduje tylko tekst podania o Pilacie, zamiast poprostu powiedzieć, że Massman w rozdziale *Karls Herkunft u. Jugend* zestawia sam podanie o Bercie z podaniem o Pilacie i że zestawienie to znajduje się nawet u Groeber'a w *Grundriss* II^1, 394. — Na str. 82 autor omawia pogląd

Piot'a, który wręcz twierdzi, że wersya niderlandzka jest naśladownictwem Adeneta i nawet w tytule swej pracy to zaznacza (*Fragment d' un poème flamand imité de li Roman de Berte aus grans pies*), a autor, nie cytując tu tego tytułu i niby z Piotem polemizując, twierdzi że Piot „nie dochodzi do jasnej konkluzyi" i tak rzecz przedstawia, jakby on dopiero robił to odkrycie, które jest zarejestrowane nawet w małym podręczniku Beckera (*Einführung* 132): „Berte metten breeden voeten (nach Adenet)". — Na str. 86, wyrażenie „czytając powyższy rękopis ma się wrażenie że itd.", nie znaczy że autor czytał ten „rękopis", tylko że czytał go przed czterdziestu laty Mussafia, potem wydał z niego w *Romanii* III i IV poemat o Bercie, który się dzisiaj czyta w druku (taksamo o „rękopisie" na str. 112). — W ostatnim rozdziale pracy, w którym autor od streszczeń utworów i teoryj przechodzi do własnej budowy, jest najgorzej. Na str. 173—9, mówiąc o Pepinie i Bercie w historyi, zaznacza autor przy jednej z pierwszych wiadomości (na str. 174 nota 3): „szczegóły powyższe u G. Parisa", a w dalszym ciągu przytacza cały szereg wzmianek ze starych kronik i poematów, powołując się wprost na źródła, co tak wygląda jakby autor pierwszy, rozczytując się w średniowiecznych pomnikach historycznych i literackich, po raz pierwszy wydobywał na światło krytyki wzmianki odnoszące się do Pepina i Berty. Otóż wszystkie bez wyjątku te cytaty, oraz interpretacya motywu „dużych stóp" Berty (na str. 178) w przeciwstawieniu do małego wzrostu Pepina, zaczerpnięte są z Gastona Paris'a *Histoire poét. de Charlem.* 222 i n. oraz *La lég. de Pepin* tak, że cały ten rozdział jest najzupełniej przepisany z drugiej ręki. Tak samo w drugiej części tego rozdziału, wszystkie pięć wzmianek historycznych, dla których autor podaje jako źródło foliały Pertza (*Monum. Germ.*) i Bouquet'a (*Recueil des histor. de la France*), są znane i przepisane z Gastona Paris'a *Hist. poét. Charlem.* (439—40) i z Pio Rajny *Le origini* (199—200 nota 1, 205—7), przyczem Rajna oczywiście zawsze wspomina jeśli już przed nim G. Paris przytoczył jakąś wzmiankę. Wreszcie na str. 181 ma się znowu wrażenie, że zestawienie z Trystanem i Isoldą jest odkryciem autora, a w rzeczywistości znajduje się ono w całości u Arferta (str. 67—9), którego autor cytuje dalej, na str. 182, dla szczegółu. — Dodajmy, że autor wypomina sam jednemu ze swych poprzedników (str. 167 nota 2): „Arfert powtarza zresztą tylko interpretacyę Hahna (*Jahrbücher*), n i e w y m i e n i a j ą c g o, nowsze badania odrzucają domysł Hahna. Zob. Oelsner (*Jahrbücher*)"; a co powiedzieć i o tej wymówce, jeśli się zważy, że Arfert w miejscu o które chodzi (str. 61) wymienia i pogląd Hahna (z r. 1863 str. 6) i pogląd Oelsnera (z r. 1871 str. 160), zaznaczając różnicę ich zdań, a krytyk jego zna sprawę bodaj właśnie tylko z Arferta a nie z Hahna i Oelsnera. — Niedokładności tych należało unikać szczególnie z tego względu, że jest to praca romanistyczna ogłoszona w języku polskim, że zatem ci, którzy ją będą

czytać, nie będą mogli sprawdzać na każdym kroku i będą uważali za nowe zdobycze wszystkie te fakty i zestawienia, które autor czerpie z prac poprzedników.

II. Rekonstrukcya podania pierwotnego. Rekonstrukcya taka opiera się, jak zwykle, na ustaleniu wzajemnego stosunku zachowanych wersyj. Autor wprowadza w błąd czytelnika gdy mówi, że dla oceny „dorobku niniejszej pracy“ (str. 151) należy zestawić tablicę wersyj autora z pracą Wolfa (z przed lat 75) i Feista (z przed lat 25), gdyż ich wywody już dawno zostały przez kilku badaczy poprawione i uzupełnione. Zmiany zaś, które wprowadza sam autor są nie do przyjęcia.

Co do drobnej sprawy wersyj włoskich, uważano dotąd, że M^3 t. j. wersya poematu frankowłoskiego *Aquilon de Baviere* z pogranicza XIV i XV w. i *R* tj. wersya utworu *I Reali di Francia* z tegoż czasu, opierają się nie tylko na najstarszej wersyi włoskiej *V* tj. weneckim poemacie frankowłoskim z XIII w. lecz i na innych jakichś źródłach zaginionych. Autor wywodzi je oba wprost z poematu weneckiego, dopuszczając conajwyżej wpływ Adeneta i to jako bardzo niepewny o ile chodzi o M^3 (str. 122—3). Mniejsza o to, że wywody na str. 119 i n. oraz 130 i n. nie są bardzo przekonywujące. Są one przedewszystkiem grubo niedokładne. Np. w wersyach francuskich znajduje się ważny szczegół lokalizacyjny, mianowicie, że las, w którym Berta znalazła schronienie nazywa się *du Maine* wedle *Chron. Saintongeaise*, co się ostatecznie pokrywa z wiadomością Adeneta, iż znajdował się on koło miasta *Le Mans*. Rys ten odnajduje się w obu tych wersyach włoskich: w M^3 rzeczka *Maine* a w *R* las i rzeczka *Magno* i w obu nadto z tym dodatkiem, że stąd właśnie pochodzi przydomek *Magne* Karola W. Skąd ta zgoda? Czy rys ten znalazły obie te wersye w najstarszej włoskiej wersyi *V*? Nie, bo poemat ten żadnej lokalizacyi ani żadnej nazwy lasu nie podaje w całym swym tekście (por. *Romania* III, 339—64 i IV, 91—107; autor na str. 148, nie mogąc podać owej etymologii za M^3 i *R*, których do rekonstrukcyi nie dopuszcza jako niesamodzielne, podaje, że jest ona w *V*, ale tak nie jest i świadczy to tylko o niedokładności autora). Z Adeneta także M^3 i *R* nie mogły, zdaje się, wziąć tego rysu, bo Adenet mówi o mieście *Le Mans* ale nie o okolicy i lesie *du Maine*, a brzmienia włoskie (*Maine* i *Magno*) nie tak łatwo wyprowadzą się z *Le Mans* jak z *Maine*. Skądże zatem ta zgoda M^3 i *R* z *Chron. Saint.*, której chyba włoscy autorowie nie znali i skąd ich wzajemna zgoda ze sobą (rzeczka i etymologia)? Autor nic nie mówi o tym ważnym szczególe lokalizacyjnym, który nie zgadza się z jego wywodem o wersyach włoskich.

Co do wersyj francuskich (Chr. Saint.$=S^1$, Mousquet$=M^1$, Adenet$=A$) oraz spokrewnionej z niemi hiszpańskiej (Conquista$=C$) sądzono, że podstawą ich nie jest bezpośrednio pierwotne podanie, lecz jakaś wersya już nieco zmieniona. I rzeczywiście wersye tę

zawierają cały szereg szczegółów wspólnych, których inne wersye nie mają zupełnie. Przedewszystkiem rodzicami Berty stają się tu Floire i Blanchefleur, tj. bohaterowie innego romansu starofrancuskiego, a wiadomo, że takie łączenie romansów związkami genealogicznymi *ex post* jest zjawiskiem stałem w epopei starofrancuskiej już to samo wskazuje na przeróbkę a nie na oryginał. Nadto ta grupa S^1M^1A i C ustaliła już odmiennie od innych wersyj, że podstawienia dokonywa sługa Berty wraz ze swą córką, że Berta daje się podejść dzięki temu, iż sługa straszy ją niebezpieczeństwem w nocy poślubnej, że Berta z namowy sługi wchodzi rano do sypialni i naraża się na oskarżenie, iż zraniła nożem (fałszywą) królowę; jednem słowem szereg szczegółów wspólnych i wskazujących na wspólne źródło, inne i dalsze już niż podanie pierwotne, bo gdyby one były w podaniu pierwotnem to coś z nich przeniknęłoby do innych także wersyj. Tymczasem autor ani słowem nie wspomina o tem wszystkiem i najspokojniej w świecie wywodzi wszystkie te wersye wprost z oryginału, co mu zresztą odda nieocenione usługi w rekonstrukcyi.

Najważniejszą nowością jest to, że autor zupełnie usunął z dyskusyi nad pierwotnym poematem wersye niemieckie. Uczynił to autor w sposób następujący. Poemat Strickera *Karl der Grosse* (z r. około 1230) podaje na wstępie w 16 wierszach (mianowicie 124—39) krótką wzmiankę o losach matki Karola, brzmiącą dosłownie tak: „Królowi Pepinowi przysięgą obiecano żonę; przysięga poszła na marne, gdyż mu ją zamieniono; stało się później, że odnalazł on swą prawowitą żonę, która nazywała się pani Berta; bardzo za to dziękował Bogu. Za długo byłoby opowiadać jak odbyła się ta cała sprawa; wziął panią Bertę a rzucił swą dawną żonę i była to sprawiedliwość. Miał z nią (Bertą) jednego chłopca i jedną dziewczynę, a potem zaległ i umarł i zostawił żonę swą Bertę. Córka nazywała się Gertruda a syn Karol; był on później sławny szeroko“. W tem lakonicznem streszczeniu niema żadnych szczegółów; autor wysnuwa stąd wniosek, że Stricker znał pierwotny poemat francuski „tylko z opowiadania“, „z ustnej tradycyi“ (str. 60), a wiadomo, że t. zw. *tradition orale*, która grasowała w badaniach historyczno-literackich przed kilkudziesięciu laty, dzisiaj nie jest, naogół biorąc, czemś o czemby się mówiło chętnie i poważnie; wszak Stricker po prostu nie chciał wchodzić w szczegóły co do matki Karola, gdyż przedmiotem jego opowiadania były dopiero losy samego Karola, tak że nawet powiada: „za długo byłoby opowiadać i t. d.“ (por. zupełnie analogiczny objaw zwięzłości w kronice Mousquet'a, str. 26 pracy). Obok Strickera głównem źródłem niemieckiem jest *Kronika Weihenstefańska,* której datę autor, zamiast poważnie zbadać sprawę, zbyt łatwo przesuwa z w. XIII na w. XIV, nie rozumiejąc zresztą argumentów wydawcy Aretina (vide str. 63 nota 1: Aretin mówi o „Schreibart“ kroniki t. j. o stylu i sposobie pisania, świadczącym podobno za w. XIII, a autor, rozumiejąc że „Schreib-

art" oznacza paleograficzny charakter pisma, pokpiwa sobie z Aretina, który jakoby zapomniał, że chodzi tu o kopię a nie o oryginał, że więc „pismo" nie ma znaczenia w sprawie daty). Otóż ta *Kronika Weihenstefańska* daje historyę Berty bardzo szczegółową i to naogół z taką samą linią rozwoju jak w wersyach francuskich i włoskich, co właśnie jest rzeczą ważną. Zaznaczmy tutaj przynajmniej główne rysy, zgodne w *Kron. Weihenst.* i w wersyach nie-niemieckich: narzeczona podstawiona Pepinowi (w *Kr. Weih.* ochmistrz dworu Pepina podstawia swą córkę, w wersyach francuskich mamka królewny swą córkę, we włoskich baronowie moguneccy swą krewnę lub ona sama) jest podobna do królewny (*AVC* i *W*); złoczyńcy każą pachołkom zamordować w lesie Bertę i na dowód przynieść język (lub serce); pachołkowie litują się i wolno ją puszczają, a przynoszą język (lub serce) psa (lub prosięcia); fałszywa królowa żyje z Pepinem kilka lat i ma z nim kilkoro dzieci; królewna błąka się po lesie w żałości; znajduje wreszcie schronienie u młynarza (w innych: leśniczego, skotarza, górala i t. d.); Pepin na polowaniu zachodzi w tamte strony; podaje się za kogoś innego; w nocy spoczywa Pepin z Bertą, która wówczas poczyna syna; po wydaniu tajemnicy Berta wstawia się za winowajcami; król każe śmiercią ukarać sprawców, zamyka żonę fałszywą, ale dzieci zostawia na dworze i między niemi dwu przyszłych wrogów Karola Wielkiego. Jednem słowem, poza odmianami, które każdą wersyę różnią od innych, ogólny przebieg opowiadania i główne szczegóły są najzupełniej tesame. Jest zatem rzeczą jasną, że *Kronika Weihenstefańska* opiera się na jakiejś zaginionej wersyi. Tymczasem, oto co twierdzi autor: „Mnich weihenstefański przytacza tyle z podania o Bercie, ile Stricker; wszystko inne dorabia własną fantazyą" (str. 74). Jeżeli zaś zważymy, że Stricker z podania o Bercie nie wie nic, poza tem, że królowi żonę zamieniono i że ją następnie odnalazł, stoimy wobec twierdzenia, że *Kronika Weihenstefańska* przedziwnym przypadkiem tak właśnie odtworzyła z „własnej fantazyi" cały tok opowiadania jak inne wersye i jak podanie pierwotne. Rzecz jasna, że wobec takiej metody, ustaje wszelkie poważne badanie naukowe. Jeżeli istnieje podobieństwo między Strickerem a Kron. Weihenst. co do młodości Karola (str. 71—2), to albo dlatego, że oba te utwory miały wspólne źródło, z którego Stricker wziął jednak tylko młodość Karola, a nie wchodził w historyę Berty jako nie należącą do *Karl der Grosse*, albo też dlatego, że *Kron. Weihenst.* posługuje się Strickerem dla młodości Karola, ale nie dla podania o Bercie, którego przecież w Strickerze niema. Więc, w rezultacie, przynajmniej *Kronika Weihenstefańska* z pośród wersyj niemieckich opiera się na jakiemś źródle zaginionem i, wbrew twierdzeniu autora, że „jej wartość jako osobnej wersyi przy odtwarzaniu pierwotnych rysów podania jest zero" (str. 75), musi być wzięta w rachubę w tej odbudowie.

Po tem wszystkiem jakżeż łatwo było autorowi odtworzyć podanie pierwotne. Wersye niemieckie nie istnieją. Z grupy francusko-hiszpańskiej wszystkie wersye (S^1 M^1 A i C) pochodzą wprost od oryginału, więc co się znajduje w dwóch z nich, to już było w oryginale. Gdzie wersya włoska z niemi się zgadza, to dobrze, a gdzie się nie zgadza, to mniejsza o nią. Tylko, że to, co w tak łatwy sposób zostało odtworzone, będzie wcale nie podaniem pierwotnem, lecz jego późniejszą postacią, tą mianowicie, z której pochodzi grupa francusko-hiszpańska.

Tymczasem, jeżeli sprawę brać poważnie, trudność rekonstrukcyi niearbitralnej jest znaczna. Z powyższych uwag widać, że mamy trzy główne grupy: francusko-hiszpańską (*f*), włoską (*w*) niemiecką (*n*). Różnice między niemi są zasadnicze. W wersyi *n* królewna nie ma wcale „dużych stóp“, a podstawienie odbywa się przed przybyciem na dwór, gwałtem, bez podejścia i bez naiwnej zgody Berty. W wersyach *w* i *f* Berta ma „duże stopy“ lub „dużą stopę“, co pomoże przy rozpoznaniu fałszywej i prawdziwej królowej i co pociąga za sobą interwencyę matki, która rozpoznania najłatwiej dokona (nadto w *w* i *f* mamy dwie lokalizacye: Berta pochodzi z Węgier a las, w którym się chroni jest w okolicy Maine). A na tem tle powstaje pytanie, co jest pierwotne: czy może wersya *n* przedstawia stan najstarszy, a wersye *w* i *f* już stan późniejszy? Co do podstawienia w drodze i gwałtem lub w noc poślubną i podstępem, G. Paris, zwróciwszy uwagę „na tę okoliczność znamienną, że żadna z wersyj romańskich nie daje zadowalającego wyjaśnienia zgody, zbytecznej i karygodnej, ze strony Berty na to podstawienie“ (*Romania* 1897, 575) sądzi, wraz z Arfertem i innymi, że *n* zawiera rys pierwotny, a dopiero potem wprowadzone zostało i przeszło do *w* i *f* podstawienie w noc poślubną, mianowice pod wpływem sławnej sceny w Trystanie i Isoldzie, jak sądzi Arfert, lub pod wpływem innej powiastki starofrancuskiej, jak sądzi G. Paris (autor nie zna tej recenzyi G. Parisa): czytelnik widzi zapewne, jak niepewne to i może kruche rozumowania. Co do „dużych stóp“ (autor w całej swej książce nieszczęśliwie mówi: „duże nogi“) możnaby także, skoro raz się uzna *n* za najstarsze, uważać je za rys późniejszy i były takie zdania; zdaje się jednak, że w tym wypadku mamy wskazówkę, iż był to rys pierwotny: mianowicie (jak zaznaczono w wątku podania, podanym na wstępie) wszystkie grupy, a więc *n, w, f,* mówią o podobieństwie prawdziwej i fałszywej Berty, a skoro były one podobne, musiał istnieć już w pierwotnem podaniu sposób rozpoznania, bo inaczej król mógł być oszukany drugi raz (i w rzeczywistości także w *n* zamiast „dużych stóp“ znajduje się inne świadectwo prawdy, ale bardzo niepierwotne: astrolog czyta prawdę w gwiazdach). Na przykładzie tych dwu rysów zasadniczych, a wątpliwych, widać trudność rekonstrukcyi, a rysów takich jest więcej.

Wszystkie te trudności nie istnieją dla autora. Rekonstrukcya jego bowiem, jak widzieliśmy, odtwarza właściwie nie podanie pierwotne, ale podanie *f* z rzadkimi rysami z *w*. A jeszcze i w tym uproszczonym systemie ileż dowolności. — N. p. w poemacie pierwotnym miał się znajdować ten rys, że, jak mówi autor, „przyczyną która skłania Bertę do zastąpienia się przez sługę (w nocy poślubnej) jest obawa przed anormalną „konstytucyą“ Pepina; o nie mówi Mousquet bez bawełny, a Adenet w słowach cokolwiek oględniejszych“ (str. 99—100 i por. 147); otóż u Adeneta niema wogóle mowy o nadzwyczajnych właściwościach fizyologicznych Pepina, tylko poprostu ogólnikowo straszy mamka Bertę: *paor ai ne vos tut* (boję się, by cię nie zabił), a u Mousqueta znajdują się wprawdzie słowa: *La dame qui formant douta Pepin por çou que grand vit a* (vv. 1980—1), ale autor widocznie nie zna uwagi Groebera w *Grundriss* II[1], 783: „V. 1981 ist *vit* statt *pied* jedenfalls ein Schreiberscherz“, tak, że, wedle tej poprawki, bardzo prawdopodobnej, mielibyśmy: „Berta, która bardzo bała się Pepina, gdyż miała dużą stopę (lub: duże stopy, por. w. 2339)“; tu zatem autor przyjmuje rys, który nawet w jednem jedynem źródle jest niepewny, a za tym rysem koniecznie wprowadza mamkę do pierwotnego podania, bo któż inny mógłby mówić z Bertą o takich rzeczach (str. 99 i 147). — Albo już w pierwotnej wersyi każe autor matce Berty, którą dla niego jest Blancheflor, dwa razy podróżować z Węgier do Francyi, wedle jedynej wersyi Adeneta (str. 149—50), a przecież łatwo było się domyślić, że takie rozszerzanie roli królowej nastąpiło dopiero wskutek tego, że została nią znana w epopei Blancheflor. — Albo np. autor wie, jakie było w pierwotnej wersyi imię człowieka, u którego Berta znalazła schronienie (Szymon), choć znajduje się ono tylko w Adenecie, oraz imię jego żony (Konstancya), znajdujące się tylko w *S* i *A*. — Albo taki przykład niedbałości: autor w swej rekonstrukcyi wcale nie podaje lokalizacyi lasu, chociaż znajduje się ona, jak widzieliśmy, w wersyach francuskich (*SA*) i włoskich (*RM*[3]), ale za to wciąga w pierwotne podanie etymologię *Charlemagne* od wozu *char*, na którym spoczęli rodzice Karola (*SV*, ale nie *A*, jak autor mylnie podaje w rekonstrukcyi na str. 148, natomiast *B* odsunięte od rekonstrukcyi) i od lasu *Maine*, chociaż w wersyach piewszorzędnych znajdują się tylko elementy tej etymologii, ale nie sama etymologia, zjawiająca się dopiero w *R* i *M*[3], drugorzędnych wedle autora, przyczem dodać należy, że już np. Rajna (*Origini* 242) zauważył, iż taka etymologia jest rysem późnym i możliwym dopiero wtedy, gdy już się nie rozumiało składnika *magne* w imieniu Karola Wielkiego.

Dorobek tej pierwszej części książki (152 stron na 186 całości), obejmującej przeważnie streszczenia, a obok nich uwagi o stosunku wersyj i rekonstrukcyę podania, nie przedstawia się zatem pomyślnie. — Co do streszczeń, to zdarzają się w nich chybki

prawie że rażące. N. p. z poematu Adeneta przytacza autor jako „impresyę malarską niezrównaną“ obraz, w którym „z głębi gotyckiego okna klasztoru (na Montmartre) wygląda fałszywa Berta i t. d.“; ale Adenet zgoła nie mówi o oknie „gotyckiem“, czyli nie przenosi architektury swego czasu na czasy Pepina Małego; nie on to zatem jest sprawcą anachronizmu o gotyku w VIII-ym wieku, czyli o dobrych czterysta lat zawcześnie. Tekstów niemieckich nie czyta autor biegle (np. w zdaniu, przytoczonem na str. 67: „mit dem solst du überwinden alle deine Feinde, ist, dass du glaubest?“, co nic nie znaczy, należy skreślić znak pytania, a „ist dass“ rozumieć jako „jeżeli tak jest, że“, czyli „jeżeli“). W poemacie frankowłoskim źle autor rozumie *tri fil* (str. 121: „trzech synów zamiast powiedzieć dwóch synów i jedną córkę“) i cały oparty na tem wywód polega na nieporozumieniu, gdyż masc. *figli* do dziś dnia używa się w j. włoskim w znaczeniu ogólnem „dzieci“ (np. *ha tre figli fra maschi e femmine).* Przedewszystkiem jednak należało się dobrze zastanowić czy jest rzeczą stosowną poświęcać liczne dziesiątki stron streszczeniom rzeczy znanych i streszczanych poprzednio. — Co do rekonstrukcyi podania pierwotnego, autor często napada w swej książce na metodę, która pono „panuje dotychczas niestety wszechwładnie w badaniach porównawczych nad średniowieczną literaturą“ (str. 115), ale gdy ma podać to, co nazywa „próbką“ tej metody, nie daje przykładów rzeczywiście istniejących, lecz (jak na str. 76 lub 114—15) swoje domysły, jakby to jakiś hypotetyczny krytyk rozumował. Czy wolno się ująć za filologią romańską, w której naprawdę stan umysłów nie jest tak opłakany jak to przedstawia autor?

III. Geneza podania. Dalsza część książki (str. 152—186) zajmuje się w trzech częściach genezą podania.

Co do pierwszego rozdziału, podającego znowu streszczenia dotychczasowych teoryj i trochę uwag o nich, wystarczy zauważyć, że cała polemika z teoryą mitologiczną (152—161), jest tylko powtórzeniem, i to ze wszystkimi szczegółami (duże stopy, królowa Saba, prządki, Epiphaniastag i Perhtennacht, Huldesaga), argumentacyi Arferta (str. 69—71), którą autor daje od siebie, a znowuż polemika (str. 161—72) z teoryą baśniową Arferta i historyczną Gastona Parisa niepotrzebnie zaciera ten fakt, że autor, jak zobaczymy, przejmuje ich zapatrywania.

W rozdziale następnym, część pierwsza (str. 173—9) o Pepinie i Bercie u kronikarzy i poetów, jest, jak już mówiliśmy, w całości przepisana z Gastona Parisa.

Wreszcie ostatni ustęp książki (str. 179—186), podaje genezę podania wedle autora. Przejdźmy zatem czynniki, które się na nie złożyły wedle tego przedstawienia, które autor podaje jako nowe. Nasamprzód „wypadki rzeczywiste z czasów Karola Martela“, co autor rozwija na str. 179—81 na podstawie cytatów ze źródeł, a co jest w rzeczywistości przepisane w całości z Gastona Parisa *(Hist. poët. Charlem.* 438—41) i z Pio Rajny *(Le origini* rozdz. IX, str.

199 i n.). — Następnie (181—2) „motyw o podsuniętej narzeczonej“ i to wedle Trystana i Izoldy, co znowu jest przepisane z Arferta (str. 67—9) i do czego autor dodaje, (nie wiem, czy za kimś, czy też od siebie), wpływ biblijnego opowiadania o Jakóbie i Labanie (por. str. 164), a to zestawienie dwu motywów, nie mającycl nic wspólnego z sobą, tak, że poprostu niepodobna sobie wyobrazić, jak mógł wpłynąć na podanie o Bercie ten ustęp Biblii (Jakób służy siedm lat, aby dostać piękną Rachel, a wtedy Laban powiada mu, że dostanie brzydką Lię), przejdzie chyba na listę wesołych odkryć z zakresu t. zw. „wpływów literackich“. Natomiast nic autor nie mówi o pewnej legendzie merowingskiej, wspomniawszy tylko, że Voretzsch zestawił podanie o Bercie z podaniem „o Fredegundzie w kronice Grzegorza z Tours“ (str. 161—2). Nawiasem mówiąc, już te słowa świadczą, że autor nie rozeznaje się w legendach Merowingów: wie, że istnieje jakaś legenda merowingska o Fredegundzie, wie, że Gr. de Tours był kronikarzem Merowingów, więc odrazu dodaje, że to u niego jest ona podana. Tymczasem Fredegunda była współczesną G. de Tours (†594) i oczywiście o niej, jak wogóle o wypadkach współczesnych, kronikarz ten nie podaje żadnych legend, gdyż ich wtedy jeszcze nie było. Legenda ta znajduje się dopiero w kronice mnicha neustryjskiego, zwanej *Gesta regum Francorum* lub *Liber historiae*, a pisanej sto kilkadziesiąt lat później. Mowa tam o podstępnem usunięciu prawej żony królewskiej przez jej sługę Fredegundę. Poza tym jednym rysem, co prawda zasadniczym, podobieństw niema. Ale bądź co bądź przypomnienie, że na gruncie francuskim już istniał temat podstępnego usunięcia prawej królowej, byłoby bardziej zajmujące niż owo zestawienie z Biblią. — Wreszcie na str. 184—6 mówi autor o związku *Berty* z *Mainetem* t. j. młodością Karola i kończy hipotezą, że „być może, iż historya Berty i Pepina stanowiła wstęp do historyi młodości Karola“; i znowu trzeba dodać, że związek tych dwu poematów oddawna nie był tajemnicą, że rysy wspólne, jak imiona przyrodnich braci Karola i ich miano *li sers* (Pio Rajna *Origini*, 211—12), jak mały wzrost Pepina i jego walka z lwem (Gast. Paris *La légende de Pepin*) od dawna zauważono, a prof. Ph.-A. Becker nie tylko w r. 1892 „przeczuwał związek podania o Bercie z podaniem o młodości Karola“, ale i później, bo w r. 1907, nawet w swym małym podręczniku (*Grundriss* w *Sammlung roman. Elementarbücher)* powiązał je w §. 33 p. t. „Karls Jugend“ i pisał całkiem otwarcie: „Schwer ist es zu entscheiden, ob *Berte, Mainet* und *Basin* ursprünglich drei Epen (und welches denn das Stammlied wäre), oder ob sie nicht eher nur Episoden einer einheitlichen Dichtung waren, wofür der enge Zusammenhang der Ereignisse spräche“ (str. 65). — Aby spostrzedz, jak dalece nic nowego niema w tych wynikach, wystarczy przeczytać poprostu krótkie streszczenie stanu badań nad Bertą w *Grundriss*'ach Groebera i Beckera, a znajdziemy tam i Karola Martela, i podstawioną

narzeczonę wraz z Trystanem i Izoldą, i związek z Mainetem: „Die Sage rankt sich um drei historische Namen Pippin, Berta und Karl, zu denen noch die merowingisch klingenden Heudri u. Rainfrei kommen. Die letzteren gaben die Grundlage zur Annahme, dass das Epos echt historische Erinnerungen an Karl Martell in sich berge, der als Sohn eines Kebsweibes manchen Verfolgungen ausgesetzt war" (Becker, 65); „Das Motiv von der unterschobenen Braut wird daher von einem dem Hofleben Fernstehenden in die Vergangenheit verlegt und auf Karl des Gr. Vater übertragen worden sein. Wahrscheinlich geschah es erst als man von Karls Jugend zu dichten anfing. Eine ähnliche Unterschiebung war schon in Tristan u. Isolde vorgekommen, die grossen Füsse erhielt Bertha um von der Doppelgängerin unterschieden werden zu können und im Gegensatz zu dem nur $3^1/_2$ Fuss hohen Pipin" (Groeber, 783).

Osobno omówić się godzi jedyną rzecz, któraby była naprawdę nową w wywodach autora. Mianowicie dotąd wiedziano tylko tyle, że historyczne wypadki z czasu Karola Martela przeniesiono w poezyi na Karola Wielkiego. Otóż autor znajduje już nie poemat, ale źródło historyczne, kronikę z X wieku, w której odkrywa to pomieszanie Karola Wielkiego z Karolem Martelem i wobec tego łatwo wyjaśnia, że autor poematu poprostu w tej właśnie lub podobnej kronice znalazł wątek historyczny swego opowiadania (str. 180—1 i 184). Zatem nie potrzebaby mówić o ludowem tworzeniu się podania. W pracy samej podaje autor to odkrycie (na str. 184) tak, jakby on sam pierwszy wynalazł w Pertza *Monumenta Germ. hist.* tę starą kronikę, ale w niemieckiem streszczeniu w *Bulletin international* Akademii (1908, str. 143) przyznaje, że chodzi tu o kronikę „auf welche schon G. Paris verwiesen hat, ohne dabei irgend welchen Schluss zu ziehen". Lecz właśnie w tem, co miało stanowić *clou* pracy, zaszło wskutek niesamodzielnego badania nieporozumienie naukowe. Gaston Paris (*Hist. poét. de Charlem.* 439—40), a za nim, i oczywiście cytując go, Pio Rajna (*Origini* 211) chcą wykazać, że wypadki z czasów Karola Martela i Karola Wielkiego pomieszano w poezyi. Na dowód zaś podają, że dwie osobistości z czasów Karola Martela: *Raginfredus* (t. j. *Rainfroi*) i *Chilpericus* (t. j. *Helpri*) przeniesione zostały w poematy (*Berte* i *Mainet*) o Karolu Wielkim w roli podobnej do historycznej. Bieda byłaby tylko z tem, że w poematach figuruje nie *Helpri* (czyli *Chilpericus*) lecz *Heldri* (czyli *Hildericus*). Lecz obaj uczeni wyjaśniają, że podobieństwo tych imion było tak blizkie, iż zamiana starszego i rzadszego *Helpri* na częstsze *Heldri* nie może dziwić. A na poparcie dodaje G. Paris, że ta sama zamiana zaszła nie tylko w poematach, lecz także w owej właśnie kronice z X wieku, której ustęp odnośny przytacza i która, pisząc o Karolu Martelu, nazywa owych dwu mężów *Raginfredus* i *Childericus* (zamiast *Chilpericus*). Czyli błąd kroniki polega jedynie na zapisaniu *Childericus* zamiast *Chilpericus*, a Gaston Paris i Pio

Rajna na tej podstawie zaznaczają, że tem bardziej tak drobny błąd mógł zajść w poezyi, że zatem pierwowzorami poetyckich *Rainfroi* i *Heldri* są historyczni *Rainfroi* i *Helpri*. Ale kronika ta, podobnie jak inne, umieszcza te osobistości za życia Karola Martela, podczas gdy w poezyi przeniesiono je w czasy Karola Wielkiego, czyli (w poezyi dopiero, a nie w kronice) pomieszano Karola Wielkiego z Karolem Martelem. Otóż autor nie zrozumiał tego prostego wywodu. Wyobraża sobie bowiem, że *Heldri* i *Helpri* to wszystko jedno i że są to tylko odmianki tego samego imienia, pochodzącego od *Chilpericum* i ten pogląd zamyka na str. 182 w formułę: „*Heldri* $<$ *Helpri* $<$ *Chilpericum*“, która jest niezwykłem *curiosum* filologicznem. Wskutek tego nie mógł zrozumieć, że cała omyłka kronikarska ogranicza się do napisania *Childericum* zamiast *Chilpericum*. Ponieważ zaś owe rozdziały G. Parisa i P. Rajny mówią o pomieszaniu Karola Wielkiego z Karolem Martelem i powołują się na jakieś pomieszanie w kronice, autor myślał, że także w kronice pomieszano obu Karolów. Więc w *Bulletin* dziwi się, że G. Paris nie zrozumiał doniosłości tego dokumentu kronikarskiego, a w książce cytuje ten ustęp kroniki w całości (jak zwykle z powołaniem się tylko na Pertza *Monumenta*) i dodaje jako komentarz: „Mowa tu o Karolu Wielkim, a obok niego figurują już przeciwnicy Martela, perspektywa dziejowa zatarta, pomieszanie osób dokonane“ (str. 180). A jednak, gdyby autor naprawdę był czytał samodzielnie kronikę, musiałby był zobaczyć, że mowa tam jest nie o Karolu Wielkim, lecz o Karolu Martelu, bo o parę wierszy wyżej kronikarz wyraźnie mówi: *Karoli Senioris* i nie byłby popadł w odkrycie, że Karolów pomieszano nie dopiero w poezyi, ale już w kronice. Zamiast brać się do pokpiwania sobie ze zmarłego mistrza Gastona Parisa (np. str. 17), byłoby wystarczyło na razie umieć go zrozumieć przynajmniej wtedy, kiedy się z niego bierze. Żałować należy, że właśnie ten błąd przedostanie się może dalej niż inne za pośrednictwem streszczenia niemieckiego.

Lepiejby było, gdyby praca tak niedojrzała nie była się ukazała. Są w jej wykonaniu błędy tak grube, a przedewszystkiem sposoby tak niestosowne, że samo, najspokojniejsze nawet, wymienienie ich jest czemś drażliwem i przykrem. Tem bardziej, że autora z pewnością stać na coś lepszego, bo w studyum o *Floire et Blancheflor* (Paris, 1906) okazał się badaczem bystrym. Źleby jednak było, gdyby z braku krytyki urabiało się przekonanie, że na naszym swojskim gruncie naukowym można o rzeczach obcych pisać co się chce i jak się chce.

Kraków. *Stanisław Stroński.*

O. Czesław Bogdalski Br. mn., Szkice z dziejów humanizmu w XV stuleciu. W Krakowie, 1909, 8^0, s. 158.

Gromadząc materyały do historyi zakonu OO. Bernardynów w Polsce, zatrzymał się O. Bogdalski przy krakowskim kanodziei z ostatniej ćwierci XV wieku, błog. Szymonie z Lipnicy, postaci nieobojętnej także dla historyka nie tylko kultury, ale i literatury polskiej humanistycznej. Ukazuje go nam autor najpierw jako dyskreta polskiej prowincyi na generalnej kapitule Obserwantów (po naszemu Bernardynów), zwołanej w r. 1472 do Akwili w Abruzzach; następnie jako członka tejże kapituły, która wraz z nowo obranym wikaryuszem generalnym, Ojcem Angelo di Chivasso przybyła do Rzymu złożyć homagium i obedyencyę papieżowi Sykstusowi IV. Ten jeszcze jako generał Zakonu Franciszkanów, zwanych konwentualnymi, dążył do poddania pod ich władzę samorządnych dotąd Obserwantów, a jako papież popierał gorliwie odpowiedni projekt kardynała Piotra Riario. Tylko nieustraszone wystąpienie O. Marka z Bononii i listowna interwencya wielu panujących uratowały autonomię Obserwantów. Ta burza co dopiero była się uciszyła, gdy Szymon wraz z innymi Ojcami kapitulnymi znalazł się u stóp papieża, by usłyszeć wezwanie do głoszenia pokuty między ludem.

Autor sądzi, że było to wezwanie do zwalczania przewrotowego (pogańskiego) humanizmu i jego skutków — bronią humanizmu chrześcijańskiego. Wymarzony na kaznodzieję pokutnego w Krakowie Szymon z Lipnicy był dobrze przygotowany do takiego zadania. Wszak przebywał i urabiał się w Zakonie, który od połowy XV w. skupił był w swym klasztorku na Stradomiu cały szereg magistrów filozofii, bakałarzy nauk wyzwolonych, malarzy, rzeźbiarzy, kaligrafów, illuminatorów... Od r. 1468 odbywały się w klasztorze prelekcye naukowe, na które przybywało dość osób świeckich, także z kół uniwersyteckich. Czy ten naukowy, w każdym razie intelektualny, oświatowy ruch wśród krakowskich Bernardynów miał co wspólnego z humanizmem, trudno stwierdzić wobec tego, że autor w tym najbardziej interesującym ustępie swej pracy (str. 94—98) nie podaje żadnych źródeł ani cytatów. Czuje się też dotkliwie brak wyimków ze sławnego owego kodeksu, pisanego ręką Szymona z Lipnicy, a przechowywanego w krakowskim klasztorze OO. Bernardynów. Jedynie z uwagi samego Szymona, dotyczącej techniki jego kazań, dowiadujemy się, że w pierwszej części kazania, posługując się dowodami z prawa naturalnego, przeplatał je zdaniami i wyjątkami z filozofów i poetów klasycznych. Działalność kaznodziejska Szymona przedstawiona jest na tle współczesnego zepsucia Krakowian, zepsucia, poświadczonego także przez Długosza.

Imię Szymona łączy autor, idąc za ustną wskazówką ś. p. W. Wisłockiego, także z tą reakcyą antihumanistyczną, która znala-

zła wyraz w r. 1480 w uchwałach komisyi wszechnicy Jagiellońskiej, zastanawiającej się „super reformatione defectuum in facultate artium“. Chodziło wtedy o projekt Długosza, który zaproponował, aby do istniejących katedr *artium*, przydano dwie nowe: jedną dla dziejów ojczystych, przezeń spisanych, a drugą dla nauk klasycznych. Koszty stąd wynikające miał pokryć częścią sam Długosz, częścią zaś miał na to oddać część dochodów bogato wyposażony fakultet teologiczny. — Autor twierdzi, że prawdziwym twórcą projektu Długoszowego był — Kallimach, dążący do osłabienia fakultetu teologicznego i marzący o zdobyciu dla siebie stałej i trwałej katedry, z którejby na swój sposób mógł działać na młodzież i tworzyć sobie prozelitów; część zaś zasługi za obalenie tego projektu pryypisuje Szymonowi z Lipnicy, inspiratorowi profesorów, schodzących się czwartek na narady do OO. Bernardynów. Ponieważ jednak na poparcie tych twierdzeń nie przytacza znów żadnych źródłowych świadectw, musimy je na razie uważać za interesujące hipotezy i prosić autora, by przy innej sposobności zechciał nam dać i te świadectwa i pewne próbki humanizmu Bernardynów krakowskich z drugiej połowy XV w.

Na tem skończylibyśmy sprawozdanie z interesującej pracy autora, pomijając oparte na znanych podręcznikach, a jedynie zabarwione indywidualnie przedstawienie chrześcijańskiego i pogańskiego humanizmu we Włoszech i w Polsce (str. 3—74), gdyby autor nie był miał zamiaru „na niektóre zbyt przecenione i sławione postaci humanistów polskich XV stulecia, rzucić światła ze stanowiska świata katolickiego“. To światło rzuca autor (str. 62—67) na arcybiskupa lwowskiego, Grzegorza z Sanoka, by go jeszcze raz (po Leonie Borowskim i A. G. Bemie, których autor nie cytuje) „ogołocić nieco z tego nimbu wielkości, w jaki go udrapowano“.

Życie Grzegorza w Dunajowie nie było bardzo budujące, można je nawet nazwać gorszącem, skoro gorszył się niem i Długosz i potem Kromer. Ale co innego jest — być wzorowym kapłanem, a co innego, wzorowym humanistą. Autor czasem zamiast kapłana oskarża humanistę, a czasem zarzuty dowolnie konstruuje: 1. Kallimach (Vita Gregorii, c. 22), opowiada tylko tyle, że kardynał Oleśnicki sprzeciwiał się wyświęceniu Grzegorza na arcybiskupa, „jakoby ów zbyt był przejął się zagranicznymi (t. j. humanistycznymi) obyczajami (veluti iam in externos mores degenerasset)“. Na jakiej więc podstawie pisze autor (str. 63 in f.): „Oleśnicki nie chciał udzielić mu sakry, uważał go za człowieka bez wartości, który Ojczyźnie ani nigdy nie służył, ani się nawet nie dał jej poznać. — Posądzał go także, że zanadto przesiąkł cudzoziemskimi obyczajami?“ 2. Kallimach (c. 24 nn.) donosi o niesłychanej gorliwości nowego arcybiskupa około podniesienia i wznowienia życia kościelnego w strasznie podupadłej archidyecezyi, dalej około zapewnienia zrujnowanemu arcybiskupstwu stałych i pe-

wnych dochodów. Długosz i Akta grodzkie i ziemskie potwierdzają przynajmniej wiadomość o jego czynnościach administracyjnych i ekonomicznych. Na jakiejże więc podstawie autor twierdzi (str. 64), że Grzegorz nie upomniał się o przemienianie opuszczonych kościołów na schyzmatyckie cerkwie, „bo ducha pasterskiego nie było w nim wcale?“ 3. Kallimach notuje (c. 49), że Grzegorz „najwięcej rozkoszował się jarzynami i leguminami, lecz równie chętnie jadał różne kaszki i ser, czy to dlatego, że zęby zepsute starością nie mogły zgryźć mięsa, czy też może z zamiłowania oszczędności kazał sobie codziennie podawać te ulubione i pożądane potrawy“. Czy to uprawnia do twierdzenia (str. 64 extr.), że „o ile był skąpym dla innych, o tyle nie żałował sobie niczego... postanowił... użyć życia, o ile się da?“ 4. Jeżeli Kallimach stwierdza (c. 40 med.), że (jako starzec) rzadko pościł, sądząc, że dla umartwienia ciała wystarcza sama starość, a dla cnoty skromny stół, to chyba z tego nie wynika, że „o posty nie dbał wcale“ (str. 65). 5) Jeśli według świadectwa Kallimacha (c. 35) trzymał się zdala od ucztowania z Polakami, a biesiady ich nazywał obżarstwem, sądząc, że tych tylko ludzi zgromadzenie godne jest imienia uczty, którzy na podstawie pewnego rozsądnego doboru zebrali się przy stole z jakiejś szlachetniejszej pobudki, niż chęci zadowolenia żołądka i podniebienia i jeśli stosownie do takiego rzymskiego (Cic., de sen. 13, 45) pojmowania convivium mawiał (c. 49 med.), że „żadne miejsce nie wymaga tak wielkiego uszanowania i tak uroczystego nastroju, jak stół, ponieważ on łączy śmiertelników do wspólnego życia itd.“, to znowu autor niepotrzebnie oburza się na to (str. 65), że Grzegorz nazywał stół — „miejscem najwyższego szacunku godnem“.

Przykrzej, niż te dowolne interpretacye źródła dotykają niedokładne cytaty zdań Grzegorza, cytaty, przejęte bez skontrolowania z dra Biegeleisena „Dziejów literatury“, a w swej niedokładności wyzyskane przeciw Grzegorzowi: Pisze więc autor (str. 66): „Otóż wedle zdania takiego nawet Kallimacha był Grzegorz z Sanoka w rzeczach wiary nieco wolnomyślny. Krytykował i wyśmiewał allegorye i przypowieści pisma świętego, lekceważył przepisy kościoła“. Odpowiednie zdania Kallimacha są następujące: 1. Iocabatur etiam interdum illis in rebus, quae ad religionem pertinere viderentur (c. 43 i n.). Ilustracyą tego jest żart w sprawie zbyt licznych świąt, którychby Grzegorz nie chciał usuwać, skoro „z częstych uroczystości płyną częste dochody“. 2. Allegorias, quae in sacra historia adducuntur, non probabat dicens, multum maiestatis in divinis operibus exinde perire, quippe quod, quae per se mirabilia sunt, ubi per allegoriam interpretantur, vilescere incipiunt (c. 38). Grzegorz chciał, by kaznodzieje, opowiadając o cudach biblijnych, brali je dosłownie, a nie tłómaczyli ich zapomocą allegoryi, bo taki racyonalizm osłabia i cudowność i wiarę: „Chrystus przy-

wrócił ślepemu wzrok, a nie wlał w duszę światło wiary, lub wypędził z kogoś 7 dyabłów, a nie 7 grzechów". — Czy to jest wolnomyślność, krytykowanie i wyśmiewanie przypowieści pisma świętego?

Cóż wreszcie począć z takim cytatem autora (str. 66): „Religia — tak mawiał — jest najskuteczniejszym środkiem rządzenia tłumem, jest to panowanie nad ciałem?" Znaczyłoby to, że Grzegorz, jak Macchiavel, uważał religię za instrumentum regni. Tymczasem, według Kallimacha (c. 44), Grzegorz zalecał rządzącym, by wszystkie swe czynności opierali na religii i przyznawali się do niej publicznie, bo „do bezpieczeństwa i utrzymania państw więcej przyczynia się siła ducha niż ciała": „Eos, qui reipublicae consulerent, dicebat oportere omnes actiones suas in religione fundare, nihil efficacius ad regendum vulgus, quam persuasiones de rebus divinis, publice susceptas; humanorumque bonorum ad religionem nulla pertinere praeter illa, quae in animo sita sunt. Sed et ad tuendas conservandasque res publicas maiorem vim esse in animo quam in corpore".

Zestawiliśmy twierdzenia autora z oryginalnemi źródłami, by wykazać, jak niebezpieczną jest rzeczą „ogołocanie" pewnych wielkości z nimbów — zapomocą wiadomości i cytatów, czerpanych — nie ze źródła, ale z mętnych potoków. Wiele sobie obiecujemy i po żywocie Błog. Szymona z Lipnicy i po historyi Zakonu OO. Bernardynów w Polsce — i dlatego chcielibyśmy autorowi zwrócić zawczasu uwagę na problematyczną wartość cytatów w pewnych Historyach literatury.

Lwów. *Tadeusz Sinko.*

Collectanea Biblioteki ordynacyi hr. Krasińskich. Nr. 1. Katechizm Brzeski 1553/1554 r. Wydał i przedmową poprzedził Franciszek Pułaski. Warszawa, 1908, 8°, s. XXVI i 77.

Bibliotekę p. Tatura w Mińsku, o którą Ces. Publiczna Petersburska próżno się dla ceny wygórowanej kusiła, nabył hr. Tyszkiewicz dla zbiorów czerwonodworskich. Z tej to biblioteki pochodzi unikat, którego przedrukiem zagajono świetnie nowe wydawnictwo, jakiem ś. p. A. hr. Krasiński zamierzał przyczynić się do zbogacenia dawnej literatury i do zużytkowania skarbów biblioteki ordynackiej.

Wydawnictwo takie wypełniłoby zarazem świeżą lukę: prof. Wierzbowski, obarczony wielką pracą edytorską, historyczną, jako dyrektor archiwum warszawskiego, zawiesił niestety dalszy ciąg „Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich", gdzie tyle cennych rzeczy ogłosił. „Collectanea" Krasińskich, przeznaczone dla rzeczy krótszych, więc nie wchodzących do zakresu „Muzeum", zastąpiłyby nam ją godnie. Format, papier, czcionki, bardzo ładne; ale co ważniejsze, sam wydawca nałożył tyle pracy, zbadał sam

(i z pomocą ś. p. ks. W a r m i ń s k i e g o) tak dokładnie odnośną literaturę a streścił wyniki swe w artykule Pamiętnika naszego (VII 320—344) i krócej w przedmowie do tekstu, że recenzentowi nie wiele do zanotowania pozostawił.

Kwestyę autorstwa pozostawił wydawca otwartą; dowiódł, że ani Rej, tem mniej Trzycieski, mimo pozorów niektórych, w grę nie wchodzą i wymienił w dalszym ciągu Trepkę, Zacyusza lub Wojewódkę, nie rozstrzygając, którego z tych trzech za autora uznać należy. Mojem zdaniem Trepkę, luteranina, jurgieltnika Albrechta pruskiego dla przekładów polskich od r. 1553, należy zupełnie pominąć. O Szymonie Zacyuszu z Proszowic czytamy zaś w Aktach Zboru Wileńskiego (drukowanych r. 1559), że zborowi mają zamiar naukę o wierze Zacyusza dla jej prostoty i jasności wydać drukiem skoro książę (Radziwiłł) drukarnię (brzeską) urządzi i poświęcą ją kasztelanowi czchowskiemu Lutomierskiemu, o którego ofiarności i bogobojności od sługi jego, Trzycieskiego, wiele słyszeli; jemu też „Akta" 1 marca 1559 przypisali. Drukarnia więc brzeska, po utonięciu Wojewódki na przewozie (w lipcu 1554 r.), przestała funkcyonować i Radziwił ją znowu dopiero w ciągu roku 1558 tak dalece na nogi postawił, że mogła już w roku 1559 wydać cały szereg dzieł a jest między niemi właśnie i „Wyznanie Wiary" Zacyuszowe; więc katechizm z r. 1554 nie będzie chyba również dziełem Zacyuszowym, wspomnieliżby o nim niechybnie zborowi. Pozostaje więc mojem zdaniem Wojewódka jako autor-tłómacz katechizmu, człowiek światły, po którym i inne tłómaczenia pozostały; udawałaż się z niemi wdowa do zborów małopolskich, gdy drukarnię brzeską zwinięto. Język katechizmu zgadza się zupełnie (o ile z drobnych prób wnosić śmiem), z językiem tłómaczonych przez Wojewódkę „Sposobów mówienia" itd. (1554 r.); zwracam n. p uwagę na takie same skupianie przymiotników.

Uważam więc na razie katechizm 1554 r. za tłómaczenie — przeróbkę Wojewódki; mimoto nie wahałbym się nawet utożsamić go z katechizmem „Rejowym", wspomnianym przez Trzycieskiego. Trzycieski, powiernik Wojewódki w tych latach (1553 i 1554), musiał o tym katechizmie dobrze pamiętać, mógł jednak, po latach piętnastu, co do autora się pomylić, bo żeby Rejowi na dogmatykę, jaką katechizm zawsze jest, chęci czy sił stało, o tem można wątpić; katechizm dyalogiem pisany przed postylą (1556 r.) — to ów brzeski aż nadto przypomina. Ale jest on identyczny i z owem dziełkiem, jakie Maricius w liście do Hozyusza z 25 stycznia 1554 wspomniał: emisit iam (Voyevodka) Brencii cathehismum, Luteri item, boć Brzeski katechizm zawiera dwa, mniejszy (Luterowy) i większy — czy nie Brencyusza? tego katechizmu ani ks. prof. W a r m i ń s k i ani p. P u ł a s k i, zdaje się nie porównywali, a jeden to z najlepszych całego XVI wieku, tłómaczony na liczne języki; Brencyusz właśnie ku ozyandryzmowi się skłaniał, jak i brzeski, i mógł mu być wzorem jakimkolwiek

Możnaby zapytać, dlaczego zborowi, łaknący tak ksiąg polskich, o tym katechizmie nie wspomnieli nigdy? Ależ nie wspomnieli nigdy i o Rejowej postyli; nawet małopolski zbór, najbliższy nigdy za nią nie podziękował autorowi, o ile z protokołów sądzić wolno. Możnaby nawet tłómaczyć oziębłość Rejową ku sprawom zborowym, aż nadto wyraźną, niezadowoleniem z nieuznania zasługi istotnej. A kiedym już przy Reju, to wspomnę, że księgi jego z jakiemi Wojewódka na przewozie utonął, o adyaforach, były chyba naśladowaniem czy przeróbką dzieła Kalwinowego przeciw Interim (i jego adyaforom), tego samego dzieła, co luteranina Grzegorza Pawła odrazu do obozu kalwińskiego sprowadziło.

Katechizm luterski z r. 1536 nie jest Seklucyanów — to lapsus memoriae. Urb. Rhegiusa „Lekarstwo duszne“ mógł Wojewódka znać choćby z tłómaczenia polskiego, wydanego w Królewcu 1551 roku. W transskrypcyi tekstu zresztą wcale starannej, oddał wydawca i n s s i, p i e r w s s i przez i n s i, p i e r w s i, zamiast przez i n s z y, p i e r w s z y (druk pisze przecież w s s i s c y itp.); w n a y-w y s s s s e y, w y s s s s e y nie *ż*, lecz pierwotne *sz*, zachowano; w o c z y s c i o n niema *sz*, jest *ś;* zamiast dla u l ż e n i a n i e k t ó-r y c h ł a ź n i d o c z e s n y c h czytaj k a ź n i. Na str. 56 pojawia się, nie jedyny raz, dziwna konstrukcya: K r y s t u s, c i e b i e z w y-c i ę ż c a (zamiast t w ó j lub n a d t o b ą); przedtem powiedziano n a p r z e c i w k o... c i e b i e z t w e g o p r a w a i m o c y z ł u p i o-n e m u. Język zresztą bardzo gładki; jedyny jego archaizm, to s ą-m n i e n i e obok jednorazowego s u m n i e n i a; jest i u s p o k o j a (str. 66); przekładu z obszerniejszej łaciny dowodzi i język i dodawane często „etc.“.

Berlin. *A. Brückner.*

Der Briefwechsel der Schweizer mit den Polen. Von Lic. Dr. Theodor W o t s c h k e. (Archiv für Reformationsgeschichte. Ergänzungsband III). Leipzig, 1908, 8°, s. 443.

Znany, lic. dr. Theodor W o t s c h k e wydał nareszcie całkowicie źródło, z którego w dotychczasowych studyach i przyczynkach do dziejów różnowierstwa polskiego stale korzystał. Są to w przeważnej części listy kalwinów polskich, posyłane do szwajcarskich, przechowane w zbiorze Simlerowym w bibliotece miejskiej zurychskiej; korzystał z nich już dawniej prof. L u b o w i c z. Listów jest 527, lecz wiele z nich (drukowanych np. w korespondencyi Kalwinowej i i.), nie powtórzył wydawca, dał tylko regest. Najwięcej z tych listów wyszło z pod pióra Krzysztofa Threcyusza i na ich głównie podstawie skreślił W o t s c h k e życiorys owego komiwojażera kalwinizmu polskiego w Altpreussische Monatsschrift XLIV, 1907 (Christoph Thretius, ein Beitrag zur Geschichte des

Kampfes der reformirten Kirche gegen den Antitrinitarismus in Polen str. 1 i nn.).

Tytuł ten nie był zupełnie właściwy, gdyż właśnie Trecy wybitnej roli w walce z Aryanami już dlatego nie odegrał, ponieważ go ciągłe wyjazdy zagraniczne od pracy odrywały. Ale zasłużony to w dziejach kalwińitwa polskiego działacz, chociaż jako autor mało występywał, zadowalając się przedmowami, polskiemi i łacińskiemi, do dzieł obcych, nie tylko polemicznych, teologicznych, n. p Niemojewskiego, lecz i do traktatów humanistycznych, n. p. słynnego Sturma (retoryki i Hermogenesa); po pobycie witenberskim wyruszył bowiem jako nauczyciel Koniecpolskiego r. 1557 do Strasburga do Sturma z pupilem swym. Sam za przykładem tego gimnazyarchy utrzymywał w Krakowie, w latach sześćdziesiątych, gimnazyum, gdzie pod nim czteru „hypodidascali“ uczyło; miewał tu codzienną „lectio divina“, lekcyę cycerońską, dyalektyki i retoryki; tu nadpływał kwiat młodzieży polskiej, aby wciągać się w „eleganciam litterarum“ i „morum probitas“, a co najważniejsze w czystą naukę Chrystusową, od kiedy pińczowska szkoła do Włochów Aryanów przeszła. Pochodził z Krakowa, studyował tu (wraz z Vogelwederem) pod Illicinem; 1580 nobilitował go król, a przyjęli go protestanccy Firleje do herbu. Był oprócz tego gorliwym kaznodzieją

Otóż jego listy przeważają w tym zbiorze; są i listy Mączyńskiego, szlachty kalwińskiej i i. Listy są nierównej wartości; znaczną liczbę zapełniają humanistyczne frazesy, pozdrawiania i przypominania się, za któreby regesty nam zupełnie starczyły, ale są i listy bogate w treść ciekawą. Z niejednego korzystałem już w poprzednich recenzyach, np. com o Mączyńskim i jego słowniku opowiadał, ale i inne opływają w szczegóły. Tak np. pisze Trecy Bullingerowi pod 1 sierpnia 1565 r.: „Świeżo przełożyliśmy twoje kazania na Apokalipsę na nasz język i wydaliśmy je śród ogólnego wyczekiwania“ (mowa o dziele Rejowem); równocześnie był pod prasą przekład polski Bullingerowej „Summa religii chrześcijańskiej“ (t. j. wyciąg z jego kazań, dekadami zwanych, na dekalog, symbol i sakramenty); zdaje się jednak, że mimo tego zapewnienia „Summa“ światła dziennego nie ujrzała. Z listów Mączyńskiego można wspomnieć, jak z Padwy r. 1547 donosi o piorunującej wymowie plebejczyka Leonarda, biskupa Kamienieckiego; z Witenbergi 1550 r., o wrażeniu korzystnem Socyna na wszystkich; jako sekretarz Radziwiłłowski już 1560 r. trafnie zaznaczył, że cała szlachta jak jeden mąż przeciw kandydaturze habsburskiej się poruszy. Ciekawsze są listy Radziwiłła Czarnego; jeszcze 13 lutego 1564 z Warszawy, dedykując egzemplarz swej Biblii księciu Albrechtowi (pyszny ten egzemplarz jest w Bibliotece berlińskiej), zaznacza wiarę w odwieczne i równe bóstwo Chrystusowe, ale pisząc do zboru zurychskiego 10 października 1564 r., już wyraźnie antitrynitaryzm objawia: odpowiedział mu zbór w marcu 1565, ale odpowiedzi tej adresat już się nie doczekał.

Listy Trecego potwierdzają szczegóły znane skądinąd lub dodają nowe, np. o Feliksie Crucygerze, opuszczającym dla antitrynitaryzmu posadę i zamierzającym do Pińczowa się udać, jakto przy kazaniu wielkanocnem, pożegnalnem, nagle porażony upadł i niebawem życie zakończył (do Bulingera, 20 czerwca 1563); albo o obu Włochach, Negrich, ojcu i synie: i sędziwy ojciec (autor tragedyi o woli, przypisanej Radziwiłłowi) przybył z Szwajcaryi do Polski, gdzie rychło umarł, r. 1564; syn, uczepiwszy się Stankara, dostał się do Polski i był ministrem u Prowany, potem wyuczył się po polsku i ministrował różnym, aż wykrzywienie ust pozbawiło go mowy; zabili go chłopi, których uciskał około r. 1570; był „trójczakiem“.

Ciekawe są i listy Gilowskiego, Łasickiego i i., narzekają na ambitnego i przewrotnego Sarnickiego; Łasicki przed r. 1568 opracował po polsku, bo przeciwnicy (aryani) tegoż języka używają, argumenty; wspomina r. 1570 dwa pisma, poświęcone Kiszce, o nieśmiertelności duszy ludzkiej i o chrzcie dziecięcym: czy to wszystko wyszło kiedykolwiek, nie wiemy; dowiadujemy się i o jakiemś dziełku S. Budnego, w Łosku 1575 r. wydanem, łacińskiem, „krótkiej odpowiedzi“ St. Grochowskiemu (osobie podsuniętej; z nimto na Litwie Budny dysputował i teraz go zbijał, godząc w istocie na argumenty Simlera „De aeterno Dei filio“ i innych). Są liczne szczegóły biograficzne, np. o Cikowskich (ojcu hetmanie i starszym synie Stanisławie, obu aryanach — syna w Pińczowie „nawrócili“; ojciec miał z sobą na wyprawie moskiewskiej ministra aryańskiego, lecz odstręczyło go od ich wyznania zwalczanie chrztu dziecięcego). Czytamy nawet pochwałę uczonego matematyka krakowskiego, Joachima Retyka; liczne jego prace czekają tylko mecenasa.

Przybywają szczegóły do początków aryańskich, do roli w tym ruchu Blandraty, co pisma swoje Statoryuszowi zostawił itd.; ciekawe są listy Grzegorza Pawła i i., ale wszystko to ginie w powodzi czczych frazesów humanistycznych.

W samym „Archiv für Reformationsgeschichte“ wydał Wotschke spółcześnie rozprawkę o nadwornych kaznodziejach Zygmunta Augusta, Koźmińczyku i Discordyi, co obaj do różnowierców przeszli; Uchański to miał ich do Litwy wysłać; Koźmińczyk uczył przedtem synów Andrzeja z Górki; Discordia (tak dla mowy niepowściągliwej nazwany), był uczniem szkoły krakowskiej (wpisany r. 1539 jako Laurentius Iohannis de Prasnys dioec. Plocensis); złożył urząd kaznodziei nadwornego wraz z Koźmińczykiem r. 1550, był potem w Białej u ks. Albrechta ministrem, lecz złożono go już 1551 r. z urzędu dla porubstwa. Obszerniej omawia Wotschke oba otwarte listy łacińskie Koźmińczyka, (którego wszelki ślad potem ginie); jeden wystosowany do Maciejowskiego, jeszcze bardzo ostrożny w wysłowieniu, ale wspomina n. p., że Ruś chcąc czyjeś życie nierządne i wszeteczne zganić, prawi, że żyje jak ksiądz katolicki, że właśni nasi bękarci około nas stoją, gdy przeciw cudzo-

łoztwu każemy. Drugi list, a raczej przemowa do Juliusza III domaga się zwołania soboru i kanonicznej reformy kościelnej: ten wydrukował Koźmińczyk o własnym strachu i nakładzie niedaleko pod Krakowem; ciekawe są i dodatki, list pocieszający Henryka Schoffera do uwięzionego Stankara a w pierwszym liście „Sebasti Myonis carmen", odróżniające kaznodziei prawych od wykrętnych, fałszujących słowo Boże lub zmyślających własne plotki.

Literatury polskiej Wotschke nie uwzględnia, zdaje się, że nie umie po polsku — na jego szczęście przeważną część naszej literatury różnowierczej spisano po łacinie, więc jest mu dostępna; jako teolog z powołania obyty jest gruntownie z dziejami, osobami i dziełami protestanckiemi i uwagi jego zawierają nieraz cenny materyał, chociaż stronniczości swej nigdy nie ukrywa; wdzięczniśmy mu mimo to za te liczne przyczynki archiwalne, zurychskie i królewieckie głównie, wyświetlające nieraz znakomicie osobiste stosunki naszych różnowierców.

Berlin. *A. Brückner.*

W. A. Francew, Polskoje sławjanowiedienije konca XVIII i pierwoj czetwierti XIX st.. Praga, 1906, 8°, s. IX, 491, CLXXII i 10.

Nieboszczyk Perwolf, profesor uniwersytetu warszawskiego zgłębiał przez całe życie, co zaprzątało myśl każdego niemal czeskiego slawisty: wzajemność słowiańską, od najdawniejszych, instyktownych jej odruchów aż do zupełnego uświadomienia, do *Credo* politycznego i narodowego wobec grozy niemieckiej; kilkutomowe dzieło temu poświęcił, główny, właściwie jedyny dorobek jego pracy umiejętnej.

Następca jego na katedrze, prof. Francew, ten sam kierunek wyspecyalizował; bada mianowicie od szeregu lat początki odrodzenia słowiańskiego i panslawizmu umiejętnego i literackiego, wypiastowanego głównie przez Czechów, począwszy od patryarchy slawistyki, Dobrowskiego (jego pamięci poświęcił dzieło niniejsze), aż do jej komiwojażerów, jak Hanka i i. Korespondencyę, wydaną przez Jagicza (głównie Dobrowskiego i Kopitara, spółczesnego slawisty wiedeńskiego, ultra-katolika i ultra-austryaka), uzupełniał własnemi publikacyami: korespondencyą Hanki (o tym olbrzymim tomie była już wzmianka w Pamiętniku Literackim) z całym światem słowiańskim; korespondencyą Bandtkiego i Dobrowskiego (Vzájemné dopisy I. Dobrovského a I. S. Bandtkeho, Praha, 1906), i szeregiem najrozmaitszych listów, uzbieranych ze wszelkich możliwych źródeł, wydanych w Dodatku niniejszego dzieła; pomijam liczne czeskie publikacye, korespondencye i biografie (Szafarzyka, Puchmajera itd.), również gorliwie wyzyskane. Teraz przystąpił do syntezy bogatego materyału i wykroił z niego, jeżeli nie najciekawszy, to najmniej chyba znany ustęp, dzieje slawistyki polskiej od r. 1790—1830.

Stałe nasze ignorowanie rzeczy słowiańskich, podniesione po r. 1831 (i 1863) niemal do zasady, sprawiło, żeśmy zapomnieli, że przed 1831 było u nas inaczej, że oczy słowiańszczyzny zwrócone były na uczonych polskich, na Warszawę i Kraków (Wilno pozostawało, mimo Czartoryskiego, nieco w tyle, jak to się szczególnie w sprawie Chodakowskiego ujawniło); że upatrywano w nas łącznik naturalny między zachodem a wschodem słowiańskim. Otóż ten tak znamienny, a tak rychło i zupełnie przerwany epizod przedstawił nam objektywnie, a wyczerpująco, prof. Francew.

Należy mu się od nas szczera wdzięczność za trud rzetelny i wykład uczciwy; dzieło jego zasłużyłoby na przetłómaczenie — mówiż o ludziach i rzeczach, najmniej u nas znanych, a rokujących niegdyś plony obfite. Zerwaliśmy po r. 1831 ze słowiańszczyzną i sami najdotkliwsze odnieśliśmy straty; to wstrzymało rozwój naszej wiedzy językowej, odbiło się na dziejopisarstwie naszem i literaturze; pomijamy inne dziedziny. Pierwsze lata wieku XIX zwiastowały coś zupełnie innego i o tem właśnie opowiada z niekłamanem uznaniem nasz autor. Rozdział pierwszy daje tło; kreśli szczególniej nawiązywanie polsko-ruskich znajomości, od czasopiśmiennictwa aż do stosunku Puszkina - Mickiewicza. Dalsze rozdziały wystawiają działalność pracowników, pierwszych na tym polu, jak archeolog Jan Potocki, podróżnik-naturalista Aleksander Sapieha, przygodny turysta Kossakowski; działalność bardziej owocującą gramatyków i słownikarzy, jak Linde, Bandtkie, Majewski; historyków i prawników, jak Czajkowski, Surowiecki, Rakowiecki; etnografa-entuzyasty Chodakowskiego; wreszcie nawych podróżników z najbardziej obmyślanymi programami, jak Bobrowski i Kucharski. Między nimi przewijają się inne ciekawe postaci, kurator Czartoryski z daleko sięgającymi planami słowiańskimi; Dobrowski jako mistrz i wyrocznia slawistyki całej; Czesi (Hanka, Czelakowski i i.), Łużyczanie, Chorwaci, Dubrowniczanie; Lach Szyrma i jego Letters of Poland i t. d. Co kiedykolwiek o tych naszych i obcych napisano, wszystko autor zgłębił, lecz, trzymając się ściśle określonego przedmiotu, biografii obszerniej nie traktuje; tem dokładniej bada i przedstawia, co kto w tę slawistykę włożył myśli, wiedzy, uczucia. I dowiaduje się właśnie polski czytelnik moc szczegółów zupełnie nieznanych (cóż wiedzą u nas o Majewskim, Rakowieckim i i.), albo poznaje ludzi znanych z nowej strony, np. Czartoryskiego jako slawofila; Lindego, zamierzającego wyczerpać literatury słowiańskie, niby w podobny sposób, jak materyał językowy zebrał, planującego naukowe spółtowarzystwo, spółpracownictwo słowiańskie itd. Najbardziej szczegółowo przedstawił autor dyaryusze podróży Bobrowskiego i Kucharskiego; nie byłoż po nich już więcej Polaka, coby równie gruntownie i systematycznie po całej Słowiańszczyźnie rozjeżdżał, szczególniej Kucharski, bo Bobrowskiego krępowała teologia i cerkiewszczyzna. I tylko żałować wypada, że z wielkiej chmury drobny deszczyk poszedł, że ani Bobrowski, ani Kucharski nie spożytkowali tego, co

uzbierali; że nadzieje, jakie na nich pokładać należało, zupełnie zawiodły; szerokość opowiadania kłóci się z wynikami mikroskopijnymi, o których właściwie i mówić nie warto, gdyż kandydat warszawski, Kucharski, niczem się w slawistyce nie odznaczył; podobnie jak i kandydat wileński, Bobrowski; pierwszemu dostało się około 100, a drugiemu 80 stronic!

Autor wyzyskał biblioteki lwowskie, krakowskie, (o warszawskich nie wspominam), praskie, petersburskie; opowiada n. p. treść niedrukowanych dotąd listów z dalszego ciągu podróży A. Sapiehy (z rękopisu ks. P. Sapiehy); czerpie ze sprawozdań urzędowych Kucharskiego (z podróży dla Komisyi warszawskiej) itd. Ogranicza się umyślnie rolą sumiennego sprawozdawcy; w krytykę pomysłów i prac rzadziej się puszcza; wylicza n. p. wszystkie rozdziały dzieł Potockiego, mniej stara się wydobyć z nich to, co przed krytyką, szczególnie nowszą, utrzymać się może. Na sądy jego, gdziekolwiek występują, godzi się chętnie; tylko Chodakowskiego entuzyastyczną rzecz o Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej za chłodno przedstawił; silniej też należało podkreślić, że taki pedantyczny Fus, mimo wszelkiej sumienności, wymagał od Chodakowskiego, czego ten dać na razie nie mógł, a wcale nie umiał ocenić, co praca Chodakowskiego przynosiła i rokowała; właśnie zaś ocena Fusa w Petersburgu rozstrzygała — zabiła też entuzyastę, co nam jaskółkę przypomina, zwiastującą przedwcześnie wiosnę.

Całe dzieło czyta się z żywem zajęciem; mimo to odnosi się smutne, przygnębiające wrażenie: tyle pracy, chęci, usiłowań, ginie w końcu marnie; porywają się nici, niema żadnego ciągu dalszego; obcy podchwycili, co my z rąk upuścili. Nie znalazła następstwa taka praca Lwowieckiego np., co w niejednym pomyśle, jak dziś widzimy, nad Szafarzykiem celował (nie tylko w tych szczegółach, o jakich autor wspomina), ani ten entuzyazm Chodakowskiego, co najobojętniejszych porywał — na chwilę. A przecież możemy być dumni z tego, cośmy w najniekorzystniejszych warunkach w slawistykę włożyli; ze stanowiska, jakie nauka polska, zdawało się, trwale w niej zdobyła. Te zadatki zawiodły, lecz cóż nie zawiodło po r. 1830?

Nie myślimy wyliczać materyałów samych, przez autora w Dodatku ogłoszonych, głównie listy, nie zawsze w treść bogate, tak, że i regestami ich nie raz możnaby się zadowolić. Trudno jednak pominąć prośbę J. B. Zaleskiego z 15 VIII 1822 (z Warszawy) do Komisyi wyznań i Oświecenia, ubiegającego się jako „zagraniczny kandydat do języków i literatury słowiańskiej“; jego prośbę odłożono *ad acta*, w rok później uwzględniono zato taką samą prośbę Kucharskiego. Dalej pisma „teologa do polihistora“ albo do „Mazura z Warsęgi“ t. j. ks. Bobrowskiego do Lelewela — czasyż to wileńskie i chociaż o filomatach wzmianki pobieżne, tem szczegółowsze bywają o Daniłowiczu, co w Charkowie „zchochłaczał“ czy „zkozaczał“: o późniejszej tranfiguracyi ks. Bobrowskiego autor

milczy i my zapominamy. Najciekawsza pozycya, to XXI, Materyały do historyi podróży Z. D. Chodakowskiego: od podania do „Rządu Królestwa Halickiego“ (dla ułatwienia poszukiwań), aż do korespondencyi z ministrem oświaty, ks. Golicynem; szczególniej wyróżnia się list ks. Czartoryskiego do rektora Malewskiego, gdzie broni Chodakowskiego przed krótkowidztwem wileńskiem, godnem pedantyzmu petersburskiego (Fusa i spółki); z listu tego przytaczam parę zdań „wszystkie plemiona wyrzucają nam jakowąś oziębłość do słowiańskich początków... należy (nam Polakom) przynajmniej nie dawać się drugim uprzedzić (w tym zawodzie), a broń Boże ostatnimi zostać... wstydemby było i wielką szkodą tego plemienia, któreby się w tej wspólnej pracy nieczynnem i oziębłem okazało“ itd. Z listów samego Chodakowskiego nie przytaczam wyjątków; wyjaśniają one ostatecznie kombinacye jego „grodztwa“ i czego się po niem dla dziejów prasłowiańskich spodziewał. Dziełu prof. Francewa życzymy jak najliczniejszych czytelników polskich, gdyż im właśnie odkrywa nowe, a raczej całkiem zapomniane widnokręgi. Z drugiej strony pragnąłbym tylko, żeby w nauce ruskiej pojawiały się częściej prace podobne, nam i naszym dziejom poświęcone, a równie bezstronne i uczciwe; zwracam szczególniej uwagę na charakterystykę ks. Czartoryskiego. Wypada w końcu wyznać, że szata zewnętrzna całego wydawnictwa bardzo okazała, druku ruskiego dokonano w Pradze; w Petersburgu czy Moskwie nie wykonanoby go lepiej.

Berlin. *A. Brückner.*

Ambroży Grabowski, Wspomnienia wydał Stanisław Estreicher z ilustracyami. (Biblioteka Krakowska, nr. 40 i nr. 41). Czcionkami Drukarni Czasu, w Krakowie 1909, 8°, T. I s. 344, T. II s. 377.

Dziwnie zajmująca, pożyteczna, dobra i kochana książka. Czyta się ją raz pierwszy, wtóry i trzeci z równem, ba nawet rosnącem zajęciem. Odkłada się z żalem, powraca do niej znowu, z prawdziwą przyjemnością ogląda się znakomicie dobrane, współczesne Amb. Grabowskiemu ilustracye, umysł czytelnika przetrawia z prawdziwym pożytkiem obyczajowe i polityczne impresye, od których roją się „Wspomnienia“, miłośnik dziejów Krakowa, dziejów piśmiennictwa naszego, dziejów księgarstwa co chwila, czytając tę książkę chwyta ołówek, by ten i ów drogocenny szczegół podkreślić, zanotować, wcielić do swej teki. Doskonały wykaz nazwisk i nazw, ułożony przez wnuka autora, p. Józefa Grabowskiego, tudzież wykaz ilustracyi i spis rzeczy, umieszczone przy końcu II-go tomu, ułatwiają doskonale oryentacyę w tem dużem dziele.

Za mało o tej książce stanowczo dotąd napisano. Niech miłośnicy przeszłości Krakowa, niech etnografowie, badacze kultury obyczajowej naszej, historycy naszego malarstwa, ekonomiści, błąd swój

naprawią i zwrócą na „Wspomnienia“ Ambrożego Grabowskiego baczniejszą uwagę. W „Pamiętniku Literackim“, rzecz prosta, wynotować tylko mogę to, co nowego do dziejów naszego piśmiennictwa znaleźć można w książce Grabowskiego. O jego dorobku literackim nawet, należycie scharakteryzowanym przez wydawcę, rozpisywać się nie mogę, dorobek to ilościowo ogromny, jakościowo, jako owoc badań samouka znamienity, budzący wiarę, że na swego monografistę Ambroży Grabowski czekać długo już nie będzie.

By dać o genezie tej książki choć słabe pojęcie, najlepiej uczynię, gdy wstępną kartę przedmowy wydawcy w nieznacznem skróceniu tu przepiszę. Oto, co o jej powstaniu miał prof. St. Estreicher do powiedzenia:

„Wspomnienia“ Ambrożego Grabowskiego nie były do druku przeznaczone. Autor ich z zawodu długoletni księgarz krakowski (do r. 1837) był archeologiem i zbieraczem pamiątek. Owocem tego zamiłowania, jest nie tylko długi szereg prac, drukowanych częścią osobno, częścią po czasopismach — ale przedewszystkiem ogromne zbiory, gromadzone pilnie przez całe długie i pracowite życie. Zbiory te obejmowały wszystko, co się mogło do wyświetlenia przeszłości przyczynić, a przedewszystkiem co stało w związku z tak ukochanym przez niego Krakowem. Zebrał ogromną ilość rysunków dawnych i nowszych malarzy, sztychów, drzeworytów, litografii. Gromadził dawne książki, dokumenty, papiery, nie gardząc nawet ulotnymi świstkami, wygnanymi z urzędowych zbiorów. Z ogromną wytrwałością przepisywał i streszczał zabytki archiwalne. Widział, jak one w jego oczach giną nieładem i brakiem opieki i troszczył się, że może niedługo nie zostanie i śladu z dawnych pamiątek. Pół wieku poświęcił benedyktyńskiej pracy przepisywacza, uratował i uprzystępnił tysiące zabytków.

Pozostałe po nim zbiory są mozaiką i mieszaniną najrozmaitszych źródeł i pomników. Składają one sto kilkadziesiąt ogromnych tomów, z których każdy posiada odrębną nazwę (zazwyczaj miewa ich kilka obok siebie) nadaną mu żartobliwie: „I to i owo z przydatkiem niekiedy czego innego“, „Magazyn wszystkiego, co cierpliwy papier przyjąć na się zdoła“, „Księga pisana, drukowana i lepiona“ i t. p.

Tomy takie są w przeważnej części mieszaniną trudną do zanalizowania. Obok dawnego sztychu, idą ubiory wojska, karty do gry, pieniądze papierowe, ryciny chłopskiej roboty, karty pogrzebowe, paszkwile, panegiryki, przeplatane starymi drukami, kopiami lub oryginałami dawnych wilkierzy, ordynacyi cechowych, manifestów, dyplomów, listów, testamentów, fragmentów z ksiąg sądowych, dyaryuszy, rachunków. Nie brak aforyzmów, wyjątków z wierszy, ciekawostek i anegdot odpisanych z druków lub rękopisów.

Tych sto kilkadziesiąt tomów, pozostawionych przez niego, to niewątpliwie ostatnie *Silvae Rerum,* jakie przeszłość nasza wydała w tak ogromnej ilości, aczkolwiek nie zdarzyło się chyba

nigdy, aby jeden i ten sam zbieracz zgromadził przez czas swego żywota, tak wielką liczbę tego rodzaju tomów, o tak wszechstronnej i doniosłej treści. Jeżeli kiedy przyjdzie do należytego zinwentaryzowania i zindeksowania kollekcyi Grabowskiego, to dzieje nasze, a zwłaszcza dzieje Krakowa, zostaną niemal na każdem polu wzbogacone pierwszorzędnej doniosłości materyałem.

Oryginalności i uroku dodają tym zbiorom gęsto po nich rozsiane, a bardzo indywidualne dopiski samego zbieracza i kopisty. A. Grabowski, aczkolwiek samouk posiadał wykształcenie wszechstronne, umysł krytyczny i rozważny. Zbierając zabytki lub excerpta źródłowe i kopiując je w swoich księgach, zastanawiał się zawsze nad wiarygodnością i doniosłością..."

Z tych ogromnych „Silvae Rerum", przechodząc tom za tomem, zebrał szanowny wydawca treść „Wspomnień", zebrał i ugrupował znakomicie, a jeżeli jaki żal mieć możemy do wydawcy, to ten, że nam dał jeszcze za mało; nie dwa, ale cztery i sześć tomów „Wspomnień" z równą wdzięcznością przyjęlibyśmy chętnie.

Pora już skończyć z przedmową i oceną pracy wydawcy, a jednak powstrzymać się nie sposób od przytoczenia tu jeszcze choć kilku słów o Grabowskim, napisanych przez Stanisława Estreichera!

„Dwudziestoletni młodzieniec (praktykant, później towarzysz księgarski) zamiast zniemczeć w otoczeniu Groeblów, Cypcerów, Kochów, wśród którego się obraca, chwyta zrazu za polskie książki, bez względu na ich rzeczywiście nizką wartość, sięga potem do piśmiennictwa polskiego wieków przeszłych, rozczytuje się w Skardze, Kochanowskim, Staszycu i na nich uczy się polskiego stylu i języka, religijnej i polskiej, patryotycznej myśli. Rola skromnego dostarczyciela starych i nowszych książek ułatwia mu poznanie się z ówczesnymi przedstawicielami literatury i nauki. Zawiązuje przyjaźń z Brodzińskim i Reklewskim, mimo, że dotąd przebywał tylko w towarzystwie rachujących kredką kupców lub niewykształconej czeladzi. Garnie się do towarzystwa Jacka, Idziego Przybylskiego, uczonego profesora i tłómacza Homera, władającego biegle wszystkimi Europy językami.

Używany do pomocy przez Woronicza, Bandtkiego, Ossolińskiego, Czackiego, jedna sobie ich życzliwość, a nawet wchodzi z nimi w blizki, poufały stosunek. Towarzyszy Ossolińskiemu na jego słynne wyprawy do klasztorów, wysyła dla niego butwiejące po zaniedbanych archiwach papiery. Do niego zgłasza się Chodakowski, poszukując pod Krakowem pogańskich grobów i ludowych pieśni..."

Syn organisty z Kent, wnuk włościanina z Głębowic, własną pracą i trudem wznosi się Grabowski na wyżyny materyalne, towarzyskie i intelektualne. Lat 20 pracuje w księgarni Gröbla, potem jest wspólnikiem księgarza Mateckiego, od r. 1817 ma sklep własny. W pomoc księgarstwu wnet Grabowski przybiera antykwarstwo

i opatruje wielu dziełami zbiory Tarnowskich, Świdzińskiego, Chyliczkowskiego i i. Liczne rękopisy nabywa od Grabowskiego ks. Adam Czartoryski. Pisząc o początkach swego zawodu księgarskiego, przytacza autor „Wspomnień“ jako cytat następujące słowa, wyjęte z dzieła, wydanego w r. 1522 przez Baltazara Opecia: „Zaprawdę, potrzebać jest nie zasypiać... ale ma pracować pilno, kto myśli mieć niegdy dobre bydło (byt)“.

Za najważniejszą swą pracę uważa Grabowski swój Opis Krakowa. Początkowo miał ten opis ułożyć profesor i historyograf Uniwersytetu Jagiellońskiego Józef Sołtykiewicz, ten jednak, gdy się doń Grabowski z polecenia właścicieli drukarni Gröblowskiej z prośbą o przygotowanie rękopisu zwrócił, taką dał odpowiedź: „chciejcież mi dostarczyć do tego niezbędnie potrzebnych źródeł, bez których przystąpić do pracy niepodobna“... Gdy z Sołtykiewiczem się nie powiodło, udał się Grabowski do Bandtkiego, mającego pod ręką całą bibliotekę akademii krakowskiej. Jeszcze jednak lapidarniejszą odpowiedź dał Bandtkie, niż Sołtykiewicz: „Ach... to pan chciałbyś, abym czytał 40,000 woluminów i kilkaset rękopisów!“

Czego ci dwaj uczeni się nie podjęli, podjął się nasz Grabowski, a jak się z swego zadania wywiązał, świadczą liczne, po dziś wznawiane wydania Opisu Krakowa.

O Bandtkiem, prócz tego szczegółu, notuje Grabowski jeszcze inne charekterystyczne anegdoty. Przykry, niecierpliwy, unoszący się przy lada sposobności bibliotekarz, był autorem też i takich kompilacyi, o których dziś już zapomniano, a to: elementarzyka polskiego, wydanego u Korna w Wrocławiu i wersyi Ojcze Naszu, a nadto, pisując więcej po niemiecku niż po polsku, układał dla roznoszącego po Krakowie listy Niemca Hessa niemieckie, wierszowane powinszowania noworoczne. Z powodu tej germanofilii Bandtkiego napisał był Konstanty Majeranowski, (o którym również nie mało danych znachodzi się w „Wspomnieniach“ Grabowskiego) kilka satyr, w których nie wymieniał wprawdzie nigdzie imienia Bandtkiego, ale pisał tak, że czytelnicy „Pszczółki“ „wszędzie go się domacać mogli“. Wspólnie z Grabowskim ustalił Bandtkie nazwisko wykonawcy pomnika Kazimierza Jagiellończyka: Wita Stosa!

Nie sposób o wszystkich uczonych i autorach rozpisywać tak obszernie jak o Bandtkiem. Krótko więc przychodzi nam zanotować, że Grabowski patrzył na smutny bieg życia Henryki Ewy Ankwiczównej, gdy ta po utracie majątku wraz z mężem swym Kuczkowskim w niedostatek popadła. Podobnie drobnych zapisek jak o Ewie Mickiewiczowskiej sporo na kartach „Wspomnień“; znajdujemy w nich wiadomości o następujących ludziach (lub ich dziełach): Batowski Aleksander, Baworowski hr. Wiktor, Bogusławski Wojciech, Chodakowski Zoryan, Ciołek Erazm, Czacki Tadeusz, Czapscy Antoni i Adam, Deotyma, Ehrenberg Gustaw, Fredro, Gorecki Antoni, Helcel Zygmunt Antoni, Jocher Adam, Juszyński Hie-

ronim Michał, Kondratowicz L., Klonowicz S., Kluszewski hr. Jacek Kraszewski J. I., Krasiński Zygmunt, Ks. Łańcucki J., Opeć B., Ossoliński hr. J. M., Pauli Żegota, Pawlikowski Gwalbert, Rastawiecki E., Reklewski W., Rzesiński Jan Kanty (prof. uniwersytetu, układacz kalendarzy tłómacz domniemany Lockego), Sawiczewscy, Skarga P., Szukiewicz Aleksander, Ulrich Jan, Wasilewski Ed., Woronicz Jan, Zaleski Bohdan i w. i. W spisie tym opuściłem K. Brodzińskiego i Jana Gawińskiego, o tych dwu, podobnie jak i o Woroniczu, rozpisuje się Grabowski stosunkowo obszerniej, niż o innych. W 1806/7 służący w 12 kompanii artyleryi pod kapitanem Wincentym Rekiewskim sierżant Kaz. Brodziński kwaterując w domu Gröblowej przez 6 miesięcy mieszkał w jednej stancyi z Ambr. Grabowskim. Czułe wspomnienie o nim zachował Grabowski przez całe życie i pięknych „kilka słów“ mu poświęcił (T. II, str. 10—14). Gdy w r. 1863 aresztowano w Krakowie jenerała Stanisława Krzesimowskiego, w umyśle sędziwego Grabowskiego odezwały się echa lat dawnych i znowu wspomniał jak z Krzesimowskim, Kochem, Milewskim i Brodzińskim przeżywał górne chwile na poddaszu Gröblowskiej kamienicy przed 54 laty! Ironizując twórczość poetycką Marcina Molskiego, porównywa Grabowski najwykwintniejszych poetów romantycznych, stawiając przed innymi na pierwszem miejscu Brodzińskiego, a po nim wymieniając: Mickiewicza, Zaleskiego, Malczewskiego i Goszczyńskiego. Przy wspomnieniu wreszcie poświęconem Reklewskiemu notuje Grabowski również, iż „życiopismo“ tego poety umieścił w „Pamiętniku warszawskim“ K. Brodziński, i że to „życiopismo“ znachodzi się także w VI tomie wydania dzieł Brodzińskiego w Wilnie r. 1844.

W „kilku wspomnieniach z mojego zawodu księgarskiego“ (T. I, str. 328—336) opowiada Grabowski o tem, jaką drogą i za jaką cenę (25 reńskich) nabył około r. 1806 lub 7 Adam Czapski od Teodora Wisłockiego, introligatora, mającego swój kram przystawiony do szarej kamienicy „rękopismo Gawińskiego“ [1]).

Z urywkowo spisanych i urywkowo przez wydawcę zredagowanych „Wspomnień“ trudno dokładną zdać sprawę. Las to ciekawych wiadomości, las pełen tajemnic, które przeniknąć uda się wtedy, gdy, zanim przyjdzie do zinwentaryzowania i zindeksowania kollekcyi Grabowskiego, posiadacze tych skarbów ułatwią pracownikom do nich dostęp.

Na końcu jedna uwaga. Dla książki każdej wielką jest to pochwałą, gdy się jej wartość ocenia samemi z niej przytoczonemi zdaniami. Tę cześć „Wspomnieniem“ Ambr. Grabowskiego oddałem w całej pełni; jeszcze jedną ich zaletę podnieść mi wypada. Całe zbiory Grabowskiego muszą być niewyczerpaną kopalnią sądów współczesnych o dziełach zarówno wielkich jak i mniejszych autorów. Spodziewać się tego każe choćby następująca notatka (T. II, str. 63):

---

[1]) Porównaj rozprawę moją „Jan Gawiński“ str. 146, gdzie rok nabycia rękopisu podany 1809.

„Zygmunt Krasiński. Znakomity ten w piśmiennictwie tegoczesnem poeta zmarł w Paryżu dnia 23 lutego 1859. Wszyscy wychwalają i unoszą się nad poezyami tego wieszcza, a nawet utrzymują, że on sięga po pierwszeństwo i stoi górą nad Mickiewiczem, czemu ja z mej strony kładę veto, a na Pragę uciekać nie będę

Ja w wielu utworach jego nie znajduję smaku, mistycyzmu ich nie pojmuję, a niektórych do końca doczytać nie mogłem... Być może, iż jest on wielki poeta, a wtedy biorę winę na siebie, przyznając, że mam tępą głowę. Są nawet i inni mojego zdania".

Sąd zaprawdę oryginalny. Zważmy, że Grabowski śledził życie literackie polskie od ostatnich lat XVIII stulecia po 70 lata XIX wieku, w notatkach jego tedy dla zbieracza sądów spółczesnych znamienite znalazłoby się żniwo! W tych sądach spółczesnych tego niezwykłego księgarza-samouka-autora odnalazłoby się nieraz zdanie odmienne od tych, jakie wygłosili zawodowi krytycy, zdanie nie mniej jednak cenne, bo je wypowiadał:

. . . . „Polak szczery,
Co Boga wielbił, dawne czytał rad papiery".

Czernichów. *Leszek Dziama.*

Jan Gwalbert Pawlikowski, Studyów nad Królem Duchem część pierwsza: Mistyka Słowackiego. Warszawa. Nakład Jakóba Mortkowicza. G. Centnerszwer i Spółka. Lwów. H. Altenberg, 1909. 8⁰, s. 548 i XVI.

Na końcu swego dzieła pisze prof. Pawlikowski, że uznają je niektórzy za dowód szczególnej sympatyi dla mistyki i traktowania jej jako „równowartościowy sposób myślenia". Świadczy to — zdaniem jego — „bardzo znamiennie o charakterze publicystycznym naszej przeciętnej krytyki i o niezdolności zdobycia się na kryterya, czy to artystyczne, czy naukowe". Jakoż — jeżeli, ogólnie rzecz biorąc, zarzut taki pod adresem polskiej krytyki słusznym nie jest — to w odniesieniu do dotychczasowych sposobów zajmowania się mistyką Słowackiego da się on (z małymi wyjątkami) podtrzymać w zupełności. Albo ją „wyznawano" i uwielbiano albo litowano się nad nią, mniej lub więcej dobrodusznie, jako nad obłędem. Tylko badać — zaczął ją prof. Pawlikowski, zdaje się, pierwszy i w tem już leży niezwykła ważność jego książki.

Trzeba jednak pamiętać o tem, że mistyka ta nie była mu celem sama dla siebie. Znajomość jej miała wieść przedewszystkiem do doskonałego rozumienia Króla Ducha. Ten zamiar praktycznego przystosowania pociąga za sobą to, że nie można szukać w monografii prof. P., mimo jej rozmiarów, historycznego przedstawienia wszystkich ewolucyi, jakim mistyczne natchnienia i poglądy Sło-

wackiego ulegały, ani też drobiazgowego roztrząśnięcia wszystkich szczegółów, a jedynie tylko jednolitego ujęcia tego co za ostateczny rezultat rozmyślań filozoficznych poety uważać należy.

Dzieło dzieli się na trzy bardzo nierówne rozdziały. Pierwszy liczy str. 25, drugi 75, trzeci 440. Brak to symetryi tylko zewnętrzny. W istocie rzeczy jest to tylko zakreślanie cyrklem umysłu coraz to szerszych kół z tego samego środka. Środkiem jest tu właśnie „Podłoże duchowe“ (taki tytuł najkrótszego rozdziału I-go) — w myśl doskonale motywowanego przekonania autora, że cała nauka mistyczna Słowackiego odpowiada wewnętrznym dziejom jego duszy a także jego aspiracyom artystycznym. A jest ten rozdział przy całej swej lakoniczności jednem z najgłębszych wniknięć w ducha poety. Rezultatem ostatecznym tego wniknięcia jest stwierdzenie, że kapitalnym rysem znamiennym ostatnich siedmiu lat twórczości Słowackiego, w odróżnieniu od poprzednich jest p r a w d a w e w n ę t r z n a. Treść poezyi zaczyna iść prosto z duszy a nie jak dotąd z wyobraźni, tylko z zewnątrz zapładnianej a rozpaczliwie czasem osłaniającej pustkę i czczość wewnętrzną. Przez duszę też przeszła na wylot „dobra nowina“ Towiańskiego i wyszła z niej najpiękniejszym swym owocem: własną nauką mistyczną Słowackiego, z jej założeń snutą. Rozdział II-gi książki (p. t. Nauka) wykłada samą tę naukę, mając na celu „wydobyć z gąszczu szczegółów czysty i jasny zarys podstawowej koncepcyi“. Autor „ominie z rozmysłu wszystko nie istotne, nie będzie się wdawał w zapisywanie różnych odmian tej samej myśli“, starając się „odsłonić myśl ustaloną i naczelną“. Szczegóły niektóre odkłada do następnego rozdziału, omawiającego „Źródła i pokrewieństwa mistyki Słowackiego“, niektóre aż do wykładu Króla Ducha w tomie drugim. Zaznaczam, że owe „szczegóły“ z trzeciego rozdziału wciągnę już tutaj do rozważań drugiego.

Dzieli autor cały system „nauki“ na część genezyjską, t. j. o „stworzycielnej pracy ducha, dążącego do coraz wyższych form objawu“, i dogmatyczną, snującą z tamtej rozwiązania problematów rozmaitego rodzaju: przyrodniczych, teologicznych, filozoficznych, etycznych, politycznych i t. p. Z drugiej strony ową część genezyjską dzieli jeszcze na kosmogoniczną, t. j. pracę ducha nad zdobyciem sobie ciała, której owocem jest cała przyroda, i na historyę, t. j. pracę ducha już w ciele ludzkiem „nad podnoszeniem się w sobie, nad zdobyczami czysto duchowej natury“. Podział ten uważa za wskazany nie tylko logiką wewnętrzną systemu ale i budową a także stosunkiem do siebie poszczególnych utworów. Te układa w porządek logiczny następujący: 1) Genezis z Ducha — właściwe objawienie i punkt wyjścia. 2) List do Rembowskiego lub też inny fragment o tej samej treści, mylnie jednak przez Gubrynowicza uznany za pierwszą tego Listu redakcyę, (autor nazywa go Pierwszą rozmową z Helionem). 3) Druga rozmowa z Helionem (u Gubrynowicza t. z. Wykładu nauki cz. I-sza) 4) Rozmowa z Helionem i Helois (t. z. Wykładu nauki cz. II-ga). Ten układ materyi poświadczony jest sło-

wami Słowackiego na początku ostatniej właśnie Rozmowy: „z Genezis bowiem wiesz początek (1), z przeszłej rozmowy cele finalne poznałeś (2)... teraz rozgrodzony jesteś przez pas pośredni teraźniejszości (3)... Ostatek więc tej nocy spędzić nam należy na tłumaczeniu teraźniejszości przez przeszłość i przez finalne cele ducha“ (4). Zmienićby tu należało tylko tytuły w myśl stwierdzenia Dra. Kleinera (Układ i tekst dzieł Słowackiego. Pam. lit., 1909), że i Helois występuje także w dwu pierwszych Rozmowach [1]).

Następstwo czasu, w jakiem utwory powstawały, stara się prof. P. odtworzyć od powyższego logicznego porządku niezależnie. Przypuszcza, że po Genezis z Ducha, której datę ustalono już poprzednio na rok 1844, najpierw powstał List do Rembowskiego, który miał początkowo całej nauki wykład obejmować. Doszedłszy jednak do ustępów p. n. Teraźniejszość z przeszłości i Historya aż do nas, spostrzegł Słowacki, „że nie da się ona (ta historya) — jako zbyt rozległa, pomieścić w Liście do Rembowskiego bez zachwiania równowagi jego budowy“, i dlatego obu mających ją objąć ustępów poniechał, a przeniósł ją do osobnego utworu w formie rozmowy z dwiema osobami, reprezentującemi jako „skrócenia algebraiczne“ kierunki rozwoju ludzkości, (t. z. Rozmowa z Helionem i Helois). W ślad zatem przyszła poecie myśl, aby podobnie całą naukę — z wyjątkiem nietykalnej Genezis — ująć w formę dyalogu i wówczas główną treść Listu do Rembowskiego przelał w ten utwór, który nazwał prof. P. Pierwszą rozmową z Helionem. Przed nim już, lub może po nim — tego nie rozstrzyga — mogła powstać polemiczno-dogmatyczna Druga rozmowa z Helionem. T. z. Samuela Zborowskiego i t. z. Teogonię uważa za późniejsze od utworów prozaicznych. Dat nie ustanawia zresztą żadnych. W przypisku przypomina, że w jednym z luźnych ustępów Listu do R. jest wzmianka o r. 1846, co zatem stosownie do teoryi, że List najpierwej po Genezis powstał, przesuwałoby wszystkie te utwory, z wyjątkiem niej, na ostatnie trzy lata życia Słowackiego, ale jest skłonnym do przypuszczenia, że ustęp z ową datą jest wtrętem późniejszym niż podstawowa część Listu.

Nie można zaprzeczyć, że cały ten wywód chronologicznego porządku jest bardzo misternie przeprowadzony; — z tem wszystkiem jednak ostać się nie może. Przedewszystkiem dlatego, że List do Rembowskiego nie jest najwcześniejszym po Genezis utworem, ale — jak się wszyscy prawie, zajmujący się tą kwestyą badacze (Tretiak, Kleiner, Dąbrowski) zgodzili, jednym z najpóźniejszych, jeżeli nie najpóźniejszym. Dla mnie świadczy o tem niezbicie fakt, że myśli, wspólne temu utworowi z innymi, tutaj znalazły największą pełnię wyrazu a rzeczy, gdzieindziej chwiejne, ostateczne umocnienie, od

[1]) W dalszym ciągu będę się jednak, dla jednolitości, trzymał tytułów proponowanych przez prof. P. Dzieła Słowackiego cytuję według wyd. Gubrynowicza i Hahna.

którego poeta później t. j. w Królu Duchu już nie odstąpi. Pouczające pod tym względem jest zwłaszcza zestawienie Listu z t. z. przez Gubrynowicza pierwszą jego redakcyą, czyli według prof. P. później od Listu powstałą Pierwszą rozmową z Helionem. Pomijając już jaśniejsze formułowanie tych samych myśli w Liście — takie kwestye jak rozwijanie się Ducha w coraz nowe trójce, budowa atomu ziemskiego z trzech pierwiastków: ognia, światła i wody, wreszcie powstanie ognia jako pierwszego grzechu ducha i rola tego ognia w dalszym rozwoju, w Rozmowie z Helionem robią wrażenie, jakby poraz pierwszy nieśmiało z duszy poety wychylały głowę, podczas gdy w Liście do R. ujęte są z całą pewnością siebie. Ta sprawa ognia zwłaszcza, w Rozmowie aż cztery razy jest opracowaną, gdy w Liście krótkie i jasne otrzymała załatwienie. Co ważniejsza i w samem pojmowaniu tego punktu różnią się oba utwory. Kiedy bowiem w Rozmowie ogień nie z ducha ale dopiero „z ciał walki i z gruchotu kamieni wytrysnął" a więc już z materyi się począł, to w Liście powstaje on bezpośrednio z cieplika i dopiero przy pomocy światła i wody (słońca i księżyca) sam materyę wytwarza. Przy tym zaś poglądzie Słowacki ostatecznie już pozostał i w ostatnią redakcyę Genezis go wprowadził, gdy druga jeszcze na gruncie Rozmowy z Helionem stała.

Jeżeli wobec tego wszystkiego nie można już wątpić, że List powstał po Rozmowie, to daleko mniej jeszcze wątpliwości może zachodzić co do faktu, że Rozmowa z Helionem i Helois o przeszłości, nie z Listu dopiero, jak sądzi prof. P., się urodziła ale go wyprzedziła bardzo znacznie. Jest ona przecież jedynym utworem, w którym poeta dopuszcza metempsychozę wsteczną poniżej człowieka (już w owej Pierwszej rozmowie z Helionem zwalcza ją energicznie; por. Dzieła J. S. X, str. 543), jedynym też, w którym pierwszym ludziom zwierzęco-ludzką a nie ludzko-anielską naturę przypisuje, wykluczając tem samem właściwie grzech pierworodny. Prócz tego — co drobniejsza — utwór ten identyfikuje ducha Adama z duchem Homera, gdy tak Pierwsza rozmowa z Helionem jak List do R. ich rozróżniają. Wszystko to sprawia, że nawet z tą Pierwszą rozm. z Hel. nie można dyalogu o przeszłości łączyć jako jedną redakcyę filozoficznego dzieła, jakby obok prof. P. pragnął także dr. Kleiner [1]), — że trzeba ją może uznać za najwcześniejszy po Genezis z pozostałych nam filozoficznych fragmentów Słowackiego. Ustępy w Liście do R., p. n. Teraźniejszość z przeszłości i Historya aż do nas, które posłużyły prof. P. za punkt wyjścia dla jego hypotezy, również przeciwko niej właśnie będą świadczyły, jeżeli tylko spojrzymy na nie w oświetleniu pewnego urywku w tekście tego samego Listu do R., który jest próbą nawiązania tych ustępów do głównej treści utworu. Brzmi ten urywek: „A że tu sprawa (Boża)

---

[1]) Por. jego rozprawę p. t. „Dzieło filozoficzne Słowackiego", w zbiorowej książce p. t. „Cieniom Juliusza Słowackiego... i t. d.".

szła ciągle — logicznie — w tworzeniu się wiar i narodowości — sądzę iż ci tego dowiodę w następującym ułamku — który n i e g d y ś tłómaczył przeszłość historyczną ducha wszelkiego przed młodością nic nie wiedzącą a różnemi marzeniami rozegzaltowaną". Ten ułamek to właśnie nasza Rozmowa z Helionem i Helois o przeszłości. Poeta poprostu chce ją włączyć do Listu do R. tak jak jest, dostosowawszy tylko początek do swego nowego poglądu na naturę pierwszych ludzi, co właśnie czyni ustęp p. t. Historya aż do nas, stawiając przed nami Adama i Ewę w raju już po upadku, po stracie podobieństwa z Chrystusem. Co do dalszych ich kolei poeta w niczem prawie swych poglądów nie zmienił, więc też dalszego ciągu Rozmowy o przeszłości przerabiać nie potrzebował i na tem urwał. Że zaś temu zawartemu w Liście do R. poglądowi na naturę pierwszych ludzi pozostał wiernym już do końca, świadczy sen Mieczysława w Królu Duchu (Dzieła J. S. IV, str. 574—6, w. 33—85). Dodam wreszcie, że nie mały argument przeciw swej hypotezie daje sam prof. P. tem, że się w stosowaniu jej dalszem niejednokrotnie potyka. Pisząc n. p. na str. 78: „Zastanawiającem jest, że w Rozmowie z Helionem i Helois grzech pierworodny zupełnie jest pominięty", — dodaje w przypisku, że „w Teogonii natomiast jest opisany w duchu Listu do Rembowskiego". Otóż skoro poprzednio (str. 30 i 31) jak najsłuszniej dowodził, że Teogonia powstała już po Rozmowie z Helionem i Helois a tę znów uważa za późniejszą od Listu do R. — to z tego wynikałoby chyba, że Słowacki powrócił do poglądu raz stanowczo zarzuconego. Później znów, mówiąc na str. 359 o tem jak Słowacki tłómaczy powstanie materyi, trzyma się autor Listu do R. a w przypisku zwraca uwagę na odmienne tej kwestyi rozwiązanie w Pierwszej rozmowie z Helionem. Jeżeli jednak tę ostatnią uważa za późniejszą od Listu toć właśnie wersyi w niej zawartej powinien się trzymać w tekście jako „ustalonej i naczelnej". A podobnych przykładów znalazłoby się i więcej.

Rozwiodłem się też nad całą tą sprawą szerzej nie tyle ze względu na samą chronologię, ile przedewszystkiem właśnie w myśl założeń autora, aby starać się „odsłonić myśl ustaloną i naczelną". Stwierdzając zaś powyższe pomyłki, muszę równocześnie stwierdzić, że sprawie znajomości układu fragmentów oddał autor dwie usługi. Naprzód — niezależnie od dra Kleinera (l. c.) — sprowadził poszczególne utwory do pomysłu jednego, obejmującego treść ich wszystkich, filozoficznego dzieła; powtóre pierwszy poddał gruntownej rewizyi List do Rembowskiego i zupełnie przekonywająco oznaczył stosunek do siebie poszczególnych jego materyi i ustępów. Uzupełnić można ów rozkład treści Listu tylko tem, że treść wszystkich tych drobnych ułamków, jakie po, kończącem właściwy tekst, „Zlaniu się westchnień ducha w Słowo proszące o przemienienie" następują, da się sprowadzić do dwóch spraw: systemu nauk szczegółowych i człowieka jako mikrokosmu. Pierwsza jest aż trzy, druga dwukrotnie (ale za to jeszcze dwa razy we waryantach) opracowana. Poza tem

są tu tylko próbki nawiązania tych kwestyi a także Rozmowy o przeszłości (por. wyżej) do głównego tekstu.

Samą naukę wykłada autor, trzymając się przeważnie planu podanego przez samego Słowackiego w Liście do R. i na początku Rozmowy z Helionem i Helois. Naprzód więc według Genezis i jej uzupełnienia w Liście wyjaśnia powstanie świata i globu. I tu zaraz z okazyi słów Genezis: „Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie a jam był w Słowie...“ porusza i stara się rozstrzygnąć ważną kwestyę przynależności gatunkowej systemu Słowackiego. Komentuje mianowicie owe słowa tak: „Ale Słowo nie jest tu Chrystusem, Bogiem objawionym; nie jest to także „Deus explicitus“ ujawniający się w Stworzeniu. Koncepcya Słowackiego nie jest panteistyczną“. Później przy innej sposobności wyjaśni jeszcze, że „Jedność świata, właściwa panteizmowi, jest w nauce Słowackiego, w której miejsce powszechnego Ducha zajmuje mnogość duchów indywidualnych, zastąpiona węzłem solidarności, jaki między duchami istnieje“. Otóż zdaje mi się, że prof. Pawlikowski, przecząc samemu poecie, który się za uchrystusowionego panteistę uważał, za śmiało tę sprawę rozstrzygnął. Bóg, rozpowiadający w Słowackim pracę globu „jako czujący dziś jeszcze boleście, które się działy na dnie czasów minionych“ (Gen. w. 209), „czujący wszelką pracę ducha w formie pracującego“ (Pierwsza rozm. z Hel. str. 548), Bóg z którego każdy duch czerpie swą twórczą siłę, którego Trójcy „się nasze duchy należą, w tych trzech się rodzą, pracują i palą (Wiersz: Bóg Duch innego znać nie będziecie, I, str. 146), w którym „światy tworząc, mieszkamy“ (List apostolski w. 221) — ten Bóg jest mimo wszelkie pozory Bogiem panteistycznym. Kiedy Słowacki mówi o Nim często jako o Osobie, kiedy mu każe „brać na ręce“ ducha proszącego o wyższy kształt i t. p., to jest to najpewniej poetyckie wyrażenie tego faktu, że żadna nowa forma nie może powstać wbrew stałym, na dnie duszy wszechświata leżącym principiom i celom rozwoju, bez ich zatem pozwolenia niejako. Przypisać te pozorne niekonsekwencye trzeba nie czemu innemu tylko tej właściwości Słowackiego, którą tak wybornie przy innej okazyi sam prof. P. scharakteryzował, mówiąc, że: „Umysł Słowackiego dąży do konkretności; jest to rys niezmiernie charakterystyczny, z którym się jeszcze nieraz spotkamy i który — jak zobaczymy — niejednokrotnie jego mistyczne koncepcye zaciemnia; pozostaje on zapewne w związku ze wzrokowym charakterem wyobraźni poety. Myśli on niejako widzialnymi obrazami. Ale ten proces konkretyzacyi rodzi wprawdzie postacie konkretne, wyobraźnią widzialne, ale bynajmniej nie reprodukcye realnej rzeczywistości“. Tak właśnie powstał osobowy Bóg Słowackiego, który jednak „w realnej rzeczywistości“ odpowiada raczej idei absolutnej Hegla, na co się i poeta sam godził (w Raptularzu w. 495 i n.), proponując tylko poprawkę: „idea czysta rozwijająca się czyli rosnąca do finalnego

celu“, zamiast „idea czysta wszędy w swoim innobycie“. Odrzuca też Słowacki stanowczo pozaświatowość Boga i mówi w urywku: „Na to jedna odpowiedź“ (I, str. 263), że świat daremnie: „patrzy w górę — Boga chcąc widzieć za mgłami“, bo:

„...On nie jest za zorzą i za księżycami;
I w smętkach ludzkich nie jest jak sen znaleziony,
On w czynach ducha napół już leży spełniony.
Już Go widać — jakoby pół posągu w globie,
W światłach ducha — i w pracach — i w narodów grobie
Wiecznie pustym — i w ludów ciągłych zmartychwstaniach
I w każdym z nas — On większy niż w morskich otchłaniach,
Niż w Alpach — piorunami co są uwieńczone.
On mówię — Bóg-Duch — światło już na pół wskrzeszone
W ciemnych globu aniołach — złoci ciała nasze...“

Dodajmy, że urywek ten jest cząstką t. z. Teogonii [1]), że zatem pochodzi z czasu zupełnego już skrystalizowania poglądów Słowackiego. Co się teraz tyczy owej solidarności duchów, która według prof. P. zastępować ma w nauce poety panteistyczną jedność — to zdaje mi się, że ona tylko z tej jedności właśnie wynika. Indywidualizacya jest związana tylko z formą. Duchy, dopiero kształty przybierając, rozwiązały jedność Słowa a uczucie zasadniczej jedności wszystkich duchów jest w każdym z nich. „Uczucie jedności z duchami w Słowie objawionymi“ — czytamy w Liście do R. w. 789 i n. — „walcząc (z?) formą objawia się przez zmysły i pracuje, aby świat na różne kształty rozbity do jedności w sobie przyprowadziło“... I „niezaspokojone i wiecznie czynne“ będą duchy, aż „odpoczną w Słowa jedności“ (tamże w. 776). I ta jedność właśnie ostateczna jest ową „równością w miłości“ i brakiem hierarchii a najfinalniejszym z finalnych celów, o którym autor mówi na str. 103 swej książki. Zanim to nastąpi wypracować się będzie trzeba przez całą olbrzymią drabinę kształtów i stąd to właśnie „każda odmiana formy, każde wstąpienie ducha z progu niższego na wyższy otrzymane jest nie przez jednego tworu modlitwę ale przez utęsknione westchnienie ducha z całego globu boleścią wydobyte“. Metafizyczny przekrój świata — jeżeli można się tak wyrazić — jest u Słowackiego najjaśniej może sformułowany w Pierwszej rozmowie z Helionem (X, 537), gdy, każąc Helionowi uprzytomnić sobie pajęczynę z jej próżnym środkiem, mówi poeta: „Wyobraź sobie, że tą pajęczyną jest nieskończoność — śrzodkiem jej Słowo — a ze Słowa światy rodzące się obaczysz... wszystko z miłości i woli Słowa wyleciało — wszystko wyrodzone w pierwszej trójcy poczęcia trwa dotąd... wszystko Słowem stworzone w S t w o r z y c i e l u S ł o w a m i e ś c i s i ę... z e S t w o r z y c i e l a n i e w y s z ł o ale zeń ducha

[1]) Wykazali to już niezależnie od siebie pp. Kleiner i Witkowski.

świętego czerpie — i z wyrodzonych kształtów ducha świętego rodząc Bogu oddaje... Słowo zaś stworzyło syny Duchy... które są w Słowie — jako Słowo jest w Ojcu...". A więc w rezultacie Bóg — natura naturans.

Wszystko razem wziąwszy, stwierdzić jednak będzie trzeba, że dadzą się z mistyki Słowackiego wyprowadzić wcale wyraźne i proste linie panteistycznej koncepcyi świata, tu i ówdzie tylko tradycyą chrześcijańskiej teologii i ową tendencyą konkretyzowania nakryte. Jeżeli zaś jeszcze zważymy, że, — jak się o tem z samego dzieła prof. P. (rozdziału III-go) wiele nauczyć można — panteizm rzadko bywa konsekwentny, czego może najbardziej typowym przykładem Bruno, to i górę Słowackiemu nad wielu pokrewnymi mu w panteizmie mistykami przyznać wypadnie. Dodam wreszcie, że także i prof. P. sam wyłącznie na gruncie przypisywania nauce poety pojęcia osobowego Boga nie stoi, bo na str. 356 i n. wyraźnie mówi o „negatywnej teologii" Słowackiego a tylko brak konsekwencyi w tym względzie mu zarzuca.

Ale z tą sprawą pojęcia Boga w najściślejszym związku pozostaje druga, w nauce Słowackiego niemniej prawie ważna — sprawa pojmowania Chrystusa. Cytowałem już zdanie prof. P. o „Słowie" na początku Genezis, że ono „nie jest tu Chrystusem, Bogiem objawionym"; chcąc jednak poznać w całej pełni jego opinię o tej kwestyi, trzeba sięgnąć w głąb rozdziału III-go dzieła, gdzie na str. 372—6 została ona wyczerpująco wypowiedzianą. Utrzymuje tam autor, że dadzą się właściwie z nauki Słowackiego wysnuć trzy, w żadnej ze sobą nie będące harmonii, pojęcia Chrystusa. Jedno — to Chrystus, globowy duch pierwoidący, „odwieczny wódz i przewodnik sprawy Bożej na ziemi" — i takie pojmowanie uważałby za najlepiej odpowiadające założeniom Genezis z Ducha. Drugie — to duch pozaglobowy „pochodzenia świetlnego", który tylko dobrowolnie zstąpił na ziemię, aby duchom jej nadać kierunek wedle myśli Bożej. Który z tych dwóch sposobów pojmowania wyraża rzeczywisty i ostateczny pogląd Słowackiego — wydaje się autorowi trudnem do rostrzygnięcia, ale z żalem przychyla się ku drugiemu. Czyby to teraz był „duch pierwszy, który w światło się rozwinął, czy tylko jeden z takich duchów" — to „pytania, które muszą pozostać bez odpowiedzi, bo jeśliby nawet Słowacki o nich myślał, to ich w każdym razie — w pismach, które znamy, nie rozwiązał". Nadto jednak występuje jeszcze Chrystus jako pojęcie zbiorowe: „wszystko, co w widzialności pracuje, jest Słowem Boga, czyli Chrystusem." To uważa już prof. P. za koncepcyę „całkiem znowu różnej natury", będącą ze strony poety kompromisem z teologią chrześcijańską. Ten kompromis zaś jest właśnie przyczyną wszystkich sprzeczności.

Otóż z całem przytoczonem ujęciem sprawy ośmielę się polemizować. Jeżeli bowiem dążność do utrzymania swej nauki w zgodzie z podstawami wiary chrześcijańskiej mocno wpływa na

sposób wyrażania się Słowackiego o Chrystusie, to zarzut wynikających stąd jakoby sprzeczności wydaje mi się conajmniej przesadzony. Przedewszystkiem stwierdzam, że co do pojęcia Chrystusa poszczególne utwory mistyczne Słowackiego zupełnie się nie różnią. Już w Genezis jest On identyczny ze Słowem (por. w. 763). Następnie co do kwestyi, czy jest On tylko najwyższym duchem globowym, czy słonecznym i tylko dla odkupienia globu nań zaszłym, dalej czy jest pierwszym, który się w światło rozwinął, czy tylko jednym z takich — nie zachodzi zgoła żadna wątpliwość, skoro rozmowa z Helionem i Helois w. 118 nazywa Go: „Chrystus duch nieskalany przejściem przez twory ducha“, skoro w Pierwszej rozmowie z Helionem, str. 582 czytamy o „podobieństwie z Bogiem Chrystusem, ze słowem już nie globu ale światów wszystkich“ i toż samo w Liście do R. w. 484 i n., skoro dalej Teogonia w. 58? mówi: „Duch najwyższy — najwyższa słoneczna opieka“, a jej waryant (III, 493): „Bóg ojców naszych — Chrystus — złote słońce rajskie“, a Dziennik z 1847 r. objaśnia, że na ziemię „nie mógł przyjść w formie świetlej, bo światło prawdziwe bezcielesne, byłoby dla nas niewidzialne....“

Co się wreszcie tyczy najważniejszej sprzeczności, jaka zachodzi pomiędzy pojęciem Chrystusa jako osoby a pojęciem Go jako Słowa w znaczeniu zbiorowem, to zniknie ona, jeżeli staniemy pod panteistycznym kątem widzenia. Koncepcya w swoim całokształcie przedstawia się następująco:

Bóg jest jeden.

„Ale nikt dotąd Boga nie pojął w jedności
A choć kto wmawia, że wierzy, nie może“. (I, str. 277)

Można go pojąć tylko w Trójcy: Duch, Miłość, Wola i ta Trójca jest Demiurgiem, Chrystusem, o którym mówi poeta, że całą Trójcę świętą w sobie mieści (Rozm. z Hel. I-sza, str. 550). Demiurgiem, bo ona to ulega kilkakrotnie opisanemu procesowi zróżniczkowania w niezliczoną ilość podobnych Trójc, które następnie tworzą sobie kształty i przez to różniczkują się dalej, wytwarzając hierarchie duchów. Te duchy—trójce tkwią jednak zawsze w Trójcy naczelnej czyli Słowie — Chrystusie, podobnie jak różne myśli w jednej jaźni i z niej czerpią swą siłę twórczą. Mając, jak i Trójca ogólna, wolną wolę, mogą nawet buntować się przeciwko Niej (pojęcie grzechu u Słowackiego), znowu podobnie jak w każdej poszczególnej jaźni ludzkiej mogą powstawać myśli sprzeczne z idealnemi dążeniami człowieka. Jak zaś mimo to owe idealne dążenia nie przestaną decydować o ogólnym kierunku jego życia, tak też i cele ostateczne owej Trójcy naczelnej Słowa stanowią kierowniczą siłę świata, nazwaną u Słowackiege „siłą sakramentalną Chrystusa“ „która wszystkim siłom panuje a jest podniesiona nad wszystkie (List apostolski w. 43). „A nie jest przeklęta moc żadna“ — czytamy w tymże utworze w. 130 — „ale jest przez najwyższą

sakramentalną siłę Chrystusa rządzoną... a On ją po wiekach wchłania w łono swoje". Bo tym celem ostatecznym jest — jak to już poprzednio wskazywałem — powrót, po przebiciu się przez kształty, do jedności. Ta Trójca naczelna, jaźń świata i zasadnicze prawo jego rozwoju, czyli właśnie Chrystus—Słowo czuwa zatem nad wykonaniem swego planu, normuje rozwój całości i uwidzialnia się od czasu do czasu duchom, w tej formie, która na jakiś czas ma być metą najbliższą ich pracy, t. j. jaką tylko najwyższą może sobie duch w danej fazie swego rozwoju wyobrazić. (Ten ostatni warunek bardzo słusznie podniósł gdzieindziej prof. P. jako bardzo dla Słowackiego charakterystyczny.) Tak uwidzialniło się Słowo w raju, tak Mojżeszowi, tak w historycznem życiu Chrystusa, tak wreszcie kiedyś „w obłokach zjawi się — i ostatnie więzy cielesne, ducha naszego krępujące zrzuci — obudziwszy nas niby w przemienieniu i w słoneczności — i w nowej naturze, odpowiadającej mocy i anielstwu ducha naszego..." (Rapt. w. 2564). Ukazuje się tedy zawsze w formie świetlnej, słonecznej (i w historycznego Chrystusa „przemienionej twarzy" było światło) ale nie światła czystego, bo jak cytowałem wyżej „światło prawdziwe, bezcielesne byłoby dla nas niewidzialne". (Dziennik z 1847 r. w. 16.) Pomiędzy tą widzialną „osobą" Chrystusa a jego pojęciem „zbiorowem" jako Słowa nie zachodzi jednak żadna sprzeczność, bo tu „widzieć" Chrystusa nie znaczy nic innego jak tylko widzieć — odgadnąć kierunek świata, jego myśl zasadniczą i cel, przynajmniej najbliższy, skupione w naczelnej, ogólnej Trójcy czyli Słowie. Widział to wszystko Adam w „złotem słońcu rajskiem, widzieli potem upadli już ludzie w Chrystusie-człowieku, a zapowiedź przyszłego „miliona Chrystusów" pochodzi stąd, że właśnie ów człowiek-Chrystus jest tą najbliższą metą ludzkiej pracy ducha. Stąd też każdy najwyższy duch w pewnej gromadzie ma prawo się nazywać jej Słowem, bo dla wszystkich niższych w niej duchów jest on, a raczej zrównanie mu, najbliższym celem ich pracy. Więc Słowo „globowe", więc Króle-Duchy narodów i t. d.. I w tem także więc rozumieniu Chrystus — Trójca naczelna jest „Słowem światów", to jest ich celem najostatniejszym — jak zresztą jest także ich początkiem.

Naszkicowawszy zwięźle proces powstania świata i globu, definiuje autor doskonale ogólne prawa jego rozwoju. Motorami więc pracy kształtotwórczej są miłość „jako pragnienie i tęsknota za urodzonym w myśli ideałem" i wola, która ten ideał realizuje. Z miłością „utożsamiona niemal" jest wyobraźnia, która naprzód utęsknione ideały naszego kształtu tworzy a więc pierwsza jest czynną. Ale takie ujęcie zasadniczych podstaw komplikują — mówi autor — w nauce Słowackiego „inne wchodzące w nie elementa". Przedewszystkiem rola Boga osobowego. On ducha obdarowuje kształtem — „podług woli jego wprawdzie, ale — i to jest drugi element komplikujący — także podług zasługi". Tutaj znów zatrzymać mi się wypadnie. Co myślę o tym Bogu osobowym i jego

roli, powiedziałem wprawdzie już wyżej, ale chodzi mi o ów drugi element komplikujący, który zresztą autor obszerniej rozpatruje jeszcze w rozdziale III-im na str. 253 i n.

Stroną ciemną jest tu mianowicie kwestya, w jakim stopniu zasługa (w znaczeniu etycznem) a w jakim wola, t. j. pragnienie nowego kształtu, oddziałują na jego otrzymanie. Czynnikiem gmatwającym jest zapewnienie poety, że „duch wszelki naprzód idący, chociażby skazę miał i niedoskonałość, przez to samo, że już twarzy swej ku celom ostatecznym odwrócił, wpisan jest wszakże w księgi żywota“. Ono też skłania wkońcu prof. P., na podstawie porównań z pokrewnemi myślami innych systemów, do przypuszczenia, że terenem wymiaru sprawiedliwości za „zasługę“ lub winę jest bezcielesny stan ducha między jednym żywotem a drugim, poczem już o nowym kształcie decyduje wola, czyli to jaki kto w sobie zdoła urodzić ideał i jaka jest siła jego pragnienia. W takim jednak razie, konsekwentnie rzecz biorąc, niższy żywot po wyższym byłby tylko rezultatem głównego u Słowackiego grzechu t. j. zastoju czyli niepragnienia żadnego nowego kształtu. A tak wyjaśnić się ta sprawa nie da. Wszakże lichwiarz karany jest u Słowackiego żywotem żebraka, twórca poddaństwa żywotem poddanego (L. do R. 876 w.) a kalectwa cielesne są też rezultatem win ducha. Oba czynniki: i wola i zasługa najoczywiściej równocześnie oddziałują, tylko że gorące upragnienie wyższego kształtu jest zasługą największą i położone na jednej szali z łatwością przeważy drugą ze „skazami i niedoskonałościami“. Prócz tego zaś bywają formy żywotów wyższe ale nieszczęśliwe i w tych nieszczęścia i cierpienia właśnie są karą za te skazy. Warto też przy sposobności stwierdzić — czego prof. P. nigdzie wyraźnie nie czyni, że, zgodnie z zasadniczemi założeniami systemu, Słowacki stanowczo wyklucza karę wieczną. Stwierdza to wiele miejsc w jego utworach a w sposób najbardziej nie pozostawiający wątpliwości pewien urywek (X, str. 327, w. 163), gdzie słyszymy, że: „Jednego niema ducha, któryby na końcu czasów nie był zbawiony... te tylko, które, jak mówią ewangeliści, w ciałach znajdą się — końcowi świata przytomni — te podług widzenia apokalipsy — jako męty — i najleniwsze z duchów treści — będą wrzucone w jezioro siarki gorejącej — aby się tam przetrawiły, nim do nowej pracy z formą zostaną powołane...“

Dalsze już z rozwoju wynikłe jego prawa, to naprzód ofiara, ako prawo wszelkiego wyższego postępu: jest ona słusznie wskazana jako podstawa całej etyki Słowackiego, jak znów istotą grzechu jest zastój; potem następuje prawo ogólnej harmonii, które autor pojmuje, jako „węzeł solidarności, jaki między duchami istnieje“, skupiając je przytem pod chorągwią ducha pierwoidącego — Króla Ducha. (Jak genetycznie tę solidarność rozumieć trzeba, wskazywałem wyżej). Pewnym czynnikiem rozwoju jest wreszcie anamneza.

Znakomicie wyjaśnia autor jej pojmowanie przez Słowackiego, na porównawczym gruncie rozdziału III-go str. 267—277.

Samą treść Genezis przebiega krótko ale za to nadaje jej nadzwyczaj wyraziste kontury i bardzo żywo przejmuje czytelnika swojem własnem odczuciem ich piękności. Stwierdza, że w łańcuchu form opisanych tutaj dają się odnaleźć ślady porządku epok geologicznych, które zresztą włoczone są w sześć dni genezy mojżeszowej. Dodałbym, że się jednak bynajmniej ze sobą nie nakrywają i że występuje co więcej trzecie pojęcie: królestw, które również nie da się tamtym ściśle podporządkować.

Następuje opis stworzenia człowieka, jego własności, upadku i programu przyszłych ewolucyi form. Zdaje mi się, że niezupełnie zgodnie z prawdą datuje autor zaprzestanie tworzenia nowych kształtów od chwili powstania człowieka. I z Genezis i z drugiej rozmowy z Helionem (w. 621) i po części z Samuela Zborowskiego (w. 16 in.) wynikałoby raczej, że stało się to już wcześniej. Wtedy mianowicie, gdy „piątego wieczora“ Noe do Arki „nie wpuścił jaszczurów i słoniów olbrzymich, ale zebrał twory będące teraz w harmonii i jedności... Kształty, które wypracowały formę ludzką“. (Gen. w. 372 i n.) Jaki to duch był „onym Noem“ tego poeta sam nie wie, a ciekawa to istotnie rzecz, gdyż nie mógł to być człowiek, w szóstym dniu dopiero stworzony.

Grzech pierworodny, o który autor nie tylko tutaj ale jeszcze dwukrotnie później (najobszerniej w rozdziale III-im str. 376—8) zaczepia, wydaje mu się „wtrętem ujemnym w pierwotną zasadniczą koncepcyę genezyjską“. Istotnie mąci on ją z punktu widzenia przyrodniczego a także, wobec faktu, że się już trzy razy w rozwoju ducha pojawił [1]), mąci „pewność zwycięskiego pochodu ducha“. Niekonsekwencyą jednak w systemie samym nie jest; to zaś odebranie pewności zwycięzkiego pochodu nie jest bez etycznej wartości. Nie można też znów twierdzić, żeby opis tego grzechu był zupełnie „taki jak w Piśmie“, gdy tam tylko jabłka z jednego drzewa były zakazane a tu wszelkie jedzenie jest zgubne i zupełnie człowiekowi niepotrzebne. Tem mniej identyczność węża z Kainem na Piśmie może być oparta.

A teraz sprawa przyszłej formy. Najbliższym etapem przyszłego rozwoju człowieka jest doróść do wyżyn historycznej osoby Chrystusa. Ale nie tylko chodzi o zdobycie jego duchowych mocy, jak sądzi autor. Celem jest tu niemniej i forma promienna, w jakiej zmartwychwstał, a jaką właśnie miał Adam na podobieństwo Jego stworzony. Czysto duchowe wzmaganie się wypełnia tylko stadya do niej wiodące, co do których cenne objaśnienie daje t. z. Teogonia (w. 153) w słowach :

---

[1]) Za drugi grzech uważa poeta zamianę organizmu na trwałość formy grzyba zoofitowego. Świadczy o tem Gen. w. 185 i 219.

„Wprzód męczennicy, wieszcze, króle i prorocy,
Potym Chrystusy wielkie wskrzesitelnej mocy“.

O dalszych przemianach: naprzód w światło kolorowe, niedoskonałe jeszcze, następnie czyste, mówi autor, zachwycony pięknością tego pomysłu, bardzo wyczerpująco i tutaj i następnie w rozdziale III-im w osobnym, obszernym ustępie (str. 445—482), na obszernym podkładzie porównawczym, gdzie też wskazuje niesłychanie trafnie na ten ogromnie charakterystyczny objaw, że ta świetlana forma główną wartość dla Słowackiego, jako „doskonalsze śpiewu świętego narzędzie“ przedstawia. Uzupełnię jeszcze objaśnienia autora drobnym dodatkiem, tyczącym się innych własności tej nowej formy a zaczerpniętym z Raptularza. Czytamy tam (w. 1361 i n.): „Przyszła forma jeszcze łatwiejszą będzie do zniszczenia, zaledwo obrażoną ujrzy duch tę świątynię wnet pogardzi nią — i bez żadnej ciężkości ni trwogi wyjdzie z niej — aby wziął nową piękniejszą“. W tem przewidywaniu, jak i we wielu innych poglądach, spotyka się Słowacki z Krasińskim. Czy między formą czystego światła a powrotem do jedności Słowa są jeszcze jakie formy, poeta nie rozstrzyga ale nie wyklucza. Pisze w Liście do R. (w. 665 i n.), że „Jeśli w nieskończoności uwidzialnionych światów istnieją jakie formy inne, o których słońca i gwiazdy nie mogą nam dać wyobrażenia, to my bezcieleśni nawet... o takich formach nie wiedzący, wprzód je urodzić w duchu naszym potrzebujemy, abyśmy onych widzeniem i posiadaniem przez Boga udarowani być mogli“ (Por. też Rapt. w. 550—562). Zawarta też jest po części w tych słowach odpowiedź na niepewność wyrażoną przez prof. P. na str. 266 „czy ciała te (świa-tłe) są już gotowe i wprost już tylko przez metempsychozę dostępne, czy też mają być dopiero w przyszłości wypracowane“. Zresztą cytowałem już wyżej wyjętą z jakiegoś listu do L. Norwida w Raptularzu w. 2565 wzmiankę o naszem „obudzeniu się niby w przemienieniu i w słoneczności“.

Dotąd mieliśmy do czynienia z kosmogoniczną częścią genezyjskiej nauki Słowackiego. Obecnie przechodzimy do jej części historycznej. Rozpoczyna autor jej omawianie od definicyi historyi jaką dał sam poeta. Jest ona „nauką pracy, którą duchy globowe odbyły w formach ludzkich — i w agregacyach z ducha wynikłych a formą objawionych, które potworzyły narodowości; (z celem królestwa Bożego, czyli przemienienia ludzkości w przyszłe anielstwo globowe“). Stosownie do tej definicyi dzieli autor materyał na dwie części i osobno omawia „pracę, którą duchy globowe odbyły w formach ludzkich“, a osobno sprawę „agregacyi“ duchów czyli form społecznych. Podstawą znajomości poglądów Słowackiego na pierwszą jest oczywiście Rozmowa z Helionem i Helois i t. z. Teogonia. I tutaj z natury rzeczy musi być kwestyą doniosłej wagi jak należy rozumieć same owe osoby dyalogu: Heliona, Heloisę i Mistrza, których dzieje i wzajemny stosunek ma być owej pracy ducha

w formach ludzkich obrazem. Sprawa ta bynajmniej nie jest jasną a komplikują ją niemało fakta, że dwie pierwsze osoby są raz czystemi fikcyami, jakto wskazuje List do R., to znów przybierają na siebie fizyognomię Węgierskich jak w Teogonii, że wreszcie sam Słowacki jest raz niby identyczny z Mistrzem, drugi raz z Helionem, a w (służącym tu za źródło pomocnicze) Samuelu Zborowskim, znów raz z Helionem, drugi raz z Lucyferem, którego już całkiem nie wiedzieć, z kim w tamtych utworach identyfikować. Zdaje mi się, że p. Tadeusz Dąbrowski był pierwszym z badaczy mistycznej twórczości Słowackiego, który w notatce o „Rodowodzie Heliona" (Pam. lit., 1906 [1]) oświadczył się za pojmowaniem przynajmniej Heliona i Helois, wyłącznie jako matematycznych symboli pewnych stron pracy ducha w ludzkości a nie jako konkretnych indywidualności. Otóż tegosamego zdania jest i prof. P., tłómacząc przytem wybornie realne rysy dziejowych kochanków owym „wzrokowym charakterem wyobraźni" poety, który go zmusza do konkretyzowania największych nawet abstrakcyi. Prócz tego rozciąga ten sposób pojmowania także i na Mistrza, powołując się zupełnie przekonywająco na cytat z Teogonii, w którym Słowacki możliwość tylko swej identyczności z Mojżeszem wyraża a równie dobrze pozwala mniemać, że dzieje wewnętrzne Mojżesza zna przez pamięć metempsychiczną pośrednią tylko. Mianowicie „wyższych aniołów czyn uderza we wszystkie tego globu struny i stroi..." — a więc jako jedna z tych strun tylko (zapewne jedna z najbliższych). Tak rzecz biorąc, wszystkie wymienione sprzeczności są natury czysto formalnej a znaczenia istotnego żadnego zgoła nie mają. Uosabiać abstrakcye mógł sobie poeta najdowolniej. Chodzi tylko o to, jaka jest właściwa treść tych abstrakcyi, jakie to czynniki rozwoju ducha w ludzkości uosobił poeta w „rozmówcach" dyalogu? Prof. P. tego nie wyjaśnia. Może zadawala się tem, co w Rozmowie samej o Helionie i Helois słyszymy, że do niego „należeć będzie rewelatorstwo proste więcej z wiedzy niż czucia — ona się będzie więcej czuciem i snem powodowała i smętniejszą drogą poleci..." To rzeczywiście byłyby: myśl i uczucie, albo raczej wyrażając się językiem Słowackiego: duch i miłość [2]). Ale pozostaje Mistrz. „W Zborowskim — pisze prof. P. — za trzecią osobę możnaby uważać „ducha węża" Lucyfera; tu tego pomysłu niema jeszcze ani śladu. Również nie sądzę, aby jakiekolwiek znaczenie miała tu mistyczna koncepcya Trójcy".

Owóż, naprzód, żeby śladu pomysłu ducha węża całkiem tutaj nie było, tego powiedzieć nie można, wyraźnie bowiem w Teogonii w. 528—30 woła poeta za Mojżesza:

---

[1]) Por. też tegoż autora „O trójcy w Królu Duchu" w Pam. lit. 1909,

[2]) Klasyfikacyi psychologicznej na: myślenie, uczucia i wolę odpowiada trójca duchowa Słowackiego: duch, miłość i wola. Myśl w ścisłem słowa znaczeniu uważa za powstałą dopiero przez ograniczenie ducha formą. (Por. List do R. w. 675—861 a także List apost. w. 200—218)

„... — kto mi do ust trąby tryumfalne
Przyłoży — a te ducha postawy moralne
Rozgłosi? Kto wężowy duch kłamiący zdusi?“

przyczem dalszy ciąg każe przypuszczać prawie napewne, że to pytanie: „kto wężowy duch kłamiący zdusi?“ trzeba uzupełnić słowami: we mnie. Następnie czy przy wprowadzaniu w dyalog trzech osób „nie miała znaczenia mistyczna koncepcya trójcy“? Myślę, że owszem tak; i wtedy mielibyśmy obok ducha i miłości — wolę. Mojżesz, jako przedewszystkiem posuwający Sprawę Bożą naprzód, byłby tej woli globowej zupełnie odpowiednim przedstawicielem a ponieważ jako wolna wola jest ona zarazem jedyną przyczyną wszelkich sprzecznych do czasu z idealnemi dążeniami Słowa zdarzeń i czynów, przeto byłby jej wyrazem i Lucifer. Ale Helion i Helois prócz tych swoich imion „chrzestnych“ nazwani są także — on duchem słonecznym, ona miesięcznym, a także ich towarzysz, w Zborowskim przynajmniej, jako Lucifer — globowym. Tego również prof. P. w rachubę nie bierze a przecież te nazwy są niby wyraźniejsze. Zdaje się, że po wyjaśnienie ich trzeba sięgnąć do Listu do R., gdzie posłyszymy, że na globie działają trzy pierwiastki, mianowicie prócz rdzennego ognia także światło w charakterze Odkupiciela i woda w roli Odkupicielki. (Por. co o tem sam prof. P. w rozdziale III str. 361 i n. mówi). Stanowią one składniki każdego atomu ziemskiego (Por. List do R. w. 221—292) i czynne są zatem, bądź w fizycznem, bądź w duchowem znaczeniu tak w przyrodzie nieorganicznej jak w roślinnej i zwierzęcej, jak w formach ludzkich, jak wreszcie i w formach społecznych. Jeżeli zatem to rozumienie „osób“ dyalogu stopimy z poprzedniem, to dojdziemy do tego ogólnego wyniku, że światło, woda i ogień są „uwidzialnieniami“ Trójcy duchowej Słowa: Ducha, Miłości i Woli, przyczem duch i miłość (myśl i uczucie) prostują zapędy i zboczenia woli — światło i woda odkupują ogień globu a celem tej całej pracy i współdziałania jest sprowadzenie wszystkiego do jedności t. j. trójcy fizycznej do jedności światła, trójcy duchowej do jedności Ducha. Stąd wszystko co Słowacki niejednokrotnie o wyższości jedności nad trójcą, o jej najwyższej wogóle doskonałości, mówi, stąd też w Liście do R. (w. 1423) i woda nazwana jest „grzeszną osobą trójcy atomicznej“ a w Dzienniku z r. 1849 czytamy, że „wyrzucenie ze siebie pierwiastku miesięcznego i pokonanie ognia światłością jest pracą celową“. Ale obszerniejszy wywód tych rzeczy a także ich przeprowadzenie przez Króla-Ducha odkładam na kiedyindziej; teraz zaś powracam do rzeczy.

Same dzieje Heliona i Heloisy streszcza prof. P. bardzo krótko, wyliczając ich żywoty i stwierdzając, jaką rolę w każdym następnym odegrała pamięć metempsychiczna poprzednich, oraz jakie są te pamięci granice. W samem wyliczeniu żywotów, nie wiem na jakiej podstawie widzi w Sezaku Heliona, bo w Rozmowie żadnej wskazówki na to niema. Prawda, że jest Helionem Ramzes, brat Atessy w Sam. Zborowskim. Prócz tego objaśnienie ostatnich wcieleń Helois

jest dla mnie niezrozumiałe. Mówiąc o poegipskiem wielowiekowem nie wcieleniu Helois, ponieważ nikt nie zapraszał do ciała rewelatorki ognistej śmierci, pisze autor: „I pojawia się (ten duch) w kraju smętnych mgieł północy, który za pośrednictwem Ossyana obudził we współczesnej ludzkości tęsknotę romantyczną „inkantacye Mantreda", pieśń gminną z jej czarami, zabobonami i przeczuciami duchowego świata". Co znaczy ten kraj Ossyana? Słowacki wszakże jako o ostatnich wcieleniach Heloisy mówi tylko o wcieleniu skandynawskiem i litewskiem, nie oznaczając bliżej miejsca. W Drugiej rozmowie z Helionem w. 822 i n. jest wprawdzie mowa o panteizmie, że „od Ossyana czasów — ten indyjski element prawdy wiecznej — zaczął rewelatorską siłą działać na duchy europejskie" — ale czyżby to miało mieć coś wspólnego z jakimś żywotem Heloisy?

Niesłychanie jasno za to uświadamia nam prof. P. główne idee historyozoficzne poety, jakie się z obu utworów historyi poświęconych wydobyć dają. Naczelną jest oczywiście idea duchowego postępu, który z jednej strony odbywa się w duchu wewnętrznie, z drugiej formą w cywilizacyi i „w doskonaleniu zrzeszeń ludzkich". Cel każdoczesny tego postępu nazywa się „Sprawą Bożą". Spoczywa ona na jednostkach a czasem na narodach ale i w tych ostatnich wypadkach „indywidualizm Słowackiego każe wodzostwo Sprawy w tych narodach brać na siebie zwyczajnie jednostce tak, że naród się staje w jej rękach narzędziem tylko realizacyi idei". Taka jednostka to Król-Duch. Przed Chrystusem Sprawa Boża polega zrazu na odkryciu miłości ludzkości i nieśmiertelności duszy, następnie na odkryciu moralnych praw ludzkości. W epoce pochrystusowej wodzem Sprawy Bożej jest oczywiście przedewszystkiem Chrystus, ale różnica, jaka zaszła w naturze duchów w porównaniu z epoką starożytną, nie została przez poetę jasno sformułowana. Poucza tylko obrazowo, że duchy ludzkie teraz „przedstawiają się niby w kształcie katedralnych gotyckich kościołów — wyduchowione, już nie posągowe jak dawniej", że „nieskończoność Chrystusowego ducha przylała się niby sakramentalnie do ich natury.., uczyniła je wrogiem wszelkiej skończonej formy". Wreszcie jako jeden jeszcze czynnik rozwoju dziejowego wskazuje autor wpływ duchowego świata na czyny ludzkie, zaczynający się od Abla, jako pierwszego ducha ludzkiego, który się znalazł bez ciała. Podnosi też bardzo trafnie tę charakterystyczną cechę w pojmowaniu tego udziału duchów bezcielesnych na sprawy ludzkie u Słowackiego, że pobudką jest tu własny interes tych duchów. Ponieważ bowiem ciało jest im niezbędne do wszelkiego działania, więc z jednej strony muszą się starać o to, aby jak najprędzej zostały do formy powołane, równocześnie zaś z drugiej — i na tem polega ich wpływ na rozwój dziejów — o to „aby duchy w organizacyach będące, do czystości były porwane, aby im podobnie czystą formę dla dalszej misyi utworzyły". W rozdziale III-im str. 302 i n., powraca autor do tej kwestyi raz jeszcze, aby uwydatnić różnicę, jaka zachodzi w ko-

mentowaniu tego samego dogmatu o „związku duchów widzialnych i niewidzialnych“ między Słowackim, u którego człowiek duchami „zarządza“ — a Towiańskim, dla którego człowiek jest od kolumn duchowych fatalistycznie niemal zawisły.

Cały ten dotychczasowy rozbiór historyozofii poety mogę uzupełnić tutaj jednym tylko drobnym szczegółem, że tak Rozmowa z Helionem i Helois jak urywek Teogonii (I, str. 131)[1]), zawierają pewne ślady jakiegoś nierozwiniętego podziału na epoki. Mówi mianowicie w pierwszej (w. 123 i n.) Mistrz do obojga kochanków z okazyi dnia rajskiego: „Dzisiaj więc jesteście niby w szóstym dniu żywota waszego duchowego na ziemi, wtenczas byliście w pierwszej jego godzinie“, w drugim zaś znów słyszymy o nich:

„. . . . . . z edeńskich, że wyszły ogrodów
I na siedem słonecznych wstępowały wschodów
A nie strudzone pracą, grobami, podróżą
Oba rozmiłowane w sobie... Bogu służą“.

Oczywiście ten podział na sześć i siedem epok, jeżeli wogóle ukształtował się jasno w głowie poety, miał już wnet ustąpić snowi Mieczysława o stąpających po sobie aniołach dwunastu narodów, i to prowadzi nas właśnie do ostatniego (IV) z ustępów drugiego rozdziału książki prof. P., poświęconego formie ducha agregacyjnej. Doskonała jego (z małemi zastrzeżeniami) treść przedstawia się w najkrótszem ujęciu tak: Narody są już owocem rozwoju przeczutym zresztą już w kształtach roślinnych (stokroć i koniczyna) i zwierzęcych (pszczoły). Określa je Słowacki jako gromady ducha jednego. Tym czynnikiem jednoczącym jest wspólna idea i misya która ściąga duchy jednorodne w jedną agregacyę. Powstanie idei poprzedza przeto powstanie narodu. Nie zrealizowana przez jeden naród przechodzi do innego. Idee te nie są równej wysokości. Jak między duchami wogóle tak i między narodami są pierwoidące, „wypatrzyciele nowej formy“. Takim narodem jest Polska. Posłannictwem jej: przynieść ludom nowe słowo. Gdy zatrzymała się w pełnieniu tej misyi, upadła. Upadek ten nie jest zatem żadnem Chrystusowem męczeństwem za grzechy innych narodów, jak u Krasińskiego, ale „dociskiem Pańskim“ na nowo budzącym ducha. Dźwignie się, gdy na nowo podniesie sztandar swej idei. Ale jakaż jest właściwie ta idea czyli Słowo Polski? „Jednolitego wykończonego przedstawienia sprawy tej u Słowackiego niema“ — pisze prof. P. Pojęcie o tem trzeba wytworzyć sobie dopiero z porozrzucanych uwag i fragmentów a z tych niektóre „zdawałyby się świadczyć, że misyą Polski jest głoszenie nowej ewangelii, tej która zawiera się w Genezie z ducha“; inne znów „zdają się świadczyć, że posłan-

[1]) Że to urywek należący do t. z. Teogonii, stwierdzili już pp. Kleiner i Witkowski.

*

nictwo Polski upatruje poeta w pewnej idei politycznej, która przenika jej dzieje i na której ma się formować ustrój państwa idealnego w przyszłości". Tu wtrącę uwagę, że niejednolitości w tem w gruncie rzeczy niema. Posłannictwo utworzenia idealnego ustroju jest jedynem posłannictwem Polski; tylko dawniej był w narodzie ledwie jego instynkt a obecnie po wyprowadzeniu go logicznem z genezyjskiej „wiary widzącej" stanie się już posłannictwem świadomem i tem gorliwiej spełnianem. Stąd łączność ścisła jednej rzeczy z drugą.

Ten idealny ustrój — wykłada dalej autor — to nie równość bynajmniej, ale tylko hierarchia ciał (urzędów i t. d.) oparta ściśle na hierarchii duchów. Koniecznym warunkiem takiego ustroju jest prawo indywidualnego veto, które jednak musi być zaprzeczeniem z ducha a nie z ciała. Veto takie jest zarazem, z powodu ideowego skupienia około siebie wszystkich jednako czujących, środkiem jednomyślności duchowej, objawiającej się w formie konfederacyi. W Polsce prawa te, która poeta formułuje: „Zaprzeczenie wszystkim przez jednego i obiór jednego przez wszystkich" wyszły na złe dlatego tylko, że „zapomniała o duchu form własnych a chciała cielesne veto i cielesną zgodę w obiorze króla pieniądzmi, jadłem i trunkiem otrzymać".

Całą mesyaniczną teoryę Słowackiego miał ująć „Samuel Zborowski". Dlatego to, zdaniem prof. P., „w pierwszej części mieści on teoryę Genezy z ducha a w drugiej teoryę mesyanicznego posłannictwa Polski. Obie te teorye złączone są pewnym wspólnym węzłem: zadaniem Polski jest prowadzić dalej ewolucyę ducha ku celom ostatecznym, ku „słonecznej Jerozolimie"; jest ona więc ogniwem w łańcuchu prac, który się już od form nieorganicznych poczyna". Że zaś „na każdym szczeblu tej pracy postępowej osiąga się podniesienie wyżej przez złamanie prawa, które rządzi na szczeblu niższym", więc i w dziedzinach prawa stanowionego przez ludzi dzieje się to samo. Stąd rewolucye są koniecznym czynnikiem postępu a buntownik przeciw prawu, Zborowski, wygrywa przed trybunałem niebieskim sprawę.

Tu czyni autor Słowackiemu zarzut, „że mowa jest wszędzie o łamaniu praw a niema mowy, jakich to praw i w imię czego". Nie przypuszcza wprawdzie, aby u Słowackiego każde i każdego prawa łamanie równą przedstawiało wartość, ale jeszcze w rozdziale III-im, powracając do tej kwestyi, ubolewa nad tem, że nie określiwszy prawa, o którego złamanie w Zborowskim chodzi, postawił tę teoryę łamania praw „jako wydrążony posąg, do którego mogą się wprowadzać, jakie chcą, pszczoły". Zarzut ten wydaje mi się o tyle nie ścisłym, że Słowacki mógł się tutaj uważać poniekąd za wyręczonego przez historyę, która mówi, że prawem, za którego złamanie został Zborowski ścięty, była jego własna banicya. Skoro zaś raz upatrzył sobie poeta w Zborowskim wcielenie ducha idei polskiej, to fakt, że Zamojski w nim tego nie umiał odczuć i bezwzględnie

trzymał się wobec niego litery prawa, wydawał mu się postępkiem z formy a nie z ducha, Samuel zaś wyrósł na „buntownika idealistę", który „głowę swoją dał, niechcący mniejszym, niż ma w duchu, rządu swego widzieć aniołem". (Druga rozm. z Hel. w. 292). Bronić pomysłu Słowackiego nie mam oczywiście wcale zamiaru.

Następuje jeszcze tylko objaśnienie tej Jerozolimy słonecznej, ku której polska forma społeczna ludzkość poprowadzi. Jest to — mówi autor — w dziedzinie twórczości form zbiorowych analogia formy świetlnej przyszłego człowieka-anioła. Nie będzie już w tej agregacyi świetlnych duchów żadnej hierarchii, ale „równość w miłości" panować będzie.

Na tem kończy się wykład samej nauki Słowackiego w książce prof. P. Zdając z tego wykładu sprawę, nie opierałem się wyłącznie na specyalnie przezeń wypełnionym drugim rozdziale dzieła, ale wciągałem także pod rozwagę i te omówienia różnych szczegółów filozofii poety, w jakie autor wdaje się dopiero w rozdziale III-cim, cztery razy obszerniejszym od obu poprzednich a poświęconym „Źródłom i pokrewieństwom mistyki Słowackiego". Czyniłem to rozmyślnie z dwóch powodów: Po pierwsze, aby w jeden całokształt zebrać wszystko, czego tylko można się od autora dowiedzieć o tej mistyce, bez względu na jej pokrewieństwa i źródła, i uniknąć wracania do tych samych kwestyi; po drugie zaś dlatego, że stanowisko moje wobec tylu źródeł i pokrewieństw nauki poety musi — z konieczności zresztą przykrej — być zgoła inne, niż wobec nauki samej. Po prostu wobec ogromu erudycyi prof. P., w trzecim rozdziale rozwiniętej, stoję prawie bezbronny i podanie ostatecznych wyników porównawczej treści tego rozdziału będzie bezmała wszystkiem, co o niej mogę powiedzieć. Zanim to uczynię powiem jeszcze o samym rozdziale drugim to, że skoro celem jego było jedynie ujęcie zasadniczych idei systemu Słowackiego i wytknięcie głównych linii ich rozwoju, to trudno ten cel spełnić lepiej niż go autor spełnił. Żadne ważne ogniwo w logicznym łańcuchu natchnień mistycznych poety nie jest tu pominięte, a jeżeli — jak starałem się to drobiazgowo wykazać — niektóre kwestye niezupełnie zgodnie z intencyami Słowackiego zostały oświetlone, to jest to, wobec głębokiego zrozumienia i przedstawienia całokształtu mistycznej koncepcyi poety i jej ducha, rzecz całkiem podrzędna. Dopełnię wszakże, że, mówiąc o przedstawieniu całokształtu, mam na myśli tylko główną t. j., (trzymając się podziału autora), genezyjską część nauki; w przedstawieniu bowiem jej strony dogmatycznej są ważne luki. Treść n. p. Drugiej rozmowy z Helionem zupełnie została pominiętą. Autor zrobił to zapewne dlatego, aby nie rozrywać wątku rzeczy głównej i istotnej; mógł jednak te jej praktyczne przystosowania omówić w osobnym ustępie na końcu rozdziału umieszczonym. Być jednak może, że pominął je dlatego, ponieważ z celem, dla którego książkę swą pisał, t. j. z komentarzem

dla Króla-Ducha, niewiele mają wspólnego. Przechodzę wreszcie do streszczenia badań autora porównawczych.

Jeżeli rozdział II-gi dzieła z mistyką Słowackiego poznaje, to trzeci ma na celu ocenić ją wszechstronnie i „zaklasyfikować jako zjawisko" przez określenie ideowego środowiska. Przez to chce też „usunąć wywoływane przez nią uczucie obcości i wrażenie jakoby ona była dziwotworem". Materyał porównawczy zużytkowany do tego celu jest wprost olbrzymi. Można śmiało powiedzieć, że żadna jeszcze kwestya z zakresu historyi literatury polskiej nie była rozpatrywana na tle tak rozległem. Na pierwszy plan wysunął autor, jako tło najwłaściwsze, pierwiastek mistyczny ery romantycznej, który wydobył jak najskrzętniej ze wszystkich dziedzin, w jakich tylko się pojawił; że ten jednak w wielorakiem historycznem pokrewieństwie pozostawał z mistyką renesansu a za jej pośrednictwem także z całą chrześcijańską, grecką i żydowską mistyką pierwszych wieków po Chr. — więc wszystkie te trzy wielkie powrotne fale przepływają przed oczyma czytelnika, coraz bardziej zdumionego wielkością pracy i wiedzy autora. A od czasu do czasu prowadzi go prof. P. dalej jeszcze, niby do źródła właściwego, do starych ksiąg mądrości indyjskiej. Prócz mistyki zaś wyraźny wpływ ewolucyonizmu biologicznego na Genezis z Ducha, każe mu pomysłom tego utworu dać znów za tło szczegółowe zestawienie całej przeddarwinowskiej fazy tego prądu, a także dla porównania dzisiejszy neolamarckizm i neofechneryzm. Niemniej wreszcie i mesyanizm Słowackiego i polski wogóle, wystąpił w sąsiedztwie pokrewnych sobie objawów we Francyi (tu widzi prof. P. pokrewieństwo najbliższe), w Niemczech i w Rosyi [1]). Można powiedzieć, że wśród tego mnóstwa pokrewieństw filozofii Słowackiego pokrzywdzone zostały przez autora jej pokrewieństwa polskie. Jeżeli, wstrzymując się od obszerniejszych roztrząsań polskiego mesyanizmu, tłómaczy się prof. P. tem, że ten prąd „wszedł w nas, więc przestał być obcym", to argument ten w żadnym razie nie może się odnosić także do polskiej mistyki wogóle, bo ta jest u nas przeciętnie mniej jeszcze znaną niż obca. Tymczasem poza towianizmem i Mickiewiczem nie uwzględnia jej prof. P. prawie wcale. Mniejsza już o to wreszcie, że pominął całkiem Królikowskiego, że Wrońskiego, jedynie omawiając koncepcye historyozoficzno-millenarystyczne uwzględnił; dziwniejsza, że przy tej samej okazyi nie wspomniał nawet o Cieszkowskim a już najdziwniejsza, że nie dotknął zupełnie Krasińskiego (prócz wzmianki o jego „dekadenckim" mesyanizmie). Przecież tu pokrewieństwa ze Słowackim bardzo wyraźne. I reinkarnacya jest u Krasińskiego i postęp tworów od kamienia do anioła i zasada trójcy i nawet

[1]) Wobec prawdziwej powodzi nazwisk daje się bardzo żywo odczuć brak na końcu ich spisu. Gdybym wiedział, że i do drugiego tomu nie będzie on dołączony, gotówbym sam w interesie dobra publicznego go sporządzić.

to pomieszanie panteizmu z osobowością Boga, którą autor Słowackiemu — jak się starałem dowieść — nie całkiem słusznie zarzuca. Słowacki sam zresztą daje wyraźną wskazówkę co do swoich polskich pokrewieństw, mówiąc w Raptularzu w. 366 i n.: „Tę samą ideę, lecz w częściach tylko — reprezentują inne duchy już objawione: Mickiewicz — autor Nieboskiej — Bukaty — Królikowski — Towiański — Libelt...“

Z obcych dziwi tylko zupełna prawie nieobecność Saint-Martina. Raz tylko w przypisku natknie się na niego czytelnik (nie liczę gołych wzmianek) a przecież za jego to najprawdopodobniej pośrednictwem działał na Mickiewicza i na Towianizm Boehme.

Wpływów bezpośrednich na Słowackiego — prócz Towianizmu — nie wykazuje autor najsłuszniej wcale. Niema bowiem do tego innych danych prócz zestawień a te właśnie przez to, że stwierdzają wielką mnogość pokrewieństw, budzą wielką ostrożność w wybieraniu z pośród nich t. z. „wpływów“. Za bardzo prawdopodobny uważa prof. P. wpływ Boehmego (zwłaszcza na koncepcyę teozoficzno-kosmogoniczną), „panenteizmu“ Fourierystów, Herdera, Lamarcka nawet i Bonneta ale za żaden nie ręczy a dodaje, że wiele rzeczy mógł brać poeta z drugiej a nawet z trzeciej ręki — z gazet i rozmów. Większość pokrewieństw jednak — i to jest rezultat badań autora najważniejszy — wynika przedewszystkiem nie skądinnąd jak z samej istoty mistyki. Istota ta „leży w środkach użytych do osiągnięcia poznania“, którymi są: objawienie, natchnienie, intuicya, czucie i jak je tam jeszcze różni mistycy nazywają. Takie środki poznawcze pociągają za sobą nieuchronną wspólność całego szeregu punktów we wszystkich mistycznych systemach. Oto te punkty:

1. Poznania tak zdobytego nie popiera oczywiście nic prócz autorytetu tego, który poznał. Stąd powszechna wybujałość subjektywizmu w epokach rozkwitu mistyki, stąd twórcy systemów jako ci, którzy otrzymali objawienie, muszą się uważać za naczynia wybrane. T. z. megalomania Słowackiego tutaj ma zatem swoje logiczne źródło.

2. Kto może wszelką wiedzę z samego siebie, z głębin własnej duszy wysnuć, ten i czynić może wszystko samem napięciem woli; stąd wiara w cuda, idealizm magiczny romantyków, „czyn wewnętrzny“ Towiańskiego.

3. Kto tak otrzymuje swoją wiedzę, dla tego tajemnic niema oczywiście żadnych, ten wie wszystko; stąd charakterystyczną cechą systemów mistycznych jest syntetyczność i uniwersalizm (zagadnienia początku i celu świata) a równocześnie pogarda dla wszelkiej empiryi jako dającej wiedzę tylko cząstkową.

4. Wszelka mistyka łączy się z jakąś religią, ponieważ wogóle początek jej i religii jest jeden; albo więc tę religię tłómaczy, dopełnia, wchodzi w nią niejako, albo też ją burzy a sama stanąć na jej miejscu usiłuje.

5. Właściwy mistyce subjektywizm stawia jako jedną z jej osi wiarę w nieśmiertelność duszy. Ta wiara łącznie z wiarą w doskonalenie się i ciągłe podnoszenie ku Bogu, wspólną również wszystkim prawie systemom mistycznym, rodzi prawie nieuchronnie wiarę w metempsychozę.

6. Tasama wiara w nieśmiertelność duszy „wywołuje z konieczności pytanie o stan dusz bezcielesnych i o stosunek ich do świata żyjących“ a w odpowiedzi wiarę w oddziaływanie duchów na myśli i sprawy człowieka.

7. Wreszcie szczególniej sposobnym do tej komunikacyi z zaświatem musi się mistykowi wydawać ten stan niby oderwania chwilowego duszy od ciała, jakim jest sen. Stąd wiara w sny i widzenia.

Wszystkie powyższe punkty są to loci communes filozofii Słowackiego z wszystkimi prawie mistycznymi systemami, o czem przekonywa autor, konfrontując ją z nimi co do każdego punktu z osobna, po kolei w całym szeregu rozdziałów (a raczej jak sam nazywa ustępów). Oryginalności nie ujmuje to tej filozofii bynajmniej. Trzebażby chyba odmówić równocześnie oryginalności wszystkim prawie zestawionym z nią systemom. Owszem — uznaje profesor P. mistykę Słowackiego za „wysoce oryginalną“. Za taki szczególniej odrębny jej rys uważa „zastąpienie panteistycznego światopoglądu koncepcyą indywidualistyczną wolnych i niezależnych duchów Słowa, a w związku z tem pomysł duchowego przewodnictwa i pomysł solidarności stworzenia“. (Nie potrzebuję już tutaj powtarzać, że na sprawę tę patrzę inaczej.) Prócz tego, cechą tej mistyki zupełnie swoistą jest konkretność i jasność; tę uważa autor za rys szczególnie polski. Ale już nad wszystkimi mistykami daje Słowackiemu wyższość geniusz poetycki, umiejący każdy szczegół wyzyskać w sposób przedewszyskiem artystyczny. „Można powiedzieć o jego filozofii“ — pisze autor — „że weszła ona do umysłu Słowackiego przez oczy, że powstała z potrzeby wydobycia ze zjawisk tkwiącego za ich pospolitością głębszego wewnętrznego piękna; można powiedzieć, że nawet kryteryum prawdy w umyśle poety polega na estetycznej wartości i artystycznem zharmonizowaniu z całością wielkiej epopei świata“. Czar zresztą, jaki mistycyzm Słowackiego poezyą swoją na prof. Pawlikowskim wywarł, objawia się najlepiej w studyach, które dla niego przedsięwziął. Z ogromu ich wnosiłby każdy najpochopniej, że zajmuje się on oddawna dziejami mistyki i nad systemem Słowackiego zatrzymał się po prostu dlatego, że go na tej drodze napotkał. Tymczasem na ostatniej stronicy dzieła dowiadujemy się ze zdumieniem, że stosunek był całkiem odwrotny. Hasłem wiodącem badacza w ten las mistyczny była miłość „Króla-Ducha“. Chciał „zrozumieć, aby używać“. Ten fakt zaś, że nie miał właściwie innego jak piękno kryteryum wartości wśród swoich badań, dał mu rzecz ogromnej ceny: zupełną przedmiotowość. Zresztą jednak leży ona już, zdaje się, w samej naturze jego umysłu, którego wysoka niepospolitość wyziera z każdej niemal strony tej znakomitej książki.

Starannie bardzo obmyślony i przeprowadzony plan, niesłychanie przenikliwe badanie i głębokie klasyfikowanie każdego zjawiska, mnóstwo świetnych uwag ogólnych (n. p. o psychice narodów, o sztuce i t. p.), wreszcie styl, zawsze dobitny i jasny, często błyskający doskonałym dowcipem, czasem wprost piękny — to przymioty, które, już poza ogromem włożonej w dzieło pracy, czynią z niego największy jubileuszowy tryumf Słowackiego.

Kraków. *Dr. Józef Ujejski.*

Władysław Nehring. Wspomnienie pośmiertne przez Ignacego Chrzanowskiego i bibliografia prac naukowych przez Adama Babiaczyka. Warszawa, 1909, 8⁰, s. 53.

Jestto piękny hołd wdzięcznych uczniów, złożony znakomitemu uczonemu i profesorowi. Chrzanowski w swojem wspomnieniu charakteryzuje zwięźle ale doskonale niespożyte zasługi Nehringa; wykazuje, że wśród twórców naukowej historyi literatury polskiej — a do nich zalicza Małeckiego, Mierzyńskiego, Przyborowskiego i Nehringa — ostatniemu należy się pierwszeństwo chronologiczne: w roku 1856 ukazała się jego monografia o Heidensteinie. W dalszej charakterystyce podnosi Chrzanowski, że największe i najtrwalsze zasługi położył Nehring około historyi literatury średniowiecznej i języka staropolskiego; w tym dziale jest on autorem dzieła klasycznego, »*Altpolnische Sprachdenkmaeler*«, w którem nie tylko usystemizował, ale również ocenił krytycznie wszystkie znane podówczas (w. r. 1886) zabytki językowe i literackie wieków średnich. Te wieki pociągały Nehringa jako filologa, wiek XVI nęcił go jako historyka literatury; Rejowi, Kochanowskiemu, Heidensteinowi, Solikowskiemu i Joach. Bielskiemu poświęcił on specyalne rozprawy, prócz tego w obszernym referacie wykazał świetnie pod wpływem jakich czynników powstał i ukształcił się język literacki wieku złotego. I pisarzami następnych stuleci zajmował się Nehring; z pod pióra jego wyszły studya o Kochowskim, Morsztynie, Krasickim, Mickiewiczu, Słowackim — wymieniam tylko najważniejsze — a we wszystkich tych pracach jest polot myśli badawczej, docierającej bystro do samego dna strony ideowej utworu ocenianego i wyjaśniającej tajemne intencye autora; służyć one mogą jako wzór analizy filologicznej.

Obok wyczerpującej oceny pracy naukowej Nehringa charakteryzuje Chrzanowski działalność jego profesorską, podnosząc znakomitą umiejętność w prowadzeniu seminaryum, w którem wykształcił się szereg poważnych badaczy literatury polskiej. Końcowy ustęp wspomnienia pośmiertnego jest tak charakterystyczny, że przytoczę go w całości; oto w roku 1907 otrzymał Nehring uwolnienie z profesury „z najgorętszem uznaniem — tak opiewa reskrypt ministeryalny — wielkich zasług, które położył przez czas długiej

działalności akademickiej. Zasługi były istotnie wielkie; ale nie za wszystkie z pewnością dziękował mu minister pruski: miał na względzie zasługi naukowe. O innych może nie wiedział, a gdyby wiedział toby za nie nie dziękował. Ale nie zapomniało o nich jedno z czasopism berlińskich („Taegliche Rundschau“), które z powodu tego reskryptu pisało co następuje: „Die wissenschaftliche Bedeutung Nehrings in Ehren, aber er verherrlichte die polniche Sprache und Literatur und setzte die deutsche herab. Er las auch zuweilen polnisch und zu Hause wurde polnisch gesprochen“... I prawdę — pisze Chrzanowski — napisał dziennik berliński, bo Polakiem urodził się Władysław Nehring, Polakiem był przez całe swoje życie i Polakiem umarł — na biednej, oderwanej od ramion Macierzy, ziemi śląskiej“.

P. Babiaczyk podał dokładny spis prac swego profesora; jest to zestawienie bardzo pożyteczne. Prócz tego mamy tutaj spis prac doktorskich uczniów prof. Nehringa.

Lwów. *Bronisław Gubrynowicz.*

Sigmund Bytkowski, Gerhart Hauptmann's Naturalismus und das Drama (?!) (Beiträge zur Ästhetik hsg. von Theodor Lipps und R. M. Werner. XI.) Hamburg und Leipzig. Verlag von Leopold Voss. 1908, 8⁰, s. 208.

Ujęcie problemu uważam za nieszczęśliwe. Z zbyt wyłącznego utożsamienia ogólnego zjawiska (naturalizmu) z głównym jego przedstawicielem wypływa spaczenie obrazu Hauptmanna, jako indywidualnego twórcy, i naturalizmu jako ogólnego prądu. W związku z tem pozostaje drugi zasadniczy błąd t. j. pominięcie osobistości twórcy, będącej przecie ostatniem źródłem, spoidłem i wytłómaczeniem jego twórczości, i wyłączenie t. z. nienaturalistycznych dramatów, dla których autor jedyną racyę widzi w niekonsekwencyi i chwiejności Hauptmanna.

Choćby ze stanowiska kultury dziełom przyznało się większą wagę, niż ich twórcy, to krytyka w interesie czysto naukowym winna sięgnąć głębiej, do tej właśnie twórczej osobistości.

Winę owych braków w znacznej mierze ponosi metoda autora, mająca wszelkie pozory metody ściśle objektywnej, t. j. ograniczającej się do opisu i bardzo ostrożnych wniosków. Okazuje się jednak dowodnie, że metoda ta w zastosowaniu do żywych dzieł sztuki nie wystarcza; tembardziej, że mimo pozory dominuje w krytyce autora pierwiastek osobisty — niestety! w złem tego słowa znaczeniu. Tkwi on w powziętem z góry antypatycznem stanowisku autora do Hauptmanna i płynącym stąd zjadliwym, niekiedy wprost niesmacznym tonie; powtóre w tem, że autor, chcąc nie chcąc, w krytyce swej własnem posługiwa się kryteryum, wyłożonem w rozdziale IX p. t. „Kunsttheoretische Begründung“.

„So prellt den Wahrheitsfanatiker sein eigenes Prinzip“ miałoby się ochotę zawołać słowami autora. — To prowadzi nas do wadliwej dyspozycyi, mszczącej się na rzeczy samej i na stylu, o czem później. Ów rozdział IX bowiem, który, zdaniem samego autora ma zadanie: „für die früheren Untersuchungen und Behauptungen eine allgemeine theoretische Grundlage zu bieten“ należało dla porozumienia wysunąć na czoło. Ponadto słówko o „dowodzeniu“ autora. „Agitatorska“ — sit venia verbo, — tendencya autora prowadzi go do używania środków wprost nie naukowych, lecz moralistyczno-dogmatycznych. Idzie mu często nie o przekonanie, ale o suggestyę, o wiarę. Arcyznamienne są w tym względzie jego elukubracye na str. 2 i 3. Stąd skryte może marzenie autora, by stać się nowym Lessingem wobec nowej epoki: „Burzy i wrzenia“, by, jak tamten w „Laokoonie“ pociągnął granice między malarstwem a poezyą, podobnie rozgraniczyć dramat i epikę, musimy nazwać chybionem. Krytyka p. Bytkowskiego jest negatywna, a nie produktywna.

Zajmijmy się wprzódy rozdziałem IX. Zastanawiając się nad pytaniem: czem jest sztuka i estetyczne używanie w odróżnieniu od rzeczywistości — odpowiada po dość bałamutnym wywodzie: sztuka jest złudą (Schein), estetyczne używanie zaś (Kunstgenuss): „ist ein Erleben in vollständiger Freiheit vom Zwange des Erlebnisses“; „das Erlebnis wird zu einem an sich lustvollen verwandelt durch das ihm innewohnende Gefühl der Freiheit und des Spieles“; „der Schein ist wiederum vollkomen frei von Wirklichkeitstreue“. Definicye powyższe to dziwne amalgamaty z pojęć estetyki klasycznej Goethego i Schillera: „wolności“ subjektywnej w znaczeniu biologicznem i moralnem i objektywnej przedmiotu samego — i z pojęć estetyki nowoczesnej (Groos, Lange, Lipps): radości z doznania czy wyżycia się (Lebensbetägigung, Erlebnis) i zabawy. Jestto spekulacya — w dodatku jałowa, bo operująca pojęciami negatywnemi, jak wolność i złuda, — połączona z psychologią; nie uwzględnia zaś autor biologii sztuki i historyi jej zawiązków, opierając się wyłącznie na trzech skonstruowanych przez siebie przykładach.

Podział sztuki na wyższe i niższe, czyste i stosowane — stary i nic nie mówiący; drugi na kontemplatywne czy poglądowe (beschaulich) i ekstatyczne, który autor uważa za własny wynalazek, wychodzi 1° od działania sztuk, nie zaś od ich istoty, 2° jest również nie nowy, bo równoznaczny z pojęciami „klasyczny“ i „romantyczny“; „objektywny“ czy „epiczny“ i subjektywny czy liryczny; „naiwny“ i „sentymentalny“ (z estetyki Schillera) „plastyczny“ i „muzyczny“ (Ribot); „apollinowy“ i „dyonizyjski“ (Nietzsche) i t. d. Problematyczność swego podziału czuje zresztą sam autor. Wszak to są tylko stany psychiczne. Uwagi o sztuce aktorskiej, o pierwotnej identyczności grających i słuchaczy i stopniowem wyłanianiu się z tej grupy odłamu widzów, sprowadzanie stanu ekstatycznego(?)

u dzisiejszych widzów dramatu do tej pierwotnej identyczności — uważam za czystą spekulacyę. Po tem wszystkiem ryzykuje autor gołosłowne twierdzenie: „Das Drama soll und darf nicht schildern, sein Grundcharakter muss unbeschadet einzelner beschaulicher Momente ein extatischer bleiben...“ Czy to mówi krytyk czy estetyzujący moralista?

I trzeci podział sztuk wedle tego, czy działają przez bezpośrednie wyobrażenie czy za pośrednictwem przedstawienia (Vorstellung) — jest 1^0 nieesencyonalny, lecz efekcyonalny, 2^0 nieoryginalny, bo stworzony przez Grillparzera (w „Ästhetische Studien“) a powtórzony przez Hanslicka (Über das musikalisch Schöne) i 3^0 jałowy, bo przeciwstawia wszystkim sztukom razem tylko poezyę i to opisową. (A gdzie muzyka?)

I raz jeszcze za pomocą pojęć Langego i Lippsa: „świadomości illuzyi“ i „uczucia“ (Einfühlung) określa „estetyczne używanie“ i dochodzi do zidentyfikowania sztuki i wiedzy. („Jedes Kunstschaffen ist ein Erkennen, ebenso wie jeder Kunstgenuss“!) — Brak miejsca nie pozwala niestety na zbyt szczegółową polemikę z zapatrywaniami autora, które Niemiec nazwałby ogromnie „diskutabel“. Z góry jednak widać, że kto sztukę określa jako „Schein“ a dramat, jako twór „ekstatyczny“ i aktywny, jako namiętną walkę sił, nie będzie miał zrozumienia dla nowoczesnego dramatu bezwoli o charakterze fatalistycznym, który w Hauptmannie znalazł swego „klasycznego“ przedstawiciela. Generalną kampanię przeciw autorowi odkładam do innego czasu i miejsca. Stwierdzam tylko ogólnie u p. Bytkowskiego zupełną recepcyę estetyki klasycznej (Lessing, Schiller, Goethe, Freytag!), a co za tem idzie, konserwatyzm estetyczny.

W rozdziale „Historische Einleitung“ znajdziemy, wpływ Holza i Schlafa na Hauptmana, polemikę z teoryą Holza wyłożoną w broszurze „die Kunst, ihr Wesen und ihre Gesetze“, — powtórzenie tego, co mamy u Schlenthera, Moeller-Brucka, R. M. Meyera i Hansteina. Następuje wyliczenie dzieł w chronologicznym porządku — bez zaznaczenia nawet linii rozwojowej u Hauptmanna, poczem kapitalne wnioski z tego przeglądu wysnute: 1. chwiejność Hauptmanna i odstępstwo częste od maniery naturalistycznej (!); 2. ubóstwo idei i stała zależność od wzorów (!); 3. słabość woli u wszystkich postaci H., której autor nie stara się rozumieć, lecz ją z góry potępia.

W rozdziale „Technik“ poddaje krytyce t. z. reformy naturalistyczne: więc nazwę „handelnde Menschen“ zamiast „Personen“, t. z. rysunki sytuacyjne i opisy scen dokładne, opisy osób, wprowadzenie dyalektu i języka codziennego. Spostrzegawczość p. B. — na mały dystans odkrywa tu rzeczywiście niejedną przesadę; trudno się jednak znowu zgodzić na jego stanowisko czysto teatralne, mierzące wszystko nie racyą konieczności twórczych, lecz względem na działanie i wykonalność.

Rozdział „Werke“ przynoszący analizę poszczególnych utworów „naturalistycznych“ opiera się całkowicie na kruchych podstawach owej konstrukcyi teoretyczno - estetycznej R. IX. Wszakże utwór każdy winno się mierzyć własną — nie swoją, lecz jego miarą. Bo jakże łatwo wszelkie różnice i niezgodności z tą swoją miarą — poczytać za braki mierzonego objektu! — Ten nieszczęsny przypadek zdarza się właśnie p. Bytkowskiemu.

Przez wszystkie jego recenzye snuje się jako motyw przewodni — zarzut przewagi pierwiastka epicznego nad dramatycznym. „Zustandsschilderung“ nazywa to autor, nie „Zustandsdarstellung“! Gdzież przyczyna? czy jak p. B przypuszcza, w nieudolności Hauptmanna i „niedramatyczności“ naturalizmu? — Nie, lecz w dążeniu do nowych form tragicznych. Tragizm dzisiejszy w przeciwstawieniu do dawniejszego psychologiczno-moralnego i „arystokratycznego“ (tj. płynącego z różnicy) nazwaćby można fatalistycznym i społecznym (czy demokratycznym t. j. płynącym z równości). Stąd to szerokie malowanie t. z. tła (milieu), wyrastającego do miary symbolicznego losu; tem fatum tragicznem w dramacie „Przed wschodem słońca“ — alkoholizm „rodzinny“ (Hauptmanna najogólniejsza forma choroby społecznej), w „Święcie pokoju“ — nerwowość „rodzinna“; w „Samotnych ludziach“ — połowiczność i bezwola w konflikcie z instytucyą rodziny; (ten sam problem powtarza się w „Dzwonie zatopionym“ a częściowo w komedyi „Kollega Crampton“); małżeństwo jako forma współczesnego tragizmu w „Samotnych ludziach“ i „Woźnicy Henschlu“; socyalne fatum w „Tkaczach“, „Floryanie Geyerze“; maszyna administracyjna w komedyach „Futro bobrowe“ i „Czerwony Kogut“ i t. d. Gdzie jak gdzie, ale u dramaturgów koniecznie należy wniknąć w ich światopogląd „tragiczny“ dla zrozumienia ich „dramatu“ a tego p. Bytkowski nie uczynił. U Hauptmanna jest ten światopogląd raczej uczuciowym, niż intellektualistycznym; w skład jego wchodzi uczucie pessymizmu i litość dla maluczkich. Nowoczesne chrześcijaństwo w nim silniej, niż w innych się objawia. Z tych źródeł dałyby się wywieść liczne cechy jego dramatów, w względzie estetycznym usprawiedliwione — działaniem, jak n. p. statyczny, nie „dynamiczny“ charakter dramatu H. a brak t. z. „charakterów“ dramatycznych, passywność postaci, przewaga pierwiastka sytuacyjnego nad psychologicznym, odmienna forma „konieczności“ a wreszcie ów specyalny schemat techniki hauptmannowskiej, który R. M. Meyer określił słowem „Schicksalsreife“, stającej się rzeczywistym losem dzięki „komuś z zewnątrz“ niejako skutek jakiejś przyczyny irracyonalnej.

W rozdziale V zajmuje się autor charakterami, techniką „charakteryzowania“, ich kształtowaniem, funkcyą i znaczeniem. I tu własną mylną interpretacyę kładzie autor na karb Hauptmanna. Nie wnika bowiem w ową „litościwą ironię“ czy „ironię litość“ i wnętrzą przyczynę owej „bezwoli“ i słabości postaci dramatycznych oraz ich niezłożoności, które ze swego stanowiska klasycy

styczno-efekcyonalnego potępia. Następnie zwalcza zdanie Kerra, jakoby w dramacie nowym charakterystyka bezpośrednia ustępowała miejsca lepszej — pośredniej. Niesłusznie! tendencya taka istnieje. Owe zaś „sceniczne uwagi“ nie są bynajmniej ich zastąpieniem. Były one zawsze; że naturalizm popełnia przesadę pewną w tym względzie, zgoda. — Polemika z Louis Benoist-Hanappierem co do genetycznego i niejako przyrodniczego charakteru nowego dramatu — jałowa; nie wystawia bowiem jądra prawdy z niejasnych postulatów owego krytyka t. j. odmiennej formy konieczności, która dawniej była psychologiczno-etyczną, dziś zaś elementarną.

Rozróżnienie charakterów etycznych, psychologicznych i estetycznych i postulat: ewolucyi charakteru estetycznego (t. j. zewnętrznego!) a niezmienności psychologicznego w dramacie uważam za zbyt dogmatyczne i wypływające z niezrozumienia nowego tragizmu, leżącego właśnie w beznadziejności trwałego stanu.

W rozdziale „Sprache, Dialog und Monolog“, w którym autor naturalizmowi przyznaje duże zasługi w kierunku ożywienia języka i dyalogu, stara się autor pociągnąć granicę, poza którą zbytnia wierność naturalistyczna przestaje — działać ogólnie. Samo zabarwienie dyalektyczne czy archaiczne wystarcza. Polemika przeciw dyalektowi w dramacie. Godząc się w zasadzie na wywody autora, muszę zaznaczyć, że stanowisko jego: teatralne prowadzi do absurdu, bo do negowania sztuki rodzimej, narodowej a postulatu jakiejś sztuki uniwersalnej. Tak się mści „klasycyzm!“ Najciekawsze są myśli p. Bytkowskiego co do monologu, wypieranego czy wypartego z dramatu „nowego“. Monolog jest psychicznie uzasadniony w stanie chwiejności woli czy walki wewnętrznej przed i po decyzyi oraz w stanie depresyi i anormalnego rozdrażnienia, więc w stanach prawdziwie dramatycznych. Wszelkie zaś środki zastępcze, jak niema gra mimiczna, rozłożenie na dyalog i stworzenie figury „zaufanego“ są niewystarczające i niedramatyczne. To wszystko prawda; ale prawdopodobieństwa czy konieczności w uzewnętrznianiu monologu słowem p. Bytkowski nie udowadnia. Dramat cały jednak jest „konwencyą i fikcyą“, powiada p. Bytkowski. Tak! dramat historyczny czy bajeczny, gdzie nikt nawet A. Kerr monologu nie wyklucza, lecz nie naturalistyczny, gdzie ton rzeczywistości dominuje a konwencya wprost odpada. Zresztą dramat naturalistyczny nie posługuje się monologiem i z innych powodów: ponieważ punkt ciężkości przenosi z psychologizmu na sytuacyę elementarną zarówno w koncepcyi tragizmu jak i w formacyi samych postaci — bezwolnych, niezłożonych, o życiu wewnętrznem słabo rozwiniętem. W rozdziale „Handlung, Fabel, Idee“ wywodzi p. B. charakter nowellistyczny dramatów hauptmannowskich z owego stałego schematu technicznego, określonego przez R. M. Meyera jako „das Drama des reifen Zustandes“. Zarzuca budowie luźność i przewagę ekspozycyi. Wagę tych zarzutów zaznaczyliśmy powyżej. Podnosimy zaś dwa zarzuty: brak zdecydowanych zakończeń i ten-

dencyjność. „Das Drama ohne Ausgang ist ein Widersinn"! Śmierć zaś uważa autor za najgłębszą formę tragizmu. Odpowiadamy: tragedya bez śmierci świadczy o pogłębieniu tragizmu; brak zaś efektownych zakończeń otwiera wstecz i wprzód perspektywę nieskończoności i niezmienności; a o to dramatowi współczesnemu chodzi. Zarzut drugi zaś płynie z pomieszania pojęć: tendencyi i tezy z pojęciem problemu oraz z uniwersalno-klasycznego postulatu, że przedmiotem dramatu może być tylko: „das Allgemein Menschliche, das Ewige in dem ewigen Wechsel der Erscheinungen". Już to estetyka niemiecka silne wyryła piętno na autorze.

Rozdział „Ergebnis" ujmuje raz jeszcze myśli zasadnicze. Przechodzimy do stylu i języka. Styl autora jest na wskróś osobisty, polemiczny i dyalektyczny. Wynika to ze stanowiska autora i wadliwej dyspozycyi. Stąd owe liczne odsyłacze do rozdziałów poprzednich i następnych, pytania retoryczne, zachwyty nad własnymi wnioskami, radość z zwycięstwa a klęski „przeciwnika" i t. d. Więc „wir sehen", „wir werden später sehen", (x-razy!), „wir behaupten", „wir wollen...", „und nun kommt die Frage", „und nun etwas anderes"; „ganz recht!" „wozu auch?" i t. d. i t. d.

Gorzej z językiem. Autor, nie Niemiec, popełnia liczne błędy syntaktyczne, stylistyczne, ba! nieraz gramatyczne, a nadewszystko grzeszy przeciw duchowi języka. Z bogatego „rejestru grzechów" wyjmuję najcięższe:

Str. 12 „zu einer Spur..., von woher der neue Stil kam"; str. 24 „zugegeben soll sein, dass..."; str. 27 „übergenug der Beispiele", (zamiast „mehr als genug"); str. 27 „Von der Novelle kommen" (= herkommen); str. 34 „Mehr Bedeutung schon (!) hat..." Zdanie na str. 41 od słów „Eine Laune bei Hoffman..." zupełnie niezrozumiałe. Str. 56 „eine Weltauschauung zum besten geben?" albo „Die Mutter wartet ihn (!) damit (mit der Weltauschauung) auf"! Str. 83 „Die Ursache des Scheiterns des Dichters an seiner Aufgabe".

Potworne wprost pod względem obrazowym i rytmicznym są zdania takie, jak na str. 105: „so entstand die Ungeheuerlichkeit der unendlich sich windenden Romanringe, in deren einzelnen Kettengliedern das in den vorherghenden keimende seine naturnotwendige Entwickelung durchzumachen hatte"; albo „Menschen, die in einer solch unnatürlichen Weise gepeinigt waren, sollten, könnte man denken, zu viel schrecklicheren Dingen fähig sein"(!) lub zaraz potem: „Der süsse Liebesworte lispelnde ritterliche zärtliche Othello" oraz ustęp str. 182 od słów: Es sei bemerkt..."

Str. 34 „Der Naturalismus will nichts, als... zu (!) übertragen"; str. 184 „Er flieht vor ihr, um sich an gemimter (sc. Tragödie), mit Wasser statt Gift (?) zu ergötzen"; str. 199 ostatnie ogniwo wyliczonego szeregu nawiązane zwrotem: „endlich jetzt vorhin" (!); str. 203 „ein jeder Mensch" zam. jeder itd. itd. Sapienti — satis superque!

Oto ocena i przegląd książki p. Bytkowskiego; przydać się ona może nie tyle ze względu na pozytywne wyniki, ile raczej na ilość — zbyt wielką, niestety! — poruszonych w niej kwestyi. Książkę p. Bytkowskiego czytać należy ostrożnie, mimo pozory i dążenie do naukowości, bowiem wykazuje: dyletantyzm w metodzie, zachowawczość w światopoglądzie estetycznym i brak poprawności w stylu i języku.

Krosno. *Józef Kretz.*

Druk ukończono dnia 21 maja 1910 r.

DR JULIUSZ KLEINER.

„TRAGEDYE“ OCHINA.

W r. 1564 przybył do Polski 77-letni tułacz, niegdyś dostojnik Kościoła, od lat przeszło dwudziestu wróg jego namiętny, — nie mogący nigdzie znaleźć stałego przytułku. Krótko w Polsce przebywał, głosząc w Krakowie nową naukę; gdy 7 sierpnia 1564 r. ukazał się edykt, zabraniający przebywać w Polsce heretykom cudzoziemskim, znowu ruszył starzec na tułaczkę, a straciwszy wskutek zarazy troje dzieci, umarł na Morawach przed końcem roku.

Był to Bernardino Ochino ze Sieny.

Niewątpliwie protestant Benrath[1]) ze zbyt wielką sympatyą skreślił rysy tego niezwykłego człowieka. Ale jest coś imponującego, coś przykuwającego już w samej twarzy jego — wyschłej, zbolałej, przeżartej ogniem idei twarzy ascety. Jest jakiś rys potężny i tragiczny w życiu jego — w życiu człowieka, który jak drugi Savonarola podbijał umysły i serca swą wymową, a podziw wzbudzał czystością życia, który doszedłszy do dostojeństwa wysokiego[2]), wzgardził niem, porzucił ojczyznę i na tułaczkę poszedł, nieraz znosząc nędzę i nieszczęście. Jest niekiedy coś olśniewającego w jego teologicznych wywodach, jest dzika jakaś, niesamowita siła, podżegana przez walkę i cierpienie, w miotanych przeciw Kościołowi zarzutach i obelgach. Fanatyk w nienawiści, namiętny syn południa, zrażający swem miotaniem się na świętości — takim jest Ochino. Trudno sąd wydać o wszystkich pobudkach, jakie nim kierowały. Lecz niewątpliwie był to jeden z ludzi, rwących się do poznania prawdy, chociaż schodzących na fałszywe drogi — i niewątpliwie był to niepospolity człowiek i niepospolity talent.

Imię jego znano już w Polsce, gdy ku niej, jako ku ostatniemu miejscu przytułku, zwrócił swe kroki. Nie tylko bowiem oddawna łączyły go stosunki z polskimi heretykami, nie tylko, idąc śladem Kalwina, Zygmuntowi Augustowi dedykował dzieła, a podobnie też księciu Radziwiłłowi, lecz były też przełożone na

[1]) Benrath, Bernardino Ochino von Siena.

[2]) Był generałem Kapucynów.

język polski dwa jego utwory. W r. 1558 ukazała się „Bernardina Okina z Seni, męża bardzo uczonego i zacnego, O zwierzchności papieskiej nad wszystkim światem krześciańskim Tragedya krotochwilna“, w r. 1560 „Tragedya o Mszej“.

Gdy Ochino udał się do Anglii, napisał dzieło o zwierzchności papieskiej, za której twórcę zgodnie z Platiną[1]) uważał Bonifacego III, i dzieło zadedykował młodemu królowi Edwardowi III.

Łaciński oryginał zaginął; dochował się tylko przekład angielski, dokonany przez biskupa Poneta, p. t. „A tragoedie or Dialoge of the uniuste usurped primacie of the Bishop of Rome, and of all the iust abolishyng of the same, made by master Barnardine Ochine an Italian, and translated out of Latine into Englishe by Master John Ponet Doctor of Divinitie, never printed before in any language. Anno Do 1549“.

British Museum posiada dwa różne egzemplarze tego przekładu — różne o tyle, że w jednym z nich i w dedykacyi i w scenie końcowej dzieła wymieniony jest lord-protektor, ks. Somerset, gdy przeciwnie drugi nie zawiera żadnej aluzyi do protektora. Na podstawie tych egzemplarzy wydał ponownie „tragedyę“ C. E. Plumptre w r. 1899 (The tragedy by Bernardino Ochino reprinted from bishop Ponet's translation out of Ochino's latin manuscript in 1549. Edited with introduction and notes by C. E. Plumptre, 1899).

W dziewięciu „rozmowach“ przedstawia Ochino w sposób przypominający nieco „Pammachiusa“ Naogeorga, ale bynajmniej mu nie dorównujący, z nienawiścią genezę prymatu papieskiego i jego upadek w Anglii.

Akcyę rozpoczyna prolog w piekle, będący niejako poprzednikiem sceny podobnej w „Raju utraconym“ Miltona[2]). W literaturze średniowiecznej, w licznych „procesach szatańskich“ nieraz występował szatan, domagający się pozornych praw swoich, skarżący się na krzywdę rzekomą. W ten również sposób zaczyna Lucyfer na zgromadzeniu piekielnem przemowę, podając plan nowej walki z Bogiem. Z pomocą biskupa rzymskiego założyć chce na ziemi Antychrystowe państwo; łącznie z najprzebieglejszymi ze sług swoich postanawia je otoczyć zewnętrznym blaskiem powagi i ceremonii świętych, by ludzi omamić.

Monolog biskupa rzymskiego Bonifacego III wskazuje, że Lucyfer już swe postanowienie wykonał i poddał mu myśl prymatu; przez sekretarza cesarskiego, doktora Sapience, zyskuje Bonifacy przyzwolenie cesarza Fokasa. Cieszy się z tego Kościół rzymski (występujący oczywiście jako osoba). Lud rzymski jednak w rozmowie z Kościołem nie bardzo tę innowacyę pochwala. W następnej (czwartej) rozmowie Bonifacy u Opinii ludzkiej (Mans

---

[1]) Hist. de vitis pontificum, 1504 (Benrath, l. c., s. 177).

[2]) Na podobieństwo to zwrócił uwagę Richard Garnett w „Life of Milton“.

judgement) zasięga rady, na jakiej podstawie ma oprzeć swą władzę zwierzchniczą. Postanowiono wreszcie wywieść ją od Piotra, chociaż Lud rzymski nic nie wie o pobycie Piotra w Rzymie. O dalszym losie tego planu dowiadujemy się z rozmowy szambelana papieskiego Lepidusa z Tomaszem Massucciusem, masztelarzem. Lepidus opowiada dokładnie o przebiegu ukończonego właśnie soboru, składając w cytowaniu wszystkich przemówień dowody fenomenalnej pamięci. Posłowie z Konstantynopola, Antyochii, Jerozolimy i Aleksandryi sprzeciwiali się prymatowi, którego bronili pięknie nazwani poplecznicy Falsidicus, Hypocrite, Pseudologus i Thrasibristus, ale gdy chciano protestować, kapelan papieski zaintonował „Te Deum laudamus“, wszyscy mu zawtórowali i wołali: „Victoria, Victoria!“

Lucyfer, uradowany powodzeniem, wymyśla szereg przepisów, dogmatów i obrzędów kościelnych.

Po wiekach Chrystus w rozmowie z Michałem i Gabryelem wyraża zamiar złamania Antychrystowej potęgi, a za narzędzie obiera Henryka VIII. W Henryku budzą się wątpliwości, których Papista nie umie pokonać; Tomasz, arcybiskup z Canterbury, utwierdza Henryka w przekonaniu, że papież jest Antychrystem. W ostatniej (dziewiątej) rozmowie występuje w jednym egzemplarzu król Edward VI i Lord-Protektor, w drugim Edward i doradcy (The Councillors)[1]; treścią rozmowy jest rozważanie, jak utrwalić dzieło Henryka.

Ten płód nienawiści i pochlebstwa ukazał się w r. 1558 w przekładzie polskim.

Wydawca poświęcił tę „tragedyę krotochwilną, nauki krześciańskiej barzo potrzebnej, papieskie fałsze okazującej i burzącej pełną“, księciu Mikołajowi Radziwiłłowi. Przedmowa dedykacyjna ma podpis *O. T.* — Ostafi Trepka. Prawdopodobnem się wydaje, że on też — choć się do tego nie przyznaje — jest tłómaczem dzieła[2]; zgadzałoby się to z działalnością Trepki, który dwa lata przedtem, 1556 r., wydał już protestancką „Postyllę“ a w przedmowie do „Tragedyi“ obiecuje przetłómaczyć list Radziwiłła do Lipomana.

Inna nas tu owiewa atmosfera, jak w dawniejszych polskich dyalogach polemicznych, nie wyjmując i „Kupca“ Rejowego. Tam, o ile nie występuje obyczajowa satyra, lecz polemika, jest to polemika dość prymitywna, często nieudolna; broń polemików naszych bywała dość tępa, a ich sztuka szermierska u dzisiejszego czytelnika z pewnością nie wywoła nic podobnego do podziwu.

---

[1]) Zdaniem Plumptre'ego (we wstępie do cytowanego wydania) imię protektora zostało usunięte z rękopisu po upadku Somerseta.

[2]) Tak też sądzi Benrath i prof. Grabowski, Z dziejów literatury kalwińskiej (Rozpr. Ak. Um. Wydz. filolog. T. 43, s. 406).

Ochinus staje do walki, zbrojny nieubłaganą, fanatyczną, cierpieniami wzmożoną nienawiścią południowca, bezwzględną konsekwencyą w zwalczaniu wroga, wielką wiedzą teologiczną i historyczną, talentem kompozycyjnym i dyalektycznym, umysłem wyszkolonym, nie cofającym się przed sofisteryą, a rzucającym koncepcyę fantazyi tam, gdzie nie starczy argument logiczny. Żadną bronią nie gardzi, bez wahania kij gruby do ręki bierze, w miotaniu obelg mało komu da się prześcignąć; ale umie i szpadą walczyć i ranić zatrutym sztyletem i kłuć szpilkami ironii; nie pomija drobnostki żadnej, któraby mogła służyć w walce, ale nie traci nigdy z oczu spoistej, konsekwentnie zbudowanej całości. Powtarza się — to prawda; ale tak czynili wówczas wszyscy pisarze, chcący wbić swe zasady w pamięć czytelnika.

„Tragedya o zwierzchności papieskiej“ to utwór niesłychanie niesympatyczny, ale jako historyczny dokument i jako utwór bardzo ciekawy. Nacechowany sofistycznym rozumem, adwokacki akt oskarżenia, utwór *par excellence* polemiczny — opiera się jednak na niezaprzeczonej, choć może obcym wpływem (wpływem Naogeorga)[1]) pobudzonej fantazyi. Rozum przygniótł fantazyę, ale jednak widać ją w koncepcyi, chociaż i na niej piętno wycisnęła kierowana nienawiścią praca umysłowa.

Tragedya ujmuje problem z dziejów ludzkości, którego terenem nie jest życie jednego indywiduum, ale wiekowa ewolucya. Kwestyę walki religijnej rzuca Ochinus (co prawda nie on pierwszy) w dramacie na tło odwiecznej walki dobrego i złego pierwiastka. Stąd rozłamanie akcyi na dwie części: jedną szatańską — katolicką, drugą Chrystusową — protestancką; ta druga przedstawiona została o wiele słabiej. Pierwsza obejmuje genezę papiestwa; musi się na nią oczywiście złożyć po pierwsze zło, jako siła nadprzyrodzona, powtóre zło, jako pierwiastek ziemski, ludzki w ten sposób można było wymierzyć cios silniejszy.

Drugiej części treść dała reformacya angielska.

Forma dramatyczna ma tylko znaczenie ramy; akcya możliwie uproszczona, zredukowana do kilku zasadniczych momentów; brak techniki dramatycznej jej wartość obniżył; kulminacyjny punkt, dysputa w pałacu cesarskim, przedstawiony został w formie opowiadania. A jednak — mimo gniotącej przewagi polemiki, mimo stylu, pozbawionego siły dramatycznej, mimo, że osoby nie mają być naogół indywiduami, lecz albo manekinami albo wcieleniami pewnych czynników — przecież nie brak pewnej siły dramatycznej nie tylko w koncepcyi ogólnej, ale nawet w przedstawieniu niektórych postaci.

Plastycznie zarysowuje się Lucyper ze swą potęgą rozumu i bezwzględną konsekwencyą w dążeniu do celu, objawia-

---

[1]) Mianowicie utworu p. t. „Pammachius“.

jącą się wtedy szczególnie, gdy dla osiągnięcia celu gotów zrezygnować z władzy nad piekłem na rzecz Antychrysta. Najwięcej życia ma Bonifacy — ambitny, obłudny, przewrotny, a jednak w głębi duszy mający poczucie tego, co złe i dobre. Zasadniczy rys charakteru zawarty jest zaraz w pierwszych słowach monologu jego: „O jako wdzięczna jest sława na świecie, zawżdy bym ją przekładał nad wszystki insze rzeczy.“

Treść uczuciowa poza nienawiścią, jaką tchnie scena każda, wcale nie obfita. Ochinowi w słowach, które w usta swych postaci wkłada, tylko o treść myślową idzie; nie różniczkuje też zbytnio tych myśli; zna tylko zdanie własne i zdanie przeciwne; jedno wkłada w usta jednej osobie jako prawdę, drugie drugiej jako fałsz; i o to dba tylko, by ta druga osoba należała do papieskiego obozu. O indywidualizowaniu myśli i formy mowy niema. Styl to proza częścią naukowa, częścią retoryczna, chłodna, rozumowa. Dyalog często zręcznie prowadzony; ale nie akcya dramatyczna mu życie daje, tylko polemika.

Polska „tragedya“ mało ma oryginalności; w znacznej części istotnie jest tylko przekładem.

W pierwszych sześciu rozmowach zachowuje tłómacz polski dokładnie układ i tok myśli oryginału; [1]) w dwu ostatnich musiał od oryginału odstąpić. Ochinus pisał „tragedyę“ dla Anglików i drugą część uczynił panegirykiem na cześć Henryka VIII i Edwarda VI [2]). Chrystus w rozmowie VII posyła Gabryela do króla Henryka, wspomina zaś przytem i o Edwardzie. W rozmowie VIII Henryk podejrzywając, że papież jest Antychrystem, rozmawia z Papistą i z arcybiskupem kantuaryjskim (z Canterbury), który go w tem mniemaniu utwierdza. W polskim tekscie wszelkie aluzye do stosunków angielskich byłyby nieodpowiednie. Chrystus więc nie mówi o Henryku i Edwardzie, lecz o nieokreślonym „królu.“ Rozmowa VIII i IX ściągnięte są z wiernem zachowaniem toku myśli — w jedną scenę. Z Henryka i Edwarda zrobił się jeden król, arcybiskup zjednoczył się z Doradcami (Councillors) względnie z Protektorem w Radę świecką, a Papista dla symetryi stał się Radą duchowną. Cała zaś scena ma być niewątpliwie wezwaniem, wystosowanem w delikatnej, ale wyraźnej formie do Zygmunta Augusta.

Tekst polski jest na ogół parafrazą oryginału, niekiedy rozszerzeniem, pełniejszem wyrażeniem (o ile sądzić można z porównania z przekładem angielskim), niekiedy skróceniem.

---

[1]) Zmienia tylko imiona: Falscidicus — Fałszerz, Pseudologus — Kłamca, Thrasibristus — Gwałt; Thomas Massuccius przezwany został Maciejem rostrucharzem.

[2]) Nasuwać się może przypuszczenie, czy przekład angielski nie zawiera tu jakichś dodatków do oryginału, jakichś zmian nawet. Rozstrzygnięcie tej kwestyi jest jednak wobec braku oryginału niemożliwe.

Celem wykazania tego stosunku, podaję kilka przykładów, zaznaczając drukiem rozstrzelonym różnice obu tekstów:

Z rozmowy trzeciej:	
Puścił to takiego wężyka, który po trosze a zlekka podrastając, uroście wielkim smokiem.	He hath begun to brood in his bosom such a young adder as will shortly shoot up to a mighty dragon.
Z rozmowy czwartej:	
Papież: Dopuszczamy wam z skarbu św. Piotra i inszych Apostołów i świętych każdemu **po tysiącu, po sześćset** i po czterdzieści dni odpustów.	... we grant you out of the treasures of Peter **and Paul** and other holy apostles and saints **forty times'** forty days of pardon.
Lud rzymski: I toć niepospolity upominek, za który wam bardzo dziękujemy, **naświętszy i nabłogosławieńszy Papieżowie.**	*The People*: A goodly reward, and we thank you highly; **we thank you, I say, as speaking to many which be most holy and most blessed Popes**
Papież: Co? **Naświętszy i nabłogosławieńszy Papieżowie? A wieleż to tu nas tych papieżów?** Nie widzicie, że jesteśmy sam na tem dostojeństwie.	*The Pope*: **What meanest thou by that—that thou didst call us most blessed and most holy Popes in the plural number? Thinkest thou that we be many Popes?** Seest thou not us only placed in this dignity?
Lud rzymski: Odpuść nam, naświętszy i nabłogosławieńszy ojcze, **bo** kiedyśmy cię usłyszeli, **iż mówisz jako dwa**, mnimaliśmy, żeby was było dwu papieżów.	*The People*: Pardon **thou** me **I beseech thee**, most holy and blessed Father. When I heard thee **speak in the plural number** I thought that there had been two Popes **at the least.**
Zakończenie rozmowy czwartej:	
Ale iż wam już na ten czas nie chcę być dłużej przykry, przeto sobie biorę odpuszczenie od waszej świątobliwości.	And because I would trouble your Holiness no longer, with your blessed license I will depart.
Papież: **A my też na ten czas darmo darujemy to nasze przeżegnanie.**	**W tekscie angielskim słów tych niema.**

Z rozmowy piątej — słowa „Pana Gwałta“:

Wy, nabłogosławieńszy ojcze, jesteście zwierzchnią głową w kościele Pana Chrystusowym. A tak jesteście wyższy nad wszystki insze, nad ludzi, nad angioły, nad dowody, nad pismo ś., nad powagi i nad wszystki świat; nie jest żaden któryby was mógł sądzić, skazować abo pytać „Czemuś tak uczynił?“ Jużeście Papieżem, a jako papież błędzić nie może[cie]. Już jedno rzeczcie: „My jesteśmy papieżem i chcemy być papieżem“, tedy na tym dosić. Abowiem taka jest wasza moc, iż chociabyście nie byli papieżem w rzeczy, tylko żebyście rzekli: „Chcemy być“, tedybyście już byli, bo jest napisano: „Rzekł a wnet się stało wszystko.“

You, Most Holy Father, be the supreme head of the church of Christ, and therefore be you above all other persons, men, angels, reasons, Holy Scriptures, authorities, yea, and above the whole world. There is no man may judge you, or else command you, for so it is come to pass. Now ye be Pope, and being Pope, ye cannot err. Therefore only say thus, We be Pope and we will be Pope; and it is enough. Your power and authority is so great, that if ye were not Pope, if yet ye once pronounced these words, We will be, ye should be, out of hand.

Zakończenie tragedyi — słowa Rady świeckiej:

A mając tylko chwałę Bożą przed oczyma swymi i zbawienie dusz naszych, będziem Go prosić, aby nam dał takiego ducha, żebyśmy Jemu słusznymi obyczajmi z wielkim palanim dusz naszych służyli, a przez Jezu Chrysta Ojcu Jego i naszemu cześć, chwałę i uczciwość wszystką czynili i wyrządzali. Amen.

And having always God's honour before our eyes, and the health of souls, we will pray that He will grant unto us that pureness and earnestness of spirit, that we may set forth His glory and serve Him in holiness, and that we may, through Jesus Christ our Redeemer, give all praise, glory, and honour to God the Father everlasting. Amen.

Szczegóły pewne świadczą, że tłómacz nie miał jasnego obrazu postaci. Kościół rzymski („Cerkiew abo Kościół“) raz przemawia jako osoba rodzaju męskiego, raz znów jako osoba żeńska — pierwsze odpowiada polskiej nazwie „kościół“, drugie zgodne jest z łacińskiem imieniem „ecclesia“ i z pojęciem postaci tej, jako matki kościołów i jako oblubienicy papieskiej. Lud

rzymski jako osoba zbiorowa mówi w liczbie mnogiej; ale zdarza się, że przez zapomnienie odzywa się jako jednostka.

Ważniejsza dla literatury polskiej, bo znacznie oryginalniejsza, jest wydana w r. 1560 „Tragedya o Mszej, z której każdy snadnie zrozumieć może początek i wszelaką jej sprawę i co o prawdziwej wieczerzy Pańskiej właśnie każdy wiedzieć ma“.

W pomyśle i układzie podobna do poprzedniej „tragedyi“ dzieli się na dwa akty; każdy z nich składa się z „rozpraw“ poprzedzonych „argumentami“.

I tę również „tragedyę“ rozpoczyna słowami swemi szatan, knujący plan walki przeciw Bogu; ale mówi on „sam z sobą“. Jako przeciwnik Boży chce on Wieczerzę Pańską „zniszczyć, ukraść, zepsować a z gruntu wywrócić“ i na jej miejsce coś podobnego „wstawić, wymyślić a podrzucić“. Zapomocą „niepośledniego kunstu a osobliwego fortelu“ Wieczerzy Pańskiej „pewny pogrzeb sprawi“, złupi ją z odzienia jej i „przyobierze a przyodzieje“ w nie córkę swoją. Chce, by zrodziła ją „matka święta rzymskiego Kościoła“. Idzie tedy, by zamiar swój w czyn wprowadzić.

W rozprawie wtórej „Matka święta rzymski Kościół“ przybywającemu do niej papieżowi mówi o ważnej nowinie. Papież i cieszy się tem i martwi. Córkę — bo córkę obiecuje mu Matka — postanawia ukryć, a potem podać ją za dziecko Piotra św. Ale Matka radzi mu, by ogłosił, że jest to córka św. Jakóba i Kościoła jerozolimskiego. Papież, któryby sobie syna życzył, idzie do „praktykarza“, by się o przyszłość zapytać.

Praktykarz (rozprawa trzecia) przychodzi do papieża z nowiną o narodzeniu się córki nadobnej. Jako astrolog przepowiada jej świetną przyszłość, ale następnie także jej upadek; jedno ją tylko uratować może: jeśli papież mocą swą niebo zamknie i powstrzyma niepomyślny bieg gwiazd — lecz papież przyznaje się do swej niemocy. Mimo to zadowolony jest z przepowiedzianej świetności. Odchodzi, pobłogosławiwszy praktykarza.

Znów występuje szatan (rozprawa czwarta) i myśli o tem, jakie imię ma nosić córka jego. Na podobieństwo Mesyasza nazwie ją „Missa“, bo jest przez szatana posłana na świat i wielu przez nią będzie do piekła posłanych. Polacy imię jej zmienią na „Msza“, bo oni domy swe „mszą“ (=mchem zatykają) i służebników jej, księży „umszą“ i bogactw im udzielą.

W piątej rozprawie oświadcza papież „Matce świętej Kościołowi rzymskiemu“, że chce córkę ochrzcić. Matka Kościół sprzeciwia się temu: córka tak świętych rodziców chrztu nie potrzebuje. Papież ustępuje i zadowala się daniem córce imienia Missa t. j. od Boga zesłana. Za radą Matki-Kościoła postanawia oddać ją na wychowanie „Mądrości ludzkiej“ i przydaje swe błogosławieństwo. Jak wygląda to wychowanie, przedstawia rozprawa szósta.

Mądrość ludzka, która Mszę w dzieciństwie piersiami swem karmiła, uczy ją teraz, jak ma „zaćmić a zasłonić“ Wieczerzę Chrystusową. Msza zadowolona jest z tego i „jako posłuszna dzieweczka“ gotowa czynić wszystko, co Mądrość ludzka każe.

Rozprawa siódma jest monologiem Wieczerzy Chrystusowej. Chociaż poddaje się woli Bożej, z żałością skarży się ona na Mszę, swą „nieprzyjaciółkę i sprzeciwnicę, która chce ją zaćmić, zhańbić, żywcem niemal pogrzebać“. Ale w smutnym swym losie bardziej nad ludźmi boleje, niż nad własną zelżywością. Postanawia spróbować, czy nie uda się jej wpłynąć na Mszę upomnieniem.

Msza (w rozprawie ósmej) oburza się na słowa Wieczerzy, „Jakoż ze mną mówić śmiesz tak przespiecznie? Snać mie sobie lekceważysz, jakoby nie znając, żem ja też jest święta... Idż oto a wędruj precz, głupia prostaczko... Widzę, iżeś barzo głupia, sprośna a nikczemna“. Na zarzuty Wieczerzy odpowiada, że ceremonie jej mają chwałę Bożą na celu. „Jako droga perła“ — mówi na to przeciwniczka jej — „abo jaki drogi klejnot nie potrzebuje farbowania ani przypraw ludzkich, takżeć też sprawy a ustawy Pana Krystusowe... nie potrzebują ludzkich farb ani przypraw“. Na obraźliwe słowa Mszy odpowiada groźbą kary Bożej. Msza nawzajem grozi, że ją przed papieżem oskarży. Istotnie papież w monologu wypowiada zamiar uwięzienia Wieczerzy, a objaśniająca uwaga autora — niby argument przed monologiem — mówi: „Tu już Wieczerza... jest od Papieża do ciemności wtrącona, którą on jeszcze do dzisiejszego dnia w więzieniu trzyma“.

Msza głosi w monologu swój tryumf (rozprawa dziewiąta). Zyskała chwałę większą od Bożej, odwiodła ludzi od cnoty, a sobie ich zhołdowała.

Do walki z Mszą staje w drugim akcie Miłośnik chwały Bożej. Zdaje w monologu sprawę ze swego zamiaru i jego motywów, a wreszcie mówi: „Ale iż to baczę, że tu tak sam z sobą rozprawując mały stąd pożytek wziąć mogę, a snać jedno próżno czas trawić będę, a tak już pójdę“. Modli się do Ducha Świętego. Ten przestrzega go przed nierozważnem postępowaniem, ale gdy Miłośnik zapewnia, że ma jasne dowody przeciwko Mszy, naznacza mu Duch Święty termin ze Mszą na dzień następny.

Bez żadnej przerwy następuje jako dalszy ciąg rozprawy początek procesu. Duch Święty, jako sędzia, upomina obie strony. Msza śmieje się z tego, że ona, najświętsza na świecie, ma być oskarżona, powołuje się na dekrety papieskie, na synody i wyroki teologów, które jej świętość stwierdzają. Duch Święty obiecuje rozpatrzyć sprawę i udziela głosu Miłośnikowi. Ten czyni Mszy szereg protestanckich zarzutów, a na uwagę jej, że ona wszystko dla chwały Bożej czyni, zaznacza, że tak samo Żydzi dla chwały Bożej ukrzyżowali Chrystusa. Msza nie umie odpowiedzi znaleźć, twierdzi, że jako prostaczka odrazu odpowiedzieć nie potrafi. Mi-

łośnik każe jej poszukać sobie prokuratora, a Duch Święty rozprawę odkłada na dzień następny.

Na wezwanie Ducha Świętego (w rozprawie II) Miłośnik czyni Mszy dalsze zarzuty. W obronie Mszy, jako jej powinowaty, staje Zabobon, twierdząc, że Msza nad rozkazanie Boże dba o Bożą chwałę. Dalsza dyskusya dotyczy kapłaństwa i komunii pod obiema postaciami tudzież obecności bóstwa pod postacią chleba. Miłośnik uderza namiętnie na księży i zakonników. Wreszcie Duch Święty odracza sesyę do dnia następnego.

Treścią „wtórej sesyi" jest wykazanie, że Sakrament nie jest ofiarą, lecz pamiątką. Duch Święty przyznaje w tej sprawie słuszność Miłośnikowi i znów termin na dzień następny odkłada.

Na „trzeciej sesyi" Miłośnik w dalszym ciągu stara się wykazać, że w Sakramencie Chrystus nie jest obecny, że Sakrament jest tylko figurą, a słowa Chrystusa „To jest ciało moje — to jest krew moja" pojmować należy przenośnie. Opiera twierdzenie swe na cytatach z Pisma, na zwyczajach apostolskich i wywodach filozoficznych. Zarzuca ciche wymawianie słów konsekracyi, chwalenie obrazów i cześć Świętych.

Podczas „czwartej sesyi" zbiera Miłośnik swe zarzuty. Szydzi z różnych rodzajów mszy w sposób, który „Rozprawę" Reja przypomina: „Ktoby najął mszę Grzegorzowi, przez to dusze z czyśca wywodzi, Rochowa od powietrza zachowuje, Marcinowa i Walentowa od dziwnych a rozlicznych niemocy, Zygmuntowa od febry, Antoniego opata strzeże świni od zdychania, Maryej Magdaleny msza zgubę najduje, Apoloniej zęby leczy, Ducha Świętego msza daje dobrego i gładkiego męża". Msza traci pewność siebie: „Panie sędzio sprawiedliwy, a gdybych się jeszcze polepszyć mogła?" Duch Święty daje jej tydzień do namysłu.

Na „sesyi ostatecznej" Duch Święty wydaje wyrok potępiający na Mszę. Tak samo potępia jej sługi i na jej miejsce przywraca Wieczerzę Pańską.

Wieczerza dziękuje Bogu za ten wyrok i udziela wiernym szeregu upomnień w myśl zasad protestanckich. Wzywa do nienawidzenia Mszy, wzywa zarazem do cnót, a przedewszystkiem do wiary: „...Aby tak świeciła światłość wasza, t. j. wiara wasza przed ludźmi, żeby oni widząc cnotliwe a pobożne sprawy wasze, a ućciwe i krześciańskie postępki wasze, chwalili a wysławili z wami Boga Ojca niebieskiego, którego[1]) niechaj będzie wieczna cześć i chwała przez Pana Jezusa Krystusa społu i z Duchem Ś., Bogu w Trójcy jedynemu a wiecznemu. Amen."

Na początku dzieła jest wiersz łaciński Pawła Lismanina z Korcyry „Ad lectorem", podający treść książki, a kończący się słowami:

---

[1]) Tak w druku — zdaje się jednak ma być „któremu", bo dalej czytamy „Bogu jedynemu".

Quicquid agas, quicquid moveas, saevissime Papa,
Non procul est regni magna ruina tui.

W prozaicznej przedmowie polskiej dedykuje Lismanin dzieło Radziwiłłowi. Zaznacza, że z jego to inicyatywy wyszedł przekład pierwszej „tragedyi“: „...Będąc w Wielkiej Polszcze dałem był z włoskiego przełożyć, a przez jedną zacną osobę na świat wypuścić przypisane imieniu W. X. M. Ochinowe książki o zwierzchności papieskiej“. Teraz zaś „ty drugie książki“ nakładem swoim dał wydrukować.

W drugiej przedmowie „Ku czytelnikowi“ streszcza i poleca Lismanin dzieło Ochina [1]).

Następuje wierszowana „Inwektywa ku krześciańskiemu bratu“, ośmiozgłoskowym wierszem napisana przez Lismanina, podająca treść „książeczek“, które są „przez Ochina męża cnego | teraz czasu niedawnego | językiem włoskim spisane | a tu do Polski podane“, są zaś „wyborne, zbawienne i ktemu dworne“.

Po „tragedyi“ następuje „ostatnia namowa“, wierszem jedenastozgłoskowym, podająca najważniejsze nauki, wypływające z „tragedyi“ i wzywająca do opierania się wyłącznie tylko na słowach Chrystusa:

Ukażmy w sobie tę przychylność pilną
K nauce jego, co sama bezpiecznie
Trwa i trwać będzie aż na wieki wiecznie.

Autorem przekładu jest według prof. Grabowskiego synowiec Lismanina, Paweł [2]).

Odpychające to dzieło, jadem i błotem obrzucające Kościół i jego świętości [3]). Trzeba odczytać Ochinowe tragedye, by zrozumieć, do jakich rozmiarów sięgała nienawiść religijna, jak brutalnie toczono walkę. Wymaga to pewnego przezwyciężenia się,

---

[1]) Ciekawa jest w tej przedmowie uwaga autora o pożytku złych książek: „Są dzieła złe i dobre, wszystkie nie są bez pożytku, bo dobrego złe zepsować nie mogą, gdyż sobie z nich przestrogę bierze, czegoby się słusznie przestrzegać i warować i czegoby się hamować miał“.

[2]) „Encyklopedya Kościelna“ oba przekłady przypisuje bez zastrzeżeń Ostafiemu Trepce, prof. Grabowski (Z dziejów lit. kalw., 406) synowcowi Lismanina. Że Wójcicki, podając „tragedyę“ za dzieło Jana Herbesta, pomieszał ją z innym zupełnie, o sześć lat później wydanym, katolickim traktatem, stwierdził już Trębicki (Bibl. Warsz., 1843, IV).

[3]) Zaznaczyć muszę, że ustępów najbardziej obelżywych nie cytowałem, a przecież podane wyjątki wystarczą chyba, by wywrzeć na czytelnikach odpychające wrażenie.

by dzieło takie ocenić chłodno i sprawiedliwie, jako historyczny dokument i utwór literacki. A ze stanowiska historyczno-literackiego dzieło to wcale wybitne.

Koncepcya bardzo zbliżona do „Tragedyi o zwierzchności“. I tu, jak w poprzedniej tragedyi, akcya rzucona na tło walki szatana z Bogiem. Jak tam zwierzchność papieska, tak tu Msza pojęta jest jako twór i narzędzie szatana. W obu utworach akcya rozłamana na dwie części: katolicką i protestancką; ta ostatnia jest tu ujęta w formę procesu, tak chętnie używaną w wiekach średnich. I tu i tam wprowadza autor uosobione pojęcia.

Ale są też wybitne różnice — i to różnice, które dają „Tragedyi o Mszej“ poniekąd wyższą wartość pod względem koncepcyi dramatycznej, mimo że balast polemiki obciąża ją w większym jeszcze stopniu, niż jej poprzedniczkę i że sama bohaterka jest uosobionem pojęciem.

Konflikt dramatyczny — jeśli wolno tu użyć tego wyrażenia — zarysowany silniej i plastyczniej. W „Tragedyi o zwierzchności“ mieliśmy abstrakcyjną walkę szatana z Bogiem — walkę, która na los walczących nie wywiera wpływu. Chrystusa wcale nie dotykają ciosy szatana, Lucyper po osiągnięciu tryumfu niknie nam z oczu i klęski jego nie widzimy. Inaczej w „Tragedyi o Mszej“: abstrakcyjna walka szatana z Bogiem zmienia się w konkretniejszą znacznie walkę Mszy z Wieczerzą. Pojęte jako indywidua, walczą one istotnie o byt swój; tryumf Mszy wtrąca Wieczerzę do więzienia, upadek Mszy sprowadza tryumf Wieczerzy. Gdy w poprzedniej tragedyi siły walczące są rozdzielone, tak że papież i szatan tylko w pierwszej części, Chrystus i król tylko w drugiej części występują i w ten sposób niema odpowiedniego połączenia działania i przeciwdziałania, tu obie strony występują w obu częściach i doznają zmiany losu. Katastrofa w „Tragedyi o zwierzchności“ nie spada na bohatera pierwszej części Bonifacego, tu spada ona na Mszę, jako na indywiduum. Przez wprowadzenie upomnień Wieczerzy i obrończej roli Zabobonu, stosunek działania do przeciwdziałania jest o wiele ściślejszy. Cała akcya bardziej spoista i konkretniejsza, bo nie o abstrakcyjną zwierzchność chodzi, ale o o s o b ę Mszy, która jako o s o b a ustawicznie wysunięta jest na plan pierwszy i akcyę skupia dokoła siebie. Oczywiście zajęcie budzi przedewszystkiem akt pierwszy; drugi dzięki balastowi polemicznemu staje się rozwlekły i nudny.

W związku z większą wyrazistością i dramatycznością akcyi pozostaje też bardziej wyrazista charakterystyka osób. Msza, mimo, że jest pojęciem uosobionem, ma cechy jasno zarysowanej indywidualności, czy gdy ulega psującemu wpływowi Mądrości ludzkiej — czy gdy z grubiańską hardością do Wieczerzy przemawia — czy gdy dumna i pewna siebie występuje w procesie — czy gdy tracąc pewność siebie, chce się rzekomą nai-

wnością ratować a wreszcie, zrzuciwszy pozornie pychę z serca, powiada: „Panie sędzio sprawiedliwy, a gdybych się jeszcze polepszyć mogła“. Papież i Matka-Kościół skreśleni są o wiele jaskrawszemi barwami, niż w „Tragedyi o zwierzchności“. Szatan, pojęty tak samo, jak w „Tragedyi o zwierzchności“, tylko ściślej z akcyą złączony. Duchowi Świętemu, Wieczerzy i Miłośnikowi brak wybitnych rysów; Duch Święty tylko jako sędzia występuje. Praktykarz i Zabobon są manekinami, przeznaczonymi do wygłaszania zdań pewnych; samo jednak wprowadzenie Zabobonu jako obrońcy Mszy ożywia nieco niezbyt ożywiony akt drugi.

Treść uczuciowa bogatsza, niż w „Tragedyi o zwierzchności“, której ustępy w rodzaju skargi i modlitwy Wieczerzy i modlitwy Miłośnika czy też w rodzaju drastycznego opisu uczuć brzemiennej Matki są obce, ale treść ta przygnieciona jest pierwiastkiem rozumowym. Zresztą przy przedstawieniu uczuć i postanowień nie chodzi autorowi o wyraz liryczny, ale raczej o rozumowe określenie i umotywowanie. I tu dochodzimy do kwestyi bardzo ważnej dla oceny „tragedyi“. Już w „Tragedyi o zwierzchności“, ale bardziej jeszcze w „tragedyi o Mszej“ występuje ogromnie dokładne, wprost pedantyczne analizowanie postanowień i ich umotywowanie. Każda osoba przed czynnem wystąpieniem zastanawia się, rozważa motywy, obmyśla środki. Monolog szatana na początku aktu I, monolog Miłośnika na początku II są tego klasycznymi i — nużącymi przykładami. Chętnie posługuje się autor przy umotywowaniu ogólnemi zdaniami; niemal komiczny efekt wywołuje to w takich n. p. słowach Macieja w „Tragedyi o zwierzchności“, który prosi Lepida o oznajmienie powodu radości, bo serca szlachetne większą radość czują, gdy innym jej udzielają.

Ta analiza psychologiczna, choć pozbawiona wszelkiej subtelności, ale występująca w szerszym zakresie, niż w dawniejszych polskich utworach — to motywowanie skrupulatne, choć prozaiczne i pedantyczne, wyznacza obu „Tragedyom“ ważne stanowisko w historyi literatury.

Na treść myślową składa się namiętne oskarżenie katolicyzmu i jego obrzędów, połączone z rozwinięciem zasad protestanckich. Prowadzenie polemicznej dysputy w drugim akcie nie może równać się z żywością, jaką niekiedy — chociaż nie zawsze — ma dyalog „Tragedyi o zwierzchności“. W wyższym jeszcze stopniu, niż w piątej i ostatniej rozmowie poprzedniej tragedyi, utwór przechodzi w traktat teologiczny o przemowach nieskończenie długich. Pojęcie Mszy jako osoby nadało zarzutom często cechę konkretniejszą i bardziej osobistą i dało im niekiedy formę silnych i wyrazistych obrazów; dotyczy to szczególnie przepowiedni Praktykarza i wyroku Ducha Świętego. W traktatach polemicznych jednak, które wypełniają akt drugi, konkretne przed-

stawienie Mszy jako osoby oczywiście konsekwentnie zatrzymać się nie dało i autor zapomina czasem o „pani Mszy“, a myśli tylko o mszy prawdziwej.

Już Sobolewski w „Dzienniku wileńskim“ [1]), omawiając ustęp o Ochinie, zawarty w „Wiadomościach historyczno-krytycznych“ Ossolińskiego, trafnie wskazał pierwowzór „Tragedyi“; niezależnie od niego, jak się zdaje, uczynił to również Lelewel w „Bibliograficznych księgach“ [2]). Ale ani oni, ani żaden z późniejszych badaczy, zbywających zawsze „Tragedye“ Ochina krótką wzmianką, nie zajął się stosunkiem polskiego przekładu do oryginału.

Oryginał Ochina nosi tytuł: „Disputa di M. Bernardino Ochino intorno alla presenza del corpo di Gesu Christo nel sacramento della Cena. In Basilia MDLXI“ [3]). W r. 1561 ukazało się tłómaczenie łacińskie: „Bernardini Ochini Senensis liber de Corporis Christi praesentia in Coenae Sacramento. In quo acuta est tractatio de Missae origine atque erroribus“.

Traktat Ochina składa się z następujących rozpraw teologicznych:

1. D'una disputa fatta tra certi dotti del Papa e un Christiano incarcerato, circa l'essere, o non essere il corpo di Christo nel pane, e il suo sangue nel vino.

2. Della Genealogia degli errori Papistici... Sermone I (na górze tytuł stronic: Errori della Messa. Tych errori wymienia Ochin 93).

Sermone II: Idolatria della Messa.

Sermone III: Preparatione alla Cena.

Sermone IV: — z tym samym tytułem.

Sermone V: Rendimento delle gratie.

Sermone VI: Conciliatione dei Dispareri.

Sermone VII: Della Tragedia della Messa. Ed in prima come fu concetta, nacque e fu battezzata (tytuł stronic: Natività della Messa).

Sermone VIII: Come la Messa fu nutrita, e educata, crebbe e essendo ornata, e arricchita, pervenne a somma dignità e eccellenza (La vita e stato della Messa).

Sermone IX: Nel quale si tratta come la Messa fu accusata, le risposte da essa date, e il processo che contra di lei fu fatto (Il processo della Messa).

Sermone X: Della sentenza data da Dio contra la Messa (Condannagione della Messa).

Sermone XI: Nel quale si narra il lamento della Messa (Il lamento della Messa).

---

[1]) Dziennik wileński, 1821, II, s. 443.

[2]) Bibliogr. ksiąg dwoje, II, s. 428; por. artykuł Trębickiego w Bibl. Warsz. 1843, IV (o Teatrze starożytnym Wójcickiego).

[3]) Korzystałem z egzemplarza Biblioteki królewskiej w Berlinie.

Sermone XII: Nel qual si tratta, come potrebbe e doverebbe riformarsi la Messa (Riformatione della Messa).

Zasadnicza treść polskiej „tragedyi“ wzięta jest z sermone VII—IX i z początku sermone X.

O tem, jak bardzo różni się przekład polski od włoskiego tekstu, da nam pojęcie pewne samo zestawienie rozmiarów rozpraw poszczególnych z odnośnymi ustępami traktatu Ochina.

Pierwszy monolog szatana, liczący 237 wierszy, odpowiada 42 początkowym wierszom sermone VII; że zaś wiersz polski wynoszący przeciętnie 24 litery równa się niespełna $^4/_7$ włoskiego, wynoszącego liter 41, tekst więc polski liczy około 135 wierszy równych włoskim, jest tedy przeszło trzy razy obszerniejszy. W ten sam sposób obliczymy, że druga rozprawa rozmiarami przewyższa odnośny tekst włoski cztery razy, trzecia niemal trzy razy, czwarta dwa razy, piąta prawie siedm razy, szósta prawie trzy razy. Te rozprawy odpowiadają sermone VII i VIII. Rozprawa siódma, ósma i dziewiąta są dodane. Akt II odpowiada 454 wierszom włoskim (sermone IX i początek sermone X), liczy zaś stron 460 t. j. więcej stron, niż odnośny tekst włoski wierszy (jest prawie 14 razy obszerniejszy).

Przystępując do szczegółowego zestawienia, przedewszystkiem stwierdzić należy, że dopiero polski autor — może pod wpływem „Tragedyi o zwierzchności“ — nadał dziełu formę dramatyczną; u Ochina mamy opowiadanie ciągłe, wypełnione tylko przeważnie cytowanemi rozmowami i przemowami i tak ułożone, że rozdział na sceny dramatyczne nie przedstawia wielkiej trudności.

„Satan — zaczyna Ochino — vedendo che la Cena del' Signore... era una delle utili, sante, dolci, ricche, honeste e felici cose che havesse il figliuol di Dio lassate in terra, come quel che è a Dio contrario, determinò, non solo di torla via, ma e di introdur in luogo suo la più impia e pestifera cosa, che possa imaginarsi, e sotto pretesto di bene“.

To opowiadanie zmienia polski autor na monolog szatana, zachowuje przytem tok myśli i nawet sposób wyrażenia oryginału i daje tylko rozszerzenie czy to stylowe („Wieczerza Pańska jest między innymi rzeczami zacnymi, rozkosznymi, wdzięcznymi, pożytecznymi i potrzebnymi rzecz nazacniejsza i t. d.“) czy rzeczowe; szatan obszerniej motywuje plan swój, zaznacza, że nie może sam z siebie córki wydać ani z żoną jej mieć, lecz tylko w cudzołostwie.

Przedstawiwszy zamiar szatana, pisze Ochino: „E cosi risoluto, instillò questo suo seme e concetto, nella mente di Antichristo“, i mówi o obietnicach danych Kościołowi rzymskiemu. Ten ustęp włączony jest do monologu w formie snucia planu, przyczem odmiennie od tekstu włoskiego, a zgodniej z treścią

i zmysłowem przedstawieniem postanawia szatan „wpuścić.. to wymyślenie swoje... w wolę a w serce Matki świętej Kościoła rzymskiego“.

Monolog Matki-Kościoła jest parafrazą Ochinowego opisu jej brzemienności. Koniec monologu, w którym postanawia uwiadomić papieża, słowa papieża, stwierdzającego jej frasunek, odpowiedź Matki („W tej waszej niebytności a w tym swym długim oczekiwaniu, gdy was nie widzę, tedy mi się jedna godzina tak zda, jakoby rokiem była“), jej wyznanie, że ma oznajmić „rzecz pilną“, dodane.

Następuje parafraza oryginału, stylowo nieco różna od tekstu łacińskiego n. p.

Questa si gran pazzia non ci farai già fare	To tu z płochej głowy wichrowata rada.

Własnością tłómacza jest pomysł, by dziecko podać za córkę Jakóba św. i życzenie papieża, by się syn urodził. U Ochina papież nic nie mówi o ukryciu córki, o zatajeniu jej pochodzenia, tylko zapewnia Matkę — mówiącą „con dolersi molto“ — że ma władzę, „di legittimar figliuoli, nobilitargli e preporgli a tutti gli astri“. Przepowiednia astrologa, sparafrazowana w trzeciej rozprawie, wzbogacona jest wzmianką o „rozmiataniu“ chleba ludzi ubogich i daje w obrazach swych więcej szczegółów:

Lasso star di parlar de suoi odori, canti suoni e musiche.	(Będzie miała) „śpiewaków, trębaczów, organistów, lutnistów, piszczków, wonności, kadzenia, perfumy, balsamy“.

To, co praktykarz mówi o ssaniu krwi ludzkiej, wzięte jest z sermone IX, tam to powiada Bóg do Missy: „E di più intendo, che sei una gran Strega imperoche succhi il sangue, cio è la robbia, non solamente a fanciulli, ma a giovani, vecchi, ricchi, poveri, e a tutti; e si destramente, che non se ne accorgano“.

Oryginalny jest początek rozmowy, w którym papież mówi, że raczej syna by sobie życzył, Praktykarz zaś tłómaczy, że syn zaćmiłby jego chwałę i mówi o piękności jego córki. Oryginalne jest również zakończenie sceny. (Papież oświadcza w zakończeniu tem Praktykarzowi: „Dość my na tym mieć będziemy, gdy córka nasza szczęśliwie panować będzie przez tak długi czas. A my też za tym przy niej mocnie się zastawować będziemy, z pilnością sprawując urząd papiestwa naszego, broniąc go też jako nalepiej umieć będziemy a jako namężniej będziem mogli“. Praktykarz chwali go za to; lepiej czyni papież, zdaniem jego, niż Marya Magdalena, „gdy Chrystusa słuchać wolała, opuściwszy wszystko staranie około rzeczy doczesnych... A tak ja już z tym na ten

czas od was odejdę“, — powiada — „a wszakoż od waszej świętości żądam błogosławieństwa“. Papież: „A my tobie tylekroć błogosławimy, ile jest krop wód morskich“).

Najmniej — bo „tylko“ w dwójnasób — rozszerzony jest drugi monolog szatana, który i we włoskim tekscie występuje jako monolog przytoczony (Hor Satan pensando che il Papa la farebbe battezzare, e che lui farebbe il compare, e la Prudenza humana la comare, andò considerando che nome gli doveva imporre. E disse infra se stesso“ etc.).

Polski autor dodał przedewszystkiem umotywowanie. Szatan stwierdziwszy, że, „kto zakłada grunt dobry, większą połowicę zbudował“, zaznacza, że już to uczynił i mówi o tem, jak ważne jest nadanie imienia; dowodem tego, że sam Bóg w starym Zakonie nadawał ludziom imiona. Po wyliczeniu imion możliwych i uzasadnieniu imienia „Missa“, zupełnie zgodnem z włoskim tekstem dodaje szatan komiczne nieco wyjaśnienie wyrazu polskiego „msza“.

Dotąd tłómacz polski rozszerzał oryginał, wzbogacał go dodatkami, ale nie zmieniał toku akcyi. Tego rodzaju zmianę widzimy w rozprawie piątej. Według tekstu włoskiego Chiesa Romana początkowo nie chce na chrzest zezwolić, ale się w końcu zgadza. „Et non havrebbe mai consentito, se il Papa non gl'havesse detto, che il suo compare gli farebbe un ricco presente e di più promesso di farla battezzare con l'ogli [1]) da lui consecrati“.

W polskim przekładzie papież wobec oporu Matki Kościoła odstępuje od żądania chrztu. W szczegółach rozmowy tak mało trzyma się autor tekstu Ochina, że wśród 125 wierszy parafrazą jest tylko 17.

Izaż to wam z pamięci wyszło, żem ja jest święta Matka Kościoła Rzymskiego? Izażeście wy nie jest ojcem naświętszym?

Krzeście wy tam jako chcecie dzieci matki Ewy a Adamowe, które się rodzą w grzechu a wedle ciała, abowiem takowe narody krztu potrzebują. Ale naszym dziatkam nigdy tego nie trzeba. A tak ja na to nie przyzwalam ani nie przyzwolę, aby córka moja a zwłaszcza takowa, miała być krzczona. Wszak nie jest Turczynka ani Tatarka ani żadna poganką.

I figliuoli e le figliuole di Adamo e Eva che nascan con peccato, debban battezzarsi, ma la nostra figliuola nata della vostra santissima santità e della santa Chiesa Romana, non debbe battezzarsi, come s'ella fusse una Turca, una Giudea, o una Pagana.

[1]) Jest to więc właściwie chrzest nieważny.

Na opowiadaniu o rozmowie papieża z Kościołem w sprawie chrztu kończy się sermone VII, który zamyka Ochin następującą konkluzyą: „Hor dall' origine che ha havuta la Messa, può facilmente ogn' un vedere, quanto sia impia: e quanto noi altri, a quali Dio ha dato lume della sua impietà, siamo obligati a rendere gratie a Dio, al qual si sempre ogni laude, honore e gloria per Gesu Christo Signor nostro. Amen".

Sermone VIII zaczyna się od przedstawienia pierwotnej Wieczerzy Pańskiej z czasów apostolskich. Po tym wstępie wraca Ochin do dawnego opowiadania: Po narodzeniu została „Missa" oddana „alla cura di quella Prudenza", ta ma ją ozdobić, „di tali e tanti cerimonie, le quali havesseno apparenza, e estrinseco splendore di santità, che ne gl' occhi del mondo offuscasse la vera santità della Cena del Signore, per poter torla via, e in luogo suo metteà la Messa".

Następuje przytoczenie nauk, jakie daje Prudenza.

Polska rozprawa piąta zaczyna się słowami Mądrości ludzkiej, która przedewszystkiem zapewnia Mszę o swej miłości, następnie parafrazuje przytoczony ustęp Ochina. Rady Mądrości zgadzają się z tokiem myśli oryginału, z tą tylko różnicą, że wpleciony jest do nich cały ustęp tego rozdziału u Ochina, traktujący o pierwotnej Wieczerzy Pańskiej i wycieczka przeciw księżom.

Rozmowę ożywia tłómacz, wkładając w usta Mszy uwagi, których niema we włoskim tekscie. Zaraz z początku dodaje słowa Mszy, że będzie wdzięczna i posłuszna; potem każe jej występować przeciw rzadkiemu przyjmowaniu Sakramentu przez laików: „Mnie się to za rzecz słuszną nie zda, przeczby to być miało, gdyż takowe społeczne używanie Sakramentu jest ludziom barzo potrzebne i pożyteczne". Gdy Mądrość mówi o szatach kościelnych, Msza wyraża swe niezadowolenie. Ażeby przemowy Prudenzy zmienić na dyalog, wkłada autor niekiedy w usta Mszy zdania, które wypowiada Prudenza n. p.:

Msza: Toby mi się też za rzecz zdało, iżbyście tym prostakom rozkazali, aby każdy z tych świeckich laików, gdy będzie miał przystępować, gębę srebrem podfutrował i t. d.	Et havrei ordinato, che ciascun secolare, quando si communica, havesse havuto un paio di mascelle d' argento in bocca, acciò non havesse a toccare l'hostia, o il vino; ma veddi che in ogni modo bisogna che lo toccasseno con lo stomacho.

Taksamo zarzut co do pomaszczania opłatków woskiem albo łojem, wymieniony przez Prudenzę, w polskiem tekscie Msza wygłasza.

Rozszerzenie tekstu łączy się z ożywieniem dyalogu; we włoskim traktacie Prudenza mówi o chlebie przaśnym. Messa raz

tylko odpowiada, w polskiej „tragedyi“ mówi Mądrość, Msza, Mądrość, Msza, Mądrość, Msza, Mądrość; podobnie o mieszaniu wina z wodą Prudenza wygłasza swe zdanie, Msza odpowiada, w polskim tekscie mówi Mądrość, Msza, Mądrość, Msza, Mądrość, Msza, Mądrość, Msza, Mądrość.

Dodatkiem tłómacza jest też zakończenie sceny, w którem Msza chwali rozum i dowcip Mądrości, cieszy się z jej projektów i przyrzeka posłuszeństwo.

O monologu Wieczerzy, jej rozmowie ze Mszą, monologu Papieża i Mszy u Ochina niema wzmianki; są to sceny zupełnie niezależne od pierwowzoru; być może, że podnietę do napisania monologu Wieczerzy dał „il lamento della Messa“ nie treścią swą wprawdzie, lecz samym tytułem.

Sermone X zaczyna się od słów następujących: „Il Zelo del divino honore, non potendo più tolerare la impietà della Messa, accusando la al tribunal di Dio, esplicò tutte le sue ribalderie. E Dio volendo far giustitia la citò“. Tych kilka wierszy przerobił autor polski na monolog Miłośnika i jego rozmowę z Duchem Świętym, zaczynające akt II, a liczące razem 248 wierszy. Przemowa, jaką Duch Święty do stron wygłasza, jest po części zgodna z włoską przemową Boga do Mszy (we włoskim tekscie jest tylko Dio, nie Spirito Santo), po części zaś rozszerzona jest i — po części zepsuta.

Duch Święty przemawia w sposób nie bardzo zgodny z powagą Bożą: „Pani miła, nie wiem-ci, jako was zową, a wszakoż jednak słyszałem, iż was jakąś Mszą nazywają. Pan Miłośnik chwały Bożej był tu u mnie wczoraj i t. d.“ Messa, słysząc oskarżenie, oburza się, polska Msza natomiast się śmieje. Słowa jej jednak i odpowiedź Ducha Świętego są parafrazą oryginału. Dodane jest przemówienie, którem Duch Święty zagaja przesłuchanie.

W całym akcie II autor polski daleko ściślej zachowuje formę procesu, niż sam Ochino. To też nie wydaje mu się to ze stanowiska prawnego odpowiedniem, ażeby sędzia, Duch Święty był sam oskarżycielem, jak to jest w oryginale. Chodziło dalej autorowi o ożywienie dyalogu, chodziło bardziej jeszcze o przeprowadzenie obszernej polemiki; kazać zaś Duchowi Świętemu polemizować ze Mszą czy z innym przeciwnikiem nie byłoby chyba czemś stosownem. Te względy skłoniły zapewne autora do włożenia w usta Miłośnika zarzutów, jakie u Ochina sam Bóg wygłasza, gdy przeciwnie „Zelo del divino honore“ po owej króciutkiej wzmiance więcej się nie pojawia. Zawarte w pierwszej rozprawie zarzuty Miłośnika i obrona Mszy odpowiadają tokowi myśli w tekscie włoskim; dodany jest tylko ustęp o kazaniach i przemowa o potrzebie czytania Ewangelii głośno i w całości, kwestyę cichego wymawiania słów, którą porusza Miłośnik, znajdujemy u Ochina w sermone VIII. Oryginalnym dodatkiem jest spór

końcowy między Mszą a Miłośnikiem i propozycya tego ostatniego, by Msza wzięła sobie prokuratora.

Ani o kilkakrotnem odkładaniu sesyi na dzień następny an o „prokuratorze“ Mszy Ochin nie wspomina. Wprowadzenie Zabobonu a temsamem cały układ dramatyczny rozprawy drugiej dzielącej się na kilka sesyi, jest więc własnością polskiego autora W tej drugiej rozprawie zachowuje autor wielką niezależność od oryginału, chociaż rozwija kolejno wszystkie zarzuty, zawarte w słowach Boga w sermone IX i niekiedy nawet bardzo ściśle trzyma się oryginału, n. p. w słowach o Mszach różnych.

Ktoby najął mszę Grzegorzowi, przez to dusze z czyśca wywodzi, Rochowa od powietrza zachowuje, Marcinowa i Walantowa*) od dziwnych a rozlicznych niemocy, Zygmuntowa od febry, Antoniego opata strzeże świni od zdychania, Maryej Magdaleny msza zgubę znajduje*), Apoloniej zęby leczy, Ducha św. msza daje dobrego i gładkiego męża.

Hor non è stata una somma impietà la tua, a dare ad intendere al mondo, che quando sia Messa di San Gregorio, liberi le anime del Purgatorio? Di San Rocco, liberi dalla peste? di Santo Antonio del bosco, preservi e moltiplichi le bestie? di San Gismondo, sani dalla febbre? di Santo Antonio di Padova, fai ritrovar le cose perse? di Santa Pollonia, giovi al dolor de denti? di Santa Lucia, al mal degl' occhi? dello Spirito Santo, a trovare un bel marito, o una bella moglie?

Sermone IX nie jest jednak wcale jedynem źródłem tej „rozprawy“. Autor czerpie z innych rozdziałów Ochinowego dzieła. Tak n. p. to, co Miłośnik mówi o przenośniach w Piśmie św. i o przenośnem tłomaczeniu słów Chrystusa: „To jest Ciało Moje — To jest Krew Moja“ — wzięte jest z pierwszej „Disputy“; tam mianowicie mówi: „un Christiano incarcerato“ : „Io so che Christo disse mostrando il pane: Questo è il corpo mio, ma dovete sapere, che noi siamo soliti a parlare qualche volta figurativamente, si come se dondoti la mano dicessi; Ti do la fede mia, cio è la mano in segno di fede. Et nessuna lingua usa tanto simili modi di parlare, sicome la Hebrea, nella quale parlò Christo“.

Wyrok, wydany przez Ducha Św., jest parafrazą początku sermone X. Przemowa Wieczerzy Pańskiej jest dodatkiem oryginalnym; przez to, że zawiera przygotowanie do Komunii, zbliża się nieco do sermone IV, traktującego o tym przedmiocie.

---

*) Zaznaczone gwiazdkami różnice rzucają światło na specyalnie polskie — może nawet prowincyonalne — zwyczaje; ciekawe jest szczególnie, że patron zguby, św. Antoni, zastępczynię znajduje w Maryi Magdalenie.

Autor polski nie tylko dał „tragedyi“ formę dramatyczną, ale wprowadził w nią nowe dramatyczne motywy, postaciom nadał rysy wyrazistsze, dyalog w akcie I i w pierwszej rozprawie aktu II nieco ożywił.

Muzą jego była nienawiść. Nienawiść do katolicyzmu kazała mu nie tylko przełożyć jedno z najbardziej nienawistnych Kościołowi dzieł, ale — w przeciwieństwie do Reja, który złagodził ton Naogeorga — jeszcze bardziej zaostrzyć ton dzieła, jeszcze bezwzględniejszym i jaskrawszym uczynić akt oskarżenia. Dlatego to Mszy chrzcić nie pozwala, by ją tem więcej zohydzić, każe jej lżyć Wieczerzę i jej uwięzienie spowodować, każe jej śmiać się ze słów Ducha Świętego, za obrońcę daje jej Zabobon. By z góry już wyśmiać katolickie zasady, wkłada je w usta Zabobonu. Chcąc tem skuteczniej zwalczyć przepisy katolickie, samej Mszy każe być niektórym przepisom przeciwną (w rozmowie z Mądrością). Do zarzutów Ochina dodaje nowe jeszcze ostre wycieczki. Stara się działać efektownymi obrazami. Jednem słowem — autor polski jest *plus anticatholique qu' Ochino*.

Obrazów i pojęć chwyta się z taką zawziętością, z takim naciskiem chce je wrazić w myśl czytelnika, że niezadowolony jednem określeniem szereg synonimów gromadzi (congeries) lub dla jednego pojęcia zbiera szereg wyrazów, określających różne jego cechy. To gromadzenie wyrazów pokrewnych lub spełniających tę samą rolę syntaktyczną, jest cechą stylu „tragedyi“; występuje ono i u Ochina, występuje w polskiej „Tragedyi o zwierzchności“, ale nie w tak wysokim stopniu.

Przytaczam przykład dla wykazania, jak autor polski potęguje tę cechę Ochinowego stylu:

Wieczerza Pańska jest miedzy innemi rzeczami zacnymi, rozkosznymi, pożytecznymi i potrzebnymi rzecz nazacniejsza, napotrzebniejsza... i napożyteczniejsza. (Chce ją więc szatan:) zniszczyć, ukraść, zepsować a z gruntu wywrócić i na jej miejsce coś podobnego wstawić, wymyślić a podrzucić.	Satan vedendo che la Cena del Signore... era una delle utili, sante, dolci, ricche, honeste, e felici cose, determinò, non solo di torla via, ma e di introdur in luogo, suo la più impia e pestifera cosa.

Wogóle stara się autor polski o pełność i dokładność wyrażenia i o dokładniejsze jeszcze, niż u Ochina, motywowanie. Obrazom daje większą wyrazistość i większe bogactwo szczegółów

(n. p. w przepowiedni praktykarza[1]). Ale dał też często „rozprawom“ rozwlekłość, jakiej nie znajdujemy u Ochina. Jednego dać dziełu nie zdołał — tego, czem Rej pociąga i ujmuje — kolorytu polskiego. Mimo doskonałej polszczyzny, mimo samodzielności autora „tragedya“ jest dziełem obcem, nie polskiem[2]).

Berlin.

---

[1]) Wyzyskuje też grę słów: opłatki — plotki, odpusty — rozpusty; tę ostatnią grę słów znajdujemy też w „Koment. do proroctwa Hozeasza“.

[2]) Unikat „Tragedyi o zwierzchności“ znajduje się w Bibliotece hr. Krasińskich, unikat „Tragedyi o mszej“ w Bibliotece XX Czartoryskich. Oryginał włoski Ochina miałem z Biblioteki Królewskiej w Berlinie.

MARYA DYNOWSKA.

HIERONIM MORSZTYN I JEGO RĘKOPIŚMIENNA SPUŚCIZNA.

W 1859 roku umieścił Karol Mecherzyński w „Bibliotece warszawskiej“ rozprawkę o spuściźnie rękopiśmiennej Hieronima Morsztyna, opierając się na odnalezionym Sumaryuszu wierszy tegoż poety. Potwierdzenie nazwiska autora znalazł w tytule Sumaryusza[1]) oraz w grupie wierszy do Jana Gostomskiego[2]). Że zaś tym Morsztynem, który do wojewodzica poznańskiego przemawia, jest Hieronim, najstarszy z poetyckiej czwórki, to wywnioskował Mecherzyński z wiersza: Do drużby[3]) oraz z trzech powieści, drukowanych w 1655 r. pod ogólnym tytułem Philomachia, a powtarzających się w Sumaryuszu.

Rękopis, dziś własność hr. Michałowskich, znajdował się wtedy w rękach hr. Morsztynów.

Obok pobieżnego dość sprawozdania z treści Sumaryusza, podał Mecherzyński garść szczegółów z biografii poety. Uczynił go, zgodnie z Niesieckim, stolnikiem bielskim, wychowańcem szkół jezuickich, żyjącym na schyłku XVI i w początkach XVII wieku.

Po Mecherzyńskim[4]), oprócz krótkich wzmianek w pracach Chmielowskiego, Brücknera, Porębowicza, było głucho o Hieronimie Morsztynie. Tylko w r. 1885 Rzepecki w rozprawie o poezyach Zbigniewa Morsztyna[5]) wspomniał za Nehringiem o rękopisie ułamkowym w Bibliotece Petersburskiej, obejmującym parę po-

[1]) Summarius wierszów Morsztyna, niegdy poety polskiego przepisany.

[2]) Por. Zestawienie treści Sumaryusza (=*S*) nr. 185—190.

[3]) Por. *S* nr. 115: „Nie smuć się, Hieronimie, drużbo mój cnotliwy“.

[4]) Przed Mecherzyńskim wspomina o H. Morsztynie Juszyński w Dykcyonarzu czyniąc go kanonikiem poznańskim, Bentkowski w Historyi literatury polskiej (T. I, s. 455), podając krótką wzmiankę o Philomachii. Wreszcie dłuższą notatkę o Światowej rozkoszy i o wierszach ulotnych, które znał w rękopisie, daje Wiszniewski w Historyi literatury, t. VII, s. 133.

[5]) Biblioteka warszawska. 1885, T. I i II.

wieści, fraszek oraz utwór p. t. Poenitentia pióra „X-dza Jarosza Morsztyna“. Rzepecki czyni poetę kanonikiem krakowskim, synem Floryana, kasztelana rawskiego, żyjącym około 1600 roku[1])

Zostawiając na zakończenie niniejszej pracy rozpatrzenie owych twierdzeń, powracam do Sumaryusza.

Szukano rękopisu, według wskazówki Mecherzyńskiego u hr. Morsztynów, chociaż on niebawem powrócił do rodziny hr. Michałowskich. W r. 1908 udało mi się wpaść na trop właściwy. Dzięki uprzejmości Władysława i Józefa hr. Michałowskich, którym tu podziękowanie moje najserdeczniejsze wyrażam, mogłam zapoznać się dokładnie z Sumaryuszem.

Stanowi on część składową zbiorów rękopismiennych Jakuba Michałowskiego, kasztelana bieckiego [2]), którego bibliotekę upamiętnił Kochowski[3]). Zbiory te, w postaci siedmiu obszernych sylw, pochodzą z XVII-go wieku. Przeglądał je prof. Czermak i wiadomość o nich umieścił w Kwartalniku historycznym[4]). Otóż w księdze siódmej, a zatem ostatniej z porządku, na kartach 219—327 znajduje się Sumaryusz. Zajmuje on więc 116 stron rozmiaru folio. Pisany jest pismem jednolitem, dość wyraźnem, bez żadnych wykreśleń. Oczywiście ze względu na czas, w którym powstał, oryginałem być nie może[5]). Jest zatem kopią z tekstu wcześniejszego, przepisanego mechanicznie trochę przez niezbyt inteligentnego kopistę, na czem jasność i logika treści w wielu miejscach ucierpiały.

Zanim przystąpię do ściślejszego przeglądu Sumaryusza, wypadnie mi odpowiedzieć na zapytanie, czy treść jego całkowicie i jednolicie wyszła z pod pióra Hieronima Morsztyna.

---

[1]) Dokładny spis bibliograficzny rozpraw, H. Morsztynem się zajmujących znajdzie czytelnik w Bibliografii Estreichera (T. XXII, M).

[2]) Około 1660 r.

[3]) Patrz Liryki polskie ks. I, lir. XXXVI. Biblioteka W. J. M. P. Jakuba na Michałowie Michałowskiego:

Kto chciw złota, złoto zbiera,
Kto sławy, z ordą się ściera i. t. d.

Twe myślistwo jest w tej chlubie,
Michałowski cny Jakubie,
Nad królewskie że je kładę,
Piękną mądrych ksiąg gromadę... i t. d.

[4]) R. XI. Lwów, 1897. Według prof. Czermaka, który kodeksy ponumerował, pierwsze cztery sylwy zawierają ciekawy materyał historyczny (dyaryusze wypraw: beresteckiej, zborowskiej i t. d.) księgi zaś piąta, szósta i siódma składają się z mniej ważnych formularzy, wypisów z książek i t. d. O Sumaryuszu nie podaje sprawozdawca żadnej wzmianki.

[5]) O tem zresztą świadczy tytuł *S*; por. przyp. pierwszy na str. 419.

Otóż dotąd nie znalazłam żadnego dowodu, by H. Morsztyna odsądzić od autorstwa nie tylko całego zbioru w ogólności, ale tych nawet poszczególnych utworów, które po dziś dzień wobec niedostępności Sumaryusza, komu innemu przypisywano[1]).

---

[1]) Według Maciejowskiego (Piśmiennictwo polskie, Dodatk s. 178) autorem wierszy p. t. Fortunne lata i Conditia szlachecka (S nr. 12 i 42) jest Andrzej Zbylitowski. Twierdzenie swe opiera Maciejowski na notatce, znalezionej w rękopisie kórnickim, zawierającym oba powyższe wiersze.

Prof. Brückner przypisuje „Conditią" Szlichtyngowi, za powagą Trembeckiego w Wirydarzu. „Conditią" wraz z „Wilaneskami", przypisywanemi przez Wirydarz Szlichtyngowi odnajdujemy również w rękopisie hr. Skórzewskiego, pochodzącym z 1613 r. (por. T. v. Jaworski, Jan Smolik. Gnesen, 1903). Rękopis ten obok utworów oryginalnych i przekładów Jana Smolika zawiera: „Fraszkorytmy albo zabawy pokojowe z ksiąg pewnego autora wyjęte na ucieszną krotochwilę ludziom osobliwie kwitnącego wieku dworskim w Krakowie pisane są w roku 1613 dni miesiąca lipca".

Otóż zestawiając Fraszkorytmy te, których spis podał dr. Jaworski, z Sumaryuszem, dostrzedz łatwo, iż z wyjątkiem kilku małoznacznych drobiazgów, dadzą się one wszystkie odnaleźć w Sumaryuszu, co upoważnia mnie do twierdzenia, iż autor, z ksiąg którego zostały wyjęte, jest Hieronimem Morsztynem. Conditia i obie Wilaneski, objęte Sumaryuszem są i w Fraszkorytmach pod nr. 6, 15, 16.

Wiersz, zaczynający się od słów: „O co żeś się, pani matko, na mnie zagniewała" (por. Brückner, Dzieje literatury, I, s. 352) wypadnie nam również odwojować Szlichtyngowi, na rzecz Hieronima Morsztyna. Znajdujemy go i w Sumaryuszu (nr. 287) i we Fraszkorytmach (nr. 11). Prof. Tadeusz Grabowski przypisuje Szlichtyngowi wiersze znajdujące się w Sumaryuszu pod nr. 290 i 225; alcż tenże podaje, jako utwór oryginalny, wiersz zaczynający się od słów: „Z wdzięcznego oka równy słońcu bije itd."..., który jest przekładem z Petroniusza, o czem nas poucza Sumaryusz i Iocoseria Nowakowskiego na s. 165 (Por. dr. T. Grabowski, Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce. Kraków, 1906).

Z tego, co powyżej zaznaczyłam, wynika, samo przez się, że wiersze przypisywane przez Wirydarz Naborowskiemu, a które znalazłam i w Sumaryuszu i we Fraszkorytmach, uważam za utwory H. Morsztyna. Toż samo twierdzę o innych drobiazgach znalezionych w Sumaryuszu, w Wirydarzu zaś bezimiennie pomieszczonych wśród wierszy „zbieranej drużyny".

Pozostaje mi jeszcze do rozstrzygnięcia autorstwo Hejnału, oraz pieśni na Dobrą noc. Zaznaczyć przytem muszę, iż ów Hej-

Znak zapytania stawiam tylko przy wierszu Myśliwy do myśliwego, Niemsta do Kochanowskiego, oraz przy odpowiedzi nań zatytułowanej błędnie: Tenże do tegoż o tymże, która właściwie brzmieć powinna „Tamten do tegoż o tymże“. W pierwszym z tych utworów jakiś Niemsta wzywa towarzysza na łowy[1]):

Nim pióro twoje ustanie,
Daj znać, Kochanowski Janie,
Że nam trąba brzmi wsiadany —
bo:
Jeśli to miło tobie,
Toż wiedz o mojej osobie,
W tym się z tobą zgadzać duchu,
Że ogar w myśliwskim uchu
Wdzięczniej krzyczy po gęstwinie,
Niźli czyżyk na jedlinie —

---

nał, który czytelnik znajdzie przytoczony poniżej, pojawia się w rękopisach w dwóch odmiennych, ale bardzo sobie pokrewnych waryantach. Jeden znajdujemy w Sumaryuszu (nr. 293) oraz w rkp. Akademii Umiejętności nr. 1274, drugi we Fraszkorytmach, w rkp. Akademii Umiejętności nr. 1273 i w rkp. Biblioteki Jagiellońskiej nr. 116.

Otóż i Hejnał i pieśń na Dobrą noc znajdujemy we Fraszkorytmach; samą zaś pieśń wieczorną w grupie dziesięciu pieśni Jana Smolika. Dr. Jaworski, opierając się na pokrewieństwie formy i treści, jaka oba te liryki łączy, twierdzi słusznie, iż wyszły one z pod jednego pióra i autorstwo ich Janowi Smolikowi przyznaje. Ja uważam je za utwory Hieronima Morsztyna; odnajduję bowiem oba te wiersze w Sumaryuszu, gdzie je jeszcze uzupełnia pod względem formy i treści pieśń: Na toż (*S* nr. 294 — dopełnienie Hejnału) i pieśń na Dobry dzień (*S* nr. 299 — dopełnienie Dobrej nocy). Przytem autentyczność owych dziesięciu pieśni Smolika, na które powołuje się dr. Jaworski wydaje mi się podejrzaną, skoro nr. siódmy tej grupy znany jest, jako pieśń Sępa Szarzyńskiego (Poezye M. Sępa Szarzyńskiego. Kraków, 1903, s. 5) i tylko z zastrzeżeniem Smolikowi przypisać go można, nr. zaś dziesiąty jest pieśnią Jana Kochanowskiego.

O autorstwo fraszek: Sumaryusz nr. 97 i 210, Fraszkorytmy nr. 49, Fraszki Jana Smolika nr. 23 i 37 spierać się nie będę, choćby dla małej ich wartości poetyckiej. Na zakończenie zaznaczam, iż dwa drobne utwory Sumaryusza, a mianowicie nr. 45. Dyana Akteona w jelenia.. oraz nr. 68 Trzewiczkiem stopa, pończoszką kolana zabłąkały się do utworów Andrzeja Morsztyna (por. A. Morsztyn, Poezye. Warszawa, 1883).

[1]) *S* nr. 14.

a zatem

Za twą trąbą, za psy twymi
Wyjeżdżam z wyżły moimi,
Z tobą jadę, twojej rady
Będę słuchał pod zakłady.

Zaproszony tak odpowiada :[1])

Pióro mnie twoje, mój drużba cnotliwy,
Wywabia w pole; bardzobym chętliwy
Rad towarzystwa pomógłci w tej mierze;
Leczem do czasu uczynił przymierze
Z tym płochym zwierzem, bowiem nie mam czasu,
Bym go miał kiedy i popędzić z lasu.
Pańskie usługi chęć myśliwą moją
Tak popętały, że i drogę twoją
Naganić muszę; bo te twe uciechy
Mogą mieć więcej smutku niż pociechy,
Ani ten kusy nie nagrodzi tego,
Co stracić możesz. Dosyć na mądrego.
Jam twój a pióro me, tobie życzliwe,
Co każe honor, to pisze chętliwe :
Myśli chcąc w łowy, ale rozum cały
Każe, aby dziś tego zaniechały.
Niechaj mi to twej niełaski nie niesie,
Jam twój i w domu, i w polu, i w lesie.

Wobec wierszy powyżej przytoczonych możliwem jest dwojakie przypuszczenie. Mógł je Morsztyn sam napisać, stawiając się kolejno w położeniu Niemsty[2]) i Kochanowskiego, albo też włączył je do własnych, jako utwory przyjaciół.

Ciekawą rzeczą jest kim był ów, tak rozsądnie odpowiadający, Jan Kochanowski[3]), imiennik i potrochu kolega po piórze poety czarnoleskiego. Z treści obu wierszy wnioskować można, że wraz ze swym „drużbą“ pełnił służbę dworską.

Układ Sumaryusza jest zupełnie dowolny i przypadkowy, przystępując więc do charakterystyki Hieronima Morsztyna, zmu-

---

[1]) *S* nr. 15.

[2]) Wnioskując z wyrazu „drużba“, sądzę, że chodzi o Jana Niemstę. Niesiecki wspomina o dworzaninie tego imienia i nazwiska, który za zasługi dostał od króla Zygmunta III wieś Radzików pod Warszawą.

[3]) Może jest on identyczny z owym Janem Kochanowskim, poetą sylw szlacheckich, żyjącym w XVII wieku, o którym wspomina prof. Brückner w Encyklopedyi powszechnej, t. 37.

szona jestem do rozklasyfikowania materyału na poszczególne grupy.

A) Pieśni erotyczne.

Miłość, a może raczej miłostki sporo czasu zajmowały Hieronimowi.

Nie dbam o gmach marmurowy, [1])
Ani o złotogłowiowy
Ubiór, ani o wysokie
Trony i państwa szerokie;
O skarby wielkie nie stoję,
Przemysłów żadnych nie roję;
Puszczam swój cug łakomemu
I na wielki zbiór chciwemu.
Jabym dosyć miał i na tym,
Kiedybym był tak bogatym,
Bym się ni ocz nie frasował
A coraz inną miłował —

wyznaje szczerze poeta. Więc też po kartach Sumaryusza snuje się nieustannie nić serdecznych wynurzeń i skarg na bezimienne i imienne bogdanki. Wśród ostatnich imię Zosi i Anusi najczęściej powraca. Niepodobna rozstrzygnąć stanowczo, czy odnosi się ono za każdym razem do jednej i tej samej osoby; zresztą rozwiązywanie tej kwestyi byłoby trudem dość jałowym: żadna bowiem z bohaterek erotyki Morsztynowej szczególnego w nas zainteresowania nie budzi, żadna nie zdołała wydobyć głębszego tonu z jego lutni. Jeśli poeta płacze, goreje i na ból srogi narzeka, wygląda to zawsze raczej na koncept literacki, niż na cierpienie rzeczywiste. Miłość była mu igraszką zmysłów, często przechodziła w swawolę; namiętnością nie stała się nigdy.

Trojaki typ literacki przedstawia poezya miłosna Morsztyna. Odnajdujemy u niego pieśni proste, bezpretensyonalne zupełnie, prawie że o ton ludowy potrącające, dalej liryki, w dekoracyę humanistyczną strojne, wreszcie erotyki, wykazujące bardzo już wyraźny wpływ włoskiego *seicenta*.

Do najcharakterystyczniejszych utworów pierwszej kategoryi należą dwie pieśni: piąta i dziesiąta, z Pieśni rozmaitych[2]). Piątej nie przytaczam, gdyż znajdzie ją czytelnik w Wirydarzu I, 170 i w Kiermaszu (przedrukowanym przez prof. Wierzbowskiego).

---

[1]) *S* nr. 154.
[2]) *S* nr. 283 i 292.

Pieśń dziesiąta.

Mł. Już dobranoc, Anusieńku, o łaskę nie stoję.
Dz. Bóg cie, Jarosieńku,[1]) was i duszę moję.
Mł. Nie umiałaś przyjaciela, miawszy go, szanować.
Dz. Na sumienie, żem cię bardziej nie mogła miłować.
Mł. Doznałem ja obłudy nieraz w tej miłości.
Dz. Ach niestety, potwarz cierpię w swojej niewinności.
Mł. Nieraz mi się twarz dla ciebie łzami oblewała.
Dz. A cóżem ci ja nieszczęsna takiego działała?

Po wymówkach ze strony kochanka, następuje groźba od jazdu. Sprzeczka jednak nie bez nadziei zgody się kończy.

Mł. Gdzie się żywnie obrócę, będę ja miał inną.
Dz. Skarz mię, Boże, jeślim tobie tego przyczyną.
Mł. Jeśli mi będziesz rada, wrócę do ciebie.
Dz. Ujrzę ja; gdy przyjedziesz, dam ci sama siebie.
Mł. Poprawże się a wyzieraj; bądź dobrej nadzieje
A czekaj, że się na cię Fortuna rozśmieje.
Dz. Kwap się do mnie, serce moje, jam już wiecznie twoja,
Tyś jedyna na tym świecie sam pociecha moja.

Wyższy już znacznie stopień kunsztu przedstawiają pieśni; poranna i wieczorna, które podaję w całości.

Dobry dzień.[2])

Już dzień nadchodzi w promiennym zawoju,
Wychodzi zorza z morskiego pokoju,
Blask bije w okna twoje:
Dobry dzień, serce moje!

Uchyl zasłony, odkryj okiennice,
Otrzyj twe ze snu czarnobrwie źrenice,
Pojrzyj na me wzdychanie,
Dobry dzień, me kochanie!

A jeśliś w nocy wesołe sny miała,
Dajżeś na jawie wesołe dni miała;
Wszystkie pociechy moje
Patrzyć na zdrowie twoje.

Bogdajże tobie lat pogodnych siła
Rumiana zorza z mej strony zdarzyła;
Mnie dość Fortuna dała,
Żeś smaczno noc przespała.

---

[1]) Mamy tu wyraźnie wymienione imię poety, Jarosz=Hieronim.
[2]) *S* nr. 299.

Wdzięcznaśli tego, Bóg ci zapłać, ale
Jeśliś niewdzięczna, szczęścia mego wcale
Nie będziesz w długu miała;
Czyń z tem, co będziesz chciała.

Ale ja ufam twej stateczności,
Że nie wyrzucisz za płot mej miłości:
Pociesz me ranne wstanie,
Czyń co chcesz, me kochanie!

Dobra noc[1]).

Gwiazdy się kryją, czarne mgły nadchodzą,
Które za sobą rumiany świt wodzą.
Księżyc skrył światłość swoję:
Dobranoc, serce moje!

Odpuść mi, że twe spokojne wyspanie
Przebudza moje płaczliwe wzdychanie,
Bo miłość serce rani:
Dobra noc, moja pani!

Jeśli też kiedy nietęskliwe łoże
Strapionym oczom moim sen dać może,
Niechaj mi się śni o tobie,
Że z tobą igram sobie.

W bardzo ozdobną, humanistyczną szatę ustroił poeta drugą i ósmą, z tychże „Pieśni rozmaitych". W drugiej wzywa pomocy Neptuna w miłości, w ósmej cieszy się nadzieją blizkiego i upragnionego szczęścia. Obie przypominają we wstępnych strofach znany liryk Sępa Szarzyńskiego: „Zaprząż nie tygry, nie lwice, Cyprydo" [2]). Przytaczam tylko pierwszą, gdyż drugą odnajdzie czytelnik w Wirydarzu I 177. i nn., którego tekst pełniejszy (w Sumaryuszu brak wierszów 15—18).

Pieśń wtóra.

Zaprząż, Neptunie, ciemnowodne konie
W żaglowy pojazd, obtocz gładkie skronie
Swe rozmarynem, a na bujną kosę
Lej wonną rosę.

Weź sceptr potrzebny i wiosło sieciste,
Niech z tobą wsiada dziecko osidliste:
Ta, którą morska piana porodziła,
Ta mnie wprawiła

[1]) *S* nr. 300.

[2]) Pieśń LIII. (Wydanie I. Chrzanowskiego). Według dra Jaworskiego pieśń ta jest utworem Smolika (por. przyp. na str. 422.

W to upławienie; za tą nimfą muszę,
Za którą zawdy ważyłbym i duszę;
Cny morza władco, Tetys się bogini
Za mną przyczyni.

Staw mnie we wszystkim dniem i nocą biegu
U mej syreny na fortunnym brzegu,
Która w okrutnym nurcie me źrenice
Pławi tęsknice.

Wszakże, jeśli mnie nieszczerze miłuje,
Niech i mój na ląd plet się wykieruje,
Bo i ja nie chcę pływać przeciw wodzie,
W tak bystrym brodzie.

Lecz, jeśli szczerze, choćby utopiła
Serce w głębokich łzach me...[1])
Zakupił, byle wsieść, czasu powodzi,
Dała do łodzi.

Echa *seicenta* włoskiego z jego wyszukanym konceptyzmem odzywają się niejednokrotnie w liryce miłosnej Morsztyna. Stać go więc na antytezy, metafory i nagromadzenia, jakichby się, w kilkadziesiąt lat później, sam pan podskarbi nie powstydził. Poeta nasz umie śpiewać, lejąc łzy, skakać, będąc usidlonym, pałać wśród wody, patrzeć, olśnąwszy, bez języka przemawiać i t. d. Kochanka, pokropiwszy go wodą, mokry ogień w nim nieci, w oczach jego łzy budzi, a płomień w sercu rozżarza. Więc pyta ją, nękany cierpieniem: „Czy śnieg, czy ogień niecisz? Nie śnieg, bo użega, Nie ogień, bo nie pali. Mów, co mnie dolega?[2])

A oto jak opisuje rozstanie się z ukochaną[3]):

Nie tak wiele w głębokim morzu piasku, ani
Tak wiele gwiazd na niebie, nie tak wiele łani
Po dzikich puszczach biega, albo ptastwa w lesie,
Ani żadna tak łąka wiele kwiatów niesie,
Jako wiele wzdychania i z krwawej źrenice
Łez moich wypłynęło na me smętne lice
W ten czas, gdym się z mą panną rozstawał a ona
Trzykroć słyszę, jak mdlała, ze mną rozłączona.

Wyszukanych metafor i antytez zręcznie budowanych nie brak w obu następujących lirykach.

---

[1]) Koniec wiersza nieczytelny.
[2]) *S* nr. 223.
[3]) *S* nr. 181.

Do Zosie.[1])

Żeglarz, gdy o morzu płaskiem wiosłem brodzi,
Podniósłszy żagle, tam kieruje łodzi,
Gdzie chce przypłynąć; któremu gdy w biegu
Przeciwne wiatry nie dadzą do brzegu,
Kotwice rzuca w morski grunt i stoi,
Czekając, aż się wicher uspokoi.
A gdy też większa fala następuje,
I maszt uczyni, a gdy go zdejmuje
Strach nawałności, rzuca i towary
Dla bezpieczeństwa, Neptunowi dary,
Albo zaś żagle na szczęście podniesie,
Że go wiatr, gdzie chce, burzliwy zaniesie.
Jam żeglarz, panno, miłość — morze moje,
Sternik — Kupido, towar — łaski twoje,
A Wenus, z morskiej urodzona piany,
Na wicher prawie pchnęła mnie zbłąkany;
Żądze — mój okręt, serce me w nim płynie,
Port mój — chęć twoja, która gdy mnie minie,
Przyjdzie mi tonąć w głębokich łzach a ty
Pławisz mnie, Zosiu, nie życząc mi straty,
Pławisz mnie, widzę, w niestałej powodzi,
Serce mi topisz, a strach kto nagrodzi?
Oto ja płynę, chcąc tam odwieźć duszę,
Gdzie ciało ciągnie, choćbym nie rad, muszę,
Chcąc, swej podniósłszy żagle uprzejmości,
Skutkiem twej portu dopłynąć miłości.
Wiosłem pracy mej rozcinałem wały
Uporu twego, gdy się rozbiegały;
Szum popędliwy niewdzięczności twojej
Nie chce do brzegu dać galerze mojej;
Kotwicęm rzucił statecznej nadzieje,
Przecie w niestałym łódź się gruncie chwieje;
Maszt cierpliwości mej się podać musi,
Tak go srogości twej nawałność dusi.
Serce twe dyament; samaś właśnie skała,
O którąby się łódź ma nie strzaskała!
A nie lza jedno, w tej niebezpieczności,
Towary rzucić w morskie głębokości
A szczęścia czekać: lub ta burza minie,
Lub, gdy na inny brzeg nawa przypłynie,
Wysiadać z łodzi, a, wyszedłszy z wody,
Czekać na lądzie gdzie lepszej pogody.[2])

[1]) *S* nr. 197.
[2]) Wiersz ten znajdujemy na końcu „Philomachii“.

Jak widzimy poeta z kunsztem budowę powyższego wiersza przeprowadził. W pierwszej części dał nam obraz rzeczywisty okrętu, burzą miotanego; w drugiej, zestawiając ten okręt z własnem sercem, obraz rzeczywisty rozbił na drobne części, zużytkowując je, jako szereg metafor.

Lament niewolnika[1]).

Nic mnie nie boli, a płaczę rzewliwy,
Nikt mnie nie straszy, a przeciem lękliwy;
Łańcuch na szyi noszę okowany
I w srogich pętach chodzę poimany.
W płomieniu tonę, pałam pośród wody,
Boże się pożal nieszczęsnej przygody!
Sam nie wiem dzisia, co się ze mną dzieje,
Straciłem wszystkich pociech mych nadzieję.

. . . .

Zmiłuj się, dziewko kochana, boć złości
Ani przystoją, ani twej gładkości
Tyraństwo służy; nie twoja rzecz tracić
Niewinną duszę, ale owszem płacić
Szczerość wdzięcznością i miłować tego,
Któryć się serca raz powierzył swego.
Bóg zna i karze wszystkie obłudności,
Jego się, Zosiu, bój za swe chytrości;
Jać nie przestanę miłować cię z dusze,
Aż gdy odbieżać z tego świata muszę,
Ale ty nie wczas będziesz żałowała,
Gdy mnie nie będziesz wskrzesić mocy miała.

Wraz z ozdobnością literacką, przyjął Morsztyn od Włochów ton swawoli, do ostatecznych granic wyuzdania nieraz posuniętej. Swawoli tej nie umie on uszlachetnić najlżejszem choćby tchnieniem poezyi; stać go jedynie na pomysły płaskie i trywialne, które hojnie na kartach Sumaryusza rozsiewa.

Co wypełniało życie Hieronima, obok sercowych przygód i zawodów? O tem erotyki jego nie mówią. Z pieśni Na odjazd z Wilna jednej pani[2]), w której z ukochaną Zosią się żegna, wiemy, że stolicę Litwy odwiedzał.

Po nakosztowaniu się „cukrowego smaku“ miłostek, stanął Hieronim na ślubnym kobiercu z Zosią, tą samą może, z którą tak żałośnie rozstawał się w Wilnie.

Stwierdzenie i faktu małżeństwa i imienia żony znajdzie czytelnik w wierszu Dobra myśl ochotnego gospodarza[3]), o którym powiem w dalszym ciągu rozprawy.

---

[1]) *S* nr. 207.
[2]) *S* nr. 216.
[3]) *S* nr. 8.

Mecherzyński twierdzi, iż pożycie małżeńskie poety naszego było bardzo złe, a wniosek swój opiera na krótkim wierszu[1]), w którym mąż ostremi słowy narzeka na żonę, że mu „głowy frasować“ nie przestaje. Ależ skargi i zarzuty „Pieśni“ są tego rodzaju, że wypowiedzieć je można na cztery oczy, niepodobna jednak przed szerszym ogółem popisywać się niemi, nawet przy znacznej dozie cynizmu. Sądzę, że i Pieśni o małżeństwie[2]) za materyał autobiograficzny uważać się nie godzi. Sporo w niej rzetelnego realizmu, to prawda. Równie dobrze jednak na obserwacyi, jak i na doświadczeniu osobistem może ona być opartą. Przytaczam z niej niektóre ustępy, ciekawe ze względu na ów realizm.

Oto obraz troski, nieuunikniony przy wyborze dozgonnej towarzyszki :

... nikt rozeznać nie może
Dobra, złali — ty, Boże;
Nie w każdej jednaka wada,
Ale w każdej trudna porada;
Jakać się raz dostanie,
Takać zawsze zostanie:
Będzie jedna zjadła, gniewliwa,
Druga płocha i zwadliwa,
Jest i co męża bije
Jest co wszetecznie żyje
. . . .
Póki są w panieńskim stanie,
Wdzięczny z nich żart i rozśmianie,
A skoro za mąż pójdzie,
Nikt z nią ładu nie dójdzie:
Miasto owych wdzięcznych radości,
Będzie płaczu dość i żałości,
A gdy się żona kwili,
Bije męża po chwili.

Z kolei przychodzą kłopoty i troski materyalne:

Dziecka „papu“ wołają,
Wrzeszczą, krzyczą, stękają;
Więc synkowi do szkoły trzeba,
A koszt nie spadnie z nieba:
Daj, tatusiu, wszystkiego,
Póki wżdy staje czego.
Najlepiej się nie żenić zgoła
Bo bez tego lżej chodzą koła.

---

[1]) *S* nr. 121.
[2]) *S* nr. 297.

Przytem niewiadomo, jaką żonę lepiej wybrać:

Bo nadobną strzedz musisz,
Ze szpetną się zaś usmucisz.

A gdy nakoniec przyjdzie do kłótni, najbezpieczniej jest:

Niech nieborak stęka,
Niech pada do nóg Zosi,
Niech jej nadobnie prosi,
Aż bić przestanie,
Moje kochanie.

B) „Aurea mediocritas" szlachecka. Przyjaciele poety.

Służba dworska[1]) i praca około roli wypełniały żywot poety naszego. Prawdopodobnie jednak i jako „aulicus", przygodami miłosnemi służbę dworską słodzący, i jako ziemianin, chudopachołkiem pozostał.

O żadnych bowiem godnościach, ni urzędach Sumaryusz nie wspomina.

Jak na prawego spadkobiercę humanizmu przystało, nie skarży się Morsztyn na ubóstwo i dolę chudopacholską wychwala.[2])

Prawda to, że mię szczęście panem mieć nie chciało,
Atoli żebrać chleba przecie mi nie dało.
Zbiór mój słaby, skarb żaden, na lichwę nie daję,
Ale coć więcej trzeba, gdy na swem przestaję.
Nigdy głodny nie legnę, nie wstanę troskliwy,
Kłopot mi snu nie skazi, włos na głowie siwy
Z frasunku mi nie roście, wesołe mi lata
Płyną, ani mię długi wypychają z świata.
Dobra mi myśl nad gościem, płuży mi drużyna,
Obok z książęty siadać i to nie nowina,
W mieszku, lubo nie wielka, od potrzeby kopa,
Dom choć nie murowany, przecie też nie szopa,
Jest aksamit na grzbiecie, marmurek na głowie.
Dość mi Fortuna dała; byle było zdrowie,
Którego gdy posiłek w tym cugu poczuję,
Już ostatkiem ja szczęście i panów daruję.

Nie zbytek więc, nie marmury i złotogłowy ,o pomyślnośc stanowią:

---

[1]) Starym dworzaninem zwie się Morsztyn w wierszu Biesiada *S* nr. 75.

[2]) *S* nr. 43.

Myśl wesoła, niestroskane[1])
Serce, zdrowie niełatane,
Z zyskiem praca, wiek pogodny,
Dni spokojne, rok nie głodny,
Sen smaczny, dobre sumienie,
To szczęście, to dobre mienie;
Kopa od potrzeby w domu,
Nie być nic winien nikomu,
Ratować czasem bliźniego,
A mieć swego do nowego.
Zbiór to wielki, wielkie włości,
Nie znać w szczęściu odmienności.
Ojczysta wcale swoboda,
Piękna sława, z bracią zgoda,
Sąsiad dobry, wierny sługa.
Lichwa niskąd, jeno z pługa,
Chleb a żywot bez nagany,
Skarb to nieoszacowany.
Żona k'myśli, rodowity
Z nią przyjaciel, dar obfity,
Potomek, w ojca wrodzony,
A spłacheć nie spustoszony.
W tych pociechach włos sędziwy
Czyni wiek ludzki szczęśliwy;
Dość temu Fortuna dała,
Komu w tem nie przeszkadzała.

Wśród największych jednak pomyślności, o wartkich odmianach losu pamiętać należy i

Miernie szczęścia zażywać, którykolwiek z nędzy[2])
Prędko wyszedł do wielkich skarbów i pieniędzy
. . . .
Bierz z bojaźnią fortunę, która szybko biega:
Goniącego się mija, stojącego sięga.

Gdy zaś niedola przyciśnie, wtedy przystoi mężnie jej czoło stawić, gdyż „głową mur przebić trudno“. Najlepiej więc cieszyć się nadzieją, że szczęście kołem się toczy,

a po chmurnym czasie[3])
Wraca nam biegłe niebo jasne słońce zasię;
I żeglarzom nie zawsze dostaje pogody:

---

[1]) *S* nr. 12.
[2]) *S* nr. 19.
[3]) *S* nr. 115.

Częstokroć nawałności morskie burzą wody;
Rolnik też niejednaką lichwę z pługu bierze:
Co rok ani się ziemia w jednej iści mierze.
A zatem i frasunki:
pewny koniec mają
A pociechy za nimi w też tropy ciągają.

Temu, kto przyjacielską „drużynę“ mienił warunkiem zasadniczym szczęścia, nie brakło oczywiście „sąsiadów dobrych“, „gości szczerych“ w żartach i przy pełnym kielichu. Witał ich poeta i przyjmował z radością w chudopacholskiej zagrodzie i w Sumaryuszu wspomnienie przyjęć tych pozostawił. Jego: Dobra myśl ochotnego gospodarza[1]) — to ciekawy bardzo i bardzo szczery obrazek obyczajowy. Z wyjątkiem wstępu, strojnego w obowiązującą klasyczną dekoracyę, ani śladu tam konwencyonalizmu humanistycznego.

Apollo złotowłosy! zdejm sajdak z strzałami,
Każ dziś na stronę bojom pospołu z wojnami,
A weź lutnię słoniową z białośniegiej kości,
Bo dziś u mnie zastaniesz bardzo wdzięcznych gości.
Dziś radość i wesele u nas mieszkać mają,
Które troski z frasunkiem ze łba wybijają.
Do nas, do nas ucieszna, wszechrozkoszna pani,
Rumiana Wenus! wsiadłszy na złociste sani,
Weźmij z sobą on wdzięczny orszak panien swoich,
By jeno uweselić wdzięcznych gości moich.
. . . .
A ty, chłopcze, do kuchni skocz, mów kuchmistrzowi,
Niech wszystkiego dostatkiem nada kucharzowi.
Ty też, moja Zosieczku, bądź mi gościom rada,
Pobież sama do kuchni i przygrzej obiada.
Każ kurcząt, gęsi dosyć i kapłonów napiec,
Do wszystkiego cybulki drobniusieńko nasiec.
. . . .
Możesz też piękny kąsek jakiej zwierzyneczki
Pięknie do jakiej smacznej włożyć jarzyneczki,
A piekarzowi tortów, pasztetów z kreplami[2])
Każ napiec i kołaczów z cukrem, z rodzenkami.
A ja tymczasem w karty z pany się zabawię,
Albo im jaką inną krotochwilę sprawię.
Kart na stół daj, skoczkosiu, proś o gorzałeczkę,
Albo moją z pokoju podaj sam flaszeczkę.

---

[1]) *S* nr. 8.

[2]) Kreple = gatunek ciasta (Linde).

To nasz napój, panowie, ta godność do niego,
Można niewiele jedząc, być pijanym z niego;
Za grosz nim uczęstuje a za dwa umorzy,
Tem się więc psują zdrowi, tem się leczą chorzy.

. . . .

Pierwszy trunek do ciebie, mój drużba cnotliwy,
Wypiję; wiem, że mnie znasz dawno, żem prawdziwy
Twój przyjaciel i zdawna czczę i miłuję;
Coć się kolwiek podoba, wszystkiem cię daruję.
Do stołu, chłopiąteczka, rychło nagotujcie,
Jeno srebra mi, proszę, i szklenic szanujcie.
Zimnej wody do wina przynieść będzie trzeba...
Od piekarza do stołu wziąć dostatkiem chleba.

. . . .

Tuwalni, wody rychło, aleć lepsze piwo:
Tą się zmyć, owym się spić, tak bywa, jak żywo.
Panny trzeba przesadzać warstwą młodzieńcami.
Jako gdy przesadzają różę gwoździkami.
Do białej płci, pachołcy, przystąpcie się z wodą,
Podziękuje się w tańcu tej służby nagrodą.
Raczcie, waszmość, za stół siąść, moi wdzięczni goście,
Gładszy przed stół krajczym wnet jeden uroście;
Jest mięso, są i ryby, co komu smakuje,
To niechaj przedsię bierze, wiem, że się nie struje.
Jest łosoś, są lipienie, jest i rosła szczuka,
Jest smaczna w żółtej jusze cielęciny sztuka,
Raczcie, waszmość, jeść, proszę, to, co nam Bóg zdarz
Byle mi smacznie kucharz zająca uwarzył,
Proszę na tę dziczyznę, nowina w tym kraju
Jak i bażant, wiem, że się nie lęgnie w tym gaju.
Do pieczystego proszę o przysmaki jakie:
Sałata z ogórkami, dostatki wszelakie,
Jam nie Włoch, bardzo mało o kapary stoję,
Limoniej też nie pragnę, oliwek się boję,
Aleć co dom ma, czegoś w ogrodzie nasiała,
Tego chętnie dodawaj, chybabyś nie miała;
Chleb z solą, z dobrą wolą, jak starsi mówili,
Kiedy więc najwdzięczniejszych gości naprosili.
Przecie dobrze bywało, bo w szczerości prawdy
Przestrzegali ojcowie nasi z ludźmi zawdy.
Nuż piwa, wina, miodu; nie mam małmazyi,
Tegom roku nie jeździł po nią do Kandyi,
Ale chmiel nasz wystały i węgrzyn łagodny
Jest znacznego wszystkich nas przywitania godny.
Nie wadzi mu gęby dać, komu parno będzie,
Jego wnetże za zdrowie dzban pełen dojedzie.

Wilka, dzieci, tym, co tu u mnie nie bywali,
Aby ten pierwszy w dom mój przyjazd pamiętali.
Zosieńku, pij do gościów, proś ichmościów sama
O lepszą myśl, chceszli mieć dziś trzeźwego pana;
Ale wiem, że mi nie dasz w tym do końca wiary,
Bym ja dziś nad swój zwyczaj nie miał przebrać miary.
. . . .
Przed szlachetną drużyną kiszek z kiełbasami
Przymknij, krajczy; niechaj się nie bawią z flakami,
Bo panny z tego szydzą i za zły znak mają,
Gdy widzą, a młodzieńcy flaki obierają.
. . . .
A gdy się obiad skończy, w taniec muzykowie,
Zagrajcie co grzecznego, rządni pachołkowie;
Są gotowi z paniami kształtownie wywijać,
Kto niedojadł, wolno mu z pannami dopijać.
. . . .
Nuż każdy z swą do swego, gospodarzu, tobie
Czołem bijąc, wszyscy dziś podpijemy sobie.

Przyjrzyjmy się teraz onej drużynie przyjacielskiej, z którą świata używał nasz poeta.

Rej wśród niej wodzi Jan z Lężenic Gostomski, syn Hieronima, wojewody poznańskiego, starosta wałecki i werecki, wojewoda inowrocławski, brzeski i kaliski, zmarły według Monumentów Starowolskiego w 1623 r., w wieku lat czterdziestu siedmiu a więc w roku 1576 urodzony[1]). Siarczyński[2]) zwie go mężem znamienitym, rozsądnym w radzie, w pożyciu wspaniałym, który, jadącego na wyprawę moskiewską, królewicza Władysława wraz z królem Zygmuntem, w Wilczyskach pod Warszawą, okazale przyjmował i podczas wyprawy stu ludzi zbroj ych utrzymać się zobowiązał.

Pana tak możnego dzieliła od Morsztyna pozycya społeczna aczkolwiek w Sumaryuszu Gostomski jeszcze jedynie jako starosta wałecki występuje, łączyła zaś z nim wspólna obom chęć przygód wesołych, niezawsze dość wyszukanych. Stąd w wierszach, jakie poeta nasz wojewodzicowi poświęca, snuje się ton podwójny: koleżeńskiej przyjaźni a zarazem chudopacholskiego respektu i po kolei to jedna, to druga nuta przeważa.

Gostomski nie gardził swawolą i Morsztyn był mu w tem wiernym i powolnym towarzyszem[3]).

Nic więc dziwnego, że po wesołych chwilach, przeżytych podczas lubelskiej dyety, gdy staroście wałeckiemu wypadło

---

[1]) Starowolski, Monumenta. Niesiecki, Herbarz.
[2]) Siarczyński, Obraz wieku panowania Zygmunta III.
[3]) Por. *S* nr. 184.

Lublin porzucić, żegna poeta i przyjaciela i bujną drużynę jego wierszem, żalu i czułości pełnym[1]).

Przytaczam go, nie dla artystycznej wartości, ale dla żywych, charakterystycznych rysów, oświetlających życie szlacheckie w ówczesnej Polsce.

Starosta nasz odjechał, wszystkie z nim uciechy,
Pomyślne krotochwile, pląsy, żarty, śmiechy.
Wsiedli na wóz, a Lublin nieborak łzy toczy,
Pan Chmielowski dotychczas jeszcze smęci oczy,
Nie osychają oczy Tęczyńskich i jego
Dwór, panie bez starosty tęsknią wałeckiego.

Odjeżdżającej drużynie Gostomskiego przydaje Morsztyn za towarzyszy Olimp cały, darząc każdego tem bóstwem, które mu się według zalet i charakteru najsłuszniej należy. A więc u wojewodzica poznańskiego:

trzy boginie na łogoszach stały:
Juno, Wenus i Pallas, a przed nim siedziały:
Dobra Myśl i Biesiada, w nogach brzmią gotowie
Amfion z Orfeuszem, sławni muzykowie

. . . .

Stangret, wesołym licem uciesznej zabawy,
Pędzi krzykliwe konie na gościniec prawy,
Biczem trzaska, podróżnym dodając ochoty,
Omijając nieszczęsne drogi złej kłopoty.
Sam starosta, w szkarłatnej szacie cnej szczerości
Siedzi, a Wenus mu coś szepce o miłości
Arcybelli, cnej panny, on się tylko śmieje,
Cierpliwością się ciesząc pomyślnej nadzieje

. . . .

Apollo z Kochanowskim[2]) siedzi uzłocony,
A Minerwa dwie trzyma przed nimi korony;
Koło nich wieszają się helikońskie panny:
Zda mi się, żem tam zajrzał trochę i Dyanny;
Janek coś o myślistwie z nią pilnie rozmawia,
A fraucymer go z sobą na pole namawia.

. . . .

Wilgostowski ze dzbanem kogoś wiezie z sobą,
Z wynalazcy winnemu podobną osobą,
Wieniec ma hederowy, w ręku czop, na głowie

---

[1]) Por. *S* nr. 185.

[2]) A więc mamy tu znowu, jak i w wierszu do Niemsty (por. str. 423) nieznanego Kochanowskiego-poetę, oczywiście nie Jana z Czarnolasu, który rówieśnikiem Gostomskiego być nie może.

Poszedł coś na Bachusa, przed nim frantaszkowie
Szklenice, czarki, kufle, kieliszki trzymają,
A co raz Adamowi z wierzchem nalewają.

. . . .

Bodajżeś zdrowo sączył, mój Adamie miły,
Bodajci się truneczkiem lata przedłużyły.
Z Kożuchowskim ktoś jedzie w żelaznym kołpaku:
Mars, bóg wojny, bo go znać po krwawym szyszaku,
Furyje na łogoszach, Śmierć z Pomstą nad nimi,
Gniew stangretem, Ból biczem, a Strach szalonemi
Szkapami forytuje...

. . . .

Przyborowski boginię jakąś też prowadzi
Z Świebodzińskim, a przy nim dość inszej czeladzi:
Gospodarną znać jakąś bardzo białogłowę,
Bez mała nie Cererę, córkę Saturnową.

Nie brak wśród rozbawionej drużyny szlacheckiej i typowego procesowicza. Oto Komorowski:

Statut wiezie z Lublina z sobą malowany,
Z trybunału w swej sprawie ze dworem wysłany;
Widzę, że munimenta częstokroć przeziera,
Coraz się z praktykami nieborak pociera,
O sto grzywien i jedną, membran pokazuje,
Teraz się nim, że wygrał tę sprawę, raduje;
Temu prawo myśl trapi i sen odejmuje,
Bo czasem do samego dnia je rewiduje.

. . . .

Bodajże, Jasiu, w każdej fortuna służyła
Sprawie, która się na stół pański wytoczyła!
Grom praktyków, prawem się pocieraj i z pany,
Dostatkami pańskimi nie bądź przekonany!

. . . .

Bądźcie oba łaskawi, fortunni Janowie,
Daj wam do sta lat Parki przedłużyły zdrowie.

Zbyt bujne wybryki młodości kończyły się żałośnie i wesołe przygody wypadło poecie naszemu ciężką odpokutować chorobą. Opowiada o niej Gostomskiemu w listach[1]) smętnych i dość pokornych, na »zwiędłą głowę« i »zbolały rozum« narzekając.

W listach tych znajdujemy, wcale zgrabnie wierszowaną, odpowiedź Gostomskiego. Oto wobec skarg, żalu pełnych na zaniedbanie sługi i oddanego towarzysza:

Zapomniałeś mnie, panie, a pociechy moje
Wiatry jakieś porwały... Czemuś, miłościwy,

[1]) *S* nr. 186—190.

Dziś, panie, tak niełaskaw; przecz mi służce twemu,
Taki dziś głód na łaskę?...

odpisuje wesoło starosta wałecki, brakiem czasu i oddaleniem Morsztyna się tłumacząc:

Zajechałeś daleko, mój Morsztynie drogi,
Że mi cię lub pożegnać, lub witać czas drogi
Nie dopuszczał, bo aspekt daleko z Krakowa...

i kończąc słowami pociechy i obietnicą lepszych chwil w przyszłości:

Alem ja nieodmiennie przyjacielem twoim,
A teraz życzę z serca, byś zdrowia pierwszego
Nabywszy, znowu przyszedł do szczęścia wszelkiego,
Potem w maju zażyjem zwyczajnie po swemu...

Odpis wierszowany Gostomskiego wraz z pochwałami, jakimi Morsztyn wojewodzica poznańskiego w listownej z nim rozmowie darzy, zowiąc go »ozdobą Helikonu« i »Muz ulubieńcem« i przyznając skromnie, że »nie jego to rozumu rzecz wchodzić w szranki« ze starostą, nasuwa przypuszczenie, iż tenże starosta nie tylko wśród swawoli, przy pełnym kielichu, ale i na Parnesie towarzyszem był poecie i że o Gostomskim mówi ośmiowiersz: Do Jana[1]), w którym Hieronim przyjacielowi, fraszki swe do oceny przesyłającemu, obiecuje też fraszki z powrotem wyprawić, »swym własnym przypłodkiem« je pomnożywszy.

Oczywiście na przypuszczeniu jeno poprzestać należy, gdyż oprócz wiersza, znajdującego się w Sumaryuszu, żaden plon Muzy wojewodzica poznańskiego do czasów naszych się nie przechował[2]).

Wymieniona powyżej grupa listów wierszowanych skłoniła Mecherzyńskiego do wniosku o podróżach zagranicznych Morsztyna. Wniosek ten, po ścisłem przejrzeniu materyału, upaść musi. Owe przez poetę przebyte »granice francuskie« owe w Cyprze »jedwabnice Wenery«, »wody nilowe« i w Ankonie »ze swachą ankońską zawarte przymierze«, o których Gostomskiemu opowiada, są to wspomnie-

[1]) *S* nr. 161.

[2]) Estreicher w Bibliografii rozbija na dwie postaci osobę Jana Gostomskiego. Osobno wspomina o wojewodzie kaliskim, osobno zaś o staroście wałeckim a przytaczając urywek wiersza Hieronima do Gostomskiego (*S* nr. 188), czyni błędnie autorem tego wiersza Stanisława Morsztyna.

nia nie realnych podróży, ale zbyt częstych wędrówek po krainie Cypryjskiej bogini.

Przyjacielski stosunek łączył również Morsztyna z Jerzym Niemstą, najprawdopodobniej towarzyszem poety w dworskiej służbie [1]). Ożenienie (trzecie z kolei) tego Niemsty ze Zborowską upamiętnił Hieronim uroczystem epithalamium, w którem cały Parnas wzywa do pomocy, by godnie uczcić przyjaciela: [2])

Apollo, cny ochmistrzu sióstr parnaskich, który,
Chodząc po dzikich gęstwach helikońskiej góry,
Poważną bogorodnych panien rotę wodzisz,
A w Pegazowym zdroju boską nogą brodzisz,
Użycz krople tej wody, z której mądrość płynie,
Mnie dowcipu zwiędłego głupiemu chudzinie,
Abych nią mógł zakropić pióro zapragnione
I rym pisać wesoły. A wy, rozpłodzone
Z boskich rodziców córki, idźcie tam, gdzie kwiaty
Za wiecznopogodnemi jedno kwitną laty.
Tam, wonnych ziół narwawszy, uwijcie Jerzemu
Niemscie wieniec na skronie...

Nie na długo starczyło jednak poecie namaszczenia.

Epithalamium dla szerszego ogółu weselnych gości było snać przeznaczone; ścisłemu zaś gronu przyjaciół dostał się żartobliwy wierszyk, w którym Morsztyn ostrzega łatwo pocieszonego wdowca i zbyt częstego pana młodego. [3])

Trzeci się raz już żenisz: i tać śmiała była,
Która się trzecią żoną być twą omyliła;
O czwartej nie pomyślaj, choć masz odbyt na nie,
Bo się już będą bały tak panny, jak panie;
A jest czego; bo właśnie jakby żyć nie chciała,
Któraby właśnie z tobą czwarty raz ślub brała.
Folguj tej trzeciej, radzę, bo jakbyś ją stracił,
Wiecznembyś już sieroctwem tej straty przypłacił.

Szeregu przyjaciół, którym Morsztyn rymy swe święcił, dopełniają: Mikołaj Zienowicz, kasztelan połocki, mąż nauką

---

[1]) W wierszu „Na bankiet tegoż" (por. *S* nr. 13) Morsztyn nazywa Niemstę wyraźnie dworzaninem: „Słusznalito, dworzaninie" itd. Mowa tu najprawdopodobniej o Niemscie, sędzim ziemi zatorskiej, deputacie na sejm 1629 r., bracie Jana Niemsty, również królewskiego dworzanina (por. o nim wyżej). O obu wiadomość u Niesieckiego.

[2]) *S* nr. 12.

[3]) *S* nr. 165.

i dzielnością niepospolity, ożeniony z Chodkiewiczówną, poległy pod Chocimem w obronie hetmana;[1]) dalej Dadzibóg Karnkowski, wojewoda derpski przez Stany na sejmie 1611 roku do rokowań z Moskwą wyznaczony, w 1617 roku w wieku lat czterdziestu czterech zmarły[2]), Marek Rudowski, króla Zygmunta dworzanin, Samuel Chełmski, Wojciech Białoskórski, Bogusz, Zwoleński starosta, wreszcie Albert Łaski, wuj Hieronima[3]).

Temu poświęca poeta wiersz, utrzymany od początku do końca w szlachetnym horacyuszowym tonie i przypominający bardzo znaną pieśń Kochanowskiego: Nie wierz Fortunie, co siedzisz wysoko[4]).

Łaski Olbrychcie, wuju mój a panie!
Bystrej odmienne Fortuny bieganie,
Obrot szalony, wartkonośne koła
Ty znasz, boś tego bardzo świadom zgoła.

Byłeś na górnym i na dolnym razie,
W łasce Fortuny byłeś i w obrazie,
Doznałeś w szczęściu wielkich odmienności,
Nie tajneć dziwne w czesiech niesforności.

Wywyższywszy cię Fortuna wysoko,
Kazałać państwa rozciągać szeroko,
Ale w tem złośna postrzedz się nie dała,
Że jeszcze statku za pieniądz nie miała.

Tyś na jej skrzydłach sławą nieba tykał
I prawieś się już do Boga przymykał.
Aleć wnet na dół nagle zaś spuszczony,
Srogą Fortuny odmianą dotkniony.

Teraz ci w wieńcu nie stało radości,
Kto się spodziewał tej niestateczności?

---

[1]) Por. *S* nr. 11. O Zienowiczu *vel* Zenowiczu pisze Niesiecki w Herbarzu, Starowolski w Bellatores Siarczyński w Obrazie wieku panowania Zygmunta III. Podług Sobieszczańskiego (Encyklopedya Orgelbranda) znane jest w druku jego dzieło p. t. Theses politicae de rerum publicarum mutatione 1606 r., Bazylea. Toż u Estreichera.

[2]) Patrz Starowolski, Monumenta. Niesiecki, Herbarz. Siarczyński, Obraz i t. d.

[3]) Albert Łaski, wojewoda sieradzki, syn Hieronima, patrz Niesiecki i źrodła tam przytoczone.

[4]) *S* nr. 18.

Jeślić do końca posłużyć nie miała,
Czemuż cię kiedy zdradliwie tykała?

Niemasz nic w szczęściu omylnym trwałego,
Bywszy coś, ginie, jest koniec wszystkiego.
Fata w nieszczęściu, fata w szczęściu służą
Tym, którzy światu mizernemu płużą.

Dzika jest, płocha Fortuny postawa,
Dziś się rozgniewa, jutro zaś łaskawa,
Czoło wesołe, tył ma żałobliwy,
Stopa życzliwa, krok u niej zdradliwy.

Trzeba się w szczęściu, kto w nim trwać chce zgoła,
Zawsze oglądać na poślednie koła.
Nie chodź na głębię, bo uchybisz brodu,
Kto dziś miał co jeść, bój się jutro głodu.

Skromnie, to fortel, zażywać potrzeba,
Komu Fortuna da z potrzebą chleba;
Mierność a waga w szczęściu nie zawadzi
Nie ufaj mu nikt, nikogo nie zdradzi.

Warszawa. (Dok. nast.).

FRANCISZEK RAWITA GAWROŃSKI.

ANDRZEJ TOWIAŃSKI i JAN ANDRZEJ RAM[1]).

KARTKA Z HISTORYI MISTYCYZMU RELIGIJNEGO W POLSCE, W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX. w.

Nie będę śledzić działalności mistyczno-religijnej A. Towiańskiego. Muszę tylko dotknąć tego momentu jego przybycia na emigracyę, który pociągnął za sobą A. Mickiewicza i wielu innych, i to jedynie z tego powodu, że wiąże się on z tematem, który postanowiłem rozpatrzyć. Nie będę wdawać się także w żadną krytykę dogmatyczną doktryny Towiańskiego, — to należy do duchowieństwa.

* * *

Zarówno Towiański, jak i Jan Andrzej Ram pochodzą z Litwy. Kultura polska wywołała na początku XIX w. na Litwie nadzwyczajne rozbudzenie umysłowe, w całej rozciągłości tego wyrazu. Zdaje się, że wszystkie strony duchowego życia Litwy zostały jakąś nadzwyczajną siłą poruszone i napięte. Największe i najzasłużeńsze nazwiska w całej Polsce związane są z Wilnem i Litwą. Lelewel, Daniłłowicz, Śniadeccy, A. Mickiewicz, Juliusz Słowacki wszystko to zabłysło nie tylko nad Polską, lecz na cały świat kulturalny z Litwy, z Wilna, skąd „jak z rzymskiej wilczycy wyszli Kiejstut, Olgierd i Olgierdowicz“ — i nie tylko oni. Julian Klaczko pochodził także z Wilna, wielki sławą nie swego oręża, lecz rozumu i miłości Ojczyzny.

Przeznaczenie nie pozwoliło J. A. Ramowi odegrać żadnej wielkiej roli dziejowej, nie przyniosło mu chwały, nie wywyższyło jego imienia, miał tylko chwilę jedną religijnego podniesienia, jedno marzenie, które imię jego związało z imieniem Mickiewicza i Towiańskiego.

Gerszon Ram urodził się w Wilnie, jako syn zamożnego kupca izraelickiej rodziny. O życiu jego wileńskiem nie znamy szczegółów żadnych. Nie znamy powodów, które go z kraju wy-

---

[1]) Dodatki do tej rozprawy drukujemy w dziale Materyałów. *Redakcya.*

parły, a tembardziej tych, które go do Paryża sprowadziły. Zdaje się, że był to jeden z tych entuzyastów-marzycieli, którzy z jakichś pobudek wewnętrznych, nie dających się ująć w żadne znane formuły, rwali się do nieznajomych światów, do światła, choćby w niem spłonąć mieli. Z końcem r. 1840 przybył Towiański do Paryża[1]). W tym samym czasie musiał się tam zjawić i Ram. 15 sierpnia 1841 r. pisał Mickiewicz swój entuzyastyczny list do Bohdana Zaleskiego, zakończony słowami:

Bo wyszedł głos i padł już los
I tajne brzemie lat
Wydało płód i stał się cud —
I rozraduje świat.

27 września t. r. miał Towiański w kościele Nôtre-Dame pierwsze swoje przemówienie, a 7 sierpnia 1842 Ram G(erszon) podpisał się na petycyi do Ministra Sekretarza Stanu we Francyi z powodu wydalenia Towiańskiego z granic Francyi[2]). W tym czasie zatem był już zwolennikiem nauki Mistrza, a wkrótce miał się stać gorliwym jej szerzycielem, upatrzywszy w Mistrzu „bramę zbawienia Izraela" i połączył się zupełnie ze „Sprawą Bożą".

U Towiańczyków odegrywało zawsze wielką rolę poczucie potrzeby jakiegoś czynu i stąd wynikająca pewna impulsywność działania. Pod takim wpływem odbył się także chrzest Rama, przejście jego na religię chrześcijańską. Mniej więcej w połowie roku 1842 — zapewne przed podpisaniem petycyi do ministra — Ram ciężko zachorował i „poczuł potrzebę chrztu św." [3]). Wypadek zrządził, że „w tejże samej chwili" Romuald Januszkiewicz wstąpił na modlitwę do kościoła Nôtre-Dame des Victoires i w czasie modlitwy otrzymał „silne poczucie", „rozkaz", ażeby co rychlej poszedł do Rama dla udzielenia mu chrztu św. „Objawionem" mu przytem było, ażeby kupił krzyż i święconą wodę w przedsionku kościoła, a matkę chrzestną spotka w drodze, idąc do Rama. Jakoż istotnie, tuż prawie, bo na placu des Victoires spotkał Ksawerę Deybel, późniejszą małżonkę Edmunda Mainard, która, „ulegając silnemu budzeniu wewnętrznemu, przybyła tam sama nie wiedząc po co" [4]). Oboje należeli już do zwolenników Towiańskiego. Uznawszy tedy wzajemnie, a z łatwością swoje posłannictwo, udali się do Rama. „Zastali go prawie konającego, ale pałającego żądzą otrzymania chrztu św." Istotnie

---

[1]) Sam o tem pisze (Pisma A. Towiańskiego, T. III, część III. Turyn, 1882, str. 182.

[2]) Kilka aktów i dokumentów, odnoszących się do działalności A. Towiańskiego. Cz. I. Rzym, 1898, str. 12.

[3]) ibid., str. 29.

[4]) Akty i dokum., Cz. I, str. 29.

obrządku tego dokonali. Ram miał widzenie „w Duchu“ licznego orszaku świętych pańskich, w pośród których jaśniał św. Kazimierz, a orszak ten wprowadził go do kościoła Chrystusa [1]). Po przyjęciu chrztu św. nagle powrócił do zdrowia.

Opowiadam te zdarzenia, ze względu na późniejszą rolę Rama, tak jak one przedstawiały się ludziom współczesnym, patrzącym na nie bez żadnych komentarzy.

Oczywiście zdarzenie to wywołało głębokie poruszenie w całem „Kole“, tembardziej, że w nowonawróconym upatrywano niejako narzędzie do ogłaszania Sprawy Bożej Izraelitom. Towiański nie uważał aktu, spełnionego przez Januszkiewicza, za zupełny i pragnął niewątpliwie nadać tej uroczystości szersze znaczenie, naznaczyć niejako Rama na apostoła Izraelitów. Uroczysty przeto akt chrztu „w duchu i formie“ poprzedzony został osobnem pismem Mistrza, z d. 29 listodada 1842 r., w smutną rocznicę powstania, do Rama „z powodu chrztu jego“. Idea apostolstwa, jaką się później gorąco Ram przejął, przenika całą tę Biesiadę Mistrza, poświęconą nowemu członkowi Koła. „Bracie Gerszonie! — woła uroczyścieTowiański — zbliża się godzina. Pan Zastępów ponawia wołanie do Izraela o przyjęcie woli swej w Jezusie Chrystusie“ [2]). „Wolą“ tą jest szerzenie „Słowa pańskiego“, „Sprawy świętej“, „Sprawy Bożej“ śród Żydów. Słowem pańskiem, Sprawą Bożą nazywał Towiański tę naukę, którą opowiadał, a siebie uważał za wysłańca Bożego, który miał odkryć nowe drogi ludzkości. „Promień łaski, — pisał — weszły dla zbawienia człowieka na Wschodzie, d z i ś k u Z a c h o d o w i z w r a c a s i ę, gdzie początek szerzenia i praktyki Słowa przeznaczony. Westchnienia Wschodu utrzymują Go i utrzymywać mają przez czas wielkiego Dzieła Miłosierdzia“ [3]). Za tego, przez którego promień łaski zwracał się ku Zachodowi, uważał Towiański sam siebie, swoje S ł o w o. Kto jest „korny“ temu Słowu, staje się uczestnikiem dobrodziejstw Sprawy, ale „Słowo w czynach Sprawę dopełnia“. Ażeby stać się godnym czynu, trzeba przyjąć „Wolę Najwyższą“. Przez te szczeble prowadził Towiański Rama ku nowej drodze dla niego — apostolstwa między Żydami. „Nowe dary — pisał — z nowymi obowiązki zespolone, przyjmiesz młodzieńcze Pański i na nowy rachunek z Panem twym wejdziesz, a przyjęcie i użycie daru zakreśli tobie wiekowe twe kierunki, odpowiesz przed Bogiem i potomnością z użycia swojego“ [4]).

Ram dobrowolnie otwierał „nowy rachunek z Panem“. Tem cenniejszą była jego gorliwość. „Wśród powszechnego powołania

---

[1]) ibid., str. 30.

[2]) Dodatek Nr. 1. Pismo Mistrza na 29 Listopada 1842 r. z powodu chrztu Rama. Rps. B i b l i o t e k i M u z e u m w R a p p e r s w i l u.

[3]) Patrz Dokumenty Nr. 1.

[4]) ibid.

człowieka do karbów Słowa, łaską prowadzony, uprzedzasz Pańskie wezwanie, bracie Gerszonie, spełniasz jedyną człowieka powinność. Niech cechy Izraela, podane Woli Pańskiej w Chrystusie, czynią ciebie miłym Panu twojemu, niech ducha sługi Słowa zasilają dla obrony i tryumfu Słowa. Silny wiarą, przyspieszaj twe zadośćuczynienie Panu twojemu, owoc twej miłości składając w Sprawie Pańskiej. Miłość twoja nowa w sile życia i płodu niech wymoże miłość Woli Pańskiej w Słowie. Po poddaniu się twem, miły bracie, w duchu Chrystusowi, winieneś poddanie się twe w formie i obrządku, jako konieczne świadectwo od człowieka należne, ze Słowem podane i zalecone" [1]. „Bez chrztu, bez podniesienia ducha — pisał Mistrz — drogą Słowa, a czego chrzest jest sakramentalnem świadectwem, sakramentalnym zaciągiem, nie masz dla człowieka zbawienia. Nie podnosząc ducha twojego, nie dojdziesz człowiecze do Ojca twojego. Dopełnij to, miły bracie, a pokora Izraela miłą Panu będzie" [2].

Ram poddał się nawoływaniu Mistrza — przyjął chrzest św. w kościele St. Séverin z rąk księdza Kajsiewicza, przy asystencyi innych księży. Całe Koło bratnie było obecne tej uroczystości. Odbyła się ona ze strony Rama w nadzwyczajnem podniesieniu ducha, z żarliwością człowieka przekonanego i wierzącego. Postawa, pełna pokory, głębokie wzruszenie, malujące się na twarzy nowego prozelity, gorącość skruchy i wzruszenia, które się objawiły głośnem łkaniem, do głębi poruszyły dusze obecnych. Księża nawet nie pozostali obojętni. Wszystko to nadawało charakter tej uroczystości niezwykły, podniosły, wzruszający [3]. W czasie chrztu otrzymał imiona Jan Andrzej — Imię ulubionego ucznia Chrystusa i imię Mistrza.

Do skreślenia sylwetki Rama nie mamy na razie dostatecznej ilości materyałów. Z tych wszakże urywków, jakie posiadamy, postać jego zarysowuje się pewną mglistą jasnością na tle mistyczno-religijnem. To dusza gorąca, żywa, wierząca, pełna entuzyazmu i poświęcenia się. Żyd z urodzenia, z religii, ze sfery codziennego życia już jako żyd należeć musiał do tych wierzących marzycieli, którzy oczekiwali przyjścia biblijnego Zbawiciela, mającego przynieść słodycz pokoju i zjednoczenia. Jako dziecko narodu, żyjącego w poniżeniu i rozproszeniu, tem goręcej odczuwał nadzieję lepszej przyszłości, nadzieję pocieszenia i zbawienia, im teraźniejszość była cięższą. A wiemy, jaka to była teraźniejszość i jakie losy żydów za czasów Mikołaja I. I oto nagle poznaje człowieka, który mu zwiastuje słowo zbawienia — „wszystko przez Słowo, wszystko dla Słowa", — który

[1]) Patrz: Dodatek Nr. 1. Rps. Biblioteki Muzeum w Rapperswilu.

[2]) ibid.

[3]) Akty i dokumenty. Część I, str. 30.

przemawia do niego myślami proroków hebrajskich, słowami pełnemi nieraz mistycznej tajemniczości mówi mu o „starciu się Idei Pańskiej w Słowie z Ideą ziemi“ — o tej wiecznej walce dwóch światów, dobrego i złego, dwóch prądów myśli ludzkich, dwóch ideałów. Ten człowiek dziwny szepce mu, jak prorok, tajemnicze słowa: „zbliża się godzina...“, że „Bóg do jedności w pełnieniu Słowa swego wzywa“ [1]), że „czas Wielkiego Miłosierdzia zbliża się“, — i oto nic dziwnego, że ten entuzyasta, z zarodkami religijnego mistycyzmu w duszy swojej, podniesiony, ukołysany temi myślami, woła słowami proroka Samuela: „mów Panie, bo oto sługa Twój słucha“. Uwierzył tedy w nowe „Słowo“, w nową „Sprawę Bożą“, stając się jego sługą najgorliwszym i opowiadaczem. Postanowił zostać Apostołem nowego „Słowa“ śród Izraelitów — naprzód we Francyi. Odniósł się tedy do Towiańskiego, już wówczas przebywającego w Brukseli, o błogosławieństwo na podróż po Francyi w celu szerzenia „Sprawy“. Chodziło tu głównie o propagandę śród Żydów. Towiański uważał, że przedewszystkiem trzeba się połączyć — zjednoczyć z Kościołem — co oznaczało przyjęcie chrztu. W krótkim tedy liście z Brukseli (20? czerwca, 1843) taką, zdaje się, dawał wskazówkę Ramowi, pisząc: „największa jest zdrada sprawy, cokolwiek robić u siebie, nie przerobiwszy siebie, a pierwszem zrobieniem u siebie, jest ukorzenie się przed Bogiem i przed Stworzeniem: to jest przed myślami Bożemi“ [2]). Trudno określić, jak słowa te tajemniczo-niewyraźne, zrozumiane były przez Rama, dość, że się on w podróż udał i dużo większych miast Francyi piechotą obszedł. Pielgrzymka owa zakończyła się wygnaniem. „Wtenczas — pisze człowiek współczesny, — nie wiedząc dokąd ma się udać i wielce frasując się o to w modlitwie, popchnięty był do czynu wyraźnym rozkazem, otrzymanym wyżej. Przybywszy bowiem do Marsylii, i nie wiedząc jeszcze co z sobą dalej pocznie, kiedy razu jednego kąpie się w morzu, słyszy głos, wołający nań: „Ram! Ram do Rzymu!“ Wyruszył więc natychmiast w naznaczoną sobie podróż“ [3]). Było to w r. 1843. Towiański udał się był także do Rzymu, o czem Ram nie wiedział wcale.

Działo się to w czasie, gdy Mistrz już był z rozkazu rządu opuścił Francyę. Powody do tego były bardzo skomplikowane, a niewyraźne i nie ujęte w jasno-sformułowane zarzuty.

Z jednej strony niepokoił rojalistyczny rząd francuzki kult Napoleona, głoszony przez Towiańskiego i przez Mickiewicza [4]), owe tak zwane „idee Napoleońskie“, z drugiej uważano go za

---

[1]) Patrz: Dodatek Nr. 1. Rps. w Rapperswilu.

[2]) Patrz: Dodatek Nr. 2. Rps. Biblioteki w Rapperswilu.

[3]) Akty i dokumenty. Cz. I, str. 30.

[4]) „le meilleur de tous les hommes puissants, le plus veritablement chretien de son temps...“ (Akty i dokumenty.

sekciarza, za pewnego rodzaju herazyarchę, wprowadzającego do państwa rozłam religijny [1]). Nie mogę ani sprawdzać tych pogłosek, ani dochodzić źródła, gdyż wykraczają one poza moje ramy, to wszakże zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że podróż Towiańskiego do Rzymu miała na celu usprawiedliwienie się przed Grzegorzem z zarzutów nieprawomyślności katolickiej. Nie tylko nie dopuszczono go wszakże przed oblicze Papieża, lecz kazano mu wciągu 24 godzin opuścić granice państwa kościelnego [2]).

W tej chwili właśnie Ram zbliżał się do Rzymu [3]); Mistrz i uczeń spotkali się pod bramami wiecznego miasta. Spotkanie się to, o ile było nieoczekiwane przez obu, o tyle ważne, gdyż Ram przyjął na siebie obowiązek wręczenia Ojcu Świętemu memoryału Towiańskiego.

Jako neofita, Ram miał i dostęp łatwiejszy i większe względy. Uważając wręczanie memoryału, jako „rozkaz Boży, dany mu do spełnienia", przystąpił do tego z gorliwością wielką, bo przygotowywał się przez 9-cio dniowe rekolekcye. W czasie spowiedzi pozyskał sobie zaufanie spowiednika, a za jego wstawieniem się posłuchanie u Ojca Świętego. Na uroczystem posłuchaniu, Papieżowi, otoczonemu licznym dworem, wręczył memoryał Towiańskiego i przemówił do Ojca Świętego „jako nawrócony Izraelita

---

Cz. I, str. 53); tak wyrażał się Towiański o Napoleonie I. „l'ésprit de Napoléon n'a pas cessé de remuer et de diriger la France et par la France les peuples de la chrétienté". (Memoryał A. Mickiewicza, przedłożony Napoleonowi III w r. 1853. Akty i dokumenty, str. 53).

[1]) Gabour, naczelnik wydziału (szef sekcyi) w ministeryum spraw wewnętrznych, bez ogródki zapytał Nabielaka: „w czem różnimy się od wyznania greckiego i w czem od wiary i dogmatu kościoła rzymsko-katolickiego" (Akty i dokumenty. Cz. I, str. 58).

[2]) Akty i dokumenty. Cz. I, str. 71. (Mémoire présente' à Son Ex. Monsieur le Ministre de l'interieur au sujet de l'affaire d'André Towiański, par Louis Nabielak).

[3]) Towiański, wyjeżdżając z Rzymu (1843) przez bramę del Popolo, i siedząc na koźle, swoim zwyczajem, aby cieszyć się widokiem natury, spostrzegł Rama. W dopisku: „był to Izraelita litewski, znał Gutta w Wilnie. W Paryżu, przystawszy do Towiańskiego, przyjął chrzest. Zabrał go ze sobą do Ronciglione, około Viterby i dał mu pismo do Papieża z poleceniem, aby je koniecznie mu wręczył. Ram powrócił do Rzymu, wyspowiadał się w kościele św. Piotra i oznajmił spowiednikowi, że musi się widzieć z Papieżem". Szczegóły te miał Władysław Mickiewicz od Armanda Lévy, który je spisał w Rzymie, z opowiadań Jana Scovazzi'ego. (Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza, Tom III, str. 247.)

i Sługa sprawy Bożej do Najwyższego Urzędu Bożego"[1]). Działo się to 4 listopada 1843 r. „Nadzwyczajne podniesienie ducha, w którem Ram dopełnił tej powinności, przejęcie się jego czcią dla przedmiotu poselstwa swojego i dla Myśli Bożej, spoczywającej na Stolicy Apostolskiej, uczyniło wrażenie na Ojcu Świętym i na otaczających Jego. Wskutek tego trzech księży z dworu Papieża odwiedzali sekretnie Rama, mieli z nim rozmowy o Sprawie Bożej, a w końcu, zapewniwszy, że podzielają wszystko, co od niego słyszeli, opatrzyli go w pieniądze i udarowali świętemi pamiątkami" [2]).

Gorliwość prawie fanatyczna, z jaką Ram spełnił w Rzymie polecenie Mistrza, nadzwyczajne oddanie się „Sprawie Bożej i Służbie swego Urzędu" okazywane przez niego, nie mogły nie zwrócić szczególniejszej uwagi Towiańskiego na tego entuzyastę-marzyciela, wędrującego piechotą od miasteczka do miasteczka przez całą Francyę i szukającego uczniów dla Sprawy. Być może wtenczas już powstała w jego umyśle nowa idea — apostolstwa w Judei, między Żydami i nawrócenia ich na chrystyanizmu. Do urzeczywistnienia tej myśli nadawał się jak najlepiej Ram — sam żyd nawrócony i gorący szerzyciel Sprawy Bożej, który wierzył wraz z innymi, że nastąpiła „epoka chrześciańska wyższa".

Co się stało z Ramem po powrocie z Rzymu — nie wierzył Nie mogliśmy się nigdzie z nim spotkać, aż ' dopiero pod koniec r. 1844. Należy przypuszczać, że w tym czasie dojrzewała myśl poruszenia Izraelitów dla Sprawy Bożej, rzucenia pomiędzy nich idei pogodzenia się z Bogiem, zawarcia nowego przymierza. Na takie przypuszczenie naprowadza nas nagła obecność Towiańskiego w Frankfurcie nad Menem, w połowie sierpnia r. 1843. Być może, że z Rzymu wprost udał się do Frankfurtu, ażeby w nowym kierunku nadać ruch Sprawie Bożej. Szukał zapewne drogi i poparcia dla idei Apostolstwa śród Żydów. I oto z Frankfurtu wystosował pierwszy list do Rotszylda (15 sierpnia 1843). Był to tak zwany w języku Towiańskiego „wyzew" albo „zazew" do spełnienia Woli Boga. „Bóg wysłuchał płacz i wołanie Izraela przez wieki. Postanowił wybawienie Izraela z nędzy i poniżenia. Kto wielkim jest przed Nim, temu przeznaczył być wielkim na ziemi. Wkrótce posłyszy Izrael głos Pana swojego. A od tej chwili gotować się ma na wielką swą godzinę"[3]).

Nie bez zręczności, którą możnaby nazwać pochlebianiem, starał się Towiański dla nowej swojej myśli zainteresować Rotszylda. „Myśl Boża — pisał — spoczywała w rodzie twoim. Dla Myśli Swej dla Izraela podniósł Pan ród wybrany"[4]). Oznajmia-

---

[1]) Akty i dokumenty. Cz. I, str. 31.
[2]) Akty i dokumenty. Cz. I, str. 31.
[3]) Dodatek Nr. 3. Ze zbiorów własnych.
[4]) ibid

jąc tedy, „aby ducha sposobił na wielką godzinę“, uderzał równocześnie w próżność milionera. „Bóg powołuje człowieka — pisał — w dniach tych miłosierdzia swojego na drogę opuszczoną. Kto wyżej stoi w dopełnieniu Myśli Bożej, przeznaczony jest zająć wyższy szczebel na ziemi“ [1]). „Powołany przez Wolę Bożą do sprawy Miłosierdzia Pana, oznajmuję Tobie Wolę Boga i tym spełniam powinność moją. Spełnienie powinności twojej Tobie zostawiam“.

Następstwem tego listu było widzenie się osobiste i rozmowa z Rotszyldem [2]). Jaka to była rozmowa i czem się zakończyła — nie wiemy.

Sposobiąc niejako Rama na Apostoła Judei, Towiański nie tylko zachęcał go do tego, lecz poddawał poniekąd myśli i słowa, któremi nowy Apostoł miał trafiać do zatwardziałych serc izraelickich. „Przebudź się, przebudź się — mówił do Rama proroczym stylem — bracie Izraelu! z długiego letargu twojego, powstań z grobu, w którym złożyłeś ducha twojego; przypomnij sobie przeszłe wieki Izraela, a w nich owe dni jasne, żyjące, a w nich owe czyny czyste i wielkie, te to owoce izraelskich niegdyś postów i modlitw, owoce nieograniczonej wiary, ufności i posłuszeństwa Bogu! Zadrgaj obrzydzeniem do obecnych mglistych i niewolniczych dni twoich, do tej błotnistej teraźniejszości, do tego owocu posłuszeństwa złemu, a nieposłuszeństwa Panu Bogu twojemu, który przed wieki wywiódł Izraela z niewoli egipskiej, a po spełnieniu się czasów, powołał go na sługę Sprawy swojej w epoce tej chrześciańskiej wyższej, otworzył mu bramy Jeruzalemu i wzywa go na weselne gody w naznaczonem mu życiu wolnem i radosnem. Tak powróć do początku twojego, stań się Izraelem prawdziwym, a w jednej chwili, błogosławionej przez Chrystusa, staniesz się Izraelem-chrześcianinem, gwiazdą i wzorem dla młodych pokoleń. Czysty izraelski ogień miłości Boga rychło i łatwo podniesie cię ze szczebla niższego, żydowskiego, na wyższy chrześciański szczebel drogi twojej. Nie stawszy się wprzód Izraelem prawdziwym, nie pójdziesz wyżej, Izraelu, grzęznąć będziesz przez wieki w żydowskim błocie twojem i przeciągać będziesz wiekową pokutę twoją. Nie czas już tobie, bracie Izraelu, bawić się duchownemi subtelnościami, gdzie śmierć i rozkosz ducha, gdzie poziome doktrynerskie zaciekanie się, latanie lub rozpełzanie się w duchu, bez miłości i ofiary, bez życia i czynu z ducha. Trzeba już tobie jak najrychlej przyjąć tę pracę gdzie życie i czyn, gdzie krzyż Chrystusa i radość w Chrystusie“ [3]).

[1]) Dodatek Nr. 3. Ze zbiorów własnych.

[2]) Dodatek Nr. 4.

[3]) Pisma Andrzeja Towiańskiego: Tom II, część II. Turyn, 1882, str. 300. Wyjątki z odpowiedzi pewnemu Izraelicie nawróconemu. Śród nawróconych jeden tylko Ram podjął się apostolstwa. „Wyjątek“ ten niewątpliwie odnosi się do niego.

Takiemi myślami Mistrz napełniał Rama, przygotowując go do udania się do Jerozolimy.

Po czternastu prawie miesiącach od daty pierwszego listu, bo dopiero 1 października 1844 r., Towiański wystosował list drugi. Idea połączenia sprawy polskiej z odrodzeniem, ożywieniem i rozbudzeniem Żydów do szerszego życia publicznego, zajmowała nader żywo największe umysły emigracyi. Jak Towiański w pierwszym okresie swej działalności sprawę tego połączenia stawił na gruncie religijnym, tak w dziesięć lat później Adam Mickiewicz próbował ją postawić na gruncie realnym i w czasie wojny wschodniej zakrzątał się koło utworzenia legionu Izraelitów. Jak Towiański miał Rama do pomocy w spełnianiu swojej misyi, tak przy boku Mickiewicza stanął młody i szlachetny zapaleniec Armand Lévy[1]). Wielka myśl Towiańskiego rozbiła się o siłę i przywiązanie Żydów do swojej religii, a piękne marzenie Mickiewicza, niezrozumiane, a po cichu wyszydzane, złamane zostało śmiercią jego. W obu wypadkach jednak Rotszyld niepoślednią odegrywał rolę — jaką? Na to możnaby znaleźć odpowiedź w archiwum Rotszyldowskiego domu.

Po tej krótkiej dygresyi, wracam do rzeczy.

W sprawie nawoływania Izraela do „przyjęcia Woli Bożej" — Towiański nigdy nie wyjaśnił, jak tę „Wolę Bożą" wobec Żydów rozumiał. — Mistrz zapewne niejednokrotnie porozumiewał się z Rotszyldem ustnie, i, jeżeli wolno wnosić z niektórych półsłówek listu (z daty 1 października 1844) zdołał go pozyskać dla Sprawy. Wskazuje na to zarówno tytuł „brata", którym go, jak wszystkich członków Koła obdarza, jak i ta okoliczność, że go nazywa „nosicielem Myśli Bożej".

Zdawszy tedy pokrótce sprawę z tego, jak „Bóg błogosławi Myśli Swej", zawiadamia, że „zawołanie Boże na Izraela zbliża się; zbliżają się wielkie dni Izraela. Moc i potężne ramie Pana na ziemi objawia się Izraelowi, tak jak przed wieki" [2]). „Podnosi się zasłona, która od wieków Izraela zaciemniała. Każdy wierzący widzi, a kto nie widzi, niech winę swą maże, aby widział. Stosownie do zawołania Pana wkrótce Wola Pańska objawioną będzie Izraelowi i tylko przyjęta Wola Pana przez Izraela, może zbawić Izraela" [3]).

Oddawcą tego listu był sam Ram. Świadczy o tem końcowy ustęp: „posyłam ci, o Bracie mój, Brata jednego z Izraela, któ-

---

[1]) Mam na myśli ideę utworzenia pułku Izraelskiego, gorąco popieraną przez A. Mickiewicza w r. 1855 w czasie wojny wschodniej.

[2]) Dodatek Nr. 4. List do Rotszylda z Solury (Szwajcarya) 1 października 1844. Ze zbiorów własnych.

[3]) Dodatek Nr. 4.

rego Bóg wcześnie powołał do Służby swojej, który Izraelskim swym duchem liczne służby w Sprawie Bożej spełnił, który Urząd Boży na stolicy Rzymskiej do powinności dla Boga powoływał i który dzisiaj, obowiązany jest dla Ciebie, Bracie mój Służbę spełnić. Obydwaj nosicie Myśl Bożą w sobie, —jest Wola Boga iż macie obaj, zjednoczeni w Duchu Waszym Izraelskim, Bogu służyć“ [1]).

Tu znowu następuje przerwa. O osobistem zetknięciu się tych dwojga ludzi — Rotszylda i Rama, — którzy mieli spełnić Wolę Boga wobec Izraela, nic nie wiemy. Należy wszakże przypuścić, że Ram otrzymał fundusze na drogę do Jerozolimy, a może i listy jakie polecające, — słowem, że podróż Rama do Jerozolimy postanowioną była za wiedzą i poparciem Rotszylda. Po spełnieniu tedy misyi swojej wobec najznakomitszego reprezentanta Judaizmu w Europie, Ram udał się do Towiańskiego, zarówno w tym celu, aby zdać sprawę ze swego poselstwa, jak i wziąć dalsze wskazówki co do podróży do Jerozolimy, która widocznie przy ustnem porozumieniu się została postanowioną. Towiański przebywał wówczas w Bazylei, dokąd się i Jan Ram udał. Tu, 18 listopada 1844, przed wyjazdem otrzymał od Mistrza t. zw. „Ideę o Jerozolimie“. Były to, można powiedzieć, tematy, które Ram miał rozwinąć i uzasadnić podczas zetknięcia się z przedstawicielami judaizmu w Jerozolimie. „W Jeruzalem— mówił Mistrz — szczyt w błędach Izraela, szczyt oporu, szczyt Ducha Ziemi. Dla Izraela tylko w błędzie najwyższa tam świętość, największa zatwardziałość na Wolę Bożą przy najświętszych formach. Pielgrzymują (tam), aby w fałszu, w twardości, w Duchu Ziemi utrzymywali się, aby Duchowi Chrystusa, Woli Bożej silniejszy opór czynili, kamień Ducha utrwalali, aby nie dali poruszyć się, w oporze dotrwali, kiedy Bóg wszystkiem Izraela porusza“. „Miejsce samo exaltuje do Ideału niepoddania się Woli Bożej w Słowie Człowiekowi podanej — Idei Chrystusa“. „Tam punkt twardy utrzymuje się najłatwiej, tam najświętsza koncentracya w punkcie zatwardzonym. Jako w Paryżu siedlisko nerwów rozwiązanych, tak w Jeruzalem siedlisko rozkoszy ducha skupionego, zatwardzonego“. Dlatego też „prawdziwy Ideał, dla stanu dzisiejszego Izraela, nie był wykazany“. „Dziś dopiero dla kornych Swej Woli Bóg bramy Jeruzalem otwiera“ [2]). Tym wysłańcem, zwiastującym Wolę Boga, tym Apostołem chrystyanizmu między Żydami miał być Ram. Sam Towiański nazwał go „apostołem chrześcijańskim dla Izraela“ [3]).

---

[1]) ibid.

[2]) Dodatek Nr. 5. Idea o Jeruzalemie dana bratu Janowi Andrzejowi Ramowi w dzień jego odjazdu do Ziemi Świętej, 18 Listopada 1844. Rps. Biblioteki w Rapperswilu.

[3]) Dodatek Nr. 6. Do brata Jana Andrzeja Rama 25 IV 1845. Rps. Biblioteki w Rapperswilu.

Tegoż samego dnia, 18 listopada 1844, natychmiast po otrzymaniu „Idei o Jeruzalemie“, Ram udał się w pielgrzymkę swoją — przez Marsylię, Maltę, Konstantynopol do Jerozolimy, dokąd przybył w połowie stycznia 1845 r. Podróż trwała przeszło dwa miesiące, a powrót dopiero w drugiej połowie kwietnia t. r. nastąpił. Sam fakt podjęcia się tej podróży był dowodem głębokiej wiary w posłannictwo Towiańskiego, nadzwyczajnej gorliwości osobistej, graniczącej z zaparciem się siebie samego, jakoteż niezwykłej egzaltacyi i podniesienia ducha, poruszonego wielką ideą. Niepodobna wszakże nie zauważyć, że charakter misyi Rama, o ile mógł być zgodny z duchem chrystyanizmu, o tyle co do strony dogmatycznej nie był dość wyraźnym i nie posiadał znamion chrześcijańskiego apostolstwa. Znaczenie swojej misyi, jako chrześcijańskiej, Ram sam osłabia, przyznając się, że „głównym punktem Służby jego było zaniesienie wyzywu do braci Izraela w Jeruzalemie“[1]) — zatem do poruszenia tylko duszy „zatwardziałych“.

Pierwszą rzeczą, po przybyciu Rama do Jerozolimy, było poznanie się z wybitnymi przedstawicielami gminy izraelskiej. Niewątpliwie listy od Rotszylda lub za jego pośrednictwem dane Ramowi, ułatwiły tę czynność dalekiemu i nieznanemu przybyszowi z północy. Zdaje się, że ostrożność i chęć wywarcia większego wrażenia nie pozwoliły Ramowi przyznać się do zmiany religii. Naprowadza nas do tego wniosku ta okoliczność, że pozwolono mu przemawiać w synagodze, na co niewątpliwie nie pozwoliliby starsi gminy wyznawcy innej religii.

Po zabraniu niektórych znajomości, na miejscu, Ram oświadczył, że „przybył dla zakomunikowania im radosnej wieści i że w tym celu chciałby przemówić“. 29 stycznia 1845 r. o godzinie pół do dziesiątej w synagodze Medras zebrało się przeszło 60 Izraelitów. Tego dnia po raz pierwszy usłyszano w żydowskim domu modlitwy „Słowo“ i „Wolę Bożą“. „Przeszło już cztery lata — mówił Ram — jak na ziemi europejskiej zjawił się Mąż Boży i z rozkazu Bożego oznajmił innym narodom i Izraelowi, bratu naszemu, że Bóg ulitował się już nad nami i woła Izraela do Świętej Sprawy Swojej. Wiele upłynionych wieków przepędziliśmy na modlitwie samej, nie usiłując wybadać jaka jest względem nas Wola Boża. A oto dzień zbliżył się, w którym Bóg, przez prawdziwego Sługę swojego, oznajmia nam Najwyższą Swą Wolę. Mąż Boży, z dozwolenia pańskiego, przynosi nam żywe Słowo. Posłannictwem jego jest: odjąć z narodu

[1]) Dodatek Nr. 7. Pismo brata Andrzeja Rama. Sprawozdanie z podróży jego do Jeruzalem 15 maja 1845. Odpis ręką Seweryna Goszczyńskiego zrobiony, znajdujący się w zbiorach autora szkicu niniejszego.

naszego ten ciężar, który go od tylu czasów gniecie, połączyć narody w braterstwie, zbawić Izraela, przywieść do uznania go na ziemi za pierwszego brata i postawić nas wszystkich pod jedną Najświętszą Chorągwią Swoją". „Od niego tylko dowiedzieć się możemy o wielkości narodu izraelskiego i wysokiem posłannictwie jego w Sprawie Świętej. Od niego wziąść tylko możemy nowe światło na przyszłe życie nasze" [1]). „Tylko przez wykonanie wołania Męża Bożego nastąpi uznanie wyższości Izraela nad rodziny innych narodów".

Słowa takie nie mogły nie poruszyć i nie budzić dumy narodowej tych, którzy wobec świata byli upośledzeni i upokorzeni. Nadzieją przeto i światłem mogły wydać się słowa Rama, który, jak prorok wołał: „Zaklinam Was Bracia, abyście obudzili ducha waszego, który tak wielkim jest przed Bogiem, do zrozumienia Woli Jego, przyniesionej nam przez Sługę Bożego, na którego to przyjście oczekiwał nasz naród od tylu wieków" [1]). Było to tedy nic innego, jak zwiastowanie radosnej nowiny, że czasy już się wypełniły, że w osobie Mistrza jest, przyszedł już, długo oczekiwany... Tyle wieków cierpień i upokorzenia, — aż nareszcie błysnęła nadzieja wyzwolenia. Można sobie łatwo wyobrazić, jakie potężne wrażenie na słuchaczy wywrzeć mogły te słowa. Poruszyły one do głębi dusze tych rozbitków, płaczących na gruzach Jerozolimy i krzepiących się nadzieją.

Rama zarzucono pytaniami. Nie prowadził z nimi sporów, nie wyjaśniał doktryny Mistrza, ale jak prorok, znający dusze ludzkie, odpowiedział: „dziś tylko o to idzie, abyście słowa moje do duszy wszyscy przyjęli" [1]). I zdaje się, że celu tego dosięgnął. On nie przybył na spory religijne, przyniósł tylko „Słowo" Mistrza.

Nazajutrz, po wystąpieniu Rama w synagodze, zjawiło się u niego pięciu delegatów gminy izraelskiej. Ram w sprawozdaniu swojem nie podnosi żadnych tematów ani dogmatycznych, ani religijnych w ogóle. Mówi tylko głucho: „objawiłem im niektóre punkta i w ciągu wielu dni, biorąc każdy szczegół, tyczący obecnego stanu Izraela i przyszłego jego powołania, tłumaczyłem, jakie są dzisiaj ich powinności i obowiązki" [1]). W ten sposób dokonało się „obudzenie ducha Izraela i wyzwanie go do wewnętrznej pracy".

Pobyt Rama w Jerozolimie przedłużył się zapewne do połowy lutego, gdyż w drugiej połowie kwietnia był już w Europie. W ciągu tego pobytu nawiązały się ściślejsze, a serdeczne stosunki. Łącznikiem była Wielka Idea i Wielka Nadzieja. Postanowiono pisać, o tem co słyszano, do „opiekuna Izraelitów w Zie-

---

[1]) Dodatek Nr. 7.

mi Świętej osiadłych, mieszkającego w Amsterdamie" [1]), z prośbą, „aby starano się powziąść bliższe poznanie objawionego Słowa". Obiecano także wyprawić posłów do Polski i do Francyi w tym samym celu. Pożegnano tego zwiastuna dobrej nowiny nadzwyczaj serdecznie, „na kolanach w duchu" — jak się wyraził Ram — i tłumnie odprowadzono za bramy miasta.

Sprawozdanie Rama, z którem poznaliśmy się w krótkości, złożone przed Kołem, wywołało niewątpliwie pewne spostrzeżenia i uwagi, skutkiem czego Ram wygłosił, we dwa dni po sprawozdaniu (17 maja 1845) rodzaj uzupełnienia. Tu już zarysowuje się inna rola Rama, — nie tylko apostoła, ale reformatora raczej judaizmu. „Idea Pana przez brata Rama podana Kołu" nosi wszelkie cechy polemiki z Kołem i wyłamywania się z karbów posłuszeństwa i powagi „Najwyższego Urzędu Katolickiego" — jak mawiał Towiański. „Krzyż czarny — powiada Ram — który dotąd dźwigała ludzkość, należy zmienić na biały, który niczem innem nie jest, jak tylko umiłowaniem Woli Bożej i poddaniem się kierunkowi z całą wiarą i miłością" [2]). „Każda służba, w duchu poczęta, musi być do końca doprowadzona. Niezważać, jaki jej będzie rezultat, bo w Sprawie Pańskiej idzie tylko o wyznawanie dobrego lub złego owocu" [3]).

Zdaje się, że w Kole musiano zwrócić uwagę Rama, że ze sprawozdania jego nie widać, ażeby misya jego miała na celu nawrócenie Żydów na katolicyzm rzymski. Naprowadza na to dalszy ciąg „Idei Pana". „Izraelowi — tłumaczy się Ram — pomóc tylko można, biorąc krzyż jego, ułatwiając zniszczenie kamienia, który ducha jego tłoczy. Kościół katolicki nakazuje mu, aby wierzył, że Chrystus był Bogiem, tego Izrael nie pojmie od razu; trzeba mu dopiero okazać, czy to, co Chrystus przyniósł jest prawdą i czy on ma co przeciwko niej". Tak więc kwestyę wiary sprowadzał na pole dyalektyki. Sam jednak wierzył w prawdziwość „Słowa" Towiańskiego. W kwestyi chrztu wypowiadał się Ram w sposób jeszcze bardziej stanowczy. „Izrael — mówił — nie będzie potrzebował formy chrztu w kościele; schrześciani się on przez przyjęcie nowego ducha. Brat Ram tej formie zadość uczynił dla tego, że przeznaczonem było od Boga, aby światu było wiadomem, iż stanie się jasnem, że Izrael Papieża, Namiestnika Chrystusowego, do Chrystusa wołał" [4]).

Była to już tedy ze strony Rama próba tworzenia jakiegoś nowego chrystyanizmu, nie tylko bez Chrystusa, ale i bez form

---

[1]) ibid.

[2]) Dodatek Nr. 8. Idea Pana przez brata Rama podana Kołu 17 maja 1845. Rps. Biblioteki w Rapperswilu.

[3]) ibid.

[4]) Dodatek Nr. 8.

przyjętych w katolickim kościele, było to lekceważenie władzy namiestnika Chrystusowego, ambitne wywyższanie się, ukryte pod słowami pokory.

Nie wiemy, jakie wrażenie w Kole wywołała ta „Idea Pana", miała ona wszakże wszelkie znamiona sekciarskiego wyłamywania się z pod zasadniczych dogmatów chrystyanizmu.

Zdaje się, że Ram, wstąpiwszy na drogę apostolstwa między Żydami, pragnął na tej drodze wytrwać. Wkrótce po uczynieniu sprawozdania w Kole z podróży swojej do Jerozolimy, widzimy go we Frankfurcie. Zapewne i tam pragnął zdać sprawę i widzieć się z Rotszyldem. O działalności jego w Frankfurcie możemy trochę domyślać się z listu Rama do Adama Mickiewicza (28 lipca 1845 r.). Była to odpowiedź na list Mickiewicza o nieznanej nam treści. Odpowiedź Rama jest do pewnego stopnia sprawozdaniem z jego czynności w Frankfurcie.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa założył tu Koło, skupił gromadkę marzycieli religijnych, głównie pomiędzy niedawnymi współwyznawcami. Domyślać się możemy z tego, co mówi o „braciach", śród których znalazł pomoc i opiekę, jakoteż z przyjaznego stosunku jego z Rabinami. W takiem stadyum swego życia w Frankfurcie otrzymał 22 lipca (1844) list od Mickiewicza, na który natychmiast odpisał, zdając szczegółowo sprawę z tego co zaszło. „Wiele siły i energii mnie przyniosłeś, kochany bracie — pisał. Wszak dobrze pamiętam, kiedy ja tyle razy do brata przyszedłem jak trup, a wróciłem pełen życia, a cóż dopiero, będąc tak oddalony, sam jeden, w takich trudach, to jeden mały listek Brata Adama może mi wiele dobrego zrobić. Ożywiłeś mię, Bracie drogi, za co Bogu i Mistrzu (owi), Zastępcy Pana naszego, dzięki składam" [1]).

Pobyt Rama w Frankfurcie musiał być niedługi, bo już 21 lipca 1845 otrzymał rozkaz opuszczenia miasta, a tegoż dnia zjawiła się w jego mieszkaniu żandarmerya, ażeby go do granicy odprowadzić. „Bracia" ledwie zdołali mu wyrobić 8-o dniowy termin. Prawdopodobnie w tym celu, aby obmyślić miejsce i środki do opuszczenia miasta przez Rama, odbyło się d. 25 lipca „zebranie Koła. „Po zebraniu — pisze Ram — p o c z u l i ś m y (charakterystyczny sposób wyrażania się Towiańczyków) razem, że ja z trzema Rabinami mam się udać do Ambasady francuskiej. I tak się stało. Po południu o 4-ej udaliśmy się do Ambasady. Ci Rabini, co szli ze mną, byli z Hamburga, z Lipska i Darmsztatu, ludzie ucywilizowani, dobrze mówiący po francusku. Wziąłem ich tylko z sobą, ażeby świadczyli o tem, co ja do nich

---

[1]) Dodatek Nr. 9. D o k o c h a n e g o B r a t a A d a m a. 28 lipca 1845. Frankfurt n. M. We własnych zbiorach.

przyniosłem i jaką odezwę zrobiłem“ [1]). Najprzód głos zabrał Ram. „Mnie tam — pisze — Bóg pozwolił śmiało, z prostotą i swobodą czynić. Co mnie tylko Bóg dał w duszy mojej, to przez pół godziny mówiłem o Sprawie. Oni mnie z wielką pokorą słuchali. Mówiłem im, że Francya myśli, iż się tym sposobem wykręci, że Mistrza, posłańca Bożego, wyprawiła i innych także (uczniów jego) wyprawia, że nie chce nic słuchać, to się bardzo myli. To co posłaniec Boży przyniósł dla Francyi, Francya musi przyjąć i zrealizować. Tak samo Izrael przez tyle wieków nie chciał Woli Bożej realizować na ziemi, a teraz ten dzień się zbliżył, że Izrael sam szuka co ma robić, a Mąż Boży ma rozkaz Boski dla trzech narodów. My, jako pierwsi słudzy Sprawy Boskiej, obowiązani jesteśmy tym narodom zakomunikować“ [2]).

Po tem przemówieniu Rama, głos zabierali Rabini, oświadczając, że nie przyszedł tu, aby ludzi wołać „do spisku rewolucyjnego, lecz przyniósł słowa pociechy, na które czekamy oddawna i bez których obejść się nie możemy“ [3]). Na dowód, że są Rabinami, pokazali Ambasadorowi swoje pasporty. Występując śmiało w obronie Rama i głoszonego przez niego Słowa, mówili: „Panu zapewne wiadomo, do czego my się decydujemy. My, choć Niemcy jesteśmy, ale z opowiadania Brata naszego to także czujemy, że Francya ma wielkie powołanie i że Francya tak nie może się zostać“ [4]).

Otóż, zdaje się, że ta propaganda na korzyść jakiejś misyi wszechludzkiej Francyi najbardziej drażniła patryotyczne uczucia Niemców i stała się powodem najbliższym wydalenia Rama. Rząd niemiecki żądał od Ambasady francuskiej odebrania pasportu od Rama, czego wszakże Ambasador nie uczynił, widząc, że tego, co można byłoby nazwać winą, dopatrzyć nie może. „Wychodząc z ambasady — pisze Ram — czuliśmy razem wielką radość i że Bóg nam pobłogosławił“.

Kilka dni upłynęło w niepewności, co robić i dokąd się udać, gdy oto nagle otworzyła się przed nim dalsza droga.

Starsi jerozolimscy, odjeżdżającemu Ramowi mówili, że będą pisać do swego opiekuna w Europie. Był nim Hers Lehr z Amsterdamu. I Ram pisał do niego 17 lipca. Odpisał mu Ekiwa Lehr, brat Hersa, zawiadamiając, że list z Jerozolimy otrzymali, który stał się dla nich prawdziwem błogosławieństwem. Od kilku miesięcy odbywa się u nich wielka praca, ale sami nie wiedzą,

---

[1]) ibid.

[2]) Dodatek Nr. 9. Z tego dłuższego wyciągu widać, że Ram nie dość poprawnie władał polskim językiem, do czego się wreszcie sam w tym liście przed Mickiewiczem przyznał. Ze zbiorów własnych autora szkicu niniejszego.

[3]) ibid.

[4]) ibid.

co robić, czują tylko, że czasy są wielkie, a na tę intencyę modlitwy i post odbywają. Holandya z Anglią połączyły się w tej pracy. Hers Lehr od kilku tygodni wyjechał do Londynu dla powzięcia decyzyi co mają robić. Brat jego zapraszał Rama do Rotterdamu, a stamtąd wraz z Rabinem Rotterdamskim udać się mieli do Londynu [1].

29 lub 30 lipca opuścił Ram Frankfurt.

Zdaje się, że wyjazd do Rotterdamu stał się zwrotnym punktem w życiu duchowem Rama. Ślady jego dalszej apostolskiej działalności na polu nawrócenia Izraela „do Boga“ zacierają się. Czy zetknięcie się z innym światem, czy może argumenty „opiekunów Izraela“, czy wreszcie może inne, nieznane nam przyczyny ochłodziły gorliwość apostolską Rama. Nie znamy dróg, któremi postępowała ta nowa przemiana jego ducha, ale to jest pewnem, że jego zapał mistyczny oziębił się rychło, źródło napięcia religijnego wysychało powoli i Ram, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwyczajem wielu Izraelitów, nawrócił na dawną drogę.

Niewyraźne pojmowanie przez niego ducha chrystyanizmu, a nawet form, zanotowaliśmy już poprzednio. Z czasem ta różnica musiała się pogłębiać, aż wreszcie doprowadziła do oderwania się od kościoła rzymsko-katolickiego lub od Mistrza.

Kiedy to nastąpiło, w jaki sposób, w jakich okolicznościach, pozostaje dla nas dotychczas tajemnicą. Towiański wszakże głęboko odczuł tę nową przemianę duchową Rama. Zbyt wielką wagę przywiązywał do jego nawrócenia się, zbyt szeroko sięgał myślą w nadziejach pozyskania Żydów dla chrześcijaństwa, aby go odstępstwo Rama nie zabolało. Z wyżyn i marzeń religijnych Mistrza oto zstępował jego uczeń na zwykłe, bardzo zwykłe niziny życia.

Dał wyraz Towiański temu swemu głębokiemu rozczarowaniu w liście do Rama. Przypomniawszy mu jego zasługi na polu „powołania apostolskiego dla Izraela“, nie szczędzi gorzkich wymówek. „Ty bracie — pisał — któryś powinien zwyciężyć główny grzech (Izraela), cześć i miłość ziemi, mamony — tych bałwanów, tych bogów cudzych — uległeś kuszeniu złego i w niesłychanem zaślepieniu, zapomniawszy o wszystkiem, co w ciągu trzech lat twoich błogosławionych stało się w tobie i przez ciebie za sprawą Łaski Bożej, odwróciłeś ducha twojego od nieba, a zwróciłeś go do ziemi, ze śmiałością i pewnością rzuciłeś się na drogę ziemską, oddałeś się jej cały, złamałeś przykazanie Boże: „Jam jest Pan Bóg twój; nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną“; a przez to bałwochwalstwo stałeś się odstępcą Boga Pana twojego, zdradziłeś też Izraela, brata twojego. Bóg dopuścił tobie za karę powodzenia na drodze grzechu, aby złe, przyjęte do ducha, ta zdrada twoja, wydała pełny owoc swój dla

[1] Dodatek Nr. 9.

przyszłego rachunku twojego przed Bogiem. I dziś, na drodze tak ciężkiego grzechu, używasz pomyślności ziemskiej. Ziemia hojnie ci płaci za odstępstwo od nieba“[1])

„W wielkiej trwodze czekam — pisał w końcu Towiański — jaki kierunek zakreślisz sobie bracie Janie, sługo Sprawy Bożej, niegdyś wierny i błogosławiony przez Boga, Pana twojego“.

Jakie były winy Rama wobec Mistrza, jaki charakter miało jego odstępstwo od Sprawy Bożej, jaką była ta droga, którą poszedł, sprzeniewierzywszy się Mistrzowi, — nie wiemy. Czy uległ nawoływaniu? Pozostało to także tajemnicą.

Łozina.

---

[1]) Pisma Andrzeja Towiańskiego, t. III, część III. Turyn, 1882, str. 296. „Do nawróconego Izraelity Andrzeja R.“ List bez daty i nie mamy żadnych danych, ażeby tę datę bodaj w przybliżeniu oznaczyć.

Dr ROMAN DYBOSKI.

ROMANTYZM A KRYTYKA DZISIEJSZA W ANGLII.[1]

Sto lat upływa, jak na horyzoncie literackim angielskim pojawiła się prawie równocześnie gromadka świetnych poetów, których dlatego, że zburzyli pseudoklasycystyczne konwencye literackie XVIII wieku, łączy się pod wygodną nazwą romantyków, choć nie tylko nie stanowią zwartej w imię wspólnych haseł grupy, jak szkoły romantyczne we Francyi lub Niemczech, ale przeciwnie potęgą swych poszczególnych osobistości inaugurują erę indywidualizmu, nieznanego epoce poprzedniej.

Pomyślnie się zdarza, że teraz, gdy już i następujący po nich okres wiktoryański leży za nami w pewnem historycznem zamknięciu i zaokrągleniu, i gdy jakaś stała opinia o romantykach po fermentacyi wielu dziesięcioleci i różnych silnych impulsach nadawanych myśli krytycznej przez wielkich literatów XIX wieku, miała czas się wyrobić, — pojawiają się dwie książki, wyrażające stosunek żyjącego pokolenia do tej epoki w dziejach poezyi narodowej. Szczęśliwym też przypadkiem te dwa dzieła, jednakowo nazwane, przedstawiają przedmiot z przeciwnych wprost punktów widzenia i w ten sposób niejako wzajemnie się uzupełniają.

Tytuł „Ruch romantyczny w poezyi angielskiej", z większą słusznością nosi praca prof. Courthopa, zamykająca na roku 1832 — śmierci W. Scotta — jego pomnikową „Historyę poezyi angiel-

---

[1]) *Od szeregu lat daje się zauważyć zagranicą znaczny ruch na polu studyów nad epoką romantyczną. Redakcya „Pamiętnika literackiego", zdając sobie sprawę z doniosłości tych badań w odniesieniu do romantycznej poezyi polskiej, postanowiła w szeregu artykułów, opracowanych przez specyalistów, zaznajomić Czytelników „Pamiętnika literackiego" z najnowszymi wynikami poszukiwań nad romantyzmem Anglii, Francyi i Niemiec, pragnąc tem samem pobudzić do podobnych prac nad romantyzmem polskim.*

Redakcya.

skiej"[1]). Courthope na początku zapowiedział i konsekwentnie przeprowadził zamiar opowiedzenia dziejów poezyi angielskiej jako organicznej części historyi narodu, jako rozwoju jego kollektywnej świadomości w sferze wyobraźni poetyckiej. W ramach takiego obrazu najwięksi nawet poeci są przedewszystkiem heroldami myśli i uczuć, które — mniej świadomie niż ich samych — ożywiają całe otaczające społeczeństwo; występują jako zwiastuni wielkich tendencyi międzynarodowych — jak klasycyzm — przedostających się z kontynentu do Anglii i w ich twórczości przybierających swój charakterystycznie angielski kształt; nadają wyraz w słowach siłom dziejowym, które manifestują się równocześnie w czynach kierujących polityków. Czynniki polityczne w literaturze występują u Courthopa wyraźniej i nabierają większej doniosłości, niż kiedykolwiek dotąd; rzecby nawet można, że idea imperyalistyczna, co dziś tak niezachwianą dzierży władzę nad wszystkimi angielskimi umysłami na świecie, znalazła tutaj swe wcielenie w zakresie krytyki literackiej. Taki sposób przedstawienia, o ile, podobnie jak u Taina, nadaje dziełu artystyczną jedność, o tyle oczywiście przystaje do faktów nie we wszystkich okresach jednakowo dobrze; znajduje wyborne zastosowanie w epokach o bardzo jednolitym temperamencie społecznym, jak Renesans, lub wiek XVIII, który u Courthopa wprost urósł do nowej świetności; mniej odpowiedni jest do traktowania zjawisk silnie indywidualnych, jak właśnie tak zwani poeci romantyczni, lub czasów dążeń tak rozbieżnych i niezharmonizowanych, jak doba wiktoryańska, o którą Courthope wcale się nie pokusił. To też autorytatywny głos krytyczny, który można uważać za wyraz opinii wykształconego ogółu angielskiego, wypowiedział niezadowolenie z ostatniego tomu dzieła, jako „zewnętrznego" jedydynie opisu grupy romantyków, nie oddającego sprawiedliwości ich osobistym fizyognomiom poetyckim, i nie sięgającego do estetycznej istoty ich twórczości [2]). W każdym razie Couthope, szeroko przedstawiając podłoże ideowe, z jakiego literatura wyrasta, rozbierając jej treść myślową i formy stylistyczne i metryczne, illustrując to często cytatami wybranych ustępów, podając fakta biograficzne, sumiennie spełnia elementarne zadania historyka i dostarcza konkretnej podstawy do układu uwag nad tem, co dzisiejsza Anglia myśli o romantykach.

---

[1]) W. J. Courthope, C. B., M. A., D. Litt., L. L. D., formerly Professor of Poetry in the University of Oxford: *A History of English Poetry*. London, Macmillan, 1895—1910. Vol. VI: *The Romantic Movement in English Poetry. Effects of the French Revolution.*

[2]) *The Times* (*Literary Supplement*), 4. 2. 1910: *An Outside View of the Romantics.*

Historyą ruchu romantycznego wcale nie jest i być nie chce książka Symonsa [1]); jako praca w założeniu nie-historyczna zapowiada się już przez motto z Williama Blake: „Wszystkie epoki są jednakowe; tylko geniusz wznosi się zawsze ponad epokę“ [2]). Autor sam jest poetą, a w krytyce zapisał się już charakterystyką nowożytnych symbolistów [3]), oraz pismami o wybitnych osobistościach artystycznych [4]): i tu chodzi mu o szereg sylwetek ludzi wielkich i mniejszych, o galeryę portretów literackich. Wyklucza całkiem mechanicznie poetów urodzonych po roku 1800, lub zmarłych jeszcze w XVIII stuleciu (z tej racyi brak np. Burnsa!); u tych zaś, o których mówi, zajmuje się wyłącznie kwestyą, „czem każdy z nich był sam w sobie, co z siebie zrobił w swej twórczości“. Interesuje go wyłącznie poeta i jego poezya, nie ich tło w czasie i miejscu; przedmiotem jest stosunek mistrza do sztuki, nie do społeczeństwa. Można to uważać za istotniejsze ujęcie problemu niż u Courthopa, można powiedzieć, że gdy tamten bada ziemię i klimat, ich wpływ na budowę i rozwój rośliny, ten mówi o jej życiu w stanie rozwiniętym, o barwie, kształcie i woni kwiatu. Zapytać tylko trzeba, czy też o tej wielkiej tajemnicy, jaką dla nas jest dusza artysty i jej wyraz w piękności skończonego dzieła, można rzeczywiście coś określonego wiedzieć, a przynajmniej w języku dla ogółu ludzi zrozumiałym powiedzieć. Rozdział Symonsa o Shelleyu da na to niepocieszającą odpowiedź: piękno, jako fenomen oderwany, jako absolut, nigdy zdefiniować się nie da — ani też jego psychiczne źródła. Historya literatury zawsze pozostanie tylko obszernym komentarzem do jej dzieł. Z tej antycypacyi ujemnego na ogół rezultatu wynika także, że syntezy Symonsa dopiero po syntezach Courthopa zrozumieć i ocenić można, gdyż te rozporządzają uchwytniejszym materyałem faktycznym. Z tego powodu, i ze względu na systematyczny porządek, w niniejszym przeglądzie Courthope nam będzie przewodnikiem, a w granicach jego ujęcia przedmiotu i na uwagi o charakterystykach Symonsa znajdzie się zawsze odpowiednie miejsce.

*
* *

Punktem wyjścia dla Courthopa, jak to już pod-tytuł jego tomu zapowiada, jest przewrót dokonany w stanie i świadomości całej Europy przez rewolucyę francuską; to też po partyach dzieła, poświęconych rozwojowi społeczeństwa angielskiego mniej więcej odrębnemu, insularnemu, wypadło mu teraz znowu, tak

---

[1]) Arthur Symons: *The Romantic Movement in English Poetry*. London, Archibald Constable & Co., Ltd., 1909.

[2]) *Ages are all equal; but genius is always above the age.*

[3]) *The Symbolist Movement in Literature*, 1899.

[4]) *Aubrey Beardsley*, [1] 1898, [2] 1906.

jak w pierwszym tomie, gdzie była mowa o międzynarodowej w swej istocie kulturze średniowiecznej, zwrócić uwagę na wymianę idei między Anglią a kontynentem europejskim. To czyni potrzebnym rzut oka na stan duchowy głównych narodów kontynentalnych w okresie, gdy już Renesans w zupełności dokonał swego dzieła ukształtowania ich nowożytnej fizyognomii. W środku obrazu stoi naturalnie Francya, której język, wydoskonalony za Ludwika XIV, staje się kosmopolitycznym, a której umysły krytyczne dokonują swego destruktywnego dzieła na zarysowanej już społecznej budowie starej Europy. Centrum tego starego porządku było tysiącletnie cesarstwo rzymsko-niemieckie, któremu jako symbolowi jedności duchowej cywilizowanego świata Courthope w całem swem dziele przypisuje stanowczo przesadzone i w historyi literatur Zachodu nieistniejące znaczenie: nienaturalnem jest, żeby historyka poezyi angielskiej do zamknięcia swego dzieła na roku 1832 skłaniał między innymi ten powód, że w r. 1806 cesarstwo rzymsko-niemieckie istnieć przestało. a nowy symbol jedności nie stanął na jego miejscu; przecież już od wojny trzydziestoletniej o jakiemkolwiek znaczeniu cesarstwa, jako czynnika kulturalnego, na seryo mówić nie można![1]) Bardzo niejasne też, jak wszyscy prawie krytycy angielscy. ma Courthope wyobrażenia o rozwoju literackim Niemiec, i obszerny ustęp, mający przedstawiać, jak Niemcy inną drogą doszli do tej samej rewolucyi umysłowej w XVIII wieku co Francuzi, przedstawia się zupełnie chaotycznie. Jak literatura i myśl angielska XVIII wieku wpłynęły użyźniająco na Francyę i Niemcy, a potem, przekształcone na twory ideowe, jak Rousseauizm, metafizyka i Bürgerowski romantyzm, wróciły do Anglii jako nowe czynniki, to znowu proces dobrze już znany i szczególnie przez Niemców od czasów Hettnera intenzywnie badany. Rezultat, którym Courthope kończy ten rozdział, — że przez popularyzacyę kosmopolitycznych idei rewolucyjnych pod koniec XVIII wieku opinia angielska była przygotowana na korzystne przyjęcie jakichś inicyatorskich eksperymentów w sztuce poetyckiej, — musi nam się tedy wydać zbudowany na zbyt rozległym aparacie historycznym, którego odniesienie do tej końcowej myśli niezawsze jest wyraźne, — ponadto zaś wobec faktycznego przyjęcia, jakiego u publiczności angielskiej doznała n. p. poezya Shelleya, tylko w ograniczonej mierze za słuszny uznany być może.

Agonię pseudoklasycyzmu opowiada Courthope szczegółowo w osobnym rozdziale. Dekadencya klasycystycznej poezyi odzwierciedla mu polityczny upadek partyi Whigów w kilkadziesiąt lat po wielkiem dziele bezkrwawej rewolucyi r. 1688, — i równole-

---

[1]) Psychologicznem źródłem tej ułudy jest zapewne nieprzeparta fascynacya dzieła, w którem światły prawnik i historyk James B r y c e przedstawił znaczenie cesarstwa dla historyi kultury (*The Holy Roman Empire*).

gły z tem najniższy może w dziejach nowożytnych upadek znaczenia Anglii w świecie. Nazwiska i produkcye trzeciorzędnych poetów, illustrujących ten uwiąd starczy, nie potrzebują nas tu zajmować; cały ich szereg znajdujemy i u Symonsa, który dla nadania należytego tła portretom kilku największych, formalnie natłoczył swą książkę mikroskopijnemi sylwetkami drobniejszych literatów.

* * *

Rewolucya romantyczna w poezyi angielskiej, właściwie się zaczyna w Szkocyi od natchnionych nieznaną w XVIII wieku siłą uczuć i namiętności pieśni rolnika-poety Roberta Burnsa. Szczera sympatya łączy tego szkockiego chłopa z ideami poczynającej się polityczno-socyalnej rewolucyi we Francyi — ta sama intuicya serca, co w kilkadziesiąt lat później innego syna wsi szkockiej, Tomasza Carlyle, zrobiła jednym z najświetniejszych historyków wielkiej rewolucyi; — to też Courthope w pieniach Burnsa widzi przedewszystkiem pierwszy wyraz potęgi nowożytnej demokracyi w świecie wyobraźni anglosaskiej. U Burnsa ta demokratyczna tendencya przybiera konkretną formę, głównie w satyrach przeciwko oligarchii kleru, ciążącej jarzmem nad całem umysłowem i socyalnem życiem kraju. W tym anty-teokratycznym proteście zarówno jak w użyciu narzecza szkockiego i jego starych form metrycznych, poprzedziła Burnsa cała gromadka mniejszych geniuszem poetów oraz miłośników dawnej poezyi, jak perukarz (potem księgarz) Allan Ramsay w Edynburgu, co pierwszy przez nowe przedruki świadomie poszukał łączności ze zapomnianą heroiczną erą szkockiej poezyi popularnej przed unią szkocko-angielską, i w ten sposób oddał literaturze narodowej tę samą usługę, co później od niego w Anglii biskup Percy przez swój sławny w całej Europie zbiór starych ballad ludowych (*Reliques of Ancient English Poetry*, 1765). Bezpośrednim wzorem dla wielu realistyczno-obyczajowych obrazków Burnsa stały się poezye młodo zmarłego Roberta Fergussona. Jego i innych jednak przewyższa Burns uniwersalizmem, apelem do uczuć ogólno-ludzkich, właściwym poecie pierwszej wielkości.

Tej kultury literackiej, jaką posiadał, nabył Burns ze źródeł pseudoklasycznych, z dzieł Aleksandra Pope i jego szkoły; wskutek tego wyrobiła się utarta ocena jego twórczości, dzieląca ją na dwa kompleksy: wiersze w stylu XVIII wieku, pisane literacką angielszczyzną — zimne, konwencyonalne i bezduszne; z drugiej strony pieśni ludowego rodzaju, pisane w narzeczu szkockiem lub z jego domieszką — pełne ognia i melodyi. Tę nazbyt gładką syntezę rektyfikuje Courthope. Stwierdza jako założenie, że Burns „pierwszy w literaturze angielskiej“ — wyraz nieco przesadny — wyśpiewał lirycznie elementarne poruszenia ludzkiej duszy akcentami osobistego uczucia; illustruje to zaś

30*

przykładami z wierszy pisanych czysto po angielsku i świadomie wzorowanych na poezyi angielskiej owego wieku, a jednak ożywionych nieprzepartą potęgą ogólno-ludzkich emocyi. Przybywa w ten sposób jeden więcej doniosły fakt do tej rehabilitacyi organicznej doniosłości XVIII stulecia w rozwoju prawdziwej poezyi, jakiej już w poprzednim tomie swego dzieła dokonał Courthope. Co do wierszy dyalektycznych Burnsa, Courthope na podstawie doskonałego wydania Henleya i Hendersona uwydatnia przedewszystkiem organiczny związek tej twórczości z poezyą ludową szkocką wieków poprzednich, stara się wykazać postęp w doskonałości artystycznej, w harmonii między formą a treścią, jaki ona stanowi w porównaniu do tych dawniejszych stadyów i w ten sposób uwypuklić postać poety, w tak rzadkim stopniu łączącego rdzennie narodowy i ludowy charakter z potężną siłą nad sercami czytelników wszystkich krajów i pokoleń.

* * *

Podczas gdy w Burnsie cała Szkocya z największym zachwytem witała wieszcza narodowego, w Anglii żył, pisał i rysował nieznany prawie nikomu dziwak i wizyoner, malarz-poeta William Blake. Wielkość jego odkrył dopiero w drugiej połowie XIX wieku Swinburne, i odtąd ta osobliwa postać stała się przedmiotem rozlicznych interpretacyi, przesadnego nieraz uwielbienia obok szczerych trudów krytycznych i wydawniczych. Zaczynając od naśladowania poezyi XVIII wieku, oraz wcześniejszych wzorów z epoki bezpośrednio po Shakespearze, Blake przez swe zdolności malarskie dochodzi później do własnego, odrębnego stylu. Silny od początku wpływ Swedenborga — ojciec poety był Swedenborgianinem — z wiekiem wzrastał, a przez samą reakcyę przeciw sceptycyzmowi i obojętności czytającego ogółu wzmacniała się coraz bardziej wiara w prawdziwość i nieomylność mistycznych widzeń, które mu od młodości towarzyszyły na drodze żywota. Z metafizyką Blake'a, ku niezadowoleniu może fanatycznych jego zwolenników, Courthope załatwia się krótko jako chaotyczną mieszaniną gnostycyzmu, kabalistyki, mistycyzmu i magii, jasno wyrażającą jedną tylko tendencyę: powstanie przeciwko wszelkim intellektualnym autorytetom; tradycyjna interpretacya biblii jest jednem wielkiem złudzeniem empiryczne rozumowanie drugiem — oto dwa jego destruktywne dogmaty, na których żadna konstrukcya się nie wznosi. Podziwia natomiast Courthope, jak podziwiać musi każdy czytelnik, pierwotną, dziecięcą prostotę sławnych *Songs of Innocence* Blake'a; ale tu stoimy wobec absolutnego piękna, wychodzącego poza wszelkie historyczne ramy, o którem zatem nic objektywnego powiedzieć się nie da. Pozostaje więc jako definicya stanowiska Blake'a znowu tylko formułka, że jest jednym więcej symptomem zasadniczej rewolucyi w literaturze.

O istocie inspiracyi Blake'a spodziewamy się usłyszeć nieco więcej od Symonsa, który poświęcił mu także osobną książkę [1]. Co do literackich asocyacyi przedewszystkiem, stwierdza on w przeciwieństwie do skonstatowanej przez Courthopa zależności od poezyi XVIII wieku silną fascynacyę romantycznych pieśń „boskiego chłopca" Chattertona, które ten niewinny fałszerz podawał za znalezione średniowieczne zabytki; obok wpływu jego i Ossyana ulega Blake od początku potędze wielkich poetów okresu szekspirowskiego. Po tem wszystkiem jednak, wobec treści i czaru poezyi Blake'a, impresyonistyczny krytyk jest równie bezsilny, jak historyczny; widzi się zmuszonym do wyznania, że „chcąc zdefiniować poezyę Blake'a, trzebaby znaleźć nowe definicye poezyi w ogóle"; ale w świetle takich definicyi Blake okazałby się „jedynym prawdziwym poetą", co zapewne ma znaczyć, że w pewnych ważnych, konstytucyjnych przymiotach poety okazać się musi bardzo odmiennym od wszystkich innych, podobnie, jak oddzielonym od nich jakąś zasadniczą różnicą jest wiekuiście nieuchwytny Shelley; na sposób Shelleya przynajmniej Blake, jak to w dalszym ciągu wywodzi Symons, wynosi się ponad wszelkie silne ziemskie wzruszenia, o których śpiewają zwykli poeci rodzaju ludzkiego; o innych niż nasze on sprawach duma, niby dziecko, zasłuchane w ginące echa jakiegoś przedziemskiego bytu; zdaje się nie dotykać go głęboko ani miłość niewiasty, ani braterstwo człowiecze, ani smutek, ani religia, ani natura; wychowanie wydaje mu się nie tylko illuzyą, ale „złem" i „grzechem"; jako „błąd Platona" określa, że „znał tylko cnoty i występki"; otóż w tych socyalnych kategoryach złego i dobrego „nic niema; wszystko jest dobre w oczach Boga" (cytuje Symons). Rzeczywistości materyalnego życia są mu tylko złem koniecznem, niedoskonałymi symbolami, jakie posiadamy na rejestrowanie świetnych i wiekuistych rzeczywistości świata wyobraźni: te zewnętrzne symbole tylko z początku jego karyery poetyckiej żywiej go zajmują, i wtedy kreśli z miłością kwiaty i zwierzęta; ale już wtedy nadaje im dziwne i wielokrotne mistyczne interpretacye. Żyjąc zaś stale w sferze absolutu, z czasem pragnie zupełnie się wyzwolić od tych marnych ziemskich symbolów i znaleźć absolut także w formie i wyrażeniu. Tego usiłował dokonać w niezrozumiałych dla nas „Księgach proroczych" (*Prophetic Books*), zachowanych zresztą tylko fragmentarycznie. Tu oczywiście nastąpić musiała katastrofa literacka: zrywając z przyjętymi środkami wyrazu, poeta pozbawia się ludzkiego audytoryum, i wizye jego, jakkolwiek dokładnie i wiernie oddane, nie mają tej racyi bytu, jaką jedynie nadaje dziełu sztuki świadome udzielanie czytelnikowi czy widzowi stanów twórczej duszy. To, co niezupełnie właściwie nazywanem bywa obłędem i majaczeniem u Blake'a,

[1] *William Blake.* 1907.

w rzeczywistości jest klasycznym przykładem bankructwa zasady „sztuka dla sztuki“ przy konsekwentnem aż do ostateczności zastosowaniu.

* * *

Wybuchła rewolucya francuska i odbiła się na konfiguracyi stronnictw angielskich: partya „nowych Whigów“ pod wodzą Foxa stanęła pod sztandarem tych ideałów wolności i równości, jakie głoszono we Francyi, z drugiej strony Burke potężnem słowem broni dawnych narodowych ideałów feudalno-monarchicznych, i w tej obronie jednoczą się dawni Whigowie z obozem konserwatywnym. Temperament polityczny, ożywiony przez ten nowy układ stosunków, przenika publicystykę krytyczną. „Neo-Whigizm“ w *Edinburgh Review* tworzy sobie organ przeglądu całego intellektualnego życia narodu z punktu widzenia swej rewolucyjnej filozofii socyalnej; nowe pojęcie swobody wniesione tu jest i do krytyki literackiej; autorom potępianym przez wiek XVIII za „nieregularność“, jak Shakespeare i całe mnóstwo pomniejszych poetów XVII stulecia, nie odmawia się należnego im uwielbienia; obok tradycyjnego autorytetu wzorów klasycznych i styl średniowieczny wchodzi w swoje prawa w dziedzinie smaku.

Wobec tak zmienionego areopagu krytycznego, któremu powagi dodają koneksye z wysoce arystokratycznymi przywódcami neo-Whigów, rozgrywa się przejście samej poezyi od dogmatów klasycznych do romantycznych: stadyum przejściowe illustrują dzieła trzech poetów z neo-whigistycznego obozu.

Bankier londyński S a m u e l R o g e r s więcej jako towarzyskie centrum życia literackiego kilku z rzędu generacyi niżeli jako poeta zasługuje na wspomnienie. Ale symptomatycznym jest w swych pozbawionych natchnienia wierszach: od poematów dydaktycznych ściśle w stylu XVIII wieku przechodzi do opowiadających, które naśladują romanse poetyckie Scota, a ze swej strony nie są bez wpływu na oryentalne epyllia Byrona: Rogersa „Podróż Kolumba“ stanowiła bezpośredni wzór tego „poematu we fragmentach“, jakim stał się „Giaur“; a z wierszowanego przewodnika po Włoszech korzystał jeszcze Ruskin.

Wyższy od Rogersa temperamentem, a co zatem idzie, i rzeczywistem natchnieniem poetyckiem, T o m a s z C a m p b e l l ma tytuł do szczególnej wdzięczności Polaków, jako jeden z najgorliwszych w zachodniej poezyi rzeczników naszej sprawy we wszystkich jej fazach od r. 1794 do 1831. W dłuższych swych poematach — dydaktycznych, jak „Rozkosze nadziei“, lub epicznych, jak pensylwańska opowieść o „Gertrudzie z Wyoming“ — kieruje się smakiem XVIII wieku; natomiast w lirycznych balladach o wielkich wypadkach wojennych epoki, — jak *Hohenlinden* lub „Bitwa na wodach duńskich“ *(The Battle of the Baltic*

— tchnął, może sam jeden w Anglii, coś z marsowego entuzyazmu generacyi napoleońskiej w prawdziwie płomieniste rytmy. Słusznie przytem zauważa Symons, że wiersze o sprawach, które daleko głębiej duszę poety przejmowały niż bitwa pod Hohenlinden — np. o wygnańcach irlandzkich (*The Exile of Erin*), albo o niebezpieczeństwie najazdu na Anglię — są nierównie słabsze od tamtych militarnych ballad, że zatem te wspaniałe utwory stanowią jeden więcej przykład, jak istotnie odmiennym i niezależnym od wszelkich innych najwyższych wzruszeń duszy ludzkiej jest ten tajemniczy impuls, który nazywamy natchnieniem poetyckiem i artystycznem.

Tomasz Moore, już jako Irlandczyk w opinii Anglików nigdy nie zajmował tego wysokiego stanowiska, co na kontynencie — niegdyś u romantyków wszystkich narodów, a dziś jeszcze u sentymentalnych Niemek; popularność, jaką się za życia cieszył w najwyższem towarzystwie angielskiem, jest podstawą tradycyjnego traktowania go jako prostego poety salonowego, autora świadomie efemerycznych *vers de société*. I dla Courthopa jego patryotryotyzm irlandzki jest teatralny, kosmopolitanizm czysto towarzyski, uczucie w ogóle zawsze powierzchowne; że jest w nim tylko nieobliczalna zmienność irlandzkiego temperamentu, a niema baśniotwórczej wyobraźni irlandzkiego chłopa, stwierdza z naciskiem Symons; w tym też duchu porównuje go — oczywiście bardzo na niekorzyść — z genialnym dzisiejszym piewcą keltyckiego ducha, Yeatsem [1]). Nawet uznana melodyjność wiersza u Moora, wydaje się Symonsowi, oceniającemu przecież poetów przedewszystkiem według artystycznych kryteryów, czysto „cyrkową“ zręcznością bez głębszego zmysłu dla harmonii między formą a treścią.

Naprzeciwko poetów nowego liberalizmu stoi grupa poetyckich przedstawicieli reakcyi narodowej przeciwko wpływom rewolucyi francuskiej, znana pod nazwą „Anty-Jakobinów“. Jako pisarzom wybitnie politycznym, poświęca im Courthope obszerny rozdział; nas tutaj tak obszernie zajmować nie potrzebują. Thomas James Mathias (świetny italianista), George Canning (sławny minister) i John Hookham Frere (znakomity tłómacz Arystofanesa) należą do najdowcipniejszych satyryków literatury angielskiej; romantyzmu w poezyi, tak samo jak rewolucyi w polityce i rousseauizmu w sferze socyalnej są stanowczymi przeciwnikami. Doniosłość dla ruchu romantycznego ma jedynie Frere, który dał Byronowi wzór użycia oktawy w żartobliwej epopei na sposób włoski; ale sam jego utwór — „Król Artur i Okrągły Stół“, czyli „Mnichy i Olbrzymy“ —wydany jako dzieło „braci

[1]) Którym zresztą także mniej subtelne natury wśród Anglików stanowczo gardzą, jako „ckliwym i afektowanym“ (*ipse audivi*).

Whistlecraft, rymarzy w Suffolk" — mimo wielkiej doskonałości technicznej należy dziś, jak to trafnie określa Symons, do „fossiliów literackich" [1]).

* * *

Zbliżamy się do największych zjawisk epoki, do pamiętnego roku 1798, w którym dwaj młodzi przyjaciele Coleridge i Wordsworth we wspólnie wydanym tomie *Lyrical Ballads* występują z programem zupełnego odnowienia poezyi.

Wiadomo, że Wordsworth, który w młodości głosił zrównanie dykcyi poezyi z prozą, a przez całe życie wypełniał swą twórczość prawie wyłącznie panteistycznem nabożeństwem do Natury, w oczach Anglików, jako odkrywca poetyczności codziennego życia jest jednym z największych poetów narodu i głębokością myśli z Goethem równać się może; na kontynencie dotąd mało znany, dla swych ziomków jest postacią i droższą i wyższą od wielbionego przez obcych Byrona. Obszerny jego autobiograficzny poemat *The Prelude*, każdemu krytykowi poety jest najautentyczniejszym przewodnikiem; idzie za nim i Courthope; opowiada, jak młody Wordsworth, podczas pobytu w rewolucyjnej Francyi bezkrytycznie zapalony do jej ideałów, później rozczarowany przez terror we Francyi i wojnę Anglii przeciw republice, chwilowo ujęty utopijną spekulacyą polityczną, jaką głosił Godwin w *Political Justice*, przez siostrę potem skierowany na nowo ku bogini swych lat chłopięcych — Naturze, i znowu bezkrytycznie najgłębszej treści osobistego życia szukający w prostych duszach swych wiejskich sąsiadów, — w całym tym rozwoju przedstawia obraz umysłu niedojrzałego filozoficznie któremu trzeba było tego dopełnienia, jakie wstępuje w jego horyzont przez ścisłą przyjaźń z Coleridgem. Rozpoczyna się ona w r. 1796; wstępuje w nią Coleridge jako umysł wtedy, jak przez całe życie, niezmiernie lotny, ruchliwy, wszechstronny, improwizatorski, pełen przeróżnych niezharmonizowanych wrażeń i natchnień literackich, historycznych, filozoficznych, pełen coraz nowych i świetnych, a nigdy nie wykonanych planów i projektów. Spotykają się we wspólnym zachwycie dla ideałów rewolucyi; wspólnie też znoszą bolesny zawód; w dalszem następstwie rezygnacya i konserwatywne zobojętnienie wobec polityki przychodzi u Wordswortha wcześniej i łatwiej, niż u jego niespokojnego przyjaciela. Zetknąwszy się w okresie najbogatszym w przeżycia duchowe, dwie dusze tak niezwykle wyposażone nie mogły nie wywrzeć na siebie wzajemnie głębokiego wpływu. Wordsworth jako ustalający i ustateczniający czynnik w roznerwowaną na-

---

[1]) Por. A. Eichler, *John Hookham Frere, sein Leben und seine Werke, sein Einfluss auf Lord Byron.* 1905. (Wiener Beiträge zur englischen Philologie, ed. J. Schipper, XX).

turę towarzysza, wniósł te maksymy etyczne, jakie wyciągnął ze swej panteistycznej czci dla Natury; Coleridge znowuż ożywił i uładził jego filozoficzne spekulacye swą twórczą myślą i metafizycznem wykształceniem. Przytem wrażliwy Coleridge z charakterystyczną uległością uznaje i wielbi duchową wyższość Wordswortha, podobnie jak później Shelley cenił Byrona jako większego od siebie poetę.

Pierwszym owocem przyjaznego stosunku był pomysł zbiorku poezyi, do którego Coleridge miał się przyczynić utworami o przedmiotach fantastycznych i nadprzyrodzonych, Wordsworth — o realnych i powszednich. Wyszły *Lyrical Ballads*: Coleridge zdołał napisać do nich jedną tylko balladę o „Starym żeglarzu" (*The Ancient Mariner*), arcydzieło romantycznej poezyi,— Wordsworth nadał tomowi charakter przez cały szereg wierszy z codziennego życia wsi angielskiej, a w drugiem wydaniu także przez głośną teoretyczną przedmowę. Najlepszą krytykę tej przedmowy, zrównującej poezyę z prozą, napisał w kilkanaście lat później Coleridge w kilku rozdziałach swej autobiografii (*Biographia Literaria*).

W późniejszem życiu rozeszły się drogi poetów. Wordsworth kroczył dalej w kierunku wytkniętym i obok dzieł nieśmiertelnych tworzył dziecinnie banalne, w ostatnich dziesięcioleciach życia wyłącznie takie. Coleridge kilkakrotnie jeszcze się zerwał do orlich lotów myśli i wyobraźni, ale zresztą pod wpływem nieszczęsnej namiętności do opium, marniał w nieproduktywnej szarpaninie. Jedynem wspólnem przedsięwzięciem po *Lyrical ballads* była podróż do Niemiec, która u Coleridge'a wydała doniosłe owoce w postaci znakomitego tłomaczenia *Wallensteina* Schillera, oraz pism i odczytów filozoficznych, zaznajamiających Anglię z klasykami współczesnej spekulacyi niemieckiej; — w ten sposób położył Coleridge podwaliny pod wydatniejszą w tym kierunku działalność Tomasza Carlyle.

Z wczesnych a stałych metafizycznych skłonności Coleridge'a i z mistycznego panteizmu Wordswortha wyrosła wspólna im obu, nowa zupełnie teorya poezyi; według mniej lub więcej jasnych i zgodnych określeń obydwóch, funkcya poezyi jest religijnie-mistyczną; zadaniem wieszcza odsłaniać siłą swej wyobraźni tajniki życia Natury, niedostępne zmysłom. Wiarę w tę misyę poety Coleridge niebawem utracił, podczas gdy Wordsworth, na niej właśnie polegając, stał się tym wielkim odkrywcą poetyczności najdrobniejszych, pospolitych wypadków codziennego życia, którego w nim wielbi naród angielski.

Jak zupełny przewrót taka doktryna o istocie poezyi stanowić musiała w jej historyi, trafnie określa Courthope, zestawiając ją z przyjętemi aż do owego czasu zapatrywaniami: według nich połowa przynajmniej warunków wielkiej poezyi leżała w przedmiocie samym, a ostateczny wyrok, czy udało się poecie nadać

temu przedmiotowi najdoskonalszą możliwą formę, przysługiwał czytelnikowi; według Wordswortha, doniosłem dla wartości utworu było jedynie subjektywne widzenie poety, a czytelnik, jeżeli nie wnikał całą siłą duszy w tę osobistą treść utworu, zasługiwał na wzgardę. Nie trudno widzieć, jak w tem pojęciu swojego zawodu głośny i dziś popularny Wordsworth stoi na zupełnie tym samym gruncie, co nieznany ogółowi po dziś dzień samotny wizyoner Blake.

Jeżeli poezya według teoryi Wordswortha miała zadanie filozoficzne, to w logicznem zastosowaniu wynikało stąd, że i dykcya poezyi nie mogła być zasadniczo odmienną od języka filozoficznych roztrząsań: w ten sposób z poglądami na istotę poezyi łączyło się wymaganie, by jej styl był ten sam, co literackiej prozy. Od tego punktu zaczynała się opozycya Coleridge'a, którego krytycznie wyszkolony umysł wzdragać się musiał na taki paradoks; ten jego protest nie pozostał nawet bez wpływu na późniejszą produkcyę Wordswortha. Poza tem jednak i Coleridge, uwikłany w sieć metafizycznie-apryorycznych definicyi twórczości poetyckiej, nie mógł poznać tak jasno kardynalnej słabości utworów przyjaciela, jak ją określił np. sympatyczny essayista a bystry krytyk Charles Lamb, stwierdzając w liście do Wordswortha bez ogródek, że niektóre jego wiersze są zbyt bezpośrednio dydaktyczne. Istotnie przykro razić musi mentorstwo autora, tak z góry nie liczącego na tę kooperacyę wyobraźni czytelnika, która stanowi przecież ważny czynnik rozkoszy estetycznej. Ten dydaktycyzm wyklucza wszelką zdolność do dramatu i epopei: dramat *The Borderers* jest wykładem doktryn politycznych, a dwa najobszerniejsze dzieła Wordswortha, filozoficzne *The Excursion* i autobiograficzne *The Prelude*, oba równe objętością „Eneidzie“ lub „Rajowi utraconemu“, całkiem odmienny od epickiego obudzają interes; w nich też niejednokrotnie dyssonans między podniosłym rytmem białego wiersza a pospolitością przedstawianych drobnych faktów powszedniego życia, najnieprzyjemniej odczuć się daje. — Właściwem polem dla poety tego ustroju jest liryka refleksyjna, i w niej poezya Wordswortha święci największe swe tryumfy; właśnie w tej dziedzinie jednak najwyżej wznosi się Wordsworth jedynie tam, gdzie treść uczuciowa jest tak ogólno-ludzką, że znika w niej osobistość poety, — nie zaś w utworach według jego własnej teoryi najbardziej typowych dla jego twórczości, a w naszych oczach przez realizm szczegółów nieznośnie prozaicznych. Tutaj też stosunek do przedmiotu zgoła odmienny jest często od krytycznych doktryn poety: nie rewelacye ukrytych prawd i praw, które wyobraźnia poety dostrzega pod zewnętrzną powłoką rzeczy, ale myśli proste i powszechne, wysnute z przedmiotu samego, jak się przedstawia oczom wszystkich ludzi, są treścią najdoskonalszych wierszy Wordswortha. Charakterystycznem też jest, że w u-

znanych ogólnie za najpotężniejsze utworach, najbardziej zbliża się poeta do dykcyi klasycznej; przykładem tego nadewszystko sławny poemat *Laodamia*, w monologu bohaterki przedstawiający znaną starożytną opowieść o widzeniu się stęsknionej żony z cieniem zmarłego małżonka; dyametralnie wprost w tych wspaniałych strofach oddaleni jesteśmy od stylu, jaki zalecała przedmowa do *Lyrical Ballads*. Podobnie znamiennym jest faktem, że ulubioną formą metryczną poety, którą prawdziwie po mistrzowsku władał, stała się najsztuczniejsza ze wszystkich: forma sonetu. Subjektywną przyczynę tak głębokiej różnicy między teoryą a praktyką poetycką wyjawił nam w jednym ze swych kilkuset sonetów sam Wordsworth, opowiadając, jak za wzorem tylu istot w świecie ludzkim i zwierzęcym, co z pogodą i zadowoleniem w ciasnych życia granicach się obracają, i on z chęcią uprawia wąską grządkę sonetu, rad, jak dodaje, że da może przez to pociechę duszom, co jak on sam

„poczuły przykry ciężar bezmiernej swobody“ [1]).

*
* *

Jeżeli w ten sposób za przewodnictwem Courthopa poznaliśmy pewne cechy poezyi Wordswortha w świetle jego teoryi, często w przeciwieństwie do nich, to u Symonsa spotykamy się ze samą jego psychą poetycką, niezależnie od jakichkolwiek doktryn, tak jak ją widzi krytyk-artysta w jego poematach. Podstawą do tej analizy jest absolutna i niezaprzeczona szczerość Wordswortha, zaś decydującym czynnikiem w rozwoju jego osobistości literackiej według Symonsa zupełna swoboda od wszelkich przyjętych mniemań, z jaką wstępował w życie: dlatego każdą myśl, którą sam dla siebie odkrywa, choć u innych ludzi dawno jest skonwencyonalizowaną, wypowiada z radosnem zdumieniem dziecka; dlatego nie ogląda się na krytykę; dlatego rejestruje wierszem wszystkie epizody swego wewnętrznego życia, niezawsze zajmujące dla ogółu ludzi i niezawsze wyśpiewane w stanie natchnienia; dlatego, jednem słowem, zupełnie zatarta jest w jego umyśle różnica między poezyą a prozą: dla niego cały jego medytacyjny żywioł jest poezyą, więc go nam w całości w *Prelude* opowiada, tworząc w ten sposób dokument biograficznie cenny, ale oczywiście w niektórych ustępach tylko prawdziwie poetycki. Stąd też, odwrotnie rzecz biorąc, ta niezwykła zaleta, że poezya jego nigdzie prawie nie jest inwencyą, rozmyślną kompozycyą, wszędzie tylko wiernie i poprostu oddaje to, co istotnie przeżył; tu tajemnica owej jego wielbionej „jedności z naturą“, doskonalszej niż nawet u świadomych naturalistów nowożytnej powieści: oni dają tylko fotografie, on — samą rzeczywistość swego pożycia z otaczającym światem. Tak bezpośre-

---

[1]) *Who have felt the weight of too much liberty.*

dnio nikt w XVIII wieku się nie wypowiadał — prócz Burnsa, i dla niego też Wordsworth ma wyrazy wdzięczności i hołdu w poematach pisanych w podróży po Szkocyi pośród pamiątek po chłopie-poecie, i nawet w jego ulubioną formę zwrotki ujętych.

W ramach takiego syntetycznego poglądu na Wordswortha i fakt zaludnienia sceny jego poezyi prawie wyłącznie przez prostych wieśniaków jego stron rodzinnych nie może się wydać tym błędem artystycznym, którym jest w oczach Courthopa; trafnie wykazuje Symons, jak te figury same wyrastają z krajobrazu, który jest główną treścią utworu, jak stanowią integralną jego część i mają nawet w sobie coś ze stałości i nieruchomości martwej natury. Sam poeta posiadał wiele cech powolnego, reflektującego chłopa, i to tłómaczy poniekąd uderzający u niego brak gwałtownych emocyi, jakąś spokojną obojętność wobec rzeczy, co zwykłe dusze ludzkie do głębi poruszają.

Silnie oczywiście podkreśla Symons wizyonerski charakter poezyi Wordswortha, tak dziwnie ściśle łączący go dla dzisiejszego czytelnika z Williamem Blake. Szkic kończy się parafrazą głównych myśli sławnej ody *Intimations of Immortality from Recollections of Early Childhood*, w której znalazły wyraz te przebłyski wiedzy — jakoby wspomnienia z przedziemskiej egzystencyi — o jedności i istocie wszechbytu, co stanowią najwyższą w tem życiu nagrodę za ścisłe, ciągłe i miłosne obcowanie z przyrodą.

* * *

Wizyonerem w swej poezyi jest i Coleridge; najdoskonalsze jego dzieła wierszowane wiernie odtwarzają senne widzenia. Świadomy wysiłek artystyczny stanowi przytem jedynie znalezienie formy, którąby pośredniczyła między wyobraźnią poety a czytelnika i nadawała szeregowi hallucynacyi idealną jedność. Taką formę w sposób niezrównany udało się poecie znaleźć i zastosować w balladzie o „Starym żeglarzu“, gdzie istotnie czarowna muzyka rytmu, znanego uchu angielskiemu z poezyi gminnej, przenosi fantastyczne jak w gorączkowych majaczeniach sceny w sferę naturalnej rzeczywistości. W drugiem jego arcydziele, niedokończonej romancy *Christabel*, znowu wyrazista przedmiotowość obrazowania w przedziwny sposób się łączy z panującym nad całą akcyą nastrojem niewyjaśnionego dziwu i tajemnicy. Kilka zaledwie takich fragmentów wynurza się z tej biernej bezpłodności, w jakiej pogrążyły poetę fizyczne cierpienia i nieszczęsne opium, brak zmysłu do praktycznego życia i niezrównoważona impulsywność usposobienia; ale te nieliczne utwory, w jakich zdołał zebrać całą swą siłę twórczą, są bezwątpienia dziełami najwyższego geniuszu w całym tym świetnym okresie poezyi angielskiej.

Według Symonsa, tragedyę osobistego życia Coleridge'a stanowi przedewszystkiem bezustannie falująca uczuciowość w połączeniu z równie bezustanną kontrolą filozofującego umysłu nad każdem poruszeniem duszy. Jak niezbędnym pokarmem dla jego ducha jest jakaś ciągła gorąca sympatya, najlepszym dowodem okoliczność, że prawdziwie doskonałe swe dzieła poetyckie stworzył wszystkie w czasie ścisłego, przyjaznego pożycia z Wordsworthem i jego siostrą.

Innem nieszczęściem poety była, jak to przekonywująco określa Symons, niezdolność albo do stanowczej wiary religijnej albo do równie zdecydowanego odrzucenia religii i obowiązków moralnych; na pływaniu po oceanie spekulacyi od systemu do systemu, na projektach jakiegoś encyklopedycznego *magnum opus* filozoficznego, schodzi mu całe życie; bezskutecznie szukając absolutu w sztuce, w myśli, w przyjaźni, nie znajduje zadowolenia i spokoju. Ta sama rozbieżność cechuje potężną wyobraźnię, jaką był obdarzony, a użycie opium niestety bardziej jeszcze tylko rozluźniło energię. Talent z taką indolencyą połączony, najswobodniejsze znajdował ujście w konwersacyi; rzeczywiście w nieskończonych rozmowach, jako improwizator prozą na katedrze i w salonie, Coleridge najbardziej czarował współczesnych[1]). Tej skłonności zawdzięczamy zachowane w niedokładnych notatkach słuchaczy wykłady, głównie o Shakespearze; przenikliwość jego sądów i charakterystyk, mimo wyraźnego miejscami braku zmysłu dla proporcyi, coraz nowe generacye krytyków w podziw wprawiać będzie; styl jego prozy atoli, choć naiskrzony perłami wyrażenia, równie daleki jest od ciągłej i jednolitej doskonałości, jak wszystkie jego dążenia życiowe.

Ze spostrzeżeń Symonsa nad poezyą Coleridge'a wyszczególnić warto przedewszystkiem to jedno, że jest ona daleko mniej ściśle osobistą w treści, niż u innych prawdziwych poetów. Nawet gdzie przedmiotem są własne wzruszenia, jak w przytoczonym przez Courthopa wierszu „Pożegnanie z młodością“ (*Youth and Age*) lub w sławnej „Odzie do przygnębienia“ (*Ode to Dejection*), symbole uczuć zawsze są ogólne, literackie, objektywne; obserwacya przytem równie dokładna i sympatya równie żywa, jakby jej przedmiotem była obca dusza.

---

[1]) Fascynacyi, jaką Coleridge wymową swoją wywierał szczególnie na młodzież, dali doskonały wyraz John Keats i Tomasz Carlyle, dobitniej zaś od innych sławny essayista William Hazlitt, w którym Coleridge obudził świadomość powołania literackiego. Jego wspomnienia o pierwszem spotkaniu z Coleridgem i Wordsworthem, nader malowniczo opowiedziane, czytać można w znakomitym tanim wyborze najlepszych ustępów z jego pism, którego dokonał Sir A. T. Quiller-Couch (w seryi *Select English Classics*, Oxford, Clarendon Press; cena opr. 4 pensy).

Pod względem technicznym Symons, cytując Rossettiego, który Coleridge'a pięknie nazwał „Turnerem wśród poetów“, podnosi szczególnie jego mistrzostwo koloru, zaletę, którą późniejszy program francuskiego romantyzmu tak wysoko nas cenić nauczył. Równie wysoko rozwiniętym, jak wrażliwość na kolory, szczególnie morza i nieba, których światło barwnemi falami płynie przez jego wiersze, — jest u Coleridge'a zmysł dla dźwięku, dla wszelkiej muzyki; gra ona według własnych wyznań na całym jego organiźmie fizycznym, a zarazem jest niejako olejem dla jego maszyneryi intellektualnej (*lubricating my inventive faculty*). To też z muzyką jego wiersza melodyę Shelleya i Keatsa chyba tylko zestawić można, a „odkrycie“ nieużywanych od młodocianej liryki Miltona czterotaktowych wierszy w *Christabel*, przez naśladowanie u Scotta, a za jego pośrednictwem i u Byrona, jest faktem o uznanej, pierwszorzędnej doniosłości w dziejach wersyfikacyi angielskiej.

Że Coleridge przy całym estetycyźmie swej poezyi nie odwraca się całkowicie od poetyckiego racyonalizmu XVIII wieku, że z właściwym sobie zmysłem krytycznym ceni w stylu ubiegłej epoki ten element rozumowania, nadający poezyi niejako materyalną wagę, i że zawsze świadomie stara się ten żywioł do swej twórczości wprowadzać, — to poznano i uznano już dawniej; to też stwierdza w końcu z należnym naciskiem i Symons, tak że w ten sposób i ta postać, jak wszyscy inni rewolucyoniści poezyi w tej dobie, jakimś organicznym węzłem jednak się łączy z ideałami okresu pokonanego.

* * *

Z biograficznych raczej, niż literackich powodów z nazwiskami Coleridge'a i Wordswortha łączy się zwykle trzecie, jednocząc ich z Robertem S o u t h e y pod nazwą *The Lake School*, jako że połączeni przyjaźnią i powinowactwem, wielką część życia wspólnie spędzili nad jeziorami północno-zachodniej Anglii. Duchowo łączy tę trójcę jedynie wspólny w młodości zapał dla ideałów rewolucyi francuskiej -- chcieli założyć wzorową republikę pod nazwą Παντισοκρατία w puszczy amerykańskiej — a potem jednakowy zwrot ku konserwatyzmowi; zwrot u Southeya najbardziej stanowczy, który też na torystycznego mieszczanina ściągnął gromy satyry liberalnego lorda-poety Byrona; i przez to nieśmiertelne ośmieszenie w „Wizyi Sądu“ i „Don Juanie“ Southey głównie żyje w świadomości dzisiejszego czytającego ogółu, podobnie, jak niejeden z obskurnych przeciwników Lessinga lub Heinego. Poeta trzeciorzędny, większy ma tytuł do sławy jako typowo angielski, encyklopedyczny essayista; mimo to i Courthope i Symons poezyi jego poświęcają obszerne rozdziały; a nie brakło w ostatnich czasach i z innych stron usiłowań nad podniesieniem jego godności w dziejach piśmiennictwa; najnow-

szy wydawca wybranych jego utworów poetyckich [1]) nie bez słuszności konstatuje, że u Southeya szukać należy prototypu niektórych bardzo pospolitych w okresie wiktoryańskim rodzajów poezyi, np. monologicznego portretu historycznego, który figuruje tak często, szczególnie u Browninga; do niego też podobny jest Southey przez imponująco rozległe oczytanie, z którego w znacznej mierze czerpie przedmioty swej poezyi. To też sposób, w jaki podaje w obszernych epopejach (i obfitych do nich notach) materyały i obrazy, czy to ze świata wschodniego, czy z historyi hiszpańskiej i francuskiej, czy z podań walijskich, jest raczej historyczno-naukowy niż poetycki. Nie znaczy to zresztą bynajmniej, żeby poeta był posągowo objektywnym; przeciwnie młodociany poemat o Joannie d'Arc tchnie jeszcze całą nienawiścią, jaką trzej przyjaciele płonęli przeciw koalicyi wrogich republice francuskiej mocarstw w ogóle, a polityce własnego narodu pod kierownictwem Pitta młodszego w szczególności.

Jako świadomą innowacyę wprowadził Southey do późniejszych swych epopei zupełną swobodę metryczną, mieszając ze sobą wiersze różnej długości i kadencyi; rezultatem poza pojedynczymi efektami w ustępach opisowych — które naśladował i przewyższył Shelley w „Królowej Mab“ — jest raczej natężenie i zdenerwowanie czytelnika, niż wyzwolenie od monotonii rymowanego „heroicznego wiersza“ XVIII wieku, które Southey miał na oku.

Poza tem niema w poezyi Southeya żadnego nowego czynnika, niema oryginalnego, osobistego natchnienia, — i to tylko, w różnych dowcipnych waryacyach, ma o nim na trzynastu stronnicach do powiedzenia Symons, dodając zresztą jeszcze kilka drastycznych przykładów i na to, że Southey mimo szerokich horyzontów swej lektury zgoła nie posiadał, szczególnie w zakresie współczesnej literatury, subtelniejszego zmysłu do krytyki. Przy tem wszystkiem drażniąca pewność siebie i świadomość swej nieomylności, wyraźna u niego wszędzie i w sądach i w tworzeniu, mimo niezaprzeczonej prawości charaktreru i zacności postępowania, i moralny jego obraz dla dzisiejszego człowieka musi czynić niesympatycznym. Dla kilku zaledwie drobnych wierszy żartobliwych lub ironicznych, w rodzaju poezyi niewysokim i niejako domowym, krytyk-poeta znajduje w końcu słowo szczerego uznania.

* * *

Kończąc swój rozdział rzutem oka na znaczenie Coleridge'a i Wordswortha w historyi świadomości narodowej, Courthope z należnem uwielbieniem stwierdza, że Wordsworth znalazł ten

---

[1]) *Poems of Robert Southey,* selected and edited by Maurice H. Fitzgerald, M. A. Oxford University Press, 1909.

doskonały wyraz, którego wszyscy bezwiednie pragnęli, dla budzącej się na nowo, a raczej niewygasłej nawet w salonowem życiu XVIII wieku, angielskiej miłości przyrody; że Coleridge z dawnych i zaniedbanych źródeł zaczerpnął ożywczą melodyę wiersza i żywość obrazowania dla zaschłej w ciasnych konwencyach poezyi narodu. Z drugiej strony jednak z całym naciskiem podnosi uczony historyk, że ci dwaj poeci, właściwie pierwsi w historyi piśmiennictwa angielskiego świadomie i stanowczo zerwali z tradycyą, że fakt rewolucyi jako zjawisko nowe i obce oni pod wpływem francuskim wnieśli do literatury narodowej, że na nich kończy się ta nieprzerwana ewolucya, co przyniosła Spensera po Chaucerze, Miltona po Spenserze. I w tem samowolnem odwróceniu się od ważnego, socyalnego zródła natchnień poetyckich ku zasadniczemu indywidualizmowi widzi Courthope właściwą przyczynę ich wad, zarówno częstej prozaiczności Wordswortha, jak i niezdecydowanej urywkowości Coleridge'a. Wytykając te błędy w takiem świetle — choć i on widzi, że uzasadnione w osobistej naturze, są w pewnem znaczeniu konieczne— Courthope jaśniej niż gdziekolwiek indziej ujawnia narodową i społeczną tendencyę swego dzieła, powód widocznego braku zupełnej sympatyi dla poetów tej grupy, główny powód zakończenia pracy na dobie wyzwolenia osobistości.

*
* *

Byron nigdy nie był prorokiem we własnej ojczyźnie. Po przemijającej fazie szału byronowskiego, która jeszcze w powieściach Bulwera i młodocianej poezyi Tennysona znajduje odbicie, wytworzył się u Anglików historyczny sąd o nim jako poecie stanowczo drugorzędnym, i tej oceny ogół narodu z charakterystycznym uporem wbrew zachwytom całego świata trzyma się do dnia dzisiejszego. Nie przekonał ich zapalony chwalca poety, a typowo zresztą angielski w myśleniu swem essayista Matthew Arnold [1]); opinię przyjętą w zasadzie zdają się podzielać nawet najnowsi wydawcy, co kilkanaście lat pracy poświęcili pomnikowemu zbiorowi pism poety [2]); a stary zarzut niemoralności równie śmiało jak niespodzianie wskrzesił modernistyczny krytyk i poeta Theodore Watts-Dunton [3]), bez ogródek odmawiając Byronowi etycznej wielkości ducha i tłómacząc, że tragedyą jego życia i przyczyną poetycznej melancholii była głównie rodowa

---

[1]) *Essays in Criticism,* tom II *(Tauchnitz Edition).*

[2]) *The Works of Lord Byron, together with his Letters and Journals* Edited by Hartley Coleridge and H. D. Prothero. London, John Murray, 1898—1904, 13 tomów.

[3]) *Byr n,* w zbiorowej historyi literatury z chrestomatyą *Chambers' Cyclopaedia of English Literature,* tom III (new edition, by David Patrick, Edinburgh 1906).

skłonność do życia. Szczere i bezwzględne uznanie znalazło się w Anglii jedynie dla wielkiej historyczno-politycznej doniosłości poety; wypowiedzieli je oczywiście pisarze gorąco liberalni: wkrótce po śmierci Byrona, Tomasz Macaulay [1]), a w naszej generacyi polityk-literat John Morley [2]). Nie zaprzecza się zresztą i w Anglii doskonałości Byrona w ograniczonej dziedzinie satyry; dla mistrzostwa tej poetyckiej encyklopedyi psychologii i obyczajów całego pokolenia, jaką jest „Don Juan", nie brak entuzyazmu i u rodaków; w magiczny prawdziwie sposób wyższość tego dzieła nad innymi utworami Byrona określił Swinburne [3]), porównując różnicę z tą, jaką pływak odczuwa między słodką wodą jeziora a morską.

Ten sam Swinburne jednak, najkongenialniejszy przecież Byronowi ze wszystkich po nim poetów angielskich, najsurowiej zarazem sformułował główną objekcyę literacko myślącej intelligencyi angielskiej przeciwko poecie: Byron jest nieznośnie niedbałym w dykcyi, nie ma zupełnie artystycznego zmysłu dla melodyi słowa i wiersza.

Otóż w zestawieniu z tą krytyką, gromiącą a kompetentną, bo wypowiedzianą przez niezrównanego mistrza wersyfikacyi, rozdziały o Byronie w dziełach Courthopa i Symonsa, pokrewne w zasadniczej tendencyi, znaczą o tyle postęp w poznaniu natury Byrona, że zgodnie wytykają, jak bezcelowem jest stosowanie kryteryów estetyczno-literackich do człowieka, dla którego poezya nie była sztuką piękną, lecz dziedziną życia czynnego, który poetą wykwintnym i oryginalnym w stylu, artystą słowa i rytmu nie tylko być nie mógł, ale zgoła być nie miał ambicyi. W tem uznaniu niesprawiedliwości fachowo-literackiej krytyki w odniesieniu do Byrona dostrzedz można nietylko wyraźniejszą niż dotąd definicyę stosunku poety do swego zawodu i narzędzia, ale zarazem jeden z coraz częstszych teraz objawów szczerej rezygnacyi u prawdziwych miłośników literatury i sztuki, którzy szczególnie wobec zjawisk pierwszej wielkości zawsze wyznać muszą, że brak ich usiłowaniom objektywnego instrumentu, że metoda jednakowo zdatna do sądzenia wszystkich poetów i dzieł — nie istnieje i nigdy zapewne nie będzie wynalezioną.

* * *

---

[1]) W recenzyi o życiorysie Byrona przez Tomasza Moore, 1831 (*Critical and Historical Essays,* tom II w wyd. *Every Man's Library,* London, J. M. Dent).

[2]) *Critical Miscellanies,* London, Macmillan, tom I.

[3]) *Critical Essays and Studies,* London, Chatto & Windus.

Największą i najważniejszą tajemnicą w życiu Byrona [1]) jest przyczyna rozwodu, który na resztę życia zrobił go wygnańcem, któremu zawdzięczamy satyrę na społeczeństwo angielskie w „Don Juanie“. Doniosłym faktem w tej sprawie stała się przed kilku laty publikacya pewnych listów [2]), potwierdzających oskarżenie podniesione już przed laty przez amerykańską powieściopisarkę panią Beecher-Stowe, że incest między Byronem a wielbioną tylokrotnie w jego poezyi siostrą przyrodnią Augustą Leigh skłonił lady Byron do opuszczenia małżonka. Courthope nie zamyka oczu na to świadectwo; nie stara się obalić jego autentyczności, ani modyfikować faktów przez fantastyczne kombinacye przypuszczeń, jak to uczyniono z innej strony [3]); w świetle istotnego stanu rzeczy widzi w „Manfredzie“, co w nim odtąd widzieć będziemy musieli, nie literackie wypracowanie na wybrany dowolnie temat psychologiczny, lecz przejmująco szczerą spowiedź z ciężkich przejść osobistych; — przy tem wszystkiem jednak nie przyznaje Courthope, by w stosunku do Augusty szukać należało głównego powodu postępowania lady Byron; sprzeciwia się temu przedewszystkiem długoletnia jeszcze po rozwodzie przyjazna korespondencya między temi paniami. Naczelny motyw,

---

[1]) Zresztą bynajmniej nie jedyną; nie wiadomo np. prawie zupełnie, gdzie się obracał Byron przez cały niemal ostatni rok swego pobytu na Wschodzie (1810/11); najnowszy wydawca Hartley Coleridge zupełnie na seryo skłania się do przypuszczenia, że wtedy poznał przez czynny udział życie piratów na morzu Egejskiem, które tak malowniczo opisał w „Korsarzu“.

[2]) W książce, którą wydał pochodzący z rodziny żony poety lord Ralph Milbanke L o v e l a c e p. t. *Astarte* (1906), drukowanej zresztą tylko w ograniczonej liczbie egzemplarzy dla prywatnej cyrkulacyi, i znanej ogółowi tylko ze sprawozdań.

[3]) Richard E d g c u m b e: *Byron: the Last Phase* (London John Murray, 1909). Autor wykrył, że w latach największego powodzenia Byrona w świecie londyńskim istniał stosunek miłosny między nim a zamężną już wtedy Maryą Anną Chaworth, którą niegdyś nieszczęśliwie kochał jako chłopiec, a której wspomnienie jeszcze w późniejszych okresach jego życia — genewskim, weneckim — we wierszach, jak sławny „Sen“ *(The Dream)*, tak potężny znalazło wyraz. Owocem tego stosunku było chowane w rodzinie pani Leigh, dziwnie „byronistycznego“ usposobienia dziecko, zwane Medora (według bohaterki „Korsarza“), które w młodym wieku skończyło samobójstwem. Otóż Edgcumbe uciekł się do dziwacznego i nieprawdopodobnego przypuszczenia, że pani Leigh, by ukryć tę sprawę miłosną poety przed zawistnem okiem towarzystwa, z czystej miłości siostrzanej przyjęła na siebie hańbiące posądzenia incestu! — Broni także Byrona Francis G r i b b l e (*The Love Affairs of Lord Byron,* London, Eveleigh Nash, 1910).

ak nader przekonywująco wywodzi Courthope, był zgoła odmienny, natury czysto psychicznej; miał swój początek w fundamentalnej niezgodności usposobień między nerwowym, impulsywnym poetą, a trzeźwą i po purytańsku wychowaną panną angielską, którą pojął za żonę. Lady Byron, dusza nawskroś prozaiczna, gwałtowne i porywcze postępki, tak częste w codziennem życiu małżonka, mogła sobie tylko tłómaczyć poprostu chorobą umysłową; gdy zaś ze sprawozdań lekarzy powzięła pewność, że to, co brała za objawy obłędu, wynikało z charakteru i osobistego usposobienia poety, wyciągnęła stąd równie logiczną konkluzyę, że z człowiekiem o takiej naturze żyć nie może. To tłómaczenie, poparte bardzo wyraźnymi ustępami z korespondencyi lady Byron, prawdopodobnie zyska powszechne uznanie.

* * *

Romantic self-representation — tą formułką określa Courthope istotę poezyi Byrona. Bohaterem wszystkich jego utworów, jakkolwiek przyobleczonych w szatę afektowanej melancholii i wypełnionych egzotycznemi figurami, jest zawsze on sam, i w tem znaczeniu predykat „szczerości", nadany jego dziełom przez Swinburna, bezwarunkowo się im należy. Z tą właściwością, mocą której wszystko, co napisał, bez względu na formę poetycką, podciągnąć można pod kategoryę „liryki", łączy się druga i przeciwna: Byron zawsze jest dzieckiem swego wieku, wypowiada pragnienia i dążenia całej generacyi; poezye jego mają ten kosmopolityczny charakter — Courthope mówi „uniwersalizm" — który robi je na równi z *Werterem* lub *Heloizą* wyrazem rewolucyjnego ducha całej ówczesnej Europy.

Z tych dwóch punktów widzenia — zasadniczo zgoła nie nowych — Courthope czyni przegląd całej obfitej twórczości Byrona od *Hours of Idleness* i *Childe Harolda* aż do dramatów i *Don Juana*. Przytem nadarza się sposobność zrobić niejedno ciekawe spostrzeżenie nad stosunkiem tak usposobionej duszy do sztuki literackiej, którą sobie obrała za pole działania. Byron w swem teoretycznem myśleniu literackiem dziwnym zdaje się ulegać złudzeniom. Stale i energicznie — może zresztą tylko dla zaciekawienia publiczności — protestuje przeciw utożsamianiu bohaterów swej poezyi z osobą ich twórcy: słusznie podnosi Courthope, że materyalna zależność jego dzieł opowiadających od źródeł i wzorów — „Lary" od „Tajemnic Udolfa" pani Radcliffe, „Parisiny", od historyi księcia Gandyi w „Leonie X" Roscoe, „Manfreda" od „Fausta"; romanc oryentalnych wogóle od powieści Beckforda „Kalif Vathek" — mogła dostarczać poecie przekonywujących argumentów obronnych przeciw posądzeniu o egotystyczne portretowanie samego siebie.

Bardziej zdumiewającem zjawiskiem od tego uporczywego odpierania identyfikacyi, jest niewzruszona wierność poety dla dogmatów krytycznych, zgoła niezgodnych z charakterem jego twórczości: Byron w swych teoretycznych zapatrywaniach na poezyę, jest najdalszym od romantyzmu ze wszystkich poetów czasu: przez całe życie wyznaje gorące uwielbienie dla klasycyzmu szkoły Pope'a, i tego mistrza XVIII wieku w dziełach jak parafraza Poetyki Horacego (*Hints from Horace*), we wierszu i stylu „Korsarza" i „Lary", a jeszcze w r. 1822 w epopei idylliczno-egzotycznej „Wyspa", jako wzór naśladuje. Oczywiście opinia, jaką krytyk o tem zachowaniu się poety wydaje, w znacznej mierze zależy od stanowiska samego krytyka wobec pseudoklasycyzmu XVIII wieku; większość ludzi w pierwszych generacyach poromantycznych, wielu i dziś jeszcze, patrzy na poezyę tego rodzaju z obojętnością lub wstrętem; to też przeważna część najpoważniejszych krytyków Byrona ruszała ramionami na jego klasycystyczne upodobania, jako dowód niedostatecznego samo-poznania, podnosząc nie bez słuszności, jak rażącym dla nas być musi dyssonans między poezyą tak pełną namiętnych uczuć, jak poezya Byrona, a stylem zimno-intellektualnym, epigramatyczno-racyonalistycznym Pope'a i jego szkoły. Inaczej rzecz pojął zapalony wielbiciel ery racyonalizmu John Morley, autor cennych angielskich monografii o wielkich Encyklopedystach francuskich: jego oczom klasycyzm Byrona przedstawiał się jako instynktowna reakcya zdrowej w gruncie natury przeciw chorobliwym tendencyom poezyi zbyt wyłącznie introspektywnej, jako dowód, że Byron miał w gruncie rzeczy pewien zmysł dla formy poetyckiej, którego mu inni stanowczo odmawiają. Podobną drogą idzie w swem wyjaśnieniu Courthope, choć nie tak daleko się posuwa. Przedstawiwszy na przykładach, jak bezładne wskutek swej refleksyjności stawać się musiały wszystkie opowiadające dzieła poety — w „Don Juanie" ten bezład jest rozmyślnie wyzyskany, — bolesną świadomością tego chaosu i niekształtności własnych dzieł tłómaczy Courthope zupełnie szczerą u Byrona pogardę dla tworów swoich, zarówno jak Scotta, Moora i innych, oraz tak samo szczery podziw dla pięknie zwartych, harmonijnie zbudowanych produktów pseudoklasycyzmu. Jeżeli więc nie zmysł dla formy i stylu, to poważanie dla tych czynników w ich klasycystycznem ujęciu Byronowi przyznać będzie trzeba. Zaś bezsprzecznie dobrze i słusznie wiódł go ten klasycyzm w dramatach weneckich, gdzie przedstawiając znowu, jak wszędzie, stany własnej duszy tylko, w formie na sposób Corneilla i Racina, ze zachowaniem jedności czasu i miejsca, znalazł wyraz daleko odpowiedniejszy dla swych natchnień, aniżeli w swobodzie narodowej dramaturgii shakespearowskiej, która nadaje się przedewszystkiem do dzieł bogatych w intrygę i zewnętrzną akcyę.

Jeżeli w teoretycznych swych zapatrywaniach Byron romantykiem wcale nie jest, to z drugiej strony jednak uchodzić musi — słowami Courthopa — za „najdoskonalszego“, bo najbardziej typowego przedstawiciela ruchu romantycznego w poezyi angielskiej. Takim jest przedewszystkiem przez to dziwne połączenie kontemplacyi samotnika z gorącem pragnieniem czynu, godnem wielkiego polityka lub wodza; nie popadł w żaden z dwóch ekstremów, którymi w historyi romantyzmu zaznacza się twórczość Wordswortha i Shelleya: nie robił z poezyi ani osobistej religii, ani polityczno-społecznej propagandy. Jako piękny wykwit wiekowych sił kulturalnych, które łączyła w sobie liberalna arystokracya angielska XVIII wieku, Byron niejednokrotnie wznosi się na wyżyny absolutnego klasyka poezyi i myśli; jako satyryk tej oligarchii w jej stanie nadgniłym i upadającym jest mistrzem; jako romantyk-*dandy* jednak, pozujący przed sentymentalnemi damami wielkiego świata w kostyumie Greka lub Turka, w nas dziś musi budzić pogardę, bo usiłuje przypodobać się towarzystwu, którem sam gardził. Że zaś w osobistem rozgoryczeniu tak zupełnie dla tego swojego świata stracił szacunek, że nie widział w nim w końcu nic, prócz zepsucia i obłudy, w tem zdaniem Courthopa kardynalny błąd jego moralnego sądu: zapoznał żywotność purytańskiego elementu pod śmiesznościami, jakie go na zewnątrz pokrywają.

Zwykłego w krytyce angielskiej przeciwstawienia Wordswortha i Byrona nie brak i u Courthopa. Matthew Arnold, dla którego intuicyi poety każde pono dzieło w chwili, gdy je czytał, było najdoskonalszem, nie zawahał się wyszczególnić tych dwóch łącznie jako największych w plejadzie poetów okresu; Courthope kończy temsamem zestawieniem, ale w zgoła przeciwnym sensie. Dla niego i Wordsworth i Byron w porównaniu z tem wypowiedzeniem świadomości całego otaczającego świata, jakiem jest poezya Chaucera, Shakespeara, Miltona, spadają do kategoryi drugorzędnych poetów. Indywidualistyczną zasadę Wordswortha, teoryę „poezyi dla poety“, scharakteryzowaną powyżej, Byron nie tylko wyznaje także, ale doprowadza do ostatecznych krańców U obu atoli ten sam w oczach Courthopa błąd rozmyślnego oddalenia się od socyalnych źródeł zdrowej poezyi: Wordsworth w pustelniczym kulcie natury zamyka się od żywotnych interesów narodu, Byron w swej nieograniczonej pogardzie dla klasy społecznej, co go wydała, sam się odsądza od wspólności życia z organizmem społeczeństwa i staje się „moralnym anarchistą“, nieprzydatnym dla ludzkości w jej zbiorowym rozwoju. Sąd zaiste surowy, ale ze stanowiska, jakie od początku zajął Courthope, jedynie możliwy i logiczny.

(Dok. nast.).

Kraków.

NOTATKI.

Kiedy Piotr Cieikliński tłumaczył „Potrójnego“ z Plauta?

Wedle Jana Wolframa (w przedmowie do przedruku Cieklińskiego) Ciekliński pisał prawdopodobnie „Potrójnego“ na kilkanaście lat przed rokiem 1597 (rokiem wydania). Twierdzenie swoje popiera Wolfram dowodami, wydobytymi z treści dzieła, a więc: wzmianką o ucieczce Henryka Walezego (1574), o wyborze Stefana Batorego (1575) i o wojnie z Moskwą (1578).

Jan Czubek, w przedmowie do wydania przeróbki Cieklińskiego, sprzeciwia się stanowczo twierdzeniu Wolframa, utrzymując, że autor „Ziemi wołoskiej“ pracował nad „Potrójnym“ w czasie między r. 1594 a 1596.

Oto jego słowa: „Za rokiem 1596 przemawiałyby dwie okoliczności, naprzód ta, że wróciwszy z wyprawy wołoskiej (1595) miałby poeta czas do tego zajęcia potrzebny, następnie zaś, że „Potrójny“ wyszedł w roku następnym. Dwa wiersze jednak dedykacyi:

Chciałem i ja znak swojej zabawy pielgrzymskiej
Położyć na tym groszu kuźni starorzymskiej

naprowadzają raczej na rok 1594, wyrażenie bowiem „zabawa pielgrzymska“ mogłoby mieć trzy znaczenia: 1. życie wogóle, 2. nauki za granicą (co u Cieklińskiego nieprawdopodobne), 3. poselstwo do Rzymu w r. 1594 odbyte — i to trzecie wydaje mi się najnaturalniejszem. Dodajmy, że w r. 1594 miał Ciekliński lat 36, w r. 1596 zaś 38, był już więc mężem dojrzałym i doświadczonym, jakim się nam w „Potrójnym“ przedstawia“.

P. Korneli Heck wreszcie twierdzi, że „Potrójny“ musiał powstać na jakie „kilkanaście lat“ przed wydaniem, a więc jeszcze za panowania Stefana Batorego, jak świadczą o tem, skrzętnie zebrane przez p. Hecka, wzmianki i szczegóły historyczne, ukryte

w samym utworze; nie mógł też stanowczo pracować Ciekliński nad swojem dziełem przed r. 1579 (jak tego chce Wolfram), bo był za młody.

Całą tę kwestyę rozstrzygnie, po dziś dzień nieznana należycie, broszura Jana Rybińskiego, głośnego autora „Gęśli różnorymych", o takim tytule: „Wiersze żałobliwe / a przytym státecznie ácz krotko opisuiące żywot / y sprawy zacne / rychłozmárłego známienitego Panięciá / Páná Janá Hrábie z Ostrorogá / etc. koronnego Podczaszego Króla I. M. Stárosty Stężyckiego etc. w Toruniu/. Drukował Melchior Neringk /Roku Bożego/ 1583." (w 4-ce, 10 k. nlb).

Na końcu tych pień elegijnych, zamieścił Rybiński wierszowany nagrobek, z taką datą śmierci Ostroroga u spodu:

„Umárł w prawey Wierze y pokućie zá grzechy swe, Roku Bożego 1582. 27. dniá Lutego. Tegoż dniá zá nim się wezbráłá Pani Małżonká iego, koło szostey godźiny po iego skonániu, etc." (toż samo przedtem po łacinie).

Otóż w „Potrójnym" z r. 1597 mamy, między wierszykami polecającymi, jeden 10-cio wierszowy: „Do Plauta", pióra Jana Ostroroga, podczaszego koronnego, a więc tego, którego zgon opiewał Rybiński w „Wierszach żałobliwych".

Według doniesienia Rybińskiego, umarł Ostroróg 27 lutego 1582 r., a więc, pisząc swój wiersz polecający, gdzieś przed rokiem 1582, musiał znać, choćby z rękopisu, przeróbkę Cieklińskiego, czyli, że Ciekliński pracował, a może wygotował nawet swego „Potrójnego" w czasie przed rokiem 1582.

Mógł więc liczyć wtedy tłumacz „Trinumma" 23-ci lub 24-ty rok życia (skoro rodzi się w r. 1558); w tym czasie, jak wiemy, był już na dworze kanclerza, w charakterze pisarza. Tu mógł poznać J. Ostroroga, Szczęsnego (Feliksa) Herburta, Szymonowicza, Andrzeja Środzińskiego, Zamoyskiego; może nawet ten ostatni namówił go do przekładania Plauta.

Dlaczegoż tak długo zwlekał Ciekliński z wydaniem gotowego dzieła?

Przyczyniły się zapewne do tego nagłe i wielkiego znaczenia wypadki w dziejach Rzeczypospolitej, które nie pozwalały mu na rozpoczęcie druku. Zrazu zajmuje się elekcyą Zygmunta III (1587), potem towarzyszy Zamojskiemu na Ruś (1590), dalej bierze czynny udział w sejmie inkwizycyjnym (1592), później jedzie do Włoch (1594), wreszcie po powrocie do Polski, udaje się znów z Zamoyskim na wyprawę wołoską (1595). Dopiero od r. 1596, bawi dłużej w kraju i wtedy zapewne, ochłonąwszy z poselstw i funkcyi politycznych, znachodzi trochę wolnego czasu, poprawia i przegląda przekład, by go dać w pierwszych miesiącach 1597 r. do druku. Wtedy też zapewne pisze dedykacyę Mikołajowi Firlejowi, wojewodzie krakowskiemu, która, jak to już wykazał Czubek, nosi na sobie ślady wspomnień poselstwa do Rzymu.

Tak więc przeleżał „Potrójny“ Cieklińskiego jakie 15 lub 16 (a może i więcej) lat w rękopisie i wyszedł dopiero w r. 1597 Wydanie z r. 1597 jest z całą pewnością wydaniem pierwszem i nie mamy wcale powodu domyślać się jakiejś wcześniejszej dziś nam nieznanej edycyi, jak tego chce Wolfram.

Lwów. *Karol Badecki.*

Źródło „Nadobnej Pasqualiny“ kwestyą otwartą.

W „Historyi literatury polskiej“ Romana Pilata czytamy (t. III, s. 99, przypisek):

Pilat był „pierwszym, który doszedł do wniosku, iż poemat Twardowskiego jest naśladownictwem Dyany Montemayora; wiedział o tem już około r. 1888, w każdym zaś razie przed r. 1892, w którym do podobnego rezultatu doszedł prof. dr. Porębowicz w swoich poszukiwaniach nad źródłami „romansu artystycznego, który rozwinął się w XVII w.“ (por. Sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiejętności w Krakowie. R. 1892. Kraków, 1893, s. 37)... Obszerniej omówił źródło Nadobnej Pasqualiny również Węckowski Stanisław (Die romanischen Einflüsse in der polnischen Litteratur. Posen, 1901, s. 66—69). Wynik studyów Porębowicza i Węckowskiego przeszedł do historyi literatury naszej; źródło Nadobnej Pasqualiny podaje Aleksander Brückner (Dzieje literatury polskiej w zarysie. T. I. Warszawa, 1903, s. 317, wyd. drugie T. I. Warszawa, 1908, s. 320). Spotykamy je w kompilacyi dra Henryka Biegeleisena (Ilustrowane dzieje literatury polskiej. T. IV. Wiedeń, 1905, s. 42). Pewników naukowych w tym względzie nie uznaje dr. Stanisław Turowski w swem studyum o Twardowskim (por. s. 110, 119, 120 odbitki).“

A w „Książce“ (Rok IX. Warszawa, 1909, s. 479) pisze prof. Brückner w recenzyi mojej książki o „Twardowskim“: „nie postarał się autor zajrzeć nawet do „Dianci“ Montemayora t. j. do źródła (scil. „Pasqualiny“)!“

Chodzi mi zatem o to, aby po pierwsze: rozebrać, co jest pewnikiem naukowym w sprawie źródła „Nadobnej Pasqualiny“, powtóre zaś: jakie są w tym względzie hipotezy i jaka tych hipotez jest wartość.

1. Ponieważ Pilat ma chronologiczne pierwszeństwo stwierdzenia wpływów „Diany“ Montemayora na „Nadobną Pasqualinę“, przeto jego rozumowanie przytoczę.

Podobieństwo obu utworów polega w ogóle na względach następujących (l. c., s. 110—112):

1. fizyognomie spokrewnionych osób; 2. zasadniczy motyw: uleczenie cierpień, pochodzących z nieszczęśliwej miłości, w świątyni mitologicznej bogini za pośrednictwem wieszczki i za-

pomocą czarodziejskich środków; 3. motyw drugi: wędrowanie nieszczęśliwych kochanków i kochanek do świątyni w celu wyleczenia się z miłości; 4. typ nieszczęśliwej kochanki: to istoty bierne, bez woli i charakteru, ulegające okrutnym wyrokom bóstw i władz nadziemskich, zawisłe od nich nie tylko w działalności ale nawet w myślach i uczuciach;... nacechowane tylko jednym wybitnym rysem... wielką, płaczliwą uczuciowością, okazującą się na zewnątrz ustawicznemi narzekaniami i skargami na prześladowanie losu, wzdychaniem, łzami, jękami, często mdleniem; 5. koloryt: podobny świat i podobna atmosfera; pomieszanie pierwiastka pasterskiego z mitologicznym, wyobrażeń chrześcijańskich z mitologią i podaniami klasycznego świata, często wysoki ród pasterek i pasterzy, ich przesadna galanterya i wyszukane listy, zamiłowanie w przepychu pałaców, mieszkań, sprzętów, potraw, strojów, a szablonowość w opisach natury, dla której odczucia brak zmysłu.

Podobieństwa zaś w szczegółach polegają na tem, że (l. c., s. 113—126):

1. następujące imiona własne z „Pasqualiny" są w „Dianie", chociaż dane innym osobom lub innej płci: Andronia, Valerio, Stella, Felicya, nimfy Doryda i Cyntia, Danteo i Firmio, nimfy Delia, Beliza, Polidora; 2. ustęp prawie z początku „Pasqualiny", mianowicie opowiadanie Stelli o rodzicach i rodzinie Pasqualiny, oraz o przyczynie gniewu Wenery na jej matkę, jest wzięty z „Diany" i jest tylko rozszerzoną parafrazą początku opowiadania Felismeny o swoich przygodach; 3. motyw leczenia nieszczęśliwej miłości przez jakąś wieszczkę w świątyni użyty jest w podobnem zastosowaniu i w zgodności niektórych drobnych szczegółów: obie wieszczki z „Pasqualiny", Felicya i Beliza, są kopią Felicyi Montemayora; opis świątyni Belizy i opis pałacu Wenery w „Pasqualinie" są widocznem naśladowaniem opisu pałacu Felicyi w „Dianie"; 4. istnieją drobniejsze reminiscencye w sytuacyach, ubocznych szczegółach, niektórych myślach i rozumowaniach osób lub nareszcie w opisach natury.

Taki jest wywód Pilata. Pomimo zastrzeżeń, jakie co do podobieństwa Pasqualiny do nieszczęśliwych kochanek z „Diany" uczynić należy, gdyż to jest zupełnie inny typ, przecież uznać trzeba za rzecz dowiedzioną, a przeto za pewnik naukowy, że w „Nadobnej Pasqualinie" są uderzające ślady wpływów „Diany" Montemayora.

Ale pomiędzy „Nadobną Pasqualiną" a „Dianą" są bardzo wielkie i zasadnicze różnice, które sam Pilat w znacznej części odkrył i zestawił.

A więc najpierw co do podobieństwa obu utworów w ogóle czyni Pilat, jako ich konkluzyę, następujące zastrzeżenie (l. c., s. 112):

„Przyznać jednak trzeba, że ogólne pokrewieństwa, które na pierwszy rzut oka łączą „Nadobną Pasqualinę“ i „Dianę“, polegają w znacznej części na typowych rysach nie tylko samej „Diany“, ale wogóle powieści pasterskich z drugiej połowy XVI i XVII w.“

Co zaś do podobieństwa obu utworów w szczegółach czyni kolejno następujące zastrzeżenia:

1. (l. c., s. 113, przypisek) imiona osób z „Pasqualiny“ których niema w „Dianie“, są: Pasqualina, Oliwer, Kornelia (czyli, zwracam uwagę, trojga osób, prócz Stelli i kapłanek, najważniejszych), Polizman, Flaminio, Palmeryna, Eufrozyna, Symplegada, Damon, Kremone; 3. (l. c., s. 121) motyw leczenia nieszczęśliwej miłości nie jest oryginalnym pomysłem Montemayora lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa przejętym z „Arkadyi“ Sannazara; 4. (l. c., s. 125—126) w drobniejszych szczegółach wiele różnic, np. osoby w „Dianie“ przebierają się za pasterzy i pasterki, Pasqualina wkłada włosiennicę (tej różnicy Pilat nie dostrzegł), w refleksyach i uwagach o miłości przeważa w „Pasqualinie“ ton kaznodziejski, w „Dianie“ wykwintny tok dowcipnej rozmowy towarzyskiej, w opisach natury występują w „Pasqualinie“ bagna i góry skaliste, nieznane „Dianie“.

Najważniejsze jednak zastrzeżenia czyni po całym wywodzie o podobieństwach (s. 127—129).

Wynika z nich że:

1. fabuła „Pasqualiny“ nie jest wzięta z „Diany“;

2. tendencya jest zupełnie inna: rozwiązanie fabuły w „Dianie“ jest zawsze pojęte w duchu erotycznym i szczęśliwie, w „Pasqualinie“ zaś cała fabuła zmierza wyraźnie ku tendencyi moralizującej, gdyż chodzi o poskromienie miłości;

3. bohaterka, Pasqualina, nie jest kopią żadnej bohaterki z „Diany“.

Otrzymujemy zatem drugi pewnik naukowy, a mianowicie, że „Pasqualina“ nie jest ani tłumaczeniem, ani parafrazą, ani prostem przerobieniem „Diany“.

II. Wyszedłszy poza te dwa punkty, wkraczamy już w dziedzinę hipotez i te z kolei rozbiorę.

Pierwsze miejsce należy się Pilatowi.

Był on zdania, że Twardowski osnuł „Pasqualinę“ na treści wziętej z wzorów obcych (s. 97.)

I zawikłał się w szereg sprzeczności.

„Pasqualina“ ma przy tytule dodatek: „z hiszpańskiego świeżo w polski przemieniona ubiór“.

Sens tych słów narzuca się każdemu: Twardowski przełożył czy przerobił jakiś (jeden) utwór hiszpański. Więc Pilat, który co dopiero mówił, że „Pasqualina jest osnuta na treści, wziętej z wzorów (nie jednego), zmienia sąd (s. 107): Twardowski „pisze wierszowaną powieść poetycką, co więcej, jak sam zazna-

cza, z jakiegoś (więc jednego) hiszpańskiego wzoru zapożyczoną". Ale potem (s. 108) wraca do pierwotnego określenia: „sam tytuł... świadczy, że dzieło Twardowskiego nie jest zupełnie oryginalnem, lecz z obcych wzorów (więc nie jednego) przerobionem lub przynajmniej naśladowanem". I znów o parę wierszy dalej: „ta wskazówka (przy tytule)... może nam posłużyć za punkt wyjścia do odszukania tego obcego wzoru (więc jednego), z którego Twardowski... korzystał".

Niestety Pilat nie znalazł pomiędzy współczesnymi romansami pasterskimi żadnego z podobnym do „Nadobnej Pasqualiny" tytułem. Więc zaczął szukać śladów wpływu „Diany". Już wiemy, że tego wpływu dowiódł.

Ale konkluzya?

Jest prawdziwą niespodzianką:

„Przytoczone powyżej szczegóły dowodzą niewątpliwie, że Twardowski korzystał z Montemayora i że owa wzmianka, zamieszczona na tytule „Nadobnej Pasqualiny", że jest „przemieniona z hiszpańskiego w polski ubior" nie odnosi się napewno do żadnego innego dzieła, jak tylko do sławnej i szeroko wówczas rozpowszechnionej „Diany."

Wszakże z porównania obu dzieł okazuje się nie mniej wyraźnie, że ten stosunek zawisłości nie sięga znowu tak daleko, jakby może w pierwszej chwili na podstawie owej wzmianki (przy tytule) można sądzić. O tłómaczeniu, parafrazowaniu, a nawet prostem przerobieniu hiszpańskiego wzoru niema mowy." (s. 126—127).

„Toteż tytuł... tak rozumieć należy, że Twardowski, mając zamiar na wzór bohaterek „Diany", przedstawić typ nieszczęśliwej kochanki, szukającej uleczenia z miłości, zastosował go do współczesnych wyobrażeń, nadał rysy, odpowiadające religijno-moralnym tendencyom, panującym w XVII w. w Polsce i w ten sposób nadał mu bardziej swojską cechę i polską szatę." (s. 128—129).

Jest to typowy przykład dyaleli.

Z wzmianki przy tytule wynikałoby, że „Pasqualina" jest tłumaczeniem czy przeróbką jakiegoś hiszpańskiego wzoru. Ta wzmianka odnosi się do „Diany". Ale „Pasqualina" nie jest tłumaczeniem ani przeróbką „Diany". Zatem należy rozumieć tę wzmiankę przenośnie. Zatem z wzmianki nie wynika, że „Pasqualina" jest tłumaczeniem czy przeróbką. Zatem wzmianka odnosi się do „Diany".

Co więcej poszczególne człony tego rozumowania są naciągane. Przenośne tłumaczenie, jakoby wzmianka odnosiła się do ideowej przeróbki, a nie językowej, ma bardzo mało prawdopodobieństwa. Stwierdzanie zaś, jakoby z wzmianki nie wynikało, iż „Pasqualina" jest tłumaczeniem czy przeróbką, choć logicznie wynika, staje w sprzeczności z tą prawdą, że każdy autor, tworząc mniej więcej oryginalnie, unika wszystkiego, coby czytelnikowi w wątpliwość tę oryginalność podać mogło.

Gdzież więc jest zasadniczy błąd Pilata?

W tem miejscu, gdzie od pewników przechodzi do hipotezy i hipotezę za pewnik podaje.

Dowiódł tylko, że „Pasqualina“ powstała pod wpływem „Diany“. Nie dowiódł, że Twardowski skomponował „Pasqualinę“. Dowiódł, że jednem ze źródeł „Pasqualiny“ była „Diana“ (dowiódł dalej, s. 130—136, że innemi źródłami była literatura klasyczna, w szczególności „Metamorfozy“ i „Eneida“, „Historia de Eurialo et Lucretia se amantibus“ Eneasza Piccolominiego, wkońcu „Goffred“ Tassa). Nie dowiódł, że Twardowski czerpał z tego źródła (i tamtych) bezpośrednio.

Zupełnie inaczej przedstawia się hipoteza Porębowicza (l. c., s. 99 przypisek):

„Nadobna Pasqualina Twardowskiego.... jest niezmiernie ważnem zjawiskiem pod względem pomysłu. Główny pomysł powieści o nimfie, którą prześladuje bogini Venus za to, że ją obraziła matka jej, w czasie brzemienności, znajduje się w „Dianie“ Jerzego Montemayora. Nimfa zwie się tam Felismeną. Paskwalina, wyzywając butnie Wenerę i zwyciężając ją, aby potem, wzgardziwszy ziemską miłością, ufundować klasztor amazonek, nie mogła zjawić się w epoce Montemayora, d'Urfé'go, Guariniego lub Mariniego, kiedyto miłość, nieraz wyzywana do walki, wychodziła zawsze tryumfatorką; potrzeba było na taką koncepcyę aż drugiej i trzeciej ćwierci XVII w., do której też epoki źródło dalszych dziejów Pasqualiny odnieść wypada.“

Nie można więc mieszać stanowisk Pilata i Porębowicza. Z powyższych słów wynika, że należy szukać jeszcze innych źródeł w czasach po Montemayorze o kilkadziesiąt lat późniejszych, wpływ zaś „Diany“ na „Pasqualinę“ jest bardzo ograniczony.

Nie można z tem mieszać również stanowiska Brücknera, który powiada (Dzieje lit. pol., 1903, I, s. 317), że „Pasqualina“ to „alegorya z romansu hiszpańskiego, Dianei Montemayora, zaczerpnięta, jak płeć piękna zakusom Wenery czoło stawić winna po drodze cierniowej, ale zbawiennej.“ Jest to bowiem w wyraźnej sprzeczności z twierdzeniem i dowodem Pilata i Porębowicza, że ani fabuła ani tendencya „Pasqualiny“ wzięta z „Diany“ nie została.

Reasumuję: twierdzenie Pilata, jakoby Twardowski naśladował w „Pasqualinie“ „Dianę“, jakoby do niej odnosiła się wzmianka przy tytule i jakoby tę wzmiankę należało rozumieć przenośnie, jest tylko hipotezą i to opartą na kruchych podstawach. Hipoteza Porębowicza streszcza się w tem, że „Diana“ jest częściowem źródłem „Pasqualiny“ a innych szukać należy w II i III ćwierci XVII wieku: oczywiście w III ćwierci niesposób szukać, skoro „Pasqualina“ była napisana przed 1655 r. Twierdzenie Brücknera w jego „Dziejach literatury polskiej“ jest mylne; twierdzenie zaś

w „Książce“, jakoby „Dianea“ była źródłem „Pasqualiny“ jest tylko hipotezą taką, jak hipoteza Pilata.

Istnieje w końcu hipoteza Chlebowskiego (Tyg. ilustr. 1884, t. II.), że treść „Pasqualiny“ jest wzięta z jakiegoś romansu, napisanego prozą po łacinie przez hiszpańskiego jezuitę. Staje to w sprzeczności z ową wzmianką przy tytule „Pasqualiny“.

Żadnej z tych hipotez nie mogę uważać za pewnik. Żadna nie trafia mi do przekonania, bądź też nie trafia mi dostatecznie.

Wydaje mi się, że genealogię „Nadobnej Pasqualiny“ należy ułożyć, jak następuje.

Źródłem jakiegoś utworu można nazwać tylko to dzieło, z którego jest treść danego dzieła zaczerpnięta. W innym wypadku można powiedzieć tylko, że jest to „jedno ze źródeł“, albo że jest to „źródło tego a tego pomysłu, sceny, wyrażenia“. Więc „Diana“ nie jest źródłem „Pasqualiny“, gdyż treść jej nie jest w „Dianie“ zawarta. Zanim przekonałem się, że nikt ani treści „Pasqualiny“ ani tendencyi w „Dianie“ nie znalazł, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że tego tam znaleźć nie można, gdyż akcya „Pasqualiny“ odbywa się w Lizbonie za panowania Filipa II, czyli między 1581 a 1598 r., a wówczas Montemayor już nie żył (od 1562 r.)

Toteż wydawało mi się i wydaje, że istniał taki utwór, w którym znajdzie się treść i tendencya, słowem (prócz drobnych zmian i dodatków) cała „Pasqualina“ Twardowskiego. Tego samego zdania jest Chlebowski. Tego samego zdania musi być każdy, kto słowa samego Twardowskiego rozumie wprost, że „Pasqualina“ jest tylko „w polski przemieniona ubiór“. Tego samego zdania zdaje się być prof. Porębowicz, który w XVII w. szukać radzi źródeł dalszych.

O jakąż siłę inwencyi trzebaby posądzić Twardowskiego, gdyby przyjąć, że wymyślił i treść i tendencyę i bohaterkę swoją! Ten Twardowski, obdarty doszczętnie z inwencyi, który naprawdę nie wysnuł w życiu swem całem niczego z wyobraźni! Jakiż hiszpański zakrętas nadał imieniowi swej bohaterki! Ileż imion musiałby wymyslеć! A jeśli zmienił tendencyę, czemuż nie zmienił kolorytu wielu scen, które tchną południową namiętnością barw i które pozwalają bezpośrednio wyczuwać żywo bijącą krew autora — południowca, krew nieukrytą mimo moralizatorskiego pokostu!

„Diana“ Montemayora była impulsem dla literatury hiszpańskiej, dla literatur innych, do naśladowań, tłumaczeń, przeróbek. Samą „Dianę“ kontynuuje Perez i Polo. Literatura pasterska rośnie. To, co Pilat przytacza, to *loci communes* tej literatury. Powstała cała rodzina utworów z tego świata i z tej lub podobnej atmosfery. Wśród nich szukać należy właściwego źródła „Nadobnej Pasqualiny“. Nie jest to okres czasu zbyt rozległy.

Oznaczam termin *a quo* na rok 1581. Terminem *ad quem* będzie rok 1650. Prof. Porębowicz wskazuje na lata bliższe ostatniej daty.

Szukał tego źródła Pilat i nie znalazł żadnego utworu o tytule Twardowskiego. Szukałem i ją przed kilku laty w Bibliothèque nationale w Paryżu, również według tytułów, i nie znalazłem. Odszukałem tylko imię brata Pasqualiny w tytule jednej z takich romanii: „Historia del valoroso Cavallier P o l i s m a n. Novamente tradotta di lingua Spagnuola in Italiana da M. Giovanni Mirandoleni. In Venetia Presso Christoforo Zanetti. 1573. 8°" Nie mając czasu na czytanie samych tych licznych historyi, napisałem list do jednego z hiszpańskich profesorów hiszpańskiej literatury. Nie otrzymałem odpowiedzi. Napiszę jeszcze. Może kto inny będzie w poszukiwaniach szczęśliwszy. Ale wierzę, że taki utwór istnieje. Dlaczegożby Polak Twardowski umieszczał akcyę w Lizbonie i za panowania Filipa II?

W tej hipotezie podtrzymuje mnie rozumowanie z analogii.

Komedye Zabłockiego tyle lat uważano za naśladownictwo Moliera! I wpływ Moliera był w nich rzeczywiście. Ale genealogia wpływu i źródeł nie układała się wprost. Odszukał dopiero szczęśliwą ręką i bystrą intuicyą dr. L. Bernacki tych autorów i te dzieła, które były Zabłockiego źródłem właściwem. Molier działał więc pośrednio.

„Dafnis" Twardowskiego ma szkielet pożyczony z Rinucciniego „La Dafne". Ale to nie Twardowski pożyczał. Genealogia nie układała się bezpośrednio. To Paschati czy Puccitelli wziął treść z Rinucciniego, a Twardowskiego „Dafnis" jest dopiero Rinucciniego wnuczką.

I tu, przypuszczam, było taksamo. „Diana" Montemayora, literatura klasyczna, nowela Piccolominiego, zapewne inne jeszcze utwory, słowem ówcześnie popularna literatura złożyła się na powstanie jakiegoś hiszpańskiego utworu (poetycznego lub ostatecznie prozaicznego), a ten to utwór dopiero Twardowski w „polski przemienił ubiór."

Dla tych powodów uważam źródło „Nadobnej Pasqualiny', za kwestyę otwartą.

Kraków. *Dr Stanisław Turowski*

W sprawie wiersza 366 „Fircyka w zalotach" Zabłockiego.

Prof. B. Kąsinowski w swem wydaniu szkolnem „Fircyka w zalotach" („Arcydzieła polskich i obcych pisarzy" nakł. Westa w Brodach, tom 58) wydrukował wiersz ten w formie:

Ci nasi kartownicy gorsi od *K*artuszy.

Widocznie wielką literę wyrazu ostatniego przejął z autentycznego dawnego wydania tej komedyi. W komentarzu jednak

(s. 115) — a jestto pierwszy i jedyny dotychczas komentarz do tego utworu — pojmuje wyraz ten jako *kartusze* i jako równoznaczne z kartaczami, nabojami. O ile trafnie zauważył przytem, że „poecie chodziło o grę wyrazów *kartownik* i *kartusz*", o tyle nie dostrzegł, że poza nią kryje się coś więcej jeszcze. Wprawdzie oryginał francuski, jak się można przekonać z zestawień dra L. Bernackiego w jego „Źródłach niektórych komedyi Franciszka Zabłockiego I." (We Lwowie 1908, s. 41), nic tu nam nie może pomóc, ale nie bez kozery wydrukowano wyraz omawiany wielką literą. Toż to imię własne: Cartouche (Kartusz według naszej pisowni wieku XVIII, spolszczającej wszystko nie bez racyi), zwał się słynny rozbójnik francuski, który w roku 1721 młodzieńcem 28-letnim, zginął bardzo smutno (łamano go kołem i poćwiartowano żywcem), ale już za życia stał się bohaterem sztuki Riccoboniego; w roku 1725 niejaki Grandoal wydał o nim wielki poemat, a w r. 1767 wyszła książka „Histoire de la vie et du proces du fameux Cartouche" (por. „Wielka Encyklopedya powszechna ilustrowana" Warszawa, t. XI, s. 117). Zabłocki w w. 366 komedyi swojej powiada tedy: „Ci nasi kartownicy (karciarze, ktorzy ograli Fircyka) gorsi od zbójów takich, jak Cartouche (t. zn. największych)". To daje myśl naturalną, a grę wyrazów czyni istotnie dowcipną.

Lwów. *Dr Franciszek Krček.*

Polonica w szwedzkiej literaturze.

II.

Rok 1863 był także dla Szwecyi pełny wzburzeń. Blizka zmiana ustroju państwowego (wprowadzenie systemu dwuizbowego w miejsce przestarzałych czterech stanów), narodowy obowiązek ochotniczej służby wojskowej (t. zw. Skarpskytte-väsendet), szerzący się po uniwersytetach skandynawizm i inne okoliczności zapalały ówczesną opozycyjną inteligencyę, która z zapałem witała każdy ruch wolnościowy w Europie. Zachwycano się Garibaldim i zjednoczeniem Włoch, więc gdy tylko doszły do Sztokholmu pierwsze wiadomości o polskiem powstaniu, zapłonęła na nowo sympatya dla Polaków nie tylko dlatego, że powstanie to było uzewnętrznieniem idealnego dążenia do wolności, lecz także, ponieważ zwrócone było przeciw rosyjskiemu absolutyzmowi, przeciw „odwiecznemu wrogowi narodowemu" Szwecyi.

Pierwszy impuls do ujawnienia sympatyi dla Polski dała uroczystość, urządzona w Sztokholmie dnia 9 lipca 1862 na pamiątkę bitwy połtawskiej. Wygłoszone przeciw caratowi protesty były zarazem manifestacyą przyjazną dla Polski; z obchodem połączyli się ks. Konstanty Czartoryski, który przysłał z Paryża telegram powitalny, odczytany w czasie uroczystości połtawskiej, oraz kolonia polska w Paryżu przez złożenie życzeń.

Dnia 2 marca 1863 odbył się w gmachu giełdy sztokholmskiej publiczny wiec, celem wyrażenia sympatyi polskim powstańcom i „zaprotestowania“ przeciw carowi; wysłano też telegram do ks. K. Czartoryskiego. Przemawiali: publicysta August Blanche, redaktor „Aftonbladet“ A. Sohlman, baron A. C. Raab i v. Quanten. Z powodu tej politycznej manifestacyi przyjaznej, ukazał się w „Schweizer Handels- Courir“ pochwalny wiersz o Szwecyi i Polsce, który M. Axelson przełożył w „Göteborgs Handels-och Sjöfartstidning“ (1863, nr. 72). Przytaczamy następujące wiersze według niemieckiego oryginału:

„Gott grüss' Euch, bied're Schweden, dass Ihr die Schwerter schärft
Und wuchtvoll Wort von Männern auch auf die Schale werft,
Auf welcher Polens Schicksal der Völker Urtheil wägt,
Und höchstens eine Thräne zu einem Leiden legt!
— — — — — — — — —
In Polens finstern Wäldern erschall' das Schwedenhorn!“

W marcu r. 1863 przybył do Szwecyi z Zamojskim i Langiewiczem, 41-letni wówczas ks. Konstanty Czartoryski w towarzystwie swego przyjaciela, historyka Waleryana Kalinki, a podróż jego z Ystadu do Sztokholmu i z powrotem przez Gothenburg była jednym pochodem tryumfalnym. „Illustrerad Tidning“ zamieścił jego potret wraz z krótkim, panegirycznym życiorysem: „Jest to oczywiście człowiek skończenie światowy; przy tem łagodny i uprzejmy, wielki opiekun literatury i sztuki, w wysokim stopniu muzykalny“.

Dnia 27 marca wydano w wielkiej sali giełdy sztokholmskiej wspaniałą ucztę na jego cześć pod przewodnictwem br. A. C. Raaba. Br. P. R. Tersmeden wygłosił na cześć Czartoryskiego francuską mowę, a generał Hazelius wniósł toast na powodzenie Polski. Herman Bjursten († 1866) oddeklamował poemat: „Le jour viendra!“ z alluzyą do godła w herbie Czartoryskiego, a szwedzki Finlandczyk Wetterhoff († 1887) wypowiedział okolicznościowy wiersz:

„Men folken ega också en röst.
Den stiger med magt ur vidgade bröst,
Vårt hjerta känns förstoradt.
Den bringar oss hopp och tröst.
Den makten styre historiens gång,
Den bryte ner tyranniets tvång.
Än är ej Polen förloradt!
Så ljude till slut vår sång“.

[„Ludy bowiem mają też głos, który z potęgą wyrywa się z wezbranych piersi. Serce nasze zdaje się rosnąć przytem. Głos

ten przynosi nam nadzieję i pocieszenie. Oby siła ta kierowała biegiem dziejów i złamała przemoc tyrańską. Jeszcze Polska nie zginęła! — tak niech brzmią ostatnie słowa naszej pieśni".]

Przy tej sposobności zaznajomił się ogół szwedzki z polskim hymnem „Boże coś Polskę" — a był to pierwszy poetyczny bezpośredni przekład z polskiego [1]). Tłumacz, bibliotekarz Harald Wieselgren († 1906) jest może też autorem ogłoszonego w „Aftonbladet" (1863, nr. 104) przekładu pieśni „Z dymem pożarów", której pierwsza zwrotka brzmi w szwedzkiem tłumaczeniu, jak następuje:

„Hyddor, som brinna, blodet, som strömmar,
Ropa med oss, o Herre, till Dig!
Hemsk är vår klagan, suck från en dödsbädd;
Sådana böner hvitna vårt hår.
Men vi ej känna sorg utan klagan.
Törnkronan stinger pannan i blod.
Herre, en vård vi rest åt din vrede:
Bedjande händer sträckta mot skyn".

W „Aftonbladet" (1863) ukazał się też mały, niepodpisany artykuł o „narodowych pieśniach" polskich, jak: „Boga Rodzica" i „Boże coś Polskę"...

W Upsali obchodzono uroczystości na cześć Czartoryskiego dnia 30 marca 1863 r.; mowę wypowiedział prof. Mesterton; młody student hrabia Snoilsky odczytał piękny utwór „W dzień poświęcony Polsce", a inny student C. D. af Wirsén, późniejszy sekretarz Akademii szwedzkiej, wygłosił poemat, ułożony rzekomo przez „jednego z sztokholmskich studentów". Czartoryski nie był obecny, a na telegraficzne pozdrowienie dał francuską odpowiedź, wydrukowaną później w „Aftonbladet" nr. 81 (1863).

W tym samym pamiętnym roku zaszczyciła Szwecyę odwiedzinami swemi jeszcze inna ciekawa osobistość, mianowicie Bakunin, przez co sympatye dla Polski jeszcze bardziej się wzmogły. Na uroczystość, wydaną na cześć światowej sławy anarchisty, dnia 28 maja, nastroiło wielu śpiewaków swe lutnie: Wetterhoff, Bjursten i J. J. Carlén („Aftonbladet" 1863, nr. 121), a Johan Nybom ułożył wiersze „Do polskiego narodu". Ale choć Bakunin ożeniony był z Polką i był zapalonym zwolennikiem polskiej niepodległości, mimoto przyjęli go polscy emigranci w Szwecyi chłodno i z niedowierzaniem. Ani Demontowicz, ani baron Rozitski, właściciel kopalni marmuru w Kolmården (prowincya Östergötland), ani ks. Czartoryski nie chcieli z nim obcować. Bakunin zaś ogłaszał sam serye artykułów w „Aftonbladet", jak

[1]) W pracy mej „Slavia", 1896 (I, 290) znajduje się nowszy przekład.

„Carat a młoda Rosya“ i „Rosya oficyalna, a rosyjski lud“. — Nawet w mieście Filipstad, położonem w dalekich górach, urządzono 14 maja 1863 obchód na cześć Polski, a niezbędny utwór poetyczny napisał student A. Sandahl.

Zresztą prasa w owym roku pełna była notatek o Polsce. „Aftonbladet“ ogłosił w nr. 222 szkic z polskiego obozu, przełożony z „Niepodległości“. — „Göteborgs Handels- och Sjöfarts-tidning“ zamieszczał polskie korespondencye z „Timesu“, a w nr. 225 podał anonimowy poemat „Rosya a Polska“, ułożony przez *— bl —*. Przegląd wypadków wojennych wraz z historycznym wstępem o podziale Polski dał H. W. Münnich w broszurze „Polska frihetskampen“.

Wśród polskich emigrantów, którzy w tych nieszczęsnych latach znaleźli w Szwecyi nową ojczyznę, był też znany patryota i zbieracz dzieł sztuki Henryk Bukowski-Bończa, który zdobył sobie w Sztokholmie równie wiele przyjaciół, jak i poważny majątek; gdy umarł, mając 61 lat, dnia 10 marca 1900, opłakiwano szczerze śmierć jego, a dzienniki ogłosiły mniej lub więcej dokładne, ale bez wyjątku sympatyczne nekrologi (n. p. w „Ny Ill. Tidn“. 1900, nr. 11).

Równocześnie z Bakuninem przybył do Malmö dnia 30 marca 1863 polski wygnaniec Józef Demontowicz, który jako handlarz win umarł w Stockholmie r. 1876. Na wspaniałym pogrzebie Augusta Blanche'a (listopad 1868) Demontowicz w imieniu polskiej emigracyi ostatni złożył wieniec na trumnie wielkiego przyjaciela Polaków. Wypowiedział przytem następującą mowę niemiecką:

„Przyszła raz gromadka tułaczów do tego gościnnego kraju. Bezgraniczny smutek ściskał serca cudzoziemców. Nadzieje ich zmiażdżono, w piersi ich nie było miejsca dla pocieszenia. August Blanche pierwszy powitał ich serdecznie; pełen miłości chciał dzielić ich ból, służyć im braterską pomocą. Imieniem tych bezdomnych, moich ziomków i towarzyszy, stoję teraz nad jego grobem, by dać wyraz naszej niezmiennej wdzięczności dla naszego dobroczyńcy, by mu posłać nasze ostatnie pozdrowienie. O szlachetny, niezapomniany! Jak długo i gdziekolwiek los skieruje kroki wygnańców, zachowamy w arce wspomnień naszych na zawsze drogą pamięć o tobie, a kiedyś w naszej wolnej ojczyźnie przechowamy imię twe na ołtarzu wdzięczności. Śpij w spokoju, szlachetny bojowniku za prawo i prawdę! Wspaniałoduszny synu Polski, żegnaj nam!“

* * *

Ten ogólny nastrój odzwierciedlił się w ówczesnej prasie, szczególnie w miarodajnym dla ówczesnego liberalizmu „Aftonbladet“ i w „Illustrerad Tidning“, wydawanym przez wybitnego nowelistę i publicystę Augusta Blanche'a i jeszcze bardziej rady-

kalnie i republikańsko usposobionego pisarza J. G. Carlena, który w czasie włoskiej podróży A. Blanche'a (1864) pełnił obowiązki redaktora w tym illustrowanem czasopiśmie. Blanche zajmował się bardzo żywo kwestyą polską, podobnie jak duńską („za Danią przemawia pokrewieństwo, za Polską potoki krwi", mawiał), aż do ostatnich chwil swego życia; w kalendarzu „Valkyrian" w ostatnim swym artykule pisze: „A teraz przemoc tępi polski język ojczysty, a uciśnieni muszą mówić językiem swych gnębicieli".

W każdym zeszycie „Illustr. Tidn." z r. 1863 śledził Blanche — wprawdzie bardzo niekrytycznie i powierzchownie — wypadki w kraju nadwiślańskim i pomimo zupełnej nieznajomości polskiego języka i literatury, usiłował na podstawie źródeł zagranicznych wniknąć w ducha polskiego. Za Duńczykiem C. Molbeckiem („Udvalgte Eventyr eller Folkedigtninger") podał dwie polskie baśnie ludowe: „Złe oczy" i „Czarownik i jego uczeń". Zaczął seryę „Wielcy mężowie polscy", z której ogłosił jednak tylko krótki żywot kanclerza Jana Zamojskiego; napisał sam dosyć naiwne studyum o „kobietach polskich" („kraj, który wydał takie kobiety i wciąż je wydaje, nie może zginąć"), a niejaki *H-t* przełożył w jego czasopiśmie poemat Béranger'a „Poniatowski".

Liczne też są w tym roczniku illustracye i portrety, objaśnione krótkimi życiorysami (Maryan Langiewicz, K. Czartoryski, Henryka Pustowójtówna (adjutant Langiewicza), Niemojowska, Sobek, co to wziętemu do niewoli generałowi Gruntowi oddaje szpadę, bitwy pod Węgrowem i Kowlem, polski sztandar „wolnościowy i t. d.).

Po stłumieniu powstania miał Blanche inne, ważniejsze troski, które go więcej obchodziły, a mianowicie: sprawa Szlezwiku i wewnętrzna polityka Szwecyi. Ale dawna jego miłość do Polski nie zardzewiała nigdy i tu i ówdzie znajdują się w „Ny Ill. Tidn." i po r. 1864 wzmianki o Polsce. W r. 1868 zamieszczono illustracyę i krótki opis odsłoniętego w Rapperswilu polskiego pomnika, oraz zaprzeczenie nieprawdziwej legendy o „Finis Poloniae", stwierdzone własnym listem Kościuszki z r. 1803, pisanym do hr. de Ségur. — W r. 1880 dał tenże tygodnik rycinę polskiego klasztoru w Lond nad Wartą, gdzie w r. 1538 zmarł szwedzki biskup Hans Brask. Artykuł objaśnił *A. G. A.*

W ostrem przeciwieństwie do tej niezwykłej sympatyi dla wszystkiego, co polskie, pozostaje chłodne, trzeźwe stanowisko „Svenska Familj-Journalen" w r. 1863. Popularny miesięcznik widział w nadziejach polskich tylko nową klęskę Polski i zupełnie nie zachwycał się powstaniem. „Polacy sami Polskę rozdarli, bo przy każdej sposobności brak było im zgody, która utrzymuje budowę państwową, w ogóle zaś nie stworzyli żadnej odrębnej polskiej cywilizacyi". Zdaniem tego dziennika o pewnym małomiasteczkowym po-

glądzie, polega przyszłe szczęście Polski na reformach rosyjskiego cara. „Sv. Familj-Journalen“ zamieścił także portrety niektórych Polaków, jak: hr. Wielopolskiego, Maryana Langiewicza, Henryki Postowójtównej, hr. Andrzeja Zamojskiego i Mierosławskiego.

* * *

Przez wojenne wypadki, przez osobiste stosunki z polskimi emigrantami, a nadto przez rosnącą niechęć do rosyjskiego rządu zapłonął potężnie poetyczny zapał dla Polski: nastrój był tak podniecony, że w Radzie państwa postawiono wniosek, domagający się dyplomatycznej interwencyi na korzyść Polski, a rosyjski minister Daszkow widział się zmuszonym do żądania wyjaśnień od szwedzkiego rządu, zajmującego obojętne i wyczekujące stanowisko. Dzięki tym politycznym prądom, a może także pod wpływem czysto literackim niemieckich poetów, przyjaznych dla Polski z lat około r. 1840 (Herwegh, Maurycy Hartmann), powstała cała szkoła poetycka szwedzkich przyjaciół Polski, których nazwiska są mniej lub więcej znane.

Przyjaciel Augusta Blanche'a, republikanin i fantasta J. G. Carlén († 1875), ułożył na uroczystość ku czci Bakunina dnia 28 maja 1863 r. poemat, wołający pośrednio o pomoc dla Polski „Modlitwa Rosyi o wolność“ W utworze napisanym w 1862 r. p. t. „Klęska połtawska“ powiada:

„Så, Rysslands czar, du Finland stal
Från oss och mycket annat,
se'n du i Polens jämmerdal
ditt namn gjort högt förbannadt“.

[„Tak skradłeś nam, carze rosyjski, Finlandyę i niejedno jeszcze, kiedy z doliny niedoli polskiej twe imię przeklęte szeroko się rozniosło“].

Nawet jowialny śpiewak E. Sehlstedt († 1874), który stał zdala od politycznego świata, nie mógł się oprzeć prądowi czasu, bo pieśń jego na koniec r. 1863 „W górach i dolinach“ kończy się życzeniem: „Pokój światu! Pokój przedewszystkiem Polsce“.

Żyjący jeszcze pisarz Richard Gustafsson (ur. 1840) ułożył w pamiętnym roku dramatyczny utwór „Polska we krwi“ w dwu obrazach. Akcya tych scen, pozbawionych zresztą znaczenia, odbywa się w litewskiej posiadłości wiejskiej, na początku powstania. Sędziwy Razinsky zostaje zabity przez rosyjskiego oficera Sebutoffa, a wnuk jego Stefan raniony śmiertelnie w jednej z potyczek. Odznacza się w walce młody syn jego Alexis, a gdy Stefan umiera, mówi jego żona Kathinka, zabiwszy brutalnego kozaka:

„Se'n jag min makes stoft har bragt till friden
Jag följer dig, mit son, i frihetsstriden.
Nu böjen kna och bedjen, mina bröder,
Att Herren hjelpa vill nar Polen blöder!“

[„Kiedy zwłoki mego męża ułożyłam na wieczny spoczynek, idę za tobą, mój synu, na bój o wolność. Ugnijcie teraz kolana i módlcie się; bracia moi, by Bóg raczył pomóc, gdy Polska we krwi!“]

Twórca „Śpiewów pancernych“, sławny tłumacz Byrona K. V. A. Strandberg („Talis Qualis“ † 1877) był niewątpliwie gorącym przyjacielem Polski. Już w sonecie „Radosna nowina‘ (1844), na wiadomość o pobiciu Rosyan przez Szamyla, nawoływał „każdego uczciwego Szweda do toastu na cześć wszystkich przyjaciół Czerkiesów i Polaków“, a w „skandynawskim“ wierszu z r. 1848 życzy „pomocnego miecza nie tylko braciom duńskim, lecz także Polakom“.

Lecz w r. 1863 nie wydała już jego osłabiona lutnia dla Polaków żadnego tonu — prawdopobnie ze względów politycznych w r. 1862 został bowiem członkiem lojalnej Akademii szwedzkiej, a w dwa lata później redaktorem rządowego dziennika „Post-och Inrikes tidningar“.

Natomiast przejął się tą powszechną sympatyą dla Polski inny, wówczas bardzo popularny, a może przeceniany poeta Johan Nybom († 1889) i napisał w r. 1864 wiersz p. t. „Polsce“:

„Lägg handen lätt pa Polens sjuka hjerta
Och känn, hur fort, hur febervarmt det slår!
Dess alla fibrer vrida sig i smärta,
En feberfrossa genom kroppen går.
Du Gud, som styrer folks och furstars öden,
Finns ingen räddning här! Är domen döden?“

[„Połóż lekko rękę na chorem sercu Polski i słuchaj, jak szybko, jak gorączkowo ono bije. Wszystkie jej nerwy drgają z bolu, a ciałem wstrząsa febryczny dreszcz. Boże, który kierujesz losami ludów i książąt, czyż niema tu żadnego ratunku? Czy wyrokiem — śmierć?“]

Z ironią zwraca się następnie poeta do Anglii, gdzie „bawełna ma większą wartość, niż wszystko inne“, a chwali Francyę i Napoleona, „demokratę na tronie“. On jest jedynym ratunkiem! „Niech sobie Albion dyplomatyzuje, niech kot rosyjski łasi się lub miauczy, niech Niemcy plotą w delirium według upodobania i jadą na swym drewnianym koniku! Jeśli tylko Polski nie zamordują w boleściach, to świat jeden grzech mniej będzie miał na swem sumieniu!“ W politycznym utworze „Dla Danii“ (1864) wspomina również o haniebnym podziale Polski.

* * *

Odrębne stanowisko zajmuje w tym ożywionym czasie, piszący pod pseudonimem „Orvar Odd“, O. P. Sturzen-Becker († 1869), który już w czasie swych lat szkolnych zajmował się Polską. W poemacie „Rok 1830“ opisuje ówczesny nastrój studentów. „Ziewał właśnie nad Homerem, gdy nadeszła wiadomość: Polska zrzuciła rosyjskie więzy!“

„Hell Polens ädla söner,
hell hjältarnes förbund!
Hell menskorätt och frihet
kring jordens hela rund!

Vi voro några vänner,
vi gjorde ett kalas,
där drucko vi för Polen
ur rågadt fulla glas.
Där sjöngo vi för Polen
med unga själars eld...“

[„Cześć szlachetnym synom Polski, cześć związkowi bohaterów! Niech żyją prawa człowieka i wolność na całej kuli ziemskiej!... Było nas kilku przyjaciół, urządziliśmy ucztę, na której piliśmy na pomyślność Polski szklanicami pełnemi po brzeg. Tam śpiewaliśmy na cześć Polski z zapałem młodych dusz“.]

Wypadki galicyjskie z r. 1846 dały Orvar Oddowi wątek do poematu „Scena polska“. Rosyjski hrabia Moskovitovskij wydaje w swych dobrach polskich bal, na którym tańczą mazurkę. Zabawę przerywa polski jeździec wołając: „Niech żyje Polska! Precz z Rosyą!“

„Vårt älskade, vårt sköna, vårt härliga land,
Nu tid är att slita dina nesliga band!“

[„Kochany, piękny i wspaniały kraju nasz, czas już zerwać haniebne więzy“.]

Hrabia ratuje się ucieczką, zamek oświecony morderczą pożogą.

Dawne przyjazne uczucia Sturzen-Beckera dla Polski wznowiły się w r. 1863. Świadczy o tem poemat p. t. „Polski marsz do ataku“.

„I går var suckarnas tid förbi,
I dag kring landet går drabbningens skri,
i morgon skall segersång det bli.
Kosciuszkos stam,
Fram, fram!
Du skummande stormflod, bryt din damm!“

[„Wczoraj minął czas westchnień. Dziś rozlega się nad krajem wojenny zgiełk, jutro zmieni się on w zwycięzką pieśń. Naprzód naprzód! szczepie Kościuszki, naprzód! Spieniona falo, zerwij wał!“]

W poemacie swym p. t. „Nasze sztandary“ (marzec 1864) poświęcił on pełną współczucia myśl nieszczęśliwemu krajowi:

„Se dit, i detta Polens arma land
de välte fram, de ryska bataljoner.
Se deras bragder: plundring, mord óch brand !“

[„Patrzcie, jak w ten biedny polski kraj wdarły się rosyjskie bataliony! Patrzcie na ich czyny: rabunek, mord i pożoga!“]

Orvar Odd próbował nawet stworzyć epiczny cykl „Kaczimira“, z którego początek p. n. „Mazurka“ [1]) ogłosił K. S. Warburg 1864 r. w „Svensk Månadsskrift“. Poemat rozpoczyna się wcale oryginalną charakterystyką „demonicznej“ muzyki Chopina, „historycznych obrazów kreślonych tonami, epicznych pieśni bez słów“:

„Det är en dans — ja, men i ryska bojor!
ett skratt – men hånskratt bland förbrända kojor!
En suck, ett skri, det Polens hjertskri är;
— — — — — —
Muravieff och Berg ha lärt oss sedan
att fullt förstå, hvad då var halft förstådt“.

[„Jest to taniec, lecz w rosyjskich kajdanach! Śmiech, ale szyderczy z pod zgorzałych strzech! Westchnienie, jęk, serdeczny jęk Polski... Murawiew i Berg nauczyli nas później pojmować to, cośmy wtedy połowicznie tylko rozumieli“.]

W czasie pobytu Karola XII w Benderze bawi Stanisław Leszczyński z królową Katarzyną Opalińską i córką Maryą w Kristianstad, gdzie na wielkim dworskim balu tańczą menueta. Wśród widzów znajduje się młoda, piękna Kaczimira, wychowanka trębacza Czempińskiego, która dostawszy się na salę, pod wpływem próśb, tańczy mazurkę, za co jest sowicie nagrodzona oklaskami i drobnymi podarunkami. Skoro jednak pewien młody szlachcic wręcza jej skrycie pełny trzos złota, odrzuca go z pogardą i znika.

---

[1]) Jeden z podróżujących po rosyjskiej części Polski, nazwiskiem Semper Svenson, scharakteryzował w „Svenska Familj-Journalen“ 1881 r. mazurkę, jako „epiczny“ taniec, w którym ona okazuje się taką, jaką kobieta jest, on zaś, jakim mężczyzna winien być.

W drobnym tym utworze najbardziej zajmującą jest przedziwnie żywa wierność, z jaką Sturzen-Becker opisuje poloneza, tak, że wydaje się prawie, jakoby, za pośrednictwem jakiegoś francuskiego czy niemieckiego przekładu „Pana Tadeusza“, pozostawał pod wpływem wspaniałego, poetycznego opisu „ostatniego“ poloneza w XII pieśni arcydzieła Mickiewiczowego, skoro przedstawia barwnie szlachtę „w butach, w futrzanych deliach, z czapką na bakier i wąsami w górę i dumnie podkręconymi“.

„Då knycka de allt högre än med nacken
de polska kavaljerer, en och hvar,
mot silfversporren slå de då mot klacken,
att sjungande den som en snurra far,
och knäfvelsbårarna de hårdhändt vrida,
rakt upp i vädret, en åt hvarje sida,
och mössan trycka fastare de på.
Men damerna med sina små stöfletter
slå takt, och liksom blixt i mörka nätter,
så ljungar det ur deras ögon då“.

[„Wtedy wznoszą panowie szlachta coraz dumniej głowy w górę; uderzają srebrnemi ostrogami o buty, że dźwięczą jak grzechotki; podkręcają butnie wąsy i zaciskają silniej czapki. Damy znaczą drobnymi trzewiczkami takt, a oczy ich lśnią się, jakby błyskawice w ciemne noce“.]

Z reszty cyklu zachował się tylko jeden fragment „Ucieczka z Syberyi“. Pracujący w kopalniach sybirskich szwedzki więzień, Karloman Kruse, dostaje od śmiesznego karła Kullaka, zabawiającego więźniów śpiewającymi ptaszkami, kartkę ze słowami: „Odwaga i nadzieja“. Kullak upija następnie patrol wódką i ułatwia ucieczkę Szwedowi snopkami owsa, które pozornie dla wróbli tu i ówdzie rozłożono.

Nieznany zresztą Gustaf S. ogłosił w „Illustr. Tidning“ z 1864 r. dwa dyletanckie wiersze: „Śpiew Polski“, o treści: jak słońce wolności polskiej zapadło w gwiaździstą noc, i „Dziecię“. Mały chłopczyna sam w izbie. Bawi się w wojnę: za konia służy mu laska dziadka, a piłką strzela do kamienia, który ma przedstawiać Moskala. Wtem pada nagle strzał — ojciec jego zginął. Do wchodzącego żołnierza rosyjskiego mówi mały:

„Och hafver du dödat kär modren min,
Mig gerna du döda kan.
Men vet, att hos Gud, dit jag får gå in,
Så stor, så stor blifver skulden din,
Du stygge, skäggige man!“

[„A kiedy zabiłeś także mą kochaną matkę, to i mnie zabij. Ale wiedz, że przed Bogiem, do którego ja pójdę, wina twa będzie bardzo wielka, ty zły brodaczu“.]

W tym samym tygodniku ukazał się w r. 1864 poemat „Na grobie Polski“ podpisany pseudonimem Bengt Sigurd.

* * *

Wysoko ponad tymi wszystkimi, pod względem artystycznym dość średnimi pieśniarzami, stoi poeta z łaski Bożej, który w ogólno-europejskiej poezyi polonofilskiej zajmuje zaszczytne miejsce; był to młody hrabia Carl Snoilsky († 1903), który obecnie jest uznany i lubiany, jako jeden z największych narodowych poetów szwedzkich.

Pochodził on z rodziny słowieńskiej, która w czasach habsburskiej „kontr-reformacyi“ przybyła z Krainy do Niemiec; jeden z jej potomków już w czasie wojny 30-letniej został szwedzkim poddanym a później nobilitowanym. Mimo wybitnie szwedzkiego sposobu myślenia, zdaje się nieraz, jak gdyby słowiańskie pochodzenie wyrobiło u hr. Karola Snoilsky'ego, szczególną sympatyę dla Polaków, serce jego bowiem gorąco biło dla walczącej i cierpiącej Polski.

Już w r. 1861. jako 20-letni student w Upsali, dał się poznać jako przyjaciel Polaków, a mianowicie przez poemat p. t. „Jeszcze Polska nie zginęła“, w którym podkreślił mocno przeciwieństwo między śpiewającym polską pieśń wojenną żebrakiem a obojętnym dla tych dźwięków polskim księciem. W ogłoszonym dopiero po śmierci poety utworze p. t. „Wizya Kościuszki“, marzy on o przyszłem zupełnem zbrataniu się Słowian, gdzie — zupełnie w myśl polskiego mesyanizmu — Polska przemówi imieniem zbawionych, a nawet Polak i Rosyanin będą mogli spleść ramiona w braterskim uścisku.

Lecz dopiero w pamiętnym roku 1863 buchnęło uczucie poetyckie Snoilsky'ego dla Polski jasnym płomieniem; na uroczystościach ku czci Czartoryskiego zdobył on swe pierwsze poetyckie wawrzyny. W „Toaście do polskich emigrantów“ 28 kwietnia 1863 przepowiadał zmartwychwstanie Polski i szczęśliwe zwycięstwo, a w poezyach: „Polsce“ i „Na dzień zbawienia Polski“ nawoływał w imieniu ludzkości, sprawiedliwości i wolności, walczących synów do odwagi i nadziei:

„Och stunden kom — o huru skön du står
Med lian lyftad till skörd,
Med frihetsmössan på lockigt hår —
Och långt din stämma blir hörd:
Till vapen, till vapen! Det klingar så härligt
För Polens vän — för dess ovan förfärligt,
Ty vedergällning är helig lag
För Polens söner på Polens dag“.

[„I nadeszła godzina — o jak piękna jesteś z kosą wzniesioną do żniwa, z czapką wolności na bujnych kędziorach — i daleko

słychać twój głos: Do broni! do broni! Brzmi on wspaniale dla przyjaciela Polski, straszliwie dla jej wroga, bo zemsta jest świętem prawem synów Polski w dniu zbawienia Ojczyzny“].

„Najbardziej atoli ucieszymy się my Szwedzi, gdy więzy twe zostaną porwane, bo wiemy, jak ich stal się wrzyna. Modlimy się za ciebie, święty męczenniku ludów... któż wie, kiedy nasz własny dzień nadejdzie?...“

W trzech sonetach z tego samego roku wracał Snoilsky do swej ulubionej myśli: zmartwychwstania Polski. W pierwszym sonecie „Wiosna i zima“ wita kiełkującą w Polsce ruń wiosenną, a w drugim „Wróbel“, na widok wróbla dzióbiącego ziarna z deszczułki przed oknem, wspomina marznących w polskich lasach wojowników.

„Krwawa pożoga płonących dworów świeci, jako podpis carski w bengalskim ogniu. Tak, niech płonie, byle tylko nie ucierpiała przytem stal i byle kosa na wiosnę ostro cięła!...“

W trzecim, później napisanym sonecie „Uroczystość ku czci Polski“ ironizuje pełne przechwałek mowy, że „bagnet szwedzki jest najostrzejszą bronią, którą można olbrzymów pokonać“. Entuzyazm chwili i lotne słowa tylko! Gdy stoi sam w framudze okna i patrzy na niebo nocne, widzi jak gwiazda spadająca zajaśniała i zgasła. W poemacie p.t. „Polski ochotnik“ wstępuje w miejsce młodzieńczego optymizmu pewna rezygnacya i cicha tęsknota ogarnia twórcę, rozważającego beznadziejność rozpaczliwej walki:

„Farväl, dock utan suck och klagoljud!
Jag går lill friheten — jag går till Gud.
Farväl min moder och farväl min mö!
Jag kunda lefva, men jag vet att dö!“

[„Żegnaj mi, lecz bez westchnień i skarg! Do wolności idę — idę do Boga. Żegnaj mi, matko i młoda kochanko moja! Mógłbym żyć, lecz umrzeć potrafię“.]

Po stłumieniu powstania wydaje lutnia Snoilsky'ego już tylko żałosne dźwięki, pomieszane z gryzącą ironią. Wiersz „Niech żyje car“ jest potężnym poetycznym wyrazem tej gorzkiej ironii:

„Ja, du har segrat — högt vi det bekänna.
Ja, du har segrat, store, store tsar!
Kanske det finns en annan verld än denna,
Men öfver denna dock du makten har.
Gör, hvad du vill, med hela jorderingen,
Men låt oss blott en enda ynnest få:
Vi bedt om frihet — och det gafs oss ingen.
Vi bedt om döden — nekas det också?“

[„Tak, zwyciężyłeś — przyznajemy to głośno. Tak, zwyciężyłeś, wielki, wielki carze! Może jest inny jeszcze świat prócz tego, ale nad tym masz przecie władzę. Uczyń co chcesz z całą ziemią, ale wyświadcz nam jedyną łaskę: O wolność prosiliśmy, nie dano nam jej! O śmierć prosiliśmy — czy i tej nam odmówisz?“]

W poemacie „R e q u i e s c a t“ (1864) skarży się Snoilsky, że sprawiedliwość zdeptano, wyszydzono i ubolewa, że chwila współczesna przypatruje się obojętnie katowaniu narodów. Piękny młodzieńczy sen poety zmarzł pod zaspami śnieżnemi Polski. W elegijnych refleksyach „N a g r o b i e P o l s k i“ żegna się szlachetny poeta ze swemi marzeniami o wolności z gorzkiem uczuciem:

„Polska straszliwie ciąży na chorem, świadomem winy sumieniu naszego wieku. A kiedy w przyszłości będziemy chcieli uśmiechnąć się do jutrzenki lepszych czasów i gdy zabrzmią hymny wolności, wystarczy, jeśli jedna ręka wskaże na miejsce, gdzie pogrzebano polskich bohaterów — a wtedy radość umilknie i zagaśnie iskra nadziei, bo zginęła sprawiedliwość i zerwano mosty między niebem i ziemią“.

„Och stode verlden som en rosengård,
Där idel bäckar utaf honung flöte,
Han syntes dock, vanärans minnesvård,
Den öde fläcken i Europas sköte.
Där gror ej strå, där är allt lif förödt,
Där letar fåfängt själfva ulfven föda:
Där har ett ädelt folk till döds sig blödt.
Europa såg därpå — och lät det blöda“.

[„I choćby świat był różanym ogrodem, gdzie strumyki płynęłyby miodem, to jednak widoczny byłby pomnik hańby, pusta plama na mapie Europy. Tam nie rośnie trawa, tam wszelkie zamarło życie, tam wilk nawet napróżno pożywienia szuka, bo tam naród szlachetny zginał w potokach krwi. Europa widziała to — i pozwoliła mu zginąć“.]

Zaprawdę — zwrotki te są nie tylko ozdobą młodzieńczej poezyi Snoilsky'ego, lecz zasługują też na zaszczytne miejsce w poezyi, odnoszącej się w ogóle do Polski. Wydaje mi się prawie, jakoby w chwilach tego natchnienia czuł Karol Snoilsky, nieświadomie jakby, tchnienie ducha Mickiewiczowego lub Krasińskiego. Głos Snoilsky'ego był najpiękniejszym śpiewem łabędzim szwedzkich pieśniarzy o Polsce w minionym okresie.

* * *

W latach około r. 1870 słychać w Szwecyi tylko pojedyńcze pogłosy tej elegijnej poezyi wolnościowej. W czasopiśmie „Nu“

Z r. 1874 znajduje się udramatyzowany poemat, Karol Gustaw w krakowskiej katedrze“, którego autorem był tłumacz Calderona, profesor uniwersytetu w Upsali Th. Hagberg († 1893). W katedrze na Wawelu modli się ksiądz Radowsky za biednym narodem polskim i opowiada wieśniakom legendę, jak Krakus uratował miasto od straszliwego smoka, przy pomocy którego zły czarodziej chciał zburzyć nowo założony gród; Krakus, porzuciwszy smokowi barana, wypchanego siarką i gorącą smołą, przyprawił go o śmierć. Radowsky daje ślub młodej parze, a później pokazuje kościół wchodzącemu „antychrystowi“, Karolowi Gustawowi, przyczem powtarza znane słowa o zmienności fortuny. A gdy pyszny król się oddalił, mówi Radowsky:

„O Herre, må ditt arma folk du skona!
I dina händer hvilar Polens krona“.

[„O Boże, racz ocalić biedny twój naród! W twoich rękach spoczywa korona Polski“.]

Gdy rosyjski następca tronu (Aleksander III) w r. 1879 przybył do Sztokholmu, Finlandczyk Emil von Quanten († 1903) w swym wierszu „Carewicz w Szwecyi“ uczynił także aluzyę do Polski w tych słowach:

„Tsarewitsch sofver. Ej han störs
uti sin so. Ej hit
Sibiriens dofva suckan hörs,
ej Polens brodersplit“.

[„Carewicz śpi. Tu nic mu nie zamąci spokoju, bo nie dojdzie doń ani głuche westchnienie z Syberyi, ani braterski bój w Polsce“.]

* * *

W porównaniu z ilościowo dość bogatą literaturą poetyczną o Polsce, współczesna proza szwedzka była bardzo uboga. Jest to zupełnie zrozumiałe. Zapał szwedzki dla obu powstań polskich był naiwnie uczuciowy, gdyż los Polski był prawie równoznaczny z ogólnym politycznym ideałem wolnościowym. Lecz skoro chciano zająć się tematami polskimi w historycznych powieściach, brak było faktycznych, realnych wiadomości. Autorowie szkiców historycznych z czasów Karola X Gustawa nie mogli ominąć polskich stosunków, ale byli tu zdani na bardzo elementarne źródła. Polskie nazwiska wybierano dowolnie i dziwacznie zniekształcano; o prawdziwym historycznym kolorycie lokalnym nie mogło być naturalnie mowy.

W bardzo lubianych swego czasu szkicach historycznych Svenska historiska noveller G. H. Mellina († 1876) można spotkać tu i ówdzie motywy polskie, a mianowicie w opowiadaniach z czasów Zygmunta: „Blomman på Kinnekulle“, „Anna Reibnitz“, „Gustaf Brahe“ i „Maria Dundee eller Polackarne i Stockholm“. Anna Reibnitz, „śpiewaczka z Warszawy“, miała być w rzeczywistości córką Eryka XIV; na rozkaz Jana została wywieziona za morze i przyjęta na wychowanie przez ślązkiego rycerza Raubnitza w Gdańsku. W Warszawie, gdzie musiała śpiewać po jarmarkach, poznaje ją hrabia szwedzki Gustaf Brahe i żeni się z nią później. W nowelach tych, których wartość estetyczno-historyczna jest niezbyt wielka, możnaby się domyślać, w konfliktach między Zygmuntem i Karolem, politycznych alluzyi do współczesnych stosunków w czasie około r. 1830, gdy rządy Karola Jana XIV występowały ostro przeciw liberalnej opozycyi.

W Polsce odgrywa się akcya żywej powieści „Borghöfdingen i Sandomir“ (Kasztelan sandomierski), z czasów polskiej wyprawy Karola X Gustawa. Cronlood, szwedzki komendant Sandomierza, ratuje młodą, piękną żydówkę, którą napadł młody Czarniecki, siostrzeniec sławnego Stefana Czarnieckiego. Z wdzięczności ostrzega go ona przed polskiemi knowaniami i wykrywa zamach na jego życie. Cronlood zostaje jednak schwytany — udaje mu się atoli uratować ucieczką oknem, nim zamek, podminowany przez Szwedów, wyleciał w powietrze.

Powieść wykazuje dość dobrą stosunkowo znajomość historyi i geografii polskiej. O Sandomierzu czytamy: „Choć miasto liczyło zaledwie 3.000 mieszkańców, miało piękną szkołę i wiele publicznych budowli — dowód, że było to miasto znaczne.“ O polskim duchu narodowym spotykamy taki ustęp:

„Już wtedy dał naród polski dowód swej siły, walcząc w obronie swej wolności. Już wtedy okazał niezwykłą sprężystość, którą można wprawdzie zgiąć i ścisnąć, ale która przez swą wewnętrzną siłę przybiera znów swą dawną formę. Przedziwne przeciwieństwa dumy i pyszałkowatości, miłości Ojczyzny i wzajemnej zawiści, odwagi i tchórzowstwa występowały przy każdej sposobności w czasie tej szwedzkiej wojny“.

Pilna, w swoim czasie bardzo lubiana autorka, Marya Zofia Schwartz († 1894) napisała w r. 1863 silnie wyidealizowaną powieść p. n. „Córka Polski“, która musiała ówczesnym czytelniczkom zapewne wiele łez wycisnąć. Olga, córka zesłanego na Sybir w r. 1831 Sebastyana Paziewskiego, jest wychowana przez księżnę Tołstojową w Paryżu i otrzymuje posadę guwernantki u arystokratycznej rodziny rosyjskiej. Szlachetny syn dumnej księżnej kocha się w Oldze, która dowiaduje się przypadkiem o swem pochodzeniu polskiem. Księżna, zauważywszy

miłość syna, zabiera Olgę ze sobą do Petesrburga i zsyła na sybirskie wygnanie. Młody książę odszukuje ją na Syberyi; zamienia nazwisko z jednym z zesłańców, chcąc ją pojąć za żonę. We wzruszającym epilogu, który rozgrywa się na pobojowisku w r. 1863, spotykają się pełna poświęcenia Olga z dręczoną wyrzutami sumienia księżną przy konającym Tołstoju. — Nie trzeba chyba zaznaczać, że w szlachetnych tych nowelach brak zupełnie historycznego kolorytu i prawdy.

Do tego samego okresu odnosi się także »zajmująca« akcya wstrętnego senzacyjnego romansu, tłumaczonego prawdopodobnie z niemieckiego, p. t. »Widmo Polski«, wydanego ze straszliwemi rycinami około r. 1870 dla uszczęśliwienia publiczności szwedzkiej, lubującej się w tego rodzaju opowieściach.

Jeszcze w ostatnich czasach J. O. Aberg († 1898), autor niezmiernej ilości historycznych powieści, przeznaczonych dla szerszego ogółu, próbował wznowić dawne tradycye historycznego romansu. Cztery jego nowele o polskich tematach odnoszą się do wyprawy Karola X Gustawa: »Sprzysiężenie w Krakowie« (1884, 51 stron), »Córka buntownika«, »Rzeź wieluńska« (1884, 103 stron) i »Eleonora Lubomirska« (1895, 254 stron). Do tego dodać można powieść o polskiej wyprawie Karola XII p. t. »Porwanie z klasztoru«. Estetyczno-historyczna wartość tych ludowych szkiców jest oczywiście niewielka.

(Dokończenie nastąpi.)

Sztokholm. *Dr Alfred Jensen.*

Dwie współczesne satyry na Mickiewicza i na romantyzm. (1827).

I. „FLORA ROMANTYCZNA“.

»Wszystkim znajomym oświadcz ukłony i nie martw się »Florą romantyczną« pisał raz Zaleski do Odyńca w jednym z swych najbardziej romantycznych listów, w którym nowy hołd składał „Dziadom“ i świeżo przeczytanym „Sonetom“, zapewniając, że dzięki im żyje poetycznie w nieustannej tęsknocie do „żywszych, mocniejszych wzruszeń“[1]). Wiedział coś także o tej Florze Józef Godebski, fejletonista „Chwili spoczynku“ (pisma uczniów szkoły podchorążych, którzy koniecznie chcieli być romantykami i występami swymi niemało sprawiali kłopotu Maurycemu Mochnackiemu), ale był dobrej myśli i tak sobie dworował:

---

[1]) Korespondencya J. B. Zaleskiego. Lwów, 1900. T. I, str. 17—18.

Mówią ludzie, że miało wyjść pisemko pod tytułem *Flora Romantyczności* z godłem: *Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus.* A że pora roku jest ostra, więc i ofiara, którą złożyć miano na ołtarzu tej bogini kwiatów, składać się miała z samych pokrzyw, ostów i cierni. I któż miał być wydawcą tak pięknego dzieła? Czy czasem nie mecenasi klasyczności? Ja nie wiem, może i oni. Dla czegoż nie urzeczywistnili tak szczęśliwego pomysłu. Ale bo to Waćpan, panie Echo chciałbyś wszystko wiedzieć. Podobno, że jeden z współwydawców porachował się z sumieniem i w uniesieniu zawołał: nie budź licha, gdy śpi licho! Ale jabym tym Panom wogóle powtórzył, co *Malezieux* do *La Bruyera*, który mu był dzieło swoje odczytał, w szczególności wyrzekł: *Mes amis, il y aurait là de quoi faire bien des lecteurs, et bien des ennemis.*[1])

Drobna ta notatka osiągnęła z pewnością więcej niż zamierzała: zniweczyła plan, ułożony gdzieś w tajemnicy w obozie klasyków przy współudziale i pomocy samego Kajetana Koźmiana. Nie mogli oni już dłużej patrzeć spokojnie na to, jak autor Ballad i Dziadów, zarozumiały „pinszczuk“, którego „niesforny zapał rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki“[2]) buntuje im całą posłuszną dotąd Warszawę. Burzyło się i kotłowało na sesyach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na czwartkowych obiadach u Krasińskiego i w salonach p. ministrowej Mostowskiej, aż wreszcie po namysłach zdecydowano się wystąpić otwarcie. Nie projektowane zbiorowe tłumaczenie »Listu do Pizonów«, ani wzorowe pismo peryodyczne, ale gryząca i dotkliwa satyra, trawestacya, pracowita a zręczna, języka poezyi Mickiewicza miała zetrzeć w puch całą jego dotychczasową sławę i odebrać odwagę naśladowcom. Romantycy zginąć mieli od własnej broni...

Więc martwił się Odyniec i donosił o tem Zaleskiemu. Ale gdy przyszło do powzięcia ostatecznej decyzyi, zbrakło arystarchom odwagi: strzał mógł spalić na panewce i ściągnąć nowe gromy, nowe cięgi. „Gawędzą tylko, a jeśli im kto poradzi pisać, nie wstydzą się wyznać że strach“, opowiadał o klasykach dobrze poinformowany romantyk[3]).

A oto Godebski odkrył niewczesne zamiary i wyśmiał dzieło, zanim ujrzało świat. Podobno Dmochowski, wtajemniczony, (bo

---

[1]) Chwila spoczynku. Pismo peryodyczne. Warszawa, 1827 Tom I, str. 130 (nr. 4, z lutego). — Do tej notatki odnoszą się słowa listu Podczaszyńskiego do L. Chodźki z 18 września 1827 (cytat w dziele Śliwińskiego o Mochnackim, str. 82).

[2]) Wyrażenie Koźmiana w liście do Morawskiego z marca 1827. Por. Siemieński, Portrety literackie. Tom. I, Poznań, 1868, str. 338.

[3]) Cytowany list Podczaszyńskiego (Śliwiński, l. c., str. 82).

cieszył się sympatyami Koźmiana), „najohydniej“ zdradził sekret.[1]) Koźmian, dotknięty osobiście wzmianką w „Chwili spoczynku“, dostał z irytacyi gorączki i rozstał się wprawdzie z myślą ogłoszenia »Flory«, ale poszedł ze skargą do dyrektora szkoły podchorążych, że jego wychowankowie, zamiast mustry pilnować, bawią się w romantyczność[2]). Godebski zaś podrwiwał dalej, zapewniając, że świat cały, znużony zimą r. 1827 czeka z niecierpliwością na przybycie Flory[3]).

Koźmian bezradny, żali się znowu Morawskiemu i pisze do Lublina: „Żaba[4]) czyli Chwila spoczynku, napisał, że miała wychodzić *Flora*, lecz zmarzła. Tak to źle grozić się a nic nie robić; gorzej głupców do konfidencyi dopuszczać. Czekamy Ciebie, żeby coś uradzić; bo nigdy głupszymi, nigdy zuchwalszymi nie byli literaci i krzemieńczanie, jak teraz“.[5])

Na narady było już jednak zapóźno. Osaczeni ze wszystkich stron, tracili klasycy coraz bardziej grunt pod nogami. Wyszły Sonety krymskie, Zamek Kaniowski, Wallenrod i grom najsroższy uderzył w twierdzę pseudoklasycyzmu: »Do krytyków i recenzentów warszawskich«. A pod bokiem mieli Mochnackiego, z którym nikt nie odważył się pójść otwarcie w zawody. Jego jedna zachmurzona mina na uroczystem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk budziła popłoch w całym obozie klasyków...[6])

Tak z czasem odeszła klasyków ochota drukowania owej „Flory“; radzi nieradzi musieli uznać za swój niejako głos oficyalny Listy Morawskiego do klasyków i romantyków, choć rozsądny autor »Dworca mego dziadka« nie wziął ich wcale w obronę, lecz obu stronnictwom jednako przyganiał.

W roku 1830 już byli, rzec można, bezsilni. Jedną, jedyną kreską założyli protest przeciwko wyborowi Goethego na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, pozatem płatali romantykom złośliwe figle. Dzięki jednemu z takich figlów Werter, bohater humorystycznej, francuskiej parodyi Goethego granej w r. 1830 w Teatrze Rozmaitości mówił w tej sztuce słowami... Mickiewicza, szczególnie temi, które są „niezgodne z duchem języka«[7]).

---

[1]) Tak tłumaczę sobie wyrażenie Koźmiana o Dmochowskim w cytowanym liście do Morawskiego (Siemieński, l. c., str. 353—4).

[2]) Cytat u Śliwińskiego, l. c., str. 82—3.

[3]) Chwila spoczynku 1827. I, str. 272.

[4]) Siemieński l. c., str. 354, gdzie mylna data: 13 lutego 1828, zamiast 1827.

[5]) Żaba Napoleon Feliks, współwydawca „Chwili“; przesiedział się za nią pół roku w areszcie szkoły podchorążych wraz z Godebskim.

[6]) List Koźmiana do Morawskiego z 2 maja 1829 (Siemieński, l. c., str. 393).

[7]) Dziennik powszechny krajowy z 18 lutego 1830 (nr. 48, str. 239)

Wtedy także wyjrzało na świat kilka kwiatków „Flory romantycznej“. Ukradkiem i po cichu. Właściwie w rubryce „rzeczy znalezionych“. Nadesłał ją redakcyi „Gazety warszawskiej“ jakiś anonim, który twierdził, że rękopis dostał się przypadkiem w jego ręce; zanim właściciel odbierze sobie z drukarni rękopis, on pozwala sobie ogłosić kilka wyjątków tego dzieła.

Czy tak było w istocie, czy też miał to być kryty sztych pseudoklasycznej satyry, niewiadomo, dość, że urywek „Flory“ pt. »Nowe zasady“ ukazał się w „Gazecie warszawskiej“ z d. 6 marca 1830[1]), przedrukowany zaraz w „Gońcu krakowskim“.[2]).

Fragment w Gazecie warszawskiej był, zdaje się, *clou* całej roboty; wyjątki z niego powinny nam dać wyobrażenie, jak wyglądała całość.

Wieszcz (Mickiewicz) wygłasza mowę programową. Wyłuszcza zasady romantyczności, wskazuje wyższość poezyi romantycznej. „Chór wieszczów“ wtóruje mistrzowi, wielbi go i jest jego echem. Zapoznawszy się dokładnie ze słownikiem Mickiewicza i wynotowawszy ulubione jego wyrażenia i niektóre motywy stara się autor dać dowcipną parodyę języka poety. Oto początek. przytoczony w całości, jako najlepsza część fragmentu:

Chór wieszczów.

Stanął pierwszy w wieszczów rzędzie,
Co to będzie, co to będzie!

Wieszcz.

Bez nauki
I bez sztuki,
Wieszcz prawdziwy
Stwarza dziwy.

W kąt Homery, w kąt Marony,
Tasse, Woltery, Rasyny;
Wieszcz, nie temi wcale tony,
I nie takie głosi czyny.

Zdala próżnych zasad smaku,
Pewnej strzegących granicy,
My, Goethego zwolennicy,
Przedmioty bierzem bez braku

Rozmawiające kwiateczki,
Z sercem przekwitłem młodzieńce

---

[1]) Nr. 63, str. 584—5.
[2]) Rok 1830, nr. 34, str. 269—272.

I obłąkane dzieweczki,
Romansowe potępieńce,
Góry, doliny, kurhanki,
Widma z ciemnic wychodzące,
I upiorowe kochanki,
I niedźwiedzie śpiewające,
I gałązki i badylki,
Słońca, gwiazdy i księżyce,
Sowy, puhacze, motylki
I wybladłe czarownice,
Małe rybki, wieloryby,
Dąb, co buja aż pod chmury,
I pod dębem wzrosłe grzyby,
Krety i myszy i szczury,
Wspomnień gminnych morsze szczątki
I zdarzenia różnorodne,
Godne są wiecznej pamiątki
I wieszczych pieniów są godne.

Umieć to wszystko razem złączyć, napełnić raj czartami, brylanty powsadzać do błota, być miłym i dzikim, jasnym i tajemniczym — jest najszczytniejszem zadaniem romantycznego poety. »Chór wieszczów« wielbi mistrza dającego tak cenne wskazówki. Wieczność zrozumie go i uwieńczy laurem skronie »śmiałego utwórcy romantycznej pieśni«. Bo otworzył szerokie bramy natchnieniu, bo dał wzory niezniszczalnych rymów.

Mistrz mówi dalej: Romantyczność jest wszędzie. O wszystkiem myśli i o wszystkiem pisze, łączy duchy dobre ze złymi, a świat duchów ze światem ludzi i zlewa na wszystko swój urok. Kto tego nie potrafi, niech dalej „z Homerem pieszo chodzi“, niech naśladuje Wirgila i strzeże granicy rozsądku i poprawności.

I te są dla główmiernych zakreślone szranki.
Ale my, dzieci falą wydmuchnionej pianki,
Za obręb pospolitych wystąpiwszy granic,
Smak i rozsądek taki poczytujem za nic.
Mamy inne zasady, mamy bujność inną,
Razem groźną i płaską, wytworną i gminną,
Romansową i twardą i czułą i wściekłą,
Pieniom naszym swym rykiem odpowiada piekło.

Dlatego czarty, strzygi, upiory i larwy tak chętnie kryją się w przepastnych głębiach ballady i romantycznego dramatu. Oto całe wyznanie wiary nowoczesnego poety, oto są »prawdy żywe« romantyzmu,

...A jeżeli szemra na nie
Który z dzisiejszej młodzieży

I w owe prawdy nie wierzy,
Niech się księdza Baki spyta,
Ten go nauczy — i kwita.

Chór wieszczów.

Niech się księdza Baki spyta,
Ten go nauczy i kwita!

Trzeba dobrego rozczytania się w języku epoki Księstwa Warszawskiego, w jego manierze i szablonowych przeważnie formułkach składniowych czy retorycznych, by zrozumieć, ile trudu zadać sobie musiał klasyk, chcąc tak „romantycznie“ pisać, ile razy odrzucić musiał ze wstrętem szary tomik z drukarni Zawadzkiego, by znowu do niego powrócić, wsłuchać się w tok jego słowa i przyswoić sobie *ad usum* szyderstwa jego barwę. Ale poza dowodem sumiennej lektury pism Mickiewicza jest też w tej satyrze wartość niezaprzeczona, a leży w pysznej parodyi stylu, w podchwyceniu pewnych sympatyi wyrazowych „papieża romantyków“. Zrobione to zwięźle a dosadnie. Nie potrzeba wskazywać, który dowcip godzi tu w „Ballady i romanse“, a który chce wyśmiać II i IV część „Dziadów“, zbyteczne też chyba objaśnienie, że „Chór wieszczów“, to warszawscy satelici Mickiewicza, powtarzający jego słowa.

Ustępy dalsze, w których wypowiada się przekonanie klasyków o braku jasno określonych celów nowego kierunku i jego rozbieżności z jednej, a zupełnej anarchii w zakresie pojęć estetycznych z drugiej strony — są nieporównanie słabsze. I z tej nierówności przypuszczać można to, czegośmy się zresztą domyślać mogli ze wzmianek Godebskiego i Koźmiana: „Flora“ była pracą zbiorową. Może bawił się nią Koźmian w chwilach wolnych od „Ziemiaństwa“, może Osiński i Morawski pomagali mu w mozolnem składaniu przeciwromantycznych wierszy. Ale autor „Ziemiaństwa“ był w każdym razie patronem i opiekunem tego wesołego przedsięwzięcia.

II. ROMANTYCZNOŚĆ. BALLADA.[1])

W tym samym roku, w którym klasycy z bolem serca zaniechać musieli druku „Flory“, zrodziła się także druga satyra na romantyków. Autor jej był śmielszy i nie dał się, tak jak Koźmian, zastraszyć: chodził najpierw, jak ongi Kiełczewski z „Mową“ po redakcyach, a gdy spostrzegł, że wszystkie mają dużo respektu przed kłótliwym ludkiem romantyków i boją się drukować, wy-

[1]) Romantyczność. Ballada. W Warszawie, drukiem N. Glücksberga 1827. 8⁰, str. 12+1 nlb. Jedyny znany mi egzemplarz jest w Bibliotece Akademii Umiejętności w Krakowie.

dał satyrę własnym nakładem. Pracy sobie zadał niemało, aby napisać rzecz „podług wszelkich zasad romantyczności“, jak sam mówi. A skleciwszy wreszcie dziwotwór, który się składał z fragmentów powieści poetycznej, fantastycznego dramatu i pseudoklasycznej ody, uznał, że będzie najlepiej, gdy go nazwie — balladą. I w treści i w formie występują wybitne romantyczne pierwiastki: co wiersz, to wyszukany rym, a co stronica, to coś bardziej nadprzyrodzonego.

W przeciwieństwie do autora „Flory“, który się nie bawił w fabuły, ale prażył przeciwnika jędrną parodyą romantycznego wysłowienia, opowiada nam poeta smutną historyę z własnego życia:

Pewnej nocy zbudził go ze snu jakiś brutalny duch i mimo protestów poety kazał mu iść za sobą.

Dokąd mnie wiedziesz, o duchu ciemności?
— „Nie lękaj się, idziesz społem
Z czarnym ciemnoty aniołem,
Posłańcem Romantyczności“.

Poecie zrobiło się zimno, (bo to był poeta pseudo-klasyczny i wystrzegał się zawsze w życiu i twórczości takich podejrzanych ludzi). A już do reszty odebrała mu humor wiadomość, że Romantyczność jest królową i mieszka na Łysej Górze; na jej skinienie czekają posłuszne roje duchów: duchy piekieł, dzwonnic i cmentarzy, nadto sowy, puhacze, kruki, nietoperze, larwy i upiory: wszyscy dobrze znajomi nasi, ale nie poety, który był rozespany a „Dziadów“ nie czytał. Więc dość szorstko pyta posłańca, jaki cel miała królowa, każąc budzić w nocy nieznanego człowieka i prowadzić do siebie.

Alboż nie znasz jej potęgi? —
Duch mi czarny odpowiada
— Nie jedna uczy ballada
I tysiąca nocy księgi,
Że to potęga nielada;
Nie jedna uczy ballada
I tysiąca nocy księgi.

Skoro jeszcze ciemno wszędzie
I kur sobie jest na grzędzie,
Budzim wieszczków naszych tłum,
By na sławy idąc szczyt,
Pisali, co poda *um*.

I dowiaduje się dalej poeta, że jest przeznaczony na wielkiego twórcę romantycznego, zaczem hołd musi złożyć swej przy-

szłej Pani i podziękować za zaszczytną nominacyę. Na skrzydłach posłańca unoszą się w powietrzu i zdążają do zamku królowej.

Leci po powietrzu, leci,
Wszędzie ciemno, ciemno wszędzie,
Ślip potworu tylko świeci,
Co to dalej ze mną będzie?

Najpierw w rozwalinach starego zamku witają go licznie zebrane czarownice, które miały widocznie jakieś pojęcie o kulturze klasycznej, bo odprawiały sabat według recepty: *Parturiunt montes*...

Najstarsza z czarownic.

Przyłóżcie do żaru zioła
A jeśli wyskoczy mysz,
Wówczas wołajcie do koła:
A pysz, a pysz, a pysz!

Czarownice.

Wyskoczyła bura mysz,
A pysz, a pysz, a pysz!

Najstarsza z czarownic.

A więc dobry znak,
Bo mysz *czmycha* wspak.

(po pauzie)

Przyszłość Ci losy szczęsne zapowiada:
Staniesz się naszym czcicielem,
Będziesz ciemności dzielnym wielbicielem,
Będziesz poetą nielada.

Widzisz to światło w iskierce,
Widzisz duchów wolny chód?
Miej tylko serce i patrzaj w serce,
Wówczas wszelki ujrzysz cud!

Po tej wstępnej ceremonii jedzie poeta na łopacie czarownicy na Łysą Górę; tam znowu działy się rzeczy, które może są igraszką dla romantyka, ale straszne były dla pseudoklasycznego poety. Upiory i straszydła najrozmaitsze bawiły się wesoło wśród grzmotów, błyskawic i potoków ulewnego deszczu. A że ludzie z tych sfer bez skowytu i dreszczem przejmujących jęków zabawy nie rozumieją, więc łoskot był nieopisany. Nagle wszystko ucichło i zjawiła się Romantyczność. I tu poeta doznał rozczarowania. Pamiętając z mitologii, że bóstwa poezyi na całym świecie bywają młode, promienne i uśmiechnięte, sądził, że się bę-

dzie rozkoszował widokiem królowej, a ujrzał zwykłą, bardzo starą i zgarbioną czarownicę, która powitała w nim obrońcę swych dążeń i ideałów i obwieściła nową erę w dziejach kultury: erę pogardy dla słońca i światła, świt królestwa mroków i ciemności. Mówiła o tem bardzo dziwnie:

Tak jest; łatwiejszy do ciemnoty tór,
Łatwiej pójdzie w wierszach rym,
Miej tylko Niemców za wzór,
Pójdziesz z pierwszymi o prym.
Znajdziesz dla się sławy huk,
Pisz tylko sobie stuk i puk.

Dziś — tłumaczyła mu — inaczej pisać nie można: tych, co się jeszcze prawideł trzymają, już nikt nie czyta. Wykład swój zakończyła Romantyczność małą dygresyą w dziedzinę „absolutu, infinitu i ideału", a wreszcie wręczyła mu trzy skromne upominki: miotłę (na nią siądzie, tak jak dawniej siadał na Pegaza), cudowny przyrząd do wytwarzania romantycznych rymów, wreszcie pióro, pamiątkę z grobu Bürgera. „Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia" mógł powiedzieć poeta, jeżeli dobrze znał Mickiewicza, bo wybiła dwunasta, a Romantyczność znikła wraz z całem swem królestwem. Na miejscu Łysej Góry szarzeć poczęły spowite w mgłę szczyty Helikonu i słychać było szmer kryształowych wód Permesu: poeta poznał, że jest na Olimpie. I jak Łysa Góra w Parnas, tak dotychczasowy, o pomstę do Boileau'a wołający, wiersz ballady zmienił się w poprawną strofę saficką i rozbrzmiał tonem dziękczynienia:

Niech będzie pochwalone światło starożytnej poezyi, bo oświeciło ludzkość i rozprószyło gotyckie mroki zabobonu, i niech się zawsze święci chwała Olimpu, bo burze dziejów i zakusy wrogów piękna przetrwał i — zwyciężył...

Podniosłą modlitwę przerwał Apollo, zwabiony głosem śmiertelnika i zgromił ostro intruza:

Oddal się, nie tyś pierwszy tu się próżno trudził! —
Jam klęknął, chciałem prosić, alem się — obudził.

* * *

Stefan Witwicki byłby to uważał za największą krzywdę literacką dla siebie, gdyby wiedział, że ktoś ze współczesnych nazwał go autorem »Romantyczności«[1]). Autorstwo Witwickiego jest naturalnie wykluczone, co już zresztą dawno zaznaczył Ru-

[1]) Notatka na egz. Akad. Um., skąd przeszła do bibliografii. (Por. Estreicher, Bibliografia, t. V, str. 113).

dolf Ottman [1]). Poza tym szczegółem niczego się więcej dowiedzieć nie można o tej satyrze ani w czasopismach ani w listach i pamiętnikach współczesnych. Jej autor, jak sam wyznaje w przypisku, poetą nie był, a o rzeczy wyśmiewanej miał bardzo nikłe wyobrażenie. Samozwańczy epigon wieku oświecenia wystąpił z oskarżeniem, na któreby się nawet Koźmian i tow. wtedy nie odważyli: romantyzm jest negacyą oświaty i kultury, synonimem obskurantyzmu, falą powrotną mroków saskich. Autor nie powiedział wcale rzeczy nowej: o tem wszystkiem pisał jeszcze w r. 1816 autor »Podróży do Ciemnogrodu« Stanisław Potocki w jednym z licznych artykułów »Świstka krytycznego« p. t. »Traktat pokoju Zakonu niedźwiadka z stanami mistyczno-romantycznemi« [2]). Uszło to w r. 1816, kiedy romantyzmu prawie jeszcze nie było, ale ignorancyą zabawną wydać się musiało w r. 1827. Dlatego w »Romantyczności« niema dysonansu: naiwna idea w naiwnej treści i formie. A przecież mówi nam wiele o epoce, o donkiszoteryi pseudoklasycznej, o niebosiężnych zamiarach romantyków: mówi tak, jak mówić może anegdota, w której nieraz więcej wyczytać można, niż w najciekawszym dokumencie z pieczęcią.

W oczach Witwickich i Odyńców otaczały te satyry [3]) ro-

---

[1]) R. Ottman, Stefan Witwicki. Życie i pisma (Przegląd polski, 1879, t. 53, str. 331).

[2]) Wójcicki K. Wł., Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki. Warszawa, 1880, str. 75—77; dr. M. Szyjkowski, Génie du Christianisme a prądy umysłowe w dobie porozbiorowej, str. 114.

[3]) Satyrycznych utworów na ten temat z przed r. 1831 nazbieraćby można wiele. Obok znanych bajek Dmochowskiego i „Romantyczności" Odyńca-Słowackiego pojawiały się drobiazgi w czasopismach np. w „Gazecie Polskiej" 1827—1828. Jakiś Wincenty Jastrzembski, Litwin, strawestował „Dziady" w komedyi, którą potem we Lwowie odczytywał Zaleskiemu i Nabielakowi. Wyjątki przytoczył Estreicher w pracy: Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie (1807—1832), str. 77—78.

Nawet w kupletach operetkowych drwiono z romantyków. Początek jednego zanotował Witwicki w „Wieczorach pielgrzyma": „Oto romantyk blady, Wzywa duchy do ballady".

W słynnych „Miotełkach", śpiewanych przez Nowakowskiego w r. 1830 w „Chłopie milionowym" była także taka mizerna strofka (Kurjer polski, 1830, nr. 160, str. 812):

Cóż to za rzesza ta,
Prawidła za nic ma!
Prawidła święta rzecz,
Romantyku, nie przecz.

Romantyk jest to gęś,
Laharpie, głową wstrzęś!
Czyż ćmić będzie twój rym
Gęsty ich szał jak dym?
Miotły! Miotełki!

mantyzm nową aureolą. Zaciskali pięście i szli do domu wdziewać pancerze...

Średniowiecznemu mnichowi, ślęczącemu nad iluminowanym rękopisem świeciło hasło: *Extra latinitatem non est vita* — warszawski romantyk występował do walki, jak drugi Patrokles w zbroi Mickiewicza; wypisywał na tarczy słowa francuskiego krytyka: *Hors du romantisme il n'est point du salut* i topił wojownicze zapały w jednej więcej balladzie.

By potem, w latach emigracyjnych, patrzeć z uśmiechem pobłażania na swe lata burzy i pędu.

Lwów. *Stanisław Wasylewski.*

Imionniki Maryi Szymanowskiej.

Imionniki wyszły z mody. Zastępowały niegdyś raptularze i pamiętniki. Uprzytomniały u schyłku życia posiadaczom minione dni. Potomności przechowują wiernie charakterystyczne cechy danej epoki. Przeglądając na przykład imionniki Maryi Szymanowskiej, spotykamy nazwiska naszych znakomitości literackich z czasów Księstwa Warszawskiego. Wprawdzie daleko więcej zapisało się w nich sławnych cudzoziemców niż spółziomków Szymanowskiej, ale nas rodacy jedynie zajmą.

„Szymanowska — pisze w swoich pamiętnikach[1]) doktor Stanisław Morawski — posiadała i zostawiła dzieciom swoim rzadkiej wartości albumy. Albumy te należą do umysłowych skarbów kraju naszego i rzeczywiście do niepospolitych klejnotów liczyć się powinny. W ciągu kilkuletniego pobytu muzy naszej za granicą i w Rosyi, w ciągu długiego pobytu swojego w rodzinnym kraju, słowem, gdzie była ta zacna kobieta, umiejąc sobie zaskarbić przyjaźń i szacunek wszystkich i zostając w blizkich z wszystkimi niepospolitymi ludźmi swojego czasu stosunkach, starała się i potrafiła zebrać i skupić w jedno własnoręczne pamiątki i podpisy najznakomitszych gwiazd duchowego horyzontu całej Europy. Ludzie ci, różnych narodów a różniejszych jeszcze dążeń, z ochotą spełniali jej życzenia, chętnie wtłaczali się w jej pamiętniki, ciesząc się i chełpiąc z tego braterskiego zbliżenia, które wszystkich wielkich przedstawicieli ówczesnej europejskiej sławy pod jedną i tak gościnną strzechą zebrało. Takich albumów miała trzy. Jeden w bogatej, drogiemi kamieniami ozdobnej oprawie, dar księcia Cambridge, brata

---

[1]) Urywki z pamiętników St. Morawskiego wyszły w lutym 1898 r. w Ateneum.

króla angielskiego Jerzego IV-go, zawiera w sobie autografy i podpisy sławnych poetów, historyków, wojowników, malarzy i t. d. Dostał się on córce Szymanowskiej, Helenie Malewskiej.[1]) Drugi stanowi zbiór, z niemałym kosztem i trudem zebranych autografów najsławniejszych dawnych kompozytorów muzycznych i nowoczesnych autorów, z umyślnie przez każdego z nich na pamiątkę dla Szymanowskiej napisaną muzyką. Ten zbiór znajduje się w Paryżu w ręku córki jej, małżonki sławnego poety Adama Mickiewicza. Trzeci zapełniony także nazwiskami różnych znamienitości krajowych i zagranicznych wszelkiego rodzaju, przeszedł był w dziale do syna jej Romualda, który wysłany na Kaukaz, jakby już wcześnie zgon swój nieszczęsny przeczuwał, cały ten zbiór z Kijowa odesłał darem siostrze swojej Malewskiej i tym sposobem od wiecznej zatraty zachował. Thomas Moore, Chateaubriand, Casimir Delavigne, Benjamin Constant, Karamzyn, Koźmian, Canning, Béranger, Niemcewicz, Jouy, Goethe, Osiński, Kryłow, Roztopczyn, Humbold, Dawydow, Pasta, Paër, Miss Siddons, Catalani, Cherubini, Clementi, Beethoven, Weber, Mercadante, Rossini i tylu innych zgromadzonych tam genialnych gości zapewniają temu jedynemu może w swoim rodzaju zbiorowi rosnącą z każdym dniem, w otchłań przeszłości zapadłym, wiekopomną a niczem nie dającą obliczyć się cenę."

Niedawno muzeum Goethego w Wejmarze prosiło o odfotografowanie z tych albumów wiersza Goethego do Maryi Szymanowskiej. Poeta niemiecki wiersz ten sam dla niej przełożył rymem po francuzku a jest to jedyny znany wiersz francuski Goethego.

Marya z Wołowskich Szymanowska urodziła się w Warszawie 14-go grudnia 1790 r.

„Z duszą muzyczną — pisze Morawski. — Każdy dźwięk boskiego natchnienia zaraz trafiał na odpowiednią i gotową strunę jej czułego serca. Całe skarby, jakie sobie zebrała, winna była sobie samej wyłącznie. Nikt ją wtajemniczyć w sekrety sztuki nie umiał, bo Warszawa podówczas żadnego w tym rodzaju mistrza nie miała i kiedy w roku 1812-ym za świetnym duchem Napoleona Paër, Rhode, Cherubini, jak porwane wirem tej wielkiej komety światełka, nagle wśród Warszawy błysnęli, młodziutka i prześliczna podówczas kobieta wywołała swoim talentem serdeczne zadziwienie, zachwycenie i życzliwość tych wielkich mistrzów, życzliwość nieudałą i trwałą, bo w wiele lat potem, kiedy się już ona jako artystka w podróżach swoich z nimi spotkała, ludzie ci, znakomici

---

[1]) Okładkę zdobi piękny kamień, rznięty w płaskorzeźbę Klamra, składająca się z drogich kamieni, została wyłamana i skradziona. Wszystkie trzy albumy, o których mowa, złożone są dzisiaj w Muzeum Mickiewiczowskiem w Paryżu.

wszyscy co do jednego dobrze ją pamiętali i otoczyli w cudzym kraju tem poważaniem, podziwieniem, szacunkiem, okryli ją temi skrzydłami ojcowskiej przychylności i opieki, jakich godną ze wszech miar była. *La danse nationale polonaise* przypisany Baillotowi i nokturn *Le murmure*, w Paryżu, „Świtezianka“ ballada Mickiewicza, w Moskwie, „Trzy śpiewy“ Mickiewicza i sławny „*Le murmure à trois mains*“, w Petersburgu, były owocem ciągłego tej rzadkiej kobiety natchnienia“.

Celina Mickiewiczowa grywała często mężowi swemu *Le murmure*, przypominając mu petersburskie czasy i dom Szymanowskiej.

Zanim przejdę do albumów Szymanowskiej, przytoczę jeszcze sądy o niej prasy polskiej. Dowiadujemy się z Kuryera Warszawskiego z d. 7 lutego 1822 r. że:

„J. Pani Maryanna z Wołowskich Szymanowska, której talent muzyczny tylokrotnie był uwielbiany w jej ojczyźnie Warszawie. wyjechała zeszłej niedzieli do Petersburga, gdzie ma dać kilka koncertów na fortepianie“.

Numer z 31 marca 1822 r. Kuryera Warszawskiego zawiera następny dopisek własnoręczny:

„Domaszewski ma honor przesłać tak zaszczycającej naszych rodaków artystce niniejszy egzemplarz w dowód powinnego szacunku“.

„Podług świeżo nadeszłych listów z Petersburga — pisał Kuryer Warszawski — znajduje się tam od kilku tygodni pani Marya z Wołowskich Szymanowska, znana w stolicy naszej ze znakomitego talentu swego na fortepianie. Poprzedziła ją tamże tak zasłużona sława i zjednała jak najchwalebniejsze przyjęcie w najrozmaitszych towarzystwach. Na dni kilka przed publicznym koncertem miała zaszczyt grać u N. Cesarzowej i u N. Wielkiej księżny Aleksandry, gdzie zyskała wysokie Najjaśniejszej rodziny cesarskiej zadowolenie; w dniu zaś 18 marca dała się słyszeć w sali zwanej filarmoniczną. Od koncertów pani Katalani nigdy sala tak napełnioną nie była; o bilety tak się ubiegano, iż przed zaczęciem koncertu wszystkie już dawno wyprzedane zostały, a chociaż naznaczona cena była rubli assyg. 10, to jest około dukata za bilet, niektóre osoby dla okazania, ile wielbią doskonałość sztuki, od 10 do 20 dukatów za jeden bilet płaciły. Za ukazaniem się pani Szymanowskiej przyjęły ją głośne i powszechne oklaski, które po odegraniu każdej sztuki powtarzano z większem coraz uniesieniem. Pomiędzy innemi grała *adagio* skomponowane dla niej w Petersburgu przez sławnego Himla, nadwornego dyrektora orkiestry N. W. Ks. Maryi Pawłówny małżonki Ks. następcy tronu Wejmarskiego. Tenże kompozytor dyrygował orkiestrą. Nie zapuszczając się w szczegółowy rozbiór

licznych i nadzwyczajnych zalet, jakie grze p. Szymanowskiej sprawiedliwie publiczność przyznała, to tylko powiemy, iż odgłos powszechny mieści ją na jednym stopniu doskonałości z Fieldem. Wielki książę, następca Wejmarski, obecny na koncercie, dzielił zadowolenie powszechne. N. Pan raczył przesłać pani Szymanowskiej w upominku kosztowny fermoar ozdobiony brylantami. Dochód z tego pierwszego koncertu miał wynosić 19000 rubli asygn."

21 maja 1822 r. Kuryer warszawski donosi, że:

„podług listów nadesłanych z Petersburga J. Pani Szymanowska miała szczęście dn. 24 z. m. grać na fortepianie u N. Cesarza i Króla, tudzież N. Cesarzowej Elżbiety i zyskała obok najłaskawszego przyjęcia, zupełne JJ. CC. MM. Mści zadowolenie. W dniu następnym udarowaną została od N. Cesarza i Króla kosztownym naszyjnikiem z pereł na fermoar szmaragdowy, brylantami ozdobiony, zapiętym. Dnia 27 kwietnia wyjechała J. Pani Szymanowska do Moskwy, gdzie zamyśla dać kilka koncertów, później zaś ma znów do Petersburga powrócić".

„Widywałem — mówi Morawski — w jej domu często księżnę Kurakin, jedną z najpoważniejszych dam dworu, księżną Barbarę Golicyn i panią Diwow, córki hrabiego Rumiancewa, księżniczkę Alinę Wołkońską, córkę sławnego ministra dworu, całą zacną i utalentowaną rodzinę sekretarza stanu Lwowa, panią Dierżawin, panią Szyszkow, Narbutównę z domu — żonę ministra oświecenia, pana Middleton z familią — posła Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, barona Palmstjerna — ambasadora szwedzkiego, hrabiego Simonetti — ambasadora Sardyńskiego, pana Potemkina — posła rosyjskiego przy dworze bawarskim, barona Bourgoing — ministra francuskiego, kawalera O'Sullivan — sprawiającego interesa Holandyi, księcia Ksawerego Lubeckiego — genialnego ministra finansów Królestwa Polskiego, hrabiego Grabowskiego — ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego, z siostrzenicą i wnuczką, tajnego radcę Turkułła — dzisiaj ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego, hrabiego Zamoyskiego, jenerała Kosseckiego, Fryderyka hrabiego Skarbka, jenerała Łubieńskiego i mnóstwo innych".

Marya Szymanowska stosunki swoje w wyższych sferach rosyjskich umiała obrócić na korzyść Polaków, wygnanych z Wilna do Petersburga i Moskwy. Stała się ich niezmordowaną dobrodziejką. Niemało przyczyniła się do serdecznego przyjęcia, jakiego Adam Mickiewicz doznał w kołach literackich nadnewskiej stolicy i gorliwie zajęła się ułatwieniem jego wyjazdu za granicę. O staraniach jej w tym kierunku świadczy na przykład następujący list do Franciszka Malewskiego:

J' ai vu la princesse Pauline Galitzine, qui m'a assuré positivement que le prince Dimitri arrive pour la fête de sa mère, qui

s'appelle Nathalie, ce qui est le 17 Janvier. Le prince doit être le 14 ou le 15 au plus tard, selon ce qu'en dit sa mère, qui regarde l'arrivée de son fils comme immanquable. Arrêtez de force Mickiewicz: qu'il se fasse malade et envoie un certificat de médecin, s'il le faut, pourvu qu'il reste. Ces dames se chargent de faire parler au prince par sa mère qu'il adore, s'il fallait une demande; mais Mickiewicz rien a pas besoin, car le prince Dimitri l'aime trop pour qu'il ait besoin de cela. Le fort de la chose est de rester et d'attendre le 15 Janvier, qui décidera de tout.

M. S.

Marya Szymanowska poecie uprzyjemniała niezmiernie pobyt w tak przykrych warunkach w Petersburgu. Nie dawno Wiktor Gomulicki poruszył kwestyę, czy Mickiewicz rysował lub nie, a to z powodu różnych utworów artystycznych mylnie poecie przypisywanych. Poeta nigdy nie popisywał się ani ołówkiem ani pędzlem. Jedynym może autentycznym swoim rysunkiem obdarzył loteryę urządzoną przez Maryę Szymanowską na cel dobroczynny. Główny los na tej loteryi był, według słów Franciszka Malewskiego »rysunek Adama najniezgrabniejszy na świecie«. Los ten wygrała Julia Wołowska[1]), lecz Mickiewicz z obawy, aby to arcydzieło dalej nie powędrowało, los ten sobie przywłaszczył, co wywołało następną skargę: —

„Rendez à Dieu ce qui est à Dieu et à César ce qui est à César“ Voilà les paroles divines de notre Sauveur. En bonne catholique chrétienne, je profite de cette sainte maxime et je renvoie a Mr Malewski son lot gagné. Julcia robi formalne zeznanie, że nie rozmyślnie, ale z przymusu oddała wczoraj swój wielki los, o którego zwrot usilnie się domaga. Spodziewać się należy, że autor hymnu „Gołąbku Syonu“ zechce korzystać ze słów Pisma Świętego powyżej namienionych i że niezwłocznie odeszle niewłaściwie zabrany los. Dziś będziemy na operze. Kto się nie obawia napaści pana T., znajdzie w loży pod numerem 10-tym *un refuge hospitalier.* Dowiadując się o zdrowie Pana Malewskiego, zasyłam mu dzień dobry, z którego połowę odstąpi sąsiadowi [2]).

M. S.

W piątek rano.

---

[1]) „Marya Szymanowska — pisze Stanisław Morawski — miała dobrze starszą od siebie rodzoną siostrę pannę Julię Wołowską, od dzieciństwa przez ospę najzupełniej pozbawioną wzroku. Ta siostra, pomimo ślepoty swojej, ją wynosiła na ręku i jak własne dziecię kochała“.

[2]) Franciszek Malewski mieszkał razem z Mickiewiczem do wyjazdu poety za granicę.

Prawdopodobnie, jeżeli Malewski los swój otrzymał, panna Julia Wołowska mniej była szczęśliwa i z rąk Mickiewicza nie wydostała rysunku, który przepadł dla potomności.

W innym bileciku Maryi Szymanowskiej do Franciszka Malewskiego z Moskwy 4-go grudnia maluje się macierzyńska jej troskliwość o poetę:

Kolonia polska przypomina się pamięci Pana Franciszka, którego odjazd wraz z Panem Adamem zasmucił nas. Przyznaję się do winy, że często mówiłam: „Niech sobie Malewski zmarznie, aby Mickiewiczowi ciepło było“. Cela s'appelle vouloir du bien à quelqu'un aux dépens d'autrui. Cette franchise vous prouve, bien estimable compatriote, que je reconnais votre zèle et toute votre amitié pour votre compagnon de voyage et d'infortune et que vous lui voulez plus de bien qu'à vous-même. J'ai été bien souffrante avant le concert, toute tremblante ce jour même. Mais j'ai eu une douce récompense de mes nombreuses tracasseries, car on m'a accueillie avec distinction et bienveillance. Mes enfants m' ont rendu mille soins tendres et empressés et la bonne Hélène[1]) a fondu en larmes, dès qu'elle m'a vu paraitre. Cela fait oublier bien des contrariétés. La connaissance de Monsieur et de Madame Zaleska[2]) nous est bien précieuse. Nous nous promettons des moments agréables dans leur société. Vous en ferez toujours partie, mes bons compatriotes, car, quoique loin, nous serons près de vous par le souvenir et par le coeur. Les enfants et Julie vous disent mille choses.

M. S.

W imionnikach są niektóre wiersze niepodpisane, lub opatrzone niewyraźnym podpisem.

„Ktoś, opowiada Michelet w legendzie demokratycznej o Kościuszce, odmówił przy nim jednego dnia te wiersze francuzkie tak znane:

Z gałązki swojej odjęty,
Biedny mój listku wyschnięty,
Gdzie idziesz? — Czy wiedzieć mogę.

Głęboko niemi tknięty, przepisał je z pośpiechem. Biedny starzec, wygnaniec, znajdował w nich swój obraz, obraz swojej ojczyzny miotanej wiatrami północy śród tylu przygód.“

---

[1]) Helena Szymanowska, starsza córka Maryi, która wyszła za mąż za Franciszka Malewskiego.

[2]) Bonawentura i Joanna Zalescy, którym poeta dedykował Konrada Wallenroda.

Zapewne niejednemu wiersz ten natchnął podobne myśli, gdyż znajdujemy w imionniku Maryi Szymanowskiej tłumaczenie tej poezyi, podpisane nieczytelnie:

Od gałązki oddzielony,
Biedny listku wysuszony,

Gdzież lecisz?... Nie wiem, gdzie lecę.
Niewstrzymanej burzy siła
Nagle dąb ten wywróciła,
W którego byłem opiece!

Wiatry, przez niestałe wiania
Miotają mnie od świtania,
To z zarośli na równinę,
To z pagórka na dolinę.

Lecę, gdzie chcą losy moje!
Nie żalę się ani boję;
Nieświadom celu podróży
Lecę, gdzie kwiat dąży wszystek:
I ten przyjemny kwiat róży
I ten świetny lauru listek.

Ofiaruje autor tej, która z obydwu listków już ma wieniec uwity.

Bezimiennych autorów zostawiając na boku, spotykamy wiersze Henryka Rzewuskiego. Autor Pamiętnika Soplicy, obeznany z wszystkiemi tradycyami upadającej Polski, miał też w wysokim stopniu jej przywary. Obżarstwo nie było mu obce. Wstawał często od stołu po sutym obiedzie, aby spieszyć na inną ucztę. W XIX-tym wieku przedstawiał typ szlachcica wieku poprzedniego, u którego tryskający dowcip zastępował brakujące cnoty. W Petersburgu przyjął zaproszenie na obiad do Szymanowskiej w Warszawie, ale jeżeli nieraz sprzeniewierzył się ideałom ojczyzny, to zawsze wierny został kuchni narodowej:

Ponieważ Marya na obiad mnie prosi
I wybór potraw mnie samemu daje:
Niech barszcz, co gęsto śmietana go rosi,
Z uszkami, z rurą na początku staje;
Po nim niech kawał zwierza, co ma rogi
I nie jednego z szlachty zrobił panem,
Tłuste z majranem poprzedza pierogi,
Byle był tylko kruchy i ze chrzanem.
Potem kartofle, z cebulą zmieszane,

Niechaj apetyt swą wonią zbudzają,
Lecz niech słoniny skwarki przysmażone
Kartofle barwą ciemną ozdabiają.
Potem nadzianie kopru i pietruszki
Niechaj rozpycha kurcząt z półtuzina,
A gdy już będą napełnione brzuszki
Daj nam, Marysiu, węgierskiego wina;
Prawdziwie jesteś dla nas tak łaskawa,
Że nie zapomniesz sałaty i ciasta,
A po obiedzie polska będzie kawa,
Całuję rączki, bo już będzie basta.

6 czerwca *H. R.*

Do pierwszych wielbicieli Maryi Szymanowskiej należy Maurycy Gosławski, który 10-go marca 1823 r. ofiarował jej następne wiersze „z powodu jej koncertu na ubogich dnia 9 marca w Krzemieńcu“.

Jakaż to harmonija rozległa się tkliwa?
To głos Muz pieszczony!
Ach nie! to Szymanowska czarownemi tony
Serce porywa...

A choć dźwięk, co mą duszę najtkliwiej przeniknął,
Którym mile ucho pieszczę,
Jak lekki wiaterek zniknął,
Czuje go me serce jeszcze.

O! kto się nim nie poruszy
I łzy nie uroni z oka,
Ten nie ma czucia ni duszy,
I serce ma jak opoka.

Co tkliwą wznieca rozkosz, podziwienie budzi,
Talent boski nad resztę wynosi cię ludzi,
Lecz nad talent przymioty wznoszą cię szczęśliwsze,
Bo nad tkliwe twe tony, twoje serce tkliwsze.

Ubóstwo — więzień blady — i skryta potrzeba,
Losu nieszczęsne igrzyska,
Których widok łzy wyciska,
Pocieszone twą ręką, głos wnoszą do nieba.

Z równym jak wszyscy zapałem
I ja słyszałem ciebie i ja ubóstwiałem;
Pozwól więc... lecz nie... nie śmiem tyle być zuchwały,
Bym miał piórem zbyt słabem śpiewać twe pochwały.

Jakaż lutnia będzie zdolna
Jakie pienie to ogłosić,
Co czuć tylko i nad czem zdumiewać się wolno,
Czuć nad to, ale nigdy wydziwić się dosyć.

Maurycy Gosławski U. L. W.

Marya Szymanowska wiersza tego nie wkleiła do albumu. Słabe to były próby początkującego młodzieńca. Widać, że na tym koncercie znalazł się i ks. Aloizy Osiński, który nie szczędził artystce najgłośniejszych pochwał:

Do Maryi Szymanowskiej grającej koncert w Krzemieńcu.

Jakie tylko przymioty zdobią tę płeć, którą kościół nazywa pobożną a świat piękną, te stały się twoją własnością najdroższą. Kiedy każdy zdumiewa się nad biegłością nadzwyczajną w wydobywaniu tych dźwięków niezliczonych, tak miłych dla ucha a milszych jeszcze dla serca; kiedy wszyscy z uniesieniem ten głos jednostajny podnoszą, że nic podobnego słyszeć nie mogli; kiedy nakoniec zachwyceni i rzadką przyjemnością twoją i ujmującą dobrocią, wyraźnie widzą nad wszelkie zalety, sprawiedliwie Ojczyzna Polska z tych darów najznakomitszych odnosi chlubę. Do tych odgłosów uwielbień, które się rozlegają w stolicy królestwa, do tych znamion chwały, któremi cię zaszczycił najlepszy z cesarzów i królów, niech zostanie w pamiątce i to przekonanie o twoich współziomkach: że Wołyń stawiający posągi naukom i cnotom, wyprzedzić się nie dał nikomu w szacunku dla ciebie, kiedy miał za największą pociechę widzieć cię, słyszeć, poznać i ubóstwiać.

Alojzy Osiński.

Ludwik Osiński wierszem swoje zachwyty wyraził:

Gdy pod twą dłonią brzmiały czarujące tony
Nad Tybrem, nad Sekwaną, mówił lud zdumiony:
Jakie dla niej swych darów niebo hojnem było!
Jaka rozkosz ją słyszeć i widzieć jak miło!
Nie dziw; sztuka przy wdziękach piękniejszą się staje.
Lecz my, bliżej cię znając niż odległe kraje,
Gdy wśród zyskanych wieńców, z dala od oklasku,
Widziemy cię, w mniej głośnym domowych cnót blasku,
Niedumną tryumfami, przyjaźni pamiętną,
Córką, matką, na wszystko poświęcić się chętną,
Jakże musiemy kochać — powiedz sama szczerze,
To zgodne sztuki, wdzięku i cnoty przymierze.

Ludwik Osiński.

Po tym płodzie chłodnej retoryki, następują wiersze Niemcewicza, ożywione nastrojem patryotycznym i tchnące dumą narodową.

W zbiorze pamiątek tylu wielkich ludzi,
Na próżno myśl się ma łudzi,
Jak tam, gdzie świecą natchnienia ich wieszcze,
Moje umieszczę.
Ciśniony wiekiem, nieznany ich sławie,
Bez ich znaczenia, bez ojczyzny prawie,
Cóż przyda starca lutni rozstrojona
Do tylu pochwał, któremiś wielbiona?
Plemię Sarmatów, lud wolny i śmiały,
Wojennej tylko lubił szukać chwały:
Stuk dział, szczęk broni, trąb chrapliwych wrzawa,
Krwawe utarczki, lub gonitw zabawa,
To jest, czem Polak był cały zajęty;
Ale słodkiej harmonii łudzące ponęty,
Te mdlejące w powietrzach wdzięcznej nuty drżenia,
Co nas unoszą, rzewne przywodzą wspomnienia,
Ten dar prawdziwy niebios, mało nam był znanym.
Ty nad Tybrem, Tamizą, Dunajem wezbranym,
Budząc dłonią twą strony, jakby czuciem tchnące,
Umiałaś z nich wywodzić tony czarujące.
Słysząc cudne te dźwięki, rzekł świat zadziwiony:
Jak do bitw, tak do pięknych sztuk Polak zrodzony.

J. U. N

D. 7 września, 1826 w Ursynowie.

Nie dziw, że gra Szymanowskiej wywołała u Kajetana Koźmiana klasyczne porównania;

Urok czarownych tonów z dźwiękiem nie ulata:
Dotąd z Lesbos dziewica hołd odbiera świata;
Smutny przychodzień zwiedza te morza i skały,
Gdzie przed wiekami strony pod jej dłonią brzmiały,
Lecz, jeźli za stracony jej urok poczyta,
Niech cię pozna, niech słyszy i tej księgi spyta.

K. Koźmian.

Nie poprzestając na tem wypisał jeszcze dla niej „wyjątek z wiersza do muzyki“.

Witaj darze! którego czarująca władza
Czuciom użycza mowy a myśli nie zdradza;
Ledwie się słyszeć dadzą twe uroczne brzmienia,
Cisną się niewystępne: radość, łzy, westchnienia.
Milczenie jest twym hołdem, godłem wieniec sławy.
Ozwiesz się? — drżę i słucham, lecz drżę nie z obaw
Milczysz? — a ja dumając nad mym stanem jeszcze,
Urokiem znikłych dźwięków zmysły moje pieszczę.

Unoś, rozrzewniaj, łagodź, a mocą ułudy
Podbij świat, panuj czasom i pocieszaj ludy.

Kajetan Koźmian.

Dnia 23-go stycznia 1829.

W Wilnie najwyższą powagą byli Śniadeccy.

Stary Polak — pisze melancholicznie Jan Śniadecki, — nie umrze bez pociechy, kiedy świetne talenta zrodzone na polskiej ziemi zyskują podziwienie obcych narodów, a w towarzystwie wdzięków i cnoty roznoszą chwałę swojej ojczyzny.

W Wilnie, 24-go lutego 1829 r.

Jan Śniadecki.

Brat Jana Śniadeckiego dodaje:

Jako nic tyle nie osładza przykrych chwil życia jak dobre towarzystwo, tak z towarzystwa ludzi sławnych spływa jakaś cząstka chwały na innych, którzy się w niem mieszczą. Jest więc rzecz chlubna połączyć imie swoje z tyle świetnemi imionami, które zdobią tę księgę; jest nader przyjemna należeć do liczby wielbicieli osoby tak hojnie od przyrodzenia uposażonej i tak znakomitym wsławionej talentem.

Jędrzej Śniadecki.

D. 13 lutego v. s. 1827 roku.

Antoni Gorecki skromnie chroni się pod egidą Śniadeckich.

I mnie wzywając, chciałaś Pani zażartować,
Ale ja dobrze wyjdę na tym żarcie:
Na tej, co i Śniadecki, napiszę się karcie
I musisz Pani pisanie me chować.

Antoni Gorecki.

1827 lutego 14, Wilno.

Znany jest wiersz Adama Mickiewicza:

Na jakimkolwiek świata zabłysnęłaś końcu,
Tobie wieszcze, jak Gwebry indyjskiemu słońcu,
Chylą głowy, ubrane w nieśmiertelne liście,
I arf tysiącem twoje opiewają wniście.
Cóż pomyślisz, gdy nagle z cherubinów choru
Wyrwie się jeden odgłos niezgodny i dziki
Pomiędzy tryumfalne pieśni i okrzyki;
Jako wieśniak pośrodku królewskiego dworu,
Ale śmiały i wszystkich roztrącać gotowy,
Pójdzie prosto do ciebie i duszą obejmie

Królowo tonów! ty go powitasz uprzejmie,
To twój dawny znajomy, to dźwięk polskiej mowy.

Adam Mickiewicz.

W Moskwie, 1827.

Aleksander Chodźko i Antoni Edward Odyniec wpisali się po Mickiewiczu. Chodźko opatrzył przekład perski sonetu Mickiewicza następnem objaśnieniem:

„Tłumaczył i na pamiątkę własną ręką przepisał Mirza Dżeafer ibn Alimerdan z miasta Tus, syn kapitana artyleryi — Pers — w Petersburgu roku 1828.“

Oto wiersz Aleksandra Chodźki:

Marzyłem o muzyce — myśli się błąkały
To z echem strón Dawida po wzgórzach Syonu,
To po Tracyi kniejach, gdzie na głos bardonu,
Czulsze od serc dzisiejszych, szły drzewa i skały;
Gdzie ręką Cecylii dotknięte organy,
Uroczyste, ponure i tkliwe na przemian,
Tchnęły harmonią, lejąc w dusze ziemian
Wielkie czucia i myśli o Panu nad Pany;
Lub nad mgły Osyana, gdzie duchy rycerzy
W powietrzne się obszary wzniosłszy z ciemnych cieśni,
Piły, słodszy nad nektar, dźwięk ojczystej pieśni,
Dźwięk, co im z lutni Bardów przynosił wiatr świeży.
Marzyłem — i pytałem: czyż dawniejszym ludom
Serce biło gwałtowniej? czy im piękniej grano?
Jak słodko tę wątpliwość skarało twe piano!
Tak! słysząc cię, muzyki uwierzyłem cudom
I piłem czystą rozkosz z melodyi czary.
Bo też los, innym skąpy, zostawił w twem ręku
I arfę harmonii i liliję wdzięku:
Dwa najbardziej niebieskie, najmniej ziemskie dary.
Pozwól więc, niech podwójnie dziękczynienia złożę,
Że w wieniec polskiej sławy wplatasz nową różę,
I cierpisz kilka rymów nieznanego pióra
Obok imion Göthego, Adama i Moora.

Aleksander Chodźko

Petersburg 1828, kwietnia 28.

Do tych wierszy Chodźko dodał jeszcze aforyzm:

Życie jest książką czynności człowieka. Szczęśliwy! kto jej karty dobrem tylko zapisał. *A. Ch.*

Odyniec wziął się do pióra w sam dzień swego wyjazdu:

Oddalony.

I.

Rozwesel lice, cudzoziemcze młody,
Poprzestań tęsknić za rodzinnym krajem,
Niebo stalszemi świeci tu pogody,
Bogatszym ziemia kwitnie urodzajem.

Pójdź lepiej, w gronie nowych przyjacieli,
Skroń swą bluszczowym przyozdabiać majem.
Pieśń żal ukoi, wino rozweseli
Posępną tęskność za rodzinnym krajem.

A niebios warte dziewice tej ziemi,
Jeden wzrok, uśmiech, sam nazwiesz ją rajem.
Pójdź przyjacielu, pójdź z nami i z niemi,
Zapomnieć tęsknot za rodzinnym krajem.

II.

Dzięki za czułej przyjaźni dowody,
Obyś podobnych nie doznawał wzajem:
Nigdy daleki od ojców zagrody,
Nigdy nie tęsknił za rodzinnym krajem.

Miłe mi niebo, miła ziemia wasza,
Miła z gościnnym uczta obyczajem,
Lecz pieśń nie słodzi, wino nie rozprasza
Posępnych tęsknot za rodzinnym krajem.

Znam waszych dziewic wdzięki i uśmiechy,
Lecz świat raz tylko miłość czyni rajem.
Więc przyjacielu, gdy chcesz mej pociechy,
Pozwól mi tęsknić za rodzinnym krajem.

Antoni Edward Odyniec.

1829 maja 15-go, w Petersburgu.

Wspomniałem na wstępie, że pominę cały zastęp znakomitych cudzoziemców wpisanych w imionniku Szymanowskiej. Uczynię jedyny wyjątek dla Göthego, ponieważ wiersz jego w albumie Szymanowskiej przetłumaczył Julian Korsak; zaraz po autografie poety niemieckiego czytamy:

Toż po polsku.

Namiętność nam cierpienia tworzy. Któż uleczy
Po wielkiej stracie serce rozdarte, skruszone?

Kto nam wróci dni piękne, tak rychło stracone?
Daremnie piękność kunsztu trzymacie w swej pieczy,
Posępny jest duch marzeń w uczucia krainie
A świat wyższy nam ciągle przed zmysłami ginie.

Oto skrzydłem Serafa muzyka wzleciała
I wnet człowiek posłyszał tonów milijony:
On przed nią, jak przed bóstwem, upadł ukorzony
I wieczna piękność tchem swym duszę mu owiała.
Zapłakał — myśl wydostał z rzeczywistej cieśni,
Poznał, uczuł niebieską cenę łez i pieśni.

I tak serce ulżone czuje i poznaje,
Że bije, że bić może i że jeszcze żyje.
Za tyle dóbr nam danych, powiedz, serce czyje,
W hołdzie czystej wdzięczności, siebie nie oddaje?
Ja czułem, obym tylko równie czuł do zgonu,
Podwójne szczęście, rozkosz miłości i tonu.

Julian Korsak.

Tłumacz przepisał na pamiątkę w dzień odjazdu z Petersburga r. 1830, kwietnia 13-go.

Rozpoczynała się wiosna pamiętnego roku powstania. Jeden tylko Skarbek wpisał się do imionnika Maryi Szymanowskiej po wybuchu listopadowym.

Fryderyk Skarbek nuci piosenkę w tonie sielankowym:

Znikło słońce pod obłokiem,
Ciemno na zachodzie;
Burza gości pod tym zmrokiem,
Grozi mej zagrodzie.
Woda wezbrana z ulewy
Zniszczy może młode siewy!
Wiatr może drzewa obali,
I piorun domek mój spali!
A ja, wstrzymany w mym biegu,
Próżno chcę przyśpieszyć kroki,
Bo mnie od tamtego brzegu
Oddziela nurt szeroki!...
A jeśli tam gromy biją,
Niechże i mnie tu przeszyją!

Petersburg, w styczniu 1831 r.

Fr. Skarbek.

Przebija w tym wierszu żal Polaka, przypatrującego się z Petersburga rewolucyi listopadowej. Powstanie ledwie wybuchło. Echo zwycięstw oręża polskiego rozlega się po całej Europie

a jednak serca są pełne wrogich przeczuć i powątpiewań a poczciwy Skarbek nie wróży nic wesołego, lecz jedynie życzy sobie, jeśli tam gromy biją, aby i jego nad Newą przeszyły! Gromy rzeczywiście Polaka wszędzie dościgną, choćby od tamtego brzegu oddzielał go nurt szeroki!

Marya Szymanowska dobiegała kresu swojego żywota. Franciszek Malewski zamierzał o jej zgonie donieść Mickiewiczowi; brulion jego listu z 14/26 listopada 1831 odzwierciadla rozpaczliwy stan jego duszy po upadku Warszawy:

„Dziś 14/26 otrzymałem twój list datowany 4 Novembra. Natychmiast nań odpisuję, choć nie wróciłem jeszcze z radości, jaką mi widok twojej ręki sprawił. Ja tu dziewiątego lub najpóźniej jedynastego czytam pruską gazetę, a ty w Prusiech!! Co tu zacząć, co ci powiedzieć, kiedy tyle jest do powiedzenia. *Le strict nécessaire* zajmie całą kartkę. W górnym stylu Jana Śniadeckiego mógłbym zacząć od Maryusza, który usiadł na ruinach, lecz ton taki nie byłby ci miłym, bo ne Kartago cierpi, ale po prostu cierpią przyjaciele, szkolni towarzysze, rówieśnicy parafialni, siostry, matki, ojcowie i wszystko; za cóż, za tę iskrę, która się fatalnie wzdęła w płomień i świeciła na to, aby objaśnić tysiące niepoliczone klęsk, w które wiarołomstwo dziś ludzi wprowadza, tak jak od wieków wprowadzało. Tyś dziś jedyna dla mnie kotwica, Adamie, ty tylko podobno uchowałeś w tem rozbiciu hasło, na które rozbit ostatnich sił dobędzie, to jest na wiarę w Opatrzność, na tę gwiazdę, która jedna zwycięzcę ze zwyciężonym i po długich zapasach uczy tak nawzajem poznawać plemiona i narody, jak nieszczęście uczy w naszem błahem pożyciu poznawać ludzi. Wiara twoja uzdrowi cię. Jakie to wielkie słowa. Nigdym nie czuł ich mocy tak jak teraz, bom się zawsze wzdragał od wierzenia, aby nieszczęścia ludzkie były środkiem wybranym przez Opatrzność do nauczenia, jak bez granic wierzyć w nią potrzeba. Mówiłeś mi niegdyś, że chcesz napisać chrześcijańskie poema, pisz je teraz, gdyż Polska rewolucya zdaje mi się, była ostatnią okupicielką błędów politycznych człowieka. Już odtąd człowiek powinien inaczej pojmować swój byt na ziemi, wierzyć, że jego siła nie jest siłą Boską, którąby w każdej chwili poruszona, wydawała gromy i zmieniała postać rzeczy na świecie. Cóż dziś cichy płacz dziewczyny, lub długie w nocy rodaków rozmowy, a tyle krwi, a tyle nieszczęść na szali! Ty dziś, mój Adamie, jak Feniks (bo twój Nowogródek okropnie zgorzał) zwróć myśli ludzkie raz jeszcze ku tej skale, której bramy ludzie nie przemogą. Na zgliszczu ostatniej, jak mi się zdaje, europejskiej rewolucyi, zanuć pieśń przyszłego religijnego życia, jaką Bóg wlał tobie, swemu wybrańcowi. — Nie mogę powstrzymać pióra, choć o czem innem nakazałeś donieść. Jam jeszcze nie żonaty, ale twoje wyrazy są błogosławieństwem i, jak pewny jestem, przebłagam ojca starca, aby z nią mieć syna, którego choć domniemanym będziesz

ojcem chrzestnym, jeśli Bóg nam nie da mieć cię rzeczywistym. Ah, Adamie! po Oleszkiewiczu na własne oczy widziałem drugą konającą osobę. Od zaprzeszłego października śmierć zaczęła mię ścigać. Umarł Oleszkiewicz, alem na jego chwile ostatnie był przygotowany, bom kilka nocy spędził na niepewności między jego życiem a śmiercią. Wszedłem pierwszy do stancyi nieboszczyka Kułakowskiego, i to zniosłem, bo leżał na ziemi, jakby go piorun uderzył, jedna chwila żywot przerwała.

Ale byłem o 2-giej po południu u Szymanowskiej, alem z nią jak zwykle rozmawiał, alem siadł do szachów z Heleną [1]) i ona mię zawołała na skarżenie się na swoją słabość i nie wyszedłszy z jej domu prócz po doktora i lekarstwa już w godzinę z rozmowy lekarzy wiedziałem, że żyć nie będzie i w 10 godzin rzeczywiście nie żyła. Nie miałem wyobrażenia do tej chwili co to jest nieszczęście familijne i gdzież familia, dla którejby matka i taka matka była taką jedyną orędowniczką. To dobrze, że się nazywała tąż samą Maryą, do której córki będą za lat kilka (bo dziś darmo im to mówić) odprawiały godzinki i litanie. Ta kobieta była czemś niezwyczajnem między kobietami. Jej obraz po dziś dzień snuje mi się po nocach i to drugi cud, że mię cholera po dziś dzień oszczędziła, jeżeli prawda, że umysł cholerze dopomaga".

Zdaje się, że list nie był dokończony i wysłany. Mickiewicz ukrywał się w Księstwie Poznańskiem. Żadna oględność w pisaniu listu nie ochraniała od najgorszych skutków: korespondencya z emigrantami była poczytana za zbrodnię. Przerwała się więc na tym brulionie listu na długo korespondencya obydwóch przyjaciół. O zgonie Maryi Szymanowskiej inny naoczny świadek doktor Stanisław Moraczewski pisze w swoich pamiętnikach:

„Wdarła się do stolicy cholera mściwa, rozsrożona, zabójcza. Okropność, którą ona mnie okazała dotąd w miejscach dla mnie zupełnie obcych, o wieleż razy zwiększyła się tutaj, robiąc mnie ciągłym świadkiem mąk i konania samych tylko przyjaciół i dobrych znajomych! Boże mój wielki, wyjmij te chwile z mojej pamięci! Szymanowska nasza dnia 25 lipca 1831 roku jeszcze przed chwilą w oczach moich zdrowa, wesoła i hoża stała się ofiarą tego morderczego powietrza. Nie wyszło kilka godzin srogiej męczarni, znoszonej z dziwną odwagą i niepodobną do wiary spokojnością umysłu, jedna z wielkich ozdób płci swojej, jeden z wielkich zaszczytów naszego kraju stanął w zastępstwie za nas przed Bogiem! Śmierć jej nawet w tym krwawym momencie powszechnym i głośnym żalem, a rzewnemi przyjaciół i znajomych łzami, uczczoną i z głębi duszy opłakaną została".

---

[1]) Szymanowska, córka Maryi.

Imionniki Maryi Szymanowskiej łączą się ściśle z biografią Adama Mickiewicza, zawierają imiona wielu przyjaciół nie tylko polskich, ale i rosyjskich poety; z tych ostatnich wymienię Puszkina, Żukowskiego, Kryłowa, Wiazemskiego i t. d. Mickiewicz w Petersburgu żył w tem samem kole, co Szymanowska, za granicą zaś poznał prawie wszystkich jej wielbicieli i zaprzyjaźnił się z niejednym ze znakomitych mężów, których autografy zdobią jej imionniki: z Goethem, Humboldtem, Chateaubriandem, Pictetem i t. d. Niemal każdy z nich o nim z ust jej słyszał, a z ust Mickiewicza o Polsce. Gieniusz bardziej zbliża ludzi aniżeli koleje żelazne i druty telegraficzne, a unosząc ich ponad poziomość nienawiści i uprzedzeń narodowych, wprowadza wyższe umysły w pogodną sferę wzajemnej miłości i sprawiedliwości międzynarodowej.

Władysław Mickiewicz.

Paryż.

MATERYAŁY.

Ślad Sannazara w Polsce.

Jakób Sannazar (* 1458 + 1530) należy po Dancie, Tassie i Aryoście do lepszych poetów włoskich, a już bezsprzecznie do najlepszych poetów nowo-łacińskich doby Odrodzenia; jak ogromną u współczesnych cieszył się poczytnością, wystarczy powiedzieć, że jego epopeiczny poemat „De partu virginis", perła całej poezyi chrześcijańsko-łacińskiej, doczekał się w samym tylko wieku XVI 60 wydań. Że Sannazar był i u nas także znany i czytany, dowodzi choćby tylko znaczna ilość jego dzieł i wydań, jaka się znajduje w każdej większej bibliotece,[1] a nadto znamienna okoliczność, że jeden z jego poematów łacińskich „De morte Christi Domini ad Mortales lamentatio" wyszło w kilka lat po śmierci autora w Krakowie[2]). Tem bardziej musi zadziwiać, że piękna Muza Sannazara nie znalazła u nas ani w XVI ani, co jeszcze dziwniejsza, w XVII w. tłumaczów, coby ją przyswoili ojczystej literaturze. Nieoszacowana bibliografia Estreichera wymienia jednego tylko tłumacza, i to dopiero z końca XVIII w., Franciszka Zagórskiego, który w duchu i smaku swego czasu przełożył jedną sielankę Sannazara[3]). I to miałoby być wszystko? Więc ani wiek Grochowskiego ani czasy Kochowskich i Potockich nie wydały miłośnika i znawcy chrześcijańskiej poezyi Sannazara, posiadającego na tyle kunszt poetycki, żeby ją dał poznać w ojczystym rymie rodakom? — Bogactwo naszej literatury poetyckiej, zwłaszcza w XVII w., pozwalało już z góry przy-

[1]) Np. w Bibliotece Jagiellońskiej: Opera omnia, cztery wydania (1603 1605, 1607, 1728), Rime 1599, Arcadia, trzy wydania (1556, 1599, 1614).

[2]) Actii Syncerii Sannazarii Neapolitani „viri patricii De morte Christi Domini ad mortales lamentatio". Na końcu: Impressum Cracoviae per Hieronymum Vietorem Anno MDXXXVIII.

[3]) „Muzeusz, poeta grecki, o Leandrze y Erze. Przekładania Franciszka Z. Z przydatkiem sielanek. Tomik I. Za dozwoleniem Zwierzchności. W Warszawie, w Drukarni Korrespondenta 1796". Na str. 100: „Filis z Sanazaryusza". Tłumacz objaśnia w przypisku: „W przekładaniu tej eklogi w wielu miejscach odstąpiłem zupełnie od myśli autora, a to dlatego, żem wprowadził pasterzy na miejscu rybaków; wszakże imaginacyą i układ rzeczy w całości zachowałem".

puszczać, że w tej prawdziwej powodzi poezyi religijnej nie zapomniano także o jej najlepszym przedstawicielu, o Sannazarze. Obecnie, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, możemy z zupełną pewnością twierdzić, że arcydzieło Sannazara „De partu Virginis“ było już w XVII w. tłumaczone, a żeśmy o tem dotąd nie wiedzieli, przypisać to należy jednemu z licznych dziwactw tego wieku, który zajmował się poezyą (może tylko wierszami) wiele, lecz drukował mało, tak że rękopisy, acz w części tylko dochowane, stanowią dziś bogatą kopalnię, z której obficie czerpią wydawcy; a ileż to jeszcze utworów, które znamy z przygodnych wzmianek, bezpowrotnie przepadło! Zachodzi obawa, że ten właśnie los spotkał także i przekład Sannazara; zaginął, jak się zdaje, zostawiając jednak po sobie wyraźny i niewątpliwy ślad, dochowany w naszej Bibliotece Polskiej w Paryżu. Jestto karta pożółkłego papieru 28·5╳19 cm. pokryta po obu stronach drobnem pismem XVII w. (2-giej połowy). Mamy wrażenie, że została wydarta z większej całości, zeszytu lub księgi, a już pierwsze dwa wiersze potwierdzają ten domysł.

Ramiona obciążając z smutnych ludzi łupy,
A nago na wysokie piasku skaczą kupy...

Rzecz widoczna, że określenie „obciążając“ należało do zdania poprzedniego, które znajdować się musiało na poprzedniej niedochowanej karcie. Ustęp więc nasz należał do całości, której poprzednia i następna część albo się wcale nie dochowała albo też jeszcze gdzieś w rękopisie się kryje; okoliczność zresztą, że dochowany ustęp nie należy do najświetniejszych, że nie stanowi nawet zaokrąglonej całości, że wyrwany bez widocznej przyczyny ze środka poematu, dowodzi naszem zdaniem niezbicie, że istniał cały przekład, z którego dziwnym trafem ocalała w tym przynajmniej odpisie, a raczej autografie jedna karta. Może niniejsza notatka przyczyni się do odszukania tej cennej zguby. Uratowana karta zawiera przekład 75 wierszy poematu Sannazara „De partu Virginis“ a mianowicie ustępu z ks. II, w. 225—300. Nie jestto, jak się zdaje, pierwszy rzut na papier, lecz raczej odpis na czysto, w którym jednak ta sama ręka tu i ówdzie jeszcze ostatnie poczyniła poprawki; wyrazy przemazane podajemy w przypiskach. Przyznać trzeba, że poprawek dokonała ręka znawcy, i że wszystkie bez wyjątku wyszły przekładowi na dobre, są bowiem zawsze lepsze od wyrazów czy zwrotów, które przez przemazanie usunięto. Przekład na ogół robi jak najlepsze wrażenie: jest on (w znaczeniu i pojmowaniu wieku), wierny, potoczysty i gładki, mozołu tłomaczenia nie widać. W szczegółach dałoby się to i owo zarzucić, głównie pewną niekarność i rozlewność, brak tego, co tak trafnie określił Goethe: „In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister“— wada to zresztą wspólna wszystkim praktycznym czy przygodnym

tłumaczom, którzy teoretycznie nie zgłębiają tajników swej sztuki. U naszego np. tłumacza niejednokrotnie z 3 wierszy oryginału robią się 4, tak, że w końcu ustęp oryginału, liczący 75 wierszy, rozrósł się pod ręką tłumacza do 92.

Kto jest autorem naszego przekładu? — Nie mając pewnycl i niewątpliwych poszlak, wolimy się wstrzymać od wszelkich, zawodnych najczęściej zgadywań; załączona do tekstu podobizna kilkunastu początkowych wierszy naprowadzi może na ślad tłumacza

Kraków. *Jan Czubek.*

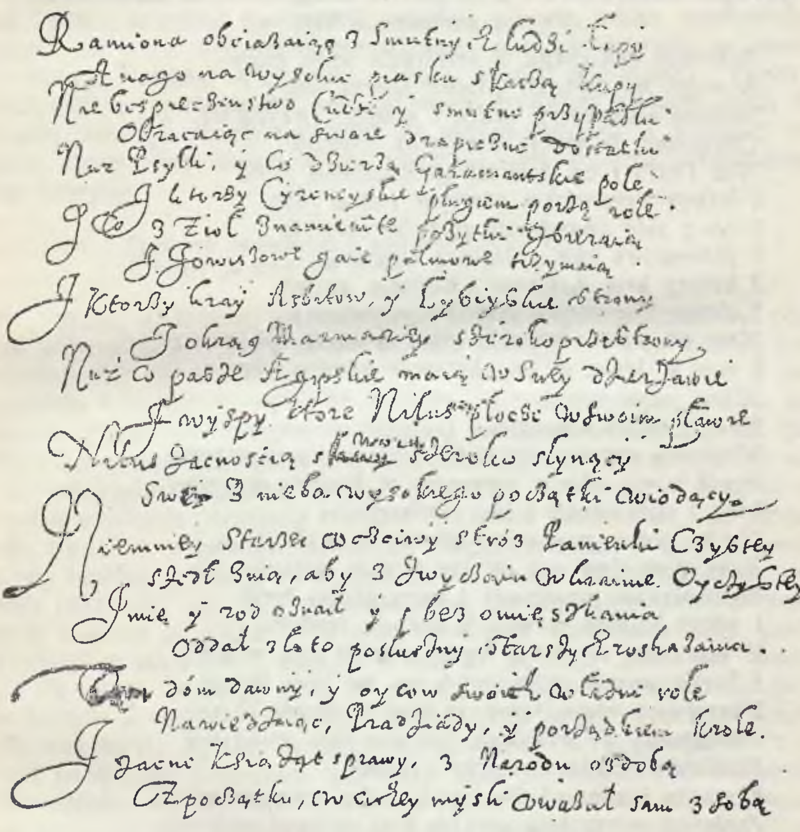
Jacopo Sannazaro: „De partu Virginis“ (II, 225—300).

(Urywek przekładu z XVII w.)

Ramiona obciążając z smutnych ludzi łupy;
A nago na wysokie piasku skaczą kupy,
Niebezpieczeństwo cudze i smutne przypadki
Obracając na swoje drapieżne dostatki.
Nuż Psylli i co dzierżą garamantskie pole
I którzy cyrenejskie pługiem porzą role
I co z ziół znamienite pożytki zbierają
I Jowiszowi gaje palmowe trzymają
I którzy kraj Azbitów i libijskie strony
I okrąg Marmaryej szeroko przestrony,
Nuż, co pasze egipskie mają w swej dzierżawie
I wyspy, które Nilus płócze w swoim pławie,
Nilus, zacnością swoją[1]) szeroko słynący,
Swe z nieba wysokiego początki wiodący.
Niemniej starzec uczciwy, stróż panienki czystej,
Szedł z nią, aby z zwyczaju w krainie ojczystej
Imię i ród oznaił i bez omięszkania
Oddał złoto, posłuszny starszych rozkazania.
Tam dom dawny i ojców swoich władne role
Nawiedzając, pradziady i porządkiem króle
I zacne książąt sprawy z narodu ozdobą
Z początku w cichej myśli uważał sam z sobą
I liczbę swych, aczkolwiek na ten czas ubogi
I krewnym nieznajomy, czyniąc[2]) długie drogi,
Zrachować się gotował. Już był twe dziedziny,
Galilejska osado, przebył i doliny
Karmelu i gdzie Tabor pod niebo wzniesiony
Zasłaniał wierzchem swoim kraj, wsiami sadzony,
I samaryjskie góry, natknione palmami;
Już w lewo z solimskimi zminął się zamkami,
Kiedy[3]) w tem wierzchy[4]) domów obaczywszy z góry,

[1]) sławy.
[2]) Idąc.
[3]) Gdy.
[4]) już dachy.

Poznał ojczystej ziemi starodawne mury;
Zaraz miasto witając z łzami płynącemi,
Ręce wzniózszy, tak zaczął słowy serdecznemi:
„Betlemskie wieże i wy, państwa zawołane
„Ojców moich, witajcie, niegdy ukochane,
„Zacne progi, o ziemio, matko królów wielkich,
„Która widzieć masz króla, twórcę rzeczy wszelkich,
„Co mu słońce i nieba nieustanowiony
„Krąg służy, witaj znowu, kraju ulubiony:
„Ciebie Kreta, początki Jowiszowe płone,



„Zlększy się, złoży myśli, dumą napuszone,
„Zadrżą mury dyrcejskie i będzie wstyd onę
„Ortygią wysławiać z dwu płodów Latonę.
„Fraszki mówię, bo przydzie pokornie z koroną
„Rzym możny, głowa świata wszystkiego, skłoniona
„I podda w posłuszeństwo miejsca siedmiogóre“.

Rzek[ł], a mowę sko[ń]czywszy, czyni kroki spore,
Kończy drogę staruszek, pędząc leniwego
Osła, ście swe do miasta ściąga widzianego.
A już w iberskie brody chyliło się słońce
Świetne, w morzu obłoki i złote swe końce
Zamaczając, a oto miasto napełnione
Wielkim zjazdem i zewsząd ludzie zgromadzone
Zarazem z brony ujrzą. Gmin się z rozmaitych
Krain zbiegł[1]), ciżba[2]) wielka[2]), jak do znamienitych
Kupi morską żeglugą z daleka pławionych
Sypią się, albo[3]) jak[3]) gdy[3]) do ubezpieczonych
Miejsc pod[4]) nieprzyjacielskim[5]) burzeniem[6]) strwożeni
Dla ochrony[7]) wieśniacy, w kupę[8]) zgromadzeni.
Widzieć było w wąwoziech i po drogach wszędzie
Pełno mężów i niewiast w pomieszanym rzędzie,
Czerń i z bydłem pospołu; ci wozy staczają,
Ci namioty gotują, ci zaś spoczywają
Pod niebem na przestrzeni; rozruch na wsze strony,
Ogień się wszędzie świeci, różnie nałożony.
Tym się rzeszom staruszek szedziwy dziwując
A wszystko cichym wzrokiem pilnie przepatrując,
Gdy już gospód i miejsca na nocleg nie zbywa,
Tak rzekł: „Idźmy, dokąd[9]) Bóg i dokąd nas wzywa
Proroctwo ojców świętych!" — Jest pod niewielkiemi
Jaskinia dosyć mała murami miejskiemi,
Nie wiedzieć, czyli ludzką ręką uczyniona
Czyli możnej natury dowcipem sprawiona,
Ażeby takie cuda światu pokazała
I na taką potrzebę zachowana stała,
Gospodą przyjąć gościa zacnego z wysoka.
Na jej grzbiecie leżała ogromna opoka,
Z której przykre kamienie ze wszech stron wisiały,
A skały ją chropawe[10]) wkoło[11]) opasały,
Kmieciom po zbyciu pracy domek niewzgardzony.
Tam po odbyciu drogi Józef napomniony
I z najświętszą małżonką sprawą boskiej mocy
Przyszedł i stanął starzec cny[12]) głęboko w nocy.

[1]) zbieżał.
[2]) tłum wielki.
[3]) jako kiedy.
[4]) czasu.
[5]) — go.
[6]) najazdu [em].
[7]) Po „ochrony" dodano: miejsc będą.
[8]) skupieni.
[9]) gdzie, kędy (oba wyrazy przekreślone).
[10]) wyspróchniałe.
[11]) zewsząd.
[12]) już.

A naprzód ogień z suchych gałązek nakłada
I z słomy na posłaniu małżonkę układa,
Utrudzone jej członki płaszczem przykrywając,
I wnet zaś uwięzuje, ich pogłaskiwając,
Już nie bystrych, lecz chętnie powolniejszych sobie
Wołu z osłem, gdzie była szopa[1]) w onej dobie,
Z przyłaje stojąc, płotem wierzbowym zmocniona
A gałęziem palmowem z wierzchu opleciona.

ANDRZEJ TOWIAŃSKI I JAN ANDRZEJ RAM[2]).

MATERYAŁY

podał FR. R. GAWROŃSKI.

1.

Pismo Mistrza na 2 listopada 1842 roku z powodu chrztu Rama.

Bracia ukochani! Uwiadomił mię brat Gerszon o pragnieniu ducha swego przyjęcia wiary w Chrystusa, o ukorzeniu się przed wcielonem Słowem Bożem. Odpowiedź na zapytanie brata w spółce bratniej przyjmijcie; a to przypominanie przeszłych rozmów naszych, niech będzie na cześć i na chwałę Boga Wszechmogącego w Trójcy Świętej Jedynego, ku pamiątce zbliżonej wysilenia cierpiącego dla słowa narodu.

A przedewszystkiem, o Bracia! za to miłosierdzie nad bratem okazane, wnieśmy do Pana Zastępów dzięki nasze, błaganie nasze, aby Pan wszystkich do przyjęcia woli swej, Łaską swą pobudzić raczył, przyspieszając obiecaną jedność w Chrystusie, pokój i powszechne braterstwo, kończące niedolę Człowieka.

Owoc ten królestwa, śród nas, Bracia! zrodzony, waszą miłością przyspieszony, świadcząc Panu o naszej w czynie miłości, aby obfitość Łaski Pańskiej i w dalszych czynach waszych zlewał na was.

Bracie Gerszonie! zbliża się godzina. Pan Zastępów ponawia wołanie do Izraela o przyjęcie Woli swej w Jezusie Chrystusie.

Jedna to droga zbawienia, postępu, miłością Ojca prosta i łatwa.

Przeszły i przejdą wieki, a Słowo Pańskie będzie wszystkiem dla Człowieka — a Księga Święta, skład Słowa, jedynem prawem, jedynem światłem — a Ten, co tym Skarbem udarował ziemię, jedyną człowiekowi na drodze Słowa Najwyższością. — Dopuścił Pan zboczeń; niebieskie ziarno przeciwności padołu doznało — ale nie dopuści Pan zagłady Myśli swej w Słowie; strzeże i strzedz jej przez wieki będzie.

[1]) stajnia.

[2]) Dodatki do rozprawy Fr. R. Gawrońskiego, ogłoszonej na str. 442—458 niniejszego rocznika.

„Niebo i ziemia przeminie, a Słowo moje nie przeminie“ rzekł Pan. I człowiek i Ludy, po wiekach oporu, przed wszechmocnem Słowem ukorzą się.

Opór Woli Najwyższej, drogą prostą ciężar lekki, na manowce niedoli, na ciężki żywot człowiekowi zamienił.

Krwawe i bolesne dzieje człowieka jasno tę sprawę podają.

Wszystko dla Słowa, wszystko przez Słowo. Zbliżamy się do wielkiej chwili upominku Pańskiego o niebieski usiew.

Owoce Najświętszego ziarna na drodze swej prywatnej i publicznej Człowiek Panu złożyć już powinien.

Wszystko najmniejsze w Ogromie Pańskim owoc Panu niesie; i to co jest Najwyższem, Najświętszem, owocem uczczone być musi.

A to uczczenie, owocem ziarna niebieskiego, wydźwignie z niedoli człowieka, u Ojca wieki żebrzącego: „Święć się Imię Twoje, bądź Wola Twoja, jako w Niebie tak i na ziemi“.

Przeszłość podaje usiew, owoców ziarna nie widziała ziemia, bo nie widziała wielkiego żywota Pańskiego; nie widziała człowieka, urosłego na drodze Pańskiej — olśniona dojrzałością jego na drodze mamony. Pierwszykroć płód dojrzały Najświętszego usiewu ma się ukazać na drodze Człowieka i Ludów.

A wszystko co do dojrzałości zasiewu Chrystusa doszło, powołanem jest do owocu.

Przerwanie kolei przez Stwórcę naznaczonej, wzrostu i owocu, zagubę ziarna prowadzi. Religia, polityka i wszelka sprawa Człowieka — siła Pańska i pole jej praktyki — jedno u Pana, jedno u człowieka, z mniej niedolą człowieka.

Bóg do jedności w pełnieniu słowa swego wzywa — wszystko co na ziemi ma pomagać, nie odwodzić od celu — na jednej drodze i do jednego celu, kiedy ton i cel i droga powszechnem jest dobrem, manowce powszechną niedolą; znikną sprawy oporu, spory, odszczepieństwa, następstwa odstąpionego przez Człowieka Słowa Bożego.

Bohatyr, co cudownie ukazał cię na ziemi i zniknął, nie przestał być wielkim urzędnikiem Pańskim, w dziele upominku Pańskiego o ziarno Chrystusa. Poprzednik Epoki, praktyki Słowa, a na którym Pańska myśl zbawienia Człowieka niespełniona spoczywa dotąd, żyje dziś, żyje życiem większem, życiem świętszem — co rozpoczął kończy. Poruszył Pan przez Wielkiego Sługę Słowa glob, gotując człowieka do przeznaczonego owocu Słowa.

Poruszenie ziemi potrzebne do sprawy ducha.

Ludy do owocu gotowe — dawne więzy do czasu wzbraniają wydania Panu, co się w duchu Ludów dla Pana przepełnia — a jako w początku drogi Pańskiej, w różnych kształtach i zaprawie ziemskiej — do czasu wydzierają Panu Zastępów owoc Słowu Pańskiemu należny.

A Ludy same mają dać owoc zasiewu Chrystusa. — Dzieło ich owocem ich będzie.

Ludy do swej własnej Sprawy przed Panem powołują się — Ludy i Rządy przed jednym Panem kornie staną, i sprawiać się z daru Pańskiego będą; a Pan od wolnego tylko sprawę przyjmować może.

Miliony uciśnięte na drogach, gdzie Słowo siłą niższą niedopuszczone dotąd, gorącą żądzą zadosyć czynią Prawu Królestwa. Mała część opór Woli Najwyższej stawi. Miliony nie oddały ducha przemagającej sile niższej — Miłości Boga i Słowa Bożego nie wyrzekły się. — Dziś złe, dla wydania tego zgubnego drgnięcia ducha, święte postaci przyjmie. A czego Pan, dla ostatniej próby miłości przed wielkiem swem dziełem dopuszcza. Pan pospiesza ku ratunkowi Ludów co burze czasów bez szwanku z iskrą Chrystusa przeszły. Zagubić skarbu sierocie nie dozwoli.

Promień łaski weszły dla zbawienia człowieka na wschodzie, dziś ku Zachodowi zwraca się, gdzie początek szerzenia i praktyki Słowa przeznaczony. Westchnienia Wschodu utrzymują Go i utrzymywać mają przez czas wielkiego Dzieła Miłosierdzia. Smutne niwy, długo skrapiane łzami niewolnika, na których zgładzone grzechy milionów, pomoc ducha dla sprawy świętej dziś niosą. W spółce bratniej wzywamy Was, jęczący Bracia! natężajcie pieśń waszą wielką, westchnień waszych, żądzy waszej — pieśń miłą Ojcu naszemu; Tą pieśnią oddawajcie cześć, witajcie wschodzący promień łaski i utrzymujcie dar Nieba na ziemi dopóki Pan w rozszerzonem braterstwie, smutku waszego na radość nie zamieni. Co Pan czynił dla Sługi swojego w Izraelu, mocą ducha z Wolą Pańską złożonego, szyki wrogów łamiącego, uczyni dziś dla milionów sług na drodze woli swej stojących i wroga, narzędzie Ojcowskiego upomnienia, kochać gotowych.

A jeżeli Człowiek, w oporze swym Najwyższej Woli wstrzymuje jeszcze braterstwo przez Boga już uświęcone, duch wasz wołanie to bratnie posłyszy i dopełni.

Wszystko i wszędzie Wolę Bożą w Chrystusie przyjmie Wszystko dziedzicem płodu miłości Ojca w Słowie.

Wszelka władza na ziemi urząd swój prawem Chrystusa sprawować będzie i ułatwi Ludom jedyny interes, jedyne dobro — źródło woli — postęp przez Słowo na drodze miłości, wolności i prawdy.

Będą władze z Łaski Pańskiej, Łaski godne, Łaską wspierane Łaskę rodzące.

Ojciec nie odda dzieci, Woli swej strzegących, pod moc niższego, co albo zewnętrznie jarzmi, albo ducha do jarzma niesposobnego, syci mamoną, zespala z niższością, oddala od wielkiej drogi Słowa, na manowcu trzyma — gdzie ta władza, ta niedola, jako bicz Boży za odstąpienie drogi, właściwą z dopuszczenia staje się. Za niemiłość wyższe uległe niższemu, aby przez ucisk niższego miłość do wyższego rodziła się: a tem wyższem jest Pan Zastępów i to co przez miłość z Panem.

Umiłowanie tylko wyższego oswobadza z pod ucisku niższego. Pan ofiary czyste — łzy — policza — owocu bez spełnienia myśli nie daje. Krew przelana w bratnich narodach z pomnożeniem niedoli, dowodem tego.

Pan i Ojciec! Miłość doskonała, Słowem swem na obraz i podobieństwo kształcić się Człowiekowi rozkazał i podług stopnia miłości człowiekowi i Ludom w dniach zbliżonych uczyni.

Prawem Słowa, nie człowieka wolą, staną Ludy powołane, filary Słowa, światłem Słowa jasne i potężne. Staną wielkie urzędniki Woli Pańskiej — dla Słowa umarłe, poniżone — przez Słowo zmartwychwstałe, podniesione — w potędze swej, opieką i szerzeniem Słowa, wypłacające się Słowu; a Chrystus, w tym tryumfie Słowa swego czynów, ich opiekę bierze.

O Bracia! wszystko dziś dla Człowieka w Słowie Pańskiem— i ta wola Najwyższa w Słowie, dla pełności czasu, od przemowy dopuszczonej wyjmująca się, niech stanie się gwiazdą naszą, prowadzącą nas na dzieła Pańskie dla Słowa Pańskiego.

Słowo w czynach jawione, sprawę Pańską dopełnia, a wszelki niekorny Słowu nie będzie uczestnikiem dobrodziejstw sprawy, — ratunku Człowieka przez Słowo. Miłość Pana i Woli Pańskiej jest dziś miarą dobrodziejstw Pańskich. Ciężką drogę mijając łatwo, doszedł Izrael wysileniem ducha do Pana, wysokiego szczebla. — Ale daleki ten, bez spełnienia woli w Słowie, od świętości temu szczeblowi przeznaczonej. Wielkość, potęga ducha, bez miłości, miętkości ducha, nie prowadzi ku Panu; bo Pan wielkością potęga i miętkością.

Przyjęcie Woli jest Najwyższą czcią; ukochanie Woli Najwyższą miłością — Cześć i miłość Boga prowadzi cześć i miłość Słowa Bożego — a ta cześć i miłość prowadzi żądze rozszerzenia i praktyki Słowa w czynach na wszelkiej drodze człowieka, prywatnej i publicznej.

Do tej świętej żądzy powołaniście przed wszystkiemi, o Bracia Tułacze i Męczennicy Pańscy, dla Słowa cierpiący, niedolą waszą do wielkiego urzędu przez Pana gotowani.

Tę świętą żądzę przyjęliście, Bracia! w dniach Łaski Pańskiej dla was. Tą Łaską zasileni, w dniach zbliżonych starcia się Idei Pańskiej w Słowie z Ideą ziemi, w sporze z Pańską, ofiarujcie miłość waszą na groty tych niemiłośników i nieczcicieli, co was, dla szerzenia i praktyki Słowa o zagładę Słowa potępiać będą.

Ale to są bracia wasi, i z prawem pańskiem do miłości waszej przed Wami stojący, Pan nikogo nie wyłączał od Spółki miłości w sprawie Imienia swojego, jeszcze nie rozdzielił Sług miłości i musu — a wszelkie Stworzenie Panu, w wielkiem Dziele Pańskiem, służyć będzie.

Częstokroć słaba myśl trzyma wyższe w pętach niższości. Modlitwą i miłością więzy ducha zrywają się — a wszelka niemiłość więcej ducha bratniego w ziemi więzi — naturę ducha zakrywa.

Miłość Pańska, w dniach łaski Pańskiej, zerwanie nici tej dla was, Bracia! uczyniła. Miłością dla brata odpłacajcie się Panu.

Wszystko w ogromie zawinia do Skarbu miłości Ojca, a Człowiek dług ojca bratu wypłaca. Niechaj to koi boleść waszą, ukochani Bracia, nad krzywdami powstający Sprawy Pańskiej. Boleść wasza, o której mnie piszecie, jest wypłatą długu miłości waszej. Jezus Chrystus prawo boleści dla miłości wskazał i łzami swemi nad grzechami świata stwierdził.

Dni te są czasem owoców, a każdy je podług gatunku niesie. Miłość konstytucyjna, świadoma złego bez owocu, nie karze; a szczęśliwy co złe swe przed wydaniem owocu miłością i bojaźnią ściera.

Pan silniej dziś do owoców budzi, przed wydaniem owocu ziarna Niebieskiego.

Pan sam owoc zbiera, sądzi i podług owocu człowiekowi czyni. W miarę odzyskania praw człowieka, szerzenia się braterstwa, odbiera Pan od Człowieka sąd brata, sądowi swojemu a miłości brata, silniej go poddając.

Trzymajmy, o Bracia! wzrok ducha naszego wytężony tylko na drogę służby naszej — a jest Sternik Najwyższy co wiecznie czuwa, cząstkowe trudy zbiera, do jedności Słowa sprowadza. A przeciwności i groty idą i iść będą — to padołu, to ścierania się na nim wyższego z niższym prawo.

Pójdą groty od tych, co do postępu nieochoczy, do jednego stopnia pielgrzymki przywiązani, nie znoszą wyzywu do ruchu Pańskiego.

Pójdą groty od tych, co za wyzwoleniem ducha, przed epoką wolności ducha, w pomnożonych ruchach o życiu swem nie Pańskiem, Łaskę, budzenie Pańskie dla Słowa, do postępu na cześć mamony, na drogi ziemskie obracają.

Pójdą groty od tych, co w nieczystem podnoszeniu się ducha, w marzeniu, egzaltacyi, pieszczotach ducha, grzechem ducha, mieszają ziemię z duchem, nieprawy owoc ducha składają.

Więcej dziś Pan dla chwały Słowa ducha oswobadza, więcej dziś Łaska budzi — a te święte poruszenia drogami dogodności puszczają się.

Łaska zmarnowana, prawem Królestwa, nie powraca więcej — Pielgrzym w ubóstwie z obciążonym rachunkiem śród trudów podróży zostawiony, tem cięższej, że mamona tę krzywdę Pańską obficie jemu czcią swoją nagrodziła, czcią czystemu tylko wyzwalaniu się dla Pana, ducha, dozwoloną. — Dla tych ciężki jest wyzyw na czystą drogę Pańską.

W epoce ziemskiej, spoczynek ducha, w epoce ducha fałszywy ruch ducha stał się niedolą Człowieka — Grzech ducha cięższy jest od grzechu ziemi.

Łaską tak zmarnowaną, droga ziemska ze swemi sługi u szczytu swego dziś staje. Droga Pańska i jej miłości w poniżeniu. Zbli-

ża się Człowiek do dopuszczonej przez Pana kresy, i Pan, co wyszło przez wieki z kolei Słowa, w karby niezmiennej osnowy wprowadza. Kreśląc Pan drogę Człowiekowi przez Słowo, naznaczył granicę manowcom woli — zamachy niższości na wyższość nie przechodzą na nie — do kresy tylko wola, jako warunek wolności w postępie.

W początku drogi Słowa niższość prowadzi na manowcach wyższemu — ciemność, chaos, zalegają; — rodzi się miłość wyższego — dochodzi do tronu Pana święta żądza — bije zegar Pański — nikną manowce, kręgi — znika co mimo Słowa, mimo Chrystusa, na ziemi wzniesione — Słowo Pańskie, wyrób miłości, wartość prawdziwa zostaje. — Słowo jaśnieje, Chrystus tryumfuje. Pan tryumfujący, owocem Słowa swojego, pod chorągwią swą prawem miłości swej i prawdy, oddzieli pomieszane jedności ludów, osobne Myśli Pańskie noszące i tem spełnienie Myśli Ojca ułatwi.

Kształty rządów według tych Myśli wykreśli — przez należytość każdemu oddaną, brata z bratem w czystym rachunku postawi — zapory miłości, postępu, usunie.

Wszystko przez Słowo, wszystko dla Słowa.

Tak Pan w miłości swej, Słowem swem, człowieka ku sobie posuwa. Wyrób miłości, owoc Słowa, tak nagradza.

Bóg i Ojciec ostatnią Wolę dla spełnienia przez wieki objawił przez Jezusa Chrystusa, Syna od Ojca idącego, dla Człowieka z ziemi początek biorącego.

Sam Syn prawdziwy rys Ojca człowiekowi okazał ile początkowy Człowiek na drodze Pańskiej mógł przyjąć, część Słowa odkrył, resztę zostawił do odsłony w kolei wieków, w miarę dojrzewania Człowieka w epoce rozszerzonej miłości. Kochający z swem niebem nie strwoży się przeciągłością pielgrzymki. Miłość, niebo, ukaże mu przestrzeń między Panem a stworzeniem.

Przechodzi już Człowiekowi żywotu Pańskiego wiek dziecinny — wstępuje w zakres młodzieńczy — i uchyla się jemu, podług obietnicy Chrystusa, zasłona tajemnic. Pieczęć Pańska odejmie się.

Bóg zasłony nie potrzebuje — więcej poznany, więcej uwielbiony, a niedołężność tylko człowieka światłością zaciemnia się.

Młodzieniec wrosłą miłością więcej Ojca uczci, więcej wolę Ojca w Słowie Ojca pozna — tem uczczeniem i poznaniem rozszerzy się w miarę co jeszcze dla ruchu zakrytem być musi — rozszerzy się w miłość i zbawienie. Nowe dary z nowymi obowiązki zespolone, przyjmiesz, młodzieńcze Pański, i na nowy rachunek z Panem twym wejdziesz — a przyjęcie i użycie daru, zakreśli Tobie wiekowe twe kierunki, odpowiesz przed Bogiem i potomnością z użycia twojego i w dniach Jubileuszu Pańskiego wola od Człowieka nie odjęta.

Najświętsza karta konstytucyi miłości rozwija się przed Tobą na życie twe pełniejsze w Panu twojem — Ojciec z dzieckiem doroślejszem w przymierze wchodzi.

Większe światło, kierunek większy przekonaniem, większe odkrycie źródeł doli twej i niedoli, pielgrzymkę twą ułatwią.

Słowo pańskie wiekowi twojemu należytość dziś oddaje. Nie rzeknij tylko w Sobie, że te sposoby znane Tobie, które Ciebie dziecko do Ojca zwracały, też same dla ciebie młodzieńca być muszą. Wiążenie takie potęgi i mądrości, Pana Zastępów staje się dziś źródłem niedoli człowieka więcej darami ziemi uposażonego, do większej służby Panu wezwanego.

Pan Skorupę bagna twego poznać Tobie dozwolił, hojniej od innych obdarzył w niej Ciebie; a Ty świętokradzką odpłatą, ze skorupy, w której gorejesz, przejrzeć nie chcesz — narzędzia Pańskie ze skorupy Ciebie podnoszące odpychasz, owoc dumy twej pozorem stałości w wierze pokrywając krzyżujesz ducha miłości Chrystusa, dla wydźwignięcia Cię ze skorupy twej wiecznie ofiarującego się.

Szczęśliwe nie górujące, nie udarowane miliony, do górowania w przybytkach Ojca sposobią się.

Ty, o Bracie mój! którego dobro równo z własnem ukochać mnie Chrystus rozkazał, skoro na wezwanie miłości Pana naszego Jezusa Chrystusa do postępu dalszego po drodze Słowa z powinną żądzą nie rzucisz się, wieki czołgać się będziesz, goniąc w skorupie, którąś tak ukochał, — a czołgać się co raz cięższej, dopóki nie uznasz co Pan Twój, co wyższe szczeble pielgrzymki twojej do Pana — a co skorupa Pańska, przemijający, nader nizki byt pokutnika.

Wśród tego powszechnego powołania człowieka do karbów Słowa, do postępu drogą Słowa, Łaską prowadzony, uprzedzasz Pańskie wezwanie, Bracie Gerszonie! spełniasz jedyną Człowieka powinność. Niech cechy Izraela, podane Woli Pańskiej w Chrystusie czynią Ciebie miłym Panu twojemu— niech ducha Sługi Słowa zasilają dla obrony i tryumfu Słowa. Silny wiarą, przyspieszaj twe zadosyćuczynienie Panu twojemu, owoc twej miłości składając w sprawie Pańskiej.

Miłość twoja nowa w sile życia i płodu niech rozmnaża miłość Woli Pańskiej w Słowie.

Po poddaniu się twem, miły Bracie! w duchu Chrystusowi, winieneś poddanie się twe w formie i obrządku, jako konieczne świadectwo od człowieka należne, ze Słowem podane i zalecone.

Formy i obrządki, Słowo, w powłoce ziemskiej, dla zbawienia ziemi jawią Łaskę, towarzyszone ułatwiają ziemi przyjęcie ducha, łączą Najwyższość z niższością. Niebo z ziemią zespalają. Wszelka forma i obrządek treść Słowa nosi. . Budzenie zewnętrzne obrządku otwiera zmysłów zasłony. Skarb Nieba do ducha wprowadza.

Człowiek w postępie na drodze Pańskiej rozszerzy poznanie Słowa, przeniknie coraz więcej głębokość form Słowa, a te święte ziemskie powłoki przedmiotu Niebieskiego, jak samo Słowo są wieczne i niezmienione.

Rosnąc, o Bracie! w miłości Woli Pańskiej, poznasz jak to co jest Najświętszem i jedynie zbawiającem, od milionów albo odrzucone, albo w przyjęciu niecałkowitem do dogodności stosowanem, należnej czci nie odbiera; od drogi Słowa prowadzi, niedolę mnoży. Poznasz, i w miłości twojej zapłaczesz, a łza twoja będzie zadosyć uczynieniem przez Ciebie Słowu Pana twojego.

Zapytujesz mnie, o Bracie! o drogę twą dalszą. — Masz bez zwłoki złożyć pokorę twoją, poddanie się twoje przed urzędem Słowa, kościołem Świętym, przez samego Jezusa Chrystusa ustanowionym; — w gorącości ducha twojego złożysz cześć Ojcowskiej Myśli, przeznaczającej urząd na ziemi woli swej w Słowie strzegący.

Sam Pan nasz dzieło zbawienia człowieka przez Słowo od przyjęcia Chrztu rozpoczął, obrządkowi poddał się, i nam na wieki prawo zostawił.

Bez Chrztu, bez podniesienia ducha drogą Słowa, a czego Chrzest jest sakramentalnem świadectwem, sakramentalnym zaciągiem, niemasz dla człowieka zbawienia. Nie podnosząc ducha twojego, nie dojdziesz, człowiecze, do Ojca twojego. Dopełnij to, miły Bracie, a pokora Izraela miłą Panu będzie.

Schodzisz, Bracie! z cech Izraela któremi jaśniałeś, a wchodzisz na drogę początkową dla Ciebie. Miłość bratnia w Chrystusie osłodzi Tobie pierwsze trudności twoje — W maluczkość twej dzisiejszej, w pokorze twej, w poddaniu się twem, jest wielkość Pańska, bo jest prawdziwa iskra Pańska; a choć daleko od ogromu promienia miłości doskonałej, jest obrazem i podobieństwem płomienia.

Niech ta iskra Pańska, pod skrzydłem Ojca, którego w woli Słowa uznałeś, wzrasta prawem dzieci kornych, w przeznaczonej pielgrzymce pełności swej dochodzi.

Łaska Chrystusa Pana naszego, pokój i miłość Chrystusa w bratniej miłości z Tobą, bracie ukochany! dla ulżenia pielgrzymki twojej do Pana twojego.

Doszło mnie pismo brata Nepomucena, w niem ton prosty ducha brata znalazłem.

Niech Tobie, o Bracie mój! ściele Pan resztę twej pielgrzymki; niech to czyste poruszenie ducha twojego pod skrzydłem ojcowskiem przechowuje — od napadów złego chroni — a w wielkiej godzinie rachunku na szali zasług swych kładzie.

Odebrałem wiadomość od Braci o tworzeniu się krainy ducha dla brata Romualda — i sam brat Romuald głębsze poufanie ducha swego chciał mnie uczynić. Wiary promień Łaski Pańskiej

wchodzący nad bratem naszym, pożądany zasiłek dla Sprawy Pańskiej.

Bracia ukochani! w spółce bratniej zawołajmy: „O Panie! przyjm błaganie nasze, aby dar miłości twojej nie odstępował Sługi twojego, aby Sługa twój Łaską Twą powołany, Łaskę pokorą utrzymywał, Łaską wielkie swe obowiązki dla Ciebie dopełniał“.

„Spuszczaj, o Panie nasz! promienie Łaski i potęgi twej, bo sama miłość niedołężnego człowieka Woli twojej do spełnienia nie wystarczy; promień tylko Łąski i potęgi twej Sprawę Imienia twego na padole dźwignie — manowce nasze ku stronie Woli twej obróci. My, o Panie! w niedołężności naszej, gorącą żądzę naszą w ofierze składamy Tobie, a promień tylko twój wszystko dla Człowieka uczyni — promień tak długo wstrzymywany, dla uznania naszego, w miłości naszej, wśród nocy naszej, jak wszystko co nie jest Tobą, o Panie Nasz! z ciebie lub z Tobą jest niczem“.

Bracie Romualdzie! Cudo Miłosierdzia Pańskiego nad Tobą zjawione, kładę na ciebie obowiązek ciągłego czuwania i pracy ducha twojego. Pomnij, ukochany Bracie! że im wyższy Sługa Pański, tem większe wysilenie złego na ciebie obraca. Wśród burzy padołu, pielęgnowaniem tylko iskra utrzymuje się. Wszystko dla niej wrogiem — a lody bieguna przez wieki w jednostajnej spokojności — wszystko jej żywi i wspiera — Łaska iskrę Pańską Tobie zapaliła; Tyś ją rozwinąć miał odwagę, i walka stała się twoim udziałem — a w miarę czystości i miłości twej pomoc wyższa w ciężkiej potrzebie dla Ciebie iść będzie. Ufny w Miłosierdzie wyższe, postępuj śmiało — pomoc ducha bratniego w modlitwie za ciebie, nie odstąpi ciebie.

Bracie Eugeniuszu!

W dniach Łaski Pańskiej dla nas — w woli Pana nas łączący, przyjąłeś, Bracie! zasiłek światła dla prostowania reszty drogi żywota twojego.

Pan doświadcza ciebie, kładąc na drodze twej mamiące przeszkody, abyś je przeparł miłością lub bojaźnią twoją. A kiedy Pan ze sługą swym powołanym czynił, nie podnosiłem głosu mojego do Ciebie. Dziś, kiedy czas upłyniony dostatecznym widzę do wydania w stałej woli twojej, owocu twojego na pismo twe, Bracie! odpowiadam.

Dotkliwe twe położenie, o Bracie! jest próbą Pańską miłości twej dla Pana, dla woli Jego, dla Sprawy Jego. Nieujęcie przez człowieka drogi właściwej położeniu, stawi go jeszcze w dotkliwszem — a w tem co raz dotkliwszem musi się spełniać co się Bogu od stworzenia należy. Pan tę zbawczą drogę zawsze ukazuje, prowadzi go do niej, zasila na niej, skoro człowiek, wyzywów tajemnych nie głusząc, całkowicie Panu poddaje się, wolę swoją pod Najwyższą złoży — a koleje większych cierpień otwierają się częstokroć za odnowione Panu i Ojcu posłuszeństwo.

To tylko jest naszem i przez nas dopełnionem być musi.

Dług ten Pański na Tobie, najmilszy Bracie! ciąży, a dalsza droga twoja, podług wypłaty jego, pójdzie do Ciebie. Pan uczucia twe dozwolone zaspokoi — skoro te uczucia wyższemu skinieniu całkowicie poddasz. — O to skinienie, wolny od chęci, z całą żądzą miłości swej, u drzwi Pańskich kołatać będziesz. Tego Bóg, sprawa święta i rodzina twoja potrzebują od Ciebie.

Powołany, na drodze tylko Pańskiej i z Łaską Pańską, ziemię swą, braci, rodzinę pocieszy — w pańskiej mocy dać obfitość — a cięższą karą użycia wzbronić strapieniu poddać.

Sprawa Pańska w Epoce ducha, stawi już i stawić będzie takiej kary ducha przykłady.

To pierwsze skłonienie woli od Ciebie samego iść ma. Sam to drgnięcie ducha w ofierze Panu swojemu, jeżeliś nie złożył, pośpiechem składaj. Wszelkie modły człowieka, przy oporze woli do ofiary, nie są modłami — głuszeniem tylko wyzywu Pańskiego, nieprawą rozkoszą ducha, opornego woli Pańskiej. W Epoce wyzwolenia ducha, Pan do radości Ducha w Panu wzywa; człowiek na świętokradzką drogę rozkoszy ducha puszcza się — i już nie ziemią swą, jak pierwej, ale duchem swym cześć mamonie składa.

O Bracie! wiadomością spełnienia co się Panu Twemu od Ciebie należy, chciej pocieszyć Brata twojego, który błagać Pana o wsparcie dla Ciebie nie przestaje.

Brat i Sługa
A. Towiański.

2.

Pismo Andrzeja Towiańskiego do Jana Andrzeja Rama, który go upraszał o pobłogosławienie jego podróży po Francyi w celu robienia Sprawy.

Bruksela 20(?) czerwca 1843.

Największa jest zdrada Sprawy, cokolwiek robić u siebie wprzódy, nieprzerobiwszy siebie, a pierwszem zrobieniem u siebie jest ukorzenie się przed Bogiem i przed Stworzeniem: to jest, przed myślami Bożemi. A wzniosłość, duma, nic więcej nie jest: jak tylko liga ze złym duchem.

Andrzej Towiański.

3.

A. Towiański do Rotszylda, 15 sierpnia 1843 r. z Frankfurtu nad Menem.

Gott hat das Flehen Israels durch Jahrhunderte erhört.

Gott hat die Erlösung Israels aus dem Elend und der Erniedrigung bestimmt.

Wer gross ist vor Ihm, den hat Er — gross zu sein, bestimmt auf Erden. Zur Erlösung Israels schliesst Er den Bund mit Israel.

Von der Annahme des Göttlichen Willens hängt die Erlösung Israels ab.

In Kurzem wird Israel die Stimme Seines Herrn vernehmen — und von jetzt an, soll Er sich auf Seine Grosse Stunde vorbereiten.

Der Gedanke Gottes ruhete auf Deinem Stamm. Für Seinen Gedanken, für Israel — erhob der Herr den auserwählten Stamm.

Grössere Güter Gottes, grösseres Verdienst — grössere Rechnung — Die Glieder des erwählten Stammes kannten bis jetzt den Gedanken Gottes nicht — und vielfache Opfer und Tugenden waren nicht die Erfüllung des Gedanken Gottes.

Die Verstorbenen leiden und erwarten die Erlösung von den Lebenden und nur die Erfüllung des Gedankens Gottes durch die Lebenden — erlöset die Verstorbenen.

Auf höheren Befehl verkündige Ich Dieses auf dass Du Deinen Geist vorbereitest auf die grosse Stunde in der der Herr zum Dienst Dich ruft.

Der Mensch trägt in sich den Willen Gottes.

Das Chaos der Erde verdunkelt das Licht des Geistes.

Die heisse Liebe des göttlichen Willens leitet auf den Menschen den Strahl von Gotteslicht.

In diesen Tagen Seiner Barmherzigkeit beruft Gott den Menschen auf den verlassenen Weg. Wer höher in der Erfüllung des Gedankens Gottes stehet, — ist bestimmt eine höhere Stufe auf Erden einzunehmen.

Dieses Gesetz des Herrn macht Israel gross

Durch Israels Schuld erfüllt sich durch Jahrhunderte dieses Gesetz für Israel nicht. Was niedriger ist vor Gott als Israel, erniedrigt Israel auf Erden.

Das Herrschen auf Erden nicht nach dem Gedanken Gottes muss stürzen — das Herrschen nach dem Werth des Geistes ist ewig — Grosses vor Gott, gross auf Erden, ist Gottesrecht — und das angefangene Werk Gottes, wird Jedem nach Maasse Gottes auf Erden messen.

Berufen durch den Willen Gottes zum Werke der Barmherzigkeit des Herrn, eröffne ich Dir den Willen Gottes und damit erfülle ich meine Pflicht. Die Erfüllung Deiner Pflicht überlasse ich Dir.

Als schwacher Mensch gebe ich bloss das schwache Wort, meine Bruderliebe und Ehrfurcht für den erwählten Stamm ist gross.

O Allmächtiger! aus Deiner Barmherzigkeit gieb Ihm Kraft Deinen Willen jetzt zu verstehen — und in der grossen Stunde Israels zu erfüllen.

4.

A. Towiański do Rotszylda, z Solury, d. 1 października 1844 r. (przesłany przez J. A. Rama.)

Dem Göttlichen Willen gemäss sprech ich aufs Neue zu den Werkzeuge Gottes, dem Göttlichen Amte in der Rettung Israels — und rein werde Ich sein vor dem Richterstuhle Gottes, vor Gott und vor Deinem Geiste, o mein Bruder, — dass ich die Pflicht für Dich erfüllt.

Was ich Dir dargeboten, muss durch Dich für Gott schon Früchte tragen — Gross sind die Fortschritte des Göttlichen Werkes, seit ich Dich, mein Bruder, sah und sprach, Gott segnete Seinen Gedanken.

Schon ist der Wille Gottes zu Rom erfüllt — jedoch nicht also wie der Mensch die Wege Gottes nicht kennend, vermeint — Bekannt ist schon dem Pabst der Wille Gottes also — wie jedes Amt des Herrn Ihn kennen soll — Gott schauet und rechnet.

Der Ruf Gottes an Israel nahet — Es nahen die grossen Tage Israels — Es offenbaret sich für Israel, so wie vor Jahrhunderten, die Macht und der kräftige Arm des Herrn auf Erden.

Es wache in Israel jedes durch Gott berufene Amt — es bereite sich Israel vor zur Annahme des Göttlichen Willens, durch Opfer des Geistes und der Erde — der Erde, für welche Israel seit Jahrhunderten den Göttlichen Willen vergass und sich mit dem Zorne Gottes belud — Hoch Oben unterstützet Israel und breitet Seine Arme aus nach Israel auf Erden — Der Geist, dem Göttlichen Willen gemäss, vereint sich mit dem Menschen, die Todten mit den Lebenden — damit in brüderlicher Einigkeit, das Werk der göttlichen Barmherzigkeit vollendet werde.

Es hebt sich der Schleier der seit Jahrhunderten Israel verdunkelte — Jeder Gläubige sieht, und wer nicht siehet, der sühne seine Schuld auf, dass er sehe. Dem Rufe des Herrn gemäss wird Israel in Kurzem der Wille des Herrn offenbaret — und nur der Wille des Herrn angenommen durch Israel, kann Israel erlösen. Der Geist Israels entledigt sich der irdischen Fesseln — und bereitet sich vor, zur Annahme der grossen Göttlichen Barmherzigkeit — Israel soll gross sein auf Erden wie Er gross ist vor Gott, nicht auf dem Wege den Er wandelt, sondern auf dem Wege den Ihm Gott in diesen Tagen zeigt. Kraft meines Amtes, höre ich nicht auf zu rufen mit Israel, der oben wacht und unterstützt.

O Herr! aus Deiner Barmherzigkeit unterstütze den auserwählten Stamm, auf welchem Dein Gedanke der Rettung Israels ruhet — in diesen grossen und furchtbaren Tagen — Er werfe nicht von sich den Schatz des Glaubens, dass Du, o Herr, Israel nicht verlassen — dass Du den auserwählten Stamm wunderbar erhoben und gesegnet, als Dein Werkzeug der Rettung Israels, damit Er Deinem Willen widerstrebend nicht das Werkzeug des Drangsaal's Israels werde — und sich den Weg des Elend's auf Jahrhunderte eröffne.

O Herr! gieb Deinen Dienern Kraft den bösen Geist zu besiegen, welcher als Prüfung der Treue für Dich das erwählte Werkzeug umgiebt, es an der Erfüllung seiner Pflicht verhindert — nahe dem Amte arbeitet um Deine Barmherzigkeit für Israel zu verhindern.

Ich sende Dir, o mein Bruder, einen Bruder aus Israel — welchen Gott frühzeitig zu Seinem Dienst berief — welcher mit Seinem Israelitischen Geiste vielfache Dienste im Werke Gottes verrichtete — welcher das Göttliche Amt auf dem Römischen Stuhle berief zur Pflicht für Gott — und welcher heute für Dich, mein Bruder, den Dienst zu erfüllen verbunden ist.

Ihr traget beide in Euch den Gedanken Gottes — es ist der Wille Gottes, dass Ihr beide vereint in Eurem Israelitischen Geiste Gott dienen sollet.

5.

Idea o Jeruzalemie dana br. Janowi Andrzejowi Ramowi, w dzień jego odjazdu do Ziemi świętej, 18 listopada 1844 r., w Bazylei.

W Jeruzalem szczyt w błędach Izraela, szczyt oporu, szczyt ducha ziemi. Dla Izraela tylko w błędzie najwyższa tam świętość, największa zatwardziałość na Wolę Bożą, przy najświętszych formach. Pielgrzymują, aby w fałszu, w twardości, w duchu ziemi utrzymywali się, aby duchowo Chrystusa, Woli Bożej, silniejszy opór czynili — kamień ducha utrwalali, aby nie dali poruszyć się, w oporze dotrwali, kiedy Bóg wszystkim Izraela porusza. A co raz większy wyzew Boski do spełnienia Woli w Słowie co raz więcej otwiera tę drogę ucieczki od posłuszeństwa Bogu.

Miejsce samo egzaltuje do Ideału niepoddania się Woli Bożej w Słowie Człowiekowi podanej — Idei Chrystusa, to jest temu rodzajowi operacyi, postępowi. Tam punkt twardy utrzymuje się najłatwiej, tam największa koncentracya w punkcie zatwardzonym; jako w Paryżu siedlisko rozkoszy nerwów rozwiązanych, tak w Jeruzalem siedlisko rozkoszy ducha skupionego, zatwardzonego.

Tam myśl boska rozpierzchająca Izraela po ziemi, dla poddania się Woli Boskiej, rozbija się. Zatwardzeni, ofiarę robią ze wszystkiego, prócz poddania się Woli Boskiej Najwyższej, prócz postępu, operacyi naznaczonej Słowem Bożem. Złe Człowieka, szerokie na ziemi, do ostatniego, a istotnego swojego punktu tam sprowadza się, punkta mniej istotne niszczą się, jako zyski, miłość mamony, i dalsze zboczenia Izraela.

Dotąd wszystko Izraela twardość rozbijało — Bóg fałszywy Ideał kruszył, a prawdziwy Ideał dla stanu dzisiejszego Izraela nie był wykazany — z dopuszczenia kary Bożej, Izrael nie miał drogi Dziś światło kupne — Ideał stosowny, droga właściwa, prawo właściwe, daje się Izraelowi, i to będzie już ostatnią próbą miłości

Izraela dla Boga, próbą karności Izraela dla Woli Bożej, przyjęcie lub odrzucenie zakreśli na nowo kierunek Izraelowi na wieki. A co tylko oporne Woli Bożej będzie, tułać się nie przestanie w pogardzie i poniżeniu. A dziś Bóg dla kornych swej Woli bramy Jeruzalemu otwiera.

6.

Do br. Jana Andrzeja Rama.

Bracie Janie!

Trzy części powinności Sługi Sprawy Świętej: 1-o Przyjęcie światła, 2-o obudzenie ruchu wedle światła, w duchu i w ciele, 3-o czyn, iście drogą oświetloną.

Przeciwności gotowały Sługę Bożego do Odessy, do Rzymu, do Jerozolimy — na tej przestrzeni utarłeś Człowieka swojego, ciało posłusznem duchowi uczyniłeś, światło Słowa umiłowałeś i ruch wedle światła w duchu i w ciele obudziłeś. Pozostanie Tobie czyn, trzecia część Służby twojej dla Boga, — Stanąłeś na drodze Bożej, iść masz odtąd — Zwyciężyłeś grzech Izraela i liczne twe przeciwności; Siebie, ducha twego masz zwyciężyć, w czynie, w iściu drogą Chrystusa, w ofierze Chrystusowej masz stanąć.

Byłeś w ofierze ducha i ciała twojego, ale w ciemności twej, pędzony Wolą Bożą, bez pełnej twej woli, zasługi, bez złożenia się zupełnego z Wolą Bożą — a trwoga, przez Boga zsyłana, w bojaźni, w ofierze trzymała, ratowała Ciebie. Iście drogą oświetloną ruchem twym ducha i ciała, jest krzyżem twoim białym. Z krzyżem białym misya twoja, i Ramię Boże dla ciebie.

Noszenie przez Ciebie w duchu tego stopnia ofiary, należy się Izraelowi od ciebie, aby się Temu krzyż czarny, od wieków noszony, na biały zamienił. — Narzędziem jesteś przyjęcia przez Izraela Słowa Bożego — Ukazania Izraelowi Myśli Bożej przez Mojżesza... podawanej w Słowie Bożem. Tyś Apostołem Chrześciańskim dla Izraela.

Rozpoznasz i rozpoczniesz nową a pełną drogę twoją w Einsiedeln, na miejscu spełnionej Myśli Bożej. Tam Meynhard rzucił czyste ziarno słowa Bożego. — Przeszło dziesięć wieków w czystości ono, wśród skażonego świata, przechowuje się, spełnia się tam część pierwsza Słowa Bożego; modlitwą, duchem, ciało trawi się. — Przypatrz się temu ziarnu czystemu i ukorz się przed tą czystą posadą Chrześciaństwa, a ton przyjąwszy i utrwaliwszy, utrzymuj się z nim na dalszych szczeblach Słowa Bożego, które zająłeś (światło i ruch ducha, i ciała wedle światła)[1], wstępuj z nim

---

[1]) Światło, ruch ducha i ciała, były chorągwią Chrystusa, czyn, życie ubiór, poza etc., pod chorągwią przeciwną ducha ziemi.

Narodu kapłańskiego kapłan, Paryżanin.

Grzechem służyć można; Bóg to rachuje. Tym grzechem, ziemią, służba ułatwiała się dotąd, odtąd sam duch w ofierze ułatwia.

na dalsze szczeble, które zająć możesz (iście drogą oświetloną czyny).

W tem twoje powołanie, twoja korona, twoja odpłata Bogu za wieki twoje. Tu twoja zasługa pewna, odtąd z zasługą twą pomoc wyższa dla Ciebie. Izrael kapłana w tobie z zasługą oczekuje.

Bracie Janie! służenie moje tobie i westchnienie za Tobą do Pana Zastępów towarzyszyć tobie nie przestaną.

25/IV, 1845, Rychterschwyl.

Andrzej Towiański.

7.

Pismo br. Andrzeja Rama. Sprawozdanie z jego podróży do Jeruzalem.

Dnia 18 listopada 1844, otrzymawszy w Bazylei od Mistrza Ideę, tyczącą się Jeruzalem i braci Izraelitów w tem mieście przebywających, udałem się w pielgrzymkę moją i przez Marsylią, Maltę, Konstantynopol, przeszło dwa miesiące podróżując, stanąłem w Jeruzalem w połowie stycznia 1845.

Szczegóły podróży mojej ustnie braciom opowiem; tu tylko zamierzyłem opisać główny punkt służby mojej, którym było zaniesienie wyzywu do braci Izraela w Jeruzalimie.

Proszę Was, kochani bracia, abyście słuchając tych słów moich, przenieśli się ze mną do Jeruzalemu, i w duchu poczuli całą trudność położenia mojego, a razem odpowiedzialność, jaka ciężyłaby na mnie, gdybym, przez brak dociągnięcia się, w zupełnym tonie Sprawy świętej przed bracią moją Izraelem nie stanął. W tej stanowczej chwili zapomniałem zupełnie o sobie, a pamiętając tylko na zlecenie, które niosłem w duszy mojej, w modlitwie i pracy ducha szukałem środków spełnienia posłannictwa mojego.

Zabrawszy znajomość z wielą Izraelitami, oświadczyłem im, żem przybył do Jeruzalem jedynie dla zakomunikowania Im radosnej wieści, i że w tym celu chciałbym do nich przemówić.

Dnia 29 stycznia, o godzinie pół do dziesiątej z rana, w Synagodze Medras, zebrało się przesło 60 Izraelitów. Stanąwszy śród zebranych westchnąłem gorąco do Boga, i temi słowy przemówiłem:

„Bracia i Przyjaciele!

„Bóg dozwolił mnie, że zgromadzonym tu, w miejscu tak czystem i świętem, mogę zakomunikować radosną wieść idącą od Boga, na którą naród nasz oczekuje od tylu wieków.

„Przeszło już cztery lata, jak na ziemi europejskiej zjawił się Mąż Boży, z rozkazu Bożego oznajmił innym narodom i Izraelowi, bratu naszemu, że Bóg ulitował się już nad nami i woła Izraela do świętej Sprawy swojej.

„Wiele upłynionych wieków przepędziliśmy na modlitwie samej, nie usiłując wybadać jaka jest względem nas Wola Boża.

A oto dzień zbliżył się, w którym Bóg, przez prawdziwego Sługę swojego, oznajmia nam Najwyższą Swą Wolę.

„Mąż Boży, z dozwolenia Pańskiego, przynosi nam żywe Słowo. Posłannictwem jego jest: odjąć z narodu naszego ten ciężar, który go od tylu czasów gniecie, połączyć narody w braterstwie, zbawić Izraela, przywieść do uznania go na ziemi za pierwszego brata, i postawić nas wszystkich pod jedną Najświętszą Chorągwią swoją.

„Wielekroć razy Bóg przemawiał do Izraela przez sługi swoje proroki, i dzisiaj znowu przemawia do niego przez prawdziwego sługę. Od niego tylko dowiedzieć się możemy o wielkości narodu Izraelskiego i wysokiem powołaniu Jego w sprawie świętej. Od niego wziąść tylko możemy nowe światło na przyszłe życie nasze.

„Powtarzam Wam, o Bracia moi, że Bóg przez męża swojego ponawia wołanie swe do Izraela, jakie czynił już dawniej przez święte proroki. Naród nasz, przez tyle wieków, nie przyszedł do zrozumienia Woli Pańskiej, ulitował się Bóg nad nim, i dzisiaj zesłał wam Sługę swego, żeby ułatwić poczęcie i objaśnienie woli swej i zrealizowanie jej na ziemi.

„Tylko przez dopełnienie Woli Bożej zdjęty z nas będzie ten ciężar co nas tak boleśnie uciska na ziemi, tylko przez wykonanie wołania Męża Bożego nastąpi uznanie wyższości Izraela nad rodziny innych narodów; a Mąż Boży, Sługa Pański, będzie nam w tem dziele pomocą na ziemi.

„Bracia moi! Bogiem się świadczę przed Wami w tej chwili, żem czuł oddawna powinność przeniesienia Wam tych słów pociechy, które doszły do uszu naszych, któreśmy duszą przyjęli i związali się ślubem służenia Sprawie Najświętszej; ale, jako Człowiek miałem wiele przeszkód na ziemi i spóźniłem to uczynić. Winuję się o to przed Wami. Lecz kiedy dziś Bóg litościwy wprowadził mnie do Was i dozwolił w tym duchu połączyć się z Wami w Imię Boga, zaklinam Was, Bracia, abyście obudzili ducha waszego, który tak wielki jest przed Bogiem, do zrozumienia woli Jego przyniesionej nam przez sługę Bożego, na którego to przyjście oczekiwał nasz naród od tylu wieków. I w oddaleniu waszem potraficie się wyrozumieć. Na Was, zamieszkujących to miasto święte, leży owszem obowiązek szukać tego źródła, z którego wyszły Słowa pociechy; przyjąć je i roznieść po całym Izraelu.

„Ja zaś, któremu Bóg dozwolił być u nóg męża Bożego, usłyszeć słowo prawdy i żywota z ust Jego, przyjąć je do duszy mojej i złożyć przed Bogiem przysięgę służenia Sprawie Jego Świętej, składam mu chwałę i dzięki, iż mnie też użył za narzędzie swe w objawieniu wam tego Słowa, Bracia moi; i przed wami, z wszelką pomocą ducha i ciała mojego, w gotowości stawam".

W tej treści i w tych prawie słowach mówiłem do Izraelitów Jerozolimskich, unikając, jak to widzicie, Bracia moi, dotykania

jakich bądź szczegółów, do których uchwycenia duch Izraela skłonny, zająłby się zaraz szukaniem na nie stosownych tłumaczeń. Szło zaś jedynie o to, aby z całą czystością, wiarą i miłością obudzić duch Izraela, wyzwać go do wewnętrznej pracy.

Bóg pobłogosławił tej chwili. Zgromadzeni, jedni więcej, drudzy mniej, dotknięci zostali. Poruszenie, rozczulenie duszy było prawie powszechne. Niektórzy mnie zaraz pytali o objaśnienia, na co im odpowiedziałem... że „dziś tylko o to idzie, abyście Słowo moje do duszy wszyscy przyjęli“.

Nazajutrz pięcu delegowanych z Synagogi przyszło do mnie. Objaśniłem Im niektóre punkta i w ciągu wielu dni, biorąc każdy szczegół, tyczący obecnego stanu Izraela i przyszłego Jego powołania, tłómaczyłem jakie są dzisiaj ich powinności i obowiązki.

Od Boga zależy kierunek jaki spełniona moja służba w Jeruzalem wskaże Braciom Izraelitom. Pożegnanie moje z nimi było, że tak powiem na kolanach w duchu, całą gromadą odprowadzali mnie za bramy miasta. Przed opuszczeniem Jeruzalem byłem świadkiem wziętego przez nich postanowienia: pisać natychmiast do braci w Polsce zamieszkałych i do opiekuna Izraelitów w Ziemi Świętej osiadłych, bawiącego w Amszterdamie, donosząc o tem, co odemnie słyszeli, i wzywając, aby się starali powziąść bliższe poznanie objawionego słowa, a nadto, gdy w ich zwyczaju jest rozsyłać posłów od siebie do braci w różnych krajach osiadłych, idącemu do Francyi polecą głównie być u źródła, skąd początek wzięła i moja missyą do nich, którą, gdy Bóg Miłosierny dozwolił mi szczęśliwie spełnić, wzywam Was, bracia, abyście w rozradowaniu duszy waszej, tem błogosławieństwem Pańskiem podzielili się ze mną.

Paryż, 15 maja, 1845.

J. A. Kam.

8.

Idea Pana przez brata Rama podana Kołu

Wszystko w sprawie dzieje się cudem, a jedyna powinność nasza być w tem usposobieniu ducha, żeby kolumny Pańskie przez nas działać mogły.

Krzyż czarny dźwigała odtąd ludzkość, dziś jest powołana zmienić go na biały, który niczem innem nie jest jak tylko umiłowaniem Woli Bożej i poddaniem się kierunkowi z całą wiarą i miłością. — „Krzyż mój, mówi Chrystus, lekki jest i jarzmo moje słodkie“.

Samo zapisywanie idei nie jest już dostatecznem. Dziś każdy z braci o dopełnionej przez siebie służbie ciałem swym świadczyć ma przed bracią i stawić z siebie przykład.

Każda służba w duchu poczęta musi być do końca doprowadzona. Niezważać jaki jej będzie rezultat; bo w Sprawie Pańskiej idzie tylko o wyznawanie dobrego lub złego owocu.

Koło powołane jest, aby stanęło jak jeden Mąż, a gdy liczba powołanych nie jest nam wiadomą, stąd powinnością jest naszą, abyśmy braci niżej stojących wspierali duchem i miłością naszą, bo jeden taki powołany, opóźnieniem swem, zatrzymuje chwilę czynu.

Izraelowi pomódz tylko można biorąc krzyż jego, ułatwiając zniszczenie kamienia, który ducha jego tłoczy. Kościół katolicki nakazuje mu, aby wierzył, że Chrystus był Bogiem, tego Izrael nie poczuje od razu; trzeba mu dopiero okazać, czy to, co Chrystus przyniósł jest prawdą i czy on ma co przeciwko niej.

Izrael nie będzie potrzebował formy chrztu w kościele, uchrześciani się on przez przyjęcie nowego ducha — Brat Ram tej formie zadość uczynił dla tego, że przeznaczonem było od Boga, aby światu było wiadomem — iż stanie się jawnem, że Izrael Papieża, Namiestnika Chrystusowego, do Chrystusa wołał.

Trzeba wam wiedzieć Bracia, że wedle praw ziemi dziś urząd wszędzie zatrzymuje ruch czysty ludzi ku Bogu. Tak jest w kościele, tak jest we Francyi i w innych narodach. Wpływu tego prawa w Kole naszem chronić się mamy; a kiedy my jesteśmy stróżami prawdy, ilekroć ta cierpi w urzędzie, śmiało o to sam urząd, oddawszy naprzód ziemi co się ziemi należy, upominać mamy.

17 maja, 1845 r.

9.

28 lipca, 1845, Frankfurt a/M.

Do kochanego Brata Adama.

Kochany Bracie. List z 22 lipca odebrałem — wiele siły i energii mnie przyniosłeś; wszak dobrze pamiętam, kiedy ja tyle razy do Brata przyszedłem jak trup, a wróciłem pełen życia, a cóż dopiero tak oddalony, sam jeden, w takich trudach, to mały listek Br. Adama może mi wiele dobrego zrobić. Ożywiłeś mnie, Bracie drogi, za co Bogu i Mistrzu i Zastępcy Pana naszego dzięki składam.

D. 21 chcieli mnie żandarmami wyprawić, a z wielką trudnością Bracia moi wyrobili mnie pozwolenie na 8 dni. Dnia 25 po zebraniu naszem poczuliśmy razem, że ja z trzema rabinami mam się udać do Ambasady francuskiej — i tak się stało. Po południu o 4-tej udaliśmy się do Ambasady. Ci Rabini co szli ze mną byli: z Hamburga, Lipska i Darmstadu, ludzie ucywilizowani, dobrze mówiący po francuzku; wziąłem ich tylko z sobą, ażeby świadczyli o tem, co ja do nich przyniosłem i jaką odezwę zrobiłem. Mnie tam Bóg pozwolił śmiało, z prostotą i swobodą czynić. Co mnie tylko Bóg dał w duszy mojej, to przez pół godziny mówiłem o Sprawie. Oni mnie z wielką pokorą słuchali. Mówiłem im, że Francya myśli, iż się tym sposobem wykręci, że Mistrza, posłańca Bożego wyprawiła, i innych także wyprawia (uczniów Jego), że

nie chce nic słuchać, to się bardzo myli. To co posłaniec Boży przyniósł dla Francyi, Francya musi to przyjąć i zrealizować, nie dziś to jutro, i ten dzień jest blizko. Tak samo Izrael przez tyle wieków nie chciał woli Bożej realizować na ziemi, a teraz ten dzień się zbliżył, że Izrael sam szuka co ma robić, a Mąż Boży ma rozkaz Boski dla trzech narodów. My jako pierwsi słudzy Sprawy świętej obowiązani jesteśmy tym narodom zakomunikować — Bóg od nas tego wymaga. — Wtedy odezwali się ci Rabini: my przychodzimy tutaj za naszym Bratem Ramem, że on nie przyszedł do nas wołać nas do jakiego spisku rewolucyjnego, nie Panie, on nam przyniósł słowa Pociechy, na które my czekamy od dawna, i bez których my obejść się nie możemy. Pokazali mu swoje papiery, jako oni są Rabini pod przysięgą i mówili do Ambasadora: Wszak Panu zapewne wiadomo, do czego my się decydujemy, my choć Niemcy jesteśmy, ale z opowiadania Brata naszego to także czujemy, że Francya ma wielkie powołanie, i że Francya tak nie może się zostać.

Wkońcu pokazuje mnie Ambasador raport o mnie, gdzie powiedziano, żeby mnie paszport francuzki odebrać; ale Ambasador, będąc mocno poruszony, powiada do mnie: no, co mam z Panem Ramem robić — słyszałem, że i z Frankfurtu przymuszony jesteś się oddalić, gdzież myślisz teraz się udać? — powiadam, tam się udam, gdzie Bóg każe, i tam, gdzie można Słowo Boże zakomunikować. Czuję tylko w duszy mojej, że tego Bóg odemnie wymaga, a wykreślonej dla mnie drogi niema. Tedy powiada do sekretarza, żeby mnie zwrócił paszport — wizy żadnej nie żądałem od nich.

Drogi Bracie, trudno mnie ci wszystko opisać, ale co mam robić, kiedy lepiej nie moge się tłumaczyć. W Bogu mam nadzieję, że choć tłumaczenia się mojego nie zrozumiesz, ale ducha mojego zrozumiesz — kiedy Bóg nas połączy, to ci wszystkie detale opowiem. To ci mogę pisać mój Bracie, że wychodząc z Ambasady czuliśmy razem wielką radość, i że Bóg nam pobłogosławił.

Przez te kilka dni nie widziałem, dokąd mam się udać, ale że Bóg i Duch sprawę robi, więc kiedy jestem w kłopotach, dnia 27 odbieram list z Amsterdamu. Jest to odpowiedź na mój list, który pisałem 17 do Izraelity H e r s L e h r. Jest to ten, do którego pisali z Jeruzalemu. Odpisał do mnie brat jego E k i w a L e h r, że list z Jerozolimy, który jest dla nich takiem błogosławieństwem, dawno przez nich odebrany. Od kilku miesięcy u nich wielka praca się odbywa, oni sami nie wiedzą co mają robić, czują tylko, że czasy są wielkie, modlitwę i post odbywają na tę intencyę. Przeszło pięć tygodni jak Holandya z Anglią razem się połączyły w tej pracy. Brat jego pojechał od kilku tygodni do Londynu, dla decyzyi co mają robić, a zatem pragną z całej duszy, kiedy ja jestem ten, któremu Bóg pozwolił udać się do Jerozolimy, ażebym pojechał do Rotterdamu, tam i jego znajdę, a stamtąd on i Rabin

Rotterdamski udamy się do Londynu. Tak to Bóg prowadzi, mój drogi Bracie.

Jutro pewnie wyjadę stąd prosto do Rotterdamu. Dzisiaj zbieramy się wieczorem dla pożegnania. Ja tutaj robiłem co mogłem, a resztę Bóg i Duch sprawę robi, — widać, że taka już wola Boska.

Żegnam Cię, mój Bracie — Niech Bóg i Mistrz nas wszystkich w służbach wspiera.

Brat Jan Ram.

Uwaga Przy publikacyi powyższych materyałów posługiwałem się pisownią dzisiejszą; zatrzymałem jedynie wielkie litery na początku niektórych wyrazów, do których Towiański przywiązywał osobliwą wagę.

Łozina. *Fr. R. Gawroński*

KORESPONDENCYA S. GOSZCZYŃSKIEGO I WSPÓŁCZESNYCH.

Naturalnym rzeczy porządkiem historya literatury, po uporaniu się z pierwszorzędnymi przedstawicielami doby romantycznej, Mickiewiczem, Słowackim i Krasińskim, zstępuje z tych szczytów, aby zbadać bliżej w zjawiskach bardziej przyziemnych ówczesny duch czasu. Przyszła kolej na Seweryna Goszczyńskiego.

Uczyniono już wiele w celu wydobycia z mroku tej postaci, że wspomnimy prace dawniejsze Zygmunta Wasilewskiego. W ostatnich czasach jest więcej dowodów zainteresowania się Goszczyńskim. W roczniku „Pamiętnika“ z r. 1908 pisaliśmy o publikacyi p. M. Mazanowskiego. w tymże roku ukazała się bardzo ciekawa broszura p. Bogusława Serwina p. t. „Próba charakterystyki twórczości Seweryna Goszczyńskiego“ (Kraków, 1908, w drukarni A. Koziańskiego, str. 34). W wydawanem w Warszawie dziele „Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej“ w tomie V prof. Gabryel Korbut poprzedził wybór pism Goszczyńskiego doskonałym życiorysem poety i wykazem bibliograficznym zarówno jego dzieł jak i opracowań jego życia oraz twórczości. Jest to najgruntowniejszy z dotychczasowych zbiór wiadomości o tym poecie.

W roku bieżącym Z. Wasilewski wydał książkę p. t. „Z życia poety romantycznego. Seweryn Goszczyński w Galicyi. Nieznane pamiętniki, utwory i listy z lat 1832-1843“ (Lwów 1910. Tow. Wydawnicze, str. 206, dwa portrety i facs.). Materyał tam zebrany i objaśnienia wydawcy wypełniają w znacznej mierze lukę w dotychczasowym wizerunku Goszczyńskiego. O książce tej damy wkrótce bliższą wiadomość.

Wreszcie firma wydawnicza H. Altenberga przedsiębrała wydanie kompletne dzieł Goszczyńskiego w swojej „Bibliotece klasyków

polskich". Po ukończeniu Słowackiego (2 tomy) Biblioteka przystąpiła do wydawania zeszytami jednocześnie dwu zbiorów: Mickiewicza i Goszczyńskiego. Wydaniem Goszczyńskiego zajmuje się Z. Wasilewski. Z dzieł Goszczyńskiego ukazały się dotąd części następujące: Poezye liryczne (w nich niemal połowa dotąd nieznanych z wydań lub w poprawionej przez poetę redakcyi), Powieści, Dziennik Podróży od Tatrów, Rozprawy literackie, krytyki i sprawozdania. Nastąpią jeszcze: Pisma polityczne, Pisma satyryczne „Pszonki", Pisma religijno-moralne z ostatniej doby, wreszcie przypisy, odmiany itp. Dzieła Goszczyńskiego ukażą się jednocześnie w dwóch wydaniach — mianowicie oprócz zeszytowego, ukaże się wydanie w mniejszych kilku tomach.

Wobec tego zainteresowania się Goszczyńskim należy pospieszać z ogłaszaniem materyałów potrzebnych historykom do wycieniowania tej postaci. Z pośród pracowników na niwie historyi literatury dwoje zgłosiło do „Pamiętnika" przyczynki w formie korespondencyi. Podajemy ten materyał w całości z dołączonymi komentarzami. *Redakcya.*

I.

Z listów Goszczyńskiego, Bielowskiego i Siemieńskiego

podała **HERMINA FISCHÓWNA.** (Lwów).

Dążenia republikańskie w Europie, ujawione z początkiem roku 1833, zaniepokoiły rządy zaborcze; zabrano się do poszukiwania źródeł ruchów i rozpoczęły się prześladowania. W Ga icyi, skąd nieszczęśliwa wyprawa partyzancka Józefa Zaliwskiego zasilana była i dokąd wróciły częściowo rozbitki małych oddziałów, — rząd austryacki baczną zwrócił uwagę na wychodźców, widząc w nich element podburzający.

Galicya w czasie powstania listopadowego uczuła się dopiero — rzec można — Polską. Po jego upadku napływowy element złożony z młodzieży, demokratycznych przeważnie przekonań, działał i nadal na Galicyę podniecająco. A chociaż wielki rozłam na stronnictwa, idący z Zachodu i tu się już wyraźnie zaznaczył, to jednak „partyzantka" zainicyowana przez jedną tylko partyę na emigracyi — przez stronnictwo demokratyczne — znalazła tu na gruncie galicyjskim wielu zwolenników wśród szlachty dawnych konserwatywnych przekonań. Przekroczenie oddziałów partyzanckich odbyło się w tajemnicy najściślejszej i dopiero powrót kilku rozbitków na ziemię galicyjską pod Otalężą, — pojmanie ich, a następnie ucieczka w nocy z 23/24 marca 1833 r., naprowadziły rząd na pierwszy ślad. Wkrótce potem przyszły wieści z za kordonu — przesadzone początkowo i niepewne — a następnie urzędowe. Lecz nawet olbrzymi proces o zdradę stanu nie potrafił odkryć

machiny spiskowej w kraju, uchylając zaledwie, dzięki denuncyacyom, rąbek tajemnicy.

Jak wiadomo z własnych zapisków S. Goszczyńskiego[1]), założył on w roku 1832, jeszcze przed przybyciem emisaryuszów Zaliwskiego, tajny związek w Galicyi t. zw. 21. Praca Goszczyńskiego znalazła uznanie Pietkiewicza, wysłanego przez Zaliwskiego i Lelewela do Galicyi celem przygotowania terenu [2]). Niewiadomo jednak, czy się Pietkiewicz z Goszczyńskim porozumiał; z pamiętnika poety wypadałoby raczej, że o zamiarach na emigracyi powziętych dowiedział się Goszczyński dopiero po przybyciu Zaliwskiego (na wiosnę r. 1833) z ust jego i odrazu rzecz tę potępił. Założone przez Goszczyńskiego oddzielne tajne stowarzyszenie, mające na celu powstanie, nie miało wówczas już racyi bytu i rozwiązało się; weszło natomiast w życie inne stowarzyszenie, raczej komitet, pod przewodnictwem Wincentego hr. Tyszkiewicza. Goszczyński jednak nie usunął się od pracy, działając wspólnie, dopóki przedsięwzięcie samo przez się nie upadło — a praca w Galicyi znowu torem tajnej konspiracyi się potoczyła — konspiracyi, która była żywiołem Goszczyńskiego. Zdaje się, że potępił on ten nieudały poryw wolnościowy, zwany partyzantką, dopiero w latach późniejszych; w chwili działania przywarł do niego raczej całą duszą nie tylko konspiratora, wojownika wolności, ale i całą wyobraźnią poetycką, skoro pułkownika Zaliwskiego uznaje dość godnym stanąć przy Kościuszce [3]).

Rozpoczęła się więc praca szybka, dorywcza, celem przeprawiania przez granicę i uzbrajania przybyłych z Francyi emisaryuszów, t. zw. okręgowych. Bez względu na różnorodność przekonań, która, jak słusznie Mickiewicz zauważył, wobec hasła „do broni!“ upaść musiała — pomagała szlachta galicyjska, dostarczając broni, odzieży, żywności i pieniędzy.

* * *

Na podstawie denuncyacyi emigranta, byłego wojskowego Adolfa Rolińskiego, urządzono z ramienia sądu kryminalnego we Lwowie szereg rewizyi po domach obywatelskich, odkryto tajny skład broszur drukowanych w instytucie Ossolińskich, rzucono także podejrzenie na studenta uniwersytetu lwowskiego, Emila Korytkę, jakoby zorganizował tajny Związek młodzieży i trudnił się

[1]) Zygmunt Wasilewski, Z życia poety romantycznego. Seweryn Goszczyński w Galicyi (Lwów, 1910, Tow. Wydaw.).

[2]) Listy Waleryana Pietkiewicza do Lelewela. — Rkp. w Archiwum Rapperswilskiem. List z Tarnowa 30-go listopada 1832: „Sewer we Lwowie, o ile uważam, najporządniejszy“.

[3]) „Z życia poety romantycznego“. Proroctwa ks. Marka, str. 40 „Trzy epoki męczeństwa Polski. Pierwsza uciski Polski w osobie Puławskiego — druga w osobie Kościuszki — trzecia w osobie Zaliwskiego. Zaliwski jako bohater rewolucyi listopadowej“. —

rozdawaniem i rozsyłaniem na prowincyę broszur treści zakazanej, dostarczanych mu przez praktykanta instytutu Ossolińskich, emigranta Aleksandra Komarnickiego. W sprawę tę był wplątany i August Bielowski, współlokator Emila Korytki.

August Bielowski, wydawca „Ziewonii“, almanachu literackiego, mieszkał wówczas we Lwowie przy ul. Halickiej l. 724, trudniąc się udzielaniem lekcyi literatury i historyi polskiej. Studyów na uniwersytecie lwowskim nie wolno mu było kontynuować, brał bowiem czynny udział w rewolucyi listopadowej. Wyjechawszy w styczniu 1831 r. jako słuchacz 4-go roku praw do Królestwa, wstąpił do legii litewskiej pieszej, odbył całą kampanię i z korpusem generała Różyckiego wrócił do Galicyi. Jeszcze w wojsku zawarł przyjaźń z innym Galicyaninem, Łucyanem Siemieńskim, który również w legii litewskiej pieszej odbywał służbę jako podoficer. Przyjaźń tę kontyunowali następnie w Galicyi, idąc ręka w rękę tak na polu literackiem jak i politycznem. Gdy się rozpoczęły ruchy przygotowawcze do partyzantki z początkiem roku 1833, Bielowski odegrał w nich czynną rolę. Komitet polski założony w czasie rewolucyi i istniejący jeszcze w pierwszych miesiącach r. 1833 pod prezydencyą Ksawerego hr. Krasickiego, przestał wkrótce istnieć, spowodowany do tego przedewszystkiem natarczywem naleganiem rządu, a w wielkiej mierze także pominięciem go zupełnem przez wysłannika Emigracyi Pietkiewicza, który miał instrukcyę znoszenia się jedynie z Wincentym hr. Tyszkiewiczem — a unikania „arystokracyi“, do której zaliczano członków komitetu polskiego. Są ślady, że właśnie ze strony komitetu Krasickiego poczyniono pewne kroki porozumienia się z komitetem Tyszkiewicza w Tarnowie. Pośrednikiem w tej sprawie miał być Wincenty Pol, który jakoby z osobistych względów sprawy nie załatwił [1]) i odrazu przeszedł do obozu przeciwnego. Rzecz ta musi zostać na razie nierozstrzygnięta, na podstawie bowiem niżej przedrukowanych listów dają się raczej skonstatować przyjazne stosunki Bielowskiego i Siemieńskiego z Wincentym Polem, byłyby zaś one bezwątpienia, wobec powyższego faktu, zerwane. Dla przygotowania wypraw z Galicyi wschodniej na Podole utworzono komitet we Lwowie, na którego czele stał Józef Zaleski, ekskapitan wojsk polskich; członkiem tego komitetu był August Bielowski. Łucyan Siemieński przebywał na prowincyi i tu brał udział w pracy publicznej, jak świadczy list z daty 17 maja (1833 r.).

W miesiącu grudniu r. 1833 uczynił emigrant, Ludwik Xiężopolski, za poradą niejakiego Dobrowolskiego, szpiega, doniesienie dyrektorowi policyi Sacherowi. Korzystał ów Xiężopolski ze

---

[1]) Rkp. Arch. w Rapperswilu. List Pietkiewicza do Lelewela: Tours 19 stycznia 1834: „Pan Wincenty (Tyszkiewicz) lubił pochlebnisiami, gałganami otaczać się; takim był jego liży-łokieć Wincenty Pol wielki łajdak, błazen, tego i sam używał i komitetowi poruczył, tego wysłano w misyi do niego, a smarkacz obrażony przez niego popsuł potem niemało i dziś szyje po psiemu“.

wsparć tajnego komitetu lwowskiego i zwerbowany został przezeń do oddziału Józefa Duckiego, formującego się w cyrkule czortkowskim na granicy Wołynia. Na skutek tego doniesienia aresztowano dwóch skompromitowanych w tej sprawie emigrantów: majora Maciewicza i Gleinicha. Prócz tego zadenuncyował on Augusta Bielowskiego, z którego ręki otrzymywał wsparcia pieniężne, i dwóch galicyjskich obywateli: Bobrowskiego i Wład. Sierakowskiego. Trzej ostatni, wykazawszy, że są Galicyanami, zostali na wolną stopę puszczeni. 5-go stycznia 1834 r. spotkał się Xiężopolski z Bielowskim, (i, zdaje się, z Korytką) w traktyerni. Tu Bielowski napiętnował go publicznie szpiegiem. Następnego dnia — może w celu zrehabilitowania się lub, jak przypuszczał w protokole Bielowski, celem skradzenia mu papierów — zjawił się Xiężopolski w mieszkaniu Bielowskiego, obity jednak sromotnie, został wyrzucony za drzwi. To spowodowało Xiężopolskiego do powtórnego zgłoszenia się na policyi. Oskarżył Bielowskiego o ciężkie pobicie, a w dalszej indagacyi obwinił ponownie Bielowskiego i wielką liczbę osób o należenie do rewolucyjnego komitetu, o branie udziału w wyprawie Duckiego i t. p. Na skutek tej denuncyacyi i zeznań obciążających Rolińskiego, zarządzono dwukrotną rewizyę w mieszkaniu Bielowskiego: pierwszą dnia 28 go stycznia 1834, drugą 20-go marca tegoż roku.

Pierwsza przyniosła, poniżej przedrukowaną, korespondencyę Bielowskiego z Siemieńskim i Goszczyńskim. List datowany z Dołżanki 17 maja, sprowadził na Siemieńskiego rewizyę. Na mocy rozporządzenia Prezydyum krajowego, z 20-go marca 1834 (L. 211/g), odstawiło Siemieńskiego starostwo tarnopolskie na policyę we Lwowie. Łącznie z Korytką i tow. byli tutaj przesłuchiwani Bielowski i Siemieński dnia 4-go kwietnia 1834 r.; 28-go czerwca został Siemieński odstawiony z policyi do sądu kryminalnego we Lwowie, gdy jednak przesłuchania nie dały żadnych dowodów winy, przeto w braku tychże uznało go Prezydyum sądu apelacyjnego we Lwowie rozporządzeniem 28-go lipca 1834 (L. 12008) niewinnym przestępstwa zdrady stanu. Z Bielowskim było inaczej: ciężyła na nim denuncyacya Xiężopolskiego i Adolfa Rolińskiego. Obwiniony został przeto rozporządzeniem Prezydyum sądu apelacyjnego z dnia 12-go sierpnia 1834 (L. 13388) wspólnie z Emilem Korytką, Józefem Dobrzęckim (sł. teologii w Przemyślu) i zbiegłym Mikołajem Michalskim, o przestępstwo zdrady stanu (Hochverrath). Dnia 28-go sierpnia 1834 r. został Bielowski uwięziony a 29 t. m. rozpoczął się jego proces w kryminalnym sądzie we Lwowie.

* * *

Listy poniżej przedrukowane, wydobyte ze stosów aktów [1]) olbrzymiego procesu politycznego, któremu początek dała owa nie-

[1]) Akta sądowe złożone w Archiwum krajowem (Bernardyńskiem).

szczęsna wyprawa Zaliwskiego, dają nie tylko szczegóły historycznej wartości; więcej, a przynajmniej jawniej, mówią w nich autorowie o swych pracach literackich; udzielają sobie wskazówek dwaj galicyjscy poeci, Bielowski i Siemieński, a nad nimi unosi się postać Goszczyńskiego, otoczona nimbem — okryta tajemniczością. Goszczyński, w ciągłej ucieczce przed tropiącym go rządem, przelatywał z miejsca w miejsce coraz pod innem nazwiskiem, działając wszędzie w myśl idei, którą jedynie uznawał i której wszystko poświęcał. O swoim pobycie w Galicyi tak się wyraża: „Był to szczyt mojego życia politycznego na starem politycznem polu — czasy największych niebezpieczeństw a najpełniejsze świadectwami opieki Bożej nademną, cudotwórczej mogę powiedzieć. Później dopiero pojąłem ich znaczenie opatrzne w całości mojego żywota.“[1])

1.

A. Bielowski do L. Siemieńskiego.

Kochany Lucyanie!

Wykroczyłem przeciwko Tobie z dwojga powodów, raz, że ci Igora, który na dwa tygodnie przed ogłoszeniem w Rozmaitościach był już gotowy, aż dopiero teraz posyłam; powtóre, że ci żądany wypis rękopisu Kralodworskiego zwlokłem i zmusiłem drugi raz oń rekwirować. Ale cóż robić, mój kochany, taka to już kolej wszystkich poetów, a raczej wierszopisów (między którymi ja niepospolite trzymam miejsce), że są ludzie nieporządni i wielkie zabudki.

Otóż masz wypis żądanych miejsc:

Pozbijały się przednie tłumy szczyt na szczyt,
Tylne sparły się na kopijach
I na drzewa ułożone w poprzek przez drzewa

a dalej:

Ułożyli na ramionach drzewa w poprzek
I podłuż je powrozami* utwierdzili
I postawili sobie drzewce.

Masz tedy, czego żądałeś, reszty się domyśl. Winszuję ci, że ci się udało skończyć tak żmudną a niewdzięczną pracę, przynajmniej u nas najmniej się znają na tem, a nawet znać się nie chcą, ależ dobroć przedmiotu nie traci na tem. — Osoba[2]), o którą się zapytujesz zostaje w tarapacie, szukają go tu wszędzie, kryć się musi nawet przed tymi, którym się już dał poznać. Jestto nieszczęściem u nas Galicyanów, że pomimo całego patryotyzmu, dużo ga-

* Właściwie ciżewkami.

[1]) Wasilewski, Z życia poety romantycznego, str. 17.

[2]) Mowa tu o Sewerynie Goszczyńskim (patrz: Z życia poety romantycznego, str. 34. Rok 1833 „Pierwsza pogoń za mną policyi austryackiej“).

damy i lekkomyślnością czy fanfaronadą o nieszczęście przyprawiamy osoby, które nam są najpotrzebniejsze.

Piszę to z żalu, bo jestem przekonany, że z ust powstańców, którzy się teraz plotkami zatrudniają, podonosiły się rzeczy niektóre do policyi. Jest to Franciszek albo brat, jeżeli o nim spominać zechcesz, bo imię, jakim go nazywasz, może być niebezpiecznem. Cień Barbary podobał się i mnie i wszystkim co czytali, kazałem już na czysto przepisać i zrobię z tego użytek w moim pisemku.[1]) Noworocznika nie wydaję, bo już zapóźno i inne ważniejsze mam zatrudnienia.

W tej to powieści widzę wielką zdatność twego pióra do prac podobnych, nie odkładaj ani na chwilę, tylko się zabieraj do powieści drugiej, a możesz nam być wielce użytecznym w naszych zamiarach. Weź sobie to do serca i pracuj, jakby z obowiązku, nie z łaski. W Barbarze postrzegam, że epizod ratowania Giżanki przez Twardowskiego mógł być wypuszczony i rzecz schwytana tak, jakby to już oddawna egzystowało: Twardowski ma dziewczynę, o której takie a takie są domysły; wreszcie jedna z ich rozmów, z którejby się coś niezupełnie jeszcze wykrywało, aż dopiero sam koniec wyjaśnił. Ogólnie od owej katastrofy można było rzecz więcej osłaniać, a tem samem interes większy obudzać, wreszcie w domysłach zostawić czytelnika, aby reszty odgadnął. Taką uwagę zrobił Sławecki i jest ona w części przynajmniej słuszną, lecz i ja i Sławecki zgodziłem się na to, że mimo tego wszystkiego ma w sobie ta powieść tyle jeszcze zalet, że się czyta z interesem i upodobaniem. Polityka cała zwróciła się na Wschód [2]). Turcya i interwencya projektowana Rosyi, jest powszechnym teraz gazet przedmiotem. Jestto punkt zapewne najważniejszy i godzien wszelkiego zastanowienia. Ibrahim Basza jest naszym przyjacielem, bo chce bić Moskalów w d... i będzie niezawodnie, skoro Francya i Anglia już raz przerwą milczenie. Słychać, że sułtan chce darować Moskalom Wołoszczyznę i Multany, aby go broniły, idzie o pozwolenie dworów, o które Pozzo di Borgo[3]) wszelkiemi siłami się stara. Napisz mi, co sądzisz o Igorze, są tam rzeczy, szczególniej przypisy, które niegdyś zmienić zamyślam. Całuję cię serdecznie *August.*

Lwów, 26/1 1833.

---

[1]) Cień królowej Barbary, powieść z r. 1551, drukowana w I tomie Ziewonii, noworocznika wydawanego przez A. Bielowskiego (r. 1834).

[2]) Zapatrzona na Wschód, ufając korzyściom, które ze zdarzeń na Wschodzie dla sprawy polskiej mogły wyniknąć — emigracya powzięła plan partyzantki, któraby się z czasem mogła rozwinąć w wielką wojnę.

[3]) Ambasador rosyjski w Paryżu.

2.

L. Siemieński do A. Bielowskiego.

Kochany Auguście!

List Twój pisany w kwietniu niedawno odebrałem. To o czem mi wzmiankowałeś, już wiem — dawno wiem i starałem się czynnie sprawie służyć, a to się rozumie, ile mogłem i mogę. Podobnie jak Tobie, biło serce moje, wielkość poświęcenia się i świętość powstania ogarnęły młodzieńcze zmysły. Jam żył — myślał — czuł tylko jedną myślą[1]). Od Ciebie ja czekam z upragnieniem słów kilka — pisz — nie masz się czego obawiać — wiadomości Twoje bardzo mi są potrzebne — gdybyś się lękał, możesz użyć kwasu octowego lub cytrynowego i takim sposobem korespondować, ja mam sposób na to czytać.

Mam nadzieję mój drogi, że Cię za dni kilkanaście we Lwowie uścisnę, jeśli jakie przeszkody na zawadzie nie staną, pisz do mnie do Juśkowic [2]), gdyż tam teraz z Tarnopola jadę. Zdanie twoje o rękopiśmie[3]) moim wyborne — słuszne — sprawiedliwe — prawda, że głupią wziąłem maksymę przekładać jak najwierniej i trzymać się, jak pijany płotu. I to, com w twoim Igorze tak uwielbiał, sam dobrowolnie zaniedbałem, lubo i to dwakroć tyle mozołu kosztowało, co przy tłumaczeniu wolnem i śmiałem.

I ja Oldrzycha znajduję wybornym, co do innych szkoda, że rada Twoja pierwiej w pomoc mi nie przybiegła. Daj go do cenzury, nic to nie zaszkodzi, niech tam będzie gotowy. — Ściskam Cię, drogi mój przyjacielu. — Mam nadzieję, że własnemi rękami niezadługo do serca Cię przycisnę. Twój *Lucyan.*

D. 17 maja, Dołżanka.[4])

A Monsieur
Auguste Bielowski
à Léopol
na Chorążczyźnie pod n-rem 416.

Data stempla
Lmbg. 19 / Maj 1833.

---

[1]) Ustęp odnosi się do wypraw partyzanckich i przygotowań do nich. Pierwsze oddziały wyszły z Galicyi zachodniej, z cyr. tarnowskiego, już 19 i 20 marca 1833, inne w kwietniu. — Nie ulega wątpliwości, że Łucyan Siemieński nie stał zdala od tego ruchu i że był pomocny w przygotowaniu oddziałów, mających z Galicyi wschodniej wkroczyć na Wołyń i Podole (oddziały Józefa Duckiego, Karola Borkowskiego, Michała Chodźki, Bobińskiego majora i inne).

[2]) Własność Jana Uruskiego w cyrkule złoczowskim.

[3]) Królodworski rękopism.

[4]) Dołżanka, własność barona Hagena 3 mile od Tarnopola. Tu nie od rzeczy będzie zacytować ustęp z protokołu sądowego z Siemieńskim w sądzie krym. lwowsk., z dnia 28go czerwca 1834 (Arch. krajowe), dokąd go z aresztu policyjnego odstawiono.

Ad generalia: „Nazywam się L. S., rodem z Kamiennej Góry, cyrkułu żółkiewskiego, lat mam 25, rel. rz. kat., bezżenny, ojciec mój Antoni, a matka Urszula Dłuska, żyją i utrzymują się z kapitału i mieszkają w Kamionce

3.

L. Siemieński do A. Bielowskiego.

Kochany Augustynie!

Słyszałem od Sierakowskiego[1]), którego mam w sąsiedztwie i od Dzierzkowskiego[2]), żeś mocno na febrę chorował. — Prawda — to cię wymawiało od korespondowania ze mną — ale teraz — kiedy sobie może czasami o twoim dobrym przyjacielu wspominasz, ciężko grzeszysz, że mi żadnej o sobie wiadomości nie dajesz. Jak w kwietniu list napisałeś, od tego czasu ani słówka. Ach, niegodzi się tak zrywać ten związek, który mnie z tobą łączył, przynajmniej należałoby mieć jakieś powody — Ach, dość już tych wyrzutów; ja sam się wpraszam do twego serca, o którem wątpię, aby tak łatwej podlegało zmianie. Będąc we Lwowie nie mogłem Cię odwiedzić mimo chęci, raz, nie wiedziałem mieszkania, drugi raz, że bawiłem bardzo krótko, mając czas interesami zapełniony. Donieś mi też obecnie o wszystkiem, co wiesz, i co mię interesować może. Ja właśnie teraz wyjeżdżam do Siera-

---

pod Rawą; brata mam jednego Aleksandra, siostrę jedną Józefę. Do 1820 roku uczyłem się w domu i we Lwowie prywatnie; w r. 1821 wyjechałem do pana Stępskiego, prezesa kryminalnego w Lublinie, krewnego mego, i sam kontynuowałem nauki do r. 1827, w którym powróciłem nazad do Galicyi, do rodziców moich i bawiłem przy nich do r. 1829; w tym roku wyjechałem z moim wujem, Wincentym Dłuskim, pułkownikiem wojska ross., do siostry mojej Józefy, która jest za majorem Bielawskim wojska ces. rosyjskiego i bawiłem tam do r. 1830 w Tulczynie, mieście na Ukrainie; w sierpniu 1830 powróciłem do Galicyi i bawiłem na wsi Sewerynka, niedaleko Złoczowa, u babki mojej, Ludwiki Dłuskiej, do miesiąca lutego r. 1831, w którym udałem się do Warszawy i zaciągnąłem się do wojska, do legii litewskiej, i służyłem tam w stopniu podoficera, a na końcu zostałem oficerem i bawiłem tam do miesiąca września 1831 i dostałem się do niewoli rosyjskiej i byłem zaprowadzony do Żytomierza, stamtąd zostałem uwolniony na żądanie rządu tutejszego w miesiącu marcu 1832 i przybyłem w kwietniu 1832 do Galicyi, gdzie udałem się do Sewerynki, do babki mojej; bawiłem tam kilka tygodni; stamtąd przyjechałem do Lwowa w maju lub początku czerwca, gdzie zastałem moją matkę; we Lwowie bawiłem 6 tygodni i powróciłem do Sewerynki tam i w Juśkowicach u Jana Uruskiego, mego dawnego znajomego i przyjaciela, bawiłem do lutego 1833; stamtąd pojechałem na kilka tygodni do Denisowa, 3 mile od Tarnopola, do barona Hagena, stamtąd znowu wróciłem do Juśkowic w celu zabrania niektórych rzeczy moich, powróciłem znowu do Denisowa, gdzie bawiłem do miesiąca czerwca 1833go r., potem powróciłem znowu do Juśkowic w miesiącu czerwcu, tam bawiłem do miesiąca sierpnia lub września, stamtąd pojechałem z panią hrabiną Łosiową do Narola, w jej dobra, tam bawiłem do grudnia 1833 — stamtąd powróciłem znowu do Sewerynki i do Juśkowic, gdzie znowu bawiłem kilka tygodni t. j. przez Boże Narodzenie i Nowy Rok, stamtąd pojechałem do Dołżanki i Denisowa i bawiłem w Dołżance do momentu mego wzięcia t. j. do 12-go lutego; w innej inkwizycyi nigdy nie byłem, jak tylko z powodu aresztowania mego w Tarnopolu przez Ziwna, komisarza cyrk., a drugi raz w sztokhauzie przez urzędnika policyi pana Wohlfarta".

[1]) Władysław Sierakowski, obywatel z Ożydowa w cyrkule złoczowskim.

[2]) Józef Dzierzkowski, powieściopisarz.

kowskiego, któren mi doniósł, że twój brat Franciszek [1]) do niego przyjechał; jest to niespodziewana i nieoceniona chwila. Co robi mój rękopism? czy go dałeś do cenzury? zbądź go jakiemu księgarzowi — pisał mi Dzierzkowski, że go Wójcicki[2]) czytał i że mu się podobał.

Ja się zabieram do scen historycznych z konfederacyi Barskiej[3]), mam już nieco materyałów przysposobionych, zdałby mi się ten dziennik o oblężeniu Częstochowy, co go Piątkiewicz porwał, gdybyś go jakim sposobem odzyskał, wielkąbyś mi łaskę zrobił. Z Rosyi, z Baru nadeszlą mi miejscowe opisy i powiastki żyjące w ustach ludu.

Żegnam Cię drogi Auguście, przyjacielu od serca — niezapomnij o swoim *Lucyanie.*

d. 22-go lipca, w Juśkowcach.

4.

L. Siemieński do A. Bielowskiego.

Kochany Auguście!

Oczekuję z upragnieniem twego listu — oraz sam do Ciebie piszę, bo mi tęskno, że nie mam z kim się rozmówić. Zająłem się tu pracą nad starymi szpargałami, które mi w ręce wpadły; jest to rękopis z r. 1669 o herbach i familiach. Mam też pod ręką dzieło „Les chroniques et annales de Pologne par Blaise de Vigenere“ w Paryżu 1573, napisane dla Henryka Walezyusza. Właściciel chce go Bibliotece Ossolińskich darować, ale tylko pod warunkiem, jeśli tego dzieła tam nie masz.— Dowiedz się więc o tem i donieś mi. — Jeślibyś sprzedał moje książki (a w sprzedaży stosuj się do tego, jak kupujący będzie dawał) to mi pocztą przyszlij pieniądze—

---

[1]) A propos pseudonimu Goszczyńskiego zaznaczyć wypada, iż Siemieński i Bielowski w indagacyi zeznali, że pod pseudonimem tym ukrywa się emigrant, poeta Seweryn Goszczyński — poszlaki więc o pobycie i istnieniu w Galicyi Goszczyńskiego miał rząd pewne i to ze strony osób, od których więcej można by się było spodziewać ostrożności, tem bardziej. że uwaga władz była już raz jeden na Goszczyńskiego skierowana (Patrz I. list Bielowskiego do Siemieńskiego).

[2]) Kazimierz Władysław Wójcicki.

[3]) Konfederacya barska była w tych czasach, podminowanych pragnieniem swobody, tematem nad wyraz stosownym, tematem (że go tak nazwiemy) na czasie. Można go już było ująć w perspektywie historycznej, a jednak traktować z miłością, niby wstęp krwawy a bohaterski do współczesnych wypadków i do dalszych zapasów z przemocą, jako pierwsze hasło do odzyskania wolności. Tworzył na tle tych wypadków Goszczyński („Proroctwo ks. Marka“ por. Z. Wasilewski, Z życia romantycznego poety), pracując nad swym pomysłem równocześnie z Siemieńskim. Tło to posłużyło następnie Słowackiemu; „Konfederatów Barskich“ napisał Mickiewicz. Pomysłu swego Siemieński nie zrealizował mimo wielkiego zapału, z jakim się początkowo zabrał do pracy.

a pewnie dojdą, bo na poczcie nie ginie. — Co robi Ziewonia?[1]) Co słychać o twoim Bracie Franciszku? Co nakoniec o owym wielkim interesie, o którym wspomniałeś mi; pamiętaj, gdyby to do skutku przyszło, to mi napisz — a pospieszę na twe zawołanie — pełen zapału i przedsięwzięcia. — Jeśli przybył Wójcicki, kłaniaj mu się odemnie i oświadcz mu szacunek, jaki mam dla jego, lubo nieznanej mi, osoby, Borkowskich[2]) pozdrów, rękopis Franciszka wielce mi użyteczny oznajomił mnie po części z krajem, gdzie wprowadzam Bohatyra romansu mojego. Sądzę, że będzie lepszy od Barbary, a jak podług zakroju wnoszę, to może i na kilkuarkuszowe dziełko się zbierze. Przyszlij mi ostatni arkusz; a jeśli nie, to przynajmniej słowniczek góralski mi przepisz — proszę Cię, bo to więcej charakteru nadaje pismu.

Ściskam Cię serdecznie. Błogosławieństwo Pana niech spoczywa na Tobie *Lucyan.*

18 września, Narol.

Numeru domu nie wiem, napisz mi go, bo tak może list się zbłąkać.

5.

L. Siemieński do A. Bielowskiego.

Drogi mój Auguście!

Nie mogłem już powrócić do Ciebie, bo zaraz spakowałem się i wyjechałem ze Lwowa. Brata twego Franciszka jeszcze nie widziałem, ale zaraz jadę do niego, by go uściskać i powitać. Po wydrukowaniu Ziewonii — spytaj się u Wasilewskiego, czy niema czasem jakiej okazyi do Juśkowiec, a życzyłbym sobie, abyś mi przysłał z 10 egzemplarzy, rozsprzedałbym ci pewnie po naznaczonej cenie. Wypisz mi tytuły dzieł rosyjskich dobrych, a mógłbym je dostać. — Ja na świętach zostanę w Juśkowicach — ale ty pamiętaj pisywać do mnie pod adresem przez Tarnopol w Dołżance, gdyż tam po świętach zaraz pojadę. Polla uściskaj odemnie, obiecane manuskrypta zostawię u Sierakowskiego, a może go sam zobaczę, gdyby chciał tam na święta zjechać.

Żegnam cię drogi Auguście, twój *Lucyan.*

d. 21-go grudnia, w Juśkowicach.

Wielmożny Augustyn Bielowski
w Leopol, na Halickim, pod N-rem 724.

---

[1]) „Ziewonii" T. I wyszedł we Lwowie nakładem Bielowskiego w drukarni Ossolińskich w r. 1834. — Aresztowanie i proces wydawcy przeszkodziły wydrukowaniu następnego tomu, wyszedł on dopiero w r. 1838 w Pradze pod redakcyą Bielowskiego. Po raz wtóry wydano tom II w Strasburgu w r. 1839 jako wydanie powtórne, pomnożone, staraniem i nakładem W. L. (Lipowskiego)

[2]) Józef i Leszek Borkowscy.

6.

S. Goszczyński do A. Bielowskiego.

Kochany Auguście!

I moją było myślą wydać jak najprędzej jeden tom pism Goszczyńskiego, dlatego pisałem, gdzie potrzeba, aby Ci przysłano potrzebne do tego pieniądze za sprzedane bilety. Słyszałem o Twoich ambarasach[1]). Niech nas Bóg strzeże od podobnych. Ziewonię przysyłaj w te strony przynajmniej 10 egzemplarzy pod adresem Lucyana Siemieńskiego, bardzo jej ciekawi w tych stronach. Ja we dni kilka odjadę stąd mil kilkanaście i przysłużę się wam rekomendacyą. Może się kiedy zjedziemy.

Całuję Cię serdecznie Twój *Lucyan.*[2])

26 grudnia[3]) 1833 r.

(przypisek Władysława Sierakowskiego).

Kochany Auguście!

O moich ambarasach[4]) we Lwowie pewnie wiesz, bo je pewnie Tytz opowiadał — donieś mi też, co się z tym szpiegiem[5]) stało, czy go wytaskali za granicę, jak dyrektor policyi powiedzieć miał[6]); ja o swojem trzymaniu we Lwowie i o prowadzeniu do policyi, na zeznania tego łajdaka, skargę do arcyksięcia[7]) podaję — równie Bobrowski, którego on za emigranta denuncyował.

Oczekuję Twego listu z niecierpliwością, kochający cię przyjaciel *Władysław.*

A Monsieur Bielowski we Lwowie.

7.

L. Siemieński do A. Bielowskiego.

Drogi mój Auguście!

Słodko spędziłem święta w towarzystwie kochanego brata twego, Franciszka. Co my nie przegadali! co my nie przemyśleli!

---

[1]) We wstępie opowiedziano o aresztowaniu na skutek denuncyacyi Xiężopolskiego i Rolińskiego.

[2]) Podpisał się Goszczyński dla pewności imieniem Siemieńskiego; że listu tego autorem jest Goszczyński, świadczy 1-o podobieństwo pisma 2-o zeznania w sądzie Siemieńskiego.

[3]) Bez wątpienia bawił wówczas Goszczyński w Ożydowie, majątku W. Sierakowskiego.

[4]) Sierakowski i Bobrowski byli również na policyę sprowadzani.

[5]) Xiężopolski.

[6]) Mimo przyrzeczenia dyrektora policyi Sachera, Xiężopolski nie został na razie za granicę wytransportowany; trzymany w więzieniu, poddawany indagacyom, poczynił jeszcze wiele zeznań, obciążających bądź to emigrantów, bądź też obywateli galicyjskich.

[7]) Arcyksiążę Ferdynand d'Este, gubernator Galicyi.

Wyjechał on z tych stron, lecz ze mną przyrzekł, gdziekolwiek będzie, znosić się. Życzył on sobie mieć Ziewonię, ja mu przyrzekłem, że ty mi przyszlesz z kilka egzemplarzy do rozsprzedania i że ja mu poszlę, gdzie tylko się będzie znajdował. Teraz więc, drogi Auguście, staraj się mi przez Wasilewskich przysłać z 15 egzemplarzy, a ja zrobię z nimi, co każesz. — Słyszałem, żeś w kozie siedział, z opowiadania Sierakowskiego; naśmieliśmy się niemało z tej awantury i nasmucili, że takie łotry na ziemi chodzą! Chciej mi udzielić bliższego planu o mającem wychodzić piśmie peryodycznem — tobym zaczął pracować w tym celu i zebrałbym to, co mam w pogotowiu. Bolesława mego umieść; ja tu, lubo poprawiać nie lubię, załączam jednakże niektóre poprawki — zdaje mi się, że je przyjmiesz, bo są więcej stosowne. Dla Polla zostawiam w Ożydowie manuskrypt przyrzeczony; ale podobnoś widzieć się już nie będziemy, bo ja z tych stron w Tarnopolskie wyjeżdżam. Pisz do mnie na Tarnopol w Dolężance *(!)*, tylko nie zapomnij o Twoim przyjacielu, który Cię z duszy całej kocha i radby wszystko dla Ciebie poświęcił. Twój *Lucyan.*

d. 27 grudnia[1]), Juśkowice.

Poprawki „Trąb w Dnieprze".[2])

miasto	czytaj:
Zemstą na kamień	Zemstą na stepy
Ciął szablą	Tnie szablą
Krew wali się rzeką	Krew wali się strugą
A gdzie Błud? daleko	A gdzie Błud? o długo
Czy góra złota śród zwierciadeł siadła?	Czy góra złota siedzi śród zwierciadła?
i włosy przymierza	i kości świętych (tak lepiej, bo historyczne).
Teraz trafiaj Lechu	Słup stoi Dniepr pieje
Dniepr gra słup buja	A Pochwist piaskiem mazowieckim sieje.

Takie dałem zakończenie, kiedy tamto nie jest tak zmysłowie, jak wszystko oddane — sądź sam w tej sprawie, co lepsze!

8.

S. Goszczyński do A. Bielowskiego.

Mój drogi Lucyanie!

Byłem dziś w Denysowie i nie zastałem nikogo, a mam do pomówienia z architektem, który podobno w Dołżance się znajduje, dlatego piszę do Ciebie i do Nastasowa, gdzie go czekam, gdzie oprócz mnie i drugiego, jak ja, niema nikogo więcej. Sam-

---

[1]) 1833 r.

[2]) „Trąby w Dnieprze", poemat, wyszedł w II tomie „Ziewonii" 1838 r. i następnie w drugiem wydaniu w Strasburgu 1839 r.

Podane powyżej zmiany nie zostały wszystkie w poemacie poczynione; są także małe różnice w tekście obu wydań.

bym przyjechał do Was, gdyby nie znużenie kilkudniowej podróży; nareszcie między nami niema ceremonii ; ten niech zrobi pierwszy krok, komu składniej. Jeżeli niema tego, kogo potrzebuję, donieś mi jak najspieszniej, ma się rozumieć przez oddawcę mego listu. Byłoby nie od rzeczy i nam się zobaczyć.

Całuję cię serdecznie Twój *Seweryn.*

22 stycznia 1834.
Siemieński w Dołżance.

9.

A. Kawiecka do L. Siemieńskiego.

Przepraszam bardzo, że nie odpisałam panu Siemieńskiemu, posyłając Ziewonię, lecz tak byłam w ten czas zatrudniona, że ledwie miałam moment przeczytać list Pana — później odebrałam list z poczty i w nim fl. m. c. 5. — Te dwa egzemplarze mi przysłane (w ogromnym liście arkuszowym) sprzedałam, za które pieniądze tu dołączam fl. m. c. 5.

Mieliśmy tu przez dni kilka pana Seweryna, naszego architekta i jeszcze dwóch ich znajomych; bardzo nam miło i przyjemnie czas ten przeszedł, wspominaliśmy często pana Siemieńskiego. Żałują wszyscy, że pan nie jest z nami. Justynka kazała bardzo podziękować za przysłanie Balzaca obiecanego — mówi, że go tak pięknym znajduje, że nic jeszcze równie zachwycającego nie czytała, i tak jest zazdrosną, że nikomu go czytać nie pozwala. — Z Ułaszkowiec miałyśmy wiadomość, że pan Wincenty [1]) śmiertelnie chorował, doktorowie stawili mu 100 pijawek i krew puszczali, zaledwie go przy życiu utrzymali. — Donoszę panu te smutne wiadomości, wiedząc, że pan Siemieński ma przyjaźń dla pana Wincentego, to go szczerze pożałuje. *Anna Kawiecka.*

12 lutego 1834, Juśkowice.
A Monsieur
Monsieur Lucyan Siemieński à Dołżanka.

10.

S. Goszczyński do A. Bielowskiego. [2])

Odsuwamy się od siebie, kochany Augustynie, coraz dalej. Położenie moje coraz nieprzyjemniejsze, zdaje się nawet, że się nieprędko zobaczymy. Cóż robić ? Nie puszczę się was, póki można ; później — — niech się dzieje wola boża, trzeba będzie uledz na chwilę pędowi okoliczności, a później będzie nam znowu dobrze. Tymczasem róbcie sami, co możecie. O, nie odstępujcie od zamiaru połączenia się i spólnego pracowania, bo wierz mi, wielkie macie

---

[1]) Pol.
[2]) List bez daty i miejsca.

obowiązki i ciężki zdacie rachunek, jeśli je zaniechacie. W tych dniach wypadnie mi opuścić te strony na jakiś czas, dlatego chciałbym wiedzieć, jak stoją autorskie wiadome ci interesa? Czy rękopism wyszedł z cenzury? Czy masz nadzieję prędko go odebrać? Czy można zacząć rozsprzedawanie biletów? Czy już nie rozsprzedano cokolwiek? Donieś mi o wszystkiem przez Władysława. Jeżeliście zaczęli sprzedawać, daj kilkanaście biletów Władysławowi dla niego i dla Siemieńskiego, poślij Henrykowi [1]) i, jeśli można, Grabowskiemu. Tylko zmiłuj się, porządnie trzymaj kontrolę i, kto je bierze, niech także ma zapisane, komu dał jaki, ażebyś dokładną miał wiadomość o prenumeratorach i w przypadku wiedział, gdzie którego szukać. Zacząwszy zbierać przedpłatę, zbierajcie prędko, a ty odsyłaj pieniądze Władysławowi z Ożydowa; bo nie potrzeba ci przypominać, jak one są mi konieczne, zwłaszcza w teraźniejszym stanie rzeczy.

Ucałuj odemnie Wincentego i powiedz mu, żeby mi nie kazał robić koszul, o których mówiliśmy, bo pieniądze zdadzą się teraz prędzej, niż bielizna, chyba, że już są w robocie. Donieś mi także, co się stalo z pobudką[2]). Niedrukowane wiersze odeślij mi przez Władysława.

Całuję Cię serdecznie Twój *Franciszek.*

A listy pal.

II.

Cztery listy S. Goszczyńskiego do W. Pola

podał **WŁADYSŁAW ANTONIEWICZ.** (Krosno).

1.

Ukończony 28 grudnia 1852 r. „Mohort", ukazał się w obiegu księgarskim pod koniec grudnia 1854 r. i rozchodził się szybko. Nowy nakład, dokonany przy pomocy Eugeniusza hr. Dieduszyckiego, ukazał się w pierwszych dniach lutego 1855 r. Sukces i rozgłos, jaki zyskał „Mohort", pomogły W. Polowi do podźwignięcia się ze smutnego stanu finansowego, w który popadł po otrzymaniu dymisyi wraz z kilku profesorami na uniwersytecie Jagiellońskim. Był on niemniej pobudką do podjęcia nowej pracy i nowych projektów.

„A kiedy już o wszystkiem masz wiedzieć — pisał W. Pol do 15 letniego syna Winc. Hugona, bawiącego w szkołach lwowskich — dnia 8 lutego 1855 r. — to Ci i o tem donoszę, żem począł pisać czyli raczej dyktować księdzu kanonikowi (Scipionowi) nowy poemat „Pacholę hetmańskie"; jest to jakoby dyaryusz

---

[1]) Janko.
[2]) Zbiór pieśni rewolucyjnych.

giermka rycerskiego, który się chował na dworze hetmana Jana Tarnowskiego, rzecz większa od W. Stwosza"..[1])

Pracę tę przerywały poecie reumatyczne bóle lewej nogi w którą był niegdyś ranny — to troska o żonę, której organizm wątły poczęła niszczyć choroba. Pani Kornelia Polowa miała zamiar, po przeprowadzeniu się na nowe mieszkanie przy ulicy Krupniczej, zabrać 8 letniego synka Stanisława, chodzącego w Krakowie „na pensyę do p. Hendla" i letnią porą odwiedzić Lwów

„My tu życie pędzimy jednostajnie, co do dochodów zawsze kłopotliwie, co do przyjemności towarzystwa miłe i swobodne zawsze ktoś jest".[2])

Codziennymi gośćmi byli: Łucyanowie Siemieńscy, Szymon Dutkiewicz, ksiądz kanonik Jan hr. Scipio, dr. Zieleniecki lub dr Brodowicz, którzy radzili poecie arnikę lub wyjazd do kąpiel siarczanych do Swoszowic, a pani Polowej wyjazd do Krynicy.

„...Pan Zieleniecki zadecydował, iż nie wziąwszy tu kilkanaście kąpieli słodowych i nie podratowawszy siły moje, nie mogłabym się w podróż udać... Ja tak podupadłam na zdrowiu, że najmniejsze umartwienie już dla mnie wielkiem i memu zdrowiu szkodzi, sama siebie nie poznaję, już podobno nie przyjdę do sił lepszych, bo do gorszego, nie lepszego idzie. Gdy pomyślę o przyszłości naszej to mnie aż strach bierze, nie chcę Cię smucić, bo Bóg miłosierny pamięta o wszystkich ludziach i o nas nigdy jeszcze nie zapomniał..." Tak pisała p. Polowa do syna Wincentego Hugona 28 maja 1855.

Pol wyjechał 18 czerwca do Swoszowic, a p. Polowa pod wpływem nalegań dra Dietla wyjechała dopiero 26 lipca do Krynicy. Leczenie spóźnione nie przyniosło dodatniego skutku. Powróciła tedy do Krakowa i tu zmarła 28 sierpnia 1855 r.

Los poety był pożałowania godny. Musiał troskać się o chleb codzienny, o wszystko, co życie niesie, co też ujemnie wpłynąć musiało na dalszą twórczość W. Pola. Pewną osłodą w smutku były listy znajomych, którym Pol przesłał egzemplarze „Mohorta."

Do takich listów zaliczamy listy Karola Balińskiego i poniższy list Seweryna Goszczyńskiego. Goszczyńskiego łączyła z Polem przyjaźń od r. 1833, kiedy Goszczyński bawił u J. Ziętkiewicza, wuja Pola, w Mostkach pod Lwowem.

S. Goszczyński do W. Pola.

Zacny i Kochany Bracie Wincenty!

Otrzymałem w tych czasach wiadomości o Tobie i Twój Rapsod o Mohorcie. Dziękuję Ci z serca za ten upominek, ale

---

[1]) Pamiętniczek W. Pola z 1855 r. (drukowany przez p. H. Biegeleisena w „Świecie", Warszawa, 1901); listy niedrukowane W. Pola do syna z 23/1, 8/2, 27/2, 10/3 1855 r.

[2]) List Kornelii Polowej do syna Wincentego z 26/5 1855 r.

przedewszystkiem przyjmij moje bratnie współczucie z powodu straty najboleśniejszej dla człowieka w jego domowej aferze! Nie trudno nie poczuć, jak wielka musi być boleść Twoja po zacnej Twojej żonie, niech Ci ulży to przekonanie, że nie sam tylko nosisz żal po Niej i że zasłużyła sobie na to. Ale święć się wola Boża! A dla zmarłej miejmy to jedno życzenie, by jej Bóg policzył to życie trudów i cierpień, które tu przebyła a miłosierdzie Boże dla Jej ducha niech się zleje w części na Ciebie i na Twoją rodzinę, którzyście przetrwali Ją na tej ziemi i na których leży do spełnienia, co przez Nią mogło być niespełnione — z głębi duszy przesyłam Ci to życzenie, winienem je zmarłej jako chrześcianin, jako ten, którym nieraz doznał Jej dobroci i miłości w spotkaniu się naszem na drodze tej pielgrzymki naszej. Dalekie to już te chwile, ale ich pamięć we mnie wieczna, świeża, wczorajsza...

Wszystko to odświeżyło mi się jeszcze mocniej z otrzymaniem Twojego rapsodu. Nie mogę Ci wypowiedzieć, ile on sprawił mi radości. Winszuję Ci tego utworu — jest prawdziwie mistrzowski, poczęty i wykonany widocznie pod wyższem natchnieniem!

Takie poemata jak Mohort są modlitwą, modlitwą dusz polskich, ludzi działania i podają wzór działania i ton działania w człowieku. Takich dzieł nam potrzeba i potrzeba nam takich ludzi.

Nie powiadam, i niezawodnie zgodzisz się na to, abyśmy nasz czas wparli we formy przeszłości, byli niewolniczymi naśladownikami ojców naszych — nie! ale musimy koniecznie wysnuć , życie nasze z ducha, który ich ożywiał.

Postęp jest prawo Boże, postęp nie zabija ducha, tylko go objawia coraz widoczniej, coraz pełniej. Jest on konieczny w polskiej rycerskości i da się nieraz postrzedz! W mojem przekonaniu już Kościuszko przedstawia nam typ wyższy żołnierza polskiego, żołnierza w postępie na drodze chrześcijańskiej, nie dlatego, że zajmował stanowisko wyższe, ale że miał pole trudniejsze i pokazał na niem cnoty, równie silne, jak były Mohorta, chociaż we formach łagodniejszych. Kościuszko, który przeżył Mohorta, przeciągał można powiedzieć czuwanie jego nad granicami Polski, w służbie mniej widomej światu, nieocenionej przez świat, ale niezmiernie ważnej. Jego życie we Francyi, w Szwajcaryi, cóż było innego, jeżeli nie owo życie na kresach? wprawdzie po za ziemią polską, ale zawsze w dziedzinie ducha polskiego — i na tem stanowisku oddał nam, późniejszym wiekowe usługi. Kiedy inni, czy porywczejsi, czy mniej wymagający a łatwiejsi do ustępstw, z istoty rzeczy dla jej pozorów, walczyli orężem materyalnem o Ojczyznę więcej materyalną, co było na owe czasy ogromną zasługą i ma prawo do naszej cześci i wdzięczności. Kościuszko we walkach trudniejszych a niepokaźnych bił się o Ojczyznę w jej jądrze duchowem, czuwał nad nietykalnością, nad niepokalanością Myśli polskiej, był zarazem żołnierzem i kapłanem Polski. — Jeszcze winniśmy przykład peł-

nienia najtrudniejszych części naszego powołania, obronienia i utrzymania w czystości najwyższej podstawy naszego powołania. Przykład wielkiej wagi, bo widzieliśmy na nieszczęście, że waleczność i poświęcenie się na polu bitwy z szablą lub karabinem, nie zawsze szły w parze z czystością ducha polskiego we walczącym.

Zboczenie moje do Kościuszki pokazuje Ci tylko moje stanowisko zapatrywania się na rycerskość Polaka dla naszych czasów, nie ubliża bynajmniej takiemu typowi jak Mohort. Jest on dla mnie Polakiem, na swój czas doskonałym, jest koniecznym w prawdziwem życiu Polski a więc mającym swoją wartość wieczną. Jest takim typem, jakie znajdziemy może, kierowani wyższem natchnieniem w epoce Legionów i powstania Listopadowego a może nawet i w naszych ruchach ostatnich drobnych jako ogół, niedojrzałych, bezładnych, niebłogosławionych, ale które dla pojedyńczych mogły otwierać pole niemałej zasługi, to jest postępu, o ile były polem szczerego i czystego poświęcenia się w duchu ojczystym; znajdziemy je najpewniej w naszym obecnym obozie narodowym, chociaż rozbrojonym, rozprzężonym, ale odznaczonym nad inne ludy chorągwią Chrystusową od chwili, kiedy postawiono Polsce w całej wysokości religijnej Jej powołanie, kiedy zatknięto w imię Chrystusa sztandar Chrystusa na sercach Polski, jako ludu Bożego, otwierającego światu nową epokę chrześcijaństwa wyższego a więc Polski doskonalszej, niż była dotąd, doskonalszej życiem Polaka prywatnem i publicznem na wzór życia Chrystusowego na ziemi.

Wszystko to, powtarzam, pomaga mi uczuć tem mocniej wartość i pożyteczność Twojego rapsodu. Niech Cię Bóg wynagrodzi za to natchnieniem jeszcze wyższem! Wybacz, że się tak rozpisałem. Wina Mohorta, że mię rozbudził, jak pobudka. Zresztą cóż mamy dziś lepszego robić, jeżeli nie o podobnych rzeczach rozmawiać, porozumiewać się w tych rozmowach, wiązać nowe stosunki, wzmacniać dawne, takie n. p. jak nasze z Tobą, mój zacny Bracie i Kolego, aby jak najrychlej ujrzeć się pod błogosławieństwem Bożem w kupie ściśnionej i znowu pełnej tymi, którzy kiedyś szli razem.

Czas drogi, rok po roku, dzień po dniu, jak strzał po strzale wyrywa nam kogoś, przerzadza stare nasze szeregi, otóż w tych dniach ponieśliśmy ogromną stratę w Mickiewiczu. Zapewne już Was ta wieść doszła. W tej chwili bez dokładnych szczegółów o jego chwilach ostatnich nie mogę Ci więcej powiedzieć, czujemy tylko wszyscy, że miejsce jego niełatwo może być zastąpione. Najsmutniejsza, że upadł wtedy właśnie, kiedy mógł był najwięcej robić dla dobra swojego i drugich.

Ale może to nie ostatnie porozumienie się nasze. Ja przynajmniej pragnę, aby nie było ostatnie i proszę Cię przy pierwszej sposobności obdarz mię kilku słowami o Twojem zdrowiu i położeniu, daj mi także wieść o dawnych a wspólnych nam przyjaciołach.

Niech Cię Bóg pociesza i ukrzepia na siłach ciała i ducha. We mnie znajdziesz zawsze szacunek i miłość jak dotąd.

Twój brat i sługa

Seweryn Goszczyński

12 grudnia 1855, Paryż.

2.

W. Pol przeżył chwile tryumfów wiedeńskich z 1857 r. i lubelsko-warszawskich z 1858 r., przecierpiał zgon matki (15 kwietnia 1857), przetrzymał bolesne pociski „prokuratora narodu“ Kornela Ujejskiego i stworzył wiele nowych prac.

Lecz twórczość W. Pola niebawem skończyć się miała. Dr. Ł. Rydel dokonał 20 maja 1868 r. operacyi katarakty ocznej, na którą cierpiał poeta. Operacya się udała, lecz porażenie nerwu wzrokowego stało sie przyczyną ociemnienia Pola. „Okiem i ręką“ dla poety była córka Zofia[1]) lub syn Wincenty Hugo, który po ukończeniu nniwersytetu w Brukseli powrócił do kraju. Pol, aby mieć byt znośny, dyktował więc „wspomnienia“ swoje z lat niedalekich a sercu polskiemu drogich. Pragnął wydać antologię poetów współczesnych — prosił więc znajomych o nadsyłanie utworów do zamierzonego zbioru. Goszczyński, przebudzony z ekstazy religijnej i z dumań nad „Posłaniem do Polski“ odpowiedział W. Polowi na wezwanie poniższym listem:

S. Goszczyński do W. Pola.

Drogi Wincenty!

Najmilszą dla mnie nagrodą trudów mojego życia są uczucia braterskie takiego serca jak Twoje, tak je też przyjmuję. — Miłość i szacunek należą Ci się ode mnie; miałeś je zawsze, — pomimo przerwy tylu lat w naszym stosunku bliższym — i mieć je zawsze będziesz: tego bądź pewnym.

Dzisiaj łączy sie do nich szczere ubolewanie nad bolesnym ciosem, którym jesteś dotknięty przez utratę wzroku. Gdybym miał słowa skutecznego pocieszenia, byłbym Ci je oddawna przesłał, ale w mojem przekonaniu słowa ludzkie są tu bezsilne i niema nic, coby złagodziło ból takiego ciosu, chyba poczucia tej jednej prawdy, dotykalnej dla mnie, że we wszystkiem, co spotyka człowieka, jest miłość Boża, którą wszelkiemi środkami prostuje drogę jego ku sobie, drogę postępu, zbawienia wiecznego — o ile je człowiek przyjmuje z tą wiarą. Uznanie i przyjęcie tego jest zapewne trudne, prawie niepodobne człowiekowi związanemu więcej z ziemią jak z niebem, ale łatwo pojętne pragnącemu być prawdziwym chrześcianinem, a za takiego mam Ciebie, i dla tego spodziewam się, że znajdziesz sam w sobie więcej pociechy niż Ci jej ludzie dać mogą.

---

[1]) Do dziś dnia żyjąca pani Podoska.

Co się tyczy twego żądania, abym dał coś z moich poezyi do Zbioru, którego ogłoszeniem zajmujesz się, będę się starał uczynić zadość. Nie przyrzekam nic z pewnością, bo nie mam nic gotowego, ale spodziewam się zdobyć się na cokolwiek.

Twój list zastał mię właśnie śród pracy nad poezyą dosyć obszerną, która w tych dniach drukować się pocznie w Paryżu, co mi nie dozwalało zatrudnić się czem innem. Wszakże, powtarzam mam nadzieję, że mi się uda wykończyć cokolwiek dla Ciebie przed Świętami.

Piszę tych słów kilka przez Pana Witołda Bochenka, z którego odjazdu korzystam dla przesłania ich Tobie z najczulszém pozdrowieniem. Racz je przyjąć jak od

Brata i przyjaciela

Seweryn Goszczyński.

12 grudnia 1868 r.
14 Avenue du Bel-Air du Trone, Paryż.

3.

Dnia 28 marca 1869 r. bawiący w Paryżu J. Janicki wręczył Goszczyńskiemu list W. Pola wraz z wierszem, napisanym na skon Zygmunta Krasińskiego, a zarazem z przypomnieniem obietnicy napisania utworu do antologii polowskiej. Autor „Króla zamczyska“, zajęty wydaniem „Nocy Belwederskiej“, nie miał czasu na spełnienie życzeń Pola, o czem świadczą oba listy:

S. Goszczyński do W. Pola.

Mój drogi Wincenty!

Pan Janicki wręczył mi Twój list z powodu mojego Posłania, w sam dzień Wielkiejnocy. Jeżeli odpowiedź nań zwlokłem tak długo, to jedynie przez chęć uczynienia zadość Twojemu wezwaniu i przyłączeniu do niej czegośkolwiek, coby mogło znaleźć miejsce w Twoim Albumie. Jak na przekorę mam jedno zobowiązanie, z którego jak najrychlej muszę się otrząść, a które dotąd nie dozwoliło mi zająć się wyłącznie pracą dla Ciebie. Od zobowiązania tego będę za kilka dni wolny, a wtedy bez przeszkody i przerwy zajmę się przesyłką dla Ciebie.

Licz na to z całą pewnością.

A teraz podziękowanie z głębi duszy za Twoich słów kilka co się tyczy mojego Posłania. Nie dziękowałbym za pochwały, ale winienem podziękować za przyjęcie, jakie moja praca znalazła u Ciebie. Jest to uczczenie tych prawd, dla których i ja mam cześć największą, jest to zespolenie się w Imię Chrystusa, jest to braterstwo w duchu Chrystusowym, jedyne prawdziwe braterstwo, a do którego cała ludzkość powołana a przed wszystkimi dzisiaj nasz naród.

Tem czuciem braterskiem, przesłanem mi we wylaniu się tak szczerém, tak głębokiem, pokrzepiłeś mię, jak żebyś podstawił swoje ramię pod krzyż mojego ducha. Dla tego winienem Ci podziękowanie i składam je w tych kilku słowach, o ile słowa mogą świadczyć o tem, co jest po za sferą mowy ludzkiej.

Wielką prawdę mówisz, że skutek z mojej pracy Bogu tylko może być wiadomy i Jemu powinien być zostawiony. Człowiek w swojem posłannictwie wyższém, w podawaniu prawdy Bożej nie jest sędzią swoich bliźnich, skoro idzie rzecz między człowiekiem a Bogiem, ani siepaczem nieba — jest tylko Posłańcem świata wyższego i ma jedyny obowiązek podać wiernie, choćby z ofiarą życia choćby z największemi cierpieniami ducha, co mu było zwierzone dla bliźnich. Wszelka troska po za têm jest kłopot marny. A uczy nas tego między innemi przykład rolnika, który rzuca ziarno na ziemię i resztę opiece Boga powierza! Jeżeli się kłopoce losem ziarna, to napróżno, bo największy jego kłopot nie zmieni losu ziarnka, jeżeli Bóg nie zachowa go w swojej opiece.

Jakakolwiek jest wartość pracy, w której podałem prawdy wyższe, to jedno świadectwo mogę sobie oddać, że podałem to innym, czemu sam już nie wierzę, ale co dla mnie jest prawdą matematyczną, co mnie samego leczy, wzmacnia, żywi, czem ja sam żyję.

A dziś jedno z gorących moich pragnień jest: służyć i dalej narodowi w podobny sposób, o ile Bóg będzie mi otwierał pole, a ludzie nie będą je zamykać.

Otrzymałem także Twój wiersz na śmierć Zygmunta Krasińskiego, pełny głębokiego czucia i wzniosłych pomysłów. Dziękuję za ten drogi dla mnie upominek. W zamian przeszlę Ci egzemplarz mojego Posłania, wyłącznie dla Ciebie przeznaczony.

Przyłączam do tego listu poezyę, którą spodziewam się znajdziesz godną pomieszczenia w Twoim Albumie. Autorem jej jest Teodor Rutkowski, Ukrainiec jak ja, a jeden z czujących i pojmujących główny nasz cel i drogę do niego, jak ja ten cel i tą drogę czuję i pojmuję.

Przyjmij na zakończenie mój najszczérszy uścisk bratni.

Życzę Ci wszelkiego dobra i wszelkich pociech pod Twoim krzyżem

Seweryn Goszczyński.

1 maja 1869.

Paryż, 14 Avenue du Bel-Air du Trone.

4.

S. Goszczyński do W. Pola.

Mój drogi Wincenty!

Nie mogę Ci wyrazić jak mi i przykro i wstydno, że dotychczas nie mogłem się uiścić z danej Ci obietnicy przyłożenia się

i moją cząstką do Zbioru poezyi, którym się zajmujesz. Bóg jeden widzi z jakiemi przeszkodami mam do walczenia — ale opowiedzieć to niepodobna, i Tobie napomykam tylko o tém w przekonaniu że, świadomy różnych kolei żywota, łatwo wejdziesz w moje położenie, wyczujesz cobym miał do powiedzenia i uniewinnisz mię przed sobą, przynajmniéj w jakiejś części. Odzywam się tą razą głównie, aby się dowiedzieć co się dzieje z Twoim zbiorem? czy się już drukuje? czy mam jeszcze porę do wynagrodzenia mojej zwłoki i do przesłania obiecanej pracy?

Zechciej mię łaskawie zawiadomić o tem — a natychmiast cały oddam się tej robocie. W tej chwili jestem czém innėm zajęty i dla ważnych w mojém położeniu materyalném powodów, ale spodziewam się, że nim nadejdzie Twoja odpowiedź, ułatwię się z tem zatrudnieniem i będę miał wolny umysł i wolne ręce do zadość uczynienia mojej obietnicy.

Przy tej sposobności pożądaną będzie mi rzeczą dowiedzieć się o Twojém zdrowiu i powodzeniu.

W tych dniach opuszcza drukarnię opowiedziana przezemnie „Noc 29-o Listopada“. Właśnie to pismo zabrało mi wiele czasu. Wydawcą jego jest Władysław Mickiewicz. Wchodzi ono do Zbioru jego Biblioteki taniej.

Cóż mówisz o odkryciu szczątków Kazimierza W.? Ważny to wypadek. Silnie mnie on uderzył, bo wiém, że w Bożym świecie niéma przypadków, a wszystko jest pod kierunkiem Boga, dla budzenia i rozruszania ludzi. Nie jest-że to głos wieków przeszłości naszej, który przemawia z grobów szczątkami wielkich ludzi do obecności! Dałby Bóg, abyśmy wydobyli tajemnicze słowo tego wypadku i skorzystali z niego!

Czekam z upragnieniem słowa Twojej odpowiedzi, a temczasem pozdrawiam Cię uczuciami najszczérszego braterstwa

Seweryn Goszczyński.

19, lipca 1869 r.

Paryż, Avenue du Bel-Air du Trone,

RECENZYE I SPRAWOZDANIA.

Biernata z Lublina Ezop wydał Ign. Chrzanowski. Z podobiznami karty tytułowej, 1 stronicy tekstu i 30 drzeworytów. (Biblioteka pisarzów polskich, nr. 55). Kraków, Nakładem Akademii Umiejętności, 1910, 8°, s. XXI i 541. — Dyalog Palinura z Charonem, utwór Pseudo-Lukiana w tłumaczeniu **Biernata z Lublina** wydał i przedmową poprzedził Franciszek Pułaski (Collectanea Biblioteki ord. hr. Krasińskich, nr. 2). Warszawa, 1909, 8°, s. XLII i 27.

Ze zmierzchu zupełnego zapomnienia, z mgieł, w jakich się gubią początki piśmiennictwa narodowego, wybija się, coraz silniejniejszym oblewana blaskiem, ciekawa, niezwykła postać energicznego, światłego mieszczanina, miłośnika ojczyzny i słowa ojczystego, w czasach, gdy partykularyzm, stanowy czy cechowy, nie doceniał rzeczy pospolitej a zaślepione w łacinie szkolarstwo językiem narodowym, jako złem nieuchronnem, pogardzało. O tym Biernacie z Lublina nic nie wiedziano u nas; zagranica pamiętała o nim, jako o świadku prawdy chrześcijańskiej wedle listu jego własnego do księgarza (bibliopoli) Szymona (krakowskiego) (około 1515 r.), wydrukowanego przez protestantów. Dopiero w zeszłym wieku, zasługą Muczkowskiego, sprawdzono go jako tłumacza Ezopa polskiego; studyum o tym Ezopie ogłosiłem w Rozprawach Filologicznych, tom 34, r. 1902, str. 163—235 i tam sprawdziłem dalsze autorstwo Biernata; przyznałem mu mianowicie wydane z jego papierów, acz uporządkowane i przerobione nieco przez Marcina Siennika, Lekarstwa Doświadczone, druk Łazarza Andrysowica z r. 1564, i Sprawę a lekarstwa końskie (wydrukowane już r. 1532 osobno, przedrukowane przez dr. Andrzeja Berezowskiego w Bibliotece Pisarzów Polskich r. 1905). W r. 1906 przybyło najważniejsze świadectwo, spółczesne niemal, odsłaniające odrazu całe znaczenie pracy Biernatowej, świadectwo Jana Maleckiego (Sądczanina) z r. 1547, o tem, że Hortulus Animae (modlitewnik średniowieczny, nadzwyczaj popularny)

a Ezopa (na wiersze), i wiele innych rzeczy na język polski przełożył pierwszy książeczek polskich autor, mąż uczony a w polszczyźnie biegły, Biernat z Lublina, pisarz jw. pana Jana Pileckiego; było to zasługą badaczy polskich w archiwum królewskiem, pp. dr Erzepkiego i ks. Warmińskiego, którego dotkliwą stratę świeżo opłakiwaliśmy. Do znanych trzech dziełek Biernatowych przybyło całkiem niespodzianie czwarte, wydobyte w strzępach z okładek, resztka przeróbki Dyalogu Pseudo-Lucyanowego a niebawem i przedruk Ezopa; jest zaś nadzieja, że i z owym przekładem Hortulusa rychło bliżej się zapoznamy.

Co przydały ostatnie publikacye do wiedzy naszej o osobistości samej? Wiemy o niej to, co się z Lekarstw Doświadczonych wyczytać dało; wedle nich usuwamy wzmiankę Muczkowskiego, co Biernata naszego w r. 1501 w letniem półroczu na uniwersytet krakowski wpisywał, jako pomieszanie z innym Biernatem z Lublina. Wydawca Ezopa zaprzeczył, jakoby nasz Biernat był autorem Lekarstw (i Sprawy końskiej); „nagromadzone przez Brücknera dowody (o identyczności Biernata, s e k r e t a r z a Pileckich, a autora Lekarstw, l e k a r z a Pileckich), nie wytrzymują krytyki, a w każdym razie są niedostateczne... zresztą wszystkie dowody muszą się rozwiać wobec f a k t u, że kiedy Biernat z Lublina pisał swój list do Szymona 1515 r. (ogłoszony przez Flacyusza), autor Lekarstw dawno już nie żył“. Wiemy bowiem od Siennika, że ów autor odumarł dzieło swoje niedokończonem, że przechowali je Pileccy, ciesząc się niem jako klejnotem osobliwym przez sześćdziesiąt lat, dodaje Andrysowic w przedmowie z r. 1564 t. z. że w r. 1504 lub około tego roku ów lekarz Pileckich umarł, gdy ich sekretarz, t. j. Biernat z Lublina, żył jeszcze co najmniej lat 18, skoro przemowę na Ezopa pisał w r. 1522.

Czy ta argumentacya wytrzyma jednak krytykę? Skąd bowiem czerpali wiadomości o autorze Lekarstw Siennik i Andrysowic? Tylko z tego samego źródła, co i my, z samego tekstu Lekarstw; nic więcej ponad to nie mieli ani znali. Z drugich czy trzecich rąk doszedł rękopis Lekarstw rąk Siennika czy Andrysowica (nie wprost od Pileckich); przecież nie wiedzą oni nawet nazwiska owego lekarza i domyślają się o nim tylko tego, co on sam o sobie pod r. 1501 zapisał; frazes o przechowywaniu jego pracy przez lat 60 wobec daty wydania w r. 1564 naturalnie niczego nie dowodzi. Usuwamy więc słowa Siennika i Andrysowica jako nie przynoszące żadnego nowego szczegółu; że lekarz Pileckich już około r. 1504 umarł, na to nie dostarczają one żadnego dowodu.

Lecz cóż spowodowało do utożsamienia lekarza i pisarza Pileckich? Język, tensam w Lekarstwach co i w Ezopie; dalej dziwny traf, żeby na dworze (wcale już nie magnackim), pileckim (nad Nidą), spółcześnie dwie rozmaite osobistości miały tak gorąco zapłonąć miłością ku językowi narodowemu; zgóry przemawia wszelkie prawdopodobieństwo za tem, że tu o jednej tylko

osobie mowa; nie byłoż jeszcze na początku wieku XVI tylu miłośników języka ojczystego, żeby ni stąd ni zowąd na jednym dworze pańskim odrazu aż dwu się zjawiło? Co języka dotyczy, dowodu właściwego przeprowadzić nie mogę. Zapomniał jednak wydawca Ezopa przytoczyć słów Siennikowych o języku Lekarstw; wedle nich było w nim „siła rzeczy słowieńskiej, serbskiej (!!) i grubo mazowieckiej albo staropolskiej“, że go „dzisiejszych czasów dziesiąty przynajmniej wyrozumieć nie umiał“, że, dopiero Siennik sam język Lekarstw „polszczyzną opatrywać“ musiał! Toż samo możnaby o języku Ezopa i Palinura powiedzieć: słowa ich, jak np. koga, czetnik, widek i i. są również „słowieńskie, serbskie i grubo mazowieckie albo staropolskie“ i żaden pisarz, ani Bielski ani Rej, ich nie używał; więc jeżeli w Ezopie i Palinurze, gdzie sam temat podobnych wyrażeń nie wymagał, są takie archaizmy i idyotyzmy, o wieleż więcej musiało ich być w Lekarstwach, gdzie temat najrozmaitszych nazw fachowych (roślinnych i i.) wymagał! Wykazać ich nie mogę, bo je wszystkie Siennik usunął, ale że były, dowodzą właśnie słowa Siennikowe. Obstaję więc dziś jeszcze z większą pewnością niż dawniej przy twierdzeniu, że „lekarz Pileckich“ (Andrysowica) a „*scriba* Pileckich“ (Malecyusza i Flacyusza), to jedna i tasama osoba. Przypuszczam, że urodził się np. Biernat w Lublinie między r. 1460 a 1470 (skoro r. 1501 przewiódł przeciw innym lekarzom radę własną); że z niejednego pieca chleb jadł, zanim się na służbie u Pileckich ustatkował, doświadczywszy sam na sobie, że odmieniać służbę znaczy tylko „iść z płachty w rogożą“ (z deszczu pod rynwę); umarł zaś po r. 1515; dopiero po jego śmierci (z wyjątkiem chyba przekładu Hortulusa), dostawały się jego przeróbki do druku; najpierw Ezop (1522 r., jeżeli Pudłowski z druku cytował wiersze przedmowy do Jana III Pileckiego), potym Palinur i inne. Jakie inne? Istnienie ich stwierdza Malecyusz i nie trudno się domyślić, że między drukami polskimi, wymienianymi przed r. 1550 po inwentarzach księgarskich, będzie niejeden Biernatów, n. p. z owych dyalogów Mors cum sutore itd., Vita curiotarum (dworski żywot) itd., ale wobec braku egzemplarzy albo jakichś bliższych szczegółów autentycznych nie warto mi czczych domysłów płodzić.

Czy Biernat był graduowanym lekarzem? Nie wiem i wątpię nawet o tem nieco. Jak Siennik, nie będąc medykiem z fachu, Lekarstwa przerabiał i wydawał, podobnie mógł *scriba* Pileckich i bez doktoratu *in medicina* przepisy lekarskie zbierać i tłumaczyć a choćby i praktykować (poza Krakowem). Siennik powtarza niby Biernata; mieszczanin, gorliwy o język polski, tłumaczy rzeczy medyczne, ascetyczne, beletrystyczne, pracując w tych samych działach, co i Biernat; różnica między nim zaś ta, że Siennik, bez talentu, energii, inicyatywy, kroczył tylko po wytartych torach za wszystkimi innymi, gdy Biernat pierwszy lody łamał i Bielskim czy Rejom wzory zostawiał a drogę ułatwiał; że celował ich wszystkich myślą

niezawisłą, że w rzeczach religijnych i politycznych do skrajności dochodził i w pracach swoich duchownym, mianowicie zakonnikom i panom nielitościwie prawdę na oczy wyrzucał.

Jako człowiek średniowieczny nie wolen i Biernat od dziwnych sprzeczności. Potępia wymysły ludzkie (pod wpływem husyckim), każe się tylko ewangelii trzymać a równocześnie tłumaczy Hortulus, najsprośniejszą średniowieczczyznę, której się Jezuici już w XVI wieku żenowali a z której protestanci dowoli szydzili; jako lekarz pogardza gusłami a mimoto powtarza przepisy, co od guseł bynajmniej nie odbiegały. Jednolita natomiast jest jego miłość języka i rodu ojczystego („chciałem ci Polak Polakom pomóc i poradzić" — mówi lekarz), a awersya ku cudzoziemcom; w wierszach Ezopa i Palinura, chociaż wzory o tem milczały, folgował swoim uczuciom i przestrzegał: „nie radźże się cudzoziemca bądź Węgrzyna albo Niemca", na innem miejscu: „nie miej człowieka cudzego za przyjaciela pewnego", dalej: „barzociem ci źle działają, którzy swoje opuszczają", w Palinurze oskarża panów, co „nabywają sług codzoziemców Moskwy, Tatarów i Niemców". Dalej piecza o rzecz pospolitą i wycieczki przeciw tym, co o własne tylko zyski dbają. Gdy w Ezopie tylko miejcami na panów powstawał, wybrał całego Palinura, jako gwałtowną filipikę na panów-tyranów. Miłuje swobodę, zwoleństwo i biada nad jej utraceniem; ceni najwyżej naukę, mądrość, doświadczenie; jego Karon strofuje Palinura, że „mniema za prawdę to co widzi, jako czynią ludzie prości, którzy nie mają mądrości". Oddaje się w ciszy nauce i wtedy nie jest samotny; czuje się samotnym w tłumie. Lektura jego była wcale rozległa, sięgała aż do Pseudolucyana; on jest jeden z pierwszych w Europie, co Lucyana na język narodowy przekładali. Czy silne jego wycieczki przeciw kobiecie tylko na karb literatury średniowiecznej, antyfeministycznej jak żadna inna, odłożyć należy, czy tu i własne przemawiało doświadczenie, nie kusimy się rozstrzygać.

Jest to więc pierwszy pisarz w narodowym języku, z fizyognomią wydatną, z własnym na świat poglądem a zarazem pierwszy pisarz polski, ojciec literatury polskiej. Nie Rej więc, któremu spółcześni, ani Bielski, który sam sobie zasługę przypisywał, że „się na to pirwej obrał, pisma polskie imprymować" — ludzie XVI wieku byli dziwnie krótkiej pamięci, chronologia była ich stroną najsłabszą i nie trzeba wcale wykładać przechwałki Bielskiego w ten sens, jakoby on jako pierwszy s z l a c h c i c to czynił: fakt, że on to w c z e ś n i e (już w r. 1535) czynił, przesunął mu się na n a j-w c z e ś n i e j. Lecz jak mogli wszyscy tak zupełnie o Biernacie zapomnieć, chociaż polszczyzna jego była wzorowa, we wierszu Rejowej nie ustępowała a tematy, jakie uprawiał, były ciekawe i wdzięczne? Przypuszczam, że Biernat wcale nie dożył druku t. j. lat 1520 i dalszych; że dzieła jego wychodziły z odpisów co bez jego imienia krążyły (oprócz Ezopa). W mniemaniu tem utwierdza

mnie nader wadliwa forma dzieł jego — ani Ezopa, ani Palinura nie mógł on sam w druku dopilnować; oba wyszły z podłych odpisów. I nie można się na to powoływać, że to drukarze z czasem tekst pierwotnej edycyi poprawny popsuli; przy Ezopie uszłoby jeszcze takie przypuszczenie, skoro pół wieku między pierwszem a zachowanem wydaniem (1522—1578) minęło, ale Palinur o czterdzieści lat starszy (około 1535 r.) a podobnie zeszpecony'. Więc rozprószyła się obfita spuścizna literacka po Biernacie: część w latach dwudziestych, część aż 1564 r. do druku się dostała.

Przechodzimy do obu wydań. E z o p, główna zasługa literacka Biernata, doczekał się wydania, jakiem się żadne dawne dzieło u nas poszczycić się nie może. Zadowalają się nasi wydawcy starannym przedrukiem, z dodaniem jak najkrótszego słowniczka i niezbędnych uwag literacko-bibliograficznych; prof. C h r z a n o w s k i postąpił inaczej. Jego Ezop jest niby skarbcem całego dawnego bajkopisarstwa; pod każdą bajką wymieniono bowiem, prócz źródła samego, wszelkie dalsze jej opracowania, u Reja, W. Potockiego itd. aż do bajkopisarzy XVIII w. i do Mickiewicza a w osobnym dodatku (str. 393—541) wybrano 24 bajek (tematów) i przytoczono wszelkie ich opracowania u Kniaźnina itd., począwszy od Ezopa prozaicznego (którego również koniecznie całego wydać należy). Dalej obejmują „nasze słowniczki“ najwyżej po kilka ćwiartek i zbywamy je jak najkrócej. Słowniczek Ezopowy, str. 333—382, przysłużył się walnie przyszłemu słownikowi staropolskiemu, bo nie tylko wyczerpał wszystko ciekawsze, ale dodawał dla ustalenia sensu odnośny tekst łaciński, tak że kontrolujemy wygodnie pracę Biernatową. Nadzwyczajną staranność łożył wydawca na poprawność przedruku, zachował wszelkie właściwości oryginału (n. p. rozróżnia za nim s z c z e ś c i e i s z c z ę ś c i e itd.) a dołączył, oprócz podobizn paru kart, 29 rycin osobno, powtarzających drzeworyty oryginału w ich rozmiarach (dla tych rozmiarów nie można ich było dać w tekście samym); historyk drzeworytnictwa polskiego odnajdzie cały materyał wygodnie zestawiony. Dodano dwa spisy bajek (str. 383—392), jeden wedle tytułów oryginalnych (w których Biernat zużył tak szczęśliwie przysłownictwo polskie, pierwszy, na sto lat przed Rysińskim — już sam ten trafny pomysł liczy się Biernatowi wielką zasługą: znaczenie niejednego przysłowia wyłuszcza nam bajka dodana!); drugi spis od wydawcy, wedle treści bajek. Tak doczekało się nakoniec dzieło obszerne (około 10.000 ośmiozgłoskowców), stojące na samej rozgrani średniowiecza a czasów nowych, ciekawe dla języka, myśli i treści, przynoszące zaszczyt literaturze polskiej (pierwsze jej większe dzieło poetyckie, wyprzedzające Rejowe o kilka dziesiątków lat), wzorowego ze wszech miar wydania.

Parę uwag krytycznych. Wydawca pozostawił tekst 1578 r niezmienionym, nie poprawiał np. przydługich wierszy (liczących zamiast 8, 11—12 zgłosek), co najczęściej bez trudności usku-

tecznić można, chociaż czasem wątpliwem zostaje; np. zaraz w w. 11 i 12 Krotkiej szyje długoczelusty Czarnozęby z wielkimi usty, może należy czytać Krotkoszyj... Czarnoząb itd. Poprawiał jednak widoczne błędy, umieszczając lekcyę pierwodruku pod tekstem, np. str. 120 w. 4 Dopuściż zamiast Dopuścić, ale tamże w. 9 i 10 zostawił, chociaż są widocznie pomylone; morał brzmi bowiem tak: W tychciem rzeczach niemasz zgody Które są równej urody, podczas gdy zgody niema tylko w rzeczach Co są nierównej urody. Podobny błąd na str. 115: kuropatwę kury prześladują, ona duma: Alboć mię przeto gabają Iż mię sobie równą mają, alеż równego się nie gaba, więc czytałbym Iż sobie nierówną mają (ciekawy zwrot tej bajki, kury sobie drą kaptury w. 14, dowodzi, że ulubione u nas wywodzenie kapturów od wyrazu prawnego kaptura do bajek należy). Na str. 160, w. 14: Bo cześć z mnóstwa nie pochodzi, Prawać sama cnota rodzi, należy czytać prawąć (t. j. cześć). W bajce 45 (145, w. 17) odpadło w druku ma (czytaj nie ma), czy nie należy tamże w w. 6 zamiast: Wrona gdy to usłyszała I swą żadność na się znała Cudnych ptaków pierza nabyła A w, ono sie przyprawiła czytać: Wrona itd. Iż swą itd. Cudnych ptaków piór nabyła (bo wybierała pióra pojedyńczo od sojki itd.) A w one itd. Na str. 284, w. 7: małpa nie zbierała (orzechów) do pudła, lecz zbieżała (z drzewa) do pudła. Na str. 324 Mieniłyć się zmysłowie i Niemiłyć się z., omyłką druku przełożono fałszywie. Czy nie należy na str. 219, w. 9 zamiast: Owa kmieć barzo podbieżał, czytać: barz podubożał? Na str. 191, w. 18 interpunkcya mylna, nie: Rzekła matka: „Barzo mądrze itd., lecz: Rzekła matka barzo mądrze itd. Zwracam uwagę na zwrot figle lejesz, potwierdzający mój domysł o pochodzeniu figlów (z figur).

W słowniczku można niejedno poprawić, np. niema rzeczownika soczeń delator (taki nazywał się sok), należy rozumieć *verbale neutrum*: tam soczenie obnażono = tam denuncyacyę odkryto; stradny pies nie oznacza psa „niezdatnego do polowania", lecz jest nędzny, biedny (stradnik = nędznik); niema cierzń = cierń, jest tylko tarn = cierń (cały krzak i jeden tarnek) i cierznie (zbiorowe) itd. Nie należy zapominać, że przed nami tekst miejscami zmodernizowany, więc np. nie Biernat już używał musiał musiały, lecz to Szarfenberger tak pisał; rym bowiem dowodzi, że Biernat pisał tylko musił, musiły, np. str. 105, w. 35 zamiast: Orlęta na ziemię musiały Jeszcze były nie zasuszyły czytaj: Orlęta na ziem musiły Jeszcze bo nie zasuszyły. Tekst Biernata pierwotny brzmiał nieraz wcale odmiennie, np. zaraz pierwszą bajkę (str. 101) czytamy u Szarfenbergera tak: Orzeł niegdy lecąc z wysoka, Wziął z stada małego baranka; Użrzawszy to kruk, wnet się wzbudził, Na starego się barana rzucił... Uwadziwszy się

na nim ostał... A pierze mu z skrzydeł obrzezał; Biernat zaś pisał może tak: Orzeł wziął, lecąc z wysoka, Z stada małego baranka, Użrzaw to kruk hnet się wzbudził Na stary się baran rzucił... Uwadziw się na nim ostał... A pierze mu z skrzydł obrzazał itd. Na podobnym tekście można słuchaczów dobrze w starszą polszczyznę zaprawiać.

Palinura, z którego się nam 712 wierszy w ułomku z dawnej okładki zostało, nie możemy naturalnie z Ezopem równać co do rozmiarów; może nawet być, że po w. 712 nie wiele co brakuje, bo słowa Karona zmierzają może ku końcowi już, opuszczając przykłady oryginału z walki olbrzymów i wojny trojańskiej. Wydawca wszystko starannie uwzględnił; zwrócę chyba uwagę, że ze słownictwa Ezopowego powtarza się w Palinurze (oprócz wielu innych, wymienionych przez p. Pułaskiego słów) stydzą nie w znaczeniu sromają, lecz wzdrygają, boją; dalej odelżyć i i., jak to ze słowniczka Ezopowego łatwo skonstatować: tekst sam można tu i ówdzie poprawić, np. w. 240 Jedny zbite (nie zbyte); 247 A stądże (nie stąd, że); teskności 291 (nie tęskności); 367 A drudzy (nie drużby); 420 Nie chce sobie mieć sąsiada (zamiast za sąsiada); 498 Dostojen jest sławy prawej (zamiast Dostojnej); 505 w swej żądości (zamiast żądliwości); 533 i 534 czytaj: Równi bo nie cirpią tego Łatwie im doglądnąć swego (zamiast: Równi ludzie... Łatwie mogą); czy w w. 615 nie należy czytać zamiast swoim czasem np. trzasem (trzęsem, z czeskiego, jak są i inne czechizmy, np. bażni, bojażni itd.). Biernat wszystkie nosówki pisał przez *am* lub *ą*, dlatego szczególniej w Palinurze tylokrotne błędne *ą* zamiast *ę*, np. w w. 579 i nn. zamiast wiodą, sprawią, patrzą, czytaj: wiodę, sprawię, patrzę, 604 błądów (zamiast błędów); inne wydawca poprawił. Żałujemy, że wydawca nie dodał do fragmentów polskich, tekstu łacińskiego; niema go przecież i po wielkich bibliotekach (np. w berlińskiej) a przydałby się dla porównania znakomicie.

Kiedy już mowa o literaturze „staropolskiej“, dodam, że w Pradze, w taniem wydawnictwie (Pestra Knihovna zábavy a kultury), wydał świeżo nieznużony pracownik, Dr Čeněk Zíbrt, jako jej nr. 13 i 14, „Panna, Ženitba, Žena ve staročeské úpravě polských skladeb Reje z Naglovic a Bart. Paprockého“, część pierwsza, str 102 małej ósemki. We wstępie bardzo ciekawym zestawił wydawca zdania i myśli autorów staroczeskich o kobiecie i miłości z najrzadszych druków (str. 1—61); potem przedrukował ów unikat staroczeski, zawierający tłumaczenie czy przeróbkę Rejowego Wyrwasa; tekst ten znamy z kilku powtórzeń (w warszawskiej publikacyi jubileuszowej Rejowej, w mojej książce o Reju itd.), więc nie rozszerzam się o nim. Nadmienię tylko, że Zíbrt, najlepszy tej literatury znawca oświadcza się za Tobiaszem Murzeninem z Lito-

myśla, nie za Szymonem Łomnickim, jako za autorem tej przeróbki; Murzenin i inne podobne pisemka antyfeministyczne przerabiał i wydawał, wylicza je Zíbrt str. 67. Egzemplarz czeski nie ma karty pierwszej (tytułowej) i ostatniej; po Wyrwasie następuje w nim „Rozmowa dwu panien, Miłości a Krasy (Piękności), która z nich większą moc ma“ (u Zibrta str. 95—102), ale to już nie jest przeróbka z polskiego, ile sądzę — niema ani jednego na to dowodu językowego; rozmowę obu panien, gdzie Krasa Miłości bardzo zwymyślała, kończy autor wezwaniem do pomocy przeciw Krasie, co się na bogatych rada zapatrzyła a Miłości „pesky“ nałajała. Druga część przyniesie unikaty Paprockiego w czeskiej przeróbce. Są to bardzo ciekawe okazy zmienionych z gruntu stosunków; literatura polska przez całe przeszłe wieki tak od czeskiej zawisła (por. jeszcze u Biernata Lubelczyka nierzadkie czechizmy) zaczyna teraz na nią sama oddziaływać i mnożą się przekłady czeskie z polskiego. Jeden z najdawniejszych, to tłumaczenie Tragedyi Żebraczej (r. 1552 nowo uczynionej), co nam w oryginale polskim (oprócz kilku kart początkowych) zaginęła, tak że ją nam z czeskiego przekładu odtworzyć wypada. Przekład ten wyszedł najpierw r. 1573 i wydał go ze zdefektowanego unikatu muzealnego (bez karty tytułowej) J. Jireczek w Pradze 1878 r. pod dowolnym tytułem Żebraków z kupcem spór (hádání); ale Czesi wydali jeszcze kilkakrotnie ten przekład, i tak: r. 1608 w Starem Mieście (praskiem) p. t. Komedie neb hra o rozpustilosti žebrakův, a r. 1619 w Litomyślu p. t. Tragedije neb hra žebračí z polské řeči do češtiny přeložená; o stosunkach wzajemnych tych wydań (i do oryginału polskiego), jak je skracano i do otoczenia czeskiego przysposabiano, napisał osobną rozprawę Prof. J. Máchal w Wiestniku Akademii czeskiej 1909 (XVIII), str. 427—433, a świeżo uzupełnił R. Č. tekst Jireczkowy, przedrukowawszy z rudnickiego egzemplarza te stronice, których brak w egzemplarzu muzealnym (Časopis Musea etc. LXXXIV, Praga, 1910, str. 292—294). Takto zachowały nam stare druki czeskie, co w naszych zaginęło: Frantowe Prawa; Wyrwas; Tragedya żebracza; o Paprockim zdam sprawę, skoro wyjdzie druga część zbioru Zíbrta, któremu nasza literatura tyle zobowiązana. Wydał on między innymi w zbiorze p. t. Řády a práva starodávných pijanských cechů a družstev kratochvilných v zemích českých, Praga, 1908 (str. 367) cały szereg tekstów nas blizko obchodzących; zbiór to nadzwyczaj obfity, daje przedruk 61 dziełek, satyr wierszem i prozą, albo w całości albo w wyjątkach. Więc mamy tu pod nr. 42 nasz Statut Jana Dzwonowskiego (z unikatu biblioteki Jagiellońskiej, na str. 287—294) p. t. Českopolský statut Jana Dzwonovského, předpisující mravy Frantovské s návodem, jak souditi bratry cechu Frantovského na začátku věku XVII. Pyszny to okaz staropolskiego sowiżdrzalstwa, od przemowy do czytelnika - kwiczelnika począwszy, z listem wolnym „wszystkim frantom, Marchułtom i młodym figlarzom, Sowizrzałom, rzygulcom ba i starym łgarzom, Łakomskim,

Darmostrawskim, naszej miłej szlachcie, Którzy we złych koszulach a o jednej płachcie, Panom Wytrzęsikuflom“ itd., z artykułami i kryminałami, jeden pocieszniejszy niż drugi. Inne numery tego wydawnictwa nas dotyczące, to 3 (Babin i Szubrawcy); 29 (Nowiny z Czech Zrzęczyckiego r. 1619 o pijaństwie czeskiem); 44 (Pan Rady, Praga 1505, z czego przekład w naszym traktacie Fortuny i Cnoty różność itd. z r. 1524); 47 Bart. Paprockiego, wierszyki czeskie o piwie, winie i pijakach z r. 1597 i 1598 (Nová kratochvile itd., są to najczęściej tłumaczenia z Fraszek Kochanowskiego).

O naszym Marchołcie wspomniał dokładnie Č. Zíbrt w publikacyi akademickiej p. t. Markolt a Nevím v literatuře staročeské, Praga, 1909, str. 264. Wydanie to, jak wszystkie akademickie, bardzo bogato wyposażone, zawiera, obok wyczerpującego studyum o ojczyźnie itd. Marchołta (o polskim mowa na str. 16—20), przedruk rudnickiego egzemplarza (unikatu) Marchołta z r. 1608 a (równolegle z nim dano tekst nowożytny, ludowy) i i., dalej legendy o św. Nemo, łacińskie i czeskie, Nowiny o olbrzymie z dzikiej wyspy itd. z r. 1587 i Pronostyka (przepowiednie kalendarzowe) frantowskie.

Osobno wymieniam najnowsze studya paremiograficzne czeskie. U nas, po wydawnictwie cennem Adalberga (i licznych przyczynkach prof. Krčeka, drukowanych w Ludzie), o nich głucho. Prof. V. Flajšhans wydał najpierw unikat, druk leszczyński (jednoty tamtejszej czeskiej) p. t. Daniele Sinapiuse Neoforum latinoslovenicum z r. 1678 (wydawnictwo akademickie, Praga, 1908, str. VI. i 80 wielkiej 8); Słowak Daniel Horčička, od r. 1673—1682 mistrz szkoły bojanowskiej, za wzorem Knapiusza naszego, wydał ten zbiorek przysłów (Nowy Targ łacińsko-słowieński, na którym się niektóre do gospodarstwa słowieńskiego potrzebne towary itd., brzmi dalszy tytuł czeski), 30 dekuryi, z których 150 wzięto i przerobiono z Knapiusza, tak że to raczej zbiór polski niż słowacki. Przeszedł potym Flajšhans do iście monumentalnego wydawnictwa p. t. Česká přísloví, průpovědí a pořekadel lidu českého v Čechách, na Moravě a v Slezsku. Wyszły dotąd trzy zeszyty, w formacie leksykowym, w dwie szpalty, szpalta 1—384, od A do Chimera. Pierwsze 8 zeszytów ma objąć przysłowia staroczeskie, dalsze obejmą nowożytne. Podobnie obszernego i dokładnego zbioru nie posiada żadna inna literatura świata; każde przysłowie (frazes, maksyma nieraz) przytoczono z wyczerpaniem całej literatury, dalej wyjaśniono pochodzenie (z biblii, literatury klasycznej itd.) i dano paralele słowiańskie, germańskie, romańskie. Dla naszego przysłownictwa (zbliżonego nieraz bardzo ku czeskiemu albo i wręcz z niego czerpiącego) materyał tu nadzwyczaj obfity i ważny; pilności i pracy, rozległych poszukiwań autorskich nie można dosyć wychwalić. Pod względem typograficznym przedstawia się wydawnictwo (z zasiłkiem Akademii a nakładem Šimáčka) wręcz wspaniale.

Berlin. *A. Brückner.*

Katechizm Brzeski 1553/1554 r. Wydał i przedmową poprzedził Franciszek Puł a s k i. Warszawa, 1908 r. Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego. 8°, s. nlb 2 + XXVI + nlb 2 + 77 + nlb 3. (Collectanea Biblioteki ordynacyi hr. Krasińskich Nr. 1).

W obszernej przedmowie p. Franciszek Pułaski uzasadnia twierdzenia,

1) że katechizm, przez niego wydany, jest drukiem brzeskim Wojewódki z 1553/4 r.;

2) że katechizm jest pracą kompilacyjną polskiego autora;

3) że jest to katechizm kalwiński, ale nie pozostający w zupełnej zgodzie z wierzeniami i niewolny od naleciałości osyandryzmu i tradycyi katolickich;

4) że autorem nie jest ani Rej ani Trzecieski, ale inny wytrawny pisarz polski, obeznany z literaturą obcą i być może pochodzący ze wschodniej połaci kraju, za czem przemawiają niektóre właściwości językowe.

Z pierwszem, drugiem i czwartem twierdzeniem Szanownego wydawcy należy się zgodzić; trzecie można przyjąć, lecz pewnemi zastrzeżeniami; natomiast pogłębiając badanie, możemy dojść do bardziej konkretnych wyników.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że katechizm „więtszy“ nie jest wyższym kursem „mniejszego“, — jak to mamy w katechizmach Kraińskiego z 1596 r. i westminsterskim, przyjętym przez parlament 15 września 1648 r., gdyż „mniejszy“ i „więtszy“ obejmują niejako oddzielne księgi dogmatyki.

Katechizmy bywają wielokrotnie opracowywane zbiorowo, w tym jednak wypadku o zbiorowej pracy nie może być mowy, gdyż katechizm mniejszy jest przeróbką katechizmu Lutra, zaś katechizm większy jest kompilacyą z dzieł Rhegiusa. Twierdzenie wydawcy, że autor katechizmu brzeskiego posiłkował się katechizmem Seklucyana nie jest przekonywującem, gdyż licha polszczyzna królewieckiego kaznodziei nie odzwierciedliła się w katechizmie brzeskim, którego autor mógł katechizm Lutra znać w oryginale.

Katechizm mniejszy rozpoczyna się zapożyczonym u Rhegiusa wstępem, w którym autor poucza „brata miłego w Panie Krystusie“ aby „najwiętszej krześcijańskiej mądrości, to jest Pana Krystusa pilnie uczył“, gdyż „wszyćkie inne pisma tego świata aczkolwiek mogą uczynić człowieka uczonego, ale pisma święte czynią człowieka pobożnie uczonego i uczenie pobożnego.“

Myśl, że poznanie Boga jest najwyższą mądrością, z punktu nauki chrześcijańskiej nader wzniosła, została powtórzoną przez Kraińskiego, który swój mniejszy katechizm rozpoczyna słowami: „gdyż wszytka nasza mądrość krześcijańska w tym należy, abyśmy Pana Boga znali“... Zamieszczenie jej w katechizmie brzeskim świadczy, że autor miał szeroki, na ówczesne czasy, pogląd na wiarę i naukę chrześcijańską, wszakże niemal całkowite przepisanie

przedmowy z Rhegiusa, nasuwa przypuszczenie, że autor, wykształcony i oczytany, dobry stylista, nie był fachowym teologiem, kaznodzieją ewangelickim, gdyż taki zamieściłby w przedmowie własne myśli, lub też, naśladując katechizm Lutra, powtórzyłby przedmowę napisaną przez wirtemberskiego reformatora do jego małego katechizmu. Kompilatorstwo zdradza, że autorem katechizmu brzeskiego była osoba świecka, która wiedziała, co katechizm winien zawierać, lecz nie miała wprawy w wykładzie dogmatyki i dlatego naśladowała, lub nawet tłumaczyła znanych jej autorów. To przypuszczenie da się całkowicie poprzeć i następnemi uwagami.

Naśladując katechizm Lutra, autor przerabiał go i uzgadniał z wyznaniem reformowanem, okazał się jednak dyletantem, gdyż przykazanie drugie streścił, zamiast je zamieścić w całości jak to widzimy w spółczesnych katechizmach Jana Łaskiego. Odpowiedzi katechizmu Lutra autor rozszerzał, oraz tworzył własne pytania i odpowiedzi, np. każdy członek składu wiary apostolskiej jest w katechizmie brzeskim oddzielnie objaśniony, gdy u Lutra wykład *creda* zawarty jest w trzech odpowiedziach.

Objaśniając przykazanie czwarte (u Lutra trzecie): „pamiętaj, abyś niedzielny dzień święcił“, autor katechizmu brzeskiego zmienił objaśnienie Lutra.

w katechizmie Lutra	w katechizmie brzeskim
Powinniśmy Boga bać się i miłować Go, abyśmy kazaniem i słowem Jego nie pogardzali, ale je święcie zachowywali, chętnie go słuchali i uczyli się.	Mamy się Boga bać i Jego miłować, abyśmy słowo jego miłowali, z pilnością go strzegli, bronili i słuchali, abyśmy je pisali, czytali, rozmyślali, pamiętali i ważyli, z niego się polepszali i wszyciek dzień święty, to jest wszyciek czas żywota naszego, na służbie bożej strawili.

Oznaczenie wyrazu „kazanie“, mimo znacznego rozszerzenia odpowiedzi, nasuwa przypuszczenie, że autor, jako osoba świecka, uważał za niewłaściwe stawiać wykład słowa Bożego (kazanie) na równi ze słowem Bożem (Pismem św.). Kaznodzieje wielokrotnie identyfikują te dwa pojęcia.

W modlitwie Pańskiej, autor, niedawno rzymski katolik, nie zamieścił zakończenia (albowiem Twoje jest królestwo...), gdyż w ówczesnym katechizmie Lutra tego zakończenia nie znalazł, co także należy zapisać na karb dyletantyzmu autora. W dziale „o świętościach“ (sakramentach) autor dąży do przerobienia katechizmu Lutra na „kalwiński“, mimo to nie jest w zgodzie z pojęciami kościoła reformowanego. To nie są obce naleciałości, lecz błąkanie się dyletanta.

Katechizm większy składa się z 107 nieliczbowanych pytań i odpowiedzi oraz zakończenia. Pierwsze 56 pytań stanowią niejako

oddzielną całość. Odpowiadając na zadawane pytania, ojciec objaśnia syna, że bojaźń Boża jest początkiem naszej mądrości i polega na poznaniu Boga i nas samych, zaś Boga poznajemy z pism prorockich i apostolskich. Poczem wykłada mu o Bogu, o stworzeniu pierwszych ludzi, ich upadku i potomstwie, o objawieniu, o zakonie, grzechu i pokucie, o odpuszczeniu grzechów „darmo", przez wiarę.

W następnych pytaniach (57—107) zatytułowanych: „pytania potrzebne a pożyteczne", ojciec poucza o tem, co człowiek czynić winien, aby być zbawiony; mówi o wierze zbawiennej i dobrych uczynkach, pokucie, sakramentach, o śmierci. — Wykład popularny i jasny. Niektóre z dawanych nauk zdumiewają czytelnika swą praktycznością, naprzykład na zapytanie: „jako się ma niemocny człowiek, na śmiertelnej pościeli leżący, sprawić ku Panu Bogu i ku ludziom, aby umarł jako wierny krześcijanin?" odpowiada: „Naprzód, aby za dobrej pamięci, wczas, uczynił testament, rozprawując statecznie imienie i wszyciek dom swój"... „potym względem przykazania Bożego"... To „naprzód" zdradza, że rady daje nie teolog zasklepiony w dogmatyce, lecz człek świecki, albo posiadacz „imienia", albo dorabiający się.

Katechizm większy podobnie jak i mniejszy jest pełen pozostałości luterskich jak i rzymsko-katolickich.

Wobec przekonywających argumentów wydawcy, że katechizm jest drukiem brzeskim Wojewódki, wobec dowodów, że autor był dyletantem w teologii, a zatem osobą świecką, przypuszczenie, że autorem katechizmu brzeskiego jest sam Bernard Wojewódka, nabiera wielkiego prawdopodobieństwa.

Warszawa. *A. Woyde.*

Dr Stanisław Kot, Andrzej Frycz z Modrzewa o wychowaniu i szkole (Na tle ówczesnej literatury pedagogicznej). Lwów, 1910, 8°, s. 50. — **Tenże,** Szkoła lewartowska. Z dziejów szkolnictwa aryańskiego w Polsce. Lwów, 1910, 8°, s. 33.

Nowego pracownika na polu zaniedbanych dziejów szkolnictwa naszego i literatury pedagogicznej witamy jak najżyczliwiej, choćby dla szerokiego tła, na jakiem wystawił i poglądy Frycza i zasady Kaliszczyka, rektora szkoły lewartowskiej, nawiązując je do literatury zachodniej i do działalności Sturma. Słusznie zaznacza autor, że Frycz i do zagadnień szkoły przystąpił tylko jako polityk, t. j. że nie miał wcale zamiaru, aby skreślić program pedagogiczny, lecz wykazawszy wymownie potrzebę, pożytek i zacność szkoły i nauczycieli, troszczył się tylko o zapewnienie im podstaw materyalnych i o nadanie szkole charakteru państwowego, podnosząc pierwszy w Europie żądanie takiego jej upaństwowienia. W drugiej

rozprawce wykazał autor ścisłą zawisłość Kaliszczyka od Sturma, którego kopiuje niemal niewolniczo, a przytem wykazał, że i autor Equesa antyjezuickiego w jednem miejscu powtórzył dokładnie Sturma: najlepszy dowód, że autor Equesa a Kaliszczyk, to jedna i tasama osoba, jak to już Jezuici lubelscy dobrze wiedzieli, i że wszelkie wciąganie np. Niemojewskiego do tej Akcyi jest tylko zaciemnianiem sprawy — biliż przecież Jezuici zawsze na *„fictus eques“*, co wobec spółautorstwa prawdziwego „equesa“ Niemojewskiego nie miałoby sensu. Omawia przytem autor wiele innych pytań co do naszej literatury pedagogicznej z pierwszej połowy wieku i, za cośmy jemu szczególnie wdzięczni, przedrukował w Dodatku z unikatu u Czartoryskich, I. Sulpicii Verulani de moribus puerorum carmen iuvenile, w przekładzie ucznia Mimerowego, Ambr Alantsee, z r. 1533. Uczeń, jak mistrz, w polszczyźnie nie tęgi, mimo to przekład ciekawego pisemka (nowej „Tischzucht“, albo „Fagifacetus“ po Słocie) zasłużył ze wszech miar na ogłoszenie. Ciekawą treść wyłożył autor bardzo pięknie i zajmująco.

Berlin. *A. Brückner.*

Dr Karl Völker, Der Protestantismus in Polen auf Grund der einheimischen Geschichtsschreibung dargestellt. Leipzig, 1910, 8°, s. VIII i 238.

Praca przedstawia same losy protestantyzmu polskiego tylko w krótkiem streszczeniu u wstępu; głównem jej zadaniem było wyliczenie i scharakteryzowanie protestanckich i katolickich źródeł i opracowań dziejów innowierczych polskich; nie jest więc historyą protestantyzmu, lecz historyą literatury protestantyzmu polskiego; w tym ograniczonym zakresie wyczerpała swój przedmiot zupełnie, obszerna szczególniej co do historyków protestanckich XVIII w. Nie wiedziałbym, czegoby do niej dodać należało, a w sądach o pisarzach i dziełach odznacza się taką sumiennością i objektywnością, że jej również niczego zarzucić ani wytknąć nie można, chociaż autor swej sympatyi ku własnemu wyznaniu bynajmniej nie ukrywa. Możnaby się chyba spierać o parę szczegółików, np. o Lizmanina, niesłusznie o sprzyjanie nowinkom aryańskim posądzanego (to tylko cień przyjaciół włoskich, głównie Blandraty, spada na niego).

Wolę poruszyć szczegół ze wstępu, o początkach i przyczynach wzrostu reformacyi polskiej. Pozytywista Lubowicz, sprowadzający wszystko do kwestyi materyalnych, podkreślił spory o dziesięcinę i juryzdykcyę duchowną jako główne w tej sprawie motory a za nim i p. Völker nacisk na to położył. Mojem zdaniem najmylniej. Jak szlachta polska, powracając od protestantyzmu do katolicyzmu, ani na chwilę tem się odstraszyć nie dawała, że będzie znowu płaciła dziesięciny i podlegała (w sprawach małżeńskich)

juryzdykcyi duchownej, tak samo nie dla tych przyczyn rzucała katolicyzm; ci, co już w duszy odpadli od katolicyzmu, korzystali chyba z tego pretekstu, aby wzniecać spory (taksamo i graniczne) z duchowieństwem; ostre spory dziesięcinne (a graniczne trwały zawsze) widział już wiek XIV, gdy się o reformie nikomu nie śniło; szerzył się też protestantyzm od miast właśnie, gdzie nikt się o dziesięciny nie spierał. Należy dziesięcinę, juryzdykcyę i husytyzm z dziejów wzrostu reformacyi zupełnie wyłączyć; przyczyny szukać należy raz w okropnem zeświecczeniu duchowieństwa (żyje jak kanonik, mawiał lud ruski w XVI w. o każdym rozpustniku — już w XIV w. chcieli Karol IV i arcybiskup praski skonfiskować wszelkie dobra duchowne, aby zło wykorzenić), a powtóre w obudzeniu myśli krytycznej, uśpionej w średniowieczu, przez humanizm głównie, w niezadowalaniu się trybem odwiecznym: oto dwa główne motory, wobec których takie bagatele jak dziesięciny itp. zupełnie odpadają. Jak mało stanowiły względy materyalne, dowodzi choćby to, że napróżno katolicy (np. Skarga), wrażali protestantom, że samych siebie pozbawiają chleba duchownego, niby „szpitala“ dla szlachty zawarowanego.

Do bogatej już literatury przybył świeżo przyczynek (w ostatnim zeszycie Przeglądu Historycznego XI, 2, 1910, str. 188—197) o Janie Bonarze, wielkorządcy krakowskim i jego profanowaniu katedry Wawelskiej a nader energicznem wystąpieniu Zygmunta Augusta, grożącego magnatowi, że go za to z Wawelu i wielkorzęctwa wyrzuci (*eiciamus*).

Pracę p. Völkera uważalibyśmy za Prodromus do dalszych na tem polu badań; że sympatycznie skreślone dzieło po niemiecku wydał, należy mu za osobną policzyć zasługę.

Berlin. *A. Brückner.*

Zygmunt Seweryn Polakowski, Hektor, tragedya Franciszka Dyonizego Kniaźnina (Rozbiór). Sprawozdanie dyrekcyi gimnazyum w Złoczowie za r. s. 1910, s. 3—45.

Autor podaje pierwszy dokładny rozbiór tragedyi Kniaźnina p. t. „Hektor“, zastanawiając się nad czasem napisania tego utworu (między 1788—1795), jego genezą, stosunkiem do wzorów obcych, przyczem stwierdza, że sztuka Kniaźnina jest kompilacyą, powstałą z Iliady i Odprawy posłów greckich Kochanowskiego; dokładne wykazanie tego wpływu w szczegółach jest najważniejszą zasługą autora. Nieznacznym jest wpływ Wergilego (s. 26). W dalszym ciągu zajmuje się autor charakterystyką osób, układem tragedyi, wierszem, stylem i językiem, dochodząc w końcu do wniosku, że utwór Kniaźnina pozbawiony jest istotnych znamion tragedyi. W dodatku zestawia autor różnice między tekstem rękopisu

Hektora (znajdującego się w Muzeum XX Czartoryskich w Krakowie pod l. 2223), a wydaniem Dmochowskiego z r. 1828 i Bobrowicza z r. 1837.

Pod względem przeprowadzenia rozprawy muszę uczynić pewne zastrzeżenia: autor niepotrzebnie na s. 6 uprzedza z góry wynik swych badań, mówiąc już tu o rezultatach, jakie osiągnął przy rozpatrywaniu stosunku „Hektora" do źródeł; w ten sposób pozbawia czytelnika zainteresowania dla dalszej części pracy swej z niekorzyścią dla siebie. Wpływ literatury klasycznej na Kniaźnina byłby wystąpił wyraźniej, gdyby autor połączył uwagi o tej kwestyi podane w notach do str. 6, 18 i 26 razem i przeniósł je do tekstu głównego z przypisków, gdzie mogą ujść uwagi czytelnika. W tym też związku należało przytoczyć rozprawę P. Chmielowskiego p. t. Ostatni z poetów polsko-łacińskich (Eos, IX). Sposób wykazywania wpływów o tyle niepraktycznie przeprowadzony, że o tych samych scenach mowa na kilku miejscach, tak np. o wpływach na scenę drugą aktu I rozwodzi się P. na s. 7, 11 i uwaga, 17, na scenę piątą aktu III s. 8, 14, 18, i t. d., por. zresztą uwagi na s. 11, 17, 27; w ten sposób rozrywa rzeczy ściśle do siebie należące. Rozprawia też autor najpierw o wpływach, a potem dopiero podaje na s. 31 n. osnowę sztuki, która raczej powinna była wyprzedzić rozbiór tragedyi. Wprowadzenie Teano do tragedyi jest motywem dość ciekawym, już choćby dlatego, że występuje po raz drugi w literaturze polskiej (po raz pierwszy w Pentesilei Szymonowicza), należało więc o tem wspomnieć dokładniej, a nie gołosłownie w uwadze na s. 11. Niepotrzebnie pisze autor Patroklus zam. Patroklos.

Mimo poczynionych zarzutów jest praca p. P. pożądanym przyczynkiem do studyów nad Kniaźninem, życzyćby sobie też można, by autor w dalszym ciągu podał także rozbiory innych utworów Kniaźnina, osnutych na tle staro-greckiem.

Lwów. *Dr Wiktor Hahn.*

Eleusis. Tom V, 1909. Rozprawy i wyznania Elsów o Juliuszu Słowackim. Kraków. Nakładem Eleusis. 8⁰, s. 252 i X.

Rozpoczyna tom artykuł W. Lutosławskiego p. t. „Zadania prac nad Słowackim". Za pierwsze z tych zadań uważa autor prawdziwie krytyczne wydanie pism poety, dokonane przez jednego człowieka, bo „trzeba jednej jaźni, w której wszystkie formy, rymy, odmiany rękopisu i wydań byłyby jednocześnie obecne, w zupełności do rozporządzenia porządkującego je rozumu". Na drugiem miejscu wskazuje L. „porównanie całego tego materyału z myślą współczesnych Słowackiemu pisarzy a także z myślą jego poprzedników i następców o tychsamych przymiotach". Tutaj zadziwia prze-

stroga, aby nie szukać jak Pawlikowski „źródeł“ pomysłów poety, bo ich niema. Toż właśnie Pawlikowski a nie kto inny przestrzega właśnie przed zbyt pochopnemi podejrzeniami o zapożyczeniu tam, gdzie są tylko naturalne „pokrewieństwa“. Sam nie wskazał ani jednego „źródła“, któreby uważał za niewątpliwie. Wreszcie proponuje L. zoologom porównywanie intuicyi Słowackiego co do rozwoju gatunków z obserwacyami naukowej biologii, historykom zaś sprawdzenie intuicyi historycznych i historyozoficznych.

Właściwą treść tomu stanowią cztery rozprawy: „O Genezis z Ducha“ przez St. Witkowskiego, „O Pracach i dniach“ przez tegoż, „Trud Słowackiego (Szkic syntezy)“ przez Stanisława Pigonia i „Pojęcie Boga u Słowackiego“ przez Tadeusza Strumiłłę.

P. Stanisław Witkowski, redaktor Eleusis, raz już zapisał się chlubnie między badaczami ostatniego okresu twórczości Słowackiego, bo pierwszy ustalił ostatecznie lato 1844 r., jako czas powstania Genezis a także pierwszy wskazał, że część Zborowskiego jest jej poetycką parafrazą („Czas napisania G. z D. i jej stosunek do Sam. Zbor.“ — Pam. lit., 1904). Obecna rozprawka nie tyle jest wyczerpującym rozbiorem Genezis, ile raczej tylko wszechstronnem omówieniem jej znaczenia. Naprzód więc rozważa autor rolę, jaką odegrała w życiu poety oraz opinię, jaką on sam o niej miał, a także stanowisko jej pośród innych utworów tego okresu. Jako jedyne zupełnie ukończone dzieło filozoficzne poety musi być Genezis zawsze główną podstawą i punktem wyjścia wszelkich badań jego nauki mistycznej — czy to ją kto rozpatruje jako system, czy też chce tylko poznać jako klucz do rozumienia Króla-Ducha i Samuela Zborowskiego. Ona zresztą stanowi główną oś, około której snują się w umyśle wieszcza pomysły innych dzieł filozoficznych, a fragmenty, w których te pomysły zostały częściowo urzeczywistnione, ona właśnie klei ze sobą w jaką taką całość. Całości takiej rozróżnia autor dwie redakcye. Jedna stanowiłaby trylogię: Genezis, „rozmowa o celach finalnych i rozmowa o pracy ludzkiej od Adama do chwili obecnej“. Druga część (o celach finalnych) zdaniem autora zaginęła, trzecia to t. z. Wykładu nauki część II-ga. Inną redakcyę i to co do czasu — przypuszcza p. W. — wcześniejszą, (choć gotów przyjąć, że obie powstawały równolegle(?)) , stanowi znów Genezis z Listem do Rembowskiego. W wywodzie powyższym są ważne błędy. Naprzód List do R. jest o wiele późniejszy od utworów dyalogowanych (por. wywody dra Kleinera i moją recenzyę o książce Pawlikowskiego), następnie zaś nie wyznaczył autor żadnego miejsca części I-szej t. z. Wykładu nauki a, co ważniejsza, także owej rozmowie z Helionem, która w X tomie lwowskiego wydania figuruje w odmianach tekstu jako pierwsza redakcya Listu do R. Twierdzeniom swoim zresztą nie daje autor poparcia silniejszych argumentów, nie stara się też odtworzyć chronologii fragmentów a rozpraw dra Kleinera o „Królu Duchu“ i o „Dziele filozoficznem Słowackiego“ nie zdążył jeszcze poznać.

W dalszym ciągu rozprawy wskazuje notatki w Raptularzu, dostarczając nowych jeszcze świadectw o dacie powstania Genezis, przedstawia potem walki, jakie staczał ze sobą Słowacki, kilkakrotnie gotując się do wydania tego utworu a ostatecznie go nie wydając, wkońcu opowiada dzieje Genezis po śmierci poety i ewolucye sądów o niej od Małeckiego przez Chmielowskiego, Biegeleisena, Zdziechowskiego, Hoesicka, aż do chwili, w której naprzód Król-Duch, podbiwszy swą artystyczną wielkością zmusił do szukania wyjaśnień swej treści w Genezis i tak zwrócił uwagę na jej piękność, a wreszcie W. Lutosławski uwielbił ją jako „najdonioślejszy obraz prawdy". W zakończeniu dopiero podaje p. W. zwięzłą treść głównych myśli samego dzieła, zastanawiając się przedewszystkiem nad tem, co kieruje kształtotwórczą pracą duchów jako prawo. Z praw tych szczególny nacisk kładzie na prawo ofiary. Jeżeli ofiara ogromną rolę odgrywa w polskim mesyanizmie już u Mickiewicza i Krasińskiego to tutaj w Genezis po raz pierwszy staje się prawem kosmicznem. „I przeto sprawa polska staje się sprawą doniosłości kosmicznej" — mówi autor, zapominając, że ta kosmiczna doniosłość Polski nie na ofierze polega u Słowackiego, który upadek Polski zawsze jako karę pojmował.

Druga rozprawa p. Witkowskiego jest pierwszym właściwie, obszerniejszym rozbiorem t. z. Teogonii Słowackiego, znanej też od niedawna p. t. „Prace i dnie". Autor ten ostatni tytuł uznał za trafniejszy, choć i z niego, całkiem słusznie, nie jest zadowolony. Na podstawie gruntownego porównania trzech wydań utworu (Rychter, Górski, Gubrynowicz), jakie dotąd mamy, doszedł p. W. do przekonania, że nawet dwa ostatnie są wadliwe a także najprawdopodobniej i kopia Felińskiego, na której w braku autografu są oparte, „niezupełnie dochowała wierności oryginałowi". Nieład, jaki w tej kopii panuje, (sam Feliński każe w innym porządku ustępy czytać niż ten, w którym je przepisał) świadczy wyraźnie za tem, że powstała ona już po śmierci Słowackiego z różnych papierów. Odnoszenie się do tej kopii bezkrytyczne naraziło nawet ostatnie (lwowskie) wydanie na wiele błędów, z których niektóre autor wytyka ogromnie przekonywająco[1]) a także zamknęło oczy wydawcy na fakt, że kilka oczywistych ułamków „Prac i dni" weszło jako osobne liryki w skład tomu I-go. Wymienia je autor zupełnie niezależnie od dra Kleinera, który to samo uczynił (Pam. lit., 1909, str. 284), bo przed nim już pracę swą jako odczyt w Krakowie wygłosił. Następnie zszywa dopiero cały utwór i usiłuje przywrócić mu naturalny porządek, w sposób jednak zupełnie dowolny i — jak się to już gdzieindziej będę starał wykazać — nie wytrzymujący krytyki.

---

[1]) W recenzyi tego wydania przez dra Kleinera (Pam. lit., 1909) o tych właśnie błędach wzmianki niema.

Co do daty powstania utworu, nie ze wszystkiem godzi się p. W. na subtelny wywód Przesmyckiego, który z całą — a jednak bezpodstawną[1]) pewnością wskazuje grudzień 1844 lub styczeń 1845 r., ale przyznaje, że daty poznania Z. Węgierskiej (1844) i zerwania z nią znajomości (1846) stanowią terminy graniczne. Dziwniejsza, że zgadza się także z Przesmyckim w przypuszczeniu, jakoby „Prace i dnie" powstały przed II-gą częścią t. z. Wykładu nauki. Argumenta, które za tem przemawiają są zupełnie kruche wobec przeciwnych argumentów Kleinera i Pawlikowskiego. Myślę, że i p. W. przekonałoby do nich szczegółowe zestawienie obu utworów, którego brak jest zresztą wogóle najważniejszym brakiem jego rozprawy. Zresztą jest ona prawie wyczerpującą. Autor na podstawie wprowadzonego przez siebie porządku przedstawia w głębokiem ujęciu jej treść, wyprowadzając zasadnicze pierwiastki gene tycznie z alfy nowej wiedzy zamkniętej w Genezis, omawia dokładnie stosunek do analogicznych miejsc Pisma św., uwzględnia trafnie, choć ogólnikowo, wpływ Homera a wreszcie rozważa starannie psychikę występującej we fragmencie trójcy osób. Stosunek ich do rzeczywistych osób, jako symbolów rozwoju ducha ludzkości uważa za chwilowy tylko sposób wyrażenia swej myśli, który w Królu-Duchu zastąpiony już jest przez wizyę dwunastu ludów. Zaznacza też, że i ta forma przedstawienia rozwoju ludzkości, jaka jest w „Pracach i dniach", t. j. zapomocą pary wcielających się co jakiś czas duchów, zmieniała się często w szczegółach. Różnice pod tym względem w utworach Słowackiego dają autorowi powód do hypotetycznego ułożenia ich po sobie następstwa. Argumentacya tu jednak całkiem ogólnikowa i bynajmniej nie zadowalająca. Mimo wszystko ta druga rozprawa p. Witkowskiego posiada wcale rzetelną wartość a pierwszą przewyższa znacznie.

Rzecz p. St. Pigonią p. t. „Trud Słowackiego" jest próbą ujęcia twórczości poetu z tej strony, w której przejawia się praca myślowa i uczuciowa nad zdobyciem prawdy dla siebie i dla Polski i nad zrealizowaniem tej prawdy w życiu. Coś w rodzaju „Monsalwatu" Górskiego *en miniature*.

Główne etapy tego „trudu" poety to twórczość młodzieńcza pod znakiem Byrona, Kordyan, Anhelli, Grób Agamemnona, Lilla Weneda, wiersz „Tak mi dopomóż"... Mistyka i związana z nią twórczość to już uwieńczenie trudu. Cała przedpowstaniowa era życia i poezyi Słowackiego streszcza się — mówi autor — w „krzyku o czyn fizyczny, mocny" i to jest tajemnica jego (jak i całego pokolenia zresztą) grawitacyi do Byrona, który był takiego czynu poetą. Tu jednak leży też zaród tragedyi, bo ten czyn fizyczny, mocny jest ideałem człowieka — niestety fizycznie słabego. Tragedyę samą przynosi powstanie. Jej wtórnem przemyśleniem, przecierpieniem i wreszcie zobjektywizowaniem jest Kordyan. W tem

[1]) Por. dra Kleinera rozprawę o Królu Duchu.

co mówi p. Pigoń o tym poemacie, streszcza jakby wyniki moje rozprawy o Kordyanie (Kraków, 1909), Z przypisku na str. 116 wynikałoby, że jej, pisząc swoją, nie znał. W takim razie — niezależne od siebie zgodzenie się dwu ludzi na ten sam sposób pojmowania poety tem więcej potwierdza tego sposobu prawdziwość. Jest zatem Kordyan tak ważnym dla dalszego pochodu ducha sądem poety nad samym sobą; jest też „strasznym z głębi bolu wyrwanym pytajnikiem: wszystko runęło, dlaczegoż ja zostałem?“ I odtąd przedmiotem trudu Słowackiego na czas pewien będzie osobisty stosunek do narodu a rozwiązaniem artystycznem tego problemu — Anhelli. Myśli autor, że wypowiedziała się w tym poemacie żądza pokuty Słowackiego. „Był dłużnikiem wobec narodu, więc wypłacić się chciał najwyższą ceną, całą wartością swoją. Dać za naród nie tylko życie, ale ostatni najdrobniejszy kęs uczucia nawet, ten naturalny w każdym człowieku pęd, żądanie, aby czyn mój był owocny, aby był zasługą. Anhelli zrzeka się myśli, że śmierć jego będzie choćby kamieniem na szaniec; poświęca więcej niż wolno, fakt poświęcenia przenosi nad sprawę, popełnia gwałt wobec siebie i narodu“. Tu zauważyć trzeba, że, jeżeli to o Anhellim jako takim mowa, to niesłusznie; on nic nie „poświęca“, nic nad nic nie przenosi, bo jak sam autor stwierdza — jest celu swych cierpień nieświadomy, owszem buntuje się przeciw nim trzykrotnie: ofiara z duszy, którą aniołom proponuje to zgoła co innego. Jeżeli zaś do Słowackiego samego miałoby się to wszystko odnosić, (a o jego własny „trud“ tu głównie chodzi) to byłoby tem więcej niesłuszne, bo ten jako autor Anhellego spodziewa się przecież wyraźnie, że od spokojności jego zależy „może żywot i los milionów“.

Anhelli—dowodzi słusznie p. P. — nie mógł być zadowalającem poetę rozwiązaniem jego osobistego problemu. Anhellizm był tylko przejściowym „stanem pokuty“, po którym poeta „passywność cichej ofiary przepracować musiał na czynny męski stosunek do narodu“. Okres Anhellego jest zarazem okresem grobu Agamemnona. Obok problemu osobistego pojawił się drugi, tyczący narodu samego w sobie. (Co prawda to pojawił on się już w Kordyanie i nawet w Lambrze!). Powraca w „Grobie“ bolesny sąd Kordyana nad sobą ale dał mu on prawo i narodu małość napiętnować. Z tego zaś prawa wyrósł znów obowiązek dalszego trudu nad problemem: „jakiej siły trzeba i czy naród ją w sobie znaleźć zdolen — by powstał?“ I tu splecie się ten problem bratnio z problemem osobistym na gruncie poczucia mocy twórczej poety. Odrodzenie narodu przez „Słowo pieśni“ jest właśnie nowem hasłem trudu Słowackiego — zdaniem p. P., który zapomniał, że głosił je poeta już jako trzecia osoba prologu w Kordyanie a nawet w Lambrze już zapowiadał, że „będzie śpiewał i dążył do krwi, ożywi ogień, jeśli jest w iskierce“. I to przecież u człowieka, który jest przedewszystkiem poetą zbyt naturalne, żeby aż drogą tak długiego

trudu do takiego właśnie zrozumienia swego powołania wobec narodu potrzebował dochodzić.

Poematem „słowa działającego“ jest Lilla Weneda. Ale jest zarazem i jego tragedyą. „Słowo piękne czy mocne — nie bierze jeszcze serc“, nie wystarczy, by odnowić zmurszałe serca Wenedów. „Derwid pieśni zwycięstwa zaśpiewać nie mógł. Nie znał jej nuty. Miał jeno nieprzeparte, tęskne, oczekujące pożądanie jej — spromieniował się całkiem w czekaniu“. Doczekał się tylko trupa Lilli i na jej włosach grał śpiew rozpaczliwego smutku. A to los samego poety. — Ten pomysł p. P. jest istotnie ładny, nowy i że poeta tę analogię między Derwidem a sobą widział, to całkiem możliwe. Tylko że myślą główną poematu to nie jest a ból ten w trudzie Słowackiego nie jest niczem nowem.

Tę upragnioną nutę o wskrzesitelnej mocy przyniósł pieśni Słowackiego Towiański. Wskazał mu czyn jego i rozwiązał trud. Dał „to fundamentalne poznanie: że czyn jeden jest, a to: ustanowienie siebie samego, odrodzenie się do doskonałości“. I oczywiście apostolstwo tego samego u innych. Ale tylko apostolstwo. Dotąd — jak wszyscy romantycy — marzył Słowacki o prometejskiem wzięciu całego trudu na swe barki, bez niczyjej współpracy, chciał czynić za naród. Teraz zrozumiał, że „narodu zbawić, podnieść bez jego woli, bez pracy jego nie można, że moc narodu jest jeno wypadkową mocy wolnych, odrodzonych jednostek“. Do tego całkiem zresztą trafnego ujęcia rzeczy dodać trzeba jednak uwagę, że na zrozumienie potrzeby „apostołowania“ nie potrzeba było poecie Towiańskiego, boć pragnąc działać słowem pieśni, nie co innego, jak tylko apostołowanie musiał mieć na myśli. Że od Towiańskiego dowiedział się co apostołować w tem istotnie leży rozwiązanie „trudu“.

Praca p. Pigonia — mimo potykania się w zbyt żwawym pochodzie ku syntezie — jest wcale niepowszednią. Wartość jej główna w ogromnie żywem odczuciu poety, trafnych często uwagach co do szczegółów i bystrych spostrzeżeniach ogólnych a niemało też w stylu, skłonnym wprawdzie trochę do „mocno“ brzmiącego frazesu, ale naogół wysoce inteligentnym.

Najobszerniejsza w całym tomie rozprawa p. Tadeusza Strumiłły zajmuje się „Pojęciem Boga u Słowackiego“ i to nie tylko ostatecznem ustaleniem tego pojęcia, ale i ewolucyą jego rozwoju. Te drogi ku ostatecznemu rozweseleniu się zupełnem zrozumieniem Boga w ostatniem pięcioleciu życia, drogi krzyżowane czasem manowcami, przedstawione są bardzo zajmująco w pierwszej części pracy, na tle zarysu ogólnego rozwoju duchowego poety. Młodzieńcze lata przyniosło mu zobojętnienie religijne — ale i ono dotyczy „więcej formalnej i dogmatycznej strony wiary, nie podkopując podstaw religijnych w duszy“, które też już w epoce genewskiej rodzą tęsknotę do „filozoficznej piękności moralnej“ i coraz częstsze ulatywania myśli ku Bogu. Podróż do ziemi św., Grób

Chrystusa, spowiedź, bogacą dalej religijność Słowackiego, ale nie osadzają jej jeszcze bynajmniej na trwałem podłożu, nie uspokaja ona jeszcze jego ducha, który właśnie w ostatnim okresie przed Towianizmem największemu ulega rozwichrzeniu. Ciągle brakło mu jeszcze afirmacyi stanowczej i tę dał dopiero Towiański. I tutaj doskonale definiuje autor istotne zasady etyki mistrza Andrzeja, wysoko podnosząc doniosłość jego zjawienia się i starając się dowieść (w co zresztą wdaje się niepotrzebnie), że nic w jego sprawie, która jest tylko „nauką doskonałej praktyki zasad Bożych", nie sprzeciwia się dogmatom Kościoła. Dalej illustruje (znanymi zresztą) cytatami przewrót, dokonany przez Mistrza w Słowackim, dowodzi, że swojem wspaniałem *veto* w Kole postąpił poeta zupełnie zgodnie z zasadami Towiańskiego — i wreszcie zamyka tę część wybornem w swej zwięzłości streszczeniem całego systemu filozoficznego poety. Na tem tle dopiero przystępuje w części drugiej do rozważenia samego pojęcia Boga. Rozróżnia praktyczną, życiową stronę tego pojęcia, czyli właściwie kwestyę stosunku Boga do człowieka i stronę czysto teorytyczną. Na skrystalizowanie się pierwszej wpłynęły dwie tendencye pierwszej już epoki życia duchowego poety: jedna to kult bohaterstwa, druga to karcenie duchowej małości i zesztywnienia w czczych formach. Na pojęciu Boga odbiły one się już w Beniowskim, ale tu raczej instyktowo — w mistyce znalazły już uzasadnienie. Cnotą i bohaterstwem jest pochód ku celom ostatecznym, bez względu na to jakiemi drogami, natomiast formalizm wynikający z lenistwa ducha jest największym grzechem. Słowackiego zatem kryterya sądu o ludziach i czynach stały się takiemiż kryteryami Boga.

Co do teoretycznego Jego pojmowania, to mówi autor słusznie, że w szerszem znaczeniu obejmowałoby ono właściwie cały system nauki Słowackiego „skoro wszechświat powstał przez zindywidualizowanie się Słowa w Bogu przedwiecznym i skoro cała ewolucya postępuje podług jego przedwiecznej myśli". On to jest tym duchem, przez którego i dla którego wszystko jest stworzone. Określa p. S. całą naukę zupełnie trafnie jako panteistyczny indywidualizm; z czego wyniknie, że Bóg sam jest poniekąd indywidualnością — tylko wszechogarniającą i nie „usuniętą w jakieś zaświatowe niebiosa". Trójca w jakiej poeta tę Indywidualność Bożą pojmuje, osoby tej Trójcy, ich stosunek do siebie i rola każdej z osobna w rozwoju świata, to przedmiot, którego bardzo dobry wykład wypełnia resztę rozprawy.

Trzeba przyznać, że jest ona owocem wcale głębokiego przetrawienia mistyki Słowackiego — a ważną jest już przez sam temat, boć chodzi w nim nie o obojętny szczegół ale — jak słusznie mówi autor we wstępie, o „jedno z podstawowych, naczelnych pojęć zarówno w filozofii-matefizyce jak w religii i moralnej praktyce życia".

Tomik zawiera jeszcze jako dodatek szereg wyznań innych Elsów o ich „osobistym stosunku do Słowackiego“, o wpływie jaki obcowanie z jego duchem wywarło na rozwój ich poglądu na świat i kierunek życia. Te wyznania są jednak przeważnie mało ciekawe, choćby przez swój czysto prywatny charakter.

Za to omówione powyżej cztery rozprawy są świadectwem kultu Eleusis dla Słowackiego, cennem i dla nauki.

Kraków. *Dr Józef Ujejski.*

Ludwik Jenike, Ze wspomnień. (Biblioteka dzieł wyborowych). Warszawa, 1910. 2 części w jednym tomie, 8°, s. 147 i 135.

Jakie stanowisko zajmował w polskiej prasie peryodycznej założony w Warszawie przed pół wiekiem „Tygodnik illustrowany“ nie potrzeba nikomu ani tłómaczyć, ani przypominać. Ś. p. Józef Unger, jeden z rzadkich, na szeroką skalę wydawców polskich, w r. 1859 otrzymał koncesyę na pismo tygodniowe, większych rozmiarów, z obrazkami, i zaprosił na redaktora tego pisma ś. p. Ludwika Jenikego, ówczesnego kierownika wychodzącej nakładem Merzbachów „Księgi świata“, miesięcznika, wzorowanego na niemieckiem tego rodzaju wydawnictwie p. t. „Buch der Welt“. „Dodać tu należy, iż uzyskanie koncesyi na nowe pismo było wtedy rzeczą niełatwą, zależało bowiem, nie, jak obecnie, od głównego zarządu prasy, lecz od Namiestnika Królestwa, na przedstawienie kuratora okręgu naukowego, którym był wówczas Muchanow, człowiek niechętnem okiem patrzący na rozwój piśmiennictwa polskiego“. Dzięki jednak swej zręczności i licznym stosunkom, a prawdopodobnie hojnym łapówkom, bez których tak samo wówczas, jak i dziś stosunek z władzami rosyjskiemi na granicy Królestwa polskiego nie łatwo dał się regulować, Unger dość rychło koncesyę uzyskał i przy udziale całego komitetu redakcyjnego, złożonego z jedenastu najcelniejszych warszawskich literatów z Jenikem na czele, rozpoczął w październiku 1859 r. wydawać „Tygodnik illustrowany“.

Przez lat dwadzieścia siedm tocząc się utartym szlakiem pod kierownictwem Jenikego, nie zbaczając ani na krok z wytkniętej drogi, dzisiejszy Nestor prasy obrazkowej wyrobił sobie szeroką poczytność, wziętość i tradycyę szanowną, którą niezaprzeczenie utworzył mu pierwszy jego redaktor, a zmarły przed kilku laty tłómacz Goethego i autor sporej księgi „Wspomnień“, wydanych obecnie po jego śmierci.

Na bruku warszawskim Ludwik Jenike przez długie dziesiątki lat uchodził za „powagę“, był osobistością, używającą ogólnego szacunku i opinii człowieka o nieskazitelnym charakterze, ale potrafił budzić więcej respektu, niż sympatyi, sprawiał wrażenie raczej bardzo sumiennego, sztywnego, suchego urzędnika Izby obrachunkowej,

jakim był rzeczywiście przez długi czas, aniżeli literata i poety. Gorliwy aż do przesady i drobiazgowy w wypełnianiu swych obowiązków, funkcyonował — rzec można — automatycznie na stanowisku redaktora, dbając szczególniej z najwyższego uznania godną pieczołowitością o gromadzenie w ukochanym „Tygodniku“ obfitego materyału etnograficznego, historycznego i biograficznego z przeszłości i teraźniejszości naszej. Pismo z latami zamieniało się w jakąś encyklopedyę rzeczy starych, ludzi zmarłych, zabytków pamiątkowych, których pamięć przechowywać i utrwalać należało. Śmielszej inicyatywy, szerszych poglądów, fantazyi, świeżości, wytworniejszego smaku i pomysłów nie dawało się zauważyć ani w „Tygodniku“, ani w jego redaktorze przez pierwsze ćwierćwiecze istnienia tego pisma. A kiedy się dzisiaj czyta pamiętnik Jenikego, pośmiertną jego puściznę, łatwo zrozumieć dlaczego tak było; skostniały szematyzm, utrzymujący za wszelką cenę równowagę, wypróbowana i doświadczona rutyna, brak temperamentu i rysów wybitniejszej indywidualności a wreszcie zimny, spokojny racyonalizm umysłu „porządnego“, lecz nie bardzo głębokiego, oto główne cechy człowieka i pisarza, które się z tych drukowanych wspomnień przebijają.

Bierze się tę sporą księgę pamiętnika redaktorskiego do rąk z żywem zajęciem a odkłada, doczytawszy do końca, z jakimś zawodem i czczością; sprawia ona wrażenie suchego referatu a raczej protokułu, spisanego z pięćdziesięciu lat urzędowania w departamencie pióra i czcionki. Zdaje się, jakgdyby autor szczegółowo skreślił stan służby swojej, służby gorliwej, pilnej, wiernej, obowiązkowej i pracowitej, ale raczej kancelaryjnej, aniżeli literackiej i redaktorskiej. Nie kiedy tak to wygląda, jakby autorowi brakło zmysłu do ogarnienia szerszych horyzontów, jakgdyby przeceniał drobiazgi i pomimo całej skromności, o którą widocznie dba, chełpił się i pochwalał swoimi małymi tryumfami w publicznym zawodzie, wpływami i zasługą „swojego pisma“, jak nie zupełnie słusznie nazywa „Tygodnik“, będący materyalną własnością wydawcy, a moralną także i tej całej rzeszy współpracowników i pomocników, jakich miał w samej redakcyi. Wiadomo zresztą, że sam Jenike nie tak bardzo znów zasilał łamy „Tygodnika“ swojem piórem a to, co pisał, nie należało do najwybitniejszych artykułów ani pod względem myśli, ani pod względem stylu. Nie mniej pozostanie wielką i rzetelną jego zasługą, że dbał tak wytrwale o swojskość pisma, o poważny, bezstronny i uczciwy charakter „Tygodnika“, który w pierwszej połowie swego istnienia miał zupełne prawo przewodzić wszystkim literackim wydawnictwom tego rodzaju, nie obawiając się niebezpiecznej konkurencyi.

Autor „Wspomnień“ nie dostarcza ani świeżego, ani ciekawego materyału w swojej pośmiertnej spowiedzi z lat pięćdziesięciu; mówi o faktach znanych (czasy powstaniowe r. 1863—90) o ludziach również znanych ogółowi, o sprawach drobnych, które

nikogo nawet ze świata literackiego żywiej zainteresować nie zdołają, a natomiast pomija prawie zupełnie kwestye, które się napraszały same pod pióro redaktora najpoczytniejszego i najpoważniejszego organu literacko - artystycznego w Warszawie, jak np. stosunki z cenzurą, ewolucya prądów, haseł, programów i kierunków społecznych, literackich i artystycznych, stosunki wewnętrzne z wybitniejszymi pisarzami ubiegłej doby i t. p.

Na szczęście, autor sam, jak gdyby przewidując zarzuty, które mu krytyka będzie musiała zrobić po wydaniu pamiętników drukiem, zamieszcza — niestety — dopiero na ostatniej stronicy swej książki usprawiedliwienie, które gdyby było na początku postawione uczyniłoby może odczytywanie dużego tomu a ewentualnie i ogłaszanie go publicznie zbytecznem.

„Cóż jeszcze dodać mogę do tych wspomnień? — zapytuje. Chyba usprawiedliwienie się z nieładu, jaki w nich panuje, z braku ściśle przeprowadzonego planu, z braku nawet po części porządku chronologicznego. Ależ od tego wszystkiego uwalnia, do pewnego stopnia, forma wspomnień: spisywałem je w miarę, jak same cisnęły się do pamięci, a że pamięć bywa czasem kapryśną, o ścisłej więc systematyczności w notatkach tego rodzaju nie może być mowy.“

Mniejsza o to, możnaby taki brak autorowi wybaczyć, gdyby przynajmniej treść i forma okupywały niesystematyczność wspomnień, jak np. w „Trzy po trzy trzy“ starego Fredry.

„Przewiduję również zarzut — pisze dalej — że za dużo mówiłem o swojem piśmie, a tem samem o sobie, że podnosiłem je do ideału, przypisując mu wpływ, jakiego nie posiadało. Być może, iż uniesiony miłością ojcowską, zbyt wiele w swem dziecięciu widzę zalet; ale kto pamięta czasy nieco dawniejsze, a nie powoduje się względami stronniczymi, ten przyzna z pewnością, że stanowisko, jakie Tygodnik wtedy zajmował, było i zaszczytne, i wpływowe w najlepszem słów tych znaczeniu. Przytaczałem zresztą po większej części zdania nie swoje, lecz cudze, o ile zaś one odnosiły się do mojej osoby, albo o nich zamilczałem, albo starałem się zwrócić je ku pismu, które przez lat 27 było głównym ambicyi mej przedmiotem. Niech mi więc pewna słabość dla niego będzie wybaczona, zwłaszcza że wspomnienia te skreśliłem głównie dla mej rodziny.“

Wobec takiego wyznania i wobec zasady: *De mortuis nil nisi bene,* lepiej może było pamiętniki zostawić w archiwum familijnem.

Lwów. *Maryan Gawalewicz.*[1])

---

[1]) Jedna z ostatnich recenzyi wielkiego przyjaciela naszego pisma.

Józef Kotarbiński, Pogrobowiec romantyzmu. Rzecz o Stanisławie Wyspiańskim. Warszawa, 1909, 8°, s. 370.

W odczuwaniu dzieł Wyspiańskiego i w myśleniu o nich zbliżamy się do pewnego uspokojenia. Trzy lata upływają od zgonu i uroczystego pogrzebu poety, trzy lata ciszy w ziemskiej twórczości ducha, który wprawdzie dopiero po śmierci wróżył sobie wyzwolenie i pełny byt wiekuisty w zaświatach, jednak dawnym swym językiem do nas żywych już nie przemówił. Księga twórczości jego zamknięta — a to, co ogłosili i ogłosić jeszcze obiecali przyjaciele nie przyniosło i nie przyniesie zapewne nic takiego, coby złamało linię oryentacyi, która się ustala o dziełach Wyspiańskiego powoli i dochodzi do kształtu trwalszej opinii literackiej. W takiem mniemaniu utwierdza choćby zwarty atak na osławione artykuły p. Weyssenhofa, jednego z nielicznych przeciwników tej opinii. Jej wyrazem na ogół jest też książka p. Kotarbińskiego. Na końcu pracowitego dzieła czytamy: „Po genialnych poetach romantycznych Wyspiański z największem napięciem wyraził współczesne stany ducha polskiego, zwłaszcza jego ból i rozłam. Wśród nowoczesnego zdrobnienia życia zachował poczucie wielkości, nosił w duszy niestłumioną cześć dla majestatu narodowej niedoli". Jakkolwiek autor nazwał Wyspiańskiego na tytułowej karcie Pogrobowcem romantyzmu, na szczęście nie usprawiedliwił tego fałszywego tytułu w swych zasadniczych wywodach. Przeciwnie — częściej przeciwstawiając poetę romantyzmowi, niż go z romantyzmu wywodząc, utrwalił utartą już opinię o anty-romantyzmie Wyspiańskiego.

Recenzyę książki p. Kotarbińskiego piszę dla tych czytelników, którzy ją już przeczytali i znają dzieła Wyspiańskiego. Więc nie będę jej streszczał. Pominę te ustępy, na które na ogół się piszę, również i te, które dopełnień koniecznych nie wymagają. To też charakter tego omówienia jest przedewszystkiem polemiczny i dopełniający.

*
* *

Zaraz w „Słowie wstępnem" czytam o „drgnieniach instynktów nieświadomych" w utworach Wyspiańskiego. Zwrot to modny dziś w krytyce, zwrot już zdawkowy, a jednak ryzykowny. P. Kotarbiński zatrzymuje się przed progiem tych „instynktów", bo „trzeba szanować *sancta sanctorum* poezyi i nie wdzierać się do nich ze szwargotem zdawkowej egzegezy". Oczywiście — „szwargot" jak w każdym wypadku, tak i w egzegezie jest rażącym, tak samo i wszelka zdawkowość słabo przekonywującą. Ale to wszystko można zrobić bez szwargotu i bez zdawkowości, o którą się nieopatrznie potrąca, wskazując „drgnienia instynktu nieświadomego". Możnaby tak nazwać od biedy chyba widzenie ks. Piotra w Dziadach i kilka momentów twórczości Słowackiego w całej naszej li-

teraturze pięknej. Nie „łudził się“ Wyspiański, gdy twierdził „że zdaje sobie sprawę w każdej chwili z tego, co robił i jak robił, aż do najmniejszych szczegółów“ (str. 327). Nie uważał pracy twórczej za rodzaj misteryum. Znamionowała go ścisła refleksya i ciągła praca myśli, wstępującej na coraz wyższe szczeble kształcącej się świadomości (wybitny rys Konrada w dyspucie z Maskami). Słyszałem raz, *ex re* niezwykłości pewnych pomysłów Wyspiańskiego, opowieść o Minerwie, wyskakującej z głowy Jowisza. Niema zgoła racyi to porównanie. Poeta przygotowywał się do aktu twórczego sumiennie, drobiazgowo, nieomal pedantycznie; zbierał materyał układał sceny i rozmowy osób, a jakkolwiek ostatecznie czekał, aż „zaczną mu one same mówić“, to nawet i to końcowe posłuchanie obejdzie się bez „nieświadomego instynktu“. Kto widział autografy dramatów Wyspiańskiego, kreślone ręką pewną, pismem na ogół bardzo czytelnem, nawet w tych ustępach, które dla czytelnika w zrozumieniu są niejasne, nabrał silnego przekonania o pełnej świadomości piszącego.

Zupełna zgoda na to, że dla czytelnika niejeden z ustępów dzieł Wyspiańskiego jest zagadką i może nią na zawsze zostanie mimo „szwargotu“ egzegezy, ale rzecz dla mnie pewna, iż Wyspiański nawet w najgorszych chwilach, o ile mógł pisać, pisał z pewną świadomością nawet to, czego swemu czytelnikowi nie chciał, czy też nie umiał wyrazić w sposób jasny. Oczywiście, uważam to za najgorsze *minus* dzieł jego, gdyż, skoro drukował książkę dla publiczności, to nie pisał jej tylko dla siebie.

W rozdziale I, w ustępie o malarstwie Wyspiańskiego, czytam na str. 33 o braku prostoty w rysunku i słowie. Pomijam „rysunek“, gdyż się na tem nie znam, ale staję w obronie „słowa“. Wyspiański zostawił przepyszne wzory tej „prostoty“ słowa i to nie tylko w dramatach lechickich, w Klątwie i chłopskiej mowie Wesela. Studyum o Hamlecie jest pisane z prostotą, w tego rodzaju dziełach wyjątkową; jedynie Meleager, monologi Tersytesa w Achilleis i po części tłómaczenie Cyda, mają jako rzeczy stylizowane, zwroty wyszukane i niezwykłe. W ujemnej ocenie illustracyi do Iliady ma autor dużo słuszności, lecz gdy na świadectwo ogłady i wysokiej kultury Greków z pod Troi, przywołuje przykłady z późniejszej Odyssei, lub przypomina scenę pożegnania Hektora z Andromaką, zachwycającą „szlachetnością uczuć“, to świadczy tylko Grekom z Odyssei i Trojanom, a nie Grekom z Iliady, których właśnie Wyspiański rysował. Te więc dowody chybiły.

Pojęcie śmierci przez Wyspiańskiego „jako mocy wyzwalającej i tryumfującej nad życiem“ nazywa p. Kotarbiński „dekadenckiem“. Nie wiem jasno, co tym przymiotnikiem pragnął określić; jeżeli zrozumiemy go w znaczeniu utartem, jako definicyę odłamu pewnego nowszej literatury — to wolałbym nazwać to pojęcie śmierci raczej średniowiecznem, chrześcijańsko-ascetycznem.

To, co autor pisze o „zupełnym braku pierwiastku subjektywnego“ w poezyi Wyspiańskiego należało wyrazić ostrożniej i ściślej. Pomijam oczywiście drobny i skąpy zbiór liryków, lecz w wielu dramatach, nawet w książce o Hamlecie, chociaż brak „fragmentów własnego życia“ (są jednak w Klątwie!), jest przecież bardzo wiele pierwiastku osobistego. Na podobieństwo własne tworzył Wyspiański swych bohaterów, prawie identycznych w wielkich zapasach z Losem, tych samych w dumnej rezygnacyi, wobec poznanego przeznaczenia i naprzeciw kroczącej Śmierci. W Konradzie, w Achillesie, w Hektorze tkwi najgłębsza tragedya Wyspiańskiego artysty, Polaka, człowieka. W rozmowie Konrada z Maskami i w Psalmodyi Harfiarza (Akropolis) uderza pierwiastek osobisty nawet w szczegółach, mimo, że nigdzie ni tu, ni tam, słowa „ja“ nie słychać. Podobnym jest więc Wyspiański pod tym względem do wielkich romantyków naszych, ale jego subjektywizm jest inny, niż egotyzm wielu poetów współczesnej doby.

Przechodzę do interpretacyi i oceny dramatów przez p. K.

* * *

L e g e n d a.

Pan Kotarbiński pominął, czy też nie dostrzegł oryginalnego związku między losami Kraka i Wandy a przesileniem wiosennem w naturze (Legenda II). Zostało to w sposób silny uwydatnione w dramacie: topienie Marzanny – Martwicy — Kraka w przeddzień Rusalnych Świąt, które rozpoczynają w naturze wiosnę, święconą Ładzie i Żywi, Pora rozkwitania, początek nowego życia na ziemi Wiślan, w dniu ich zwycięstwa nad Niemcami i sławna Śmierć poświęconej Żywi, córki królewskiej, najdostojniejszej Ifigenii w legendzie polskiej. Krak „jak gwiazda zaranna gorzał i gasł przy tem wschodzącem Słońcu i wiedzieli to już w jego narodzie, że pomrze“ tak czytamy na wstępie dramatu. Są to wskazówki nader ważne. Kończyła się martwa zima, marł Krak i że zamrze — to wiedzieli w jego narodzie. Budzi się wiosna i wstaje Słońce w bohaterskiej postaci Wandy — kiełkuje samopoczucie, samowiedza i ideał w tem plemieniu, które urośnie w potężny naród i państwo. Śmierć Wandy okupuje się wizyą przyszłego Wawelu. Los daje Wandzie śmierć, w którą ją pędzi własny ojciec — Martwica, ale śmierć rodzi jej Sławę a narodkowi dzikich Wiślan gotuje przyszłość wielkiego narodu.

Twierdzę stanowczo, że legendę, połączoną ściśle ze zmianą pór roku (podobnie w Nocy listopadowej i Akropolis) należy tłumaczyć symbolicznie i to w dwojakim kierunku: 1) Krak i Wanda mają w dramacie charakter pół-bogów chtonicznych dawnych Wiślan i personifikują elementarne z j a w i s k a p r z y r o d y. W podobny sposób pojmowali legendę niektórzy mitologowie już przed Wy-

spiańskim. 2) Krak i Wanda (Zima — Wiosna) są też symbolem przełomowej chwili w życiu narodu.

Jest nadto w Legendzie motyw Klątwy w stylu starożytnej tragedyi greckiej. Jest zemsta Bogini Żywi, ciążąca nad rodem Kraka, „który ofiar jej przeczył i zabijał święte gady“. Boskie, tajemnicze pochodzenie Wandy jest znaczone wyraźnie. Matka „ją znajdę chowała“, córkę Kraka i rusałki Wiślany, czy też samej bogini Żywi Boskie pochodzenie Wandy wytknęło jej niezwykły, bohaterski bieg życia: wraca w nurty fal wiślanych, skąd wzięła życie. Śmiercią pozyskała Sławę, nieśmiertelność i zbudziła ducha swego narodu.

Rękopis Legendy II odkrywa nam ciężkie łamanie się pomysłów poety, wiele w nim zmian i waryantów, świadczących, jak z pierwotnego operowego widowiska w rodzaju Wagnera, mające go działać przedewszystkiem melodyą i fantastyczną dekoracyą, wyrastał kształt prawdziwej tragedyi, którą Mit, Pora roku, Los, Śmierć i Sława wprzęgły w szereg „typowych“ dramatów poety.

Legenda I pierwszy utwór Wyspiańskiego (nazwa pierwotna=Wanda) podobnie jak wczesny Daniel, przeznaczona na tekst niedoszłej opery, różni się wybitnie od wszystkich następnych dzieł poety. P. Kotarbiński chwali gorąco Daniela i żałuje, że poeta nie poszedł dalej w tym jasnym kierunku, lecz wpadł w „mgły mistycznych oparów“. Doprawdy szkoda, że prosta linia Daniela i jego przejrzystość nie przeszły do następnego okresu, który góruje nad temi bądź co bądź pierwszemi próbami i wyrobioną, oryginalną formą, tragizmem i ideologią, która, bez względu na jej wartość logiczną i etyczną ocenę, stała się podstawą swoistości dramatów Wyspiańskiego, ujmując je w kształt stylowy.

*

Warszawianka.

Rozbiór jej i ocena na ogół trafne, mam jednak kilka zastrzeżeń, z których wynikną i drobne dopełnienia w interpretacyi utworu. P. Kotarbiński wytyka ostro Chłopickiemu retorykę i szumny patos w duchu pseudo-klasycznym, w guście Kornela i Rasyna i zapewnia, że w epoce działalności dyktatora na terenie rewolucyi „przemiana smaku literackiego była już dokonaną“. Zbyt śmiałe zapewnienie! Tak to może wygląda dziś, z daleka. W istocie, ogół wykształconych Polaków, a zwłaszcza wojskowych i to nie tylko starych napoleończyków, lecz również rycerskiej młodzieży, tkwił jeszcze silnie w kulturze klasycznej, czy też pseudo-klasycznej. Ten ton uroczysty, patetyczny, panuje w Warszawie; Wyspiański wprowadza go tu słusznie, jako element stylu, przeciwstawiając w postaci Maryi duch nowy, manifestujący szał i ogień uczuciowego romantyzmu. Z nowych, dzisiejszych źródeł spływa „nastrój“ na Warszawiankę — wszak Wyspiański był w tym czasie wielbicielem Maeterlincka —, ale i tu znalazł podłoże historyczne; więc snuje nastrój

z współczesnej wypadkom ody Delavigne'a, w której błyszczy klasyczna „tarcza Franków" i drga tragiczny dźwięk całej późniejszej twórczości naszego poety, w tych kilku słowach: „Kto przeżyje, wolnym będzie — Kto umiera, wolnym już...!" Pieśń Delavigne'a stała się nie tylko nastrojowym „leitmotywem", ale też podnietą utworu. Brzmią w niej trąby bojowe Marsa z powagą klasycznego Peanu i szeleszczą czarne skrzydła nieubłaganej Śmierci bohaterów.

Uparta i zamknięta dusza Chłopickiego zainteresowała Wyspiańskiego przedewszystkiem — w Nocy Listopadowej spróbował po raz wtóry rozwiązać zagadkę. Można się spierać, czy Chłopicki deklamuje w Warszawiance *à la „beau ténébreux"*, czy z jego słów bije poza, czy szczerość zbłąkanej, beznadziejnej niewiary, w trzecim dniu bitwy pod Grochowem. Sądzę jednak, że poeta miał wszelkie prawo i swobodę pojąć go tak, jak go przedstawił, bo któryż z historyków odgadł Chłopickiego? Niewiara i dumna rozpacz były już w niejednem sercu. W deklaracyi detronizacyjne Niemcewicza z 25 stycznia, podpisanej przez obie połączone izby, czytamy słowa o „rozpaczy szlachetnej" w tym czasie, gdy Dybicz był jeszcze daleko za Bugiem, a sejm wołał w zapale: „Niema Mikołaja"!

* * *

Lelewel jest jakby bratem Warszawianki. Dobrze zrobił p. Kotarbiński, że poświęcił mu dłuższy ustęp i zwrócił nań baczniejszą uwagę. Lelewel był dotychczas Kopciuszkiem wśród utworów Wyspiańskiego, był ponoś nawet w niełasce ojcowskiej. Słyszałem zdanie, że autor sam osądził go później surowo i nie robił drugiego nakładu. Jest to rzeczywiście rzecz słaba i niedojrzała. Postać ks. Adama zbudowana raczej na plotce, niż na prawdopodobieństwie historycznem, sam Lelewel przeszarżowany, deklamator niesmaczny, napuszony jakobin z domieszką towianizmu (!), pozujący na Króla-Ducha puszcz litewskich. Ma jednak ten utwór poroniony dużą wartość dla poznania ideologii Wyspiańskiego. W długich monologach Lelewela tkwi zaród mętny niektórych wierzeń samego poety; tu poczyna się to, co dojdzie później do pełnego głosu w ustach Piasta, Konrada i muzy Klio w Akropolis.

O roli, jaką odegrał Lelewel w zdarzeniach Rewolucyi, jest już ustalona opinia. Mochnacki zadał mu cios stanowczy i odtąd Lelewel-polityk nie podźwignął się w sądzie historyi. U Wyspiańskiego jest jakby jego apologia. Z jałowego, chwiejnego doktrynera, niefortunnego wynalazcy osławionej formuły o „dwóch Mikołajach", zrobił poeta przedstawiciela rewolucyjnego romantyzmu. Grzmią w jego szumnych tyradach hasła Ody do młodości i Konradowe okrzyki, plączą się marzenia światobórcze Słowackiego i dalsze już echa nauki Mistrza Andrzeja. Zdaje mi się, że Wyspiański pisząc Lelewela, był jeszcze sam pod silnym wpływem naszej romantyki i upajał się nią bezkrytycznie i bez wyboru, mie-

szając z nią własne już pomysły, które, jak wspomniałem, rozwiną się później.

*

L e g i o n jest jednem z najtrudniejszych dzieł Wyspiańskiego. Słyszałem z ust wiarogodnych, że był to utwór, nad którym poeta łamał się i męczył, plan coraz zmieniał, w walce ciężkiej z kłębiącą się masą pomysłów. Pan Kotarbiński biedził się z wynalezieniem idei Legionu i po kilkakrotnem czytaniu doszedł do przekonania, że jest on „wyrazem bezpłodności porywów marzycielstwa narodowego“. To zdanie tak rozumiem, że Wyspiański stanął w Legionie na stanowisku krytycznem wobec Mickiewicza. Sądzę inaczej: Wyspiański zachował się zupełnie objektywnie wobec Mickiewicza, z objektywizmem prawie epickim mimo formy i treści dramatycznej. Poeta ani nie uznaje, ani nie krytykuje, ani nie potępia, jak to już pisano o Legionie, on tylko regestruje dramatycznie etapy życia i przemiany ducha u Mickiewicza. Istotnie utwór ten nie ma idei Wyspiańskiego, lecz zawiera tylko ideę Mickiewicza w pojęciu Wyspiańskiego, bez sądu i krytycznego wypowiedzenia się autora. Z trudem przyszło mi zdobyć się na to przekonanie; wiele złudnych i kuszących pozorów przemawiało *contra*. Zwodziła najbardziej ta okoliczność, że w innych t. z. „ideowych“ dramatach występuje jasno tendencya, która jest stanowczem potępieniem szkodliwego i bezpłodnego marzycielstwa narodowego. Stąd pochopność do przesuwania tej tendencyi na Legion, ujmujący niejedno z tych zagadnień i utrapień narodowych, które poszły pod sąd poety w Kazimierzu W., w Weselu i Wyzwoleniu.

Zupełnie słusznym jest wywód p. Kotarbińskiego na stwierdzenie, że postać Mickiewicza w Legionie jest sprzeczną z Mickiewiczem w rzeczywistości. I przyznałby to sam Wyspiański, gdyż znał przecie ówczesne życie Mickiewicza i jak zwykle robił gruntowne studya do dramatu. I jakkolwiek Wyspiański doskonale wiedział, że okres legionu był etapem „czynu“ w życiu i ideologii Mickiewicza, że było to następstwem wyłamania się z oków towiańszczyzny i t. d., to jednak inaczej to przedstawił! Z jakich powodów to uczynił? — Otóż sądzę, że nie było jego zamiarem poetyzować tego „rzeczywistego“ Mickiewicza. Wyspiański dał w Legionie skrót ideałów poety, układając w tej przełomowej chwili r. 1848 na wyolbrzymiałej postaci wieszcza, jakby wszystkie warstwy jego haseł z przed tej daty, jakoteż po niej wyrosłych. I to nie tylko te pokłady, które Mickiewicz sam tworzył i wznosił, ale i te, które jako dalekie nieraz następstwa jego czynów i dzieł pisanych, grupowała potomność koło jego postaci. Rok 1848 jest niejako próbą wytrzymałości, próbą ognia tego wszystkiego, co poeta życiem, myśla i sztuką do tej chwili wypracował. Ale i zdarzenia tego wielkiego roku dorzucają nowe czyny, zmagania się, zwątpienia i nowe utwierdzenia i wszystko to razem przetapia się w legendę o Mickiewiczu.

którą już mu współcześni, a przedewszystkiem potomni, dopełniając własnem czuciem i myślą, toczą jak coraz rosnącą lawinę w krainy przyszłości. — Podobnie pojął Mickiewicza Siedlecki; ten sposób ujmowania innych postaci historycznych dostrzegli i inni. Mickiewicz w księżycowej scenie na Colosseum, na którą niegdyś, „kiedy miesiąc zapadł niżej Amfiteatru“, wstępował zbudzony ze snu wieków Irydion, by podziękować losom za „spodloną Romę“, wzywa Sławę, potęgę z gruzów rzymskich Cezarów. Oto Mickiewicz dawny; nie wyrzekł się jeszcze pragnienia mocy i sławy, środków ziemskich walki i zwycięstwa — oto Mickiewicz z epoki Grażyny i Wallenroda. Lecz miesza się w rozpaczliwe wywoływania ducha wojennej Romy, nadziemski już, mesyanistyczny ton: „O Polsko święta, o Golgoto krzyżowana, gdzie synowi twoi? ...duchy. Zwoływam gromadę, oto przyjdą i ręce pokładą na czoło — czary posiędą“— oto Mickiewicz — Konrad z Dziadów. Krasiński pojawia się dwa razy u boku Mickiewicza, tu na Colosseum i na Forum Romanum. W Colosseum usiłuje napróżno zabić w nim pragnienie Sławy starożytnego Rzymu.

Zna on ją i wie, że z gruzów nie wstanie, że jest upiorem, że wiedzie w Śmierć, że mocy nie da nikomu. Przed laty osądził już Romę Cezarów. Przeklina Sławę i radby pociągnąć ducha towarzysza ku swojej wierze „duchowej ofiary“. W jego urywanych, rozpacznych zaklęciach słychać znany nam dobrze beznadziejny smutek, odarty z wszelkich złudzeń i daremnych porywów — ów grobowy nastrój jego listów z tej epoki, z lat 1846-48, kiedy w przeczuciu nadchodzących klęsk okropnych, kataklizmów materyalnych i duchowych całej ludzkości, pocieszał się nieraz smętnie, że tego piekła już nie dożyje. Niewiara w dzieła i sprawy ludzkie, nawet w siłę Kościoła przebija w zapowiedzi: „wieczysta śmierć — Pan Wszechświata zdruzgoce kolumny Romy, zdruzgoce świątynie Piotrowe“. Ostatnie słowa — to echo jego Legendy, której wpływ widoczny zwłaszcza w scenie VII (w kopule św. Piotra), tak jak Snu Cezary później w Wyzwoleniu.

Nie odwiódł Krasiński Mickiewicza od żądzy Sławy. Wywołana, zaklinana — przybyła z kamiennych załomów, lecz szczęścia i mocy nie dała. Odtąd raz poraz uderzają w Mickiewicza okrutne ciosy zawodu: zawodzi Sława, zawodzą Demos i Wolność. Gdy „chorągwie i godła zwalone“, a dusza Mickiewicza — Brutusa rwie się w męce i rozpaczy, zjawia się poraz drugi Krasiński — ze słowami nadziemskiej pociechy Przedświtu: „Jest Polska wieczna, nieśmiertelna ponad świat, ponad świat, tysiące, tysiące lat!“ I znowu zawód i znowu męka. Nie pocieszył Krasiński; nie o takiej Polsce marzył Mickiewicz; widzi kobietę umarłą, nie tu na ziemi ona zmartwychwstanie. „Unieśli ją, w niebo ją wzięli, o Polsko — o synowie Anieli — o serce, serca — konał!“ Scena X kończy się najokropniejszym zawodem.

Wszystkie sceny Legionu to jakby drabina Jakóbowa, po której wstępuje „mit“ Mickiewiczowski. Złe i dobre anioły towarzyszą wędrówce ducha, który w perspektywie lat kilkudziesięciu wyrósł w pojęciu Wyspiańskiego w symbol abnegacyi życia, od którego odbija łódź Charonowa, pędząc w zatraceniu pod sterem nie tego Mickiewicza, który istniał rzeczywiście i w r. 1855 umarł, ale tego, który przeszedł w pamięć zbiorową i w myśl i czucie zbiorowe potomnych. Nie osądził jednak jeszcze Wyspiański tego „mitu“ w Legionie i stanął przed nim objektywny; dopiero w Wyzwoleniu, które pisał z tendencyą, modelował spiżową postać kusiciela Geniusza na wzór sternika Charonowej łodzi.

Przechodząc do szczegółów, podniosę kilka (nie oceniam, tylko objaśniam): Postać Rapsoda, która powtórzy się w Bolesławie Śmiałym i w Akropolis (Harfiarz) zjawia się na tym Kapitolu, gdzie był przed laty Dąbrowski z legionami w chwale zwycięskiej. Trafnie tłumaczy p. Pigoń („Na ziemi naszej“ — dod. do Kuryera lw. Nr. 13, 1910), że Rapsod jest uosobieniem pieśni, wzgardzonej już przez Mickiewicza sztuki, jak ją widział niegdyś poeta w Wajdelocie. Ona nuciła „podróżnym piosenkę żałoby“, a gdy gmach runął, schroniła się w Legiony ze słowami otuchy: „Jeszcze nie zginęła!“ Dodam jeszcze jedno: należy przypomnieć sobie ostatnie sceny Akropolis bezpośrednio po przeczytaniu tajemniczego proroctwa Rapsoda, a stanie się ono nam jasne. Oto zapowiedź tryumfu tej żebraczej pieśni, która dziś przystanęła na „zgliszczach i grobach“, lecz po latach zabrzmi potężnem Hosanna na wjazd Salwatora.

P. Kotarbiński dziwi się Fortunie — skąd się tu wzięła ta klasyczna alegorya na czele chłopów polskich? Tłómaczyć ją należy po prostu na Los, Klątwę, Dolę. „Dziewka kraśna“ z dzbanem krwi, stylizowana na podobieństwo swych ofiar w duchu ludowym, jest tą polską Dolą z tytułem łacińskim, tu w katakombach na terenie Rzymu starożytnego. Jest Ona wizyą matki Makryny i ks. Jełowickiego, nękanych tragedyą rzezi galicyjskiej, która zadała bolesny cios wielu rojeniom demokratycznym na emigracyi. Prosta, po chłopsku wierząca dusza bazylianki widzi w mękach piekła zbłąkanych braci siermiężnych, tak jak Dziadowi z Wesela pojawi się upiór krwawiący Szeli. Rzymska Fortuna, którą rzeźba starożytna przedstawia najczęściej z rogiem obfitości, pojawia się tu z dzbanem słowiańskim, w którym nie miód pokrzepienia, lecz krew — męka i wieczna pamięć winy. W postaci Fortuny mamy typowy przykład dbałości poety o „styl“ wierny terenowi zdarzeń.

Jeszcze na jeden szczegół zwrócę uwagę: na przepiękną scenę w kopule św. Piotra, gdy widma pogańskiej Litwy zawodzą żałośnie nad synem marnotrawnym, nad piewcą ballad, Wallenroda i Grażyny, którego obłąkało „męczeństwo krzyża“. *Fortissimo* tej sceny następuje z chwilą przybycia króla Litwy Mendoga. Onto bronił zawzięcie pogańskie bogi i stawiał im ołtarze w Nowo-

gródku, rodzinnem mieście poety. Po promieniach palącego słońca które tu i dosłownie i alegorycznie, jako bóstwo słoneczne, symbol mocy i życia należy pojmować, wpada on do największej świątyni chrześcijan, na pomoc duchom swej ziemi — by ratować przed „krzyża szaleństwem“ swego Wajdelotę. Naprożno — „nie widzi, nie widzi Mendoga. — Wielkość kona, Słońce kona!“ Wmyśliwszy się w tę scenę — a znaczenie jej jasne — przenieśmy się duchem na Akropolis. Obraz podobny — na wozie tryumfalnym wjeżdża Apollo... Ale „Słońce“ nie kona, a zwycięża. „Wielkość i moc się rodzi — Noc truchleje!“

*

Wesele pomijam. P. Kotarbiński poznał je, zrozumiał i ocenił ze wszystkich dzieł najlepiej. Pisano o Weselu najwięcej, najpopularniejszy to dziś utwór Wyspiańskiego. — Własne uwagi o Weselu pomieściłem w Pamiętniku literackim 1909. to też powtarzać się nie będę.

*

Wyzwolenie Stało się przedmiotem najdłuższego wyczerpującego rozdziału w książce p. Kotarbińskiego. Dobrze zrobił autor, nawiązując je do inscenizacyi Dziadów, którą poeta wydał w książce zbyt mało znanej tym, którzy o Wyzwoleniu pisali. Należy naprzód dokładnie przeczytać Dziady w oryginale, potem w inscenizacyi Wyspiańskiego, porównać układ, poznać zmiany i sposób powiązania scen w przeróbce, co ma nie tylko wagę sceniczną, a potem dopiero rozpoczynać lekturę Wyzwolenia.

Rozbiór tego dramatu przez p. Kotarbińskiego ma silne akcenty polemiczne i przynosi sporo rzeczy nowych. Wymienię z nich dwa szczegóły, najcenniejsze, bo osobiste wyznania poety: 1. Bohater poematu jest Konradem z Dziadów, ale „takim, jakim wydaje się czytelnikom dzisiejszym“. Tak objaśnił Kotarbińskiego sam autor. Wyznanie doniosłe, jest jakby potwierdzeniem tego sposobu ujmowania bohaterów *ex post*, które mieliśmy już w Legionie. 2. Drugie objaśnienie dał Wyspiański p. Kotarbińskiemu po pierwszem przedstawieniu Wyzwolenia: „że postać Geniusza odnosi się także częściowo do poezyi Mickiewiczowskiej z doby mistyczno-mesyanistycznej“. Te dwa wyznania są wagi pierwszorzędnej, skoro wiemy, jak skąpym był Wyspiański w komentarzach do swych utworów.

Nie sposób mi tu w krytycznej recenzyi podawać pozytywnych wniosków, do jakich doszedłem, badając Wyzwolenie. Ograniczę się do nieodzownych dopełnień i kilku utarczek polemicznych, które uznałem za konieczne, nawet na tym zacieśnionym terenie. Przechodząc od punktu do punktu, muszę nasamprzód zaprotestować najmocniej przeciw utartej już a fałszywej opinii, powtórzonej przez p. K. o „zamroczającym wpływie choroby“ na twórczość Wyspiańskiego. Tworzy się jakaś literacko-kliniczna legenda o „za-

mroczeniu“. Jest ponętną, bo trąci *quasi* — naukowością domorosłych psychiatrów. Przypuśćmy jednak, że ma racyę p. Kotarbiński i ci, którzy mu podobnie sądzą. Przypuśćmy! To cóż należałoby mówić o dziełach, które powstawały w najgorszym okresie choroby. A są tu dzieła tak jasne, jak Powrót Odyssa i Sędziowie. Wyspiański miał wielką przytomność umysłu do końca życia; trudność w pisaniu i w pracy malarskiej ograniczały się jeno do przeszkód mechanicznych, gdy przywiązywał sobie ołówek do bezwładnej dłoni. Oczywiście były chwile depresyi duchowej, ale te zdarzają się u ludzi najzdrowszych i w tych dniach Wyspiański nie pisał. Przyznaję, że Wyzwolenie ma sporo zagadek, że jasną myśl przewodnią plączą epizody, które wymagają albo mozolnego zastanowienia, albo skazują ciekawego badacza na męczące błąkanie się dokoła Sfinksów, a nie każdy może mieć talent Edypa. Jakkolwiek jestem pewny, że Wyspiański zdawał sobie jasno sprawę z tego, co ciemno napisał, żadną miarą nie mogę usprawiedliwić tej niejasności i zgodzić się na słabą pociechę Konrada, że można je „przenikać“. Nie jest to jednak „zamroczającym“ wpływem choroby, lecz szpecącem dzieło dziwactwem w komponowaniu łamigłówek, nie licujących z bezwzględną szczerością utworu.

P. Kotarbiński podjął odważnie trud rozwiązania dysputy z Maskami, nie zrobił tego jednak systematycznie i gruntownie, to też wynik jest nikły.

Próbowałem opuszczać stale w tych rozmowach, gdzie Maska porozumiewa się tylko wykrzyknikiem, gestem przeczenia lub zdziwienia, te wszystkie odruchy Maski i wiązać bezpośrednio urywane odpowiedzi Konrada, rzucane jednej Masce, tak jakby ona nie istniała. Ta metoda daje pomyślniejsze wyniki. Maski są właśnie tylko podnietą zewnętrzną dla myśli Konradowej, którą Konrad rozwija i wysnuwa przedewszystkiem z poprzedniej myśli własnej i podobnie jak Hamlet (por. Studyum o Hamlecie) wstępuje na coraz wyższe piętra myśli i coraz dalsze jej horyzonty ogarnia. Trud ostrożnego i zupełnego rozwiązania tej sceny opłaciłby się sowicie, gdyż tu złożył poeta najważniejsze prawdy wiary artystycznej, tu rdzeń jego ideologii i ślad najgłębszy walki o duszę „wolną“.

Wieczór wigilijny, który dał tyle materyału refleksyjnego A. Siedleckiemu w pięknem studyum o Wyspiańskim, zbył p. K. pobieżnem streszczeniem. Podobnie stało się z Hestyą. Postać to wielkiego znaczenia. Wręcza ona Konradowi pochodnię „która rozjaśnia, ale niszczy razem“ — tak jest w książce; p. K. cytuje te słowa źle, zmienia sens myśli: „która rozjaśnia i niszczy“. Ta pochodnia to jakby miecz obosieczny dany w ręce Konrada — Prometeusza — Orestesa. Prometeuszem Polski jest Konrad; Ogień który wziął z rąk Hestyi, strażniczki ogniska domowego w najszerszem znaczeniu ojczyzny, poniósł w ofierze narodowi — sam jednak „ogniem się własnym opala“ i ginie. „Doścignie“ go „sąd wiecznego głodu“

jego Konrada — Prometeusza. Czyn nadludzki domaga się wyrzeczenia szczęścia ziemskiego i życia. Przypominają się słowa Kordyana: „Ja się w chwili ofiary jak kadzidło spalę“.

Konrad zdobył się na „duszę wolną“ i zdobędzie się na czyn niezależny, czyn własny, który nie będzie tylko spuścizną bezwładną pokolenia ojców, odruchem dziedzicznej psychiki pogrobowców z Wesela. Konrad czyn podjął i zwyciężył Geniusza. „Ja jestem wolny, wolny, wolny! I nie dosięgnie mnie nikt...“ „Rozumiesz — woła do Maski 16 — Rozświetlał mi w głowie Bóg, Apollo — Chrystus i Erynie przechodzą mimo. Wiesz ty, co to znaczy, że ja jestem wyzwolony...“ Maska: „A my?“ Konrad: „Że wy jesteście wyzwoleni. Męka Orestesa przeszła nad całą ziemią Mykeńską. Zbrodnia Atrydów nad całem ciężyła miastem. A zwolony Orestes dał ziemi swojej uwolnienie od Klątwy!“ Ten ustęp uważam za szczegół pierwszorzędnej wartości do zrozumienia misyi Konrada — Orestesa. Gdzież jest Apollo — Chrystus, który mu kazał mścić się krzywdy narodu? To ten sam, który druzgoce kołami rydwanu srebrne blachy trumny św. Stanisława w Akropolis.

A p o l l o — O r e s t e s — K l i t e m n e s t r a — E r y n i e...

A p o l l o — C h r y s t u s — K o n r a d — G e n i u s z — E r y n i e. Taka jest analogia, taka paralela.

Ale Erynie nie „przejdą mimo“ — wie to Konrad, Męka pewna, ale Konrad jeszcze się łudzi, radby mękę opóźnić, odsunąć. Godny zazdrości los greckiego Orestesa! Jemu Erynie stały się Eumenidami i wina została mu odpuszczoną.

A teraz przypomnijmy sobie słowa Wyspiańskiego w Studyum o Hamlecie (książka ta jest lepszym komentarzem do Konrada, niż do Hamleta): „Nie wolno, jemu człowiekowi, nie podjąć tego, co mu przeznaczono... TO, CO MA BYĆ, STAĆ SIĘ MUSI“.

Na innem jednak miejscu czytamy: „TYLKO WŁASNYCH KRZYWD CZŁOWIEK MŚCIĆ MOŻE I UMIE i jest mu wolno z całą siłą — nie krzywdy ojców“.

Bo „NIE LUDZIE RZĄDZĄ ŚWIATEM“.

„Chcesz czynić podobnym Bogu
człowieka? Zbliżyć do Boga?
Miecz sądu chwytasz do ręki? —
Zjawia się oto przestroga:
Żar święty, co w Tobie płonie
już całym spala się blaskiem;
Bogowie cię darzą oklaskiem,
lecz okręt Twój w fali — zatonie.
Przyspieszasz narzędzie męki,
powalisz w Sądzie Klaudyusze
i ujrzysz zbrodnię: co zyszcze —
Lecz, iżeś zaważył dusze
samegoć zwalę i zniszczę!“

„Hamlet jest tylko człowiek“ i Konrad — Wyspiański - jest tylko człowiekiem, więc ogniem się własnym spali i karę straszną za swój Sąd poniesie: Nie ludzie rządzą światem!

Taką jest istota winy Konrada — Orestesa — Hamleta w dramacie „Wyzwolenie“.

Pan Kotarbiński nie widzi winy Konrada i do rozwiązania trudności powołuje na pomoc „repertuar cudów“ poezyi Wyspiańskiego. Można się obejść bez „cudów“.

*

P. Kotarbiński grubo przesadza, gdy przypisuje stosunkom i stosuneczkom lokalnym Krakowa znaczny wpływ na usposobienie i charakter poety. Nastrój wiersza rymanowskiego o „łzach sobaczych“ jest dosadnym wyrazem nie jakiejś zaściankowej animozyi, lecz wielkiej nienawiści i pogardy, jaką żywił poeta wogóle dla „człowieka współczesnego“. Atmosfera krakowska mogła się tu tylko przyczyniać. Jest w Wyspiańskim nienawiść paląca wszystkiego, co mu się podłem, niewolniczem, nikczemnem wydawało. Sąd o życiu i ludziach miał surowy. I jeżeli to życie nazwał „trudem, co go zabijał“ — to jestem przekonany, że nie byłoby ono dlań lżejszem, ani w Poznaniu, ani w Warszawie, ani może nigdzie na świecie. Wolność, w najszerszem pojęciu była naczelną potrzebą jego ducha, jak powietrze dla płuc, niewola polityczna, niewola myśli, przekonań, oportunizm, na którym świat cały stoi — dusiła go i budziła zacięty odruch obrony, zamiar krwawego odwetu, anarchistycznego zniszczenia. Był wtedy krańcowym, okrutnym i nie cofał się przed bluźnierstwem wobec uznanych powag świętości. To też w interpretacyi Piasta ma słuszność p. Kotarbiński, a nie pan Flach. Wyspiański jest największym anarchistą wśród poetów Polski.

* * *

Achilleis.

Szkoda, że p. K. pokpiwa sobie z artykułów Lacka o tym utworze. Gdyby był kilka razy uważnie je przeczytał i przełamał zawiłość stylu, nauczyłby się dużo od Lacka, bo nikt lepiej od niego od Achilleidzie nie pisał i nikt nie miał tyle informacyi od samego Wyspiańskiego, co właśnie Lack, więc jego rozprawy o dziełach Wyspiańskiego, powinien przestudyować każdy, kto pisze o Wyspiańskim. Wywody p. K. o Achilleis są przeważnie nieprzekonywające i pobieżne, a zrozumienie utworu bardzo słabe. Przypuszczam, że p. K. nawet porządnie nie przeczytał tego dramatu, który daje Wyspiańskiemu prawo do tytułu pierwszego hellenisty wśród naszych poetów nowożytnych; chybaby w wieku XVI lepszych szukać. Widocznie jest w tym dramacie gruntowna znajomość źródeł filozoficznych, zaostrzona subtelnem poczuciem estety, któremu nie

był obcym sąd Nietsche'go o t. z. pogodzie duszy starożytnego Greka. Konstrukcye mitologiczne są arcydziełami w swoim rodzaju, wyrosłe na niezwykłem u nas znawstwie przedmiotu. Były już próby tłómaczenia Wyspiańskiego na języki obce. Sądzę, że przedewszystkiem Achilleidę należałoby przyswoić literaturze powszechnej: temat należy do kultury całego, cywilizowanego świata, sposób ujęcia jest nadzwyczaj oryginalny i świeży, a przytem charakterystyka Achillesa i Hektora jest znakomitym wyrazem indywidualności poety. Nie wskazał p. K. tej indywidualności, nie dostrzegł, że Achilles i Hektor to rodzeni bracia Konrada, z którym w jednej epoce się rodzą, że występują tu typowe dla Wyspiańskiego składniki jego tragiczności: Zbudzenie się ducha, Los i Przypadek. Uszedł uwagi krytyka wrogi stosunek Achillesa i Laokoona do Apollina, reprezentującego w dramacie ład, spokój, karność, prawo i przymus w krainie ducha, a w konsekwencyi niewolę duszy, z której wyłamał się mityczny flecista Marsyasz, ukochany towarzysz i czciciel Dyonizosa, boga orgiastycznych szałów i niepomiarkowanego natchnienia budzącego do rzeczy wielkich, naprzekór prawom syna Latony. Nie zastanowiła p. Kotarbińskiego tajemnicza postać pół-boga Parysa, noszącego się jak Adonis, z majestatem miłości bogini. A Afrodyta-Izys-Helena, pojęta tak przepięknie i oryginalnie i tak głęboko, zwłaszcza w ostatniej scenie! A Pentesilea, przecudna dziewczyna, spływająca po fali nieszczęsnych losów w objęcia Achillesa, który miał ją wedle mitu sam zabić i pokochać skrwawione jej zwłoki. A ten zbudzony duchem Ajaks w obliczu Marsyasa i „niewiastki“ Nocy, on wczoraj jeszcze zbój okrutny, dziś bohater i rycerz z pod znaku szlachetnego Achillesa!? I to i tyle jeszcze oryginalnych, pięknych, głęboko przemyślanych szczegółów, aż do wniebowzięcia Achillesa — Herosa i boga — to wszystko chyba przerastało i wiedzę i poczucie piękna p. Kotarbińskiego, skoro o tem albo tylko zdawkowo napomyka, albo przemilcza, albo się dziwi, albo wykręca się z trudności „mistycznym tumanem“, lub frazesem o „megalomanii“ bohatera. Nieszczęście z tym „mistycyzmem“! P. Kotarbiński ma go na każde zawołanie, gdy mu coś niejasne, niezwykłe, co wymaga pewnej forsy myśli, lub powtórzenia podręcznika mitologii. Pan Kotarbiński chrzci od ręki mistycznem na prawo i lewo i to nie tylko tu, gdy ocenia Achilleidę. „Mistykiem“ jest Achilles, mistykiem „pysznym“ jest Hektor, a Ajaks rozprawia „metafizycznie“ (*sic*). Cóż zrobiłby p. K. z Menelausem albo Marsyaszem, gdyby chciał się nad nimi zastanowić i postanowił ich definiować? Może Marsyasz zostałby dla odmiany „bzikiem“, za jakiego go zresztą miał ogół żołdaków greckich. P. Kotarbiński nie zrozumiał prawie niczego z całej Achilleidy i rozwodnił jej rozbiór stekiem banalności. I trzebaby czekać Marsyasza, żeby go przebudził i dał mu — „chwile niepospolite głębokich zamyśleń“! *Sapienti sat.*

*

Akropolis nazwał p. Kotarbiński trafnie „najbardziej syntetycznym w całym dorobku twórczym poety“. Zapowiedź gończej Jutrzenki, świtów Zmartwychwstania i przybycia Salwatora rozjaśnia już szczyt Kapitolu w Legionie i rzuca promień zbawczej nadziei w mroczną scenę szaleństwa Konrada na samym końcu Wyzwolenia (wydanie I).

Wspomniałem już o pokrewieństwie Harfiarza z Rapsodem. Pierwszy akt Akropolis wyrósł z ziaren, rzuconych w Kazimierzu Wielkim (por. Kretz, Akropolis, jako dramat świadomości narodowej. Lwów, 1910). Symboliczna trumna św. Stanisława jest już w Kazimierzu, a w Bolesławie Śmiałym odgrywa pierwszorzędną rolę.

Przypuszczam, że idea Akropolis była oddawna w umyśle poety i że pod jej zaklęciem powstawały wszystkie t. z. „ideowe“ utwory. Cokolwiek było w nich nadzieją, pogodą, radością, ukochaniem życia — zbiega się, jak po promieniach koła, ku centralnemu ognisku, ku życiodajnemu, pędzącemu przez Noc i mroki Słońcu Chrystusa-Apollina.

Dziś, kto już przeczytał gruntowne studyum J. Kretza o Akropolis, nie wiele straci, gdy pominie to, co p. K. o tym dramacie napisał, zwłaszcza, że i tu powtarza się stara historya: czego krytyk nie zrozumiał, nazwał „aberacyą“, a cały dramat określił po swojemu, jako mistyczny. Najlepiej stosunkowo wypadło objaśnienie ostatniej sceny. Nie zgodzę się jednak, by Apollo-Chrystus był tylko symbolem „wyzwolenia i zwycięstwa w dziedzinie sztuki i poezyi“. To należy traktować szerzej, bo jakże wytłumaczyć te rzesze ludu „daleką drogą strudzone“, wyczekujące u wrót Wawelu przybycia Salvatora? Czy czekają one wyzwolenia i zwycięstwa tylko „w dziedzinie sztuki i poezyi“? „Jam jest siła, moc!“ ogłasza światu Salvator piorunowym głosem. Byłbyż to tylko ten Apollo z lirą, bóg pieśni i muz kochanek? czy raczej Apollo-Helios ze słońcem w kędziorach, bóg światła, życia, mocy ciała i ducha, odrodziciel narodu, zbawca - Salvator, któremu cień - trumny jasność dnia zamroczył! ?

Salvator - Chrystus - Apollo jest wyzwoleniem we wszystkich dziedzinach życia narodowego, bo:

„Trąby huczą jako działa...
jakby już Polska wszystka wstała,
jakby już szczęście swoje miała!“

*

Noc Listopadowa została dobrze streszczona i objaśniona w wykładzie, gdzieniegdzie nawet bardzo oryginalnym i przekonywującym. Najlepszem jest to, co autor pisze tu o karze (w zakończeniu książki wysnuwa jednak stąd fałszywe wnioski), a zwłaszcza o symbolicznem zjawisku Łukasińskiego. Wobec alegoryi mitologicznych zajmuje p. K. stanowisko odporne; zarzuca im chłód,

dziwaczność i rozdźwięk z duchem „najnowszej (romantycznej) poezyi, który się już wtedy przebudził i odezwał z płomienną wymową młodości". Przypominają słowa te znany już zarzut, robiony Warszawiance, który starałem się wtenczas uchylić. Nie można się godzić na sądy p. Kotarbińskiego o t. z. „pseudo-klasycyzmie", szablonowe, szkolarskie definicye pewnych, zresztą nader cennych podręczników. Postępując według ich wskazówek, odgraniczył p. K. hellenizm Nocy Listopadowej od naszego pseudo-klasycyzmu (wołałbym „klasycyzm" jako termin ówczesnej epoki, niż ten „pseudoklasycyzm) złożony *ex post* dla historycznej oryentacyi przez klasyfikatorów literatury). P. Kotarbiński powtarza, jakoby ten pseudoklasycyzm nie uznawał (!) Arystotelesa i był owocem francuskiej kultury. Po części tylko w tem racya, jeżeli chodzi o naszych matadorów literackich. Ale w szerokich warstwach oświeconego ogółu, była jeszcze dominującą kultura łacińska, ugruntowana przez Kościół i szkołę. Przez nie były jeszcze w epoce Królestwa kongresowego helleńskie mity żywymi składnikami przeciętnego nawet wykształcenia, a ich alegoryczne znaczenie na ogół zrozumiałe. Przez Wirgiliusza, Owidyusza, przez Homera nawet, znanego lepiej, niż kiedykolwiek przedtem, dzięki Dmochowskiemu, szła znajomość świata helleńskiego, a w szczególności jego mitologii, która była ulubioną lekturą bodajże i panienek. Tak, drogą pośrednią, często nawet za pośrednictwem romansu francuskiego lub Racine'a szerzyły się znajomość i upodobanie w micie helleńskim a Marsy i Pallady były ulubionemi bóstwami rycerskiej młodzi, wychowanej na żywej tradycyi legionów Napoleońskich. Mnie razi w Nocy Listopadowej nie samo użycie alegoryi mitologicznej, lecz jej nadużycie, przeładowanie. Nawałnica bogów i pół-bogów, kłębiąca się nad Warszawą, stwarza niby drugi równoległy ziemskiemu, dramat powietrzny, a to co winno być tylko środkiem artystycznego, obrazowego przedstawienia myśli, odrywa nieraz uwagę i uczucie od właściwej tragedyi i zmusza ustawicznie czytelnika przerzucać się w dwa światy, w dwie akcye.

Dłużej zatrzymywać się nad Nocą Listopadową nie widzę potrzeby; scena dała jej popularność i ułatwiła zrozumienie, które zresztą przychodzi bez wielkiego trudu nawet dla przeciętnego słuchacza i czytelnika. Ciekawem byłoby dokładne zbadanie, w jaki sposób materyał historyczny (Wyspiański poznał go bardzo dokładnie) urobił się z wyobrażeniem poety, ale to przekraczałoby ramy tak książki p. Kotarbińskiego, jak i artykułu recenzenta. Co można i należałoby podnieść w krytyce Nocy Listopadowej — to przedstawienie Joanny i wytłómaczyć jej stosunek do Aresa. Nad tem dotychczas mało się zastanawiano, a szczegół to ciekawy i ważny.

*

Hamleta wspomniałem już przy komentowaniu Wyzwolenia Jedyne to dzieło prozaiczne Wyspiańskiego, napisane niezwykłym

stylem ciągłego syllogizmu, wykazuje dowodnie, jak wiele z Hamleta jest i w samym Wyspiańskim i w jego bohaterach, a nadto jak wiele w tym Hamlecie przemyślanym przez Wyspiańskiego, jest z samego Wyspiańskiego. Rzecz ciężka, bardzo ciekawa, przeplatana tu i ówdzie wierszem, uchodzi za dowolną, fantazyjną interpretacyę Hamleta. Hamletem Szekspira specyalnie nie zajmowałem się, więc nie mogę oceniać surowej krytyki p. Kotarbińskiego. Zdaje mi się jednak, że nie bardzobym się pomylił, parafrazując słowa Wyspiańskiego: „Kto chce poznać Hamleta, niech komentarzy do Hamleta nie czyta, bo jeśli już miałby co czytać, co miało wspólność z Hamletem, to wolałby czytać Hamleta i — myśleć". Kto jednak chce poznać Wyspiańskiego, ten musi przeczytać jego studyum o Hamlecie i — myśleć.

*

Skałka.

Zachował się w papierach po Wyspiańskim fragment wierszowany, jakby wstęp do Skałki, a właściwie do teatralnego przedstawienia Skałki. Treść jego: Na kurtynie jest namalowana scena z uroczystego obchodu św. Stanisława na Skałce. Ponad tłumem pobożnych, ponad chorągwiami i lasem krzyżów unosi się „wid" Świętego w stroju biskupim, z księgą w ręku; trzyma w uwięzi jakoweś „dziwo" u stóp przyczajone, okryte „śmierci prześcieradłem". „Ten wid jest teatru zasłoną, idzie w górę... i lat tysiąc mija, dekoracya w gaje się rozwija, w sady wonne, w sady ukwiecone, w gontyny zczerniałe, palc, kryte stropem..." Jest więc dramat Skałka, niby retrospektywnym przerzutem od dzisiejszego „widu" — kultu świętego po linii wieków, urabiających treść i rosnący zakres tego kultu ku jego źródłom i pierwszym zdarzeniom, które w ostatecznym wyniku wyniosły postać zagadkową biskupa na dzisiejszy szczyt nieodwołalnej, religijnej świętości. Sposób ujęcia tej postaci wskazany w owym fragmencie wstępu przez samego poetę, był mu nieraz już zasadą dramatyczną, wyraźną w Legionie i Bolesławie, załamaną w Wyzwoleniu. Tę zasadę dostrzegł w Skałce pierwszy, o ile mi wiadomo, p. O. Ortwin i użył na jej oznaczenie terminu „legenda". Rzeczywiście w Skałce mamy jakby narodziny „legendy" ze zdarzeń, które domysł i fantazya poety ugrupowały w dramat najbardziej zwarty i najbardziej symboliczny. Zwartość, oszczędność lapidarnych słów, dźwięczących spiżem, jest oryginalną cechą Skałki. Jest coś podobnego tylko w Sędziach. Szata słowna odpowiada treści i myśli utworu. Uważam Skałkę za rodzaj testamentu gasnącego poety, gdy Śmierć, druh i wybawicielka u głowy mu stała cierpliwie, szepcząc prawdy sakramentalne, niezbite i wieczyste.

Poeta spieszył się, słów nie marnował, każdy wyraz napisany, każda litera była niezmiernym trudem, jedną sekundą bliżej zgonu. Całe ustępy Skałki są już pisane ręką p. Stankiewiczowej.

Bardzo trafnie powiązał A. Siedlecki w studyum o Wyspiańskim, utwór ten z przemianą nastroju duszy człowieka, już zrezygnowanego i oczekującego z właściwą zrezygnowanym mądrością i spokojem ukojenia w śmierci. Skałka jest najbardziej subjektywnym utworem poety, w najdostojniejszem pojęciu i momencie, gdy „ja" kończy się tu, a zaczyna się tam — na wieki. Św. Stanisław, wyzwolony z tragedyi życia i już z jego mętów oczyszczony dotknięciem lilii, żyje jeszcze, choć Śmierć już przyszła. Żywymi jeszcze się czujem — już na progu wieczności! Oto silny efekt ostatniej sceny. Tak czuli chyba prostaczkowie dawnych wieków na przedstawieniu religijno-moralnych dyalogów, gdy Śmierć koścista z kosą i białą płachtą, wstępowała na deski jarmarcznej sceny przed oblicze umierającego grzesznika, by mu dać ostatnie upomnienia: grozić ogniami piekła lub koić słowem niebieskiej pociechy. Gdy pisałem na wstępie o średniowieczno - ascetycznem pojęciu śmierci, miałem na pierwszym planie Skałkę; jej ostatnią scenę, gdy o niej myślę i gdy ją sobie wyobrażam, widzę na starym obrazie gotyckiego tumu, wśród zczerniałych, wychudłych twarzy męczenników.

P. Kotarbiński tak, jak A. Siedlecki we wspomnianem już studyum, starają się sformułować myśl Skałki. Pierwszy widzi tu „zwycięstwo najstarszej tradycyi państwowej nad potężną duchem śmierci legendą kościelną", drugi obiera za punkt wyjścia moment życiowy autora i dostrzega „podmiotową prawdę, iż na wyżynie ducha pewnych kręgów myślenia, wszelka walka zamienia się w pojednanie... wszelka krew przelana w dobrowolną ofiarę — niemasz wrogów i niemasz sporów w szczytnej godzinie wyzwolenia się od doczesności". Można Skałkę z wielu jeszcze stron oświetlać! Tu zwrócę uwagę na winę tragiczną Stanisława. W ostatniej scenie powiada Śmierć do biskupa: „Wyzwałeś Boga, wieszcz i wróż." Biskup odpowiada: „Ciałem się słowo stało. Otom jest s ę d z i a ludzkich win", a dalej tłumaczy się przed Śmiercią: „dla prawdy jeno wiecznie stoję". Otóż jego prawdą, przeznaczeniem i obowiązkiem sumienia pasterskiego było osądzić króla, by zbawić lud. A na to następuje replika Śmierci i sąd Śmierci nad czynem biskupa: „Idę by Prawdzie (twej) zadać kłam. Zetlały ludu twego krąg skruszyłeś... zatrzymałeś rzeczy bieg... ale jeden jest Prawdy wieczny bieg: że niema życia krom przez grzech... gdy żywi życiem poczną żyć, z żywymi ty nie możesz być...," bo „B ó g s ą d z i s a m." „Najcięższą wziąłeś winę win, ż e ś w s t r z y m a ł b o ż e j r ę k i s ą d i s a m w y p e ł n i ł c z y n i s ł o w o p o t ę p i e n i a... Krwią spłacisz winy święty dług, a duch zwolony będzie".

Z wyroku Śmierci wybrałem tylko te zdania, które określają winę i karę biskupa. A teraz znowu przypomnijmy sobie te słowa z Hamleta: „M i e c z S ą d u c h w y t a s z d o r ę k i?... Żar święty, co w Tobie płonie, już całym spala się blaskiem; Bogowie Cię darzą oklaskiem, lecz okręt twój w fali — zatonie".

Przyspieszasz narzędzie męki, powalisz w Sądzie Klaudyusze .....Lecz iżeś zaważył duszę — samegoć zwalę i zniszczę“. Ale „nie wolno jemu człowiekowi, nie podjąć tego, co mu przeznaczono“.

Mówi Śmierć: „Jeden jest Prawdy wieczny bieg, że niema życia, krom przez grzech... gdy żywi, życiem poczną żyć, z żywymi ty nie możesz być“ —

„BIADA ŻYJĄCYM! (Studyum o Hamlecie, str. 104).

Gdyby z żyjących zdołał kto uniknąć
zawiści, zdrady, przejść cało przez zbrodnie,
nie skalać duszy w zetknięciu z obłudą
i przez największe pokusy przejść cichy,
z piętnem aniołów i Bogów gloryją
. . . .
znaczyłoby to, że on rządzi światem
i Bogu równy jest i Bogom bratem!
W swej ręce chyli sam tę losu szalę,
którą Bóg waży sam — takiego zwalę
Koniec Hamletów!“

Koniec i Stanisława, który wieńczył lilią czyste skronie, a chór mu śpiewał: „Otoś stawion wódz przed nami. Ciebie żaden grzech nie plami, wieniec lilii zdobi skronie. Żar się pali, świat w noc tonie!“ Chór oddala się w stronę zamku, Biskup postępuje za nimi, lecz oto zjawia się Śmierć. I zda się, że słychać już teraz późniejszą przestrogę: „z żywymi ty nie możesz być!“

Biskup zginie i to z ręki tego Bolesława, którego osądził i potępił, z ręki tego, który był „Boży“ gniew i narzędzie Boże. Biskup już „z piętnem aniołów i Bogów gloryją“ modli się za swego zabójcę (zwracam uwagę na treść tej modlitwy). Stanisław za chwilę zginie. Śmierć sądzi, ale i rozgrzesza; za jej progiem traci Los swą moc: „Przemogłeś Śmierć, zwycięski duch, człowiek twe skruszy ciało, by wieczny temu podał słuch, co z ducha w tobie wstało“ ....„bo prawda Twa we śmierci jeno wiecznie trwa — — jesteś wzniesion ponad czas, ponad żywot, ponad świat, w tysiąc lat.“ Oto Śmierć pasuje go na swego rycerza i daje już kanonizacyjne orędzie w ręce ŚWIĘTEGO Polski. Oto Los — Wina — Kara — Uświęcenie. W tem zrozumieniu nikt nie zwycięża, nikt nie ulega, ani Biskup, ani Król-narzędzie Boże. Bo „nie ludzie rządzą światem“.

Pan K. słusznie zaznacza, że Wyspiański miał jeszcze zamiar doprowadzić do aktu zgody i przebaczenia obu przeciwników. Taką tendencyę ma fragment p. t. „Św. Stanisław“, ogłoszony po śmierci poety.

*

Powrót Odyssa należy do tych utworów Wyspiańskiego, które same przez się jasno się tłómaczą. Budowa zwięzła, wspaniałe efekty dekoracyjne, do przedstawienia na scenie zupełnie możliwe. Jedna postać Hermesa wymagałaby w zasadzie aktora wielkoluda o linii posągowej. Nawet Syreny-sępy, wzorowane na obrazie Boecklina można by doskonale upierzyć, dziś po wznowieniach Arystofanesa, no i po — Chanteclair'ze; a we Lwowie i w Warszawie, gdzie są dekoracye skalistego wybrzeża morskiego z Latającego Holendra nie byłoby wiele kłopotu z pejzażem ostatniej sceny. Jest jeszcze jedna ważna zaleta sceniczna w Powrocie Odyssa: niezmierna żywość akcyi zwłaszcza w barwnych scenach z gachami. To też dramat ten powinien wejść jak najprędzej na nasze sceny.

Pan K. pisze o nim bardzo dobrze. Szkoda jednak, że za mało uwagi zwrócił na silny związek dramatu z Achilleidą. Odyseusz jest tu tym samym, co tam, a właściwie konsekwentnym wynikiem tamtego. P. Kotarbińskiemu nie podoba się Odyseusz w pojęciu Wyspiańskiego — i to można by przyjąć, bo to rzecz gustu, ale co sądzić o takiem zdaniu: „Atmosfera duchowa dzieła kłóci się z nastrojem chwili, w której ono powstało. Determinacya bohatera, szukającego w śmierci rozwiązania zagadki swego bytu, nie może znaleźć oddźwięku w pokoleniu obecnem, które pomimo czasowego przygnębienia, żyje pragnieniem odnowy i przemiany". Jeżeli tak jest rzeczywiście, to połowa chyba największych dramatów świata nie znalazłaby oddźwięku — a jednak znajduje. To jest frazes — co p. K. napisał.

*

Uwagami o przekładzie Cyda i krótką oceną Sędziów zamyka p. K. zasadnicze rozdziały o dramatach i poematach, napisanych i drukowanych w całości. Nie mam ustalonego zdania o Sędziach. W czytaniu wydał mi się ten dramat słabszym od Lelewela; widziany i słyszany w teatrze lwowskim wywarł na mnie silne wrażenie. Sam z sobą jeszcze w niezgodzie, wolę o nim zamilczeć. Pominę również to, co p. K. pisze w rozdziałach XVIII do XXI o fragmentach, listach, drobnych lirykach, urywkach prozaicznych i projekcie zabudowania Wawelu. Wszystko to zebrał sumiennie z czasopism i chyba niczego nie pominął. To też pod tym względem ma p. K. wielką zasługę, zwłaszcza dziś, gdy jeszcze tom II „Pism pośmiertnych", mający to wszystko objąć i nadto rzeczy nieznane, nie wyszedł, a kompletny „Zygmunt August" za rok dopiero ma pójść do druku.

Przechodzę do końcowego rozdziału pt: „Zarys ogólny". Jest to jakby synteza książki. Autor wyróżnia podług osnowy 4 grupy dzieł: heleńską, legendowo-piastowską, grupę powstania listopadowego i najważniejszą romantyczno-ideową. Każdej z nich poświęca ustęp roztrząsań, przeważnie uzupełniających, czasem tylko powtarzających to, co napisał przedtem o poszczególnych dziełach.

Ostatnie kartki są poświęcone ideologii, wyobraźni, zdolności dramatycznej „instyktowi teatru“, właściwościom wysłowienia i wiersza i hipotezom na temat trwałości dzieł poety. Wierny zasadzie podnoszenia tylko tych wywodów, które należy prostować lub dopełnić (niektóre z nich w „zarysie“ ogólnym tylko powtórzone i rozszerzone, starałem się po drodze zaczepić), zatrzymam się przy najważniejszych.

Gdym czytał rozbiór Nocy Listopadowej, zdawało mi się, że p. K. zrozumiał elegoryę „Kory“. Teraz zdanie zmieniam, gdy czytam na str. 341-2 *ex re* przepowiedni Kory, że „poezya jego (Wysp.) w kołowym ruchu cofa się ku dawniej zwalczanym ideałom“ a sam poeta, „wrócił pod skrzydła opiekuńcze romantyzmu i tragedyi“. Czytam i oczom nie wierzę. Jakto, więc Kora byłaby siostrą Geniusza? Czyż jej przepowiedzie przeczą w czemkolwiek hasłom Konrada? Nie zrozumiał p. K. słów Kory: „Umierać musi, co ma żyć“ i myśl ich źle zrozumianą, pomieszał z tym romantyzmem i tradycyą, jakie Wyspiański stale zwalczał. Wszak Kora mówi dalej: „Śmierć tych użyźnia nowe pędy i życie nowe sieje wszędy“ a właśnie Geniuszowi romantyzmu zarzucał Konrad: „W państwie twojem czarów wszędy śmierć jeno ta wieczysta i nieśmiertelność dająca“. Czyto w rozmowie Kory z matką, czyto w proroctwie, głoszonem Joannie, nie słyszę „cofania się ku dawniej zwalczanym ideałom“. Tu jest zupełnie co innego. Może być, że w słowach Kory można się doszukać i „wiary“ romantycznej, ale nie tej, jaką zwalczał Wyspiański.

Za późno powoływa się p. K. na pierwsze studyum St. Brzozowskiego, by poprzeć fantastyczną teoryę, jakoby „poezya Wyspiańskiego wypływała przeważnie z marzeń sennych“ i utwierdzić drugi sąd fałszywy, że Wyspiański nie był „myślicielem“. Cały szereg prac następnych Brzozowskiego o Wyspiańskim jest odwołaniem tego, co tam napisał. Nie należy się łudzić wstępem do Bolesława Śmiałego; jest to tylko zwrot retoryczny. O rodzaju i wartości ideologii poety może być zdań kilka, alę zaprzeczać jej istnienia i jej doniosłości nie wolno! Wyspiański nie jest myślicielem! A czemże jest walka Konrada z Maskami, jak nie męką natężonej i zwycięskiej myśli która może mieć chyba tytuł do „myślicielstwa“.

Już na czele artykułu mego wskazałem niezdecydowane stanowisko krytyka, czy Wyspiański był czy nie był romantykiem. W tytule nazwał go pogrobowcem romantyzmu, a pogrobowiec znaczy: syn, urodzony po śmierci ojca, więc w przenośni spadkobierca ojcowskiej dziedziny i myśli. Nie udało się jednak przeprowadzić tezy zawartej w nagłówku. Nie udało się w całej książce, nie udało się i w zakończeniu, gdzie autor wciąż się chwieje, wikła, podsuwa poecie nieistniejące „obalanie geniuszów przewodników ludzkości“ jakoby Geniusz z Wyzwolenia nie byt geniuszem specyficznym, a nadto Geniuszem *Loci*, Wawelu. Plącze się p. K. w sieć własnych sprzeczności, a jednak, gdyby był poprzestał na jednem

zdaniu własnem: „Poezya Wyspiańskiego jest w znacznej mierze negacyą i spuścizną wielkiej romantyki“, a lepiej przestawiwszy: spuścizną i negacyą — miałby racyę. Jest Wyspiański wprawdzie „pogrobowcem“ ale dodajmy koniecznie: synem wyrodnym swego rodzica. Jest jeszcze druga kwestya, z którą krytyk nie mógł sobie poradzić, a może i nie chciał, skoro okazał ochotę do jej zaprzeczania. Jest to tak zwana „ideologia“ Wyspiańskiego. Pod tym względem panuje w książce p. K., mówiąc jego słowami, „mistyczny tuman“, a po prostu, chaos i bezład. Przyznaję, że stormułowanie tego najważniejszego zagadnienia jest trudem nielada. Dzieła poety robią wrażenie, jakby autor je pisał sam dla siebie i nie liczył się z czytelnikiem. Co jemu było jasnem i prostem, a w literackiem ujęciu ograniczało się nieraz niby do umówionych znaków między myślą a słowem, to trzeba raz poraz odczytywać, wiązać, nawet zgadywać. A jednak myśl badawcza dochodzi po dłuższem studyum do poznania konstrukcyi ideowej i artystycznej t. z. „typowych“ dramatów poety. Czas już największy pokusić się o systematyczną, dokładną odbudowę strzelistych gmachów poety. P. Kotarbiński był do tego poniekąd zobowiązany, skoro zakreślił swe dzieło na skalę szeroką, ujmującą całą twórczość Wyspiańskiego.

Od Legionu do Sędziów — kroczy szereg bohaterskich postaci; wszyscy oni różni, a jednak — ci sami. To się czuje doskonale, to nawet wyczytać można z ich oblicza. Więc należy zdjąć runy, wryte w ich czoła i sformułować: 1. Czem jest Los, przeznaczenie w pojęciu poety? 2. Czem Śmierć? 3. Czem przypadek? 4. Czem jest raz wyrzeczone i obowiązujące „Słowo“? 5. Na czem polega „wina“ i „kara“ tragiczna wielu postaci? 6. Pojęcie krzywdy własnej i cudzej i podjęcie czynu za pokolenie ojców. 7. Pojęcie Boga. 8. Co znaczy „dusza wolna“? 9. Rola bohaterów w dziejach narodów. 10. Wiara w istnienie pozagrobowe i koleje pozagrobowego życia (swoiste pojęcie metempsychozy). Byłyby to najważniejsze zagadnienia natury metafizycznej, etycznej i historyozoficznej. Patryotyzm Wyspiańskiego jest już na ogół sformułowany. Zostaje jednak istota artyzmu, czyli według słów poety „konstrukcya artyzmu“, którą wyłożył w Wyzwoleniu, a po części i w Hamlecie. Odbudowa tej „konstrukcyi“ w liniach najjaśniejszych jest nieodzownym warunkiem zrozumienia misyi Wyspiańskiego, do której się poczuwał w tych dumnych słowach:

„I na czele stanąłem sotni
harfiarzy i Pańskich śpiewaków,
gdy jako chóry ptaków,
śpiew się nasz wielokrotni“. *Akropolis.*

Nie zrozumimy Wyspiańskiego, póki nie wstąpim na same szczyty jego Parnasu. Z tych wyżyn dopiero roztoczy się jasny widnokrąg jego twórczości.

Lwów. *Dr Przemysław Mączewski.*

POLEMIKA.

P. St. Strońskiemu w odpowiedzi słów kilka.

P. St. Stroński zamieścił w *Pam. lit.* (1910 str. 339—350) o mojej rozprawie p. t. *Berte aus grans pies w liter. germańskich i romańskich* recenzyę zjadliwą, miejscami szyderczą, w której daje mi na końcu życzliwą radę, że „byłoby lepiej, gdyby praca tak niedojrzała nie była się ukazała", ponieważ *a)* albo przepisuje dawno znane wyniki badań, „streszczone już w *Grundriss'ach* Groebera i Beckera, *b)* albo proponuje zmiany nie do przyjęcia".

Rada szanownego recenzenta jest zanadto przejrzystą, aby wymagała komentarzy. Inna rzecz, gdy sz. recenzent ma sąd swój uzasadnić.

W tym celu mimowoli może:

I.) przeinacza tekst mojej, względnie innych, pracy;

II.) wypisuje wiadomości z palca wyssnute;

III.) ignoruje stan badań nad podaniem o Bercie;

IV.) nie rozumie tekstów staro-francuskich lub cytuje je po odpowiedniem obcięciu;

V.) miesza zapatrywania dawniejszych badaczy z moimi poglądami, opartymi na zebranych przez nich wyimkach ze średniowiecznych kronik i na tle tego polemicznego bigosu utrzymuje z całym spokojem, że powtarzam rzeczy znane.

A teraz kilka przykładów na udowodnienie powyższych pięciu zarzutów.

ad I.) Szan. recenzent pisze o mnie:

„Autor nie rozumie argumentów Aretina (vide str. 63. n. 1.). Aretin mówi o „Schreibart" kroniki, t. j. o stylu i o sposobie pisania... a autor, rozumiejąc, że „Schreibart" oznacza paleograficzny charakter pisma..." (*Pam. lit.* str. 343—4.)".

Otóż Aretin nie mówi wcale o „Schreibart" *kroniki,* ale o Schreibart *des Manuscripts.* Szan. recenzet zastępuje wyraz *des Manuscripts* wyrazem „kroniki" i pod osłoną tej zmiany natrząsa się ze mnie, że nie rozumiem Aretina i drwi sobie z czytelników *Pamiętnika,* będąc z góry pewnym, że nikomu z nich nie przyjdzie do głowy zająć się sprawdzeniem takiego szczegółu.

ad II. 1) Pisze szan. recenzent:

> Autor wywodzi *M*³ (t. j. wersyę poematu franko-włoskiego *Aquilon de Baviere)* i *R* (t. j. wersyę utworu *I Reali di Francia)* wprost z poematu weneckiego *V.*, dopuszczając co najwyżej wpływ Adeneta i to jako bardzo niepewny, o ile chodzi o *M*³ (*Pam. lit.* str. 342.).

Niestety jest to wiadomość, nie wiem, skąd zaczerpnięta.

Nie tylko „dopuszczam wpływ Adeneta, o ile chodzi o *M*³, ale z całym naciskiem równocześnie podkreślam wpływ Adeneta, o ile chodzi o *R.* To też cały wywód szan. recenzenta (na str. 342.), który przeoczył ten ważny fakt, dwukrotnie u mnie naznaczony (str. 132. i 151.), o mieście *Mans,* lesie *Maine,* rzeczce *Magno* i *Maine* jest nabrzmiałym „bykiem" na kurzej stopce gdyż *M*³ i *R* nazwę *Mans* przejmują u Adeneta (a nadają jej brzmienie bardziej włoskie *Magno, Maine),* pominąwszy już drugi fakt, znowu przeoczony przez sz. recenzenta, a zaznaczony u mnie (str. 124.), że *M*³ mógł wprost

korzystać z *R*. Zarzut zatem sz. recenzenta, że wersye włoskie sprzeciwiają się w czemkolwiek moim wywodom, jest bezpodstawowy i polega na dwóch przeoczeniach.

2). Pisze dalej sz. recenzent:

„Uważano dalej, że *M*³ i *R* opierają się nie tylko na najstarszej wersyi włoskiej *V*, ale i na innych jakichś źródłach zaginionych (*Pam. lit.* str. 342.).

Otóż znowu wiadomość, nie wiem, skąd wzięta. Konia z rzędem, sz. recenzentowi, jeżeli wymieni tego, który „uważa, że *M*³ opiera się na *V*“. Jedyny człowiek, który poświęcił jedno zdanie wersyi o Bercie, zawartej w *M*³, prof. Thomas utrzymuje, że ona różni się właśnie od *V* i *R* a jest refleksem zaginionego poematu. „Sur *Berte* (et *Mainet*) il (scil. *M*³.) nous offre deux récits également développés, également différents des *Reali* et des poèmes franco-italiens (t. j. *V*) que nous possédons, et où on doit reconnaître des analyses de poèmes aujourd'hui perdus. (*Romania* XI. p. 545.).

3). Pisze również o mojej pracy sz. recenzent

„Wystarczy zajrzeć do Gautier'a *Bibliographie des chansos de geste* (1897) lub do podręczników, aby znaleźć spis pełny“ (scil. owych 20 wersyi, omówionych w mojej pracy.)

Jak widzimy, sz. mój oponent ze zbytku przezorności żadnego z tych „podręczników“ nie wymienił, tak, że nie wiem, jakie działo ukryte ma na mnie, ale sądzę, że mogę zaryzykować drugiego konia choć już bez rzędu, utrzymując, że takiego podręcznika jeszcze niema, któryby „zawierał spis pełny“ owych 20 wersyi, bo nawet *Bibliografia* Gautiera (jeżeli nawet do niej dodamy czterotomowe jego studyum o „Epopejach starofrancuskich“ i złożymy jeszcze do kupy prace moich poprzedników (Ferd. Wolfa, Feista, Arferta i Mureta) rejestruje tylko 18 wersyi. Wersya zawarta w kronice Henryka z Monachium i wersya o Bercie, zawarta w *Aquilonie de Bavière* uszły uwagi wszystkich moich poprzedników, nawet bibliografa Gautiera. A do tych 20 wersyi dołącza się jeszcze jedna, która uszła uwagi nie tylko moich poprzedników, ale i mojego następcy t. j. szan. p. recenzenta. O niej niżej słów kilka.

ad III.) Zarzuca mi sz. mój oponent, że

„zamiast poważnie zbadać sprawę, zbyt łatwo przesuwam *Kronikę Weihenstefańską* z XIII. na w. XIV. (*P. l.* str. 343.).

Żałuję mocno, że nie mogę po raz drugi „badać“ rzeczy, zbadanej już przed 5 laty, ani datować *Kroniki Weihenstephańskiej* z XIII. w. jakby sobie życzył szan. recenzent, ale mogę zato pocieszyć go wiadomością, że *Kronika Weihenstephańska* nie tylko nie jest z XIII., ale nawet nie z XIV., jak ja przypuszczałem, lecz z XV. wieku. Udowodnił to Freitag w swojem cennem studyum o tejże kronice. Jego pracy oczywiście nie znałem podczas pisania swej rozprawy na głębokiej prowincyi, ale instyktownie czułem, że „*Kronika Weihenstephańska*“ jest znacznie późniejszem dziełem, niż to utrzymał wydawca Aretin, i podałem kilka argumentów. Gdybym był znał studyum Freitaga i przytoczył niektóre jego wywody na poparcie mojej tezy, że *Kronika Weihenstephańska* pochodzi od Strickera, to szan. mój oponent, wyczytawszy wiadomość o tem studyum... u mnie, byłby mi zarzucił, że niepotrzebnie „streszczam cudze poglądy“ lub „przepisuję z drugiej ręki“, ale gdy to studyum uszło mej uwagi i okazya była dla szan. recenzenta pokazania, że zna przedmiot krytykowany, niezależnie od mojej pracy, to on o niem milczy, znać uszła i jego uwagi, tak jak uszedł jego uwagi szereg studyów i zapatrywań, odnoszących się do podania o Pilacie, ponieważ, rezerwując je dla osobnego artykułu, nie przytoczyłem ich w swojej pracy, jak wreszcie uszła jego uwagi bardzo ważna wersya niemiecka z XIV wieku, o której również nie mówię w swej rozprawie. Kiedy zaś szan. recen-

zent zabiera się do rozklasyfikowania wersyi, (nawiasowo dodam, na podstawie moich dokładnie wykonanych streszczeń poematów, bo do oryginałów, do kilku przynajmniej, wcale nie zajrzał), i dzieli je na trzy grupy: francusko-hiszpańską *(f)*, włoską *(w)*, niemiecką *(n)*, to powtarza, niby od siebie, starą hipotezę Feista i Arferta. Gdy jednak chce na podstawie tego ugrupowania odtworzyć pierwotną wersyę, to dochodzi odrazu do wniosku, że „trudność rekonstrukcyi niearbitralnej jest znaczna“ i przytoczywszy dwa rysy, mające świadczyć o tej trudności, składa broń i zostawia rekonstrukcyę, zdaje się, na lepsze czasy lub innym badaczom. Tymczasem sam podział (Feista i Aferta i szan. recenzenta), nie wytrzymuje zgoła krytyki. I tutaj po raz trzeci muszę z całym naciskiem podnieść, że szan. mój oponent, nie znając zgoła całego kompleksu zagadnień, związanych z ugrupowaniem wersyi podania o Bercie przed czytaniem mojej pracy, i co gorsza, nie mając nic nowego do dorzucenia, niepotrzebnie (oczywiście o ile chodzi o naukę), zabawia się w samodzielnego krytyka. Bo oto znowu uszła jego uwagi wersya bardzo ważna, która rozbija sztuczny jego podział na wersye niemieckie i nie-niemieckie, (względne francuskie i włoskie). Jest nią szósta wersya niemiecka, zawarta w zurychskim rękopisie z XV. wieku i ogłoszona drukiem już przed 20 laty. W niej Pepin rezyduje w *Kerlingen* i ma dwóch synów *Rapota i Winemana*, zgodnie z niemieckiemi wersyami *(S^2 W^1)*, ale Berta pochodzi z Hiszpanii, zgodnie z *C* (gdzie jest córką króla Almeryi), a więc z grupą *f*. Zmiana dokonywa się w Paryżu, tak jak w francuskich i włoskich *(f, w)*, ale Berta przebywa potem u młynarza, zgodnie z niemieckimi *(W^1 W^2)*. Astrolog czyta przyszłość w gwiazdach jak w *W^1 (n)* ale Karol ma swoje imię od wozu („won er in uff eynem karren gmacht hat“), co znów wyłącznie należy do włoskich *(w)*.[1]) Czy nie będzie zbyt niedyskretnym zapytać się szan. recenzenta, gdzie umieści tę wersyę w swojem ugrupowaniu? i dlaczego o niej milczy, gdy nie znalazł wzmianki o niej w mojej pracy?

Ad IV.). Na niezrozumieniu staro-francuskiego tekstu oparty jest zarzut, że „u Adeneta niema mowy o nadzwyczajnych właściwościach fizyologicznych Pepina“ (*Pam. lit* 346.), a przywołanie na pomoc Gröbera, którego uwagi w *Grundriss'ie* ja rzekomo nie znam, nie zmniejszy faktu, że szan. recenzent nie przeczytał z należytą uwagą ani utworu Adeneta, ani *Miracle de Berthe*, będącego parafrazą poematu Adeneta, bo dokładna znajomość obu tych utworów byłaby go pouczyła, co rozumieć należy przez ten trójwiersz Adeneta:

> Quant li rois vous devra *enquenuit* conpaignier
> Et *faire la droiture c'on fait à sa moillier*,
> Paour ai ne vos tut. (w. 317—19).

Szan. recenzent wypuszcza dwa pierwsze wiersze i cytuje trzeci, „boję się, aby cię nie zabił“ co mu pozwala twierdzić, że mamka tylko „ogólnikowo straszy Bertę“. Takie ułatwianie sobie „trudu“ zbijania moich wywodów, to jeszcze rzecz najmniej zdrożna w całej tej recenzyi. Co się zaś tyczy powyższego szczegółu, ponieważ wyraźniej o nim mówić nie wypada, ograniczę się do przytoczenia jeszcze jednego tekstu dla wyjaśnienia, co rozumieli ówcześni ludzie przez owe trzy wiersze Adeneta. Znajdują się we zmiankowanym wyżej utworze z XIV w., gdzie mamka w obecności Berty, tak mówi o Pepinie.

> L'en m'a fait du roy mencion
> *Qu'il est d'une complexion*
> Qu'il n'est femme, s'a elle habite,
> Qui n'ait du corps tant de labite
> Qu'a peines se puist puis aidier. (w. 221—25)

---

[1]) Por. o tej wersyi drukowany obecnie artykuł mój w *Zeitschrift für rom. Philologie* 1911. str. 19 i n.

A na to Berta . . . . Mère Dieu, qu'est ce
Qu'homme peut telle chose avoir?

Ad V.). Odmówiwszy wszelkiej wartości pierwszej części mojej pracy, mającej na celu ugrupowanie wszystkich wersyi podania o Bercie i naukowe uzasadnienie tego podziału przez metodycznie przeprowadzoną segregacyę, motywów i ocenę ich znaczenia dla tejże kwestyi, szan. recenzent odtrąca z kolei drugą część, w której staram się wyjaśnić, jak powstało podanie.

Pisze tedy o mnie:

...„motyw o podsuniętej narzeczonej i to wedle Trystana i Izoldy, co znowu jest przepisane z Arferta (str. 67—9) i do czego autor dodaje (nie wiem, czy za kimś, czy też od siebie) wpływ biblijnego opowiadania o Jakóbie i Labanie (por. str. 164.), a to zestawienie dwóch motywów, nie mających nic wspólnego ze sobą, tak, że poprostu niepodobna sobie wyobrazić, jak mógł wpłynąć na podanie o Bercie ten ustęp Biblii. (Jakób służy siedm lat, aby dostać piękną Rachel, a wtedy Laban powiada mu, że dostanie brzydką Lię), przyjdzie chyba na listę wesołych odkryć z zakresu t. zw. „wpływów literackich“ *[Pam. lit.* str. 348.].

Zajrzymy zatem do Arferta. Badacz ten twierdzi, że w pierwotnej wersyi podania o Bercie, za której odbicie uważa kroniki niemieckie *(W*[1], *W*[2]*)* zamiana dokonywała się po drodze, potem jakiś przerabiacz francuski pod wpływem „Trystana i Izoldy“ zmienił pierwotną wersyę w ten sposób, że zamiana narzeczonej dokonywa się w Paryżu w nocy poślubnej. Co do mnie to utrzymuję 1) że *Kroniki W*[1] *W*[2] nie odźwierciedlają archaicznej wersyi, bo pochodzą z XV. wieku i z wersyi drugorzędnej; 2) że nie zwykły bądź co bądź motyw o wymianie narzeczonej znajduje się po raz pierwszy w opowiadaniu biblijnem; 3) że najstarszy utwór o Bercie mógł powstać przypuszczalnie około 1160., w każdym razie po 1150., a więc po „Trystanie i Izoldzie“; 4) że w „Trystanie“ po raz pierwszy „sługa zastępuje panią“ w nocy poślubnej, ale nie w celu oszukania jej jak w podaniu o Bercie; 5) że zatem autor pierwotnego poematu o Bercie musiał skombinować te dwa tematy (biblijny i „Trystana“); 6) że uczynił to autor pra-wersyi a nie jakiś przerabiacz późniejszy, jak przypuszcza Arfert. To jest nowy pogląd na genezę podania o Bercie, trafny albo i nie, sąd nie do mnie należy, ale w każdym razie odmienny od dotychczasowych hipotez, bujających w islandzkich sagach z XVII. w. lub w baśniach ludowych z drugiej połowy XIX. w., pogląd, poparty szeregiem wyżej wyliczonych argumentów, ściśle ze sobą się wiążących. Szan. recenzent, nie obeznany ze stanem rzeczy, miesza pogląd Arferta o wpływie „Trystana“ na późniejszą fazę podania, z moim poglądem o powstaniu pierwotnej wersyi pod skombinowanym wpływem obu opowiadań i zarzuca mi, że „przepisuję z Arferta“, nie wspomniawszy słówkiem, że przy wpływie Trystana na ukształtowanie się motywu sam odsyłam do Arferta. (str. 182. n. 2.).

Ale ta pierwsza część zarzutu jest niewinną „chybką“ w porównaniu z „herezyą“, że tak powiem, drugiej połowy jego zdania. Powiastkę biblijną streszcza szan. mój oponent w ten sposób: „Jakób służy siedem lat, aby dostać piękną Rachel, a wtedy Laban *powiada mu,* że dostanie brzydką Lię.“ Wobec takiego zrozumienia łacińskiego tekstu, przytoczonego w mej pracy, ustaje wszelka dyskusya. Brzmi on w skróceniu: „Servivit ergo Jacob pro Rachel septem annis... Dixitque ad Laban: Da mihi uxorem meam, quia iam tempus impletum est... Qui, vocatis amicorum turbis ad convivium, fecit nuptias. *Et vespere Liam filiam suam introduxit ad eum...* Ad quam cum ex more Jacob fuisset ingressus, *facto mane, vidit Liam,* Et dixit ad socerum suum ...quare imposuisti mihi (str. 164.).

Szan. recenzentowi musiały się już dobrze oczy kleić, kiedy z całego ustępu biblijnego wyczytał tylko tyle, że „Laban *powiada mu* (jakóbowi), że dostanie brzydką Lię“. Nie widzi tedy, że opowieść biblijna zawiera cztery

momenty wspólne z podaniem o Bercie, motywy, których niema w „Trystanie i Izoldzie“ a mianowicie 1) że wymienia się komuś *narzeczoną,* 2) że dzieje się to podstępnie, 3) że po pewnym czasie (w Biblii nazajutrz, w podaniu o Bercie po kilku latach) oszukany odkrywa podstęp i 4) otrzymuje swoją narzeczoną z powrotem.

Niepodobna przechodzić wszystkich drobniejszych zarzutów, opartych bądź na niezrozumieniu mojej pracy (jak n. p. zarzut odnoszący się do *tradition orale* przy Strickerze str. 340. i 343.), bądź na nieznajomości przedmiotu (jak n. p. odnośnie do polemiki ze mną o pracy Arferta i Oelsnera str. 341), — na to potrzebaby trzy razy więcej miejsca w *Pamiętniku* niż zajmuje go sama recenzya — ale o kilku jeszcze kwestyach zasadniczych pomówić się godzi. Zarzuca mi szanowny mój oponent, że zamiast cytować G. Parisa. *(La légende de Pépin le Bref),* który zebrał teksty z *Monument'ów Germaniae,* odnoszące się do Pepina i Berty, cytuję same *Monumenta,* „co tak wygląda, jakby autor

> pierwszy, rozczytując się w średniowiecznych pomnikach historycznych i literackich, po raz pierwszy wydobywał na światło krytyki wzmianki, odnoszące się do Pepina i Berty“ *(Pam. lit.* str. 341.).

Zarzut powyższy, obliczony na tani efekt i na przypuszczalną nieznajomość *Monumentów Germaniae* u wielu czytelników *Pamiętnika* w świetle prawdy tak się przedstawia. Każdy tom *Monumentów* jest zaopatrzony w pedantycznie dokładny indeks nazwisk osób, o których mowa w tomie, indeks, odsyłający nie tylko do stronicy, ale nawet do wiersza danej stronicy, tak że za pół godziny można wypisać sobie to, co wszystkie kroniki średniowieczne, zawarte w 10 czy 15 domach *Monumentów* mówią o Pepinie i Bercie. Jeżeli tedy ktoś odnosi się wprost do tego pomnikowego wydawnictwa, to przez to wartość (erudycyjna) jego pracy ani o jotę się nie podniosła. To tylko kompletnemu laikowi w tych sprawach może się wydawać, że to wielka zasługa cytować *Monumenta.* Tyle co do meritum samej kwestyi, co się zaś tyczy zarzutu, to jest on niezgodny z prawdą, ponieważ nie tylko „przy jednej z pierwszych wiadomości zaznaczam: (na str. 174. n. 3.) „szczegóły powyższe u G. Parisa“, jak to utrzymuje szan. recenzent, ale wzmiankowany artykuł G. Parisa cytuję jeszcze 3 razy na 3 po sobie następujących stonicach, o czem każdy przekonać się może, zajrzawszy do mojej pracy. (str. 174. n. 1. str. 176. n. 2., str. 177. n. 1.), pomijając, że artykuł ten był już cytowany (a zatem piąty raz) na str. 171. n. 2. i że cała str. 170. i 171. jest rozbiorem tego artykułu i próbą innego wyjaśnienia wartości wzmianek kronikarskich, które zebrał G. Paris. Z tem przecież niema się co kryć, że ktoś przedtem już zebrał teksty historyczne z *Monumentów.*

I przed G. Parisem i po nim badacze średniowiecznej literatury cytują te same teksty z *Monumentów* i ani G. Paris na swoich poprzedników, ani następcy na niego nie powołują się wcale, chyba, że chodzi o zrektyfikowanie błędnej cytaty (jak się rzecz ma przy P. Rajnie, którym szan. recenzent mi kole w oczy). G. Paris cytuje: *„Iste fuit in carro natus“*, a P. Rajna poprawia na: *„Iste in carro fuit natus“*..

Chodzi przecież głównie o to, jakie wysnuwa się wnioski. Otóż konkluzyą artykułu G. Parisa jest to, że wzmianki u kronikarzy średniowiecznych świadczą o istnieniu ludowych kantylen o Pepinie z Heristalu, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, i o tem, że czyny Pepina z Heristalu przeszły na Pepina Małego, i o tem, że istniała nieprzerwana tradycya od wieku VII. do XII., t. j. do czasu gdy *chansons de gestes* doczekały się utrwalenia na piśmie. Konkluzyą zaś mojego rozdziału jest to, że niema śladu dowodu, jakoby istniały takie kantyleny lub pieśni bohaterskie od VII. do XI. w.; że autorowie *chansons de gestes* z XII. w. i drugiej połowy XI.) czerpią swoje nieliczne wiadomości o dawnych wypadkach i osobach historycznych z kroniki i tradycyi klasztornej za pośrednictwem kleryków i mnichów, że zatem, i to jest moją osobistą konkluzyą, wzmianki o Pepinie i Bercie u kronikarzy przed drugą połową XII. w. nie są refleksem ludowych poematów, ale ich punktem wyjścia. (Późniejsi znów kronikarze

z XIII. w. streszczają z kolei poematy bohaterskie.) O tem wszystkiem szan. recenzent ani słówkiem nie wspomniawszy, zawyrokował, że odnośną część rozdziału „w całości przepisana z G. Parisa“, P. Rajny a druga część, (jak się to już wyżej wspomniało,) z Arferta.

Wytyka mi ponadto z przekąsem dwukrotnie szan. mój oponent, że

„należało się zastanowić, czy jest rzeczą stosowną poświęcać liczne dziesiątki stron streszczeniom rzeczy znanych i streszczanych poprzednio“. (*Pam. lit.* 347.)

Zwrócę uwagę na to, że z 20 wersyi, omówionych w mej książce, dwie zaledwie były streszczone gdzieindziej. Co się tyczy wartości metodycznej takich streszczeń, to wystarczy powołać się na ogłoszone przed trzema laty dwa tomy studyów Bédiera (*Les légendes épiques Paris 1908*), uznane przez krytykę jednogłośnie za epokowe dzieło. Otóż pierwszy tom na 400 stronic ma 90 stronic z rzędu samego streszczenia (a więc blizko $^1/_4$ część tomu) i to poematów naprawdę już streszczonych w dziele tak dostępnem jak *Les épopées françaises* Gautiera, a w drugim tomie, zaraz pierwsze studyum o *Girardzie de Roussillon* ma 24 str. na 92 streszczenia mimo, że ten poemat jest streszczony u Gautiera i przełożony na język nowo-francuski przez P. Meyera. Żadnemu jednak z kilkunastu recenzentów nie przyszło na myśl zrobić z tego zarzut Bédierowi, tylko szan. mój oponent nie chce rozumieć (por. str. 22. mej pracy), że takie wierne streszczenia, pominąwszy już inne korzyści, pozwalają czytelnikowi kontrolować wywody autorów, no, i oceniać także zarzuty recenzentów.

Aby wreszcie zakończyć tę polemikę i na jaskrawym przykładzie stwierdzić, jak dalece szan. recenzent nie rozumie tego przedmiotu i jest nieobeznany ze stanem badań, z tem, co już jest udowodnionem, a co dopiero stanowi osobiste zapatrywanie jednego n. p. badacza, jak wreszcie nie oryentuje się w najnowszych kierunkach badań nad średniowiecznemi podaniami, zainaugurowanych przez ś. p. Kawczyńskiego i niezależnie od niego przez Beckera i Bédiera, pozwolę sobie przytoczyć ostateczny jego sąd o mojej pracy.

Pisze tedy sz. mój oponent:

„Aby spostrzedz, jak dalece nic nowego w tych wynikach (scil. mojej pracy), wystarczy przeczytać poprostu krótkie streszczenie stanu badań nad Bertą w *Grundriss'ach* Groebera i Beckera“. (*Pam. lit.* str. 348.).

Sądzę tedy, że jeżeli kto, to właśnie obaj ci uczeni, powołani na rzeczoznawców przez szan. mego oponenta, aby mnie doszczętnie już pognębić w opinii publiczności, nie wiele się rozumiejącej na tej całej kwestyi, będą najbardziej kompetentnymi sędziami do rozstrzygnięcia naszego sporu, a ponieważ są powołani przez mego oponenta, więc nikt nie zarzuci mi chyba, że ułatwiam sobie obronę. Nie pozostawało mi nic innego, jak posłać swoją pracę w tłómaczeniu niemieckiem jednemu i drugiemu. I oto ich odpowiedzi. Prof. Becker pisze mi w dwóch kartkach (z dn. 14 i 17 czerwca 1910.).

„Ihren Bertaforschungen stimme ich im großen und ganzen bei. Ich habe Ihr Manuscript mit dem größten Interese durchgelesen und meine Ansicht bestätigt gefunden. Ihre Darlegungen scheinen mir durchaus überzeugend... Sehr willkommen ist mir das Ergebnis Ihrer Arbeit, insofern es die Verhältnisse bedeutend vereinfacht (und mit Recht) und ***so viel von dem alten Mist,*** *auf dem die Blume der Romantik blühte,* ***aus dem Wege schafft.***

Prof. Becker nazywa prace niektórych moich poprzedników „śmieciem“, na którem kwitły ich romantyczne (scil.) hipotezy, czego sobie nie pozwoli-

łem nigdzie powiedzieć o pracach moich poprzedników, uważa dalej, moje wywody za przekonywujące (sz. rec. twierdzi, że „są nie do przyjęcia") i rezultaty, które upraszczają zawiłe diagramy poprzedników, za słuszne (sz. recenzent miesza je z błotem).

W podobnym duchu pisze do mnie prof. Gröber (w kartce z dnia 4. czerwca 1910.) i, co ważniejsza, dodaje. *„Gern werde ich Ihre Abhandlung über die Bertasage in der „Zeitschrift" [für romanische Philologie] in den ersten Heften des Jahrganges 1911. mitteilen"*.[1])

I tak jedynym dodatnim rezultatem recenzyi sz. mego oponenta jest to, że moja rozprawa będzie udostępniona zagranicznym uczonym, za co niech przyjmie tutaj moje serdeczne „Bóg zapłać".

Jeżeli, jak to przyznaje sam recenzent (*P. l.* str. 350.), „w studyum o *Floire et Blancheflor* (Paris 1906.) okazałem się bystrym badaczem", a sąd ten jest tylko powtórzeniem tego, co najpoważniejsi uczeni (jak Golther, Vollmöller, Gröber, i inni) powiedzieli już przedtem o mojej dyssertacyi doktorskiej, to niech mi wolno będzie żywić niepłonną nadzieję, że zagraniczni uczeni niebawem ten sam sąd wydadzą o drugiej mojej rozprawie, co po części już spełnili, przyjmując ją do najpoważniejszego organu romanistyki niemieckiej i wydając o niej tak pochlebny sąd przez usta jednego z najkompetentniejszych badaczy, jakim jest niewątpliwie Ph. Aug. Becker, prof. romanistyki i następca Mussafii na wszechnicy wiedeńskiej.

To też odpowiedź tę na recenzyę sz. mego oponenta, którą uważam za chybioną i szkodliwą, — chybioną dlatego, że po za brutalną negacyą nie wnosi do dyskusyi najdrobniejszego faktu pozytywnego celem wyświetlenia skomplikowanego zagadnienia o powyższem podaniu i wzajemnego stosunku 20 wersyi, ani nie dorzuca żadnego nowego szczegółu, szkodliwą zaś dlatego, bo zatruwa ducha, zabija chęć do pracy naukowej u nas i odrywa od czystej nauki do odmętów polemicznych — pozwolę sobie zakończyć jego własnemi słowami:

„Lepiejby było, gdyby **recenzya** tak niedojrzała nie była się ukazała. Są w niej błędy tak grube, a przedewszystkiem sposoby tak niestosowne, że samo, najspokojniejsze nawet wymienienie ich jest czemś drażliwem, przykrem, bolesnem".

„Źleby jednak było, gdyby z braku [bezstronnej a fachowej] krytyki [swojskiej] urabiało się przekonanie, że **o polskiej pracy naukowej** można pisać co się chce i jak się chce", bo za pokrzywdzonym nikt się nie ujmie[2]), a zagranica sądu nie wyda.

J. H. Reinhold.

Kraków 27. VI. 1910.

P. S. Już po napisaniu tej odpowiedzi przyszło mi na myśl zajrzeć powtórnie do artykułu Prof. Porębowicza o *Bercie z dużemi stopami*, ogłoszonego w *Ludzie* (1909. str. 169 i n.) i ku największemu zdziwieniu konstatuję że jedyne trzy czy cztery słuszne choć drobnej wagi zarzuty, jakie sz. recenzent czyni mej pracy, tam dosłownie się znajdują.

Do nich należą, że:

1) w kronice *Ex Miraculis S. Glodensis* mowa jest o Karolu Martellu a nie o Karolu Wielkim, jak przez nieopatrzność twierdziłem. (Nawiasowo dodaję, że pomyłkę tę spostrzegłem niebawem po wydrukowaniu rozprawy i w kilku egzemplarzach, posłanych różnym osobom, między innymi dr. Wędkiewiczowi, naówczas słuchaczowi romanistyki we Wiedniu i Prof. Bédierowi, błąd ten poprawiłem, zwróciwszy ponadto osobno w liście uwagę na niego.).

---

[1]) Obecnie druk. tamże t. XXXV. str. 1—30 i 129—152.

[2]) Pisząc powyższe słowa, nie znałem jeszcze pochlebnej oceny mojej pracy pióra prof. Brücknera (druk. w Książce 1910, w zeszycie czerwcowym.)

2) „Berte aus grans pies“ lepiej oddać po polsku, jak chce sz. recenzent „przez Bertę z dużemi stopami,“ niż przez „Bertę z dużemi nogami“, ale żeby to miało być aż „nieszczęściem“, w to mi trudno przyjdzie wierzyć, mimo zapewnień sz. recenzenta.

3) nie uwzględniam w swej pracy uwagi Gröbera, (choć ją znałem, w przeciwieństwie do tego, co twierdzi sz. recenzent, „(*vit* statt *pied* ein Schreiberscherz“ bo koniektura ta jest tylko jego subjektywnem zapatrywaniem, któremu przeczą Adenet (i *Miracle de Berthe*).

4) Ponadto słuszna uwaga, nie znajdująca się w artykule wyż cytowanym, że w *A* niema wzmianki o wozie, a w *V* o rzeczce *Magno,* ale to są błędy z przeoczenia podczas korekty, które laik usunąć może, przeczytawszy uważnie streszczenie poematu *A* i *V* i uwagi do nich dodane, znajdujące się w mojej pracy.

Kilka innych zarzutów, jeszcze mniejszego znaczenia, wymagałoby zbyt obszernej dyskusyi, szkoda na to w *Pamiętniku literackim* miejsca, zapisuję je odrazu na *bene* mego sz. oponenta. Ale zarówne te jak i trzy pierwsze, wyżej wyliczone, znajdują się dziwnym trafem w tak dobrze znanym sz. recenzentowi artykule. I tu jest odwrotna, a zarazem smutna, strona medalu. Sz. mój oponent, który w swej recenzyi aż trzy razy zarzuca mi o jednym i tym samym rozdziale mej pracy, że jest przepisany z G. Parisa, mimo że artykuł G. Parisa był cytowany przezemnie sześć razy, nie raczył słówkiem wspomnieć o artykule swego profesora i poprzednika, odnośnie do tych kilku zarzutów. Niechże wolno będzie mnie, skoro fata już tak chcą, oddać sprawiedliwość memu przeciwnikowi w myśl „prawa pierwszeństwa“, i zasady *suum cuique,* którą mój sz. oponent w oczy mnie kole, a przeciw której sam tak ciężko grzeszy. Otóż prof. Porębowicz, jako zwolennik folklorystycznego poglądu na genezę podań średniowiecznych, musiał *a limine* odrzucić wyniki mej pracy zarówno pierwszej jak drugiej części, nie zapuszczając się w szczegółowe dyskusye.

To też nie mogąc odpowiadać na jego artykuł bez wytoczenia zawiłej kwestyi „twórczości ludowej i artystycznej i ich wzajemnego stosunku“ kwestyi, która już tyle krwi napsuła we Lwowie i w Krakowie, i nie chcąc kontynuować do niczego nie prowadzącej polemiki, nie reagowałem wcale na ów artykuł.

Ale prof. Porębowicz, jako długoletni badacz odrazu uchwycił dwie cechy, wyróżniające moją pracę od „romantycznych“, jak je zwie profesor Becker, hipotez moich poprzedników t. j. systematyczność i metodykę badania oraz opanowanie całej odnośnej literatury przedmiotu (pochwalić wielki trud, z jakim zgromadził niełatwy do posiadania materyał“ (str. 174.) Jako sumienny zaś krytyk uważał za stosowne zaznaczyć to w artykule, który tylko ubocznie był sprawozdaniem z mojej pracy, a w głównej części próbą nowego wyjaśnienia genezy podania. Tymczasem sz. recenzent *Pamiętnika,* poświęcając specyalne sprawozdanie mojej pracy, nie uważał za stosowne wspomnieć o artykule swego poprzednika, ani najmniejszem bodaj słówkiem zaznaczyć, co jest nowego, dodatniego w mojej książce. Miejmy jednak nadzieję, że z czasem przyswoi sobie to, co wydawani przez niego trubadurowie prowansalscy tak wysoko cenią i czego mu życzy profesor Thomas, recenzując w *Romanii* jego wydanie *Elias'a de Barjols:* poczucia miary, *la mesure.*

J. H. Reinhold.

REPLIKA.

Proszę, by czytelnicy *Pamiętnika Literackiego* zestawili powyższe pismo z moją recenzyą, zarówno co do treści, jak co do tonu. I przechodzę do rzeczy.

ad I. — Nie można poważnie mówić z kimś kto nie rozumie, że czy się powie „Schreibart“ kroniki, czy też „Schreibart“ rękopisu (dla Aretina kronika ta była rękopisem, bo on ją dopiero wydawał, dla mnie już nie) to jednak „Schreibart“ będzie znaczyć nie „paleograficzny charakter pisma“ ale „styl“, który Aretin przyrównywa do „Schreibart die wir bey den Denkmaelern (utworach zatem a nie rękopisach) des XIII. Jh. antreffen“. Ot i na czem to opiera się ciężki zarzut, że ja „przeistaczam teksty“ czyli poprostu, że dopuszczam się fałszerstwa.

ad II. — 1. Wykazałem, że wbrew twierdzeniu autora w wersyi *V* zupełnie niema nazwy lasu *Maine* lub *Magno;* wskazałem, że M^3 i *R* mają nazwy *Maine* i *Magno,* zbliżające się swem brzmieniem raczej do *Maine,* jak jest w *Chron. Saintongeaise,* niż do *Le Mans,* jak u Adeneta; zatem M^3 i *R* mają wspólny rys lokalizacyjny (i związaną z nim etymologię), którego nie mogły wziąć z *V* i którego nie wzięły, jak się zdaje, z Adeneta, czyli znały jeszcze inne jakieś źródło. Autor, zamiast się przyznać, że znalazł w *V* rys, którego tam niema, i że nie zauważył owego wspólnego rysu lokalizacyjnego w M^3 i *R,* odwraca uwagę od właściwego przedmiotu i zarzuca mi, żem „przeoczył“ iż on dopuszcza wpływ Adeneta na M^3 i na *R.* Jest to prosta nieprawda, bo właśnie w zdaniu, które autor cytuje, powiedziałem, że dopuszcza on wpływ Adeneta, a nie dopuszcza wpływu innego jakiegoś źródła. Że zaś miałem prawo powiedzieć, iż wpływ Adeneta uważa za „bardzo niepewny o ile chodzi o M^3“, dowodem następujące zdania na str. 122—3 (do których odesłałem): „Gdyby ktoś chciał utrzymywać, że autor znał także poemat Adeneta, to przeciwko temu nic mieć nie można... Mimo to, wyznaję szczerze, nic pewnego powiedzieć nie można w tej kwestyi... Możliwą tedy rzeczą, że podobieństwo jest przypadkowe, ale możliwem także, że Marmora znał utwór Adeneta“. Czy przesadziłem? — 2. Autor wyrwał zdanie moje: „Co do drobnej sprawy wersyj włoskich, uważano dotąd, że M^3 i *R* opierają się nie tylko na najstarszej wersyi włoskiej *V* lecz i na innych jakichś źródłach zaginionych“ i obraca to zdanie w pytanie: kto twierdził, że M^3 opiera się na *V,* pokażcie go. Tymczasem, jeżeli przeczytać cały mój ustęp, widać, że przeciwstawiam tam właśnie autora, który wywodzi M^3 i *R* tylko z *V* (z dopuszczeniem conajwyżej wpływu Adeneta) innym krytykom, którzy wskazali na jakieś ich źródła zaginione i właśnie na rzecz tego poglądu podałem przykład lokalizacyjny przytoczony powyżej. — 3. Teraz autor już nie twierdzi, że on pierwszy odnalazł pięć wersyj, których niema u Feista, ale próbuje czy mu się nie uda utrzymać jeszcze przy dwóch. Otóż nie uda się, bo wersya Henryka z Monachium jest w III-cim tomie Massmanna *Kaiserchronik,* a ten tom jest jednem z pierwszych dzieł należących do znanej literatury o Bercie, a wersya Aquilona de Bariere nie tylko jest ogłoszona w XI-tym tomie *Romanii,* co już wystarczy, ale także jest

wskazana pod imieniem *Berte* w indeksie do trzydziestu pierwszych tomów *Romanii,* który jest elementarnym podręcznikiem bibliograficznym i w którym autor ją znalazł, bo licho by się bronił gdyby w nas chciał wmawiać, że wertował stronę za stroną tych kilkudziesięciu tomów, skoro istnieje indeks. Z konia z rzędem rezygnuje, ale mógłbym odpowiedzieć: słowo się rzekło, kobyła u płotu. — To są trzy dowody na to, że ja z palca wysnuwam wiadomości.

ad III. — Zaznaczyłem, że sprawy daty *Kroniki Weihenstefańskiej* autor „nie zbadał poważnie". Trudno o lepsze potwierdzenie tego zdania jak wyznanie autora, że w tej materyi „czuł instyktownie". Mniejsza o to że instykt chybił podobno o sto lat. Pomijam i to, że choćby *Kron. Weih.* była nie z XV. ale XX. wieku, to jednak nie może ona pochodzić tylko ze Strickera, który z podania o Bercie daje tyle co nic. Ale szczególny to autor, który pisząc monografię o *Bercie* nie znał jednej z prac, należących do przedmiotu, a teraz z niezrównaną obrotnością zarzuca recenzentowi (gdybym chciał i umiał wszystkie odrazu błędy i braki poprawić, zabrałbym się sam do rozprawy o *Bercie),* że to recenzent „ignoruje stan badań" nad tem podaniem.

ad IV. — Powiedziałem, że Adenet nie mówi o szczególnej fizyologicznej *complexion* Pepina (i żeby autor niewiem jak szukał i podkreślał, to w Adenecie tego nie znajdzie), a autor cytuje mi na dowód... inny tekst, o dwieście lat późniejszy, gdzie jest mowa o *complexion* i wobec tego wykazał, że ja... nie rozumiem po staro-francusku.

ad V. — Autor podał na str. 181. wpływ Tristana i Isoldy na podanie o Bercie od siebie, nie powołując się na nikogo. Dopiero na str. 182. n. 2. odsyła do Arferta dla szczegółu (zaznaczyłem to w recenzyi na str. 341., więc nieprawda, że ani słówkiem o tem nie wspomniałem), nie mówiąc nigdzie, że całe zestawienie z Tristanem i Isoldą wziął z Arferta. Tak się nie robi. I żadne wykręty na to nie pomogą. — Następuje jedyny szczegół, który autor słusznie wytknął mej recenzyi. Streszczając w nawiasie w kilku słowach podanie biblijne opuściłem motyw spędzenia nocy z podstawioną narzeczoną. Źle zrobiłem. Wprawdzie tak czy tak, przypuszczenie wpływu tego ustępu i biblii jest niedorzecznością, wprawdzie tak to ocenił i prof. Porębowicz w *Ludzie* i prof. Brückner w *Książce,* ale skoro już streszczałem, to trzeba było przedłużyć nawias i streścić dokładnie. Zatem zawiniłem. — Wręcz odrzucam dyskutowanie o tem, że nie jest wszystko jedno czy się powie, że kilkanaście wzmianek historycznych znalazło się, zebrane wszystkie bez wyjątku, u Gastona Parisa, czy też jeżeli odsyła się wprost do Pertza *Monumenta,* do Bouquet'a *Recueil,* do Migne'a *Patrologii,* do Oefelius'a *Rerum boicarum Scriptores,* do Vincent de Beauvais *Speculum* i t. d., jednem słowem do dziesiątek i setek foliałów. Jakiekolwiek wykręty w tej mierze nie zasługują na odpowiedź. Pio Rajna nie cytuje ani jednej wzmianki kronikarskiej za Gastonem Parisem bez powołania się na niego, a w dodatku ustęp o który chodzi, zaczyna wprost od stwierdzenia jasnego: «Il merito di aver primo dimostrato la cosa e di Gaston Paris, Hist. poet p. 438. segg.» (str. 203.). Otóż tak właśnie się robi. Autor powinien był zacząć od uwagi: „Wszystkie wzmianki kronikarskie i poetyckie, ktore będę cytował w tym rozdziale, zostały już zebrane przez G. Parisa". Cały dowcip autora jest właśnie w tem, że przy kilku wzmiankach odsyła do G. Parisa, a przy całym szeregu innych nie.

Na dowód, że autor w wyjaśnieniu genezy podania, daje od siebie poglądy innych, nie tylko powołałem się na Beckera i Groebera: dosłownie przytoczyłem (na str. 349) streszczenia stanu badań nad Bertą w ich *Grundriss'ach* i czytelnik widział rzecz jak na dłoni. A skoro autor stara się przedstawić mnie jako kogoś, kto ma szczególne wymagania co do powoływania się na tych, których odkrycia i poglądy się przytacza, wskażę, iż nie moje wymagania ale sposoby autora są czemś wyjątkowem i czemś co w nauce

razi. Pierwsza praca autora o *Floire et Blancheflor* była pisana po francusku, była dostępna dla krytyki zagranicznej, więc też te szczególne sposoby stosowane tam były oględniej. A jednak i co do tej pracy wytknięto je autorowi. W recenzyi w *Literaturblatt für germ. u. rom. Phil.* (1908., XXIX., 157.) prof. Becker zaznacza co do jednego działu pracy, że autor „kommt zu der bereits von G. Groeber ausgesprochenen Ansicht“ i cytuje mu z § 51. Groebera dosłownie ten pogląd, tak jak ja zrobiłem obecnie; a następnie sąd o tem, co uważa za dobre w tamtej pracy zamyka prof. Becker w zdaniu: „Bis hierher verdienen die Ausführungen des Verf. im allgemeinen Zustimmung, und faktisch sind die erzielten Resultate, *häufiger als angegeben wird,* von autoritativer Seite vorweggenommen worden“. Otóż to właśnie: häufiger als angegeben wird. Autor ma zwyczaj podawania cudzego za swoje: raziło to już w pracy wydanej po francusku, a doszło do rozmiarów nieprawdopodobnych w pracy wydanej po polsku. — A wreszcie *clou.* Najzabawniejsze jest, w istocie, powoływanie się autora na kartki korespondencyjne prof. Beckera i prof. Groebera. Bo oto Becker pisze mu: Ich habe ihr Manuscript mit dem grössten Interesse durchgelesen und *meine Ansicht bestätigt gefunden*“. Prof. Becker jest grzeczny, ale ścisły. Zaznacza, że te poglądy on już wypowiedział (przytoczyłem je w recenzyi dosłownie). A prof. Groeber, z którym rzecz ma się taksamo, odpisał pono „w podobnym duchu“: bardzo słusznie.

Jedynym dodatnim rezultatem mej recenzyi ma być to, że praca owa będzie udostępniona zagranicznym uczonym. Boję się, że, z winy tej recenzyi, poznają ją oni niezupełnie w postaci pierwotnej: czy odnajdzie się tam ta długa litania błędów i nadużyć, które wskazane są w recenzyi?

Z „największego zdziwienia“ w jakie popadł autor, zauważywszy wspólne zarzuty w recenzyi prof. Porębowicza i mojej, będzie on wybawiony w krótkiej drodze. W maju i czerwcu 1909., w bibliotece uniwersyteckiej lwowskiej, zajmowaliśmy się pracą o Bercie obaj. prof. Porębowicz i ja. Ja zacząłem o kilkanaście dni wcześniej i napisałem o parę tygodni wcześniej, tembardziej że dawałem tylko recenzyę, a prof. Porębowicz własne studyum, oparte na zupełnie nowych spostrzeżeniach. Prof. Porębowicz upoważnił mię do oświadczenia, że tak było i że moją recenzyę czytał w rękopisie. Dodam, że przez skrupulatność chciał powołać się na nią co do szczegółów o pomieszaniu Karola Wielkiego z Martelem i o domyśle Groebera *pied* zamiast *vit,* na co się nie zgodziłem, zważywszy, że żaden recenzent nie mógłby ich nie zauważyć w książkach G. Paris'a i P. Rajna'y oraz w Grundriss'ie Groeber'a tj. w dziełach podręcznych. Dlatego prof. Porębowicz krótko wspomniał o „zabawnej pomyłce“ co do Karola W. i Karola M., podczas gdy w mojej recenzyi przeprowadzony jest dowód; co do *pied* zamiast *vit* podjął prof. Porębowicz własne sprawdzania i do celów odmiennych; natomiast prof. Porębowicz zwrócił mi uwagę na „duże nogi“ zamiast „duże stopy“ w pracy autora. Tyle dla usunięcia „największego zdziwienia“. Nadto autor stara się wywołać wrażenie, że sąd prof. Porębowicza o jego pracy jest przychylniejszy niż mój. W rzeczywistości jednak prof. Porębowicz poznał bardzo dokładnie metodę autora, przedstawił ją na innych jeszcze przykładach niż te, które podane są w mojej recenzyi i po paru słowach przytoczonych powyżej przez autora, sąd swój ogólny zamknął w następujących zdaniach: „Natomiast nie można się zgodzić na wiele rzeczy. Nasamprzód na ogłaszanie przedwczesne rezultatów pracy, które jak autor dobrze widzieć musiał, nie przyniosły najdrobniejszego odkrycia prócz owej problematycznej Lii Labanówny — i nie doprowadziły zgoła do żadnej nowej hypotezy. Tem mniej można się zgodzić na sposób roboty; hazardowność metody autora leży w tem, że przejąwszy cały materyał erudycyjny od swoich poprzedników, nie dorzuciwszy do dyskusyi ani jednego szczegółu odkrytego samodzielnie, ubiera się w powagę samodzielnego badacza, waży, roztrząsa, sądzi — i w rezultacie nie wykracza poza zdanie cudze lub wpada we wnioski fałszywe i t. d.“.

Recenzyę moją podtrzymuję od pierwszego do ostatniego zdania: 1° (źródła pracy) niema tam ani jednego faktu nowo wykrytego, a jest ciągłe wrażenie, że autor daje wiadomości nowe, bo bierze odkrycia poprzedników, nie cytując ich, na co dałem całą listę przykładów, z których nie ujmuję ani jednego (a mogę dodać więcej); 2° (rekonstrukcya podania pierwotnego) wersye włoskie zbadane są niedokładnie, niemieckie zupełnie źle, a zrekonstruowane zostało nie podanie pierwotne lecz jego postać francusko-hiszpańska; 3° (geneza podania) wszystkie czynniki (Karol Martel, Tristan i Isolda, związek z Mainetem) wziął autor od poprzedników, bez cytowania ich należytego, a dodał śmieszne zestawienie z biblią i grubo kompromitujące pomieszanie Karola Wielkiego z Karolem Martelem w kronice.

Gdyby nie wielka napastliwość autora, nie przypominałbym, że praca jego wykazuje duże braki co do ogólnego przygotowania: źle tam jest z gramatyką francuską (Heldri < Helpri < Chilpericum), niepewnie z językiem włoskim (figli), krucho z dziejopisarstwem średniowiecznem (Gregoire de Tours i Karoli Senioris), mętnie z całem średniowiecznem (gotyk w VIII. wieku). Kiedy autor oswoi się z temi wszystkiemi rzeczami, przestaną mu się badania nad epopeją staro-francuską wydawać czarną magią, na które inni „nie rozumieją się".

Stanisław Stroński.

Na tem polemikę w „Pamiętniku literackim" zamykamy.

Redakcya.

Odezwa Komisyi Literackiej Akademii Umiejętności.

Komisya dla dziejów literatury i oświaty w Polsce, tzw. Komisya Literacka Akademii Umiejętności w Krakowie, ma zamiar wydać dokładny spis wszystkich bibliotek i archiwów publicznych i prywatnych, znajdujących się na ziemiach, które przed 1772 r. państwo polskie stanowiły, oraz istniejących gdzieindziej, lecz zawierających w znacznej części rzeczy polskie lub będących w rękach polskich.

Spis ten ma zastąpić przestarzałą i pod wielu względami już niedostateczną „Wiadomość historyczno-statystyczną o znakomitszych bibliotekach i archiwach publicznych i prywatnych... w Królestwie Polskiem, Galicyi, W. Ks. Poznańskiem i zachodnich guberniach Państwa Rosyjskiego...", ułożoną przez Franciszka Radziszewskiego (Kraków, 1875).

Pożądane są tedy treściwe informacye o bibliotekach i archiwach rządowych i prowincyonalnych, urzędów i innych organizacyi państwowych, wszelkich instytucyi duchownych wszelkich wyznań i narodowości, kościołów, klasztorów, cerkwi, synagog, gmin wyznaniowych itd., miejskich, gminnych, szkół wszelkiego stopnia, zakładów i towarzystw naukowych, literackich i artystycznych — oraz i przedewszystkiem informacye o bibliotekach i archiwach rodzinnych i prywatnych.

Upraszamy zatem najuprzejmiej wszystkich P. T. Właścicieli i Kierowników bibliotek i archiwów, tudzież wszystkich miłośników nauki i literatury o łaskawe nadsyłanie wiadomości pod adresem: **Dr Józef Korzeniowski,** sekretarz Komisyi Literackiej, Akademia Umiejętności, Kraków.

W Krakowie, w listopadzie 1910 r.

Druk ukończono 31 marca 1911 r.